BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 211.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1893.—Tom III.

WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ulica Foksal Nr 6.

1893.

4620. 1893. 3
II.

30.000/-

Дозволено Цензурою.
Варшава, 2 Іюля 1893 года.

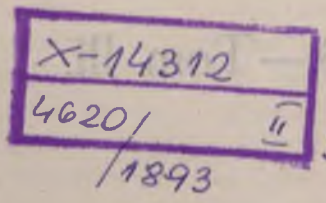

W drukarni J. Sikorskiego, pod zarządem A. Saładyckiego,
Warecka Nr 14.

RODZINA POŁANIECKICH.

I.

Była godzina pierwsza po północy, gdy Połaniecki zbliżał się do dworu w Krzemieniu. Za swoich dziecinnych lat był on dwukrotnie w tej wsi, dokąd jego matka, daleka krewna pierwszej żony dzisiejszego właściciela Krzemienia, woziła go na wakacye. Połaniecki usiłował teraz przypomnieć sobie tę miejscowość, ale przychodziło mu to z trudnością. Po nocy, przy księżycu, wszystko brało kształty odmienne. Nad zaroślami, łąkami i grudzią leżał nizko biały tuman, zmieniając całą okolicę jakby w bezbrzeżne jezioro, które to złudzenie powiększały jeszcze odzywające się w tumanie chóry żab. Noc była lipcowa, bardzo pogodna i oświecona pełnią. Chwilami, gdy żaby milkły, słychać było derkacze, grające po rosie, a czasem zdaleka, od błotnistych stawów, ukrytych za olszynami, odzywał się, jakby z pod ziemi, głos bąka.

Połaniecki nie mógł się oprzeć urokowi tej nocy. Była mu ona jakaś swoja i tę swojskość odczuwał tem lepiej, że dopiero przed rokiem powrócił z za granicy, gdzie spędził lata pierwszej młodości, a później zajmował się sprawami handlowemi. Teraz, gdy wjeżdżał do tej śpiącej wioski, przypomniało mu się także własne dzieciństwo, pamiętne ze względu na matkę, która od pięciu lat nie żyła, i dlatego, że przykrości i troski tego dzieciństwa w porównaniu do dzisiejszych wydawały się zupełnie błahe.

Bryczka wtoczyła się nakoniec do wsi, którą poczynał krzyż, stojący na wydmie. Pochylił się on już bardzo i groził upadkiem. Połaniecki pamiętał go dlatego, że w swoim czasie pochowano pod tą wydmą wisielca, którego znaleziono na gałęzi w poblizkim lesie, a potem ludzie bali się tamtędy nocą przechodzić.

Za figurą poczynały się pierwsze chaty. Ale ludzie już spali. W żadnem oknie nie było światła. Jak okiem sięgnąć, połyskiwały tylko na nocnem tle nieba oświecone księżycem dachy chałup, które w tym blasku wydawały się srebrne i siwe. Niektóre chałupy były umazane wapnem i świeciły jasno-zielono, inne, ukryte w sadkach wiśniowych, w gąszczu słoneczników lub tyczkowej fasoli, zaledwie wychylały się z cienia. Po podwórkach szczekały psy, ale jakby przez sen, dając wtór rzechotaniu żab, graniu derkaczy, bąków i tym wszystkim wołaniom, któremi odzywa się letnia noc, a które potęgują jeszcze wrażenie ciszy.

Bryczka, posuwając się zwolna sypką, piaszczystą drogą, wtoczyła się nakoniec w ciemną aleję, popstrzoną tylko tu i owdzie światłem, wdzierającem się przez liście. Na końcu tej alei poświstywali stróże nocni. Przy ujściu bielił się dwór, w którym kilka okien było oświeconych. Gdy bryczka zaturkotała przed gankiem, z domu wybiegł służący chłopak, który począł pomagać Połanieckiemu przy wysiadaniu, a oprócz tego zbliżył się stróż nocny i dwa białe psy, widocznie bardzo młode i łagodne, gdyż, zamiast szczekać, jęły łasić się, wspinać się na gościa i okazywać z jego przybycia radość tak wielką, iż stróż musiał miarkować jej wylew za pomocą kija.

Chłopak zdjął z bryczki rzeczy Połanieckiego, on sam zaś znalazł się po chwili w jadalnym pokoju, gdzie czekała na niego herbata. Nic się tu nie zmieniło od czasów jego dzieciństwa. Przy jednej ścianie stał orzechowy kredens, obok zegar z wielkiemi wagami i kukułką, z drugiej strony dwa liche portrety kobiece w strojach z ośmnastego wieku, na środku zaś stół, nakryty białą serwetą, otoczony krzesłami o wysokich poręczach. Pokój ten, oświecony jasno, pełon pary, unoszącej się z samowara, wyglądał dość gościnnie i wesoło.

Połaniecki począł przechadzać się wzdłuż stołu, ale skrzypienie własnych butów raziło go w tej ciszy, poszedł więc ku oknu i patrzył przez szyby na oświecone księżycem podwórze, po którem te same dwa białe psy, które witały go z takiem wylaniem, goniły się teraz ze sobą.

Po niejakim czasie drzwi przyległego pokoju otworzyły się i weszła młoda osoba, w której Połaniecki domyślił się córki właściciela Krzemienia, urodzonej z drugiej jego żony. Na jej widok wyszedł więc z framugi okna i, zbliżywszy się w swoich skrzypiących butach do stołu, skłonił się i powiedział swoje nazwisko.

Panna wyciągnęła do niego rękę i rzekła:

— Wiedzieliśmy z depeszy o pańskim przyjeździe. Tatko trochę chory i musiał się położyć, ale jutro rad będzie pana zobaczyć.

— Nie moja wina, żem przyjechał tak późno — odpowiedział Połaniecki,—pociąg przychodzi dopiero o jedenastej do Czerniowa.

— A z Czerniowa jeszcze dwie mile do Krzemienia. Mówił mi ojciec, że pan tu nie pierwszy raz.

— Przyjeżdżałem tu z matką, gdy pani nie było jeszcze na świecie.

— Wiem. Pan jest krewny ojca.

— Ja jestem krewny pierwszej żony pana Pławickiego.

— Ojciec bardzo ceni związki rodzinne, choćby najdalsze, — odrzekła panna.

I poczęła nalewać herbatę, odganiając od czasu do czasu drugą ręką parę, która, podnosząc się z samowara, przesłaniała jej oczy. Gdy rozmowa się przerwała, słychać było tylko tyk zegara. Połaniecki, którego interesowały młode kobiety, przypatrywał się pannie Pławickiej. Była to osoba średniego wzrostu, dość wysmukła; włosy miała ciemne, twarz łagodną, ale jakby zgaszoną, płeć nieco opaloną od słońca, oczy niebieskie i prześliczne usta. Wogóle była to twarz kobiety spokojnej i delikatnej. Połaniecki, któremu nie wydała się brzydka, ale też nie wydała się piękna, pomyślał jednak, że jest dość miła, że może być dobra i że pod tą powierzchownością niezbyt świetną może posiadać mnóstwo tych rozmaitych przymiotów, które posiadają zwykle wiejskie panny. Jakkolwiek był młody, życie nauczyło go jednej prawdy, że kobiety, przy bliższem poznaniu, wogóle zyskują, mężczyźni wogóle tracą. Słyszał także o pannie Pławickiej, że całe gospodarstwo w Krzemieniu, prawie zresztą zrujnowane, polega na jej głowie, i że to jest jedna z najbardziej zapracowanych istot na świecie. Otóż w stosunku do tych kłopotów, które musiały ją obarczać, wydała mu się spokojną i pogodną. Prócz tego pomyślał, że zapewne jej się spać chce. Widać to było nawet po jej oczach, mrużących się mimowoli pod światłem wiszącej lampy.

Egzamin był-by wypadł wogóle na jej korzyść, gdyby nie to, że rozmowa z nią szła trochę trudno. Ale tłomaczyło się to tem, że się widzieli po raz pierwszy w życiu. Przyjmowała go przytem sama, co dla młodej panny mogło być kłopotliwe. Nakoniec wiedziała, że Połaniecki przyjechał do nich nie w odwiedziny, ale po pieniądze. Tak było w istocie. Matka jego oddała przed bardzo dawnym czasem dwadzieścia kilka tysięcy rubli na hypotekę Krzemienia, które Połaniecki chciał teraz odebrać, raz dlatego, że zalegano ogromnie z procentami, a powtóre, że, będąc wspólnikiem domu handlowego w Warszawie,

wszedł w rozmaite interesa i potrzebował kapitału. Z góry też obiecał sobie nie czynić żadnych ustępstw i swoje koniecznie odzyskać. W tego rodzaju sprawach chodziło mu zawsze o to, by okazać się człowiekiem nieugiętym. Nie był on nim może z natury, ale uczynił sobie z nieugiętości zasadę, a zarazem sprawę miłości własnej. Skutkiem tego często przesadzał, jak czynią zawsze ludzie, którzy coś w siebie wmawiają.

I teraz więc, patrząc na tę pannę miłą, ale widocznie senną, powtarzał sobie wbrew współczuciu, które się w nim budziło:

— Wszystko to dobrze, ale musicie zapłacić.

Po chwili rzekł:

— Słyszałem, że pani wszystkiem się tu zajmuje: czy pani lubi gospodarstwo?

— Lubię bardzo Krzemień—odpowiedziała.

— I ja lubiłem Krzemień, gdy byłem chłopcem. Ale gospodarzyćbym w nim nie chciał... Takie trudne warunki...

— Trudne, trudne... Robimy też, co w naszej mocy.

— To jest, pani robi, co w pani mocy?

— Pomagam ojcu, który często jest cierpiący.

— Ja się na tych rzeczach nie znam, ale z tego, co widzę i słyszę, wnoszę, że większa część rolników nie może liczyć na przyszłość.

— Liczymy na Opatrzność...

— To wolno, ale wierzycieli nie można do niej odsyłać.

Twarz panny Pławickiej pokryła się rumieńcem—i nastała chwila kłopotliwego milczenia.

A Połaniecki powiedział sobie:

— Skoroś zaczął, to idź dalej.

I rzekł:

— Pani pozwoli sobie wyjaśnić cel mego przybycia.

Panna spojrzała na niego wzrokiem, w którym Połaniecki mógł wyczytać: „Dopieroś przyjechał, godzina jest późna, ja ledwie żyję ze zmęczenia,—że też najprostsza delikatność nie wstrzymała cię od rozpoczęcia takiej rozmowy.“

Głośno zaś odrzekła:

— Ja wiem, dlaczego pan przyjechał, ale może będzie lepiej, gdy pan z ojcem o tem pomówi.

— Dobrze; przepraszam panią—odrzekł Połaniecki.

— To ja przepraszam pana. Ludzie mają prawo dopominać się o swoje i ja jestem do tego przyzwyczajona. Ale dziś jest sobota; w sobotę ma się tyle do roboty. Zresztą w tego rodzaju sprawach, pojmuje pan... Czasem, gdy przyjeżdżają żydzi, układam się sama... Ale tym razem wolała-bym, żeby pan mówił z papą. Będzie nam obojgu łatwiej.

— Więc do jutra—rzekł Połaniecki, któremu zbrakło odwagi do powiedzenia, że w sprawach pieniężnych chce być traktowany, jak żyd.

— Może pan pozwoli jeszcze herbaty?

— Nie; dziękuję. Dobranoc pani.

I, wstawszy, wyciągnął rękę, panna zaś podała mu swoją daleko mniej serdecznie, niż na powitanie, tak, że dotknął zaledwie końców jej palców.

Odchodząc, rzekła:

— Służący wskaże panu pokój...

I Połaniecki został sam. Czuł pewien niesmak i był niezadowolony z siebie, choć nie chciał wewnętrznie tego przyznać. Począł nawet wmawiać w siebie, że dobrze zrobił, gdyż przyjechał tu nie dla prawienia grzeczności, ale po pieniądze. Co mu panna Pławicka? Ani go grzeje, ani ziębi. Jeśli go będzie miała za gbura, to tem lepiej, bo zwykle tak się dzieje, że im wierzyciel jest bardziej przykry, tem się go starają spłacić prędzej.

Ale niesmak silniejszy był od tego rozumowania, albowiem jakiś głos szeptał Połanieckiemu, że tym razem nie chodziło tylko o dobre wychowanie, ale trochę o litość nad zmęczoną kobietą. Odczuwał przytem, że, postępując tak obcesowo, czyni zadość swej pozie, nie swemu sercu, ani swym wrodzonym instynktom. Był zły także i na pannę Pławicką, tem bardziej, że mu się podobała. Jak w tej uśpionej wiosce, jak w tej nocy księżycowej, tak i w tej pannie znalazł coś swojskiego, czego napróżno szukał w kobietach zagranicznych, a co wzruszało go więcej, niż się spodziewał. Ale ludzie wstydzą się często uczuć bardzo dobrych. Połaniecki wstydził się przedewszystkiem wzruszeń, więc postanowił być nieubłaganym i przycisnąć nazajutrz starego Pławickiego z pominięciem wszelkich względów.

Tymczasem chłopak zaprowadził go do sypialni. Połaniecki odprawił go zaraz i został sam. Był to ten sam pokój, który mu dawano, gdy za życia pierwszej żony pana Pławickiego przyjeżdżał do nich z matką. Więc wspomnienia opadły go znowu. Okna wychodziły na ogród, za którym był staw; w wodzie przeglądał się księżyc—i staw widać było lepiej, niż za dawnych czasów, bo wówczas przesłaniał go wielki stary jesion, który musiała złamać burza, gdyż w tem miejscu sterczał tylko pień ze świeżem odłamaniem na wierzchu. Światło księżyca zdawało się zbierać na tem odłamaniu, które też błyszczało bardzo mocno. Wszystko to razem czyniło wrażenie ogromnego spokoju. Połaniecki, który żył w mieście wśród zajęć handlowych, zatem w ustawicznem natężeniu władz umysłowych i fizycznych, a zarazem w ustawicznym niepokoju, mimowoli odczuwał ten nastrój otaczającej go wsi, tak, jak się odczuwa ciepłą kąpiel po wielkim trudzie. Wnikała w niego

ulga. Probował myśleć o swoich sprawach, o tem, jak się one obrócą, czy dadzą straty, czy zyski, wreszcie o swoim wspólniku, Bigielu, i o tem, jak on załatwi rozmaite interesa podczas jego niebytności—ale nie mógł. Natomiast począł myśleć o pannie Pławickiej. Osoba jej, jakkolwiek uczyniła na nim dobre wrażenie, była mu obojętną, choćby dlatego, że dopiero co ją poznał. Ale zajęła go, jako typ. Miał lat trzydzieści kilka, był zatem w wieku, w którym instynkt z siłą niemal nieubłaganą popycha mężczyznę do założenia ogniska domowego, pojęcia żony i stworzenia rodziny. Największy pessymizm jest bezsilny wobec tego instynktu; nie broni od niego ani artyzm, ani żadne zadania życiowe. Skutkiem tego żenią się mizantropi, pomimo swej filozofii, artyści, pomimo sztuki, jak również wszyscy tacy ludzie, którzy twierdzą, że swoim celom oddają nie pół, ale całą duszę. Wyjątki potwierdzają zasadę, że ogół nie może żyć konwencyonalnem kłamstwem i płynąć przeciw prądom natury. Po większej części nie żenią się tylko ci, którym do małżeństwa stanęła na przeszkodzie ta sama siła, która małżeństwa tworzy, to jest ci, których miłość zawiodła. Stąd starokawalerstwo, jeśli nie zawsze, to najczęściej jest ukrytą tragedyą.

Połaniecki nie był ani mizantropem, ani artystą, ani też człowiekiem, wygłaszającym przeciwne małżeństwu teorye. Przeciwnie: chciał się ożenić i był przekonany, że powinien to uczynić. Czuł, że przyszedł na niego czas, więc szukał naokół siebie kobiety. Z tego wypływało to ogromne zajęcie, jakie budziły w nim kobiety, a zwłaszcza panny. Jakkolwiek spędził kilka lat we Francyi i w Belgii, nie szukał miłości u mężatek, chyba u nazbyt łatwych. Był to człowiek żywy i czynny, który utrzymywał, że romansować z mężatkami mogą tylko próżniacy, i że wogóle obleganie cudzych żon jest możliwe tam, gdzie ludzie mają bardzo wiele pieniędzy, mało uczciwości, a nic do roboty, zatem w społeczeństwach, gdzie istnieje cała klasa oddawna zbogacona i pogrążona w wytwornej bezczynności towarzyskiej, a zarazem i szelmowskiego życia. On sam był istotnie ogromnie zajęty, że zaś kochać chciał po to, by się ożenić, więc tylko panny budziły w nim zarówno psychiczne, jak i fizyczne zaciekawienie. Gdy spotykał jaką na swej drodze, przedewszystkiem i od pierwszej chwili zadawał sobie pytanie: „czyby nie ta?“—albo przynajmniej: „czyby nie taka?“ Obecnie myśli jego kręciły się w podobny sposób koło panny Pławickiej. Poprzednio słyszał o niej wiele od jej krewnej, zamieszkałej w Warszawie—i słyszał rzeczy dobre, a nawet wzruszające. Obecnie jej cicha, łagodna twarz stawała mu przed oczyma. Przypominał sobie jej ręce, bardzo ładne, o długich palcach, choć nieco opalone, jej ciemno-niebieskie oczy, oraz małe, czarne znamię, które miała nad ustami. Podobał mu się także jej głos. Przytem, jakkolwiek powtarzał sobie przyrzeczenie, że nie poczyni za-

dnych ustępstw i musi swoje odebrać, jednakże zły był na los, który przyprowadził go do Krzemienia, jako wierzyciela. Mówiąc do siebie językiem kupieckim, powtarzał w duchu: gatunek jest dobry — ale nie będę „reflektował“—bom nie po to przyjechał.

Jednakże „reflektował“ i to tak dalece, że, rozebrawszy się i położywszy, długi czas nie mógł zasnąć. Koguty poczęły piać, szyby blednieć i zielenieć, on zaś widział jeszcze pod zamkniętemi powiekami pogodne czoło panny Pławickiej, jej znamię nad ustami i ręce, nalewające herbatę. Potem, gdy już sen począł go morzyć, zdawało mu się, że trzyma te ręce w swoich i przyciąga je ku sobie, a panna Pławicka cofa się i odwraca na bok głowę, jak gdyby chcąc uniknąć pocałunku. Nazajutrz zbudził się późno i, przypomniawszy sobie pannę Pławicką, pomyślał: „Aha! to ona tak wygląda!“

II.

Właściwie zbudził go chłopak, który przyniósł mu kawę i wziął do oczyszczenia rzeczy. Gdy z niemi powrócił, Połaniecki spytał go, czy niema w domu zwyczaju schodzić się w jadalnym pokoju na śniadanie.

— Nie—odpowiedział chłopak,—bo panienka rano wstaje, a starszy pan śpi do późna.

— A panienka wstała?

— Panienka w kościele.

— Prawda: dziś niedziela. A panienka nie jeździ ze starszym panem?

— Nie, starszy pan jeździ na sumę, a potem idzie do kanonika, więc panienka woli jeździć na ranną mszę.

— Co państwo w niedzielę porabiają?

— Siedzą w domu. Na obiad przyjeżdża pan Gątowski.

Tego Gątowskiego Połaniecki znał małym chłopcem. Za owych czasów przezywał go „Niedźwiadkiem,“ był to bowiem chłopak tłusty, niezgrabny i mrukliwy. Służący objaśnił, że ojciec pana Gątowskiego umarł od lat pięciu i młody sam gospodarzy w sąsiednim Jałbrzykowie.

— I przyjeżdża tu co niedziela?—spytał Połaniecki.

— Czasem i w powszedni dzień wieczorem.

— Konkurent!—pomyślał Połaniecki.

Po chwili spytał:

— Starszy pan wstał już?

— Musiał pan dzwonić, bo Józef poszedł do pana.

— Jaki Józef?

— Kamerdyner.

— A ty czem jesteś?

— Ja jemu do pomocy.

— Idź-że się spytać, kiedy można będzie widzieć się z panem?

Chłopak wyszedł i po chwili wrócił.

— Starszy pan kazał powiedzieć, że jak się ubierze, to poprosi.

— Dobrze.

Chłopak wyszedł; Połaniecki został sam i czekał, a raczej nudził się dość długo. Wreszcie poczęło mu braknąć cierpliwości i chciał już wyjść do ogrodu, gdy ów Józef przyszedł mu oznajmić, że stary pan prosi.

I przez sień poprowadził go do pokoju, leżącego z drugiej strony domu. Połaniecki wszedł i w pierwszej minucie nie poznał pana Pławickiego. Pamiętał go mężczyzną w sile wieku i nader pięknym, obecnie stał przed nim człowiek stary, z twarzą pomarszczoną, jak pieczone jabłko, której małe, uczernione wąsiki próżno usiłowały nadać pozór młodości. Tak one, jak również czarna, zaczesana z boku czupryna, oznaczały tylko niewygasłe dotąd pretensye.

Lecz pan Pławicki otworzył ramiona:

— Stach! Jak się masz, drogi chłopcze! Chodź tu!

I, wskazawszy na swą białą kamizelkę, objął głowę Połanieckiego i przycisnął ją do piersi, która poruszała się szybkim oddechem.

Uścisk trwał przez czas długi, a nawet dla Połanieckiego mocno za długi, wreszcie pan Pławicki rzekł:

— Niech-że ci się przypatrzę. Wykapana Anna, wykapana Anna! Moja biedna, kochana Anna!

I pan Pławicki zaszlochał, następnie otarł serdecznym palcem prawą powiekę, na której zresztą nie było łzy—i powtórzył:

— Wykapana Anna!... Twoja matka była zawsze dla mnie najlepszą i najżyczliwszą krewną.

Połaniecki stał przed nim zmieszany, oraz nieco odurzony i przyjęciem, jakiego się nie spodziewał, i zapachem fiksatuaru, pudru i różnych perfum, któremi pachniały twarz, wąsy i kamizelka pana Pławickiego.

— Jak się wujaszek ma?—spytał wreszcie, sądząc, że ten tytuł, jaki zresztą dawał w latach dziecinnych panu Pławickiemu, będzie najlepiej odpowiadał uroczystemu nastrojowi przyjęcia.

— Jak się mam? — powtórzył pan Pławicki, — nie długo mi już! nie długo! Ale właśnie dlatego witam cię tem serdeczniej w moim domu... po ojcowsku!... I jeśli błogosławieństwo człowieka, stojącego nad

grobem, a zarazem najstarszego członka rodziny, ma w twoich oczach jaką cenę, to ci je daję.

I, chwyciwszy powtórnie za głowę Połanieckiego, ucałował ją i przeżegnał. Młody człowiek zmienił się jeszcze bardziej i na twarzy jego odbił się przymus. Matka jego była krewną i przyjaciółką pierwszej żony pana Pławickiego. Z nim samym nic łączyły jej nigdy, o ile pamiętał, serdeczniejsze stosunki, więc ta uroczystość przyjęcia, do której jednak mimowoli musiał się dostrajać, była mu ogromnie przykra. Sam Połaniecki nie miał najmniejszych uczuć rodzinnych dla pana Pławickiego, więc myślał w duchu: „Ta małpa błogosławi mnie, zamiast gadać o pieniądzach"—i chwyciła go pewna złość, która mogła mu być pomocną do postawienia jasno rzeczy. Tymczasem pan Pławicki rzekł:

— Siadaj teraz, drogi chłopcze, i bądź, jak u siebie.

Połaniecki siadł i zaczął mówić:

— Kochany wuju, bardzo mi jest przyjemnie wuja odwiedzić: byłbym to pewno zrobił, nawet nie mając interesu, ale wuj wie, że przyjechałem także w tej sprawie, którą moja matka...

Tu pan Pławicki położył mu nagle rękę na kolanie:

— A kawę piłeś?—spytał.

— Piłem—odpowiedział zbity z tropu Połaniecki.

— Bo to Marynia rano wyjeżdża do kościoła. Przepraszam cię także, żem ci nie odstąpił mego pokoju, ale ja, stary, przyzwyczaiłem się tu spać. To moje gniazdo...

To rzekłszy, okrągłym ruchem ręki wskazał na pokój.

Połaniecki powiódł mimowoli oczyma za ruchem ręki. Niegdyś ten pokój był dla niego ustawiczną pokusą, wisiała w nim bowiem broń pana Pławickiego. Od dawnych czasów zmieniło się w nim tylko obicie, które teraz było różowe, przedstawiające w nieskończonej ilości kwadratów młode pasterki, ubrane à la Vatteau i łowiące ryby na wędkę. W oknie stała tualeta, biało nakryta, z lustrem w srebrnych ramach, zastawiona mnóstwem słoików, pudełek, flaszeczek, szczotek, grzebieni, pilniczków do paznokci i t. d. Obok, w kącie, fajczarnia—z bursztynowemi głowami cybuchów; na ścianie, nad kanapką, dzicza głowa, pod nią dwie dubeltówki, torba, trąbki, i wogóle przybory myśliwskie; w głębi stół z papierami, dębowe półeczki z pewną ilością książek, wszędy pełno gratów, mniej więcej potrzebnych i ładnych, zwiastujących jednak, że mieszkaniec pokoju jest osią, naokoło której obraca się wszystko w domu, i że sam o siebie dba wielce. Jednem słowem, był to pokój starego kawalera i egoisty, pełnego drobiazgowej troskliwości o swą wygodę i pełnego pretensyi. Połaniecki nie potrzebował też wiele domyślności, by odgadnąć, że pan Pławicki za nic i dla nikogo nie odstąpił by swego pokoju.

Lecz gościnny gospodarz pytał dalej:

— Było ci tam dosyć wygodnie? Jak spędziłeś noc?

— Dziękuję; doskonale: wstałem późno.

— Z tydzień jaki przecie u mnie zabawisz?

Połaniecki, który był bardzo żywy, podskoczył na krześle.

— Chyba wuj wie, że ja mam interesa w Warszawie i wspólnika, który sam jeden pilnuje teraz całej roboty. Dlatego muszę wyjechać jak najwcześniej i pragnął-bym dziś jeszcze załatwić sprawę, dla której przyjechałem.

Na to pan Pławicki odezwał się z pewną serdeczną powagą:

— Nie, mój chłopcze. Dziś jest niedziela, a oprócz tego uczucia rodzinne powinny iść przed interesami. Dziś witam cię i przyjmuję, jako krewnego—jutro, jeśli chcesz, wystąpisz, jako wierzyciel. Tak jest. Dziś przyjechał do mnie mój Stach, syn mojej Anny! Do jutra! Tak być powinno, Stachu. Mówi ci to starszy krewny, który cię kocha i dla którego powinieneś to zrobić..,

Połaniecki zmarszczył się nieco, ale po chwili odrzekł:

— Niechże będzie do jutra.

— Teraz przemówiła przez ciebie Anna... Czy palisz fajkę?

— Nie. Palę tylko papierosy.

— Wierzaj mi, że źle robisz. Ale mam dla gości i papierosy.

Dalszą rozmowę przerwał turkot powozu przed gankiem.

— To Marynia przyjechała z rannej mszy — rzekł pan Pławicki.

Połaniecki, spojrzawszy w okno, dojrzał różową panienkę w słomianym kapeluszu, wysiadającą z powoziku.

— Poznałeś Marynię?—spytał pan Pławicki.

— Miałem przyjemność—wczoraj.

— Drogie dziecko! Nie potrzebuję ci mówić, że żyję tylko dla niej...

W tej chwili uchyliły się drzwi i młody głos spytał:

— Można?

— Można, można: jest tu Stach!—odpowiedział pan Pławicki.

Marynia weszła szybko do pokoju z kapeluszem, przewieszonym na wstążkach przez ramię i, uściskawszy ojca, podała rękę Połanieckiemu. W różowej, perkalowej sukni, wyglądała nadzwyczaj zgrabna i ładna. Było w niej coś z nastroju niedzielnego, a przytem z rzeźwości poranku, który był pogodny i jasny. Włosy miała nieco rostargane przez kapelusz, policzki zarumienione—młodość biła od niej. Połanieckiemu wydała się dziś i weselsza, i ładniejsza, niż była wczoraj.

— Suma będzie dziś trochę później—rzekła do ojca,—bo kanonik zaraz po rannej mszy pojechał do młyna dysponować Siatkowską. Ona bardzo źle. Ma papa jeszcze z pół godziny czasu.

— Dobrze—odrzekł Pławicki,—przez ten czas poznacie się bliżej ze Stachem Połanieckim. Mówię ci, wykapana Anna! Ale tyś jej nigdy nie widziała. Pamiętaj też Maryniu, że on jutro, jeśli zechce, będzie naszym wierzycielem, ale dziś, to tylko krewny i gość.

— Dobrze — odpowiedziała panna, — będziem mieli wesołą niedzielę.

— Pani tak późno poszła spać wczoraj—rzekł Polaniecki,—a dziś była na rannej mszy.

A ona odrzekła wesoło:

— Na rannej mszy bywam ja i kucharz, żebyśmy mieli czas potem pomyśleć o obiedzie.

— Zapomniałem wczoraj powiedzieć—rzekł Połaniecki,—że przywożę pani ukłony od pani Emilii Chwastowskiej.

— Nie widziałam Emilki już półtora roku, ale pisujemy do siebie dość często. Ona ma wyjechać do Reichenhall, dla swojej małej.

— Była na wyjezdnem.

— A mała jak się ma?

— Na swoje dwanaście lat wyrosła nad miarę i bardzo anemiczna. Nie zdaje się, żeby była bardzo zdrowa.

— Pan często bywa u Emilki?

— Dosyć. To prawie jedyna moja znajomość w Warszawie. I przytem bardzo lubię panią Emilię.

— Powiedz mi, mój chłopcze — spytał pan Pławicki, biorąc ze stołu parę świeżych rękawiczek i wkładając je do kieszeni na piersiach,—czem ty się właściwie zajmujesz w Warszawie?

— Ja jestem tem, co nazywają „aferzysta.“ Mam dom komisowo-handlowy na spółkę z niejakim Bigielem. Spekuluję na zbożu, na cukrze, czasem na lasach i na czem się da.

— Bo ja słyszałem, że ty jesteś inżynier?

— Jestem technik. Ale nie mogłem po powrocie znaleźć zajęcia przy żadnej fabryce i puściłem się na handel, tem bardziej, że miałem i o tem jakie takie pojęcie. Ale właściwym moim zawodem jest farbierstwo.

— Jak powiadasz?—spytał pan Pławicki.

— Farbierstwo.

— Teraz takie czasy, że trzeba się do wszystkiego brać — rzekł z godnością pan Pławicki.—Nie ja ci to będę brał za złe. Byle zachować dawne uczciwe tradycye rodzinne — żadne zajęcie nie hańbi człowieka.

A Połaniecki, któremu na widok panny powrócił dobry humor, i którego rozbawiła nagle „grandezza“ pana Pławickiego, pokazał swoje zdrowe zęby w uśmiechu i odpowiedział:

— To chwała Bogu.

Panna Marynia uśmiechnęła się również i rzekła:

— Emilka, która także pana bardzo lubi, pisała mi kiedyś, że pan doskonale prowadzi swoje interesa.

— Bo tu tylko z żydami trudno, a zresztą konkurencya łatwa. Ale i z żydami, byle nie wydawać manifestów antysemickich i spokojnie swoje robić, można trafić też do ładu. Co do pani Emilii jednak, ona się tyle zna na interesach, ile jej mała Litka.

— Tak, ona nigdy nie była praktyczna. Żeby nie brat męża, pan Teofil Chwastowski, była-by straciła cały majątek. Ale pan Teofil bardzo Litkę kocha.

— Kto Litki nie kocha? ja pierwszy przepadam za nią. To takie dziwne dziecko i takie kochane. Mówię pani, że mam do niej zupełną słabość.

A panna Marynia spojrzała uważniej na jego szczerą, żywą twarz i pomyślała:

— Musi być trochę raptus, ale ma dobre serce.

Pan Pławicki zauważył tymczasem, że czas na summę i począł się żegnać z panną Marynią tak, jakby wyjeżdżał w kilkumiesięczną podróż, następnie uczynił jej na głowie znak krzyża i wziął kapelusz. Panienka uścisnęła rękę Połanieckiego żywiej, niż przy porannem powitaniu, ten zaś, siadając do powoziku, powtarzał sobie w duchu:

— O, mocno ładna! mocno sympatyczna...

Za aleją, którą Połaniecki przyjechał dnia wczorajszego, powozik wytoczył się na drogę, gdzie niegdzie tylko wysadzoną staremi i poprochniałemi brzozami, stojącemi w nierównych odstępach. Po jednej stronie ciągnęło się pole kartoflane, po drugiej jeden ogromny łan żyta, z ociężałemi już i pochylonemi kłosami, który zdawał się spać w spokojnem powietrzu i w pełnem świetle słonecznem. Między brzozami przelatywały przed powozem sroki i dudki. W dali widać było idące ścieżkami przez płową toń zbóż i zanurzone w niej po pachy, dziewki wiejskie w czerwonych chustkaah na głowie, podobne do kwitnących maków.

— Dobre żyto—rzekł Połaniecki.

— Niezłe. Robi się, co w ludzkich siłach, a co Bóg da, to da. Jesteś młody, mój drogi, więc dam ci jedną przestrogę, która ci się w przyszłości nieraz przyda: Zrób zawsze, co do ciebie należy, a resztę zdaj na Pana Boga. On najlepiej wie, czego nam potrzeba. Urodzaj tego roku będzie dobry — i wiedziałem to z góry, bo jak mnie ma Bóg czem dotknąć, to mi zsyła znak.

— Co takiego?—spytał ze zdziwieniem Połaniecki.

— Za fajczarnią — nie wiem, czy uważałeś, gdzie ona stoi, — ile razy ma być coś złego, tyle razy pokazuje mi się mysz przez kilka dni z rzędu.

— Musi być dziura w podłodze?

— Niema dziury—rzekł, przymykając oczy i potrząsając tajemniczo głową pan Pławicki.

— A żeby kota sprowadzić?

— Nie sprowadzę, bo jeśli taka jest wola Boża, żeby ta mysz była dla mnie znakiem i ostrzeżeniem, to nie chcę iść przeciw tej woli. Otóż tego roku nic mi się nie pokazało. Mówiłem to Maryni... Może Bóg zechce w jakikolwiek sposób okazać, że czuwa nad naszą rodziną. Słuchaj, mój drogi: wiem, że ludzie gadają, że jesteśmy zrujnowani, a przynajmniej w bardzo złych interesach. Otóż sam osądź: Krzemień wraz ze Skokami, z Magierówką i Suchocinem, ma koło dwustu pięćdziesięciu włók. Jest na tem około trzydziestu tysięcy rubli Towarzystwa—nic więcej, i około stu tysięcy rubli długów hypotecznych, wraz z twoją sumą. Więc mamy już sto trzydzieści tysięcy. Liczmy teraz tylko po trzy tysiące rubli włókę, to uczyni siedmset pięćdziesiąt tysięcy—razem: ośmset ośmdziesiąt tysięcy...

— Jakto?—przerwał ze zdumieniem Połaniecki,—to wuj liczysz dług do swego majątku?

— Żeby majątek był nic nie wart, toby mi nikt grosza na niego nie dał, więc muszę doliczyć dług do wartości majątku...

A Połaniecki pomyślał: „Waryat, z którym niema co gadać“— i słuchał dalej w milczeniu.

Pan Pławicki zaś mówił:

— Magierówkę chcę rozparcelować. Młyn sprzedam, a w Skokach i Suchocinie mam margiel—i wiesz, na ile go obliczyłem? Na dwa miliony rubli.

— Ma wuj kupca?

— Dwa lata temu przyjechał tu niejaki Schaum i rozpatrywał pola. Wprawdzie pojechał, nic nie wspominając o interesie, ale jestem pewny, że wróci. Inaczej, byłaby mi się pokazała mysz za fajczarnią...

— Ha! niechże wraca.

— Wiesz, co mi także przychodzi do głowy? Skoro jesteś „aferzystą,“ weź się ty do tego interesu. Znajdź sobie tylko wspólników.

— To za gruba dla mnie sprawa.

— Więc znajdź mi kupca: dam ci dziesięć procent od zysków.

— Co panna Marya myśli o tym marglu?

— Marynia, jak to Marynia. Złote dziecko, ale dziecko! I ona jednak wierzy, że Opatrzność czuwa nad naszą rodziną.

— Słyszałem to od niej wczoraj.

Tymczasem zaczęli się zbliżać do Wątorów i do leżącego na wzgórzu wśród lip kościoła. Pod wzgórzem stało kilkanaście chłopskich drabiniastych wózków, oraz kilka bryczek i powozików.

Pan Pławicki przeżegnał się.

— To nasz kościołek, który musisz pamiętać. Wszyscy Pławiccy tu leżą i ja wkrótce będę leżał. Nigdzie nie modlę się lepiej, jak tu.

— Widzę, że będzie sporo ludzi—rzekł Połaniecki.

— Jest bryczka Gątowskiego, kocz Zazimskich, powozik Jamiszów i kilka innych. Jamiszów musisz także pamiętać. Ona niepospolita kobieta, on, niby wielki agronom i radca, ale safanduła, który nie rozumiał jej nigdy.

W tej chwili poczęto dzwonić na wieżyczce kościelnej.

— Spostrzegli nas i dzwonią—rzekł pan Pławicki,—summa zaraz wyjdzie... Zaprowadzę cię po mszy na grób mojej pierwszej żony; pomódl się za nią, bo to przecie twoja ciotka... Zacna była kobieta, świeć jej panie!

Tu pan Pławicki podniósł znów palec, by obetrzeć prawe oko, Połaniecki zaś spytał, chcąc zmienić nastrój rozmowy:

— A pani Jamiszowa była kiedyś bardzo piękna? Czy to ta sama?

Twarz pana Pławickiego rozjaśniła się nagle. Na chwilę wysunął koniec języka z uczernionych wąsików, następnie począł klepać Połanieckiego po łydce i rzekł:

— Warta jeszcze grzechu, warta, warta!...

Tymczasem zajechali—i, obszedłszy kościół, weszli bokiem do zakrystyi, nie chcąc przeciskać się przez tłum. Panie siedziały w bocznych ławkach, tuż przed stallami. Pan Pławicki zajął ławkę kollatorską, w której byli tylko państwo Jamiszowie: on, człowiek, wyglądający bardzo staro, z twarzą inteligentną i zgnębioną, ona, kobieta dobrze pod sześćdziesiąt, ubrana niemal tak, jak panna Marynia, to jest w suknię perkalową i słomiany kapelusz. Pełne grzeczności ukłony, jakie jej począł składać pan Pławicki, i uprzejmy uśmiech, z jakim mu je oddawała, wskazywały, że panują między nimi blizkie i oparte na wzajemnej adoracyi stosunki. Po chwili pani, podniósłszy lornetkę do oczu, poczęła przyglądać się Połanieckiemu, nie rozumiejąc widocznie, kto mógł panu Pławickiemu towarzyszyć. W tylnej ławce za nimi, jeden z sąsiadów, korzystając z tego, że msza jeszcze nie rospoczęta, kończył jakieś opowiadanie o polowaniu, powtórzył bowiem kilkakrotnie drugiemu sąsiadowi: „Moje psy dobrze goniom...“; potem obaj przerwali tę rozmowę i poczęli obmawiać Pławickiego i panią Jamiszową tak głośno, że każde słowo dochodziło do uszu Połanieckiego.

Potem wyszedł ksiądz ze mszą. Na widok tej mszy i tego kościołka pamięć Połanieckiego znów wróciła do lat dziecinnych, gdy by-

wał tu z matką. Mimowoli rodziło się w nim zdziwienie, jak dalece na wsi nic się nie zmienia, prócz ludzi. Jednych składają na księżej grudzi, drudzy się rodzą, ale nowe życie podstawia się w dawne formy i kto przyjeżdża po długiej niebytności, zdaleka, temu się zdaje, że to wszystko, co poprzednio widział, było wczoraj. Kościół był ten sam; nawa była równie pełna płowych głów chłopskich, szarych sukman, czerwonych i żółtych chustek, oraz kwiatów na głowach dziewek; tak samo pachniało kadzidłem, świeżym tatarakiem i wyziewami ludzkiemi. Za jednem z okien rosła ta sama brzoza, której cienkie gałązki wiatr, gdy się podniósł, rzucał na okno i, przesłaniając je, napełniał kościół zielonawem światłem, tylko ludzie byli nie ci sami: część tamtych rozsypywała się sobie spokojnie w proch, lub wydostawała się trawą z pod ziemi, ci zaś, którzy zostali jeszcze, byli jacyś pochyleni, zgarbieni, mniejsi, jakby powoli zasuwali się pod ziemię. Połaniecki, który chlubił się tem, że unika wszelkich zagadnień ogólnych, a który w gruncie rzeczy, mając jakby nie wyłonioną jeszcze dostatecznie z wszechbytu słowiańską głowę, zajmował się niemi mimowoli ciągle, myślał teraz, że jednak jest okropna przepaść między tą wrodzoną ludziom namiętnością życia, a koniecznością śmierci. Myślał także, że może dlatego wszystkie systemy filozoficzne mijają, jak cienie, a msza po staremu się odprawia, iż ona jedna obiecuje dalszy i nieprzerwany ciąg.

Sam, wychowany za granicą, nie bardzo weń wierzył, przynajmniej nie był go pewny. Czuł on w sobie, jak wszyscy dzisiejsi, najnowsi ludzie, niepohamowany wstręt do materyalizmu, ale wyjścia jeszcze nie znalazł, i co więcej, zdawało mu się, że go nie szuka. Był nieświadomym pessymistą, jak ci, którzy szukają czegoś, czego nie mogą znaleźć. Odurzał się zajęciami, do których przywykł, i tylko w chwilach wielkiego przypływu owego pessymizmu pytał siebie: na co to wszystko? na co się zdało robić majątek, pracować, żenić się, płodzić dzieci—skoro wszystko kończy się przepaścią? Ale to było czasem i nie zmieniało się w stałą zasadę. Ratowała go od niej młodość—nie pierwsza—ale też jeszcze nie gasnąca, pewna tęgość duchowa i fizyczna, samozachowawczy instynkt, przyzwyczajenie do pracy, żywość charakteru i wreszcie ta siła elementarna, która popycha mężczyznę w objęcia kobiety. I teraz więc od wspomnień dziecinnych, od myśli o śmierci, od zwątpienia o celowości małżeństwa, przeszedł do myśli właśnie o tem, że tego, co w nim jest lepsze, niema komu oddać, a dalej przeszedł do panny Maryni Pławickiej, której perkalowa suknia, pokrywająca młode i wysmukłe ciało, nie schodziła mu z oczu. Przypomniał sobie, że gdy wyjeżdżał, pani Emilia Chwastowska, wielka przyjaciółka jego i panny Maryni, powiedziała mu, śmiejąc się: „Jeśli pan, będąc w Krzemieniu, nie zakocha się w Maryni, to zamknę przed panem

drzwi.“ On jej odpowiedział z wielką fantazyą, że jedzie tylko wydusić pieniądze, nie zakochać się, ale to nie była prawda. Gdyby w Krzemieniu nie było panny Pławickiej, był-by zapewne dusił pana Pławickiego w dalszym ciągu listownie, albo sposobami prawnemi. Myślał też o niej i o tem, jak ona wygląda, już w drodze, i był zły, że jedzie także po pieniądze. Wmawiając w siebie wielką stanowczość w takich rzeczach, postanowił przedewszystkiem dochodzić swej należności i raczej gotów był przesadzić, niż nie dosadzić w terminie. Obiecywał to sobie, zwłaszcza pierwszego wieczora, gdyż Marynia, jakkolwiek podobała mu się dosyć, nie uczyniła na nim tak wielkiego wrażenia, jak myślał, a raczej uczyniła inne. Ale dzisiejszego rana bardzo wpadła mu w oko. „Sama jest, jak ranek—mówił sobie,—ładna, i wie, że ładna! Kobiety zawsze to wiedzą!“

To ostatnie odkrycie usposobiło go dość niecierpliwie, albowiem pragnął wrócić jak najprędzej do Krzemienia, by dalej obserwować kobiety wogóle na tym okazie, który w Krzemieniu mieszkał. Jakoż msza skończyła się niebawem, pan Pławicki wyszedł zaraz po przeżegnaniu, miał bowiem jeszcze przed sobą dwa obowiązki: pierwszy pomodlenia się na grobach obu żon, które leżały pod kościołem, drugi—odprowadzenia pani Jamiszowej do powozu, że zaś żadnego nie chciał opuścić, więc musiał się liczyć z czasem. Połaniecki wyszedł z nim razem, i wkrótce znaleźli się przed płytami kamiennemi, wprawionemi tuż obok siebie w ścianę kościelną. Pan Pławicki klęknął i modlił się przez chwilę w skupieniu, potem, wstawszy, obtarł łzy, które naprawdę zawisły mu na rzęsach, a wreszcie, wziąwszy Połanieckiego pod ramię, rzekł:

— Tak! straciłem obie—i żyć muszę.

Tymczasem przed kościelnemi drzwiami ukazała się pani Jamiszowa w towarzystwie męża, tych dwóch sąsiadów, którzy ją obmawiali przede mszą i młodego pana Gątowskiego. Na jej widok pan Pławicki pochylił się do ucha Połanieckiego i rzekł:

— Jak będzie wsiadała do powozu, uważ, jaką ma jeszcze nogę.

Po chwili złączyli się obaj z towarzystwem; rozpoczęły się ukłony i powitania. Pan Pławicki przedstawił Połanieckiego, potem, zwracając się do p. Jamiszowej, dodał z uśmiechem człowieka, przekonanego, że mówi coś, na co nie byle kto-by się zdobył:

— Mój krewny, który przyjechał wujaszka uścisnąć i... przycisnąć....

— Pozwalamy tylko na pierwsze, inaczej będzie z nami sprawa— odrzekła dama.

— Ale Krzemień, to twarda rzecz—mówił dalej Pławicki,—połamie sobie na nim zęby, choć młody.

Pani Jamiszowa przymknęła oczy.

— Ta łatwość, — rzekła — z jaką pan temi iskrami sypie... c'est inouï! Jak dziś zdrowie pana?

— W tej chwili czuję się zdrów i młody.

— A Marynia?

— Była na rannej mszy. Czekamy państwa o piątej. Moja mała gosposia łamie sobie tam główkę nad podwieczorkiem. Śliczny dzień...

— Więc przyjedziemy, jeśli moja newralgia mi pozwoli... i jeśli pan mąż pozwoli.

— Sąsiedzie? jakże?—spytał pan Pławicki.

— Zawsze, chętnie, owszem! — odpowiedział zgnębionym głosem sąsiad.

— Zatem au revoir!

— Au revoir!—odpowiedziała pani.

I, zwróciwszy się do Połanieckiego, wyciągnęła do niego rękę:

— Miło mi było poznać pana.

Pan Pławicki podał jej ramię i odprowadził do powoziku. Dwaj sąsiedzi odjechali również, Połaniecki został przez chwilę sam z panem Gątowskim, który przypatrywał mu się dość niechętnie. Połaniecki pamiętał go niezgrabnym chłopakiem, teraz zaś z „niedźwiadka“ wyrósł mężczyzna duży i może przyciężki w ruchach, ale raczej przystojny, z bardzo pięknym, jasnym wąsem. Połaniecki nie zaczynał z nim rozmowy, czekając, aż tamten pierwszy się odezwie, lecz ów, zasadziwszy ręce w kieszenie, milczał uparcie.

— Dawne maniery mu zostały—pomyślał Połaniecki.

I z kolei uczuł także niechęć do tego mruka.

Tymczasem pan Pławicki, wróciwszy od powozu Jamiszów, spytał naprzód Połanieckiego: „Uważałeś?“—a potem rzekł:

— No, Gątosiu, pojedziesz swoją bryczką, bo w koczu tylko dwa miejsca.

— Pojadę bryką, bo wiozę psa dla panny Maryi — odpowie dzia młody człowiek.

I, skłoniwszy się, odszedł. Po chwili Pławicki i Połaniecki znaleźli się na drodze do Krzemienia.

— Ten Gątowski, to też podobno jakiś powinowaty wuja?—spytał Połaniecki.

— Dziewiąta woda po kisielu. Oni bardzo podupadli. Ten, Adolf, ma jeden folwarczek i pustki w kieszeni.

— Ale w sercu pewnie nie pustki?

Pan Pławicki wydął usta.

— Tem gorzej dla niego, jeśli mu się coś marzy. Może on i dobry człowiek, ale symplak. Ani to wychowania, ani wykształcenia, ani majątku. Marynia lubi go—raczej: znosi.

— A, znosi?

— Widzisz, jest tak: ja poświęcam się dla niej i siedzę na wsi, ona poświęca się dla mnie i siedzi na wsi. Tu są pustki; pani Jamiszowa jest znacznie od niej starsza, młodzieży wogóle niema, życie nudne, ale co robić? Pamiętaj, mój chłopcze, że życie, to szereg poświęceń. Trzeba tę zasadę nosić w sercu i w głowie. Zwłaszcza ci, co należą do uczciwszych i trochę widniejszych rodzin, nie powinni o niej zapominać. A Gątowski bywa zawsze u nas w niedzielę na obiedzie—i dziś, jak słyszałeś, wiezie psa.

Umilkli i jechali wolniej po piasku. Sroki przelatywały teraz przed nimi z brzozy na brzozę w stronę Krzemienia. Za powozikiem jechał na bryczce pan Gątowski, który, rozmyślając o Połanieckim, mówił sobie:

— Jeśli przyjechał ich gnębić, jako wierzyciel, nadkręcę mu karku, jeśli jako konkurent—nadkręcę mu też.

Z dziecinnych lat miał on nieprzyjazne dla Połanieckiego uczucia. Niegdyś spotykali się oni czasem i wówczas Połaniecki go wyśmiewał, albo, jako starszy o parę lat, nawet bijał.

Wreszcie przyjechali i w pół godziny później znaleźli się wszyscy wraz z panną Marynią w jadalnym pokoju przy stole. Młody psiak, przywieziony przez Gątowskiego, korzystając z przywileju gościa, kręcił się pod stołem, a czasem wspinał się na kolana obecnych z wielkiem zaufaniem i radością, objawianą za pomocą kiwania ogonem.

— To jest Gordon, ceter—mówił Gątowski,—on jest jeszcze głupi, ale to mądre psy i przywiązują się okrutnie.

— Śliczny jest i bardzom panu wdzięczna—odpowiedziała panna Pławicka, patrząc na lśniąco-czarną szerść i żółte piętna nad oczyma psa.

— Zanadto przyjemny—dodał pan Pławicki, pokrywając kolana serwetą.

— Do pola też takie lepsze od zwyczajnych ceterów.

— Pani i poluje?—spytał Połaniecki.

— Nie, nigdy nie miałam do tego ochoty. A pan?

— A ja czasem. Zresztą żyję w mieście.

— Dużo bywasz?—spytał pan Pławicki.

— Prawie nigdzie. U pani Emilii, u mojego wspólnika Bigiela, u Waskowskiego, który był niegdyś moim profesorem, a który teraz jest dziwakiem—i oto wszystko. Oczywiście czasem chodzę do ludzi, gdy mam do nich interesa.

— To źle, mój chłopcze. Młody człowiek powinien mieć i utrzymywać dobre stosunki towarzyskie, zwłaszcza, gdy ma do nich prawo. Kto się potrzebuje piąć, to co innego, ale ty, jako Połaniecki, możesz wszędzie bywać. Ja ci to powiadam. Z Marynią wiecznie mam także te same historye. Dwa lata temu, gdy skończyła ośmnaście lat, zawiozłem ją w zimie do Warszawy. Rozumiesz, że tego się darmo nie robi i że to wymagało pewnych ofiar z mojej strony. No i cóż? Siedziała po całych dniach u pani Emilii i czytywały książki. Dzikus mi się urodził i dzikus zostanie: możecie sobie podać ręce.

— Podajmy sobie ręce!—zawołał wesoło Polaniecki.

A ona odrzekła, śmiejąc się:

— Kiedy, sumiennie, nie mogę, bo to nie zupełnie tak było: czytywałam książki z Emilką, prawda, ale bywaliśmy z papą dużo i wytańczyłam się na całe życie.

— Niech się pani nie zarzeka.

— Nie! ja się nie zarzekam, tylko nie tęsknię.

— To widocznie nie wywiozła pani wspomnień.

— Widocznie. Została mi tylko pamięć, ale to jest co innego.

— Tego ja, pani, nie rozumiem.

— Bo pamięć, to jest skład, w którym leży przeszłość, a wspomnienie ma miejsce wówczas, gdy się do tego składu schodzi, żeby coś wydobyć.

Tu panna Marynia przestraszyła się nieco własną odwagą, z jaką zapuściła się w filozoficzny wywód nad różnicą pamięci i wspomnień, skutkiem czego zaczerwiniła się dość mocno, Połaniecki zaś pomyślał:

— I niegłupia, i śliczna.

Głośno zaś rzekł:

— Mnie to do głowy nie przyszło, a to takie trafne.

I objął ją oczyma, pełnemi sympatyi. Była rzeczywiście bardzo ładna, bo uśmiechnięta, nieco zmieszana pochwałą, a zarazem i uradowana nią szczerze. Zarumieniła się jeszcze więcej, gdy śmiały młody człowiek rzekł:

— Jutro, przed wyjezdnem, poproszę o miejsce... choć w składzie.

Ale on mówił to tak wesoło, że nie można się było na niego gniewać, i że panna Marynia odpowiedziała mu nie bez pewnej kokieteryi:

— Dobrze, ale i ja wzajemnie...

— W takim razie musiał-bym schodzić do składu tak często, że wolę odrazu w nim zamieszkać.

To wydało się pannie Pławickiej nieco za śmiałe na tak krótką znajomość, ale tymczasem pan Pławicki ozwał się:

— Podoba mi się Połaniecki! Wolę go od Gątosia, który siedzi, jak mruk.

— Bo ja umiem mówić tylko o tem, co się da wziąć w rękę—odpowiedział z pewnym smutkiem młody człowiek.

— To weź w rękę widelec—i jedz.

Połaniecki uśmiechnął się, panna Marynia nie, gdyż żal się jej zrobiło Gątowskiego, skutkiem czego skierowała rozmowę na rzeczy, które dadzą się wziąć w rękę.

— Albo kokietka, albo ma dobre serce — pomyślał znów Połaniecki.

Lecz pan Pławicki, który widocznie przypomniał sobie ostatni pobyt zimowy w Warszawie, spytał:

— Powiedz mi, Stachu, ty znasz Bukackiego?

— Jakże. To przecie mój bliższy krewny, niż wuja.

— My z całym światem jesteśmy krewni — literalnie z całym światem. Bukacki, to był najgorliwszy tancerz Maryni. Obtańcowywał ją na wszystkich wieczorach.

Połaniecki począł się znowu śmiać.

— I za całą nagrodę poszedł do składu, w kurz. No, ale tego przynajmniej odkurzać nie trzeba, bo taki koło siebie staranny, jak np. wujaszek. To największy elegant w Warszawie. Co on porabia? Administruje świeżem powietrzem, to się znaczy, że jak pogoda, wychodzi lub wyjeżdża na spacer. Przytem jest oryginał, który ma jakieś szczególne zakamórki w głowie. Ten człowiek podpatruje takie rozmaite rzeczy, któremi nikt inny-by się nie zajmował. Kiedyś, po jego powrocie z Wenecyi, spotykam go i pytam, co tam widział, a on mi odpowiada: „Widziałem na Riva degli Schiavoni, jak raz płynęło pół skorupki od jajka i pół cytryny: stykały się, potrącały, oddalały, zbliżały, wreszcie—paf! pół cytryny wpadło w pół jajka i popłynęły razem. Patrz, co to znaczy harmonia!“ Oto, czem zajmuje się Bukacki, choć dużo umie i np. na sztuce zna się dobrze.

— A mówią o nim, że bardzo zdolny?

— Może, ale do niczego. Zjada chleb — i na tem koniec. Żeby przynajmniej był przytem wesoły, ale on jest w gruncie rzeczy melancholik. Zapomniałem powiedzieć: i kocha się w pani Emilii.

— Emilka dużo przyjmuje?—spytała panna Marynia.

— Nie. Bywam ja, Waskowski, bywa Bukacki, no i jeszcze Maszko, adwokat, ten, co to kupuje i sprzedaje majątki ziemskie.

— Ona pewnie i nie bardzo może przyjmować, bo dużo czasu musi poświęcać Litce.

— Biedactwo drogie—rzekł Połaniecki,—Pan Bóg-by dał, żeby jej przynajmniej pomógł ten Reichenhall!

I wesoła twarz jego pokryła się w jednej chwili prawdziwym smutkiem. Teraz panna Marynia spojrzała na niego oczyma, pełnemi sympatyi—i z kolei pomyślała po raz drugi:

— On jednak musi być naprawdę dobry.

A pan Pławicki począł mówić, jakby sam do siebie:

— Maszko, Maszko... Ten także kręcił się koło Maryni. Ale ona go nie lubiła. Co do majątków, ceny teraz takie, że pożal się Boże.

— Właśnie Maszko twierdzi, że w tych warunkach dobrze jest je kupować.

Tymczasem obiad się skończył i przeszli do salonu na kawę, podczas której pan Pławicki dworował sobie z pana Gątowskiego, co zwykł był czynić w chwilach dobrego humoru i co młody człowiek znosił cierpliwie ze względu na pannę Marynię, ale z miną, która zdawała się mówić: „Ej, żeby nie ona, wytrząsł-bym z ciebie wszystkie kości.“ Po kawie panna Marynia siadła do fortepianu, podczas gdy ojciec kładł pasyansa. Grała nieszczególnie, ale jej jasne i spokojne czoło ładnie rysowało się nad pulpitem. Koło piątej pan Pławicki spojrzał na zegarek i rzekł:

— Jamiszowie nie przyjeżdżają.

— Przyjadą jeszcze—odpowiedziała Marynia.

Ale on od tej pory ciągle spoglądał na zegarek i co chwila ogłaszał nowinę, że Jamiszowie nie przyjeżdżają. Nakoniec koło szóstej rzekł grobowym głosem:

— Musiało się zdarzyć nieszczęście.

Połaniecki stał w tej chwili koło panny Maryni, która rzekła przyciszonym głosem:

— Oto i bieda! Tam się pewnie nic nie stało, ale papa będzie do wieczora w złym humorze.

Połaniecki chciał w pierwszej chwili odpowiedzieć, że za to nazajutrz, jak się wyśpi, to będzie w dobrym, ale widząc istotną troskę na twarzy panny, odrzekł:

— To, ile pamiętam, niedaleko: niech pani pośle kogo dowiedzieć się, co się stało.

— Może-by posłać kogo, papo?

Lecz on odpowiedział z goryczą:

— Zbytek łaski. Pojadę sam.

I, zadzwoniwszy na służącego, wydał polecenie, by zaprzęgano. Poczem zastanowił się przez chwilę i rzekł:

— Enfin, na wsi zawsze może się trafić, że ktoś przyjedzie i zastanie moją córkę samą. To nie miasto. Przytem jesteście krewni. Ty, Gątowski, możesz mi być potrzebny, więc bądź łaskaw pojechać ze mną.

Wyraz najwyższej niechęci i niezadowolenia odbił się na twarzy młodego człowieka. Przeciągnął ręką po swej płowej czuprynie i rzekł:

— Nad stawem jest wyciągnięte czółno, którego ogrodnik nie może zepchnąć, obiecałem pannie Maryi, że je zepchnę, tylko ostatniej niedzieli nie puściła mnie, bo lało, jak z cebra.

— To skocz i sprobuj, do stawu trzydzieści kroków, za parę minut wrócisz.

Gątowski, rad nie rad, wyszedł do ogrodu, pan Pławicki zaś, nie zwracając uwagi na Połanieckiego i córkę, powtarzał, chodząc po pokoju:

— Newralgia w głowie, założył-bym się, że newralgia w głowie; Gątowski w razie potrzeby może skoczyć po doktora. Ten safanduła, ten radca bez rady, pewno-by nie posłał.

I, potrzebując widocznie wywrzeć na kimś swój zły humor, dodał, zwracając się do Połanieckiego:

— Nie uwierzysz, co to za cymbał!

— Kto taki?

— Jamisz.

— Ale, papo...—zaczęła panna Marynia.

Lecz pan Pławicki nie dał jej skończyć i rzekł ze wzrastającym złym humorem:

— Wiem! Nie podoba ci się to, że ona okazuje mi trochę przyjaźni i troskliwości. Czytaj sobie artykuły rolnicze pana Jamisza, uwielbiaj go, stawiaj mu posągi, ale pozwól mi mieć moje sympatye.

Tu Połaniecki mógł podziwiać istotną słodycz panny Maryni, gdyż, zamiast się zniecierpliwić, podbiegła do ojca i, podsuwając czoło pod jego uczernione wąsiki, rzekła:

— Zaraz zaprzęgną, zaraz, zaraz! Może trzeba, żebym i ja pojechała, a tymczasem niech się brzydki tatuś nie gniewa, bo sobie zaszkodzi.

Pan Pławicki, który rzeczywiście był do niej mocno przywiązany, pocałował ją w czoło i rzekł:

— Wiem, że w gruncie rzeczy masz dobre serce, ale co tam znów Gątowski robi?

I przez otwarte drzwi ogrodowe począł wołać na młodego człowieka, który też powrócił niebawem zmęczony i rzekł:

— W środku stoi woda i za daleko wyciągnięte; probowałem i nie mogę.

— To bierz czapkę i ruszajmy, bo słyszę, że zajechali.

W chwilę później młodzi ludzie zostali sami.

— Papa przywykł do trochę wykwintniejszego towarzystwa, niż jest na wsi — rzekła panna Marynia, — więc dlatego lubi panią Jamiszową, ale i pan Jamisz jest bardzo zacny i rozumny człowiek.

— Widziałem go w kościele. Wydał mi się, jakby przybity.

— Bo naprawdę, to on jest chory, a przytem bardzo zapracowany.

— Tak, jak pani.

— Nie. Pan Jamisz doskonale prowadzi gospodarstwo, a przytem dużo pisuje o rzeczach rolniczych. Naprawdę jest to lumen naszej okolicy. I taki zacny człowiek! Ona również dobra kobieta, tylko dla mnie nieco przesadna.

— Ex-piękność!

— Tak. Przyczynia się też do jej przesady i to ciągłe życie na wsi, przez które się trochę rdzewieje. Myślę, że w mieście wszystkie dziwactwa ludzkie i śmieszności ścierają się wzajemnie, a na wsi łatwiej ludzie zmieniają się w oryginałów. Zwolna odwyka się od towarzystwa, zachowuje się jakiś przestarzały sposób w obejściu z ludźmi i dochodzi się do przesady. My wszyscy musimy się ludziom z wielkich miast wydawać zardzewiali i trochę śmieszni.

— Nie wszyscy. Bynajmniej!—odpowiedział Połaniecki.—Pani naprzykład—bynajmniej!

— Więc to przyjdzie z czasem—odpowiedziała z uśmiechem.

— Czas może także przynieść zmiany.

— U nas tak mało się zmienia—i najczęściej na gorsze.

— Ale w życiu panien wogóle zmiany są przewidywane.

— Chciała-bym naprzód, byśmy z papą mogli przyjść do ładu z Krzemieniem.

— Więc ojciec i Krzemień, to dwa główne, jedyne cele w życiu pani?

— Tak. Ale mało mogę pomódz, bo się mało znam na czemkolwiek.

— Papa, Krzemień—i nic więcej!—powtórzył Połaniecki.

Nastała chwila przerwy w rozmowie, po której panna Marynia spytała Połanieckiego, czy nie zechce pójść do ogrodu. Poszli i wkrótce znaleźli się nad brzegiem stawu. Połaniecki, który za granicą należał do różnych stowarzyszeń sportowych, zepchnął na wodę czółno, któremu Gątowski nie mógł poradzić, ale pokazało się, że jest dziurawe i że nie można niem pływać.

— Oto przykład, co jest moje gospodarstwo!—rzekła, śmiejąc się, panna Marynia. — We wszystkiem i wszędzie woda przecieka. I nie wiem, jak się usprawiedliwić, bo ogród i staw należą wyłącznie do mnie. Ale przed spustem każę czółno naprawić.

— Bodaj, że to jeszcze to samo, w którem zakazywano mi jeździć, gdy byłem małym chłopcem.

— Bardzo być może. Czy pan uważał, że rzeczy daleko się mniej zmieniają i dłużej trwają, niż ludzie. Czasem smutno o tem myśleć.

— Miejmy nadzieję, że będziemy trwali dłużej, niż to czółno zmurszałe i nasiąknięte, jak gąbka, wodą. Jeżeli to jest to samo, co za moich dziecinnych lat, to nie mam do niego szczęścia. Dawniej nie pozwalano mi na niem jeździć, a teraz skaleczyłem sobie rękę o jakiś spróchniały gwóźdź.

To rzekłszy, wydobył z kieszeni chustkę i począł lewą ręką obwijać palec prawej. Ale szło mu tak niezgrabnie, że panna Marynia, widząc to, rzekła:

— Nie da pan sobie rady, trzeba pomódz.

I poczęła obwiązywać mu dłoń, którą on kręcił nieznacznie, by jej utrudnić zadanie, bo miło mu było czuć jej delikatne palce przy swoich. Ona spostrzegła, że jej przeszkadza i spojrzała na niego, ale w chwili, gdy ich oczy się spotkały, pojęła powód i, zarumieniona, schyliła się, chcąc niby wiązać uważniej. Połaniecki uczuł ją blizko, uczuł ciepło, bijące od niej, więc i jemu serce zabiło żywiej.

— Mam ogromnie miłe wspomnienia — rzekł — z dawnych moich tutejszych wakacyi, ale teraz wywiozę jeszcze milsze. Pani jest bardzo dobra, a przytem zupełnie, jak jaki kwiat, w tym Krzemieniu. Pod słowem, nie przesadzam.

Panna Marynia zrozumiała, że młody człowiek mówi to szczerze, może nieco za śmiało, ale raczej przez wrodzoną żywość, niż dlatego, że został z nią sam na sam, więc nie obraziła się, tylko poczęła niby gderać żartobliwie swoim miłym, przyciszonym głosem:

— Proszę mi nie mówić grzeczności, bo naprzód źle obwiążę rękę, a powtóre ucieknę.

— To niech pani źle obwiąże rękę, ale zostanie. Taki śliczny wieczór.

Marynia skończyła robotę z chustką i poszli dalej. Wieczór rzeczywiście zapowiadał się śliczny. Słońce zniżało się, staw, nie marszczony powiewem wiatru, lśnił ogniem i złotem. W dali, za wodą, majaczyły spokojnie olszyny; bliższe drzewa rysowały się w zarumienionem już powietrzu ogromnie czysto. Na podwórzu, za domem, klekotały bociany.

— Miły Krzemień, bardzo miły!—powtarzał Połaniecki.

— Bardzo—odpowiedziała Marynia.

— To też ja rozumiem pani przywiązanie do tego miejsca. Przytem, jak się w coś wkłada pracę, to to jeszcze bardziej przywiązuje. Rozumiem też, że na wsi można mieć dobre chwile... Ot, jak teraz.

Przecie tu jest tak dobrze. W mieście ogarnia czasem zmęczenie, zwłaszcza tych, którzy, jak ja, siedzą po uszy w rachunkach, a przytem są samotni. Bigiel, mój wspólnik, ma żonę i dzieci — to dobrze! Ale ja co? Ja nieraz mówię sobie: Ot, pracuję i co mi z tego? Dajmy na to, że będę miał trochę pieniędzy—i co dalej?—nic. Jutro zawsze takie samo, jak dziś: robota i robota! Widzi pani, jak się człowiek wciągnie w coś, jak idzie tym pędem, np. robienia pieniędzy, to mu się zdaje, że to cel. Ale przychodzą chwile, w których myślę, że mój oryginał Waskowski ma słuszność, i że nikt, kto się kończy na *ski*, albo na *wicz*, nie potrafi włożyć w to całej duszy i poprzestać na tem wyłącznie. On powiada, że w nas jeszcze za świeża pamięć poprzedniego istnienia, i że wogóle Słowianie mają inną misyę. To jest wielki oryginał, i filozof, i mistyk. Ja się z nim sprzeczam i robię pieniądze, jak mogę, ale teraz naprzykład, jak tak chodzę z panią po tym ogrodzie, to, doprawdy, zdaje mi się, że on ma słuszność.

I przez chwilę szli w milczeniu. Światło stawało się coraz bardziej rumiane i twarze mieli jakby zanurzone w czerwonym blasku. Przyjazne, wzajemne uczucia wzrastały w nich z każdą chwilą. Było im z sobą dobrze i spokojnie.

Połaniecki odczuwał to widocznie, gdyż po niejakim czasie rzekł:

— Co mnie pani Chwastowska mówiła i co jest prawda, to, że do pani ma się w godzinę po poznaniu więcej ufności i bliżej się jest z nią, niż z kim innym w miesiąc. Teraz to sprawdziłem. Zdaje mi się, że panią znam od dawna. Myślę, że tylko osoby niezwykle dobre robią takie wrażenie.

A panna Marynia odpowiedziała z prostotą:

— Emilka kocha mnie bardzo i dlatego mnie chwali. Choćby to była prawda, co ona mówi, to jednak przypuszczam, że nie ze wszystkimi taka być potrafię.

— Wczoraj, rzeczywiście, zrobiła pani na mnie inne wrażenie, ale była pani zmęczona i senna.

— Byłam trochę.

— I czemu pani spać nie poszła! Służący mógł mi zrobić herbaty, a wreszcie było-by się i bez tego obeszło.

— Nie, tak mało gościnni nie jesteśmy. Papa mówił, że wypada, by które z nas pana przyjęło. Bałam się, że zechce sam czekać, a jemu to szkodzi, więc wolałam go zastąpić.

Połaniecki pomyślał: „pod tym względem mogłaś być spokojną, ale jesteś poczciwa, że starego egoistę osłaniasz."

Następnie rzekł:

— Przepraszam panią i za to, że zaraz zacząłem mówić o interesach. To kupieckie przyzwyczajenie. Ale też potem sam sobie powiedziałem: „jesteś taki, owaki!" — i ze wstydem przepraszam.

— Niema za co, bo niema winy. Panu powiedziano, że ja się wszystkiem zajmuję, więc pan udał się do mnie.

Zwolna zorze rozpalały się coraz mocniej. Po niejakim czasie wrócili ku domowi, o ile że wieczór zapowiadał się piękny, więc siedli na werendzie ogrodowej. Połaniecki wszedł na chwilę do salonu, poczem wrócił ze stołeczkiem od nóg i, przyklęknąwszy, począł go podsuwać pod stopy panny Maryni.

— Dziękuję, bardzo dziękuję, odpowiedziała, pochylając się i obejmując rękoma suknię: jaki pan dobry! dziękuję bardzo!

A on mówił:

— Ja jestem z natury nieuważny, ale wie pani, kto mnie nauczył trochę troskliwości? Litka. Ją trzeba nadzwyczaj ochraniać i pani Chwastowska musi o tem pamiętać.

— I ona pamięta, odrzekła panna Marynia, i wszyscy będziemy jej w tem pomagali. Gdyby była nie wyjechała do Reichenhallu, byłabym ją zaprosiła do nas.

— A ja-bym przyjechał za Litką bez zaproszenia.

— Więc zapraszam pana w imieniu papy raz na zawsze.

— Niech pani tego lekko nie mówi, bom gotów nadużyć grzeczności. Mnie tu jest bardzo dobrze, więc, ilekroć będzie mi źle w Warszawie, to tu ucieknę — pod opiekę pani...

Teraz Połaniecki wiedział już, że słowa jego przeznaczone są na to, by ich zbliżyć, by nawiązać między nimi sympatyę, i mówił je równie umyślnie, jak szczerze, a mówiąc, patrzył na tę łagodną młodą twarz, która, oświecona zachodzącem słońcem, wydawała się jeszcze spokojniejsza niż zwykle. Panna Marynia podniosła też na niego swe niebieskie oczy, w których było jakby pytanie: „czy mówisz to wypadkiem, czy umyślnie?" — i odrzekła nieco ciszej:

— Dobrze.

I oboje umilkli, czując, że istotnie coś zawiązuje się między nimi.

— Dziwi mnie, że teraz papa nie wraca, rzekła wreszcie panna Marynia.

Rzeczywiście słońce zaszło; w czerwonawym zmierzchu począł krążyć cichym lotem lelek, a w stawie ozwały się żaby.

Lecz Połaniecki nie odpowiedział na uwagę panienki i, jakby pogrążony we własnych myślach, począł mówić:

— Ja nie analizuję życia, bo nie mam na to czasu. Gdy mi jest dobrze, jak naprzykład w tej chwili, to czuję, że dobrze, gdy źle, to

źle — ot i wszystko. Ale przed pięciu lub sześciu laty było inaczej. Była nas cała paczka ludzi, którzy się schodzili na rozprawy o znaczeniu życia. Było kilku uczonych i jeden literat, dziś dość znany w Belgii. Zadawaliśmy sobie pytania: dokąd idziemy, jaki wszystko ma sens, jaką wartość i jaki koniec? Czytywaliśmy pessymistów i gubiliśmy się w rozmaitych pytaniach, bez dna, tak jak mój jeden znajomy, asystent przy katedrze astronomii, który, jak zaczął się gubić w przestrzeniach międzyplanetarnych, tak zgubił w nich mózg... I potem mu się zdawało, że jego głowa krąży po paraboli w nieskończoności... Później wyzdrowiał i został księdzem. My również nie mogliśmy do niczego dojść, na niczem odpocząć... Zupełnie jak to ptactwo, które leci przez morza i nie ma na czem usiąść. Ale ja wreszcie spostrzegłem dwie rzeczy: oto naprzód, że moi Belgowie biorą to wszystko mniej do serca niż ja... my jesteśmy naiwniejsi... Powtóre, że mi się ochota do roboty psuje i że robię się niedołęgą. Wówczas wziąłem się za uszy i zacząłem na umor farbować perkaliki. Potem też powiedziałem sobie tak: życie jest w prawach natury — czy mądrych, czy głupich, mniejsza z tem — ale jest. Żyć trzeba, więc trzeba z życia wydobyć co się da. I chcę coś wydobyć. Waskowski powiada wprawdzie, że my, Słowianie, nie potrafimy na tem poprzestać, ale to się tak gada. Że na samych pieniądzach nie potrafimy — na to od biedy zgoda. Ale ja sobie powiedziałem, że prócz pieniędzy są jeszcze dwie rzeczy: spokój—i wie pani co? — kobieta. Bo trzeba, żeby człowiek miał się z kimś wszystkiem podzielić. Potem musi być śmierć,—dobrze! ale gdzie się zaczyna śmierć, tam się ludzka głowa kończy. „That's not my business!“ jak powiada Anglik. Tymczasem trzeba mieć komu to oddać, co człowiek ma i zdobywa — czy to pieniądze, czy zasługę, czy sławę... Jeśli są dyamenty na księżycu, to wszystko jedno, bo niema nikogo, ktoby uznał, że one coś warte. Tak i człowiek musi mieć kogoś, ktoby go uznawał. A ja sobie myślę: kto mnie uzna, jeśli nie kobieta — byle była ogromnie dobra, ogromnie pewna i bardzo moja, i bardzo kochana. To wszystko, czego można chcieć, bo z tego idzie spokój — i to jest jedyna rzecz, która ma sens. Ja to mówię nie jak poeta, ale jak człowiek pozytywny i kupiec. Mieć przy sobie drogą głowę — to jest i cel. A potem niech będzie co chce. Oto moja filozofia.

Połaniecki twierdził, że mówi jak kupiec, ale mówił także jak człowiek rozmarzony, bo tak podziałał na niego i ten wieczór letni, i obecność tej młodej dziewczyny, która pod tak wieloma względami odpowiadała tym wygłoszonym przed chwilą poglądom. Połanieckiemu również musiało to przyjść do głowy, gdyż, zwróciwszy się wprost do niej, rzekł:

— Ja tak ot myślę, ale i z tem się zwykle przed ludźmi nie wygaduję. Dziś mi się jakoś na to zebrało, bo powtarzam, że pani Emilia ma słuszność: z panią się jest w jeden dzień bliżej, niż z innemi w rok. Pani musi być bajecznie dobra! Oto, byłbym głupstwo zrobił, gdybym był nie przyjechał do Krzemienia. I będę przyjeżdżał tak często, jak pani pozwoli.

— Niech pan przyjeżdża... często.

— Dziękuję.

I wyciągnął rękę, a panna Marynia podała mu także dłoń, jakby na znak przymierza.

Ach, jak i on się jej podobał, ze swoją twarzą szczerą, męską, ze swoją ciemną czupryną i pewną dzielnością w całej postawie, ze swemi żywemi oczyma. Przywiózł przytem tyle tych tchnień, których jej w Krzemieniu brakło; jakieś nowe widnokręgi, wybiegające daleko po-za staw i olszyny, które zamykały widnokrąg krzemieński. Zrobili też jednego dnia tyle drogi, ile jej można było zrobić.

Siedzieli więc znowu jakiś czas w milczeniu i wędrowali dalej, w milczeniu równie pośpiesznie, jak w rozmowie. Marynia wskazała wreszcie ręką na światło, które się zwiększało za olszynami, i rzekła:

— Księżyc.

— Aha! księżyc! — powtórzył Połaniecki.

Ów zaś rzeczywiście wysuwał się zwolna z za olszyn, czerwony i wielki jak koło. Ale tymczasem psy zaszczekały, powozik zaturkotał z drugiej strony domu, i po chwili, w salonie, do którego poprzednio już wniesiono lampy, ukazał się pan Pławicki.

Marynia weszła do salonu, Połaniecki za nią.

— Nic się nie stało,—rzekł pan Pławicki. — Zajechała ich Chromecka, że zaś myśleli, że odjedzie wkrótce, więc nie dawali znać. Jamisz trochę chory, ale jutro wybiera się do Warszawy. Ona obiecała się tu po jutrze.

— Więc wszystko dobrze? — spytała Marynia.

— Dobrze. A wy coście tu porabiali?

— Słuchaliśmy żab, — odpowiedział Połaniecki — i dobrze nam było.

— Pan Bóg wiedział na co i żaby stworzył, więc choć mi spać po nocy nie dają, nie narzekam. Ale tymczasem niech Marynia da herbaty.

Herbata czekała gotowa w drugim pokoju. Pan Pławicki opowiadał przy niej o swojej wizycie u Jamiszów. Młodzi byli milczący, tylko od czasu do czasu spoglądali na siebie pełnemi światła oczyma i na dobranoc uścisnęli się bardzo mocno za ręce.

Panna Marynia czuła pewną ociężałość, rozbierając się, jakby ją ten dzień zmęczył, ale było to dziwne jakieś i miłe zmęczenie. Potem, gdy już jej główka wsparła się na poduszce, nie myślała o tem, że jutro poniedziałek, że zaczyna się nowy tydzień powszedniej roboty, tylko myślała o Połanieckim i w uszach jej brzmiały jego wyrazy:

— Kto mnie uzna, jeśli nie kobieta, byle była ogromnie dobra, ogromnie pewna, bardzo moja i bardzo kochana.

Połaniecki zaś mówił sobie, zapalając w łóżku papierosa:

— Dobre to, śliczne, miłe — gdzie taka druga?

III.

Lecz nazajutrz był szary dzień i panna Pławicka obudziła się z wyrzutami. Zdawało jej się, że wczoraj dała się unieść jakiemuś prądowi dalej niż należało i że wprost była z Połanieckim kokietką. Przejmowało ją to szczególnym niesmakiem z tego głównie powodu, że jednak ów Połaniecki przyjechał jako wierzyciel. Wczoraj o tem zapomniała, dziś zaś mówiła sobie: „Niechybnie przyjdzie mu do głowy, żem go chciała ująć lub ułagodzić" — i na tę myśl krew napłynęła jej do policzków i czoła. Miała ona naturę prawą i wiele ambicyi, która wzburzała się na każde przypuszczenie, że może być posądzoną o wyrachowanie. Teraz, uwierzywszy w możliwość takiego posądzenia, uczuła z góry jakby urazę do Połanieckiego. Jedna jeszcze przytem myśl była nad wszelki wyraz przykrą: oto wiedziała, że wogóle w kasie krzemienieckiej grosz nie może grosza dogonić, że pieniędzy niema i że, jeżeli, wskutek zamierzonej parcelacyi Magierówki, były na nie w przyszłości widoki, to ojciec będzie się wykręcał, gdyż inne długi uważa za pilniejsze od długu Połanieckiego. Obiecywała sobie wprawdzie, że zrobi wszystko, co będzie w jej mocy, by Połaniecki został koniecznie i przed innymi spłacony, ale wiedziała, że nie wiele może wskórać. Ojciec wyręczał się nią chętnie w gospodarstwie, ale w sprawach pieniężnych rządził się sam i rzadko kiedy słuchał jej zdania. Rola jego pod tym względem polegała wprawdzie na wykręcaniu się wszystkim ze wszystkiego, na obietnicach nigdy nie dotrzymywanych, na zwłokach i na przedstawianiu urojonych obliczeń i nadziei za rzeczywistość. Ponieważ dochodzenia wierzytelności, opartych na hypotekach ziemskich, same przez się są trudne i powolne, a obrona daje się przedłużać niemal dowolnie, przeto pan Pławicki trzymał się istotnie przy Krzemieniu dzięki swemu systemowi. W końcu groziło to wszystko równie nieubłaganą, jak zupełną ruiną, tymczasem jednak stary człowiek uważał się za „głowę od interesów" i tem niechętniej

słuchał zdań i rad córki, że zaraz posądzał ją, iż wątpi o jego „głowie“ — to zaś obrażało w najwyższym stopniu jego miłość własną.

Panna Marynia przeszła już z powodu tej „głowy“ i jej sposobów przez niejedno upokorzenie. Życie jej wiejskie było tylko pozorną sielanką pracy i gospodarskich zajęć. Nie brakło w niem ani przykrości, ani bólów, i jej spokojna twarz mogła oznaczać nietylko słodycz charakteru, ale i jego siłę, a przytem wielkie wyrobienie duchowe. Lecz upokorzenie, które groziło teraz, wydało się jej trudniejsze do zniesienia od innych.

— „Niech-że on przynajmniej mnie nie posądza!“ — mówiła sobie. Ale jak mogła na to poradzić? Pierwszą jej myślą było wezwać Połanieckiego na rozmowę, wprzód nim-by się widział z jej ojcem, i wyznać mu cały stan rzeczy, jak się wyznaje człowiekowi, do którego się ma ufność. Następnie przyszło jej do głowy, że taka rozmowa nie była-by czem innem, jak prośbą o wyrozumiałość, litość, a zatem upokorzeniem. Gdyby nie to, że panna Marynia, jako kobieta odczuwająca wszystkie drgnienia swego serca i innych, czuła nawpół świadomie, nawpół instynktowo, że między nią a tym młodym człowiekiem coś się odrazu zapowiedziało, coś się już prawie zaczęło — a zwłaszcza, że coś mogło i musiało stać się w przyszłości nieuniknionem, była-by się jednak chwyciła tej drogi. Lecz wobec takiego stanu rzeczy zdawało jej się, że nie może. Pozostawało jej tylko jedno: zobaczyć się z Połanieckim, zatrzeć swojem obejściem się z nim wczorajsze wrażenia, porozrywać te nici sympatyi, które wzajem między sobą nawiązali, i dać mu zupełną swobodę postępowania. Taki sposób wydał jej się najlepszy, więc dowiedziawszy się od służącej, że Połaniecki nietylko już wstał, ale wyszedł po herbacie ku gościńcowi, postanowiła go odszukać.

I przyszło jej to łatwo, on bowiem wrócił już z rannej przechadzki i, stojąc za boczną ścianą ganku, porośniętego dzikiem winem, rozmawiał z temi samemi dwoma psami, które w dniu przyjazdu tak się do niego łasiły. Nie spostrzegł też jej odrazu, i Marynia, stojąc na stopniach, słyszała, jak mówił do psów:

— To psiska żołd biorą za pilnowanie domu—co? osypkę jedzą— co? a na obcych nie szczekają, jeszcze się łaszą. A głupie kundysy, a próżniaki!

I klepał je po białych głowach. Następnie, ujrzawszy ją przez szpary w winie, skoczył, jak wyrzucony z procy, i stanął przed nią wesoły i rozjaśniony.

— Dzień dobry pani. Ja sobie tu z psami rozmawiam. Jak pani spała?

— Dziękuję.

I chłodno wyciągnęła ku niemu rękę, on zaś patrzył na nią oczyma, w których najwyraźniej widać było, jak wielką i głęboką przyjemność czyni mu jej widok.

I on nie mniej podobał się biednej pannie Maryni. Poprostu podobał jej się z całej duszy. Serce też ścisnęło się jej żalem, że na jego serdeczne dzień dobry wypada jej odpowiadać tak ceremonialnie i zimno.

— Może pani idzie do gospodarstwa? To, jeśli pani pozwoli, pójdę razem. Dziś muszę wracać do miasta, więc dobra mi jedna więcej chwila w towarzystwie pani. Bóg widzi, że gdybym mógł, tobym został tu dłużej. Ale znam teraz drogę do Krzemienia.

— Prosimy zawsze, jeśli panu kiedykolwiek czas pozwoli.

Połaniecki zauważył teraz chłód bijący od jej słów, od jej twarzy, i począł patrzeć na nią ze zdziwieniem. Jeśli jednak panna Marynia liczyła, że uczyni on tak, jak zwykle ludzie czynią i dostroi się natychmiast w milczeniu do jej tonu, to się zawiodła. Połaniecki zbyt był żywym i śmiałym, by odrazu nie spytać o przyczynę.

Jakoż, patrząc jej ciągle w oczy, rzekł:

— Coś pani jest?

Marynia zmieszała się:

— Pan się myli.

— Nie. I ja dobrze widzę, i pani dobrze wie, że się nie mylę. Pani jest dla mnie taka, jak była pierwszego wieczoru. Ale wtedy ja zawiniłem, bom zaczął nie w porę mówić o pieniądzach. Wczoraj przeprosiłem panią za to i było dobrze — i jak dobrze! Dziś znów jest inaczej — niechże mi pani powie dlaczego?

Żadna, najzręczniejsza dyplomacya nie zdołała-by bardziej zbić z tropu panny Maryni. Oto jej się zdawało, że zdoła go swem postępowaniem oziębić i oddalić, on zaś, pytając tak wręcz, raczej zbliżał się jeszcze bardziej.

I mówił dalej tonem człowieka, któremu wyrządzają niesprawiedliwość:

— Niech mi pani powie szczerze, co to jest? niech pani powie! Ojciec pani mówił, że wczoraj miałem być gościem, a dziś wierzycielem. Ale to jest głup..., to jest nic! Ja się na takich różnicach nie rozumiem, a wierzycielem pani nigdy nie będę, chyba dłużnikiem, bom już pani dłużny i wdzięczny za tę wczorajszą dobroć—i Bóg widzi, jak mi chodzi o to, bym zawsze mógł być dłużny.

I znów patrzył w jej oczy, pilnie bacząc, czy w nich nie pojawi się wczorajszy uśmiech; lecz Marynia, której serce ściskało się coraz bardziej, szła dalej drogą, którą obrała, raz dlatego, że ją już obrała,

a powtóre i z obawy, by przyznawszy, że dziś jest inną, nie być zmuszoną do wyjaśniania przyczyn.

— Upewniam,—odrzekła wreszcie z pewnem wysileniem,—że albo się pan mylił wczoraj, albo się myli dziś. Ja jestem zawsze jednakowa i zawsze będzie mi miło, jeśli pan wywiezie od nas dobre wspomnienia.

Słowa były grzeczne, ale mówiła je panienka, tak niepodobna do wczorajszej, że na twarzy Połanieckiego poczęło się przebijać zniecierpliwienie i gniew.

— Jeśli pani chodzi o to,—rzekł,—bym udawał, iż w to wierzę, to niech będzie jak pani chce. Wyjadę jednak z przekonaniem, że na wsi poniedziałek bardzo się różni od niedzieli.

Marynię dotknęły te słowa, wyglądały one bowiem tak, jakby Połaniecki rościł sobie już jakieś prawa z powodu jej wczorajszego obejścia się z nim. Ale odpowiedziała raczej ze smutkiem, niż z gniewem:

— Cóż ja na to poradzę!

I po chwili odeszła, oświadczywszy, że musi pójść powiedzieć dzień dobry ojcu. Połaniecki został sam, odpędził psy, które znów próbowały łasić się, i począł się złościć.

— Co to jest? — pytał w duchu. — Wczoraj dobrze, dziś źle! Zupełnie inna kobieta. Jakie to wszystko głupie, jakie marne! Wczoraj krewny—dziś wierzyciel. Co jej do tego? czemu mnie jak psa traktuje? Czym kogo ograbił? Wiedziała i wczoraj po com przyjechał. Dobrze! Chcecie mnie mieć wierzycielem nie Połanieckim?—dobrze! Niechże to piorun trzaśnie!

Marynia tymczasem wbiegła do pokoju ojca. Pan Pławicki wstał już i siedział przybrany w szlafrok przed biurkiem zapełnionem papierami. Na chwilę odwrócił się, by odpowiedzieć na dzień dobry córki, poczem zaraz zajął się na nowo czytaniem papierów.

— Papo,—rzekła Marynia,—przyszłam pomówić o panu Połanieckim... czy papa...

Lecz on jej przerwał, nie przestając patrzeć na papiery.

— Twojego Połanieckiego ugniotę w ręku, jak wosk.

— Wątpię, czy to będzie łatwe. Wreszcie jabym chciała, żeby on przed innymi był spłacony, choćby z największą naszą stratą.

Wówczas pan Pławicki odwrócił się od biurka i począł na nią patrzeć. — Potem spytał zimno:

— Proszę. Czy to opieka nad nim, czy nade mną?

— To jest kwestya naszego honoru...

— W czem, jak sądzisz, potrzebuję twojej rady?

— Nie, papo, ale...

— Co za patetyczny dzień nam nastał! Co tobie jest?

— Ja tylko proszę papy na wszystko...

— A ja cię także proszę, byś to zostawiła mnie. Usunęłaś mnie od gospodarstwa — i ustąpiłem, bo o to parę lat, które mi do życia zostają, nie chcę się sprzeczać z rodzonem dzieckiem. Ale zostaw-że mi choć ten kąt w domu, choć tę jedną izbę, i pozwól mi załatwiać te sprawy, które się w niej załatwić dają.

— Papo drogi, przecie ja tylko proszę...

— Żebym się przeniósł na folwark? któreż czworaki mi wyznaczasz?

Tu pan Pławicki, który mówiąc o „patetycznym“ dniu, widocznie nie chciał tylko, by ktoś dzielił z nim monopol, powstał w swoim perskim szlafroku, jak król Lear, i chwycił za poręcz fotelu, dając przez to do zrozumienia okrutnej córce, że inaczej, rażony jej okrucieństwem, padł-by jak długi na ziemię. Lecz jej łzy cisnęły się do oczu, a gorzkie poczucie własnej bezsilności napływało do serca. Przez chwilę stała w milczeniu, walcząc z żalem i ochotą do płaczu, poczem rzekła cicho:

— Przepraszam papę...

I wyszła z pokoju.

W kwadrans później wszedł do niego, na żądanie pana Pławickiego, Połaniecki, ale zły, rozdrażniony, lubo usiłujący nad sobą panować.

Pan Pławicki, powitawszy się z nim, usadził go przy sobie na krześle z góry przygotowanem i, wziąwszy go dłonią za kolano, spytał:

— Stachu, wszak tego domu nie spalisz? Wszak mnie, którym ci ręce otworzył, jak krewny, nie zamordujesz? wszak mi dziecka nie uczynisz sierotą?

— Nie, — odrzekł Połaniecki: domu nie spalę, wuja nie zarznę i żadnego dziecka nie uczynię sierotą. Proszę nawet, by wuj w ten sposób nie zaczynał mówić, bo to do niczego nie prowadzi, a dla mnie jest nieznośnem.

— Dobrze,—odpowiedział pan Pławicki, nieco jednak dotknięty tem, że jego styl i sposób wyrażania się, tak małe zyskują uznanie: pamiętaj tylko, że do mnie i do tego domu przyjeżdżałeś jeszcze dzieckiem.

— Przyjeżdżałem, bo przyjeżdżała matka, a matka po śmierci ciotki Heleny przyjeżdżała dlatego, że wuj nie płacił procentów. To wszystko nie ma się nic do rzeczy. Suma tkwi na hypotece od dwudziestu jeden lat. Z procentami zaległemi wynosi około dwudziestu czterech tysięcy rubli. Dla okrągłości niech będzie dwadzieścia równo—ale tych dwadzieścia muszę mieć, bo po to przyjechałem.

Pan Pławicki pochylił głowę z rezygnacyą.

— Po to przyjechałeś?... Tak. Ale czemu ty byłeś wczoraj taki inny, Stachu?

Połaniecki, który pół godziny temu zadał to samo pytanie pannie Maryni, aż podskoczył na krześle, ale pomiarkował się jeszcze i rzekł:

— Proszę o przystąpienie do interesu.

— Ja się przed tem nie cofam, tylko pierwej pozwól mi powiedzieć parę słów i nie przerywaj mi. Mówiłeś, żem procentów nie płacił. Prawda. Ale czy wiesz dlaczego? Matka twoja nie oddała mi przecie całego swego majątku i nie mogła tego bez pozwolenia rady familijnej uczynić. Może gorzej dla was, że się tak nie stało, ale mniejsza z tem. Ostatecznie, wziąwszy te kilkanaście tysięcy rubli, powiedziałem sobie tak: kobieta została sama na świecie, z jedynem dzieckiem, — niewiadomo jak sobie poradzi, niewiadomo co może wypaść — niechże te pieniądze, które ma u mnie, będą jej funduszem żelaznym, niech rosną, by w danym razie miała o co ręce zaczepić. I od tej pory byłem jakby waszą kasą oszczędności. Matka dała mi dwanaście tysięcy rubli—dziś masz u mnie przeszło dwadzieścia cztery. Oto rezultat. A teraz: czyż zapłacisz mi za to niewdzięcznością?

Na to Połaniecki rzekł:

— Kochany wuju Pławicki: proszę mnie nie brać ani za głupszego niż jestem, ani za waryata. Powiadam poprostu, że na takie plewy ja się nie złapię — bo za grube. Powiadasz wuj, że mam dwadzieścia cztery tysiące rubli — więc gdzież są? Proszę o nie — bez gadaniny i jeszcze takiej!

— A ja cię proszę o cierpliwość i umiarkowanie, choćby dlatego, żem starszy, — odrzekł z urazą i godnością pan Pławicki.

— Mam wspólnika, który za miesiąc wnosi dwanaście tysięcy rubli na umówiony interes—ja muszę wnieść tyleż. Powiadam to jasno i oświadczam, że po dwóch latach kołatania listami — nie mogę i nie będę dłużej cierpliwy.

Pan Pławicki wsparł rękę na biurku, czoło na dłoni—i milczał.

Połaniecki patrzył na niego, czekając odpowiedzi — patrzył z wzrastającą niechęcią i w duszy zadawał sobie pytanie: czy to jest kręciciel? czy bzik? czy egoista tak zaślepiony w sobie, że dobro i zło mierzy tylko własną wygodą — czy wreszcie wszystko razem.

Tymczasem pan Pławicki trzymał czoło ciągle ukryte w dłoni i milczał.

— Nareszcie, chciałbym coś wiedzieć... — zaczął Połaniecki.

Lecz tamten potrząsnął ręką, dając znać, że chce być jeszcze sam ze swemi myślami.

I nagle podniósł rozjaśnioną twarz.

— Stachu, rzekł: po co my się kłócimy, kiedy jest tak prosty sposób wyjścia!

— Jaki?

— Bierz margiel!

— Co?

— Sprowadź tu swego wspólnika, sprowadź jakiego specyalistę, oszacujemy mój margiel i zrobimy we trzech wspólkę. Twój... jak się tam nazywa? Bigiel? spłaci mi tyle, ile na niego wypadnie, ty albo coś dopłacisz, albo nie—i pójdziemy razem, a zyski mogą być olbrzymie.

Połaniecki wstał.

— Proszę pana, — rzekł — do jednej rzeczy nie jestem przyzwyczajony, mianowicie: żeby ktoś drwił ze mnie. Ja nie chcę pańskiego marglu — tylko moich pieniędzy, a to, co mi pan mówisz, uważam po prostu za niegodne albo bezrozumne wykręty.

Nastała chwila ciężkiej ciszy. Jowiszowy gniew począł się zbierać w brwiach i na czole pana Pławickiego. Przez chwilę piorunował śmiałka oczyma, poczem, przysunąwszy się szybko do kołków, na których wisiała broń, zdjął myśliwski nóż i, podając Połanieckiemu, rzekł:

— A więc jest inny sposób, uderzaj!

I otworzył szeroko szlafrok, lecz Połaniecki, nie panując już nad sobą, odtrącił rękę z nożem i począł mówić podniesionym głosem:

— To jest licha komedya — nic więcej! Z panem szkoda tracić słów i czasu. Wyjeżdżam, bo mam dosyć pana i pańskiego Krzemienia, ale zapowiadam, że sumę moją sprzedam choćby za pół ceny pierwszemu z brzega żydowi, który potrafi sobie z panem poradzić.

Na to prawa ręka pana Pławickiego wyciągnęła się uroczyście.

— Idź — rzekł — sprzedawaj! wpuść żyda w gniazdo rodzinne, ale wiedz o tem, że przekleństwo i moje, i tych, którzy tu żyli, znajdzie cię wszędzie.

Połaniecki wypadł z pokoju biały ze złości, w salonie zaś, klął co wlazło, szukając swego kapelusza. Znalazłszy go wreszcie, chciał wyjść, obaczyć, czy bryczka nie zajechała, gdy w tem weszła Marynia. Na jej widok pomiarkował się nieco, lecz, przypomniawszy sobie, że właściwie to ona zajmuje się wszystkiem w Krzemieniu, rzekł:

— Żegnam panią. — Sprawę z ojcem pani skończyłem. Ja przyjechałem po moją należność, a on dał mi naprzód błogosławieństwo, potem margiel, a potem przekleństwo. Dobry sposób spłacania należności!...

Była chwila, że Marynia chciała wyciągnąć do niego rękę i powiedzieć: „Ja rozumiem pański gniew; przed chwilą byłam także u ojca i błagałam go, żeby pana spłacił przed wszystkimi. Niech pan postąpi z nami i z Krzemieniem, jak pan chce, ale niech pan mnie nie

obwinia, niech pan nie myśli, że ja należę do spisku przeciw panu, i niech pan ma dla mnie choć trochę szacunku.“

I już jej ręka wysuwała się naprzód, już powyższe słowa zawisły jej na ustach, gdy Połaniecki, podniecając się coraz bardziej wewnątrz i tracąc na nowo coraz bardziej równowagę, dodał:

— Oświadczam to pani dlatego, że gdy pierwszego wieczora chciałem był mówić z panią, pani obraziła się i odesłała mnie do ojca. Dziękuję za skuteczną radę, ale że ona lepsza dla państwa niż dla mnie, więc następną sam obmyślę.

Wówczas usta Maryni pobladły, w oczach zaświeciły łzy oburzenia, a zarazem głębokiej urazy, podniosła głowę i rzekła:

— Może pan mówić jakie chce obelgi, bo za mną nikt się nie ujmie...

I zawróciła ku drzwiom, pełna w duszy upokorzenia i niemal rospaczy, że to są jedyne owoce, jakie zbiera za swoją pracę, w którą kładzie wszystkie siły i cały zapał swojej młodej, prawej duszy. Połaniecki spostrzegł też, że przebrał miarę. Mając uczucia bardzo żywe, przeszedł w jednej chwili do litości—i chciał biedz za nią, przepraszać, ale było już za późno. Marynia wyszła.

To przyprawiło go o nowy napad złości. Tym razem jednak ogarnął ową złością i siebie samego. Nie żegnając się już z nikim, siadł na bryczkę, która tymczasem zajechała, i ruszył z Krzemienia. W duszy wrzał mu taki gniew, że przez czas jakiś nie mógł myśleć o niczem innem, tylko o zemście: „Sprzedam, choćby za trzecią część ceny, mówił sobie w duchu — i niech was tradnją! Daję sobie słowo uczciwego człowieka, że sprzedam. Choćbym nie potrzebował, sprzedałbym — na złość!“

I w ten sposób zamiar zmienił się w zawzięte i zaprzysiężone postanowienie, Połaniecki nie był zaś z rodzaju ludzi, którzy nie dotrzymują przyrzeczeń, danych bądź komukolwiek, bądź sobie. Chodziło teraz jedynie o to, czy znajdzie kupca na sumę tak trudną do wydobycia, że, aby dojść do niej, trzeba było, bez przenośni, rozgryźć „Krzemień.“

Tymczasem bryczka wytoczyła się z alei na otwartą polową drogę. Połaniecki, ochłonąwszy nieco, począł teraz myśleć o Maryni w taki mozaikowy sposób, złożony z poczucia jej uroku, z wrażenia jakie uczyniła na nim jej twarz i postawa, ze wspomnień o niedzielnej rozmowie, z niechęci, litości, urazy, zawziętości, a wreszcie i z niezadowolenia z siebie, które potęgowało jeszcze zawziętość względem niej. Jedno z tych uczuć brało naprzemian górę nad innemi i narzucało im swą barwę. Chwilami przypominał sobie wysoką postać Maryni, jej oczy, jej ciemne włosy, jej śliczne, lubo może za szerokie usta, wreszcie

jej wyraz — i opanowywał go poryw sympatyi ku niej. Myślał, że jest ogromnie dziewicza, a zarazem, w ustach, w ramionach, w liniach całej postawy, ma coś kobiecego, co pociąga ku sobie z niepohamowaną siłą. Przypominał sobie jej głos łagodny, jej spokojne wejrzenie i jej bardzo widoczną dobroć. Wówczas, na myśl, jak był dla niej szorstki przed wyjazdem, na wspomnienie tonu, jakim do niej mówił, poczynał kląć siebie. „Jeśli ojciec jest stary komedyant, krętacz i głupiec (mówił sobie) i jeśli ona to wszystko czuje, to jest tem nieszczęśliwsza. A więc co? więc każdy człowiek z kawałkiem serca byłby to zrozumiał i zlitował się nad nią, nie zaś napadał na zapracowane biedne dziecko, — ja to zrobiłem, ja!“ — Tu miał ochotę spoliczkować się, bo zarazem wyobrażał sobie, coby to było, jakie niezmierne zbliżenie, jaka wyjątkowa tkliwość była-by powstała między nimi, gdyby po całej kłótni z ojcem obszedł się z nią, jak był powinien, to jest z największą delikatnością. Była-by mu, oto, podała obie ręce na pożegnanie, a on-by je ucałował— i rozjechali-by się, jak dwoje ludzi sobie blizkich. „Niech-by wreszcie dyabli wzięli pieniądze!“ — powtarzał w duchu — „a teraz niech wezmą mnie!“ I czuł, że porobił rzeczy, które się już nie dadzą naprawić, to zaś poczucie odbierało mu resztę równowagi i popychało tem bardziej po tej drodze, której błędność uznawał. I znów poczynał monologować mniej więcej w taki sposób: „Skoro wszystko stracone — niechże się wszystko spali. Sprzedam sumę byle żydowi—niech ich straduje, niech wylecą na bruk, niech stary szuka urzędu, a ona niech idzie na guwernantkę, albo za Gątowskiego...“ Tu nagle poczuł, że zgodzi się raczej na wszystko, niż na tę ostatnią myśl. — Gątowskiemu nadkręcił-by karku! Niech ją kto chce bierze, byle nie taki bałwan, taki niedźwiadek, taki ryfa. I piękne epitety poczęły się sypać na nieszczęśliwego Gątowskiego, na niego przeszła cała złość, jakby on rzeczywiście był sprawcą wszystkiego, co się stało. Przyjechawszy w tak ludożerczem usposobieniu do Czerniowa, byłby może Połaniecki, jak drugi Ugolin, wpił się odrazu Gątowskiemu zębami „tam, kędy czaszka do barków przypada“, gdyby był go na stacyi spostrzegł. Na szczęście, zamiast „czaszki“ Gątowskiego, spostrzegł tylko kilku urzędników, kilku chłopów, kilku żydów i pognębioną a inteligentną twarz radcy Jamisza, który go poznał, a gdy pociąg niebawem nadszedł, zaprosił go, dzięki dobrym stosunkom z zawiadowcą, do osobnego przedziału.

— Znałem jeszcze pańskiego ojca, — rzekł — i znałem go za jego świetnych czasów. Wziąłem z jego sąsiedztwa żonę. Pamiętam, miał wtedy Zwichów, Brzęczącą, Mocarze i Rozwady w Lubelskiem. Piękna fortuna! Dziadek pański był jednym z większych właścicieli w tamtych stronach—ale to musiało teraz przejść w inne ręce.

— Nie teraz, ale już dawniej. Ojciec mój stracił za życia cały majątek. Był chory, mieszkał w Nizzy, nie pilnował — i tak to poszło. Żeby nie sukcesya, którą po jego śmierci dostała matka, byłoby ciężko.

— Ale pan za to dajesz sobie dobrze rady. Ja znam wasz dom. Miałem z wami przez Abdulskiego interes o chmiel.

— To Abdulski dla pana pośredniczył?

— Tak, i muszę przyznać, żem był ze stosunku zupełnie kontent. Wyszliście ze mną przyzwoicie — i widzę, że porządnie prowadzicie interesa.

— Inaczej nikt się nie ostoi. Mój wspólnik, Bigiel, jest uczciwy człowiek, a i ja nie jestem panem Pławickim,—odpowiedział Połaniecki.

— Jakże to? — spytał zaciekawiony Jamisz.

Połaniecki, z resztkami niewygasłego jeszcze rozdrażnienia, opowiedział mu całą sprawę.

— Hm!—odrzekł Jamisz—skoro pan mówisz o nim tak bez ogródek, to pozwól-że, abym i ja tak mówił, choć to pański krewny.

— On sam żaden krewny; pierwsza jego żona była krewną i przyjaciółką mojej matki — oto wszystko.

— Ja go znam od dziecka. To jest człowiek więcej popsuty, niż zły. Był jedynakiem, więc naprzód rozpieścili go rodzice, a potem czyniły to samo obie żony. Obie były kobiety ciche i łagodne, dla obydwóch był bożyszczem. Przez całe lata rzeczy układały się w ten sposób, że on był tem słońcem, koło którego kręcą się inne planety, i nareszcie doszedł do przekonania, że jemu się od świata należy wszystko, a ludziom od niego nic. W takich warunkach, gdy się zło i dobro własną tylko wygodą mierzy, nic łatwiejszego, jak zatracić zmysł moralny. Pławicki to jest mieszanina uroczystości i folgi: uroczystości, bo sam zawsze na chwałę swoją celebrował, a folgi, bo sobie na wszystko pozwalał. Zmieniło się to niemal w jego naturę. Potem przyszły też trudne okoliczności, którym potrafi się oprzeć tylko człowiek z charakterem, a on go nigdy nie miał. Zaczął się wykręcać i w końcu do tego przywykł. Nas, panie, ziemia uszlachetnia, ale też i ziemia psuje. Mnie jeden mój znajomy bankrut mówił: „To nie ja kręcę, to mój majątek kręci, a ja tylko za niego gadam.“ — I to trochę tak jest. Więcej w naszym zawodzie, niż w każdym innym...

— Wyobraź pan sobie,—odpowiedział Połaniecki,—że ja, który pochodzę z roli, nie mam żadnego pociągu do rolnictwa. Wiem, że ono będzie zawsze, bo być musi, ale w tej formie, jak jest dziś, nie widzę dla niego przyszłości. Wy wszyscy musicie zginąć.

— Ja też nie patrzę różowo. Pomijam, że ogólny stan rolnictwa jest w całej Europie zły, bo to rzeczy znane, ale pomyśl pan tylko: Ma szlachcic czterech synów, więc każdy z nich odziedziczy tylko

czwartą część ojcowskiego majątku. Tymczasem cóż się dzieje? Każdy, przywykłszy do ojcowskiej normy życia, chce żyć jak ojciec — ot już koniec łatwy do przewidzenia. Po drugie: ma szlachcic czterech synów—to zdolniejsi obierają rozmaite zawody,—na roli, o zakład, zostaje najmniej zdolny. Po trzecie: to, co całe szeregi pokoleń zapracowały, jedna lekkomyślna głowa zniszczy. Po czwarte: my jesteśmy nieźli rolnicy a źli administratorowie, dobra zaś administracya znaczy więcej od dobrej uprawy roli: więc cóż za wniosek? ziemia zostanie, ale my, którzy ją dziś przedstawiamy pod formą większej własności, prawdopodobnie musimy z niej wyjść. Tylko, widzisz pan, wyszedłszy, może z czasem wrócimy.

— Jakto?

— Bo naprzód, to, co pan mówisz, że pana do ziemi nic nie ciągnie, to jest złudzenie. Ziemia, panie, ciągnie, i ciągnie z taką siłą, że każdy, przyszedłszy do pewnych lat, do pewnej zamożności, nie może się oprzeć chęci posiadania choćby kawałka ziemi. Przyjdzie to i na pana. I to jest naturalne. Ostatecznie, wszelkie bogactwo może być uważane za fikcyę, prócz ziemi. Wszystko wychodzi z niej i wszystko istnieje dla niej. Jak bilet bankowy jest kwitkiem na monetę metalową, leżącą w banku państwa, tak i przemysł, i handel, i co pan chcesz, jest ostatecznie zmienioną na inny kształt ziemią... a co do was zwłaszcza, którzyście z niej wyszli, musicie do niej wrócić.

— Ja przynajmniej nie myślę?

— Co pan wiesz? Dziś robisz majątek, ale jak go zrobisz? I w tem jest przyszłość. Połanieccy byli rolnikami — teraz jeden obrał inny zawód. Większość dzieci rolników musi także obrać inny zawód, choćby dlatego, że inaczej nie może. Część ich zmarnieje, część dorobi się i wróci—a wróci nietylko z kapitałem, ale z nową energią i z tą znajomością ścisłej administracyi, jaką specyalne zawody wyrabiają — wróci przez ten pociąg, który ziemia wywiera, i wreszcie z poczucia obowiązków, których panu tłómaczyć nie potrzebuję.

— To, co pan mówisz, ma tę dobrą stronę, że wówczas taki mój wujaszek-nie-wujaszek, Pławicki, będzie należał do typów zaginionych.

Pan Jamisz zamyślił się przez chwilę, poczem rzekł:

— Nić się ciągnie i ciągnie, póki się nie urwie, ale w końcu musi się urwać. Oni się nie utrzymają, mojem zdaniem, przy Krzemieniu, choćby rozparcelowali Magierówkę. Ot, kogo mi żal, to Maryni. To nadzwyczaj poczciwe dziecko. Bo pan nie wiesz, że stary chciał przed dwoma laty sprzedać Krzemień i wynieść się do miasta, i że nie stało się to w części na prośby Maryni. Czy to ze względu na pamięć matki, która tam leży, czy dlatego, że tyle się mówi i pisze o obowiązku

trzymania się przy ziemi — dość, że dziewczyna robiła co mogła, by do sprzedaży nie dopuścić. Wyobraziło sobie biedactwo, że byle się wziąć ze wszystkich sił do roboty, można wszystkiego dokazać. I prawdziwie, że wyrzekła się całego świata dla tego Krzemienia. Dla niej to będzie cios, jak się nić wreszcie urwie, a musi się urwać... Szkoda dziewczyny lat.

— Pan jesteś dobry człowiek, panie radco! — zawołał Połaniecki ze zwykłą sobie żywością.

Stary człowiek uśmiechnął się.

— Ja lubię to dziecko,—bo to wreszcie i moja pupilka w zawodzie gospodarskim; pewnie, że będzie smutno, jak nam jej zbraknie.

Połaniecki począł przygryzać czas jakiś wąsy, wreszcie rzekł:

— Niech wyjdzie za mąż za kogo w okolicy, to i zostanie.

— Wyjdzie, wyjdzie... Niby to pannie bez majątku łatwo. Kto u nas jest? Gątowski. Ten-by ją wziął. Dobry człowiek i wcale nie tak ograniczony, jak mówią. Ale ona nie ma dla niego uczucia, a bez uczucia nie wyjdzie. Jałbrzyków mały mająteczek. Staremu się przytem zdaje, że Gątowscy są czemś mniej od Pławickich — i Gątowski także już w to uwierzył. Jak to pan wie, u nas: ten uchodzi za familianta, komu się podoba za takiego uważać. Bo ludzie niby się śmieją, a w końcu przywykają. Przytem jeden podnosi nosa dlatego, że się dorabia majątku, a drugi dlatego, że go traci — i nic innego mu nie pozostaje. Ale mniejsza z tem. To jedno wiem, że kto Marynię weźmie, perłę weźmie.

Połaniecki miał w tej chwili w duszy to samo i przekonanie, i poczucie. Pogrążywszy się więc w myśleniu, począł na nowo rozmyślać o Maryni, a raczej przypominać ją sobie i wyobrażać. Nagle wydało mu się nawet, że będzie bez niej tęsknił; ale przypomniał sobie także, że podobne rzeczy nieraz już mu się wydawały, a potem czas rozwiewał te złudzenia. Jednakże myślał o niej jeszcze nawet i wówczas, gdy zbliżali się już do miasta, i wysiadając w Warszawie, mruczał przez zęby:

— Jak się to głupio stało! jak głupio!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Henryk Sienkiewicz.

KOBIETY NA DWORZE CZEHRYŃSKIM,

w drugiej połowie XVII wieku.

I.

Helena stepowa.

„Sprawca“,—bo tak nazywali współcześni Bohdana Chmielnickiego—wyrasta w dziejach nagle: ze skromnego setnika, a potem pisarza wojskowego chehryńskiego—władca wielkich obszarów ziemi, swieżo krwią oblanych, dymiącemi zgliszczami znaczących swoje granice; Żółtowodzki pogrom, Korsuńskie zwycięstwo, smutnej pamięci Piława, i aż u ścian Zamościa opierają się zwycięskie jego zaciągi. Tryumfator wraca odurzony powodzeniem, wjeżdża do starego Kijowa, witany owacyami przez akademików, którzy starają się udowodnić, że z imieniem przyniósł na świat zaczątki powodzenia, obecnie w czyn wcielonego—jako Bohdan, od Boga dany ukrainom, by je wyzwolić, wyosobnić, podnieść do państwa udzielnego. I powszedniemu przed chwilą kozakowi, wszystkie dzwony prastarych świątyń kijowskich biją na chwałę, reprezentanci kleru uczty na cześć jego wydają, nic więc dziwnego, że, upojony wszystkiem, co go spotkało, wołał do korzących się przed nim komisarzy polskich: „Prawda, żem ja mały człowiek, ale Bóg mi darował to, żem został samowładnym rozkazodawcą na Rusi“ [1]).

[1]) Michałowski—„Księga pamiętnicza“, Kraków s. 374.

Nie tryumfy wszakże „destruktora“ owego opowiedzieć tutaj zamierzyliśmy,—aż nadto dobrze znane one z dziejów; daleko skromniejsze nasze zadanie, mianowicie: pragniemy odmalować dwór i otoczenie człowieka, po jego nagłem dostaniu się na wyżyny, jako piastuna władzy nieograniczonej, a na tym dworze, w tem społeczeństwie, uwydatnić rolę kobiety, jej wpływy i znaczenie. Nie pozbawione to interesu, choćby już z tego względu, że spory poczet polek, do uprzywiliowanego należących stanu, a osiadłych na przestrzeni kraju, sterroryzowanego niedawnym podbojem, utonęło w tym wirze wspólnie z kobietami do starego należącemi zakonu; większość z nich wprawdzie, jako produkt zamiennego handlu, na ukrainach chwilę więziona, zbywana za byle co nogajskim rabusiom, oparła się potem na rynkach Bakczysaraju i Carogrodu, ale część niemała ostała się na miejscu, pośród nowego, niespodzianie wyłaniającego się na widownią dziejową, społeczeństwa.

Żeby odmalować otoczenie władcy, wypada choć kilku doraźnemi rysami nakreślić sylwetkę jego w epoce, która poprzedziła tryumfy. Dziwną jest rzeczą doprawdy, niezaprzeczoną wszakże, że o pochodzeniu Chmielnickiego niezmiernie wiele sprzecznych podawali szczegółów współcześni, najbłędniejsze zaś spotykamy tam, gdzieby się najmniej tego należało spodziewać, mianowicie u małoruskich pamiętnikarzy. Więc najbliższe prawdy zregestrujemy tu, nie wdając się w polemikę, bo ta nie jest zadaniem niniejszego opowiadania. Ojciec Bohdana, Michał, nie musiał należeć do uprzywiliowanego stanu, choć mu ten gwałtownie nasi narzucają dziejopisowie, na tarczy jego umieszczając Habdanka [1]); boć przecie, gdyby był szlachcicem, nie potrzebował-by wówczas Jan Kazimierz, w kilkadziesiąt lat później, nadawać tego klejnotu jego wnukowi, Jurkowi Chmielnickiemu [2]). Ale, choć indygenatem nie ozdobiony, protoplasta rodu, bywalec, na dworach możnowładców sługujący, niechybnie posiadał wszystkie cechy, uprzywilejowanemu stanowi właściwe; kresowiec z krwi i kości, u Żółkiewskich w Żółkwi i Daniłowiczów w Olesku używany jako powiernik i doradca; ostatni ze wzmiankowanych dygnitarzy, jako starosta Korsuński, nadał w 1616 r. Michałowi grunt pusty we wzmiankowanej królewszczyźnie, i podniósł go nawet do godności podstarościego czehryńskiego [3]). Kostomarow nazywa go setnikiem—niesłusznie [4]). Podstaro-

[1]) Dziennik Warszawski, r. 1855, str. 268.

[2]) Volum. Leg. IV s. 303, p. 649.

[3]) Michałowski—„Księga pamiętnicza“, s. 431. Nadanie Michała Chmielnickiego pierwotnie należało do starostwa czerkaskiego [Rulikowski — „Słownik geograficzny“ XI, 522].

[4]) „Bohdan Chmielnicki“, wydanie czwarte z r. 1884, s. 67.

ścim na kresach, równie jak później woźnym, mógł być nie szlachcic, choć jeden i drugi, podczas funkcyi, używali tytułu „urodzony“.—Mógł stary Chmielnicki być przybyszem na ukrainy; zdaje się to potwierdzać tak nieliczny poczet używających tegoż nazwiska osobników: toć przecie w otoczeniu jego syna, w okresie największego rozgłosu, jednego tylko spotykamy, stryjecznego brata hetmana zaporoskiego, Zacharyasza, bardzo podrzędną rolę odgrywającego, podczas oblężenia Lwowa przez kozaków [1]). Bądź co bądź, nowy oficyalista czehryński musiał być człowiekiem pojmującym doniosłość nauki, nawskróś nawet przejętym zasadami szlacheckiemi, kiedy swego jedynaka oddał do szkół oo. jezuitów w Jarosławiu, gdzie Bohdan nabył znajomości łaciny, nabrał owej „swady“, która mu potem, pośród gminu ukraińnego, zastosowana do potrzeb i okoliczności, przybrana w inną sukienkę, rodzaj „gwary“ miejscowej, zjednała wielką wziętość i zapewniła niepowszednią popularność; nie daremnie „dowcipnym“ nazywają go małoruscy pisarze, a Samuel Zorko, nad grobem hetmana przemawiający, zanosi suplikę do nieboszczyka — „by, dobrej będąc wymowy“, złożył u tronu pańskiego modły odpowiedne za pozostałymi na ziemi kompanami zwycięstw jego i tryumfów“ [2]).

Wracając do rodziców Bohdana, dodamy, że osiedli na ofiarowanym sobie futorze, czy uroczysku, zwanem Subotowem, o dobrą milę odległem od Czehryna, urzędowej rezydencyi podstarosty. Zakątek, położony nad Taśminą, „opasany lasem i bagnami“, wyglądał raczej na przystań rybacką, lub osadę myśliwską, aniżeli na zagrodę rolnika [3]). A jednak rychło zmienił się do niepoznania, stanął tu bowiem drewniany dworek właściciela, stawek, przy nim młyn, pasieka, sad rozłożysty, z kolei przybyło i sąsiadów zaproszonych na osadnictwo. Futor intraty dawał niemałe; przypuszczać się godzi, że u steru gospodarstwa stała matka Bohdana, bo małżonek jej, zajęty służbą, na czele „wolontaryuszów“ poszedł pod Cecorę i tam głowę złożył na pobojowisku [4]). Syn zaś, przy boku ojca walczący, dostał się do niewoli—i „srogie więzienie, jak sam powiada, przez dwa roki przecierpiał“ [5]). Działo się to w Carogrodzie; zostawszy tajnym wyznawcą Koranu, trochę swobody zdobyć potrafił [6]); z kolei jest w Krymie, zawsze jako jeniec;

---

[1]) Kostomarow, I, c, II, s. 32.

[2]) Wieliczko—„Letopiś“ 1293.

[3]) Rulikowski—„Słow. geograficzny“, XI, 523.

[4]) Żołkiewski—„Pisma“ Lwów 1861 r. 571.

[5]) Michałowski—„Księga pamiętnicza“ s. 431.

[6]) Sękowski—„Collectanea“ I. 201—203.

nauczył się biegle mówić po turecku i tatarsku [1]), ale też ze szkoły tej wyniósł wiele przebiegłości wschodniej, zawiązał nie mało stosunków, które mu ułatwiły potem zawieranie sojuszów i gotowość ordy do współdziałania na każde jego skinienie. Owa zaś znajomość „zdrad i fortelów“ zasmakowała mu do tyla, że już po powrocie z niewoli wyrywał się nieraz „za przekop“, i w domowych, wewnętrznych rosterkach książątek często czynny udział przyjmował. Przed 1646 r. miał odbyć podróż do Paryża, gdzie występował jako pośrednik w dostarczeniu kozaków do wojska francuskiego [2]). Posiadał pewne względy u króla Władysława, który znał go osobiście, dwa razy bowiem pisarz wojskowy, jako wysłannik (1639 i 1646), stawał przed jego obliczem. Wiernie przyszłego „sprawcę“ scharakteryzował Szajnocha: „w ogólności, powiada on, miał Chmielnicki reputacyę człowieka bywałego w świecie, na wojnach, u dworu: za młodu w szkołach, skąd przywiózł z sobą do Subotowa pamięć i znajomość owych panów możnych, wyższego stopnia, ludzi rycerskich, nawet duchownych“ [3]). Ale cofnijmy się wstecz: z jassyru wykupiła go matka; w samą porę wrócił, gdyż kobiecie, przygnębionej wiekiem i nieszczęściami, opornie szło tak szczęśliwie poczęte gospodarstwo; syn też zakrzątał się około roli, a musiał posiadać pewne doświadczenie w tej gałęzi, bo wszystko dawało dodatnie wyniki. W końcu gruntów futorzańskich zabrakło, więc skorzystał z pierwszej nadarzonej sposobności i uprosił króla, po ugaszonym buncie Pawluka, o kawał stepu na przeciwnym brzegu Taśminy, i zaraz założył na nim Słobódkę Subotowską, która wkrótce zakwitła, rozbudowała się w domostwa, zaopatrzona w pasiekę, gumna, „niesła czynsz z chałup i szynków, bo w nich miody i piwo szynkowano“ [4]). Może do dobrobytu dopomógł ożenek, który zaszedł około 1630 r., albo mało co później; nowożeniec, stając na kobiercu ślubnym, liczył niechybnie lat trzydzieści kilka (urodziny jego bowiem przypadły w ostatniem dziesięcioleciu XVI wieku); wcześniej myśleć o sakramencie nie nadawało się; młodzieniaszkiem poszedł z ojcem pod Cecorę, potem niewola przydługa, wreszcie po powrocie z niej należało uregulować interesa, dla żony przygotować odpowiedne gniazdo, choć i ta żona przyczynić się musiała do polepszenia bytu materyalnego. Była to Anna Somkówna, córka bogatego kupca perejasławskiego, już podówczas sierota, na opiece brata zostająca; brat ten musiał się wdzięcznie zapi-

---

[1]) Kostomarow l. c. l. 67.

[2]) Kostomarow l. c. l. 24.

[3]) „Dwa lata dziejów naszych“, Lwów 1, 14.

[4]) Rulikowski „Słownik geograficzny“ XI, 523, Grabowski.—„Ojczyste spominki — I, 138.

sać w pamięci szwagra, bo z czasem zdobyć potrafił względy i protekcyę jego, i z handlarza przedzierzgnął się na półkownika pryłuckiego, z kolei hetman „nakaźny," skończył tragicznie, ale już dobrze po zgonie swojego protektora. [1]) Anna, spokojna kobieta, wątła, chorowita, gospodarstwu domowemu oddana, po-za tem reszta nie obchodziła jej wcale. Dzieci mieli czworo,—może ich było i więcej, ale o czworgu mamy tylko relacye, mianowicie: najstarsza Katarzyna, po niej szła Helena albo Stefanida, [2]) Tymoszko, urodzony w 1635 r., i Jerzy, najmłodszy, w 1641 r. Życie układało się szczęśliwie: dostatek, pewne sukcesa na polu drobnej dyplomacyi i wycieczek w dzikie pola, popularność wśród kozaków, i regestrowych, i zaporowskich, nawet przy skromnym urzędzie pisarza wojskowego, niezwykła. Słowem, w małym światku czehryńskim, gdzie przyszedł do posiadania wygodnego dworu, Chmielnicki, bądź co bądź, zajmował stanowisko wydatne; komisarze wojskowi, z ramienia Rzeczypospolitej wysadzeni (sui generis regimentarze nad wojskiem regestrowem), oszczędzali go, zasięgali nieraz rady, upatrywali w nim przyszłego dowódcę zaciągów kozackich, jeżeli te zostaną powołane do życia; z pułkownikami bratał się i kumał, a p. starosta (Stanisław Koniecpolski) i dowódca sił zbrojnych wyróżniał go pośród innych, jemu równych, albo i starszych. Tak rzeczy stały całych lat kilka, i stały-by dłużej, gdyby nie kobieta, znana w dziejach pod nazwą podstarościny czehryńskiej.

Nie wiemy nawet skąd pochodziła owa Helena stepowa, zamęt bowiem co do tego wielki w źródłach miejscowych panuje; że jednak do wschodniego należała obrządku, [3]) stąd przypuszczać się godzi, że kędyś na kresach ujrzała światło dzienne; że nazywano ją „Laszką", stąd znowu inny wniosek, że była córką przybysza z głębin Rzeczypospolitej, szukającego tu kreścytywy, albo bespiecznego schronienia przed prawem, z którem mógł być w rosterce. Zapewne sierota — kiedy w domu Chmielnickich znalazła schronienie. Jakie tu funkcye pełniła, odgadnąć trudno; z przywiązania, jakie jej okazywał potem młodszy syn hetmana, Juraś, przypuszczenie powstaje, że opiekę nad nim, jako nad małem rozciągała chłopięciem, co bardzo prawdopodobne: żona bowiem pisarza wojskowego nieustannie chorowała; z racyi niemocy gospodyni potrzebną była kobieta w domu, jako jej zastępczyni; praktykowało się to w całej Rzeczypospolitej w zamożniejszych dworach, mogło też mieć miejsce i pod strzechą Chmielnickiego, który opływał już wów-

[1]) Wiéliczko „Letopis" II. 38.
[2]) Krasicki w dodatku do Niesieckiego III. 41
[3]) Kostomarow l. c. I. 241.

czas w dostatki i modelował się na wzór szlachty, do średniego należącej stanu. Nic naturalniejszego, jak przytulić sierotę z sąsiedniego futoru, bez ojca i matki, a potem korzystać z drobnych usług tej sieroty, pragnącej w jakibądź sposób odwdzięczyć się za okazaną jej opiekę. Dotąd wszystko w porządku — ale natem nie koniec: przybrana towarzyszka Anny i w sercu jej małżonka zdobyć sobie potrafiła miejsce, zaczęła w niem panować — i to niepodzielnie. Pracowita dozgonna towarzyszka pisarza wojskowego może dostrzegła tych sentymentów, ale milczała; nie posiadała siły, potrzebnej dla wywierania wpływu na człowieka stojącego wyżej od niej pod względem wykształcenia, zwłaszcza, że ten mąż wyniósł ze Wschodu pewnego rodzaju lekceważenie dla białogłowy, w każdej nieledwie upatrywał niewolnicę, posłuszne i pokorne narzędzie w ręku mocodawcy i pana. Więc gdy mu się ta, przygodnie pod jego strzechą zainstalowana, sierota, podobała, zapragnął ją posiadać; musiała się opierać zalotom, kiedy rozgorzał gwałtowną namiętnością; sakrament tylko mógł ugasić w starzejącej się piersi wulkany, ale sakrament niemożebny, bo żyła jeszcze ślubna małżonka, jeżeli powolna i pobłażliwa, to z drugiej strony niepozbawiona opieki brata i otoczona szacunkiem gminu kozackiego, o którego względy szło bardzo samolubnemu pisarzowi wojskowemu. Czekał więc cierpliwie, co mu przyszłość zgotuje, choć cierpiał i szalał z miłości; ofiary jednak nie wypuszczał; łudził się nadzieją, że prędzej czy później zdobyć jej względy potrafi. Na raz, najniespodzianiej, zjawia się groźny współzawodnik, rywal wcale nie powszedni; nastąpiła bowiem wielka zmiana w małym światku czehryńskim: posadę dawnego podstarościego zajął nowy, powołany do tej godności przez hetmana w kor., a był nim Daniel Czapliński, mylnie przez niektórych Czaplickim nazywany — „advena“ z Litwy, wdowiec, człowiek niemłody, bo miał córki postanowione; właśnie jednę z nich pojął w małżeństwo Komorowski — towarzyszył on teściowi, jako pomocnik w administrowaniu rozległemi czehryńskiemi dobrami. Świeżo kreowany dygnitarz stanął na kresach w końcu 1639 roku. Wybór Koniecpolskiego nie był wcale szczęśliwy, bo oficyalista ów nie posiadał warunków potrzebnych po temu; przyzwyczajony do surowego traktowania kmieci kędyś w puszczach zapadłych, starał się tenże system stosować w stepach, z całą zapamiętałością krótkowidza, i to w miejscowości najnieodpowiedniejszej, bo u ściany tatarskiej, o miedzę od rozswawolonego zaporoskiego kozactwa, urągającego wszelkim administracyjnym represaliom. Czapliński, na nieszczęście, miał przesadne o swojej władzy wyobrażenie, choć istotnie wielką ona była z racyi wyjątkowych warunków i pewnego lekceważenia przez dzierżawców ciężących na nich obowiązków, któremi było bezpośrednie, zalecone przez konstytucye sejmowe, stróżowanie na kre-

sach. Stąd też taki podstarości, na obszarach wchodzących w zakres jego dozoru, stawał się istotnie panem samowładnym, o ile potrafił sobie zdobyć zaufanie i względy starosty. A że starosta czehryński był jednocześnie, w owej epoce, i hetmanem w kor., że bezpośrednio od niego zależał komisarz, albo „starszy“ wojska jego królewskiej mości zaporowskiego, rezydujący w niedalekim Trechtemirowie, że właśnie w chwili zainstalowania Czaplińskiego wzmiankowaną funkcyę pełnił Piotr Komorowski, blizki jego zięcia pokrewny; więc *eo ipso* wytworzył się rodzaj zależności ostatniego od pierwszego. Wnimiśmy przypomnieć, że urząd komisarza, stworzył sam Koniecpolski w 1638 r., po ugaszeniu buntu Ostranicy, a nominacya na tę posadę wychodziła z kancelaryi hetmańskiej, jak równie od niej zależało mianowanie dowódców półków regestrowych; więc Krzeczowski, pułkownik czehryński, zależny od komisarza, tem samem zależał od podstarościego, ten bowiem, posiadając względy pryncypała, zwierzchniczą władzę nad nimi przywłaszczył sobie. Pyszałkowaty, zarozumiały, nieprzystępny, gwałtownik, w kozakach widział nie żołnierzy, ale chłopów krnąbrnych i nieposłusznych, więc wyobraził sobie, że zadaniem jego, obowiązkiem niejako, jest poskromienie wybujałej samowoli, ukaranie nadużyć, które wypływały z ducha ludności, więcej z szablą niźli z pługiem mającej do czynienia. Powtarzamy raz jeszcze: wybór hetmana do szczęśliwych nie należał, a miał pod ręką tylu ludzi odpowiedniejszych, obeznanych z fortelami, świadomych dziejów pogranicza, zwyczajów tatarskich i t. d. Śmiesznem-by było spychać na barki jednego człowieka odpowiedzialność za nieszczęścia, choć je wywołała waśń między nim a niepokornym i rozszalałym pisarzem czehryńskim; stanął on na kresach jako wyobraziciel systemu ucisku, nie przez niego stworzonego, praktykowanego przed jego przybyciem, ale też i sam go stosował zanadto brutalnie, używając często władzy i prawa dla dogodzenia własnym uprzedzeniom i antypatyom, opartym na fałszywych podstawach....

Wróćmy atoli do dziejów tej niewymownie smutnej historyi. Czapliński po zainstalowaniu się rozejrzał się dokoła i odrazu szczególne baczenie zwrócił na Chmielnickiego. Nie podobali się sobie wzajemnie; pisarz wojskowy zanadto mu imponował, naprzód dostatkiem,—zaliczano go już podówczas do rzędu najbogatszych obywateli w starostwie, — nadto, niedawno wrócił z Warszawy, gdzie, jako poseł, na pokojach królewskich wdzięcznie przyjęty, nawet obietnice pewne swobód rozleglejszych stamtąd przywoził, przywileje jakieś szczególne miał posiadać, nic więc dziwnego, że nie uginał karku przed podstarostą; zaczął się więc rozglądać w jego antenatach i doszukał, że są to chłopi, że ojciec, zwykły osadca, zwał się Chmielem, a syn jego, według przyjętego

zwyczaju na ukrainach — Chmielenko, że zmiana końcówki nastąpiła samowolnie. Miało to pewne podstawy istotnie: toż sekretarz jego królewskiej mości, Hieronim Pinocci, w sześć lat po pogromie powtarza to samo, [1]) a w pamiętnikach współczesnych żydowskich autorowie ich hetmana zaporoskiego zwykle nazywają Chmielem. I w głowie tępej szlachcica nie mogły się pomieścić te trzy pozycye: chłop, bogacz, za pan brat z królem! To jak-by pierwszy rozdźwięk; potem nastąpiło współzawodnictwo w rzeczach gospodarki kresowej, a skutkiem jej zazdrość. Czapliński rozumiał dobrze, że wkupić się może zupełnie i niepodzielnie w łaskę hetmana w kor., pozyskać jego względy i nieograniczone zaufanie szczęśliwem i energicznem osadnictwem ogromnych obszarów stepowych, zostających w jego dzierżawie. Był to wynik ekonomicznych i politycznych przekonań Koniecpolskiego, dewiza ostatnich zwłaszcza lat jego życia, zamknięta w następującem orzeczeniu: pustki, obfitujące w cudownie plenną ziemię, zaludnić, nie bacząc na koszta, na wynikające stąd ofiary, jak przywileje, rozległe swobody i t. d.; naturalnie, że w rachunek wchodziły i królewszczyzny, bo te, dobrze osadzone, stanowiły jakby wał ochronny dla nowo po-za niemi powstających wsi i futorów; więcej ludu, więcej rąk, więcej siły dla stawienia oporu rabusiom tatarskim, stąd i większe bespieczeństwo dla prowincyi w głębi krajów położonych, a tak ciągle „infestowanych“ przez niespokojnych sąsiadów. Bodło więc dotkliwie gubernatora owo Bohdanowe „fundowanie się w chłopy“, kiedy on osadnictwa, pomimo najgorętszych zabiegów, przeprowadzić nie mógł tak pomyślnie, jak je przeprowadził prosty kozak, daleko więcej ograniczonemi rozporządzający środkami. Następstwem tego było rozpatrzenie służących Chmielnickiemu praw władania. Na nieszczęście, dokumenta nie znajdowały się w porządku, więc go rugować zaczął. Pokrzywdzony nie dał za wygraną, słał skargi coraz wyżej, coraz dalej — nie pomogły; tak jużeśmy wówczas ugrzęźli w paragrafach kodeksu, który z drugiej strony często lekceważyliśmy, a którego równie często chwytaliśmy się oburącz, jeżeli to nam dogadzało, że wszystkie instancye udowodniły najoczywiściej, jako setnik czehryński wyzuty być może słusznie z ojcowizny i nawet z późniejszego nadania, przez króla mu zapewnionego, dlatego tylko, że w swoim czasie aktu owego darowizny do ksiąg grodzkich, czy ziemskich, nie wciągnął, że darowizny tej nie potwierdziły sejmujące stany... a przecie godziło się uwzględnić mimowolny „mankament,“ choćby przez pamięć ojca, który głowę złożył na pobojowisku,

[1]) „Ojczyste spominki“ I. 138.

walcząc przy boku Żołkiewskiego za sprawę polską, pod Cecorą. Nie odrazu atoli przyszło do rugowania, musiał wprzód Czapliński kłaść do ucha hetmanowi o nieposłuszeństwie i buntowniczych projektach pisarza wojskowego, nim wyjednał u niego pozwolenie, jeżeli nie zabrania wszystkiego, to obcięcia i skurczenia nadań dawniejszych.

A tymczasem pod strzechą Subotowiecką nastąpiły pewne zmiany: pisarzowa zamknęła oczy, zostawiając sieroty; on zaczął już jawnie nadużywać trunków, wedle zwyczaju rozpowszechnionego na kresach. Smutny ten nałóg miał za następstwo schorzenie spadkobiercze, które się potem, szczególnie w synach, jako młodszych od córek, uwydatniło. Piękna Helena została pod strzechą wdowca, może w roli dozorczyni drobiazgu; czy została dobrowolnie, powiedzieć tego nie umiemy, jak równie oznaczyć czasu, kiedy ją poznał Czapliński, choć z pewnych wskazówek wnosićby można, że jeszcze za życia Chmielnickiej. Oto mianowicie, korzystając z nieobecności setnika czehryńskiego, udał się do Subotowa, by się rozpatrzyć w jego urządzeniu, bo dziwne o nim słyszał opowieści; nic nadzwyczajnego, krom wzorowego porządku, nie dostrzegł; gospodyni, składając się chorobą, nie pokazała się wcale, natomiast jej zastępczyni, piękna Helena, wyszła na powitanie podstarościego; olśnić go musiała, zapałał bowiem ku niej gwałtowną miłością. Niezwykle była piękna, kiedy potrafiła rospalić płomień namiętności w starych sercach dwóch przeciwników; przypuszczać można, że obudwu nęciła obietnicami, kiedy się tak zajadle rzucali na siebie, by przyjść do jej posiadania. Czapliński napotkał opór ze strony kobiety; może powodowana wdzięcznością nie chciała upakarzać swego chlebodawcy i opiekuna, dość, że dla porwania pięknej Heleny przyszło z rozporządzenia podstarościego do uorganizowania zajazdu, najpowszedniejszej w owej epoce formy, przez prawo tolerowanej, choć będącej namacalnym wyrazem jego pogwałcenia. Szło niby jedynie zarządowi czehryńskiemu o wyrzucenie pisarza wojskowego z nieprawnie posiadanego Subotowa. Naturalnie, że wszystko się odbyło według programu z góry nakreślonego: chaty osadników uległy zburzeniu, 400 kop zboża z gumna zabrano, młyn i domostwo Chmielnickiego stanęły w płomieniach, a z pośród nich wyniesiono wylękłą i nieprzytomną piękną jego mieszkankę [1]). Ślub się odbył według łacińskiego obrządku; Helena stepowa, teraz już podstarościna, jednocześnie przejść miała na łono kościoła katolickiego. Działo się to w 1646 r.; rozszalały pisarz wyzwał przeciwnika na pojedynek — po

[1]) Maciejowski — „Pamiętniki o dziejach piśmiennictwa i prawodawstwa słowian“ 1839, I. 319.

rycersku pragnął się rozprawić; wyszedł zeń cało, pomimo zasadzki: udał się potem do Koniecpolskiego, syna hetmana kor., który po zmarłym ojcu odziedziczył starostwo—nie wskórał nic; udał się do sądów — także spotkała go odmowa, więc pobiegł do Warszawy. Za nim podążył Czapliński, stawali razem przed obliczem senatorów, uproszonych na sędziów; w liczbie innych zarzutów, pokrzywdzony mówił o kobiecie porwanej, nazywając ją żoną. „Co się tyczy kobiety, protestował podstarości, to nie była ona wcale małżonką p. Chmielnickiego; trzymał ją przemocą u siebie, z tego powodu tak skwapliwie go opuściła, a że mi się podobała, więc związałem się z nią sakramentem... Nikt mnie więc nie zmusi do wyrzeczenia się jej, a gdybym to nawet uczynił, ona sama nie zgodzi się na to i za nic w świecie nie powróci do Chmielnickiego". Obecni zaczęli żartować: „I chce ci się, p. setniku, żałować takiej niewiasty! na świecie pełno piękniejszych znaleźć potrafisz, poszukaj innej, a ta niech zostanie przy tym, do którego tak się przywiązała" [1]). I u króla nic zdobyć nie potrafił; wówczas-to Władysław miał mu o szabli i jej obrończem znaczeniu napomknąć. Rozgoryczony, wrócił na dawne stanowisko; Subotowa już nie posiadał, bo ten oddany został przez nowego starostę Czaplińskiemu w dożywotnią dzierżawę; osiadł, więc w Czehrynie, we własnym dworku, by na oku być prześladowcy, a może bliżej owej utraconej, do której gorącym nie przestał pałać afektem. Przypuszczać się godzi, że mu jakieś nadzieje robiła płocha kobieta, że go przykuła do swego rydwanu jakimś czarem niezwykłym, bo tylko w ten sposób wytłómaczyć sobie możemy to wytrwałe trzymanie się na zagrożonem stanowisku. A że było ono istotnie zagrożonem, łatwo się czytelnik przekona z wcale pokaźnego regestru docisków, jakich mu nie skąpił podstarości, upojony zwycięstwem, tak na polu prawnych, jak i sercowych zabiegów... Nienawiść atoli wzmagała się w miarę tego, jak Bohdan zdobywał popularność w miasteczku, i kiedy dwór Czaplińskiego pustką świecił, w dworku pisarza było zawsze gwarno i wesoło: gościnny gospodarz podejmował licznych znajomych, wytwarzał stronnictwo, rodzaj oppozycyi, niechętnie usposobionej dla rzekomego wielkorządcy starostwa. To też obok kompanów malkontentów, spiskujących po cichu, zawsze niby lojalnie, bo na zasadzie przywilejów królewskich, zabiegał tu często Barabaszenko, setnik czerkaski, wierny rzeczypospolitej, wielki moderant, stróż owych nadań, w pergaminowe ujętych dokumenta; Jan Kreczowski, niegdyś „obywatel brzeski w wiel. księstwie litewskiem," a teraz pułkownik czehryński, więc bezpośredni zwierzchnik setnika, dzieci mu do chrztu trzymał,

[1]) Kostomarów — Boh. Chumil. I. 238—241.

i związany kumostwem, często zaglądał do ich ojca. Mikołaj Zaćwilichowski, po Komorowskim komisarz rzeczypospolitej wojska zaporowskiego, rycerz kresowy, „narodu ruskiego i zakonu ruskiego," nieodmiennej przyjaźni składał mu dowody. Dawna to zażyłość, datowała się od czasu wypraw na Pawluka i Ostranicę, więc ilekroć z Trechtemirowa zabiegł to Czehryna, nie opuszczał progów pisarza wojskowego, przyjmował niekiedy rolę pośrednika, koił, pogodzić pragnął; a co dziwniejsza, że nawet p. Jahn Szemberg, następca po Zaćwilichowskim na wysokim urzędzie, choć smutną sławę ciemiężcy, nie tylko u ludu ukraińnego, ale i u swoich zyskać sobie potrafił, przyjmował gościnę u Chmielnickiego chętniej, niźli w dworze podstorościńskim: tak się wszystkim niesprawiedliwemi być zdawały wybryki zbyt w swoją protekcyę zaufanego Czaplińskiego. Pisarz głośno powiadał — „że nigdy nie bywał w żadnej rebeliej i buntach swawolnych," więc pragnie, żeby się przekonano, jak lojalnie zawsze postępuje [1]). Nie uchroniło go to jednak od przykrości i docisków: młody starosta, chorąży koronny, skwapliwiej słuchał podszeptów swego oficyalisty i beskarnie pozwalał mu broić. I stało się, że raz Czapliński roskazał był oćwiczyć publicznie, na rynku, za jakąś psotę, Tymoszkę, starszego syna Bohdanowego; [2]) to znowu nasłał na niego kolegę, który podczas pochodu ciął swego kompana obuszkiem w głowę; wreszcie kozaka Pestę, szeregowca, namówił, by ten oskarżył setnika czehryńskiego przed starostą o zdradę i knowania buntownicze. W oryginalny sposób opisał wzmiankowaną obelgę sam aktor, w regestrze krzywd, przesłanym Michałowi Potockiemu, hetmanowi w k. po zgonie Koniecpolskiego: „Tę krzywdę największą sobie Chmielnicki uznawa, mianowicie, że tam go niejakiś Pesta, *cham*, kozak, podstępnie oczernił do Imci Pana chorążego koronnego, jakoby myślał armatę wyprowadzić na morze i t. d." [3]) Dodamy nawiasem, że niektórzy dziejopisowie w pogardliwym okrzyku przyszłego watażki upatrują dowód jego pochodzenia szlacheckiego, a przynajmniej aspiracyi do uprzywilejowanego stanu. Błędne mniemanie: aspiracye być mogły, ale zamykał je autor w skromnych ramach obywatela, do pośredniego stanu należącego, w rodzaju ziemia-

---

[1]) „Ojczyste wspominki" II, t. III.

[2]) Kostomarow l. c. 1, s. 160, utrzymuje, że oćwiczonym był trzeci syn Chmielnickiego, który wskutek strachu, karą spowodowanego, umarł w dni kilka potem. Z innych atoli źródeł przekonać się łatwo, że karze uległ Tymoszko, poległy w wiele lat potem, podczas oblężenia Soczawy. Szajnocha—„Dwa lata dziejów naszych" II, 8. „Szkice historyczne" IV, 197.

[3]) Michałowski—„Księga pamiętnicza" s. 5.

nina. Przecie Czapliński w rzędzie powodów, któremi się kierował, wywłaszczając go z Subotowa i słobódki Subotowskiej, dodawał, że mocen tylko indygena „władać ludźmi“ [1]); pod kluczem trzymał nie jednokrotnie setnika, a nad szlachcicem nie miał-by odwagi znęcać się w podobny sposób. Podstarości z biegiem czasu coraz więcej rozjadał się, jeżeli się tak wyrazić można, na swego przeciwnika; zięć jego publicznie się odgrażał, że, „jeżeli nie z Chmielnickim nie wskóra, wtedy go koniecznie zabić każe“ [2]). Zamiary jednak nie przychodziły do skutku; z więzienia wydobywał setnika Krzeczowski, jako poręczyciel, a niekiedy nawet piękna żona podstarościego. Chmielnicki z uniesieniem o tem wspomina, jest to jedyne pisane świadectwo, zdradzające uwielbienie groźnego potem mściciela dla kobiety: „gdyby nie ta, woła z niezwykłym patosem, cnotliwa i daremnie ginących litująca się Ester,“ nie uszedł-by zemsty nieubłaganego tyrana a jej małżonka [3]). Wdzięczność dla kobiety, wypowiedziana tak płomiennie, w chwili, kiedy zdawało się, że ją utracił niepowrotnie, każe przypuszczać, że namiętność nie wygasła w piersi zawiedzionego, i w dziejach smutnej rosterki zaważyła nie mało, nadała niejako rospędową siłę ruchowi, który się potem w takie wielkie rozlał obszary; co więcej, przypuszczać ona pozwala, że i owa Helena stepowa, pomimo że innemu poprzysięgła wierność, nie była zupełnie obojętną dla setnika czehryńskiego: może nią powodowało współczucie, — wszak przez nią ucierpiał; może urok, jaki posiadają ludzie, obdarzeni wyjątkową energią, nie opuszczający rąk wobec przeszkód napotykanych; może wreszcie przeczuła w przyszłym „sprawcy“ człowieka do wyższych przeznaczonego celów. Z drugiej znowu strony, zwycięstwo, acz zupełne, zdawało się nie zadawalniać Czaplińskiego,—czyżby podejrzewał w żonie za wiele sympatyi dla krnąbrnego kozaka? — a jednak, mimo wszystkiego, umiała ukoić czujność małżonka, zahypnotyzować go pieszczotami, kiedy poddawał się urokowi jej próśb, i choć chwilowo ostygał w swej nienawiści dla współzawodnika, łagodniał, przebaczał. Na zasadzie wniosków, dających się wysnuć z późniejszych wypadków, można-by mniemać, że, ulegając przestrogom i ostrzeżeniom Czaplińskiej, pisarz wojskowy postanowił usunąć się, zejść z oczu groźnego nieprzyjaciela, zbiegał na Niż w grudniu 1647 r., zostawiając wszystko, — syna tylko starszego, Tymoszkę, zabrał z sobą.

I tułając się po ostrowach Dnieprowych, słał skargi do osób wpływowych w Rzeczypospolitej, a we wszystkich występował na pier-

---

[1]) „Histor. belli cosacor. polon.“ s. 42 i 43.
[2]) „Pamiat.“ l. c. t. 3. t. 3 Michałowski l. c. t. 5.
[3]) Szajnocha.—„Dwa lata dziejów naszych“ II. s. 7.

wszym planie nienawistny małżonek jego dawnej kochanki, jego pani i królowej; widocznie miał go ustawicznie na myśli. Tęsknota, obrażona miłość własna, jak rdza, jadła go, więc wyładowywał w czczem słowie żal swój, z podstarościego najpowszedniejszego wykuwał, nie postrzegając tego, postać historyczną, a potem już, kiedy wybuchowi szarpiącej go żałości uczynił zadość, łagodniej regestrował inne krzywdy i pretensye. Jako dowód, przytaczamy wyjątek z jednej z takich odezw, wystosowanej do pana Krakowskiego (Mikołaja Potockiego, hetmana w kor.); ciekawy to zabytek pod tym względem, bo maluje człowieka... „nie rozumiem skąd znalazł się wróg spokojnego życia mojego, Czapliński, bękart litewski, opilca polski, złodziej i zdzierca ukraiński, podstarości czehryński, który, od ośmiu już lat zostając w Czehryńszczyźnie na dozorstwie od pana swojego, W. P. Koniecpolskiego, chorążego koronnego, mnogich braci naszych oszczerczem świadectwem i donoszeniem do szczętu zgubił i mienie ich sobie przywłaszczył; i oto już jawnie, nie pan chorąży koronny, lecz służka jego, łgarz, oszust i pijanica Czapliński, włada Czehryńszczyzną“ [1]).

Nie ulega przeto wątpliwości, że w owym strasznym procesie dziejowym, nie ugaszonym nawet krwi morzem, choć w części zaważyła kobieta.

II.

Z podstarościny hetmanowa.

Rok jeszcze upłynął od czasu, kiedy Chmielnicki opuścił Czehryn, unikając zemsty podstarościego, i jakże nie zwykła nastąpiła zmiana w jego położeniu: z prześladowanego pisarza wojskowego — pan Rusi, przyrównywany przez pochlebców do Aleksandra Macedońskiego, władca imponujących obszarów, bo wedle dzisiejszej miary przeszło 26,500 mil kwadratowych wynoszących, i „wszystkie te ukrainne prowincye, jak Kisiel powiada, za swoje własną szablę wzięte“ [2]). Tryumfator w pierwszej chwili uląkł się swego tryumfu; wyżyny popularności zanadto nagle były zdobyte, by znajdujący się na nich wybraniec nie dostał zawrotu głowy. W pierwszych też krokach Chmielnickiego pewnej dostrzegamy chwiejności: idzie naprzód niechętnie, jakby party siłą rozkiełznanych tłumów, które go obwołały dowódcą. Jeszcze, kiedy mu trunek zaprószył umysł, unosił się, miotał, złorzeczył prześladow-

[1]) Szajnocha — „Dwa lata dziejów naszych.“ II. 6.
[2]) Michałowski—„Księga pam.“ I 27.

com; ale w chwilach przytomności postępował inaczej, łagodniał, pewnych nawet objawów żalu dopatrzyć się można było niekiedy. A żałować należało, przeklinać nawet powodzenie, na widok ruiny, którą siał dokoła, on, gospodarz niegdyś skrzętny, przywiązany do gleby, posiadający pewne doświadczenie agronomiczne i przemysłowe. Ruina była istotnie przerażająca: już w sierpniu, więc po upływie pierwszych trzech miesięcy rebelii, liczono 65 miasteczek ukraińskich leżących w gruzach, a dokoła ich wioski, niegdyś kwitnące, zdmuchnięte jakby siłą uraganu; [1]) cała pohoryńszczyzna, to jest cały pas kraju wzdłuż Horynia położony, na kresach nowych zdobyczy kozackich rospostarty, przedstawiał istną pustynię [2]). Zniszczenie wylało się daleko po-za granice wymarzonych pretensyi kozackich: na północno-zachód po-za Lwów i Zamość gorzały w ogniach spokojne osady; na północ—kęs spory Wołynia, Pińszczyzna, Białoruś — zrabowane do szczętu; na wschód placówki rebelizantów daleko po za Dniepr wybiegły, a o południowych kresach nie było już mowy — bezpańskiemi zostały, w całem tego wyrazu znaczeniu. „Miasta puste, pisze nieznany korespondent współczesny, jeden szlachcic nie został, tylko *plebs*, z których część do Chmielnickiego poszła," a część została w domu, lekceważąc sobie „zagony", choć im często towarzyszyli Tatarzy, surowo karzący kmieci za spokojne dosiadywanie na miejscu [3]). Nie znamy liczby poległych, choć ta musiała być przerażająco wielką, tak przynajmniej wnosić można z danych, dotyczących żydów, wymordowanych w ziemiach ukraińnych, a przytoczonych u Graetza: [4]) dowodzi on, że pierwsza rzeź izraelitów w 1648 r., na prawobrzeżu Dnieprowem, miała miejsce w Niemirowie (padło 6,000 osób), potem w Tulczynie (Nesterwarze 2,000), Połonnem (10,000), — jednocześnie zginęło wtedy 400 szlachcianek i dzieci chrześciańskich, szukających schronienia w zamku,—rabunek obliczono na 4,000,000 zł. [5]). W Konstantynowie padło 3,000 przewiernych, w Barze 2,000, w Narolu 12,000, nie licząc mniejszych pogromów w Zasławiu, Ostrogu, Dubnie, Winnicy, Bracławiu i t. d. i t. d. Przyszły i choroby wskutek głodu i wstrząśnień moralnych: jedna tylko gmina żydowska we Lwowie straciła z powodu moru 10,000 osób. Wogóle zburzono 300, „parafii" żydowskich [6]), w nich zaś

---

[1]) Michałowski l. c. s. 158.

[2]) Michałowski l. c. s. 151.

[3]) Michałowski l. c. s. 65.

[4]) „Geschichte des Juden," tłómaczenie Harkowi. „Kijewskaja Starina" XXIX s. 398.

[5]) Michałowski — „Księga pamiętnicza" s. 158.

[6]) Parafia obejmowała pewną przestrzeń kraju, a w skład jej wchodzili izraelici, osiedli w miasteczku i w wioskach, do parafii należących. (Obszerniej o tym po-

250,000 mieszkańców utraciło życie. A tak się upamiętniły w dziejach judaizmu kresowego straszne chwile tego prześladowania, że do dziś izraelici w Niemirowie podolskim postem i modlitwą obchodzą rocznicę ową żałobną (21 czerwca), i nigdy potem osadnictwo żydowskie nie dosięgło takich rozmiarów, do jakich doszło w zaraniu inkursyi kozackiej [1]). Pod wpływem owych bolesnych wstrząśnień, Kisiel, podówczas wojewoda bracławski, wyrzucał swojemu przyjacielowi, Chmielnickiemu, nieludzkie postępowanie: „ołtarze Bogu poświęcone, woła rozżalony senator, polskie i ruskie, sprofanowane, płeć białogłowska i niewinne dziatki zamordowane, i wszystkie okrucieństwa, jakich nie czynią Turcy, Tatarowie nam, od chrześcian chrześcianom, poddanym Rzeczypospolitej, wszystko to woła o pomstę do nieba“. List ów datowany w sierpniu 1648 r., więc na początku ruchu; jeszcze wówczas pozwalał sobie Chmielnicki robić uwagi, sam nawet okazywał pewne współczucie, pamięć dawniej wyświadczonych sobie usług; tak naprzykład ostrzega w czerwcu Czernego, podstarościego białocerkiewskiego „sługę Im. Pana Stanisława Lubomirskiego, wojewody Krakowskiego,“ żeby się miał na baczeniu, kiedy kozackie wojska ciągnąć będą, bo niepodobna, aby „między dobrymi i źli nie byli,“ lepiej usunąć się do miasteczek, chudobę w bespieczne uprowadzić miejsce. A czyni to dlatego, że kiedy po rozgromie korsuńskim dostała mu się kancelarya obozowa hetmanów, znalazł w niej „siła listów wojewody krakowskiego,“ w których ten nie radził, aby następowano na wojsko zaporoskie [2]). Toż i o więźniach: u Żółtych wód dostało się w ręce jego 3,000 „towarzystwa szeregowego“ i 50 znaczniejszych oficerów, między którymi Szembeczek (?) i Sapieha, komisarze; wszystkich natychmiast odstawiono do Czehryna z surowym rozkazem, żeby starszyznę polską, „zakutą w kajdany,“ roskwaterowano wygodnie w domach prywatnych, pod strażą kozacką, i zaopatrywano ją w żywność,—obowiązek ten prowiantowania więźniów przelał na magistrat miejscowy, szeregowcy zaś—mają być osadzeni w „turmach“ i na zamku także karmieni, by głodem nie przymierali, a rannych leczyć i doglądać uczciwie [3]). Korsuński pogrom więcej jeszcze żniwa zwycięscom przysporzył, zaraz na polu

---

dziale patrz „Archiw J. Z. R.“ część V, t. II. Kijów 1890 r.). W XVIII w. kilka, albo kilkanaście parafii stanowiło kahał.

[1]) Spis poborowy, dokonany w 1765 r., wykazał w czterech województwach: kijowskiem, wołyńskiem, podolskiem i bracławskiem, 131,782 mieszkańców do starego należących zakonu, (Arch. J. I. R. V. II. s, 235).

[2]) „Pam. izd. K. K.“ 1. 3. 48.

[3]) Wieliczko — „Letopiś“ 1. 64.

walki zregestrowano jeńców; Chmielnicki zapowiedział, że każdy, kto złoży okup, wolny będzie natychmiast, kto tego nie uczyni, pójdzie w łyka tatarskie; z takąż propozycyą wysłał pułkownika Kreczowskiego, niegdyś swojego zwierzchnika, a teraz podkomendnego, do Czehryna. Naturalnie propozycya nie dotyczyła hetmanów i przedniejszych 60 oficerów,—ci i tamci przeznaczeni byli dla hana. Że jednak drobiazg pokonany nie posiadał odpowiednych środków, więc 8,000 szeregowców zabrał z sobą Tuhaj-Bej do Krymu; zostało w Czehrynie tylko 520 i 65 oficerów, którzy przyrzekli byli złożyć żądany okup i stanowili wyłączną własność hetmana zaporoskiego. Tatarzy nie bardzo byli żądni „żywego towaru," bo go mieli do zbytku; zwyczajny jeniec, nieposiadający jakiego bądź rzemiosła, upadł bardzo w cenie na rynkach handlowych, a karmienie jego, lada jakie nawet, kosztowało zbyt wiele, —za byle co można się było okupić. Jako dowód szczególnej estymy dla hana, posłał mu Chmielnicki dwóch doboszów i sześciu trębaczy, upominek bardzo pożądany, poszukiwany i wysoko zwykle ceniony; wspólnik zaś wyprawy dostał „srebrny kredens" kunsztownej roboty [1]). Ale wróćmy do jeńców: kiedy się Kisiel wstawiał za pozostałymi w niewoli kozackiej, przez wysłańca w tym celu delegowanego, Chmielnicki go uspakajał następującą odpowiedzią: „przy nas, przy *samej głowie*, lubośny mniejszymi w urodzeniu, lepiej jednak na p. Boga pamiętamy, że żaden z Polaków, który do naszych rąk hetmańskich dostał się, nie jest umorzony i wszyscy są żywi" [2]). Ale w miarę rosnącego powodzenia, zwiększało się i okrucieństwo; już pewnego znęcania się dostrzegamy nad jeńcami, po wzięciu Baru i Kudaku odstawionymi do hetmana: przedniejszych z nich, osadzonych w Trechtemirowie, często brał z sobą, dragoni zaś, przykuci do dział, wędrowali w orszaku tryumfatora. Na przybycie komisarzy polskich w 1649 r. sprowadził ich do Perejasławia; pomiędzy nimi byli: Jędrzej Potocki, syn Stanisława, późniejszego hetmana w. k., dzielni obrońcy Kudaku, Grodzicki i Łączyński, Czarniecki i Koniecpolski [3]). „Siedliśmy z Chmielnickim,—zdaje relacyę autor dyaryusza,—w podwórzu zamkniony dla pospólstwa i tumultu; więźniowie też opłakani, na poły żywi stanęli, którzy już nie mogąc ani przysięgami i traktatami, ani okupem, ani prośbą wyniść, prosili, żeby

---

[1]) Wieliczko — „Letopiś" I. 73. 74.

[2]) „Pamiat. izd. K. K." I. 3. 214.

[3]) Dubiecki w znakomitej swej pracy (Kudak) utrzymuje, że młodziuchny Stanisław Koniecpolski, po zdobyciu Kudaku, padł okrutną śmiercią pod ciosami namiętnego gminu (s. 137). W rodowodzie Koniecpolskich, (s. 163) znajdujemy dwóch tego nazwiska; Jakóba i Stanisława, zabitych w Kudaku, więc musiał być trzeci, którego w liczbie jeńców widzieli komisarze na początku 1649 roku.

ich do Tatar odesłano“ [1]). Nie zgodził się hetman, nawet odgrażał, a jednak jeszcze nie tak surowy był dozór, kiedy w orszaku komisarzy wyszło z Kijowa, gdzie wstępowali po drodze, do 100 jeńców, a między nimi kilku oficerów i kilkudziesięciu dragonów kudackich [2]). Jakże się rzeczy w lat dwa potem zmieniły!

Względnie dotatnie rysy groźnego watażki zsumowaliśmy tutaj — chcemy być bezstronni — objawy to pierwszych dni panowania, czynimy to zastrzeżenie, bo późniejsze cechowało nieubłagane okrucieństwo, połączone z brutalnem pastwieniem się nad ofiarami.

Dopiero po powrocie z pod Zamościa, więc w jesieni 1648 r., zainstalował się w Czehrynie; wjeżdżał do niego „z muzyką na czele i zastępami swoich kozaków; na spotkanie zwycięskiego wodza lud wyległ cały z okrzykami powitania i radości“ [3]). Jednocześnie wszedł w posiadanie Subotowa, już wcześniej, z jego rozkazu, naprędce wyporządzonego; w mieście na rezydencyę dwór własny obrał sobie, dawne podstarościńskie apartamenta na więzienie przeznaczone zostały.

W Czehrynie też po raz pierwszy występuje piękna żona podstarościego — pani Czaplińska. Gdzie się znajdowała podczas owych krwawych początkowych zapasów, co się stało z niefortunnym jej małżonkiem? tego wypowiedzieć, na zasadzie sprzecznych wzmianek, nagromadzonych we współczesnych źródłach, nie podobna. Wiemy, że pogrom Żółtowodzki nastąpił w maju, wiemy, że jeńcy z pola bitwy wysłani byli przez zwycięzcę do Czehryna, więc widocznie miasto już podówczas nie posiadało załogi polskiej; czyżby więc Czapliński, tak blizki operacyi wojennych, miał dosiadywać spokojnie na urzędzie, lekceważąc wszystko, co się działo dokoła niego?—wątpimy bardzo, a wszakże z opowieści Wieliczki wnosić można, że tak było istotnie; oto, powiada on, że Chmielnicki, zaraz po Żółtowódzkiej potrzebie, wyprawił do Czehryna „półtorasta kozaków wiernych i przezornych, na których włożył obowiązek pojmania zaciętego wroga swego, Czaplińskiego; przybyli oni o zmierzchu do miasta, zastali podstarościego już po wieczerzy, zabierającego się do spania, pochwycili go bez dyskrecyi, i jego pański grzbiet, ubrany w jedną bieliznę, ogrzmocili nahajkami; narzucili na jeńca kożuch stary, kazali mu na zawsze pożegnać się z p. Czaplińską, i wsadziwszy na koń, udali się zpowrotem do Chmielnickiego, co wszystko zabrało czasu dwa dni i noc całą. Watażka gniewnie powitał przybysza; jeńcom polskim powiedział, że z przyczyny podstarościego

[1]) Michałowski „Księ. pam.“ s. 382. „Pam. izd. K. K.“ I. 3. s. 351.
[2]) Michałowski l. c. s. 383. „Pamiat.“ l. c. I. 3. s. 354.
[3]) „Quatre années de guerre etc. trad. de l'hebreu de Javan Machsoula par Daniel Lévy s. 69.

tyle krwi rozlano, kazał mu zaraz ściąć głowę i ciało pochować o kilka staj za obozem, by popiołów nieprzyjaciela pokoju i zgody nie łączyć z kośćmi indygenów, poległych tu za sprawę, wywołaną przez niego“ [1]). Zdaje się to prawdopodobnem, ale jakże potem zrozumieć uporczywe upominanie się Chmielnickiego u stanów Rzeczypospolitej o wydanie mu tegoż Czaplińskiego, powtarzające się wytrwale w ciągu prawie całego następującego roku [2]). Czyżby to był wybieg watażki kozackiego, wcale dla nas niezrozumiały? Przecież nie tylko na piśmie, ale i osobiście, upominał się u Kisiela, jako komisarza Rzeczypospolitej, o dostawienie mu podstarościego czehryńskiego; toć wojewoda zaprotestował-by przeciw temu, gdyby tak było istotnie, jak to opisuje Wieliczko. Wreszcie Chmielnickiemu zależało na tem, żeby mu nienawistny oficyalista Koniecpolskiego ustąpił z drogi, choćby z tego powodu, że był mężem kobiety, którą hetman zaporoski pojął za żonę. Niechybnie więc podstarości w porę umknąć potrafił, a że nazwisko jego nabrało smutnego rozgłosu w całej Polsce, gdzieś się ukrył; może podczas ucieczki natknął się na zagon kozacki i poległ, a pani sama dostała się do niewoli i w Czehrynie czekała dalszych wypadków cierpliwie; spotykamy już ją tutaj w listopadzie, jako przyjaciółkę, wyglądającą przybycia dawnego opiekuna, a zawsze wiernego kochanka. I ożenek ten wyjątkowy odbył się pierwszych dni stycznia 1649 r., jakby „przez prokuracyę;“ pan młody znajdował się podczas aktu w Kijowie, a oblubienica jego w Czehrynie; ślub dawał patryarcha, jak sam hetman kozacki powiadał o tem Kisielowi, w kilka tygodni później: „na wojnę z lachami błogosławił, tytuł *illustrissimo principi* nadał, z żonką moją dał mi ślub i z przestępków rozgrzeszył, lubom się nie spowiadał“ [3]). Wojewoda, jako gorliwy wyznawca wschodniego obrządku, zaraz tłómaczy, co zacz jest ów dygnitarz duchowny? „Nie z Konstantynopolskiej, ale z Hierozolimskiej ziemi,“ wypędzony za ciężkie występki, odłączony od kościoła, a kiedy się potem udał do Moskwy, został źle bardzo przyjęty: „subtelna Moskwa,“ ciągnie dalej, poznała w nim samozwańca i szalbierza. W Kijowie sam się wysunął na pierwsze miejsce, może nawet wypchnięty przez metropolitę, który nie chciał gwałcić przepisów kościoła dla dogodzenia fantazyi nowego władcy. Więc kler miejscowy politycznie wprawdzie podejmował go u siebie, u archimandryty na bankiecie na pierwszem miejscu posadził,

---

[1]) Wieliczko — „Letopiś“ I. 63—64.
[2]) Michałowski — „Księga pamiętnicza“ s. 366, 371, 372.
[3]) Michałowski „Księga pamięt.“ 377.

ale w cerkwi stał na uboczu, jakby biernie protestując przeciw nadużyciu; patryacha, nie oglądający się na takie drobnostki, udzielił nowożeńcowi komunii, choć ten wzdragał się—„bo chmiel miał w głowie i nie spowiadał się,"—za to otrzymał w darze 1,000 złotych i sześć koni cugowych. On to właśnie jednocześnie posłał Czaplińskiej odpuszczenie grzechów, „ślub małżeński, trzy świece, które się same zapalają, mleko Najświętszej Panny i cytryn misę" [1]).

Z niewielu szczegółów, przekazanych nam przez współczesnych, wnosić można, że piękna Helena stepowa na wysokości zdobytego tak niespodziewanie stanowiska utrzymać się nie potrafiła, w życiu publicznem udziału nie brała, albo jeżeli występowała niekiedy, to w podrzędnej roli służebnicy, czy potrzebnej gospodyni, częstującej gości swego małżonka, a przeważnie jego samego. Utrzymują niektórzy, że czyniła to, chcąc dogodzić staremu swojemu panu i w ten sposób wywierać na niego i jego otoczenie wpływ, choć doprawdy tego wpływu nie dostrzegamy wcale. Zwykle podczas uczty, przystrojona w kosztowne materye i aksamity, owieszona brylantowemi łańcuchami, w dyademie i pierścieniach przepysznych, napełniała złociste kielichy najpowszedniejszą gorzałką, traktując nią obecnych, nakładała „lulki," a potem, na zakończenie, na czerepku glinianym ukochanemu małżonkowi ofiarowała tabakę, której, przez grzeczność, i inni napierali się goście [2]). Jak na ten związek patrzyli poważniejsi obywatele — nie wiemy, nieliczna atoli gromada prastarej ludności, w miastach osiadłej, szczerze pobożnej, nie zupełnie oczarowanej wielkością „szczęśliwego desperata," musiała sarkać na to pogwałcenie praw kościelnych. Co więcej, kiedy zaraz po owych dziwnych ślubowinach, Kisiel, wojewoda bracławski, na czele komisarzy, wysadzonych przez Rzeczpospolitą, wybierał się do hetmana kozackiego, pozwolił, by mu żona towarzyszyła w tej niebespiecznej wyprawie, lecz pozwolił, dopiero zapewniwszy się, że w miejscu przeznaczonem na spotkanie stron nie będzie się znajdowała „nieprawa" przyjaciółka tryumfatora. Więc, jak powiadamy, wyjątkowe położenie dawnej podstarościny stanowiło jedną z tam, trudnych do przebycia, do wydostania się na wyżyny „udzielnej pani;" że nie starała się o usunięcie ich—nie ulega to prawie wątpliwości. A wszakże, jako żona człowieka, losy milionów ludzi dzierżącego w dłoni, dodatnio-by mogła oddziaływać na niego — wszak ją tak kochał gorąco — nie umiała jednak, a raczej nie chciała... Żadnego bowiem aktu miłosierdzia jej, wstawiennictwa, ulżenia ciężkiej doli poszkodowanych

---

[1]) „Pam." l. c. I. 3. s. 325—339. Michałowski l. c. 378.
[2]) Węgrzynowski.

albo prześladowanych nie przekazały nam dzieje. Wprawdzie okazywanie współczucia dla pokonanych wobec rozwścieklonej czerni było rzeczą niebezpieczną; ale kobieta z sercem, rosporządzająca takiemi środkami, mogła łatwo ominąć szkopuły, nie szukając rozgłosu i owacyjnych błogosławieństw udobrodziejstwowanych: przecie z tego kataklizmu wydostała się pewna garstka zaskoczonych pogromem; ci po powrocie do swoich powiadali o tych, którzy im rękę pomocy podali; z tych opowiadań dowiadujemy się o względach wdzięczności takiego Tuhaj-beja dla Sieniawskiego, takiego Chmielnickiego dla Lubomirskich i Zamoyskich [1]), kleru i mieszczan kijowskich dla indygenów, falą wstrząśnień zapędzonych do prastarej stolicy Rusi i troskliwie przez nich przechowywanych [2]). Powszechnie był znany wpływ zbawienny Wyhowskiego na hetmana zaporoskiego: kiedy ten napadowi niezwykłego rozdrażnienia ulegał, pisarz wojskowy używał go zwykle na zmiękczenie gniewu swego zwierzchnika, na złagodzenie losu tych, którzy tego gniewu paść mieli ofiarą. Co więcej, nawet córki Chmielnickiego zostawiły w dziejach ślady wielkiego współczucia dla niedoli, czynnych a poczciwych zabiegów w jej osłodzeniu nieszczęśliwym, siłą okoliczności w beznadziejną otchłań ucisku zepchniętym, a o pani hetmanowej nigdzie wzmianki. Nawet tytułu jej odmawiano; z pewnym przekąsem i lekceważeniem nazywają ją pamiętnikarze współcześni dawną Czaplińskiego żoną. Rozszerzyliśmy się, mówiąc o kobiecie, bo idzie nam o wykazanie, jak podrzędną rolę odegrała ona w tem napół dzikiem społeczeństwie. Próżna, lekkomyślna, rozmiłowana w strojach, żyjąca z dnia na dzień, nie potrafiła nawet zawiązać bliższych stosunków z małżonkami podkomendnych hetmana; proste kobiety, zbytecznie w trunku rozmiłowane, ale w gruncie moralne, darować jej nie mogły i tych występów publicznych w roli bajadery, i tych umizgów do całego męskiego otoczenia. Samotną więc na dworze hetmańskim została do końca, obcując tylko z wróżkami. A był ich poczet niemały: już pod Zamościem występowała jakaś Marusza czarownica, przybyła z wojskiem z dalekich ukrain; pod wpływem jej ostrzeżeń, oblegający zaprzestali oblężenia twierdzy [3]). Podczas kampanii Bereteckiej sporo ich liczono w otoczeniu starszyzny kozackiej; czerń obozowa, wzburzona niepowodzeniem, na nich gniew swój wywierała, mordując bez miłosierdzia za fałszywe, nieziszczone przepowiednie [4]). Ale obok tych obozowych chowała się jeszcze poważna

---

[1]) „Histor. belli cosac. pol.“ 91—93.
[2]) Jerlicz — „Latopis“ II. 70.
[3]) Kostomarow — „Bohd. Chmiel.“ II, 41.
[4]) Kostomarow I. c. II. 364.

gromada czarownic pałacowych, rodzaj domorosłych astrologów w spodnicach; hetman prawie co noc odbywał z niemi narady, jak tego dowodzą wzmianki w dyaryuszu podróży komisarzy do Perejasławia; naprzykład pod d. 32 lutego 1649 r. spotykamy następującą uwagę: „długo spał (Chmielnicki), bo z czarownicami dopijał, które go często bawią i tego roku jeszcze szczęście na wojnie obiecują“ [1]). Niechybnie i hetmanowa używała ich pośrednictwa, by choć w ten sposób zdobyć wpływ na przesądnego małżonka.

Zostawało jej jeszcze jedno poważne zadanie do spełnienia, mianowicie matki przybranej; zobaczmyż, jak się z niego wywiązała. Pierwsza żona Chmielnickiego zostawiła czworo dzieci; ta druga znała je dobrze dawniej, znana i im dobrze była, że zaś własnego potomstwa nie miała, tem więc łatwiej poświęcić się mogła sierotom: z tych dwie córki starsze w epoce naszego opowiadania występowały, jako panny dorosłe, choć jeszcze bardzo młodziutkie; blado się zarysowują ich sylwetki, jednak i tych kilka skąpych rysów, przekazanych z przeszłości, dodatnie o nich dają wyobrażenie — wątpimy atoli, żeby to zawdzięczały wpływowi macochy. Synowie jakby u przeciwnego stoją bieguna. Wieliczko, pomimo wielkiego uszanowania dla pamięci hetmana, nazywa ich „paliwodami rospasanymi“ [2]). Starszy pod tym względem prym trzymał—nawskroś zepsuta natura, nieledwie już w samem dzieciństwie; żyć wcześnie zaczął, fizycznie rozwinięty nie zbyt silnie, zeszpeczony ospą, niechętny i tępy do książki, do gorzałki wdrożony jeszcze małem chłopięciem, samolubny, mściwy, w psotach pomysłowy, choć zwykle ponury i milczący, musiał broić nie mało, kiedy go, dwunastoletniego wyrostka, publicznie na rynku w Czehrynie oćwiczyć kazał zięć podstarościego Czaplińskiego; nie przeczylibyśmy, jak tego chcą stronnicy ówczesnego pisarza wojskowego, że egzekucya ta była aktem zemsty osobistej, gdyby późniejsze niedługie życie Tymoszka nie zadało temu kłamu, gdybyśmy w tem życiu nie znaleźli faktów, tłómaczących nam zbyt surowe postępowanie Komorowskiego. Chłopiec po tej rozprawie podążył w krótce z ojcem na Niż; pobyt na Zaporożu, a potem w Krymie, trwający prawie rok cały, dokonał reszty nie bardzo fortunnej edukacyi. Ojciec go zostawił jako zakładnika za Perekopem; han polecił go opiece Ormianina pewnego, kazał zakładnikowi co dzień stawić się przed swojem obliczem, zalecił znajomić się z dworem i murzami, [3]) co wszystko ujemnie oddziałało na przyszłego

[1]) Michałowski—„Księga pamięt.“ s. 374.
[2]) „Letopiś“ I. 14.
[3]) Wieliczko — „Letopiś“ I. 47.

kozackiego dynastę: statarzał, zdziczał jeszcze bardziej, nauczył się tylko mowy ich, a zresztą wyniósł z przedpokojów hańskiego pałacu obojętność w rzeczach religii, lekceważenie rodziny, rospasanie, przebiegłość, przy braku wytrwałości,—może mu po temu na siłach fizycznych, zbyt wczesnem ich nadużyciem zniszczonych, zbywało. Z Krymu przybył dopiero pod Pilawę, na czele czambułu tatarskiego [1]). W Czehrynie zastał już macochę, jeżeli nie de *jure*, to *de facto* rosporządzającą się jak samowładna pani; nie lubił on jej, zdradzał się z niechęcią od samego początku; kronikarze ruscy z wielkiem zgorszeniem wzmiankują, jako postąpił „nieobyczajnie“ z mnichem, wysłannikiem wzmiankowanego dawniej „rzekomego patryarchy, który przywiózł Czaplińskiej, oprócz niezwykłych podarunków, i „absolutorium grzechów:“ trzynastoletni Tymoszko naprzód upoił gościa gorzałką, a kiedy ten, straciwszy przytomność, z nóg się zwalił, ogolił czy osmalił mu zupełnie brodę i tem na pośmiewisko naraził; hetmanowa, chcąc wysłannikowi choć w części nagrodzić krzywdę, pięćdziesiąt talarów od siebie mu ofiarowała [2]). Ciągle też dotkliwie dokuczał kobiecie, i rosnąc z laty, stworzył na dworze hetmana silne przeciw niej stronnictwo. Niektórzy utrzymywali, że nienawiść ta miała być wynikiem zawiedzionej, albo raczej niezaspokojonej miłości; że Tymoszko rozgorzał namiętnością ku podstarościnie, kiedy ta, jako dziewczyna, bawiła w domu jego rodziców. Podajemy fakt powyższy, dla uzupełnienia wizerunku, i przechodząc nad nim do porządku dziennego, zaznaczyć mamy prawo, że nie z jej winy ukształtował się tak ujemnie charakter starszego syna hetmana. Młodszy, Jerzy, zwykle Jurkiem albo Jurasiem zwany, okazywał pewnego rodzaju przywiązanie do macochy, matki własnej nie pamiętał, odumarła go w niemowlęctwie, a niedołężny był i nad wszelki wyraz wątły,—wątłość tę zachował do końca niedługiego życia. Tego przynajmniej uczono choć trochę: w domu miał nauczyciela, mnicha Dobrodzijaszkę, który wykładał łacinę; Samuel Zorko, sekretarz ojca, lekcye dawał polskiego języka, podówczas uważanego niejako za dyplomatyczny [3]); wiemy nadto, że po zgonie hetmana kończył studya „teologiczne“ w Akademii kijowskiej [4]); ale skutki opilstwa rodzica zanadto się uwydatniły w potomku: Bieniewski w 1660 r. pisze, że Juraś „de facto kaduk i rupturę cierpi,“ to jest, że obok przepukliny, ulega napadom epileptycznym [5]), a Wieliczko na-

[1]) Kostomarow I. c. I. 4.
[2]) „Pamiat.“ l, c. I. 3. s. 339.
[3]) Wieliczko — „Letopiś“ I. 54.
[4]) Samowidiec, dr. wyd. s. 250.
[5]) „Pam.“ l. c. IV. 3. s. 34.

zywa go „rzezańcem (jewnuchem),“ [1]) choć skąd inąd wiemy, że lubił kobiety, że potem, jako książę Sarmacyi, w Niemirowie harem liczny, w piękne okazy zaopatrzony, utrzymywał, może gwoli gustom padyszacha, którego podówczas był wasalem [2]). W dzieciństwie atoli on jeden z całej rodziny hetmana przywiązał się do jego drugiej, tak awanturniczo zdobytej, małżonki; macocha też, chcąc nagrodzić przywiązanie, otaczała troskliwemi zabiegami wątłego i chorobliwego wyrostka.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dr Antoni J.

[1]) „Letopiś“ I. 14.
[2]) „Opowiadania historyczne“ t. I

Dzisiejsze środki badań biologicznych.

Biologia czyli nauka o życiu jestestw organicznych, w szerokiem znaczeniu tego wyrazu, rozwija się za dni naszych z niezwykłą szybkością. Kto jest w tem szczęśliwem położeniu, iż mógł się wtajemniczyć w pracę wielkich warsztatów biologii współczesnej, ten ze zdziwieniem spogląda na olbrzymią produkcyę tej pracy. Setki botaników, zoologów, anatomów i fizyologów ślęczą nad niezgłębioną i tajemniczą księgą życia, czerpią bogate skarby z tej bezdennej krynicy, a rezultaty ich badań i poszukiwań ogłaszają nam niemal codziennie setki czasopism i wydawnictw ściśle naukowych, lub uprzystępniających postępy wiedzy dla szerokich mas ogółu czytającego.

Gdy znajdujemy się w wielkiej fabryce tkackiej, gdy słyszymy świst machin, spoglądamy na ruch ogromnych kół rozpędowych, na setki pasów rzemiennych, przebiegających przez sale warsztatowe, gdy dokoła nas rozlega się turkot i łoskot ogłuszający, gdy tysiące nici w drgających ruchach przeszywają powietrze, a setki robotników wykonywają rękoma mozolną pracę—dziwimy się często, że tak olbrzymi nakład pracy zużywa się na wykonywanie tak prostego i słabego przedmiotu, jakim jest tkanina płócienna! Otóż podobnego wrażenia, ale jeszcze w znacznie silniejszym stopniu, doznajemy wtedy, gdy porównywamy olbrzymią i imponującą pracę w warsztatach biologii spółczesnej z istotnemi postępami naszych wiadomości o życiu. Ale łatwo pojmiemy ten powolny stosunkowo postęp przewodnich idei biologicznych

gdy zważymy, że tajniki życia są najtrudniej dostępne dla umysłu ludzkiego ze wszystkich tajemnic przyrody, albowiem życie jest najbardziej skomplikowanym objawem natury.

Często też dla ścisłego i dokładnego zbadania pewnego drobnego zjawiska biologicznego, dla stwierdzenia szczegółu faktycznego, niezbędnym jest olbrzymi nakład pracy i czasu, dla wykrycia zaś wszelkiej ogólniejszej zasady, wszelkiego prawa, rządzącego przejawami życiowemi, nakład trudów jest jeszcze stokroć większy. Znakomicie scharakteryzował tę mozolną pracę naukową Justus Liebig. „Częstokroć — mówi znakomity uczony [1]) — wyniki pracy naukowej, noszącej piętno doskonałości, wyrazić można w kilku słowach, które pozostają trwałemi faktami. Lecz dla zdobycia tych kilku faktów potrzeba było może doświadczeń bez liczby, prac bez końca. Owe prace, owe doświadczenia złożone, owe przyrządy, z takim trudem budowane, giną w niepamięci, skoro tylko postawione zagadnienia rozwiązanemi zostaną. Są one jak owe przekopy, jak chodniki, które należało wykonać, jak drabiny, które przychodziło wiązać ze sobą, by dostać się wreszcie do żyły bogatej, którą eksploatować zamierzono. Są one jak owe kanały i pompy, odprowadzające wody i gazy szkodliwe, wobec których kopalnia pozostała-by niedostępną.

Środki, któremi biolog zdobywa nowe fakta, zależą przedewszystkiem, podobnie jak w innych umiejętnościach, od istniejących metod. Im bardziej metody są wyrobione, im bardziej drogi utarte, tem prędzej badacz dochodzi do celu, tem trudniej zbacza na manowce. Należyty stan metod badania jest więc jednym z najważniejszych warunków pomyślnego postępu danej umiejętności.

Pod wyrazami „metoda badań" pojmować należy dwie odrębne rzeczy, zwłaszcza gdy chodzi nam o badania przyrodnicze. Przedewszystkiem pojmujemy przez to metodę psychologiczną, a więc umiejętne stawianie pytań, ścisłe i dokładne wysnuwanie wniosków i uogólnień, a nadewszystko jasno i wyraźnie wytknięty cel w badaniach. Po drugie zaś, pojęcie „metody badania" obejmuje także istniejące w nauce środki do zdobywania surowego materyału faktycznego, albowiem dokładne zebranie danych faktycznych jest pierwszym a nieodzownym warunkiem wszelkiej dalszej pracy teoretycznej. O tych-to właśnie środkach badania zamierzam powiedzieć słów kilka, a więc o środkach, dzięki którym biolog ma możność ścisłego sprawdzania faktów, dokładnego stwierdzania zjawisk.

---

[1]) Słowa wielkiego chemika przytacza Karol Vogt w przedmowie do swoich „Listów o fizyologii." Przekład polski Dra K. Dobrskiego.

Na postęp biologii współczesnej wpłynęły przedewszystkiem liczne, znakomicie urządzone instytuty i laboratorya fizyologiczne, zoologiczne, anatomiczne i t. d., istniejące przy uniwersytetach i innych wyższych zakładach naukowych, szczególniej zaś — stacye biologiczne nadmorskie, które umożliwiły dokładne badanie organizmów morskich. Do ostatnich trzydziestu lat zoologowie i botanicy interesowali się stosunkowo mało fauną i florą morską, a przynajmniej bez porównania mniej, aniżeli biologią ustrojów lądowych i słodkowodnych. Zwrócenie się do badań nad organizmami morskiemi było koniecznym wynikiem biegu i rozwoju biologii, a stacye nadmorskie w znakomity sposób ułatwiły to zadanie.

A mianowicie, nowoczesna biologia doszła do wniosku, że wszystkie dziś żyjące zwierzęta (to samo tyczy się naturalnie i świata roślinnego) rozwinęły się w ciągu niezmierzonych okresów czasu ze wspólnych form pierwotnych, wskutek powolnego przeobrażenia. Pomiędzy różnemi grupami zwierząt wykazano nici pokrewieństwa, a bliższe określenie stopnia i natury tego ostatniego, zbadanie stosunku jednych grup do drugich — stało się jednym z ważniejszych celów badań zoologiczno-anatomicznych w ostatnich kilku dziesiątkach lat. Anatomia porównawcza i embryologia, t. j. historya rozwoju zarodka, postawiły sobie za jedno z najważniejszych swych zadań wykrycie naturalnego pokrewieństwa pomiędzy różnemi grupami zwierząt, a systematyka i klasyfikacya dzisiejsza jest tylko wyrazem tego pokrewieństwa i opiera się na danych anatomii porównawczej, oraz nauki o rozwoju zarodkowym. — Otóż, rzecz naturalna, że w badaniach tego rodzaju chodzi o poznanie budowy anatomicznej oraz rozwoju możliwie najróżnorodniejszych grup zwierząt, pod tym zaś względem fauna lądowa i słodkowodna ustępuje bardzo morskiej. Prócz tego, w ogólności większa część niższych grup zwierzęcych zamieszkuje morza. Tak zwane pierwotniaki reprezentowane są w morzach przez niezwykle bogatą grupę radiolacyi i otwornic; typ zwierząt jamochłonnych, do których należą gąbki, korale, polipy, meduzy i t. d., jest prawie wyłącznie typem morskim, to samo tyczy się typu t. zw. szkarłupni, do których należą różne gwiazdy, jeżowce morskie, liliowce i t. p. — wszystkie wyłącznie morskie. W typie robaków i mięczaków znajdujemy również przewagę w faunie morskiej.

Skoro tedy morza obfitują w tak liczne i różnorodne grupy zwierząt, skoro bogactwo życia, rojącego się w otchłaniach morskich, przewyższa — jeśli nie ilościowo, to stanowczo jakościowo — faunę lądów i wód słodkich, badania przeto nad biologią morza doniosłe mieć muszą znaczenie dla postępu wiedzy biologicznej. Otóż stacye nadmorskie

oraz inne środki, o których niżej powiem, znakomicie umożliwiły odnośne poszukiwania nad biologią morza.

W ucywilizowanych państwach wszystkich części świata urządzono w ciągu ostatnich kilkunastu lat stacye i laboratorya nadmorskie. W Europie istnieją najsłynniejsze i najlepiej urządzone instytucye takie: w Neapolu, gdzie kilka rządów europejskich opłaca rocznie dosyć znaczną sumę za prawo korzystania ze stacyi (w pracowni Neapolitańskiej, zostającej pod zarządem prof. Dohrna, mają dla siebie przeznaczone specyalne miejsca uczeni i badacze: włoscy, niemieccy, angielscy, austryaccy, russcy i inni), w Tryeście, w Villa Franca (na południu Francyi), w Benyuls sur mer (na południo-zachodzie Francyi), w Roscoff i Concarneau (w Bretanii), w Sewastopolu i t. d.

Zdaje się, że zoolog genewski, Karol Vogt [1]), pierwszy powziął myśl urządzania instytutów biologicznych nad brzegami morza. Znaczenie takich zakładów jest bardzo doniosłe, a historya wiedzy z ostatnich kilku dziesiątków lat wymownie nas przekonywa, jak wiele uczyniono dla postępu biologii, dzięki stacyom nadmorskim. Instytucye te posiadają znakomicie urządzone (np. neapolitańska stacya lub niektóre francuskie) pracownie, zaopatrzone we wszelkie przybory i sprzęty, służące do łowienia i zbierania zwierząt, do obserwowania ich życia i do badania anatomicznego i fizyologicznego. Instytucye te pozostają pod kierunkiem wytrawnych uczonych (w Neapolu — prof. Dohrn, w Tryeście — prof. Claus, w Roscoff i Benyuls — prof. Lacaze-Duthiers), dyrektorów i ich asystentów. Służba stacyi składa się między innemi z inteligentnych i doskonale z miejscową fauną obznajomionych rybaków, którzy wiedzą, gdzie i o jakiej porze czego szukać należy i, dostarczając w każdej chwili obfitego materyału do badań, oszczędzają uczonym czasu i trudów, jakie na samo łowienie i zdobywanie zwierząt poświęcić-by musieli. Łowienie zwierząt morskich nie jest tak łatwem i prostem, jakby to się nie jednemu zdawać mogło. Liczne gatunki zwierząt, stanowiące nader ważny materyał dla badań naukowych, są bardzo często trudno dostępne, na dnie morza, w znacznych nieraz głębokościach, lub też w szczelinach pomiędzy skałami podwodnemi ukryte. Załoga stacyi zna praktycznie wszelkie te kryjówki i umie we właściwy sposób znaleźć materyał niezbędny.

Kto nie był nigdy na żadnej stacyi biologicznej i sam nie brał udziału w połowach i wycieczkach morskich, ten nie może mieć należytego pojęcia o tem, jak niesłychanie ważne usługi oddaje wprawna w swe rzemiosło załoga stacyi.

---

[1]) Prof. Richard Hertwig. „Der Zoologe am Meer." Berlin, 1881.

Fauna morska dzieli się na t. zw. littoralną, t. j. pobrzeżną, na pelagiczną, t. j. obejmującą formy, które zamieszkują powierzchnię morza i wogóle nie głębokie warstwy wody, i wreszcie na t. zw. głębinową, do której należą formy, zamieszkujące głębie oceanu. Najtrudniejszym jest połów zwierząt głębinowych i odbywa się on za pomocą t. zw. dragi. Przyrządem tym łowi się nietylko podczas mniejszych wycieczek, odbywanych na otwarte morze ze stacyi zoologicznych, ale również używa go się w czasie wielkich wypraw, przedsiębranych na większą skalę, w celu badania biologii morza, o czem niżej powiemy słów kilka.

Urządzenie dragi polega w ogólnych zarysach na następującem [1]): Trzy silne pręty żelazne spojone są z sobą końcami w ten sposób, iż tworzą trójkąt równoramienny, do którego przytwierdzona jest sieć z mocnych sznurków. Jeden z prętów, tworzący podstawę trójkąta, jest cięższy niż inne i jednocześnie nożowato zaostrzony. Od kątów trójkąta wznoszą się trzy, również żelazne, łuki, które schodzą się z sobą u góry, a w punkcie ich połączenia znajduje się ucho dla przytwierdzenia długiej i silnej liny. Na otwartem morzu sieć pomienioną wyrzucają i na linie spuszczają w głąb. Wskutek większej ciężkości, nożowaty pręt żelazny skierowuje się na dół i zajmuje na dnie morskiem najniższe położenie. Gdy draga spoczęła już na dnie, łódź zaczyna poruszać się naprzód i za pomocą liny ciągnie za sobą dragę, wlokącą się po dnie, przyczem nożowate żelazo, jak gdyby wielka kosa, podcina rośliny i zwierzęta, do dna przytwierdzone, odrywa różne przedmioty, a wszystko to wpada do worka sieci.

Gdy cała sieć obficie jest już napełniona obcemi ciałami, wtedy ją wyciągają do góry i zawartość z niej wydobywają. Cóż to za rozmaitość i różnorodność! Piasek, kamienie, tysiące roślin i najrozmaitszych zwierząt — tworzą najdzikszy chaos, z pośród którego, przez stosowne sortowanie i oddzielanie, wydobywa się istoty poszukiwane.

Zwierzęta pelagiczne łowi się innemi znów sieciami, a mianowicie t. zw. sieciami Müllera, które są delikatne i z gęstego a lekkiego materyału zrobione.

Wprawna załoga stacyi codziennie prawie wyrusza na morze, sprowadzając do pracowni materyał, do badań potrzebny.

Najwspanialej urządzoną stacyą biologiczną jest neapolitańska. „W jednej z najpiękniejszych okolic Neapolu — mówi Hertwig — pośrodku Villi, ulubionego miejsca przechadzek Neapolitańczyków, wznosi się stacya zoologiczna, jako gmach dwupiętrowy, który i pod względem

[1]) Hertwig, l. c.

architektonicznym przedstawia piękny wyjątek z pośród domów tego ludnego miasta, po większej części bez gustu budowanych. Parter zawiera wielkie akwarya, zupełnie w takim samym rodzaju, jak to można widzieć w wielu większych miastach za granicą. Akwarya te są otwarte i dla laików, którzy mogą tu nabrać dobrego pojęcia o świecie zwierzęcym morza; dla biologa ma to o tyle znaczenie, iż daje mu możność poznawania sposobu życia zwierząt, które doskonale się trzymają w tych wielkich basenach."

„Górne piętro gmachu zarezerwowane jest całkowicie dla celów naukowych i składa się z mniejszych i większych pokoi i salonów, w których jednocześnie przeszło trzydziestu uczonych może znaleźć pomieszczenie. Każdy otrzymuje własny stół do pracy i znajduje na nim wszelkie naczynia szklane i odczynniki chemiczne, potrzebne do badań, tak, iż tylko musi przywieźć z sobą skalpele i nożyczki, a przedewszystkiem mikroskop. Otrzymuje on dalej pewną ilość mniejszych akwaryów, przez które przepływa ustawicznie świeża woda morska. W akwaryach tych można trzymać w stanie żywym mniejsze zwierzęta, w celu obserwowania ich życia lub studyowania rozwoju, podczas gdy zwierzęta większych rozmiarów trzymane są w wielkich akwaryach na parterze, skąd w każdej chwili można je otrzymać.

W celu otrzymania zwierząt do badań należy się zwrócić do dyrektora instytutu. Codziennie wyjeżdża na połów pewna ilość rybaków, którzy albo stale znajdują się na stacyi (t. j. należą do personelu jej), albo też zostają w stałych stosunkach ze stacyą. Jedna część łowi za pomocą dragi, druga używa sieci pelagicznej, trzecia wreszcie poszukuje materyału na wybrzeżach skalistych. Zdobyty w ten sposób bogaty łup w części otrzymują badacze dla poszukiwań, a resztę umieszcza się w wielkich akwaryach. Stacya rozporządza także małym statkiem parowym, stanowiącym dar Akademii berlińskiej i umożliwiającym w stosunkowo krótkim czasie dosięganie odleglejszych punktów szerokiej zatoki oraz sąsiednich zatok Bajae i Gaëta.

Doniosłą bardzo pomocą dla prac naukowych na stacyi jest biblioteka, obecnie już nader bogata i corocznie znacznie jeszcze wzrastająca przez zakupywanie oraz otrzymywanie w darach książek i rozpraw. W bibliotece tej specyalista może znaleźć w każdej chwili wydawnictwa, traktujące o przedmiocie, który go interesuje, a za pomocą dzieł z zakresu systematyki może określać nazwy nieznanych mu zwierząt."

Stacya neapolitańska wydaje swoim nakładem bogato illustrowane i wspaniałe czasopismo p. t. „Fauna und Flora des Golfes von Neapol", w którem znajdujemy mnóstwo znakomitych prac specyalnych, wykonanych przez uczonych różnych narodowości, którzy zajmo-

wali się badaniami na stacyi. Oprócz tego liczni uczeni ogłaszają w innych czasopismach specyalnych rezultaty swych poszukiwań w stacyi neapolitańskiej. Słowem, instytucya ta umożliwiła i ułatwiła dokonanie ogromnej ilości prac biologicznych pierwszorzędnej wagi naukowej.

Nie mniej przyczyniają się do postępu nauki inne z wymienionych wyżej stacyi, jak tryesteńska lub jak stacye francuskie. Niektóre z tych ostatnich, jak np. laboratoryum nadmorskie w Roscoff w Bretanii, gdzie miałem sposobność spędzić kilka miesięcy, dają specyalistom wszelkich narodowości nietylko miejsce do pracy oraz wszelkie środki, ale nawet gratis — mieszkanie i usługę, ułatwiając tym sposobem mniej zamożnym badaczom pobyt na stacyi. Słowem, wszystkie wymienione instytucye mają nadzwyczaj doniosłe znaczenie, jako środki, ułatwiające badania biologiczne.

Zasługuje też na uwagę, że w Hollandyi została urządzona t. zw. „przenośna" stacya biologiczna. Jest to budynek drewniany, zawierający jeden wielki salon, przeznaczony na laboratoryum, i kilka mniejszych, oraz zaopatrzony we wszelkie narzędzia. Budynek ten można bez wielkiego trudu rozkładać na części i przewozić z miejsca na miejsce. Co rok na innem miejscu wybrzeży Hollandyi wznosi się ten budynek, w miarę jak różne części i okolice wybrzeży bada się pod względem biologicznym.

Przed kilku laty wzniesiono także kilka stacyi biologicznych śródlądowych nad brzegiem większych jezior, w celu badania fauny i flory wód słodkich. Jedną z najlepiej urządzonych takich instytucyi jest stacya nad jeziorem Plön w Holsztynii w Niemczech, pozostająca pod kierownictwem Dra O. Zachariasa. Czesi urządzili przenośną stacyę biologiczną w celu badania fauny, flory i wogóle stosunków biologicznych w jeziorach różnych części kraju.

Ale badacz dzisiejszy nie zadawalnia się poznawaniem życia na dostępnych mu lądach, na jeziorach, lub w przybrzeżnych częściach mórz; pragnie on także poznać świat żyjący na otwartym oceanie, a zwłaszcza w bezdennych otchłaniach morskich. A gdy dawniej życie głębin morskich było dla niego czemś zupełnie niedostępnem i zagadkowem, to dziś, dzięki znakomitym środkom, do tego celu służącym, zdołał on poznać w znacznej mierze tajniki życia w otchłaniach oceanu i w dalszym ciągu coraz dokładniej poznaje je i bada.

Poszukiwania nad biologią głębi oceanicznych wymagają nadzwyczajnego nakładu pracy i kosztów i były-by niemożliwe, gdyby nie pomoc ze strony różnych rządów i zasobnych instytucyi naukowych. W nowszych czasach Anglicy, Francuzi, Niemcy i Włosi przedsiębrali na wielką skalę wyprawy w celu badania biologii morza. Wyprawy: „Challengera", „Nationala" i „Travailleura", zorganizowane zostały

na szeroką skalę, a dzięki znakomitym środkom materyalnym osiągnęły rezultaty nadzwyczajnie wielkie, rzec można, nadspodziewane.

Wyprawa „Challengera", korwety J. K. M., 2,306 tonn, o sile pary 1,234 koni, była nowoczesną naukową wyprawą argonautów po złote runo życia, kipiącego w bezdnach oceanu. „Challenger" wypłynął w Portsmouth w 1872 r. i pozostawał na morzu otwartem 719 dni, przepłynąwszy 68,890 mil morskich, zużywszy 96,567 centnarów węgla kamiennego i przywiózłszy nieoczekiwane łupy naukowe. O środkach, jakiemi rozporządzała ta wielka wyprawa nowoczesna, nie mogli mieć pojęcia dawniejsi naturaliści.

Na okręcie tym, którego załogę naukową składało grono wybitnych biologów angielskich pod kierownictwem znakomitego zoologa Sir Wyville Thomsona, urządzono różne pracownie naukowe. Laboratoryum biologiczne mieściło się w salonie, mającym 20 stóp długości, 12 szerokości, uposażone było w dziesiątki tysięcy naczyń szklanych, odczynników do badań mikroskopowych, w nader liczne mikroskopy z pierwszorzędnych zakładów optycznych, we wszelkie możliwe anatomiczne i fizyologiczne przybory, w sieci i dragi do łowienia. Prócz tego, dla umożliwienia fizyko-chemicznych badań nad przyrodą głębin oceanu, urządzone zostało wielkie laboratoryum chemiczne, uposażone w najdroższe i najlepsze narzędzia. Dalej, była na okręcie pracownia fotograficzna, bogata biblioteka podręczna oraz obszerne akwaryum. „Naturalista — pisze profesor Marshall — z radością w sercu opowiada o tem, a w głębi duszy zazdrości lub żałuje, że nie uczestniczył w tej wyprawie."

Inne wymienione wyżej wyprawy rozporządzały również bogatemi bardzo środkami. Przed kilku laty rząd niemiecki przedsięwziął wyprawę pod kierownictwem prof. Hensena z Kiel (t. zw. „Plankton-Expedition"), w celu badania fauny i flory pelagicznej, t. j. żyjącej nie w głębiach, lecz bliżej powierzchni oceanu.

Wyprawy „Challengera", „Travailleura", „Talizmana" i inne wykazały, że w otchłaniach morskich, dosięgających kilku tysięcy sążni głębokości, dokąd światło wcale już prawie nie przenika, roi się nieprzebrane bogactwo form zwierzęcych. Te zwierzęta głębinowe, żyjące pod tak olbrzymiem ciśnieniem, przystosowane są w szczególny sposób do tych niezwykłych warunków i różnią się pod bardzo wielu względami od istot, zamieszkujących płytsze okolice oceanu. Minąłbym się z celem niniejszego szkicu, gdybym tu wyliczyć zapragnął znakomite zdobycze odnośnych badań biologicznych, poprzestanę więc tylko na uwadze, że badania te były tak doniosłe, iż otworzyły zupełnie nowe horyzonty wiedzy i dla postępu biologii nadzwyczajnie wielkie miały znaczenie. Czytelnika, pragnącego zapoznać się z rezultatami

badań wspomnianych wypraw, odesłać mogę do rozprawki mojej, ogłoszonej przed kilku laty w „Ateneum" p. t. „Życie w głębiach oceanu" oraz do artykułów moich we „Wszechświecie" z r. z. o naukowych rezultatach ekspedycyi „Planktonu."

Jak z jednej strony instytuty, laboratorya, stacye nadmorskie oraz wielkie wyprawy przyczyniły się znakomicie do postępu dzisiejszej wiedzy biologicznej, tak znów z drugiej postęp jej nie byłby nawet w setnej części tak olbrzymi, gdyby nie udoskonalenie środków badania mikroskopowego, które za dni naszych osiągnęło wysoki stopień rozwoju. Niema przyrządu, który-by jakościowo i ilościowo wpłynął w równej mierze na postęp umiejętności, jak mikroskop. Z odkryciem i udoskonaleniem tego przyrządu otworzyły się nowe, szerokie a najzupełniej dotąd nieznane horyzonty dla myśli ludzkiej, powstały nowe gałęzie wiedzy, jak histologia czyli anatomia mikroskopowa, embryologia, czyli nauka o rozwoju zarodka, bakteryologia, odgrywająca tak potężną rolę w dzisiejszej medycynie i t. d., i t. d. Zoologia i botanika uległy również wielkiemu przeobrażeniu, dzięki mikroskopowi, albowiem nowe światy nieznanych dotąd istot ukazały się oczom biologów. Wreszcie anatomia patologiczna i medycyna na nowe wstąpiły tory z chwilą, gdy badania mikroskopowe ustroju w stanie chorobowym zaczęły się w należyty sposób rozwijać.

Postęp wszystkich tych dziedzin biologii pozostaje w jak najściślejszej zależności od ulepszeń mikroskopu. Otóż w ostatnich czasach udoskonalenia w tym zakresie posunięto naprzód w nadzwyczajnym stopniu. Dziś otrzymujemy powiększenia mikroskopowe tak silne, o jakich przed kilkunastu laty nie miano jeszcze pojęcia (za pomocą mikroskopów z fabryki Zeissa można np., przy użyciu t. zw. apochromatów, otrzymać linijne powiększenie do dwóch tysięcy i kilkuset razy), ale co ważniejsza, przy owych silnych powiększeniach obraz przedmiotu, widzianego pod mikroskopem, jest nader jasny i wyraźny. Udoskonalenie mikroskopu w ostatnich latach daje się sprowadzić do czterech najważniejszych punktów. Przedewszystkiem ulepszono system oświetlania przedmiotów za pomocą specyalnej kombinacyi soczewek, umieszczonych pod stolikiem mikroskopu (t. zw. przyrządy oświetlające Abbégo). Powtóre, ulepszono soczewki w systemach mikroskopu i udoskonalono t. zw. immersyę przez zaprowadzenie immersyi olejnej (pomiędzy szkiełko pokrywające badany przedmiot a dolną soczewkę systemu wprowadza się kroplę oleju, mającego taki sam współczynnik łamliwości światła, jak szkło soczewek). Dalej, przez użycie szczególnego rodzaju szkieł do wyrobu soczewek, wynaleziono t. zw. mikroskopy apochromatyczne, które są nadzwyczajnie czułe i pozwalają

wyraźnie odróżnić nader delikatne szczegóły w badanych przedmiotach. Wreszcie udoskonalono fotografię w zastosowaniu do mikroskopu, wynaleziono sposoby zdejmowania fotografii wprost z powiększonych obrazów, w polu mikroskopu widzialnych; a jakkolwiek ta dziedzina przedstawia jeszcze wiele do życzenia, w każdym razie jednak z każdym dniem metody fotografowania mikroskopowego doskonalą się i już dziś w wielu przypadkach osiągnięto w tym względzie świetne rezultaty.

Udoskonalenie samego mikroskopu nie wywarło-by tak wielkiego wpływu na postęp nauk biologicznych, gdyby jednocześnie nie ulepszono także wszystkich innych pomocniczych metod badania, znanych pod ogólną nazwą techniki mikroskopowej. O tej ostatniej pragnę jeszcze powiedzieć słów kilka.

Dawniejsi uczeni badali pod mikroskopem części ciała zwierzęcego lub roślinnego w stanie świeżym, nie traktowali ich żadnemi odczynnikami chemicznemi, ani też t. zw. barwnikami, t. j. substancyami zabarwiającemi.

Dziś biologowie postępują zupełnie inaczej. Za pomocą wielkiej ilości różnorodnych odczynników chemicznych (np. kwasu azotowego, chromowego, dwuchromianu potasowego, kwasu osmowego, pikrynowego i t. d., i t. d.), działają na żywe tkanki zwierzęce, wskutek czego utrwala się ich budowa, poczem stwardniają je w alkoholu lub też innemi środkami i tak stwardnione rozcinają na nader cieniutkie plasterki przezroczyste, które po zabarwieniu rozpatrują pod mikroskopem.

Wprowadzenie rozmaitych odczynników do utrwalania tkanek przyczyniło się do tego, że zdołano uwydatnić takie nadzwyczajnie delikatne szczegóły budowy komórek i tkanek, jakich w stanie świeżym niepodobna-by było spostrzedz. Istnieje w dzisiejszej literaturze biologicznej kilkaset rozmaitych środków działania na żywe tkanki w celu utrwalenia, zachowania i uwydatnienia ich budowy mikroskopowej. Różnego rodzaju tkanki wymagają rozmaitych środków utrwalających. Jedne z tych ostatnich utrwalają i uwydatniają jedne szczegóły, inne znów — inne, stosując przeto najrozmaitsze środki, badacz dzisiejszy bez porównania dokładniej analizować może budowę mikroskopową ciała zwierzęcego i roślinnego, aniżeli dawniej.

Pod mikroskopem oglądać można tylko przedmioty bardzo cienkie i przezroczyste. Drobniutkie zatem zwierzątka i roślinki (ameby, wymoczki, wodorosty lub grzybki mikroskopijnej wielkości i t. p.) można w całości pod mikroskopem rozpatrywać. Jeżeli zaś pragniemy przyjrzeć się pod mikroskopem budowie ciała większej jakiej istoty lub roz-

patrzyć budowę jakiego większego organu, możemy to uskutecznić tylko w ten sposób, że dany przedmiot krajemy za pomocą brzytwy na możliwie cieniutkie blaszki i dopiero te ostatnie badamy pod mikroskopem. Z obrazów, jakie dają nam te cieniutkie skrawki, urabiamy sobie pojęcie o budowie całości. Otóż dawniej robiono takie skrawki brzytwą od ręki. Rzecz naturalna, że nie mogły one być ani dostatecznie cienkie, ani regularne; jedno cięcie się udało, drugie nie, wskutek czego trudno było z danego przedmiotu otrzymać całą seryę skrawków dobrych i całkowitych. W tym względzie technika badania uczyniła w nowszych czasach wielkie postępy. Wynaleziono i udoskonalono liczne systemy maszyn, służących do otrzymywania nadzwyczajnie cienkich skraweczków. Przyrządy te zwane są mikrotomami. Dany przedmiot, np. kawałek skóry lub mózgu, zatapia się w szczególnych masach (w celluloidynie, parafinie i t. d.) i wraz z tą masą kraje się za pomocą mikrotomu na setki najcieńszych i najdelikatniejszych plasterków (skrawków), które w określonym porządku jeden obok drugiego nakleja się na szkiełku przedmiotowem i rozpatruje pod mikroskopem. Z obrazów, jakie przedstawiają wszystkie te kolejne skrawki, można sobie w umyśle odtworzyć wszystkie szczegóły badanego przedmiotu, jako całości. Metoda ta jest nadzwyczajnie ścisła, z matematyczną niemal dokładnością można za jej pomocą dowiedzieć się o postaci, położeniu i wzajemnych stosunkach części, które rospatrujemy. Wyobraźmy sobie bowiem, że chcemy zbadać jakiś maleńki zarodek zwierzęcy, długości, dajmy na to, jednego milimetra. Otóż za pomocą mikrotomu rozcinamy go np. na sto skrawków, z których każdy ma jedną setną milimetra grubości. Rozpatrując teraz te skrawki pod mikroskopem, widzimy, że pewne organa zarodka zajmują taką ilość skrawków, inne znów — inną, z czego wnosimy o wielkości i stosunku wzajemnym wszystkich rospatrywanych części. Taką drogą o budowie najmniejszych tworów, nie przewyższających często rozmiarami ziarnka piasku, nabieramy jak najdokładniejszego pojęcia. Łatwo zrozumieć, jak ta strona techniki badań wpłynęła na rozszerzenie widnokręgu wielu gałęzi współczesnej wiedzy biologicznej.

Wreszcie wspomnimy o jeszcze jednej stronie nowoczesnej techniki mikroskopowej, a mianowicie o wprowadzeniu środków barwiących.

Liczne bardzo składniki tkanek zwierzęcych i roślinnych tak dalece nie różnią się w stanie naturalnym od otaczających części sąsiednich, ani współczynnikiem załamywania światła, ani też innemi własnościami optycznemi, że przy najsilniejszych nawet powiększeniach mikroskopowych nie dają się dojrzeć, a tem mniej dokładnie zbadać

Ale części te różnią się pomiędzy sobą własnościami chemicznemi, i dlatego też przy działaniu na nie barwnikami, w rozmaity sposób zabarwiają się, wyróżniają i stają się dostępnemi dla badań. Do barwników takich należy np. karmin, hematoxylina, rozmaite barwniki anilinowe i t. d. Technika dzisiejsza zna kilkaset rozmaitych barwników, a z każdym niemal dniem liczba ich się pomnaża. Jeden i ten sam barwnik, którym traktujemy daną tkankę, zabarwia w rozmaity sposób różne jej części składowe, dając pod mikroskopem nadzwyczajnie wyraźne obrazy i pozwalając odróżnić szczegóły, o których dawniej badacze (z przed 25—30 lat) nie mieli najmniejszego pojęcia. Tak np. liczne barwniki zabarwiają tylko jądra a pozostawiają bezbarwną protoplazmę komórek; wewnątrz zaś jądra silniej zabarwiają jedne części, znacznie zaś słabiej inne. T. z. włóknista tkanka łączna, bardzo rozpowszechniona w ciele organizmów zwierzęcych, składa się z komórek, z włókien, dających klej, oraz z włókien elastycznych. Otóż jeden i ten sam barwnik, np. t. z. karmin pikrynowy, w rozmaity sposób zabarwia wszystkie te składniki: jądra komórek na kolor mocno różowy, włókna klej dające — na słabo różowy, włókna elastyczne — na złocisto żółty i t. p., słowem, w podobnych wypadkach otrzymujemy świetnie zabarwioną tkankę, w której wszystkie części składowe, jako odmiennie zabarwione, występują nader wyraźnie i mogą być przeto jak najdokładniej zbadane. Używanie barwników w technice mikroskopowej oddaje też olbrzymie usługi bakteryologii i anatomii patologicznej. Bakterye są tak drobne, że nie podobna-by ich było dostrzedz pod mikroskopem wewnątrz jakiej bądź tkanki, np. w tkance płuc lub innych organów. Przez odpowiedne zaś traktowanie barwnikami można wszystkie części danej tkanki pozostawić bezbarwnemi, a tylko zabarwić same bakterye i uczynić je przeto widzialnemi. Tym sposobem przekonać się możemy o obecności bakteryi chorobotwórczych w jakim bądź chorym organie.

Niektóre barwniki mają tę nadzwyczajnie ciekawą własność, że, działając na żywe części ciała, zabarwiają pewne tylko składniki tego ostatniego. Istnieje np. barwnik, zwany błękitem metylenowym, który, gdy się go w rostworze zastrzyknie do krwi zwierzęcia, barwi najdelikatniejsze włókienka nerwowe, przedstawiające się wówczas oczom badacza jako błękitne niteczki, podczas gdy wszystkie otaczające części pozostają najzupełniej bezbarwne. Łatwo zrozumieć, jakie wielkie korzyści oddaje ta metoda. Dzięki jej, wykryto też i zbadano obecność włókien nerwowych w miejscach, w których dawniej nie podejrzewano nawet ich obecności. Oprócz barwników dzisiejsza technika mikroskopowa używa także metody t. z. impregnacyi. Polega ona

na tem, że traktujemy tkanki zwierzęce pewnemi solami—srebra, złota i t. p. Otóż pewne składniki tkanek pochłaniają więcej tych soli niż inne, a gdy następnie metal się redukuje, w pewnych określonych częściach tkanek pojawiają się nader subtelne osady metaliczne, najczęściej ciemno zabarwione. Jeden ze współczesnych znakomitych histologów włoskich, Golgi, udoskonalił np. metodę impregnacyi srebrem komórek nerwowych i ich delikatnych wyrostków włóknistych. Przez odpowiedne traktowanie kawałków mózgu lub mlecza pacierzowego można osiągnąć tą metodą taki rezultat, że w substancyi komórek nerwowych i ich włókien tworzy się nadzwyczajnie delikatny brunatnawy lub czarniawy osad metaliczny, przez co komórki te są pod mikroskopem nader wyraźnie widzialne. Spoglądając przez mikroskop na preparaty, przyrządzone w ten sposób, otrzymujemy wrażenie, jak gdyby ktoś subtelnym pędzelkiem i piórkiem poczernił komórki nerwowe i najdelikatniejsze ich rozgałęzienia. Preparaty takie można odrysować lub odfotografować, a otrzymamy najwierniejszy obraz stosunku jednych komórek nerwowych do drugich i ich połączeń z włóknami nerwów, wiadomo zaś, że dokładne poznanie tych stosunków ma ogromne znaczenie dla zrozumienia czynności fizyologicznych systemu nerwowego.

W najogólniejszych tylko zarysach starałem się dać czytelnikowi pewne pojęcie o tem, jakich różnorodnych środków używa dziś biolog, badający budowę i czynności istot żyjących. Setki dzieł i rospraw, poświęconych jedynie rylko środkom i metodom badania, istnienie specyalnych czasopism, traktujących o technice badań mikroskopowych — dostatecznie świadczą o tem, jak bogatym jest arsenał środków, któremi badacz dzisiejszy rozporządza, przystępując do zdzierania zasłony z tajników życia.

Gdy przed kilkudziesięciu laty naturaliście, badającemu istoty żyjące, wystarczały skalpel i lupa, gdy przed dwoma, trzema dziesiątkami lat mikroskop powiększający kilkadziesiąt do kilkuset razy stanowił już najbardziej złożony środek badania; to dziś warsztaty badań biologicznych wymagają tak licznych, skomplikowanych i kosztownych środków, o jakich nawet nie marzyli dawniejsi uczeni.

Ten nadzwyczajny rozrost środków badania biologicznego przyczynia się naturalnie do szybkiego postępu nauki. To też mało umiejętności uległo w ostatnich latach tak potężnemu rozwojowi, jak biologia.

Ale to bogactwo metod i środków ma także swoją niedobrą stronę, wymaga ono bowiem wielkich kosztów i niedostępne jest prawie

dla ludzi pojedyńczych, zwłaszcza pozbawionych większych środków materyalnych. To też gdy dawniej zajmować się mógł badaniem życia każdy, kto tylko miał chęć i odpowiedne zasoby duchowe, dziś badać może wszechstronnie i dokładnie tylko ten biolog, któremu okoliczności pozwalają korzystać z instytutów publicznych, z pracowni naukowych i t. p. środków.

Dr Józef Nusbaum.

KRONIKA GALICYJSKA.

Pisząc poprzednią kronikę galicyjską w marcu r. b., wspomniałem, że sejm galicyjski, kiedy zbierze się w jesieni r. 1893 dla uchwalenia budżetu krajowego na rok 1894, zastanie położenie skarbu krajowego stanowczo zmienionem, wskutek przeprowadzenia konwersyi długu indemnizacyjnego z pięcioprocentowego na czteroprocentowy i rozłożenia spłaty reszty tego długu z lat 5 na lat 50, a tem samem znacznego zmniejszenia rocznej raty amortyzacyjnej. Zmiana ta uwydatniła się już w ciągu zamkniętej niedawno wiosennej sesyi sejmowej. Sejm, uchwalając w jesieni 1892 r. budżet na r. 1893, nie miał pewności, czy uda się przeprowadzić konwersyę i dlatego uchwalił, co do sposobu pokrycia, wydatków krajowych, postanowienia alternatywne: na wypadek, gdyby udało się przeprowadzić konwersyę, i na wypadek, gdyby konwersya nie została dokonaną. Skoro konwersya istotnie została przeprowadzoną, Wydział krajowy przedstawił sprawozdanie o całej tej operacyi, która w połączeniu z budżetem na r. 1893 dozwala ocenić obecną sytuacyę finansową kraju. Chcę tutaj podać w ogólnym zarysie obraz wydatków i przychodów Galicyi, jako ciała samorządnego, tak, jak one się przedstawiają podług budżetu na r. 1898, i dać poznać główne kierunki owych wydatków i główne źródła przychodów, a zarazem chcę zaznaczyć, jaki wpływ konwersya długu indemnizacyjnego wywarła już na budżet roku 1893-go.

Z wliczeniem kredytów dodatkowych, uchwalonych na wiosennej sesyi, budżet na r. 1893 w głównych pozycyach tak się przedstawia:

Koszta reprentacyi kraju i koszta zarządu (sejm, wydział krajowy i urzędnicy krajowi)	377,950 złr.
Wydatki sanitarne (szpital. leczenie ubogich chorych i t. d.) i dobroczynne	1,239,888 „
wydatki na cele oświaty	1,623,157 „
drogi krajowe	952,201 „
subwencya na koleje Podolskie	500,000 „
budowy wodne i melioracye	302,252 „
na cele rolnictwa i górnictwa	417,586 „
na cele przemysłowe	169,433 „
na bespieczeństwo publiczne, kwaterunek żandarmeryi i odstawianie włóczęgów	243,381 „
na pomnożenie funduszu budowy koszar wojskowych	80,000 „
oprocentowanie i umarzanie pożyczek krajowych	702,155 „
rozmaite pomniejsze wydatki	129,401 „
ogół wydatków	6,737,404 złr.

Przychody

Pozostałość z r. 1891	237,485 złr.
z dróg krajowych	231,669 „
zwroty pożyczek i zaliczek	98,255 „
dochody szkół krajowych rolniczych i leśnej	111,341 „
dochody z krajowych składów na zboże i spirytus	44,524 „
z krajowych opłat konsumcyjnych	325,500 „
rozmaite pomniejsze dochody	127,148 „
Dodatki do podatków (po 39 cent. od 1 zł. podatku rządowego)	4,415,500 „
ogół przychodów	5,290,433 złr.

Gdyby konwersya nie była przyszła do skutku, różnica między przychodami a wydatkami byłaby pokryta przez pożyczkę tymczasową aż do stanowczego uregulowania stosunków skarbu krajowego. Dokonanie konwersyi sprowadziło połączenie budżetów odrębnych funduszów indemnizacyjnych z budżetem krajowym, który objął już od r. 1893 aktywa roczne i przychody funduszów indemnizacyjnych, a z drugiej strony pasywa i wydatki tych funduszów. Po przeprowadzeniu obliczenia wzajemnych należytości kraju i skarbu państwa, odnoszących

się do funduszów indmeminzacyjnych, wynoszą według obliczenia komisyi budżetowej dodatkowe:

pasywa i zobowiązania roczne przechodzące na fundusz krajowy . . . . . 3,045,016 złr.
aktywa i roczne przychody . . . . . 5,598,528 „

pozostaje zatem już w r. 1893, znaczna zwyżka, która pozwoli nie tylko pokryć niedobór r. 1893 wynikający z porównania wykazanych poprzednio przychodów z wydatkami w sumie 1,446,981 złr., lecz nadto spłacić przeszło 1 milion dawniejszych długów krajowych.

Może zbytecznem jest przypominać, że streszczony powyżej budżet krajowy Galicyi obejmuje zaledwie część znacznie mniejszą tego, co się na administracyę publiczną pobiera od mieszkańców kraju i na tę administracyę wydaje. Same przychody państwa z Galicyi wynoszą rocznie przeszło 70,000,000 złr., podczas gdy nadwyżka 20 milionów idzie na wspólne potrzeby całego państwa. Do tego wypada doliczyć wydatki na adminiinistracyę publiczną, ponoszone przez powiaty i gminy. Dopiero gdybyśmy i te wydatki, z których ostatnie nie były dotąd dokładnie obliczone, uwzględnili, utworzył-by się obraz ogólny obciążenia ludności Galicyi wymaganiami zarządu publicznego. Obciążenie to, jak na stosunki ekonomiczne kraju, bardzo znaczne, jeżeli więc niepodobna liczyć na to, aby ono w ogólnej sumie mogło być zniżonem, to wolno oczekiwać i żądać, aby rozkład ciężarów publicznych był odpowiedniejszy, a mianowicie: by część ciężaru, obciążającego własność nieruchomą i produkcyę przemysłową, przerzuconą została na kapitał ruchomy, który dotąd uchyla się w Austryi nawet zupełnie od opodatkowania. Zmierza ku temu projektowana obecnie reforma podatkowa. Nie mniej należy dążyć do tego, aby przy sposobności tej reformy państwo zapewniło krajowi pewne oddzielne źródła dochodów na opędzanie jego specyalnych potrzeb, zamiast ograniczać go na dodatki do podatków rządowych, które zwiększają jeszcze istniejącą nierówność w opodatkowaniu.

Tegoroczna sesya sejmowa zaznaczyła się przypomnieniem sprawy reformy gmin wiejskich, która, wprowadzona na porządek dzienny sejmu z początkiem r. 1887 przez wnioski poselskie, z trzech różnych odcieni izby pochodzące, nie wyszła od tego czasu po-za obręb prac przygotowawczych, prowadzonych w wydziale krajowym.

W r. 1887 komisya gminna, której sprawozdawcą był prof. T. Pilat, stwierdziła, że po upływie lat dwudziestu od wydania ustawy gminnej galicyjskiej z 12 sierpnia 1866, w ciągu którego-to czasu mogły wżyć się, utrwalić i wydać owoce strony dodatnie tej ustawy a braki jej mogły być wszechstronnie wykazane przez praktykę, zaczyna coraz bardziej ustalać się przekonanie, że nadszedł czas podjęcia zasadniczej reformy ustawy gminnej, t. j. reformy, odnoszącej się do ustroju,

attrybucyi lub zakresu działania władz gminnych. Stwierdziła zarazem ówczesna komisya gminna, że z biegiem czasu, pod wpływem doświadczeń, nabytych z praktyki, zmniejszyły się znacznie różnice w poglądach na potrzebę i pożądany kierunek reformy gminnej, jeszcze przed jedenastu laty, w czasie rozpraw sejmowych, tak ostro zarysowane. Można już przewidzieć, iż w bardzo szerokich kołach w sejmie i w kraju panuje zgoda w tem, że obecna ustawa gminna ma ujemne strony, które nie dadzą się uchylić przez samo dopilnowanie wykonania ustawy i przez wzmocnienie attrybucyi, nadzorowych władz wyższych, i że dla tych gmin i obszarów dworskich, które nie są zdolne spełniać przypadających na nie zadań aministracyi publicznej, potrzeba-by obmyślić organizacyę samorządną, która-by objęła spełnienie zadań, przechodzących ich siły. Jeszcze powszechniejsza zgoda istnieje co do tego, że póki nie będzie organizacyi miejscowej, zdolnej do spełniania w swym zakresie zadań administracyi publicznej, póty wiele najpożyteczniejszych ustaw, jakie z uwzględnieniem potrzeb rozwoju społecznego sejm uchwalił lub uchwali, pozostanie tylko na papierze, bez wykonania w rzeczywistości.

Kiedy na obecnej sesyi sejmowej komisya gminna zajęła się ponownie sprawą reformy gmin wiejskich, wskutek wniosków posłów Pilata i Rutowskiego, odnoszących się do tej sprawy, i rozpatrzyła się w materyałach, zebranych w tej sprawie przez wydział krajowy w ciągu lat ostatnich, uznała przedewszystkiem, iż badania wydziału krajowego potwierdziły w zupełności zdanie, iż są zadania miejscowej administracyi publicznej, którym gminy i obszary dworskie nie mogą podołać, a następnie że owe badania wykazały, iż przyczyny złego funkcyonowania dzisiejszej organizacyi gminnej na wsi leżą w braku potrzebnej oświaty, w braku odpowiednych środków materyalnych, a nie mniej wreszcie w zbytniej zależności zwierzchności gminnych od tego ciasnego koła, w którem spełniać mają zadania administracyi miejscowej. Co do sposobu zaradzenia złemu, komisya oświadczyła się za wytworzeniem zbiorowej organizacyi samorządnej, złożonej z gmin dzisiejszych (gromad) i z obszarów dworskich, która-by objęła te zadania publicznej administracyi miejscowej, jakich owe ciała należycie wypełniać nie mogą. Przytem uznała komisya, że koszta owej wspólnej organizacyi powinny być ponoszone równomiernie przez gminy i obszary dworskie, objęte taką organizacyą, ponieważ zarówno gminy jak obszary dworskie są interesowane w należytem wypełnianiu zadań, którym ta organizacya miała-by służyć, a przedewszystkiem w należytem spełnianiu policyi miejscowej.

Wnioski komisyi gminnej, której sprawozdawcą był i tym razem prof. Pilat, przyjął Sejm bardzo znaczną większością po dłuższej dysku-

syi i polecił Wydziałowi krajowemu wypracować projekt ustawy, wprowadzającej zbiorową organizacyę samorządną, z gmin i obszarów dworskich złożoną, dla sprawowania zadań publicznej administracyi miejscowej, wypowiedział zarazem, że organizacya ta ma istnieć wspólnym kosztem gmin i obszarów. Obok tego dodał Sejm na wniosek komisyi niektóre dalsze wskazówki co do szczegółów reformy, a mianowicie, że skład zarządu projektowanego ciała zbiorowego ma dawać rękojmię należytej administracyi i odpowiedniego uwzględnienia żywiołów inteligentnych a zarazem ponoszących znaczniejszą część kosztów, i że w skład zarządu tego mają wchodzić bez dalszych wyborów naczelnicy dzisiejszych gmin i przełożeni obszarów dworskich, ewentualnie z przybraniem dalszych przedstawicieli większych gmin. Wreszcie polecił Sejm zbadać szczegółowo kwestyę kosztów nowej organizacyi miejscowej, a w szczególności kosztów, jakie pociągnie za sobą sprawowanie t. z. porównego zakresu działania, czyli spełnienia zadań administracyi państwowej przez gminy i obszary dworskie. To ostatnie polecenie ma na celu zyskanie podstawy do żądania, żeby państwo przyczyniło się do tych kosztów, żądania, podnoszonego w wielu innych krajach austryackich, a mogącego doczekać się spełnienia przy sposobności nowej reformy podatkowej.

Omówione tutaj uchwały sejmu w sprawie reformy gmin wiejskich mają niewątpliwie tylko przygotowawcze znaczenie, bo polecają wypracowanie projektu, wskazując pewne zasady, na których on ma być opartym. Jednakże porównanie tych uchwał z poprzedniemi uchwałami w tej samej sprawie, w r. 1887 powziętemi, wykazuje, że sprawa reformy gmin wiejskich posunęła się tym razem o ważny krok naprzód. Podczas bowiem gdy w r. 1887 uchwała sejmu poleciła wydziałowi krajowemu rozważyć, czy i o ile potrzebną jest reforma organizacyi gminnej w kierunku wskazanym, to obecna uchwała sejmu przesądza i potrzebę reformy, i główny jej kierunek, t. j. tworzenie organizacyi zbiorowej z gmin i obszarów dworskich i dodaje nadto niektóre dalsze stanowcze wskazówki. Z tych wskazówek szczególnie doniosłą jest jednomyślnie przez sejm przyjęta zasada, że koszta organizacyi dla miejscowej administracyi publicznej mają być w równej mierze ponoszone przez gminy i obszary dworskie. Dotąd bowiem, jakkolwiek koszta te opędzała osobno gmina dla siebie, a obszar dworski dla siebie, jako równorzędny okrąg administracyjny, to jednak z natury rzeczy wynikało, że na obszarze dworskim, obejmującym zwykle tylko dwór, jego domowników i służbę, koszta te były bardzo szczupłe, a w gminie, zawierającej większą ilość i znaczniejszą rozmaitość ludności, bez porównania znaczniejsze. Zatem wspólność urządzeń i wspólność kosztów oznacza bardzo wydatną ulgę w ciężarach gminnych dla miesz-

kańców gmin, a przyrost ciężarów dla obszarów dworskich. Mimo to podnieść należy, iż wniosek jednego z posłów gmin wiejskich, nie będącego właścicielem większej posiadłości, aby dwory ponosiły koszta wspólnej organizacyi miejscowej w mniejszym stosunku niż gminy, np. $^1/_3$ tego, coby płacić musiały, gdyby ich posiadłość leżała w obrębie gminy, nie uzyskał w komisyi ani jednego głosu.

Śmiało można powiedzieć, że jeżeli sprawa reformy gmin wiejskich napotyka obecnie jeszcze, mimo przychylnej uchwały sejmu ostatniego, liczne trudności i wątpliwości, a nawet poważnych i stanowczych przeciwników, to przyczyna tego leży nie w kwestyi finansowej ze stanowiska większej własności, nie w oppozycyi przeciw przyjęciu na siebie większych ciężarów, z administracyi miejscowej wypływających, lecz w trudności utworzenia organizacyi takiej, która-by dawała rękojmię należytego sprawowania administracyi miejscowej. W tych okolicach Galicyi, w których obok wielkich majątków, bądź leśnych, jak w górach, bądź rolniczych, jak na Podolu, istnieje tylko bardzo rozdrobniona własność włościańska, niema dostatecznej ilości żywiołów inteligentnych i cokolwiek zamożniejszych, które-by mogły wejść do zarządu gminy połączonej, a zwłaszcza sprawować należycie funkcye wójtowskie, i można się obawiać, iż rzeczywistym wójtem byłby tam zbyt często pisarz gminny, jak dotąd żywioł nie zawsze dodatni. Tam znowu, gdzie utworzenie znaczniejszego okręgu dla administracyi miejscowej da nietylko szerszą podstawę materyalną, lecz także i większy zasób żywiołów inteligentnych, pozostaje jeszcze wątpliwość, czy zwierzchność, wychodząca z wyboru, będzie okazywała ten stopień niezależności wobec wpływów miejscowych, jaki jest potrzebny do należytego sprawowania administracyi miejscowej, a jakiego brak stanowi ujemną stronę dzisiejszych zwierzchności gminnych, i to nietylko po wsiach, lecz także w większych miastach. Trzeba bowiem pamiętać, że sprawować policyę budowniczą, ogniową, polową i t. p., to znaczy mieć ciągłą sposobność do narażania się mieszkańcom gminy, a zatem swoim wyborcom. Stąd też ci, którzy chcą posady w zarządach gminnych nadal piastować, starają się nie narażać swoim wyborcom, a ci ostatni znowu chętniej wybierają takich, którzy nie będą chcieli narażać się im swojem urzędowaniem. Jak wydział krajowy sformułuje postanowienia przyszłej ustawy, aby wyminąć owe trudności, nie wiadomo jeszcze. Zdaje się, że w pewnych wypadkach będzie musiała być przewidzianą nominacya albo przynajmniej zatwierdzenie wyboru wójta gminy zbiorowej ze strony wyższych władz samorządnych, bądź samych, bądź w porozumieniu z władzami rządowemi. W każdym razie sprawa organizacyi administracyi miejscowej, z pewnością jedna z najdonioślejszych pomiędzy sprawami wchodzącemi w zakres ustawodawczy sejmu,

będzie musiała przejść jeszcze przez narady obszerniejsze w wydziale krajowym i przebyć wyczerpującą dyskusyę w sejmie, nim wejdzie w sferę wykonania.

Ze względu na będącą w toku reformę gmin wiejskich usunął tym razem sejm z pod swoich obrad dwa przedmioty, których załatwienie mogłob-y przeszkadzać do pewnego stopnia tej reformie, a mianowicie: projekt ustawy gminnej dla mniejszych miast i miasteczek, następnie zaś projekt ustawy o policyi ogniowej w gminach wiejskich i miasteczkach, który wprowadzał osobną zbiorową organizacyę, wyłącznie policyi ogniowej służyć mającą.

Dalszą sprawę pierwszorzędnej wagi, szczególnie dla ekonomicznego rozwoju kraju, jest załatwiona stanowczo na ostatniej sesyi sprawa kolei lokalnych. Od r. 1862, kiedy kolej żelazna dotarła po raz pierwszy do stolicy Galicyi, i kiedy Galicya posiadała tylko linię z Krakowa do Lwowa z odnogą do Wieliczki, oraz dawniejszą linię z Krakowa do zachodniej granicy kraju, na drodze ku Wiedniowi, z kilkoma małemi odnogami, przybyło w Galicyi blizko 2200 kilometrów kolei żelaznych, tak, iż obecnie mamy 2705 kilometrów kolei. Czyni to, że w przecięciu 1 kilometr kolei przypada na 29 kilometrów obszaru kraju. Mimo to, nie można sądzić, żeby Galicya była należycie zaopatrzona w koleje żelazne. W kraju, którego stosunki handlowe, skutkiem granic politycznych i celnych, tudzież różnych innych okoliczności, z zewnątrz danych, tak się ukształtowały, że jego drogi handlowe idą obecnie w najznaczniejszej części od wschodu na zachód, podczas gdy jego drogi wodne mają kierunek ku północy i ku południowi, przypada kolejom i ta część zadań komunikacyjnych, którą gdzieindziej spełniają drogi wodne. Oprócz tego, produkta surowe, które stanowią największą część wywozu z Galicyi, wymagają, ze względu na swój ciężar i objętość w stosunku do wartości, transportu wodnego lub kolejowego, jeśli ma się opłacić ich przewóz na większe odległości, i to transportu wodnego lub kolejowego, który-by dochodził ile możności do miejsca produkcyi. Uznając to, reprezentacya krajowa, mimo trudnego położenia skarbu krajowego, popierała znaczniejszemi subwencyami budowę linii kolejowych, a mianowicie na kolej transwersalną od Żywca do Husiatyna ofiarowała 1,150,000 złr., a następnie mniejsze sumy na budowy kolejowe mniej rozległe, jak ze Lwowa do Bełza, z Dębicy do Nadbrzezia i inne. Obecnie, po wybudowaniu linii głównych pierwszo i drugorzędnych, wypada przystąpić do budowy kolei lokalnych, które-by korzyści komunikacyi kolejowej wniosły w oddzielone od linii głównych okolice kraju, a razem, przysparzając tym liniom materyału przewozowego, podniosły ich rentowność za pomocą zwiększonego ruchu bez podwyższenia taryf.

Podczas gdy w innych krajach austryackich na polu budowy kolei lokalnych od lat blizko dziesięciu objawia się ruch coraz znaczniejszy, Galicya posiada dotąd jedynie krótką linię lokalną z Kołomyi do poblizkich kopalni nafty i małą odnogę z Doliny do Wygody, a obecnie dopiero zacznie się budowa kosztem państwa znaczniejszej sieci kolei lokalnych na Podolu, przy pomocy subwencyi ze strony kraju i interesowanych po pół miliona złr., tudzież kolei lokalnej z Halicza do Tarnopola, przy pomocy takiejże samej subwencyi ze strony kraju i interesowanych. Ta ostatnia sprawa była także traktowaną na ubiegłej sesyi sejmowej, a nad kolejami podolskiemi toczyła się również ożywiona rosprawa, wywołana trudnościami w zebraniu ofiar od interesantów. Chcąc ułatwić powstawanie kolei lokalnych w kraju przez określenie z góry warunków, pod któremi kraj będzie popierał budowę tych kolei przez utworzenie funduszu osobnego w tym celu i ułatwienie dostarczenia kapitałów ze strony interesantów, uchwalił sejm na ostatniej sesyi ustawę o kolejach lokalnych, przy której skorzystano ze wzoru ustaw podobnych w innych krajach austryackich, a mianowicie w Austryi górnej, Styryi i w Czechach. Według tej ustawy, kraj będzie popierał budowę kolei lokalnych i tramwajów parowych, które uzna za potrzebne ze względu na interesa kraju: przez udzielanie oprocentowanych pożyczek, przez objęcie na kraj pewnej części akcyi przedsiębiorstwa kolejowego, wreszcie w jakikolwiek inny sposób, a w szczególności przez przeprowadzenie budowy kolei we własnym zarządzie. Warunkiem poparcia przez kraj jest, aby czynniki interesowane, t. j. państwo, powiaty, gminy lub przedsiębiorstwa, zapewniły udziałami swemi razem co najmniej trzecią część nominalnej wartości kapitału zakładowego, a to bądź à fond perdu, bądź przez objęcie akcyi, bądź wreszcie przez opłacanie rat rocznych, potrzebnych na oprocentowanie i umorzenie jednej trzeciej części kapitału zakładowego. Dla przeprowadzania potrzebnych czynności utworzonem będzie biuro kolejowe przy wydziale krajowym, a jako fachowy organ doradczy—krajowa rada kolejowa. Równocześnie utworzony został osobny fundusz krajowy na popieranie budowy kolei lokalnych, na który kraj ma przeznaczać corocznie 300,000 złr. przez lat 30, a obok tego uchwalono zmienić statuta banku krajowego w ten sposób, że bank ten będzie mógł wydawać gwarantowane przez kraj obligacye krajowe, aż do sumy 15,000,000 złr.

Należy spodziewać się, że, wskutek tych zarządzeń, budowa kolei lokalnych w Galicyi będzie odtąd postępowała szybko, podobnie jak w innych krajach austryackich, zwłaszcza zaś budowa kolei w okolicach, w których już dzisiaj objawia się silniejszy duch przedsiębiorczy;

wartość komunikacyi kolejowej ocenianą jest przez interesantów miejscowych w tym stopniu, że gotowi są łożyć na nią potrzebne ofiary.

Oprócz spraw kolejowych, jeszcze szereg dalszych spraw ekonomicznych zajmował sejm w ciągu ubiegłej sesyi tak, iż, pominąwszy sprawę gminną, górowały kwestye ekonomiczne nad wszelkiemi innemi i zajęły tyle ze szczupłego czasu, niespełna jednomiesięcznego, wyznaczonego na obrady sejmowe, że różne ważne sprawy pozostały niezałatwione. Do rzędu takich należą mianowicie: projekt ustawy łowieckiej, który już trzeci raz przedstawiony został sejmowi i, choć załatwiony przezkomisyę, z powodu znacznej objętości nie mógł być uchwalony w pełnym sejmie. Sprawa to wielkiego znaczenia, przedewszystkiem ze względu na naglącą potrzebę słusznego uregulowania obowiązku wynagrodzenia szkód, zrządzonych przez zwierzynę, która zwłaszcza w podgórskich okolicach daje się we znaki płodom rolniczym, i to więcej nierównie teraz, kiedy stan zwierzyny podniósł się bardzo znacznie, wskutek przestrzegania przepisów o obronie zwierzyny. Do ustaw niezałatwionych należy dalej ordynacya wyborcza dla rad miejskich w 30 większych miastach, której pilną potrzebę wykazuje skład rad miejskich w znacznej części tych miast, zwłaszcza we wschodniej części kraju, gdzie stopień wykształcenia i poczucia dobra publicznego u niższych warstw ludności, mianowicie żydowskiej, w tych miastach przeważającej, wiele pozostawia do życzenia.

Pomimo, że, omawiając sprawy sejmowe, dotykałem niejednokrotnie stosunków ekonomicznych Galicyi, muszę jeszcze dorzucić parę uwag o tych stosunkach. Wspomniałem był w poprzedniej kronice mojej, że objawem górującym pomiędzy cechami naszego położenia ekonomicznego jest zniżanie się stopy procentowej, w czem Galicya nie różni się zresztą od innych krajów w przeważnej części Europy. Skutkiem zniżania się stopy procentowej jest ciągły i znaczny wzrost cen ziemi. Majątki dworskie sprzedawane bywają po cenach coraz wyższych, i nierzadkiemi są wypadki, w których po kilku latach znacznie większe od poprzednich osiągają ceny. W porównaniu do cen z przed lat kilkunastu lub dwudziestu kilku, ceny dzisiejsze nieraz są podwójne i jeszcze wyższe, co jednak w części na karb polepszenia komunikacyi należy położyć. Trzeba bowiem pamiętać, że, nie mówiąc o kolejach, o których już wspomniałem, wydał fundusz krajowy w ostatnich 25 latach na drogi krajowe, na subwencye dla dróg powiatowych i gminnych, (po strąceniu dochodów z myt, a nie licząc tego, co wydały powiaty i gminy) ogółem 15,621,908 złr.

Ów wzrost cen ziemi, który nie znajduje wytłomaczenia we wzroście cen produktów rolnych, stojących ciągle jeszcze pod wpływem depresyi, spowodowanej konkurencyą zamorską, wywołany jest

niewątpliwie zwłaszcza przez kapitały, szukające lokacyi korzystniejszej niż w papierach, przy których dziś niema wielkiej nadziei zysku na kursie, skoro stoją blizko al pari, a zagraża za to obawa dalszych konwersyi w celu zniżenia procentu. W pewnej mierze jednak, wzrost cen ziemi spowodowany jest, a raczej spotęgowany innemi okolicznościami, które czynią ten wzrost mniej naturalnym. Z jednej strony brany bywa w rachubę i, że tak się wyrażę, z góry bywa eskontowany, dalszy wzrost cen ziemi w latach przyszłych, i niejednokrotnie kupowane bywają majątki z tym wyraźnym zamiarem, by je po krótkim czasie z zyskiem odprzedać a nie dla trwałej lokacyi kapitału, co ze stanowiska gospodarstwa krajowego nie może być uważane za korzystne. Z drugiej strony zwiększa się popyt na majątki przez to, że banki współzawodniczące z sobą posuwają coraz dalej granicę obdłużenia przez wysoki szacunek dóbr, a tem samem stosunkowo mniejsza ilość gotówki potrzebną jest do nabycia majątku. Inna rzecz, w jaki sposób nabywca będzie mógł, zwłaszcza w złych latach, udźwignąć ciężar rat pożyczkowych. Nadto, kupujący rachują w bardzo licznych wypadkach na to, że część gotówki, potrzebną na zapłacenie ceny kupna, uzyskają przez sprzedaż drzewa i nieraz z góry wchodzą w umowy z handlarzami. Oczywiście w takich wypadkach sprzedaje się zwykle drzewa znacznie więcej, niżby ze względu na porządną gospodarkę było pożądanem, a sprzedaje się je przedewszystkiem znacznie taniej, niżby w innych warunkach sprzedać było można. Wszystkie te okoliczności, zmniejszając ilość gotówki potrzebnej do zawarcia kupna, przyczyniają się do zwiększenia popytu na majątki i podnoszą ich ceny, a zarazem sprawiają, że ruch majątków jest dziś u nas o wiele szybszym, niżby to dla podniesienia gospodarstwa rolniczego, które wymaga pewnej ciągłości w sposobie gospodarowania i systematycznego postępu na obmyślanej drodze, było pożądanem. Zakupna bądź pojedyńczych folwarków, bądź zwłaszcza całych kompletów dóbr, jakie dokonane zostały w ostatnich czasach, okazały się, mimo wysokich stosunkowo cen, zawsze jeszcze korzystne dla nabywców, którzy, z małą ilością gotówki przystąpiwszy do interesu, rozwikłali go nieraz ze znacznym bardzo zyskiem; są jednak przykłady i w odwrotnym kierunku, a rzecz jasna, że w miarę rosnących coraz dalej cen, będzie tych przykładów coraz więcej, aż ruch ten w cenach się umiarkuje.

W obrębie małej własności włościańskiej wzrost cen ziemi wynika ze wzrostu ludności, która szuka miejsca do osiedlania się, szuka stałego punktu oparcia dla swojej egzystencyi i warsztatu do zużytkowania swej siły pracującej, a wskutek tego dobija się o kupno gruntów, ile możności w tej gminie, z której pochodzi, a mniej już w gminach sąsiednich lub dalszych. Następnie pracowitsze żywioły wśród ludno-

ści posiadającej ziemię dążą do zwiększenia i zaokrąglenia swych posiadłości i stanowią dalszy popyt za gruntami. W obu wypadkach nabywcy ofiarują za grunta, nieraz liche a mało uprawiane i zasilane, wysokie ceny, często aż do 400 złr. za mórg austr. i nawet wyżej. W okolicach, z których ludność w znaczniejszej liczbie wychodziła i dotąd jeszcze wychodzi do Ameryki, fundusze przywożone, lub nadsyłane przez owych wychodzców, przeważnie tylko czasowych, obracane bywają również przeważnie na zakupno ziemi. Okolicami temi są głównie okolice podgórskie w zachodniej części kraju, przedewszystkiem koło Nowego Sączu, Gośllc, Jasła, Pilzna i Krosna, a fundusze wskutek tego napływające do kraju są niemałe, skoro wymieniano mi cały szereg drobnych poczt wiejskich, przez które przechodzi z Ameryki, a właściwie ze Stanów Zjednoczonych, rocznie po 30,000 do 50,000 złr., przesyłanych przez wychodzców.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje przytem, że ów popyt za gruntami przedstawia się bardzo różnie od wsi do wsi i że wskutek tego i ceny ziemi są bardzo odmienne, i to nie tyle z powodu różnic w urodzajności, ile z powodu różnic w popycie, który jest czysto lokalnym i po-za obręb danej wsi, lub, co rzadziej, najbliższego jej sąsiedztwa, prawie nie wychodzi. Stąd we wsiach, w których, dzięki duchowieństwu, wpływowi warstwy wykształceńszej i innym stosunkom, ludność jest pracowitsza i oszczędniejsza, grunta są droższe znacznie, niż we wsiach sąsiednich. To samo stosuje się do wsi, z których pochodzą wychodzcy amerykańscy w porównaniu ze wsiami, z których nie było wychodztwa. I tak np. w okolicy Lwowa, gdzie ludność w znacznej części jest zdemoralizowana częstem odwiedzaniem targów miejskich, sposobnością do pijaństwa i innych wydatków, i gdzie łatwy każdego czasu zarobek w mieście umożebnia egzystencyę stałą i tym, którzy nie posiadają ani piędzi ziemi, grunta są wogóle tańsze, niżej nawet szacowane bywają dla pożyczek bankowych, niż gorsze nieraz grunta w gminach, dalej od miasta położonych.

Popyt za gruntami ze strony włościan wywołuje coraz częstsze parcelacye gruntów dworskich, i to bądź częściowe, które zazwyczaj są pożądane ze stanowiska ogólnego interesu, bądź całkowite, t. j. absorbujące własność dworską w całości, które nie są korzystne, ze stanowiska ogólnego rzeczy biorąc, tam, gdzie własność większa i średnia i tak już szczupło są reprezentowane, jak to się dzieje w przeważnej liczbie okolic Galicyi zachodniej. Obok częstych wypadków zakupna gruntów dworskich, równie częste, a nawet jeszcze częstsze są dzierżawy tych gruntów przez włościan. Dzierżawy te, wobec tego, że dzierżawca mało liczy swoją pracę, a przy wielkiem rozdrobnieniu gruntów nieraz potrzebuje koniecznie zwiększenia obszaru, na któ-

rym gospodaruje, aby módz porządne gospodarstwo prowadzić, bywają zwykle wcale drogie, prawie zawsze nad 12 złr. od morga, częściej nad 15 do 20 i 30 złr., a znam majątek w okolicy Niska nad dolnym Sanem, gdzie płacą włościanie po 40 złr. od morga łąki.

Okazuje się stąd, że należyte rozwinięcie akcyi parcelacyjnej i skierowanie jej ku okolicom, w których znajdują się większe obszary, jeszcze dość ekstensywnie zagospodarowane, przyniosło-by korzyść i ludności włościańskiej okolic przeludnionych, i właścicielom tych obszarów.

Prace około wystawy krajowej 1894 postępują raźnie. Plac wystawowy jest już ogrodzony i splantowany, a niektóre budynki już wznosić się zaczynają. Niebawem będzie w ruch wprowadzona kolej żelazna, która od linii kolei Czerniowieckiej, przechodzącej po-za obrębem wystawy, skręcać będzie na plac wystawy i rozwozić po nim materyały budowlane i przedmioty wystawiane. Buduje tę odnogę kolej państwowa własnym kosztem. O rozmiarach wystawy niechaj dadzą choć przybliżone wyobrażenie następujące cyfry:

Murowany pawilon sztuki, który dyrekcya wystawy ma ofiarować po zamknięciu wystawy gminie miasta Lwowa na użytek publiczny, będzie kosztował około 810,000 złr., budynek czasowy dla przemysłu 520,000 złr., hall a maszyn 25,000, pawilon szkolny 37,000 złr., z którego część hr. K. Badeni buduje prywatnym swoim kosztem, około 12,000 złr., pawilon rolniczy 14,000 złr., pawilon budownictwa 12,000 dziennikarski 6,000 i t. d.

Wodociągi i kanalizacya na placu wystawy będą kosztowały 22,000 złr., oświetlenie elektryczne placu wystawy wraz z „fontaine lumineuse“ 80,000 złr.

Pawilonów prywatnych, budowanych wyłącznym kosztem właścicieli wielkich majątków, stowarzyszeń i t. p., jest dotąd zgłoszonych 37. Dochody z wystawy preliminowane są bardzo oględnie, tak, iż jest wszelka nadzieja, że nie będzie deficytu i że fundusz gwarancyjny, który utworzony został przez subskrypcye w tym celu osobno zbierane, niezależnie od subwencyi doraźnych, nie będzie musiał pokrywać strat. Podczas gdy przy niedawnej wystawie w Pradze preliminowano sprzedaż jednego miliona biletów wstępnych, a sprzedano w rzeczywistości przeszło dwa miliony tych biletów, to dyrekcya wystawy lwowskiej preliminuje sprzedaż tylko pół miliona biletów. Subwencye państwa, kraju i miasta Lwowa czynią razem 120,000 złr., subwencye banków 40,000, datki osób prywatnych blizko 75,000 złr., datki powiatów i miast prowincyonalnych 25,000 złr. Sprzedaż losów loteryi wysta-

wowej, która wydzierżawioną będzie pewnej firmie bankierskiej, przyniesie 80,000 złr. Oprócz tego, jak zwykle, z placowego, z katalogów, inserratów, z restauracyi i t. p. źródeł należy spodziewać się pewnych znaczniejszych dochodów.

Z wystaw czasowych, które w ciągu trwania wystawy krajowej będą się odbywały, najważniejsze będą następujące:

Od 8 do 12 czerwca wystawa owiec i nierogacizny,
od 21—27 czerwca wystawa bydła rospłodowego,
oa 5—11 lipca wystawa bydła użytkowego,
na początku września wystawa koni,
od 27 do 30 września wystawa drobiu.

U.

PRZYSZŁA WOJNA

JEJ EKONOMICZNE PRZYCZYNY I SKUTKI. [1]

ROZDZIAŁ XIII.

Środki pomocnicze.

Udoskonalona pod każdym względem broń oraz ulepszone nadzwyczajnie pociski nie stanowią jeszcze wszystkiego, co pomysłowy duch ludzki wynalazł celem zgładzenia w razie potrzeby jak największej liczby bliźnich, oraz celem najskuteczniejszego zniszczenia ich bogactw. Istnieje jeszcze cały szereg środków, *pomocniczych* wprawdzie, ale które mają znaczenie bardzo doniosłe i częstokroć decydujące, gdyż warunkują należyte wyzyskanie nowego uzbrojenia i potęgi liczebnej wojsk.

I.

Wewnętrzna komunikacya w armii.

Milionowe wojska, które państwa europejskie zamierzają wyprowadzić na pola bitew przyszłej wojny, muszą być podzielone na gru-

[1] Patrz zeszyt czerwcowy.

py, t. j. na armie, działające na różnych teatrach wojny. Z tych znowu każda, obejmując po kilka korpusów, potrzebować będzie znacznej przestrzeni na szerokość i głębokość. Już to samo utrudni bardzo porozumiewanie się armii i ich części pomiędzy sobą, oraz z wodzem naczelnym, a nawet z dowódzcą korpusu, dywizyi i t. d. A obok tego zjawią się i przeszkody inne. Brak dymu odsłoni pole walki; przelatujący więc na koniach wzdłuż linii bojowej oficerowie i ordynansi łatwiej wprawdzie przedostawać się będą mogli, lecz jednocześnie narażeni zostaną na wielkie niebezpieczeństwo, a to tem bardziej, iż we wszystkich armiach kształcą specyalnych strzelców, których zadaniem pomiędzy innemi będzie sprzątać kuryerów tego rodzaju. Skutkiem tego praktykowany dotychczas sposób przesyłania roskazów i wiadomości stanie się bardzo utrudnionym, a może nawet czasami i całkowicie niemożliwym. Ordynansi piesi i dawniej byli zbyt powolnym środkiem komunikacyi, przy nowej zaś taktyce i przy dzisiejszej liczebności wojsk, jeszcze mniej odpowiadać będą zadaniu.

Trzeba było myśleć o sposobach innych.

a) Welocypedy.

Wprawny welocypedysta na dobrej drodze nie da prześcignąć się nawet bardzo dobremu wierzchowcowi [1]), gdyż jest zdolen bez żadnego zmęczenia ubiedz na godzinę 12 kilometrów, ze słabem zmęczeniem 18, a z wielkiem zmęczeniem 24 kilometry.

Ma zaś welocypedysta nad kawalerzystą tę nadzwyczajnie w tym razie ważną przewagę, iż o wiele mniej jest widoczny. To też myśl posługiwania się podczas wojny przyszłej welocypedami zjawiła się nie w jednej już armii, robione też były próby i doświadczenia.

O ile wiadomo, do jazdy na stalowych rumakach używani będą odpowiednio wybrani i wyćwiczeni podoficerowie. Pierwszy przykład pod tym względem miał miejsce we Francyi podczas oblężenia Belfortu w 1870—71 r. Ponieważ brakowało kawaleryi, więc rosporządzenia posyłano na dwukołowych welocypedach. Ażeby dać pojęcie, jakie przeznaczenie otrzymać mają jeźdźcy na welocypedach, przytoczymy zadania, któremi w r. 1889 w Anglii obarczono cyklistów, pozostających pod dowództwem majora Skoby [2]): 1) utrzymywanie komunikacyi i badanie dróg przed nadejściem nieprzyjaciela; 2) burzenie linii dróg żelaznych na rozkaz głównego wodza; w tym wypadku tworzy się sil-

[1]) *Figuier* „Année Scientifique."

[2]) *Stadelmann* „Das Zweirad. Berlin, 1893.

ne oddziały, które mogą opanować stacyę kolei; 3) przed nadejściem nieprzyjaciela—służba wywiadowcza w tej miejscowości, po której on ma nadciągnąć, oraz śledzenie wraz z kawaleryą jego poruszeń; gdy nieprzyjaciel się zbliży, cykliści otrzymują rozkaz podążyć na punkta zagrożone i tam starać się przeciwnika zatrzymać, a następnie stopniowo się cofać. Wedle słów sprawozdania majora Skoby, jeźdzcy welocypedowi zadania te wykonywali całkiem zadawalająco.

W r. 1892 rząd francuski wydał instrukcyę, w której wskazywał konieczność posiadania na polu bitwy przy armii 3000 welocypedystów, werbowanych z pomiędzy szeregowców i podoficerów rezerwy oraz armii terytoryalnej. Celem wprowadzenia tej myśli w czyn, współubiegający się zostali poddani egzaminowi, zarówno co do jazdy na welocypedzie, jak i co do umiejętności odczytywania map, rozpoznawania sztabów różnych części wojsk z oznak zewnętrznych, badani byli przytem, czy znają rosklad typowej kolumny marszowej, i t. d. Kandydaci musieli mieć własne welocypedy dwojakiego typu: t. z. „*bicyclette de route*" i „*de demi route*" [3]). Charles Dilke na podstawie tego, co widział podczas wielkich manewrów francuskich w roku 1891, powiada: „Podoficerowie, użyci jako welocypedyści, wykazali zupełną zdolność do rozwożenia wiadomości i rozkazów, język ich był równie jasny i ścisły, jak oficerów z generalnego sztabu. To też posługiwano się nimi w charakterze kuryerów bardzo wiele i coraz więcej. Nie są oni wcale uzbrojeni, aby mieć większą swobodę ruchów" [4]).

W Austryi, w Wiener-Neustadt, zakładają specyalną szkołę, mającą na celu kształcenie welocypedystów wojskowych. W Niemczech posługiwanie się welocypedem zamierzone jest jeszcze na szerszą skalę. Rząd bardzo popiera rozwój sportu welocypedowego, szczególniej na pograniczu z naszym krajem, licząc na to, iż wojskowi ordynansi na welocypedach będą mogli szkodzić kawaleryjskim najazdom.

Według słów „Revue Militaire", w Rossyi w 1891 r. wydano rozporządzenie, ażeby każdy pułk piechoty posiadał w swoim składzie 8 cyklistów, każdy zaś batalion strzelców—4. Prócz tego, przy każdym pułku powinno być co najmniej dwóch oficerów, umiejących wprawnie jeździć na welocypedach.

Pamiętać jednak należy, iż bicykl i rower wymagają równej i twardej drogi. Na błotnistym lub piaszczystym gruncie, w lasach oraz na ścieżkach, wiodących pod górę, welocypedysta nie nadąży za pie-

[3]) „France militaire".
[4]) „Les armées francaises."

churem, gdyż musi ciągnąć lub nieść swoją maszynę. A więc w razie wojny na terytoryum Królestwa, a jeszcze bardziej w Cesarstwie, użycie welocypedów do służby kuryerskiej znaleźć może zastosowanie tylko w wypadkach rzadkich, jeżeli nawet nie wyjątkowych.

b) Gołębie.

Zdolność gołębi do oryentowania się w przestrzeni, gdy chodzi o powrót do rodzinnego gniazda, lub nawet do miejsca stałego pobytu, należy do zjawisk w naturze bardzo ciekawych i dotychczas nie wyjaśnionych. Przewiezione drogami żelaznemi, więc w zamknięciu, o 1600 kilometrów (próby między Madrytem a Liège) umieją potem trafić do swego dawnego gołębnika. Z 9 gołębi, wypuszczonych w r. 1886 z Londynu, jeden wrócił do swego gołębnika w Bostonie, drugi doleciał do New-Yorku, trzeci do Pensylwanii. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, działa tu specyalna jakaś własność mózgu, przyczem bystry wzrok odgrywa zapewne niemałą rolę pomocniczą. Ćwiczenia, wprawa, bardzo podnoszą w gołębiach wrodzone właściwości instynktu i umożliwiają użycie ich do pewnych określonych celów. To też rozwinął się nawet w wielu krajach rodzaj sportu gołębiego i nabrał już wielkiego znaczenia.

Zużytkowaniu zmysłu oryentacyjnego gołębi do potrzeb ludzkich sprzyja jeszcze i ta okoliczność, iż lot ich jest nadzwyczajnie szybki. Jeżeli warunki atmosferyczne sprzyjają, t. j. wiatr nie dmie w stronę przeciwną, niema deszczu, ani mgły, prędkość przeciętna lotu gołębi sięga 72—84 wiorst na godzinę. W r. 1878 urządzono konkurs pomiędzy gołębiami belgijskiemi a niemieckiemi. Wypuszczono je z Rzymu; odległość do przebycia wynosiła 1430 kilometrów, warunki atmosferyczne były fatalne. Pierwszy gołąb niemiecki wrócił do gołębnika w Aix-la-Chapelle po 9-ciu, drugi po 10 dniach; pierwszy gołąb belgijski przyleciał do Brukselli po 11-stu dniach [1]).

Tresowanie gołębi odbywa się stopniowo: naprzód się ich puszcza z odległości 7—8 kilometrów; gdy zaś tę drogę przebywają już całkiem dobrze t. j. możliwie najprędzej i w prostym zupełnie kierunku, muszą robić kursa dalsze, aż do 200 kilometrów. Z odległości 140 kilometrów wszystkie gołębie wracają do domu; im droga dalsza, tem większa ilość skrzydlatych listonoszów na niej ginie.

Wyrobiło się więc przekonanie, iż gołębie mogą oddać podczas wojny przysługi wielkie, i dopóki kierowanie balonami wynalezione nie

---

[1]) *E. Hennebert* „L'art militaire et la science."

zostanie, nic ich nie zastąpi. To też wszystkie państwa poczęły myśleć o rozwoju sportu wojenno gołębiego i przystąpiły niebawem do zakładania stacyi wojenno-pocztowo-gołębich.

Podczas oblężenia Paryża postępowano z depeszami w ten sposób: gromadzono je wszystkie na jednym arkuszu i drukowano niby szpalty dziennika, następnie zaś fotografowano, tak znacznie zmniejszając, że je tylko przez silną lupę można było czytać.

Jeden gołąb dźwigał mniej więcej 300,000 liter, t. j. blizko tom druku. Takich depesz wysłano do Paryża *sto tysięcy*; wydrukowane zwykłemi czcionkami, utworzyły-by one całą bibliotekę.

We Francyi, oprócz gołębi, utrzymywanych wprost przez rząd dla celów wojny, prawo nakazuje wraz z początkiem kampanii oddać na użytek armii wszystkie gołębie pocztowe, liczba zaś ostatnich sięga 150,000 sztuk.

Rząd niemiecki założył gołębniki wojenne w licznych bardzo punktach na całem terytoryum cesarstwa. Prócz tego w Niemczech istnieje 350 stowarzyszeń, które wrazie potrzeby do dyspozycyi rządu oddadzą 50,000 gołębi. W Austryi również energicznie zajmują się hodowlą gołębi.

W Rossyi początek zainteresowania się kwestyą poczty gołębiej przypada na rok 1874. Utworzyło się wtedy kilka stowarzyszeń amatorów, a ministeryum wojny przeznaczyło pewną sumę na urządzenie stacyi w Warszawie.

Ale hodowla gołębi pocztowych napotkała przeszkody. Ptaki miejscowe były za słabe do odbywania dalekich podróży, a sprowadzone z Belgii ginęły w surowym klimacie. Trudności te usunęła dopiero komisya rządowa, utworzona w r. 1885 z inżynierów i oficerów. W r. zaś 1888 w skutek rozkazu okręgu inżynierskiego, powstało pięć stacyi pocztowo-gołębich: w Brześciu, w Warszawie, w Nowogieorgiewsku, w Iwangrodzie i Łunińcu. Na każdej stacyi utrzymywana jest taka liczba gołębi, aby w każdym potrzebnym kierunku można ich było wysłać 250. W fortecach stacye podlegają władzy komendanta, w innych punktach—naczelnikowi sztabu okręgowego. Oprócz tego w Brześciu Litewskim istnieje już zakład, mający na celu doskonalenie rasy i hodowanie gołębi, odpowiednych do służby pocztowej przy danych warunkach [2]).

Z tego widać, że są zamiary utrzymywania za pomocą poczty gołębiej komunikacyi pomiędzy częściami armii, a także pomiędzy fortecami a armią polową. Odpowiedne więc stacye będą musiały wy-

[2]) *D. Pankiewicz* „Rozwój poczt gołębich w Europie.

mieniać pomiędzy sobą gołębie (przewożąc je w specyalnie urządzonych koszach), które następnie, wypuszczone, wracać będą do miejsc poprzedniego swego stałego zamieszkania.

W armii francuskiej żywią niejakie wątpliwości co do pożytku z gołębi w gorących, a zarazem ciężkich chwilach przemarszów, walk i oblężeń. Podczas ostatnich wielkich manewrów każda dywizya kawaleryi posiadała specyalny kosz z gołębiami, ale oficerowie i żołnierze byli zdania, że gdy brak żywności skurczy żołądki, biedne ptaszki pójdą do kotła na rosół [1]).

c) *Telegrafy elektryczne i telefony.*

Na terytoryum, wojną objętem, a szczególniej w pobliżu linii nieprzyjacielskiej, gdy obie armie będą w ruchu, oraz na polu bitwy, a nieraz nawet w chwili samej walki, wypadnie budować na prędce linie telegraficzne do tymczasowego użytku. Dlatego oddziały saperskie posiadać będą furgony z potrzebnemi meteryałami, t. j. drut, baterye i aparaty. Będą zakładane stacye polowe często na kilka zaledwie godzin, poczem wszystko zostanie zwinięte i zapakowane znowu do wozu. Oprócz tego dla komunikacyi na przestrzeniach mniej znacznych korzystają w armiach z zapasów drutu, noszonych przez żołnierzy na plecach. Wobec tego, że całe wojsko każdej ze stron walczących w oczekiwanej wojnie podzielone zostanie na kilka armii, działających oddzielnie, ale które będą musiały porozumiewać się, oraz wobec rozrzucenia na wielkiej przestrzeni oddziałów a nawet żołnierzy jednej armii, a wreszcie wobec utrudnionego przesyłania wiadomości i rozkazów przez adjutantów i ordynansów, linie telegraficzne i telefony będą miały znaczenie bardzo wielkie. Już podczas wojny 1870 r. armia niemiecka posługiwała się telegrafem w bardzo szerokich granicach. Dla celów wojennych używano 525 stacyi, które łączyły 23,330 kilometrów drutu [1]). Nie mniej przeto na zupełnie prawidłowe i pewne funkcyonowanie na polu walki liczyć nie można. Nawet podczas manewrów w Austryi nad rzeką Thay'a, druty telegraficzne, budowane jakotako w pośpiechu i bez wszystkich potrzebnych środków, były nieustannie rwane przez wojsko. Wśród zgiełku i gorączkowego stanu walki prawdziwej dziać się będzie oczywiście jeszcze gorzej.

---

[1]) *E. Hennebert.* „L'art. militaire et la science."

[1]) Von der *Goltz* „Militär Zeitung." „Eine Etappenerrinerung aus dem französische Kriege."

d) Telegraf optyczny.

Telegraf optyczny w najnowszych czasach zrobił również postępy. Za pomocą soczewek można promienie jakiegoś źródła świetlnego skoncentrować na punkcie, z którym ma się odbywać porozumienie, a następnie przez użycie szkieł kolorowych i ekranów wytworzyć wielką ilość znaków sygnałowych, które przez potężne lunety dają się dostrzedz z wielkiej odległości.

We Francyi posługują się aparatami różnej wielkości: jedne działają na przestrzeni 50—60 kilometrów, inne na przestrzeni 90—130 kilometrów, niektóre wreszcie, przy pięknej pogodzie, na przestrzeni 200 kilometrów [1]).

A ponieważ od Warszawy do Nowogieorgiewska jest tylko 26—27 wiorst (około 30 kilometrów), a do Iwangrodu 84 wiorsty (około 90 kilometrów), przeto w razie nawet zajęcia kraju przez wojska nieprzyjacielskie porozumiewanie się pomiędzy temi trzema warownemi punktami dokonywać się będzie mogło za pomocą znaków świetlanych, których przerwać przeciwnik nie ma sposobu. Brześć oddalony jest od Warszawy o 200 wiorst (około 214 kilom.); gdyby urządzić między temi punktami jedną tylko pośrednią stacyę, porozumiewanie się tych fortec przy pomocy telegrafu optycznego było-by zupełnie możliwe. Jednakże przy posługiwaniu się telegrafami optycznemi niezbędną jest pewna doza inteligencyi i akuratności.

Charles Dilke powiada, że podczas manewrów we Francyi, pomimo jasnego nieba, używano heliografu bez wielkiego powodzenia, a to z tego powodu, że się z nim nie umiano obchodzić.

e) Psy i aparaty fotograficzne.

Już starożytni posługiwali się psami podczas wojen. Używano ich mianowicie do porozumiewania się z najbliższemi punktami linii nieprzyjacielskiej. Tam przesyłane przedmioty dawano psom do pożarcia razem ze strawą, a za powrotem wydobywano je z wnętrzności zabitego zwierzęcia.

W końcu XVII wieku w kresowych posterunkach w Dalmacyi i Kroacyi tresowano psy, aby uprzedzały o zbliżaniu się Turków. Uczono je szczekać na widok żołnierzy muzułmańskich, oraz wyszukiwać ich kryjówki.

[1]) *Hennebert.* „L'art militaire et la science."

W naszych czasach o używaniu psów do celów wojny pomyślano naprzód w Niemczech. Potem wzięła się do tego Austrya, przekonawszy się w Bośni i Hercegowinie, iż czujność, zmyślność i węch psów dadzą się z wielkim pożytkiem wyzyskać na wojnie. Inne armie poszły niebawem za przykładem tych dwu państw.

Psy używane będą do pomocy przy służbie wywiadowczej. Oficer lub podoficer, wysłany do zbadania pozycyi nieprzyjacielskiej, będzie miał do pomocy psa i aparat fotograficzny. Nie mogąc wobec prawdopodobnej czujności posterunków nieprzyjacielskich długo na jednem miejscu zostawać bez narażenia się na wielkie niebezpieczeństwo, będzie musiał tylko podkraść się po-za krzakami, płotami, nierównościami gruntu, na punkt, z którego dojrzy część nieprzyjacielskiej pozycyi. W jednem mgnieniu oka pochwyci ją aparatem fotograficznym i w tejże chwili prześle do swoich przez psa. Obraz, nakreślony przez słońce, w sztabie rzucony zostanie na ekran po wstawieniu go w mikroskop słoneczny lub elektryczny, dzięki czemu poznane zostaną takie szczegóły, jakich najbieglejszy topograf, przy najbardziej sprzyjających okolicznościach, narysować-by nie zdołał.

Aparaty fotograficzne.

Wizerunki aparatu oraz psów z bagażem wyjęte z dzieł: *Hennebert'a* „L'art militaire et la science" oraz *Jupin'a* „Les chiens militaires" znajdzie czytelnik na załączonym rysunku.

Pies listonosz z torbą do bagażu.

Przytaczamy tu jeszcze za „Militär Zeitung" niektóre ciekawe szczegóły co do tresowania psów:

„W armii niemieckiej uczą psa mieć w podejrzeniu każdego, kto nosi mundur russki lub francuski, odróżniać tak przybrane osoby i dawać znać swemu panu o ich obecności. Każda kompania strzelców tresuje dwa lub trzy psy do służby wywiadowczej.

„Straż obozowa posiada wiele takich psów; jeden z nich bywa przyłączany do wysuniętej daleko naprzód placówki. Pies ten nosi żelazną, jak najlżejszą obrożę, do której przyczepioną jest skórzana kieszonka. Gdy posterunek lub patrol spostrzega w bliskości coś podejrzanego, wypuszcza psa, ten stwierdza, czy zbliża się, lub gdzie się znajduje wróg, czy też przyjaciel. Za pomocą zmysłu powonienia pies poznaje zdaleka, z kim ma do czynienia, i powraca; po sposobie jego zachowania się i po tonie głosu posterunek lub patrol poznaje, czy im grozi jakie niebezpieczeństwo. W nocy pies za pomocą modulacyi głosu objaśnia posterunek i placówkę, czy nieprzyjaciel posuwa się naprzód, czy też stoi w miejscu i t. d. Wtedy posterunek i placówka albo się cofa, ażeby zdać raport straży obozowej, albo też pozostaje w miejscu, a tylko pisze szybko doniesienia i kładzie je do kieszonki, zawieszonej na szyi psa, a ten już niesie ją do obozu.

„Jeżeli się zbliża nieprzyjaciel w poważnej liczbie, to naczelnik straży obozowej posyła do placówek innego psa ze specyalnem doniesieniem i instrukcyą, co robić. Jeżeli zaś siły nieprzyjacielskie są niewielkie, to roskazuje awangardzie samej odeprzeć natarcie. W każdym razie ostrzeżenia psa zwracają uwagę i pozwalają mieć się na ostrożności.

„Psy tresowane służą także do wyszukiwania po długim marszu lub po potyczce maruderów, zabłąkanych lub rannych. (Wiadomo, że zwłaszcza przy wyszukiwaniu rannych, którzy stracili świadomość, osiągnięto pod tym względem zadziwiające rezultaty)."

Są również tresowane psy w armiach russkiej i francuskiej. Już w r. 1887 na manewrach 9 korpusu armii francuskiej przy każdym pułku znajdowały się cztery psy. Ażeby wyprobować czujność i doniosłość zmysłu każdego zwierzęcia, posyłano dwu lub trzech ludzi, którzy usiłowali porwać placówkę, lub przeczołgać się bez szmeru przez linię straży przednich. Usiłowania te spełzały na niczem: pies podług zasad tresury warczał, nie szczekając. Psy te pełniły także doskonale misyę roznosicieli rozkazów i raportów.

Jeżeli pułk jest w marszu, psy muszą być prowadzone na smyczy, gdyż rzuciły-by się natychmiast na każdego, kto nie nosi znanego im uniformu.

II.

Środki obserwowania ruchów wojsk.

Wszystkie środki, wyżej opisane, nie są jeszcze zdolne uczynić zadosyć potrzebom armii, gdy idzie o porozumiewanie się w każdej chwili oddziałów jej pomiędzy sobą, oraz o posiadanie wszelkich niezbędnych wiadomości o nieprzyjacielu. Na pola bitew wylegną narody, wodzowie obejmować będą musieli niedoskonałem okiem swojem ogromy mas ludzkich stron obu; nic więc dziwnego, że umysł i sztuka wysilają się jednocześnie, aby im to zadanie ułatwić. Udoskonalona broń oddali walczących, dym nie wskaże już, gdzie i jakie siły ustawił przeciwnik. Siatka strzelców osłoni i zamaskuje armię główną. Oryentować się trzeba będzie z kierunku strzałów, które stanowią zaledwie wskazówkę, trudną do odcyfrowania, bardzo niepewną, a nawet zawodną. Przytem z kierunku strzałów niepodobna jest wnioskować o odległości, dzielącej od wroga, bez tego zaś niema możności ustawić celowników na karabinach ani celować z dział.

Z tych wszystkich względów armie współczesne muszą posiadać obserwatorya, z których dowódcy mogli-by mieć na oku pozycye i poruszenia nieprzyjaciela, jednocześnie zaś widzieć własne oddziały, a wskutek tego być w możności kierować niemi.

a) Obserwatorya.

Nie zawsze zaś miejscowość, na której operować trzeba, ma sama przez się punkta wyniosłe, ułatwiające obserwacyę. Trzeba się posługiwać sztuką.

Przystąpiono też do prób nad wznoszeniem obserwatoryów i pewne rezultaty zdołano już otrzymać.

W tym celu wszystkie armie posiadają drabiny, podobne do tych, jakiemi posługuje się straż ogniowa.

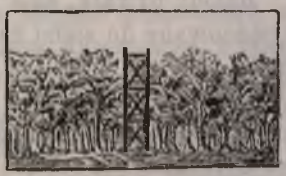

Drabina taka składa się z 3 rozsuwanych części, które wożą przy armii na specyalnie do tego przyrządzonym wozie. Obserwator

wchodzi na wierzch na platformę, otoczoną balustradą, i tam znajduje pulpit do narzędzi rysunkowych i odpowiedne aparaty. Drabina, przy pomocy kołowrotu, rozsuwa się i zsuwa, pozwalając tym sposobem wznosić się obserwatorowi do żądanej wysokości.

Wojsko, mające się bronić w pewnych pozycyach, uprzednio obranych, radzi sobie jeszcze lepiej: buduje obserwatorya stałe, dogodniejsze i wyższe.

Rysunki nasze przedstawiają kilka strażnic tego rodzaju; wzięliśmy je z dzieł: Henebert'a „L'art militaire et la science", z Brunnera „Feldbefestigung."

Obserwatorya, szczególniej ruchome i drabinowe, nie mogą być zbytnio wysokie wskutek samej swej budowy, ze szczytu ich tylko nieznaczna przestrzeń da się objąć, to też posługiwać się niemi będą przeważnie tylko dowódcy mniejszych oddziałów. Dowódcy naczelni potrzebują ogarnąć z wysokości orlego lotu obszary wielkie, i dlatego to między innemi z takim nieustającym wysiłkiem pracują wciąż nad udoskonaleniem balonów wszelkiego rodzaju.

b) Balony jako obserwatorya.

I.

Pomocnicza rola balonów w przyszłej wojnie przedewszystkiem polegać będzie—jak to później wykażemy—na umożliwieniu oryentowania się wśród nadzwyczajnie rozrzuconych pozycyi własnych oraz nieprzyjacielskich. Porucznik Brough powiada: „W wojnach przyszłości, kiedy obie strony wystąpią z olbrzymią liczbą wojsk i kiedy front linii bojowej wyciągnie się na bardzo wielkiej przestrzeni, za pomocą balonów można będzie dojść do takich wiadomości o siłach i stanowisku przeciwnika, jakie chcąc otrzymać, w większości wypadków kawalerya musiała-by ponieść straty niezmiernie dotkliwe i w dodatku, w najlepszym razie, zyskała-by wskazówki gorsze, bo pośrednie zaledwie."

Balony bywają dziś trojakiego rodzaju: 1) t. zw. *balons captifs*, przymocowane do ziemi za pomocą kołowrota i posiadające własny generator gazowy, 2) balony wolne i 3) balony t. zw. kierowane.

Gaz do napełniania balonu albo wytwarzają na miejscu puszczania, albo też gotowy już wożą wraz z balonem w metalowych rurach zamkniętych.

Koszt napełnienia balonu dochodzi do 215 rubli, codzienne zaś roschody dodatkowe wynoszą 12—15 rubli. Waga aparatu, wytwarzającego gaz, stanowi 2,900 kilogramów.

Balony trzymane są na uwięzi za pomocą kołowrotu, poruszanego specyalną maszyną parową. Gdy balon wzniesie się na wysokość możliwie największą, t. j. gdy cała lina rozwinie się z wału kołowrotu, do ściągnięcia go na ziemię potrzeba 10 minut czasu [1]).

Dla przewożenia całej polowej stacyi balonowej systemu francuskiego potrzeba 10—15 furgonów; jeżeli okolica bogata jest w wodę, można nie wozić z sobą jej zapasu.

Balony systemu angielskiego różnią się bardzo od balonów francuskich. Bania ich obleczona jest skórą specyalnie wyprawioną, są one bardzo lekkie i podnoszą tylko jednego człowieka. Zamiast generatora (aparatu do wytwarzania gazu) używa się rur żelaznych z gotowym gazem, przez co zyskuje się na czasie i swobodzie, gdyż nie trzeba szukać wody i napełniać nią aparatu. Z tego względu w armii niemieckiej oraz francuskiej systemowi angielskiemu oddają pierwszeństwo.

Hoernig zapewnia, iż w Rossyi przyjęto balon, mający 640 metrów sześciennych objętości, do którego napełnienia potrzeba 160 rur z gazem. Przytem inżynier russki, Laczynow, miał wprowadzić znaczne ulepszenia zarówno do konstrukcyi kołowrotów, jak i do fabrykacyi gazu. Hoernig stwierdza, że wynalazki Laczynowa przyjęte były przez sfery wojskowe i naukowe w Rossyi z wielkim zapałem, i uważa to za dowód wysokiej ich wartości.

II.

Przyjrzyjmy się teraz, jakie korzyści z balonu uwięzionego osiągnąć mogą wodzowie i armie.

Już w roku 1861, podczas wojny domowej w Ameryce północnej, balon oddał wielkie przysługi pod Richmondem. Rola balonów w armii francuskiej 1870—71 roku jest znaną; szczególniej ważny pożytek przyniosły balony Paryżowi. Kiedy stolica Francyi pozbawioną została komunikacyi, gdyż przedostać się przez szeregi wojsk oblężniczych było niepodobieństwem, podwodne zaś telegrafy zostały zniszczone przez Niemców, wówczas pozostawała jedna jedyna tylko droga ratunku—balony. Od 23 września 1870 r. do dnia kapitulacyi wypuszczono z Paryża 64 balony z 91 pasażerami i 363 gołębiami pocztowemi. Listów i depesz wysłano tym sposobem, licząc na wagę, około 9,000 kilogr. Z gołębi wróciło do Paryża 57 sztuk, a przyniosło około 100,000 depesz i listów. Zwykłe pocztowe balony wraz z łódką wa-

[1]) Z dzieła *Espitallier'a* „Les ballons".

żyły po 10 centnarów, każdy z nich mógł dźwigać ciężar o 19 centnarach i wznosić się na 2,300 metrów. Gambetta i generał Kératry opuścili balonem Paryż 7 października i naprzód zapuścili kotwicę w Creille.

Kwaterująca tam warta pruska sądziła, że ma do czynienia z aerostatem własnym; dopiero, gdy Francuzi, ujrzawszy swoją omyłkę, wyrzucili balast i wznieśli się do góry, poczęto strzelać—Gambetta został wtedy raniony kulą w rękę. Balon francuski później spadł w Mondidier.

Na jednym z balonów 22 grudnia wyruszył do generała Chanzy oficer z zawiadomieniem, iż żywności dla Paryża wystarczy tylko jeszcze na 4 tygodnie.

Z liczby 64 balonów pocztowych 56 szczęśliwie dotarło do celu; 5 schwytali Niemcy, jeden był zaniesiony do Norwegii (w ciągu 15 godzin zrobił 1,500 kilom.), dwa zaś przepadły bez wieści, zapewne na morzu.

Krupp zrobił ruchomą armatę do strzelania w balony; według jednej wersyi zniszczyła ona jeden aerostat, według drugiej zaś nie była wcale używaną.

W czasie tej wojny Niemcom próby z balonami nie udawały się. We wrześniu 1870 r. w Kolonii była sformowana napowietrzna flotylla, celem rekognoskowania przy oblężeniu Strassburga. Po szeregu rozmaitego rodzaju niepowodzeń, w dniu 24 września był nakoniec puszczony balon, który mógł wziąć z sobą jednego tylko człowieka; silny pęd wiatru i gęsty dym nie pozwoliły jednak czynić dokładnych spostrzeżeń, pomimo, iż aerostat wzniósł się tylko na wysokość 115 metrów. Wszakże chwilami udało mu się dojrzeć najdalej położone forty i przekonać się, iż cytadela miasta była już w gruzach. Po tej próbie starano się przygotować nową ekspedycyę, lecz tegoż samego dnia, gdy nareszcie balon udało się napełnić gazem, Strassburg poddał się—aerostaty więc były wysłane do Paryża, lecz i tam nie przyniosły Niemcom żadnej korzyści. Flotylla napowietrzna niemiecka wkrótce też była zwinięta [1]).

W czasie wojny Brazylii z Paragwajem, generał brazylijski Saksias codziennie z balonu oglądał i obserwował obóz nieprzyjacielski.

Rzecz dziwna i godna zastanowienia, iż w r. 1877—78 w armii russkiej balony wcale używane nie były. Nie ulega najmniejszej

---

[1]) „Die Verwendbarkeit des Luftballons in der Kriegführung." Lavergne-Poguilhen „Militärisches Wochenblatt." 1886.

wątpliwości — jak to później będziemy mieli sposobność wykazać — że, gdyby dowódcy russcy mieli pod Plewną balony do swej dyspozycyi, przebieg i rezultat ataków, a szczególniej pamiętnego szturmu 30 sierpnia, byłyby całkiem inne.

Od tego czasu zaszły zmiany wielkie i dziś już wszystkie armie są prawdopodobnie odpowiednio zaopatrzone w balony, które w ciągu 8—10 minut są zdolne przy cichej pogodzie wznieść się do 600 metrów. W niemieckiej jednak armii nie zadowolono się tem, i obecnie wprowadzono już aerostaty, sięgające 800, a nawet 1,000 metrów wysokości. W razie wiatru balon musi się zniżać, i gdy szybkość wichru dosięgnie 7—8 metrów na sekundę, może pozostawać tylko na wysokości 100 metrów.

Jeżeli czas jest całkowicie pogodny, lub przynajmniej nie bardzo pochmurny, z wysokości 500 metrów można za pomocą doskonałych szkieł z balonu sięgnąć okiem na odległość 15 kilometrów i na tej przestrzeni dojrzeć stan wojsk własnych oraz układ linii nieprzyjacielskiej. Obserwator ma pod sobą pole bitwy jak na planie, okiem obejmuje znaczną przestrzeń i rozmieszczone na niej wojska, a więc panuje nad całą sytuacyą. Dostrzega wszystkich właściwości terenu, porządku i kierunku marszu kolumn nieprzyjaciela, a stąd może wnosić o jego zamiarach.

Liczne doświadczenia z balonami robione były podczas manewrów francuskich, relacye o nich znajdujemy w dziele Hoernesa „*Ueber Fesselballon-stationen*“ [1]).

„Stanowisko wojsk nieprzyjacielskich spostrzeżono z odległości 13 kilometrów, wskutek pyłu, jaki poruszenia ich wzniecały. Własny korpus, jego pozycyę i marsze można było nieustannie mieć na oku. W ten sposób rozwiązane zostało trudne zadanie dowodzenia całą masą wojska z jednego punktu centralnego: wódz w każdej chwili odbiera wiadomości o stanie rzeczy od oficera sztabowego, obserwującego z łódki balonu.

„Pod Aulnoy dowódca korpusu został przestrzeżony, iż atak, który w tej chwili przypuszcza wróg na jego pozycyę, był demonstracyą, maskował bowiem tylko prawdziwy napad, skierowany ku całkiem innej stronie. Pod Colombey generał Gallifet 2½ godziny przebywał w łódce balonu i stamtąd kierował ruchami całego wojska. Front wojska rozciągał się na 12 kilometrów, a w głąb armia zajmowała przestrzeń 3—9 kilometrów. Nad całym tym obszarem generał Gallifet panował całkowicie, chociaż balon wznosił się tylko na 400 metrów nad ziemią.

[1]) Wiedeń, 1892.

„Na innych manewrach z balonu zawiadomiono wodza o starciu dwu dywizyi jazdy, które zaszło na odległości 9 kilometrów. Balony oddawały również bardzo ważne przysługi w nocy, gdyż dzięki im zdołano wykryć stanowiska wroga.

„Dubureaux sądzi, iż obecność balonów na polach bitew pod Waterloo i St. Privat była-by całkowicie zmieniła rezultat walki. Pod Waterloo Francuzi dosyć wcześnie wiedzieli-by o zbliżaniu się Blüchera z Prusakami. Pod St. Privat znowu dowódcy francuscy łatwo-by spostrzegli, iż Niemcy łudzą ich bardzo małemi siłami, przeciągają walkę, oczekując na przybycie znacznych posiłków."

Lecz pomimo rozległości widoku, jaki przed okiem obserwatora roztoczy się z balonu, zoryentować się w pozycyi z jednego balonu było-by często niepodobieństwem, gdyż olbrzymie masy wojska rozrzucą się na bardzo rozległych przestrzeniach wzdłuż i wszerz. Obecnie w armii niemieckiej w każdym pułku powinien być przynajmniej jeden oficer, który-by umiał robić obserwacye z balonu, trzymanego na uwięzi, a nawet w razie potrzeby urządzać wycieczki. W Berlinie i w Monachium są szkoły jazdy napowietrznej, do których zwykle letnią porą odkomenderowywani bywają 2 oficerowie z każdego pułku. Niewątpliwie więc dla oglądania pozycyi własnych i nieprzyjacielskich używaną będzie w Niemczech znaczna liczba balonów, wznoszących się w różnych punktach pola walki [1]). Ale oczywista rzecz, iż obserwacye z różnych miejsc i przez różnych ludzi będą się różniły, chociażby wszelkie warunki ścisłości zostały zachowane. Od inteligencyi oraz zmysłu oryentacyjnego wodza zależeć będzie trafność ostatecznej kombinacyi i decydujących rozporządzeń.

III.

Prócz tych usług, z balonów przymocowanych mają być dawane wskazówki co do celności strzałów, w tym celu robione są też doświadczenia w Niemczech, Francyi, Rossyi, Anglii i Włoszech.

Wreszcie, z balonów będą mogły być przesyłane sygnały optyczne. „Engineering" jeszcze w r. 1883 pisał: „Niedawno dokonane zo-

[1]) Hoernes w cytowanem dziele powiada: „Błędne ma pojęcie o roli balonów w przyszłej wojnie, kto sobie wyobraża, iż wzniesie się jeden balon, i to na początku bitwy, celem zoryentowania się w pozycyi. Przy dzisiejszej rozciągłości linii bojowej i przy donośności broni współczesnej, z jednego balonu niepodobna objąć dostatecznej przestrzeni, ani wzdłuż, ani wszerz."

stały w Paryżu próby oświetlania wnętrza balonu, celem otrzymania jasnego przedmiotu wielkich rozmiarów, co pozwoliło-by przesyłać znaki telegraficzne w nocy. Bania balonu zrobiona była z bardzo przezroczystego papieru, miała około dwu metrów średnicy, objętość zaś jej wynosiła około stu sześciennych stóp. Napełniono ją czystym wodorem i puszczono w górę na linie, w którą wplecione były dwa druty miedziane. Wewnątrz balonu umieszczano lampkę żarową, która silnie oświetlała banię. Przerywając nieustannie prąd, można było zastosować do tego optycznego telegrafu system Morse'a: dłuższe utrzymywanie światła odpowiadało kresce, krótsze—punktowi.

„W Anglii robione były w r. 1889 próby z balonem, przeznaczonym do dawania sygnałów optycznych. „Elektrotechnischer Anzeiger" zapewnia, iż można było za pomocą takiego balonu przesyłać znaki telegraficzne zarówno w dzień, jak i w nocy, i to na bardzo znaczne odległości. Ważna jest okoliczność, iż cały ten balon wraz ze wszystkiemi dodatkami oraz z aparatem telegraficznym, w nim zawartym, ważył tylko 20 kilogramów, mógł więc być noszony z łatwością przez jednego człowieka" [1]).

Espitalier [2]) powiada, iż próby paryskie przekonały o niemożliwości porozumiewania się, przy praktykowanym sposobie oświetlania wnętrza balonu, na odległości dalszej nad 18 kilometrów. Można jednak ognisko światła umieszczać po-za balonem na wolnem powietrzu, wtedy rozmiary jaśniejszej przestrzeni zmniejszą się, natomiast natężenie zyska, co często jest korzystniejsze.

„The Journal of the Royal United Service Institution", w zeszycie za miesiąc marzec r. b., pomieścił referat Eryka Stuarta Brusa, w którym między innemi powiedziano, iż aerostaty, mające objętości 4,200 sześciennych stóp, będąc zaopatrzone w lampki żarowe, w zupełności odpowiadają swemu przeznaczeniu, i że za pomocą takich balonów na próbach, dokonanych w Antwerpii jeszcze w r. 1887, belgijski minister wojny mógł porozumiewać się z generałem Wuwerminsem, znajdującym się na odległości 5 kilometrów. Dokonane od tego czasu ulepszenia pozwalają, jeżeli tylko warunki nie są zbyt nieprzyjazne, dawać sygnały na przestrzeni 18 kilometrów.

Załączony rysunek podany został przez „Science illustrée" i przedstawia próby, dokonane przez wojska niemieckie na Helgolandzie.

---

[1]) Cytata z artykułu wydawnictwa „Wojennyj sbornik" p. t.: „Stan wojennej żeglugi napowietrznej"

[2]) *Espitalier.* „Les ballons."

Porozumiewanie się za pomocą balonów.

IV.

Błędem oczywiście było-by mniemać, iż nieprzyjaciel spokojnem okiem i bezczynnie patrzeć będzie na usiłowania przeciwnika zbadania jego pozycyi i sparaliżowania przedsięwzięć. Wszystkie armie mają już działa, przeznaczone do ostrzeliwania balonów. Dadzą się one użyć i do niszczenia balonów. A dodać trzeba, iż to rzecz wcale nie tak trudna, jakby się na pierwszy rzut oka wydawać mogło. Na próbach, dokonanych w Rossyi pod Iżorą, balon „Jastreb", należący do parku areonautów wojskowych, spadł na ziemię po 11-ym strzale [1]).

Lecz nietylko pociski działowe groźne są dla statków napowietrznych. Doświadczenie przekonało, że jeżeli balony nie wzniosą się po-nad 3,500 metrów, to i kule karabinowe mogą być dla nich niebezpieczne. Ale z drugiej strony próby te przekonały, że nawet przedziurawiony balon spuszcza się na ziemię ruchem powolnym, niby spadochron; aeronauci więc nie będą zagrożeni, o ile naturalnie sami ranieni nie zostaną.

---

[1]) *Hoernes* „Fesselballons."

Wobec tego oczywiście uwięzione balony nie będą się pokazywały nieprzyjacielowi na czas zbyt długi, a to tem bardziej, iż kwadrans całkowicie wystarcza do zrobienia rekonesansu. Prawie zaś napewno powiedzieć można, iż przez czas ten zachować one będą mogły zupełną swobodę ruchów. Ażeby zaś o tem się przekonać, zobaczmy, co się stanie, gdy nad polem walki pokaże się balon. Zapewne czas jakiś minie, zanim go nieprzyjaciel dostrzeże. Potem nie będzie miał na razie bateryi, gotowej do strzelania w tym kierunku i na taką odległość: wypadnie przesłać rozkazy, wymierzyć przestrzeń, zregulować ogień. W ciągu tego czasu balon zniknie; parowy kołowrot ściągnie go szybko na ziemię, a sześć koni powiezie go na inny punkt walki. Chodzi więc tylko o to, czy balony są dziś dosyć już wydoskonalone, aby można było niemi manewrować w podobny sposób z powodzeniem? Autorowie kompetentni sądzą, że *tak*.

V.

Używanie balonów przywiązanych praktykowane być może na wojnie przeważnie w celach taktycznych. Balony wolne, któremi-by umiano kierować, o czywiście oddać-by zdołały usługi nierównie większe. To też we wszystkich krajach pracowano nad rozwiązaniem tego zadania nieustannie. Wszelkie próby kierowania balonami wolnemi do roku 1884 nie udawały się, dopiero w owym roku 9 sierpnia kapitan Renard i współpracownik jego, Krebs, dokonali pamiętnego wzniesienia się w balonie (załączamy jego wizerunek) „Francya"; przebyli oni z góry oznaczoną drogę, mającą kształt, przypominający 8, i wrócili do punktu swego wyjazdu.

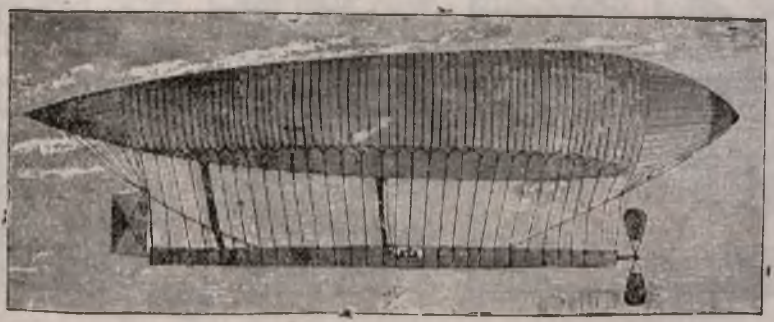

Balon „France."

Balon „Francya" kształtem niepodobny był do zwyczajnych balonów. Długość jego wynosiła 50.40 metrów, średnica 8.40 metrów,

objętość 1864 metry sześcienne. Przód statku napowietrznego był mniej ostry niż tył, czyli w ogólnym zarysie miał kształt szybko pływających ryb.

Balon obciągnięty był pokrowcem z sieci jedwabnej. Łódka miała 33 metry długości, bambusowy korpus jej obleczony był również w jedwabną koszulę; w ten sposób powietrze mogło bez oporu przesuwać się po jednolitej powierzchni.

Przyrząd do poruszania balonu składał się ze szruby o dwu skrzydłach, mających 7 metrów w średnicy; szruba obracała się przed łódką na walcu z blachy żelaznej, który przez transmisyę połączony był z motorem dynamo-elektrycznym. Jako generatora elektrycznego użyto bateryi z bardzo energicznych elementów, wynalezionych przez Renard'a. Z tyłu statku umieszczono ster z jedwabiu, który pozwalał utrzymywać balon w pewnym stałym kierunku lub go zmieniać.

W r. 1885 robiono nowe próby z balonem udoskonalonym, mianowicie zmniejszono ciężar górnych jego części, co pozwalało wziąć do łódki trzeciego aeronautę i dokładnie mierzyć szybkość żeglugi. Bez tych wymiarów, możliwych do osiągnięcia wyłącznie na drodze doświadczalnej, niepodobna było trafnie oznaczyć oporu powietrza, stawianego biegowi takich wydłużonych balonów.

Drogi wycieczek przedsiębranych balonami z Paryża w 1885 r.

Zobaczmy, jakich warunków potrzeba, aby balon wolny mógł być swobodnie kierowany i aby dosięgnął zamierzonego celu. Jeżeli powie-

trze jest zupełnie spokojne, to oczywiście balon płynąć może wprost do punktu, jaki sobie wyznaczył. Lecz jeżeli dmie wiatr, trzeba koniecznie, aby siła, wprawiająca balon w ruch, była zdolna pokonać parcie wiatru. Zachodzi tu toż samo zjawisko, co przy żegludze wodnej przeciwko prądowi: wiosło lub koło musi nadawać łodzi szybkość większą, niż posiada bieg rzeki.

W sferach powietrznych zadanie komplikuje się mocno tem, iż na różnych wysokościach prądy są różne pod względem siły i pod względem kierunku. Wybudowanie wieży Eiffel, wznoszącej się na 303 metry nad ziemią, pozwoliło robić pod tym względem ciekawe doświadczenia i dostrzeżone zjawiska porównywać z obserwacyami stacyi meteorologicznej paryskiej.

Przekonano się mianowicie, iż w ciągu 100 (liczba naturalnie przeciętna) słonecznych dni w roku, średnia szybkość wiatru na wysokości 303 metrów wynosi 7.5 metrów na sekundę. Minimum chyżości posiada wiatr o godzinie 10 z rana (około 5.4 metra), maximum o 1-ej w nocy (8.75 metrów).

Uczeni, zajmujący się kwestyą aeronautyki, doszli do wniosku, że na wysokości 600—1000 metrów, do której się zwykle wznoszą aeronauci wojskowi, balon powinien posiadać własną szybkość 9—11 metrów na sekundę, inaczej przez $^2/_3$ roku nie będzie mógł wcale odbywać wycieczek. W sferach wyższych niezbędną jest szybkość 14—16 metrów.

Okazało się, że balon Renard'a „la France" posiadał tylko chyżość 6.50 metrów. Doświadczenie pokazało dalej, iż na 1000 wypadków 700 razy wiatr był słabszy, niż szybkość, tą liczbą wyrażona. Stąd wynikło, iż tylko 70% przedsiębranych na „France" wycieczek mogło się udać, i tak też rzeczywiście było. Okoliczność ta jasno i ściśle postawiła zadanie kierowania balonami. Trzeba, aby siła, poruszająca balon, była dosyć potężna. Utrzymują, iż dziś już można budować balony o szybkości 10—12 metrów.

Renard zawiadomił Instytut, iż nowy jego statek powietrzny będzie mógł zawrzeć 3,200 metrów sześciennych wodoru i udźwignie motor o sile 35—40 koni, który pozwoli balonowi nadać szybkość 10 metrów na sekundę.

VI.

Poznanie praw, rządzących prądami powietrza i wogóle jego stanu, dokonywa się ciągle; jednak, pomimo nieustających usiłowań i nawet pomyślnych dosyć prób, kwestyi kierowania balonami za ostatecznie rozwiązaną uważać w tej chwili jeszcze niepodobna. Ponieważ niema środków zapanowania nad prądami atmosfery, chcą więc umieć korzystać z pomyślnych wiatrów i wiedzieć, kiedy i gdzie się je napotka. Dowodem, że pewne rezultaty pod tym względem osiągnąć można przy odpowiedniej znajomości rzeczy, służyć mogą wielokrotne wycieczki konkursowe aeronautów, dokonywane we Francyi, Belgii i Anglii. Wymagano tam, aby balony, wypuszczone w tym samym czasie, przychodziły jednocześnie do punktu, leżącego w kierunku wiatru i oznaczonego poprzednio na mapie. Niepodobna uważać za rezultat prostego wypadku, iż aeronauci francuscy (Godard) niejednokrotnie brali pierwsze nagrody i spuszczali się zaledwie o 3—5 kilometrów od punktów wskazanych, przebywszy drogę 60—100 kilometrów.

Próby z balonami, mające na celu badanie pozycyi, odbywały się i poprzednio. W czasie wojny domowej w Północnej Ameryce, południowiec aeronauta La-Mountain odciął sznurek, trzymający balon na uwięzi pod Waszyngtonem, i zbadawszy pozycye nieprzyjaciół, wzniósł się w górę, poczem, korzystając ze sprzyjającego wiatru, powrócił do swoich, niosąc im ważne wieści.

Przy oblężeniu Yorktownu, aeronauta, za pomocą drutu telegraficznego, z łódki balonu udzielał naczelnikowi artyleryi wiadomości o rozlokowaniu się armat nieprzyjacielskich, oraz dawał wskazówki, jak nastawiać działa [1]).

Dodać trzeba, iż z balonów, zarówno uwięzionych, jak wolnych, można zdejmować fotografie miejscowości, co oczywiście ma niemałe znaczenie. Okazało się, iż z wysokości 1,100 metrów, przy szybkości wiatru, wynoszącej 6 metrów na sekundę, zupełnie dokładnie wychodzą na fotografii budynki, ulice zaś, rzeki i drogi żelazne wyglądają jak pasy.

Poniżej dajemy rysunek fotograficzny [2]), zdjęty niedawno z balonu przez Tissandier'a.

---

[1]) Lavergne-Poguilhen „Militär Wochenblat" 1886.

[2]) Z dzieła „Sciences appliquées à l'art militaire." (Zob. na nast. str.).

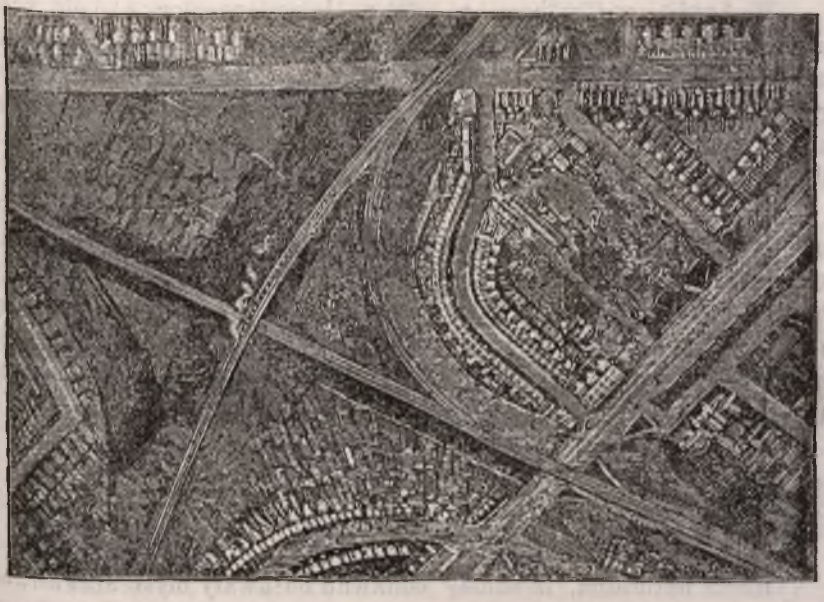

Fotografię tę zdjęto z balonu wzniesionego nad Paryżem w d. 19 czerwca 1885 r. na wysokość 605 metrów. Aparat fotograficzny, przymocowany do burtu łódki, może się obracać około osi, umieszczonej pionowo, jak to pokazuje następujący rysunek:

Nastawienie aparatu i zdjęcie fotografii trwało $^1/_2$ sekundy. Podczas wycieczki nad Paryżem z Auteuil do Menilmontant (od godziny 1-ej minut 40 do 2 min. 12) dokonano 5 zupełnie dokładnych zdjęć.

W Anglii, w Chatham, w 1884 r., inżynier major Alslade robił nadzwyczaj ciekawe próby. Puszczał mianowicie balony uwięzione bez pasażerów, lecz natomiast zaopatrzone w samodziałające aparaty fotograficzne. Jak tylko balon dosięgał pewnej oznaczonej wysokości, aparat zaczynał funkcyonować i na negatywie otrzymywało się odbicie miejscowości. Próby te udawały się całkowicie.

Doświadczenia z balonem wolnym, robione przez batalionowego dowódzcę Friboura, naczelnika oddziału fotograficznego przy składzie geograficznym armii francuskiej, podczas manewrów 5 francuskiego korpusu, dały nadzwyczaj dokładne zdjęcia, z których, powiększając je dwa razy, otrzymano świetne, nie pozostawiające nic do życzenia, egzemplarze. Przy użyciu kilku aparatów na jednym aerostacie, można otrzymać całą seryę ścisłych dokumentów topograficznych.

VII.

Rzecz naturalna, iż balony oddawna nasuwały myśl atakowania nieprzyjaciela z góry. Już w r. 1848 Austryacy rzucali z balonów na Wenecyę bomby z mechanizmami zegarowemi. Oczywistą jest jednak rzeczą, iż dopiero udoskonalenie balonów i wynalezienie materyi wybuchowych, potężniejszych od prochu, może zapewnić podobnemu przedsięwzięciu całkowite powodzenie.

Obecnie wielu o tem myśli i wielu się tego boi.

W Ameryce probują zastosować do rzucania bomb dynamitowych balony systemu generała Russel Thayera (kierowane). W wydawnictwie p. t. „Sciences appliquées à l'art militaire" znajdujemy opis przyrządu, wynalezionego w Ameryce. U spodu niedużego balonu, który może podnosić 50—250 kilogr., na haczyku przymocowany jest ładunek prochowy, połączony sznurkiem z torpedą. Gdy balon wzniesie się nad punktem oznaczonym, proch w ładunku przy pomocy prądu elektrycznego wybucha i zapala sznurek, wtedy torpeda spada na ziemię. Autor omawianego artykułu nie uważa mechanizmu tego za praktyczny. W każdym razie jednak może on być udoskonalony. Francuski aeronauta, Lhoste, rzucał z balonu kule korkowe na okręty w porcie miasta Bordeaux. Całkowicie jednak skuteczne wykonanie podobnego zamiaru, t. j. możność rzucania ze statku powietrznego znacznych ciężarów, wymaga zupełnej umiejętności kierowania balonami. Tymczasem można tego dokonać tylko za pomocą kombinacyi dwu balonów, z których jeden odegra rolę holownika i w nim znajdować się będą kierownicy, ładunek zaś mieścić będzie drugi balon.

Jako oręż zaczepny, aerostaty mają dziś niewielkie znaczenie. Uciekają się też do niego wtedy tylko, kiedy bombardowanie jest niemożliwe, albo kiedy chcą wywrzeć na oblężonych szczególnie silny nacisk moralny. Ale i wtedy pierwszym czynnikiem powodzenia będą osobiste zalety załogi, gruntowne obeznanie się jej z zasadami aeronautyki i z prawami meteorologii; przy małej biegłości bardzo się łatwo stać może, iż torpedy zaszkodzą własnej armii. Atak z góry musi wywołać strasznie demoralizujący wpływ, szczególniej, gdy nie wiadomo, w jaki punkt uderzy spadający ładunek wybuchowy. Zaatakowany może tylko czuwać i starać się zwalić balon kulami na ziemię, wprzód nim nadpłynie po-nad jego głowę. Tymczasem napastnik jest w możności tak puszczać balon (znając kierunek wiatru i jego szybkość) i tak nim manewrować, aby mu droga wypadła po-nad najważniejszemi budynkami twierdzy, i tak uregulować, aby torpeda spadła akuratnie tam, gdzie spaść powinna. Dopóki jednak nie wynaleziono sposobów całkiem pewnego kierowania balonami, które-by holowały aerostaty z torpedami, nie można liczyć na zupełnie dobry i pewny skutek.

Wiele mówią o tem, jak budować torpedy i jak je rzucać; dotychczas jednak rzecz nie przeszła po-za granicę projektów.

Wszystko każe przypuszczać, iż chwila ostatecznego udoskonalenia balonów jest bardzo blizka. Posunięto się tak daleko, iż zdaje się brakować już tylko jednego genialnego tknięcia, by sztuka kierowania balonami stała się faktem całkowicie dokonanym. Samo zadanie zostało—jak widzieliśmy—dokładnie oznaczone i sformułowane, co naturalnie znaczy w takim wypadku bardzo wiele. Tymczasem zresztą balony w wielu razach mogą już bardzo ważną rolę odegrać: gdy powietrze ciche, gdy przestrzeń niewielka, działają one całkiem dokładnie. To też coraz więcej dochodzi wieści o coraz nowych i coraz rozleglejszych próbach i pomysłach.

Cesarz Wilhelm, wskutek wstawienia się profesorów uniwersytetu berlińskiego ze znakomitym Helmholtzem na czele, udzielił zapomogi na budowanie balonu, którego bania pomieści 5,000 kilogramów gazu, czyli podniesie w górę ciężar drugich 5,000 kilogramów. Przypuściwszy, że w tej liczbie będzie tylko 2,000 kilogramów dynamitu, to czynnik podobny może poprostu zaważyć na losach przebiegu wojny, a co ważniejsza, wpłynąć na samą jej możliwość.

Autor broszury niemieckiej powiada: „Kto opanuje powietrze, ten pochwyci nieprzyjaciela w ręce, pozbawi go komunikacyi przez zrujnowanie mostów i zniszczenie kolei, popali mu magazyny, zatopi flotę, zagrozi stolicy, pozbawi rządu, rzuci popłoch pomiędzy armię i wytępi ją podczas bitwy i podczas odwrotu."

Jest to wszystko okropne, to prawda, może jednak wywrzeć ten zbawienny skutek, że zmusi narody i państwa do zaniechania krwawych zapasów.

Tymczasem jednak owe przygotowania do rzucania ładunków dynamitowych z góry na fortece są straszną groźbą dla miast ufortyfikowanych, takich, jak Paryż naprzykład. Forty jego są tak daleko wysunięte, iż bombardowanie samego miasta stanie się niemożliwe. Naturalnie i Francuzi gruszek w popiele nie zasypiają, gotują się oni do obrony i do napaści, niszczyć będą balony nieprzyjacielskie, lub może nawet walczyć z nimi w powietrzu. Wszystko to jednak nie zmienia niebezpieczeństwa, które cały świat cywilizowany odczuwać powinien i odczuwał-by niewątpliwie, gdyby militaryzm tak nie pochłonął uwagi powszechnej; w gruzy pójść mogą wszystkie zabytki architektury, zniszczone być mogą niepowrotnie nieobliczone skarby sztuki i nauki, galerye Luwru, zbiory Akademii i t. d.

Chociaż Warszawa jest fortecą, to jednak, wskutek całkiem innych warunków miejscowych, można być niemal pewnym, iż na podobne niebezpieczeństwo narażona nie zostanie.

III.

Oświetlenie.

Niebawem wykażemy, iż przy dzisiejszem uzbrojeniu i przy dzisiejszej taktyce konieczność może zmusić walczących do robienia napadów i wogóle do wypraw nocnych. Wobec tego zjawiła się potrzeba udoskonalenia i zastosowania do potrzeb wojny środków oświetlających, które-by pomagały oryentować się i kierować podczas ataku, a w razie napaści ze strony wroga pozwoliły odkryć dosyć wcześnie jego obecność i odeprzeć go.

We wszystkich armiach posiadają w tym celu pochodnie naftowe, jest to jednak światło zbyt słabe i może mieć tylko bardzo ograniczone zastosowanie. Wszędzie więc myślą i pracują nad zaopatrzeniem twierdz i armii polowych w źródła światła jak najbardziej energicznego.

W tym celu oddawna między innemi używane są rakiety, zrobione z gilz blaszanych cynkowych, z jednej strony zamkniętych i napełnionych materyałami palnemi, a świecącemi przy płonięciu (saletra, siarka, proch miałki i siarko-antymon). Gdy się te materye rospalą, cynk również płonąć będzie. Jedna taka gilza dostarczy światła na 12—15 minut i rostoczy je na 100 metrów dokoła.

Rakietami posługiwano się oddawna celem rewidowania i badania otaczających ciemności. Dzisiejsze będą tylko stokroć doskonalsze i potężniejsze.

Prócz tego przed pozycyami wojska rozrzucane będą ładunki z ogniami bengalskiemi, które w razie nastąpienia na nie zapłoną i wydadzą wielkie światło, zdradzając w ten sposób nadejście wroga.

Wobec jednak udoskonalenia dzisiejszych sposobów ataku i obrony, wobec potrzeb taktyki współczesnej, wszystkie takie środki, mniej lub więcej dowcipne i mniej lub więcej skuteczne, wystarczyć nie są zdolne. Cały ciężar zadania polega na zastosowaniu do potrzeb wojny potężnych ognisk elektrycznych. Trudność zaś w tem tkwi, iż wożenie motoru parowego z odpowiednym ładunkiem węgla oraz maszyny dynamo-elektrycznej sprawia wiele kłopotu i wymaga dużej siły zaprzęgowej, a tymczasem ognisko powinno być bardzo ruchliwe i łatwe do prędkiego stawienia się na każdym punkcie, gdzie je zawezwą.

I w tym kierunku posunięto się dosyć daleko. Budują już dziś lokomobile, ważące tylko 2,000 kilogramów i zużytkowujące 40—45 kilogramów węgla na godzinę. Światło zaś ich posiada siłę 4,000 lamp karcelowych, czyli 35,000 świec [1]).

Zarówno dla oświetlenia robót nocnych, jak dla śledzenia poruszeń wojsk oblężniczych, jak wreszcie dla ułatwienia strzelania w ciemności, używana była dotychczas najczęściej dynamo-elektryczna maszyna Siemensa, którą się ustawia wraz z motorem pod mocnem sklepieniem, reflektor zaś umieszcza się na szańcu lub w innem jakiem miejscu, prócz tego przeznaczonem do obserwowania z pewnej wysokości.

Ciekawą jest okoliczność, iż światło elektryczne umożliwiać zdoła roboty nocne około fortyfikacyi nie tylko wskutek rozjaśnienia ciemności, lecz i przez osłanianie pracujących, okrywanie ich jeszcze gęstszą oponą mroku. Snop światła elektrycznego będzie rodzajem parawanu i wróg nie zdoła przeniknąć, co się po-za nim dzieje.

Z tego-to powodu nie należy dla ochrony pozycyi od napadu nocnego używać ognisk stałych, gdyż ułatwiło-by to wrogowi korzystanie z nierówności terenu w punktach nieoświetlonych, gdzie ciemności staną się bardziej jeszcze nieprzenikalne. Zresztą światło stałe wskazywało-by nieprzyjacielowi doskonale drogę do kierowania strzałów i ułatwiało-by zadanie. Ogniska zapalać należy wtedy dopiero, gdy nieprzyjaciel znajdzie się na odległości strzałów. Wtedy atakowany będzie miał wszelkie korzyści po swej stronie, sam będzie widział cel,

[1]) „Militärische Blätter."

a przeciwnika oślepi, na 1,500 metrów doskonale zdoła obserwować skuteczność pocisków [1]).

Strzelanie przy świetle elektrycznem.

Niemcy posiadają aparaty ruchome, lekkie, składające się z wózka, na którym mieści się maszyna parowa, maszyna dynamo-elektryczna i reflektor. Aparatu tego używają do badania okolicy, do ułatwienia strzałów i do posyłania sygnałów.

Armia francuska posiada podobno takich aparatów również przeszło 50 [2]).

Wreszcie zaznaczyć należy, iż użycie elektryczności na polach bitew przyszłych nie zawsze będzie miało na celu większy przelew krwi. Zamierzają posługiwać się nią przy zbieraniu rannych.— Zwykle bitwa przerywa się z końcem dnia; w nocy niosący pomoc rannym oryentować się mogą tylko w razie dosłyszenia jęków, ranni więc, omdlali wskutek utraty krwi, których wczesny ratunek zdołał-by jeszcze ocalić, ginęli marnie w opuszczeniu.

---

[1]) *Figuier* „Année scientifique."

[2]) Wzięliśmy z „Revue Encyclopédique."

IV.

Mosty i przebywanie rzek.

Rzeki dotychczas stanowiły wielką przeszkodę i krępowały ruchy wojska, działającego zaczepnie, a dla wojska broniącego były nieraz wielką pomocą. Pomyślano też o ułatwieniu przejścia przez nie w każdem miejscu i w każdym czasie. Oprócz mostów pontonowych, które się znajdują przy wszystkich armiach i zapewniają przejścia przez rzeki, mające znaczniejszą szerokość, poczęto myśleć i o środkach innych.

W „Année Scientifique" znajduje się opis ruchomego mostu ze stali, nadzwyczajnie lekkiego, wynalazku pułkownika Henry; most ten, wysokości 7 a długości 92 metrów, w dwa przęsła, szerokie na 47 metrów, ustawiony został w ciągu 30 godzin, przerzucenie zaś wymagało tylko 80 minut.

Wszystkie części mostu zbudowane były z wybornej stali i nadzwyczajnie starannie wykończone, wskutek tego siatka trójkątów posiadała moc i wytrzymałość doskonałą, przytem zestawienie przychodziło łatwo, a i przerzucanie trudne nie było.

Wobec tego kwestyę wojennych mostów stalowych uważać można za rozwiązaną.

W tejże książce „Année Scientifique" znajdujemy również opis ciekawego sposobu przebywania rzek, pomysłu russkiego oficera, Apostołowa, za pomocą płótna żaglowego, obciągniętego smołą, i za pomocą dzid, połączonych w pewien szczególny sposób; próby robione były w r. 1890 przez pułk kozaków.

Wystarcza 25 minut do utworzenia takiej łodzi, przytem przybory są do niej tak lekkie, iż czterech ludzi może je doskonale dźwigać.

Kapitan Czernow zbudował również łódź, mającą wielką doniosłość.

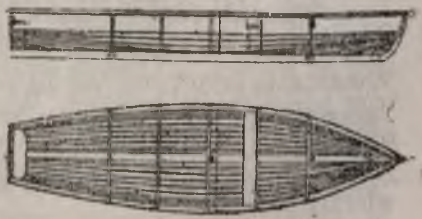

Łódź utworzona jest ze szkieletu składanego, obciągniętego płótnem żaglowem. Do szkieletu należy pewna ilość związanych, połączo-

nych z sobą, również składających się, ram drewnianych i szereg lekkich, cienkich drewnianych prętów.

Długość łodzi wynosi 8 arsz., wysokość 12 werszków, waga 4 pudy 35 f. Łódź powinna mieścić 14 ludzi w kompletnym rynsztunku, przewozi się zaś na jaszczyku, do którego pokrycia jest przymocowana. Łodzie budują się w warsztatach 137 pułku piechoty; koszt jednej łodzi wynosi około 23 rs.

Przy pierwszych próbach, czynionych z osadą wyćwiczoną, złożenie takiej łodzi (5 do 7 ludzi) trwało nie dłużej jak 5 minut, rozebranie zaś i naładowanie 8 do 10 minut.

Przeprawa przez Wołgę na szerokości 250 sażeni z 14 ludźmi (2 wioślarzy i 1 sternik) trwała w obie strony 10 minut. Ilość wody, jaka do łodzi się wsączyła, wyniosła około $^1/_2$ wiadra.

Mosty czasowe kawaleryi francuskiej.

Powodzenie kawaleryi w czasach dzisiejszych zależy przedewszystkiem od jej ruchliwości; napady jej winny być niespodziewane. Energiczna działalność kawaleryi osiągnąć może wielkie skutki, zarówno moralne, jak i materyalne, i to nam tłómaczy te usiłowania, jakie przedsięwzięto, aby mogła ona przebywać rzeki, zagradzające jej drogę, bez wszelkich uprzednich robót i przygotowań. 11-ty pułk strzelców, podczas jesiennych manewrów brygady kawaleryjskiej, robił doświadczenie zastosowania mostu pływającego, wspartego na worach z nieprzemakalnego płótna, napchanych słomą i trzciną. Doświadczenie robione było niedaleko od Chemilly na rzece Saône, gdzie dochodzi ona 75 m. szerokości, wypadło zaś zupełnie pomyślnie. Żołnierze wzięli siodła na plecy i przeszli most, ciągnąc za uzdeczkę konie, przebywające rzekę wpław — w ten sposób byli zabespieczeni od możliwej straty wierzchowców.

Most taki składa się z dwu równolegle do siebie idących kładek. Od siebie są one oddalone na metr jeden i utworzone z drabin, wspartych na worach, o których wyżej była mowa, i połączonych co 10 metrów poprzecznemi belkami. Wszystko to układa się i spaja na brzegu, i gotową całkiem formę spycha się dopiero do wody, umacnia się ją na jednym brzegu i kieruje ku przeciwległemu, a wtedy kładzie się na wierzch deski.

Doświadczenie przekonało, iż jeżeli cały materyał zostanie przyszykowany na brzegu, to pół szwadronu może w ciągu kwadransa utworzyć 24 metry takiego mostu. „Revue de cavallerie" robi przytem uwagę, że z takich samych nieprzemakalnych worów robiono również

promy i tratwy, które się okazały całkiem odpowiednemi do przepraw przez rzekę.

Pismo wojskowe „Minerwa" komunikuje, iż w Rossyi robiono bardzo ciekawe doświadczenie z małemi workami, nieprzepuszczającemi wody, jakie nosi z sobą piechota.

V.

Drogi żelazne.

Użycie dróg żelaznych do celów militarnych przekształciło całkowicie sposób prowadzenia wojny. Toczy się ona prędzej i z większą energią. Właściwe wszelkim armiom, utworzonym nie z zawodowych żołnierzy lecz z mas ludności, dążenie do jaknajprędszego rozwiązania, znajduje w drogach żelaznych silne poparcie.

W r. 1806 pierwsze kolumny russkiej armii stanęły w Polsce wtedy dopiero, kiedy już armia pruska była rozbita nad Saalą [1]). Powstanie w Warszawie wybuchnęło 29 listopada 1830 r., a wojska russkie dopiero w początkach lutego następnego roku zgromadziły się pod Brześciem-Litewskim w dostatecznej sile, aby wkroczyć w granice Królestwa Polskiego [2]).

Podczas wojny 1815 r., kiedy armia sprzymierzonych stanęła nad Renem, już było po decydującem starciu w Niderlandach.

Tymczasem w 1870 r. wojska niemieckie przeszły Ren w 20 dni po rospoczęciu mobilizacyi; zaś w 28 dni po wybuchu wojny armia francuska była już rozbita w 7 wielkich bitwach, a cesarz wzięty do niewoli.

Przedewszystkiem koleje żelazne pozwalają znacznie przyśpieszyć przebieg mobilizacyi i zgromadzić wojska nad granicami. Dawniej potrzebowano na to tygodni i miesięcy, zależnie od obszarów państwa, ażeby zgromadzić ilość wojska, zdolną do rospoczęcia kampanii. Dziś kilka dni wystarcza, aby zebrać wielką nawet armię. Dobrze opracowany plan mobilizacyi, należycie rozwinięta sieć kolei żelaznych, utworzona z kilku niezależnych linii, prowadzących ku granicom, dostatecznie podczas pokoju przysposobione siły dróg żelaznych, stanowią dziś równie ważne czynniki politycznej potęgi państwa pod względem i napaści, i obrony, jak liczba i wartość wojska.

---

[1]) *Höpfner.* „Krieg 1806/7."

[2]) *Schmidt.* „Geschichte des Polnischen Aufstandes und des Krieges 1830/31."

Drogi żelazne zapewniają wojsku dowóz rezerw i, odwrotnie, odwożą chorych oraz ranionych; one tworzą główne arterye komunikacyi z ojczyzną, one stanowią przewody życia dla działań wojennych. One dają możność odległym od siebie oddzielnym armiom przychodzić sobie w pomoc, gdyż wielkie masy ludzkie dadzą się przerzucać w krótkim czasie z jednego miejsca na drugie. Takie właśnie wypadki zapisała historya wojny 1870—71 roku.

Siła przewozowa drogi zależy od tego, czy posiada ona dwie linie relsów, czy jedną. W pierwszym wypadku jest to wielkie udogodnienie, iż w jednym kierunku może się odbywać ruch wojska ku miejscom ich przeznaczenia, całkiem niezależnie od powracających wyładowanych wagonów. Ale droga żelazna z dwiema parami relsów wtedy tylko może być całkowicie pożyteczną, jeśli podwójny tor ma na całej swej długości, i wogóle kolej, aby mogła spełnić swe zadanie w całości, musi być zupełnie niezależna i posiadać wszędzie jednakową siłę przewozową.

Pomimo tak wielkiego znaczenia dróg żelaznych, nie będziemy naturalnie zatrzymywać się dłużej nad szczegółami tego przedmiotu, jak wtedy, gdy chodziło o inne środki pomocnicze, a to dlatego, iż szeroki ogół zna go blizko i bezpośrednio z ciągłego użycia. Wypada tylko jeszcze dodać, że pociągi wojskowe, utworzone ze 100—110 osi, mogą wieźć:

1 batalion piechoty,
albo $1^1/_2$ szwadrona kawaleryi,
albo 1 bateryę artyleryi.

Przenośne drogi żelazne podczas wojny.

Każda armia, w najbogatszym nawet kraju nieprzyjacielskim, musi mieć zapewnioną dostawę żywności w ogromnych ilościach, jak również amunicyi oraz innych przedmiotów, dla wojska niezbędnych, co wszystko wymaga wielkiej siły przewozowej.

Gdy zaś kraj jest biedny i z ojczyzny sprowadzać trzeba wszystko, a drogi liche, to wobec dzisiejszych liczb wojska i dzisiejszych potrzeb, środkami, któremi posługiwano się jeszcze niedawno, zadanie wcale-by się rozwiązać nie dało.

Zapominać nie należy, iż pomimo wielkiej liczby kolei żelaznych we wszystkich krajach Europy, w pierwszych chwilach po wkroczeniu do kraju nieprzyjacielskiego korzystać z nich nie będzie można, gdyż zwyciężony przeciwnik zrobi wszystko, co tylko będzie mógł, aby zburzyć do szczętu linie własnych kolei; odbudowanie zaś, szczególniej

tam, gdzie są większe mosty, pomimo wszelkich wynalazków, o których wyżej była mowa, zajmie wiele czasu. Toteż wypadnie dowozić niezbędne rzeczy po drogach zwyczajnych. Zarówno władze, jak i publiczność, są przeświadczone o konieczności tego. W ostatnich jednak czasach probowano stosować przenośne drogi żelazne, używane w gospodarstwach rolnych, do przewożenia transportów wojennych.

Załączone rysunki dróg oraz ich taboru, jakie są używane w Niemczech, o tyle są jasne, iż nie wymagają żadnych wyjaśnień.

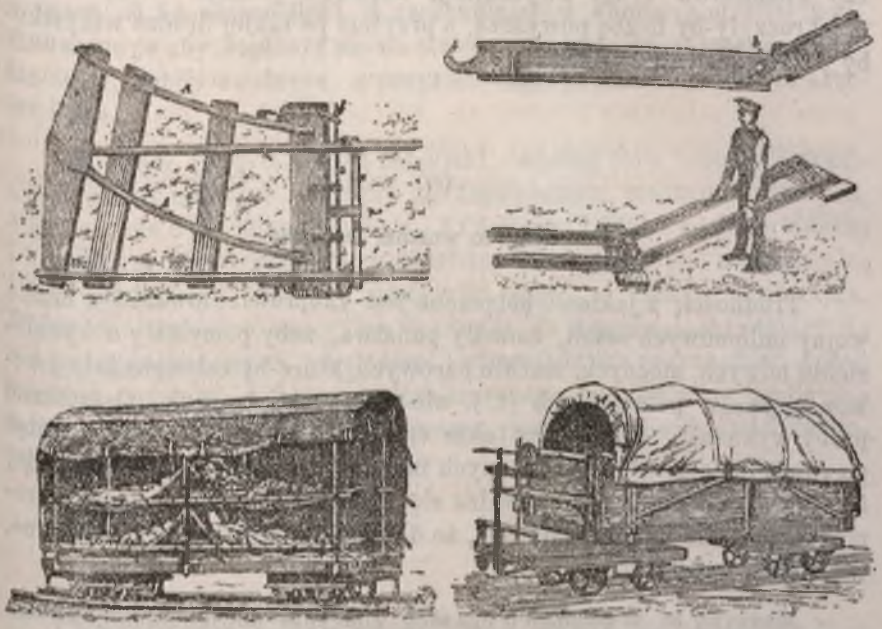

Armia niemiecka posiada w zapasie wielką ilość relsów, podkładów i taboru do dróg tego rodzaju. Przenośna droga żelazna ma tam 60 ctm. szerokości, relsy zaś składają się z kawałków 3—4-metrowej długości. Wagony podwójne mają 3—4 metrów długości, a 1.3 metra szerokości, ściany zaś ich sięgają na wysokość do 50 lub 60 ctm. Każdy wagon ma do przykrycia nieprzemakalną derę. Jeden wagon zawierać może 32 puszki konserwów, 32 worki sucharów z mięsa i 32 worki ryżu. Jako dozwolone wzniesienie uważa się 4% (1:25); na małej przestrzeni 10% (1:10). Rachują, że przy sprzyjających okolicznościach da się ułożyć 10 kilometrów drogi w 16 godzin. Wedle dokonanych obliczeń, na drodze tego rodzaju potrzebna jest siła poruszająca 16-cie razy słabsza, niż na zwyczajnej drodze, i 5 razy mniejsza

niż na szosie. Pracę, dla której wykonania na szosie trzeba było-by użyć 30,000 koni, na drodze relsowej zrobi 6,000 koni, czyli oszczędność wyniesie 24,000 koni.

Przypuszczają, że przy linii operacyjnej 300 kilometrów niezbędne będą 1,800 kilometrów drogi, a ponieważ na dojazdowe i ładunkowe drogi potrzeba jeszcze będzie 200 kilom., więc razem wyniesie 2,000 kilom. Wszystko to razem z 18,000 wagonów kosztować ma 24 miliony marek. Suma taka starczyła-by zaledwie na wybudowanie 120 kilometrów drogi zwyczajnej; zapewne podczas wojny koszta przekroczyły-by liczbę powyższą, a przytem po takiej drodze wszystkoby przybywało zbyt późno.

VI.

Maszyny do wożenia ciężarów.

Trudności, z jakiemi połączone jest zaoprowiantowanie w czasie wojny milionowych armii, zmusiły państwa, żeby pomyślały o wynalezieniu nowych, mocnych, machin parowych, które-by zabespieczały przewóz ciężarów po zwykłych (t. j. nie żelaznych) drogach. Ostateczne próby wykazały, iż maszyny takie (machines routières) mogą ciągnąć po równej drodze 10 czterokonnych furgonów, po złej zaś przynajmniej 5 wozów—pożytek z nich zasadza się nietylko na tem, iż ciągną ogromny ciężar, ale jeszcze i na tem, że działanie ich może być bezustanne, t. j. dniem i nocą.

Maszyny te w ostatnich czasach znacznie udoskonalono; są one obecnie zdolne funkcyonować i na najgorszych drogach, na piasku, śniegu i lodzie, a przy umiejętnem użyciu nawet i na nierównym gruncie. Będą one pożyteczne dla fortec, przy robotach mających na celu uzbrojenie lub rozbrojenie armii, przy oblężeniach, przy transportowaniu dział i pocisków, wszelkiego rodzaju zapasów i t. p. potrzebach.

Ażeby ułatwić ładowanie ciężarów ze stacyi i składów, każda taka maszyna zaopatrzoną jest z przedniej swej części w kran.

Maszyny te przedstawiają jeszcze i tę dogodność, że mogą być używane jako lokomobile do różnych robót mechanicznych. Obecnie niektóre z nich są tak urządzone, iż, po zdjęciu z nich bandaży, dają się używać jako lokomotywy, i na szynach kolejowych. W Niemczech na podobnego rodzaju maszynę przekształcono lokomotywę sy-

stemu Bollet'a—wiezie ona po zwykłej drodze 5 piętnasto-centymetrowych dział na platformach, oraz ich lawety [1]).

W Anglii przyjęto maszyny systemu Ewelinga Portera. We Francyi maszyny te zwykle zaopatrzone są w aparaty elektryczne, celem oświetlania drogi.

W Rossyi jeszcze w r. 1876 odpowiednym próbom poddano dwie tego rodzaju maszyny: jedną systemu Ewelinga Portera, drugą zaś Foullera. Doświadczenia czynione były na zwykłych drogach, na manewrach w Carskiem-Siole, a szczególniej w obozie pod Ust-Iżorą. Zmuszano je aby wspinały się na strome wzgórza, przebywały najgorsze drogi, robiły ewolucye, a przytem ciągnęły za sobą baterye artyleryjskie.

W zimie r. 1876/7 rząd rossyjski, według słów „Science appliquées à l'art militaire" zakupił 12 tego rodzaju maszyn drogowych, a mianowicie 6 Ewelinga Portera, 3 Cleitona, 2 Malcewa (z Briańska) i 1 Foullera. Utworzono z nich oddzielny t. zw. park, pod zwierzchnictwem sztabowego oficera i pomocnika jego, w randze porucznika. Prócz tego założono specyalny warsztat do naprawy, składający się z 2 kuźni pochodowych, z 6 ślusarni i odpowiednych przyrządów. Jeżeli wierzyć autorowi referatu, pomieszczonego w „Science appliquées à l'art militaire", maszyny wspomniane przynoszą bardzo wielkie korzyści.

Rospatrzenie środków pomocniczych, jakiemi posługiwać się będą armie na polach przyszłych działań wojennych, doprowadza nas znowu do tego samego wniosku, co i rozdziały poprzednie: wojna ostatecznie przestała być aktem prostego gwałtu, mierzeniem się siły fizycznej dwu armii. Dziś wojna jest całkowicie sztuką, trudną i rozległą, i bez nieustannej pomocy ze strony nauki i inteligencyi obyć się nie może. Armia na pole zapasów musi wystąpić w pełnym rynsztunku udoskonaleń technicznych, inaczej przeciwnik będzie miał wyższość. Umysły ludzkie we wszystkich krajach pracują nieustannie nad pomysłami, które-by cały ogrom techniki, zdolności ludu i zwierząt, własności roślin i metali wyzyskały na rzecz spotęgowania siły wojennej. Biada temu, kto nie będzie w możności podążać za postępami sztuki wojennej.

---

[1]) „Sciences appliquées à l'art militaire."

Nietylko trzeba będzie na ziemi umieć zasłaniać się i odpierać wrogów widomych i niewidomych, a grożących śmiercią z odległości nadzwyczajnych, lecz nadto trzeba się będzie lękać obłoków, w które dotychczas patrzyliśmy z nadzieją i ufnością, gdyż niezadługo i po-za niemi wróg będzie się mógł ukryć i rzucić na głowy żołnierzy i spokojnych mieszkańców strasznych posłów zniszczenia. Jakie nerwy będą potrzebne, aby po dziennych niepokojach znieść jeszcze nocną trwogę? A w rezultacie ostatecznym, które narody otrzymają za to wszystko kompensatę?

(Dalszy ciąg nastąpi).

Jan Bloch.

Z cyklu „ITALIA."

V.

Willa Wołkońskich.

. . . . . .

I.

Zamknięta... Cicha, zamknięta i biała,
Sypiąca róże u sennych podwoi,
Na tłach cyprysów w marmurach swych stoi,
Milczy — i pała.

Zamknięta... Razem z szelestem i echem
Kroków pielgrzyma z dalekiej krainy,
I z upojeniem rozkoszy i winy,
Z łkaniem i śmiechem.

Zamknięta... Z żarem ust, co tu gorzały
Szeptem miłości i szeptem zachwytu,
Z drżeniem żądz nocy, z omdleniem dosytu
W poranek biały.

Z rospaczą spojrzeń, co dobyć chcą z duszy
Nieskończoności czar, a piją męty,
I z melancholją, co grzebie w swej głuszy,
Jak grób zamknięty.

Nagle — otwierasz zaparte podwoje:
Woń róż umarłych wybucha z ich wnętrza,
I fala ognia, od ognia gorętsza,
Tchnie w piersi twoje.

I stoisz w progu, iść dalej nieśmiały,
Rzęsą nakrywszy źrenicy płomienie...
Tam, za kotarą, dwa szepty, dwa cienie,
W uścisk się zwiały!

II.

. . . . . .

W szerokiej ciszy leży świat,
W wieczornej ciszy;
Otwarła noc już swój biały kwiat,
I wonią dyszy;
Goreje łuną zachodnich zórz
Nieba i ziemi skraj;
— Echo gdzieś płynie z za gór, z za mórz:
... „Znasz-li ten kraj?...

Stary akwedukt rzuca cień
Na mirt i róże;
Wskroś arkad widać niknący dzień
W ognia purpurze.
Odlata, roniąc blaski swych piór,
Wskroś lazurowych staj.
— Echo gdzieś płynie z za mórz, z za gór,
... „Znasz-li ten kraj?..."

Lateraneński Jana dzwon
Na Ave bije:
Módl się, bo idzie śmierć, noc i skon,
Temu, co żyje.
Na wieży złotem spłonął ćwiek,
Cyprysów klęczy gaj.
— Echo gdzieś płynie od pól, od rzek:
... „Znasz-li ten kraj?..."

Po wzgórzach Latium wieją mgły,
Ruin zasłona,
Jakiejś przeszłości sypią się łzy,
Coś mrze, coś kona.
O, jaka tęskność, jaki ból!
Zamknięty jest mój raj...
— Echo gdzieś płynie od rzek, od pól:
... „Znasz-li ten kraj?..."

MARYA KONOPNICKA.

Rzym, 1892 r.

Krytyk-impresyonista.

Ola Hanson. „Młoda Skandynawia", szkice literackie. Warszawa. Nakładem T. Paprockiego. 1893, str. 239.

Zdawałoby się, że pomiędzy wyrazami „impresyonizm" i „krytyka" zachodzi sprzeczność niepogodzona. Krytyka jest pracą badawczą, śledzi powstanie i rozwój dzieł sztuki, tłómaczy ich naturę i charakter, przesiewa przymioty i wady przez sita analizy, aby zdrowe ziarno oddzielić od literackiej plewy. Tymczasem impresyonizm w sztuce jest zasadą, która każe iść za wrażeniami, czuć żywo rzeczywistość i oddawać treść tych wrażeń szczerze, bez oglądania się na istniejące reguły i konwenanse.

Chwila obecna, rodząca mnóstwo niespodzianek, kojarząca ze sobą najdziwaczniejsze kontrasty, wytworzyła także krytykę impresyonistyczną. Krytyka taka jest córką niewiary wobec różnych teoryi, doktryn i systemów estetycznych. Wśród sprzecznych określeń celów, zadań i praw rozwoju sztuki, wśród różnych formuł metafizycznych, idealistycznych, realistycznych i ewolucyjnych, — praktyczny zmysł niektórych krytyków cofa się do wnętrza swego *ja* i opiera sąd o dziełach sztuki na bezpośredniem odczuciu.

Warto jednak zastanowić się nad tem, czy zasada impresyonistyczna może mieć takie znaczenie w krytyce, jakie w sztuce usiłują jej nadać niektórzy artyści i teoretycy? W sztukach plastycznych lub w utworach literackich impresyonizm odpowiada skłonności

danego artysty lub twórcy do chwytania pewnych stron przedmiotów, pewnych właściwości zewnętrznych, albo też dających się ująć intuicyjnie przy pierwszem zetknięciu z modelami i obserwowanemi faktami. Wrażliwość jest koniecznym przymiotem samodzielnych artystów, jest składową cząstką indywidualizmu twórczego. Ale sama wrażliwość stanowi cechę czynności *odbiorczych* (t. j. percepcyjnych) umysłu. Tymczasem w dalszej robocie twórczej występuje już połączenie uczucia, wyobraźni konstruktywnej oraz świadomości artystycznej—a wszystkie te czynniki wiążą się z darem przerabiania materyału, czyli z umiejętnością techniczną. Wrażliwość dostarcza materyału do dzieł sztuki, dlatego też impresyonizm może być ważny, jako zasada częściowa. Artysta, który odbiera dużo wrażeń, który je żywo umie zachowywać i oddawać, nadaje swemu dziełu barwność i rozmaitość. Ale sama wrażliwość nie nada jego utworom harmonii pięknego układu części i całości, nie nauczy go w poezyi prowadzenia osnowy, w malarstwie wykończenia szczegółów, nie natchnie go wreszcie uczuciem lub ideą wyższego rzędu. Dlatego też na manowce musi zejść sztuka, która zasadę częściową podnosi do prawa ogólnego. Artysta, wierzący niby tylko własnej wrażliwości, choćby nie chciał, robi z niej pewien rodzaj doktryny dziwacznej, bo nie kontrolowanej przez porządną świadomość artystyczną. Zamiast naturalnej szczerości, jaka cechuje dzieła artystów pierwszorzędnych, impresyoniści dają wrażenia wyszukane, starają się widzieć wszystko inaczej, chwytają cechy wyjątkowe, poboczne i nadają im znaczenie naczelne. Impresyonizm może być bardzo wdzięczny, gdy artysta odda wiernie i powabnie jakiś skrawek przyrody w danej chwili, ale staje się prawdziwem dziełem sztuki, gdy twórca doda do niego pewien nastrój, pewne uczucie, jakie obrany przedmiot w jego duszy wywołał.

Na obrazie jednego z młodych a zdolnych malarzy, p. Rapackiego, „Zachód słońca", widziałem kawałek znanej mi okolicy podmiejskiej, która w zwykłych warunkach nie była powabną. Był to skrawek szosy, z baryerką; po-za nią staw i szereg zabudowań podmiejskich z kominami fabryk. W stawie tym woda, pleśnią zieloną pokryta, była nieczysta i cuchnąca, po-za nim doły piaszczyste i parkany nie miały w sobie nic pięknego, składając się na obraz podmiejskiej okolicy brudnéj i niemiłej. Tymczasem malarz przedstawił ten widok w chwili, gdy słońce schowało się za horyzont, który jaśniał jeszcze, przepojony drganiem ciepłych różowo-pomarańczowych barw. Szyba stawu odbijała to granie światła, a na tle nieba rysowały się ciemne sylwety domów i parkanów, oraz strzelające do góry wązkie plamy kominów fabrycznych. Ten widok prozaiczny wypiękniał, stał się pociągającym nietylko dlatego, że artysta oddał go wiernie w danej chwili oświetle-

nia, ale że pochwycił to uczucie spokoju, ten urok pół tęskny, pół roskoszny, jaki budzi w nas początek wieczornego spoczynku przyrody. Były w tym obrazie niektóre szczegóły na pierwszym planie, malowane słabiej, ale całość wydała mi się okazem zdrowego impresyonizmu. Artysta był wiernym przyrodzie, ale oprócz tego nadał obrazowi nastrój poetyczny, który stanowił główną zaletę dzieła. Prosty ten przykład świadczy, że dobre odtworzenie wrażenia otrzymanego z przyrody było tu pierwszym warunkiem wartości dzieła sztuki, ale dopiero czynnik uczuciowy (emocyonalny) nadał obrazowi powab artystyczny wyższego rzędu. O tej prawdzie zapominają sekciarze impresyonizmu, którzy chcą wrażliwość swoją przedstawić ze strony niezwykłej, szafują jaskrawemi plamami i szatę przyrody przedstawiają jako pstrą łataninę skrawków krzyczących. Oczywiście takie wybryki i zboczenia impresyonizmu, znane i w naszem malarstwie, nie mogą się utrzymać dłużej i zyskać szerszego uznania.

Jeżeli w sztuce impresyonizm ma znaczenie tylko częściowe, tem bardziej krytyka nie może się opierać na nim całkowicie. Wrażliwość jest także koniecznym przymiotem krytyka. Wynika to z samej natury procesu sądzenia dzieł literackich i artystycznych. Przyrodnik, dokonywający badania ze skalpelem, chemik badający skład pewnych ciał lub cieczy, ma do czynienia bezpośrednio z samym analizowanym przedmiotem. Ale krytyk, sądząc dzieło sztuki, nie może go rozdzielać na cząstki, tylko rozkłada i kombinuje wzruszenia i myśli, jakie ono w nim wywołało. Dlatego też dobre i dokładne odebranie wrażeń z dzieła sztuki jest pierwszym warunkiem porządnej analizy estetycznej. Umysł krytyka powinien działać na podobieństwo ciemni optycznej, powinien niby czuła klisza odbijać na sobie wrażenia danego dzieła. Zabierając się naprzykład do osądzenia granej sztuki lub obrazu, krytyk powinien poznać je niezmiernie dokładnie, wysłuchać lub obejrzeć uważnie, nie mącąc tych pierwszych wrażeń przez doktryny lub uprzedzenia osobiste.

Dla sumiennego krytyka objęcie całości i szczegółów przedstawianej sztuki wymaga skupienia myśli, tak, że niejeden zazdrości widzom, którzy doznają uciech artystycznych a nie potrzebują zdawać z nich sprawy. Rozumie się, że bez znacznego stopnia wrażliwości krytyk nie spełni dobrze swego zadania, ale wrażliwość ta jest tylko pierwszym krokiem roboty analitycznej i od samego początku musi być spotęgowaną przez uwagę, to jest świadome ześrodkowanie myśli w danym kierunku, a nie puszczaną samopas, na wolę kaprysu. W umyśle krytyka nie uprzedzonego wrażenia zwłaszcza silniejsze wywołują pewne uczucia, korzystne lub niekorzystne dla dzieła sztuki, za niemi idą refleksye, porównania i oceny, zestawiane lub kontrolowane na podstawie

pewnych zasad. Z tego złożonego procesu myśli wytwarza się całość sądu literackiego. Wrażliwość i upodobania osobiste krytyka muszą tu grać ważną rolę, bo się łączą z naturą jego umysłu; jednakże wiedza, bystrość analizy, smak estetyczny, szerokość poglądów i dobre użycie metody analitycznej, stanowią o wartości studyów i szkiców krytycznych, które, oprócz tego, w sposobie przedstawienia i wykonania wymagają talentu i noszą piętno artyzmu. Jasna rzecz, że zasada impresyonizmu ma w krytyce znaczenie częściowe, czasem negatywne, wobec doktryn i formułek estetycznych, jakiemi się posługuje akademicka rutyna, przystępująca do dzieł sztuki z powziętemi z góry schematami, usiłująca całe bogactwo twórczej energii wtłoczyć w szczupłą ilość reguł i poglądów.

W krytyce literackiej odróżnić można impresyonizm jako zasadę, jako cząstkę metody, stosowaną w praktyce, oraz jako doktrynę, która przeciwstawia się świadomie innym szkołom lub kierunkom krytycznym. Reprezentantem pierwszego odcienia impresyonizmu jest znakomity pisarz francuski Lemaître, który zaczyna swoje świetne recenzye i studya od szczerego wypowiedzenia pierwszych wrażeń, jakie dzieło wywarło na jego umysł i wyobraźnię. Lemaître nie stawia teoryi impresyonizmu, nie wywiesza jego sekciarskich haseł, nie ma pretensyi do tworzenia nowych szkół, nie pozuje na reformatora i proroka. Umysł jego jasny, trzeźwy i szeroki, odrzuca wszelkie z góry stawiane doktryny i formuły. Lemaître doskonale to czuje, że zwolennikiem poglądów stronniczych może być artysta, który w swoim kierunku widzi tylko zbawienie i odrodzenie sztuki, ale że estetyk powinien wznieść się po-nad wszelką parcyalność, odrzucić doktrynerskie szkiełka, mieć otwarte oczy duszy na wszystko, co tylko energia twórcza człowieka z siebie może wyłonić. Bez żadnej doktryny, bez ukutych formułek i systematów, z umysłem jasnym, z ogromnym zasobem wiedzy, przenikliwości, stosuje on metodę porównawczo-historyczną; traktuje sztukę jako część życia, charakteryzuje dzieła literackie wiernie, żywo i powabnie, z wytwornością, właściwą pisarzom francuskim. Lemaître prowadzi swą robotę prosto, swobodnie, nie przybiera pozy augura, nie potęguje własnej wielkości kosztem krytykowanego autora, opiera się przedewszystkiem na logice, szlachetnym smaku i zdrowym rozsądku, wykształconym filozoficznie, a nieprzyćmionym przez uprzedzenia. Jak każdy umysł trzeźwy i subtelny, jest on potrosze zachowawcą, nie daje się omamić błyskotliwym zapędom nowatorskim, ale umie ocenić każdą szczerą oryginalność.

Nie mam zamiaru kreślić tu szczegółowego portretu pisarza, którego każda praca uderza bogactwem trafnych sądów i głębokich myśli, wypowiedzianych stylem żywym, prostym a wysoce barwnym. Ta kró-

tka charakterystyka wystarczy do zestawienia go z innym przedstawicielem impresyonizmu w krytyce, stawiającym tę zasadę z całą świadomością, jako teoretycznie wyrozumowany kierunek. Ola Hanson, dzielny publicysta skandynawski, którego zbiór szkiców krytycznych świeżo przyswojony został naszej literaturze, należy do rzędu pisarzy innego rodzaju, albowiem służy gorąco zasadom i przekonaniom stronniczym. Jest on żwawo harcującym forysiem kierunku mistyczno-psychologicznego, wyjeżdża naprzód na polemicznym rumaku i otrębuje nowe hasła. Gromi ducha materyalistycznego, zwalcza na każdym kroku „mechaniczny pogląd na świat", teorye pragnące objaśnić człowieka i działanie sił duchowych za pomocą praw biologicznych, warunków rasy i otoczenia. Nienawistną jest dla niego przedmiotowość, uważana bardzo słusznie za główny przymiot krytyki przez Brandesa, który „wobec utworów jakiegokolwiek obozu zachowuje stanowisko takie, jakie botanik względem roślin, a cała jego radość i zajęcie zasadzają się na dążeniu do wynalezienia typów wybitnych, bez względu na kierunek i zabarwienie" (przekładu str. 299). Przedmiotowość taka jest jednym z najważniejszych przymiotów krytyki, która pojmuje dzieła literatury, jako ogniwa wielkiego łańcucha artystyczno-cywilicyjnej ewolucyi, stara się wyjaśnić związek przyczynowy dzieł sztuki z innemi dziedzinami życia społecznego i umysłowego.

Ola Hanson twierdzi tymczasem, że przedmiotowość w krytyce jest metodą chaotyczną — objawem braku charakteru w połączeniu „z bezpłciowością osobniczą." Przedmiotowość tę „osiągnąć można tylko za pomocą gminnego zatarcia własnego *ja*, o które przecież każdy szanujący się człowiek, instynktowo, koniecznie, troskliwie dbać powinien." A jednak największe umysły krytyczne naszej epoki: St. Beuve, Taine i Brandes odznaczały się darem przedmiotowego ujęcia wszelkiego rodzaju dzieł, utworów i szkół literackich, darem połączonym z metodą syntetyczną, która stanowi najwyższy cel usiłowań myśli filozoficznej. Według Hansona „jedynie możliwą, tudzież jedynie twórczą krytyką, jest zaufanie we własną wrażliwość, która tak gorąco i do wnętrza odczuwa wnętrze jakiejś innej osobistości, prąd czasu, krajobrazu, otoczenia, że je odpowiednio przerobiwszy, odtwarza z powrotem na zewnątrz" (str. 236). A gdzie w takim razie podziewa się praca badawcza, gdzie sprawdzanie psychologicznej i społecznej wartości dzieł sztuki, gdzie analiza, wykradająca talentom twórcze tajemnice? O to wszystko nie troszczy się krytyk impresyonistyczny, tylko żywo, dosadnie i barwnie opisuje wrażenie, jakie sprawiają na nim utwory i działalność danego pisarza, w związku z otoczeniem i chwilą dziejową, w której się rozwijał.

To określenie Hansona wymownie potwierdza tę prawdę, że zasada impresyonistyczna w krytyce nie wystarcza, albowiem uwzględnienie prądu czasu, krajobrazu i otoczenia, jest zapożyczone z metody Taine'a, z dodatkiem, że promienie światła, które płyną z takiej analizy warunków tworzenia artystycznego, są przepuszczane swobodnie i dowolnie przez pryzmat osobistego odczucia krytyka. Podług mnie, właśnie taka metoda jest brakiem metody. Podnosi ona czynnik w krytyce ważny, ale nie wyłączny, do godności zasady naczelnej, robi z niej już nie sztukę ale fantazyowanie podmiotowe, literacką improwizacyę, lub wyrocznię, w której jedyną instancyę stanowią gusta lub przekonania stronnicze krytyka.

Nic też dziwnego, że szkice Hansona są szeregiem takich barwnych obrazków, rzuconych swobodnie, bez planu, bez systemu, bez jednolitej kompozycyi. A jednakże czytamy je z zajęciem, pochłaniamy prawie jak ciekawy romans, rozkoszujemy się nowością przedmiotu, oryginalnością przedstawienia i świeżością poglądów? Dlaczego? Bo Hanson ma wielki talent pisarski, ma gorącą miłość dla literatury, ma temperament bojownika swojej szkoły. Taka krytyka, pomimo braku systematu i analizy, spełnia doskonale rolę przyjacielską wobec literatury, potęguje jej znaczenie, przyczynia się do wytworzenia „wzruszeń o charakterze socyalnym", stanowiących zadanie sztuki, której wpływ, według teoryi Guyau, powinien być „sympatyczny i uspołeczniający." W trzecim rozdziale swego dzieła, „Znaczenie socyologiczne sztuki" [1]), estetyk francuski określa dokładnie i jasno, jaką powinna być krytyka dodatnia, uwzględniająca otoczenie, w którem działał twórca, ale nadewszystko pierwiastek indywidualny talentu, oraz artystyczną ocenę odrębności i cech samego dzieła. W tym celu krytyk powinien przeniknąć głęboko duszę, to jest wewnętrzną ideę utworu, zwracać się do niego z miłością a nie z chęcią poniżenia twórcy, oceniać przedewszystkiem przymioty, a dopiero potem wady. Guyau powstaje silnie przeciw nałogowi do połajanek, który poniża innych, aby podnieść wartość krytyka, przeciw egoistycznemu powiększaniu własnej osoby w taki sposób, aby panowała nad osobą autora. Krytyka jest trudną z tego powodu, że nietylko jej zadaniem stwierdzać, czy dane dzieło odpowiada prawom wrażeń i wzruszeń estetycznych, ale także wykazać, o ile dane dzieło jest przedstawicielem życia i spotęgowaną jego ekspresyą.

Aby spełnić to drugie zadanie, krytyka nie może opierać się na żadnych absolutnych danych, albowiem „życie można czuć, kochać podzi-

[1]) Patrz: Guyau. „L'art au point de vue sociologique" 2 wyd. str. 16—55.

wiać, ale nie można go sprawdzać". Dla tego też krytyk „o charakterze prawdziwie socyalnym powinien przystosować się do wszystkich form społecznych, nietylko do tych, które istniały, ale do tych, które mogą istnieć wśród rzeszy ludzkiej, do tych, które dzieło geniusza wyrażać może przez uprzednie przeczucie (anticipation)". Takie pojęcie krytyki, uwzględniając w całej rozciągłości czynnik osobistego odczucia, wprowadza zasadę szerokiej sympatyi, która musi się opierać na przedmiotowości, jeżeli ma obejmować wszystkie przejawy życia społecznego, znajdujące swój wyraz w sztuce. Piękna ta teorya ma w sobie dużo prawdy, chociaż nie należy jej stosować przesadnie lub powierzchownie. Sympatyczny czynnik w krytyce nie może być obowiązujący wobec dzieł niezdarnych estetycznie, które nie dają prawdziwej ekspresyi życia, lecz przedstawiają jego „krzywe i połamane widma".

Sama zresztą krytyka może być suchą, pedantyczną dłubaniną, albo tętnić życiem i werwą, jak np. szkice Hansona, które robią wrażenie dziwne i oryginalne na czytelniku naszym. Razem z krytykiem wyjeżdżamy na szerszy gościniec, który wije się wśród okolicy bardzo malowniczej i odsłania coraz to nowe widoki. Hanson barwnie ukazuje tło społeczne, na którem rozwijał się ruch literacki ludów skandynawskich od r. 1870 do naszych czasów. Po bankructwie idei skandynawizmu politycznego, która wykazała całą bezsilność swoją podczas wojny duńskiej, chociaż przedtem młodzież uniwersytecka okrzykiwała ją hałaśliwie po całym kraju, po skompromitowaniu się partyi ludowej, która skończyła na egoistycznej i reakcyjnej polityce Sverdrupa—w życiu polityczno-społecznem zapanowało usposobienie rezygnacyjne, sceptyczne i naturalna dążność do złagodzenia wyników klęsk dziejowych. Natomiast od 1870 r. pojawia się silny i żywotny ruch, wywołany wtargnięciem idei nowszej filozofii w sferę umysłowości skandynawskiej, w której panowała zachowawczość, będąca spójnią protestantyzmu z dążeniami takich moralistów, jak Gruntdwig, i filozofów, jak Böstrom, którzy swe teorye kojarzyli z panującym dogmatyzmem. Ideje Buckle'a, Darwina, Taine'a, zagadnienia swobody myśli, wyzwolenia się kobiety, przebiegły żywym prądem przez piśmiennictwo skandynawskie, głównie za sprawą Brandesa, który dwukrotnie wywarł wpływ decydujący na rozwój ruchu umysłowego swej ojczyzny. Duchowym punktem wyjścia dla Brandesa, jak twierdzi Hanson, był heglizm, z którego sporo doktryn w krew mu weszło.

Podobnie jak Taine, wykształcił duński krytyk na systemacie Hegla swą metodyczną konsekwencyę i dar dyalektyki; w pojęciach wolnomyślnych zbliżył się do lewicy heglowskiej, reprezentowanej przez Straussa i Feuerbacha. Nie był Brandes nigdy samodzielnym filozofem; jego umysł żywy, wrażliwy, giętki, miał w sobie, podług Hansona,

coś kobiecego, umiał przejmować się różnemi poglądami na świat, przerzucać się z jednego stanowiska na drugie, w miarę tego, które nabierało żywotności a i siły w danym momencie. Nie była to chwiejność, ani brak konsekwencyi pojmowanej dogmatycznie, po szkolarsku, ale ta właściwość wielu umysłów żywotnych, nawet niepospolitych, które dla tego także wywierają wpływ na społeczeństwo, że mają w sobie coś z arfy eolskiej, dźwięczącej za podmuchem nowych prądów. Od Milla wziął Brandes ideję emancypacyi kobiet, oraz pojęcia o swobodzie społecznej, od Sainte-Beuve'a i estetyków francuskich przejął metodę krytyczną, od realistów francuskich metodę analityczną, żywość i naturalność stylu, i tym sposobem nie tylko zreformował literaturę skandynawską, ale stworzył całą nową szkołę na Północy.

Po raz drugi w 1888 roku Brandes zjawił się na katedrze w Kopenhadze i stał się rzecznikiem myśli nowej, zgodnej z prądem czasu. Wykładał o Fryderyku Nietschem, tym hieroglificznym myślicielu, coraz większy wywierającym wpływ na umysły współczesne, nęcone urokiem tajemniczości, która zatraca bardziej jasność, jeden z najpiękniejszych przymiotów literatury, wykształconej na filozofii realnej. Ideje liberalno-pozytywne zrobiły już swoje, zamieniły się na monetę obiegową, ideały liberalizmu zbladły, dzieląc los wszystkich w historyi prądów, które, spełniwszy robotę twórczą, zużywają się w końcu i muszą ustąpić miejsca nowym dążeniom, powołanym do wytworzenia nowego ruchu. Nietylko wartość rdzenna każdego prądu lub teoryi panującej ma znaczenie w dziejowym pochodzie, ale ta ich siła promieniująca, zaraźliwa, która ogarnia umysły, pobudza się do życia, wywołuje nowe sposoby widzenia rzeczy, nowe pragnienia, dążności, jest siłą rozpędową nowej pracy myśli. Brandes wywołał nowy ferment, — popularyzując dążenia oraz ideje arystokratycznego radykalizmu autora proroczej księgi: „Tak rzekł Zaratlustra", myśliciela, który na nowy sposób głosi kult wyższości intelektualnej, marzy o typie nad-człowieka i dopomina się o przywileje indywidualizmu, zatraconego w niezłomnej konsekwencyi teoryi deterministycznych, który wreszcie w sposób bardzo niesympatyczny apoteozuje siłę i poniża wielką zasadę miłosierdzia, włączając ją do etyki niewolniczej. Ze źródła tych teoryi wypłynął prąd najnowszy, który rozkołysał twórcze umysły w Skandynawii.

Na tle tej przemiany prądów umysłowych, dokonanej przez ducha czasu za sprawą mocarza krytyki, Hanson rysuje nam portrety literackie J. P. Jacobsena, Augusta Strindberga i Arne Garborga, którzy „ze względu na ich własne przymioty i z mocy psychologii narodowej, są postaciami najwybitniejszemi w piśmiennictwie trzech krajów, t. j. Danii, Szwecyi i Norwegii". Portrety te są świetne pod względem arty-

stycznym. Na tle obrazów duńskiej przyrody, tchnących aromatem i przepojonych drganiem światła, ukazuje się miękka, wrażliwa, refleksyjna postać Jacobsena, który odczuwał delikatnie, po swojemu, piękno przyrody, rozkochany w jej życiu, pojętem głęboko, samodzielnie, a nie w duchu antropomorficznym. Jacobsen sztukę wiernego obrazowania przyrody podniósł do prawdziwego mistrzowstwa, znajdując właściwe odczucie dla przedstawienia każdego jej powabu. Jako malarz duszy ludzkiej, lubuje się w charakterach nienormalnych, nadczułych, wydelikatnionych i wykazuje wielką oryginalność w analizowaniu nieuchwytnych odcieni danych nastrojów psychicznych. Bohaterowie jego mają jakiś charakter dla nas egzotyczny, niezwykły; autor maluje ich marzenia i słabość woli w zetknięciu się z rzeczywistością. W postaci Nielsa Lyhne stwarza nową odmianę typu hamletowskiego, duszy trawionej tęsknotą, która po szeregu rozczarowań i zawodów pogrąża się w ciszy kontemplacyjnej. Świetnie charakteryzuje krytyk styl Jacobsena przesubtelniony, jaskrawy, kapiący bogactwem, oraz wysilony charakter jego twórczości.

Przedmiotem szczególnego kultu Hansona jest August Strindberg, wcielenie ideału twórcy dla przyszłości. Jest on reprezentantem twardej i energicznej natury szwedzkiej, ma umysł niezmiernie bogaty i rzutki, w którym ścierają się dwa żywioły: arystokratyczny z demokratycznym, oraz najsprzeczniejsze czynniki okresu ubiegłego i nowego. Strindberg siłą satyry i analizy obyczajowej kruszył konwencyonalne fałsze, oraz ideały przeżyte, obalił „mit o nieomylności studentów“, obałamujących siebie i społeczeństwo frazesami na cześć skandynawizmu i mglistemi formułami estetyki urzędowej. „Pokój czerwony“ jest gryzącą satyrą na wszystkie głupstwa i błędy epoki, na bezmyślność biurokracyi, blagę literacką, humbugi wydawnicze, na obłudny pietyzm i bigoteryę, na bezpłodność robót sejmowych, „na dziennikarstwo, z jego kupnemi przekonaniami i umyślnem przeistoczeniem prawdy, z jego wielkiemi frazesami i charakterami małemi“, na oszustwa kupieckie, na filantropię, na wszystkie wreszcie warstwy i wszystkie instytucye społeczeństwa. Nietylko ta silna negacya spleciona z artystycznem obrazowaniem stanowi właściwość Strindberga; umysł jego jest skupieniem, zbiorowiskiem wrażeń i widoków wszystkich odcieni szwedzkiej przyrody; jego język gorący, giętki, pełen paradoksów, ma także wszystkie typowe rysy szwedzkie.

W dramatach dziejowych Strindberg przebiera zagadnienia współczesne w kostiumy epok ubiegłych, a drugiem swem polemicznem dziełem „Nowe państwo“ wywołuje huragan oburzenia, gdyż po arystofanesowsku wymierza pamfletowe strzały w osobistości, które uważał za głównych przedstawicieli społecznego „humbugu“. Ucieka z kraju,

dzieląc los innych przedstawicieli reformy, którzy, głosząc z energią nowe hasła, sprzeczne z ustalonemi poglądami, napotykali energiczną reakcyę społeczeństw, zastygłych w zachowawczości i opornych zrazu wobec drgnień myśli, płynących z zachodu. Strindberg jest wyznawcą teoryi Nietschego, dlatego zyskuje sobie taką sympatyę krytyka, któremu imponuje mędrzec niemiecki, uważający się za proroka ludzkości. Z tego źródła płynie anty-feminizm Strindberga, który w najnowszych jego pracach dochodzi prawie do absurdu, co jednak nie przeszkodziło w tych czasach autorowi poddać kark pod jarzmo małżeńskie.

Nietsche traktuje kobietę pogardliwie, każe wobec niej pamiętać nawet o „szpicrucie“ — Strindberg energicznie walczy przeciw feminizmowi, który od czasów „Nory“ Ibsena rospoczął walkę w imię kobiety uciśnionej. Potępia on nienaturalne doktryny emancypacyi, nazywa ideał kobiety współczesnej wstrętnym mieszańcem, głosuje za prawami natury i naturalnością związków małżeńskich w swych opowiadaniach „Pożycie ślubne“, w których z ogromną siłą i humorem analizuje i do gruntu przenika zagadnienia życia małżeńskiego, głosząc zasady etyki, nie licujące z pruderyą i świętoszkowstwem.

W „Nocach lunatyka“ i „Utopiach rzeczywistości“ potępia sztuczność życia współczesnego i stwarza nowe ideały urządzeń społecznych i reform, natchnionych przez pogardę dla zwyrodnienia i wydelikacenia cywilizacyi. Powieść Strindberga, „Tschandala“, jest ubraną w szaty artystyczne doktryną arystokratyzmu Nietschego, według której tłum szary plebejski powinien być tylko podścieliskiem, nawozem dla hodowli kwiatów szlachetnej cywilizacyi, reprezentowanej przez wybrańców. W naszej literaturze posiadamy przekłady dramatów Strindberga: „Ojciec“ i „Panna Julia“, które łącznie z „Wierzycielami“ i „Towarzyszami“ stanowią oddzielną grupę utworów tendencyjno-społecznych. Wszystkie one oparte są na kwestyi kobiecej, którą przedstawiają w sposób dla nas niezupełnie zrozumiały. W Skandynawii ruch feministyczny pod wpływem obyczajów i etyki protestanckiej nabrał jakiegoś ostrego charakteru walki pomiędzy dwiema płciami, w której jedna lub druga strona występuje bezwzględnie z potwornym nieraz egoizmem. U Ibsena zwłaszcza w „Norze“ widzimy zohydzony egoizm męski, Strindberg w ponurych barwach przedstawia egoizm w niewieście. Bez tego komentarza niezrozumiałym jest dramat Strindberga „Ojciec“, uważany przez Hansona za perłę literatury skandynawskiej. Walka pomiędzy mężczyzną a kobietą o władzę domową nad dzieckiem i kierunkiem jego wychowania przybiera tu charakter zapasów pomiędzy dwoma zajadłymi wrogami, zapasów, których rezultatem może być tylko śmierć moralna człowieka.

Ta Laura, z wyrafinowanem okrucieństwem i chytrą energią, popychająca świadomie do szaleństwa swego męża i chlebodawcę, jest jedną z najbardziej niesympatycznych postaci, jakie spotykamy w literaturze dramatycznej. Jej złośliwa, piekielna energia, dla nas jest niewytłómaczoną. W dramacie tym widzimy, jak jednostronna doktryna, cierpka, pacząca logikę życia, może zamienić boską, życiodawczą krynicę miłości rodzicielskiej na strumień, zatruty śliną jadowitych gadów. Miłość rodzicielska jest siłą, która łączy męża z żoną, która ocala od rozbicia tyle stadeł małżeńskich, zmazuje grzechy lekkomyślności i rozpusty, kojarzy sprzeczne umysły i charaktery w pracy wspólnej dla przyszłości potomstwa, albo w braterstwie bólu, największego ze wszystkich bólów, nad trumienką przedwcześnie zgasłego anioła. Niech tam sobie wszyscy anty-feminiści, arystokraci filozoficzni, doktrynerzy wszelkiego kalibru gadają co chcą, miłość rodzicielska zawsze będzie jedną z najwiękkszych sił twórczych, sympatycznych, harmonizujących. Nienawiść i walka ohydna, jaka wre w dramacie Strindberga, napisanym z wielkim talentem, może być co najwyżej wynikiem szczegółowego wynaturzenia, w którem prawo ogólne życia może wynaleźć tylko umysł napompowany z góry parodoksami. Walka ta tłómaczy się niby zasadniczym antagonizmem kobiety i mężczyzny, jako dwu gatunków, z których gatunek wyższy, szlachetniejszy, musi być pokonanym, bo gatunek niższy nie przebiera w środkach. Taki pogląd, podług mnie, nie odpowiada prawdzie. W dysharmonii pierwiastku męskiego i kobiecego, tak częstej w życiu, widzę brak odpowiedności i wzajemnego przystosowania się, a nie ścieranie się wrogich sobie żywiołów.

Równie cierpkim i nieprzyjemnym dramatem jest „Panna Julia", w którym bohaterka stanowi okaz wynaturzenia kobiecej natury. Zawiązawszy brudny romans z lokajem, chce okraść własnego ojca, uciec z domu; ale gdy się ten zamiar nie powiódł, idzie, posłuszna rozkazowi kochanka, aby za sceną... poderznąć sobie gardło. W tem rozwiązaniu ma tkwić nowomodny motyw psychologiczny, to jest: potęga suggestyi.

Szkoda tylko że dramat, mający sceny kreślone z nieporównaną prawdą i plastyką, znowu jest nie bardzo zrozumiałym bez komentarzy. Autor starał się nagromadzić przyczyny, które niby zmuszają pannę arystokratyczną do sprobowania ostrza brzytwy na własnej szyi, ale nie potrafił przekonać o prawdzie tego rozwiązania. Oba te dramata Hanson wychwala pod niebiosa; dla mnie oba, pomimo wielu zalet, należą do dzieł wysilonych, nienaturalnych, które powstają wskutek zapłodnienia umysłu twórczego przez teorye jednostronne. Wprawdzie Hanson stwarza dla dramatów tych komentarze, mające wykazywać ich filozoficzną głębię; ale jest to podług mnie sztuczne rozdymanie wartości pomysłów, niezgodnych z naturalną logiką życia. Swoją dro-

gą, zabawnem wydało mi się zdanie Valabrègue'a, który po wystawieniu panny Julii w „Teatrze wolnym“, obwiniał jego kierownika, Antoine'a, o popieranie pornografii zagranicznej. Tupetem moralizatora osłaniał wesoły farsiarz właściwą francuzom wyłączność i sobkostwo, które nie znoszą na scenach paryskich dzieł pisarzy obcych.

W charakterystyce Hansona wychodzi Strindberga jako osobistość kipiąca siłą, energiczna i oryginalna. Z pochwał krytyka odrzucić jednak należy sporą dozę sympatyi stronniczej dla towarzysza z pod jednego sztandaru. W zestawieniu z apoteozą Strindberga dziwnie wygląda zmniejszenie wartości dzieł Ibsena, którego krytyk nie lubi, jako wyraziciela epoki ubiegłej, jako malarza ideałów mieszczańskich. Ibsen podług Hansona jest uosobieniem wszystkich pierwiastków twardości, skrytości w temperamencie norweskiem, jest „sową Minerwy“, co, siedząc z dala kraju na niemieckiej gałęzi, przysyła, „swoje tajemnicze wyrocznie, które tłum wykształconych uwielbia bałwochwalczo“. Hanson cieszy się z karykatury pomieszczonej w jednem z pism skandynawskich, która przedstawiała Ibsena jako mężczyznę ze wspaniałą lwią grzywą, obliczem mieszczucha, okularami na końcu nosa i twarzą o wyrazie głupoty niezgłębionej“. Nie należę do bezwzględnych wielbicieli Ibsena, ale widzę w tem bardzo niemiły wybryk krytyki stronniczej. Nawet na podstawie charakterystyki Hansona nietrudno ocenić, że Strindberg, pomimo siły i oryginalności talentu, jako poeta i myśliciel nie wzbijał się do wyżyny autora „Branda“ i „Romersholma“, a dramata Strindberga, znane mi z przekładów, są tak samo paradoksalne, a bardziej jeszcze ponure, niż ostatnie sztuki Ibsena. Rzecz dziwna, że Hanson, będący tak gorącym wielbicielem Nietschego, nie znalazł miejsca w tej charakterystyce nowych prądów dla „Wroga ludu“ Ibsena, w którym tak silnie i jaskrawo występuje sympatyczna dla krytyka zasada „wyższości nader rozwiniętej jednostki nad mało rozwiniętym i niezróżniczkowanym tłumem“ (str. 122), oraz dumne poczucie siły tej jednostki w samotności, w oddaleniu od egoizmu gromady. Zarówno tą sztuką, jak i „Heddą Gabler“, malującą zboczenia kobiety zwyrodniałej, Ibsen zapisał się do ruchu najnowszego, psychologiczno-mistycznego, spokrewnionego z nitscheanizmem; tymczasem Hanson widzi w nim literackie widmo„ „nazwisko, po-za którem niemal zgoła „nie dostrzega człowieka“. Ibsen i Bjernson, według Hansona, wprowadzają ogół w błąd co do zadań, „czekających na rozwiązanie;“ są prorokami, „którzy zabłąkali się w jakąś ślepą uliczkę cywilizacyi“. Björnson ma silne ręce, ale używa ich „do młócenia słomy wymłóconej“, bo jest wyrazicielem prądów zwycięskich i mających przewagę. Ibsen uosabia hasła i przeciwieństwa chwili, pogłębia i przedstawia zagadnienia sporne, ale nie zwraca się do zbadania „tajników niezgłębionych wspaniałej

mistyki dogasającego stulecia". Sąd o Björnstonie wydaje mi się bardzo trafnym i stosującym się wogóle do umysłów twórczych, które umieją tylko płynąć z prądem i przez to są wyobrazicielami duchowego stanu swego społeczeństwa.

Niesłusznie jednak Hanson zalicza Ibsena do wyobrazicieli prądów i form istniejących, nie ma racyi wreszcie pomijając wogóle znaczenie literatury, która przedstawia zagadnienia współczesne, bez potrącania o mgliste przeczucia przyszłości. Pomimo tego, z właściwą sobie niekonsekwencyą, Hanson kreśli bardzo sympatyczną sylwetkę Arne Garborga, który nie jest zwolennikiem mistyki, ale szczerym naturalistą, malarzem dokumentów, „faktów twardych jak kamień", którego dzieła tworzą „najdokładniejsze sprawozdanie z norweskiego życia społecznego, mapę wzorową wszystkich prądów dążeń, myśli, kierunków, z których niby kłębek jaskrawy i splątany składa się rozwój cywilizacyi Norwegii ostatniego okresu" (str. 148). Będąc znakomitym malarzem w rzeczywistości, Arne Garborg, pod względem artystycznym wysoce samodzielny, jest także wyobrazicielem ducha protestu. W „Mężczyznach", podważa śmiało, fałsze i zboczenia etyki obyczajowej, w „Nieprzejednanych" z potężnem oburzeniem piętnuje odstępstwo młodzieży od zasad liberalnych.

Wszyscy trzej przodownicy literatury skandynawskiej, Jacobsen, Strindberg i Garborg, pomimo pewnych różnic, mają wspólne cechy uderzające silnie naszego czytelnika. Twórczość ich jest bogatą, jaskrawą, ale wysiloną. Cechy te wzmacnia dosadna obrazowość krytyka. Znać, że ziarna nowych prądów, padłszy na grunt skandynawski, wydają krzewy bujne, ale jakby forsowane sztucznie; znać, że te „nowe duchy" musiały natężać swe siły dla zwalczenia starych potęg, panujących wszechwładnie nad umysłowością skandynawską. Konflikt przedstawicieli nowych prądów ze społeczeństwem był tam silniejszy, niż gdziekolwiek. Ciekawym rysem społeczeństw skandynawskich jest pewna ostrość i nietolerancya konwenansu obyczajowego i etyki urobionej na gruncie protestanckim, wytwarzająca surowszą niż gdziekolwiek tyranię opinii publicznej. Społeczeństwa te rozwijały się trochę na uboczu wobec wielkiego ruchu europejskiego, przerabiając niektóre czynności tego ruchu na swój odrębny sposób. Te oraz inne przyczyny nadają literaturze skandynawskiej cechy swoiste, wyłączne, nie zawsze zrozumiałe dla ogółu czytelników, bardzo ciekawe i zajmujące dla badaczów literatury.

Krytyka zaś skandynawska, a zwłaszcza jej celniejsi przedstawiciele, reformując prądy i dążności swych krajów, wybiegają chętnie na widownię ogólno-europejskiego ruchu i zyskują szersze znaczenie. Książka Hansona z tego powodu jest dla nas ciekawą, chociaż nie za-

wiera metodycznego obrazu działalności mało znanych u na spisarzy. Do czterech szkiców, (które po niemiecku ukazały się nakładem Piersona w 1891 w Dreźnie), tłómacz polski dodał nieobjęte w tej książce studyum „Materyalizm w literaturze"; będące rodzajem programu i wyznania wiary, a połączone z poprzedniemi jednością poglądów na główne zadania literatury współczesnej. *Negatywną* stroną tych poglądów, jak już wspomniałem, jest walka przeciw materyalizmowi, z którego zrodził się naturalizm literacki.

Światopogląd materyalistyczny jest podług Hansona zabójczym dla twórczości poetycznej, która leży po-za jego obrębem. Epoka dogasająca była panowaniem trzeźwości dogmatycznej, przewagi mieszczaństwa, demokratyzmu niwelującego, który z ludzi robił szary tłum, gromadę jednorodną. Materyalizm i naturalizm, panujące w owej epoce, popełniały ten grzech, że, starając się objaśnić życie i duszę człowieka mechanicznie, działaniem sił przyrodzonych, traciły z oczu pierwiastek podmiotowy, wewnętrzne *ja*, które przetwarza świat przedmiotowy. Hanson przeprowadza z tego punktu widzenia sumaryczną krytykę płodów naturalizmu w Niemczech, Francyi i Skandynawii, zarzucając mu, że świadomie zniżył poziom własnej działalności, nie umiał utrzymać odrębności sztuki od wiedzy, „postradał pierwiastek twórczy jasnowidzący, był odtworzeniem świata zmysłowego i dotykalnego, odsuwał się od wszystkiego, co się dopiero staje, co można odczuć jedynie szóstym zmysłem. A zmysł ów,—to właśnie twórczość poetycka, jedynie umiejąca zaglądać w głąb duszy" (str. 238). Jest to potępienie w duchu doktryn Nictschego, wygłoszone dosyć jednostronnie. Materyalizm, podług zdania znakomitego dziejopisarza filozofii, Fr. Alberta Langego, jest najniższym stopniem filozoficznego wzniesienia się umysłu ludzkiego po-nad rzeczywistość. Dziś w literaturze i filozofii kończy się jego wszechwładza, ale on nauczył całe pokolenie pisarzy liczyć się z prawdą przedmiotową i pojmować w pewnym kierunku głębszą prawidłowość życia. Pomimo przesady i jednostronności, naturalizm literacki był żywotnym i przyczynił się do zwalenia wielu konwencyonalnych pojęć obyczajowych i artystycznych.

Trudno zgodzić się także z *pozytywnym* postulatem Hansona, który żywotny rozkwit literatury widzi tylko w psychologicznej mistyce, w przeczuwaniu przyszłych prądów przez duchy twórcze, „drgające długo przed tem, zanim publicznie wywieszony barometr prądów bieżących zacznie choćby o jedną linię opadać"(str. 179). Krytyk widzi tę nową literaturę przedewszystkiem w nurkowaniu po głębinach tajemniczych duszy, w docieraniu do niezawodnych instynktów, w analizowaniu objawów, odległych od normalnego i zdrowego stanu świadomości. Zajmują go szkice Huysmansa, w których autor wydobywa na jaw

te „sztolnie duszy ludzkiej, gdzie okrucieństwo i zmysłowość, popęd do utrzymania gatunku, oraz instynkt zniszczenia stanowią całość niepodzielną". „Bourget raz tylko jeden zapisał się do nowego kierunku, ponieważ opisał rozdwojenie osobowości kobiety pod względem płciowym. W Niemczech zdrój nowej twórczości występuje w poezyi Nictschego, w obrazach Böcklina i w pangermańskim ideale cywilizacyjnym rembrandtystów".

Wogóle określenie nowego kierunku rostapia się u Hansona w mgle niewyraźnej, co dziwić nie powinno, jeżeli idzie o mistykę. Niepodobna razem z Nordauem zgodzić się na to, że mistycyzm jest objawem zwyrodnienia, albowiem jest on sposobem odczucia i pojmowania świata intuicyjnym, właściwym w epokach, gdy panują silnie uczucia religijne, poglądy metafizyczne, nastroje idealne i marzycielskie. Według znanej kolei rozwoju psychologicznego, okres mistyczny nie może być uważanym za dobę przeżycia się i wyczerpania energii umysłowej. Obecna mistyka i symbolika pojawiają się na podstawie znanej reakcyi, albowiem umysł ludzki, karmiony literaturą i filozofią materyalistyczną i realną, zapragnął wrażeń idealnych i rzucił się w nowe sfery, o których przedtem zapomniano. Może w tej dziedzinie duch twórczy odczuje i wydobędzie na jaw nowe strony natury ludzkiej, może odgadnie nie jedno drgnienie „tajnego brzemienia lat". Czy jednak umysły słabsze lub mętne nie zbłąkają się w labiryncie dziwactw i majaczeń; czy analizna nienormalnych objawów psychicznych nie stworzy dzieł wysilonych, przeraffinowanych i niesmacznych? Sam Hanson wskazuje kilka takich utworów, w których chorobliwa fantazya łączy się z wyuzdaniem, a tajemnicza gaza mistyki osłania nagości pornograficzne. Dlatego też mistycyzm psychologiczny może być, jak sądzę, jednym z czynników literatury nadobnej, ale wątpię, żeby stał się kiedy kierunkiem panującym, albowiem nowożytne społeczeństwo, wśród obecnych warunków zycia, nie może się tłumnie oddać pod przewagę prądom i doktrynom tajemniczym, które jednają sobie koła zwolenników wśród wyższych sfer inteligencyi.

Ważnem jest natomiast pragnienie głębokie odrodzenia, żywotnej przemiany, która w książce Hansona tętni nieświadomie. Jest to cząstka tej potrzeby głębokiej, która przenika wszystkie szlachetniejsze umysły epoki naszej, wśród duszącej atmosfery kapitalistycznej i militarnej, jaka ciąży dziś nad światem. Co się urodzi z tej tęsknoty powszechnej, wyrywającej się ku lepszym ideałom, tego przewidzieć nie może żaden mistycyzm ani impresyonizm, żadna doktryna ani system, bo życie szydzi często z teoryi i sprawia najdziwniejsze niespodzianki

W literaturze i krytyce zawsze wygra sprawę, nie doktryna lub stronnicze stanowisko, ale talent, który ma coś nowego i oryginalnego do powiedzenia, nawet gdy nie szuka *par force* nowych metod, gdy mówi o rzeczach niby starych, ale wiekuiście prawdziwych. Dlatego też, pomimo wszystkich zboczeń stronniczych, pociągają nas szkice Hansona, nacechowane talentem szczerym, ruchliwym i oryginalnym. Znać na każdym kroku, że autor wierzy w to co mówi, że ma swój kąt widzenia rzeczy, że nie jest doktrynerem na zimno. Zdaje mu się, że nad ruchem literackim w Skandynawii rospalił nową jasno błyszczącą pochodnię, której światło drga i sięga dalej jeszcze.

Łudzi się w dobrej wierze, jego krytycyzm miga setkami płomyków oświecających szczegóły i strony niektóre przedmiotu. Z impresyonizmu krytyki wypływa pewien ponętny bezład jego szkiców. Niema tu jasno wytkniętego planu, ani metody; autor odskakuje i zbacza od przedmiotu, porzuca temat główny i znów zwraca się do niego, nie zapominając jednak o poglądach naczelnych; rzuca hojną ręką kiejnoty obrazowania i kwiaty stylu, który imponuje swobodą, giętkością, bogactwem i życiem.

To, co jest w studyach Hansona sztucznego i wysilonego, można słusznie przypisać z góry *postawionej zasadzie impresyonizmu*, która nie może być trwałą i powszechną. Chcąc być barwnym i żywym, Hanson przesadza często, daje koloryt jaskrawy i wyszukany, potęguje wysilony charakter pisarzy skandynawskich. Ale jego talent pisarski, pomimo to, jest nieslychanie pociągający i silnie przemawia do wyobraźni czytelnika.

Żaden z wielkich mistrzów krytyki nie pisał tak powabnie i zajmująco, z taką werwą, nie miał tak ciepłego tonu i bogactwa wysłowienia. Dlatego też niemałe trudności musiał pokonać tłómacz polski i sprostał im dosyć szczęśliwie. Nie będę się kłócił z nim o używanie skutego po niemiecku wyrazu „światо-pogląd“ który zyskuje sobie u nas prawa obywatelstwa. Nie podoba mi się używanie wyrazu „szarota“ w znaczeniu jednostajnej „szarości“ tła lub życia społecznego. W porównaniu z przekładem niemieckim styl polskiego jest trochę rozwlekły, ale myśli oddane wiernie, barwny koloryt języka pochwycony żywo, bez sztucznego gładzenia i werniksowania.

Józef Kotarbiński.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Gneist. **Die Militärvorlage von 1892 und der preussische Verfassungs-konflikt von 1862 bis 1866. 1893. (Berlin stron. 144).**

Nieporozumienie się czynników prawodawczych państwa niemieckiego w sprawie powiększenia armii, wymaganego przez rządy związkowe, wywołało tak nazwany konflikt parlamentarny w bieżącej chwili. Korona nie omieszkała użyć prawa rozwiązania parlamentu, chcąc tym sposobem zmusić opinię publiczną do rozważniejszego zastanowienia się nad przebiegiem i doniosłością sporu konstytucyjnego, a nowo wybrani reprezentanci narodu niemieckiego niezadługo będą mieli sposobność publicznego wypowiedzenia swych przekonań, które dla rozwoju konstytucyonalizmu niemieckiego pozyska niewątpliwie pierwszorzędne znaczenie.

Zanim jednak kombinacye stronnicze naraziły rząd cesarstwa na przykre rozczarowanie, które się rozwiązaniem parlamentu skończyć musiało, wystąpił słynny uczony i długoletni profesor berlińskiego uniwersytetu, Rudolf Gneist, z rosprawą, pod powyżej przytoczonym tytułem, która nietylko naukowe, ale i polityczne ma znaczenie, a tem samem budzi w daleko wyższym stopniu ciekawość, aniżeli wszelkie, choćby najpoważniejsze, doktrynerskie wypracowania o czysto akademickim charakterze. Gneist, w ciągu przeszło czterdziestoletniej pracy nau-

kowej, zdobył sobie niespożyte wawrzyny w dziedzinie prawa prywatnego oraz publicznego. Jemu przedewszystkiem zawdzięczają literatury europejskie należyte zrozumienie „selfgovernmentu“ angielskiego, a historya konstytucyi angielskiej, przezeń po mozolnych studyach napisana, zaliczać się będzie prawdopodobnie przez długie czasy do dzieł, którym, w pełnem znaczeniu tego słowa, przysługiwać nie przestanie przydomek „klasycznych“.

Rudolf Gneist zalicza się nie tylko do najpierwszych mocarzy naukowych niemieckich, lecz i w rzędzie wytrawnych bojowników parlamentarnych w Prusach wybitne, a niekiedy zaszczytne, przypada mu stanowisko. W tejże samej sprawie wojskowej, która trzydzieści lat temu z górą wywołała ostry konflikt konstytucyjny w Prusach, Gneist publikował broszurę, podobnie jak w bieżącym roku, o dwoistym charakterze, t. j. w jednej połowie naukowym, a w drugiej politycznym. W sejmie pruskim ceniono zawsze jego wysokie prawnicze wykształcenie i powoływano go do najprzeróżniejszych komisyi; rządowi pruskiemu zaś nie uszło uwagi, że wyborne zrozumienie ducha prawa publicznego, zaczerpnięte z instytucyi wielkobrytańskich, nadaje Gneistowi wyjątkowe znaczenie dla rządu i nakazuje go pozyskać dla ministeryalnych projektów.

W szeregu prac Gneista znajduje się dość pokaźna ilość takich, które torowały drogę projektom rządowym i ostrzegały społeczeństwo pruskie przed niebezpieczeństwami, tkwiącemi we francusko-belgijskiej doktrynie konstytucyjnej. W sprawie samorządu w obrębie szkolnictwa, w kwestyi szkoły wyznaniowej i jej niedopuszczalności podług pruskiego prawodawstwa, w sprawie reformy podatkowej w Prusach, w sprawie reformy procedury karnej, samorządu okręgowego (Kreisordnung), w kwestyi reformy finansowej, reformy sądownictwa i zaprowadzenia sądownictwa administracyjnego i t. d., zabierał Gneist głos czasami pokilkakrotnie i prawie zawsze wcielał go w interesujące naukowo-polityczne broszury.

Ze względu, że sprawa powiększenia armii niemieckiej i zarazem spór parlamentarny, jaki nią został wywołany, zaciekawiły w wysokim stopniu wszystkie społeczeństwa europejskie, pozwolę sobie zwrócić uwagę czytelników „Biblioteki“ na pracę Gneista, która przeznaczoną była niewątpliwie do zażegnania nadciągającej zwolna parlamentarnej burzy — burzy, nie zasługującej tym razem na przezwisko lekceważące „burzy w szklance wody“, którem-to mianem sam Gneist ochrzcił dawne konflikta parlamentarne drobnych państewek niemieckich, w pierwszej połowie XIX stulecia.

Chcąc w reprezentacyi narodu niemieckiego obudzić świadomość, że rok 1870 stworzył z państewek niemieckich pierwszorzędne mocar-

stwo, a tem samem obarczył lud niemiecki bardzo uciążliwemi obowiązkami dla podtrzymania politycznej potęgi, Gneist powołał się nie tylko na naukę polityczną, ale i na względy stanu, płynące z położenia międzynarodowego w bieżącej chwili. Wprawdzie, przemawiając jako mąż stanu do swego społeczeństwa, nie mógł liczyć na ów nieprzezwyciężony urok, jaki otaczał od 1866 r. działalność księcia Bismarcka; w każdym razie jednak w kwestyach administracyjnej polityki, zdanie jego spotkać się musiało wszędzie z wysokiem uznaniem, na jakie istotnie zasługiwało, i dlatego-to Gneist nie zawahał się przypomnieć swarliwym stronnictwom w stanowczej chwili, że „concordia res parvae crescunt".

Prócz tego znajdujemy w pracy Gneista naukowe wywody, przekonywające, że mamy z zasłużonym i już dobrze wysłużonym profesorem do czynienia. Nawet najbardziej palące potrzeby i pragnienia chwili bieżącej nie dozwoliły Gneistowi zapomnieć zupełnie o Tacytowskich Germanach, lub o dawnej reprezentacyi stanowej i jej poglądach na uchwalenie pomocy pieniężnej (Subsidienbewilligung). Naukowe wycieczki pozwolę sobie zupełnie pominąć, albowiem dla kapitalnej sprawy, jaką stanowi powiększenie armii, mało one mają bespośredniej wartości; przedstawię jedynie usiłowania monarchizmu pruskiego, dążące do wytworzenia potężnej armii, a dzieje tych usiłowań dopomogą nam skutecznie do zrozumienia sprawy organizacyi armii, oraz do wyjaśnienia sporu parlamentarnego w obecnej chwili.

Epoka obłoczyn armii pruskiej w pierwszą szatę prawną przypada między 1814 — 1819 rokiem. Po zakończonych świetnie kampaniach napoleońskich, monarchizm pruski postanowił z obowiązku ogólnej służby wojskowej, wprowadzonego jedynie na czas groźnej wojny, uczynić trwałą i zasadniczą instytucyę państwową. Ustawa też z d. 3 września 1814 r. przyjęła jako normę służbę trzyletnią pod chorągwiami, służbę dwuletnią w rezerwie, siedmioletnią w landwerze pierwszego powołania, a pięć lat w landwerze drugiego powołania. Ponieważ zaś ogólna służba była dla klas wykształceńszych daleko uciążliwsza niż dla innych, przeto dla ochotników z tejże klasy ograniczono służbę pod chorągwiami do jednego roku. W 1814 roku, określając obowiązek służby wojskowej dla pojedyńczego obywatela, trudno a nawet niemożliwem było obliczyć, ile w przybliżeniu wyniesie ów obowiązek dla całego kraju, czyli: jaką siłę militarną powoła do bytu.

Nie należy bowiem zapominać, że w chwili publikowania prawa z 1814 r. część wojska pozostawała jeszcze we Francyi, terytoryum państwa pruskiego powiększone zostało więcej niż o połowę, a w nowoprzyłączonych okręgach nie były wówczas władze cywilne należycie zorga-

nizowane, ani nic stałego, dotyczącego organizacyi landwery, postanowionem. Dla zapobieżenia niedostatkom, płynącym z przejściowego położenia, prawo z 1814 rozporządziło: „że, co się tyczy siły stałego wojska oraz landwery, zdecydowanem będzie na przyszłość stosownie do każdorazowych okoliczności państwowych.“ W roku 1815 postanowiono, że landwera tworzyć będzie stanowczo część siły zbrojnej, choć zbierać się powinna tylko w razie wybuchającej wojny, lub w czasie pokoju na doroczne ćwiczenia. Przepisy zaś z r. 1818 i 1819 określiły jeszcze wyraźniej: że armia w stanie pokoju ma pozostawać w nieustającym związku z organizacyą landwery, a w r. 1820 oznaczonym został stan czynny armii stałej (Präsenzzahl) w cyfrze 130,000 ludzi, która-to cyfra w roku 1857 podniosła się do 140,000 żołnierzy.

Półwiekowy stan spoczynku nie mógł organizacyi wojskowej pruskiej uchronić od bardzo poważnych niedostatków. Prawdziwy bowiem szkielet armii, zastosowany do ludności państwa w r. 1819, stał się już w r. 1850, z powodu powiększenia się ludności, nieodpowiednym. Ludność państwa pruskiego z 11 milionów, jakie w r. 1820 liczyła, osiągnęła w r. 1850—18 milionów. Ażeby więc ogólny obowiązek służby wojskowej mógł być wykonanym, należało armię stałą podnieść ze 130,000, na 200,000 ludzi, a na to środki finansowe nie pozwalały. W roku 1815 złożyła korona uroczyste przyrzeczenie, że nałożeniu nowych podatków towarzyszyć musi zgoda stanów całego państwa. Aż do wprowadzenia zatem karty konstytucyjnej, wydatki na wojsko musiały się trzymać w obrębie sumy 22 — 24 milionów talarów rocznie, i jedynie w latach niezwykłej drożyzny dosięgły cyfry 28 mil. talarów. Stan czynny armii nie mógł zatem przekraczać wysokości 130,000 żołnierzy; na to przedewszystkiem nie pozwalał ogólny budżet wydatków, nie przekraczających zazwyczaj sumy 50 milionów talarów rocznie.

Wobec niedostatecznych środków finansowych władze wojskowe nie były w możności urzeczywistnienia obowiązku ogólnej służby wojskowej. Znacznie mniejszą ilość rekrutów można było powoływać do służby, aniżeli obowiązek zasadniczy nakazywał. Gdy przytem okazało się, że armie sąsiednich mocarstw powiększyły się w sposób niepokojący dla Prus, Fryderyk Wilhelm III, chcąc w obrębie obowiązujących przepisów wykształcić większą ilość żołnierza, postanowił w r. 1833 zmniejszyć dla piechoty czas służby pod chorągwiami z trzech na dwa lata. W sferach wojskowych nie tajono bynajmiej niebezpieczeństw, jakie powyższe rozporządzenie, które zresztą mogło być każdej chwili przez monarchę cofnięte, dla bespieczeństwa kraju zawierało. Doświadczenie fachowe przemawiało stanowczo za trzyletnią

służbą pod chorągwiami; w roku też 1852 powrócono do $2^1/_2$ służby w piechocie, a w roku 1856 dawny trzyletni okres stał się napowrót obowiązującym.

Jak tylko książę Wilhelm, późniejszy Cesarz Wilhelm I, objął rządy regencyjne, oświadczył z naciskiem: że jedynie w rozwoju zaniedbanej obrony narodowej widzi ostateczną gwarancyę, zapewniającą państwu pruskiemu należyte wobec sąsiadów stanowisko. Regentowi nie mógł pozostać obcym fakt, widoczny zresztą dla każdego fachowego żołnierza, a dowodzący, że armia pruska wyrosła z dawnych powijaków ogólnej służby wojskowej. Zresztą w poczuciu sprawiedliwości regent pragnął, aby najcięższy ze wszystkich publicznych obowiązków wykonywanym był z nieubłaganą surowością i równością, bez względu na stan lub znaczenie osób. Przy systemie jednak, jaki wówczas panował, obowiązek służby wojskowej przeistaczał się w przypadek losowy, który jednemu spadał na barki z całą uciążliwością, pozostawiając tego, kto szczęśliwy los wyciągnął, wolnym.

Noszono się też z myślą usunięcia nierówności przez obciążenie uwolnionych specyalnym podatkiem (Wehrsteuer). Minister wojny Roon wyraził się nawet w poparciu powyższego podatku bardzo przychylnie, powołując się przytem na powagę posła belgijskiego, Nothomba. Wkrótce jednak przekonano się, że przeistoczenie najdonioślejszego obowiązku publicznego w świadczenie pieniężne zniża wartość etyczną tego obowiązku i musi prowadzić do systemu zastępców najemniczych. W ślad za tą kapitalną niedogodnością szły jeszcze i inne, dość poważne. W roku np. 1859 zdobyto smutne doświadczenie, że przy mobilizacyi korpusów armii muszą natychmiast żonaci i dzietni landwerzyści pierwszego powołania ruszać przeciw nieprzyjacielowi, gdy tymczasem w tychże samych okręgach popisowych daleko większa ilość ludzi młodych i zdatnych do służby, dzięki losowemu przypadkowi, pozostawała zupełnie wolną. Ze stanowiska militarnego budziło takie wciąganie landwery do stałej obrony narodowej poważne wątpliwości. Działalność bojowa landwery była niezaprzeczonej wartości, ale sprawność i służbistość landwery wyrabiała się zazwyczaj dopiero w ciągu kampanii, i to wówczas, gdy odwykłego od służby landwerzystę prowadziła umiejętna i doświadczona ręka.

Dnia 2 Lutego 1860 r. wystąpił rząd z projektem, modyfikującym niektóre zasadnicze przepisy. Przedewszystkiem zniesiono różnicę między landwerą pierwszego i drugiego powołania, a przeznaczając dla obu czas jedenastoletniej służby, postanowiono, aby na przyszłość przeznaczoną była dla obrony kraju wewnątrz granic państwowych. Motywa rzeczonego projektu wyrzekały na znaczne wypaczenie obowiązku służby ogólnej. Jeżeli dawniej pociągano do służby 40%

obowiązanych, to z biegiem czasu procent ten zniżył się jeszcze do 26%, a tymczasem pierwsze powołanie landwery składało się zazwyczaj w połowie z ojców rodzin, a drugie powołanie w $^5/_6$, i przy ostatniej mobilizacyi w 1859 r., w okręgach pięciu zmobilizowanych korpusów przypadło do wspomagania i wspierania gminom miejscowym, ni mniej ni więcej, tylko 55,277 familii, opuszczonych przez landwerzystów pierwszego powołania.

Jakkolwiek projekta rządowe wywołane były niezaprzeczonemi niedostatkami organizacyi wojennej z r. 1814 — 1820, i chociaż izba poselska ustami swego sprawozdawcy przypominała: że nie było nigdy jej zamiarem wkraczać w dziedzinę funkcyi regenta, jako najwyższego wodza armii, to pozostała w niej jednak świadomość, że każda pozycya etatu ogólnego, a tem samem i militarnego, winna ulegać uchwale izby poselskiej; a więc każdy wydatek, w celach organizacyi armii uczyniony, a nie potwierdzony przez izbę, sprowadzi na rząd zarzut naruszenia konstytucyi.

Ponieważ w r. 1861 chodziło o powiększenie rocznych kosztów utrzymania armii w kwocie 9 milionów talarów, a wydatek powyższy uważano powszechnie za niezwykle uciążliwy, przeto izba, chcąc odwlec rozstrzygnięcie kwestyi zasadniczej, uchwaliła żądaną sumę w drodze wyjątkowej, na rok jeden. W etacie też za rok 1861 zamieszczono wzmiankę charakterystyczną w słowach: „jednorazowe nadzwyczajne wydatki w celu utrzymania gotowości bojowej wojska i t. d.“. Projekta rządowe z r. 1861 wymagały przedewszystkiem podwojenia liczby batalionów; przystępując też do wytwarzania nowych jednostek militarnych, rząd przewyżkę kosztów, przez reformę spowodowaną, zamieścił w budżecie na rok 1862 i 1863 w szeregu wydatków zwyczajnych, jako wywołaną nieuniknioną koniecznością. Z poglądem powyższym izba poselska nie pozostała w zgodzie i d. 23 września 1862 r. postanowiła przewyżki kosztów, spowodowanej nowemi kadrami armii, nie przyjąć ani do zwyczajnego, ani do nadzwyczajnego etatu wojskowego.

Nieporozumienie izby poselskiej z rządem przeszło od chwili powzięcia podobnej uchwały w ostry konflikt, który rozdrażnił do tego stopnia króla Wilhelma I, że, przygotowawszy akt abdykacyi na rzecz następcy tronu, chciał go wezwać telegramem z południowych Niemiec i przyspieszyć tym sposobem prawdziwą katastrofę. Ministrowie zapobiegli jednak ostateczności, przyrzekając wytrwać po jego stronie, a gdy przybył z Paryża Bismarck i przyjął przewodnictwo w ministeryum, nie oglądając się bynajmniej na większość w izbie, lub na uchwalenie budżetu, rospoczęła się samowolna gospodarka z pominięciem organów reprezentacyjnych.

W tymże jeszcze roku, 1862-im, wystąpił Gneist z broszurą p. t. „Die Lage der preussischen Heeresorganisation am 29 Sept. 1862“, w której starał się wskazać sposoby uśmierzenia sporu, zadawalniające ambicye i pragnienia obu stron powaśnionych. Przedewszystkiem Gneist przekonywał, że sprawy powiększenia armii nie można uważać za zwykłą kwestyę budżetową, lecz że konieczną reformę wojska trzeba przeistoczyć w ustawę organiczną, skutkiem której i powiększony budżet wojskowy będzie musiał być przyjętym jako niezbędny i nieunikniony. Nie wolno jednak rządu pruskiego stawiać w pozycyi bez wyjścia innego, jak zaniedbanie obowiązku ogólnej służby wojskowej, lub zaniechanie trzechletniej służby pod chorągwiami. Do tego jednak dążyła izba poselska w r. 1862 i dlatego dziś jeszcze spotykają ją zarzuty, że, kierując się małoduszną formalistyką prawną i drobnemi jurydycznemi wątpliwościami, nie dostrzegła wielkiej doniosłości politycznej, tkwiącej w projekcie rządowym, i przeszkodziła z tego powodu odmłodzeniu się konstytucyi państwowej, pożądanemu dla wszystkich.

W 1863 roku spór parlamentarny przybrał jeszcze ostrzejszy charakter, i dopiero szczęśliwy przebieg wojny w Szlezwigu przekonał o dzielności bojowej samowolnie zreorganizowanej armii, usuwając tem samem na stronę wiele drobnych drażliwości i pretensyi. Ujrzano w przebiegu kampanii zaszczytnie spożytkowaną landwerę, jako część integralną armii polowej, a przytem trudno było mieć za złe rządowi, że nie szafował nadmiernie krwią ojców rodzin i oszczędzał landwerę, o ile tylko okoliczności na to pozwalały. Opinia też publiczna wyrugowała z siebie zmorę oppozycyjną w ciągu 1862—1866 roku, ale izba poselska wytrwała oporniej przy dawnych hasłach i nawet wobec rospoczętego szczęśliwie dzieła Zjednoczenia Niemiec uważano Bismarcka dopiero za respektu godną a nie za popularną osobistość. Bismarck jednakże, choć zobowiązał się prowadzić rządy bez poparcia większości i bez uchwalonego budżetu, w dobie tryumfu nie uległ odurzeniu i postanowił domagać się od izby poselskiej indemnizowania czyli uprawomocnienia kilkoletniej samowolnej gospodarki, choć sam król i niektórzy z ministrów odmiennego byli przekonania. Indemnizowanie uważały jedne stronnictwa za upokorzenie korony, inne za powrót do nieograniczonego prawa uchwalania budżetu; w rzeczywistości zaś było to tylko zrzeczenie się przez izbę poselską ewentualnego prawa pociągnięcia ministrów do odpowiedzialności za szafowanie pieniędzmi bez upoważnienia parlamentarnego, a o nic innego naówczas nie chodziło.

Gdy związek północno-niemiecki rospoczął swe istnienie, potrzeba stworzenia nowej ustawy wojskowej stawała się coraz widoczniejszą. Tymczasem zasady organiczne armii pruskiej wy-

dawały się nowym poddanym, przyzwyczajonym do lżejszej służby wojskowej, bardzo uciążliwemi, a nadto Waldeck przypomniał iżbie poselskiej, że organizacya armii pruskiej nigdy przez reprezentacyę kraju nie była przyjętą. Udało się wprawdzie Moltkemu pozyskać większość dla trzechletniej służby pod chorągwiami, a zarazem i dla kilku ważnych zasadniczych punktów, ale o uchwaleniu wieczystości (Aeternat) dla nowego prawa ani mowy być nie mogło i zaledwie zgodzono się na trwanie nowej reformy do 1871 roku. Budżet wojskowy określono zaś w ten sposób, że przyjęto ryczałtową sumę na utrzymanie armii czynnej (Pauschquantum), która powstała na mocy obliczenia, że każdy żołnierz kosztował rocznie 225 talarów, a więc cyfrę żołnierzy armii czynnej pomnożono przez kwotę reprezentującą utrzymanie jednego żołnierza.

W dniu 31 Grudnia 1871, jakkolwiek widmo „Aeternatu“ nie wywierało już tak wszechpotężnego wpływu, zadowolnił się jednak rząd uchwaleniem sumy ryczałtowej podług tego samego obliczenia, obowiązującej aż do 30 Grudnia 1874 r. Dopiero w 1874 r. opracowano nową ustawę organiczną dla wojska, podług której stan czynny armii w czasie pokoju miał wynosić 401,659 żołnierzy, ujętych w 469 batalionów, 465 szwadronów, 300 bateryi artyleryi polowej i t. d. i t. d. Rząd cesarstwa niemieckiego zapragnął, jak się tego spodziewać należało, aby stan czynny armii stał się częścią integralną konstytucyi państwowej i aby nie był zdany na łaskę rocznych uchwalań budżetowych. Tymczasem nadspodziewanie okazał się książę kanclerz przystępnym dla poglądów kompromisowych i uważał siedmioletnie normowanie armii czynnej za odpowiedne i możliwe. Gdy zaś siedmiolecie jedno upłynęło, zaproponował rząd związkowy z małemi modyfikacyami nowe siedmiolecie, co też i przyjętem zostało, wprawdzie dopiero przez nowo wybrany w r. 1887 parlament.

Przy nowych wyborach w r. 1890, duch oppozycyi zmężniał w parlamencie niemieckim, a tymczasem szybki wzrost armii francuskiej oraz armii innych mocarstw europejskich nakazywał odwołać się Cesarstwu do ofiarności i poświęcenia obywateli, aby ich skłonić do ponoszenia jeszcze większego ciężaru służby wojskowej.

W tej więc, jak widzimy, nieobiecującej sytuacyi, wziął początek projekt powiększenia armii, przedstawiony parlamentowi w r. 1892. Trafił on na czasy nieszczególne; przygnębienie ekonomiczne i rozdwojenie polityczne nie bardzo zachęcały do poddania się znaczniejszym ciężarom wojskowym. Na osłodzenie zaś rozgoryczenia powszechnego, rząd przyrzekł ograniczyć czas służby pod chorągwiami, jedynie dla piechoty, do lat dwóch, a dla ustawy wojskowej, powiększającej stan czynny do 571,000 głów, wymagał tylko pięciu lat mocy obowiązującej.

Najważniejsza różnica między projektami reformy wojskowej w r. 1862 i 1892 polega zdaniem Gneista na tem, że w r. 1862 nie było żadnej groźnej konstellacyi na horyzoncie politycznym i projekt sam nosił charakter czysto technicznego, w militarnem znaczeniu, środka. Obecnie zaś polityczne położenie zmieniło się zupełnie i szło też głównie o to, aby Niemcy utrzymały nadal raz zdobyte stanowisko pierwszorzędnego mocarstwa (Weltmacht). W tejże dobie posiadające klasy we Francyi przyjęły obowiązek ogólnej służby wojskowej, którego nawet Napoleon I przeprowadzić nie zdołał, i to przyjęły z tak niespodziewaną gotowością i ofiarnością, że mogą wytrzymać śmiało porównanie z podniesieniem się ducha obywatelskiego w Prusach r. 1813. Wszelkie też swary polityczne cichły we Francyi, żadne ofiary pieniężne nie były zbyt wielkiemi, gdy szło o wytworzenie silnej armii polowej, zdolnej urzeczywistnić pragnienie odwetu. Osiągnęła też Francya w r. 1889 cel najważniejszy, bo stworzyła armię, cokolwiek liczebnie większą od niemieckiej.

Właśnie w tejże samej dobie, wszystkie klasy społeczne w Niemczech ogarnęło przygnębienie; wszystkie zdają się być dotknięte poważnemi troskami ekonomicznemi, a tymczasem tylko wiara w to, że Niemcy są zdecydowane swą przewagę militarną podtrzymać nowemi ofiarami, stanowi wyłączną gwarancyę utrzymania pokoju w Europie. Gdyby odwołanie się rządu do patryotycznego ducha reprezentacyi okazało się daremnem, nie pozostawało-by rządom związkowym nic innego, jak rozwiązanie parlamentu i przedstawienie nowo wybranej reprezentacyi projektu wojskowego. Oppozycya nie lęka się wprawdzie powyższego środka, ale jej pewność siebie okazała się już w latach 1866 i 1887, zwodniczą. Niezawodnem jest tylko to, że pokój w Europie można uważać za utrwalony dopóty, dopóki Niemcy zdecydowane będą dla utrzymania swej przewagi militarnej ponosić nowe ofiary. Skłonności industryjnego społeczeństwa dążą ku rozbrojeniu ogólnemu. Niemcy jednak, skutkiem swego położenia geograficznego i politycznego, zmuszone są naśladować innych, ale wyrzec się na zawsze przodownictwa. Gdyby wszakże Francya chciała dać przykład w tym kierunku, żaden rząd Cesarstwa nie zdołałby powstrzymać Niemiec od naśladownictwa, a militarna technika znalazła-by łatwo odpowiednie sposoby i środki, zachowując podstawowy obowiązek ogólnej służby wojskowej.

Nie pomogły, jak wiadomo, subtelne i uczone wywody Gneista; nie pomógł nawet sarkazm, który cisnął dostatnim i wykształconym klasom niemieckim w słowach: „Francuzi zwykli tańczyć na Wezuwiuszu, a Niemcy spać na nim potrafią“. Rozwiązanie parlamentu, przewidywane przez Gneista, okazało się nieodzownem, a obecnie nowy parlament obraduje nad projektowaną ustawą wojskową, która stan czynny armii w czasie

pokoju ma podnieść blizko o 100,000 głów. Nie mając najmniejszej skłonności do proroczych jasnowdzeń lub wieszczych przepowiedni, muszę przyszłość ustawy wojskowej pozostawić jej tajemniczym choć blizkim losom. Natomiast pozwolę sobie jeszcze chwilę czasu zastanowić się nad ostatnią pracą słynnego uczonego niemieckiego, albowiem rozumowania w niej zawarte i myśli polityczne tamże wypowiedziane zasługują na obszerniejszy i bardziej wyczerpujący rozbiór, aniżeli ten, który podać jestem w możności.

Gneist spożytkował swą obszerną wiedzę i niezwykły rozum stanu, aby przekonać społeczeństwo niemieckie, a wraz z niem i wyborców, że nie powinno uchylać się od wymaganych przez rząd poświęceń w celu utrzymania przewagi militarnej cesarstwa. Przekonanie powyższe, poparte silną argumentacyą i zahartowane troską o przyszłość swego kraju, przynosi niewątpliwie zaszczyt charakterowi Gneista oraz wystawia chlubne świadectwo jego patryotyzmowi. Inaczej się jednak rzecz ma z zarzutami, czynionemi społeczeństwu rodzimemu. Podziwiając też przenikliwość umysłu oraz oryginalność obserwacyi Gneista, nie zawsze czuję się przekonanym jego poglądami. Dla uczonego tak gruntownego i dla męża stanu tak dojrzałego w służbie publicznej, oraz tak przewidującego, jak Gneist, mogło utrzymanie przewagi militarnej cesarstwa być celem, godnym wszelkich obywatelskich poświęceń. Dla reprezentacyi jednak narodowej, składającej się z przeciętnych śmiertelników, wyłącznym celem, mogącym sięgać po ostatni grosz w kalecie i po ostatnią kroplę krwi swych obrońców, było zjednoczenie Niemiec i stworzenie z miniaturowych państewek potężnego mocarstwa.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że subtelna a nieco naciągana argumentacya może arcymisternie zatrzeć wszelkie między obu celami różnice. Dla reprezentacyi narodowej nie na wiele się jednak przyda to kunsztowne polityczne przędziwo, imitujące dawną szkołę florencką. Pomawiane o egoizm, o małostkowość, o zanikanie obywatelskiego ducha, społeczeństwo niemieckie posiada prawdopodobnie dziś, jak przed 20-u laty, rzetelną miłość kraju i silne poczucie obowiązku, ale cel narodowych pragnień i marzeń został zdobyty. Niemcy zjednoczone, silne, poważane, istnieją i mają nawet sojuszników zabespieczających międzynarodowe stosunki. Przewaga militarna zaś jest pojęciem bardzo względnem; wobec dzisiejszych postępów i wynalazków wojennych, nie wiadomo gdzie się rozpoczyna, a gdzie kończy. Trudno też wymagać, aby, w imię tak niejasnych i mglistych zasad, reprezentacya kraju rozgorzała do tego stopnia, iżby wszelkie poświęcenia gotową była dla nich przyjąć za obowiązek nieodzowny.

Kilkakrotnie przez Gneista powtarzane twierdzenie, w którem kategorycznie oświadcza, że od przewagi militarnej Niemiec zależy utrzymanie pokoju w Europie, jakkolwiek mieści w sobie dużo słuszności, nie byłoby zdolne samo przez się wywrzeć na reprezentacyę państwową stanowczego wpływu. Wszelkie motywa, czerpane ze stosunków i prawa międzynarodowego, wtedy tylko mają dla społeczeństwa nieprzepartą siłę dowodową, gdy ich tłómaczem jest wielka klęska narodowa, a zwiastunem zagrożony byt kraju. Dlatego-to Francya po Sedanie zrozumiała szybko, że jej byt, odzyskanie dawnego stanowiska w koncercie europejskim, zawisły od niesłychanych i nieprzebranych poświęceń. Poniosła je ochoczo i ze zdumiewającem zaparciem się własnem, ale nie dla europejskiego pokoju, lecz dla ocalenia i dźwignięcia własnej ojczyzny.

Gneist chce tenże sam zapał i ofiarność, jakiemi Prusy rozgorzały w roku 1813, wywołać widmem międzynarodowego problematycznego niepokoju i pragnie powyższy cel osiągnąć w czasach, gdy Niemcy trzem zwycięskim kampaniom zawdzięczają zjednoczenie, a naród niemiecki może być słusznie dumnym z wojska i ufnym w swą bojową potęgę. Nawet gdyby Gneist zdołał dowieść, że przewaga militarna Niemiec jest niezbędna dla istnienia cesarstwa, czego, nawiasem mówiąc, nawet uczynić nie probował, to jeszcze i wówczas słowa jego przebrzmiały-by bez silniejszego wrażenia. Obojętności społeczeństwa niemieckiego nie można-by i wówczas z czystem sumieniem nazwać egoizmem. Czyż bowiem dzięki broszurze, napisanej tylko przez uczonego, ma się naród cały poddawać zwątpieniu i trwodze, gdy twórca jedności niemieckiej, ks. Bismarck, zapewniał niedawno, a dziś panujący cesarz potwierdzał jego zapewnienie, że Niemcy prócz Boga nikogo się bać nie potrzebują i nikogo się też nie boją? Wobec takich gwarancyi, a nadto wobec przymierzy, trudno w każdej nowo uformowanej kompanii piechoty, lub w każdym nowym szwadronie jazdy francuskiej, widzieć ostateczną zagładę cesarstwa niemieckiego, a jedyne ocalenie upatrywać w równej, lub nieco większej, liczbie żołnierza.

Naukowa strona pracy Gneista zasługuje niewątpliwie na wysokie uznanie; bogata wiedza okazuje niepospolitego erudyta, a rozumowanie logiczne i przenikliwe — statystę dojrzałego i rozważnego. Nadto polityczne uwagi, w studyum powyższem zawarte, są przeważnie wyborne i trafne. Ocenić je wszakże mogą tylko fachowi adepci politycznej nauki, którzy, ze względu na tendencyę, przebaczą chętnie autorowi jednostronne wywody i naciąganą gwoli danym celom politycznym argumentacyę. Główne jednak zadanie pracy Gneista, zmie-

rzające do upewnienia społeczeństwa i parlamentu niemieckiego o niezbędności poświęceń dla utrzymania przewagi militarnej cesarstwa, można uważać za chybione, bez względu na to, czy projektowana ustawa wojskowa będzie odrzuconą, lub przyjętą.

„Postępek prawa czartowskiego przeciw narodowi ludzkiemu." 1570. Wydał Dr Artur Benis. Kraków 1892. Wyd. Akad. Um.

W bibliotece XX. Czartoryskich znajdował się pod powyższym tytułem jedyny egzemplarz książki, która co do treści i formy wyjątkowe przedstawiała zjawisko w literaturze wieku XVI. Dr Benis poucza nas w przedmowie do przedruku, który zawdzięczamy jego staraniu, że książka, o której mowa, nie wyrosła na polskiej umysłowej glebie i nie jest utworem oryginalnym. Uważać ją raczej należy za echo literatury popularnej rzymsko-kanonicznego prawa, rozwiniętej bujnie w XIV i XV wieku, a dążącej do rospowszechnienia wśród nieuczonej ludności najważniejszych zasad i najpotrzebniejszych formalności oraz przepisów prawa powszechnego.

Zasadniczą treścią wszystkich opracowań i redakcyi tych „Postępków prawa czartowskiego" było przedstawienie procesu, prowadzonego z zachowaniem wszelkich drobiazgowych formalności prawnych, przez czarta przeciw ludziom, a toczącego się pośrednio lub bezpośrednio przed trybunałem niebieskim. Przedmiotem sporu było rozstrzygnięcie pretensyi czarta do panowania nad światem i ludźmi. Rospraw sądowa kończy się zawsze na niekorzyść czarta, bądź to za pośrednictwem zwykłego wyroku, bądź też w formie alegorycznej.

Do roku 1500 bibliografia wykazuje blizko 50 najrozmaitszych łacińskich i niemieckich drukowanych wydań „Processus Sathanae." Jednakże wobec nowych metod w traktowaniu kwestyi prawniczych stracił ów „Processus Sathanae" wkrótce wszelkie znaczenie, a w drugiej połowie XVI wieku, to jest w czasie, do którego odnieść należy powstanie polskiej przeróbki, był już w zachodniej Europie zupełnie zapomniany.

Polski „Postępek prawa czartowskiego" nie jest ani tłómaczeniem, ani parafrazą tekstu łacińskiego. Nieznany autor przerobił cały materyał w ten sposób, iż pokompilował rozmaite, z rozmaitych czasów pochodzące, redakcye powyższego podania; stronę prawniczą usunął na ostatni plan, rosprawie sądowej nadał charakter dysputy o treści etycznej, a rzecz całą ożywił nader udatnem ujęciem w formę dramaty-

czną. Część trzecia „Postępku", nie bardzo spoiście z poprzedniemi złączona, datuje się z daleko nowszych czasów. Zewnętrzny układ końcowych rozdziałów i ich charakterystyczne znaczenie, jak np. pojęcie czarta jako symbolu samolubnych popędów duszy ludzkiej, zaczerpnięte są, zdaniem Dra Benisa, z niemieckiego protestanckiego dzieła p. t. „Theatrum diabolorum i t. d." wydanego we Frankfurcie w r. 1569. Wzięty jest stamtąd mianowicie pomysł personifikacyi czartów i tendencya moralizatorska, choć opracowanie stylistyczne zupełnie jest inne.

Samodzielna praca autora polskiego polega nietylko na językowem opracowaniu i urozmaiceniu opowiadania rozlicznemi anegdotami, wyjętemi ze źródeł średniowiecznych, ale głównie i na tem, że są tu uwzględnione w bardzo rozległej mierze polskie współczesne stosunki obyczajowe, np. zabobony, gusła i przesądy. W treściwej przedmowie dał Dr Benis czytelnikowi wszelkie potrzebne wyjaśnienia przygotowawcze. Sam „Postępek" wszakże jest interesującym i, prócz wielu sentencyi głęboko etycznych, zawiera ustępy szczerego i naiwnego komizmu. Gdy np. św. Michał daje czartom po łacinie replikę, Belial czart oświadcza mu: „Nie rozumiem po łacinie, mów ludzkim językiem." Na to zaś św. Michał: „A toś, czarcie, mówił niedawno macaronice, zdawając Adama in prima instantia i t. d." W innem miejscu znowu Harab, czart, myśliwiec jednooki, który myśliwce ze psy sprawuje, podburza afekty szlacheckie w następujący sposób: „Bądź prawym szlachcicem, chowaj myślistwo, chowaj ptaki, psy, myśliwce, strzelce, konie po temu, bębny, sowę dla wron, jedź na pole z nimi. Teraz dobry czas, chocia niedziela, nie zając ci kościół, nie ucieczeć, a zwierz ubieży." Jeśli zaś kto ciekawy dowiedzieć się, dlaczego Harab jest jednookim, to znajdzie wyjaśnienie następujące: „jedno oko (Harabowie) stracili, którem do nieba patrzą, a to zostawili, co do piekła patrzy." Z „Postępku czartowskiego" dowiadujemy się, jak liczną drużynę swych wiernych sług wysłał Lucyper na łów do Polski. Znajdują się w tej liczbie ciekawe przezwiska, jak np. Strojnat, Dymek, Szczebiot, Odmieniec, Wiłkołek, Dyngus i t. p. Śród tego doszukać się można w „Postępku" wielu ciekawych wyrażeń, np.: listy wierzące, zamiast wierzytelne, obywacze, zamiast obywatele i t. p. Jednem słowem, książeczka, przedrukowana i objaśniona starannie przez Dra Benisa, jest ze wszech miar ciekawą i winniśmy mu wdzięczność za jej uprzystępnienie.

A. Rembowski.

Dr. Alfred Pribram: „Oesterreichische Vermittelungs-Politik im polnisch-russischen Kriege 1654—1660". Z „Archiv für oestereichische Geschichte", tom 75. Odbitka, Wiedeń, r. 1889.

Autor wymienionej w tytule monografii, profesor dziejów wszechnicy wiedeńskiej, wydał w r. 1866 bardzo ważne „Raporta posła cesarskiego Franciszka Lisoli z lat 1655—1660", które stanowią nieoszacowane źródło do dziejów Polski owej epoki i już też zostały należycie uwzględnione w znakomitej monografii p. Korzona o „Kondeuszu W." („Biblioteka Warszawska" 1892, zeszyt lipcowy), w gruntownej pracy „Szczęśliwy rok" p. W. Czermaka („Przegląd Polski," 1886—1893) i t. d. Niejako dopełnieniem wymienionej publikacyi jest, oparty również na raportach poselskich, szkic dyplomatycznego pośrednictwa dworu wiedeńskiego w polsko-rossyjskiej wojnie od r. 1654 do 1660. Pominąć możemy, dostatecznie znane, dawniejsze stosunki dyplomatyczne pomiędzy dworami wiedeńskim a moskiewskim, które p. Pribram wykłada we wstępie do swej pracy. Nie będziemy się też sprzeczać z autorem o tendencyę: chodzi jemu o to, aby dowieść, że pośrednictwo austryackie ostatecznie nie było całkiem jałowem, gdy rzeczywiście pomyślny obrót na polu wojny r. 1660, tak na Litwie, jako też na Ukranie, o wiele więcej zaciężył na szali, aniżeli wszelkie sztuczki dyplomatyczne. Mniejsza jednak o tendencyę. Nam chodzi o fakta, zaczerpnięte przez autora z tajnego archiwum wiedeńskiego.

Jak wiadomo, na wielkiej radzie 16 stycznia r. 1654 postanowiła cała Kozaczyzna z Chmielnickim na czele poddać się pod opiekę cara Na wiosnę dwa wielkie wojska rossyjskie wkroczyły do granic Rzeczypospolitej: pierwsze, pod dowództwem samego cara Aleksego i kniazia Czerkawskiego, do Litwy, drugie, pod dowództwem Trubeckiego, na Małoruś. W jesieni tegoż roku zjawiają się w Wiedniu posłowie rossyjscy: Iwan Iwanowicz Baklanowski i Iwan Michajłow z listem cara, datowanym z 17 maja, wyłuszczającym powody wydania wojny Janowi Kazimierzowi i proszącym ces. Ferdynanda III o przestrzeganie ścisłej neutralności. Posłuchanie posłów odbyło się 17 października. W dwa dni potem wicekanclerz, hrabia Ferdynand Khurtz, i hr. Nostitz rozpoczęli rokowania z posłami rossyjskimi. Ci podnosili, że, wbrew pokojowi z r. 1634 (w Polanówce), Jan Kazimierz odmawiał carowi właściwych tytułów, znieważał dwór jego i zawarł sojusz z dziedzicznym wrogiem chrześciaństwa, chanem krymskiej ordy, wreszcie domagali się, aby cesarz odmówił Polsce wszelkiej pomocy. Komisarze cesarscy ubolewali nad wybuchem wojny i ofiarowali pośrednictwo cesarza. Z odnośnem pismem Ferdynanda III z 4 listopada posłowie rossyjscy w kilka dni potem opuścili Wiedeń. Z drugiej strony, według

zapewnienia nuncyusza w Wiedniu, arcybiskupa pizańskiego (z 31 października), także dwór polski życzył sobie pośrednictwa cesarskiego, zwłaszcza gdy w marcu r. 1655 najazd szwedzki nie ulegał wątpliwości (Rudawski 202, Lisola 18 i nast.).

Dopiero 18 czerwca r. 1655 posłowie cesarscy do Moskwy: Allegretto Allegretti i Teodor Lorbach, otrzymali sekretną instrukcyę, aby w razie przyjęcia pośrednictwa cesarza układali się jedynie co do czasu i miejsca konferencyi, ale pod żadnym warunkiem nie przyjmowali w imieniu dworu cesarskiego żadnych zobowiązań. Wskutek wycieńczenia swego państwa po wojnie 30-letniej, zupełnych pustek w skarbie i ciągle grożącaj od strony Francyi wojny, cesarz Ferdynand III pragnął koniecznie uniknąć wszelkiej interwencyi czynnej, ale dlatego też pośrednictwo jego dyplomatyczne traciło wszelką doniosłość. Posłowie cesarscy 17 października r. 1655 stanęli w Moskwie, dopiero w grudniu rospoczęły się rokowania; wreszcie 18 stycznia 1656 stanęło na tem, że konferencye pokojowe odbędą się w Moskwie 1 maja r. 1656. Na życzenie cara Aleksego, cesarz miał zaproponować Janowi Kazimierzowi obesłanie konferencyi. Na pozór był to sukces cesarza, zwłaszcza, że na kilka miesięcy przedtem dwór moskiewski był odrzucił pośrednictwo elektora brandenburskiego. Atoli ten zwrot w polityce rossyjskiej tłómaczy się po prostu zdumiewającemi sukcesami Karola Gustawa, które także w Moskwie zbudzić musiały szczere obawy.

To też car Aleksy nie tylko przystawał na zawarcie pokoju z Polską, ale nadto pragnął wciągnąć do ligi przeciwko Szwedom cesarza (list Aleksego z 6 stycznia r. 1556, oddany cesarzowi przez posła rossyjskiego Grzegorza Bogdanowa). Za taką ligą, do której należało-by wciągnąć także Danię, Holandyę i Brandenburgię, przemawiał gorliwie Lisola (raport z 19 marca r. 1656), natomiast ministrowie cesarscy, Auersperg i Khurtz, zawsze ostrożni, radzili poprzestać na pośrednictwie dyplomatycznem, zaprosić króla Jana Kazimierza do mianowania komisarzy pokojowych i odpowiedzieć carowi, że skoro Bogdanow nie umiał wyłożyć dalszych zamysłów Rossyi, to cesarz także nie może wyłuszczyć swoich zamiarów. W tym duchu ułożono instrukcyę dla posłów ces. w Moskwie (28 marca). Tymczasem w Moskwie coraz więcej wzmagała się niechęć do Szwedów; Jan Kazimierz 10 stycznia w liście do cara oświadczył gotowość zawarcia pokoju; na wiosnę zaś, stosownie do propozycyi Ferdynanda, wysłał do Moskwy pełnomocnika i zgodzono się na zwołanie konferencyi do Wilna na 1 maja r. 1656. Rospoczęły się one dopiero 22-go sierpnia (we wsi Niemieży pod Wilnem). Jak wiadomo, posłowie rossyjscy żądali obrania cara Aleksego królem po śmierci Jana Kazimierza, a tymczasem uzna-

nia go jako protektora Rzeczypospolitej. Pośrednicy austryaccy opierali się tej kombinacyi. Według raportu Allegrettego z 2 września 1656 roku, nie zupełnie zgodnego ze sprawozdaniem Trzebickiego (w dziele Des Noyers'a I. 286), na stanowcze protestatcye posłów rakuskich przeciwko obiorowi cara Aleksego następcą Jana Kazimierza komisarze polscy (wojewoda Krasiński, w. marsz. lit. Krysztof Zawisza i t. d.) odpowiadali, że i oni nie biorą tego na seryo, ale sądzą, że można-by carowi robić pewne nadzieje, aby ułatwić zawarcie pokoju; później nie zabraknie pretekstu do unieważnienia takiego zobowiązania. Jeżeli relacya Allegrettego jest zgodna z prawdą, dowodziło-by to, że komisarze polscy byli zręczniejszymi dyplomatami, niż austryaccy. W każdym razie ci staczali namiętne walki z rossyjskimi. Pomiędzy Allegrettym a Labanem wywiązała się tak ostra sprzeczka, że pierwszy nie chciał więcej dyskutować z wymienionym komisarzem rossyjskim. Gdy komisarze polscy w zasadzie przystawali na propozycyę rossyjskich, ale podnosili konieczność, aby król był katolikiem, mieszkał w kraju i zatwierdził przywileje szlachty, rossyjscy zaś, nie wdając się w szczegóły, odpowiedzieli, że car spełni wszystkie warunki, pośrednicy austryaccy bardzo się zlękli. „Pokój przyjdzie do skutku—donosi Allegretti 8 września—ale na wielką szkodę chrześciaństwa i Królestwa Polskiego, jeżeli Polacy przyjmą warunki rossyjskie“. Równocześnie twierdził, że komisarze polscy, pomimo wszelkich zabiegów cesarskich, przystaną na owe warunki.

Powstały jednak nowe trudności. Komisarze rossyjscy domagali się całej Litwy; polscy grozili wyjazdem, następnie proponowali odstąpienie części Siewierza (60 mil obwodu), na co znowu oburzali się rossyjscy, chociaż, wskutek usiłowań pośredników austryackich, przyrzekli przesłać carowi Aleksemu nową propozycyę, dotyczącą odstąpienia Siewierza i Smoleńska. Atoli ponownie wysunęli kwestyę elekcyi. Posłowie austryaccy znowu stanowczo opierali się obradom nad tą kwestyą. Nie zważając na to, posłowie rossyjscy wręczyli polskim nową, więcej umiarkowaną, propozycyę, aby car na najbliższym sejmie, zgodnie z prawami krajowemi, był obrany królem i koronowany za życia Jana Kazimierza (Raport Allegrettego z 7 października). Gdy komisarze polscy oświadczyli gotowość dyskutowania o tej propozycyi, rossyjscy żądali, aby się to działo w nieobecności Allegrettego. Poseł cesarski oświadczył wprawdzie, że natychmiast wyjedzie, jeśli nie będzie przypuszczonym do obrad nad sukcesyą, jednakże na następnych zebraniach komisarzy polskich i rossyjskich stanęła ugoda z zastrzeżeniem zasięgnięcia nowych instrukcyi od króla. Odpowiedź bawiącego w Łęczycy Jana Kazimierza z 3 października w zasadzie przystawała na umowę, odkładając jej zatwierdzenie do sejmu.

Na wymówki Allegrettego komisarze polscy odpowiadali, że położenie państwa koniecznie wymaga zawarcia rozejmu z Rossyą. Pomimo układów w Warszawie i Wiedniu, nie był jeszcze zawarty sojusz Rzeczypospolitej z Austryą. Dania, po bitwie pod Warszawą, wahała się zrywać ze Szwedem, Hollandya porozumiewała się z nim traktatem elbląskim z 1/11 września 1656, elektor był jego sprzymierzeńcem, związki Karola Gustawa z Anglią i Francyą stawały się coraz ściślejszemi, a nadto świeżo pozyskał on Rakoczego (w listopadzie). Zważywszy nadto, że równocześnie toczyły się układy pomiędzy królem szwedzkim a dworem moskiewskim, teoretyczne przyzwolenie Jana Kazimierza na propozycye rossyjskie staje się zrozumiałem. Na podstawie pisma królewskiego z 3 października, stanęła wreszcie 3-go listopada ugoda. Car na najbliższym sejmie miał być obrany królem, koronowanym zaś dopiero po śmierci Jana Kazimierza, aż do decyzyi sejmu miał trwać rozejm; obaj monarchowie obowiązywali się zaraz po elekcyi Aleksego rospocząć układy względem zjednoczenia kościoła greckiego i rzymskiego. Car zobowiązywał się rospocząć walkę ze Szwedem i nie kończyć jej bez porozumienia się z Polską.

W tych ostatnich rokowaniach pośrednicy cesarscy nie brali prawie żadnego udziału. Jakkolwiek komisarze polscy wytykali im, że według oświadczeń rezydenta Ferdynanda III u dworu warszawskiego nie można wcale wątpić o tem, że cesarz pochwala zachowanie się Jana Kazimierza, Allegretti sprzeciwiał się wszelkim ustępstwom w kwestyi sukcesyi, wiedział bowiem, że chociaż cesarz w liście z 9 września 1656 do Fragsteina w Warszawie gorąco zalecał królowi polskiemu ugodę z Rossyą, nie myślał wcale popierać elekcyi cara Aleksego na króla polskiego. Owszem, w instrukcyi do swych pośredników z 11 listopada 1656 r. zalecał im w tej kwestyi zupełną bierność i wykazywał niebezpieczeństwo, jakie-by groziło Austryi od złączenia Polski z Rossyą. „Jeżeli pomimo tego—robi uwagę autor—cesarz sądził, że Jan Kazimierz, aby się wydobyć z trudnego położenia, może przystać na obiór cara następcą tronu, to jedynie dla tego, ponieważ był przekonany, że Jan Kazimierz nie bierze tego na seryo, i że tylko bardzo drobna część narodu zgodzi się na elekcyę akatolika, tudzież dlatego, ponieważ, ze względu na licznych stronników Austryi śród duchowieństwa i szlachty, mógł być pewnym, że przeprowadzeniu tego projektu zdoła przeszkodzić". Aby sobie zastrzedz tę możliwość na przyszłość, należało nie popierać projektu na kongresie wileńskiem. Tak też postępowali pośrednicy cesarscy. „Nie może więc być mowy o tem, aby tam popierali plany rossyjskie. Niezadowolnienie, z jakiem komisarze Aleksieja wyrażali się o czynności Allegrettego, dostatecznie świadczy, że dwór moskiewski należycie oceniał zachowanie się dworu wie-

deńskiego“ (str. 31). Sam zresztą Lorbach w liście z 29 lutego swą misyę nazywa chybioną i przewiduje, że Rossya na przyszłość nie dopuści pośrednictwa austryackiego.

Tenże jednak Lorbach w marcu r. 1657 ponownie miał wyruszyć do Moskwy celem zachęcenia cara Aleksego do ścisłego obstawania przy rozejmie i usprawiedliwienia zwłoki w zwołaniu sejmu polskiego najazdem Szwedów i Rakoczego i t. d. (Instrukcya z 12 marca); tymczasem jednak Ferdynand III umarł (2 kwietnia 1657), a następca jego, Leopold, natychmiast zdecydował się do czynnego udziału w wojnie polsko-szwedzkiej. Już 27 maja stanęła ugoda z posłami polskimi (Janem Leszczyńskim, wojewodą poznańskim, i Wielopolskim, kasztelanem wojnickim); wódz wojsk ces. na Szląsku, Melchior hr. Hatzfeld, otrzymał rozkaz wkroczenia do Polski; wysłani: do Danii baron Goess, do Hagi Friquet, do Kozaków Parcewicz, do Moskwy dawny rezydent ces. w Warszawie, Fragstein, i Krysztof Bewern von der Binne. Gdy jeszcze instrukcya dla Lorbacha zalecała unikać starannie wszelkich pozorów, jakoby cesarz był gotów zawrzeć z Rossyą sojusz przeciwko Szwedom, nowi posłowie otrzymali roskaz przyjęcia wszelkich odnośnych propozycyi do wiadomości i przesłania ich do Wiednia. Poselstwu cesarskiemu jednak nie szczęściło się. Gdy Fragstein po trudnej przeprawie w lutym r. 1658 stanął w Moskwie, zastał tam sytuacyę zmienioną. Dwór rossyjski, oburzony z powodu zwłoki w zwołaniu sejmu polskiego, dowiedziawszy się o zawartym pomiędzy cesarzem a Rzecząpospolitą traktacie, podejrzewał pierwszego, że tem skuteczniej opierać się będzie elekcyi. Pomimo więc na pozór okazałego przyjęcia, jakiego poseł cesarski dostąpił w Moskwie 4 lutego, z każdego pytania cara przebijała podejrzliwość względem zamiarów Leopolda. (Raport Fragsteina z 25 lutego 1658 r.). Wyraźniej rossyjscy dyplomaci w rozmowach z posłem elektora brandenburskiego Borretinem wypowiadali domysł, że Leopold pragnie korony polskiej dla siebie lub swego domu (porównać: F. Hirsch. „Die ersten Anknüpfungen zwischen Brandenburg u. Russland“, Berlin 1885 i 1886). To też już 2 marca odbyła się audencya pożegnalna Fragsteina, którego misya skończyła się na tem, że otrzymał od cara Aleksego list do Leopolda, przepełniony wyrzutami, że skutkiem wpływów cesarskich Polacy nie dotrzymali umowy wileńskiej (co do elekcyi), odrzucający wprost dalszą medyacyę cesarza i nie wspominający wcale o zawarciu sojuszu z Austryą (list datowany z 23 marca 1658).

W Wiedniu wprawdzie list ten wywołał przykre wrażenie, bo dwór cesarski pragnął raczej sojuszu Polski z Rossyą, niż ze Szwecyą, i teraz jednak obstawał przy swoim oporze przeciwko wyniesieniu cara Aleksego na tron polski. Jakoż poseł rakuski w Warszawie, baron

Lisola, 24 kwietnia otrzymał instrukcyę, aby skłaniał rząd polski do porozumienia się z Rossyą, bez uczynienia obowiązującego przyrzeczenia w kwestyi sukcesyi. Lisola otrzymał tę instrukcyę w chwili, kiedy tak francuski poseł de Lumbres w imieniu Karola Gustawa, jako też moskiewski w imieniu cara Aleksego stawiali ultimatum. Poseł cesarski starał się usilnie przeszkodzić ugodzie ze Szwecyą; przedstawiał on dworowi polskiemu, że propozycye Szweda zmierzają jedynie do tego, aby poróżnić Polskę z Rossyą, następnie napaść tem skuteczniej na pierwszą (raport z 10 kwietnia); natomiast zalecał użyć wobec Rosyi wybiegu, że walny sejm elekcyjny będzie się mógł zebrać dopiero po zupełnem wyparciu Szwedów z Prus i Inflant. Jakoż rzeczywiście rospoczęły się ponowne rokowania w Wilnie (pomiędzy kniaziami Odojewskim, Szeremetjewem, Wołkońskim a Zawiszą, biskupem wileńskim, we wrześniu). Oczywiście dwór wiedeński gorąco pragnął udziału w tych naradach i wyznaczył, jako swego komisarza, Fragsteina. Ponieważ jednak car Aleksy był oświadczył, że, w razie przybycia posła cesarskiego, natychmiast odwoła swych komisarzy, trzeba było zaniechać wysłania Fragsteina. Nie dopisał także trochę awanturniczy pomysł Lisoli, aby wymienionego powyżej Bewerna von der Binne w przebraniu towarzysza komisarzy polskich wysłać do Wilna. Ostatecznie posłowie cesarscy poprzestali na przyrzeczeniu kanclerza Prażmowskiego, że uwiadomi ich o ewentualnej umowie, zanim ona zostanie zatwierdzona (raport Bewerna z 12 września).

Tymczasem w Wiedniu odegrała się komedyjka dyplomatyczna. Tam na początku września zjawili się posłowie cara Aleksego: Jakób Mikiticz Elizarow[1]) i Iwan Peskow, którzy, wyjechawszy z Moskwy w kwietniu r. 1658, nie wiedzieli jeszcze o nagłym zwrocie w polityce rossyjskiej (przeciwko Polsce i za sojuszem ze Szwedami), o którym doskonale wiedział rząd wiedeński. Posłowie rossyjscy na pierwszem posłuchaniu 23 października podnosili dawny zarzut, że cesarz jest odpowiedzialny za opór, stawiany w Polsce elekcyi cara Aleksieja, i żądali ścisłej deklaracyi, jakby można ten opór przezwyciężyć. Wicekanclerz, Khurtz, usilnie starał się usprawiedliwić zachowanie się dworu cesarskiego i ponownie zaproponował medyacyę cesarską. Nie uwiadomieni o zwrocie w polityce swego dworu posłowie oświadczyli, że rząd carski chętnie kontynuować będzie rokowania wileńskie. Hr. Khurtz śpiesznie oświadczył, że zatem widocznie car Aleksy równie

[1]) Nazywał on się właściwie Licharew, ale w drodze do Wiednia za zezwoleniem swego rządu zmienił nazwisko. Porównać: „Pamiętniki dyplomatycznych stosunków Rossyi“, wydawane przez histor. towarzystwo petersburskie, III, 770.

chętnie przyjmie pośrednictwo Leopolda, jak przyjął dawniej medyacyę Ferdynanda III. Zaskoczeni z nienacka posłowie rossyjscy odpowiedzieli, że to rozumie się samo przez się, że car pragnie zgody z Polską i zawsze jest stanowczym przeciwnikiem Szwedów. Natychmiast ministrowie cesarscy wygotowali odpowiedź do cara (24 października), w której, zgodnie z życzeniem posłów rossyjskich, użyli tytułu „Ces. Mość“ (Majestaet) i zaznaczyli, że medyacya cesarska została przez nich przyjęta. Równocześnie Lisola otrzymał instrukcyę, aby także królowi polskiemu ofiarował medyacyę cesarską; „bo z każdym dniem wyraźniej pojmujemy, ze trwały pokój ze Szwecyą jest niemożliwy, jeżeli przedtem nie pogodzi się Polska z Rossyą“ (8 listopada 1658).

Radość ministrów cesarskich trwała bardzo krótko. Od Lisoli nadeszły depesze, zapowiadające blizkie zerwanie konferencyi wileńskiej, (stało się to 29 października). Posłowie zaś carscy, czy to uwiadomieni nareszcie o nowej polityce swego dworu, czy też pomiarkowawszy sami, że posunęli się za daleko, wzbraniali się przyjąć list cesarza, który stwierdzał, że przyjęli medyacyę cesarza, nadto rospoczęli ponowne targi o tytuł, wreszcie 12 grudnia opuścili Wiedeń. Komedyjka więc dyplomatyczna z 23 października na nic się nie przydała. Na domiar także w Polsce coraz bardziej wzmagał się wstręt do medyacyi cesarza i to częścią wskutek przewagi wpływów francuskich, częścią wskutek gorszącego zachowania się wojsk cesarskich. Na kongresie w Oliwie posłowie cesarscy nie zdołali już zająć pozycyi wpływowej.

Tak więc medyacya cesarska w zatargach polsko-rossyjskich nie powiodła się wcale. Autor trafnie winę za to niepowodzenie składa na chwiejność i zbytnią ostrożność dworu cesarskiego: gdyby Ferdynand III na początku r. 1657, zamiast poprzestać na dyplomatycznem pośrednictwie, był, jak radził Lisola, stanął zbrojnie na czele ligi przeciwko Szwedom, dwór cesarski byłby potem wywierał całkiem inny wpływ na wypadki. W każdym razie, z przytoczonych faktów wynika bardzo jasno, że, chociaż dwór wiedeński nie ubiegał się bynajmniej o spuściznę po Janie Kazimierzu, jednak systematycznie opierał się oddaniu jej carowi Aleksemu.

E. L.

Marya Konopnicka. „Na drodze“. Nowele i obrazki.

Ze zbiorku mniejszych utworów, jakie Konopnicka niedawno w świat puściła, najlepszą pracą wydaje mi się opowiadanie o „Naszej szkapie“. Autorka oparła opowiadanie to na najtrudniejszym, bo banalnym temacie. Matka leży chora w izbie od wielu już miesięcy, na świecie zima i zarobku niema, ojciec więc ponury i bezradny, a dzieciaki głodne; zaczyna się powoli wyprzedawanie wszystkiego z izby, od rzeczy użytecznych tylko aż do różnych klejnotów rodzinnych, jak rondla miedzianego i mosiężnego żelazka, aż i wreszcie do żywicielki i karmicielki rodziny — szkapy starej i ślepej, ale mocnej i poczciwej. Kończy się zaś to śmiercią matki i jej pogrzebem.

Nie potrzebuję przypominać, ile razy już takiemi tematami kolatano do współczucia czytelnika, ile razy rostaczano przed nim życiową nędzę ubóstwa w naiwnem przypuszczeniu, że sam fakt głodu, zimna i niedostatku jest już gotowym artystą, który potrafi mówić z sercem czytelnika i łzę stamtąd wydobyć. Najczęściej jednak czytelnik jest rozsądniejszym od wyobrażenia, jakie ma o nim taki autor, i rozróżnia wrażenie artystyczne współczucia, które w nim tylko talent wzbudzić potrafii, od wrażenia prostego, życiowego, ciężkiego smutku, który dla tego tylko wzrusza, że jest autentyczny.

To też taki kawałek smutnego życia, jakiśmy w skróceniu podali, tylko pod ręką prawdziwego artysty,—i, co większa, artysty, już mniej lub więcej dojrzałego i znającego rzemiosło swoje,—w dzieło sztuki zamienić się może. I warto doprawdy się przyjrzeć, w jaki sposób poczyna sobie w tym trudnym razie Konopnicka.

W izbie, o której mowa, jest trzech chłopaków: Wicek, Felek i Piotruś. Nie posiadają oni dostatecznie odrębnej fizyonomii każdy— co też i za błąd poczytujemy — ale młodość od nich aż bije. Pełno ruchu i żywości w ich drobnych ciałkach, pełno śmiechu na ustach i niefrasobliwości w głowach. I pełno też tego wszystkiego w tej izbie, gdzie matka umiera a ojciec rospacza. Autorka się tylko chłopakami zajmuje, śledzi ich figle, słucha rozmów i notuje pilnie każde wrażenie, jakie czyni na dzieciach sprzedaż mebli i sprzętów, jednych po drugich...

Chłopcy ani pojmują ciężkiej tragedyi, jaka się dzieje w tej samej izbie, w której oni bawią się w „chowanego“. I stąd ten przedziwny efekt artystyczny: obraz pełen niedoli ponurej artystka maluje od początku do końca niemal barwami jasnemi, utrzymując ciągle ton wesoły i pogodny.

Zobaczmy bliżej nieco, jak to wygląda. Oto z kolei „handlowi“ ojciec sprzedał szafę. To „odkryło nam nowe widoki; przykucnęliśmy tedy

śród nagromadzonych tam śmieci i rozpoczęły się poszukiwania. Felek znalazł guzik blaszany, który sobie zaraz na rękawie przyszył, a ja wygrzebałem patykiem ze szpary dużą, zardzewiałą igłę, oraz bożą krówkę z podkurczonemi pod siebie nóżkami i wyszczerbionem skrzydełkiem. Natychmiast zaczęliśmy na nią chuchać, ale była zdechła".

W ten sposób Konopnicka zawiadamia czytelnika o fakcie, że bieda we znaki się dawała coraz bardziej.

Wyprzedawanie izby bawi chłopaków coraz bardziej. Gdy żyd kupił cztery krzesła, a tylko dwa unieść mógł, to Wicek i Felek pomogli mu i z uciechą wielką nieśli je na głowie przez ulicę, a na Sewerynowie tak w nie bębnić zaczęli, że lud się zlatywał, bo myślał, że to pajace sztuki pokazywać będą. Za niesienie to dał im żyd — po orzechu; Felka orzech był dziurawy co prawda, ale za to gwizdał na nim przez cały dzień.

Rozochocone tem wyprzedawaniem chłopaki same się oglądały po izbie, co-by jeszcze wynieść.

— A rondel, proszę ojca! A moździerz! A żelazko!

Projekt ten podał Felek.

„Struchleliśmy, słuchając. Rondel, moździerz i żelazko—to były niemal klejnoty rodzinne. Na półce wprost drzwi ustawione, błyszczały olśniewające, złote prawie. Środkowe miejsce zajmował rondel. Jak zapamiętać mogę, nigdym nie widział, żeby się w tym rondlu co gotowało. Było-by to profanacyą poprostu. Co sobota wszakże czyściła go matka cegłą lub popiołem, i tak świecący stał z wystawionem na izbę uchem, błyskając w same oczy, gdy się do stancyi wchodziło. Przy nim stał moździerz z tłuczkiem z jednej strony, a żelazko z drugiej. Moździerz był rówieśnikiem moim. Kupił go ojciec, gdym na świat przyszedł, aby matkę uradować i dobre jej serce za syna okazać. Żadnego wszakże z jednolatków moich w podwórzu, ba, na całej ulicy, nie szanowałem tak, jak szanowałem ten moździerz. Matka zdejmowała go raz do roku tylko w Wielki Piątek, aby w nim tłuc cynamon do wielkanocnego placka. Wtedy-to zwykle powtarzało się to opowiadanie, w którem ja i moździerz byliśmy bohaterami".

Trudno więc trochę było rozstać się z tym moździerzem i rondlem. Ojciec kożuch naprzód swój sprzedał, „bo taki bestya był ciężki", i inne rzeczy poszły, ale w końcu i na rondel kolej przyszła.

„Wyleciałem jak oparzony, trzymając czapkę w garści — opowiada Wicek.—W sieni spotkałem Felka.

— Słysz ty—krzyknąłem mu w ucho.—I rondel, i moździerz, i żelazko, wszystko ci het przedajem.

— Siarczyste!—rozśmiał się Felek.

Zaraz też we dwóch polecieliśmy do maglarki na Szczyglą, bo Felek ambitny był i nigdy mi o włos przed sobą nie dał.

Ale maglarka nie chciała kupić rondla; powiedziała, że jej niepotrzebny.

— „Dzisz babę!—krzyknął Felek.—Rondel jej niepotrzebny. Taki rondel jak nasz, i jej niepotrzebny".

Takiemi środkami maluje Konopnicka biedę domową wyrobniczej rodziny. Niema tu ani jednego żałośliwego zwrotu, ani jednego słowa narzekania, nic, coby współczucie czytelnika wymuszało w sposób widoczny.

A jednak efekt nie chybia. Można to czytać wszystko z uśmiechem nawet na ustach, a tymczasem litość wkrada się do serca w sposób niedostrzeżony, tak, że czytelnik nie może nawet pomyśleć o obronie przeciw temu najściu — i oto znajduje się on w środku tej rodziny i współczuje jej nędzę, i przywiązuje się do tych ludzi i do ich sprzętów—i żal mu rondla, że musi pójść z tej izby do rąk żydowskich.

Jest to smutny obraz. Już teraz te uśmiechy nie wyprowadzą nikogo na manowce, bo z wielką sztuką pisarską rozłożone są po obrazie. I nie przeszkodzą też wtedy, kiedy na obraz swój artystka chce wlać trochę światła prawdziwie słonecznego, trochę jasności nie zmąconej i czystej. Oto w opróżnionym kufrze ojcowskim została jeszcze harmonijka. Pewnego razu bierze ją ojciec w rękę, siada na matczynem łóżku i grać zaczyna:

— Pamiętasz, Anulu, Bielany? Pamiętasz, jak to my się poznali? Jakem ci to przygrywał idący?

— Pamiętam, serce,—rzekła matka z cicha.

— Albo to?... To ci było w Trójcę, na odpuście na Solcu... Miałaś wtedy różową w kratkę suknię i okrutnie mi potem bez ciebie się cniło... A to?

— Tego nie wiem...

— Jak nie wiesz?... To przecie było na Woli, co my to ze szwagrem poszli, com to kuflem cisnął w tego Niemca, że się do ciebie przysiadł....

Tymczasem mróz trzymał ciągle i bieda też trzymała. Przyszło się rozstać i ze szkapą. Ta szkapa może trochę za późno do opowiadania wchodzi, jak na osobę tak ważną. Kompozycyjne to uchybienie wynagrodziła przecież artystka sowicie, wlewając dużo serdecznego światła w stosunek poczciwej szkapy, co jedno oko ma ślepe a „drugie takie ci świdrujące" do trojga chłopaków. Drobne scenki, jakich tu pełno, są wszystkie niezmiernie żywe i plastyczne, a pojenie szkapy posiada kilka szczegółów, które pamięta się długo po zamknięciu książki.

Obrazek ten zakończony jest pogrzebem matki. Kum dorożkarz, co przed tą śmiercią jeszcze szkapę kupił, obiecał chorą bezpłatnie „wywieźć, jak by co...“ I dotrzymał słowa. Szkapa zajeżdża przed swój dom dawny—po trumnę.

Jak ją witają chłopaki! jak oglądają! jak dziwują się!

— Dzisz Wicek—woła Felek—jak ci to zgrubiała! jakie ci to boki wyłożone ma! Dzisz, jakie ci nowe naszelniki...

Pogrzeb opisuje autorka dość szczegółowo—i tu właśnie obawiam się, czy nie przeciągnęła trochę struny, na której dotychczas grała z harmonią, prawie że nie zamąconą. Chłopaki tyle się zajmują szkapą, tak wesoło lecą cały czas blizko jej pyska, że „ludzie się oglądali za nami; dziwnym im się wydawał ten pogrzeb, z trójką tak dobrze bawiących się dzieci na czele... Przechodnie stawali i ramionami wzruszali. .“

Obok „Naszej szkapy“ postawił-bym „Głupiego Franka“ (którego czytelnicy „Biblioteki“ znają)—ale już z pewnemi zastrzeżeniami. Taki „głupi“, który jednak od wielu mędrszych posiada więcej rozumu i serca, jest postacią, która się u Konopnickiej powtarza często,—zbyt często nawet, bo powtórzenia te niemało osłabiają wrażenie, jakie wywiera postać „Głupiego Franka“, najpiękniejsza z tej galeryi figura. W tym jednym tomie, który mamy pod ręką, jest naprzód nie całkiem mądra kobieta w pierwszej zaraz noweli „U źródła“; potem w drugiej z rzędu „Na werendzie“ jest żebrak, nawpół a może i w całości waryat, który przychodzi, śpiewając jakąś pieśń dziadowską, a potem ni stąd ni z owąd opowiada zebranym gościom o krzywdzie, jaką mu brat uczynił, wyzuwając z majątku; historya ta dziwne wrażenie czyni na gospodarzu domu. W trzeciej noweli z rzędu „Na rynku“ jest stara kobieta, która siedzi w kożuchu na lipcowym upale i na zimno się skarży. Jest jeszcze dalej żyd szklarz, którego przezywają „Jakton“, „co znaczy błazen, ot! durny taki w sobie, a może ze wszystkiem waryat“... Towarzystwo, jak widzimy, zbyt liczne, aby czytelnik mógł zachować dla „Głupiego Franka“ tę sympatyę i tę świeżość wrażenia, jaka-by się tej niepospolitej postaci należała.

Jest bo ona stanowczo najudatniejsza z pośród licznych „durnych“ Konopnickiej Najmniej czuć w nim mądrości literackich i społecznych, a najżywiej wychodzi—człowiek. Waryactwo Franka jest to wprawdzie ta sama *dementia poëtica*, co i u jego książkowych sąsiadów: ale Konopnicka tym razem znalazła dziwnie proste i naiwne objawy, a w prostocie tej pełne piękności i poezyi. Wybaczą czytelnicy, że przypomnę im parę ustępów. Oto wraca Franek z nad rzeki, którą uważa za „matkę“...

— Nie tęgo matka cię wyprawiła w świat — śmieją się ludzie z obdartusa.

Na to on:

— Sama w biedzie. Sama w uciążeniu i pracy. Tera tyle rybek pożywić; tera tyle trawy nieść... tera tyli ziemi szmat obejść... Oj! nie lekki jej żywot, nie lekki. A jeszcze i na oną siną świtkę zarobić także musi, strugi modre po nici zbierając a na srebrnym wrzecionie przędąc...

Śmieją się z niego baby.

— Dzieciakowi ta gadać, żeby rzeka przędła.

— Żebym tak dobrego skonania nie miał — zaklina się Franek i tłucze w piersi. — Cóżem to ślepy, czy co? Nie widziałem to mało sto razy, albo i więcej, jak na srebrnem wrzecionie modre nici przędzie?... ino się w słonku albo i po księżycu migoce...

A jakie to czyste złoto poezyi opowiadanie Franka o wojsku trzykrólowem, o królu Balcerze... „Podejdę, patrzę—król! Płaszcz na nim złotem kapie, korona ino się w oczach od drogości mieni, broda po pas srebrzy się, jako ten mech siwy... A tu dokoła wojsko we złocie, w czerwieni, ino wystawia do góry te piki, te lance, te różne bronie...“ Przypomną sobie pewnie też czytelnicy ową burzę, która głupiemu Frankowi wydaje się wojną onego wojska — bo takie rzeczy nie wychodzą z pamięci.

I serce czytelnika bierze sobie Franek, kiedy z wróblami gada, albo kiedy chodzi po słocie i upale z gołą głową, albo kiedy sobie tłómaczy świat na swój sposób. Konopnicka jednak nie przestaje na tych fantazyach, jak tęcze pełnych koloru, które rzuca przed czytelnikiem przez pryzmat rozumu waryata. W drugiej części tej noweli Franek zostaje działaczem jakimś społecznym. Nienawiść ku Niemcom nosi i robi okrutną scenę podczas sprzedaży ziemi, którą koloniści od chłopów kupują. Zbyt zaś wielkie jest przejście od baśni czarodziejskiej o trzykrólowem wojsku do wstępnego artykułu z dziennika politycznego, aby nie miało ono odbić się na postaci Franka.

Konopnicka okazuje tę skłonność do przebierania artykułów wstępnych w suknie artystyczne daleko częściej, aniżeli tego pragną zwolennicy jej wielkiego talentu. Najwybitniej to dziennikarskie piętno nosi na sobie „Mendel Gdański“. Jest to stary, sympatyczny żyd, który mówi językiem bardzo pięknym, a mówi cały szereg — dezyderatów w kwestyi żydowskiej.

Przypadkiem trafiam oto na rozbiór Mendla w jednym z tygodników. Krytyk pisze tak: „Jest to tedy zamek, zbudowany na lodzie, protest przeciw antysemityzmowi i jego brutalnym a wstrętnym akcesoryom, potępiający krótko a węzłowato... antysemityzm potrzebny i rozumny“. Oto jak Mendel Gdański przy lada okazyi wędruje na arenę polemiki; wtedy zawsze autorka nie będzie miała racyi, bo dzieło sztuki powinno zawierać całość, do której nie wolno jest artyście dodawać

komentarzy. O kwestyi postawionej po dziennikarsku można rospisywać się latami, pisać repliki, zakładać oppozycye, walczyć z przeciwnikami. Artysta musi powiedzieć wszystko odrazu i gdy nie przekonał—cel chybiony.

A jak fatalnem jest ciążenie atmosfery artykułu nad artyzmem dzieła sztuki, może o tem powiedzieć taka figura, jak np. zegarmistrz w Mendlu. Mniejsza o to, że wobec takiego idyoty, jak ten zegarmistrz, nie tylko szlachetny Mendel, ale pierwszy lepszy koniokrad żydowski będzie miał racyę; nie uczę się socyologii z nowel, więc mało mnie to obchodzi. Ale od noweli wymagam, aby mi trochę życia przedstawiała, a zegarmistrz jest taką karykaturą człowieka, że zaszkodził-by noweli nawet wtedy, gdyby Mendel był arcydziełem twórczości. W śmiechu tego zegarmistrza, w jego uwagach, w każdym ruchu i słowie pełno jest *nieprawdy*. Potrzebnym był Konopnickiej cień, wobec którego tem silniej wystąpiło-by światło słów Mendla, i cień ten pomścił sztukę, która łaski swoje spuszcza jedynie na tych, co się jej całkowicie oddają.

Ten połowiczny rodzaj twórczości, to przemytnictwo kontrabandy społecznej wśród artystycznych pozorów, nie posiada warunków życia. Wrażliwość wykształconego czytelnika jest celnikiem zbyt srogim; kontrabanda się nie udaje, a stworzeni przez autorów przemytnicy opłacają ją—swem artystycznem życiem.

Dzieło sztuki i artykuł wstępny są to dwie rośliny z różnych szerokości geograficznych: pierwsza potrzebuje dużo gorąca, druga wiele chłodu. Jeśli nie dacie każdej z nich potrzebnej im atmosfery — zmarnujecie wasze rośliny i nie dadzą wam one w jednym razie zapachu kwiatów, w drugim—pożytku owoców.

W nowej książce Konopnickiej znajduje się nie mało rzucanych tu i owdzie krajobrazów. W malowidle tem jest ona mistrzynią; w „Głupim Franku“ szczególniej jest kilka obrazów tak pięknych, że z oczu zejść nie chcą. Czy pamiętacie: „Nizki brzeg Narwi kipiał ptasią wrzawą. Cała ta część jego, która od błot Pelczyńskich ciągnie się kręto i obłożnie, brzmiała teraz jak struna ruszona. Chwila była poranna, niebo czyste; młode kwietniowe słońce jeszcze się nie wzniosło nad ziemię, i zapłomieniwszy tylko rąbek widnokręgu, siało przed sobą tę rożowość złotą, którą tak chciwie pije ciche powietrze. Wszystko to było jasne, przejrzyste, wskroś światłem nabrane...“ Nieraz ma się chęć przepisywać całemi stronicami.

W. Kosiakiewicz.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Parlament niemiecki został otwarty mową tronową cesarza Wilhelma, która była poświęcona wyłącznie reformie wojskowej. Niezwłocznie zaczęły się rosprawy. Rezultat ich, według ogólnych przewidywań, będzie taki, jakiego sobie rząd życzy. Wybory dodatkowe prawie rozstrzygnęły kwestyę. Parlament posiada większość, która bądź bezwarunkowo, bądź pod warunkami, ale gotowa jest reformę uchwalić. Nie stało-by się to jedynie w razie, gdyby rząd w ostatniej chwili zniechęcił ku sobie tych warunkowych zwolenników reformy, zamiast ich do reszty ująć. Na takiej opierając się podstawie, widoki upadku reformy są więcej niż małe

Jest to dla rządów zwiąskowych, dla hr. Capriviego w szczególności, zwycięstwo. Pytanie tylko, czy nie pyrrusowe? i czy dzisiejszy polityczny i społeczny ustrój rzeszy wytrzymał-by jeszcze dużo takich zwycięstw? Socyalnym demokratom przybywa w parlamencie 8 posłów, a przy urnach stanęło o wiele setek tysięcy wyborców tego stronnictwa więcej, niż przy poprzednich wyborach. Obliczono, że gdyby procent posłów socyalistycznych w parlamencie zachował się taki, jaki był procent wyborców socyalno-demokratycznych w stosunku do ogólnej liczby wyborców, powinno-by zasiadać w parlamencie około stu deputowanych tego obozu. To jest pierwszy rys ujemny rezultatu wyborów. Nie jedyny zresztą. Stronnictwo, pokrewne socyalnym-demokratom dążeniami wywrotowemi, antysemici, zyskali dziesięć nowych

krzeseł. Z drugiej strony stracili 32 krzesła wolnomyślni, a zyskali: 8 konserwatyści, 8 narodowo-liberalni, 6 *Reichspartei*. Dowodzi to, jeśli się nie mylimy, że w łonie społeczeństwa niemieckiego odbywa się ewolucya ku pozycyom krańcowym. „*Freisinn*" przeradza się w socyalizm, do którego przygotowują grunt w umysłach mas doktryny wolnomyślne. Z drugiej strony zyskują stronnictwa konserwatywne i stojące na przejściu do konserwatyzmu. Nastąpi może czas, iż się społeczność niemiecka podzieli na dwie wielkie grupy, reprezentujące krańcową reakcyę po jednej stronie, rewolucyę socyalną po drugiej. I gdyby brać miarę z liczb, jakie wykazują ostatnie wybory, nie byłoby można przyjść do wniosku, że grupa pierwsza będzie miała przewagę.

To wrażenie jest właśnie zwycięstwa rządowego stroną ciemną. Reforma wojskowa będzie uchwalona; ale jak się zacznie układać życie wewnętrzne w tej społeczności, nurtowanej coraz radykalniejszemi prądami? I czy zwiększone brzemię ciężarów wojskowych, dając krajowi bespieczeństwo na zewnątrz, nie przyczyni się w stosunkach wewnętrznych do dalszego rozwoju tych uczuć niepokoju i niezadowolenia, które same mogą być niebespieczeństwem?

Francya była w tych dniach widownią zdarzeń, zawierających w sobie ciekawą wskazówkę, do czego prowadzi rospowszechnienie doktryn przewrotowych. Zaczęło się od bagateli. Młodzież artystyczna i uniwersytecka urządziła przed miesiącem zabawę w „Moulin Rouge", podczas której defilowały najpiękniejsze modelki w stroju... Ewy. Zabawa nie była przyzwoitą; ale—była prywatną. Pomimo to senator Beranger, członek ligi „*contre la licence*" upomniał się z trybuny o obronę znieważanej moralności. Wdały się w sprawę sądy i skazały dwóch urządzających bal na kilkotygodniowe więzienie.

Młodzież zawrzała. Nie pozwalają poswawolić? W Paryżu? Karzą więzieniem za prywatną zabawę, która łączyła w sobie młodzieńczą fantazyę z kultem greckim piękności? Precz z hypokrytami! — rozległo się w „*Quartier Latin.*" Młódź urządziła gwarną manifestacyę przeciwko p. Berenger'owi, jego wstydliwej lidze, obłudnym sędziom i wogóle wszystkim, którzy występują z pretensyą ograniczenia jej swobody w zabawach, do jakich gust rozwinięto w niej poprzednio przez wychowanie, literaturę i dobre przykłady.

Przeciwko manifestującym wystąpiła policya, ponieważ zamącili porządek publiczny. Przyszło do starć. Ci i owi zaatakowali agentów pociskami, jakie mieli pod ręką. Policya, broniąc się, uderzyła na tłum. Nieszczęście chciało, że został przy tem jeden z manifestantów zabity.

Ta śmierć jeszcze wzmocniła zarzewie w umysłach. Rozruchy, zamiast się uspokajać, wzmagały się, przybierając z dnia na dzień

ostrzejszy charakter. Zaczęły płonąć na ulicach kioski, powstawać barykady. Przewracano omnibusy, oblewano je naftą i podpalano. Ulice dzielnicy łacińskiej stały się podobne do ulic Paryża z czasów komuny. Czy to jeszcze wciąż młodzież manifestowała w ten sposób? Nie. To już byli zawodowi anarchiści. Żywioły, dla których zniszczenie organizacyi społecznej jest samo przez się celem, skorzystały z okazyi. Na razie podszyły się one pod manifestacye studenckie; potem, kiedy młodzież, widząc w jakiem znalazła się niespodzianie towarzystwie, zaczęła się cofać, anarchiści sieli zniszczenie na własną rękę. Gdyby nie energiczna represya, do której, oprócz policyi, trzeba było użyć wojsk pieszych i konnych, nie wiadomo jakie przybrał-by rozmiary ten wybuch żądzy zniszczenia.

Prawda, że temperament Francuzów jest niesłychanie żywy, że warunki polityczne ich są szczególne. Uwzględniając jednak nawet te różnice, niepodobna nie przyjść do wniosku, iż był to pierwszy grzmot burzy z tych wichrów, które oddawna czynią zamęt w głowach niższych warstw społeczeństwa. To też im gdzie te wichry mocniej wieją, tem większe o przyszłość obawy. W świetle warunków paryskich, postępy liczebne niemieckich demokratów-socyalnych nabierają jaskrawości w kolorycie.

Po-za tem w polityce panował względny spokój. Między Rossyą i Niemcami toczą się układy o traktat handlowy. Takież układy toczą się między Rossyą i Austryą. W innym, nie tak upalnym sezonie, obudziła-by większe zainteresowanie podróż kedywa egipskiego, Abbasa, do Konstantynopola, która nie jest po myśli rządu angielskiego. Obecnie przechodzi ona bez wrażenia. Tem silniejszy efekt sprawią zato pewno jej dalsze skutki, które nie dadzą na siebie długo czekać i uwidocznią się już na jesieni.

Ach, ta lichwa! Ile ona szkody wyrządziła i wyrządza, ile ruchomości i nieruchomości pochłonęła, ile trosk ludziom i nędzy przysporzyła. Takie westchnienia i wołania często się powtarzają w rozmowach prywatnych i w prasie. Kwestya to żywotna i najpopularniejsza, skoro pamiętać muszą o niej nawet ci, którzy, sądząc z pozorów, nie mogą nic mieć wspólnego z tak potworną rzeczą. A jednak posługują się nią częstokroć wszystkie sfery; gości ona nietylko śród nędzarzy, pochłania nietylko pensye skromnych urzędników, gospody i dobytek włościan, ale nieraz przykłada pieczęć komornika na pięknych meblach w obszernych salonach. Nic też dziwnego, że ci, którzy jej fatalnych skutków zaznali, witają z radością świeżo nałożony na lichwiarzy hamulec, witają jako skarcenie „zdzierców“; ale może nie jeden frasuje się tem, że nowe prawo pozbawi go możności dalszego brnięcia w wodzie, która utopić

w końcu musi... Zobaczmy, w jaki sposób prawodawstwo krępuje tę zabójczą formę kredytu, dostępną dla największych nędzarzy, dających jaką taką rękojmię. Zarówno wypożyczanie kapitału na zbyt wysoki procent, jak i ściąganie znacznego haraczu za niedotrzymanie terminu, będzie surowo karane.

Winny podlega zamknięciu w więzieniu od trzech miesięcy do półtora roku, a nadto, według uznania sądu, karze pieniężnej w takich razach, jeżeli dłużnik był zmuszony ciężkiemi okolicznościami, znanemi wierzycielowi, przyjąć warunki pożyczki zbyt uciążliwe, szkodliwe w następstwach, albo jeżeli pożyczkodawca ukrył nadmiar procentu (np. za pomocą włączenia procentu do sumy kapitału, w formie opłaty za przechowanie lub uchybienie w terminie). Tej samej również karze podlega, kto nabędzie lub złoży do egzekucyi zobowiązanie, wiedząc, że jest lichwiarskie, lub kto otrzyma zapłatę na zasadzie podobnego zobowiązania. Traci ono swoje znaczenie, wierzyciel atoli ma prawo otrzymać z powrotem swój kapitał, z potrąceniem rat opłaconych. Nowe prawo uważa procent za nie lichwiarski tylko taki, który nie przewyższa 12% rocznie. Ważne mają znaczenie przepisy, krępujące działalność grupy lichwiarzy, szerzących swą „pomoc“ na wsi, pod postacią pożyczania pieniędzy, zboża i innych produktów. Jest to wyzysk szerzący się bezkarnie na wsi z bardzo smutnym rezultatem dla „ratowanych.“ Prawodawstwo, chcąc temu zapobiedz, wyznacza karę na winnych, za pierwszym razem w formie trzymiesięcznego aresztu, za drugim i następnemi lichwiarzowi grozi zamknięciem na czas od 1 do 6-ciu miesięcy. Zwykle pożyczkodawcy w takich wypadkach wymagają od dłużników spłacenia długu częściowo lub całkowicie, — zbożem, produktami innemi albo robocizną, na warunkach rujnujących pożyczkobiercę. Umowa, w takich wypadkach zawarta, jako lichwiarska, staje się wedle prawa nieważną, wierzyciel wszakże nie traci prawa do zwrotu istotnie udzielonego przez siebie zboża, innych produktów lub pieniędzy, po potrąceniu już zwróconej ilości. Znamienna jest dążność nowego prawa do surowego ścigania recydywistów. Jeden z artykułów ustawy mówi, że winni powtórzenia przestępstwa albo zrobienia z lichwy procederu, podlegają: pozbawieniu wszelkich praw szczególnych, osobistych i majątkowych, tudzież przywilejów, i zesłaniu na mieszkanie do jednej z odległych gubernii (oprócz syberyjskich), albo zamknięciu w więzieniu. Zasługuje na uwagę jeden artykuł, który tu dosłownie przytaczamy: „Jeśli oskarżony przywłaszczył sobie nienależącą mu się godność jakiego urzędnika państwowego, albo sporządził lub świadomie zużytkował fałszywe dokumenta urzędowe, handlowe, albo

wreszcie listy fałszywe, lub się dopuścił innego fałszerstwa; jeżeli za pomocą napojów wyskokowych i innemi sposobami doprowadził oszukanego do stanu nieprzytomności, albo się uciekł do fałszywych obietnic, zapewnień i t. d., a następnie skorzystał z tego, że oszukany nie pojmował jasno właściwości i znaczenia zaciąganego zobowiązania; to podlega albo: pozbawieniu wszelkich szczególnych, osobistych lub majątkowych praw, przywilejów i zesłaniu na mieszkanie do Syberyi, albo oddaniu do poprawczych rot aresztanckich. Wreszcie właściciele lombardów będą opasani również łańcuchem nowych przepisów. Posiadacze tych zakładów tudzież ich pełnomocnicy za przywłaszczenie, roztrwonienie, samowolne korzystanie lub oddanie do użytku przedmiotów zastawionych, tudzież za lichwę, podlegają surowej karze, a nadto tracą na zawsze prawo zajmowania się tym procederem.

Taki jest ogólny zarys nowych przepisów, ostatecznie już zatwierdzonych. Jak widzimy, są one dość surowe i wymierzone przeciwko wszelkim kategoryom lichwiarzy. Niewątpliwie działalność ich osłabnie, będzie ostrożniejszą, pod naciskiem nowego prawa stworzy szereg wybiegów i tajemnych zobowiązań, jak się to dzieje w Galicyi. O zupełnem usunięciu klęski tą drogą marzyć będą chyba tylko — ludzie jednostronni w uznawaniu środków przeciwdziałania złemu.

Dziś jedynymi dostarczycielami drobnego kredytu dla ubogiej ludności — lombardy prywatne. Znane są lichwiarskie procenta, pobierane przez ich właścicieli, tudzież różne nadużycia. Niektóre z tych ostatnich nowe prawo określa, ale nie przewidziano w niem wcale nadużyć, praktykowanych przy licytacyi. Wprawdzie pod naciskiem rozporządzeń policyjnych i współzawodnictwa, wynikłego ze wzrostu liczby lombardów, zniżono stopę procentową przy udzielaniu pożyczek na zastaw, ale pożyczkobiercy, czując tę pozorną ulgę, tracą zbyt wiele pod innemi względami. Właściciele fanciarni starają się przedewszystkiem ciągnąć zyski z niewykupionych i nieprolongowanych fantów. W tym celu są bardzo wstrzemięźliwi w ogłoszeniach o terminach licytacyi, starają się iżby jak najmniej interesowanych o tem wiedziało. Następnie podstawiają zakupioną tandetę zamiast ubrania zastawionego i potem to ostatnie sprzedają na własny rachunek dwa razy drożej, niż wynosi pożyczka udzielona. Tem się tłómaczy nadzwyczaj nizkie szacowanie odzieży, nawet zupełnie nowej, w dobrym gatunku. Fanty złote i srebrne przechodzą podstępnie w ręce właścicieli lombardów za pomocą licytantów, przyjaciół właściciela lombardu, który im daje na chwilę licytacyi odpowiednią sumę dla wykupienia przedmiotów za cenę oznaczoną przez miejscowego taksatora. Poczem fanciarz zbywa te

przedmioty jubilerom bardzo korzystnie. Obok zatem ściągania prawem owych oszustów lichwiarzy, należało-by przedsiewziąć inne środki dla stłumienia złego. Mianowicie, konieczna jest tutaj radykalna reforma kredytu lombardowego. Wszelkie fanciarnie żydowskie powinny być całkiem zniesione, pokątne zaś — ścigane najsurowiej, a natomiast w różnych najuboższych dzielnicach Warszawy i innych miast należało-by otworzyć lombardy miejskie lub prywatne. Co do tych ostatnich, prawo na ich otwarcie i prowadzenie powinno być udzielane osobom, których uczciwość jest znaną i sprawdzoną; naturalnie działalność musiałaby być bardzo przejrzysta. Lombardy takie, założone na rumowiskach dzisiejszych brudnych fanciarni, prowadzonych przez oszustów, kwalifikujących się do kryminału, przyniosły-by istotny pożytek ubogiej ludności. Ale i pożyczki na zastaw powinny być ściśle zastosowane do położenia tych pożyczkobierców. Pożądane było-by udzielanie nawet bardzo drobnych kwot na przedmioty wartości kilkozłotowej. Niejeden biedak, któremu skutkiem choroby w domu lub z innych przyczyn zabrakło przed wypłatą zarobku kilkudziesięciu kopiejek, musi wraz z rodziną głód cierpieć przez dni parę, podczas gdy zastawienie drobnego fantu przyniosło-by ulgę doraźną. Nie uważamy takiej formy kredytu za idealną lub też za środek polepszenia bytu. Fant pierwej czy później trzeba wykupić za pieniądze zaoszczędzone z lichych zarobków, nie wystarczających na pierwsze potrzeby życia. To też ciągłe licytacye i wielka obfitość przedmiotów wystawianych na sprzedaż dowodzą, że zastaw rzadko kiedy wraca do biedaka. Jeżeli jest dla niego cenną pamiątką lub rzeczą potrzebną (np. palto zimowe zastawione w lecie), prolonguje i opłaca procenta póki może. Trwa to czasem lata całe i, zanim nadejdzie owa chwila pomyślna, kiedy właściciel będzie mógł wykupić swój przedmiot, będący świadectwem pomyślniejszej kiedyś doli — procenta opłacone dziesięćkroć przewyższą jego wartość. Ta więc forma kredytu jest skuteczną w takich granicach, jak proszek morfinowy, znieczulający na chwilę cierpienia fizyczne. W pewnych razach takie lekarstwo jest bardzo pożądane.

Zdaniem naszem, jednym ze środków, skutecznie przeciwdziałających lichwie, było-by ułatwienie zdobycia pracy. My pod tym względem stoimy jeszcze na gruncie protekcyi, pokątnego stręczycielstwa i przypadku. Nie mówimy już o stałych posadach, ale zwróćmy uwagę na charakterystyczne zjawisko: poszukiwanie zarobku przez całe masy ludności i jednocześnie wielkie zakłopotanie pracodawców skutkiem braku rąk roboczych w chwilach najgorętszych. Cierpi na tem głównie rolnictwo, a zjawisko to stale, nietylko w Królestwie, ale w całem państwie, co rok się powtarza, z wielką stratą dla obu stron. Sprawa ta

nieraz już była poruszana na łamach dziennikarskich, rozprawiano o niej niezliczone razy w różnych instytucyach przemysłowo-handlowo-rolniczych i wszystko to przebrzmiało bez najmniejszego echa w czynie. Gdy u nas rospaczają rolnicy z braku niezbędnej liczby wolnych najemników, gdy ci ostatni biedę znoszą, narażają się na długie bezowocne poszukiwanie pracy; za granicą zdołano stworzyć machineryę wyszukiwania robotników i ułatwiania im wędrówek. Nie dążą oni tam na oślep do miejscowości nieznanych. Jeżeli się udają ze swoich stron rodzinnych po zarobek o kilkadziesiąt, kilkaset, a nawet i więcej kilometrów, to wiedzą na pewno, po co idą i co znajdą. Dość wskazać owe charakterystyczne „obieżysostwo," które z północnych i wschodnich prowincyach Niemiec pociąga ludność robotniczą na Zachód. W ks. Luksemburskiem istnieje osobny system najmowania robotników. Stacye pocztowe rozsyłają po całem księstwie zawiadomienia o zapotrzebowaniu pracy. Zawiadomienia takie wędrują póty, aż wydadzą pożądane rezultaty. Jest to system niewątpliwie bardzo praktyczny, ale w miejscowościach wysoce kulturalnych, gdzie istnieje wielka liczba stacyi pocztowych i gęsta sieć kolejowa, dająca tani przejazd, gdzie nie tylko osobne anonse, ale ogłoszenia w pismach umieszczane, dochodzą do chaty każdego chłopa, dzięki temu, że umie czytać i czuje potrzebę czytania, że dzienniki cieszą się ogromną popularnością. Przerzucenie się o kilkaset kilometrów jest dla robotnika na Zachodzie czynem nie wymagającym wysiłku.

Inaczej u nas. Brak dogodnej i taniej komunikacyi, niższa kultura i poziom umysłowy utrudniają zarówno wyszukiwanie sił roboczych, jak i zdobywanie pracy. W stosunku zaś do całego państwa stoją jeszcze na przeszkodzie olbrzymie obszary z małą liczbą stacyi pocztowych i kolei. Przebycie kilkuset lub kilkunastu setek wiorst stanowi koszt ogromny. Przy tem wszystkiem w wielu miejscowościach ubogi robotnik bez zadatku ruszyć się z miejsca nie może. Nie idzie za tem, żeby się nie dała zastosować jaka praktyczna organizacya, przynosząca pożytek rolnictwu i ludności wiejskiej, poszukującej pracy. Odpowiedne agentury, czy też biura wywiadowcze, — mniejsza o nazwę—skupiające w sobie żądania pewnej grupy rolników z danej miejscowości, usunęły-by ten szkodliwy dla obu stron szkopuł. Stworzeniem zaś takiej organizacyi powinni we własnym interesie zająć się ziemianie. Przy zbiorowych siłach zadanie nie było-by ani trudne, ani kosztowne. Niezbędną jest przy tem ulga w przewozie kolejami gromad robotniczych.

Od pewnego czasu widzimy pod tym względem dążność zarządów kolejowych do zadośćuczynienia potrzebom ogólnym. Dotąd wszakże

nie wielka liczbca kolei zastosowała zniżkę. Można atoli oczekiwać dalszych ulg w tej mierze, gdyż przyznać trzeba, że rok bieżący jest początkiem szeregu udogodnień dla ogółu, wprowadzanych przez drogi żelazne. Gwoli zasadzie „czas to pieniądz,“ przy zmianie roskładu zimowego na letni uwzględniono warunek zwiększenia szybkości jazdy w całem państwie, głównie za pomocą skrócenia postojów i postarano się o możliwie najdogodniejsze połączenie pociągów na stacyach węzłowych. Rozumne i praktyczne ułożenie roskładu jazdy nie jest to zadanie łatwe. Sieć kolejowa w całem państwie wraz z węzłowemi stacyami, jest to machinerya bardzo złożona, w której jedna minuta przybycia pociągu na stacyę węzłową, źle obmyślana, psuje komunikacyę na tysiącach wiorst. Nieraz stworzenie kombinacyi dogodnej prześciga rozwiązanie najtrudniejszej łamigłówki. W roku bieżącym koleje russkie doszły do niebywałej dotąd w tym względzie doskonałości. Mieliśmy sposobność osobiście sprawdzić dodatnie skutki ułatwionej komunikacyi. Przestrzeń 600 wiorst (kolej Terespolska i część Poleskiej), która w roku przeszłym pochłonęła nam 30 godzin, obecnie przebyliśmy w ciągu godzin 19-tu, czyli o *jedenaście* godzin szybcej, dzięki przyśpieszonej jeździe, lepszemu połączeniu w Brześciu i straconym postojom (Jeden z nich lata zeszłego na stacyi Łuniniec trwał przeszło dwie godziny). Tak doskonale odczuta oszczędność w czasie daje nieobliczone korzyści podróżnym, a na kolejach wywoła znaczne ożywienie ruchu, usunie charakterystyczną ospałość, stałą na niektórych liniach. Zachód Europy, a jeszcze bardziej Ameryka, przywiązuje największą wagę do szybkiej komunikacyi, bo tam cały rozwój materyalny, a nawet duchowy, oparty jest na pośpiechu. Życie tam kipi, tętni nieustanną gorączką, z dniem każdym wzrastającą. To też dla Anglika lub Amerykanina przerzucić się z jednego krańca świata na drugi, od Atlantyku do oceanu Wielkiego, jest drobnostką. W drodze nie znają oni wypoczynku, bo każda chwila, o ile nie są bogatymi próżniakami, jest dla nich droga, i pomimo szalonej szybkości pociągów, minimalnych postojów na stacyach i pośpiesznej żeglugi morskiej, obecna komunikacya jest dla nich jeszcze zbyt powolną. Zapewne Amerykanie nie marzą jeszcze o tem, żeby świeże bochenki chleba lub mięso wołowe dostawały się na rynki europejskie, jako produkt codzienny; w każdym jednak razie wytwory przemysłu zaoceanowego dostają się do nas z takim pośpiechem, o jakim jeszcze przed laty dwudziestu nie miano pojęcia. Dziś także nie jest rzeczą dziwną, jeżeli z południowych Włoch dostajemy w zimie świeże fiołki; w krótce też może się stanie zjawiskiem zwykłem mięso tutejszych wołów stepowych w jatkach paryskich. Kultura i wszelki postęp, oparte na pośpiechu, muszą ciągle dążyć do wzmacniania tego motoru. U nas wzmocnienie pośpiechu kolejowego,

warszawskiego Instytutu panien przynosi około 50 rs. dochodu. Tych kilka przykładów aż nadto chyba dowodzi, że umiejętnie prowadzone ogrodnictwo może czasem dać więcej dochodu, niż nie jeden folwark, produkujący żyto, kartofle, buraki i t. d. Pomimo wszakże tak świetnej wydajności, ogrodnictwo nasze, jakeśmy rzekli, jest w zarodku i stanowi tak drobny odłam produkcyi, że się nie może jeszcze ukazać na wielkich rynkach krajowych i europejskich, lecz musi szukać drobnych ścieżyn, poprzestawać na cząstkowej sprzedaży, często zawodnej. Cały postęp i wyniki racyonalnego ogrodnictwa skupiają się u nas zaledwie w kilku ogrodach, prowadzonych przez kilku wytrawnych ogrodników. O ogólnym rozwoju w kraju tej gałęzi wytwórczości mowy dotąd niema, brak bowiem odpowiednych czynników, t. j.: fachowców, wykształconych w specyalnych, wzorowych szkołach, dalej: instytucyi, która-by istotnie zajęła się sprawami ogrodnictwa krajowego, i wreszcie — brak praktycznych rad i wskazówek.

Najgorliwszym krzewicielem zamiłowania do ogrodnictwa za pośrednictwem prasy jest u nas p. E. Jankowski. Zdrowe jego rady spotykamy nie tylko w organie specyalnym, ale i w poczytnych pismach codziennych. Prasa jednakże nie popiera zbyt gorliwie tej sprawy i, niestety, więcej widzimy żarliwości w nawoływaniu do organizacyi wszelkich zabaw, niż — racyonalnej hodowli drzew owocowych. W *Prawdzie* znaleźliśmy krytyczny trzeźwy sąd, skierowany ku dźwignieniu naszego ogrodnictwa. Uwagi i wskazówki, zawarte w artykule, napisanym snadź przez wytrawnego rzeczoznawcę, zasługują na zaznaczenie. Autor czyni ciężkie, ale sprawiedliwe, oparte na faktach, zarzuty naszemu Towarzystwu ogrodniczemu: „Wzywa ono ogół do obserwacyi i donoszenia mu, jakie odmiany w naszym kraju się udają! Jakże obserwować i donosić, nie wiedząc, co się ma? Nadto każdy łatwo zrozumie, że instytucya, specyalnie zajmująca się rozszerzaniem i popieraniem kultury owocowej, powinna dbać o to, ażeby sprzedawane przez nią drzewka dostawały się we właściwe ręce. Są gatunki, wymagające bardzo wielkich starań, i są inne, wcale nie wybredne. Otóż jeżeli chłop kupi Kosztelę lub Antonówkę, może bez zachodu doczekać się z niej owoców; ale jeżeli dostanie jakąś kapryśną Renetę lub Kalwillę, z pewnością straci ją wkrótce. Tym czasem Towarzystwo ogrodnicze zbywa drzewka w bezładnej mieszaninie, a więc nie jednego włościanina może obdarować zbiorem odmian, które mu przepadną, pozbawione umiejętnego dogłądu i starań“.

Oczywiście chłop po takim zawodzie straci zaufanie do Towarzystwa, a jednocześnie zniechęci się do ogrodnictwa, do którego nie ła-

two go nakłonić, jeżeli nie ma dotykalnych dowodów pożytku z tej dziedziny gospodarstwa. Inny ciężki zarzut dostał się *Ogrodnikowi polskiemu*, który bardzo niekorzystnie się przedstawia w porównaniu ze specyalnemi organami za granicą. Celem ich jest albo badanie naukowe, teoretyczne, albo wskazówki praktyczne: „Nie tylko zaznaczają skwapliwie każdy postęp w sztuce i wiedzy ogrodniczej, ale posiadają własne pola doświadczalne, na których wyprobowywane są ściśle i umiejętnie najrozmaitsze hodowle, udzielają czytelnikom gruntownych i wyczerpujących odpowiedzi w najrozmaitszych kwestyach, wyznaczają nieustanne konkursy i nagrody za najlepsze owoce, warzywa lub kwiaty, nadesłane do redakcyi, urządzają głosowania na odmiany najbardziej odpowiadające warunkom miejscowym, układają z nich coraz poprawniejsze listy najgodniejszych produkcyi, śpieszą z natychmiastową radą po jakiejś niezwykłej zmianie atmosferycznej, oceniają nowe lepy przeciw owadom, klatki dla ptaków pożytecznych, drabiny, skrzynie inspektowe i t. d. Słowem, utrzymują nieprzerwany związek z prenumeratorami i czuwają nad każdym kłopotem i potrzebą“. Organ naszych ogrodników, niestety, zalet tych nie posiada. W mocy atoli jego kierownika było-by uczynić go pożyteczniejszym niż jest obecnie.

Szkoda, że Towarzystwo ogrodnicze w łonie swem nie posiada takich członków, którzy-by wypowiadali uwagi, mające na celu dobro instytucyi i odłamu gospodarki, której służy. Rzecz dziwna, iż dotąd nikt się tam nie zdobył ani na sąd krytyczny, ani na wytknięcie błędów, co przecież powinno być obowiązkiem każdego uczestnika myślącego, jeżeli on nie jest członkiem — z tytułu. To też życzymy szczerze, ażeby słowa bezstronne a trzeźwe, wypowiedziane w *Prawdzie*, trafiły do przekonania zarówno do Towarzystwa ogrodniczego jak i redakcyi pisma, poświęconego tej dziedzinie. Dla rozwoju ogrodnictwa, oprócz powyżej wyłuszczonych czynników, niezbędne jeszcze jest odpowiedne przysposobienie armii pracowników, którzy-by swą pracę pożyteczną roznieśli po całym kraju. Warszawa posiada wzorowe, najpiękniejsze i najbogatsze ogrody, a więc najwłaściwsze jest tutaj miejsce dla szkoły ogrodniczej. Częstochowska p. Zawady nigdy nie odpowie całkowicie wymaganiom. To też z prawdziwą przyjemnością witamy wieść o zamiarze otwarcia takowego zakładu przy ogrodzie pomologicznym. Od chwili zamknięcia poprzedniej szkoły przy tym samym ogrodzie upłynęło już lat kilka, przez ten czas ogrodnicy kształcą się tylko praktycznie, a więc w sposób nie odpowiadający postępowi tego działu gospodarki. Tymczasem ogólne zainteresowanie się ogrodnictwem co raz jest szersze, czego najlepszym dowodem aż *trzecie* wydanie dzieła Jankowskiego p. t. „Sad i ogród owocowy,“ tudzież powo-

dzenie innych podręczników w tym zakresie. Z racyonalnem ogrodnictwem chcą się zapoznać właściciele sadów; ale nie każdy z nich ma czas po temu: wielu narzeka na brak ukształconych pracowników, więc też oczekiwanie na nową szkołę jest wielkie.

Z równąż niecierpliwością interesowani oczekują szkoły gorzelniczej, której założenie w Warszawie zaprojektowano jeszcze przed paru laty. Jakkolwiek stworzenie takiego zakładu należy do spraw bardzo pilnych, pomimo to jednak właściciele gorzelni dali dowód wielkiej cierpliwości, skoro w połowie czerwca r. b. przypomnieli dopiero znowu tę potrzebę na posiedzeniu trzeciej sekcyi warszawskiego oddziału popierania przemysłu i handlu. Obliczono, że na utworzenie szkoły wraz z laboratoryum odpowiednem właściciele największych gorzelni powinni złożyć nie więcej jak po 40 rs. Koszt zatem nie wielki, względy więc materyalne nie stoją na przeszkodzie. Nie może być również przeszkody ze strony władzy właściwej, bo, jak wiadomo, po obmyśleniu planu organizacyi szkół fachowych władza ta położyła nawet nacisk na współudział osób prywatnych, na potrzebę tworzenia przez nie tego rodzaju zakładów. Cóż zatem stało i stoi na przeszkodzie otwarciu szkoły gorzelniczej, której konieczność rozumieją doskonale sami wytwórcy spirytusu i której łakną setki młodych ludzi, pragnących bez wielkich kosztów i w krótkim czasie posiąść specyalność, dającą możność zarobkowania? Trudno się silić na rozwiązanie tej zagadki. Najbliżej będziemy prawdy, jeżeli przypuścimy, że tu działa głównie niedostateczne, niejasne zrozumienie własnego interesu i ta charakterystyczna ociężałość, która czasem nie pozwala nam się poruszyć z miejsca nawet w chwili, gdy widzimy staczającą się z góry bryłę, która nas zgnieść może. Na czerwcowem posiedzeniu interesowanych sprawę tę żywiej wzięto do serca, obliczono koszt, ale jakoś cicho o krokach ostatecznych, o załatwieniu formalności i terminie otwarcia zakładu i o jego programie. Czas już było-by istotnie na seryo wziąć się do tej sprawy. Nie mamy podręczników, które-by pozwoliły samoukom dopełnić niezbędną teoryą wiedzę praktyczną, miejmyż przynajmniej szkołę, która z czasem może będzie bodźcem do stworzenia specyalnej a pożytecznej literatury. Przyda się twórcom przyszłej szkoły jeszcze jedna rada: ażeby program nie krępował kandydatów wiekiem. Znamy dojrzałych i starzejących się ochotników, którzy chcieli-by skorygować swą wiedzę gorzelniczą. Są to nietylko gorzelani, ale i sami właściciele gorzelni. Myśl stworzenia szkoły wielce ich ożywia i pociesza tem, że będą mieli sposobność pozbyć się rutyny i obeznać z najnowszemi zdobyczami techniki w tej dziedzinie. Otóż wielce było-by pożą-

danem, ażeby obok zwyczajnych uczniów mieli wstęp do szkoły także wolni słuchacze, bez względu na wiek.

Gdybyśmy chcieli śród młodzieży obliczyć ochotników do różnych zawodów, niewątpliwie znaleźlibyśmy największą liczbę kandydatów do uprawiania sztuki we wszystkich jej działach. Dość zajrzeć do wszelkich szkół malarskich i rysunkowych, do Instytutu muzycznego, na wystawy obrazów i rzeźb, wreszcie do... koszów redakcyjnych. Gdybyśmy mieli szkołę pisania poezyi i nowelek, trzeba było-by olbrzymi gmach wybudować dla pomieszczenia uczniów i uczennic. Na szczęście takiej szkoły mieć nie będziemy, lecz zato od kilku lat mamy klasę wymowy i deklamacyi przy warszawskiem Towarzystwie muzycznem. Bardzo to cenny i miły jest dar dobrej wymowy i deklamacyi, jako pierwszorzędna zaleta towarzyska. Mało atoli jest osób, które natura obdarzyła tak pięknemi zaletami. To też nie dziwimy się wcale młodzieży płci obojej garnącej się do klasy dykcyi i deklamacyi, jeżeli pobudką jest tylko zdobycie tego niezbędnego warunku powodzenia w towarzystwie; bardziej wszakże pragnęlibyśmy, ażeby do owej szkoły uczęszczała młodzież, która nie ma zamiaru poprzestać na blichtrze i nie uważa za cel jedyny być czynnikiem ożywiania salonów, mianowicie młodzież, poświęcająca się nauce średniej i wyższej, której w przyszłości dobra wymowa przydała-by się jako profesorom lub obrońcom. W gruncie rzeczy inne aspiracye pchają tę młodzież do uczenia się wymowy i deklamacyi. Są to niemal wszyscy — kandydaci i kandydatki do zawodu... aktorskiego. Głowy i serca pełne szczytnych marzeń i pragnień doznają bólu i rozczarowania; wejście na deski sceniczne jest to ideał szczęścia, którego jeżeli się nie uda zdobyć, jeżeli się nie da zająć chociaż stanowiska figuranta, życie traci swój powab i zniechęca do siebie. Klasa przy Towarzystwie muzycznem dotąd dała bardzo niewielki procent t. zw. „materyału aktorskiego." Nie zraża to jednak nawet tych, których powierzchowność i wrodzona wada mówienia pozwala z góry wydać wyrok, wzbraniający im na zawsze wstępu do dziedziny artystycznej. Cisną się oni nietylko do szkoły, ale i na lekcye prywatne, udzielane przez specyalistów. Cóż się stanie z tymi odtrąconymi u podnóża sztuki? Część trzeźwiejszych, wziąwszy rozbrat z „powołaniem", odda się może jakiej pracy pożytecznej, większość atoli, czując w sobie „iskrę talentu", nie dopatrzoną przez kierowników, wciśnie się do prowincyonalnych gromad aktorskich, pójdzie z niemi do bud i stodół w miasteczkach, aby tam zdobywać uznanie i „krzesać ogień natchnienia." Klasa więc deklamacyi daje rezultat obosieczny: drobniutki procent kandydatów do zawodu scenicznego, będących „materyałem na aktorów" i — szeregi mal-

kontentów, probujących szczęścia w teatrzykach prowincyonalnych. Dla oszczędzenia tym biedakom zawodów, ciężkiej doli, poniewierki i w końcu rospaczy, warto, ażeby nauczyciele deklamacyi w szkole, czy po-za szkołą, starali się być bardzo surowymi w wyborze uczniów, żeby uwzględniali tych tylko, którzy zarówno pod względem powierzchowności, temperamentu, jak i wrodzonych zdolności, pozwalają przypuszczać, że praca nie będzie zmarnowaną. Sądząc z tegorocznego popisu, wnosić można, że ta surowość poniekąd została już zastosowana w klasie deklamacyi.

„Drużyny" aktorskie, ożywiające zwykle ogródki warszawskie podczas lata, w tym roku nie znalazły wstępu do przybytków restauracyjno-scenicznych. Miejsce ich zajęły „produkcye" różnych sztuk mięśniowych, gardłowych i tanecznych, zbieranina z wyszarzałego świata „artyzmu" i muzy podkasanej. Przedsiębiorcy przekonali się, że skutek ten sam: piwo „odchodzi!" Natomiast wielce są tem zasmuceni aktorowie towarzystw wędrownych, dla których pobyt kilkotygodniowy w Warszawie był najpiękniejszą chwilą w roku. Rozproszyli się oni po Królestwie, a nawet podążyli nad morze Czarne szukać chleba i karmić się wieczną troską. Korespondentom prowincyonalnym w sezonie ogórkowym dostarczają oni obecnie materyału, urozmaicającego wiadomości o urodzajach, pogodzie i pożarach.

Czem jest prowincya dla prasy, czem prasa dla prowincyi? Kwestyę tę poruszył niedawno w kilku numerach „Głosu" p. Antoni Potocki i przyszedł na mocy zestawienia wyjątków z korespondencyi do przekonania, że prasa w większości lekceważy prowincyę, że drukuje fałszywe lub sprzeczne wiadomości. O braku rzetelnych i rozumnych korespondentów z prowincyi już kiedyś na tem miejscu mówiliśmy. Ale cóż poradzić na to, że ci, którzy mogli-by pisać i łatwo ogarniać stosunki miejscowe, odczuwać potrzeby danej miejscowości i za pośrednictwem prasy zwalczać to, co jest złego,—ci właśnie milczą uparcie. Natomiast biorą się do pióra przeważnie tacy, którym chodzi o „osmarowanie" znienawidzonej jednostki lub instytucyi. Stąd wynika fałsz, stronność, paszkwile; redakcye, otrzymawszy kilka sprostowań, dziękują swym korespondentom za współpracownictwo i wolą umieszczać „własne" korespondencye za pomocą... nożyc. Redaktor nieraz bywa w wielkim kłopocie. Gdy go obarczą zarzutami, że nie uwzględnia życia prowincyonalnego, albo karmi swych czytelników błahostkami z partykularza, wzywa współpracownika, któremu ufa, i mówi doń: „Nie mogę dać rady ze swymi korespondentami; listy ich są długie a banalne, pełne faktów osobistych, albo budzących wątpliwość, lub

takich, które z pewnością nie zajmą czytelnika. Wycinanie ze 100 wierszy — 10-ciu pochłania nieprodukcyjnie dużo czasu i naraża na pretensye „obciętych." Ponieważ nie mamy z tego pożytku, zróbmy więc sieczkę prowincyonalną, w której była-by esencya faktów ciekawych, wyjętych z najlepszych korespondencyi różnych pism i postarajmy się te fakta odpowiednio oświetlać. Jakoż w istocie taka „sieczka" bywa o wiele ciekawszą i poczytniejszą, niż liche korespondencye z różnych kątów. Dobrych korespondentów, bezstronnych i wnikających głębiej w potrzeby życia prowincyonalnego, mamy bardzo mało, stąd też charakterystyczne zjawisko, że z wielu miejscowości i miast, dość nawet ożywionych, pisma nie mają wcale korespondencyi. Co na to poradzić? — Wysyłać, jak się to dzieje dotychczas, specyalnych sprawozdawców w chwilach nadzwyczajnych zdarzeń, katastrof, albo rozmieścić na prowincyi współpracowników z Warszawy, którzyby wrośli w miejscowe warunki, lub wreszcie — ogłosić konkurs nieustający na dobre i sumienne korespondencye? To ostatnie najłatwiejsze, tem bardziej, że jest to przyjęty sposób ożywiania szpalt dziennikarskich.

Specyalny wysłaniec „Kuryera Warszawskiego" doniósł czytelnikom o otwarciu szpitala w Dąbrowie dla górników. Nie dziwimy się zaznaczeniu tego faktu w osobnym artykule. Zasługuje on bowiem na uwagę nie jako czyn filantropijny, lecz jako świadectwo pomyślnego zwrotu w organizacyi zdrowotności publicznej. Zakład powstał w osadzie Niemce, należącej do warszawskiego Towarzystwa kopalń i zakładów hutniczych. Urządzony wzorowo, według najnowszych wymagań hygieny i techniki, mieści 30 łóżek. Wentylacyę posiada doskonałą, w lecie za pomocą luftów zewnętrznych, w zimie zaś odświeżać powietrze będą piece, z rurami o wylotach zewnętrznych, umieszczonemi u góry. Dolne zaś kanały, także za pomocą rur żelaznych wyciągają powietrze zużyte do palenisk w suterenach. Oprócz przestronnych sal dla chorych (mężczyzn i kobiet oddzielnie), gmach posiada salę operacyjną, jadalnię dla rekonwalescentów, ambulatoryum, apteczkę, łazienki męskie i żeńskie, słowem wszystko, co jest niezbędne dla szybkiego przywrócenia zdrowia chorym. Na koszt budowy przemysłowcy wydali 35,000 rs.

Jest to u nas jedyny przykład wzniesienia szpitala fabrycznego z zastosowaniem najnowszych wymagań hygieniczno-technicznych. Dziś prawo coraz usilniej wymaga poprawy warunków zdrowotnych w zakładach przemysłowych. W ostatnich czasach rozszerzono znacznie przepisy w tym względzie,—zażądano, aby lekarze fabryczni nie

mieli za dużo fabryk, a zatem i chorych pod swoją opieką, ze szkodą dla tych ostatnich; położono wreszcie nacisk na budowę obowiązkową szpitalów przy zakładach fabrycznych z pewną normą względem liczby chorych. Prawo wszakże, żądając tych urządzeń, nie wyłuszcza, w jakim stopniu szpitale te mają odpowiadać warunkom hygienicznym. Od dobrej zatem lub złej woli fabrykantów zależy to, czy szpital będzie tylko dla formy, czy też odpowie istotnym potrzebom. Wytwórcy dąbrowscy dowiedli dobrej woli i jednocześnie — zrozumienia własnego interesu. Postarali się bowiem o takie urządzenie szpitalne, ażeby chory, pozostając w przyjaznych warunkach, jak najszybcej wyzdrowiał, a tem samem oszczędził kosztów kuracyi i żeby tym sposobem praca jego stała się znowu jak najprędzej produkcyjną. Oby inni postarali się tak samo zrozumieć swój własny interes i swoich pracowników korzyść.

Pewna grupa przemysłowców przyszła do tego przekonania, że nakładane na nich kary za wykroczenia nie przynoszą im ani zaszczytu, ani pożytku; starają się więc uprzedzać tę ostateczność i sami radzą nad uzdrowotnieniem warunków pracy. W tym celu podczas obrad w petersburskiem Towarzystwie popierania przemysłu i handlu przyjęli żywy udział w roztrząsaniu projektu organizacyi różnych środków bezpieczeństwa i wzmocnienia stanu sanitarnego w fabrykach. Same atoli dobre chęci i pojedyńcze usiłowania nie wystarczą. Do zrobienia pozostaje jeszcze bardzo wiele. Mamy właśnie pod ręką prace: dra Światłowskiego, b. inspektora w okręgu fabrycznym warszawskim („Byt robotników w cukrowniach Królestwa Polskiego") i dra Sulimy („Przemysł cukrowniczy pod względem zdrowotnym"),— które licznemi faktami przekonywają, że organizacya lekarska przy cukrowniach w Królestwie Polskiem pozostawia jeszcze bardzo wiele do życzenia. We wszystkich, z wyjątkiem jednej, niema ani stałego lekarza, ani szpitala; niektóre wzywają lekarza w miarę potrzeby; chorzy widzą go raz na tydzień, albo nawet raz na miesiąc. Również prawie nigdzie niema tak zwanych pokojów przyjęcia; tu zaś i owdzie są tylko dla formy, czego dowodem — koszt ich utrzymania, wynoszący zaledwie po 10 rs. rocznie. Ale co tu mówić o lekarzach, skoro nawet felczerowie nie zawsze mieszkają przy zakładach fabrycznych.

Prawie to samo daje się spostrzegać w wielu innych działach przemysłu fabrycznego. To też bardzo było-by pożądane, ażeby przedstawiciele wielkiej produkcyi, nie czekając na silny nacisk prawny, zechcieli sami się zatroszczyć o uzdrowotnienie warunków pracy. Niemcy posiadają przy swem ministeryum przemysłu i handlu osobne

biuro dla szerzenia śród fabrykantów idei i czynów humanitarnych (*Centralstelle für Arbeiter Wohlfahrts Einrichtungen*). Instytucya ta zajmuje się badaniem bytu pracowników oraz stosowanych w praktyce środków naprawy wadliwych warunków; wreszcie udziela fabrykantom wskazówek pożytecznych w zakresie ulepszeń, mających na celu ochronę zdrowia i życia podczas pracy. Nadto, biuro gromadzi dane statystyczne o działalności przemysłowców w tej mierze; posiada również bardzo ciekawe muzeum, zawierające wszelkie środki i urządzenia, najpraktyczniej i najpewniej ochraniające życie i zdrowie. Muzeum to utworzone jest w tym celu, ażeby fabrykanci mogli się przyglądać owym przedmiotom i stosownie do urządzeń fabrycznych wprowadzać je u siebie. Takie poglądowe szerzenie humanizmu zapewne bez wpływu dodatniego nie pozostaje i nawet fabrykantom, najbardziej przejętym ideą zysków, nasuwa myśl zabespieczenia zdrowia i życia pracowników. U nas tego rodzaju zachęty niema; jedynym zaś bodźcem do wzmacniania warunków zdrowotnych jest... nacisk prawny. To zdaje się najbardziej przemawia do przekonania większości grzeszących.

Rok temu w sekcyi IV warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu poruszono sprawę zabespieczenia bytu rzemieślników, którzy skutkiem wieku i pracy siły stracili. Plan przytułku, chociaż mu robiono wiele zarzutów, przedstawiał się dość sympatycznie i zdawało się, że tylko trzeba trochę dobrych chęci i zabiegów, ażeby tę instytucyę do życia powołać. Tymczasem zaszła niespodzianka, która nietylko projekt powyższy, ale także wiele innych pogrzebała. „Gazeta Rzemieślnicza" wstydziła się o tem mówić, gdyż ją „łączyły z sekcyą bliższe stosunki", a nadto pismo wierzyło, iż nieporozumienia są chwilowe i „bez bodźców zewnętrznych w ten lub inny sposób załagodzone zostaną." Tym razem delikatność i wiara nie na miejscu. Tam, gdzie cała machinerya się psuje gwoli kaprysom i uprzedzeniom osobistym kilku członków, rozumny głos zewnątrz, wypowiedziany przez organ, który przecież cieszy się poszanowaniem u swych czytelników, może mieć wielkie znaczenie. Od kilku miesięcy sekcya obumarła i to tylko skutkiem niezadowolenia kilku osób z prezydyum. To ostatnie, kierowane zbytnią drażliwością, mandaty złożyło. Skutkiem tego w marcu, gdy zarząd oddziału wezwał do wyborów na nową kadencyę, przy stole prezydyalnym znalazł się tylko prezes i sekretarz zarządu. W chwili głosowania na kartkach, zebrani prawie jednozgodnie zażądali utrzymania dawnego prezydyum. Jakoż aklamacyjnie wezwano je do pełnienia nadal obowiązków. Ale na nieszczęście znalazł się jeden szkopuł: Ktoś z niechętnych zaznaczył swój wniosek na piśmie, o którym podczas aklamacyi zapomniano i na zebraniu nie

przedstawiono, i pomimo, że ów malkontent siedział na zebraniu cicho, po przypomnieniu owego faktu nie chciano już naruszać toku postępowania dawniejszego; z tego też względu prezydyum nie mogło przyjąć wyboru. I oto skutkiem tego sekcya IV pogrążona jest dotychczas w bezruchu, sprowadzonym przez niesnaski i nieporozumienia kilku osób, które, gwoli zadowoleniu miłości własnej, wyrządziły krzywdę sprawom ogólnym. Rzecz dziwna, że się dotychczas nie znaleźli ludzie rozumni, którzy-by na nowo wleli życie i ład do tej sekcyi; ona przecież w okresie harmonii zaznaczyła swą pożyteczną działalność; dość przypomnieć: wystawę stałą, muzeum z salami rysunkowemi, bazar.

Charakterystyczne to zjawisko: przemysł maszynowy wypiera coraz bardziej rzemiosła; pozostają wszakże pola, na które u nas nie prędko jeszcze wkroczy wielka produkcya. Jeżeli więc rzemieślnicy rozumieją tę nieuniknioną konieczność rozwoju ekonomicznego, a nie chcą być pochłonięci przez maszynę,—powinni zająć silnie placówki, na których dotąd fuszerka szeroko się rozrasta, i tam pracować z pożytkiem dla siebie i ogółu spożywców. Zdawało się, że sekcya IV stara się właśnie przyczynić do polepszenia wartości wyrobów rzemieślniczych i rozszerzenia pola pracy (pierwszym krokiem ku temu było urządzenie muzeum); tymczasem—naraz paraliż dobrych chęci i czynów! Znamienna to z dziejów sekcyi IV kartka, która rumieniec wstydu wywoła na oblicza interesowanych, gdy bardziej... dojrzeją.

W chwili gdy sekcya rzemieślnicza przebywa tak smutny i haniebny okres, subjekci handlowi zaczynają się ruszać. Naturalnie, nie mamy tu na myśli majówek i zabaw, urządzanych przez nich z wielką wprawą i werwą, lecz — dążenie ku pogłębianiu wiedzy fachowej śród członków Towarzystwa. Jeden z nich, należący do rzędu zdolniejszych uczestników zarządu, p. St. Szostkiewicz, objął niedawno kierownictwo w wydziale krzewienia wiadomości handlowych, i chcąc się przekonać, czy wydział ten nie figuruje tylko w teoryi, postanowił urządzić szereg pogadanek popularnych z dziedziny przemysłu i handlu. Powodzenie tych prelekcyi ma być dowodem, że wydział nie zasypia sprawy i że korzyść swym członkom przynosi. Nam tego rodzaju próba niezupełnie się wydaje ścisłą. Tłumne odwiedzanie sali odczytowej nie będzie dowodziło, że subjekci korzystają z nauki fachowej, od chwili istnienia odpowiedniej organizacyi, lecz tylko da świadectwo zdolności przyciągania słuchaczów przez prelegenta. Odczyty p. S. same przez się mogą być ciekawe i pożyteczne, ale zdaje się, że tym razem pobudki wypróbowania mylnie mu przypisano, skoro istnieją łatwiejsze sposoby sprawdzenia, o ile interesowani chcą korzystać z wydziału, mogącego przy

odpowiednem kierownictwie dać im sposobność zdobycia korzystniejszych miejsc przez rozszerzenie uzdolnień.

„Sezon martwy" w całej pełni. Życie towarzyskie leniwie się toczy, zastój widoczny w działalności publicznej. Wszelkie towarzystwa i instytucye pozamykały swoje sale, rajcowie pojechali „na trawę" lub zażywają wczasu w ogrodach miejskich; młodzież szkolna po pomyślnem złożeniu egzaminów zażywa roskoszy wiejskich. Tylko rodzice tych dzieci, które powrócą za kilka tygodni do miast dla egzaminów wstępnych, nie rozstają się z troską o los malców. „Czy będą wolne miejsca? Czy zda egzamin na czwórki i piątki?"—To są trwożne pytania, które bróżdżą po głowach stroskanych ojców. Tak! — Czy zda na *czwórki* i *piątki?* Tacy tylko mają pierwszeństwo wobec natłoku kandydatów. Przysposobić zaś malca tak świetnie, chociażby najbystrzejszego i przy wybitnych zdolnościach nauczyciela, nie jest rzeczą łatwą. Wstępny egzamin, to pierwszy ogień, który sparzy najbardziej pewnego siebie kandydata. Nie obyty ani z rutyną i otoczeniem, ani z całą uroczystością egzaminową, chłopiec, chociaż dobrze zna przedmiot dany, musi się zmieszać i gorsze dać pojęcie o wiedzy swojej, niż jest w istocie. Nic też dziwnego, że tylko wyjątkowo śmiali, a nie zawsze prawdziwie zdolni, dostają się odrazu do zakładów naukowych. Wielu rodziców, nie zastanawiając się nad tego rodzaju stanem psychicznym dziatwy i nad wpływem egzaminu na jej usposobienie, upatruje winowajcę w nauczycielu, pomimo jego sumienności i niezmordowanej pracy. Ten, kto nie miał nigdy do czynienia z nauczaniem, nie zawsze potrafi zrozumieć, jaka to jest trudna i zawiła dziedzina pedagogiczna, ile ona sił i zdrowia pochłania nauczycielom, a jak jest ciężką do zgruntowania. Łatwiej być profesorem uniwersytetu, niżeli nauczycielem w szkółce początkowej lub kierownikiem kilko a nawet kilkunastoletnich chłopców i dziewcząt. A ileż-to zboczeń, skrzywień i niepowodzeń młodzieży wynika z postępowania samych rodziców, składających i w tym wypadku winę na wcześniejszych lub późniejszych nauczycieli! Posłuchajmy, co mówi L. Wolberg w swej wybornej „Psychologii dziecka": „Dziecko—to nie zabawka ani laleczka, dla której wystarczył-by strój ładny, to nie zwierzątko, o którego pokarmie myśleć jedynie należy; to człowiek w epoce swego rozwoju, z zadatkami wszystkich własności człowieka dojrzałego, lecz pozbawiony jego hartu i doświadczenia i nie posiadający własnego rozumu... W wychowaniu dzieci kierujemy się przeważnie instynktem. Każda matka, każdy ojciec, którzy nigdy nie zajmowali się dziećmi, zanim sami je posiedli, mniemają, że miłość rodzicielska wystarcza dla umiejętnego wychowania dziecka. Przekonanie to mylne, instynkt macierzyński bowiem

opiekuje się przeważnie niemowlęciem i tylko stroną fizyczną, moralnej nie tykając wcale. Chyba każdy przyzna, że to zbyt mało dla wychowania człowieka. Instynkt zatem poprzeć wypada nauką, a nauka ta, t. j. pedagogika w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu, musi być opartą na dokładnem poznaniu wszystkich własności kierowanego przedmiotu, t. j. na racyonalnej fizyologii i psychologii dziecka."

Na takiej podstawie, niestety, rodzice nie opierają u nas kierownictwa dzieci, a i fachowi nauczyciele rzadko kiedy uwzględniają stan psychiczny i fizyologiczny dziecka. Cóż dopiero mówić o wszelkich bonach cudzoziemkach, którym częstokroć powierza się opiekę moralną i umysłową dziecka. Jaki jest wpływ tych „kierowniczek" na charakter, umysły, a nawet przyszłe losy dziatwy, wykazał w jaskrawym obrazie faktów i cyfr p. Wł. M. Kozłowski. Śród wychowańców bon jest znaczny procent zupełnie zepsutych pokątnemi nałogami fizycznemi, a takie nabytki są trudne do wykorzenienia, tem bardziej, że i kontrola pod tym względem jest prawie niemożliwą. Takie pochyłości w systemie wychowawczym, przy dobrej woli przynajmniej rodziców inteligentnych, dały-by się choć w części usunąć. Należy tylko przekładać sumienne nauczycielki krajowe nad bony i bardziej wnikać w głębie duszy młodocianej, tudzież wyrabiać powściągliwość i konsekwencyę w traktowaniu dziatwy. Jest to najtrudniejsze z zadań życiowych; to też dążyć należy do unikania przynajmniej zasadniczych błędów w wychowaniu.

Wiadomości bibliograficzne.

— *Biörnstjerne-Björnson.* „Jednożeństwo i wielożeństwo.“ Warszawa. Nakładem redakcyi „Głosu.“ 1893.

Myślą przewodnią autora jest powściągliwość i umiarkowanie. Zwraca on uwagę na to, iż dziś wielu ludzi zaczyna cenić to, co dotychczas lekceważyli, mianowicie skarby zdrowia; coraz bardziej się rozszerza zamiłowanie gimnastyki i wszystkiego, co sprzyja rozwojowi fizycznemu. Stąd wnosi, że z czasem wejdzie w życie również zasada wstrzemięźliwości. „Wstrzemięźliwość płciowa – pisze B.—bynajmniej nie osłabia, jak to często mówią, natury człowieka i nie pociąga za sobą żadnych chorób, jeżeli wogóle prowadzimy rozsądny i prawidłowy tryb życia. Blednica panieńska np., na którą do niedawna widzieli najlepsze lekarstwo w zamążpójściu, według ostatnich badań Virchowa i innych, ma zupełnie odmienne przyczyny: chorują na nią zarówno ośmioletnie dziewczynki, jak i prostytutki. Jedno takie pożyteczne wyjaśnienie obala całą masę szkodliwych przesądów i zadaje cios bezmyślnej gadaninie literackiej. O mężczyznach również przez długi czas mówiono, że wstrzemięźliwość płciowa wywołuje rozstrój psychiczny, ale oto nauka zaprowadziła osobną rubrykę statystyczną: „obłąkani wskutek wstrzemięźliwości płciowej“; i cóż się okazało?—rubryka ta zostaje prawie pustą. Wobec takiego dowodu wkrótce zapewne ustaną wszelkie spory w tej kwestyi, wszyscy zgodzą się na to, że właściwie nikt nie zwaryował wyłącznie z powodu wstrzemięźliwości

płciowej, waryują zaś ludzie wskutek tego, że dają w tym względzie zbytnią wolę swej wyobraźni.“ Przedstawiwszy obraz zniedołężnienia jednostek i społeczeństw wskutek rozpasania płciowego, autor surowo potępia system wielożeństwa, zarówno uprawnionego, np. u mahometan, jak i pokątnego u wszelkich narodów i na różnych szczeblach społecznych. Wielożeństwo, w którem mężczyźni spędzają młodość, prawie zawsze odbija się w małżeństwie w postaci niestałości, lekkomyślności, zdrady i podejrzliwości, albo chorobliwej nerwowości, przesycenia, hypochondryi i t. d. Autor nie jest wszakże zwolennikiem nierozerwalności związków, opartych na jednożeństwie: owszem — jeżeli są one lekkomyślnie zawierane, należy się ratować rozwodem, który powinien być jak najbardziej ułatwiony. Nie można uważać dzieci za ważny czynnik, powstrzymujący od tego kroku. „Czyż wiele pożytku przyniesie dzieciom matka, wymęczona i doprowadzona do rospaczy? Nie, dopóki społeczeństwo toleruje wielożeństwo, powinno w pewnych wypadkach zgadzać się na rozwód. Oprócz tego należy zaprzestać patrzenia się na rozwódkę, jak na niegodną tego szacunku, na jaki zasługuje kobieta zamężna. Jeżeli kobieta odważa się zerwać węzeł małżeński, ażeby ocalić swą godność moralną, zasługuje wtedy na większy szacunek, aniżeli wiele z tych, które pozostają małżonkami.“

— *Dr. med. M. Schreber*. „Gimnastyka lecznicza pokojowa, czyli zasady leczniczych ćwiczeń gimnastycznych bez przyrządów i pomocy wykonywanych dla płci obojga i każdego wieku,“ z wydania niemieckiego przełożył dr med. R. Radziwiłowicz. (Z 45 drzeworytami w tekście i tablicą). Warszawa, Gebethner i Wolff 1893. Gimnastyką leczniczą nazywa się zastosowanie ćwiczeń cielesnych, metodycznie ułożonych, do celów leczniczych. Tworzy ona odrębny dział w medycynie pod nazwą *kinesiterapii*, t. j. nauki o leczeniu ruchem trojakiej kategoryi: czynnym, biernym i opornym. Pierwszy jest wykonywany siłą własnych mięśni, bez obcej pomocy; drugi taki, który się odbywa zupełnie bez współudziału gimnastykującego się, lecz siłą mięśni obcej osoby. Kombinacya tych obu rodzajów stanowi ruch oporny: pacyent wysiłkiem swych mięśni stawia opór obcej osobie — gimnastykowi, ten zaś stara się go przezwyciężyć. Wszystkie te rodzaje dają tak wielką rozmaitość form ruchu, że, jak twierdzi autor, owe ćwiczenia pozwalają wydobyć z każdego organizmu wszystkie siły zdrowotne. Materyałem leczniczym gimnastyki pokojowej jest wyłącznie ruch czynny; bierny zaś i oporny musi być wykluczony, gdyż wymaga obcej pomocy. Rospowszechnienie gimnastyki szwedzkiej jest bardzo pożądane, ale stoi jej często na przeszkodzie brak odpowiednich pomieszczeń i przyrządów, głównie zaś — ludzi specyalnie wykształconych, bez których pomocy nie można marzyć o stosowaniu tego ro-

dzaju ćwiczeń. To też braki te poniekąd wypełnia gimnastyka pokojowa, posiadająca te same co i szwedzka zalety, tylko w mniejszym stopniu. Działanie jej głównie zapobiegawcze; ściśle lecznicze tylko w lżejszych formach chorobowych. Przeznaczona zaś jest przeważnie dla ludzi żyjących w złych warunkach zdrowotnych, używających mało ruchu. Wykład dziełka zawiera dokładne, wyczerpujące objaśnienia, między innemi zaś ważną przestrogę, ażeby każdy przed rospoczęciem gimnastyki zasięgał rady lekarskiej. Z tego powodu tłómacz niniejszej książki dodaje: „Gimnastyka jest bardzo energicznym środkiem leczniczym — potrafi dopomódz skutecznie, ale także i energicznie zaszkodzić, jeśli zostanie niewłaściwie zastosowaną“. Uwaga ta najbardziej się stosuje do poważnie chorych. Autor wreszcie zsumowuje bardzo ponętne rezultaty gimnastyki leczniczej, umiejętnie stosowanej: lepszy apetyt, spokojny sen, lepszy nastrój ogólny, łatwiejsze znoszenie zmian meteorologicznych, większa odporność organizmu, łatwiejsze znoszenie ujemnych wpływów moralnych i fizycznych, większe panowanie nad sobą, większa dzielność życiowa, spotęgowana wytrwałość w walce z przeciwnościami, trudniejsze męczenie się i wyczerpywanie, większa równowaga w czynnościach fizycznych i duchowych i późniejsza starość. Po zatem gimnastyka wskazuje, czy organizm w zupełnym jest porządku

— *Jerzy Demeny*. „Zasady wychowania fizycznego w Szwecyi,“ przekład A. Gawrońskiej. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1893. Autor opracował tę książkę na mocy osobistych badań odbytych w podróży po Szwecyi i zwrócił uwagę na najgłówniejsze zalety systemu szwedzkiego: jednolitość metody i zastosowanie środków do specyalnych warunków życia szkolnego. Drugi rozdział jest poświęcony obszernemu opisowi Instytutu gimnastycznego centralnego w Sztokholmie, jego założenia i administracyi. Dalej, w rozdziale trzecim, znajdujemy wykład metody gimnastyki pedagogicznej szwedzkiej, z wykazaniem, za pomocą tablicy, stopnia natężenia ćwiczeń, opisanie rodzaju ćwiczeń tudzież ich stopniowania. Rozdział czwarty obejmuje praktyczny wykład pedagogiczny. W rozdziale piątym zapoznajemy się z opisem sal gimnastycznych i przyborów do nauczania. Na treść czterech dalszych rozdziałów składa się: gimnastyka zachowawcza, gimnastyka wojskowa, lecznicza, gimnastyka wolnych studentów i gry narodowe; wreszcie wnioski, dążące do zorganizowania gimnastyki we Francyi, według planu gimnastyki pedagogicznej szwedzkiej. Słuszna jest uwaga autora, że dopiero po uskutecznieniu doktryny wychowania fizycznego i wykształceniu dobrych nauczycieli, ćwiczenia ciała zajmą należne sobie miejsce obok wychowania umysłowego, aby wspólnie wytwarzać pokolenia młodzieży jędrnej i zdrowej na ciele i umyśle.

— *Dr. Józef Tchórzewski.*„ Przewodnik dla służby zdrowia, (tak zwanych „sanitarzy"), pracującej podczas epidemii cholery, ułożony na podstawie praktyki sanitarnej i instrukcyi rządowych". Warszawa. Teodor Paprocki i S-ka, 1893. Książka ta jest przeznaczona dla ludzi, śledzących pierwsze wypadki cholery, o których, jako „sanitarze", mają obowiąskowo zawiadamiać władze. Na czele są umieszczone przepisy organizacyi służby zdrowia w Królestwie Polskiem, dalej zaś opis głównych oznak cholery, zaraźliwości wypróżnień cholerycznych; dokładnie wyłuszczone środki, zabespieczające od zarażenia się przy pielęgnowaniu chorych w życiu zwykłem; przepisy, zabespieczające od zarażenia się przy pielęgnowaniu chorych; rady, co robić z chorymi przed przybyciem lekarza; jak przygotowywać i stosować środki dezinfekcyjne; jak się obchodzić z pościelą, bielizną i ubraniem; w jaki sposób dezinfekować mieszkania po chorych na cholerę, znajdujące się tam przedmioty drobne, tudzież podwórza, wychodki, ścieżki i t. d.; wreszcie co robić na wypadek śmierci cholerycznego. Część druga obejmuje wskazówki praktyczne, mianowizie opis, jak sanitarze powinni nauczyć się praktycznie przygotowywać i stosować środki dezinfekcyjne, a także obchodzić się z parowemi aparatami dezinfekcyjnemi; w jaki sposób powinni umieć dać pomoc choremu, stosownie do peryodu choroby, przed przybyciem lekarza; powinni oni dobrze się obeznać z koniecznemi przedmiotami, używanemi do pielęgnowania i leczenia chorych. W końcu znajdujemy spis przedmiotów, potrzebnych do dezinfekcyi, które powinny być na pogotowiu w każdym oddziele sanitarnym, spis leków, używanych do leczenia cholery, które sanitarz znać powinien, wreszcie skorowidz użycia środków dezinfekcyjnych.

— „Prace matematyczno-fizyczne, wydawane w Warszawie przez S. Dicksteina, Wł. Gosiewskiego, Edw. i Wł. Natansonów. Tom IV. Warsz., 1893. Na treść tej książki złożyły się następujące prace: J. Puzyna: „Z teoryi n-krotnych całek określonych". A. J. Stodółkiewicz: „O całkowaniu równań różniczkowych liniowych rzędu n-go pod postacią skończoną". L. Birkenmajer: „O zasadniczych wzorach refrakcyi astronomicznej". A. J. Stodółkiewicz: „Uogólnienie twierdzenia o przypadkach szczególnych zagadnienia Pfappa". E. Snopek: „O kongruencyi $x^n + A_1 x^{n-1} + A_2 x^{n-2} + \ldots + A^n = 0 \pmod{p}$". E. Jabłoński: „Teorya przemian i waryacyi kołowych zupełnych". S. Dickstein: „O szeregach logarytmowych Wrońskiego". J. Sochocki. „Zasada największego wspólnego dzielnika w zastosowaniu do teoryi podzielności liczb algebrycznych". M. P. Rudzki: „O granicach atmosfery:". W. Biernacki: „O wahaniach elektrycznych w wibratorze wtórnym". J. J. Bogusski: „Sprawozdanie z działalności pracowni fizycznej Muzeum prze-

mysłu i rolnictwa". „Sprawozdania z piśmiennictwa polskiego w dziedzinie nauk matematyczno-fizycznych za rok 1891", przez W. Biernackiego, L. Birnkenmajera, M. Ciemniewskiego, A. Czajewicza, S. Dicksteina, B. Dziwińskiego, Wł. Gosiewskiego, E. Natansona, Wł. Natansona i A. Witkowskiego. I. Matematyka. II. Mechanika. III. Astronomia, fizyka i chemia teoretyczna. IV. Historya wiedzy. V. Varia.

— „Szumowiny", powieść obyczajowa współczesna, przez Armanda Palacio Valdes. Przekład z oryginału hiszpańskiego. Tom I. Warszawa, nakładem redakcyi Głosu, 1893.

— *Witold Kirkor.* „Walek-Muzykant", opowiadanie Wojciecha z Kornelówki. Warszawa, 1893.

— *Witold Kirkor.* „Jędrek-Malarz". Warszawa, 1893.

DYSKUSYA.

Kilka uwag o grzywnach karnych prof. Antoniego Maleckiego [1]).

Najdawniejsze nasze zabytki prawne i sądowe wymieniają kary pieniężne, zwane siedmdziesiąt, pięćdziesiąt, piętnaście i t. d., rozumie się grzywien, które już w przekładzie ustaw najdawniejszych, a następnie i w pomnikach sądownictwa, redukowane były na piątą część wymienionej kary, np. judicio siedmnadzieścia (zam. siedmdziesiąt alias quatuordecim, Stanislao Dąbrowski tres marcas. Terrest. Costen. r. 1408 f. 98 — pięćnadzieście videlicet tres marcas. Terrest. Posnan. r. 1400 f. 40, 50).

Pytanie, na jakiej zasadzie odbywało się to zniżanie nominalnej kary na jedną piątą, dotąd nie było dostatecznie rozwiązane, chociaż ma już swą literaturę, bo zajmowali się niem tacy poważni badacze, jak Lelewel, Roepell Helcel, Hube. Rozwiązanie tej zagadki tem było trudniejsze, że w praktyce sądowej XIV i XV wieku nie zupełnie już rozumiano, dlaczego kary te nazywano siedmdziesiąt, pięćdziesiąt, i przeto powstawało pewne zamieszanie, widoczne już w tem, że najwyższą karę, zwaną niemiłościwą, najczęściej w księgach sądowych pisano siedmnadzieście (t. j. siedmnaście) zamiast siedmdziesiąt.

---

[1]) Zob. Bibliot. Warsz. 1893 miesiąc kwiecień, str. 154.

Prof. Małecki przez bardzo starannie przeprowadzone badanie usiłował wykazać, że przy wykonywaniu przepisów prawa dlatego zniżano kary na piątą ich część, że wysokość tych kar była ustanowiona wtenczas, kiedy u nas była w użyciu grzywna pięć razy lżejsza od grzywny znanej w czasach historycznych.

Zajmującą ze wszech miar rosprawę prof. Małeckiego rozważę o tyle tylko, o ile wchodzi w zakres naszej numizmatyki. Dla krótkości w wyrażeniu, tę przypuszczalną grzywnę prof. Małeckiego będę nazywał grzywną pierwotną, późniejszą zaś grzywnę, pięć razy cięższą, grzywną historyczną, podobnie jak monety, podług pierwotnej grzywny bite, będę nazywał przedhistorycznemi, a wybijane podług grzywny historycznej—monetami bolesławowskiemi, rozumiejąc przez to monety Mieczysława I i Bolesława Chrobrego; późniejsze monety dla poszukiwania niniejszego są obojętne i prędzej-by je mogły zagmatwać, niż rozjaśnić.

Grzywna polska historyczna, będąca w użyciu do roku 1300, ważyła $^2/_3$ grzywny kolońskiej, a ponieważ kolońska ważyła 233.77 gramów [1]), przeto grzywna historyczna polska ważyła 155.85 gramów [2]). Grzywna pierwotna, której egzystencya, podług teoryi prof. Małeckiego, opiera się na znanej redukcyi kar na jedną piątą grzywny historycznej polskiej, musiała ważyć jedną piątą grzywny historycznej, czyli 31.17 gramów.

Odkrycie tej pierwotnej grzywny usiłował prof. Małecki poprzeć wagą najdawniejszych monet polskich. Myśl to była bardzo dobra, bo w rzeczy samej w tem poszukiwaniu wyraźniej niż w wielu innych razach pokazuje się, jak wielkie przysługi może numizmatyka oddać historyi.

Jeżeli prof. Małecki chciał użyć zabytków menniczych X i XI wieku na poparcie swej teoryi o grzywnie pierwotnej, to jedyną drogą prowadzącą do celu było wykazanie, że monety, bite podług grzywny pierwotnej (31, 17 gm.), były pięć razy lżejsze od monet, bitych podług grzywny historycznej (155,85 gm:), tak, jak grzywna pierwotna jest pięć razy lżejsza od grzywny historycznej. Lecz prof. Małecki, zwiedziony przez mylnie sobie przez kogoś podaną wagę monet przedhistorycznych, pozbawił się przez tę jedną pomyłkę najlepszego sposobu okazania prawdziwości swej teoryi o grzywnie pierwotnej. Pomyłka ta polega na tem, że prof. Małecki podał (str. 174) wagę monety przedhistorycznej 1.21 gm., gdy w rzeczywistości pieniążki te, stanowiące u Stronczyńskiego typy 1—4, ważą po 0.23 do 0.25 grama.

Za błędną tą wagą idzie kilka błędnych obliczeń i nie uzasadnionych wniosków. Naprzód mylne jest twierdzenie, wypowiedziane na str. 172, że grzywna historyczna nie służyła jeszcze za podstawę monetom, bitym za panowania Mieczysława I i Bolesława Chrobrego. Monety przedhistoryczne, ważą-

[1]) Friedensburg, „Schlesiens Münzgeschichte im Mittelalter". II, str. 4.
[2]) Friedensburg, tamże str. 24 i 315.

znalazłem w źródłowej rosprawie D-ra Tagmanna [1]), odnosi się do czasów, w których pierwotna grzywna wendyjska, jeżeli wogóle istniała, już uległa podobnej przemianie, jak nasza pierwotna grzywna. Powiedziano tam, że w Prawie Magdeburskiem z r. 1261 trzy grzywny wendyjskie były równe 36 solidom [2]). Z tego wypada, że grzywna wendyjska tego czasu równała się 12 solidom, a 144 denarom, jeśli solid obliczymy po 12 denarów. A ponieważ z grzywny kolońskiej wybijano 240 denarów, więc grzywna wendyjska roku 1261 miała się do grzywny kolońskiej, jak 4 do 6, czyli że grzywna wendyjska ważyła 140.25 gramów; była więc zbliżona do naszej grzywny historycznej, ważącej 155.85 gramów. Taka grzywna wendyjska nie ma żadnego związku z naszą grzywną pierwotną i w niczem się nie może przyłożyć do jej wyjaśnienia, równie jak i denary wendyjskie.

Było-by bardzo dobrze, gdybyśmy znaleźli ślady grzywny pierwotnej, czy to w monetach wendyjskich, czy w starożytnych rublach, lecz i brak dotychczasowy tych śladów jeszcze nas nie bardzo zasmuca, bo w sprawie grzywny pierwotnej zupełnie nam na teraz wystarcza stosunek monety przedhistorycznej do denarów Mieszka i Chrobrego, stosunek tak dokładnie odpowiadający stosunkowi pierwotnych grzywien karnych do kar, w późniejszych czasach w rzeczywistości wymaganych od winowajców.

Za wykrycie śladów pierwotnej naszej grzywny przez mozolne badanie należy się profesorowi Małeckiemu wdzięczność, i nie mam dziś słów na wyrażenie mu uznania za tę pod wielu względami pouczającą pracę, tem bardziej że ze sposobu opracowania widzę, ile czasu było potrzeba na przeprowadzenie badania, zajmującego kilkanaście stronic. Wielce byłbym zadowolony, gdyby dane przeze mnie wskazówki, zaczerpnięte z numizmatyki, przyczyniły się do uzasadnienia teoryi prof. Małeckiego o grzywnie pierwotnej, choćby dla tego, że i numizmatyka zyskała-by na tem odkryciu, bo dla niej badanie prof. Małeckiego dostarcza dowodu, że grzywna nasza historyczna o 155.85 gramach była zaprowadzona za Mieczysława I, gdyż za jego panowania nastąpiła zmiana systemu monetarnego, a zmiana ta mogła być przeprowadzona tylko jednocześnie ze zmianą grzywny. Pieniążki przedhistoryczne, oznaczone krzyżem patryarchalnym (Stron. typ. 3), były zapewne bite już za panowania Mieczysława, lecz podług grzywny pierwotnej. Powodem do przyznania ich Mieszkowi jest ta okoliczność, że podobny krzyż patryarchalny widzimy na jednej z monet Bolesława Chrobrego (Stron. typ. 10), a podobieństwo to tłomaczy się wpływem,

---

[1]) Ueber das Muenzwesen Schlesiens". w „Zeitschrifs des Vereins für Geschicht und Altertum Schlesiens," tom I str. 33—94. Zob. str. 53.

[2]) Miejsce to prawa magd. tak przełożył Kuszewicz („Prawo chełmiń." Poznań 1623 str. 6): „Mieszczanin, nieposłuszny rozkazowi zwierzchności, niechaj odłoży winy trzy grzywny słowiańskie, to jest sześć i trzydzieści szelągów zwyczajnej monety".

jaki wywarła moneta, bita za panowania ojca, na monetę pochodzącą z czasów syna. Monety zaś oznaczone napisem MISICO (Stron. typ. 5) bite są podług grzywny historycznej, z czego pokazuje się, że grzywna ta za panowania Mieszka została wprowadzona. Dla numizmatyki ta wiadomość jest bardzo pożądana, bo rzuca nowe światło na pieniążki przedhistoryczne, dotąd co do swego pochodzenia i wieku niezupełnie wyjaśnione.

Wykrycie śladów grzywny pierwotnej, poparte przez późniejszą praktykę sądową i przez pomniki menniczo, jest także ważne dla historyi prawa. Kary sądowe, znane pod siedmdziesiąt, pięćdziesiąt, piętnaście i t. d., ustanowione były wtenczas, kiedy jeszcze obowiązywała grzywna pierwotna o 31.17 gramach, gdyż wysokość tych kar, wyrażonych w grzywnach, zasadzała się na jakości grzywny. A ponieważ grzywnę tę pierwotną usunięto za panowania Mieczysława I, przeto wysokość kar, wyrażona przez siedmdziesiąt, pięćdziesiąt, i t. d. grzywien, była ustanowiona przynajmniej za Mieczysława I, a może nawet wcześniej. To stopniowanie kar stosownie do wysokości przestępstwa dowodzi, że przepisy prawne już za panowania Mieczysława I były ujęte w pewien system, że przestępstwa już ściśle dzielono na większe i mniejsze, boć rozmaita wysokość kar opierać się mogła tylko na różnicy ustanowionej między przestępstwami w drodze prawodawczej. Będzie to pewnie najwcześniejszy ślad prawodawstwa krajowego i postępowania sądowego.

Czuję to dobrze, że nie mam żadnego prawa wymagać od prof. Małeckiego, aby jeszcze raz wrócił do tego tak zajmującego przedmiotu, którego opracowanie stanowić będzie nie ostatnią zapewne gałązkę w wieńcu jego zasług niepożytych. Sądzę jednakże, że on sam najprędzej-by podołał temu niełatwemu zadaniu, i dlatego odzywam się do niego z tą prośbą.

Jeśliby brak skromności ze strony natręta miał go urazić, niech starzec starcowi wybaczy.

Józef Przyborowski.

Artykuł ten komunikowaliśmy prof. Małeckiemu i w odpowiedzi otrzymaliśmy list następujący:

Zwracam z podziękowaniem Szan. Panu rękopis p. Przyborowskiego, który odczytałem z prawdziwą przyjemnością. Taka szlachetna, poczciwa, prawdziwie przedmiotowa polemika, to najwyższa satysfakcya dla autora, ku któremu jest wymierzona. Im więcej zarzutów w pytaniach tak bezprzykładnie wątpliwych, tem więcej rzecz na tem zyskuje. A choćby na razie zostawało się niejedno, co dalszego dochodzenia wymaga, to już samo poruszenie py-

tań może pobudzić innych, czy to więcej wyrobione zdanie mających, czy posiadających zbiory znaczniejsze, do dorzucenia swego słowa do dyskusyi.

Niewątpliwie przyjdzie mi jeszcze zabrać głos w tym przedmiocie. Ale nastąpi to dopiero wtedy, kiedy i inne jeszcze podobne uwagi zostaną wytoczone. Z rozważenia ich wszystkich wyniknie albo uzupełnienie, albo i zmodyfikowanie w niejednym względzie mojego zdania pierwotnego. Co do uwag Szan. p. Przyborow., niepospolicie mnie ucieszyło, że główną myśl aprobuje, a nawet nowemi dowodami stwierdza. Bardzo też ponętną była-by mi myśl, że redukcya grzywien karnych zaszła jeszcze za rządów Miecz. I. Ale to jedno tylko w tem wadzi i wydaje mi się trudne do przyjęcia, że p. Przyborowski monety bolesławowskie uważa za już oparte na grzywnie „historycznej". Jeżeli te monety mają przypadkową faktyczną wagę przeciętną 1.35 gm., a jak On to koryguje, 1.25, to ileż ich szło na grzywnę? Czy przyjmiemy, że 115, czy że 124, czy 125: to będą to ilości kłopotliwe, z których nic się nie da zawiązać. Gdyż ilość sztuk w każdej grzywnie musi być taka, żeby się dała podzielić bez ułamku przez 12, t. j. żeby tworzyła pewną ilość solidów. Dalej: jeżeliby bolesławowskie monety były już oparte na historycznej grzywnie, to jak je związać z denarami Bolesława Śmiałego, Wł. Hermana i Krzywoustego, które ważyły *normalnie* 0.65, a szło ich na tę grzywnę 240?

Co się tyczy przypuszczenia, że mi ktoś podał mylnie wagę monet „przedhistorycznych" (1.21 gm.), to odpowiedzieć muszę, że ja sam sobie takową tak obliczyłem. A to na tej podstawie, że w tutejszym naszym bibliotecznym numizmatycznym zbiorze jest pewna ilość monet, zdeterminowanych (może zresztą niewłaściwie) jako przedhistoryczne, t. j. niebolesławowskie, ani też czeskie, których waga nast.: 0.98, 1.07, 1.15, 1.23, 1.31, 1.43, 1.45 gm. Wziąłem przeciętną, 1.21 (a możebym był lepiej uczynił, gdybym był wziął 1.25). Otóż chętnie koncedуję, że tych monet nie należało przedhist. nazywać, ale je odnieść do kategoryi bolesławowskich. Ale główny rezultat będzie i z tego taki, że tak tych, jak i bolesławowskich monet waga normalna była 1.30, albo 1.29, i że ich szło na grzywnę (o 31.17) sztuk 24.

Co rozumieć o tych, może rzeczywiście przedhistorycznych monetach, (Stroncz. № 1—4) o wadze c. 0.23 do 0.25?, w tej chwili nie umiałbym powiedzieć. Ale czy też to tak pewne, że to polskie i że z tego czasu monety?

A. Małecki.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weyssenhoff.

RODZINA POŁANIECKICH. [1]

IV.

Po powrocie do Warszawy, pierwszy wieczór spędził Połaniecki w domu swego wspólnika Bigiela, z którym, jako z dawnym kolegą szkolnym, łączyła go i osobista zażyłość. Bigiel, z pochodzenia Czech, ale z rodziny, osiadłej w kraju od kilku pokoleń, prowadził już przed połączeniem się z Połanieckim niewielki dom bankowo-handlowy i zyskał sobie opinię kupca, niezbyt wprawdzie przedsiębiorczego, ale uczciwego i nadzwyczaj pewnego w stosunkach. Gdy Połaniecki wszedł w spółkę, dom rozszerzył znacznie swą działalność i stał się poważną firmą. Wspólnicy dopełniali się doskonale. Połaniecki, nierównie zdolniejszy i bardziej rzutki, miał więcej pomysłów i ogarniał łatwiej całość każdej sprawy, natomiast Bigiel pilnował lepiej wykonania. Gdy chodziło o to, by okazać energię, lub przycisnąć kogoś do muru, tam Połaniecki był jedyny; natomiast gdy szło o rozmysł, o obejrzenie interesu z dziesięciu stron i o cierpliwość, tam zaczynała się rola Bigiela. Usposobieniem byli sobie wręcz przeciwni i może dlatego mieli dla się wzajemnie szczerą przyjaźń. Przewaga w stosunku była po stronie Połanieckiego. Bigiel wierzył w jego niepospolite zdolności, a kilka

[1] Patrz zeszyt lipcowy „Biblioteki."

pomysłów, istotnie bardzo dla domu szczęśliwych, jakie dał Połaniecki od czasu wejścia w spółkę, utwierdziły tę wiarę. Marzeniem obydwóch było dojść z czasem do takiego kapitału, by módz założyć fabrykę perkalów, którą kierował-by Połaniecki, administrował Bigiel. Ale, jakkolwiek obaj mogli się już liczyć do ludzi niemal zamożnych, była to odległa przyszłość. Mniej cierpliwy, a bardzo na wszystkie strony spokrewniony Połaniecki, probował wprawdzie zaraz po przyjeździe do kraju poruszyć w tym celu miejscowe, tak zwane „swojskie," kapitały. Ale spotkała go ogólna nieufność. Zauważył przytem rzecz dziwną. Oto jego nazwisko otwierało mu wprawdzie wszystkie drzwi, ale raczej szkodziło, niż pomagało mu w interesie. Zdawać się mogło, że tym ludziom, do których się zgłaszał, nie mieściło się w głowie, jakim sposobem jeden z nich, zatem człowiek ż dobrego domu i z nazwiskiem kończącem się na *ski*, może dobrze prowadzić jakikolwiek interes. Połanieckiego złościło to z początku tak, że roztropny Bigiel musiał gasić jego wybuchy za pomocą przedstawień, że podobna nieufność jest istotnie opartą na latach smutnych doświadczeń. I, znając dobrze historyę rozmaitych przedsiębiorstw handlowo-przemysłowych, cytował mu cały szereg nazwisk, począwszy od pana podskarbiego Tyzenhauza, a skończywszy na rozmaitych bankach włościańskich i Tellusach, które, prócz nazwy, nie miały w sobie nic ziemskiego, czyli, inaczej mówiąc, pozbawione były wszelkich realnych podstaw.—„Czas jeszcze nie przyszedł—mówił Bigiel,—ale czas przyjdzie, a raczej już nadchodzi. Do tej pory było tylko amatorstwo i dyletantyzm, teraz dopiero zjawiają się tu i owdzie ludzie fachowi."

Połaniecki, który, mimo swego temperamentu, miał zmysł spostrzegawczy dość rozwinięty, poczynił przytem rozmaite dziwne odkrycia w tych sferach, do których jego stosunki otwierały mu przystęp. Oto spotykało go ogólne uznanie za to, że coś robił. Podnoszono to nawet z naciskiem, ale było w tem uznaniu jeszcze jakby pewne pobłażanie. Każdy dawał zanadto do poznania, że się na to zgadza, że uważa to za potrzebne, nikt zaś nie zachował się tak, jakby fakt, iż Połaniecki czemś się zajmuje, uważał za rzecz zupełnie zwykłą i naturalną. „Oni mnie wszyscy *protegują!*"—mówił Połaniecki—i to była prawda. Doszedł też do przekonania, że gdyby naprzykład chciał sięgnąć po rękę którejś z panien z tak zwanego „towarzystwa"—to jego dom bankowo-handlowy i nazwa „aferzysty" byly-by mu, mimo owego uznania, raczej przeszkodą, niż pomocą. Prędzej-by mu oddano każdą z tych dziewczyn, gdyby, zamiast zyskownego przedsiębiorstwa, miał jaki obdłużony majątek, lub, gdyby, żyjąc, jak wielki pan, zjadał poprostu procenta od kapitału, albo nawet i sam kapitał.

Uczyniwszy całe tuziny tego rodzaju spostrzeżeń, Połaniecki począł zaniedbywać stosunki, a w końcu zaniechał ich zupełnie, poprzestając na domu Bigielów, pani Emilii Chwastowskiej i tych znajomościach męskich, jakie były konieczne przy jego życiu kawalerskiem. Jadał u François z Bukackim, ze starym Waskowskim i z adwokatem Maszko, z któremi ustawicznie rozprawiał i spierał się o rozmaite kwestye; bywał często w teatrze i na wszelkiego rodzaju zabawach publicznych, zresztą prowadził życie dość odosobnione, i dlatego, mimo wielkiej i wyrozumowanej ochoty, jak również mimo dostatecznego majątku, dotychczas się nie ożenił.

Zajechawszy, po powrocie z Krzemienia, niemal wprost do Bigielów, wylał naprzód całą żółć na „wujaszka“ Pławickiego, sądząc, że w gospodarzu znajdzie powolnego i współczującego słuchacza; ale Bigiel mało się wzruszył opowiadaniem i rzekł:

— Ja takie typy znam. Zresztą, prawdę powiedziawszy, skąd Pławicki weźmie pieniędzy, skoro ich nie ma? Z długami hipotecznemi trzeba mieć świętą cierpliwość. Majątek ziemski łatwo łyka pieniądze, ale oddaje je z największem wysileniem.

— Słuchaj, Bigiel — odrzekł Połaniecki, — od czasu, jak tyjesz i sypiasz po obiedzie, z tobą trzeba mieć także świętą cierpliwość.

— Bo tak szczerze — mówił niewzruszony Bigiel, — czy ty koniecznie potrzebujesz tych pieniędzy? Czy nie masz do rozporządzenia sumy, jaką każdy z nas obowiązany jest wnieść?

— Ciekawym, co tobie, albo Pławickiemu do tego? Mam u niego, muszę odebrać i skończyło się.

Wejście pani Bigielowej z całem stadkiem dzieci położyło tamę kłótni. Była to młoda jeszcze kobieta, ciemno-włosa, niebiesko-oka, bardzo dobra i bardzo zajęta dziećmi, których było sześcioro i które Połaniecki nadzwyczaj lubił. Była też za to szczerą jego przyjaciółką, jak również pani Emilii Chwastowskiej. Obie te panie, znając i kochając Marynię Pławicką, postanowiły ożenić z nią Połanieckiego, obie namawiały go bardzo silnie, by osobiście jechał po pieniądze do Krzemienia; teraz więc pani Bigielowa płonęła ciekawością, jakie te odwiedziny uczyniły na nim wrażenie.

Ale z powodu dzieci nie można się było dogadać. Najmłodszy z tych, które już chodziły na własnych nogach, Jaś, objąwszy rękoma łydkę Połanieckiego, począł za nią ciągnąć, wołając: „Pan, pan!“—co w jego języku brzmiało: „Pam! pam!“—dwie dziewczynki, Ewka i Joasia, wgramoliły się bez ceremonii na kolana młodego człowieka, a Edzio i Józio wytoczyli przed nim sprawę. Dzieci czytały „Zdobycie Meksyku“ i bawiły się w „Zdobycie Meksyku,“ więc Edzio, podniósłszy brwi i przekręciwszy dłonie do góry, mówił z zapałem:

— Dobrze! ja będę Kortezem, a Józio rycerzem na koniu, ale jak Ewka, ani Joasia nie chcą być Montezumą, to jakże? Przecież tak nie można się bawić, prawda? Ktoś musi być Montezumą, bo inaczej, któż będzie Meksykanami dowodził?

— A gdzie są Meksykanie?—spytał Połaniecki.

— No—rzekł Józio—Meksykanami są przecie krzesła i Hiszpanami także.

— To czekajcież, ja będę Montezumą — a teraz zdobywajcież Meksyk!

Tu wszczął się rwetes nieopisany. Żywość Połanieckiego pozwalała mu zmieniać się chwilami w dziecko. Stawił on tak zacięty opór Kortezowi, że Kortez począł mu odmawiać prawa do takiego oporu, twierdząc, nie bez słuszności historycznej, że, skoro Montezuma został pobity, to powinien się dać pobić. Na to Montezuma odpowiadał, że go to mało obchodzi i walczył dalej. W ten sposób zabawa przedłużała się coraz bardziej.

Lecz pani Bigielowa, nie mogąc doczekać końca, spytała wreszcie męża:

— Jakże wizyta w Krzemieniu?

— Zrobił to, co teraz robi — odpowiedział z flegmą Bigiel, — poprzewracał wszystkie krzesła i wyjechał.

— Mówił ci co?

— O pannę nie miałem czasu go rozpytać, ale z Pławickim rozstał się, jak nie można gorzej. Chce sprzedać swój dług na Krzemieniu, co oczywiście pociągnie za sobą zupełne zerwanie stosunków.

— Szkoda—odrzekła pani Bigielowa.

I przy herbacie, gdy dzieci spać poszły, poczęła wprost wypytywać Połanieckiego o Marynię.

— Nie wiem—odpowiedział Połaniecki,—może jest ładna, może nie! nie zastanawiałem się nad tem.

— To nie prawda—odpowiedziała pani Bigielowa.

— A więc nie prawda! a więc jest miła, ładna i co pani chce. Można się w niej zakochać, można się z nią ożenić, ale noga moja więcej u nich nie postanie. Wiem doskonale, dlaczego mnie tam panie wysyłały, tylko lepiej mnie było ostrzedz, kim jest jej ojciec, bo ona musi być do niego z usposobienia podobna, a jeśli tak jest, to dziękuję uniżenie.

— Niech się pan zastanowi, co pan mówi: „jest ładna, jest miła, można się z nią ożenić“—a potem: „musi być do ojca podobna!“—Przecie to się nie trzyma!

— Być może, wszystko mi jedno! nie mam szczęścia i dość na tem!

— A ja powiadam panu dwie rzeczy: po pierwsze, że pan powrócił pod silnem wrażeniem Maryni, po drugie, że to jest jedna z najlepszych panien, jakie w życiu widziałam i że szczęśliwy będzie, kto ją weźmie.

— Czemuż jej dotąd nikt nie wziął?

— Bo ona ma dwadzieścia jeden lat i niedawno w świat weszła. Niech pan zresztą nie myśli, żeby nie miała już starających się.

— Niech-że ją bierze kto inny.

Ale Połaniecki powiedział to nieszczerze, myśl bowiem, że ją może wziąć kto inny, była mu ogromnie przykra. Czuł też w duszy wdzięczność dla pani Bigielowej za jej pochwały dla Maryni.

— Niech tam!—rzekł,—ale pani jest dobrą przyjaciółką!

— Nietylko Maryni, ale i pańską, i pańską. Proszę tylko o szczerą, ale zupełnie szczerą odpowiedź: jest pan pod wrażeniem, czy nie jest?

— Ja? pod wrażeniem? szczerze mam powiedzieć?—ogromnie!

— A widzi pan!—odrzekła pani Bigielowa, której twarz rozjaśniła się zadowoleniem.

— Cóż widzę? Nic nie widzę! Podobała mi się ogromnie—prawda! Pani nie ma pojęcia, jakie to sympatyczne i pociągające stworzenie. I dobra musi być! Ale cóż? przecie ja drugi raz do Krzemienia nie mogę jechać. Wyjechałem taki zły, mówiłem nietylko Pławickiemu, ale i jej, takie przykre rzeczy, że to niepodobna.

— Bardzo pan nabroił?

— Raczej zanadto, niż zamało.

— To można listem ułagodzić.

— Ja-bym miał pisać do Pławickiego i przepraszać? Za nic w świecie! Przecie on mnie zresztą przeklął.

— Jakto, przeklął?

— Jako patryarcha rodu. W swojem imieniu i wszystkich przodków. Mam taki do niego wstręt, że nie umiał-bym dwóch słów nakreślić. To jest stary, patetyczny komedyant. Ją prędzej-bym przeprosił, ale na co się to zdało? Ona musi z ojcem trzymać. To i ja rozumiem. W najlepszym razie odpisze mi, że jej bardzo przyjemnie i na tem stosunek się urwie.

— Jak Emilka wróci z Reichenhallu, to pod pierwszym lepszym pozorem ściągniemy tu Marynię—i wtedy, to już będzie pańska rzecz, by się te nieporozumienia zatarły.

— Zapóźno, zapóźno!—powtórzył Połaniecki.—Dałem sobie słowo, że tę sumę sprzedam—i sprzedam.

— To może właśnie będzie lepiej.

— Nie, to będzie gorzej!—wtrącił pan Bigiel.—Ja go namawiam, by sumy nie sprzedawał. Mam przytem nadzieję, że kupca na nią nie znajdzie.

— A tymczasem Emilka ukończy kuracyę Litki.

Tu pani Bigielowa zwróciła się do Połanieckiego:

— Zobaczy pan, jak teraz inne panny będą się panu wydawały po Maryni. Ja nie jestem z nią tak blizko, jak Emilka, ale postaram się znaleźć pierwszy lepszy pozór, żeby do niej napisać i dowiedzieć się, co też ona o panu myśli.

Na tem skończyła się rozmowa. Połaniecki, wracając do domu, spostrzegł, że jednak ta Marynia zajęła już wcale niepoślednie miejsce w jego duszy. Prawdę mówiąc, nie mógł prawie o czem innem myśleć. Miał jednak współcześnie poczucie, że ten stosunek zaczął się w warunkach niepomyślnych, i że lepiej było-by wybić sobie z głowy tę dziewczynę, póki jest jeszcze czas po temu. Jako człowiek duchowo raczej tęgi, niż słaby, i nie przywykły oddawać się marzeniom dlatego tylko, że one są miłe, postanowił trzeźwo ocenić położenie i rozważyć je ze wszystkich stron. Panna posiadała wprawdzie wszystkie niemal te warunki, których wymagał od przyszłej swej żony, i nadto przypadła mu osobiście do serca. Ale posiadała przytem i ojca, którego Połaniecki już nie znosił; a prócz ojca, prawdziwe brzemię pod postacią Krzemienia z przyległościami. „Z tą uroczystą starą małpą nie zżyję się nigdy i nie mogę się zżyć — myślał Połaniecki, — albowiem z nim dwojaki tylko stosunek jest możliwy: trzeba albo mu się poddać, do czego bezwarunkowo nie jestem zdolny, albo nim potrząsać codzień, tak, jak potrząsnąłem w Krzemieniu. W pierwszym razie, ja, człowiek niezależny, poszedł-bym w nieznośną niewolę starego egoisty, w drugim—rola mojej żony była-by trudna, przykra i nasze pożycie mogło-by się popsuć."

— Spodziewam się—mówił sobie dalej,—że to jest trzeźwe i logiczne rozumowanie. Było-by ono błędnem tylko wówczas, gdybym ją już kochał. Sądzę jednak, że tak nie jest. Jestem nią zajęty, nie zakochany w niej. To są dwie rzeczy różne. Ergo: trzeba przestać o niej myśleć i niech ją bierze kto inny!

Na tę ostatnią myśl znów zapiekło go żywe uczucie przykrości, ale pomyślał. „Jestem nią tak zajęty, iż to jest rzecz naturalna. Ostatecznie, zgryzłem niejedną przykrość w życiu, zgryzę i tę. Przypuszczam także, że będzie się ona z każdym dniem zmniejszała.

Ale wkrótce spostrzegł, że, prócz tej przykrości, zostaje w nim jeszcze uczucie żalu, z powodu zniknięcia tych widoków, które otwierały się przed nim. Zdawało mu się teraz, że podniesiono przed nim jakąś zasłonę przyszłości i pokazano, co-by być mogło, a potem spuszczono

ją nagle i życie jego wracało na dawną drogę, nie prowadzącą ostatecznie do niczego, a raczej prowadzącą do pustkowia. Połaniecki czuł, bądź co bądź, że stary filozof Waskowski ma słuszność, i że robienie pieniędzy może być tylko środkiem. Po-za tem zagadka życiowa winna być inaczej rozwiązana. Musi być jakiś cel, jakieś zadanie poważne, które, spełniane w sposób cny i prosty, prowadzą do uspokojenia duchowego. To uspokojenie jest duszą życia — i bez niego nie ma ono, krótko mówiąc, sensu. Połaniecki był pod pewnym względem dzieckiem wieku, to jest nosił i on w sobie część tego ogromnego niepokoju, który w obecnej schyłkowej epoce jest zmorą ludzką. I w nim wykruszyły się te podstawy, na których dotąd wspierało się życie. I on zwątpił, czy, potykający się o wszystkie przydrożne kamienie racyonalizm zdoła zastąpić wiarę, a wiary dotychczas nie odzyskał. Od współczesnych „dekadentów“ różnił się jednak tem, że się nie rozlubował w sobie, w swoich nerwach, w swoich zwątpieniach, w swoim duchowym dramacie, i że nie dał sobie dyspensy na niedołęstwo i próżniactwo. Miał, owszem, mniej więcej uświadomione poczucie, że życie, jakie ono jest, tajemnicze, czy nie tajemnicze, musi być wypełnione szeregiem prac i czynów. Sądził, że jeśli jest niepodobieństwem odpowiedzieć sobie na rozmaite: „dlaczego?“ to jednak należy coś robić—sam czyn bowiem może być do pewnego stopnia odpowiedzią. Może być wprawdzie niedorzeczną, ale przynajmniej człowiek, który tak odpowiada, zrzuca z siebie odpowiedzialność. Więc cóż pozostaje? Założenie rodziny i praca społeczna. Jedno i drugie musi być jednak do pewnego stopnia prawem natury ludzkiej i jej przeznaczeniem, gdyż inaczej ludzie nie żenili-by się, ani wiązali w społeczeństwa. Tego rodzaju filozofia, popierająca rozumowo męskie instynkta Połanieckiego, wskazywała mu małżeństwo, jako jeden z głównych celów życia. Jego wola była oddawna napięta i zwrócona ku temu celowi. Przez chwilę panna Marynia wydała mu się być ową przystanią, „do której okręt w noc pochmurną zmierza.“—Teraz więc, gdy sobie wyrozumował, że światła tej przystani nie dla niego były zapalone, że trzeba płynąć dalej, zacząć nanowo żeglugę po nieznanych morzach, ogarnęło go uczucie i zmęczenia, i żalu. Ale własne rozumowania wydały mu się logiczne i wrócił do domu z ustalonem prawie zupełnie przekonaniem, że „jeszcze nie ta“ i „jeszcze nie tym razem!“

Nazajutrz, poszedłszy na obiad, znalazł w restauracyi Waskowskiego i Bukackiego. Po chwili nadszedł też i Maszko ze swoją twarzą arogancką, długiemi faworytami, monoklem w oku, wypiekami na twarzy i białą kamizelką. Po powitaniu, wszyscy poczęli wypytywać się Połanieckiego o wyprawę do Pławickiego, w części bowiem wiedzieli,

dlaczego panie nastawały na jego osobisty wyjazd, a prócz tego, znali pannę Pławicką od pani Emilii Chwastowskiej.

Po wysłuchaniu opowiadania, przezroczysty, jak sewrska porcelana, Bukacki, rzekł z właściwą sobie flegmą:

— Więc wojna? To jest panna, która działa na nerwy i teraz pora była-by o nią uderzyć. Kobieta na kamienistej drodze łatwiej przyjmuje ofiarowane sobie ramię, niż na równym gościńcu.

— To jej podaj—rzekł z pewną niecierpliwością Połaniecki.

— Widzisz, mój kochany, są trzy przeszkody. Naprzód, jeszcze bardziej działa mi na nerwy pani Emilia, powtóre, miewam co rano ból w szyi i tylnej części głowy, co zapowiada chorobę mózgową, a po trzecie, jestem goły.

— Ty goły?

— Przynajmniej teraz: kupiłem kilkanaście Falków, wszystko „avant la lettre," i wypłókałem się na jaki miesiąc—a jeśli dostanę z Włoch jednego Masaccia, o którego się układam w tej chwili, to się zrujnuję na jaki rok.

Waskowski, który z rysów, a raczej z wypieków na twarzy, podobny był nieco do Maszki, lubo daleko starszy i lubo twarz miał pełną słodyczy, utkwił swoje niebieskie oczy w Bukackiego i rzekł:

— I to choroba wieku. Kolekcyonerstwo i kolekcyonerstwo na wszystkie strony!

— Oho! będzie rozprawa—zauważył Maszko.

— Nie mamy nic lepszego do roboty—odpowiedział Połaniecki.

A Bukacki podniósł rękawiczkę.

— Co pan masz przeciw kolekcyonerstwu?

— Nic—odpowiedział Waskowski.—To jest taki staruszkowaty, godny naszych czasów, sposób kochania sztuki. Czy nie myślicie, że jest w tem coś zgrzybiałego? Podług mnie, to jest bardzo charakterystyczne. Niegdyś nosiło się w sobie zapał dla wielkiej sztuki, kochało się ją tam, gdzie była: w muzeach, w kościołach; dziś sprowadza się ją sobie do prywatnego gabinetu. Dawniej kończyło się na kolekcyonowaniu, dziś się od niego zaczyna—i zaczyna się od dziwactw. Nie mówię do Bukackiego, ale dziś najmłodszy chłopak, byle miał trochę pieniędzy, poczyna kolekcyonować — i co? nieraz nie przedmioty sztuki, ale jej dziwactwa, albo przynajmniej drobiazgi. Widzicie, moi drodzy, mnie się zdawało zawsze, że miłość i amatorstwo, to są dwie rzeczy różne, i przypuszczam naprzykład, że wielki amator kobiet nie jest człowiekiem zdolnym do podniosłego uczucia.

— To być może. W tem coś jest—rzekł Połaniecki.

— Co mnie to może obchodzić—rzekł Maszko, rozczesując palcami swoje angielskie bokobrody,—w tem tkwi przedewszystkiem zrzędzenie starego pedagoga na nowsze czasy.

— Pedagoga?—powtórzył Waskowski.—Naprzód, od czasu, jak mi spadł, jak z nieba, kawał chleba, wyrzekłem się rzezi niewiniątek i roli Heroda, powtóre, mylisz się pan, że ja zrzędzę. Ja niemal z radością widzę i notuję coraz nowe dowody, że jesteśmy przy końcu epoki i że wkrótce przyjdzie nowa.

— Jesteśmy na pełnem morzu i nie prędko zawiniemy do brzegu— mruknął Maszko.

— Daj spokój—odpowiedział Połaniecki.

Lecz niezrażony Waskowski ciągnął dalej:

— Amatorstwo prowadzi do wyrafinowania, a w wyrafinowaniu giną wielkie ideały i ustępują chęci używania. Wszystko to nic innego, jak pogaństwo. Nikt sobie nie zdaje sprawy, do jakiegośmy stopnia spoganieli, ale jest co? jest duch aryjski, który nie kostnieje, nie zastyga nigdy, duch, mający w sobie tchnienie boże, więc moc twórczą— i temu duchowi już ciasno w pogańskich więzach, i reakcya już się poczyna, i nastąpi odrodzenie się tak na tem polu, jak i na innych w Chrystusie... To niewątpliwa rzecz.

I Waskowski, który miał oczy, jak dziecko, to jest odbijające tylko zewnętrznie przedmioty, a utkwione wiecznie jakby w nieskończoność, utkwił je teraz w oknach, przez które widać było szare chmury, między któremi przedzierały się gdzieniegdzie promienie słońca.

Bukacki zaś rzekł:

— Szkoda, że mnie głowa pobolewa, bo to będzie ciekawa epoka.

Lecz Maszko, który Waskowskiego nazywał „piłą“ i nudził się jego rozprawami, wszczynanemi rzeczywiście z lada powodu, albo i bez powodu, wydobył z bocznej kieszeni surduta cygaro, przygryzł koniec i, zwróciwszy się do Połanieckiego, rzekł:

— Słuchaj, Stasiu, czybyś ty rzeczywiście sprzedał tę sumę, którą masz na Krzemieniu?

— Stanowczo. Dlaczego pytasz?

— Bo ja-bym może *reflektował*.

— Ty?

— Tak. Wiesz, że często *reflektuję* tego rodzaju interesa. Możemy o tem pogadać. Dziś napewno nic ci nie mogę powiedzieć, ale jutro każę sobie przysłać wykaz hypoteczny Krzemienia i powiem ci, czy rzecz jest możliwa. Może po obiedzie przyjdziesz do mnie jutro na kawę i może coś ułożymy.

— Dobrze. Jeśli co ma być, wolał-bym, żeby było prędko, bo jak się tylko załatwię z Bigielem, chciał-bym wyjechać.

— Dokąd się wybierasz?—spytał Bukacki.

— Nie wiem. W mieście zanadto już gorąco. Gdzieś do drzew i wody.

— Także stary przesąd—rzekł Bukacki,—w mieście zawsze po jednej stronie ulicy jest cień, czego niema na wsi. Chodzę sobie cienistą stroną i jest mi dobrze, dlatego nigdy w lato z miasta nie wyjeżdżam.

— A profesor nie wybierasz się gdzie? — spytał Waskowskiego Połaniecki.

— Owszem. Pani Emilia namawiała mnie na Reichenhall. Może się i wybiorę.

— A to jedźmy razem. Mnie wszystko jedno, gdzie pojadę. Lubię Salzburg, a przytem miło mi będzie zobaczyć panią Emilię i Litkę.

Bukacki wyciągnął swą przezroczystą rękę, wziął wykałaczkę z kieliszka i, wykałając zęby, począł mówić swym zimnym i obojętnym głosem:

— Wre we mnie tak wściekła burza zazdrości, że i ja gotów jestem jechać z wami. Połaniecki, strzeż się, żebym nie wybuchnął, jak dynamit.

Było coś tak zabawnie przeciwnego między słowami, a tonem Bukackiego, że Połaniecki począł się śmiać, po chwili zaś odpowiedział:

— Do głowy mi nie przyszło, że można się zakochać w pani Emilii. Dziękuję ci za ideę.

— Biada wam obojgu — odrzekł Bukacki, wykałając dalej zęby.

V.

Nazajutrz, po wczesnym obiedzie u Bigielów, Połaniecki udał się o oznaczonej godzinie do Maszki. Czekano tam na niego widocznie, bo w gabinecie zastał przygotowaną wykwintną zastawę do czarnej kawy i kieliszki do likierów. Sam Maszko nie ukazał się jednak zaraz, gdyż, jak mówił służący, przyjmował jakieś panie. Jakoż przeze drzwi dochodził z salonu jego głos i słowa kobiece. Połaniecki począł się przypatrywać tymczasem przodkom Maszki, których kilka portretów wisiało na ścianach i o których autentyczności powątpiewali przyjaciele młodego adwokata. Zwłaszcza pewien zezowaty infułat dostarczał Bukackiemu przedmiotu do konceptów, ale Maszko nie zrażał się tem. Postanowił on narzucić, bądź co bądź, światu siebie, swoich przodków, swoją genialność do interesów, wiedząc, że w tem społeczeństwie, w którem żył, będą sobie ludzie z tego podrwiwali, ale nikt nie zdobę-

dzie się na energię, by wystąpić czynnie przeciw tym pretensyom. Posiadając sam energię i zuchwałość bez granic, a oprócz tego rzeczywisty spryt do interesów, postanowił wybić się w górę za pomocą tych środków. Ludzie, którzy go nie lubili, nazywali go bezczelnym i był on nim istotnie, ale był z rozmysłu. Pochodząc z rodziny, wątpliwie nawet szlacheckiej, traktował ludzi, niewątpliwie pochodzących ze starych rodów, jakby był bez porównania lepiej od nich urodzonym, ludzi niewątpliwie bogatych, jakby był od nich bogatszym—i udawało się—i owa taktyka robiła swoje. Pilnował się tylko, by nie popaść w zupełną śmieszność, ale granice w takiem postępowaniu wyznaczył sobie nadzwyczaj szerokie. Ostatecznie doszedł do tego, do czego chciał: był przyjmowany wszędzie i wyrobił sobie duży kredyt. Niektóre obroty przynosiły mu rzeczywiście spore zyski, ale pieniędzy nie zbierał. Uważał, że na to czas nie przyszedł, i że musi jeszcze wkładać w przyszłość, chcąc, by mu się wypłaciła tak, jak tego od niej żądał. Pieniędzy wprawdzie nie trwonił i nie zbytkował, uważając, że w ten sposób wchodzą w świat parweniusze—ale gdzie trzeba było, okazywał się, według własnego wyrażenia, „solidnie hojnym." Uchodził też za człowieka nader gładkiego w interesach i nadewszystko słownego.

Słowność jego oparta była wprawdzie na kredycie, ale też i podtrzymywała go w wysokim stopniu, co znów pozwoliło mu robić obroty istotnie wielkie. Nie cofał się zaś przed byle czem. Posiadał, prócz odwagi i pewnego zapędu, wyłączającego długie rozmysły, jeszcze i wiarę w swe szczęście. Powodzenia wzmocniły tę wiarę. Nie wiedział wprawdzie nigdy sam, ile ma majątku, ale obracał dużemi pieniędzmi i ludzie mieli go za bogatego.

Ostatecznie sprężyną jego życia była raczej próżność, niż chciwość. Chciał wprawdzie być bogatym, ale przedewszystkiem pragnął uchodzić za wielkiego pana na sposób angielski. Przystosował do tego nawet swoją powierzchowność i był niemal dumny ze swej brzydoty, wydawała mu się bowiem arystokratyczną. Jakoż tkwiło jeśli nie coś niepospolitego, to przynajmniej coś nie swojskiego w jego wydętych ustach, szerokich nozdrzach i czerwonych wypiekach na twarzy. Była pewna siła i brutalność, jaką czasem mają Anglicy, a ów wyraz potęgowała jeszcze ta okoliczność, że, nosząc binokle, musiał zadzierać głowę do góry, a przy rozczesywaniu jasnych bokobrodów palcami, zadzierał ją jeszcze bardziej.

Polaniecki nie znosił go z początku i aż nazbyt mało to ukrywał; później przyzwyczaił się do niego, zwłaszcza, że i Maszko obchodził się z nim inaczej, niż z innymi, może przez uznanie, jakie po cichu dla niego żywił, może też dlatego, że chcieć nadto nabierać z góry człowieka tak czupurnego, było to narażać się na natychmiastową odprawę, w naj-

lepszym razie, nieprzyjemną. W końcu, spotykając się często, młodzi ludzie, przyzwyczaiwszy się do swych wzajemnych słabości, poczęli się zupełnie znosić, i teraz naprzykład, gdy Maszko, odprawiwszy swoje panie, pokazał się w gabinecie, zbył się na chwilę swej wielkości i, powitawszy Połanieckiego, począł mówić, jak zwykły śmiertelnik, nie zaś jak wielki pan, ani jak Anglik.

— Z babami! z babami!—c'est toujours une mer à boire! Umieściłem ich kapitalik i płacę im procenta najregularniej. Nie! Przychodzą przynajmniej raz na tydzień pytać, czy nie było jakiego trzęsienia ziemi.

— Cóż mi powiesz?—spytał Połaniecki.

— Przedewszystkiem napij się kawy.

I, podpaliwszy alkohol pod maszynką, rzekł:

— Z tobą przynajmniej nie będzie maruźtwa. Wykaz hypoteczny widziałem. Suma nie jest łatwa do odzyskania, ale za straconą jej uważać nie podobna. Oczywiście, odzyskanie pociąga za sobą koszta, podróże i tak dalej, dlatego nie mogę ci dać tyle, ile całość wynosi, ale dam ci jej dwie trzecie i wypłacę w trzech ratach w ciągu roku.

— Ponieważ powiedziałem sobie, że zbędę wszystko, choćby za mniej, więc przystaję. Kiedy pierwsza rata będzie płatna?

— Za kwartał.

— To zostawię pełnomocnictwo na Bigiela na wypadek, gdybym musiał wyjechać.

— A teraz wybierzesz się do Reichenhallu?

— Prawdopodobnie.

— Ej, kto wie, czy ci naprawdę Bukacki nie poddał jakiej myśli?

— Każdy ma swoje. Ty naprzykład?... Dlaczego ty kupujesz tę sumę na Krzemieniu? Przecie to jest za mały dla ciebie interes?

— Między większemi robią się i mniejsze. Ale z tobą będę otwarty. Wiesz, że ani moja pozycya, ani mój kredyt nie należą do ostatnich, ale i jedno, i drugie wzmocni się, gdy będę miał za sobą kawał ziemi, i to taki duży. Słyszałem sam od Pławickiego w swoim czasie, że był-by gotów Krzemień sprzedać. Otóż przypuszczam, że teraz jest jeszcze bardziej gotów, i że można będzie cały ten majątek nabyć tanio, nawet bardzo tanio, na jakieś spłaty, za jakąś marną na razie gotówkę, z dodatkiem rente viagère. Zobaczę wreszcie! Później, oporządziwszy go trochę, jak konia na jarmark, można go będzie sprzedać, a tymczasem będę miał tytuł własności, o który, entre nous, mocno mi chodzi.

Połaniecki słuchał z pewnym przymusem słów Maszki, poczem rzekł:

— Muszę ci i ja powiedzieć otwarcie: kupno nie pójdzie łatwo. Panna Pławicka jest bardzo sprzedaży przeciwna. Ona, jak to kobiety! Kocha się w swoim Krzemieniu i uczyni wszystko, co będzie mogła, żeby został w jej i ojca rękach.

— Więc w najgorszym razie zostanę wierzycielem pana Pławickiego i nie myśl, żeby suma mi przepadła. Naprzód, mogę ją, za przykładem twoim, sprzedać, powtóre, jako adwokat, mam daleko większą łatwość wydobycia jej. Mogę sam wynaleźć sposoby spłacenia i wskazać je Pławickiemu.

— Możesz także subhastować Krzemień i nabyć go z licytacyi.

— Mógł-bym, gdybym był kim innym, ale Maszce dyablo nie wypada. Nie! Znajdą się inne środki, na które może i panna Pławicka, którą zresztą bardzo cenię i wysoko stawiam, chętnie się zgodzi.

Połaniecki, który w tej chwili dopijał resztek kawy, postawił nagle filiżankę na stole.

— A!—rzekł—można i tak dojść do tytułu własności.

I znowu chwyciło go uczucie wielkiej przykrości i gniewu. W pierwszej chwili chciał wstać, powiedzieć Maszce: „Sumy nie sprzedam!“—i pójść. Pohamował się jednak, Maszko zaś rozczesał bokobrody i odpowiedział:

— A gdyby?... Mogę ci słowem zaręczyć, że w tej chwili jeszcze takiego planu nie mam, że przynajmniej nie postawiłem go sobie wyraźnie. Ale... a gdyby? Pannę Pławicką poznałem w swoim czasie w Warszawie którejś zimy i podobała mi się bardzo. Rodzina jest dobra, majątek zrujnowany, ale duży i możliwy do uratowania. Kto wie! To taka myśl, jak i każda inna. Jestem z tobą zupełnie lojalny, jak zresztą jestem zawsze. Pojechałeś niby po pieniądze, ale ja wiedziałem, dlaczego cię te panie tam wyprawiły. Wróciłeś jednak zły, jak dyabeł, więc przypuszczam, że nie masz zamiarów. Jeśli mi powiesz, że się mylę, to ustąpię natychmiast—nie od planu, bo, jakem ci zaręczył, nie mam go jeszcze, ale nawet od myślenia o nim, jak o czemś możliwem. Daję ci na to słowo. Tylko znów w razie przeciwnym, nie trzymaj-że się zasady: „ni dla mnie, ni dla kogo,“ i nie zagradzaj pannie drogi. A teraz słucham cię.

Połaniecki przypomniał sobie swoje wczorajsze rozumowania, pomyślał także, że Maszko ma słuszność, mówiąc, iż w takim razie nie powinien pannie zagradzać do niczego drogi, i po pewnym czasie odrzekł:

— Nie, Maszko, ja nie mam żadnych zamiarów względem panny Pławickiej. Możesz się z nią żenić, albo nie! Powiem ci jednak otwarcie: jest jedna rzecz, która mi się w tem nie podoba, chociaż dla mnie korzystna: oto, że ty kupujesz tę sumę. Wierzę, że nie masz jeszcze gotowego zamiaru, ale na wypadek, jeśli go poweźmiesz? To jakoś

bardzo, że dostała silnego bicia serca w połączeniu z dusznością i niemal omdleniem.

Ale były to częste u niej objawy i, gdy atak minął, pogoda wróciła na wszystkie twarze. Wracając do domu, dziecko trzymało za rękę „pana Stacha" i w chmurnych zwykle jej oczach świeciła głęboka radość. Od czasu do czasu ściskała tę rękę, jakby chcąc się upewnić, że on naprawdę przyjechał do Reichenhallu i że jest przy niej. Połaniecki wprost nie miał czasu o niczem mówić z panią Emilią, ani ona o nic go rozpytać, bo Litka pokazywała mu Reichenhall i, szczebiocąc bez ustanku, chciała mu odrazu pokazać wszystkie piękniejsze miejsca. Co chwila zaś mówiła:

— To nic jeszcze. Thum-see ładniejsze, ale pójdziemy tam dopiero jutro.

Poczem, zwracając się do matki:

— Mama pozwoli, prawda? Ja teraz mogę dużo chodzić. To niedaleko. Mama pozwoli, prawda?

Chwilami znów odsuwała się od Połanieckiego i, nie puszczając jego ręki, patrzyła na niego swemi wielkiemi oczyma, powtarzając:

— Pan Stach! pan Stach!

Połaniecki okazywał jej ze swej strony największą tkliwość, na jaką mógłby się zdobyć starszy brat; raz wraz też gderał na nią dobrotliwie:

— Kociak niech tak nie leci, bo się zadyszy.

A ona przytulała się do niego i, wysuwając naprzód usteczka, odpowiadała, niby się gniewając:

— Cicho, pan Stach!

Połaniecki spoglądał jednak od czasu do czasu na jasną twarz pani Emilii, jakby chcąc jej dać poznać, że pragnie z nią pomówić. — Ale nic było sposobu, gdyż pani Emilia nie chciała psuć wesołości Litce i wolała jej pozostawić wspólnego przyjaciela na wyłączną własność. Dopiero po obiedzie, który jedli razem, w ogrodzie, wśród zieloności i świegotania wróbli, gdy Waskowski począł opowiadać Litce o ptakach i o miłości, jaką miał dla nich św. Franciszek z Assyżu, a dziecko, wsparłszy główkę na ręce, zasłuchało się zupełnie, Połaniecki zwrócił się do pani Chwastowskiej.

— Czy pani nie zechce się przejść do końca ogrodu?

— Dobrze, — odpowiedziała. — Litko, zostań na minutkę z panem Waskowskim, my w tej chwili wracamy.

I poszli, poczem zaraz pani Emilia spytała:

— I cóż?

Połaniecki począł opowiadać, ale, bądź że chciał się lepiej przedstawić pani Emilii, bądź że postanowił rachować się z jej naturą mi-

mozy, bądź wreszcie, że ostatnie myśli o Maryni nastroiły go na jakąś tkliwszą niż zwykle nutę, dość, że całkowicie rzecz przekręcił. Przyznał się wprawdzie do kłótni z panem Pławickim, ale milczał o tem, że przed wyjazdem z Krzemienia odezwał się i do Maryni w sposób szorstki, natomiast nie szczędził jej w opowiadaniu pochwał i wreszcie tak skończył:

— Ponieważ ten dług stał się odrazu powodem nieporozumień między mną a Pławickim, co musiało się odbić i na pannie Maryni, więc wolałem go sprzedać i właśnie przed samym wyjazdem sprzedałem Maszce.

Pani Emilia, która nie miała najmniejszego pojęcia o sprawach pieniężnych, a natomiast posiadała prostotę zupełnie anielską, odrzekła:

— To dobrze pan zrobił. Między wami nie powinno być takich rzeczy, jak pieniądze.

Lecz Połaniecki zawstydził się w tej chwili, że wyprowadza w pole taką naiwną duszę, i odrzekł:

— Tak!... Raczej, nie! Myślę, żem źle zrobił. Bigiel jest także zdania, że to nie było dobrze... Maszko może ich przyciskać, może stawiać rozmaite żądania, może wystawić na sprzedaż Krzemień... Nie, pani, to nie jest postępek delikatny, ani taki, który-by mógł nas zbliżyć, i nie byłbym tego uczynił, gdyby nie to, żem doszedł do przekonania, iż trzeba sobie to wszystko raz na zawsze wybić z głowy.

— A, nie! Niech pan tego nie mówi. Ja wierzę, że we wszystkiem jest przeznaczenie — i wierzę także, że Opatrzność przeznaczyła was wzajem dla siebie.

— Tego ja, pani, nie rozumiem. Jeśli tak jest, to nie potrzebuję o nic zabiegać, bo w każdym razie muszę ożenić się z panną Pławicką.

— Nie. Ja mam kobiecą głowę i może mówię niedorzeczności, ale mi się zdaje, że Opatrzność chce i obmyśla wszystko tak, jakby było najlepiej, ale zostawia ludziom wolę, ci zaś często nie chcą iść za tem, co im przeznaczono, i dlatego tylu jest nieszczęśliwych.

— Może. Trudno jednak iść za czem innem, jak za własnem przekonaniem. Rozum to także latarka, którą nam Bóg dał w rękę. Kto mi przytem zaręczy, czy panna Marynia wyszła-by za mnie.

— Powinnam już mieć od niej wiadomość o pańskich odwiedzinach w Krzemieniu, i dziwię się, że dotychczas nie mam. Myślę, że najdalej jutro list nadejdzie, bo my pisujemy do siebie co tydzień. Czy ona wie o pańskim wyjeździe do Reichenhallu?

— Nie. Ja sam, będąc w Krzemieniu, nie wiedziałem jeszcze dokąd pojadę.

— To dobrze, bo będzie szczera, chociaż ona i tak była-by szczera.

Na tem skończyła się rozmowa pierwszego dnia. Wieczorem, na prośbę Litki, postanowiono pójść nazajutrz do Thumsee i wyjść z rana, tak, aby obiad zjeść nad jeziorem, powrócić zaś powozem, lub, o ile-by Litka nie była zmęczoną, to piechotą, byle zdążyć przed zachodem słońca. Waskowski i Połaniecki stawili się przed willą tych pań przed dziewiątą rano. Obie były już przybrane i czekały na werendzie, obie zaś wyglądały tak zjawiskowo, że aż stary pedagog Waskowski został tem uderzony.

— Że też Pan Bóg tworzy sobie czasem z ludzi zupełne kwiaty! — rzekł, ukazując zdala na matkę i córkę.

Rzeczywiście i pani Emilia, i Litka, były przedmiotem podziwu dla całego Reichenhallu. Pierwsza, ze swoją uduchowioną anielską twarzą, była jakby wcieleniem miłości i tkliwości macierzyńskiej, a zarazem egzaltacyi, druga, o chmurnych wielkich oczach, płowej czuprynie i rysach tak delikatnych, że prawie zbyt delikatnych, wyglądała raczej na jakiś artystyczny pomysł, niż na żywą dziewczynkę. Dekadent, Bukacki, mawiał o niej, że jest utkana z mgły, ledwie trochę zaróżowionej przez świt. Jakoż było w tej dziewczynie coś prawie nieziemskiego, które to wrażenie potęgowała jeszcze jej choroba, jej nadmierna wrażliwość i uczuciowość. Matka kochała ją ślepo, otaczający również; ale dziecko, wyjątkowo z natury słodkie, nie dało się popsuć.

Połaniecki, który w Warszawie widywał panią Emilię kilka razy tygodniowo, był do obydwóch szczerze przywiązany. W mieście, w którem sława kobieca jest mniej szanowaną, niż gdziekolwiek na świecie, robiono z tego powodu plotki, oczywiście najniesłuszniejsze, gdyż pani Emilia była pod każdym względem czysta, jak dziecko, i nosiła swą egzaltowaną głowę poprostu w błękicie, jakby nie wiedząc, że zło istnieje. Była nawet tak dalece czystą, że nie rozumiała potrzeby zwracania uwagi na pozory. Przyjmowała z radością tych, których kochała Litka, lecz odmówiła kilka dobrych partyi, wyraźnie oświadczając, że osobiście nic jej na świecie, prócz Litki, nie potrzeba. Jeden tylko Bukacki utrzymywał, że pani Emilia działa na jego nerwy; Połaniecki tak się przystosował do owego błękitu, otaczającego tę kryształową kobietę, że wprost nie zbliżał się nigdy do niej z myślą zamąconą przez pokusę.

I teraz więc, po uwadze Waskowskiego, odrzekł z prostotą:

— Rzeczywiście, bajecznie obie wyglądają!

I przywitawszy je, powtórzył mniej więcej to samo pani Emilii, jako coś, co w danym wypadku zwróciło jego uwagę. Ona uśmiechnęła

się z zadowolenia, prawdopodobnie dlatego, że pochwała obejmowała także Litkę i, zbierając suknię do drogi, rzekła:

— Miałam rano list i umyślnie go wzięłam, by panu pokazać.

— Wolno zaraz przeczytać?

— Wolno. Proszę.

I ruszyli drogą leśną ku Thumsee, pani Emilia, Waskowski i Litka na przedzie, Połaniecki nieco za nimi, z głową schyloną nad listem.

List brzmiał jak następuje:

„Droga moja Emilko! Dziś odebrałam twoją litanię pytań i zaraz odpowiadam, bo i mnie pilno podzielić się z tobą myślami. Pan Połaniecki wyjechał w poniedziałek, zatem dwa dni temu. Pierwszego wieczora przyjęłam go, jak przyjmuję wszystkich—i nic a nic nie przyszło mi do głowy, ale nazajutrz było święto, miałam wolny czas i byliśmy prawie całe popołudnie nietylko razem, ale sam na sam, bo papa pojechał do państwa Jamiszów. Cóż ci mam powiedzieć? Taki sympatyczny, taki szczery, a przytem prawdziwy mężczyzna! Z tego, co mówił o Litce i o tobie, zaraz zmiarkowałam, że ma dobre serce. Chodziliśmy długo nad stawem, po ogrodzie. Obwiązywałam mu rękę, bo się skaleczył o łódź. Mówił rzeczy takie rozumne, żem się zasłuchiwała w jego słowa. Ach, moja Emilko, wstyd mi się przyznać, ale moja biedna głowa trochę się zawróciła przez ten wieczór. Ty wiesz przecie, jaka tu jestem sama, zapracowana, i jak rzadko widuję podobnych ludzi. Zdawało mi się, że przyjechał gość z jakiegoś innego i lepszego świata. On mi się nietylko podobał, ale mnie tak ujął swoją serdecznością, że nie mogłam zasnąć i ciągle o nim myślałam. Wprawdzie nazajutrz pokłócili się z papą, a nawet i mnie się trochę dostało, choć Bóg widzi, ile-bym dała za to, żeby między nami nie było tego rodzaju spraw. W pierwszej chwili dotknęło mnie to mocno, i gdyby ten brzydki człowiek wiedział, ilem się napłakała w swoim pokoju, toby mnie pożałował. Ale później pomyślałam, że on musi być bardzo żywy, że papa nie miał słuszności, i nie gniewam się już. Powiem ci też do uszka, co mi jakiś głos szepce ciągle: oto, że on tego długu, który ma na Krzemieniu, nie sprzeda nikomu, choćby dlatego, żeby przyjechać tu jeszcze. To, że się tak źle rozstali z papą, to nic. Sam papa tego do serca nie bierze, bo to są jego sposoby, nie zaś uczucia ani przekonania. We mnie ma pan Połaniecki szczerą przyjaciółkę, która zrobi wszystko, co będzie mogła, by zaraz po rozprzedaży Magierówki ustały te wszystkie powody nieporozumień i wogóle te brzydkie sprawy pieniężne. Wówczas on musi przyjechać, choćby dla odebrania swej należności — nie prawda? Może też i ja podobałam mu się trochę, że zaś człowiek taki żywy powie czasem coś przykrego, nie trzeba się dziwić. Nic mu

o tem nie mów, jak go zobaczysz, i nie łaj go, niech cię Bóg broni. Nie wiem dlaczego, mam jakąś ufność, że on nie zrobi krzywdy ani mnie, ani papie, ani mojemu kochanemu Krzemieniowi, i myślę, że dobrze było-by na świecie, gdyby wszyscy byli do niego podobni. Ściskam najserdeczniej ciebie, moja droga, i Litkę. — Napisz mi o jej zdrowiu jak najobszerniej i kochaj mnie, tak jak ja ciebie."

Połaniecki, skończywszy czytać, wsunął list do bocznej kieszeni surduta, następnie zapiął go, następnie przesunął kapelusz na tył głowy, następnie uczuł nagle wielką ochotę połamania swej laski na drobne kawałki i wrzucenia jej w strumień; nie uczynił tego jednak, tylko począł mruczeć przez zaciśnięte zęby:

— Tak? Dobrze! Znasz ty Połanieckiego!... Licz na to, że cię nie pokrzywdzi! Dobrze wyjdziesz.

Potem zwrócił do siebie mowę w sposób następujący:

— Dobrze ci tak! bo to jest anioł, a tyś go nie wart.

I znów porwała go chęć połamania w kawałki własnej laski. Oto ujrzał teraz wyraźnie, że dusza tej dziewczyny gotowa była oddać mu się z całą wiarą i ufnością, a on zgotował jej odrazu jeden z takich bolesnych i dotkliwych zawodów, których pamięć—zostaje raz na zawsze i boli wiecznie. Sprzedać sumę, to było nic, ale sprzedać ją człowiekowi, pragnącemu ją kupić w takim zamiarze, jak Maszko, to znaczyło powiedzieć tem samem pannie: „Nie chcę cię, — i idź sobie za niego, jeśli ci się tak podoba." Co za gorzkie rozczarowanie dla niej, po tem wszystkiem, co do niej mówił owej niedzieli, po tych słowach przyjaznych, otwartych, a zarazem przeznaczonych na to, by wniknęły do jej serca. Bo one były jednak na to przeznaczone i Połaniecki czuł, że ona tak je wzięła. Mógł sobie teraz powtarzać, ile razy chciał, że one do niczego nie obowiązują, że za pierwszą bytnością i w pierwszej rozmowie z kobietą człowiek wysuwa tylko rogi, jak ślimak, i probuje, na jaki grunt trafił. Nie było-by to mu teraz żadną pociechą. Zresztą, nie tylko nie był w humorze usprawiedliwiania się przed samym sobą, ale raczej pragnął-by się był spoliczkować. Pierwszy raz zobaczył tak wyraźnie, że mógł-by uzyskać i serce, i rękę Maryni, im zaś ta możliwość przedstawiła mu się bardziej realnie, tem strata wydawała mu się bardziej niepowetowaną. Na dobitkę, od chwili przeczytania owego listu począł się w nim nowy przewrot. Własne rozumowania, że powinien zaniechać Maryni, wydały mu się naraz i płaskie, i nędzne. Połaniecki, przy wszystkich swych wadach, miał wdzięczne serce i list ów wzruszył go do wysokiego stopnia tą dobrocią i wyrozumiałością, tą gotowością do kochania, jakie w nim tkwiły. Skutkiem tego wspomnienie Maryni poróżowiało nagle w jego sercu i pamięci, poróżowiało nawet tak mocno, że pomyślał:

— Ja teraz zakocham się w niej, jak Bóg w niebie!

I ogarnęło go rozczulenie dla Maryni, przed którem nawet złość na samego siebie musiała ustąpić. Po chwili, połączywszy się z resztą towarzystwa, wysunął się nieco z panią Emilią naprzód i rzekł:

— Niech mi pani daruje ten list.

— Z największą chęcią. Prawda, jaki poczciwy? A nie przyznał mi się pan, że i jej się coś dostało na wyjezdnem? Ale nie będę panu robiła wymówek, skoro ona sama bierze pana w obronę.

— Pani! gdyby to co pomogło, prosiłbym, by mnie pani obiła. Ale tu już niema o czem mówić, bo to rzeczy niepowetowane.

Pani Emilia nie podzielała jednak wcale tego zdania. Owszem, widząc wzruszenie Połanieckiego, nabrała pewności, że sprawa, w której obie strony czują tak żywo, stoi jak najlepiej i musi skończyć się pomyślnie. Na samą tę myśl jej śliczna słodka twarz rozjaśniła się wielką radością.

— Zobaczymy to za kilka miesięcy — rzekła.

— Ani pani się domyśla, co możemy zobaczyć, — odparł Połaniecki, myśląc o Maszce.

Na to znów pani Emilia:

— Niech pan pamięta o jednej rzeczy, że kto raz zyska serce Maryni, ten się nie zawiedzie nigdy.

— Wierzę, — odpowiedział ze smutkiem Połaniecki, — ale też takie serca, raz zrażone, nie powracają więcej.

Dalej nie mogli rozmawiać, bo Litka i pan Waskowski przysunęli się do nich. Po chwili dziewczynka zagarnęła, jak zwykle, Połanieckiego na wyłączną swą własność. Las, zanurzony w łagodnem porannem świetle pogodnego dnia, zajmował ją nadzwyczajnie, więc poczęła wypytywać o rozmaite drzewa, co chwila zaś wykrzykiwała z radością:

— Rydze!

Lecz on odpowiadał jej mechanicznie, myśląc o czem innem:

— Rydze, kotku, rydze!

Nakoniec droga zniżyła się i pod stopami ujrzeli Thumsee. Po upływie pół godziny zeszli na bity gościniec, ciągnący się nad samym brzegiem, na którym widać było tu i owdzie drewniane kładki, powyciągane na kilka kroków w wodę. Litka miała ochotę zobaczyć z bliska wielkie ryby, które widać było w przezroczystej toni. Połaniecki, wziąwszy ją za rękę, wprowadził ją w tym celu na jedną z kładek.

Ryby, przyzwyczajone do okruszyn chleba, rzucanych przez gości, zamiast uciekać, zbliżyły się jeszcze i wkrótce cały ich wianek otoczył stopy Litki. W błękitnawej toni widać było złotawo-brunatne grzbiety

karpiów i szarą plamistą łuskę łososiopstrągów, oraz okrągłe oczy, wpatrzone jakby z wyrazem prośby w dziewczynkę.

— Wracając, weźmiemy dużo bułek, — mówiła dziewczynka. — Jak one dziwnie patrzą. Co one myślą?

— One myślą bardzo powoli, — rzekł Połaniecki i tak dopiero za godzinę albo za dwie powiedzą sobie: „Aha! tu stała jakaś dziewczynka z płową czupryną, w różowej sukience i w czarnych pończoszkach."

— A o panu Stachu, co pomyślą?

— Pomyślą, żem jaki cygan, bo ja nie mam płowej czupryny.

— Nie. Cygany nie mają przecie domu.

— I ja nie mam domu, Litko. Mogłem go mieć, alem go sprzedał.

Połaniecki wymówił ostatni wyraz w jakiś niezwyczajny sposób i wogóle był w głosie jego smutek. Dziewczynka spojrzała na niego uważniej i zaraz wrażliwa jej twarzyczka odbiła jego smutek, tak jak owa toń odbijała jej własną postać. Potem, gdy się połączyli z resztą towarzystwa, podnosiła na niego od czasu do czasu swoje chmurne oczy, z wyrazem pytającym i niespokojnym. Wreszcie, ścisnąwszy mocniej jego rękę, za którą trzymała, rzekła:

— Co panu jest, panie Stachu?

— Nic, dziecinko. Rozglądam się po jeziorze i dlatego nic nie mówię.

— Bo ja się tak cieszyłam wczoraj, że panu pokażę Thumsee.

— Owszem. Chociaż niema skał, bardzo tu ładnie! A tamten domek z drugiej strony?

— Tam będziemy jedli obiad.

Tymczasem pani Emilia rozmawiała wesoło z Waskowskim, który, niosąc w ręku kapelusz i szukając co chwila po kieszeniach chustki dla obtarcia łysiny, opowiadał jej swoje spostrzeżenia nad Bukackim.

— On jest arya, kończył i dlatego w ciągłym niepokoju dąży do spokoju. Teraz kupuje obrazy i sztychy, myśląc, że tem zapełni próżnię. Ach, pani, na co ja patrzę! Toż to te dzieci wieku noszą w duszach taką otchłań, jak naprzykład to jezioro, a w dodatku bezdenną, i myślą, że można ją zapełnić obrazkami, akwafortami, amatorstwem, dyletantyzmem, Baudelaire'm, Ibsenem, Meterlinckiem, wreszcie dyletantyzmem naukowym. Biedne ptaki, rozbijające głowy o ściany klatek! To tak samo, jakbym chciał wypełnić to oto jezioro, wrzuciwszy w nie ten kamyk.

— A cóż może zapełnić życie?

— Wszelka szersza idea, wszelkie większe uczucie, ale pod jednym warunkiem, by były poczęte w Chrystusie. Gdyby Bukacki po chrześciańsku kochał sztukę, dała-by mu pogodę, której mimowoli szuka.

— A mówił mu pan to?

— I to, i wiele innych rzeczy. Ja i jego, i Połanieckiego ciągle namawiam, by czytali życie św. Franciszka z Assyżu. Nie chcą i śmieją się ze mnie. A jednak, to był największy człowiek i największy święty średnich wieków, który odrodził świat. Gdyby się teraz znalazł podobny, odrodzenie się w Chrystusie nastąpiło-by jeszcze szersze i jeszcze zupełniejsze.

Zbliżało się południe, z niem upał. Las poczynał pachnąć żywicą, a jezioro wygładziło się zupełnie w ciszy pełnej blasku i, odbijając błękit bez plamki, zdawało się drzemać.

Doszli wreszcie do domu i ogrodu, w którym była restauracya, i siedli pod cieniem buku, przy zastawionym stole. Połaniecki, przywoławszy kelnera w brudnym fraku, zamówił obiad, poczem rozglądali się w milczeniu po jeziorze i okolicznych górach.

O parę kroków od stołu rosła cała kępa irysów, zwilżana przez wodotrysk, urządzony między kamieniami.

Pani Emilia, spojrzawszy na kwiaty, rzekła:

— Gdy jestem nad jakiem jeziorem, a przytem patrzę na irysy, zdaje mi się, że jestem we Włoszech.

— Bo nigdzie niema ani tyle jezior, ani tyle irysów, — odrzekł Połaniecki.

— Ani tyle upojenia dla każdego człowieka, — dodał Waskowski. — Ja od wielu lat jeżdżę tam co rok jesienią szukać sobie schronienia na ostatnie dni. Długi czas wahałem się między Perugią a Assyżem, ale ostatniego roku przeważył Rzym. To jest jakby sień do innego świata, w której widać już jego światło. Pojadę tam w październiku.

— Szczerze panu zazdroszczę, — rzekła pani Emilia.

— Litka ma dwanaście lat... — zaczął Waskowski.

Lecz Litka przerwała:

— I trzy miesiące.

— I trzy miesiące; więc choć na swój wiek jest bardzo mała i trzpiotka wielka, czas-by jej już rozmaite rzeczy w Rzymie pokazać, — mówił dalej Waskowski. — Nic się tak nie pamięta, jak to, co się widziało w dzieciństwie. A choć się wielu rzeczy nie odczuje, ani zrozumie, to przychodzi później i przychodzi bardzo przyjemnie, bo tak, jakby ktoś odrazu oświecił jakieś wrażenia, zanurzone w cieniu... Niech pani jedzie ze mną w październiku do Włoch.

— W październiku nie mogę, bo mam swoje kobiece powody, które mnie zatrzymują w Warszawie.

— Jakie?

Pani Emilia poczęła się śmiać.

— Pierwszy i najgłówniejszy, a czysto kobiecy, — rzekła, wskazując na Połanieckiego, — to ożenić tego pana, który siedzi taki posępny i w gruncie rzeczy... taki rozkochany.

Połaniecki obudził się z zamyślenia i machnął ręką.

A Waskowski spytał ze zwykłą naiwnością dziecka:

— Zawsze z Marynią Pławicką?

— Tak,—odrzekła pani Emilia. — Był w Krzemieniu i próżno-by się zapierał, że go bardzo chwyciła za serce.

— Mogę się nie zapierać, — odrzekł Połaniecki.

Lecz dalsza rozmowa została przerwana w przykry sposób, bo Litka niespodziewanie zasłabła. Uczyniło się jej nagle duszno i dostała jednego ze swych zwykłych ataków bicia serca, które przejmowały trwogą o jej życie, nawet lekarzy. Matka porwała ją w tej chwili na ręce, Połaniecki skoczył po lód do restauracyi, Waskowski zaś począł ciągnąć z wysileniem do stołu ławkę ogrodową, by dziecko mogło się na niej wyciągnąć i swobodniej oddychać.

— Zmęczyłaś się, dziecinko? prawda? — pytała pobladłemi ustami pani Emilia. — Widzisz, kochanie, że było za daleko... A doktor jednak pozwolił!... Tak gorąco! Ale to nic! to przejdzie! to przejdzie!... Moje skarby, moje kochanie!!...

I poczęła całować wilgotne czoło dziewczynki. Tymczasem Połaniecki wrócił z lodem, a za nim nadbiegła miejscowa gospodyni z poduszką w ręku. Po chwili ułożono małą na ławce, i podczas gdy pani Emilia obwijała lód w serwetę, Połaniecki, schyliwszy się nad chorą, pytał:

— Jakże ci, kociątko?

— Tylko duszno trochę, ale lepiej... — odpowiedziała, otwierając jak rybka usta dla schwytania oddechu.

Nie było jednak wiele lepiej, bo nawet przez sukienkę widać było, jak to małe, chore serce bije gwałtownie w piersiach.

Wszelako pod wpływem lodu atak uspokajał się zwolna, a wreszcie uspokoił się zupełnie, pozostawiwszy po sobie tylko zmęczenie. Litka poczęła się znów uśmiechać do matki, która również ochłonęła nieco z przerażenia. Dziecko należało pokrzepić przed powrotem, więc Połaniecki kazał podać obiad, którego, prócz Litki, nikt zresztą prawie nie tknął, wszyscy bowiem spoglądali co chwila na nią z tajoną obawą, czy duszność znowu jej nie chwyci. W ten sposób upłynęła godzina. Goście poczęli zwolna napływać do restauracyi. Pani Emilia chciała wracać do domu, lecz należało czekać na powóz, po który Połaniecki wysłał do Reichenhallu.

Powóz nadszedł wreszcie, ale w drodze czekał ich nowy niepokój. Jakkolwiek jechali noga za nogą i po gościńcu bardzo równym, małe

nawet wstrząśnienia męczyły Litkę, tak, że w pobliżu już Reichenhallu poczęło jej znów czynić się duszno. Prosiła, żeby jej wolno było wysiąść, ale pokazało się, że i droga piesza męczy ją. Wówczas pani Emilia postanowiła ją nieść, Połaniecki jednak, uprzedzając to macierzyńskie poświęcenie, które zresztą nie było wcale w miarę sił pani Emilii, rzekł:

— Lituś, chodź, ja cię poniosę. Inaczej mama zmęczy się i będzie chora.

I nie pytając dłużej, podniósł ją lekko z ziemi i niósł zupełnie swobodnie, na jednej tylko ręce, żeby zaś upewnić i ją, i panią Emilię, że go to wcale nie męczy, począł żartować.

— Jak taki kot chodzi po ziemi, to zdaje się wcale nieduży, a teraz ot, gdzie to te długie nożyska wiszą. Trzymaj się mnie za szyję, to będziesz się mniej kołysała.

I szedł jak umiał najrówniej, a śpiesznie, bo chciał, by lekarz mógł się nią zająć jak najprędzej; idąc, czuł jak jej serce bije na jego ramieniu, ona zaś, trzymając się go swemi chudemi ramionkami, powtarzała:

— Niech mnie pan puści! Ja... nie mogę... Niech mnie pan puści!

A on odpowiadał:

— Nie puszczę! Widzisz, jak to źle męczyć się na piechotę. Od tej pory weźmiemy zawsze z sobą takie duże, wygodne krzesło na kółkach, i jak się dziecko zmęczy, to je posadzimy, a ja będę popychał.

— Nie, nie! — powtarzała Litka, ze łzami w głosie.

On zaś niósł ją z taką tkliwością, jak starszy brat, lub jak ojciec, i serce miał istotnie wezbrane, raz dlatego, że tę małą kochał istotnie, a powtóre, że przyszło mu do głowy to, o czem dotąd nie myślał, a przynajmniej czego nie odczuwał dość wyraźnie: mianowicie, że małżeństwo otwiera także drogę ojcowstwu i tym wszystkim skarbom szczęścia, które się w niem mieszczą. Teraz, niosąc tę drogą sobie, choć obcą dziewczynkę, zrozumiał, że Bóg stworzył go do życia rodzinnego, nie tylko na męża, ale i na ojca, jako też, że właściwy cel i znaczenie życia tkwi w tem właśnie.

I wszystkie jego myśli uleciały do Maryni. Czuł teraz ze zdwojoną siłą, że ze wszystkich kobiet, jakie dotychczas spotkał, ją przedewszystkiem wybrał-by na żonę i z nią chciał-by mieć dzieci.

VII.

W ciągu następnych dni Litka nie była chora, ale czuła się osłabioną, wychodziła jednak, ponieważ doktor nietylko nakazał jej wy-

chodzić, ale polecił bardzo usilnie umiarkowany ruch pod górę. Waskowski poszedł do niego umyślnie, by dowiedzieć się, jaki jest stan jej zdrowia. Połaniecki czekał na niego w czytelni, ale już z jego twarzy poznał odrazu, że nic dobrego nie przynosi.

— Lekarz nie widzi natychmiastowego niebezpieczeństwa,—rzekł stary człowiek, — ale skazuje to dziecko na wczesną śmierć i wogóle każe nad niem czuwać, bo, jak mówi: nie podobna odgadnąć dnia, ani godziny.

Połaniecki zakrył oczy ręką:

— Co za nieszczęście, co za cios!... Matka jej nie przeżyje. Śmierć nad takiem dzieckiem! wierzyć się nie chce.

Waskowski miał łzy w oczach.

— Pytałem — rzekł — czy ona musi przy tem dużo cierpieć. Doktor powiedział, że niekoniecznie i może zgasnąć tak cicho, jakby zasnęła.

— Matce nie mówił nic o jej stanie?

— Nie mówił. — Powiedział wprawdzie, że jest wada serca, ale dodał, że u dzieci często takie rzeczy przechodzą bez śladu. Sam nie ma nadziei.

Lecz Połaniecki nie łatwo poddawał się nieszczęściu:

— Co tam jeden doktor! — rzekł. — Trzeba dziecko ratować, póki jest iskra nadziei. Doktor mógł się nie poznać. Trzeba ją zawieźć do specyalisty do Monachium, lub jego tu sprowadzić. Panią Emilię to przerazi, ale trudna rada! Czekaj-że pan. Można i tego uniknąć. Ja go sprowadzę — i to zaraz. Pani Emilii powiemy, że taki a taki sławny lekarz przyjechał tu do kogoś i że jest sposobność poradzenia się o Litkę. Nie można jej zostawić bez ratunku. Trzeba tylko do niego napisać, by wiedział, jak z matką gadać.

— A do kogo chcesz pisać?

— Do kogo? Czy ja wiem! Miejscowy doktor wskaże specyalistę. Chodźmy do niego zaraz, by nie tracić czasu.

I sprawa została załatwiona tegoż samego dnia. Wieczorem poszli obaj do pani Emilii. Litka była zdrowa, ale milcząca i zasępiona. Uśmiechała się wprawdzie i do matki, i do swego przyjaciela, okazywała obojgu wdzięczność za troskliwość, jaką ją otaczali, ale Połaniecki nie mógł jej rozbawić. Mając głowę nabitą myślą o grożącem jej niebezpieczeństwie, poczytywał mimowoli ów jej smutek za oznakę rozwijającej się choroby, za wczesne przeczuwanie blizkiej śmierci i z przestrachem mówił sobie w duszy, że ona już nie jest taka, jak zwykle, jakby niektóre nitki, łączące ją z życiem, już były pozrywane. Przestrach jego powiększył się jeszcze, gdy pani Emilia rzekła:

— Litka się dobrze ma, ale wie pan, o co mnie dziś prosiła? — żebyśmy wrócili do Warszawy.

Połaniecki wysiłkiem woli potłumił niepokój i, zwróciwszy się do małej, rzekł, udając wesołość:

— Ach, ty niegodziwe stworzenie! To nie żal-by ci było Thumsee?

A dziewczynka poczęła potrząsać swoją płową główką.

— Nie! — odrzekła po chwili.

I łzy zakręciły się jej w oczach, ale prędko nakryła je rzęsami, z obawy, by ich kto nie zobaczył.

— Co jej jest? — pomyślał Połaniecki.

A jej była bardzo prosta rzecz. Oto w Thumsee dowiedziała się, że jej chcą zabrać jej przyjaciela, jej „pana Stacha“, jej najmilszego towarzysza. Usłyszała, że on kocha Marynię Pławicką, a dotąd była pewna, że on kocha tylko ją i mamę. Usłyszała, że mama chce go ożenić z tamtą, a dotychczas uważała go za swoją wyłączną własność. Nie zdając sobie dobrze sprawy z tego, co jej groziło, odczuwała jednak, że ten pan „Stach“ odejdzie od niej i że stanie się jej krzywda—pierwsza, jakiej w życiu doświadczyła. I żeby to kto inny jej tę krzywdę wyrządził, mniej-by to ją dotknęło, ale właśnie mama i „pan Stach!“ To było jakby koło błędne, z którego dziecko wyjść nie umiało i nie mogło. Jakże im się tu poskarżyć na nich samych. Widać, że tak chcą, że tak sobie życzą, że to im potrzebne i że będą szczęśliwi, gdy się tak stanie. Oto mama powiedziała, że „pan Stach“ kocha pannę Marynię, a on nie zaprzeczył, więc trzeba ustąpić, połknąć łzy i milczeć nawet przed mamą.

I Litka zamknęła w sobie pierwszą gorycz życiową. Tak jest! musiała ustąpić, że zaś gorycz złem jest lekarstwem dla chorego i tak serca, zatem to ustąpienie mogło być zupełniejsze i bardziej tragiczne, niż ktokolwiek z otaczających ją mógł przypuścić.

Lekarz-specyalista przyjechał w dwa dni później z Monachium i, zabawiwszy dwa dni w Reichenhallu, potwierdził zupełnie zdanie miejscowego doktora. Panią Emilię uspokoił, Połanieckiemu zaś powiedział, że życie dziecka może przetrwać miesiące i lata, ale będzie wisiało zawsze jak na nitce, która z lada powodu zerwać się może. Kazał oszczędzać małej wzruszeń, zarówno wesołych, jak smutnych, i czuwać nad nią z największą baczności ą.

Otoczono ją więc opieką i pieszczotami. Oszczędzano jej nawet najmniejszych wzruszeń, tylko nie oszczędzano jej największych, jakiemi były listy Maryni. Echo tego, który nadszedł w tydzień później, odbiło się jednak o jej nasłuchujące teraz pilnie uszki. Mogło ono wprawdzie rozproszyć jej obawy o „pana Stacha“, ale wstrząsnęło nią silnie. Pani Emilia wahała się cały dzień, czy Połanieckiemu pokazać

ten list. On się jednak dopytywał teraz codziennie o wiadomości z Krzemienia, musiała-by więc wprost skłamać, chcąc zataić, że nadeszły. Zresztą poczuwała się do obowiązku powiedzenia Połanieckiemu prawdy, by wiedział, jakie napotka trudności.

Drugiego więc wieczora po odebraniu listu, ułożywszy spać Litkę, sama zaczęła rozmowę w tym przedmiocie.

— Marynia bardzo do serca wzięła to, że pan sprzedał tę sumę na Krzemieniu.

— To był list?

— Tak.

— Może mi go pani pokazać?

— Nie. Mogę tylko przeczytać panu większe ustępy. Marynia jest pognębiona.

— Czy ona wie, że ja tu jestem?

— Dotychczas musiała nie odebrać mego listu, ale dziwi mnie także, że pan Maszko, który bawi w Krzemieniu, nie wspomniał jej o tem.

— Maszko wyjechał do Krzemienia przede mną i nie był pewny, czy pojadę do Reichenhallu, zwłaszcza, żem mu w ostatnich dniach mówił, że zapewne zmienię projekt.

Pani Emilia poszła do biurka po teczkę z listami. Wróciwszy do stołu, poprawiła lampę, poczem, usiadłszy naprzeciw Połanieckiego, wydobyła list z koperty, ale, nim go zaczęła czytać, rzekła:

— Bo widzi pan, jej nie o samą sprzedaż tej sumy chodzi. Ale pan wie... Trochę jej się rozmarzyła główka, więc to miało dla niej i inne znaczenie... Ją naprawdę spotkało wielkie rozczarowanie!

— Pani—rzekł Połaniecki,—komu innemu nie przyznał-bym się, ale pani powiem otwarcie. Zrobiłem jedno z największych głupstw w życiu, ale też za żadne nie zostałem tak ukarany.

A ona podniosła na niego ze współczuciem swe tkliwe, blado-niebieskie oczy.

— Biedny pan! więc pan naprawdę taki zajęty Marynią? Przecież nie przez ciekawość pytam, tylko z przyjaźni... Bo ja-bym się starała to wszystko naprawić, ale chciała-bym być pewna...

— Wie pani, co mnie dobiło?—przerwał gwałtownie Połaniecki,— tamten poprzedni list! W Krzemieniu podobała mi się! Zacząłem o niej myśleć. Mówiłem sobie: ta była-by milsza i lepsza, niż jakakolwiek. Ta jest taka, jakiej właśnie szukałem! Ale cóż! Ja sobie dawno powiedziałem: nie będę człowiekiem miękkim i swego nie daruję. Pani rozumie, że jak się z czegoś zrobi zasadę, to człowiek się jej trzyma, choćby przez ambicyę. Przytem w każdym z nas siedzi dwóch ludzi, z których drugi krytykuje to, co robi pierwszy. Ten drugi począł mi

mówić: „daj pokój, z ojcem nie wytrzymasz.“ A to istotnie nieznośna figura! Więc postanowiłem sobie dać pokój. I dlatego pozbyłem się tej sumy. Oto jak było. Dopiero później spostrzegłem, że nie mogę pozbyć się myśli o pannie Pławickiej, i że wciąż mam to samo wrażenie: „ta jest taka, jakiej szukałeś!“ I poznałem, żem głupstwo zrobił. I było mi żal. Potem, jak przyszedł ten list, jak się przekonałem, że i z jej strony coś było, że ona mnie mogła pokochać i być moją, tak ją również pokochałem. I daję pani słowo, że albo tracę głowę, albo to jest prawda! Póki się samemu człowiekowi coś roi, to nic, ale gdy się zobaczy, że i tam były otwarte ramiona, co za ogromna różnica! Dobił mnie ten list i rady nie mogę sobie dać!

— Wolę panu nie czytać wszystkiego — odrzekła po chwili pani Emilia.—Naturalnie, ona pisze, że krótki sen skończył się przebudzeniem prędszem, niż się spodziewała. O panu Maszce mówi, że jest bardzo delikatny w sprawach pieniężnych, jakkolwiek pragnie, by się obróciły na jego korzyść.

— Wyjdzie za niego, jak Bóg w niebie!

— Pan jej nie zna. A o Krzemieniu oto, co pisze: „Papa ma ochotę pozbyć się majątku i zamieszkać w Warszawie. Ty wiesz, jak kocham Krzemień, jak się z nim zrosłam, ale wobec tego, co się stało, już ja sama zwątpiłam, czy moja praca mogła-by się na co przydać. Będę jeszcze probowała bronić miłego kawałka ziemi! Papa jednak powiada, że sumienie nie pozwala mu więzić mnie na wsi, i to jest tem bardziej gorzkie, że niby o mnie chodzi. Doprawdy, że czasem życie zakrawa na ironię. Pan Maszko ofiaruje papie trzy tysiące dożywotnie i całą sumę z parcelacyi Magierówki. Nie dziwię mu się, że szuka własnej korzyści, ale w razie takiego układu doszedł-by prawie darmo do majątku. Sam papa powiedział mu: „W ten sposób, jeśli rok pożyję, wezmę za Krzemień trzy tysiące, bo Magierówka i tak moja.“ Ale pan Maszko odpowiedział, że w dzisiejszym stanie rzeczy za Magierówkę zabiorą pieniądze wierzyciele, gdy zaś papa zgodzi się na taki układ, jaki on proponuje, to weźmie do ręki gotówkę, a oprócz tego może żyć trzydzieści lat, albo i więcej. To także prawda. Wiem, że papie w zasadzie podoba się ten projekt, chodzi mu tylko o to, by więcej utargować. Jedyna w tem wszystkiem pociecha, że gdy zamieszkamy w Warszawie, to będę widywała częściej ciebie, moja droga Emilko, i Litkę. Szczerze i z całej duszy kocham was obie i wiem, że na wasze przynajmniej serca zawsze mogę liczyć.“

Nastała chwila milczenia, poczem Połaniecki rzekł:

— Więc tak! Pozbawiłem ją Krzemienia, ale za to posłałem jej aspiranta.

I mówiąc to, nie odgadywał, że Marynia napisała w liście niemal te same słowa, i że tylko pani Emilia opuściła je umyślnie, nie chcąc go ranić. Maszko, jeszcze za ostatniej bytności Pławickich w Warszawie, czynił już pewne zabiegi o rękę panny Maryni, nie potrzebowała więc teraz wielkiej domyślności, żeby odgadnąć, co znaczy nabycie przez niego sumy od Połanieckiego i przyjazd na wieś. W tem właśnie tkwiła cała gorycz, zalewająca jej serce, i głęboka uraza, jaką czuła dla Połanieckiego.

— Trzeba to wszystko koniecznie wyjaśnić—mówiła pani Emilia.

— Posłałem jej aspiranta!—powtórzył Połaniecki,—nie mogę się nawet tłómaczyć tem, żem nie wiedział o zamiarach Maszki.

Pani Emilia obracała czas jakiś w swych delikatnych palcach list Maryni, poczem rzekła nagle:

— To tak nie może zostać! Ja chciałam pana z nią połączyć przez przyjaźń, jaką mam dla obojga, ale teraz jest jeden powód więcej, mianowicie pańskie zmartwienie. To był-by wyrzut dla mnie i ja tak pana nie mogę zostawić. Niech pan nie traci nadziei... Jest ładne przysłowie francuskie, a bardzo brzydkie polskie o potędze i woli kobiecej. Doprawdy, że ja chcę bardzo pomódz!

Połaniecki chwycił jej rękę i podniósł ją do ust.

— Pani jest najlepsza i najzacniejsza w świecie istota, jaką spotkałem.

— Byłam bardzo szczęśliwa—odpowiedziała pani Emilia— a ponieważ myślę, że do tego jest tylko jedna droga, więc chciałabym, żeby moi blizcy nią poszli.

— Ma pani słuszność. Ta droga, albo żadna! Skoro żyję, więc chcę, żeby się to życie komuś i mnie na coś zdało.

— A ja, skoro pierwszy raz w życiu podjęłam się roli swatki— rzekła, śmiejąc się, pani Emilia,—chcę także, żeby się to na coś zdało. Trzeba tylko pomyśleć, co teraz wypada zrobić.

To rzekłszy, podniosła oczy w górę. Światło lampy padało w pełni na jej drobną, młodą jeszcze bardzo twarz, na jej jasne włosy nieco zwichrzone nad czołem, i było w niej coś tak uroczego, a zarazem i dziewiczego, że Połanieckiemu, jakkolwiek głowę miał zajętą czem innem, przyszło na myśl przezwisko, które jej dawał Bukacki: wdowy dziewicy.

— Marynia ma dużo prostoty —rzekła po chwili namysłu—i najlepiej mnie zrozumie, gdy jej napiszę szczerą prawdę. Powiem jej to, co pan mnie mówił: że pan wyjechał zajęty nią bardzo, że to, co pan zrobił, zrobił pan nie obliczywszy się z sobą, pod wpływem tylko tej myśli, że nie mógłby się pogodzić z ojcem, ale, że obecnie

pan najszczerzej tego żałuje, prosi, by nie brała tego za złe i nie odejmowała nadziei, że się pozwoli przebłagać.

— A ja napiszę do Maszki, że odkupię u niego tę summę z takim zyskiem, jakiego zażąda.

Pani Emilia poczęła się śmiać.

— Oto ten trzeźwy, wyrachowany pan Połaniecki, który się chlubi, że pozbył się polskiego charakteru i polskiej lekkomyślności.

— A tak! a tak!—zawołał już weselszym tonem Połaniecki.— Wyrachowanie polega na tem, żeby nie żałować na to, co warte.

Lecz w tej chwili sposępniał.

— A jak ona odpowie, że jest narzeczoną Maszki.

— Nie przypuszczam. Pan Maszko może być najzacniejszy człowiek, ale on nie dla niej. Ona nie wyjdzie za mąż bez przywiązania, a wiem że pan Maszko nie podobał się jej zupełnie. To się nigdy nie stanie. Pan Maryni nie zna. Niech pan tylko uczyni ze swojej strony, co w pana mocy, ale o pana Maszkę niech pan będzie spokojny.

— Więc, zamiast pisać, zatelegrafuję dziś do niego. On nie może w Krzemieniu długo jednym ciągiem bawić i musi w Warszawie odebrać moją depeszę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Henryk Sienkiewicz.

PRZYSZŁA WOJNA

JEJ EKONOMICZNE PRZYCZYNY I SKUTKI.[1]

ROZDZIAŁ XIV.

Działanie artyleryi

Już w czasie wojny 1870 roku, t. j. przed wynalazkiem prochu bezdymnego i nowych karabinów, skuteczność i potęga ognia z broni ręcznej tak się niejednokrotnie ujawniła, że komisya, powołana do przejrzenia regulaminów wojskowych w armii francuskiej, uwzględniając właśnie owo doświadczenie roku 1870, przyszła do następującego wniosku: „Z uwagi na doniosłą potęgę ognia piechoty, ataki z frontu, nawet dostatecznie przygotowane przez poprzednie działanie artyleryi, mogą się nie udawać.“

Jeżeli zaś prawdopodobieństwo ataków z frontu przy broni 1870 roku było nie wielkie, to tembardziej musiało się zmniejszyć po wprowadzeniu nowych karabinów.

Autor dzieła „Artillerie de l'avenir“ powiada, że piechota, która-by potrafiła umiejętnie się bronić, mogła-by się uważać za zgoła niezwyciężoną i odeprzeć wszystkie ataki, nawet mając do rozporządzenia tylko $^1/_3$ część karabinów atakującego.

Gdy więc wyrugowanie piechoty z umocnionej pozycyi za pomocą ognia karabinowego staje się niemal nie podobnem, zjawia się potrzeba użycia artyleryi; ta zaś działać może skutecznie o tyle, o ile jej nie będzie przeszkadzała artylerya przeciwnika.

[1]) Patrz zeszyt lipcowy.

W ten sposób, od samego początku bitwy, artylerya, tak z jednej, jak i z drugiej strony, wysunięta zostanie na pierwszy plan, a to siłą konieczności absolutnej, niemal matematycznej. Pośpieszy ona na pierwsze wezwanie ze strony piechoty.

Artylerya atakującego będzie musiała przedewszystkiem rozpocząć od zniszczenia, a przynajmniej osłabienia lub odwrócenia działań artyleryi przeciwnika, poczem dopiero może się zwrócić przeciwko jego piechocie. Ta okoliczność prowadzi logicznie do konieczności wyprowadzenia w pierwszej linii artyleryi jak najliczniejszej i to po obu stronach, gdyż broniący się będzie usiłował przeszkodzić temu, czego dopiąć zechce atakujący.

We wszelkiem starciu poważniejszem ten wielki przedwstępny pojedynek artyleryi trwać będzie czasami całemi godzinami. Dopiero wówczas, gdy jeden z przeciwników osiągnie w kanonadzie stanowczą przewagę, będzie się mógł zwrócić z całą siłą przeciwko piechocie.

Stąd też na losy pojedyńczych batalii, a tem samem na czas trwania i skutki całej kampanii, w wysokim stopniu wpłynie ilość i jakość wyprowadzonych w pole armat.

I.

Zmiany w liczebności armat.

Cały kierunek postępu XIX stulecia pozwalał—zdawało-by się—przypuszczać, że z biegiem czasu sztuka wojenna używać będzie coraz więcej dział, jako machin, wymagających (przy dzisiejszem zwłaszcza swem udoskonaleniu) do obsługi nader małej liczby ludzi; że machiny te coraz bardziej zastępować będą broń ręczną, której użyć nie można bez zniszczenia ogromnej masy najcenniejszego, właściwie mówiąc, nie dającego się nawet pod względem wartości oszacować, materyału — krwi ludzkiej [1]).

Tymczasem w ostatnich latach widzimy zjawisko wprost odwrotne. Podczas gdy w okresie 1859—1874 ilość armat zwiększyła się o 88%, to od r. 1874 do 1891 przyrost ten zmniejszył się do 38%; ilości zaś piechoty w tych samych dwóch okresach czasu przedstawiają stosunki wręcz przeciwne, a mianowicie: przyrost z 24% podskakuje do 54%.

Przyjrzyjmy się tym zmianom w poszczególnych państwach, wprowadzając do obrachunku dla silniejszego uwydatnienia r. 1884, i przyjmując dla obliczeń stosunkowych ilość armat w r. 1874 za 100.

[1]) Straty armii niemieckiej w wojnie r. 1870/71 wynosiły w piechocie 17.6% w artyleryi zaś tylko 6.3%.

	Ilość armat na stopie wojennej			Stosunek procentowy		
	r. 1874	r. 1884	r. 1891	r. 1874	r. 1884	r. 1891
Rossya	3604	3769	3992	100	104	110
Francya.	2328	4410	4576	100	189	195
Razem 2 państwa	*5932*	*8179*	*8568*	*100*	*138*	*144*
Niemcy	2658	2998	3598	100	113	135
Austrya.	1784	1580	2072	100	88	116
Razem 2 państwa	*4442*	*4578*	*5670*	*100*	*103*	*128*
Włochy.	1120	1532	1624	100	136	145
Razem państwa t. z. trójprzymierza	*5562*	*6110*	*7294*	*100*	*110*	*131*
Turcya	804	1152	1176	100	143	146
Ogółem dla 6 państw	**12298**	**15441**	**17038**	**100**	**125**	**138**

Widzimy więc, że w ciągu lat 17-tu liczba armat w sześciu państwach europejskich zwiększyła się o 4,740, czyli przeciętny przyrost roczny wynosił około 2%. Ale w ciągu pierwszego 10-lecia (1874 — 1884) liczba armat wzrosła o 3,143, czyli corocznie o 2.5%; w ciągu następnych lat siedmiu przyrost wyniósł tylki 1,597 armat, czyli przeciętnie po 1.4% rocznie.

Z państw poszczególnych znajdujemy w Rossyi w r. 1874 liczbę armat większą niż w któremkolwiek innem państwie, lecz za to potem wzrost jest bardzo powolny; w ciągu 10 lat wynosi on tylko 4.6%, czyli 5½ raza mniej, niż stosunkowy przyrost ogólny w tym samym okresie. W ciągu następnego 7-iolecia liczba armat w Rossyi wzrasta w stosunku nieco wyższym (6%), nie wyższym wszakże jak u sąsiadów.

Cyfry powyższe otrzymują należyte oświetlenie dopiero wówczas, gdy je zestawimy z równoczesnemi zmianami, dokonanemi w piechocie. Wspomnieliśmy już wyżej, że pomnażanie liczby karabinów szło wogóle daleko szybszem tempem, aniżeli powiększanie liczby armat. Zjawisko to miało miejsce we wszystkich armiach kontynentalnych.

Ilość armat na 10,000 żołnierzy na stopie wojennej.

	1874 r.	1884 r.	1891 r.
Rossya	21	16	12
Francya.	13	23	12
Niemcy	20	18	12
Austrya.	16	15	10
Włochy	13	20	10
Anglia	8	—	11
Turcya	14	19	13

Okazuje się więc, że obecnie rozrastają się przedewszystkiem zastępy ludzkie.

Jaka może być przyczyna tego zwrotu, tak sprzecznego z ogólnemi zasadami XIX wieku? Czy nakazywały go postępy sztuki wojennej, zasady nowszej taktyki? — czy też może zmiana nastąpiła skutkiem przyczyn ubocznych, np. z powodu trudności w uzyskiwaniu potrzebnych funduszów?

Zapewne, łatwiej jest otrzymać od ciał prawodawczych pozwolenie na powoływanie po wypowiedzeniu wojny rezerwistów coraz liczniejszych i do coraz późniejszego wieku, niż uzyskać kredyt na kupno nowych armat, koni i na inne wydatki, z powiększeniem artyleryi związane, gdyż w pierwszym wypadku chodzi o ciężar tylko ewentualny, w drugim o ofiarę natychmiastową. Lecz bardzo być może, że przyczyna większego rozwinięcia sił piechoty względnie do artyleryi spoczywa w nowych zasadach sztuki wojennej i taktyki.

Dla wyjaśnienia tego pytania musimy rozpatrzyć działanie artyleryi na placu boju.

II.

Proch bezdymny w artyleryi.

W rozdziale o prochu bezdymnym powiedzieliśmy już, że nawet mowy być nie może o tem, aby się dało spostrzedz dym nieprzyjacielski na zwykłych odległościach strzału armatniego.

Przy dawnym prochu, z chwilą rospoczęcia ognia, dym wskazywał wyraźnie punkta, z których pochodziły strzały, a zarazem zasłaniał oddział strzelający. Na polu bitwy linia dymu stanowiła cel dla ognia nieprzyjacielskiego; w każdej chwili można było określić linię bojową przeciwnika.

Przy nowym prochu rozpoznanie linii bojowej przeciwnika podług dymu jest niemożliwe; słyszy się huk strzałów, ale niewiadomo dokładnie, skąd one pochodzą. Oryentowanie się zaś za pomocą słuchu, zdaniem specyalistów, nie może żadną miarą zastąpić wskazówek wzrokowych.

Co więcej, z chwilą zastosowania prochu bezdymnego stało się podobno rzeczą nader trudną często odróżnić własne oddziały od wojsk nieprzyjacielskich. Nie mogąc się oryentować podług dymu, nawet na manewrach, nie będzie można wiedzieć, czy to własne wojska posuwają się naprzód, a nieprzyjacielskie się cofają, czy też, naodwrót, nieprzyjaciel zmusza przeciwnika do cofania się [1]).

Nowy proch, według zdania wielu pisarzy wojennych, utrudni również nadzwyczajnie celowanie.

Jak to wykazujemy w rozdziale, traktującym o „Działach i pociskach artyleryjskich“, celność strzałów zależała od tego, czy i o ile artylerzyści przy rychtowaniu działa mogli się oryentować, wnioskując z miejsca wybuchu poprzednio wystrzelonego pocisku, t. j. miejsca, sygnalizowanego przez dostrzegalny z daleka kłąb dymu.

Zastosowanie nowego prochu bezdymnego, rozważane z tego stanowiska, okazuje się niekorzystnem. Probowano temu zaradzić, strzelając z razu pociskami, nabitemi prochem zwyczajnym, a dopiero po uregulowaniu strzałów, rozpoczynać kanonadę prochem bezdymnym. Próby w tym rodzaju były czynione w czasie zeszłorocznych ćwiczeń letnich w obozie pod Krasnem-Siołem.

Trzeba jeszcze pamiętać, że zastosowanie prochu bezdymnego do armat zmieniło nieco na niekorzyść warunki bespieczeństwa żoł-

---

[1]) *Charles Dilke* „Les armées françaises“.

nierzy, obsługujących działa. Dawniej obsługa była niemal zawsze niewidzialną. Wprawdzie dym armatni przeszkadzał celować, ale natomiast stanowił doskonałą zasłonę przed strzałami karabinowemi. Tymczasem dziś, jakkolwiek nowy proch, zastosowany w większości armii do wystrzałów armatnich, daje więcej dymu, niż przy strzelaniu z broni ręcznej, nabijanej prochem bezdymnym (co pochodzi stąd, że do zapalników używa się prochu dawnego), wszakże na ogół niemal natychmiast po wystrzale dym niknie i obsługa jest prawie zupełnie odkrytą dla strzałów nieprzyjacielskich.

Tak więc przy prochu bezdymnym piechota, zbliżywszy się do bateryi nieprzyjacielskich bez żadnej trudności (o ile pozycya nie zostanie zakryta), będzie mogła brać na cel obsługę i konie, ukrywając się sama bespiecznie. Zatem działanie artyleryi z blizkich odległości do 1,000 metrów staje się prawie niepodobnem, a nawet z dalszych do 2,400 może być łatwo przez piechotę sparaliżowane. Dopiero przy większych odległościach artylerya zyskuje niejako swobodę w działaniu. Strzały karabinowe z większych odległości niż 2,400 metrów mogą wprawdzie razić, lecz, w miarę zbliżania się do kresu swej doniosłości, t. j. do 4,000 metrów, są tak niepewne, z przyczyn, które wykazywaliśmy (mianowicie z powodu zbyt wypukłego toru, skutkiem czego kula, spadająca niemal prostopadle na bateryę, tylko na bardzo małej przestrzeni swego przelotu może być niebespieczną), że nawet mówić o nich nie warto. Ale, bądź co bądź, te niemal błędne kule, gwiżdżąc około uszu obsługi działowej, sprawiać będą pewien niepokój, którego dawniej artylerya, działająca z takiej odległości, nie znała, zatem będą zmniejszały dozę zimnej krwi, tak niezbędnej przy celowaniu i nabijaniu dział.

Autorowie wojskowi powiadają, że „narody zaufały obecnie artyleryi, wskutek zmniejszenia się odwagi“ [1]); zachodzi więc pytanie, czy wobec nowej broni ręcznej, której skuteczność wyżej przedstawiliśmy, artylerya pozostanie nadal dominującym czynnikiem na placu boju, czy wywierać będzie, tak jak dotychczas, wpływ decydujący na losy bitew przez zachwianie i złamanie oporu piechoty? Jest to znowu jedna z wielkich zagadek przyszłej wojny, tem bardziej, że zastosowanie prochu bezdymnego i w innym jeszcze względzie zdaje się przyobiecywać doniosłe zmiany.

Przy opisaniu fabrykacyi i działania prochu bezdymnego wykazaliśmy już, że działanie jego w porównaniu z prochem dawnym, saletrzanym, jest znacznie silniejsze.

---

[1]) „Wojennyj Sbornik“: „Znaczenie prochu małodymnego“.

Opisując zaś broń ręczną, wspomnieliśmy, że szybkość początkowa pocisku jest miarą jakości karabinu, ponieważ od niej zależy kierunek toru kuli i siła uderzenia.

Toż samo zachodzi i przy pociskach artyleryi, a nawet szybkość początkowa znaczy tam więcej, ponieważ działanie kul armatnich strasznem jest, skutkiem rozpryskiwania się ich na drobne cząstki; działanie zaś ostatnich zależy właśnie od siły uderzenia, czyli ostatecznej szybkości, którą pocisk zachowuje w chwili wybuchu.

Im większa będzie szybkość pocisków, tem mniejszą może być waga czerepów, a więc tem większą, przy danej wadze pocisku, ich liczba. Stugramowy odłamek pocisku, wyrzuconego z odległości 3,200 metrów, razi na przestrzeni 523 metrów, czerepek zaś, ważący 40 gramów, tylko na przestrzeni 158 metrów, a 20-gramowy na przestrzeni 36 metrów.

Należało oczekiwać, że technika, posiadając w ręku środek dla wywołania większej siły wyrzutu, a zatem i szybkości polotu, nie zaniedba ze środka tego skorzystać. I rzeczywiście tak się stało.

III.

Niespodzianki przyszłej wojny w razie wyzyskania całkowitej siły prochu bezdymnego.

Ażeby całkowicie wyzyskać siłę wybuchową nowego prochu, we Francyi przystąpiono już do przerobienia dział typu z 1887 r. Prócz tego wyrabiane są zupełnie nowe armaty typu 1891 roku i te, w miarę wykończenia, zastępować będą poprzerabiane stare armaty. Niektóre statki już w r. 1892 były uzbrojone całkowicie na nowo.

Według obliczeń generała Wille, przestrzeń porażenia z nowych armat, w razie początkowej szybkości 1000 metrów, powiększyła-by się:

przy odległości do 1,000 metrów o 210%
„ „ „ 2,000 „ „ 133%
„ „ „ 3,000 „ „ 89%

Wskazywaliśmy już także, że liczba kul z russkich dział bateryjnych wynosi 340, tymczasem prof. Wieliczko podaje, iż liczba kul w szrapnelach, używanych w niemieckiej artyleryi, dochodzi do 1,500 w armacie 21 centymetrowej, oraz do 1,700 w moździerzu. Tym sposobem artyleryа niemiecka mogła-by razić przeciwnika pociskami, zawierającemi wewnątrz 5 razy więcej kul, niż w artyleryach państw innych, i to z odległości co najmniej 2,200 sążni, czyli prawie 4½ wiorst. Takaż sama różnica istnieje w bombach torpedowych: we Francyi taka

bomba największego typu zawiera 160 funtów melinitu, w Niemczech 175 pirokseliny, w Rossyi zaś 64 funty. Zwracaliśmy przytem uwagę, że zresztą jest to rzecz naturalna, iż prof. Wieliczko nie komunikuje danych bardziej szczegółowych co do pocisków russkich, i że dane te dopiero po pewnym przeciągu czasu staną się wiadome narówni z niemieckiemi lub francuskiemi.

W każdym razie — powtarzamy — ulegać wątpliwości nie może, iż istnieją już działa o wiele potężniejsze od tych, jakie do ostatniej niemal chwili uważano za najgroźniejsze.

Tak więc przy przyszłych spotkaniach zbrojnych wydarzyć się może, iż działanie artyleryi będzie daleko potężniejsze, niż było kiedykolwiek i niż dziś przypuszczają.

Oprócz tego we wszystkich krajach wynalazcy pracują nad ulepszeniem dział i pocisków.

Autor artykułu „L'artillerie de l'Avenir" w „Revue Scientifique" [2]) bardzo słusznie, zdaniem naszem, ocenia wartość tych drobnych, lecz licznych wynalazków:

„Masa malutkich poprawek — pisze on — nieznacznych prawie, które wyglądają jak gdyby nie grały żadnej roli, w rezultacie tworzy coś bardzo doniosłego. Armata przyszłości tem się zaznaczy, że będzie w niej wszystko w doskonalszej równowadze i harmonii, wszystko zostanie lepiej zastosowane do swego przeznaczenia. Będzie ona w takim stosunku do dzisiejszych, jak koń subtelnie wytresowany do człapaka ledwie ujeżdżonego. Toż samo zwierzę, a jednak różnica olbrzymia, pierwszego nawet dosiąść przyjemniej, posiada on przytem większą wytrzymałość, wskutek wyćwiczenia i udoskonalenia członków".

O słuszności tego twierdzenia stąd wnioskować można, iż dziś wielu już pisarzy wojskowych zwraca uwagę na konieczność zmiany taktyki wskutek samych tych tylko udoskonaleń, które są dotychczas znane. Mówiliśmy o nich w rozdziale „o działach i pociskach" i tam wyjaśniliśmy, że za pierwszy i bezpośredni skutek udoskonalenia te mają: spotęgowanie siły ognia armatniego od 1872 r. przynajmniej 12 do 15 razy i posunięcie sfery porażenia na jakie, oględnie rachując, 700 metrów.

Szczególny nacisk przytem kładą autorowie na różnicę, pochodzącą z bezdymności pola bitwy. Lecz znowu inni powiadają, że mniemania o różnicach działania artyleryi są dotychczas tylko teoretyczne i praktyką stwierdzone nie zostały; co się zaś tyczy prochu bezdymnego, to chociaż w rzeczywistości dymu nie widać, jednakże przy otworze lufy armatniej, po każdym wystrzale, wylatuje ognisty słup palą-

[2]) Fevrier 1893.

cych się gazów, których błysk jest nawet silniejszy, niż przy dawnym prochu. Po tych błyskach można ściśle z odległości prawie 3 wiorst gołem okiem nietylko określić pozycyę artyleryi nieprzyjacielskiej, ale nawet podług wystrzałów porachować liczbę armat. Za pomocą szkieł zbliżających można to oczywiście zrobić jeszcze łatwiej.

Pomimo przeto bezdymności nowego prochu, każdy strzał armatni jest tak samo widzialny, jak przy starym prochu; różnica ta tylko, że dawniej określano pozycyę strzelającej artyleryi podług „dymków", a dzisiaj oryentować się będą na zasadzie błysków.

Dla lepszego zoryentowania się pod tym względem, musimy rozpatrzyć szczegółowo działanie artyleryi ze stanowiska celów, którym ma służyć w przyszłej wojnie.

IV.

Odległość rospoczęcia działań artyleryi.

Wskazywaliśmy już, że samą siłą rzeczy poważniejsze działania artyleryi rospoczynać się będą pojedynkiem na życie i śmierć artyleryi przeciwko artyleryi.

Po części i dawniej tak bywało, lecz rezultat wzajemnego ostrzeliwania się nie miał tej doniosłości, jaką mieć będzie dzisiaj.

Doniosłość dział, według danych obecnych, (a zatem, pozostawiając na uboczu możliwe, wyżej wskazane, udoskonalenia, wskutek użycia prochu bezdymnego), wynosi w armii francuskiej 7,000 metrów, w armii niemieckiej 6,000 metrów, w innych armiach 4,000 metrów.

Według regulaminów russkich, za najdogodniejsze odległości dla ognia działowego uważane są dystansy od 1491 metrów do 1917 metrów; jako najdalszy dystans dla dział lekkich przyjęto tam 3408 m., dla cięższych (9 funtowych) 3,088 m.

W najnowszem dziele o działaniu armii na polu bitwy, profesor Coumès [1]) w następujący sposób oznacza dystanse typowe, z których mniej więcej walka rozpoczynać się będzie:

„Artylerya obecna będzie mogła rospoczynać ogień przeciwko pozycyom nieprzyjacielskim z odległości 5,500, a nawet 6,000 metrów. Przedewszystkiem zajmie się ona burzeniem osłon i ostrzeliwaniem stanowisk nieprzyjaciela. Następnie, poczynając od 4,000 metrów, rospocznie walkę z artyleryą przeciwnika. Na 3,000 metrów będzie mogła strzelać do kawaleryi, a nawet do piechoty. Akcya piechoty

[1]) Coumès, „Tactique de demain."

rospocznie się prawdopodobnie z odległości 2,000 do 1,800 metrów, piechota zacznie się posuwać naprzód, poprzedzana przez pojedyncze strzały strzelców wyborowych. Od 1,500 do 1,000 metrów marsz ten wymagać będzie największej oględności, z powodu niezmiernie niszczącego działania artyleryi nieprzyjacielskiej i salw atakowanej piechoty, która będzie mogła jeszcze bardzo trafnie celować.

„Począwszy od 1,000 metrów, artylerye stron obu będą mało niebezpieczne dla piechoty. Mogą one już wtedy tylko bombardować się nawzajem, obawiając się, by strzały nie raziły ich własnej piechoty; przy obecnych przestrzeniach porażenia, muszą one wstrzymywać ogień z chwilą, gdy pomiędzy piechotami odległość nie będzie większa nad 500 metrów.

Od 1,000 metrów poczynając, piechota posuwać się będzie ku pozycyi nieprzyjacielskiej sama, gdyż artylerya dzisiaj narażała-by się na zbyt wielkie ryzyko, zupełnego zniszczenia, gdyby dalej chciała towarzyszyć piechocie inaczej, jak swemi pociskami".

Lecz znany dowódca artyleryi niemieckiej, ks. Hohenlohe, twierdzi, że artylerya dzisiejsza może rospoczynać skuteczny ogień nawet z odległości 7,000 metrów, albowiem na tej odległości jeszcze połowa pocisków trafia w cel na 15 kroków szeroki.

„Gdyby więc ustawić bateryę naprost drogi szerokości 15-u kroków, baterya ta mogła-by razić znajdujące się tam szeregi piechoty z milowej odległości, a działanie było-by tak skuteczne, że o użytkowaniu z drogi w tem miejscu niktby nawet nie pomyślał" [1]).

A ponieważ szrapnele i granaty, pękając, obrzucają czerepkami daleko znaczniejsze przestrzenie, zatem prawdopodobnie trafienie wojska, postępującego masą, nawet z odległości 7,000 metrów należy uważać za zupełnie możliwe.

Na okoliczność tę zwrócić musimy uwagę, gdyż, jak to później wykażemy, nietylko materyalne, ale i moralne wpływy na wojsko będą zupełnie inne, niż w wojnach poprzedzających, gdyż w obec przewidywanych skutków ognia artyleryjskiego, prowadzić trzeba będzie wojsko w szyku mniej lub więcej rosproszonym. Czy zapas męstwa i wogóle sił nerwowych, które posiadać wypadnie, będzie dostatecznym, ażeby, mając możność łatwego wycofania się z boju, tem nie mniej postępować naprzód, i które narodowości okażą się pod tym względem wytrzymal-

[1]) Cytata prof. Langlois w dziele p. t. „L'artillerie de campagne". Lecz i pod tym względem ostatnie słowo jeszcze wypowiedziane nie zostało. Już mówiąc o działaniu armat, wskazywaliśmy niespodzianki, jakie w przyszłej wojnie zgotować może udoskonalenie środków wybuchowych, szerzących śmierć na ogromnych przestrzeniach.

szemi, jest to kwestya, dziś jeszcze nierozwiązana, ale posiadająca niemałe znaczenie.

Ta-to właśnie zdolność szerzenia zniszczenia z odległości niedostępnych dla broni ręcznej stanowi cechę charakterystyczną i nadaje niezmierną doniosłość artyleryi nowoczesnej; „dopiero poczynając od 1,000 metrów stosunek ognia działowego i karabinowego się wyrównywa“ [1]). Tak więc, jeżeli artylerya rzeczywiście rospoczynać może działanie z odległości 7 wiorst, to na ogromnej 6-wiorstowej przestrzeni mieć będzie ciągle przewagę.

Zarzuty czynione, że z takich odległości cele nie będą widoczne, mogły-by mieć racyę bytu. Lecz z wożonych z sobą licznych balonów i z każdego większego wzniesienia, przy posiadanych dziś doskonałych szkłach, obserwowanie na 7-wiorstową odległość nie przedstawia trudności.

Przy dalekonośności broni obecnej, pojedynek wyłącznie na działa trwać długo nie może, bo chociażby artylerya była zdolna przez czas znaczniejszy znosić straty, wyrządzane przez pociski nieprzyjacielskie, to udział piechoty zmusi ją do zaprzestania boju, a zatem artylerya, bardzo być może, że w mniejszym niż poprzednio stopniu, będzie wyłącznym panem placu boju. Obecnie ogień karabinowy, byle tylko strzelcy zdołali zbliżyć się na odpowiedną odległość, może poważnie współzawodniczyć z ogniem działowym, zwłaszcza, że baterya, jako cel nieruchomy, pozwala zastosować z powodzeniem metodę skoncentrowanego ognia karabinowego na znacznych nawet odległościach.

Już w czasie kampanii 1870 r. francuski ogień karabinowy, jakkolwiek na ogół bardzo niedołężnie wyzyskiwany, zmuszał z odległości 1,000 metrów bateryc pruskie do cofania się; a od tego czasu broń ręczna uczyniła olbrzymie postępy.

Nadto wiedzieć należy, że w każdej armii utworzono obecnie specyalne „oddziały myśliwskie“, złożone z ludzi, umiejących strzelać celnie ze znacznych odległości i wyćwiczonych w sztuce podkradania się. Niemieckie organa wojskowe podają np., na podstawie relacyi „Wojennego Sbornika“, następujące szczegóły, nie pozbawione interesu, o wyćwiczeniu i fortelach tych „myśliwych“ w armii russkiej. Dziesięciu np. myśliwych, ukrytych w rowie, zdołało nagle otoczyć i rozbroić konny patrol nieprzyjacielski; dwóch znowu potrafiło tak dobrze ukryć się pod samym obozem nieprzyjacielskim, że, doczekawszy się zmiany posterunków, usłyszeli hasło i mogli następnie zbadać cały obóz.

Oczywista więc, że dla tak wyćwiczonych ludzi podkradanie się do

[1]) Art. 51 „ Regulaminu niemieckiego“.

strzelającej bateryi i wybicie obsługi armatniej nie przedstawi zbyt wielkich trudności. Na pewno liczyć można, że armie przed sobą niby sieć ochronną mieć będą takich wyćwiczonych strzelców. Do armii francuskiej w tym celu wcielono strzelców leśnych (forestiers). W Austryi i w Niemczech nie brak również bardzo zdolnych strzelców. Wiadome są ofiary, czynione na uprawianie sportu myśliwskiego.

V.

Niebespieczeństwa, wynikające z pocisków eksplodujących.

Kwestya używania materyi wybuchowych do pocisków z zupełnem bespieczeństwem dotychczas niezupełnie jeszcze została rozwiązaną.

W obec doniosłości tej kwestyi zajęliśmy się specyalnie jej zbadaniem. Przestudyowaliśmy szereg dzieł specyalnych, prócz tego dyskutowaliśmy obszernie ze znawcami tego przedmiotu. Rezultaty badań naszych znajdzie czytelnik poniżej.

W „Conférence sur l'artillerie de campagne“ [1]) znajdujemy następujące interesujące wskazówki:

Zastosowanie prochu bezdymnego w artyleryi było przez ogół artylerzystów francuskich przyjęte z uznaniem, tymczasem wprowadzenie bomb eksplodujących (obus torpilles) napotyka wielu przeciwników.

Pociskom tym zarzucają, że sfera ich działania jest bardzo ograniczona, gdyż nie przekracza 15 metrów, podczas gdy snop pocisku szrapnelowego pokrywa przestrzeń w formie elipsy, której szerokość wynosi 50, a długość 200 metrów. Następnie, dla względów bespieczeństwa, zabroniono zakładać przy bombach przyrządy, służące do wywołania wybuchu i wogóle używać pocisków eksplodujących przy ćwiczeniach. Ufność wróciła dopiero wtedy, kiedy nakazano wypróbować pewną ich liczbę w strzelnicach.

Wiadomo dziś wreszcie, że przyrząd, służący do wywołania wybuchu przy tych pociskach, będzie zapewne zmodyfikowany, i że, ażeby umożebnić tę modyfikacyę, postanowiono przyrządu do wywołania wybuchu nie kłaść jeszcze do pocisków. I rzecz to bardzo naturalna. Wiedzą wszyscy, że odkręcenie przyrządu do wywołania wybuchu jest zawsze rzeczą niebespieczną, bez względu na to, czy nabój wewnętrzny składa się ze zwykłego prochu, czy z innej substancyi eksplodującej.

---

[1]) Paris 1892.

Jeżeli tak się wyraża o pociskach eksplodujących oficer artyleryi francuskiej, przeznaczony do wykładu oficerom innych broni, to w rzeczywistości zachodzić muszą obawy daleko poważniejsze. Jakoż inaczej być nie może.

W armii francuskiej pociski eksplodujące lżejszych gatunków przewożone być mają po 75 sztuk na jednym specyalnym furgonie, dawanym do każdej bateryi dział [1]).

Pociski wybuchowe są pomalowane na kolor żółty, a oprócz tego, ażeby w ciemności nie było pomyłek, mają one odmienne wypukłości. Lecz w chwili rozdrażnienia, jakie walka może obudzić, czyż podobna liczyć, że pomyłki nie zajdą?

W Niemczech granaty eksplodujące przewożone są dla bespieczeństwa również bez przyrządów do wywołania wybuchów; ostateczne nabicie tych granatów dokonywać się ma dopiero podczas nabijania działa.

Otóż w czasie walki, kiedy gorączkowy nastrój już opanował wojsko i zimną krew posiadają już tylko natury wyjątkowe, jest kwestyą bardzo jeszcze sporną, czy czynność ta będzie się mogła odbywać z należytą prawidłowością i bespieczeństwem.

Lecz przypuśćmy, że przyrządy zostaną założone prawidłowo, z całą niezbędną dokładnością i ostrożnością: wówczas trzeba dokonać strzału. Otóż tutaj napotykamy daleko większe jeszcze niebespieczeństwo.

Ażeby sobie zdać z tego sprawę, musimy przyjrzeć się konstrukcyi pocisków wybuchowych: jako typ weźmy pociski silniejsze. Pociski te, a raczej rzec można, miny piekielne, składają się z długiego stalowego cylindra, w którym znajduje się, o ile tylko się da, jak największy otwór dla pomieszczenia melinitu lub innej materyi wybuchowej, jako to: roborytu, ekrazytu i t. p.

Wszystkie te materye wybuchowe, któremi napełniają się pociski, jak to już wspomnieliśmy, mają jedną podstawę i różnią się tylko domieszkami i sposobami przyrządzenia.

Otóż zawartość tych materyi wybuchowych będzie tem większą, im ściany pocisku będą cieńsze.

Jeżeli w tej mierze przekroczyć granice, wówczas wytrzymałość cylindra może stać się niedostateczną i parcie przy wystrzale wywoła pęknięcie i rozerwanie pocisku.

Ale nawet przy dostatecznej grubości ścianek, pęknięcie, czy to wskutek wad konstrukcyjnych, czy też innych przyczyn, również zdarzyć się może.

---

[1]) Generał Wille: „Das Feldgeschütz der Zukunft," str. 92.

Wprawdzie wymaganem jest, ażeby stal, używana na tego rodzaju pociski, wytrzymywała ciśnienie, dochodzące do 4,000 atmosfer [1]); lecz wiemy z doświadczeń, że próby są często zawodne, i że, pomimo wszelkich środków ostrożności, łatwo natrafić na niespodziankę.

Bądź co bądź, potrzebnem jest silne „uderzenie młota", popchnięte przez gaz, na tył pocisku, ażeby wywołać zapalenie przyrządu, służyć mającego do sprawienia eksplozyi.

Otóż to uderzenie potężne jest zdolne rozerwać lub rozszerzyć tylko pocisk, a w takim wypadku skorupa metaliczna rozerwać się może w kanale, jak się to dzieje z puszką kartaczową, z tą wszakże różnicą, że nabój wewnętrzny melinitu zapali się i nastąpi wybuch, mogący pociągnąć za sobą rozsadzenie armaty.

Celem zażegnania tego niebezpieczeństwa, w Niemczech, a prawdopodobnie i w innych krajach, budują obecnie pociski, napełnione dwiema materyami takiemi, które dopiero po połączeniu mogą wywołać wybuch.

„Substancye, używane do tego, są następujące: z jednej strony np. kwas siarczany, z drugiej pochodne azotowe naftaliny, fenolu, toluolu, benzyny, ksylolu i t. d. Składowe części, niezbędne do wybuchu, umieszczają się w naczyniach rozmaitej formy ze szkła lub porcelany, dosyć naturalnie mocne, aby nie pękły podczas przewozu lub manipulacyi, poprzedzających strzał; dla większego bespieczeństwa naczynia te obciągają się powłoką z gumy lub innych materyi izolujących. Zamiast używania oddzielnych naczyń, można w samym korpusie pocisku zachować jedną lub kilka przegródek, dających się w chwili właściwej skruszyć; w ten sposób utworzy się tam dwie lub więcej kamer dla pomieszczenia materyi wybuchowych.

„W obu wypadkach, naczynie lub przegródka stłuką się wskutek wstrząśnienia, spowodowanego wystrzałem, dzięki sile bezwładności; zmieszanie zaś następuje przez ruch obrotowy pocisku i uderzenia kawałków stłuczonego naczynia.

„Wybuch w pociskach takich nastąpić może wskutek działania specyalnego przyrządu (zapalnik perkusyjny), lub też wskutek wstrząśnienia, spowodowanego uderzeniem kuli, gdy ta trafia w cel. Pociski składają się zawsze z dwóch części, dolnej i górnej, wszrubowanych jedna w drugą.

„W szrapnelach wybuch następuje wskutek działania rurki, zawierającej materyę wybuchowe i zaopatrzonej w zapalnik, nastawiający się na dany przeciąg czasu.

---

[1]) Generał Wille. „Das Feldgeschütz der Zukunft," str. 92.

„Można jednak, a nawet należy obawiać się, że wstrząśnienia gwałtowne przy przewożeniu i nabijaniu sprowadzą przedwczesne rozbicie się naczyń i wybuch. I tu więc niema zupełnego bespieczeństwa, i straszne wypadki są zawsze możliwe“ [1]).

Wyobraźmy sobie na chwilę, jakiej katastrofy obawiać się wtedy należy.

Wprawdzie działanie gazów, jak niektórzy utrzymują, ma ograniczać się tylko do przestrzeni 15 metrów, lecz siła jest tak straszna, że wybuch porwie za sobą i ludzi, i działa, i konie, i amunicyę.

Armaty rzadko strzelają pojedyńczo. Ostrzeliwanie najczęściej odbywać się będzie, jak to wykazaliśmy, całemi grupami bateryi. Lecz przypuśćmy, że eksplozya nastąpi tylko w jednej bateryi 6 działowej; pomimo przestrzeni pomiędzy działami, wynosić mającej od 10 do 40 kroków (minimum, przy którem oficerowie mogą kierować ogniem), każdy wybuch porwie wtedy co najmniej 3 działa z ich amunicyą, zawartą w przodkach.

Amunicye te, wysadzone w powietrze, zaczną również eksplodować i pociągną za sobą eksplozyę pozostałych przodków armat, napełnionych pociskami. Części stałe, twarde, rozrzucone przytem zostaną co najmniej na 100 sążni, czyli przeszło 200 metrów naokoło.

Na powierzchni więc kwadratowej, około ½ wiorsty mającej [2]), odbywać się będą straszliwe spustoszenia przez padanie twardych ciał.

Zresztą zachodzi pytanie, czy sama detonacya bez uderzenia szczątkami nie wywoła eksplozyi?

Prób robionych z nitrogliceryną nie znamy, ale co do dynamitu, który, jak wiadomo, składa się z nitrogliceryny z domieszką tylko części neutralnych, ułatwiających nasycenie nitrogliceryną, są pewne dane.

Dynamit posiada wielką siłę detonacyi; tak np. jeżeli nabój dynamitowy pęknie w odległości mniej więcej 7½ stóp od drugiego, to wybuch pierwszego udzieli się i drugiemu.

Lecz nadto w niewielkiej odległości od bateryi ustawione będą wozy amunicyjne. Jest dużo prawdopodobieństwa, że jeżeli już samo

---

[1]) „Encyklopédie théorique et pratique des connaissances civiles et militaires“ (Publiée sous le patronage de la Réunion des officiers). Paris.

[2]) Odległość 100 sążni przyjmuje się z tego powodu, że w Petersburgu podczas wybuchu pyroksseliny w fabryce prochu bezdymnego na Ochcie, na taki dystans wyrzuconemi zostały szczątki zabudowań *wraz z fundamentem*. Według sprawozdania „Now. Wrem.“, wybuch nastąpił podczas robót; robotnicy zostali rozerwani na kawałki, tak, iż w odległości 100 i więcej sążni od miejsca wybuchu znajdowano szczątki trupów ludzkich.

wstrząśnienie powietrza nie wywoła wybuchu, to sprowadzi go bombardowanie spadających twardych szczątków. Wówczas znowu będziemy mieli nowe ognisko eksplozyi.

Cóż więc będzie, gdy wybuch nastąpi w chwili, w której ściągnięto już liczne szeregi wojsk!

Ktoś powie może, iż doskonałością konstrukcyi i doborem ludzi, umiejących obchodzić się z takiemi pociskami, zażegnać można niebezpieczeństwo. Zgódźmy się i na to. Rozpatrzmy tylko inne, ważniejsze jeszcze, okoliczności.

Już przy prochu saletrzanym, stosunkowo mało bardzo niebezpiecznym, zdarzały się eksplozye, pomimo wszelkich przedsiębranych środków ostrożności.

Przy mobilizacyi z r. 1859 zdarzyło się, że jeden z przodków armatnich razem z załogą wyleciał w powietrze. Zarządzone śledztwo doprowadziło do wniosku, że ze złego zapakowania amunicyi wynikło przetarcie się jednego lub kilku pocisków, z których proch przedostał się na zewnątrz, i wpadłszy pomiędzy żelazo, zapalił się skutkiem uderzeń podczas jazdy.

A cóż dopiero być może z innemi środkami wybuchowemi. Przy uderzeniu młotem w dynamit, położony na kowadle w cienkiej warstwie, otrzymujemy zawsze wybuch. Przy ściśnięciu pomiędzy arkuszami bibuły dynamit pozostawia tłuste plamy nitrogliceryny; jeżeli bibułę tę położyć na kowadle i uderzyć po niej młotem żelaznym, to bibuła także eksploduje. Wobec tego przy obchodzeniu się z dynamitem należy unikać czynności mechanicznych, wywołujących silne wstrząśnienie, uderzenia lub tarcia.

Otóż przy tysiącznych, przewidzieć się nie dających, przygodach i potrzebach wojennych, przy transportowaniu dziś znacznie większemi niż w przeszłości partyami, przy daleko większym niż niegdyś pośpiechu, zamieszaniu, gorączce, wskutek bardziej morderczego ognia, niepodobna nie mieć pod tym względem obaw bardzo poważnych.

Wyobraźmy sobie tylko bateryę, która otrzymała roskaz zajęcia pozycyi pod ogniem nieprzyjacielskim. Wprawdzie bateryę poprzedzać winien dowódca z podoficerami dla poznania terenu, ale nie zawsze, jest możliwem, zbadanie terenu tak dokładne, ażeby być pewnym, czy na przestrzeni do przebycia nie znajdzie się jakiś rowek, nierówność, lub duży kamień, nie starczy na to ani czasu, ani sposobu. A zresztą, gdyby szukać takich miejscowości, to przyszło-by zrzec się działalności artyleryi.

Baterya pędzi wyciągniętym galopem i napotyka przeszkodę. Zatrzymać się nie podobna. Zawrócić się i szukać obejścia pod ogniem równało-by się wybiciu co do nogi. Chcąc tego uniknąć, trzeba przesa-

dzić przeszkodę. Tysiączne przykłady daje historya, że w takich razach przenosi się część całości; przeprowadza się z 6 dział bateryi, jeżeli się uda, 3 lub 4, a nawet i jedno, i w takim razie jest to często ogromna wygrana. Ale jak tu zdecydować się na taki krok, kiedy silne uderzenie wywoła skutek uderzenia młota o pociski, napełnione melinitem, t. j. sprowadzić może eksplozyę.

Doświadczenie naucza, że przy przewożeniu materyi wybuchowych, przy największych nawet ostrożnościach, wybuchy zdarzyć się mogą.

W San-Francisco dwie beczułki, z których każda zawierała 4 stopy sześcienne dynamitu, mocno powalane tłustością, zostały wyładowane z parostatku Pacifique, który przybył do San Francisco, i przeniesione do miasta. Zaledwie je przywieziono, nastąpił wybuch, którego ofiarami stało się wielu obywateli i przechodniów. Cała dzielnica została zrujnowana, jak gdyby przez trzęsienie ziemi [1]).

Jeżeli więc wybuch tylko 8 stóp sześciennych mógł sprawić tak straszliwe skutki, cóż się dziać będzie, jeżeli całe warstwy pocisków, napełnionych materyami wybuchowemi i kulami, rospoczną piekielną kanonadę?

Bawełna strzelnicza również jest niebespieczną. W przepisach o jej przewożeniu wyraźnie powiedziano, że skrzynki winny być ułożone szczelnie i w ten sposób, aby się nie dotykały jedna do drugiej, nie uderzały o furgon i nie tarły się o koła [2]). W przeciwnym razie nastąpić może wybuch.

Dalej, dla przewożenia podczas pokoju wybierać można sobie odpowiedny stan temperatury. Na wojnie oczywiście tego czynić niepodobna.

Tymczasem przy temperaturze 6° Reaumura dynamit krzepnie, a w tym stanie jego czułość na wszelkie wstrząśnienia mechaniczne znacznie wzrasta; większość wypadków zdarza się właśnie przy manipulacyach z dynamitem skrzepłym. Jeszcze większe niebezpieczeństwo przedstawia pod tym względem dynamit nie zupełnie stwardniały (nawpół zmarznięty) [3]).

A właśnie temperatura około 6 stopni ciepła i niższa panuje najczęściej nocami w klimacie Europy środkowej.

Lecz nie dość na tem. Dynamit eksploduje przy każdej temperaturze od uderzenia kuli karabinowej [4]).

---

[1]) Radiwanowskij „Proch, piroksylina i dynamit".

[2]) Tamże, str. 136.

[3]) Wosełowskij.

[4]) We Francyi czyniono pod tym względem następujące doświadczenia: 1) Dynamit zawierający 64% nitrogliceryny włożono w worek i zawieszono w po-

W r. 1868 były czynione doświadczenia, o ile kule przebijać mogą furgony z amunicyą i przodki armat, napełnione pociskami. Wtedy bowiem wprowadzono do armii russkiej kule eksplodujące o kalibrze 6 linii, któremi strzelano do jaszczyków z patronami i nabojami. Kula taka była odlewana z ołowiu w formie podłużnej i miała w jednym końcu cylindryczną próżnię, do której wstawiano żelazną rurkę, wypełnioną zwykłym prochem (0.2 gram.) i zaopatrzoną w piston. Przy strzelaniu do jaszczyków z prochem lub nabojami, każda taka kula, o ile trafiała w jaszczyk wprost, nie zaś rykoszetem, wywoływała eksplozyę.

Z początku w batalionach strzelców każdy żołnierz miał po sześć takich patronów z kulą eksplodującą, następnie wszakże liczbę ich zmniejszono z obawy, aby strzelcy nie używali ich przeciwko ludziom, co ze względu na straszliwość zadawanych przez nie ran nie mogło być dopuszczone.

Za inicyatywą Cesarza Aleksandra II zebrała się w Petersburgu konferencya międzynarodowa, na której uchwalono zrzec się używania, tak na lądzie, jak i na morzu, pocisków, które-by przy wadze mniejszej niż 400 grammów, posiadały własności eksplodujące lub też napełnione były substancyami palnemi.

Przy dzisiejszej sile wyrzutu, jeżeli nie każda kula karabinowa, trafiająca w jaszczyk z niezbyt dalekich odległości, to pewna ich ilość, wypuszczona z karabinów, lub też szrapneli, nie mówiąc już o granatach, dokona tego, co sprawić mogły kule z r. 1863. Pomimo, że jaszczyki dziś budują z blach żelaznych, jak np. w Rossyi, lub też opancerzają je, jak np. we Francyi, wskutek czego ciężar martwy wynosi 100 na 100 [1]), jednak uważać ich za przedstawiające zupełne bespieczeństwo nie można.

Lecz, przypuszczając nawet, że zwiększono-by ich grubość, to i wówczas niebespieczeństwo zostało-by tylko zmniejszone, gdyż przy wyjmowaniu amunicyi jaszczyk przez pewien czas musi pozostawać otwartym.

Oprócz tego, nie trzeba zapominać, iż kule kartaczownic i armat, ponieważ ważą więcej niż 400 grammów, mogą być napełniane mate-

---

wietrzu. Kula, wystrzelona z karabinu Chassepot z odległości 20 metrów, przebiła na wylot worek i wywołała eksplozyę całej ilości dynamitu. 2) Toż samo doświadczenie i z takim samym skutkiem powtórzono z odległości przeszło 100 metrów. 3) Wybuch nastąpił również przy 40% zawartości nitrogliceryny. Dopiero gdy procent nitrogliceryny nie przenosił 25%, wybuch nie następował. (Radiwanowskij, ibidem str. 234).

[1]) „Revue scientifique“ 11 Fevrier 1893. „L'artillerie de l'avenir“.

ryami wybuchowemi. Jedna z tych kul (a każdy przeciwnik gotów będzie wypuścić ich tysiące, by wywołać eksplozyę), sprowadzi wskazane przez nas zniszczenie.

Jaki niepokój zapanuje w armii po pierwszym wybuchu, łatwo przewidzieć. Lecz daleko trudniej przewidzieć wrażenie, jakie wywrą przesadzone wieści o takich wybuchach na rodziny znajdujących się na wojnie.

Wątpliwości podlegać nie może, że na wojska, które były naocznymi świadkami wybuchu, lub tylko słyszały o nim żywe, a zawsze prawie pełne grozy opowiadania, fakt ten wywrze silne wrażenie, a nawet zapewne rozbudzi wielką i nieustanną obawę. Wskutek tego blizkość artyleryi nie będzie już wzbudzała tego poczucia siły, bezpieczeństwa, pewności siebie, jak to się działo dotychczas. „Niepewność sprowadzi uczucie nieprzewidzianego niepokoju, a najpotężniejsze skutki wywoływane są przez przyczyny moralne“ — tak mówią specyaliści [1]).

Co więcej, wrażenie tego niepokoju może zaważyć nie tylko na polach walki. Odczuje go ludność pozostająca w domach, czyhająca na wszelkie wieści z pola bitew i bardzo na nie czuła. Wobec dzisiejszego stanu społeczeństwa Europy zachodniej, wobec stosunku armii do ogółu mieszkańców kraju, wobec wreszcie znaczenia opinii publicznej, wiadomość o katastrofie może wywołać bardzo poważne powikłania. O kwestyi tej dyskutowaliśmy z uczonymi a wytrawnymi znawcami stosunków społecznych w naszej części świata. Jeden z nich, były minister francuski, umysł politycznie głęboki i wyrobiony, twierdził, że we Francyi nie tylko przewidują wstrząśnienia moralne i powikłanie ekonomiczne w razie rospoczęcia mobilizacyi przed wojną, lecz nawet rzecz ta była przedmiotem obrad, które doprowadziły do wytworzenia planu postępowania w podobnym wypadku. Do przedmiotu tego powrócimy jeszcze, gdy porównywać będziemy szybkość mobilizacyi i jej możliwe skutki w rozmaitych krajach. Naturalnie i wtedy zakomunikujemy tylko zarys metody postępowania, jaka przyjętą została, gdyż dla łatwo zrozumianych przyczyn żadne szczegóły z rezultatów badań zakomunikowane nam nie zostały.

Co się zaś tyczy wstrząśnień, które powstać mogą pod wpływem fatalnych wieści, nadchodzących z pola walki—o czem mówiliśmy już wyżej — to te dotychczas w sferach rządowych pod uwagę wzięte nie zostały.

---

[1]) *Colonel de Ponchalon* „Nouvelle tactique de Combat.“ Paris 1892.

Wspomniany przez nas mąż stanu mniemanie nasze co do wielkiej doniosłości tej sprawy podzielał w zupełności. Z dyskusyi naszej uważamy za rzecz właściwą przytoczyć tu niektóre bardziej interesujące szczegóły.

Za pewnik dziś uważać należy, iż żadne z państw, mających rozwinięty przemysł, rękodzieła i handel, i wogóle pozostających na wyższym stopniu kultury, nie będzie mogło zmobilizować całej swej armii. Wyrwanie naraz z tak skomplikowanej maszyny, jaką jest obecnie warsztat pracy społecznej, ogromnej liczby kółek, równałoby się popsuciu i połamaniu samej maszyny, mobilizacya przeto we Francyi i Niemczech, przeprowadzona bezwzględnie jest więc rzeczą dziś wprost niemożliwą.

Wobec tego, do szeregów walczących powoływane być muszą stopniowo co raz to starsze, a więc do organizmu społecznego silniej przyrosłe, kontyngensy. Tymczasem z pola bitew nadchodzić będą wiadomości pełne grozy i okropności — wątpić o tem niepodobna, wobec nowej broni i jej użycia; do tego, według zdania znawców, dołączą się wieści o wybuchach, przez nas omawianych, „spadać one będą jedne za drugiemi szeregiem niby paciorki różańca“ — mówi wspomniany mąż stanu. Nie podobna więc wątpić, że wobec tego rodziny niezbyt łatwo puszczą na śmierć niemal pewną, a straszną, swoich ojców, opiekunów, karmicieli. A i ci ojcowie zapewne chęci wielkiej mieć nie będą i spieszyć się nie zechcą. W krajach też Europy Zachodniej może powstać ruch, wojnie nieprzyjazny, który się udzieli szeregom, w ogniu walki już będącym. Ruch zaś taki, o ile będzie niebespieczny, o tyle przy warunkach, przez wojnę wytworzonych, trudny do stłumienia. Nie będzie na to ani dosyć siły, ani energii, gdyby się nawet siła znalazła.

Zwrócić należy uwagę, że osobie, z którą w tej materyi dyskutowałem, kwestya niebezpieczeństw, mogących wyniknąć z użycia nowych substancyi wybuchowych, obcą nie była.

Inny interlokutor nasz, uczony ekonomista, który stanowisko ministeryalne zajmował już niejednokrotnie, obaw tego rodzaju nie podzielał.

Według niego, straty przewidywane, a więc normalne niejako, będą wciąż tak olbrzymie, iż wypadkowe katastrofy grozy nie podniosą, będą one słabym tylko dodatkiem. Z chwilą wybuchu wojny prasę trzeba będzie natychmiast ująć w silne kluby, a wszelkie nieporządki w zarodku tłumić. Energiczne spełnianie obowiązków przez policyę i żandarmów najzupełniej wystarczy do zapobieżenia komplikacyom.

W każdym razie, którekolwiek zdanie jest słuszne, jest to kwestya ważna. Nowe środki wybuchowe nie tylko przekształciły uzbro-

jenie piechoty, nie tylko zreformowały artylleryę, przetworzyły one taktykę, wpływ ich sięga do stosunków społecznych i stanowi o samem: „być albo nie być“ wojny!

VI.

Walka z nieprzyjacielem, ukrytym po-za okopami.

Kwestya, jakim sposobem dosięgnąć strzałami armatniemi żołnierza, ukrytego po za szańcami, będzie miała w przyszłej wojnie ogromną doniosłość.

Doświadczenia, osiągnięte zwłaszcza w wojnie 1877/8 r., wykazały niezbędność uzbrojenia artyleryi w takie pociski, ażeby można było skutecznie razić ludzi lub przedmioty po-za naturalnemi lub sztucznemi zasłonami. Inaczej szturmowanie okazało-by się prawie niemożebnem z powodu zbyt dotkliwych strat, jakie atakującym zadawać może artylerya i piechota, ukryta po-za okopem.

Gdyby obadwaj przeciwnicy zaraz z początkiem kampanii oszańcowali się w odpowiednych miejscowościach i tam wyczekiwali obustronnie na atak przeciwnika—powtórzył-by się fakt historyczny, jaki zaszedł pomiędzy Gustawem Adolfem i Wallensteinem, którzy pod Norymbergą okopali się obadwaj i nadzieję zwycięstwa oparli na cierpliwości i głodzie [1]).

Ażeby do podobnego wypadku nie dopuścić, niektóre państwa przystąpiły do wprowadzania nowych armat. Obie największe odlewnie dział w Niemczech od wielu lat studyują już tę kwestyę. O jej obecnym stanie znajdujemy następujące objaśnienie w przedmowie do świeżego wydawnictwa Kruppa, ogłoszonego celem rozprzedaży budowanych przez niego moździerzy 12 centymetrowych.

Ostatnie wojny wykazały, że zwyczajne armaty polowe, ze spłaszczonemi torami kul, nie są skuteczne przeciw pozycyom oszańcowanym, dopóki załoga, celem bezpośredniej obrony, nie wyjdzie na nasyp, czyli nie ukaże się na linii ognia. To obsadzenie nastąpi dopiero w całej pełni wtedy, gdy atakujący sam do szturmu wojsko swe poprowadzi, to jest, gdy atak został już należycie przygotowany przez działanie artyleryi. Aż do tej chwili główna masa piechoty, prze-

---

[1]) „Feldartillerie der Zukunft“.

znaczona do obrony, siedzi zwrócona plecami do nasypu i jest w tej postawie prawie zupełnie osłoniona od ognia armat polowych, a przytem gotowa do walki. Ażeby trafić człowieka w takiej pozycyi przy polowych robotach zwykłego przecięcia, potrzebny jest taki kąt spadania pocisku, który można osiągnąć dopiero z odległości 4,000 metrów; a ponieważ o przebiciu osłon mowy być nie może, przeto użycie *granatów prochowych z przyrządem do eksplozyi* musi być w tych razach wyłączone.

Skuteczność *szrapneli* zaczyna się przeciw zwykłym wałom dopiero na odległość przeszło 2,700 metrów, a z takich odległości strzelanie natrafia już na znaczne trudności. Trudności te są tem większe, że trzeba koniecznie znać dokładny stosunek wysokości i odległości rzutu, ażeby snop kul trafił ściśle do celu po-za okopem. Gen. Totleben opowiada, że pod Plewną cała baterya musiała strzelać przez dzień cały, ażeby jednego turka uczynić niezdolnym do walki.

Od tego czasu wzrosła potęga zarówno piechoty, jak i ognia działowego. Naturalne i sztuczne osłony będą grały w przyszłej wojnie rolę daleko większą. W braku okopów, artylerya musi wybierać dla siebie pozycye po-za pagórkami, ażeby się zasłonić przed ogniem i obserwacyą przeciwnika.

We spółczesnych armiach europejskich zostały więc zaprowadzone ulepszone, a tak lekkie moździerze, iż będą mogły być używane do wojny polowej, podczas, gdy dotąd moździerzami posługiwano się przeważnie tylko do oblężenia. Działanie tych moździerzy, przy użyciu nowych środków wybuchowych, ma być strasznie mordercze. „Podczas wielkich manewrów wschodnich — pisze profesor Coumès [1]) — ujrzano po raz pierwszy we Francyi te narzędzia dziwacznego kształtu, z glicerynowemi hamulcami dla przeciwdziałania uderzeniu wskutek siły wybuchu (freins), współzawodniczące z innemi działami, używanemi w obecnej epoce. Nie my sami tylko posiadamy machiny tego rodzaju, przeznaczone do wyrzucania wielkich pocisków, napełnionych materyałami wybuchowemi, celem burzenia robót polowych. Rossya posiada 12 bateryi moździerzowych. Niemcy są również na tej drodze; dokonali oni świeżo prób, które dowiodły podobno, że ostrzeliwanie z nowych bateryi moździerzowych żołnierzy, ukrytych po-za

[1]) *Coumès* „Aperçus sur la tactique de demain, mise en rapport avec le puissance du nouvel armement“. Paris 1892, page 621.

okopem, jest daleko skuteczniejsze, aniżeli ze zwykłych armat polowych".

VII.

Zmiany taktyki.

Obecnie możemy już przystąpić do bliższego zbadania różnic, jakie zachodzą w działaniach artyleryi w armiach europejskich. Kwestya to dla nas interesująca.

Ponieważ artylerya została w ostatnich czasach niezmiernie udoskonalona, ponieważ doskonalenie to dokonywa się dalej bez przerwy, tak iż raz po raz to jedno, to drugie państwo osiąga pod tym względem przewagę nad domniemanym swym przeciwnikiem, rodzi się przeto pytanie, czy podczas wojny nie zdarzą się takie okoliczności, które jednemu z przeciwników dadzą pewną przewagę nad drugim?

Przeszłość przekonywa, że rzeczywiście może zajść potrzeba zwrotów w sposobach ataku i obrony, i kto dość szybko nie zastosuje się do nowych potrzeb, dla tego rezultaty bywają bardzo smutne.

Z pośród wielu innych przypomnieć należało-by najbardziej znany przykład z wojny francusko-niemieckiej 1870 roku. Karabiny francuskie były o wiele lepsze od niemieckich, a stara broń Dreysego nie mogła iść w porównanie z szaspotami. To też Niemcy, nauczeni doświadczeniem 1866 roku, użyli systemu przygotowywania i popierania kolejnych ataków piechoty przez działanie straszliwej artyleryi, która od pierwszej chwili walki druzgotała mniej liczną i mniej donośną artyleryę francuską. Wtedy zwracano ogień działowy przeciwko piechocie francuskiej, która nie mogła odpowiadać, unieruchomiano ją, dziesiątkowano i paraliżowano wszystkie jej usiłowania, następnie na schyłku dnia całe masy wojsk, trzymanych dotychczas zdala od linii bojowej, rzucały się naprzód i brały pozycye, o które walczono przez dzień cały [1]).

Przedewszystkiem mieć na uwadze należy, iż w czasie pokoju artylerzyści ćwiczą się w strzelaniu na odległości daleko mniejsze, niż te, na których, korzystając z nieznanych dokładnie, ale niewątpliwie istniejących ulepszeń, można będzie rospoczynać strzelanie.

Naturalnie powikłania taktyczne w rozmaitych armiach będą rozmaite i tem mniejsze, im wyższy jest stopień wykształcenia ofi-

[1]) Colonel Omega „La défense du territoire français" str. 243.

cerów, t. j. im w większym stopniu posiadają oni zasób wiedzy, pozwalający im łatwo oswoić się samym i przyuczyć żołnierzy do nowych warunków działania, w których praktyka pokojowa wyćwiczyć ich nie mogła. Wobec tego, że oficerowie artyleryi we wszystkich armiach należą do inteligencyi wojskowej i niemal powszechnie kończą wyższe zakłady naukowe, nagła zmiana metod taktycznych nie pociągnie może za sobą bardzo wielkich różnic. Lecz w każdym razie dopiero rzeczywiste pole bitwy okaże, o ile i jak prędko dobry oficer, oswojony z dotychczasowemi warunkami, potrafi się zoryentować i znaleźć w nowych warunkach. To też na tę okoliczność zwrócili już uwagę autorowie wojskowi. Już obecnie, nie biorąc jeszcze w rachubę możliwych zmian taktycznych, wynikających z konsekwencyi powiększenia siły wyrzutu pocisków przez użycie nowych materyi wybuchowych, dają się słyszeć poważne głosy, żądające zmiany regulaminów, w celu przyuczenia artyleryi do działania na większych odległościach i z większą samodzielnością.

Słyszeć się dają obawy, że dowódcy wyższych stopni, zbyt zajęci praktyką, już z powodu samego wieku mniej elastyczni, nie będą mieli dostatecznej energii i użycie artyleryi nie zawsze będzie odpowiedne potrzebom.

Zalecają w tej mierze naśladowanie systemu niemieckiego.

Powiadają np., że podczas walki artyleryi z artyleryą, działa niemieckie, artylerya korpusu lub dywizyi, korzystają z zupełnej niezawisłości. Tymczasem we Francyi artylerya korpusu pozostaje pod rozkazami generałów głównodowodzących, a baterye dywizyjne pod opieką generała dywizyi. Toż samo dzieje się w Rossyi. A nadto w Instrukcyi mieści się następujący przepis:

Każda znaczniejsza zmiana pozycyi bateryi, mogąca mieć wpływ na ogólny przebieg bitwy, dokonywa się nie inaczej, jak za rozkazem dowódcy oddziału.—Ale godzi się zapytać, kto ma tu decydować i kto może przewidzieć, czy ta zmiana pozycyi będzie miała wpływ na ogólny przebieg bitwy, lub nie? Czy absolutny przepis tego rodzaju właśnie w Rossyi, wobec nowych warunków boju, nie będzie rzeczywiście zbyt krępującym i niweczącym inicyatywę?

Sądzić o tem nie mamy ani prawa, ani możności.

Z powodu wojny 1877/8 roku generał Puzyrewski czyni artyleryi następujące zarzuty:

„Co do łącznego działania artyleryi z innemi rodzajami broni, to przed wojną panowało w artyleryi to błędne przekonanie, jakoby za

zasadę do użycia w boju tej broni powinny służyć tylko balistyczne przymioty dział, nie zaś ogólne, a przedewszystkiem moralne warunki bitwy. Stąd artylerya zadawalała się rozlokowaniem na pozycyach oddalonych i jedynie w rzadkich wypadkach towarzyszyła piechocie na bliższą odległość od nieprzyjaciela".

Generał Kuropatkin znowu powiada co następuje: [1])

„Co do walki z nieprzyjacielską piechotą, wśród wielu artylerzystów, a za nimi i wśród dowódców oddziałów, panuje przekonanie, że artylerya nie może utrzymać się na pozycyi ognia karabinowego. Wobec tego ujawniła się dążność, aby zbliżać się do nieprzyjaciela tylko o tyle, by nie narażać artyleryi na ogień karabinowy. Kierując się takiemi zasadami, baterye russkie pod Plewną w czasie ataków piechoty pozostawały przeważnie na swoich dalekich i bespiecznych pozycyach, a często bardzo w chwilach obrony, przy atakach nieprzyjaciela, gdy ogień karabinowy stawał się zmniejszonym, zdarzały się wypadki, że baterye opuszczały swoje pozycye, utraciwszy zaledwie kilku ludzi, i pozostawiały piechotę w samym krytycznym momencie walki zupełnie bez pomocy".

Zdaje nam się, że wielce-by było pouczającem, gdyby autorowie wojskowi zwrócili uwagę na wpływ tej okoliczności, czy artylerzyści podczas wojny 1877 roku mogli mieć zaufanie do skuteczności swojej broni.

Tenże generał Kuropatkin powiada, że zdecydowano przed szturmem ostrzeliwać Plewnę w ciągu 4 dni. Wszakże brak pocisków oraz zdemontowanie wielu dział nie pozwoliły na stopniowe wzmacnianie ognia nawet w dzień szturmu.

Zresztą nadmienić musimy, że sąd generała Kuropatkina niektórzy uważają za zbyt ostry.

Tak naprzykład, generał pruski v. Hacnnecken [2]) powiada, że rzeczywiście atak Plewny pierwotnie prowadzono błędnie, lecz następnie szturmy, przygotowane przez ogień artyleryjski, odbywały się już zupełnie prawidłowo; jeżeli zaś nie osiągnięto korzystnych rezultatów, to pochodziło to z tego powodu, że 85,000 atakujących nie mogło wyprzeć 60,000 obrońców, usadowionych za szańcami.

I rzeczywiście, artylerya russka owego czasu stała, z wyjątkiem drobnej części, na bezpośrednio niższej stopie, aniżeli turecka. Dopiero w r. 1877 poczynione zostały obstalunki dalekonośnych armat, fabryka

---

[1]) Kuropatkin. „Diejstwia otriadow generała Skobielewa", S. Petersb. 1885.
[2]) „Militarische Betrachtungten über den russisch-turkischen Krieg".

Kruppa otrzymała zamówienia na 1,100 armat i fabryka Obuchowska na 1,700. Lecz armat tych dostarczono dopiero po wojnie.

Jak dużo zaś w artyleryi russkiej, użytej w wojnie 1877/8 r. przeciwko Turcyi, pozostawało do życzenia, dość będzie przytoczyć, że typy armat pochodziły jeszcze z r. 1866, w którym-to roku szybkość początkowa pocisku wynosiła przy działach mniejszego kalibru 1,000 stóp (264 metry) na sekundę, a przy działach większych kalibrów 1,050 stóp (277 metrów). Tymczasem następnie szybkość początkowa została prawie zdwojoną.

Zwrócić uwagę należy jeszcze na tę okoliczność, że w owym czasie brakowało w artyleryi oficerów odpowiednio wykształconych.

W okresie od r. 1863 do 1867 corocznie ubywało więcej oficerów artyleryi, aniżeli przybywało, mianowicie ubywało corocznie od 40 do 200. Dopiero od r. 1868, wskutek przedsięwziętych reform, coraz bardziej powiększa się kontygens wstępujących oficerów, tak, że już nie maleje, lecz corocznie rośnie kontygens od 22 do 266.

Lecz dopiero po wojnie zwrócono szczególną uwagę na cenzus intelektualny i przedsięwzięto reformy dla powiększenia liczby otrzymujących wyższe wykształcenie.

Obecnie powiedzieć można, że oficerowie artyleryi w ogromnej większości otrzymali wykształcenie specyalne; rosporządzają zaś oni narzędziami zupełnie innemi, aniżeli podczas wojny 1877 roku.

Jak nadmieniliśmy wyżej, działa russkie należą do najnowszych, a zatem przy ich fabrykacyi skorzystano niewątpliwie ze wszystkich doświadczeń i ulepszeń. Niema więc przeszkód do niezwłocznego zastosowania w artyleryi russkiej prochu bezdymnego, na równi z innemi armiami. Zresztą proch bezdymny dziś już po części jest używany w Rossyi do nabojów działowych i do rozrywania pocisków.

Zastosowania zmian, jakie zajdą w taktyce wskutek zaprowadzenia w artyleryi prochu bezdymnego, również za niekorzystne dla armii russkiej uważać nie należy. Twierdzenie, że po zmobilizowaniu armii, gdy powołane zostaną wszystkie siły, zdolne do dowództwa, pewna część oficerów rezerw państw zachodnio-europejskich okaże się bardziej uzdolnioną wskutek wyższego wykształcenia, do artyleryi w małym tylko stopniu stosować się może. Najwpierw bowiem powiększenie liczby oficerów artyleryi jest przy mobilizacyi potrzebne tylko dla formacyi późniejszych. Powtóre, oficerowie artyleryi w Rossyi, obecnie tak samo jak w innych państwach, kończyli wyższe zakłady naukowe wojskowe.

Co się zaś tyczy praktyki bojowej, to pod tym względem artyleryа russka stoi wyżej, posiadając wielu oficerów, którzy brali udział w wojnie tureckiej 1877/8 roku, oraz w wyprawach środkowo-azyaty-

ckich, podczas gdy armie francuska i niemiecka nie były w ogniu od r. 1870, a austryacka i włoska od r. 1866.

VIII.

Ostateczne wyniki.

Ze wszystkiego wyżej wypowiedzianego wynika, że odnośnie do postępu artyleryi sztuka wojenna nie wypowiedziała dotąd ostatniego słowa. Jak w innych gałęziach techniki wojennej, tak i w zakresie udoskonalenia broni artyleryjskiej, dokonywa się nieustanny postęp. Budowane są działa coraz to nowych systemów, przenoszące armaty dawniejsze pod względem celności, szybkości i doniosłości strzałów.

Wszystko trzymane jest w tajemnicy. We wszystkich państwach lękają się, aby nie zaskoczyły wypadki niespodziewanie. „Obawa zaś wynika głównie z pogłosek o wielkich innowacyach, wprowadzanych w Niemczech. W budżecie na rok 1892—93 figurował kredyt nadzwyczajny, wynoszący 51 milionów franków, jako pierwsza rata, przeznaczona na spłacenie 133 milionów, użytych na kupno materyałów artyleryjskich. O co to właściwie chodziło? nie wiadomo; rząd niemiecki, nie powierzył nikomu sekretu, lub też zaszczycony zaufaniem nie zdradził. „*Berliner Tageblatt*“ oznajmił, że Kruppowi polecono wyrabiać nowe działa ze stali, dopóki pewien aliaż, z którym się obecnie dokonywają próby, nie zostanie uznany za dobry do użycia. Skoro te ulepszenia zostaną urzeczywistnione—dodaje gazeta berlińska—artylerya niemiecka będzie pierwszą na świecie. Państwa inne pozostaną w tyle i żadne wysiłki nie pozwolą im dogonić Niemców“ [1]).

Bardzo być może, iż była to tylko próżna przechwałka, nie mniej jednak wzbudziła ona wśród sąsiadów zaniepokojenie. Specyaliści twierdzą, z całkowitą zdaje się słusznością, iż dwoistość uzbrojenia podkopuje ducha moralnego w żołnierzu. Fryderyk wielki powtarzał: „Wartość mojej piechoty pochodzi z zaufania jej do swojej strzelby“. Jeżeli jedna część armii ma broń lepszą, a druga gorszą, ostatnia będzie się uważała za przeznaczoną na zagładę i nie pójdzie w bój z męstwem i fantazyą. Wobec tego państwa na przeróbki częściowe decy-

[1]) *Revue scientifique* „Le Renouvellement du Matérial de guerre“, 27 Fevrier 1892.

dować się nie chcą, a całkowite przetworzenie artyleryi, bez pewności, czy jutro nie wypadnie znowu tego samego powtórzyć, to koszt zbyt wielki. Pozostawiając na stronie możność niespodzianek, za punkt jednak pewny uważać dziś można, że w porównaniu z r. 1870 zrobiono już postępy ogromne.

Morderczość pocisków działowych, sięgających obecnie co najmniej dwa razy dalej i rażących 8 razy potężniej, będzie zupełnie inna, niż w r. 1870.

Znaczna liczba bitew przyszłości odbywać się będzie zupełnie w inny sposób, niż dotąd. Podług regulaminu, tablice strzałów z dział polowych sięgają do 7000 metrów czyli prawie do przestrzeni milowej. Nacierający przeto będzie zmuszony do przyjęcia bitwy artyleryi z bardzo wielkiej odległości, ażeby umożliwić marsz piechoty; skoro nieprzyjaciel rospocznie ogień działowy, trzeba będzie nań odpowiadać.

Wobec tak ogromnych odległości, z których bój rozpoczynać się będzie, strzelanie ponad głowami wojsk zdarzy się częściej, aniżeli w dawnych czasach. Tego rodzaju działanie wogóle należy do bardzo trudnych i niebespiecnych. Wobec nowych pocisków eksplodujących wypadnie być daleko ostrożniejszym, niż dawniej.

Już instrukcya russka powiada, że wobec zdarzających się wybuchów przedwczesnych należy używać tego rodzaju strzałów z wielką ostrożnością.

General Kuropatkin, mówiąc o działaniu artyleryi, powiada:

„Dodajmy, że znaczny procent pocisków wcale nie eksplodował". A zatem były pewne wady w konstrukcyi, co pozwala przypuszczać, że znajdą się i w odwrotnym kierunku, to jest, że pocisk pęknie przed czasem oznaczonym.

Choćby najdokładniej kontrolować fabrykacyę przyrządów do wywołania wybuchów, wady znaleźć się mogą.

Przytem odległość wytworzy inną jeszcze trudność. Będą zachodzić wątpliwości, czy ma się przed sobą własne, czy cudze wojska.

Pouczający przykład w tej mierze cytuje generał Kuropatkin:

„Przestrzeń, oddzielająca Turków od 3-ej bateryi 9-ej brygady artyleryi, wynosiła zaledwie 1,100 sążni, a batérya ta ostrzeliwała przeciwnika z flanku, a po części z tyłu. Roskaz strzelania, wydany tej bateryi, wywołał pomiędzy oficerami ożywione spory, ponieważ niektórzy z nich utrzymywali, że to nie są Turcy, lecz wojska russkie, które się przedarły. Z chwilą gdy podobna wątpliwość powstała, nikt nie chciał powziąć stanowczej decyzyi i trzeba było posłać, w celu przekonania się, jakie jest rzeczywiste położenie. Zagadka niebawem została rozwiązana: byli to Turcy; tymczasem minęło jednakże przeszło

pół godziny, w ciągu której można było zadać poważny cios, zbitemu w jedną masę, niczem nie osłonionemu, nieprzyjacielowi".

Dalekonośność i morderczość bomb wzrosła, co najmniej, trzy razy. Jeszcze bardziej powiększono szrapnele, tak, że ilość kul i czerepów, które szrapnel zabierać i wysypywać będzie, powiększono pięć razy. Zaprowadzono dalej nowe substancye wybuchowe do rozrywania pocisków, pobudowano lekkie polowe moździerze do działania przeciwko polowym szańcom i okopom i t. d. W obec tego kierowanie ogniem artyleryjskim i zaopatrzenie artyleryi w amunicyę na polu bitwy, szczególniej bacząc na niebespieczeństwo wybuchów z powodu wstrząśnień lub porażeń, będzie dziś daleko więcej skomplikowanem, aniżeli w przeszłości, a to tem bardziej, że, jak wyżej już wspominaliśmy, pole bitwy będzie bezdymnem.

Wszelki udoskonalony aparat wymaga lepszej, a przedewszystkiem intelligentniejszej obsługi i kierownictwa. Stosuje się do artyleryi, bez względu na to kto ma racyę: czy ci specyaliści, którzy powiadają, że rola artyleryi w bitwach przyszłej wojny będzie przedewszystkiem rezultatem jej materyalnego znaczenia, że zaciąży tu głównie ilość ołowiu lub żelaza, jaką w danym czasie armaty wyrzucą na linię nieprzyjacielską, że wreszcie doniosłość, celność i szybkość strzałów, a bodaj nawet i rozmiar pocisków, to przymioty bardziej pożądane, niż ruchliwość działa. Czy też zasadne jest zdanie specyalistów innych, wedle których artylerya przyszłości przedewszystkiem moralnym swym wpływem oddziała na los bitew przyszłych, że piechota sama bez artyleryi, albo wcale nie pójdzie w ogień, albo z wielkim strachem i wahaniem.

Stajemy więc znowu wobec pytania, na które tylko sama wojna odpowiedzieć zdoła. Postaramy się jednak w przyszłych rozdziałach, mówiąc o „Kierownictwie", o „Duchu armii", o działaniach połączonych broni „Na polu walki," dostarczyć czytelnikom materyału celem zoryentowania się w całości kwestyi, jaką przyszła wojna stanowi.

Lecz zanim kolej na te dalsze części pracy nadejdzie, musimy teraz rospatrzyć przewidywaną działalność kawaleryi i piechoty.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Jan Bloch.

KRONIKA PARYSKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

W kilka dni po ogłoszeniu naszej kroniki majowej, przedstawiono w Teatrze Francuskim „Królowę Joannę“, pięcioaktowy dramat wierszem Parodiego. Nie pierwsze to wystąpienie tego autora; dwa utwory jego: „Ulm ojcobójca“ i „Rzym pokonany“, dały go poznać zaszczytnie publiczności paryskiej. Trzy miesiące ubiegło już od przedstawienia Joanny. „Przedmiot stary“, ktoś może powie, a przecież, wobec wielkiego ubóstwa na polu dramatycznem, niepodobna w sprawozdaniu z ruchu literackiego pominąć utworu niepospolitej doniosłości, przerastającego wartością wszystkie inne, jakie się pojawiły w ciągu dwóch lat ostatnich.

Bohaterka dramatu, to owa Joanna obłąkana, córka Ferdynanda i Izabelli, nieszczęśliwa jako córka, jako żona i matka. Żyła przecież w epoce, kiedy Hiszpania, po wyparciu Maurów z Grenady, po złączeniu Kastylii z Aragonią i odkryciu Ameryki przez Krysztofa Kolumba, stanęła na szczycie potęgi. Szesnastoletnia królewna weszła w związki małżeńskie z dziewiętnastoletnim Filipem, arcyksięciem rakuskim, wielkorządcą Niderlandów. Związek ten nie przyniósł jej szczęścia. Filip, słynny z urody i stąd przezwany Pięknym, lekceważył rozmiłowaną w nim małżonkę. Podczas gdy zaniedbana trawiła dni we łzach i tęsknocie, on we Flandryi pędził życie swobodne i wesołe.

Śmierć Izabelli sprowadziła na Kastylię nieprzeliczone klęski. Królowa, umierając, przekazuje córce dziedziczną swą koronę, a tem

samem rozrywa ledwie sprzężoną jedność iberyjską. Wezwany Filip przybywa z Niderlandów, zasiada na tronie z Joanną, wkrótce potem umiera, zostawiwszy dwóch synów i córkę. Powód tej nagłej śmierci nie rozjaśniony w dziejach. Podczas gdy wielu historyków widzi w tem prosty wypadek, tradycya obwinia Ferdynanda o zadanie trucizny zięciowi ze względów politycznych, dla utrzymania jedności państwowej.

Rozpacz Joanny graniczy nieomal z obłędem; korzysta z tego Ferdynand, zamyka córkę jakoby pozbawioną zmysłów, włada sam w Kastylii w imieniu małoletniego wnuka, don Karlosa. Lud kastylski nie wierzy jednak w obłąkanie królowej, widzi w niej ofiarę polityki. Pozbawiony dawnych swobód, skutkiem władzy zcentralizowanej w ręku Ferdynanda, a następnie Karola V, powstaje raz po raz na rzecz królowej, więzionej nasamprzód przez ojca, a następnie przez syna.

Na tym wątku dziejowym osnuł Parodi dramat; pokazuje on w różnych chwilach życie ukoronowanej męczennicy. Zobaczmy, jak tę tragiczną postać pojął i przedstawił poeta. Przyjmuje on tradycyę o truciźnie zadanej Filipowi, dzieli przekonanie Kastylczyków, jakoby Joanna przy zdrowych zmysłach, ulegając przemocy, przeżyła długie dni w warownym zamku, odgrodzona od świata. Podania te podnoszą o wiele siłę akcyi dramatycznej.

Rzecz rozpoczyna się w klasztorze Dominikanów, wkrótce po śmierci Filipa Pięknego. Ferdynand powołuje tam córkę; zamiarem jego skłonić ją do ustąpienia mu tronu kastylskiego; pewien, że, pogrążona w rozpaczy, łatwo ulegnie jego woli. Przybywa król: Joanny jeszcze niema. W tem zabrzmiał psalm „De profundis“, otwierają się bramy monasteru; ciągnie żałobny orszak: naprzód długi szereg pokutników w bieli, za nim czterej słudzy dworscy, — każdy trzyma zapaloną gromnicę, dalej tłum z pochodniami, halabardnicy i rycerstwo, mnichy poprzedzają dwóch biskupów w infułach z pastorałami. Wreszcie żałobna służba niesie trumnę arcyksięcia, składa ją u bramy klasztornej. Chór zaintonował „Miserere“: obraz to przerażający. Tu występuje Joanna, cała okryta czarnym welonem; rozkazuje otworzyć trumnę, ale Ferdynand opiera się temu stanowczo; wzywa córkę do oddania mu rządów, on sam weźmie w opiekę dzieci.

— Nie zrzeknę się korony, — odpowie królowa, — przyrzekłam to małżonkowi, a co więcej, poprzysięgłam mu zemstę. Trup jego podniesie głowę z trumny! — zawoła zwracając się do Mozena, ulubieńca królewskiego — wnet z ust zamarłych wybieży straszliwy okrzyk: „Trucicielel“

Mozen drży, blady jak widmo. W tejże chwili Ferdynand woła do mnichów i rycerzy: „Królowa ma zmysły poplątane! biada temu, kto dotknie trumny!“

Joanna opuszczona, miota się rozpaczliwie. W tem przystępuje do niej Don Juan Padilla; przysięga jej, że lud kastylski potrafi stanąć w jej obronie. Na rozkaz króla, straż aragońska pod dowództwem markiza Denie uprowadza Joannę do warownego zamku Torresillas.

Dziesięć lat upłynęło: Ferdynand umarł, don Carlos ma objąć po nim hiszpańską koronę. Jesteśmy w Burgos; Mozen skarży się, grozi pomstą; zmarły król przed śmiercią odebrał mu względy i usunął go od boku swego. Przybył tu, aby przedstawić się nowemu władzcy. Don Juan Padilla szydzi z jego uniesień, i on potrzebuje widzieć się z Don Carlosem. Żąda posłuchania, przemawia śmiało — skłania króla, by zrzekł się korony kastylskiej. Zaręcza mu, że matka, uwięziona w zamku Torresillas, nie jest bynajmniej obłąkaną, zarzut to fałszywy; obowiązkiem syna przywrócić berło matce i skarcić surowo zbrodnię, na ojcu popełnioną.

„Ty, panie, bądź mścicielem, nie zaś ich wspólnikiem!“ — woła błagalnie; — Don Carlos miesza się; gdybyż to było prawdą. Dręczony wątpliwością, wzywa poufnych doradzców, powołuje dwór cały, powtarza słowa Padilli, pyta, czy wypada mu wierzyć. Mozen radzi królowi objąć natychmiast władzę, ale Padilla oznajmia, że Mozen jest zabójcą. Zbrojna straż uprowadza z sali oskarżonego.

Don Carlos pozostaje sam, waha się, co tu czynić? On musi być królem tak Kastylii, jak i Aragonii. Prawo za nim, tron do niego należy — położenie okropne.

„Między matką a światem wybierać potrzeba.“

Już gotów pośpieszyć do królowej, odwodzi go od zamiaru głos nieprzebłaganego doradzcy; ten wyznaje mu tajemnie, że matka zdrowa, lecz przyszłość i bezpieczeństwo państwa powinny przeważyć nad wszystkiem. Don Carlos obejmuje władzę.

Królowa Joanna, zamknięta w warownym zamku, pod strażą okrutnego markiza Denie, oczekuje przez lat cztery na syna. Wezwano słynnego medyka Sota, aby zbadał stan jej umysłu. Soto uznał, że nie jest obłąkaną.

— Musi nią być — zawoła Denie — wymaga tego ocalenie monarchii. Lekarz waha się... ustąpił nakoniec przed siłą.

Lud kastylski tymczasem, pod przewództwem Don Juana Padilli, powstaje w obronie królowej. Strumienie krwi zalały Kastylię. Tu poeta rozpromienił smutny wątek dziejowy miłością dwóch młodych

serc, pełnych szlachetnego zapału. Don Aryas, syn nikczemnego markiza Denie, ukochał gorąco Donnę Florestę, siostrę Don Juana Padilli, nieodstępną towarzyszkę królowej. Młoda panienka odpłaca mu wzajemnością.

Don Carłos, obecnie cesarz Karol V, postanawia nakoniec odwiedzić matkę w zamku Torresillas. Joanna z koroną na głowie, strojna w złotogłów i purpurę, przyjmuje syna z całym majestatem, chce ukazać się przed nim matką a zarazem królową. Scena ta nadzwyczaj dramatyczna. Syn nie myśli ustąpić praw swoich, przedstawia matce, że powinna się wyrzec dobrowolnie tej władzy. Wojna zagraża zewnątrz, powstanie wichrzy w kraju, świat chwieje się w posadach. Aby zażegnać burzę, potrzeba mieć barki olbrzyma. Królowej przystało pędzić życie w Burgos; wobec przewidywanych niebezpieczeństw, berło za ciężkie dla niej, niechajże wybiera pomiędzy tronem a swobodą.

Na te słowa Joanna dumnie podnosi głowę i wyrzecze stanowczo:

„ — Urodziłam się królową, — Bóg tak chciał, królową też będę do skonu!“

Oddala się z pogardą. Karol V wpada w gwałtowny gniew, z ust jego sypią się pogróżki i obelgi. Po wyjeździe cesarza, markiz Denie nowym murem opasuje zamek, ściślejszą strażą otacza nieszczęśliwą Joannę, przystęp do niej wszystkim wzbroniony.

W akcie czwartym dochodzi do królowej smutna wieść o pokonaniu oddziału powstańców kastylskich. Padła pod mieczem głowa przewódcy — Don Juana Padilli. Zrospaczona siostra jego, Floresta, odmawia ręki Aryasowi, którego ojciec podpisał wyrok śmierci. Aryas zrywa ze światem, obłóczy się w habit zakonny.

Tu następuje najstraszliwsza scena. Zdrajca Mozen, wtrącony do więzienia w tymże zamku, w chwili gdy go prowadzą na śmierć, rzuca w oczy królowej przerażające słowa. Wyznaje, że na rozkaz ojca jej, Ferdynanda, zadał truciznę Filipowi. Zmysły Joanny plączą się nagle: „Ojciec morderca! syn nikczemny!“ pod tym piorunującym pociskiem wpada w gwałtowny szał; z ust jej toczy się piana, sypią się klątwy i bluźnierstwa. W tejże chwili przybywają delegowani z Kastylii, mają sprawdzić stan jej umysłu. Cofają się przerażeni, — wieść o jej obłąkaniu była więc prawdą, niezaprzeczoną prawdą!

Ostatni akt niemniej tragiczny. Joanna, szarpana boleścią i szaleństwem, wówczas tylko doznaje ulgi, kiedy Don Aryas, obecnie pobożny zakonnik, przynosi jej słowo religijnej pociechy. W jednej z takich chwil oznajmiają, że cesarz pragnie ją widzieć. Zgrzybiała Joanna kładzie na siwe włosy koronę królewską, wychudłe ramiona pokrywa płaszczem purpurowym.

Ukazuje się Karol V. „Witaj matko!“ — woła na powitanie.

— Ty śmiesz nazwać mnie matką! — zawoła dumnie królowa i wyrzuca mu haniebne postępki. „Depcesz mnie stopą, skradłeś mi władzę, wtrąciłeś do więzienia. Chcesz być Karolem Wielkim, a tyś tylko Neronem!“ — woła w szalonem uniesieniu.

Karol V, wobec tej znieważonej matki, wobec tej królowej tak groźnej, z głową majestatycznie podniesioną, drży jak liść. Ona patrzy mu bystro w oczy, rozkazuje mu paść na kolana; gdy ukląkł, woła proroczo:

„Na tronie przywłaszczonym Bóg ci skonać nie da! Ty musisz wyrzec się władzy na rzecz syna i umrzeć na garści popiołu!“

Karol V oburza się zrazu — ale pokonany szepce ze skruchą:

— „Będę ci, matko, posłusznym.“ I przysięga, że złoży berło i oblecze wór pokutniczy. Królowa, zaspokojona tą przysięgą, powstaje, zdejmuje koronę z głowy, kładzie ją na głowę pochylonego syna.

— „Dobrze, — wyrzecze z cicha, — tę koronę chciałeś wydrzeć mi przemocą; masz ją teraz, ja ci ją daję!“

Królowa umiera. Karol V zapłakał nad trupem matki, i nad koroną, którą prawnie odzyskał, aby ją utracić na zawsze. Wspaniały koniec godnie uwieńcza dzieło.

Wielka siła dramatu, połączona z wytwornym wierszem, stawia ten utwór w rzędzie najznakomitszych, jakie w ostatnich latach ukazały się na scenie. Aleksander Parodi może śmiało zakołatać do akademii, gdzie nowe krzesło zawakowało znów po śmierci Karola Mazades'a.

Wśród niezliczonych dzieł historycznych z epoki pierwszego cesarstwa, jakie w tych czasach wyszły z druku, odznacza się dzieło Henryka Welskingera, wydane w księgarni Plon, p. t. „Le Marechal Ney, en 1815.“ Jak pokazuje sam tytuł, nie jest to życiorys jednego z najdzielniejszych szermierzy epopei Napoleońskiej, lecz ustęp z jego życia. Autor trzymał się w obrębie kilku miesięcy, od powrotu cesarza z wyspy Elby, do krwawej pomsty Burbonów nad marszałkiem, który po chwilowem odstępstwie podjął sztandar wielkiej armii i walczył po bohatersku na polach Waterloo.

Dwukrotne odstępstwo Neya — od cesarza i od Burbonów — wyjaśnia autor naprzód osobistem jego usposobieniem, a potem niesłychanym urokiem, jaki Napoleon roztaczał wkoło siebie. Umysł Neya chwiejny, niespokojny, przerzucał się z jednej ostateczności w drugą, ulegał chwilowym wrażeniom. O ile rzutkim był i niezłomnym na polu bitwy, o tyle słabym i wahającym się na gruncie polityki. Okryty chwałą podczas kampanii 1814 roku, dał się pociągnąć tym, którzy przygoto-

wywali upadek Cesarstwa, mianowicie Talleyrandowi. Wkrótce nastąpiło rozczarowanie. To też gdy Napoleon wylądował na brzegi Francyi, kiedy wojsko, zelektryzowane odezwą, biegło z zapałem pod cesarską chorągiew, pewne nowych tryumfów, Ney, uniesiony szałem, podążył za innymi.

W bitwie pod Waterloo dokazywał Ney cudów waleczności. Niezrównana jego dzielność, mówił Thiers, przeszła zwyczajne siły ludzkie. Ubito pod nim pięć koni, kule rozszarpały mu na szmaty mundur, strąciły z głowy kapelusz, — żadna go nie dotknęła. W tych opałach, z twarzą rozczerwienioną, włosem najeżonym, woła na towarzysza Erlona: „Jeśli obaj ujdziemy kul angielskich, przyjdzie nam paść nikczemnie pod kulami emigrantów“: snadź przerażający obraz przyszłości błysnął mu przed oczyma!

Stało się, jak przewidział Ney. Pochwycony w zamku krewnych, oddany wyrokiem królewskim pod sąd parów, skazany został na śmierć, przewagą stu sześćdziesięciu głosów przeciw jednemu. Łzy żony nie wybłagały mu życia: potrzeba było zadowolić sprzymierzeńców, wszechwładnych we Francyi, rzucając im na łup wielką ofiarę, najdzielniejszego z dzielnych, *brave des braves*, jak go zwał głos powszechny.

W dniu 6 grudnia ukończono proces; nazajutrz miała nastąpić egzekucya. Autor w żywem świetle ukazuje postać marszałka, niezłomnego wobec śmierci. Powtórzmy za nim ów obraz.

O godzinie trzeciej w nocy straże obudziły więźnia; archiwista izby parów odczytał mu wyrok; egzekucya miała nastąpić o dziewiątej.

— „Niech czynią, co chcą, — odrzekł Ney — gotów jestem!“

W chwilę potem, generał Rochechoirt, komendant Paryża, przybył do pałacu luksemburskiego, gdzie marszałek był uwięziony, oznajmił mu, że ma prawo przyjąć żonę, dzieci, notaryusza i spowiednika.

— Pragnę pomówić naprzód z notaryuszem, — odrzekł Ney, — potem przyjmę żonę i dzieci. Co do spowiednika, dajcież mi z nim pokój!

Na te słowa, jeden ze straży, podoficer z kompanii weteranów, powstał z uszanowaniem:

— Mylicie się, panie marszałku,—rzekł, ukazując rękaw ozdobiony kilku szewronami;—nie jestem tak odważnym, jak wy, panie, ale jam także stary żołnierz. Owóż nigdy nie szedłem śmielej w ogień, jak kiedy poleciłem duszę Bogu.

— Masz słuszność, mój dzielny, — odparł marszałek nagle poruszony, — dobrą dajesz mi radę...

— Któregoż mam powołać kapłana? — zapytał obecny pułkownik Montigny.

— Księdza St Pierre, proboszcza z Saint-Sulpice, — odrzekł zagadniony, — to kapłan znakomity pod każdym względem. Poproś go ode mnie, pułkowniku, przyjmę go po pożegnaniu z żoną.

Gdy odeszli, Ney rzucił się na łóżko, odpoczął chwilę. O szóstej przyszedł notaryusz, osobisty jego przyjaciel; odbyli krótką naradę. O pół do siódmej przybyła marszałkowa z czterema synami i siostrą. Nieszczęśliwa żona ledwie mogła utrzymać się na nogach. Wchodząc, krzyknęła przeraźliwie, upadła na ziemię bez zmysłów. Pułkownik Montigny podniósł ją, rzucił w objęcia małżonka i rozkazał odejść straży. Biedna żona głośnym wybuchnęła płaczem. Gdy się nieco uspokoiła, marszałek rozmawiał z nią tkliwie, dawał jej różne polecenia. Wpuszczono dzieci: najmłodszy trzyletni chłopczyk zanosił się od płaczu, starsi smutno spuścili głowy. Ojciec przemawiał do nich cichym głosem: „Kochajcie,—rzekł—i szanujcie matkę“ — to były ostatnie jego słowa. Po tem pożegnaniu przywołał kapłana. Był to prawdziwy mąż Boży; podczas terroryzmu, z narażeniem życia, pełnił obowiązki swoje.

Gdy wszedł wezwany, usunęli się wszyscy. Żołnierz i kapłan pozostali sam na sam przeszło godzinę. Z rozpromienionych rysów delikwenta znać było, jak głęboko słowa kapłana utkwiły w jego duszy. Ludzie odmówili mu przebaczenia, Bóg mu go nie odmówił. Mimo błędów nieuniknionych w życiu — dodaje autor — marszałek Ney okrył się chwałą, pragnął też godnie umrzeć. Uderzyła godzina, za chwilę miał stanąć u kresu. Kapłan tchnął w serce żołnierza niezłomną wiarę i nadzieję.

Odszedł ksiądz Saint Pierre, ale przyrzekł niebawem wrócić. Ney tymczasem ubrał się starannie: miał na sobie długi surdut granatowy, bez orderów, na szyi biały krawat, spodnie do kolan, pończochy jedwabne. „Lękałem się,—zapisał w pamiętniku Rochechoirt—aby nie włożył munduru, wypadało-by w takim razie obedrzeć szlify i dekoracye. Żaden żołnierz francuski nie byłby dopuścił się takiej zniewagi, trzeba było-by wezwać na to którego z cudzoziemskich żołnierzy, obecnych przy egzekucyi.“

Gdy ksiądz powrócił, Ney rzekł do niego z uśmiechem: ojcze, zrozumiałem cię, jestem gotów! — Poruszony kapłan drżał jak liść. Przyprowadzono pojazd, wsiedli obaj, oficerowie zajęli miejsce z przodu. Żandarmi otoczyli pojazd, dalej postępował konno komendant Paryża, Rochechoirt, obok pułkownika grenadyerów; za nimi kompania weteranów i pluton egzekucyjny, zamykał pochód oddział gwardyi narodowej. O trzysta kroków od ogrodu Luksemburskiego zatrzymał się powóz.

— Jakto? czy to już? — zagadnął Ney, pewien, że egzekucya odbędzie się na równinie Grenelle za miastem.

Gdy wysiedli, marszałek wręczył księdzu St Pierre złote pudełeczko, ostatni upominek dla żony, i kilkanaście luidorów na parafię. Ksiądz uścisnął go, pobłogosławił, poczem ukląkł i odmawiał modlitwę. Wojsko utworzyło czworobok. Ney zapytał adjutanta, gdzie ma stać; gdy ten chciał zawiązać mu oczy, oparł się temu stanowczo.

— „Żołnierz nie lęka się śmierci!“ — rzekł i postąpił cztery kroki naprzód, według rozkazu.

— „Nigdy w życiu, — zapisał Rochechoirt, — nie przepomnę postawy marszałka, tak była szlachetną, spokojną, pełną godności. Zdjął z głowy kapelusz i wyrzekł głosem dobitnym:

— Francuzi! protestuję przeciwko sądom... honor mój...

„Tu huk strzałów przerwał dalsze słowa. Ney upadł twarzą naprzód, jakby rażony piorunem; z dwudziestu kul, jedna tylko chybiła. Grzmot bębnów z okrzykami: „Niech żyje król!“ zakończył przerażającą scenę.“

Według raportu, dwustu zaledwie ciekawych zebrało się na placu; lud krążył po ulicach, milczący i ponury. Po dokonaniu egzekucyi, rzucono się tłumnie do muru zalanego krwią; maczano w niej chustki, ani kropla nie została. Przez pół godziny ciało leżało w miejscu; kapłan modlił się, klęcząc o kilka kroków. Wówczas-to,—mówi ze zgrozą Rochechoirt, — Anglik jakiś przeskoczył konno przez trupa i odbiegł w cwał, zaczem zdołano go pochwycić.

Nieszczęśliwa żona tymczasem, z czworgiem dzieci, zalana łzami, jęczała u progów królewskich, błagając o posłuchanie. Zegar uderzył dziewiątą, podwoje rozemknęły się nakoniec, stanął w nich książę Duras.

„— Pani! — rzekł — posłuchanie, którego żądasz, było-by już bez celu.“

Zrozumiała żona te słowa; pół żywą odwieziono do domu. Gdy przyszła do przytomności, zażądała wydania zwłok; tu nowa trudność, po dwóch dniach zaledwie pozwolono je przewieźć na cmentarz Père La Chaise, nocą, w głębokiej tajemnicy.

Wkrótce potem rozkazano jej zwrócić koszta procesu, wynoszące 25,000 fr.

Głos powszechny potępił wyrok. Najsilniej powstał Lamartine, tak przeciw sędziom, jak i tym, którzy przyzwolili na śmierć jednego z najdzielniejszych koryfeuszów armii napoleońskiej. Widzi w tem hańbę narodową, składa winę na całe społeczeństwo, chłoszcze je palącemi słowy: „Dwór był okrutny, król słaby, ministrowie ulegli do zby-

tku, Europa mściwa, izba parów nikczemna, jak senat rzymski w dniach upadku."

Naprożno wdowa i dorośli już synowie domagali się rehabilitacyi przez lat z górą trzydzieści. Tak za restauracyi, jak za rządów Ludwika Filipa, napotykali silny opór. Dopiero w roku 1848 rzeczpospolita naprawiła winę i uczciła w imieniu Francyi pamięć Neya. Wówczas-to wielki rzeźbiarz, Rude, wykonał wspaniały pomnik. Ukazał marszałka z szablą w dłoni, z głową do góry podniesioną, jakby wiódł szereg do ataku i wołał: „Naprzód wiara!"

W dniu 7 grudnia 1853 roku, w trzydzieści ośm lat po egzekucyi, na temże samem miejscu, gdzie wykonany był wyrok, nastąpiła inauguracya pomnika. Wdowa zajęła miejsce na estradzie, wpośród synów i grona wnucząt. Wszystkie władze duchowne i świeckie, począwszy od arcybiskupa do generałów i członków parlamentu, obecnością swoją uświetniły uroczystość. Zasłona spadła przy huku dział, grzmocie bębnów i trąb wojskowych. Arcybiskup pobłogosławił pomnik, przypomniał religijny skon marszałka, inni przypomnieli bohaterskie jego czyny, a genialny rzeźbiarz, spiżowym posągiem, pełnym żywotnej siły, wyraził ostatnie jego słowa: „Odwołuję się do sądu Europy i potomności!"

W chwili, gdy to piszemy, zamknięto już dwie wystawy sztuk pięknych: na polach Elizejskich i na polu Marsowem, — które przez dwa miesiące przyciągały do siebie cały Paryż. Obie razem obejmowały do trzech tysięcy samych olejnych obrazów i do tysiąca pięciuset rzeźb, pomijając już akwarelle, pastyle i rysunki. Sama liczba wystawionych dzieł świadczy wymownie, że sztuka nie upada we Francyi, a jakkolwiek nie wszystko zasługuje tu na pochwałę, widzimy jednak usiłowania artystów do wydobycia się z ciasnych ram konwencyonalizmu i utorowania sobie nowej drogi.

Zacznijmy od wystawy na polach Elizejskich. Przy wejściu do wielkiej czworobocznej sali, uderza naprzód w oczy obraz ogromnych rozmiarów, drgający życiem, pełen harmonijnego kolorytu. To utwór słynnego węgierskiego malarza, Munkaczego, przeznaczony do wielkiej sali w izbie deputowanych w Peszcie. Przedmiot nadzwyczaj dramatyczny: najazd Arpada na dolinę Dunaju. W głębi obrazu rozciąga się szeroki step, oświecony promieniem słońca. Bliżej oka zbrojni wodzowie siedmiu pokoleń dosiadają dziarskich biegunów. Przerasta wszystkich Arpad na pysznym białym koniu, z głową dumnie do góry podniesioną. Prawą rękę wsparł o żelazną maczugę, lewą dotyka jataganu, zatkniętego za pasem. Na stalowej kolczudze, odziany chlamidą ze zło-

togłowiu. Wzrok jego dumny, postawa groźna. Zwycięzcy wodzowie uzbrojeni w miecze, topory i oszczepy, z włosem czarnym i śniadą cerą, okuci żelazem, dziwną przedstawiają sprzeczność z garstką tubylców, przystępujących kornie do stóp Arpada. Jeden, z grzbietem pochylonym, składa mu w hołdzie bryłę ziemi, drugi ledwie stąpa, zgięty pod snopem siana, trzeci w glinianym dzbanie dźwiga wodę z Dunaju. Prowadzi ich starzec z siwą brodą, przemawia w ich imieniu, snadź przyrzeka uległość.

Pomimo mistrzowskich zalet pędzla, obraz ten przykre sprawia wrażenie na obojętnych nawet widzach; łatwo stąd wnieść, jakie sprawi na potomkach ludów podbitych, którzy obok Madjarów zasiadają w izbie sejmowej. Któż nie wie, że dziesięć wieków nie zatarło plemiennych wspomnień i niechęci, rozbudzonych dziś z większą niż kiedykolwiek siłą.

Zobaczmy teraz wielki obraz, zaszczycony medalem honorowym: wykonał go malarz Roybet, mało dotąd znany, który w roku zeszłym po raz pierwszy ściągnął uwagę, jako biegły portrecista. Wydobył on z dziejów XV wieku przedmiot trudny do wykonania i przełamał owe trudności. Zdziwił znawców, a przecież nie zdobył ogólnego poklasku. Straszliwy przedmiot głównym tego powodem. Rzecz odbywa się we wnętrzu kościoła w Nesles. Karol Zuchwały, książę Burgundyi, podczas krwawych zapasów z Ludwikiem XI-tym, wpada konno do przybytku Bożego, na czele zbrojnych rajtarów. Na hasło księcia, zawzięci Burgundowie mordują kapłanów i wiernych: jedni wdarli się na krużganek, zrzucają z góry nieszczęśliwych, którzy rozbijają głowy o flizy. Inni przedzierają się przez tłumy, torując drogę mieczem. Stosy trupów zawalają ziemię, krew toczy się strumieniem. Kobiety i dzieci uciekają w popłochu; starcy przeklinają napastników, kapłani wzywają miłosierdzia Bożego. Żelazne zbroje, hełmy, szable, oszczepy, szaty niewieście, wszystko to tworzy jaskrawy obraz, oświecony promieniem słońca, wdzierającym się przez kolorowe szyby. Karol Zuchwały z przyłbicą opuszczoną, z pięścią wzniesioną w górę, istne widmo grobowe, przewodniczy straszliwej rzezi. Malarz dzielnie wywiązał się z zadania. W chaotycznym obrazie grupy nie zawadzają jedna drugiej, każda wydatnie określona, koloryt harmonijny przy całej jaskrawości, słowem, artysta pokazał się niepospolitym mistrzem.

Z historycznych obrazów wspomnijmy dwa inne, ściągające powszechną uwagę. Rochegrosse w niewielkich ramach przedstawił napaść Hunnów na willę gallo-rzymską. Barbarzyńcy plądrują dom bogacza, mordują kobiety, kują w pęta pojmanych jeńców, inni zabierają złote misy i puhary, szaty z purpury i złotogłowiu. Postać Hunnów przerażająca, odzież ich z kudlatych skór, oszczepy i topory oddane

wiernie. Artysta odbył podróż do Pesztu w celu poznania etnograficznych zabytków, przechowanych w tamtejszem muzeum.

Niemniej okrutna, mimo że ukwiecona, uczta Heliogabala, pędzla Alma Tademy, malarza scen archeologicznych. Cezar z gronem patrycyuszów i patrycyuszek zasiadł na wysokim tarasie, podpartym kolumnadą. Wezwani na ucztę goście zajęli miejsca przy długich stołach. Na dany znak tysiące róż sypnęło się na głowy biesiadnikom, ledwie gdzie niegdzie dojrzeć z pod kwiatów lica śmiertelnie blade i ręce rozpaczliwie wyciągnięte do góry.

Obraz historyczny, z bliższej nas epoki, na szczególną zasługuje uwagę. Wykonał go młody malarz, Maurycy Orange, który przed dwoma laty otrzymał medal i zasiłek na koszta podróży. Nie tracił on czasu, widać to z pracy wykonanej w Hiszpanii pod tytułem „Obrońcy Saragossy.“ Słońce nad zachodem rzuca jaskrawy odblask na ceglaną wieżę i rozwalone mury gmachów. Po jednej stronie ulicy, przed sztabem generała, który tylko co zdobył miasto, defiluje załoga hiszpańska: księża i zakonnicy, panowie i mieszczanie, szczątki regularnego wojska i żebracy w łachmanach; wszyscy razem pomieszani tworzą dziwnie malowniczą rozmaitość. Jedni rzucają oręż z ponurą rezygnacyą, drudzy w rospaczliwem uniesieniu druzgocą pałasze i karabiny. Kobiety z wyciągniętą pięścią przeklinają zwycięzców. Scena to nadzwyczaj dramatyczna, koloryt pełen harmonii. Młody artysta słusznie nagrodzony medalem.

Legenda napoleońska, tak nagle rozbudzona w dzisiejszej literaturze, odżyła zarówno i w sztuce. Naliczyliśmy do dwunastu obrazów różnej wartości i miary, przedstawiających rozmaite ustępy z wielkiej epopei pierwszego cesarstwa.

Wyprawa egipska dała pobudkę dwom artystom do pełnych wartości obrazów. Sergent przedstawia na wielkiem płótnie szturm do Saint Jean d'Acre. Żołnierze znoszą drabiny, inni zawahali się na widok zbroczonych we krwi towarzyszów, pod gradem kul sypanych z góry. Kleber staje nad przekopem: „Dalej, spieszcie się!“ — woła na zastraszonych. Wszyscy zelektryzowani, pośpieszają co siły.

Inny znakomity malarz, Aimé Morot, podjął dalszy ciąg bohaterskiego epizodu. Warownia zdobyta, Bonaparte opuszcza ją, zostawiwszy załogę. Konie wszystkie zajęte pod rannych. Naczelny wódz idzie pieszo przez piaszczystą pustynię, w butach palonych z ostrogami; za nim podążają oficerowie sztabu: Murat, Desaix, Junot, Lannes, a wpośród nich uczony Monge, ubrany po cywilnemu. Dalej ciągnie wojsko długą kolumną, aż znika we mgle, na krańcach widnokręgu.

W obrazie wielkich rozmiarów, Cormon przedstawia bitwę pod Essling. Gwardya grenadyerów stoi wyciągniętym szeregiem: inny francuski pułk, cofając się, zasłania linię. Oburzeni grenadyerowie chwytają po jednemu za kołnierz, przerzucają po-za siebie. „Teraz nie będziecie się bali!“ — wołają na nich z urąganiem. Przedmiot wzięty ze wspomnień kapitana Cognet'a.

Ciekawe pamiętniki generała Marbot'a dostarczyły też wątku do dwóch obrazów. Jeden pędzla Royer'a p. t. „Pułk zgubiony“, przedstawia rzewną scenę. Dowódca, widząc, że wszystko stracone, rzekł do Marbot'a, który przedarł się do niego z rozkazem: „powracaj śpiesznie do cesarza, pożegnaj go od 14-go pułku, powiedz, że służył mu wiernie, zanieś mu tego orła, my go już ocalić nie możemy. Ciężko było-by nam w chwili skonu ujrzeć go w ręku nieprzyjaciela.“ I komendant wręczył mu orła, a garstka dzielnych szeregowców żegnała pokłonem drogi znak, wołając: „Niech żyje cesarz!“

Bois Le Comte ożywił pędzlem inny, nie mniej dramatyczny, ustęp z pamiętników Marbot'a. Jest to epizod z wojny 1809 roku. Cesarz założył kwaterę w klasztorze Möhl nad Dunajem: po przeciwnej stronie rzeki obozują Austryacy. Bądź co bądź, Napoleon musi dośledzić, w którą stronę poszedł główny ich korpus. — „Marszałek Lannes — mówi Marbot — wziął mnie za rękę i rzekł: „Widzisz tam po-za rzeką obóz Austryaków; potrzeba nam człowieka z sercem i odwagą: niech przepłynie Dunaj, niech pochwyci żołnierza nieprzyjacielskiego i przyprowadzi tu natychmiast. Zaręczyłem cesarzowi, że ty dzielnie się sprawisz!“ Malarz trzymał się wiernie opowieści.

Ostatnie wysiłki 1814 roku dostarczyły wątku do trzech płócien. Roussel oddał bitwę pod Craonne: „Napoleon obmyśla plan ataku.“ Flaming, w małym, lecz bardzo wymownym obrazku, ukazuje wnętrze chaty. Na ławie przy ognisku zasnął zmordowany cesarz. Wieśniacy przyglądają się zdaleka, pełni poszanowania i niejakiej trwogi. Starcy ukazują go dzieciom: „To on!“ — szepcą pomiędzy sobą. Śliczny obrazek nosi tytuł: „C'est lui.“

Cain przedstawia wreszcie pokonanego bohatera, po kapitulacyi w Fontainebleau.

Epopea skończona, ale wspomnienia żywo drgają w piersi zapaśników. Houg ukazuje starego wiarusa bez nogi, w ubogiej izbie, otoczonego gromadką wnucząt. „Tak, dziatki moje,—mówi—kula urwała mi nogę pod Lutzen, aleśmy zwyciężyli!“

Wspomnienia te, przytłumione czas jakiś, odżyły dzisiaj w całej mocy. Skąd powiał ten wiatr? i któż to dziś odgadnie. Dogorywające stronnictwo bonapartystów nie dość silne, by go rozbudzić; ostatni przedstawiciele rodu nie budzą ufności w narodzie. Jakże więc wytłó-

maczyć ten zwrot niespodziewany? Tem chyba, że Francya upokorzona, zanurzona w rozpaczliwym pessymiźmie, uczuła wreszcie potrzebę ideału; pojęli to sami Francuzi. Uderzyły nas wyrazy jednego z publicystów dzisiejszych: „Kiedy nasz widnokrąg — mówi on — przyćmiony czarną chmurą, i któż z nas nie goni wyobraźnią dni słonecznych, jakie nam niegdyś przyświecały? Tak samo w chwilach upadku i poniżenia, zwracamy się pamięcią do czasów, kiedy blask chwały opromieniał czoła szczęśliwszych ojców naszych.“

Ta tęsknota za wyższym ideałem bardziej jeszcze odczuć się daje w wielkiej liczbie obrazów religijnych. Wystawiono ich na samych polach Elizejskich około ośmdziesiąt, czego od lat wielu nie bywało. Liczymy w to obrzędy i wszystko, co ma pośredni stosunek do religii. Mało tu zapewne utworów wysokiej doniosłości, niektóre z nich rażą realizmem, tak zmysł artystyczny, jak i uczucia religijne. Widzimy tu naprzykład wiejską dziewczynę w czerwonej spodniczce, odpoczywającą wieczorem po całodziennej pracy. Katalog mówi nam, że to N. Panna w Nazarecie. Widzimy trzy kobiety, suche, szpetne, na drodze krzemienistej,—dowiadujemy się, że to święte niewiasty, idące do grobu Pańskiego. Obok tych i tym podobnych, uderzają nas przecież obrazy pełne religijnego namaszczenia. Wymienimy tu naprzód piękny tryptyk Józefa Aubert'a, przeznaczony do kościoła św. Franciszka z Assyżu. Na pierwszym święty poślubia ubóztwo, uosobione w cudnej dziewczce, odzianej łachmanem, z ciernistym wiankiem na głowie. Anioł z białą lilią spuszcza się z błękitu ku oblubieńcom. Na środkowym obrazie święty Franciszek powołuje wszelkie żyjące twory do oddania czci Stwórcy swemu. Wilk, pokonany pełnem miłości słowem, nie zważa na owieczki i jagnięta, pasące się spokojnie na murawie. Dwaj uczniowie patrzą na to z podziwem, pastuszek upadł na kolana. Chmary ptasząt zbiegły z gniazd, krążą wkoło świętego, przywtarzają pieśnią jego natchnionym słowom.

Na trzecim obrazie, w noc ciemną, srebrny sierp księżyca oświeca oblicze świętego, pełne zachwytu. Aniol ukazuje się w górze. Promienie, bijące od posłannika Bożego, naznaczają ręce i nogi zakonnika stygmatem męki Pańskiej.

Piękny też obraz Henryka Dager'a, nagrodzony złotym medalem. Na rozległem pobojowisku, trupy Rzymian i Gallów pławią się we krwi tylko co wytoczonej. W głębi ukazuje się Chrystus — zasłania oczy pełne grozy: „Tak-że to ludzie spełniają przykazanie Boże: Miłujcie jedni drugich!“

Na innym obrazie, pod tytułem „Biedny Parya“, młody malarz Piotr Trippet, ukazuje Chrystusa u drzwi kościelnych, jak tuli na łonie żebraka w łachmanach, wybladłego od głodu i nędzy. Zbawiciel pod-

niósł ku niebu wzrok pełen miłosierdzia. Obraz, wykonany w dwóch tonach, białym i czarnym, odznacza się wielką prostotą.

Sceny mitologiczne przeżyły widocznie swój czas; jeden z malarzy wyraził to w dociprny sposób. Ukazał w gaju nad strumieniem zestarzałe nimfy i najady, zgrzybiałych Faunów i Satyrów, utyskujących na smutną dolę swoją. Sam tylko mistrz pędzla, Bouguereau, przedstawił w wielkich rozmiarach tryumfującego Amora, wśród pięknych hołdowniczek, znoszących jagnięta i gołąbki. Mimo świetności kolorytu i mistrzowskiej techniki, obojętnie mijamy obraz piękny, ale tchnący anachronizmem.

Ważne miejsce na wystawie obecnej zajmują portrety; naliczyliśmy ich około czterystu na samych polach Elizejskich, a są pomiędzy niemi dzieła wielkiej wartości. Do rzędu tych należy przepyszny portret pędzla Bonat'a, przedstawiający ośmdziesięcioletnią jego matkę. Snadź głęboka miłość synowska kierowała pędzlem artysty, cudnie też oddał te włosy białe i miękkie jak puszek łabędzi, i ten łagodny wyraz oka, ten uśmiech pełen dobroci i pogody, te ręce dziś spokojnie założone, ale na których długa praca wydęła żyły i wyżłobiła brózdy. Bonat wykonał arcydzieło.

Benjamin Constant ściąga powszechną uwagę wspaniałym portretem lorda Dufferin, ambasadora angielskiego w Paryżu. Świetny dekorator miał tu obszerne pole do wystąpienia w całym blasku. Lord, jako członek izby panów, ubrany w togę purpurową, objętą gronostajem; na pierś mu spada złoty łańcuch z drogiemi kamieniami. Oblicze poważne i dorodne harmonizuje z owym przepysznym strojem.

Wpośród portretów jedno z miejsc pierwszorzędnych zajmują dwa, pędzla p. Kazimierza Pochwalskiego. Francuscy krytycy, tak nieskorzy do uznania talentu cudzoziemców, podnoszą jednomyślnie obie prace krakowskiego artysty. W portrecie hr. Dzieduszyckiego, mówi znany estetyk Michel, widzimy niezwykłą ścisłość pędzla, rzuty śmiałe i wyraziste, a obok tego prostotę, połączoną z wytwornym smakiem. W tym obrazie, pod przyćmioną z umysłu barwą, odgadujemy człowieka, jego duszę, jego plemienne cechy.

Z równym zachwytem inny krytyk, Triart, mówi o drugim portrecie: podziwia cudne wymodelowanie głowy i siłę, z jaką artysta oddał typową postać pana Burzyńskiego. P. Pochwalski otrzymał złoty medal.

Inne portrety ziomków naszych zasługują również na uwagę. P. Rejzner z wielkim talentem wykonał portret słynnego eksploratora, Jana Dybowskiego. Świetny ale krótki zawód zgasłej przedwcześnie pani Bohdanowiczowej z Bilińskich godnie uwieńczył ostatni jej

utwór, błyszczący w salonie portret młodej kobiety, oddany biegłym i pełnym siły pędzlem.

Wspomnijmy tu jeszcze dwa portrety, wprawdzie obcego pędzla, ale przedstawiające znakomite osobistości polskie: jeden, arcybiskupa Stablewskiego, pięknie wykonała malarka węgierska, pani Wilma Parlaghi, drugi, znanego artysty Paderewskiego, oddał po mistrzowsku Alma Tadema.

O krajobrazach tyle tylko powiemy, że francuscy malarze utrzymują godnie palmę pierwszeństwa, od czasu Corot'a, Daubigniego, Teodora Rousseau i innych.

Ostatni z tej słynnej plejady, Français, dowodzi dotąd, że, mimo siwych włosów, umie oko w oko patrzeć przyrodzie, a krzepką ręką utrzymać jeszcze pędzel. W dwóch jego krajobrazach drzewa poruszają się, powietrze drga, woda płynie, słowem, pełno życia i poezyi. Młodzi pejzażyści, dają nam poznać różne strony Francyi od Wogezów po Pireneje. W rodzajowych obrazach widzimy znów sceny z życia ludu, rozsiadłego na tej szerokiej przestrzeni. Najwięcej wątku dostarczyła Bretania, gdzie wiara i obyczaje ojców najwierniej przechowane. Stąd wziął przedmiot najsłynniejszy malarz obrazów ludowych, Juliusz Breton. Na jednem płótnie ukazuje przygotowanie do uczty na dzień Bożego Narodzenia, na drugiem powrót z odpustu wieśniaków bretońskich drogą wiodącą lasem. Przez konary drzew przedziera się promień zachodzącego słońca i oświeca malownicze stroje niewiast i dziewcząt wiejskich.

Córka tego mistrza, pani Demont-Breton, przedstawia znów pod tytułem „Ognisko“ rzewną scenę z domowego życia rybaków. Przed chatą stoi młoda kobieta z niemowlęciem na ręku, wita z radością męża wracającego z połowu ryb. Dzieciątko wyciąga rączyny do ojca; drugie starsze chłopię, z jasnym włosem, przybiega mu do kolan. Biegła artystka, długim szeregiem obrazów, wykonanych od lat dziesięciu, usiłuje przekonać ogół, że ognisko domowe nie wygasło między ludem wieśniaczym, jak utrzymują realiści dzisiejsi, że wymienimy tylko Zolę, który w powieści swojej, „Ziemia“, tak sponiewierał lud francuski.

Wystawa na polu Marsowem nie może współzawodniczyć z Salonem na polach Elizejskich. Wśród tysiąca składających ją płócien znajdują się przecież i mistrzowskie utwory. Wymieńmy tu nasamprzód wielką kompozycyę Puvis'a de Chavannes. „Hołd Wiktora Hugo oddany Paryżowi“, jest to karton w dwóch szarych tonach, przygotowany na sufit do monumentalnej sali ratuszowej. Hugo z siwą brodą, przebrany za Homera, przystępuje do kolumnady, gdzie na podwyższeniu królowa z berłem w ręce przyjmuje go z uśmiechem. To symbo-

liczna postać Paryża. Muza poezyi z lirą w ręce towarzyszy poecie. Trzy inne muzy unoszą się za nim na skrzydłach: jedna z nich dyktowała mu satyryczne gromy „Chatiments," druga opowiadała mu „Legendę wieków," trzecia szeptała pierwsze zwrotki. Inne trzy niewiasty splatają koronę z kwiatów, czterej młodzieńcy podnoszą w górę palmy. Historya zapisuje tę chwilę na tablicy kamiennej, obok niej herold trzyma chorągiew z godłem Paryża: „Fluctuat nec mergitur."

Z tych olimpijskich, zimnych cokolwiek wyżyn, znijdźmy w świat poziomej, lecz cudnej poezyi. Wprowadzi nas tu malarz scen ludowych, Dagnaut-Bouveret, nagrodzony parę lat temu honorowym medalem. Obraz jego wprowadza nas pomiędzy drwali, zajętych ścinaniem drzew w lesie. Zasiedli na pniach tylko co powalonych, posilają się strawą, którą przyniosły im dziewczęta wiejskie. Swojski skrzypek przygrywa im od ucha znane melodye; rozwesela zmordowanych, znać to z oczu, wlepionych w grajka, z wyrazu lic, ogorzałych na słońcu. Woły tymczasem, wprzężone do wozu, skubią spokojnie trawę. Scena ta z życia rzeczywistego piękna w prostocie swojej.

L'Hermitte, równie biegły mistrz, rozmiłowany w pracach wiejskiego ludu, wziął przedmiot z bajki Lafontaine'a. Stary drwal upadł pod ciężarem wielkiej naręczy chróstu; udźwignąć jej nie może. Pot ścieka mu strumieniem po licu zżółkłem, pooranem w głębokie brózdy. Z półotwartych ust starca snadź wybiegło zaklęcie: wezwał śmierć i ta pojawia się przed nim, straszna, odziana płachtą, z kosą podniesioną do góry. Mrok zapada, niebo pokryte gęstą mgłą, drzewa ogołocone z liści, wszystko to razem tworzy harmonijny i smętny obraz.

Portrety Carolusa Durana, słynnego malarza atlasów, aksamitów i koronek, rozjaśniają jedną z głównych galeryi.

Zwraca tu powszechną uwagę ogromny obraz Rolla, przeznaczony do galeryi wersalskiej, owoc trzyletniej, wytrwałej pracy. Obraz ten urzędowy różni się od tego rodzaju utworów życiem i malowniczym układem. Widzimy tu wiernie sportretowanych mężów stanu, ministrów i generałów około prezydenta rzeczypospolitej, zebranych w Wersalu na stuletni jubileusz wielkiej rewolucyi 1789 roku. Muzyka wojskowa wygrywa marsyliankę; wśród zebranego tłumu poznajemy akademików, literatów, dziennikarzy, artystów; między tymi Gounod'a, Masseuet'a i wielu innych. Za lat kilkadziesiąt, gdy nagromadzone tu osobistości znikną z widnokręgu, obraz nabierze historycznego znaczenia, co podniesie jego doniosłość.

Obok tych i innych jeszcze dzieł wyższej wartości, wystawa na polu Marsowem, złożona głównie z prac młodych artystów, pokazuje niezbyt szczęśliwy kierunek nowej szkoły. *Sztuka dla sztuki*, to hasło dzisiejszych realistów. Nie szukajmy tu poetycznych legend, ani obja-

wów życia narodowego, ani pomysłów, opromienionych światełkiem ideału. Wszystko niemal poziome, wydobyte z życia powszedniego, niekiedy rażące trywialnością. Tu pijatyka w szynku, tam gra w ruletę lub karty w cuchnącym zakącie, niedostępnym dla policyi; tu znów tandeciarz rozwija łachmany, lub gałganiarz rozgrzebuje śmiecie; słowem, to wszystko, od czego odwracamy oczy z odrazą, odtworzone pędzlem, nieraz bardzo udatnym. Dziwne pojęcie sztuki!

Co do rzeźby, ten dział tak w jednym, jak i w drugim salonie, godnie utrzymuje tradycyjną swoją doniosłość. Zatrzymajmy się naprzód w ogrodzie oszklonym na Polach Elizejskich. Z pomiędzy znanych mistrzów dłóta, Falguière wystąpił z „Poezyą bohaterską.“ Krzepka niewiasta z włosem rozwianym idzie przez krwawe pobojowisko, silną ręką potrąca struny liry, oblicze jej natchnione, z ust wybiega pieśń na cześć poległych bohaterów, pod stopami jej rozrzucone oręże.

Barryas inną apoteozuje walkę, inny zaznacza tryumf. Tajemnicza przyroda staje wobec nauki, rozchyla kryjące ją zasłony. Obie symboliczne postacie uderzają w oczy powagą i majestatem.

Obok tych słynnych od dawna mistrzów pojawiają się nowi. Raul Larche, ozdobiony pierwszym medalem, wykonał pełną wdzięku grupę marmurową p. t. „Łąka i strumień.“ Łąka usiłuje zatrzymać pocałunkiem strumień, ale ten w rzutkich poskokach wyrywa się z jej objęć. Wiele tu życia, ruchu i poezyi. Takąż nagrodę otrzymał inny mistrz, mało dotąd znany, Juliusz Labatut, za wspaniały posąg marmurowy Katona z Utyki.

Zwraca również uwagę grupa niemieckiego rzeźbiarza Durnbauera, ucznia akademii wiedeńskiej, p. t. „Głód.“ Dwaj zapaśnicy wydzierają sobie kęs chleba: jeden naciera zażarcie, drugi broni się z równą zaciętością. Słusznie zarzucono artyście, że w grupie jego więcej talentu, niż logiki, przy tak olbrzymiej sile właściwiej było-by kruszyć skały i pracować na chleb, niźli wydzierać go drugiemu. Mimo to grupa wykonana mistrzowskiem dłótem.

Dla osobliwości wspomnimy tu rzeźbę z kolorowego drzewa: czarownicę, warzącą w kotle szczury, jaszczurki i inne gady. Nie brak tu oryginalności, lecz brak całkiem smaku estetycznego.

Na polu Marsowem odznacza się szczególniej projekt posągu Joanny d'Arc, dłóta słynnego Saint-Marceau. Posąg ten przeznaczony do katedry w Reims. Dziewica, z chorągwią w ręku, przedstawiona w chwili, kiedy, posłuszna głosom świętych patronów, wprowadza króla na obrzęd koronacyjny. Oblicze jej tryska natchnieniem. Ów posąg pomieszczony będzie obok wielkiego ołtarza, pod pilastrami, w miejscu, gdzie stała niegdyś bohaterka Francyi.

Wyszedł właśnie z druku ośmnasty tom „Roczników teatralnych i muzycznych,“ pod redakcyą Edwarda Noël. Wstęp do dzieła, nakreślony świetnem piórem Juliusza Lemaitre'a, zwrócił uwagę powszechną. Słynny krytyk zatrzymuje się głównie nad zwrotem do mistycyzmu w dzisiejszej literaturze dramatycznej, w czem niektórzy dostrzegają rozbudzenie uczucia religijnego.

Krytyk wykazuje nasamprzód objawy tego zwrotu, a następnie bada jego przyczyny i zaznacza właściwe znaczenie.

„Nigdy jeszcze—mówi Lemaitre—nie widzieliśmy tylu księży na deskach teatralnych. Autorowie przedstawiają ich w roli sympatycznej, godnej szacunku; trudno zaprzeczyć jednak, że ciż autorowie, ukazując nam dobrych księży, nie mają pojęcia, czem ma być kapłan w prawdziwem tego słowa znaczeniu: jak ma strzedz przedewszystkiem obowiązków stanu duchownego, jak zachować prawa przyzwoitości, których przekraczać mu nie wolno.“

Tu krytyk przebiega cały szereg tych pobłażliwych księży, obsypywanych poklaskami w dzisiejszych teatrach, którzy w dobrym zapewne celu utrzymują stosunki z półświatkiem, aby ustrzedz od upadku swych uczniów, i prowadzą intrygi, niegodne charakteru swego. Pokazuje, jak ów przechwalony ksiądz Konstanty otwiera progi domu dwom roztrzepanym cudzoziemkom, jak popycha bratanka do pojedynku, mówiąc: „Idź się bić, niema na to rady!“

Przechodzi potem Lemaitre do tych dramatów religijnych, odgrywanych przez maryonetki, jak np. „Boże Narodzenie“ Noela i „Święta Cecylia“ Maurycego Buchora, jak „Ś-ta Genowefa patronka Paryża“ Henryka Borniere'a, przedstawiona niedawno w chińskich cieniach. Tu już krytyk więcej widzi zbliżenia do uczuć religijnych, lecz i to zadowolić go nie może. „To pobożność bez wiary—mówi on—niema w niej kłamstwa, ani hipokryzyi, widzimy szczerą cześć dla doktryn religijnych, które przynosiły pociechę i dawały moc ludziom w długim przebiegu wieków. Ogół lubi cnoty i zrodzone z nich pojęcie, z upodobaniem patrzy na tych nieznajomych bez liku, którzy w głębokiej starożytności uprawiali te cnoty. Zresztą wytłómaczenie religijne świata musi być z konieczności dramatycznem, idzie tu bowiem o wyjaśnienie, dlaczego ludzkość tak nędzna, a może tylko być zbawioną przez odkupienie i ofiarę. Stąd upodobano sobie popularne przedstawienia tych dramatów nadprzyrodzonych, w których boskie osobistości czują ludzkiem uczuciem. Każdego poruszyć musi okrzyk, wydzierający się z głębi serca: „Przybywaj, boski posłanniku!“

„Ależ ta odrodzona dziś pobożność—dodaje krytyk,—to poprostu gra czułostkowych wrażeń; nie szukajmy w niej ani wiary w zatwierdzone dogmata, ani pojęcia moralnych obowiązków, jakie wiara na-

kłada. Ten mistyczny zwrot naszej dramatycznej literatury tem bardziej mi podejrzany, że nie dostrzegam nic podobnego w czasach żarliwej praktyki religijnej. Co zaś do wieków średnich, rzecz jasna, że misterya nie były dziełem literatów, ale raczej ludzi, pełnych głębokiej wiary."

Na szczególną uwagę zasługuje określenie literatury dramatycznej XVII-go wieku. Lemaitre wykazuje tu wpływ tak zwanego odrodzenia i wynikający stąd rozłam pomiędzy społeczeństwem, pełnem tradycyjnej wiary, a literaturą dramatyczną, zaczerpniętą od pogańskich Greków i Rzymian.

„Dziwna sprzeczność—mówi on—uderza nas tu w oczy. Francya XVII-go wieku pozostała jeszcze głęboko chrześciańską, wierzy i praktykuje. Wszyscy modlą się, słuchają mszy, przyjmują sakramenta. Ci, którzy źle żyją, nie utracili wiary, ci, którzy ją utracili,—a takich mało,—wracają do niej przed skonem. Wiara zatem religijna musiała silnie oddziaływać na namiętności i czyny ludzi ówczesnych we wszystkich warstwach społeczeństwa. Z drugiej znów strony mówią nam i utrzymują powszechnie, że komedye Molière'a są wiernem zwierciadłem tej epoki. Owóż z teatru Molière'a uczucia religijne radykalnie usunięte. Oprócz „Don Juana" i „Świętoszka," gdzie religia obrzucona jest śmiesznością, nic, co się zowie, nie daje nam poznać, że obyczaje, odmalowane w tym repertuarze, odnoszą się do wielkiego narodu katolickiego, niezłomnego w wierze ojców, przywiązanego do praktyk religijnych. Tak jest, powiedzmy śmiało, teatr Molière'a jest całkiem bezwyznaniowy.

„Ależ i tragedya XVII-go wieku—ciągnie Lemaitre—nie więcej, jak komedya ówczesna, nacechowana jest duchem chrześciańskim, pomimo, że Cornel i Racine w przeciwieństwie z Molière'em gorliwymi byli chrześcianami. W samym „Polieukcie" więcej widzimy teologii, niż chrystyanizmu. Jeśli bohater dramatu jest chrześcianinem, jest nim w warunkach wyjątkowych: to pełen żaru neofita, przesiąkły nawskroś rzymskim lub hiszpańskim heroizmem. Teatr XVII wieku, tak głęboko chrześciańskiego, wygląda w oczach moich, jakby pozostałość z dawnej epoki, przed odkupieniem świata.

„I skądże to pochodzi? — zapytuje krytyk. — Jakże to wytłómaczyć? Tem oto, że ów literacki przewrót, niewłaściwie zwany odrodzeniem, narzucił sztuce formy cywilizacyi, oddalonej o tysiąc lub dwa tysiące lat od cywilizacyi naszej. Stąd więc przez całe dwa wieki nie mogliśmy w dziełach wyobraźni wyrazić uczuć duszy naszej, chyba w pośredni i metaforyczny sposób. Może być zresztą, że współcześni Molière'a i Racine'a, przejęci głęboko uczuciem chrześciańskiem, widzieli-

by ze zgrozą profanacyą rzeczy świętych w scenicznem ich przedstawieniu.

„Misterya średniowieczne łączyły w sobie wiarę z pobożnością; w teatrze klasycznym ślad ich całkiem zatarty; wyłączam tylko Esterę i Atalę, pisane dla wychowanek klasztornych. Ale pobożność bez wiary, to nowy zupełnie objaw dzisiejszych czasów. Nie mając wiary ojców naszych, nie mamy ich skrupułu. Religijność nasza, zaprawna sentymentalizmem, pozwala na to, aby stać się rozrywką dla publiczności. W czasach wiary żartowano niekiedy w farsach z obyczajów duchowieństwa, ale wówczas u drzwi katedry odgrywano misterya, złożone z sześćdziesięciu tysięcy wierszy, całe miasta zbiegały się na te widowiska, słuchano ich z religijnem namaszczeniem. Wznowione dziś owe misterya bawią na chwilę dyletantów, lecz na ogół żadnego nie wywierają wpływu. Nie sądzę zatem—dodaje w końcu krytyk,—aby ów ruch mistyczny, objawiający się przed oczyma naszemi, miał rzeczywistą doniosłość. Ta pobożność bez wiary, to tylko epikureizm literacki.“

Dodajmy tu, że ów zwrot objawia się zarówno w powieściowej literaturze, a jak zauważyliśmy, mówiąc o Salonie, i na polu sztuk pięknych, wszędzie w jednaki sposób. Autorowie i artyści, w poszukiwaniu nowych wrażeń, potrącają o idealne piękno, otoczone aureolą świętości. Widzimy to w wydanych świeżo nowellach Anatola France, widzimy niemniej na wystawie sztuk pięknych, gdzie, zamiast głęboko religijnych utworów, spotykamy co chwila rodzajowe obrazki, przedstawiające po ziemsku postać Chrystusa i N. Panny, w warunkach powszedniego życia. Wiele umysłów poważnie myślących cieszy się takim zwrotem, przeczuwając w nim jakoby przedświt idealizmu, inni tymczasem, jak Lemaitre, widzą w tem prosty dyletantyzm, wprowadzony nasamprzód przez Renana. Kto ma słuszność? czas to pokaże.

Moda pamiętników stoi dziś na porządku dziennym. Oprócz niezliczonych z epoki napoleońskiej, ukazują się coraz nowe z czasów, które poprzedziły i przygotowały wielki przewrót społeczny w zeszłym wieku. Wydawca Plon zajmuje się głównie publikacyą tych ciekawych dokumentów historycznych. Mamy przed sobą trzy dzieła w tym rodzaju, wydane w roku bieżącym, naprzód: „Dziesięć lat życia kobiety, Adelajdy de Kerjean, markizy Falaiseau.“ Postać to nadzwyczaj zajmująca. Adelajda była wnuczką admirała Duplex'a, słynnego zdobywcy Indyi wschodnich, którego wielka zdobycz, przez niedbalstwo i zaślepienie rządu Ludwika XV, wydartą Francyi została. Zaledwie że zaślubiona z Maurycym de Falaiseau, młoda kobieta osiadła z mężem

w pysznej rezydencyi niedaleko Orleanu. Zdala od blasków dworskich używała w pełni domowego szczęścia, kiedy burza rewolucyjna wygnała z Francyi ściśle zjednoczoną rodzinę. Hrabia de Brock wysnuł opowieść swoją z listów i dorywczych zapisków Adelajdy. Smutna to Odyssea: małżonkowie, przywiedzeni do ostatecznego ubóstwa, przepędzani z miejsca na miejsce, tułają się po Niemczech i Hollandyi. Dręczeni tęsknotą do kraju, powracają wreszcie za czasów Konsulatu: dobra ich przeszły tymczasem w cudze ręce, spotykają się oko w oko z ubóstwem. Miło im przecież cierpieć na własnej ziemi, wpośród rodziny i przyjaciół.

Drugie dzieło: „Książę de Lauzan i dwór Ludwika XV," przenosi nas w dawniejsze nieco czasy. Maugras, autor kilku wydanych poprzednio życiorysów: pani d'Epinay, pani de Choiseul i innych, kreśli wesoły obraz tego rozprzężonego społeczeństwa, stąpającego po kwiecistej drodze wśród obłędów, nie odgadując, dokąd ta droga doprowadzi. Młody, błyszczący książę de Lauzan, to istny wyraz wieku swego. W wydanym tomie widzimy go młodzieńcem, rozszalałym na wszelkie zbytki. Zapowiedziany tom drugi ukaże go w charakterze dyplomaty i polityka.

Najciekawsze z tych trzech dzieł historycznych pod tytułem: „Prezydent Hainault i pani Dudeffant" daje nam poznać dwór Regenta ks. Orleańskiego, a potem Ludwika XV i Maryi Leszczyńskiej. Żywy obraz tych czasów nakreśliła autorka, znana pod pseudonimem Lucien Perrey, która przed laty kilku wydała zajmujący życiorys księżnej de Ligne z książąt Massalskich. Za materyał do nowego dzieła posłużył jej niewydany pamiętnik prezydenta Hainault'a, równie jak i listy pani Dudeffant, przechowane w ręku hrabiego de Contades. Mamy przed oczyma cały dwór Ludwika XV, począwszy od króla i królowej; przesuwa się tu szereg panów dworskich, mężów stanu, jak kardynał Fleury, książęta du Maine i Choiseul, filozofowie i akademicy, jak d'Alembert i Wolter; głośne kobiety ówczesne: pani de Pompadour, księżna du Maine i pani Dudeffant. Wytrawny dworak, prezydent Hainault, umiał zręcznie żeglować po bystrej fali i nie potrącić nigdy o skałę; żył w zgodzie ze wszystkimi; pełen czci dla Maryi Leszczyńskiej, pozyskał jej względy i ufność. Jako superintendent dworu królowej, miał do niej ciągły przystęp, utrzymywał jej rachunki, ożywiał ją w smutku i opuszczeniu. Postać to piękna i sympatyczna.

Inaczej przedstawia nam się pani Dudeffant. Ta głośna w swoim czasie kobieta, o ile przyciągała wszystkich rozumem, o tyle odstręczała samolubstwem i złośliwością. Po burzliwej młodości, skandalicznych stosunkach z Regentem ks. Orleanu i rozłączeniu z mężem, wcisnęła

się na dwór w Sceaux, gdzie piastowała berło księżna du Maine; tam przez lat wiele ożywiała błyszczący dwór niezrównanym dowcipem. Później zamieszkała w klasztorze św. Józefa w Paryżu; otworzyła tu salon, współzawodniczący z salonem pani Geoffrin. Zbierali się u niej najsłynniejsi z rozumu Francuzi i cudzoziemcy, przy wieczerzy rozprawiano o wszystkiem, znoszono wieści z królewskiego dworu i z miasta, a szczególniej szarpano cudzą sławę. Politykę przedstawiał tu książę Choiseul, poezyę Wolter, nauki ścisłe d'Alembert, prawodawstwo Monteskiusz i prezydent Hainault.

Ta zimna i samolubna kobieta szydziła ze wszystkich bez litości, przyszła jednak chwila, że serce jej, wykute niby z głazu, zaczęło bić gwałtownie, i to nie w porę, bo w siedmdziesiątym roku życia. Poruszył je Horacy Walpole. Trudno to wytłómaczyć. Markiza bowiem ociemniała nie mogła nawet widzieć przedmiotu gorących uczuć swoich. Wyraźne objawy tej niewczesnej miłości ośmieszyły Walpole'a. Twardy i szorstki dla wielbicielki swojej, nie zdołał jej niczem odstręczyć. Pyszna, przyzwyczajona trząsać światem, stała się pokorną niewolnicą szydzącego z niej władcy. Ostatnie dziesięć lat życia przetrwała wśród najsroższych udręczeń; miłość swoją poniosła do grobu. Ośmdziesięcioletnie samolubstwo—mówi autorka—słuszną odniosło karę.

W dniu 8-ym maja Akademia Francuska, w miejsce zmarłego Johna Lemoine, obrała głośnego krytyka i publicystę Brunetière'a większością dwudziestu dwóch głosów przeciwko czterem, które otrzymał Emil Zola. Jeśli w Akademii nowy kandydat maleńką zaledwie napotkał oppozycyę, za to w dziennikarstwie zaciętą wywołał walkę. Niedawne wystąpienie jego przeciwko pomnikowi dla Baudelaire'a, twórcy pessymistycznej szkoły w poezyi, i przeciw zasadzie *Sztuka dla sztuki*, poruszyło nowatorów, jakby rojowisko szerszeni. Nie pierwsza to walka, jaką stacza znakomity zapaśnik; przez lat piętnaście uniwersytet sorboński traktował go z lekceważeniem, dzienniki zachowywały o nim pogardliwe milczenie, on tymczasem powoli, zimno, bez gniewu, bez sarkazmu szedł naprzód obraną drogą, podnosząc się coraz wyżej a wyżej. Pokonał uniwersytet, jako jeden z najznakomitszych profesorów szkoły normalnej, pokonał podrzędne dziennikarstwo, jako stały współpracownik „Przeglądu dwóch światów," pokonał niechętny mu głos publiczny, jako powołany na członka pierwszej w kraju instytucyi literackiej.

Brunetière, liczący zaledwie lat czterdzieści parę, należy dziś do najmłodszych akademików. Pełen energii, niezłomny w zasadach, zacięty wróg gorszącego powieściopisarstwa i błyskotliwej poezyi, potrafi on tchnąć nową siłę w ciało akademickie, nazbyt skore dzisiaj do ustępstw, z ubliżeniem powadze własnej. Słusznie też wyrzeczono po dokonanym wyborze, iż jeśli Brunetière wiele pozyskał, zdobywszy zaszczytne miejsce, więcej pozyskała Akademia wprowadzeniem do grona swego pracownika z wielkim talentem i wielkim charakterem.

STUDYA NAD SEJMEM

Rzeczypospolitej Polskiej.

Karejew: „Zarys historyczny sejmu polskiego,“ przełożył z upoważnienia autora Poznański Zygmunt. Warszawa, 1893. Str. 202.

„Zarys historyczny sejmu polskiego“ prof. Karejewa ukazał się w języku russkim w r. 1888, a w 1889 r. zamieściłem ocenę krytyczną powyższej pracy w „Kwartalniku Historycznym“ (str. 569—577). Obecnie, gdy redakcya „Głosu“ uważała za pożyteczne przyswoić „Zarys historyczny sejmu“ naszej literaturze, a tłómacz zaopatrzył się nawet w upoważnienie autora, sądzę, że rozejrzenie się powtórne w przetłómaczonej książce nie będzie bez pewnej korzyści; zwłaszcza, że w pierwszej ocenie zapatrywałem się na studyum prof. Karejewa, jako na kompilacyę, przeznaczoną dla społeczeństwa, któremu historya prawa państwowego polskiego jest prawie zupełnie obcą, a więc i sąd, stosownie do celu pracy, ograniczać musiałem, pomijając milczeniem drobniejsze usterki i opuszczenia. Tłómacz, przyswajając „Zarys historyczny sejmu“ literaturze polskiej, wskazał go mimowolnie naszemu społeczeństwu za źródło wiedzy i objaśnienia, a więc i miara krytyczna, zastosowana do tłómaczenia, musi być dokładniejszą, oraz wnikającą w szczegóły, na pozór drugorzędnej wartości.

Nie mam jednak bynajmniej zamiaru powtarzać tu zarzuty, które wydrukowane zostały w „Kwartalniku Historycznym;“ odsyłając też

w danych wypadkach ciekawego czytelnika do mej dawniejszej oceny, pozwolę sobie przytoczyć jedynie nowe dowody na poparcie dawnych lub nowych zarzutów. Przedewszystkiem jednak, zanim przystąpię do oceny, zestawię najtreściwiej główne poglądy autora na przeszłość sejmowania polskiego.

Na samym wstępie oświadcza prof. Karejew: „że w historyi urządzeń reprezentacyjnych, sejm, do którego należała najwyższa władza w Rzeczypospolitej polskiej, posiadał charakter tak oryginalny, iż może być nazwany wyjątkowym w swoim rodzaju. Pisali wprawdzie wiele o sejmie dawniejsi autorowie podręczników prawa państwowego (?) Rzeczypospolitej, ale mieli oni zwykle na względzie cele czysto praktyczne, bez wszelkiej myśli o jakichbądź reformach; historyczne też działy ich prac były raczej zbiorami uklasyfikowanych w pewien sposób faktów, aniżeli prawdziwie historycznemi przeglądami. Tak zapatrywano się na sejm polski w ostatnich latach istnienia Rzpltej, a najnowsza historyografia polska, prawie do ostatnich lat, powtarzała kolejno monarchiczne i republikańskie idee publicystów drugiej połowy XVIII wieku i to oddalało ją od prawidłowego i zupełnie naukowego postawienia kwestyi.“

„Wydając też przed dwudziestu kilku laty swe dzieło: „Verfassung der Republik Polen,“ uczony niemiecki, Siegfried Hüppe, miał zupełne prawo napisać w przedmowie, że przedmiot, badany przez niego, jest po raz pierwszy przedstawiony w świetle nauki nowożytnej.“ Wprawdzie w odsyłaczu nadmienia prof. Karejew, że niemieckiemu autorowi pozostała nieznaną praca Hofmana p. t. „Obraz rządu i prawodawstwa dawnej Polski“ (1847—48); ale to nie przeszkadza mu do powtórzenia zarzutu: że do ostatnich czasów literatura polska nie posiadała dzieła, traktującego o prawie państwowem polskiem. Pracę powyższą rozpoczął niedawno prof. Pawiński i w przedmowie do „Rządów sejmikowych“ oświadcza: że o samorządzie polskim nietylko nie masz żadnego studyum, ale nawet wzmianki dokładniejszej w literaturze naukowej zachodniej i środkowej Europy. I dziwić nas to nie powinno, bo jej nie masz i we własnej naszej literaturze.“

Zdaniem prof. Karejewa, „pierwsza typowa właściwość prawa państwowego polskiego, to udział w sejmie Rzpltej jednego tylko stanu, podczas gdy w innych podobnych instytucyach, prócz szlachty, której to prawo przysługiwało w Polsce, uczestniczyły i inne stany — duchowieństwo, mieszczanie, nawet niekiedy chłopi. Druga właściwość polegała na tem: że sejm Rzpltej, będący de jure instytucyą reprezentacyjną jednego państwa, nabył de facto charakteru międzynarodowego kongresu posłów ziem, jakby zupełnie niezależnych. Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej należała w rzeczywistości do szlachty. Oso-

biście każdy szlachcic, posiadający majątek nieruchomy (?), był niezależnym i nieograniczonym królikiem nad swymi poddanymi chłopami i z tej strony Rzeczpospolita przedstawia się, jako federacya wielkiej ilości drobnych, absolutnych, szlacheckich monarchii. Powtóre: kolektywnie szlachta każdego województwa zbierała się na sejmik, na którym rozstrzygała wspólnie sprawy i wybierała od siebie posłów na sejm walny, z określonemi instrukcyami i z prawem niezgadzania się na uchwały, sprzeczne z temi instrukcyami, tak, że każde województwo z kolei było jakby niewielką rzecząpospolitą, w której władza zwierzchnia należała do wiecu szlacheckiego. Po trzecie: cały naród szlachecki, od czasu do czasu posyłający posłów swych na sejm, zbierał się dla wyboru swego politycznego zwierzchnika, noszącego dawny tytuł króla, będącego jednak w istocie pierwszym urzędnikiem Rzeczypospolitej, i z tym królem rządząca szlachta zawierała umowę, pozostawiając sobie władzę zwierzchnią, a o ile się dało, uszczuplając prawa i prerogatywy korony."

„W końcu trudno było nawet rozstrzygnąć, gdzie należało szukać władzy zwierzchniej w polskim narodzie; istnienie władzy szlachty nad chłopską masą nie ulegało wątpliwości, ale zbiorowy ten monarcha Rzpltej, lubujący się w porównaniu z wszechwładnym narodem rzymskim, nie posiadał ani komisyi ludowych, ani urzędników republikańskich, podobnych co do swego znaczenia w państwie do tych, jacy istnieli w Rzymie. Nareszcie sami Polacy znaleźli formułę swej egzystencyi politycznej w owym słusznym aforyźmie, który powtarzał kilka pokoleń z rzędu, że: „nierządem Polska stoi."—Jeżeli episkopat polski brał udział w życiu politycznem kraju, wchodząc w skład senatu, jeżeli rycerstwo miało swą izbę poselską, to trzeci pierwiastek zachodnioeuropejskich instytucyi reprezentacyjnych—miasta, bez których reprezentacyi nie było-by ani parlamentu angielskiego, ani francuskich stanów generalnych, w sejmie polskim absolutnie nie uczestniczyły."

„Miasta w Polsce XIII wieku zaludnione zostały przez Niemców, posiadających samorząd (?) i odrębne prawa wraz z innemi przywilejami, z których zaznaczyć wypada uwolnienie od podatków i służby wojskowej, włożonych na szlachtę (?). Dzięki tej okoliczności, mieszczanie polscy nie tylko nie mieli żadnych wspólnych interesów ze stanem rycerskim (wręcz przeciwny stosunek widzimy w Anglii), ale nawet nie mieli żadnego interesu w mieszaniu się do wrzącej w państwie walki, co znowu odróżnia zupełnie miasta polskie od francuskich. Miasta polskie były to jakby oazy niemieckie, zadowolone ze swych przywilejów, swego prawa i stojące na uboczu do tego stopnia, że nie tylko nie dobijały się prawa posyłania posłów na sejmy, ale nawet nie posłały-by ich i wówczas, gdyby je do tego zmuszano. W pierw-

szej połowie XVI wieku zaczęła się, co prawda, stopniowa polonizacya miast i mogła-by ona z biegiem czasu natchnąć mieszczan ogólno-narodowemi interesami, ale gdy to spolszczenie Niemców, zaludniających miasta, dokonanem zostało, już zbyt późno było walczyć o nowe prawa polityczne."

„Powstanie stanów generalnych we Francyi przypada—zdaniem prof. Karejewa—na epokę, gdy władza królewska znaczne już zrobiła postępy na drodze zjednoczenia państwa, a ponieważ proces ten nie ustawał, więc i stany generalne nader prędko utracić musiały swój kongresywny charakter. Tymczasem w ostatniem stuleciu swego istnienia, zwłaszcza przy królach Sasach, gdy anarchia w Polsce doszła do zenitu, „Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska" przypominała sobą współczesne jej „Święte Cesarstwo Rzymskie." Każdy szlachcic był bezpośrednim stanem Rzpltej w znaczeniu niemieckiem i oba państwa przedstawiały federacye prowincyonalnych królików, którzy w Niemczech na ogół byli znaczniejsi, bliżsi typu udzielnego księcia."

Po tem, cośmy usłyszeli od prof. Karejewa, musi nieco zadziwić ustęp, pomieszczony na str. 23-ej, a brzmiący, jak następuje: „w czasie powstania sejmu w Polsce, państwo znajdowało się w stanie przejściowym: między osobistą unią oddzielnych księstw, a rzeczywiście zjednoczoną monarchią, i ze zmianą w niem zasady monarchicznej na republikańską, ten stan nie zmienił się, stał się nawet chronicznym, bo Rzeczpospolita była jednocześnie i federacyą republikańskich województw, i jednolitem państwem republikańskiem, t. j. w istocie ani jednem, ani drugiem. Sejm polski nie był ani kongresem sfederowanych państw, ani nawet kongresem związkowego państwa, nie będąc równocześnie tem, czem był parlament angielski."

„Mając na celu głównie historyę sejmu polskiego, zaznacza prof. Karejew,—że wolna elekcya jest tylko jednym z momentów w rozwoju przywilejów szlachty, a mianowicie cechuje przejście władzy państwowej do stanu, który potrafił uczynić z prawa reprezentacyi sejmowej swój wyłączny przywilej, i że z drugiej strony „liberum veto" jest logicznem następstwem kongresywnego charakteru izby poselskiej, dającego się objaśnić przez wybujały rozwój samorządu w pojedyńczych województwach. Od połowy XV wieku szlachta zaczyna brać udział w prawodawstwie i, korzystając ze swego nowego stanowiska w państwie, uchwala ustawy na swą własną korzyść, uszczuplając znaczenie innych stanów. Od tego czasu nieszlachcic nie może dzierżyć wyższych dostojeństw duchownych, nie ma reprezentacyi w sejmie, pozbawiony zostaje prawa posiadania dóbr ziemskich. Cios za ciosem zadany zostaje samorządowi miast, przywilejom stanu kupieckiego i cechom; interesa handlu oddane zostają na pastwę szlachcie, szlachta przytwier-

dziła włościan do ziemi, powiększyła pańszczyznę i inne chłopskie powinności, a w końcu pozbawia chłopów, już w zupełności jej poddanych, opieki prawa.

„Mieszczanie — jak już raz nas zawiadomił prof. Karejew — nie odbywali służby w wojsku; szlachta zaś w roku 1496 postanowiła zasadę: że kto nie odbywa służby wojskowej, nie może posiadać dóbr ziemskich, a w r. 1538 zmusiła mieszczan do wyprzedania swych zamiejskich gruntów. Wyjątek zrobiono tylko dla Krakowa, którego mieszkańcom nadano prawo posiadania dóbr ziemskich i wysyłania posłów na sejm. W ten sposób szlachta przeciągnęła Kraków na swą stronę, nie dając mu stanąć na czele niezadowolonych miast. Z drugiej strony mieszczanie nie mogli brać udziału w sejmikach, bo później był to przywilej szlachty, przysługujący jej na mocy urodzenia i posiadania dóbr ziemskich. Na zgromadzeniu miał bywać tylko szlachcic. W sejmikach stan duchowy, jako stan, nie brał udziału, nie widać tu prałatów i kanoników, jako przedstawicieli kapituł, opatów, jako przedstawicieli klasztorów, z wyjątkiem tych wypadków, gdy, jak powiada prof. Pawiński, proboszczowie lub kanonicy przybywali na sejmiki, jako dziedzice swych dóbr osobistych, ojczystych, nie zaś instytucyi duchownej.“ ...„To utożsamianie wyższego duchowieństwa ze szlachtą, przy udziale biskupów w radzie królewskiej z jednej strony i przy zupełnem poniżeniu niższego kleru z drugiej, było przyczyną zjawiska, że duchowieństwo, jako takie, nie stanowiło w Polsce odrębnego pierwiastku politycznego, mającego osobną od szlachty reprezentacyę— duchowny też był przedewszystkiem szlachcicem.“

Powyższe spostrzeżenia doprowadzają prof. Karejewa do przekonania: „że polska Rzeczpospolita szlachecka nowszych czasów posiada wszystkie istotne cechy starożytnej respubliki demokratycznej, z ludem z obywateli, i stojącą po-za państwem masą niewolnictwa. Polskę zaczęto nazywać rzecząpospolitą około właśnie tego czasu, gdy szlachta w połowie XV wieku otrzymuje najgłówniejsze ze swych praw. Począwszy też od 1573 r., t. j. od epoki wolnych elekcyi, każdy pojedyńczy szlachcic uważał się za posiadacza cząstki tego juris majestatici, a cała szlachta chciała korzystać z niego kolektywnie, bez wszelkiej delegacyi. Łatwo pojąć, dlaczego szlachta upatrywała w wolnej elekcyi jedno z najgłówniejszych swych praw. Od roku 1573 władza zwierzchnia w państwie polskiem zaczęła należeć do szlachty, która nawet bezpośrednio wykonywała ją podczas bezkrólewia i konfederacyi, zawiązywanych podczas życia króla. Sejm musiał otrzymać teraz nowe znaczenie—dawniej zbierał się sejm przy boku króla, teraz chyba prędzej król przy sejmie. Ale dla tej nowej roli sejm potrzebował zupeł-

nej przewagi nad sejmikami, a tego nie zdążył on osiągnąć przed wygaśnięciem dynastyi Jagiellonów."

Na liberum veto zapatruje się prof. Karejew, „jako na wytwór rewolucyi, która przeobraziła Rzpltą w pewnego rodzaju federacyę respublik sejmikowych. Pierwszy wypadek zerwania sejmu przez jednego posła odnosi się do roku 1652, a postępek zrywającego uznano za prawny nie dlatego, aby istniała specyalna ustawa, która-by pozwalała tak postąpić, lecz z tego powodu, że szlachta na sejmikach sama dawała swym posłom instrukcye, nakazujące im pewne kwestye „brać do braci," nie zgadzać się na pewne uchwały, przeszkadzać biegowi spraw na sejmie, jeżeli nie otrzymają zadośćuczynienia na pewne żądania, a następnie przerywać posiedzenia i zrywać sejm."

Prof. Pawiński zestawia sejmikowe gminy szlacheckie z amerykańskiemi stanami, twierdząc np., iż każdy sejmik był czemś w rodzaju stanu Ameryki północnej; profesorowi Karejewowi przychodzi na myśl inne porównanie z innemi stanami zjednoczonemi, „z któremi zjednoczone województwa" miały daleko więcej wspólnego. Są to mianowicie Niderlandy, które przedstawiały konglomerat wielkich miast z podległemi im okręgami i wsiami—będących raczej drobnemi państwami, niż miastami. Lecz stany generalne zjednoczonych Niderlandów przedstawiają daleko silniejszą organizacyę, niż sejm polski. 1) Stany generalne były instytucyą stałą, podczas gdy sejm polski zbierał się raz co dwa lata na sześć tygodni; 2) jednomyślność wymaganą była w Niderlandach tylko w niektórych sprawach, inne zaś rozstrzygano większością głosów; 3) liberum veto należało nie do każdego deputowanego, lecz do wszystkich deputowanych jednej prowincyi."

Łacińską nazwę „status, ordo," zdaniem prof. Karejewa, nie zupełnie można oddać przez polski wyraz „stan." Dziwnem bowiem wydaje się nazwanie jednej osoby, t. j. polskiego lub angielskiego króla—stanem. Następnie, streszczając Lengnicha i Hüppego, przyznaje prof. Karejew, „że od czasu zrzeczenia się tronu przez Jana Kazimierza, podpisali konfederacyę generalną i delegaci miast: Krakowa, Wilna, Lwowa i Poznania. Lengnich, zwracając uwagę na powyższy fakt, ostrzega, że nie należy stąd wyciągać wniosku o jakichkolwiek prawach miast; nadano im tylko zaszczyt podpisywania uchwał, które już były ważne same przez się. Taką samą rolę statystów, jak się wyraża Hüppe, odgrywali pełnomocnicy miast na sejmach elekcyjnych i koronacyjnych, gdzie ich dopuszczono do całowania ręki królewskiej. Na sejm elekcyjny dopuszczono zatem delegatów niektórych miast: Krakowa i Poznania od r. 1573, Warszawy od r. 1575 i od r. 1669 Sandomierza, od r. 1575 Wilna i Lwowa, a od r. 1632 mniej więcej przypadkowo z innych miast."

„W drugiej połowie XVIII stulecia—zdaniem prof. Karejewa,— Polska, jak i inne owoczesne państwa, potrzebowała rdzennych reform, a niepodobna było jednak o nich pomyśleć bez przeistoczenia jej władzy ustawodawczej. Szło tu nie o tron obieralny lub dziedziczny, lecz o charakter i skład sejmu. Dopóki ten ostatni był kongresem, na którym wszelkie sprawy rozstrzygano jednomyślnie, dopóki istniało liberum veto i zrywanie sejmów, dopóty nie można było myśleć o jakichkolwiek reformach, a między innemi o zmianie stosunków między sejmem a sejmikami i o reorganizacyi władzy wykonawczej. Około połowy XVIII stulecia odczuto w Polsce potrzebę reformy, a między innemi i reformy sejmu. Przedsięwzięto też przekształcenia, zakończone w 1791 roku."

Ostatni rozdział pracy prof. Karejewa poświęcony został reformom ostatnich trzydziestu lat XVIII stulecia. Ponieważ jednak ten sam przedmiot został przez niego obszerniej opracowanym w specyalnym artykule, któremu swego czasu w „Niwie" poświęciłem szczegółowy rozbiór, przeto obecny uważam za możliwe pominąć w zupełności.

Przedewszystkiem rozejrzeć się należy w dziełach, które „Zarysowi historycznemu sejmu polskiego" prof. Karejewa służyły za źródła wiedzy. Szereg ich, pomimo licznych cytat, nie wielki i nie zajmie też zbytnio uwagi czytelnika. Naczelne i wybitne miejsce, jako prawdziwa kopalnia poglądów, zajmuje u prof. Karejewa, Hüppego: „Verfassung der Republik Polen." Książka powyższa, wydana w r. 1867, zyskała sobie rozgłos dedykacyą naówczas hrabiemu Bismarckowi, a autor, jak to i prof. Karejew zauważył, zagarnął sobie łaskawie zasługę naukowego traktowania po raz pierwszy organizacyi dawnej Rzeczypospolitej. Samozwańczą pretensyą nie zdołał Hüppe nikogo z polskich badaczy wyprowadzić w pole. Ś. p. Szujski nie okazał się swego czasu bynajmniej zadowolonym z rezultatu badań niemieckiego publicysty, a dwadzieścia lat temu dwukrotnie miałem sposobność wykazać, (w polskiej pracy „O gminie" i w niemieckiej „Polnische Agrargesetzgebung und Stadtgemeindeordnung vom J. 1791"), że ustawy zreformowanych w roku 1791 gmin miejskich, które Hüppe przesądzał z góry i z lekceważeniem, w znacznej części nie były mu znanemi. Gdy jednak, mimo to, „Verfassung der Republik Polen" posłużyła prof. Karejewowi za obfite źródło wiedzy, winienem zwrócić choć pobieżnie uwagę na niedostatki tej bałamutnej książki, z której i do „Zarysu historycznego sejmu polskiego" przedostało się wiele mylnych wiadomości.

W książce Hüppego na str. 394 znajdujemy wzmiankę, że niemiecki publicysta zawdzięcza dużo wskazówek Władysławowi Bentkowskiemu, autorowi po dziś dzień cenionej rozprawy p. t. „De comitiorum in Polonia sub regibus stirpis jagellonicae habitorum vicissitu-

dinibus“ (Lipsk, 1839) i za tę usługę składa mu też Hüppe podziękowanie. Władysław Bentkowski zajmuje w literaturze politycznej polskiej poważane stanowisko i niewątpliwie ogólnemi tylko radami służył Hüppemu, nie wywierając zresztą na studya jego donioślejszego wpływu. Już też w wykazie źródeł, któremi się Hüppe posługiwał (str. 382—400), świecą nie tylko rażące braki, ale i zupełnie bałamutne wiadomości, których niktby się nie doszukał w pracy Bentkowskiego. Za mało mam miejsca na to, aby wyliczać wszystkie źródła, których Hüppe nie znał; pozwolę sobie tylko sposobem przykładu wymienić kilka tych, które Hüppe cytował, nie widząc ich nigdy na oczy. Na str. 395 do dzieł Mędrzeckiego zalicza Hüppe pracę p. t. „Zbiór praw... stanom miejskim służących“ (1790—91). Ma to być: „Zbiór praw, dowodów i uwag z treści tychże wynikających dla objaśnienia zaszczytów stanowi mieyskiemu ex juribus municipalibus służących, prześwietney deputacyi od Najj. Stanów Rzeczypospolitey do rozstrząśnienia praw i przywilejów mieyskich wyznaczonych podany“ (Warszawa, 1790). W pracy powyższej znajdują się przywileje miast królewskich, przedstawione sejmowi czteroletniemu; tymczasem stanowisko prawno-państwowe miast królewskich zostało przez Hüppego skreślone wbrew osnowie najwyraźniejszych przywilejów, w tymże „Zbiorze“ zamieszczonych, a prof. Karejew wiernie je za niemieckim publicystą powtórzył.

Na tejże str. 365 znajdujemy jeszcze inną, charakterystyczną wzmiankę, a która brzmi zwięźle i krótko, jak cezarowskie wyroki: „Mierosławski: „Histoire de la commune Polonaise.“ Berlin, 1856, ist werthlos.“ Otóż w Berlinie nigdy się podobna książka nie ukazała, ale za to w rzadkiem czasopiśmie francuskiem („Revue de Paris“) ukazał się artykuł pod powyższym tytułem w r. 1856, a nie musiał on być zupełnie bez wartości, gdyż nie zawahał się powoływać na niego Bonnemère i cytaty zresztą o tem przekonywają dostatecznie [1]). Na str. 399 znajdujemy wzmiankę o pracy Hofmana p. t. „Vademecum polskie. Pragmatyczny rys kredytu polskiego“ (Warszawa, 1824) „ist für unsere Zwecke von Seite 457—506 zu brauchen. Sonst noch zu nennen obwohl von wenig rechtsgeschichtlicher Bedeutung.“ Któżby się domyślił, że to ma być cenna i rzadka rozprawa Hofmana pod tytułem: „Vademecum polskie. O zarządzie skarbu publicznego w dawnej Polsce“ (1839, Paryż), w której niema przedewszystkiem stronicy 457—506, bo ich się znajduje zaledwie wszystkich dwieście trzydzieści pięć. Nadmienić

[1]) „Histoire des paysans.“ T. II, str. 331. Tytuł pracy został przez Hüppego niedokładnie podany, brzmi on: „Histoire de la commune Polonaise du X-me au XVIII siècle.“ Z artykułem powyższym nie mogłem się spotkać i znam go jedynie z cytat Bonnemère'a.

przytem należy, że aż do prac prof. Pawińskiego p. t. „Skarbowość w Polsce i jej dzieje za Stefana Batorego," oraz „Rządy sejmikowe w Polsce," informowała rozprawa Hofmana najgruntowniej i z wielką erudycyą o skarbowości w dawnej Polsce i o samorządzie sejmikowym w zakresie skarbowym.

Prof. Karejew utrzymuje, że Hüppemu pozostała nieznaną praca polska Hofmana p. t. „Obraz rządu i prawodawstwa w dawnej Polsce" („Przegląd Poznański," 1847—1849); żałuję bardzo, że tylko w części zdanie jego podzielić mogę. Na str. 390 („Verfassung der Republik Polen") czytamy, co następuje: „Das durchweg dilletantisch gehaltene Buch O. von Weissenhorst (pseudonim) „Studien über die Geschichte des polnischen Volkes" (drei Bände. Zürich, 1850) zeugt in staatsrechtlicher Hinsicht von redlichen Streben i t. d." Otóż w tłómaczeniu pracy Hofmana, które uskutecznił Weissenhorst w Zurichu, nie w trzech tomach, ale w dwóch częściach (1850 I Theil, a 1855 II Theil), znajdujemy na str. VII przedmowy wyraźne oświadczenie, że: „Studien in der Geschichte des polnischen Volkes" są tłómaczeniem listów „meines verehrten Freundes H. Karl Hofman" i że listy powyższe zamieszczone zostały w „Przeglądzie Poznańskim" p. t. „Obraz rządu i prawodawstwa dawnej Polski." Przekonywamy się więc, że Hüppe zamieścił lekceważący sąd o pracy Hofmana, obdarzył ją nawet epitetem dyletantyzmu, a nawet tytułu niemieckiego tłómaczenia nie zdołał podać dokładnie. Nie tylko jednak nieznajomością elementarnych zasad prawa państwowego polskiego odznacza się książka Hüppego, ta sama bowiem wada towarzyszy jej wiernie w dziedzinie prawa państwowego ogólnego. Nawet miernej znajomości rozwoju konstytucyi stanowych nie zdołał Hüppe udowodnić, a zamiast gruntownemi porównaniami treści i formy prawa państwowego Rzeczypospolitej polskiej z zachodniemi organizacyami państwowemi Europy, obdarzył czytelnika pustą i szumną frazeologią, przenosząc dzisiejsze prawno-państwowe i prawnomiędzynarodowe pojęcia do ubiegłych stuleci. Za to Hofman w listach „O rządzie i prawodawstwie dawnej Polski," choć nie miał pretensyi być zwiastunem nowych dróg naukowych w zakresie prawa państwowego polskiego, rozwinął, jak na owe czasy, imponującą i gruntowną wiedzę, a poglądy jego cieszyć się będą długo jeszcze zasłużonym autorytetem, pomimo, że prof. Karejew nie raczył się z niemi zapoznać i zadowolnił się krótką wzmianką w odsyłaczu, stwierdzającą istnienie podobnej pracy.

Drugiem dziełem, z którego „Zarys historyczny sejmu polskiego" obfitą czerpał wiedzę, było Lengnicha: „Jus publicum regni poloni" (1742, wyszło i w tłómaczeniu polskiem). Jakkolwiek Lengnich pisał swój dość obszerny a poważny traktat w r. 1742, mam nadzieję, że bę-

dzie on i wówczas służył za cenne źródło informacyjne, gdy zwiastująca nowe drogi naukowe „Verfassung der Republik Polen“ pokrytą zostanie niepamięcią. W każdym razie Lengnich nie pisał historyi, lecz compendium prawa państwowego obowiązującego, a choć znaleźć można u niego bogactwo historycznych wiadomości, wymagają one uzupełnienia i nie są wolne od drobnych usterek. Nadmienić jednak przedewszystkiem należy, że pełny całokształt prawa państwowego polskiego przedstawił Lengnich nie w jednem dziele p. t. „Jus publicum R. P.“ Za uzupełnienie wyborne i nieodzowne uważać należy drugą jego pracę p. t. „Jus publicum Prussiae polonae,“ w której zaznacza wszelkie specyalne właściwości, oraz odrębne stanowisko pruskiej dzielnicy w organizmie Rzpltej. Z pracą powyższą Lengnicha nie uważał za stosowne zapoznać się prof. Karejew, a Hüppe nie wiadomo na pewno, czy ją znał lub nie znał, bo ją podał pod fałszywym, jak wszystkie, tytułem.

Trzecią pracą, którą w obfitości posługiwał się prof. Karejew w swym „Zarysie historycznym,“ były „Rządy sejmikowe w Polsce“ prof. Pawińskiego, uznane powszechnie za studyum klasyczne. Pisząc jednak „Zarys historyczny sejmu polskiego,“ prof. Karejew winien był dać i zarys historyczny sejmików; tymczasem „Rządy sejmikowe“ prof. Pawińskiego, kreśląc wyborny i pouczający obraz samoistnego gospodarstwa województw, w epoce jego rozkwitu, bynajmniej nie zajmowały się dziejami oraz genezą sejmików.—Wiadomo mi, że historyę sejmików w Polsce, napisaną przez prof. Pawińskiego, niezadługo ujrzymy w druku, a z treści kilku ustępów, znanych mi z manuskryptu, przewidywać muszę, że nowa praca prof. Pawińskiego będzie dla literatury naszej bardzo cennym i pożądanym nabytkiem. Samo podjęcie zadania przez naszego zasłużonego historyka dowodzi, że historyę sejmików uważał za konieczne uzupełnienie rządów sejmikowych. Prof. Karejewowi zaś musiały „Rządy sejmikowe“ wystarczyć za historyę sejmików, przez co jego „Zarys historyczny“ zniewolony został do przyjęcia jednej doby w rozwoju instytucyi za całą jej przeszłość. W każdym razie pr. Karejew, choć nie zawsze uważnie czytał „Rządy sejmikowe,“ okazał się przynajmniej wdzięcznym ich autorowi za nowe światło, jakie dostrzegł w tej istotnie wybornej pracy, tylko że pochwała, jaką obdarzył prof. Pawińskiego, jest nieco spóźnioną; albowiem nowe tory prawu państwowemu wytknął prof. Pawiński nieco wcześniej, aniżeli prof. Karejew przypuszcza. Nie trzeba było czekać na „Rządy sejmikowe,“ gdyż „Skarbowość w Polsce i jej dzieje za Stefana Batorego“ najzupełniej wystarczała po temu. Ale za to „Zarys historyczny sejmu polskiego“ mógł-by był zyskać wiele na swej kompilacyjnej wartości, gdyby prof. Karejew zapoznał się był z tem, co prof. Pawiński pisze o gospodarce sejmowej w zakresie skarbowości. Śladów jednak zapo-

znania się z dziełem powyższem pierwszorzędnej wartości niema wcale.

Dość często zapożycza się prof. Karejew u prof. Bobrzyńskiego, czerpiąc materyał z jego cennej rozprawy p. t. „Sejmy polskie za Olbrachta i Aleksandra," oraz z jego podręcznych „Dziejów Polski." Zdaje się jednak, że szereg prac, służących za kapitalne źródło kompilowania, kończy się na powyżej wymienionych kilku studyach. Jest wprawdzie wiele rozpraw i artykulików, pomiędzy niemi spora ilość napisanych przez samego prof. Karejewa, cytowanych w „Zarysie historycznym sejmu polskiego," ale figurują one bynajmniej nie dla rozświetlenia dziejów sejmowania Rzpltej, tylko dla powierzchownego udekorowania erudycyą książki i nie posiadają bynajmniej tego stopnia wiarogodności, jakiego się od podobnych cytat wymaga. Kronika Piaseckiego (str. 133), Konarskiego „O skutecznym rad sposobie" (str. 181), Siennickiego „Sposób nowo obmyślany konkrudowania obrad" (str. 181), powołane są bez przytoczenia odpowiednej stronicy, a więc wzięte z drugiej ręki. Ale przynajmniej upewnia nas prof. Karejew, że się należycie zapoznał z dyaryuszami sejmowemi XVI wieku, które zostały wydrukowane niedawnemi czasy. W szeregu wymienionych przez prof. Karejewa dyaryuszów brak zupełny „Dyaryuszów sejmowych z r. 1587" (sejmy konwokacyjny i elekcyjny), wydanych w 1887 r. przez d-ra Augusta Sokołowskiego; ale w innych drukowanych dyaryuszach, i to tych właśnie, które wylicza prof. Karejew, znajduje się niezbity dowód na to, że miasta królewskie wysyłały posłów na sejmy ordynaryjne, o czem autor „Zarysu historycznego" albo nic wiedzieć nie chce, albo znów jednemu Krakowowi przywilej powyższy przyznaje.

Zdaniem profesora Karejewa, pojawiały się w ubiegłych wiekach w Polsce podręczniki prawa państwowego polskiego dla celów praktycznych, ale bez żadnej myśli podjęcia reformy, i do nich zalicza autor Chwałkowskiego, Załaszowskiego, Hartknocha i innych. I w tym rzędzie pominięto wielu, ale wspomnę tylko choćby takiego Przyłuskiego „Leges seu Statuta ac Privilegia Regni Poloniae," do którego-to compendium trzy przedmowy mają znaczną teoretyczną wartość. Nic dziwnego wszakże, że w tak nazwanych podręcznikach prawa państwowego, przeznaczonych nie do zreformowania, lecz do zestawienia i zebrania zasad elementarnych prawa państwowego polskiego, nie znalazł prof. Karejew tego, czego w nich być nie mogło. Ale czyż choćby z cytowanej przez siebie pracy hr. Tarnowskiego p. t. „Pisarze polityczni XVI wieku," czyż z całej masy dzieł, traktatów i broszur XVI, XVII i XVIII wieków nie mógł się prof. Karejew dowiedzieć o tem, że reforma sejmu była nieustającą troską wszystkich podniośliejszego umysłu mężów, którzy, począwszy od XV wieku, wysilali się na to, aby

utrzymać ład w obradach i zgodę na konkluzye sejmowe. Dość wymienić tylko prace prymasa Karnkowskiego w XVI-ym wieku, a przedewszystkiem jego: „Exorbitancye i naprawa koła poselskiego“ (1596); nadzwyczaj cenną broszurę XVII wieku p. t. „Rozmowa Plebana z Ziemianinem, albo Dyszkurs o postanowieniu teraźniejszem Rzeczypospolitey y sposobie zawierania seymów“ (1641); Leszczyńskiego „Głos wolny, wolność ubespieczający“ w pierwszej połowie XVIII stulecia, a Konarskiego „O skutecznym rad sposobie, albo o utrzymywaniu ordynaryjnych sejmów,“ w drugiej połowie XVIII wieku—aby przekonać każdego, jakie bogactwo nauki, połączonej z trzeźwym rozumem stanu, wysilało się w ciągu stuleci, aby oporny indywidualizm okiełznać na rzecz większości sejmowej.

Prof. Karejew nie uważał za stosowne zapoznać się nawet z niespożytej wartości pomnikami literatury politycznej polskiej, a czerpiąc obficie z Lengnicha, który napisał swe dzieło w r. 1742, pominął wyszłe w r. 1760 dzieło Konarskiego, cytata bowiem jedna jedyna bez przytoczenia stronicy, jaką się w „Zarysie historycznym“ znajduje, nie przekonywa bynajmniej o tem, aby się prof. Karejew z pracą powołaną zapoznał. Konarskiego zaś dzieło jest krytyczną historyą sejmowania polskiego ze wskazaniem szczegółowem niezbędnych reform, a przytem z takiem bogactwem wiedzy i z taką znajomością instytucyi państwowych europejskich, że niewątpliwie zapoznanie się z niem było-by wywarło dodatni wpływ na „Zarys historyczny,“ a owych dodatnich śladów w żaden sposób dostrzedz nie można.

Wobec tak uporczywego pomijania najważniejszych dzieł literatury polskiej politycznej, nic dziwnego, że prof. Karejew zapomniał o tem, że i dawniej znajdowały się nie tylko same podręczniki prawa państwowego, ale i historye sejmów, wprawdzie nie kapitalne, lecz i nie zasługujące zupełnie na lekceważenie. Np. w Brauna „De comitiis Regni Poloniae generalibus, Origine, Progressu et Catalogo omnium i t. d.“ (1722) znaleźć można wcale niezłą genezę „juris vetandi,“ jak ono z większych frakcyi przechodząc do mniejszych, skończyło nareszcie na Sicińskim. Bentkowskiego dysertacya p. t. „De comitiorum in Polonia i t. d.“ otrzymała nagrodę imienia książąt Jabłonowskich w Lipsku, a nikt chyba nie zarzuci autorowi, że otrzymał ją niesłusznie; wreszcie Łebińskiego rozprawa p. t. „De nuntiorum terrestrium in Polonorum Republica, Origine, Conditione et rebus gestis pars prior (1468—1668),“ Wrocław, 1863, oparta jest na sumiennych studyach i do wyjaśnienia nie jednej wątpliwości przyczynić się może.

Prof. Karejew chciał w swym „Zarysie historycznym“ porównać sejm polski z reprezentacyjnemi instytucyami Europy zachodniej, zmuszony był zatem posiłkować się dziełami obcych pisarzy. Niedosta-

teczność jednak obznajomienia się z obcemi literaturami ogólnego prawa państwowego prześciga o wiele ubóstwo wiedzy, jakie pr. Karejew, ujawnił w zakresie prawa państwowego polskiego. Nie można dociec zupełnie, skąd pr. Karejew zebrał wiadomości o konstytucyi Rzeszy niemieckiej, a przyznać trzeba, że tem, co nam opowiedział o instytucyach Cesarstwa niemieckiego, mógłby wprowadzić w osłupienie największe powagi prawa państwowego zjednoczonych Niemiec. Za źródło pouczające o konstytucyi Niderlandzkiej służyła pr. Karejewowi praca Mothleya p. t. „Historya rewolucyi Niderlandzkich", (w russkiem tłómaczeniu) i na niej poprzestał, chociaż z cytat wnosić wolno, iż Mothley był wprawdzie historykiem, ale nie prawa państwowego Niderlandów. Nordenpflychta książkę o konstytucyi szwedzkiej zacytował pr. Karejew raz bez powołania stronicy, Gneista powołał kilka razy, ale w russkiem tłómaczeniu, tak, że nie można wiedzieć napewno z przetłómaczonego tytułu, czy miał na myśli „englische Verfassungsgeschichte" czy inne dzieło tegoż uczonego; wreszcie spotkać można raz powołanego Hallama w niemieckiem tłómaczeniu, i to jest, jak się zdaje, wszystko, czego użył pr. Karejew, aby dowieść, w czem był sejm polski podobnym, a w czem niepodobnym do instytucyi reprezentacyjnych innych państw Europy. O tem, że pr. Caro dopatrzył się w konstytucyi węgierskiej największego podobieństwa z ustrojem dawnej Rzeczypospolitej polskiej, zarówno jak i o tem, że istnieje „Constitutia avita", t. j. stara konstytucya węgierska, która wiernie przechowała dawne sejmowanie i dawne przywileje stanowe aż do połowy XIX wieku, nie raczył się wcale pr. Karejew dowiedzieć.

Ponieważ Hüppe zamieścił na czele swej książki cytatę z Salvandego: „La Pologne estun pays tellement à part i t. d." więc i pr. Karejew czuje się zobowiązanym do wygłoszenia na samym początku zdania: że sejm polski stoi wpośród reprezentacyjnych instytucyi jako typ zupełnie odrębnego pokroju. Zdawałoby się, że po tem odkryciu niema mowy o porównaniu i że przyjdzie sejmowi polskiemu stanąć w samotności pod pręgierzem anarchicznej wyjątkowości. Domniemanie jednak czytelnika, zdobyte pod wrażeniem naczelnego poglądu, okazało się przedwczesnem. Nasamprzód bowiem zdaniem pr. Karejewa, konstytucya rzeszy niemieckiej ma nam przypominać ustrój Rzpltej polskiej; następnie choć, pr. Pawiński ma racyę, że Stany Zjednoczone Ameryki północnej zbliżają się podobieństwem do Rzeczypospolitej, to jednakże pr. Karejew sądzi, że ma więcej racyi, upatrując ściślejsze daleko pobratymstwo między Stanami zjednoczonych Niderlandów a Rzpltą polską. Na tem jednak nie koniec; ustrój bowiem Rzeczypospolitej przypomina pr. Karejewowi najkompletniej rzeczpospolitą rzymską, choć na innem miejscu np. dowodził, że pretensye szlachty do po-

dobieństwa ze starożytnym Rzymem nie miały żadnaj racyonalnej podstawy. Na koniec wreszcie dowiadujemy się, że Rzplta polska była jednocześnie i federacyą republikańskich województw, i jednolitem państwem republikańskiem, t. j. w istocie ani jednem, ani drugiem!

Po zestawieniu tych wszystkich porównań, nic dziwnego, jeżeli badaczowi, chcącemu te niepochwytne ogólnikowe twierdzenia doprowadzić do jakiegokolwiek związku logicznego, przywidzi się zmora pod postacią klasycznego węzła gordyjskiego. Nasamprzód też postaram się sprawdzić: jak trwałemi i niewzruszalnemi dowodami popiera pr. Karejew każde ze swych spostrzeżeń i porównań. Rozpoczynam od ustroju państwa, a raczej Rzeszy niemieckiej, która dlatego miała być podobną do polskiej Rtej, że każdy szlachcic polski był bespośrednim stanem Rzpltej w znaczeniu niemieckiem „unmittelbarer Reichsstand“, i że oba państwa przedstawiały federacye prowincyonalnych królików, którzy w Niemczech na ogół byli znaczniejsi, bliżsi typu udzielnego księcia i nazywali się kurfirstami, książętami, hrabiami i t. p., w Polsce zaś byli drobniejsi, bliżsi stanowiskiem do zwyczajnych obywateli ziemskich, lub niemieckiego rycerstwa Rzeszy i nosili skromniejsze miano szlachty.

Nasamprzód ośmielam się zauważyć: że dawne prawo państwowe niemieckie nie znało żadnych „unmittelbare Reichstände“ i znać ich nie mogło, gdyż, jak się trafnie Zoepfl wyraził: „waren Reichsunmittelbarkeit und Reichstandschaft ganz verschiedene Begriffe“ [1]). Istniały też tylko: „status imperii, Reichstände“, t. j. stany rzeszy, które w prawnopaństwowem znaczeniu składały się jedynie z tych, którym na sejmie przysługiwało miejsce i głos „Sitz und Stimme—sessio et votum“. Czy jednak prawo do miejsca i głosu na sejmach Rzeszy niemieckiej dawał wybór, jak to było w Polsce? Prawo powyższe, oznaczone terminem „Reichsstandschaft“ miało charakter rzeczowo-osobowy i przywiązane było do terytoryów (territorium), mających pewną polityczną samodzielność. Władcy owych specyalnie uprzywilejowanych terytoryów posiadali głos wirylny w sejmach Rzeszy, niektorzy głos kuryalny (Curiatstimme), a po-za tymi, którzy tworzyli „stany sejmujące niewybieralne“, istniała cała massa szlachty, i to szlachty zwanej „Reichsunmittelbarer Adel“., która do stanu w prawnopaństwowem znaczeniu zaliczać się nie mogła. Pojęciem terminu „Reichsunmittelbarkeit“ oznaczono jedynie, że dana miejscowość (ziemia lub miasto) lub też dana osobistość jest poddaną wyłącznie Cesarstwu (Reichshoheit), w prze-

[1]) „Grundsätze des gemeinen deutschen Staatsrechts“ Str. 252.

ciwstawieniu do innych miejscowości lub osobistości, które poddane były najwpierw władzy krajowej (Landeshoheit), a dopiero pośrednio „mittelbar“ władzy Rzeszy.—Przywilej „Reichsunmittelbarkeit“, jak to już powyżej zostało nadmienionem, nie pociągał za sobą prawa zasiadania w sejmie. Przywilejem powyższym cieszyły się nawet grunta włościańskie i mieszczańskie, które nigdy nie rościły pretensyi należenia do stanu w prawno-państwowem znaczeniu i nie miały „Sitz und Stimme“ w sejmie Rzeszy.

Zdaniem pr. Karejewa, zarówno w Polsce, jak i w Niemczech, każdy szlachcic był stanem zwierzchnim, był niezależnym królikiem, a państwo federacyą owych miniaturowych władców. Do pojęcia powyższego, które jest najzupełniej mylnem, doszedł autor „Zarysu historycznego“, pomieszawszy władców politycznych (Landesherren) z możnowładztwem gruntowem, patrymonialnem (Grund und Guts Herrn) [1]). Przypominam, że, podług dawnego niemieckiego prawa, do stanów Cesarstwa zaliczali się tylko ci, co posiadali „sessio et votum“ w sejmach Poza posiadającymi przywilej „Reichsstandschaft“ była massa możnowładztwa patrymonialnego, posiadającego poddanych chłopów i miasta dziedziczne. Powyższe możnowładztwo niemieckie, zarówno jak francuskie, węgierskie i wogóle innych państw europejskich, prócz Anglii, zwało się w poczuciu swej siły małym królikiem. Jeżeli Fredro wymyślił termin dla szlachty polskiej, posiadającej grunta i poddanych: „parvus et quodammodo absolutus monarcha“, to Niemcy zwali ją „Könige im Kleinen“: ale to bynajmiej nie upoważnia pr. Karejewa do zapominania o różnicy, jaka panowała między takim królikiem, którego monarchia mogła się zawierać w obszarze dwuwłókowym ziemi, a poddani mogli nie przekraczać liczby dwóch lub nawet jednego chłopa, a między członkiem stanów (Reichsstand), należącym np. do Collegium Kurfirstów.

Jeżeli pr. Karejew zauważył, że kurfirstowie niemieccy byli bliżsi typu udzielnego księcia, ale zresztą podobni do szlachty polskiej, wydającej się tylko pospolitszą, to nadmienić winienem, że prawo niemieckie przekonywa o tem nieco inaczej. Kurfirstom np. przysługiwała w pełni ranga i honory królewskie, a Czechom nawet tytuł królewski,—wszelkie przestępstwo przeciw osobie kurfirsta zwane było „crimen majestatis“, i byli to władcy polityczni (Landesherrn), w całem znaczeniu tego wyrazu, którym była poddaną i szlachta osiadła na ich territoriach z wyłą-

[1]) Różnicę powyższą można dokładnie uprzytomnić sobie, przejrzawszy cytowane dzieło Zoepfla i przytem Knappa „Die Bauern-Befreiung und der Ursprung der Landarbeiter.

czeniem jedynie tej, której przysługiwał przywilej „Reichsunmittelbarkeit“. Profesorowi Karejewowi znanemi są prawdopodobnie choćby w ogólnych zarysach dzieje domu książąt Radziwiłłów. Ów prawie najpotężniejszy dom magnacki w Rzpltej, spowinowacony z domem królewskim Jagiellonów, a później z elektorami brandeburskimi, nie wahał się jednak w osobie księcia Bogusława przyjąć namiestniczego urzędu u księcia pruskiego, elektora brandeburskiego, i wykonywać w jego imieniu władzy nad wszystkiemi stanami powierzonej mu prowincyi Prus wschodnich [1]).

Było więc coś, co wytwarzało znaczniejszy przedział między szlachtą polską a stanami Rzeszy niemieckiej. Owem „Coś“ był ten fakt, że szlachcic polski, pojedyńczo wzięty, nie był żadnym zwierzchnim stanem, jak to sobie pr. Karejew wyobraził. Tylko sejmujące i sejmikujące stany były w Polsce czynnikiem politycznym, wykonywającym funkcye prawodawcze i administracyjne, czyli one tylko tworzyły stany w prawnopaństwowem znaczeniu, a pojedyńczy szlachcic, posiadający ub. własność ziemską z poddanymi, był zwykłym możnowładcą patrymonialnym, mogącym pretendować do tego, aby drogą wyboru lub nominacyi królewskiej (Senat)mógł wejść do składu stanów sejmujących.

Pr. Karejew, wbrew statystom dawnej Polski, „rzeskie państwa niemieckie“ zupełnie utożsamił z ustrojem Rzpltej polskiej. Kiedy Konarski widział w Cesarstwie niemieckiem luźne zrzeszenie się mnogich państewek [2]), odrębne co do formy państwowej od polskiej Rztlej, autor „Zarysu historycznego“ żadnej różnicy się nie dopatrzył. Pozwolę sobie tylko kilka uwag uczynić, aby ostatecznie przekonać, że porównanie Rzeszy niemieckiej z ustrojem Rzpltej polskiej, ze stanowiska formy prawa państwowego, jak to pr. Karejew uczynił, nie ma żadnej podstawy naukowej. 1) Kurfirstowie pozyskali prawo zwoływania sejmów krajowych nawet bez upoważnienia Cesarza; gdy tymczasem nawet generał pruski nie mógł być zwołany bez pozwolenia króla polskiego; 2) Każdy stan Cesarstwa miał prawo zawierania traktatów z obcemi mocarstwami i tworzenia między sobą związków (uniones), a zdaje się, że podobnego prawa trudno-by było doszukać się pr. Karejewowi w dawnem prawie państwowem polskiem; 3) Każdy stan Cesarstwa pozyskał prawo samoistnego zgromadzania się w obrębie swego collegium, i widzimy też zebrania czyli sejmiki jednostanowe, zwane „Kurfürstentage, Fürstentage, Prälatentage, Städtetage“. W Polsce posia-

[1]) Horn „Die Verwaltung Ost-Preussens“ Str. 111.

[2]) „O skutecznym rad sposobie, albo o utrzymywaniu ordynaryjnych sejmów“, Część IV. str. 29 „Panów udzielnych i stanów udzielnych około 700“.

dał stan duchowny swe synody dyecezyalne i prowincyonalne, o których pr. Karejew nie raczył wspomnieć ani jednem słowem, ale inne stany, np. rycerski lub miejski, nie otrzymały nigdy prawa sejmowania w odosobnieniu jednostanowem, i to jeszcze bez upoważnienia monarszego.

Poprzestając na tych kilku wyjaśnieniach, przechodzę do drugiego porównania pr. Karejewa, na mocy którego dawna Rzeczpospolita polska ma przypominać Stany zjednoczonych Niderlandów, z tem tylko zastrzeżeniem: że konstytucya zjednoczonych Niderlandów była lepszą od polskiej, dla kilku powodów, z których pierwszy ma być ten: że zjednoczone stany generalne Niderlandzkie były instytucyą stałą, gdy tymczasem sejm walny Rzpltej polskiej zbierał się raz co dwa lata. Trwałość wszelkich reprezentacyi stanowych wyrażała się zazwyczaj w peryodyczności ich zebrań i sejmowań, a z historyi konstytucyi stanowych wnosząc, zdawało-by się, że nie mogło być instytucyi reprezentacyjnych politycznych, które-by trwale, na wzór władz rządowych, funkcyonować mogły.

Musiały być zatem specyalne powody, które w zjednoczonych siedmiu prowincyach niderlandzkich, począwszy od r. 1648, wytworzyły „permanente Generalstaaten", które-to stany, używając wyrażenia Konarskiego, „trzymają się nieustannie Hagae comitum" [1]). Za specyalnością powodów przemawia i ten wzgląd: że do czasów Unii siedmiu prowincyi, konstytucya niderlandzka nie znała bynajmniej trwałości istnienia stanów generalnych, a po 1648 roku prowincye katolickie Niderlandów również nie zaprowadziły u siebie podobnej reformy. Juste twierdzi, że w XV wieku w Niderlandach monarchom bezspornie przysługiwało prawo zwoływania stanów generalnych, z którego jednak umiarkowanie korzystali. W r. 1477 prowincye pozyskały przywilej, mocą którego stany generalne mogły „à se reunir toutes et quantes fois il leur plairait", Przywilej powyższy został już w r. 1488 cofnięty, a od roku 1634 do 1790 Habsburgowie austryaccy obywali się zupełnie bez współudziału stanów generalnych i załatwiali bezpośrednio swe sprawy ze stanami prowincyonalnemi [2]). Takie samo położenie rzeczy stwierdza Poullet [3]), i nie tylko że nie spotykamy najmniejszego śladu trwałości istnienia stanów generalnych w Niderlandach, lecz, przeciwnie, sejmowanie stanów generalnych jest znacznie rzadsze, niż w Rzeczypospolitej polskiej, nie wspominając już o tem, że przez półtora stulecia wychodzi zupełnie z użycia.

---

[1]) „O skutecznym rad sposobie i t. d." Część IV str. 116.
[2]) „Histoire des Etats généraux des Pays-Bas" T. 2 str. 166.
[3]) „Les constitutions nationales belges" str. 166.

Mimo to, niezaprzeczoną prawdą jest twierdzenie pr. Karejewa, że w siedmiu zjednoczonych od 1648 r. prowincyach, stany generalne funkcyonowały trwale. Fenomenalne to zjawisko było możliwem jedynie w warunkach wyjątkowych, w jakich Rzplita polska nigdy się nie znajdowała. Przedewszystkiem trwałe stany generalne musiały być nielicznemi, i istotnie stany prowincyonalne w zjednoczonych Niderlandach były daleko liczniejszemi od generalnych, które liczyły najwyżej 52 członków. Oderwanie też trwałe od zajęć znacznej ilości osób powiększało-by ciężary finansowe skarbu, który w monarchicznych państwach nie byłby mógł potrzebom wzrastającym sprostać.

Pozwolę sobie przytoczyć jeden przykład na udowodnienie, jak uciążliwą pod względem finansowym była reprezentacya stanowa, choćby peryodycznie funkcyonująca. W XVII i XVIII wieku przestali, jak wiadomo, monarchowie francuscy zwoływać stany generalne (od 1614), ale w niektórych prowincyach, zwanych „pays d'Etats" istniały nadal stany prowincyonalne, które w pewnych odstępach czasu były zwoływane przez monarchów, i taki stan przetrwał prawie aż do wybuchu wielkiej rewolucyi. Monarchowie francuscy w tej dobie uważali siebie i uważani byli przez społeczeństwo prawie za absolutnych i nie potrzebujących się liczyć z wpływem stanów prowincyonalnych, a jednakże musieli wydawać znaczne sumy na stłumienie oppozycyi i zapewnienie sobie powolnych większości [1]). Gdyby podobny system miał być zastosowany do stanów generalnych, stale funkcyonujących, żaden skarb państwowy nie byłby w możności opłacić ciężarów z niego płynących.

Reprezentacye stanowe we wszystkich państwach europejskiego kontynentu okazywały się niezmiernie zazdrosnemi o swą władzę i nie chciały jej powierzać stałym i nielicznym delegacyom, z obawy, aby nie uległy przekupstwu lub pogróżkom monarchy. Jakim sposobem więc się to stało, że w zjednoczonych siedmiu prowincyach stanom generalnym pozwolono trwać stale w tak nielicznym komplecie? Objaśnienie najzupełniejsze powyższej zagadki znajdujemy w tem: że stany generalne nie posiadały żadnej władzy prawodawczej i zwierzchnictwo polityczne najzupełniejsze, nawet przez prawo międzynarodowe uznane, przysługiwało prowincyom, czyli stanom prowincyonalnym [2]). Porównywanie więc prowincyi zjednoczonych niderlandzkich, mogących

---

[1]) Babeau: „Les assemblées des Pays d'Etats sous l'ancien régime" S. 854. i dalsze (La réforme sociale Le Play. 1893 N. 59).

[2]) Treitschke: „Die Republik der Vereinigten Niederlande" Str. 449 i 450 T. II Hist. und polit. Aufsätze. Porównać de Réal—„La science du gouvernement" T. 2 str. 302 „chaque province est souveraine d'une souveraineté absolue".

prowadzić negocyacye dyplomatyczne z obcemi mocarstwami, do polskich województw, lub też stanów generalnych, które, jak Konarski zauważył, „nic nie decydują i nic nie stanowią,“ do sejmów Rzpltej, nie wytrzymuje ścisłej krytyki. Co do tego, że trwałe istnienie reprezentacyi stanowej jest lepsze od peryodyczności sejmowania, można-by wówczas przyjść do pewnych wniosków, gdyby stany zjednoczone prowincyonalne, które były istotnie organami prawodawczemi i rządzącemi, funkcyonowały trwale. Tymczasem stany prowincyonalne w zjednoczonych Niderlandach funkcyowały peryodycznie, a trwałość stanów generalnych objaśnia się tem jedynie, że, nie mając żadnej władzy związkowej (Bundesgewalt), zawiadywały jedynie wspólnemi interesami, i troszcząc się o dobro siedmiu prowincyi, uchwalały projekta, na które się stany prowincyonalne zgodzić lub niezgodzić były winny.

Drugim przymiotem konstytucyi Zjednoczonych Niderlandów, wynoszącym ją po-nad ustrój Rzpltej polskiej, miało być to, że w zjednoczonych stanach generalnych jednomyślność wymaganą była tylko w niektórych sprawach, inne zaś rozstrzygano większością głosów. W objaśnieniu dodać winienem, że wotowanie subsydyów, czyli uchwalanie pomocy finansowej, wymagało jednomyślnej zgody, nie tylko delegatów w stanach generalnych, lecz i w stanach prowincyonalnych, a wiadomo, że przywilej powyższy był kamieniem węgielnym owoczesnych konstytucyi stanowych. Zresztą decydowania większością głosów w stanach generalnych siedmiu prowincyi przeceniać zbytecznie nie należy, z tego względu, że to, co zostało większością uchwalone, musiało pozyskać zgodę stanów prowincyonalnych, a czasem nawet pojedyńczego miasta, które samo jedno mogło było przeszkodzić np. zawarciu traktatu, upragnionego przez stany generalne [1]).

W końcu prof. Karejew i za to przenosi konstytucyę zjednoczonych Niderlandów nad dawną polską, że liberum veto miało w Niderlandach należeć do wszystkich deputowanych jednej prowincyi, a nie do jednego posła, jak w Polsce. Pozwolę sobie nadmienić, że wiadomości prof. Karejewa co do liberum veto w zjednoczonych stanach Niderlandów są mylne. Przysługiwało bowiem jus vetandi wszystkim samodzielnym kolegiom, mającym prawo miejsca i głosu w stanach prowincyonalnych, a takich uprzywilejowanych kolegiów było w siedmiu prowincyach około 2,000. W dziejach zaś zjednoczonych Niderlandów znajdują się przykłady, że nędzna mieścina swem liberum veto powstrzymała zawarcie traktatów międzynarodowych, donioslych dla ca-

[1]) Treitschke: „Die Republik der Vereinigten Niederlande“ Str. 449. T. II. Hist. und polit. Aufsätze.

łego państwa [1]). Do jakiego zresztą stopnia poczucie separatyzmu i prowincyonalnej odrębności rozwinięte było w Niderlandach jeszcze przed unią z 1648 r., najlepiej dowodzi fakt, że Gueldrya i Luxembourg pretendowały do przywileju, zwalniającego je od wysyłania delegatów na sejmy generalne [2]). W Polsce zaś nawet dzielnica pruska nie pomyślała o podobnem wyosobnieniu się swych „generałów“ i brała regularnie udział w sejmach ordynaryjnych.

Przechodzę z kolei rzeczy do porównania Rzeczypospolitej polskiej z rzymską, które raz przypada prof. Karejewowi do gustu, to znowuż drażni go swą pretensyonalnością. Gdy szlachta polska porównywała się do Rzymian, a państwo swe do rzeczypospolitej rzymskiej, wtedy prof. Karejew wykazywał bezzasadność porównania, nie przedstawiając jednak, w jaki sposób owe klasyczne reminiscencye się zjawiły i w jakim celu zestawiano oba te państwa obok siebie. Należy przypomnieć, że właściwie w literaturze politycznej polskiej szczegółowych porównywań państwa polskiego z rzymskiem nie było, lecz jedynie cycerońską formę państwa mieszanego, przypominającą dawną konstytucyę rzymską, starano się odnaleźć w instytucyach Rzpltej polskiej. Tak np. Orzechowski w swej „Oratio in statuta Regni Poloniae“ (do Przyłuskiego przedmowa) oświadcza, że Rzeczpospolita polska „neque regnum est, neque paucorum dominatus, neque popularis status,“ i gdy: „apud alias gentes aliquo seperatim horum trium generum respublica constaret,“ w Polsce: „tribus generibus novo quidam et insitato more mixtim constitueretur.“ — Porównywano zatem tylko formę państwową: czy słusznie, czy niesłusznie, nad tem się prof. Karejew nie zastanawia, ale w każdym razie zaznaczyć winienem, że podobne porównania występowały w innych państwach, posiadających konstytucyę stanową. Tak np. Niderlandy wydawały się Maryi węgierskiej także czemś mieszanem. „Ce pays—powiedziała ona—n'est ni une monarchie absolue, ni une oligarchie, ni une véritable république“ [3]).

Odrzucając na stronę porównanie szlacheckie, prof. Karejew występuje z własnem, utrzymującem, że, jak starożytny Rzym posiadał obywateli, „cives,“ tak Rzeczpospolita polska posiadała szlachtę, używającą wyłącznie swobód politycznych. W obu zaś państwach, po-za wybranem gronem uprzywilejowanych, istniały masy niewolniczego ludu. Jak widzimy, porównanie prof. Karejewa pomija tym razem for-

[1]) Fakt, cytowany przez Treitschkego, wiadomy był Konarskiemu. „O skutecznym rad sposobie i t. d.“ Część IV, str. 122.

[2]) Poullet: „Les constitutions nationales belges.“ Str. 166.

[3]) Juste: „Histoire des Etats généraux des Pays-Bas.“ T. II, str. 256.

mę państwa, a sięga do głębin społecznych. Zobaczmy, czy jego poglądy są uzasadnione i przekonywające. W sejmie i w sejmikach polskich panował niewątpliwie żywioł szlachecki; szlachta, i to posesyonaci, byli obywatelami pleno, czy optimo jure, ale czyż trzeba było dlatego szukać porównań dla Polski aż w Rzymie starożytnym? i czyż na mocy tych samych powodów nie należało-by historyi reprezentacyi stanowych w Europie kontynentalnej uważać za dalszy ciąg konstytucyi starego Rzymu?

W Węgrzech np. szlachta, wynosząca zaledwie $^1/_{20}$ społeczeństwa, uważana była za prawomocny naród „gesetzliche Nation“ [1]), a reszta, t. j. $^{19}/_{20}$ ludności, wyobrażała pod względem politycznym ciało martwe „caput mortuum,“ podług oryginalnego łacińsko-węgierskiego orzeczenia. Blizko pięćdziesiąt miast węgierskich miało wprawdzie prawo udziału w sejmach i sejmikach komitatowych węgierskich, ale to nie zapewniało mieszczaństwu stanowiska obywateli uprzywilejowanych na równi ze szlachtą. Na sejmiku komitatowym największe miasto znaczyło tyle, co jeden szlachcic [2]), a i na sejmie wotowanie było tak zorganizowane, że miasta, znajdujące się stale w mniejszości, winny były znosić cierpliwie spychanie ciężarów publicznych z bark szlacheckich na własne, co się też nieustannie odbywało.

We wszystkich stanach prowincyonalnych i generalnych, t. j. w najważniejszych instytucyach reprezentacyjnych owych czasów, masy ludu roboczego nie miały własnych reprezentantów [3]), a nawet w rzędzie uprzywilejowanych nie wszyscy mogli się uważać za obywateli „pleno vel optimo jure“.

We Francyi np. mieszczaństwo, czyli stan trzeci, mający osobną izbę wśród stanów generalnych i prowincyonalnych, nietylko, że znosić musiał dotkliwe upokorzenia, niedość że zniewolony był klęczeć wobec monarchy, gdy szlachcic i duchowieństwu powstać dozwolono, ale prócz tego, pozostając zawsze w mniejszości, przygniatany bywał brzemieniem ciężarów. Sebastyan Petrycy w tłómaczeniu polityki Arystotelesowej porównywał udział miast polskich królewskich w sejmach do osła, którego zaproszono na wesele, a potem kazano mu drwa nosić. Za Karola IX we Francyi „Tiers Etat“ w swych „Cahiers“ oświadcza, że duchowieństwo, szlachta, monarchizm, wszystko na nim ciąży „il

[1]) Horvath: „Fünfundzwanzig Jahre aus der Geschichte Ungarns.“ T. II. str. 4.
[2]) Eötvös: „Die Reform in Ungarn.“ Str. 8 i 126.
[3]) Juste: „Histoire des Etats généraux des Pays-Bas“. T. 2, Str. 259.

est l'ane qui porte la charge on ne s'en cache pas, on le lui dit tout crûment“ [1]).

Po za owymi rzymskimi obywatelami, którzy togi zamienili na kontusze, zdaniem prof. Karejewa, znajdowały się w Polsce tylko masy niewolnicze. Niewola rzymska ma być więc najlepszym i wyłącznym tłómaczem stanowiska prawnego włościan i mieszczan w Rzpltej. Przyznać trzeba, że prof. Karejew krótko i węzłowato załatwił się z naukową kwestyą, a przytem pozwolił domyślać się, że oddani rzymskiej niewoli polscy chłopi przechodzić musieli wszystkie męki, przynajmniej Dantejskiego piekła. Jeżeli jednak prof. Karejew uważał za stosowne porównywać ustrój Rzpltej polskiej z niemieckim i niderlandzkim, to wypadało przypomnieć sobie, jakie było stanowisko włościan w tychże państwach.

Zaznaczam też mimochodem, że we wszystkich państwach europejskich pojęcie niewoli, pod wpływem nauki Chrystusa, przeistoczyło się i złagodniało znacznie. We Francyi „servitude, l'esclavage“ przemieniło się w „Servage“ w Niemczech „Leibeigenschaft“ przedzierżgnęła się w Hörigkeit, „Erbunterthänigkeit“. Wszędzie jednak możnowładztwo gruntowe miało swych poddanych chłopów i dopiero pierwszy Józef II wystąpił przeciw zasadzie poddaństwa włościan, jako przeciwnej prawu natury[2]). Czy zaś Rzeczpospolita polska przetrzymała wyjątkowo swych chłopów w niewoli rzymskiej—na to pytanie, niestety, jak i na wiele innych, prof. Karejew odpowiedzi naukowej nie daje zupełnie; szczegóły zaś, które przytacza, są błahe i bez znaczenia. Jeżeli bowiem autor „Zarysu historycznego“ przytacza jako coś nadzwyczajnego, że szlachta w konfederacyi 1573 r. pozyskała władzę sądowniczą nad włościanami, tak w świeckich, jak i w duchownych sprawach, to zapomniał dowiedzieć się, że szlachta niemiecka posiadała władzę jeszcze większą nad swymi włościanami, bo „jus reformandi“ w zakresie religijnym [3]). W każdym razie, jakąkolwiek była owa niewola rzym-

---

[1]) Thibaudeau: „Histoire des Etats généraux et des institutions representatives en France“. T. 2. Str. 117.

[2]) Horvath: „Geschichte der Ungarn“ T. 2. Str. 522. (1785) 1. „Den Unterthanenzustand in wiefern derselbe die Einwohner bisher für ewige Zeiten an die Scholle gebunden hat, heben wir für die Zukunft gänzlich auf, und in diesem Sinne gestatten wir den Gebrauch des Namens Unterthan nicht mehr. Demzufolge erlauben wir allen Einwohnern, welch immer einer Religion und Nation, Freizügigkeit für ihre Person und befehlen dass dies ihnen an allen Orten verliehen werde, da es das Naturrecht und auch das Gemeinwohl so erheischt.

[3]) Zoepfl: „Grundsätze des gemeinen deutschen Staatsrechts“ T. I. Str. 257 — jus reformandi przysługujące „Reichsritterom“ było uważane jako: „für wesentlich im Begriffe der Landeshoheit liegend“.

ska gnębiąca chłopów polskich, nie może się szlachta polska pochlubić takiemi przywilejami, jakie zdobyła sobie szlachta we Francyi, gdzie polującemu w zimie szlachcicowi wolno było rozpruć brzuchy kilku chłopom, dla ogrzania sobie w ich trzewiach nóg zmarzniętych [1]).

Jeszcze jeden dowód przytoczył prof. Karejew na poparcie podobieństwa Rzpltej polskiej do rzymskiej. Ma nim być fakt, że szlachta nazywała państwo polskie Rzpltą, uważając Króla jedynie za urząd. Wyrazowi „Rzeczpospolita“ przypisuje prof. Karejew mylne znaczenie i nie zgodne z tem, jakie mu nadawali wszyscy statyści polscy, począwszy od XVI wieku. Już Hofman zauważył, że na zachodzie Europy Rzpltą nazywano dobro publiczne, lub publiczny pożytek [2]). Istotnie spotykamy się z poglądem powyższym dość często wśród stanów generalnych francuskich, gdzie każdy stan poczuwał się do obowiązku stawania na straży swego dobra publicznego, a wszystkie razem do pieczy nad dobrem całego kraju, króla zaś uważano za urząd a nie za dziedzictwo [3]). Powoli stany sejmujące, łącznie z monarchą, przyswoiły sobie nazwę Rzpltej, bez względu na to, że forma danego państwa była monarchią, a jednocześnie teoretycy polityczni zaczęli wyrazem „respublica“ oznaczać państwo wogóle, bez względu na formę, czyli zastępowali nazwę „civitas“ terminem „respublica“.

Stany generalne francuskie nazywały też niekiedy Francyę Rzpltą, mimo, że władza monarchiczna była silnie we Francyi rozwinięta [4]), a to samo miało miejsce i w Węgrzech, gdzie w dokumentach publicznych używano niekiedy jednocześnie wyrazów regnum i respublica [5]). W Bodina traktacie o Rzpltej, mianem Rzpltej oznaczono państwo wogóle, bez względu na formę, i dlatego też nazwano dziedziczną monarchię angielską, na równi z Szwajcaryą lub Wenecyą, Rzpltemi [6]). W Polsce, począwszy od XVI w., statyści nazywali mianem Rzpltej państwo wogóle, nie zapominając przytem, iż państwo polskie miało formę monarchiczną. Konarski używał także wyrazu Rzplta na oznaczenie państwa wogóle i dlatego-to oświadcza, że „Dom angielski jest Tronu

---

[1]) Bonnemère: „Histoire des paysans“. T. II. Str. 261.

[2]) Tłom. Weissenhorsta: „Studien in der Geschichte des polnischen Volkes“. Część I. Str. 120—121, przytacza Kromera, który zatytułował swe dzieło, de situ, moribus magistratibus et republica Regni Poloniae. W ogóle Rzpltę uważa Hofman na równi z Cyceronem i Św. Tomaszem z Akwinu, jako res populi.

[3]) Thibaudeau: „Histoire des Etats generaux“. T. II. Str. 30. „La royauté est une dignité, non une héréditè“.

[4]) Thibaudeau: „Histoire des Etats généraux“. T. II. Str. 188.

[5]) Kovachich: „Vestigia Comitiorum apud Hungaros“. Str. 243.

[6]) „De republica libri sex“ (wyd. 1636 w Paryżu). Str. 723.

dziedzicem, a parlament jest parlamentem, Rzplta angielska wolną i doskonałą Rzpltą“ [1]). W XVIII wieku nazywa Kovachich Węgry, tak samo jak Konarski Polskę, „Respublica Hungarorum“, pomimo tego, że wiadomem mu było dobrze, że państwo węgierskie posiada formę monarchiczną i że jest przedewszystkiem dziedziczną monarchią [2]). Te same podręczniki prawa państwowego, przeglądane przez prof. Karejewa, a które noszą tytuł „Jus publicum“ lub „Leges seu statuta *Regni* Poloniae“, powinny były ostrzedz o tem autora „Zarysu historycznego“, że wyraz „rzeczpospolita“ nie oznaczał bynajmniej w dawnej Polsce specyalnej formy państwowej, lecz państwo samo, a że szlachta polska nie wymyśliła sobie powyższego wyrazu na oznaczenie swego wyłącznego panowania w państwie, to najlepszy dowód posiadamy w tem, że miasta królewskie w Polsce uważały się i nazywały Rzpltą municypalną, a stan duchowny — Rzpltą duchowną.

Znajdujemy w „Zarysie historycznym“ prof. Karejewa jeszcze jedną uwagę porównawczą, którą trudno pominąć milczeniem. Stany generalne we Francyi miały zdaniem jego zawierać daleko mniej pierwiastku kongresywnego, niż polskie sejmy, a to z powodu silniej rozwiniętej władzy monarchicznej. Na innem miejscu i w daleko obszerniejszym zakresie (w pracy p. t. „Konfederacya i rokosz“) miałem sposobność wykazać, że stany prowincyonalne, zarówno jak i generalne we Francyi, zawierały ten sam pierwiastek federacyjny, co i inne państwa kontynentu europejskiego; stany jednak prowincyonalne we Francyi przetrwały dłużej niż stany generalne, i spotykamy się z niemi w „Pays d'Etats“ w XVII i XVIII wieku, t. j. wówczas, gdy żywa tradycya „etats generaux“ zaginęła. Władza monarchiczna była w tej dobie jeszcze silniej rozwiniętą, niż w XVI wieku, a jednakże stany prowincyonalne nie straciły swego federacyjnego pierwiastku, nakazującego ratować choćby pozory samodzielności politycznej. Gdy przychodziło do wotowania „donum gratuitum“ dla monarchów, rząd królewski, mimo swej wszechwładności, musiał się uciekać nietylko do przekupstwa ale i do gwałtownych środków, jak internowanie lub więzienie opponentów, aby przypomnieć, że dobrowolna ofiara jest w gruncie rzeczy nieuniknionym podatkiem. Nic też dziwnego, że, w takich okolicznościach, sejmowanie stanów prowincyonalnych we Francyi w XVIII wieku nasunęło statystom francuskim mimowoli porównanie z sejmami polskiemi [3]).

---

[1]) „O skutecznym rad sposobie i t. d“. Część IV. Str. 129.

[2]) „Vestigia Comitiorum apud Hungaros—ab initio Reipublicae Hungarorum“. Str. XXVIII.

[3]) Babeau: „Les assemblées des Pays d'Etats sous l'ancien regime“ str. 761.

Zapatrując się na formę prawa państwowego, a nie zapoznawszy się należycie z jego dziejami, niepodobnem się okazało prof. Karejewowi przyjść do jasnego zrozumienia istoty państwa polskiego i do sformułowania wyraźnego: czy było lub nie było czemś oryginalnem lub wyjątkowem w Europie. Pierwiastek federacyjny, zwany przez prof. Karejewa kongresywnym, skłonił autora „Zarysu historycznego“ do szukania porównań to z Rzeszą niemiecką, to ze Stanami Zjednoczonemi Niderlandów. Objaśnić należy, że pierwiastek ów federacyjny istniał niewątpliwie we wszystkich konstytucyach stanowych europejskich, ale podobieństwo nie tkwiło bynajmniej w tym kierunku, jaki prof. Karejew wskazywał. Jeżeli bowiem ograniczymy się do porównywania form prawa państwowego, to niezliczone różnice znajdziemy wszędzie; jeżeli stosunek części do całości, t. j. stanów prowincyonalnych do generalnych, weźmiemy pod uwagę, to również utrzyma się zdanie Konarskiego, które między Rzeszą niemiecką i niderlandzką a polską ważne wykazywało różnice. Dopiero zasady prawa państwowego wykazują we wszystkich państwach silne powinowactwo, i w tym kierunku zarówno Rzesza niemiecka, stany Niderlandzkie, jak Rzplta polska dostarczają nam wiele przekonywających dowodów.

Że zaś ów pierwiastek federacyjny nie był specyficznie polskim, i że nie trzeba się było po niego udawać aż do Niemiec lub Niderlandów, tego najlepszym dowodem Węgry. Dla prof. Karejewa, który tyle zaczerpnął wiadomości z „Rządów Sejmikowych“ prof. Pawińskiego, może nie będzie bez interesu dowiedzieć się, że 52 sejmiki komitatowe w Węgrzech zajmowały to samo prawno-państwowe stanowisko, co sejmiki wojewódzkie w Rzpltej polskiej. Każdy komitat posiadał swych urzędników i sędziów wybieralnych, własny podatek domestikalny, prawo wydawania statutów uzupełniających konstytucyę, a przedewszystkiem prawo niewykonywania rozporządzeń rządu, jako przeciwnych konstytucyi [1]). Eötvös, krytykując rządy komitatowe, utrzymywał, że nic podobnie monstrualnego nie można-by znaleźć w Anglii lub Ameryce północnej [2]), choć te państwa słynęły z samorządu lokalnego, a Horvath również przyszedł do przekonania, że w całej Europie nie dałoby się odnaleźć instytucyi podobnie anarchicznej, jak węgierskie komitaty [3]). Historykowi węgierskiemu nieznane były rządy sejmikowe w Polsce, a tem mniej teorya kongresywności Hüppego, wyzyskana obficie przez

[1]) Horvath: „Fünfundzwanzig Jahre aus der Geschichte Ungarns“. T. II. Str. 6 — używały komitaty w powyższym razie wyrażenia „achtungsvoll beiseitelegend“.

[2]) „Die Reform in Ungarn“. Str. 171.

[3]) „Fünfundzwanzig Jahre aus der Geschichte Ungarns“. T. II. Str. 4.

prof. Karejewa, i dlatego też, choć uznał komitaty za organa zwierzchnicze, pozostawił państwo węgierskie w godności królestwa, a nie wynalazł dlań oryginalnej formuły, nakazującej mu być federacyą komitatów, lub Zjednoczoną Rzpltą, a właściwie ani jedną, ani drugą!

Prof. Karejew wygłasza między innemi zdanie tego rodzaju: że sami Polacy znaleźli formułę swojej egzystencyi politycznej w owym słynnym aforyźmie, który powtarzał kilka pokoleń z rzędu, że nierządem Polska stoi. Czyżby istotnie autor „Zarysu historycznego“ miał żywić przekonanie, że aforyzm powyższy był uważany przez szlachtę polską kiedykolwiek za aksyomat albo pewnik polityczny? Przykro mi, że znowu muszę zniweczyć nieco iluzyi, których spory zasób posiadał prof. Karejew. W r. 1612 prostak szlachcic, herbu Zadora (jak sam o sobie pisze) w „Traktacie de offensivo bello“ (Przedmowa), nazwał ów aforyzm „Polska nierządem stoi“ przypowieścią głupią, a od XVI wieku aż do końca XVIII nie było nawet miernego statysty, który-by w nierządzie nie upatrywał ostatecznej zagłady państwa i hańby dla społeczeństwa polskiego. Opaliński, który w satyrach swych nie szczędził jadowitego szyderstwa dla wszystkich chorób sejmowych (morbum comitiale), nie ośmielił się jednak twierdzić, ażeby zasada „Polska nierządem stoi“ była przez szlachtę za prawdę polityczną przyjęta. Zaznaczył on tylko: „Nierządem Polska stoi, nie źle ktoś powiedział, lecz drugi odpowiedział, że nierządem zginie [1])“ i t. d.

Starej konstytucyi węgierskiej przypisywano istotnie siłę, którąby dziś tylko rozkładową nazwać było można, a zwano ją „vis inertiae“ [2]) Polegała ona na tem, że każdy z 52 komitatów mógł sparaliżować działanie rządu, nie wykonywając jego rozporządzeń pod pozorem zarzutu nielegalności; Eötvös utrzymuje słusznie, że tego rodzaju oryginalne właściwości dawnej konstytucyi „pachną Turkiem“ [3]), i rzeczywiście wyrobiły się one w trudnych warunkach bytu, gdy znaczna część kraju jęczała pod srogiem jarzmem tureckiem. Ale przynajmniej w Węgrzech istniała doba, w której „vis inertiae“ uważaną była istotnie za dodatnią siłę, gdy tymczasem nawet obcy pisarze w r. 1718 wiedzieli o tem wybornie, że aforyzm: „Polonia confusione regitur“ [4]) nie ma żadnego sensu i że, począwszy od drugiej połowy XVI wieku, w nierządzie, a przedewszystkiem w nierządzie sejmowania upatrywali wszyscy

[1]) „Satyry albo przestrogi do naprawy rządu i obyczajów w Polsce należące“. 1652. Satyra VI.

[2]) Eötvös: „Die Reform in Ungarn“. Str. 78.

[3]) „Die Reform in Ungarn“. Str, 273.

[4]) Meder: „Grundfeste der allerneuesten Staatsverfassung im Königreich Pohlen und Gross-Herzogthum Litthauen“ (Halle, 1718) w przedmowie.

statyści polscy zwiastuna zagłady kraju, i zdanie króla Leszczyńskiego „respublica mole propria ruit“ powtarzano nieustannie z rozmaitemi waryantami. W końcu, czyniąc z przypowieści głupiej (zdanie Zadory) aforyzm polityczny, pouczający naród przez kilka wieków, prof. Karejew zapomniał w swych historycznych badaniach doszukać się tego drobnego faktu, że od początku XVIII w. nierząd w organiźmie Rzpltej pozyskał międzynarodową protekcyę.

Czytającemu „Zarys historyczny sejmu polskiego“ przedstawiać się muszą na każdym kroku wątpliwości i niedostatki elementarnej natury. Prof. Karejew twierdzi np., że w r. 1496 dostojeństwa kościelne szlachta zagarnęła wyłącznie dla siebie; jak więc objaśnić należy fakt, że Hozyusz, będący mieszczaninem, został mimo to biskupem i księciem Warmii, oraz kardynałem. Mieszczaństwu, zdaniem prof. Karejewa, miano odebrać w 1538 r. grunta pozamiejskie; tymczasem do końca istnienia Rzpltej wszystkie miasta królewskie posiadały wsie z poddanymi, a Poznań w XVIII wieku przodował reformom włościańskim. Wielokrotnie prof. Karejew powtarza zdanie: że każdy szlachcic polski był bezpośrednio zwierzchniczym stanem, a nie podał żadnego wyjaśnienia, czy przywilej powyższy, nieistniejący wcale, przysługiwał podług niego zagrodowej szlachcie, posiadającej ziemię bez poddanych.

W końcu winienem nadmienić, że prof. Karejew nie zawsze uważnie czyta dzieła, z których czerpie wiadomości. I tak np. niewłaściwie „rokosz“ tłómaczy na łacińskie „rocossium“. Wyraz „rokosz“ powstał, jak to trafnie Warszewicki objaśnił, „a villa quadam cis Pestum“ [1]), u Lengnicha też spotykamy się z rokoszem a nie z żadnym pseudo-rzymskim terminem. Co się tycze stanowiska miast królewskich w organiźmie Rzpltej, to prof. Karejew podał same mylne, lub niedokładne wiadomości, których na tem miejscu prostować nie potrzebuję ze względu, iż podałem w „Bibliotece warszawskiej“ obszerne w tej mierze wyjaśnienia.

Na tych kilku uwagach poprzestaję, nadmieniając na zakończenie, że jakkolwiek podzielam zdanie Kołłątaja, utrzymujące, że ustrój Rzpltej polskiej był lichą i niedołężną machiną i t. d., to jednakże mniemam: że chcąc sądzić choćby w kompilacyjnej instancyi, dobrze jest zapamiętać zdanie, które Skrzetuski zamieścił na czele swego „Prawa politycznego“—„necessarium imprimis est nosse rempublicam“.

A. Rembowski.

---

[1]) „De optimo statu libertatis“ 1598. Str. 70.

Dekadentyzm współczesny i jego filozofowie.

(Paweł Bourget i Fryderyk Nietzsche).

Posługujemy się często kojarzeniami wyrazów, które, jakkolwiek utarte, pozbawione jednak są rzeczywistej logicznej podstawy, a etymologicznie są nonsensem, i sądzę, że wiele kursujących błędnych mniemań, łatwych do sprostowania przy bliższem zastanowieniu się, pochodzi z niekrytycznego posługiwania się podobnemi wyrażeniami, a raczej płynie z tego powierzchownego związku wyobrażeń, którym zawdzięczają one swoje istnienie, a które same podtrzymują i utrwalają. Rozumiała to dobrze filozofia angielska, gdy kładła nacisk na analizę mowy.

Kiedy mówimy o „przejrzałej cywilizacyi", mamy oczywiście jakieś niejasne poczucie podobieństwa pewnego stanu społeczeństwa do przejrzałego owocu; podobieństwo takie istnieje rzeczywiście w tym względzie, że stan wymieniony może się wytworzyć jedynie tam, gdzie kultura w pewnych kołach społecznych dosięgła znacznego stopnia rozwoju, a więc była „dojrzałą." Co jednak uważać będziemy za stan dojrzałości społeczeństw, po którym następuje „przejrzałość?" Dlaczego ta przejrzałość ukazuje się zarówno w społeczeństwach, które liczą dzieje swoje na setki lat, jak i w takich, co przeżyły ich tysiące, zarówno w Grecyi i Rzymie starożytnym, jak i w Europie dzisiejszej,

która jednak o niejeden dziesiątek wieków posunęła dalej zdobycze kulturalne starożytności?

Używając wyrażenia „przejrzała kultura", mimowoli bez zastanowienia się przenosimy do dziejów zapożyczone od owocu analogie. Wyrażenie to nasuwa przypuszczenie, jakoby tylko do pewnego stopnia posunięta cywilizacya była dobrą; dalszy rozwój czyni ją niezdatną, jak przejrzały owoc. Czyżbyśmy hołdowali poglądom Vica i Machiavellego, każącym dziejom obracać się w kółko? Czybyśmy śladem ich w życiu każdego narodu mieli dostrzegać wiek młodzieńczy, dojrzały i zgrzybiałość, prowadzącą do śmierci dziejowej i narodzin nowych społeczeństw? Ale przeciwnie, pojęcie postępu zdaje się z taką wyłącznością zawładnęło umysłami nowoczesnemi, że służy za jedyną miarę wartości wypadków dziejowych: im prędzej wypadki te posuwają naród po drodze postępu, tem wyżej je oceniamy. Postęp—to ustawiczny bieg naprzód, bieg ku niedościgłemu celowi, a zatem nieskończony. Jeśli wierzymy w postęp, jak możemy mówić o cywilizacyi „przejrzałej?" Jeśli każdy krok na drodze rozwoju posuwa nas dalej w kierunku owych niedościgłych celów, ideałów ludzkości, dlaczego potępiamy część drogi, która przekracza dowolnie przez nas oznaczony stopień dojrzałości? Jedno z dwojga: albo postęp jest złudzeniem, albo społeczeństwa takie zboczyły z jego drogi.

Dalej, mówiąc o cywilizacyi „przejrzałej", uważamy za rzecz zdecydowaną, iż ów stan przejrzałości jest naturalnym wynikiem biegu czasu, tak jak starość—następstwem dojrzałego wieku: nie zadajemy więc sobie pracy szukania innych przyczyn i uważamy chorobę za nieuleczalną. Przenosimy poprostu na życie narodów to, co daje się widzieć w życiu osobnika. Dość jest jednak chwili zastanowienia, ażeby zrozumieć, że porównanie takie nie ma żadnej podstawy. Człowiek pojedyńczy starzeje się dlatego, że niszczy się fizyczny organizm jego; materyalna zaś podstawa społeczeństwa — składające je pokolenia ciągle się odnawiają. Moglibyśmy mówić o wiekach narodów, gdyby każdy składał się z jednego pokolenia. Możemy mówić o młodzieńczych, dopiero rozpoczynających życie dziejowe ludach, w przeciwstawieniu do dojrzałych, które opierają się na większem doświadczeniu przodków i którym służy dorobek dziejowy większej ilości pokoleń; ale niema żadnego powodu, ażeby ludy starzały się, gdyż starość nie polega na ilości wiedzy ani przeżytego doświadczenia, lecz na zgrzybiałości fizycznej organizmu, którym społeczeństwo nie jest.

Jakiż więc sens mają te wyrazy „przejrzałości", „przerafinowania", „dekadencyi", ukrywające myśl, że cywilizacya, jak słońce, doszedłszy zenitu, pochylać się zaczyna?

Dzieje tylu narodów zdają się jednak uprawniać te wyrażenia. W samym wykładzie czy to historyi sztuki i literatury, czy to życia politycznego lub społecznego, często spotykamy się z charakterystyką, jak: okres wzrostu, okres rozkwitu, okres upadku. Czy mogły-by się utrzymać te podziały, gdyby im nic w rzeczywistości nie odpowiadało? Wszak i przyczyna zgrzybiałości organizmu fizycznego nie jest dotąd znana fizyologom; mimo to jednak, starość i śmierć zostają faktami niezachwianemi, urągając zasadniczemu prawidłu, tkwiącemu u podstawy metody przyrodniczej, według którego czas i miejsce nie mogą być przyczynami w znaczeniu fizycznem. Rzecz tak wygląda, jakby sam czas był przyczyną zniszczenia.

Pomimo usiłowań niektórych nowszych historyków, probujących, w teoryi przynajmniej, wciągnąć w zakres dziejów całe życie narodowe, zostają one i zostaną zawsze tylko historyą tych kół i jednostek, które je stwarzają. Tylko wypadki, które osobliwością swoją wybijają się po-nad szare tło zwyczajności, tylko jednostki, które wnoszą coś swego, osobistego, i tem się wyróżniają od masy narodu, stają się przedmiotem historyi; z warstw więc społecznych — te, które biorą czynny udział w życiu politycznem narodu; z jednostek — te, które szczęśliwe warunki, nadzwyczajne uzdolnienia lub wyższość umysłowa postawiły w wyjątkowem położeniu.

Staje się to przyczyną, że ktokolwiek spogląda na przeszłość ze stanowiska dziejów, otrzymuje wrażenie, jakoby istniały tylko te koła i warstwy, którym szczęśliwy los pozwolił stwarzać dzieje, zamiast być ich przedmiotem. Epokami rozkwitu w dziejach nazywamy zwykle chwile, gdy warunki przyjazne powołają do życia umysłowego taką warstwę; jej oświatę uważamy za oświatę całego narodu; zbytkowne jej życie—za objaw bogactwa narodowego; jej wady, poniżenie, upadek—za wady, poniżenie i upadek całego narodu, całej cywilizacyi. Zjawisko dziejowe, które nazywamy upadkiem cywilizacyi, odbywa się zwykle tylko w tej warstwie, będącej na widowni dziejowej, a fakta historyczne wykazują, że tem łatwiej następuje, im warstwa owa w ciaśniejszem zamyka się kole, im jest wyłączniejszą.

Cywilizacye takie muszą mieć w sobie źródła choroby; odkryć je pomoże nam psychologiczna analiza warunków, jakie wytwarza bystry wzrost materyalny pewnej warstwy, a przykłady minionych epok ułatwią zrozumienie źródeł tego nastroju spółczesnego, który swą nazwę zapożyczył od wyrazu „upadek" (décadence).

Praca przymusowa jest dla ogromnej większości ludzi koniecznym warunkiem zdrowia moralnego i fizycznego, a jeśli nie jest prze-

ciążającą, jest zarazem źródłem prawdziwej przyjemności, jaką sprawia czynność, odpowiadająca przeznaczeniu organów, przyjemności, której nie może zastąpić bezcelowe wprawianie ich w ruch, jak nie zastępuje np. gimnastyka pracy w polu lub ogrodzie.

Jeżeli, wskutek warunków historycznych i społecznych, pewna warstwa narodu zostanie uwolniona od konieczności pracy na życie, jak to było np. w Atenach po wojnach Perskich, gdy urosła znacznie ilość niewolników, nie wszyscy potrafią skorzystać z tych warunków dla wzniesienia się umysłowego i moralnego. Kto ma talent i rzeczywistą miłość prawdy lub piękna, może teraz, nieobarczony troską o chleb powszedni, oddawać się zupełnie ukochanemu zajęciu; zostaje mędrcem, artystą, poetą, bo pracował szczerze nad dziełem swojem, tak jak pracuje nad swojem rzemieślnik; różnica była tylko w pobudkach. Aby jednak oddawać się tak pracy, do której nic nie przymusza—nawet poczucie obowiązku moralnego—potrzebna jest wielka miłość przedmiotu, potrzebny przedewszystkiem umysł syntetyczny, geniusz, który popycha do twórczości nawet wbrew grożącej od niej śmierci — jak to widzimy np. u Mozarta w ostatnich chwilach jego życia,— lub przynajmniej tyle miłości i talentu, żeby znaleźć zadowolenie w dziełach rąk swoich. Z wyjątkiem bowiem nielicznych maniaków zbierania, którzy z równym zapałem, a nieraz z wielkiem zaparciem się siebie, gromadzą wiadomości lub materyalne przedmioty, nie wyłączając guzików od odzienia znakomitych ludzi, — tylko dla potrzeb twórczości może się człowiek niczem nie przymuszony oddawać poważnie pracy umysłowej i traktować ją jako pracę. Takie jednostki atoli po wszystkie czasy należą i należały do wyjątków.

Obok bujnego rozkwitu wyjątkowych jednostek, które nosiły na sobie piętno geniuszu—dla nich bowiem warunki rozwoju są niezwykle przyjazne, — szerzy się wśród większości wiedza powierzchowna i skłonność do traktowania jej jako rozrywki.

Ogromna większość tego uprzywilejowanego ogółu może jeszcze zachować przez tradycyę dawne pracowite nawyknienia i dawne obyczaje. Ale znajdzie się garstka ruchliwsza, garstka inicyatorów — natur stanowiących wogóle „postępowy" typ — t. j. ludzi szybko oryentujących się w nowych warunkach i łatwo się do nich przystosowujących. Tacy — a będą oni stanowili już pokaźną liczbę w najbliższych pokoleniach, wychowanych wśród zmienionych warunków — wkrótce dostrzegą niewłaściwość dawnych zwyczajów, „rutyny" i bardzo rychło wytworzą sobie nową filozofię życia, której podstawą będzie *użycie;* bo czyż nie było-by niedorzecznem wyrzekać się czegoś, skoro jest możność zadośćuczynienia wszelkim pragnieniom? Sofiści starożytni byli

„postępowym" czynnikiem w swoim czasie, jako wrogowie „rutyny" moralnej, i na tem polega ich rehabilitacya przez Grote'a i Buckle'a. Arystyp zaś jest twórcą nowej moralności, odpowiadającej nowym warunkom.

Ale użycie ma swoje granice fizyologiczne i psychologiczne. Bawić się ustawicznie nie może człowiek dorosły i zdrowy; chociażbyśmy tę zabawę urozmaicili, chociażbyśmy jej nadawali pozór zajęcia czy „zaaferowania",—jak to umiała zrobić arystokracya francuska przed rewolucyą, tak barwnie i z takiem zamiłowaniem opisana przez Taine'a, a w której tak gustują dekadenci dzisiejsi — zawsze uczujemy pustkę w duszy, a co za tem idzie, nudę śmiertelną, rozpaczliwą, doprowadzającą do samobójczych myśli, chyba, że sami płytkością dorównamy owym płytkim zajęciom. Nuda musi prowadzić jeśli nie do pessymistycznej filozofii, to przynajmniej do pessymistycznego usposobienia, wynikającego z poczucia bezcelowości życia.

Powierzchowne mędrkowanie prowadzi zwykle do sceptycyzmu: jest to wynikiem owej dziecinnej natury bawiącego się wiecznie człowieka, który, gdy mu wiedza bez trudności nie wyłoży wszystkich tajników świata, powiada, że nic nie warta, że w nią „nie wierzy." Sceptycyzm to nie niszcząca, druzgocąca wszystko, ale i oczyszczająca atmosferę duchową burza, która często tak jest pożądana w dziejach myśli; to drobne kołysanie, nieznaczne, jak kołysanie się fal na płytkiej wodzie, które jednak rozchwiewa i rozluźnia wszystko. To czynnik ujemny w dziejach.

Skoro wiedza staje się środkiem zabicia czasu, ostateczny cel jej i wyniki usuwają się na drugi plan; mniejsza o to, do czego się przyjdzie, byle iść przyjemną drogą, byle sama podróż bawiła. Stąd zamiłowanie w dyalektyce, sofisteryi, „rozumowaniu dla rozumowania", w wygładzonej formie, która bierze stanowczą przewagę nad ideą w poezyi i w prozie, w wiedzy i sztuce.

Wreszcie nuda popycha ruchliwsze natury do szukania gdziekolwiekbądź rozrywki i rozkoszy, a bogactwo i wytworzone przez sceptycyzm i dyletantyzm rozluźnienie pojęć moralnych, czynią ją wielce przystępną. Dlatego też spotykamy u wszystkich poetów i pisarzy z epok raptownego rozkwitu cywilizacyi skargi na upadek dawnych surowych obyczajów i moralności, na zniewieściałość i pochop do rozkoszy zmysłowych. Dość jest tu przypomnieć „Satyra" Kochanowskiego, lub skargi Danta na współczesnych i pełne melancholii wspominanie owego czasu, gdy „nie widziało się pałaców tak wielkich, że się zawsze puste wydają, ani Baltazarów, gotowych zawsze pokazy-

wać, co się w tak wielkich salach ucztować może"; kiedy „majątki były mierne, skromne posagi dziewcząt, a stroje kobiet proste. Naczelnik wielkiego domu poprzestawał na skórzanem odzieniu, ale też kobieta płocha, mąż podstępny, a w zyskach swych nierzetelny, były tak rzadkiem w owym czasie zjawiskiem, jak dziś była-by Cornelia albo Cincinnatus." Jako komentarz do tych skarg przytacza autor „Wieczorów Florenckich" następujący ustęp ze współczesnego Dantemu historyka Villaniego: „Florencya posiadała wtedy ośmdziesiąt banków, w których wszystkie państwa europejskie zaciągały pożyczki; wyrób sukna sam jeden zatrudniał tam dwieście fabryk i trzydzieści tysięcy robotników, a roczny dochód Rzeczypospolitej wynosił 300,000 czerwonych złotych..." I od takich-to kupców książąt, dodaje Klaczko, chciał Dante, żeby wrócili do dawnych obyczajów, żeby nosili skórzane odzienie, jak niegdyś naczelnicy starych domów Bertich, de Nerlich albo de Vecchio!..." [1].

Wreszcie przesycenie wszystkiem, co zdrowe, każe szukać rozkoszy, chociażby w złem, chociażby we wstrętnem — byle nowem, a rozchwiana przez sceptycyzm moralność nie staje temu na przeszkodzie. Jednocześnie zatraca się przewodnictwo zdrowego poczucia estetycznego w gonitwie za nowością i pieszczotliwością stylów, wytworzonych przez pustkę duchową upadającej sztuki, a nawyknienia sofistyczne i skłonność do dyalektyki służą za środek do usprawiedliwienia siebie.

Dodajmy do tego, że owo *ja*, które chce ciągle się bawić, pragnąc zrobić z życia wieczny odświętny salon, staje się bogiem dla siebie samego i wszystko dla niego się poświęca; kocha i widzi tylko siebie i z całego świata robi swoją zabawkę. Cyniczne samolubstwo jest zwykle wynikiem próżniactwa i nudy.

Z łatwością poznajemy w wysnutych tu drogą rozumowania właściwościach „cywilizacyi przejrzałych" rysy charakterystyczne dzisiejszego usposobienia pewnej części klas inteligentnych. Łączą one sofisteryę, zamiłowania dyalektyczne i charakterystyczną filozofię rozkoszy epoki Peryklesa, z dyletantyzmem, nienaturalnemi wadami i brakiem twórczości oryginalnej rzymskiego cesarstwa, z właściwym temu czasowi pessymizmem i znudzeniem życiem, z panującym wtedy dyletantyzmem i sceptycyzmem, co jeszcze potęgują niektóre cechy zupełnie nowożytne, nieznane społeczeństwom klasycznym.

---

[1] J. Klaczko. „Wieczory Florenckie." Str. 273—274.

Jakiekolwiekbądź są przyczyny nastroju umysłowego pewnej doby dziejowej, jednostki świadome starają się go analizować i uzasadnić; stwarzają prawdziwą lub błędną filozofię tego nastroju; tem bardziej stosuje się to do epoki tak daleko posuniętej analizy i dążności poznania samego siebie, jak nasza.

Stwarza się więc przedewszystkiem nowa nazwa — *dekadentyzm*, następnie rozmaite jego teorye literacko-artystyczne, a wreszcie próby filozofii.

Sprobujmy zebrać w literaturze ogólnej rozproszone rysy dekadentyzmu, a pomogą one nam zrozumieć dziwną, często pełną niekonsekwencyi, filozofię tego prądu; warunki zaś społeczne i dziejowe wytłómaczą nam jej źródła psychologiczne oraz przyczyny powodzenia.

I.

Posłuchajmy najprzód francuskiego analisty i obrońcy dekadentyzmu, należącego do pokolenia i typu ludzi, występujących na pole literackie po 1870—71 r.,— bo od tej chwili datuje się dekadentyzm we Francyi, jak i każdy inny zwrot myśli, zainaugurowany przez wypadki polityczne. Rok 1848-my, w którym upadły wielkie nadzieje i marzenia polityki romatycznej, był hasłem odnowienia materyalizmu i realizmu. Po rozbiciu Francyi, przewadze wojskowej Prus i upadku komuny, zapanowała ta zgniła atmosfera, którą mieszczaństwo francuskie usiłuje daremnie zwalić na karb rządów drugiego cesarstwa.

„Przez słowo *dekadentyzm*,—pisze Paweł Bourget [1]),—rozumiemy stan społeczeństwa, w którym wytwarza się zbyt wielka ilość jednostek, niezdolnych do prac wspólnego życia.“ Porównywając społeczeństwo do organizmu, widzi on dalej przyczynę jego upadku w zbyt wielkiej samodzielności pojedyńczych komórek, t. j. jednostek. „To samo prawo rządzi rozwojem innego organizmu, którym jest język. Stylem upadku jest ten, w którym jedność książki rozkłada się, ażeby dać miejsce niezależności stronic, stronica rozprasza się na zdania niezależne, a zdanie znika dla wyrazu.“ (Str. 25).

Dekadentyzm więc nie jest doktryną, to fakt psychologii społecznej, a oto niektóre z rysów tego usposobienia, podane przez wyżej cytowanego autora: uczone znawstwo roskoszy („l'entente savante du plaisir“), wyrafinowany sceptycyzm, zniewieściałość uczuć, niestałość

[1]) „Essai de psychologie contemporaine“ 4-me ed. 1886. Str. 24.

dyletantyzmu“ (str. 27). Literatura dekadentyzmu, to literatura jednodniowa; nie dba ona ani o potomność, ani nawet o powodzenie wśród ogółu swego czasu; przeciwnie, rada zamyka się w ciasnem kółku, wymyśla swoją gwarę, niezrozumiałą dla ogółu, a zdaje się jej, że ta niezrozumiałość jest znamieniem wyższości, tak jak nieraz dzieci czują zadowolenie, gdy w zabawie przekręcą tak wyrazy, że starsi ich nie rozumieją. Wogóle dekadentyzm czuje potrzebę ciągłego wmawiania w siebie swojej wyższości; lubią jego zwolennicy posługiwać się, mówiąc o swoich wadach, takiemi epitetami, jak: „wyrafinowany“, „subtelny“, „delikatny“, „uczony“, jak gdyby chcąc zaznaczyć, że ich próżniactwo, samolubstwo, nieuctwo i płytkość są jakiemiś grzechami wyższego typu, prześcigającemi „poziome i brutalne“ cnoty ogółu.

„Przychodzi doba w dziejach społeczeństw, kiedy owa płodna lecz zamało *subtelna* karność (barbarzyńców) wytworzy kapitał zdolności, z którego korzysta jednostka ucywilizowana, nie zapytując, skąd się wziął, tak jak syn bogatego domu, który już nie powiększa dostatku. *Wykwintne* poczucie dzisiejszej rozkoszy staje wtedy na miejscu głębszego zmysłu siły na jutro. *Wyższe* towarzystwo współczesne, — nazywam tak to, które się rekrutuje z najbardziej *wyrafinowanych* przedstawicieli *wykwintnej* cywilizacyi, — doszło do tej chwili, może występnej, w każdym razie rozkosznej, w której dyletantyzm zastępuje czyn“ [1]).

Dekadent chce „wyssać życie“ jak pszczoła kwiat, nie rozumiejąc tego, że życie traci swój smak, skoro tylko rzucamy się na nie, jak dzieci na pudełko łakoci. Ale najbardziej charakterystycznym rysem tego usposobienia jest fanfaronada złem, którą Paulhan [2]) nazywa „subtelnem i wyrafinowanem uczuciem zamiłowania do złego.“

Dekadenci mają coś w swojem duchowem oku, co działa jak soczewki odwracające w lunetach; wszystkie wartości wydają się im odwrotnie: gotowi są zachwycać się szczytową brzydotą, jakby niezwykłą pięknością, podnosić cechy upadku jako objaw wyższości i t. d. Stosuje się to zwłaszcza do oceny moralnej przedmiotów; poprostu cierpią na pewien rodzaj daltonizmu moralnego.

Każdy człowiek ma w swojej naturze coś z dzikich instynktów zwierzęcia niezupełnie poskromionego przez cywilizacyę; ale normalna jednostka dąży do ostatecznego starcia tego „śladu zwierzęcości“, jak go nazywa Szyller; instynkta te drzemią gdzieś w tajemniczych głębiach

---

[1]) Podkreślamy w tym ustępie z książki Bourget'a (str. 307) epitety charakterystyczne dla dekadentyzmu.

[2]) „Le nouveau mysticisme.“ Paris, 1891.

naszego ducha, a jeśli, wynurzając się z nich, rozbudzą uczucia chorobliwe i dzikie, staramy się je stłumić, jak możemy, zasłaniamy się od nich, kryjemy je przed innymi. Dekadent wyciąga je na jaw, popisuje się niemi, szuka w nich źródła oryginalności, którą usiłuje zastąpić brak geniuszu twórczego.

Zola—to jeszcze nie dekadent; to poprostu zdrowy cynik, nie wstydzący się zwierzęcia w człowieku, nie rozumiejący, dlaczego miałby się go wstydzić. Bohaterowie jego — to przeważnie tępe moralnie jednostki, a najczęściej i płytkie umysłowo; nie mają one żadnych cugli na powściągnięcie brutalnych instynktów; po-za tem jednak są zupełnie zdrowe — może trochę zwierzęcem zdrowiem idyotów — lub jeśli chore, to przedstawione jako takie, z całą okazałością objawów chorobliwych. Po-za tem powieść Zoli stara się zająć tem, czem i każda inna: intrygą, niespodziewanemi wypadkami, strasznemi scenami, kolorytem miejscowym lub obyczajowym, a jeżeli wogóle mówiąc jest nudną, o ile nie zajmuje w niej samo tło wypadków, to nie tyle z powodu pozbawionych sensu i poezyi sążnistych opisów, nie tyle dla fałszywych zasad estetycznych, ile przedewszystkiem z przyczyny zupełnej niezdolności obudzenia w czytelniku jakiegokolwiek zajęcia ku bohaterom, wskutek ich nicości umysłowej i moralnej.

Zupełnie co innego spotykamy u Baudelaire'a [1]). Tu już mamy poezyę domu waryatów, zrozumiałą tylko dla obłąkanych. To jakieś brzęczenie słów, jakieś wyrazy, o których sam teoretyk i obrońca dekadentyzmu mówi, „że robią styl niezrozumiałym dla przyszłych pokoleń.“ A co do treści — jeżeli jest jaka — to same majaczenia gorączki, z których wszelki zdrowy żywioł został wyrzucony precz, jako nie dość subtelny dla tych wyrafinowanych nerwów.

Dekadentyzm nie jest doktryną, jeszcze mniej nazwać go można systematem. Ale jako usposobienie psychiczne wiąże się on tak z pewnemi pogiądami na świat, jak i z pewnemi uczuciowemi nastrojami, estetycznemi i moralnemi. Łatwo też wykazać filiacye dzisiejszego dekadentyzmu.

Nektórzy (do tych należy i Bourget) wywodzą go od romantyzmu. Taka filiacya grzeszy nieuznaniem Heglowskiego prawa rozwoju ze sprzeczności. Że dekadentyzm nastąpił historycznie po romantyźmie, było to wynikiem całego szeregu wypadków przeważnie politycznych (wzniesienie się i upadek Napoleona), które przeszkodziły filozofii XVIII wieku dojść do jej ostatecznych konsekwencyi, prze-

[1]) Do tej poezyi deprawacyi zmysłowej i kaziroôczej wyobraźni należy obecnie gromadka ludzi, piszących prozą, jak Catulle Mendès, Sylvestre i inni, których czytanie jest niemożliwe dla człowieka ze zdrową głową i zdrowem sercem.

rzucając umysłowość Europy na przeciwny jej biegun romantyzmu. Gdy zaś po rewolucyi 1848 r. upada romantyzm a odświeża się materyalizm i sensualizm przeszłego stulecia, snując dalej w życiu praktycznem konsekwencye swoje, filozofia wytwarza dekadentyzm—bo, jako pogląd na świat, dekadentyzm jest w prostej linii dziedzicem sensualizmu i ideologii końca przeszłego stulecia—lecz oddziaływa już społem z romantycznemi wpływami, oraz z burzą namiętności, rozbudzonej w społeczeństwach europejskich wcieleniem w czyn przez Napoleona myśli, którą chętnie wygłaszał, mówiąc, że każdy żołnierz nosi w tornistrze laskę marszałka. Myśl ta jest albo oczywistym fałszem—jeśli weźmiemy ją pod uwagę z punktu widzenia ogólnego—bo oczywiście, że z miliona żołnierzy tylko *jeden* może zostać marszałkiem lub cesarzem, jak on, albo jest zaprzeczeniem wszelkiej zasady uspołecznienia, wygłoszeniem hasła: co dla mnie dobre, złe dla innych; filozofią wyjątków. Istotnie orzeczenie to możemy tak parafrazować: pracuj łokciami i pięściami, aby przecisnąć się naprzód, a mniejsza o to, ilu zgnieciesz i zdepcesz po drodze! Jest tu zawarta cała filozofia dorobkiewiczowstwa, czyli, jak dziś chętnie się wyrażają — arystokracyi ducha, w rzeczywistości arystokracyi powodzenia, dla której teorya Darwina dała tylko formułę w haśle „zwycięstwo lepiej przystosowanemu", co wcale nie znaczy (jak usiłują przedstawić arystokraci-dorobkiewicze) — zdolniejszemu, a jeszcze mniej lepszemu, bo któż zaprzeczy, że glista, żyjąca w kiszkach człowieka, jest lepiej przystosowaną do warunków życia i mnożenia się bezgranicznego, niż szlachetny król pustyni, który niedługo już będzie należał do paleontologii?

Najlepszym dowodem związku dekadentyzmu z sensualizmem i ideą Napoleonowską jest fakt, że oba te czynniki złożyły się na wydanie dekadenta na pół stulecia przed naszym czasem. Jest nim Stendhal (Henryk Beyle), tak zbliżony swemi upodobaniami, poglądami i sposobem pisania do dzisiejszego pokolenia dekadentów, że Bourget nie zawahał się wciągnąć go w zakres studyów nad psychologią współczesną. Wyprzedził on swój wiek. Kiedy cała literatura, zgodnie z prawem Hegla, przechodząc z „twierdzenia" do „przeczenia", odbywała wahanie od materyalizmu i sensualizmu ku idealizmowi i romantyzmowi; kiedy Francya po filozofii szkoły szkockiej i Jouffroy poszła za Cousin'em i Heglem, Stendhal szedł sobie po prostej linii od sensualizmu.

W dziejach literatury i myśli dają się widzieć niekiedy takie oderwane od swego wieku postacie. Są to jakby mamuty na wywrót: nie skamieniałości minionej epoki, ale skrystalizowane, zastygłe poprzedniki przyszłości, nad którymi ich czas przechodzi, nie zostawiając na nich żadnego śladu; umysły konsekwentne, ale nie twórcze,

najczęściej jednostronne, nie poddające się falom uczuciowym wielobarwnego życia, unoszącym masę w przeciwległą krańcowość, lecz snujące do końca konsekwencye tego prądu, którego się uczepili, lub nauki mistrzów swoich, nadając im zabarwienie osobiste. Później, gdy według prawa rozwoju ze sprzeczności, przerzucającego myśl ludzką z jednej przeciwności w drugą, przyjdzie kolej na ich kierunek, zapomnianych lub nieuznanych przez współczesnych wygrzebuje następne pokolenie z kurzu przeszłości i robi z nich swoich geniuszów, wytykając palcem ciemnotę tych, którzy nie potrafili ich w swoim czasie ocenić... Przemija ta fala i unosi wraz z nowem pokoleniem tych wskrzeszonych przez nie bożków — tym razem już na zawsze — w otchłań niepamięci. Tak było z Schopenhauerem w filozofii, z Balzakiem i Stendhalem w powieści.

Jest to właśnie społecznie-psychologiczna podstawa t. zw. prawa rozwoju ze sprzeczności, a która zupełnie naturalnie je tłómaczy; kiedy jakiś prąd zdaje się panować wszechwładnie nad myślą danego pokolenia, w ciszy, w pojedyńczych jego umysłach kiełkują zawiązki wprost przeciwnego; w duchach wrażliwszych i wielostronnych występuje reakcya przeciwko wyłączności wszechwładnego kierunku, a oburzenie na jego ciasnotę każe im przeciągać łuk w przeciwną stronę. Pokolenie, które kształci się na ich pismach, znużone despotyzmem poprzedniego prądu, również chętnie śladem ich przerzuca się w krańcowość, ale zdrowe pierwiastki owego dziś opuszczanego kierunku myśli ojców lub starszych braci wplatają się prawie bezwiednie do nowego, zmniejszając jego jednostronność i krańcowość, a tak, odbywając coraz mniejsze wahania, myśl ludzka zbliża się do „syntezy“, do harmonijnego skojarzenia sprzeczności.

W Stendhalu niema chorobliwego zepsucia i rozpieszczenia dzisiejszych dekadentów. Tęgi organizm, odważny żołnierz napoleoński, który szukał rzeczywistych, silnych wrażeń i doświadczał ich, który nie w buduarach i nie na maskaradach, ale pod kulami w Bautzen, w odwrocie z Moskwy ćwiczył nerwy swoje, a smakował w niebezpieczeństwie, pisząc o niem: „Rozkosz polega na lekkiem wzruszeniu, wytworzonem pewnością, że dzieje się coś, o czem wiemy, że jest okropne“ — taki człowiek nie mógł i nie potrzebował szukać deprawacyi zmysłowej, jak Baudelaire. Jego epikureizm uszlachetniają przebyte przezeń niebezpieczeństwa; na jego próżniaczą gonitwę za rozkoszą spada nieco blasku chwały nieśmiertelnych pochodów. Z tem wszystkiem spotykamy w nim już zasadnicze rysy dzisiejszego dekadentyzmu.

Stendhal jest przedewszystkiem apostołem i apologetą parweniuszostwa, tej pierwszej z cnót mieszczańskich, której militarnem wcieleniem i kolosalnym przykładem był Napoleon. „Co go zajmuje w czło-

wieku, to sposób, w jaki poluje na szczęście“ powiada o nim Bourget: „Juliana (bohatera głównej jego powieści „Rouge et noir“) pożera zimna namiętność zostania „czemś“ (de parvenir), której nie ukrywa przed sobą.“ „Niema *prawa przyrodzonego*... *Prawo* jest tylko tam, gdzie jest ustawa, zabraniająca czegoś pod grozą śmierci. Przed prawem istniała tylko siła *przyrodzona* lwa, lub potrzeba bytu, która czuje głód i zimno“—tak rozumuje ów bohater parweniuszostwa, gdy dostaje się za zbrodnie swoje w ręce sprawiedliwości. A doświadczenie uczy go, że jeszcze lepiej niż siła lwa popłaca w życiu przebiegłość lisa; że „wszelkie przywileje społeczne należą do tego, kto potrafi je zdobyć. A jakie skrupuły zdołają go wstrzymać w tej gonitwie? Moralność? Ale naokół widzi tylko chciwych drapieżników i oszukane ofiary. Współczucie dla bliźnich, to, co chrześciaństwo nazywa wspaniale miłosierdziem? Ależ w młodości bił go ojciec, a bogacz, któremu służy, daje mu uczuć cały ciężar niewolnictwa współczesnego — płacy zarobkowej. Troska o spokój? Lecz jego umysł szalony podobny jest do tych potężnych maszyn, które potrzebują pewnej ilości węgla codziennie. Głodny jest i spragniony wrażeń, chociażby okrutnych, chociażby występnych. Wszystko dąży ku temu, ażeby zrobić z niego drapieżne zwierzę, polujące bronią cywilizacyi, t. j. używające podstępów zamiast walki, maskujące siłę, ażeby lepiej panować. Zostaje obłudnikiem, jak Tartuffe, gdy nie może być panem, jak Bonaparte.“

Czyż nie mamy całej filozofii walki o byt w charakterystyce moralnej tego Juliana, podanej przez współczesnego krytyka? I jakaż może być mowa o moralności u Stendhala? Jako wierny uczeń szkoły sensualistycznej, doprowadzający do końca jej wnioski, za pierwszą zasadę moralności uważa jej względność, tak jak Boga usprawiedliwia tylko tem, że go niema. W liście do jednej z przyjaciółek pisze wkrótce po wydaniu tej powieści: „Tydzień temu otrzymałem list podobny do listu Pani, — jeszcze gorszy; ponieważ bowiem Julian (z powieści) jest nicponiem, a jest to mój portret, więc kłócą się ze mną. Za czasów cesarza Julian był-by uczciwym człowiekiem. — Ja żyłem za czasów cesarza. Więc... Zresztą co to mnie obchodzi?...“ Spotykamy u niego i współczesną fanfaronadę niemoralności. W „Chartreuse de Parme“ znajduje się zdanie o jednej z osób: „Może ma dosyć rozumu, ażeby gardzić swoim ojcem?“ a motyw ten powtarza się niejednokrotnie i w innych pismach.

Najbardziej jednak charakterystyczną cechą współczesnego dekadentyzmu jest poczucie kastowości, połączone z kosmopolityzmem narodowym, to, co apostołowie mieszczaństwa dziś lubią nazywać „arystokracyą ducha“, a czemu Renan usiłował nadać postać utopii politycznej w swoim Kalibanie, przez co jeszcze bardziej uwydatnił wstrętne

jej rysy. Wszystko to u Stendhala znajdujemy w zupełnie wykończonej formie: „Modą było wszędzie mnie dobrze przyjmować, pisze on, doświadczyłem więc przyjemnych rzeczy od wielu krajów. Mam sześć lub siedm ojczyzn: Cesarstwo, Francya, Flandrya, Austrya, Polska, Rossya i prawie Węgry...“ Czyż może być naiwniejsze wyznanie maksymy: *ubi bene, ibi patria*, jak w tem wnioskowaniu od przyjemności do ojczyzny? Mówiąc o swojem kółku, wyraża się dalej w ten sposób: „Dalecy jesteśmy od wyjątkowego patryotyzmu Anglików. Świat dzieli się w naszych oczach na dwie połowy, wprawdzie bardzo nierówne: łotrów i głupców z jednej strony, z drugiej istot uprzywilejowanych, którym przypadek dał duszę szlachetną i trochę rozumu. Czujemy się współrodakami tych ostatnich (naturalnie!), gdziekolwiek się urodzą: w Villetri czy w Saint-Omerze.“ Dodajmy, że nic łatwiejszego nad przejście od owych łotrów i głupców do łachmaniarzy wogóle.

Jakiż straszny cień pessymizmu musiał rzucać na umysł taki pogląd życiowy! Może być, że ta filozofia jest prawdziwą, pisze sam Stendhal, komentując ostatnie rozmyślania swego bohatera, lecz należy ona do tych, które każą pragnąć śmierci. Dekadenci współcześni rozumują inaczej.

II.

Istnieje jedna osobliwość, która wyróżnia dekadentyzm doby dzisiejszej od wszystkich innych epok upadku, która nadaje mu rysy bardziej krzyczące, czyni niezadowolenie boleśniejszem, pessymizm więcej ponurym. Jest nią wielkie przeciwieństwo pomiędzy ideałem moralnym naszej epoki a rzeczywistością. Nigdy wymagania moralne starożytności nie podnosiły się do takiego poziomu, na jaki je podniosło chrześciaństwo, nigdy nie posiadały tego uniwersalizmu i nie obejmowały w takim stopniu całej ludzkości, jak religia, która w każdym człowieku każe widzieć brata. Epokom prędkiego rozkwitu umysłowości towarzyszą wprawdzie zawsze głębokie przewroty w pojęciach moralnych, nowe teorye i zaburzenia społeczne. Ta sama oświata, która rozchwiewa dawne tradycyjne opory moralności i obyczajów, jednocześnie, rozszerzając widnokręgi, zaciera w myśli granice, dzielące rozmaite warstwy i klasy społeczne, a nawet i narody. Wykształcony Grek z epoki Peryklesa z trudnością chyba już mógł wierzyć, żeby niewolnik z natury był przeznaczony do swego losu; władze uogólniające umysłu pobudzały go mimowoli do rozszerzenia na całą ludzkość tych zasad moralnych, które początkowo miały zastosowanie tylko do nielicznej garstki obywateli swego miasta. Tem bardziej

stosuje się to do Rzymianina z czasów cesarstwa, który tak wielu rzeczy uczył się od swoich niewolników Greków. Z drugiej strony, egoistyczna myśl o tem, że te wszystkie przywileje bogactwa i władzy, że rozkosz ducha i ciała zawdzięcza swemu położeniu właściciela niewolników, kazały mu uporczywie twierdzić wślad za Arystotelesem, że ludzie są ulepieni z rozmaitej gliny. To rozdwojenie wewnętrzne stanowi właśnie pierwszy, jeszcze nieświadomy siebie, zawiązek choroby, którą nazywamy dekadentyzmem.

Ale gdy wysoki ideał moralny dojrzewa wśród inteligencyi danego społeczeństwa, a warunki rzeczywistości nic się nie przybliżają do jego wymagań, poczucie to niezadowolenia przybiera ostre formy, pobudzając jednych do prób usprawiedliwienia tego stanu rzeczy, drugich—do szukania dróg poprawy. Są to epoki wszelkich sofistów, którzy za pieniądze i na zawołanie gotowi są robić czarne białem i białe czarnem, ale zarazem i epoki apostołów nowej moralności, reformatorów społecznych. W tych-to chwilach piją Sokratesy swoją cykutę, w takiej umierają na stosach męczennicy nowej wiary lub wyższych wymagań moralnych, jak Savanarola; w takie powstają zawiązki nowych doktryn społecznych. W takich warunkach było cesarstwo rzymskie, gdy rozlało się po niem chrześciaństwo. Sokrates, uciekający od złotej młodzieży, tak hojnie opłacającej sofistom sztukę dowodzenia wszystkiego, co się spodoba, udający się do rzemieślników, uczący na rynku, a za probierz prawdy uważający „zgodę wszystkich“ (consensus omnium) jest prawdziwie obcy (*atlıopos*) swemu społeczeństwu; jest on zwiastunem chrześciaństwa; na równi z niewolnikiem-filozofem Epiktetem, który zgodnie z wygłaszaną przez siebie nauką stoicką-znosi bez narzekania ból złamanej przez rozgniewanego pana nogi, jest zwiastunem owej „moralności niewolniczej“, jak Nitzsche nazywa chrześciaństwo, moralności nienawistnej dla filozofii dekadentyzmu współczesnego.

Lecz dopiero wśród narodów wychowanych pod wpływem religii miłości, w podniesionej przez oświatę i wyzwolenie duchowe Europie współczesnej, z całą siłą występuje rozbrat pomiędzy ideałem moralnym a rzeczywistością. Rozdwojenie daje nam się odczuwać boleśniej niż stoikowi starożytnemu, który „beznamiętnością“ (*ataraxia*) jak tarczą osłaniał się od czułości na swoje i cudze cierpienia. Tymczasem z dołu, z tych zapomnianych suteren społeczeństwa, które są zarazem jego podwalinami — bo przecież musi być jakiś Atlas, dźwigający na barkach te kryształowe pałace inteligencyi — dochodzi coraz wyraźniej szmer niezadowolenia, coraz natarczywsze domagania się udziału w uczcie życia.

Ten groźny choć głuchy i daleki szmer budzi obawę, a podniecona strachem wyobraźnia widzi niebezpieczeństwo, zagrażające całej

cywilizacyi. Strach łączy się z nienawiścią; coraz częściej powtarzają się głosy na temat *Odi profanum vulgus* [1]); ale pomimo całej chęci owych „wybranych“ do zamknięcia się w tem, co St-Beuve nazywa „wieżą ze słoniowej kości“, nie mogą oni już dziś z tym spokojem, jaki zaleca Lukrecyusz, spoglądać na otaczające ich burze, chociażby dlatego, że nie czują się zupełnie bezpiecznymi na swoich kryształowych wyżynach. Szumiące pod oknami bałwany nie dają im spokojnie „smakować życia“; zapominając więc o swojej olimpijskiej pogardzie dla tłumu, taki filozof od czasu do czasu ciska weń kilkotomowym pamfletem, jak „Początki Francyi“ Taine'a, lub broszurą o „Nadchodzącem niewolnictwie“, jak Spencer [2]), który już wcześniej w „Religii miłości“ narzekał, że zmuszeni jesteśmy zewnętrznie hołdować formom tej religii, kiedy rzeczywistą naszą wiarą jest nienawiść i walka; lub jak Renan, prześcigający wszystkich w swoich marzeniach o strasznych machinach zniszczenia, które, będąc tak urządzone, że posługiwanie się niemi możliwe było-by tylko dla ludzi wielkiej nauki, oddały-by cały świat sterroryzowany na łaskę lub niełaskę oligarchii uczonych. „Siły ludzkości były-by wtedy skupione w niewielkiej ilości rąk i stały-by się własnością związku, rozporządzającego nawet istnieniem naszej planety, mogącego terroryzować świat cały. W chwili bowiem, gdy kilku uprzywilejowanych znalazło-by się w posiadaniu możności zniszczenia planety, ich najwyższowładztwo zostało-by zapewnione; uprzywilejowani panowali-by przez bezwzględny strach, gdyż w ręku ich było-by istnienie wszystkich. Rzec można prawie, że byli-by bogami i że wtedy spełniłby się wymarzony przez poetę dla pierwotnej ludzkości stan teologiczny: „Primus in orbe Deos fecit timor...“ [3]).

Dalej mówi ten autor:

„Tyrani pozytywiści, o których mówimy, nie uważali-by za rzecz zdrożną utrzymania gdzieś w straconym kącie Azyi jądra Baszkirów lub Kałmyków, narzędzi posłusznych, wyzutych ze wstrętów moral-

---

[1]) Gardzę ciemnym motłochem.

[2]) Pozwolę sobie przy tej sposobności zaznaczyć całą niewłaściwość zmiany tytułów przy tłómaczeniu książek z obcych języków, co jest zawsze fałszowaniem myśli autora. Dlaczego w polskim przekładzie „Forthcoming slavery“ zamieniło się na „Jednostkę wobec państwa?“

[3]) „Dialogues philosophiques“ str. 113. Autor tych dyalogów, pisanych w r. 1871, uciekł z Paryża do Wersalu, aby zająć się temi „niewinnemi marzeniami“ („chimères inoffensives“ str. XX), kiedy jego współrodacy przelewali krew. Charakterystyczną jest obłudna, pełna wykrętów przedmowa do tej książki, złagodzonej już przed wydaniem, które nastąpiło dopiero w 5 lat później. Znajduje się tam i skarga na niepowodzenie w wyborach 1869 r.

nych a gotowych na wszelkie okrucieństwa" i tuż dodaje: „Pamiętajcie, że przyjmuję hypotezę olbrzymiego postępu świadomości ludzkiej, realizacyi prawdy i sprawiedliwości, jakiej dotąd nie było przykładu" (Dialogues 111). Więc to dla wykonania owej bezprzykładnej sprawiedliwości potrzebna będzie hodowla dzikich Baszkirów!

Co to? Czy majaczenia obłąkanego? Czy piorunowa satyra w stylu Swifta? Nie, to są rzeczywiste pragnienia mędrca XIX wieku. Wszak ten sam autor powiedział przez usta Prospera w „Kalibanie", „że praca materyalna jest niewolnicą intelektualnej. Wszystko powinno służyć temu, kto modli się, t. j. myśli. *Demokraci, którzy nie uznają poddania się jednostek wspólnemu dziełu, znajdują to potwornem...*" Podkreślamy ostatnie wyrazy, wyróżniające Renana od właściwych dekadentów, którzy robią demokracyi zarzut wprost przeciwny, bo też ani Renan, ani Taine, ani Strauss z swoją „Starą i nową wiarą", ani Schopenhauer z pessymizmem w Niemczech, ani Spencer ze swoją mieszczańską filozofią w Anglii, nie należą jeszcze do typowych dekadentów, choć są ojcami intelektualnymi dekadentyzmu, jako odnowiciele ujemnych doktryn przeszłego stulecia. Dopiero w drugiej połowie życia przyłączyli się oni do swoich duchowych dzieci, ale nie wszyscy zdołali przejąć się ich poglądami, a co najważniejsza, nie mieli tego temperamentu, tego składu uczuciowego, który wytwarza się dopiero w pokoleniu wychowanem pod wpływem nowych zasad. W niedawno wydanej, ale pisanej w 1848 r., książce Renana [1]) spotykamy głęboką wiarę i uwielbienie wiedzy, połączone z pewnym rodzajem estetycznej moralności [2]) i z szlachetną dążnością do rozpowszechnienia wiedzy na masy [3]); z najwyższem uznaniem dla postępu ludzkości, któremu wszystko go-

---

[1]) „L'avenir de la science" 1890. „Przyjdzie dzień, powiada jej autor, kiedy ludzkość nie będzie więcej *wierzyła* lecz będzie *wiedziała* o świecie metafizycznym i moralnym, jak dziś wie o świecie fizycznym" (str. 91).

[2]) „Wobec uczynku zapytuję raczej, czy jest piękny lub brzydki, nie zaś zły lub dobry, a zdaje mi się, że mam w tem dobry probierz" (str. 177). „Moralność była dotąd zbyt ciasno pojęta, jako posłuszeństwo prawu, jako wewnętrzna walka między sprzecznemi prawami. Co do mnie, gdy postępuję dobrze, nie jestem nikomu posłuszny, nie staczam żadnej walki, nie jestem żadnym zwycięzcą; spełniam czynność równie niezależną i samowolną, jak czyn artysty, wydobywającego piękność z głębi swego ducha, ażeby ją urzeczywistnić na zewnątrz... Człowiek cnotliwy jest artystą, który urzeczywistnia piękno w życiu ludzkiem, jak rzeźbiarz wciela je w marmur, jak muzyk w dźwięki" (str. 354).

[3]) „Prawem jest postęp ludzkości i niema prawa przeciwko temu postępowi, lecz odwrotnie, postęp wszystko uprawnia" (str. 381).

tów poświęcić [1]). Dla niego samego i dla jego współczesnych, „umysłów młodych i czynnych", rewolucya 1848 r. była „jakby spadkiem zasłony z chmur, które okrywały widnokrąg" [2]). Ale nie radosny był ów widnokrąg, choć w pełni wiary żeglowało ku niemu młode pokolenie pod sztandarami wiedzy. Wkrótce przekonało się, że „ideał i rzeczywistość nie mają z sobą nic do czynienia; że świat, aż do nowego rozkazu, skazany jest bezpowrotnie na płytkość i mierność, że sprawa, która podoba się duszom dobrze urodzonym, zawsze zostanie zwyciężoną. Wypadki, które zaszły po rewolucyi 1848 roku, wzmocniły to przekonanie. Okazało się, że najpiękniejsze sny, przeniesione w dziedzinę faktów, stawały się zgubnemi, i że sprawy ludzkie dopiero wtedy zaczną się mieć lepiej, gdy ideologowie przestaną się niemi zajmować" (str. 122). Widzimy tu już kiełkujący pessymizm i kwietyzm Schopenhauera, oraz ową ukochaną przez indywidualizm na polu społeczno-ekonomicznem teoryę „nie wtrącania się" („laisser aller"), którą później Nitzsche przeniesie w zakres moralności. A dalej spotykamy znowuż pozornie sprzeczne, w gruncie rzeczy ze wspólnego źródła płynące, korzenie się przed rozumem „wszystkich" [3]) połączone z arystokratyzmem duchowym najświeższej daty: „Publiczność ma więcej rozumu, niż ktokolwiekbądź. „Wszyscy" zawierają w swej liczbie wielu głupców; lecz wśród nich znajduje się te kilka tysięcy ludzi rozumnych, dla których jedynie świat istnieje" (str. 367). Więc świat istnieje dla tych kilku tysięcy, które oczywiście czytają pisma Renana, dla tych istot uprzywilejowanych, z któremi się poczuwał Stendhal do współrodactwa, „gdziekolwiek się urodzą, w Velletri czy w St-Omerze!" Cóż dziwnego, że gotowi są oddać kulę ziemską do ich rozporządzenia, wysadzić ją w powietrze wraz z motłochem, nie umiejącym ocenić wyższości tych wybranych, ani uczenie smakować życia, skoro tylko tłum okaże się im nieposłusznym?

---

[1]) Porównajmy z tem następujący ustęp w „Dialogues philosophiques": „Należy się obawiać, aby lud, który otrzyma wykształcenie początkowe, nie wzbraniał się pełen głupiej próżności od podtrzymywania kultury, wyższej od swojej, t. j. od dania sobie panów" (str. 103). I ten *enfant terrible* mieszczańskiej filozofii jeszcze się dziwi swemu niepowodzeniu na wyborach?

[2]) „Souvenirs d'enfance et de jeunesse" (str. 336).

[3]) *Tout le monde a plus d'esprit que Voltaire*, mówi francuskie przysłowie bardzo nietrafne, bo Voltaire właśnie ani mniej ani więcej nie miał rozumu nad owe *tout le monde*; był prawdziwem wcieleniem rozumu przeciętnego masy.

III.

Romantyzm był wyrazem dążenia społeczeństw XIX stulecia do jakichś nowych form, był porywem ku wielkim ideałom, poszukiwaniem idei postępowej swego wieku, której znaleźć nie potrafił i zabłąkał się w egzotyźmie, w średniowiecznym mroku, w oderwanem od życia marzycielstwie. Wiek XVIII. był o tyle szczęśliwy, że ujrzał urzeczywistnienie swoich ideałów; nasze stulecie rozminęło się ze swojemi, a rozczarowanie zostawiło głęboką ranę w duchu pokolenia, które widziało marzenia swoje, wielkie choć nieokreślone, stargane brutalną ręką rzeczywistości. Rozczarowanie to znajduje gotowe już sformułowanie w znacznie wcześniej powstałej filozofii pessymistycznej Schopenhauera; a twierdzenie tego filozofa, że nigdy w życiu nie znajdujemy zadowolenia, występuje jako przewodnia myśl wszystkich powieści Flaubert'a: czy przenosi on nas w daleką przeszłość Kartaginy w Salambô, czy maluje „Pokusy św. Antoniego", czy bierze bohaterów ze swego czasu, jak „Pani Bovary" lub Fryderyk z „Wychowania uczuciowego", wszyscy zdają się mówić słowy jednego z nich: „Dlaczegoż prawem wspólnem istot ludzkich to, że roskosz nigdy nie jest w należytym stosunku do pragnienia? Dlaczego każda dusza płomienna zostaje oszukaną przez złudzenie, które jej wmawia, jakoby miała w sobie dość sił na słodycz ciągłej ekstazy?" Są to prawie te same wyrazy, jakich używa niemiecki twórca pessymizmu [1]).

Ale w pokoleniu, które się wychowało na pismach i ideach tych rozbitków romantyzmu i ideałów pierwszej połowy stulecia, które formowało swoje poglądy i ideały pod wpływem wytworzonej przez nich atmosfery duchowej, wiara w wiedzę przemieniła się na dyletancki sceptycyzm, bo wiedza zawiodła pokładane w niej nadzieje; względność zasad moralnych wydaje jako owoc pokolenie pozbawione woli; niewiarę w ideały zastępuje obojętność na nie. Jeśli pokolenie poromantyczne wlokło po ziemi swoje zranione skrzydła, to następujące po niem już urodziło się bez skrzydeł.

---

[1]) I w „Dialogues philosophiques" Renana znajdujemy tę samą myśl, wypowiedzianą prawie temiż słowy: „Pożądanie jest wielką opatrznościową sprężyną wszelkiej czynności; wszelkie pożądanie jest złudzeniem, lecz wszystko tak urządzone, że nicość pragnień ukazuje się dopiero po ich zadowoleniu... Niema przedmiotu pożądania, któregobyśmy czczości nie uznali, skoro go posiądziemy. Ani razu od początku świata nie było wyjątku pod tym względem" (Certitudes str. 27). Jak pogodzić ten pogląd z optymistycznem określeniem życia, jako „miłego spaceru", o tem kilka słów powiemy w końcu niniejszego artykułu.

Teraz-to wyciągają się na jaw dzieła Schopenhauera, a przystrojony w odzienie, uszyte z różnobarwnych strzępków jego systematu, pajac pessymizmu, Hartmann, wygłasza kult siły; Nordau osłania się pessymizmem, jak strojem salonowym, usiłując nim daremnie ukryć banalność i pospolitość myśli; Strauss wygłasza swoją „Nową wiarę“, a płytki i powierzchowny, jak zawsze, Brandes, piętnuje romantyzm jako reakcyę“, pasując w zamian na wielkiego człowieka... Moltkego! We Francyi występuje pokolenie, które, jak Bourget, nazajutrz po wojnie 1870 r., świeżo porzuciwszy kollegia, słuchało w sali Szkoły Sztuk Pięknych wykładów Taine'a, głoszącego, prawie tak jak Vogt przed kilkunastu laty w Niemczech: „Czy fakta są fizyczne, czy moralne, zawsze mają swoje przyczyny. Ma je ambicya, odwaga i prawdomówność, również jak trawienie, ruch mięśni, cieplik zwierzęcy. Cnota i zbrodnia są produktami, jak kwas siarczany lub cukier...“ pokolenie, które czytało to zdanie, wywieszone jak sztandar, jak program na jednej z powieści Zoli.

Taine był doktrynerem; należał on do liczby tych, „którzy nie ukazują się w świecie, nie grają w wista, nie zażywają tabaki, nie zbierają starożytności—którzy lubią rozumować“ — tak sam maluje siebie w jednym z metafizyków z „Jardin des Plantes“ — ale i do tych, dodajmy, którzy nie chcą wiedzieć, jak to „rozumowanie“ odbije się w umysłach jego współrodaków, jaki wpływ wywrze na życie, na szczęście jego kraju. Nic go nie obchodzi, czy dobre ziarno sieje, czy złe; szuka wprost tego, co mu się wydaje być prawdą. „Odróżniam w sobie dwu ludzi, mówi Taine: człowieka zwyczajnego, który je, pije, załatwia swoje interesa, unika tego, aby nie zaszkodzić, stara się być użytecznym. Zostawiam tego człowieka za drzwiami. Niech ma zdania, postępowanie, kapelusze i rękawiczki, jak publiczność — to obchodzi publiczność. Drugi człowiek, któremu pozwalam na przystępy filozofii, nie wie o tem, że publiczność istnieje. Ażeby z prawdy można było wydobyć jakąś korzyść, nigdy tego nie podejrzewał. — Ależ pan żonaty? — mówi mu Reid. — Ja? Wcale nie. Dobre to dla zwierzęcia zewnętrznego, które wyrzuciłem za drzwi. — Ale, powiada Royer-Collard, pan zrewolucyonizujesz Francuzów. — Nic o tem nie wiem. Czy są Francuzi na świecie?“ — Usuwa on ustawicznie pierwszego człowieka, zmniejsza go, redukuje do zera; gdy idzie o to, żeby zrobić coś dla życia, zapina się sztywnie w akademicki mundur drugiego. Ale gdy życie zbyt głośno zaszumiało pod oknami eleganckiego salonu uczonego, obudził się w nim pierwszy człowiek i wylał gniew swój w „Początkach Francyi współczesnej.“ — Ci jednak młodzi słuchacze spodziewali się po nim słowa prawdy żywej, nie abstrakcyjnej i obojętnej; widzieli w nim, jak i w Renanie, jak w tylu innych, których zaliczano

do skrajnej lewicy myśli, apostoła nowej wiary. A gdy większość odepchnęło ostatnie wielkie dzieło ich mistrza, jak i wogóle wyniki ostateczne tych koryfeuszów wiedzy, którzy, jak pozytywiści u nas, wystąpili pod jej hasłami, przyrzekając zreformować i uszczęśliwić świat; gdy okazało się, że ta wiara w wiedzę była naiwnem złudzeniem, że wiedza pozytywna i czysta, oderwana od życia, jest mu obcą i bezużyteczną, a jej apostołowie, ci, którzy z pracowni i bibliotek chcieli ją wynieść na szerokie targowisko interesów, niedorośli do swego zadania i, zupełnie nie rozumiejąc potrzeb chwili dziejowej, potrafili tylko stworzyć kwietystyczną filozofię życia, dobrą dla garstki smakoszów wiedzy, dla arystokracyi duchowej, istniejącej kosztem realnej pracy innych, na wszelkie zaś domagania się rzeczywistości o rozwiązanie dla palących zagadnień rzucali tłumowi wymyślania od egoistów, nie umiejących zadowolnić się tem, że ich kaplani-mędrcy poznają prawdę dla samej prawdy i tworzą sztukę dla sztuki, od brutalnych barbarzyńców, których życiu zagrozić trzeba piekielnemi machinami, ażeby ich poskromić,—wtedy masa byłych adeptów tych mędrców rozpierzchła się w różnych kierunkach, szukając deski zbawienia wśród chaosu i pustki, które pozostawiło to wielkie rozpryśnienie wydętych z wiedzy baniek mydlanych. Jedni rzucili się do ratowania potarganych strzępów dawnej wiary, inni pogrążyli się w bezmyślności oportunizmu; ale znalazła się garstka ludzi konsekwentniejszych, nie mogących obejść się bez poglądu na świat, a uporczywie obstających przy nauce swych mistrzów. Tacy probowali z jej zasad wysnuć jakąś filozofię życia, a zarazem wyrozumować usposobienie chwili bieżącej.

W taki sposób powstała filozofia dekadentyzmu, której sformułowanie znajdujemy w studyach Bourget'a. Cytowane już wyżej dzieło tego autora uważać możemy za prawdziwą ewangelię dekadentyzmu, ewangelię, która natchnęła już niejednego apostoła tego kierunku. Żywiołowem zaś wcieleniem tego sposobu myślenia, usposobienia i temperamentu jest pisarz niemiecki, Fryderyk Nitzsche.

IV.

Ażeby ze stanu psychologicznego, który nie jest wynikiem żadnej określonej dążności, żadnego jednolitego systematu idei, lecz przeciwnie właśnie skutkiem ich braku i następstwem różnorodnych przyczyn, działających w kierunku rozkładowym, wytworzyć doktrynę, trzeba pod ten stan podłożyć jakąś myśl, która-by była jego formułą teoretyczną, lub przyczepić doń hasła, które-by zostały jego sztanda-

rem w życiu praktycznem. Jedno i drugie usiłowali uczynić ideologowie dekadentyzmu.

Jakże się to dzieje?

Oto najprzód za zasadę metafizyczną bierze się ten rys wiedzy, który ją czyni tak oderwaną od życia, tak mu obcą, tak na nie obojętną — jej przedmiotowość. *Niema wartości w świecie!* Takie jest hasło filozoficzne dekadentyzmu, zapożyczone od poprzedniego pokolenia pozytywistów. Jak kamienne, wiecznie nieruchome i zawsze jednakowe rysy sfinksa, stoi przed nami oblicze wiedzy, obojętne na cnotę i zbrodnię. Niema dla niej dobrego ani złego; służy każdemu, kto *wie*, kto *umie* nią się posługiwać; sama ani zła, ani dobra, staje się jednem lub drugiem, stosownie do rąk, w których się znajduje. Cóż nam poradzi w życiu, które całe polega na ocenach naszych czynności, na wartościach moralnych? Jakąż filozofię prócz bezwzględnego nihilizmu potrafimy wysnuć z tej zasady?

Kto odrzuca wartości, pozbawia się podstaw do filozofii praktycznej. Dekadentyzm zaś, jako wyraz usposobienia i dążności pewnych warstw społecznych, musi kłaść nacisk na zagadnienia praktyczne, a w braku podstaw filozoficznych, szuka ich w dogmatyzacyi faktu wiedzy, mianowicie rozwoju organizmów w myśl hypotezy Darwina, i jako dziecię sensualizmu oraz warstw społecznych, posiadających możność użycia, stara się mu utorować drogę; występuje więc niby to w imię praw jednostki, pragnąc zerwać ostatnie spójnie, wiążące ją z ogółem, t. j. więzy moralne, krępujące swobodę użycia, w rzeczywistości zaś w imię przywileju przeciw równości praw i obowiązków. Jak morfinista szuka ulgi cierpienia, spowodowanego nadużyciem trucizny, w nowych i coraz większych jej dawkach, tak dekadentyzm — stan chorobliwy, powstający w warstwach społecznych, w których przeważnym celem istnienia jest użycie,—szuka dróg rozszerzenia jego zakresu, prowadząc coraz bardziej przyśpieszonym krokiem do ostatecznego upadku tych warstw i stworzonej przez nie kultury.

Posłuchajmy najprzód Bourget'a, który ułatwia nam nawiązanie nici logicznej z pokoleniem doktrynerów, duchowych ojców dekadentyzmu.

„Jeśli obywatele epoki upadku są niżsi jako twórcy wielkości swego kraju, czy nie posiadają znakomitej wyższości jako artyści wewnętrzni ducha? Jeśli są mało zdolni do czynności publicznych lub prywatnych, czy nie pochodzi to stąd, że są zanadto zdolni do samotnego myślenia? Jeśli są niezdatni na ojców przyszłych pokoleń, czy nie pochodzi to stąd, że obfitość wrażeń delikatnych i wyszukanie rzadkich uczuć zrobiły z nich wirtuozów jałowych, lecz wyrafinowanych, rozkoszy i cierpienia? Jeśli niezdolni są do poświęceń głębokiej wiary,

czy nie dlatego, że nadto wykształcona inteligencya uwolniła ich od przesądów i że, obiegłszy wkoło wszystkie idee, doszli do tej wyższej sprawiedliwości, która uprawnia wszystkie doktryny, wykluczając wszystkie fanatyzmy? Zapewne wódz germański II-go stulecia zdolniejszy był do opanowania cesarstwa, niż patrycyusz rzymski do jego obrony; lecz Rzymianin uczony i subtelny, ciekawy i wolny od złudzeń, jakim znamy cesarza Adryana, wielbiciela Tybura, stanowił zapewne bogatszy nabytek dla skarbu ludzkości. Wielkim argumentem przeciwko epokom dekadentyzmu jest ten, że nie mają one jutra i że zawsze zgniata je barbarzyństwo. Lecz nie jest-że to jakby fatalnym udziałem tego, co wyszukane i rzadkie, że nie ma racyi wobec brutalności? Mamy prawo przyznać się do podobnego błędu i przełożyć porażkę Aten nad tryumf gwałtownego Macedończyka“ [1]).

Usprawiedliwienie więc owego „stanu społeczeństwa, wytwarzającego wielką ilość jednostek niezdolnych do pracy wspólnego życia“, ma stanowić wyższość tych jednostek. Ale na czem ona polega, skoro usuwamy tę miarę pewną i niechwiejną, którą jest stosunek jednostki do społeczeństwa, jej użyteczność w pracach wspólnego życia, jej wartość jako obywatela kraju? Zostaje jakaś wyższość, która jest sama sobie celem, wytworzenie jakiejś doskonalszej rasy, wyższego typu.

Ten typ wyższy kreśli nam Bourget pod nazwą *homme supérieur*. „Człowiek wyższy“ Bourget'a, to nie człowiek genialny, nie bohater, nie apostoł poświęcenia — te miary wartości umysłowej, czynnej, moralnej, któremi przywykliśmy mierzyć wielkość, odrzucone są jako względne. „Człowiek wyższy, powiada Bourget [2]), różni się od geniusza, który może być dość nieinteligentnym (sic!) i od człowieka utalentowanego, który zbyt często jest tylko specyalistą; różni się zdolnością tworzenia o wszystkiem wyobrażeń ogólnych.“ „Usposobienie umysłowe, które wytwarza wysoka cywilizacya, odznacza się mnogością punktów widzenia, zamiłowaniem w odcieniach, nieufnością ku formułom bezwzględnym, poszukiwaniem złożonych rozwiązań“ [3]). Ten „wyższy człowiek“ zostaje naturalnie niezrozumiany przez tłum (który umie jednak ocenić prawdziwych geniuszów i oddać im cześć!); powszechne więc głosowanie i demokracya wogóle wrogie są wyższym typom; stąd ich pogarda i nienawiść dla tłumu. Tak tłómaczy sobie Bourget przyczynę, dlaczego Renan i Prevost-Paradol nie zostali wybrani na posłów, tak tłómaczy ową niechęć do mas arystokratów ducha, którą już zaznaczyliśmy, a której wykazaliśmy prawdziwe pobudki. W tem

[1]) „Essai de psychol. contemp.“ I, 27—28.
[2]) l. c. str. 100.
[3]) l. c. str. 102.

całem rozumowaniu ukrywa się pewna osobliwa filozofia dziejów, widząca cel historyi w wytworzeniu garstki nieprodukcyjnych próżniaków i smakoszów życia, geniuszów bez teki, arystokracyi ducha, kosztem całej ludzkości, dla których wiedza i sztuka istnieją jedynie po to, aby ich nauczyć „smakować gorycze i słodycze życia“ [1]). Źródła tej teoryi, którą śladem Renana [2]) bez ogródek sformułował niemiecki filozof dekadentyzmu, objawiają się wyraźnie u pisarza francuskiego, ucznia Taine'a, wyznawcy pozytywizmu i darwinizmu, gdy, skarżąc się na „zgubną teoryę umowy społecznej“ [3]) i na kartezyański kierunek naszego sposobu myślenia, widzi zbawienie w przesiąknięciu do świadomości ogółu tych doktryn, których bankructwa zupełnego na polu społecznem byliśmy razem z autorem świadkami. „Wyobrażenia Darwina i Herberta Spencera szerzą się w atmosferze umysłowej i przenikają nowo przybywających. Miejmy ufność w wartość tych doktryn, które dokonają przewrotu w polityce, jak go dokonywają obecnie w literaturze, jak już dokonały w wiedzy przyrodniczej. Nadchodzi czas, gdy w oczach adeptów filozofii ewolucyjnej społeczeństwo okaże się czemś innem, niż dziś się wydaje ostatnim dziedzicom ducha klasycznego. Nie będą już widzieli w niem wykonania umowy logicznej, lecz czynność organizmów, których komórką jest jednostka. Taka idea brzemienna jest *moralnością publiczną, zupełnie odmienną od tej, która dziś nami rządzi*“ [4]).

Potrzebna więc była praca myśli dwudziestu kilku stuleci, ażeby wrócić do tej dziecinnej bajki, którą durzył niegdyś Menenius Agrippa uciekających od bezprawia proletaryuszów rzymskich? Od dwu stuleci, nie licząc już starożytności, tworzyli biologowie rozmaite teorye pochodzenia gatunków i organizmów w stylu darwinowskim. Prawdy lub błędy, które sobie jak najniewinniej w świecie zaprzątały głowy oderwanych od niego uczonych w ich pracowniach, stały się nagle fermentem rozkładowym, gdy w drugiej połowie XIX wieku wyniesiono je na targowisko interesów, gdy usiłują w nie gwałtem wcisnąć życie, które się nie mieści na owem prokrustowem łożu wiedzy rzezańców duchowych, lecz żywe, drgające, wielobarwne, potrzebuje innych, szerszych stanowisk, rozleglejszych widnokręgów, powietrza, przestrzeni nieba, a przedewszystkiem iskry ducha, tego ducha żywego, od którego

---

[1]) ...cette science de goûter la vie amèrement et doucement à laquelle se réduit peut être tout l'Art“ (116).

[2]) La fin de l'humanité, c'est de produire des grands hommes. „Dialogues“ 103.

[3]) ...cette théorie du contrat social, dont l'influence désastreuse sur notre existence nationale commence à eclater aux yeux des plus prévenus („Essai“ str. 88).

[4]) Str. 107—108.

odwrócił się uczony specyalista, którego nie zdołały uwięzić jego retorty, który odleciał z jego pracowni, zostawiając mu tylko trupa:

Toć zamiast żywej, swobodnej natury,
Co Bóg ją ludziom dał w udziele,
Tu widzę tylko pleśń, zczerniałe mury,
Szkielety zwierząt i piszczele.

(„Faust," przekł. Jenikego).

V.

Wyrazy, podkreślone w ostatniej cytacie z Bourget'a, pozwalają nam przejść do Fryderyka Nietzschego [1]), który właśnie usiłował dać podstawy tej nowej, odmiennej od dzisiejszej, moralności.

W kilku tomach pism swoich [2]) zmierza on ku obaleniu lub odwróceniu przyjętej powszechnie skali wartości moralnych, zwłaszcza zaś sroży się przeciw ideałowi moralności chrześciańskiej, którą nazywa moralnością niewolników i o której odzywa się wciąż z największą pogardą. Z drugiej strony stara się on nakreślić w Zaratustrze ideał mędrca, wcielenie nowej nauki moralnej, której ewangelią mają być słowa Zaratustry („Also sprach Zarathustra").

---

[1]) Fryderyk Nietzsche, potomek polskiej rodziny Nęckich (?), która w r. 1715 emigrowała do Niemiec, urodził się w 1844 r. Od 1869 do 1878 profesor filologii klasycznej w Bazylei; obecnie obłąkany w jednym z włoskich zakładów leczniczych.

[2]) Pisma Nietzschego wyszły w przeciągu czasu od 1872 do 1889 r. Pierwsze jego dzieła są: „Unzeitgemässe Betrachtungen," (ten wspólny tytuł „rozważań nie na czasie" obejmuje artykuły o Dawidzie Straussie, o korzyści historyi w życiu, o Schopenhauerze jako wychowawcy, o Rysz. Wagnerze), oraz „Die Geburt der Tragödie oder Griechenthum und Pessimismus." Po niedługiej przerwie wydaje Nietzsche szereg dzieł, które już samą formą swoją wyróżniają się od poprzednich, objawiając chorobliwe usposobienie. Są to przeważnie zbiory aforyzmów, ogłoszone pod rozmaitemi tytułami. Należą tu: „Menschliches allzumenschliches," „Morgenröthe," „Die fröhliche Wissenschaft," „Also sprach Zarathustra," „Jenseits von Gut und Böse," „Zur Genealogie der Moral," „Der Fall Wagner," „Götzendämmerung," prócz tego poemat z muzyką na chór i orkiestrę p. t. „Hymnus auf das Leben." Pierwsze dwa pisma wyróżniają się od innych treścią i formą; zdają się one zapowiadać kierunek nieco odmienny od tego, w którym poszedł następnie filozof. W pierwszem z nich spotykamy surową krytykę Straussa, „filistra wykształcenia," jak go nazywa. Dziwną i niezrozumiałą zdaje się ta gwałtowna nienawiść do Straussa, któremu się zarzuca, że jest „plebejuszem w społeczeństwie intelektualnem," jeśli przypomnimy, że autor „Starej i nowej wiary" należy do duchowych ojców dekadentyzmu w Niemczech, jak Taine i Renan we Francyi. Wszak to Strauss rzucił cały szereg oskarżeń przeciwko chrześciaństwu za jego kult ubóstwa, za pogardę dla bogactwa i moralność ascetyczną, podnosząc natomiast pochwały Buckle'a na cześć bogactwa; wszak on-to uważał

Już sama forma zewnętrzna pism Nietzschego odpowiada najzupełniej wyżej podanemu określeniu stylu dekadentyzmu, w którym jedność książki ustępuje miejsca niezależności stronic, stronica — wierszom, wiersze—wyrazom; z drugiej strony służąc za mimowolny wyraz tego bezgranicznego indywidualizmu, który nie chce się krępować żadnemi względami, nawet konsekwencyi w myśli i systematyczności w wykładzie. Książka jego — to zbiór luźnych aforyzmów, objętych wspólnym tytułem, ugrupowanych jako tako pod poszczególnemi tytułami, które można uważać za nagłówki pojedyńczych rozdziałów lub artykułów, ale które nie wpływają nawet na numeracyę aforyzmów, idącą jednym ciągiem. A w licznych, ukutych przez autora wyrazach złożonych nie należy widzieć wyłącznie chorobliwego usposobienia, ale może przedewszystkiem są one objawem tej dążności do rozbicia zdania na pojedyńcze słowa, do zamknięcia w każdym z tych ostatnich jakiejś skończonej myśli. Jeśli przytem w pismach Nietzschego znajdujemy zupełnie określoną tendencyę, jeśli, pomimo zaciemniających metafor i dziwactw stylu, pomimo licznych sprzeczności i niekonsekwencyi, wszyscy krytycy i komentatorowie zgadzają się co do zasadniczych punktów jego nauki, pochodzi to stąd, że jest ona wynikiem niczem niepohamowanego, żadnym systematem myśli nie przymuszonego, uczuciowego nastroju autora, jego instynktów i temperamentu, który, pozostając ten sam, kładzie jednolite piętno na wszystkie jego myśli.

Stosownie do trzech zasadniczych celów, jakie sobie postawił Nietzsche, t. j. odwrócenia wszystkich pojęć o wartości, stworzenia ideału nowej cywilizacyi, oraz ideału nowego człowieka, mającego tę cywilizacyę przeprowadzić, możemy zaznaczyć i trojaką tendencyę krytyczną w jego pismach, z których jedne są surową napaścią na całe wykształcenie dzisiejsze, a zwłaszcza na filozofię [1]), dla której nie ma

---

chrześciaństwo za wrogie społeczeństwu i znośne tylko dzięki poprawkom, które wprowadził doń racyonalizm, a na pytanie: czy jesteśmy chrześcianie? odpowiada stanowczem *nie*, szukając natomiast podstaw nowej wiary w zasadach przyrodoznawstwa i hypotezie Darwina; wszak on, na równi z Nietzschem, piorunuje przeciw socyalizmowi i, stawiając religię uprzywilejowanych na miejscu religii nędznych i uciśnionych, zrzeka się jedności kościelnej z masą; on, jak Nietzsche, przemawia w imieniu bogatego mieszczaństwa i formułuje jego filozofię. Niechęć Nietzschego do Straussa tłómaczy się nie tyle odmiennem stanowiskiem, ile gniewem prozelity na nowatora, który nie wysnuł wszystkich konsekwencyi ze swoich zasad i nie posunął się tak daleko, jakby pragnął zbyt gorliwy prozelita. Jest tu wszakże i inna pobudka: Nietzsche wogóle sroży się najwięcej na tych pisarzy, od których najwięcej skorzystał.

[1]) W czem również staje w sprzeczności do pierwszych swych pism, w których, jako cechę, wyróżniającą człowieka od zwierzęcia, podawał zdolność wzniesienia się

dość wyrazów potępienia („Menschliches allzumenschliches, ein Buch für freie Geisten"), drugie krytyką współczesnej moralności (tu należą przeważnie: „Morgenröthe. Gedanken über die moralischen Vorurtheile;" „Die fröhliche Wissenschaft") i wreszcie uzasadnieniem tej krytyki przez wywód historyczny współczesnych wartości moralnych („Jenseits von Gut und Böse. Vorspiel einer Philosophie der Zukunft;" „Zur Genealogie der Moral. Eine Streitschrift"). Zresztą motywa te wciąż się powtarzają; te same myśli wracają pod inną postacią w każdem dziele. Pozytywną część, właściwą naukę, zawiera pismo „Also sprach Zarathustra," w którem aforystyczny styl poprzednio wymienionych ustępuje miejsca przypowieściowemu, obfitością metafor i dziwaczną obrazowością naśladującemu księgi święte narodów wschodnich.

Wszystkie dotychczasowe systemata filozoficzne są to złudzenia, które wabiły i ogłupiały ludzkość jeden po drugim. W gruncie ich leży jakiś przesąd ludowy z niepamiętnych czasów, jakaś igraszka słów, lub zbyt odważne uogólnienie bardzo i bardzo ludzkich (*menschlich-allzumenschlichen*) faktów. Największym jednak i najniebezpieczniejszym błędem dogmatyków jest wynaleziony przez Platona duch, oraz bezwzględne dobro (*Gut an sich*); szczęściem zmora ta została przezwyciężona, a od czasu, jak walka z chrześciaństwem, które jest „platonizmem dla ludu," wytężyła wspaniale ducha ludzkości, można z tego napiętego łuku mierzyć do jak najwyższych celów i godzić w nie... Tym strzelcem, rozumie się, będzie sam Nietzsche.

Nie potrzebujemy dłużej zatrzymywać się nad tą częścią nauki Nietzschego; napaści na „zgubną metafizykę," a zwłaszcza na idealizm, należą jeszcze do chwili odrodzenia materyalizmu; tu Nietzsche powtarza tylko to, co słyszał od Büchnerów i Vogtów, co czytał w książkach Schopenhauera i może, gdyby był, zamiast „czytać między wierszami filozofów i patrzeć na ich palce" [1]), postarał się zrozumieć, co jest w wierszach i przysłuchać się ich słowom, może-by znalazł w filozofii coś więcej nad zmorę, ciążącą na Europie.

„Wiara w wolność woli jest błędem początkowym każdego organizmu od chwili, jak pierwsze pobudki logiczne w nim powstają [2]);

---

po-nad cierpienia przez metafizyczne pojęcie o bycie, a w Schopenhauerze widział, obok Ryszarda Wagnera, wychowawcę, wprowadzającego człowieka do wyższej kultury. Jednak i tu już stawia on (wślad za Renanem), jako zasadniczy cel wszelkiej cywilizacyi, wytworzenie filozofa, sztukmistrza i świętego, i tu potępia naszę współczesną cywilizacyę.

[1]) „Jenseits von Gut und Böse." Afor. 3.

[2]) Nietzsche jest tu wspaniałomyślniejszy dla wolności woli, niż najkonsekwentniejszy z deterministów, Spinoza. Ten ostatni mówił, że gdyby spadający ka-

wiara w bezwzględne substancye i podobne rzeczy jest również pierwotnym, również starym błędem wszystkiego, co organiczne. O ile zaś metafizyka przeważnie zajmowała się substancyą i wolnością woli, należy ją uważać za umiejętność, traktującą o zasadniczych błędach ludzkich, tak, jak gdyby to były prawdy zasadnicze."

„Historya uczuć moralnych jest historyą błędu, błędu odpowiedzialności; ten zaś spoczywa na błędzie wolności woli."

„Nikt nie jest odpowiedzialny za swoje czyny, nikt za swój byt; sądzić, znaczy tyleż, co być niesprawiedliwym. Stosuje się to i wtedy, gdy jednostka sama siebie sądzi."

Te kilka ustępów z „Menschliches-allzumenschliches," zaznaczając już stanowisko Nietzschego wobec moralności, pozwalają przejść do jej krytyki. Zrywa tu Nietzsche z Schopenhaurem, którego wpływowi ulegał w pierwszych dziełach, robiąc proste złudzenie z „rzeczy w sobie," jaką była wola dla jego mistrza.

Wogóle filozofia nie jest wyrazem „samodzielnego rozwoju zimnej, czystej, bosko-nietroskliwej dyalektyki" („Jenseits," 75), ale poprostu „instynktem osobistej dyety; instynktem, który szuka ubocznej drogi przez moją głowę ku memu powietrzu, moim szczytom, mojej pogodzie, memu rodzajowi zdrowia" („Morgenröthe," str. 35). „Wasze myślenie jest nierównie mniej odkryciem, niż poznawaniem, przypominaniem, powrotem do bardzo odległego zbiorowego gospodarstwa duszy, z którego niegdyś urosły te idee:—filozofowanie jest rodzajem atawizmu wyższego rzędu" („Jenseits," af. 20). Czy nie wydaje się, jakobyśmy tu słyszeli ucznia tego potępionego Platona, mieszającego tylko trochę współczesnego darwinistowskiego *argot* do boskiej mowy swego mistrza? Taki dziwny wpływ wywarł darwinizm na materyalizm, który dawniej, wrogi teoryi idei wrodzonych, a przyjmujący bez zastrzeżeń założenie sensualistyczne, dziś (u Spencera) probuje „stanąć między Lockem a Kantem" (żadnego z nich nie rozumiejąc i nie znając nawet), lub w osobie Nietzschego przemawia językiem Platona o wspomnieniach pozaświatowych duszy i odrzuca „powierzchowność Locke'a w kwestyi pochodzenia idei" (ten sam aforyzm). Tu daje się widzieć zwrot myśli od racyonalizmu ku mistycyzmowi; i w tem właśnie najbardziej odbiega Nietzsche od swoich mistrzów racyonalistów, a zbliża się zarazem do sofistów („człowiek jest miarą rzeczy"), z którymi się

---

mień mógł myśleć, przypisał-by swojej woli ten ruch. Dziwne, że nie przyszło mu na myśl stanąć w położeniu tego kamienia i zapytać siebie, czy człowiek, spadający przez nieostrożność z piętra, uważa swój ruch za dowolny? Nie chcemy tym argumentem zwalczać determinizmu, ale tylko wykazać bezzasadność podobnych twierdzeń.

poczuwa do pokrewieństwa duchowego. Porównajmy z tem słowa intelektualisty i racyonalisty najczystszej wody, jakim jest Renan: „Osoby, nie posiadające umysłu naukowego, nie rozumieją, że opiniom pozostawiamy swobodę tworzenia się po-za nami przez rodzaj nieosobowej konkrecyi, której człowiek jest tylko widzem...“ Mówi on o obowiązku, jaki ma człowiek „stanąć wobec prawdy, obnażonej z wszelkiej osobowości, dać się pociągnąć w stronę, na którą się chylą przeważne dowody“ („Souvenirs,“ str. 263). „Życie powinno być doświadczeniem poznającego [1])—nie obowiązkiem, nie ciężarem, nie złudzeniem“ („Fröhliche Wissenschaft,“ str. 233). Oceny, które wprowadzili filozofowie, są to pozostałości dawnych przesądów; niema dobrego, ani złego: „Nowe jest zawsze złem, jako to, co ma być zdobywcą, co ma obalić dawne granice i dawną cześć: tylko stare jest dobre“ („Fröhliche Wiss.“ str. 31). „Być moralnym, etycznym, cnotliwym, znaczy być posłusznym dawnemu prawu lub zwyczajowi“ („Menschliches-allzumenschl.“ I, str. 78). „Moralność nie jest niczem innem (a więc przedewszystkiem niczem więcej), tylko posłuszeństwem obyczajom, jakiekolwiek będą; obyczaje zaś stanowią *przyjęty* sposób postępowania“ („Morgenröthe,“ str. 7) [2]).

„Tylko wtedy można było-by mówić: *powinniśmy* postępować tak, lub owak, gdyby ludzkość miała jakiś powszechnie uznany cel: tymczasem takiego celu nie mamy“ („Morgenröthe,“ str. 94).

Nietzsche więc odrzuca *wszelką* moralność i jest w tem konsekwentniejszy od swoich wielbicieli, którzy, jak Gast np. (w przedmowie do 2-go wydania „Also sprach Zarathustra,“ str. XXIV), stara się wmówić, jakoby zaprzeczeniu ulegała tylko „niewolnicza moralność.“

---

[1]) Przypomnijmy określenia Bourget'a: „rêver le rêve de la vie;“ „sztuka smakowania życia.“

[2]) Przypomnijmy przy tej sposobności opisanie salonu u Bourget'a („Essais,“ t. I, str. 70—73), tego salonu, który jest całym światem dla arystokratów ducha dekadencyi, w którym każdy ma inne zdania o polityce, wiedzy, religii „i tylko jedna jest wspólna wiara—przyjętych zwyczajów.“ Jak w tym wypadku, tak i we wszystkich innych, rozumowania Nietzschego są uogólnieniem bardzo ciasnych, bardzo małostkowych, bardzo osobistych wrażeń i spostrzeżeń. Umysł dyletancki i nieczynny, traktujący życie „jako doświadczenie,“ lub, jak Renan wyraża się, jako „miły spacer“ („Une promenade charmante“), wałęsający się ustawicznie, szukając w podróżach—tem pracowitem próżnowaniu ludzi ruchliwych, ale nieczynnych—lekarstwa od nudów i pobudki do myślenia, rzucający na papier swoje wrażenia i spostrzeżenia osobiste, nie zadając sobie nawet pracy domyślenia do końca swoich myśli, spojenia ich w całość, popełnia on na każdym kroku ten błąd, który zarzuca filozofom, czyniąc z swojej osobistej „dyety“ chorobliwego człowieka (Nietzsche przez szereg lat cierpiał na uporczywe bóle głowy—niezawodnie prognostyk jego następnej choroby umysłowej, wbrew usiłowaniom wielbiciela jego, Gasta, wytłomaczenia ich inaczej) prawidło ogólne, lub zjawisko powszechne.

Ktokolwiek bowiem odrzuca ocenę uczynków według kategoryi „dobry i zły," oraz nakaz bezwarunkowy obierania dobrych, ten nie powstaje przeciw jakiejkolwiek formie moralności, lecz zaprzecza moralności wogóle [1]). Uczynek może być po-za tem użyteczny dla kogoś, lub nie, celowy, lub niecelowy, piękny, lub brzydki—ale to już nie należy do moralności; bardzo więc naturalnem jest ze strony Nietzschego, że, stanąwszy po-za pojęciem dobrego i złego, domaga się, aby mu wskazano cel ludzkości, jeśli idzie o bezwzględną ocenę uczynków; i wślad za Iheringem, który prawo wyprowadza z celu, chce w podobnyż sposób uzasadnić swoją filozofię praktyczną, swoją „moralność." Bo, odrzuciwszy moralną ocenę postępowania, nie wyrzeka się jednak nakreślenia przepisów jego.

Za punkt wyjścia służy tu osobliwe historyozoficzne wyobrażenie o pochodzeniu moralności. Przepisy moralności są dla Nietzschego jedynie wyrazem przyzwyczajeń i instynktów mas; stosownie do tego, czy przepisy te wyrabiały się wśród klasy panującej, czy niewolniczej, otrzymują się dwojakiego rodzaju typy obyczajności: moralność pańska i niewolnicza; pierwsza jest wyrazem tych nawyknień i instynktów, które wyrabia panowanie, a więc przedewszystkiem *wyniosłości* [2]), druga, jako cnoty, podnosi nawyknienia ludzi, zmuszonych do posłuszeństwa, a więc pokorę, łagodność, dobroć, wyrzeczenie się. Walka pomiędzy Judeją a Rzymem, to zapasy tych dwóch typów moralności; chrześciaństwo, jako religia miłości bliźniego, jest dziedzictwem judaizmu [3]); ono-to razem z filozofią najwięcej przyczyniło się do zepsucia

---

[1]) Zresztą sam Nietzsche mówi, że nie chce być lokajem „jakiejkolwiekbądź moralności" (Kammerdiener irgend einer Moral).

[2]) Niemieckie *vornehm* znaczy: znakomity, wybitny, dystyngowany; najlepiej może oddaje myśl Nietzschego polski przymiotnik butny.

[3]) Zresztą nie zdaje się być obcą Nietzschemu świadomość tego łańcucha dziejowego i logicznego, który przez Platona i nowoplatonizm łączy naukę Sokratesa z chrześciaństwem; nie ukrywa też sobie, że ta jest przyczyna jego nienawiści dla Sokratesa, jak nie mniej wrogo usposabia go racyonalizm tego ostatniego:

„Dawne zagadnienie teologiczne (sic!) o „wierze" i „wiedzy" — czyli, jaśniej mówiąc, o instynkcie i rozumie — a więc pytanie, czy w ocenie wartości instynkt zasługuje na większą powagę, niż rozum, który chce oceny postępowania według zasad, według „dlaczego?" a więc według celowości i użyteczności — jestto odwieczne zagadnienie moralne, które w osobie Sokratesa wystąpiło po raz pierwszy i rozdzieliło umysły. Sokrates sam wprawdzie, zgodnie z usposobieniem swego talentu—talentu wprawnego dyalektyka—stanął początkowo po stronie rozumu; i w rzeczywistości cóż innego robił przez całe życie, prócz wyśmiewania nieroztropności swoich wyniosłych (*vornehmer*) Ateńczyków, którzy byli ludźmi instynktu, jak wszyscy ludzie wyżsi, i nigdy nie mogli zdać sprawy z powodów swoich uczynków... Platon w tych rzeczach niewinniejszy i nie posiadający przebiegłości plebejusza, chciał... dowieść, że rozum

Europy, stwarzając „moralność trzody“ (*Heerdenthier-Moral*), a ruch demokratyczny jest dziedzicem chrześciaństwa. „Tempo jego wydaje się zbyt powolnem dla niecierpliwych i chorych, zakażonych pomienionemi wyżej instynktami trzody, jak tego dowodzi coraz wściekłejsze szczekanie psów-anarchistów, błąkających się po ulicach europejskiej cywilizacyi, coraz jawniejsze pokazywanie przez nich zębów“ („Jenseits,“ II wyd., str. 125). W przeciwstawieniu do tej moralności współczucia i miłości, wygłasza Nietzsche przez usta Zaratustry hasło: „*bądźcie twardzi!*“ „Nie oszczędzaj twego bliźniego!“ [1]). Taki jest ideał owej wyższej garstki *nadludzi*, która ma powstać kosztem niewolnictwa mas: *być wyniosłymi* (vornehm). Co znaczy być wyniosłym, określa sam autor w szeregu aforyzmów, mających ten wspólny tytuł („Was ist vornehm?“ w „Jenseits“—neuntes Hauptstück), należą tu przedewszystkiem: samolubstwo [2]), „patos odległości,“ czyli, mówiąc po polsku, buta pańska, instynkt rangi (af. 263) i wiele innych pięknych rzeczy. „Istotą dobrej i zdrowej arystokracyi jest to, żeby się nie uważała za funkcyę czegoś (np. władzy królewskiej, lub rzeczypospolitej), ale za jego *sens*

---

i instynkt zmierzają do jednego celu, ku dobremu, ku Bogu, a od czasów Platona wszyscy teologowie i filozofowie poszli tą samą drogą — t. j. w rzeczach moralnych dotąd zwyciężał instynkt, czyli, jak to nazywają chrześcianie, „wiara,“ lub, jak ja nazywam, „trzoda.“ Wyjątek stanowi Kartezyusz, ojciec racyonalizmu...“ („Jenseits,“ af. 191).

Czytelnik z łatwością dostrzeże zawarte w tym aforyźmie sprzeczności.

[1]) „Opowiedzieć treść Zaratustry, to znaczy opowiedzieć blask słońca, woń kwiatów, huk bałwanów,“—pisze jeden z mdlejących z zachwytu (wślad za Ola Hansonem) sprawozdawców naszych... Tego wszystkiego w Zaratustrze nie dostrzegliśmy; przyznać jednak winniśmy, że istotnie treści tej książki opowiedzieć byśmy nie umieli. Streścić Zaratustrę również niepodobna, jak wycisnąć zawartość z trajkotu gadatliwej kobiety przy kołowrotku. Jest to zbiór najpospolitszych sądów o pospolitych przedmiotach, często ciemnych, jak wyrocznie delfickie, najczęściej jednak banalnych. Ale gdy ten sam sprawozdawca pali sobie taki komplement: „zdaje nam się dalej, że kto pojął ducha kilku bodaj myśli Zaratustry — należy do ludzi lepszych, umysłem wyższych“—to mimowoli przypomina się nam bajka Andersena o owym królu, któremu sprytny krawiec sprzedał bardzo drogo wspaniałe, lecz niewidzialne dla głupich szaty; i kiedy król paradował w stroju Adama, dworacy, nie chcąc ujść za głupich, przesadzali się w wyrazach zachwytu dla nieistniejących szat. Nietzsche, oczywiście, nie zupełnie był waryatem, gdy, puszczając w świat Zaratustrę, zaopatrzył go w taką dewizę: „mądry, kto zrozumie tę najmędrszą z książek.“ Trzeba zresztą być zupełnie ślepym wielbicielem, żeby w tym stylu, niekiedy w całych rozdziałach, pozbawionych sensu, nie dostrzedz objawów obłąkania. Cała księga, pisana na wzór ewangelii, jest przeważnie symptomatem choroby, na którą cierpi autor—manii boskości.

[2]) „Egoizm należy do znamion wyniosłej duszy, to jest niezachwiana wiara, że istocie, jaką jesteśmy, wszyscy inni z natury rzeczy są poddani i powinni się dla nas poświęcać“ („Jens.“).

i najwyższe uzasadnienie, ażeby więc z czystem sumieniem przyjmowała ofiary niezliczonej mnogości ludzi, którzy *dla niej* zostali poniżeni do roli niewolników i narzędzi [1]). Jej wiarą zasadniczą powinna być ta, że społeczeństwo nie istnieje dla siebie samego, lecz jako podwalina lub rusztowanie, na którem-by mógł się wznieść wyższy gatunek istot dla swego wyższego zadania i wogóle dla wyższego *bytu;* podobna do owej pnącej się ku słońcu rośliny na Jawie — nazywa się ona *Sipo Matador*—która oplątuje dąb dopóty, aż się sama, wzniósłszy nad nim, rozpostrze koroną na wolnem świetle i szczęście swoje wszystkim okaże" (af. 258). Mamy więc tu jawne uświęcenie pasożytnictwa; jakoż nie ogranicza się autor do podobieństwa; ażeby usunąć nawet cień wątpliwości, mówi on wyraźnie, że wyzysk jest podstawowym objawem życia (af. 259). „Wstrzymywać się nawzajem od obrazy, od gwałtu, od wyzysku, stawiać swoją wolę na równi z wolą innych: może to być uważane w pewnem surowem znaczeniu za dobry obyczaj między osobnikami, jeśli warunki są po temu (mianowicie ich faktyczne podobieństwo co do ilości sił i wartości, oraz ich należność do jednego ciała [„kasty wybranych!"]). Skorobyśmy jednak zasadzie tej chcieli dać szersze zastosowanie, a zwłaszcza uważać ją za podstawę społeczeństwa, okazało-by się natychmiast, czem jest: „chęcią zaprzeczenia życia, zasadą rozkładu i upadku" („Jenseits," af. 259). „Dusza wyniosła ma cześć dla siebie samej" (af. 287).

Za motyw do tych gwałtownych napaści na „moralność trzody" służy domniemany zgubny jej wpływ na rozwój jednostki. Rozwój ten—osiągnięcie najwyższej doskonałości przez kilku—ma być celem dziejów, a istnienie społeczeństwa tylko podwaliną. Zgodnie z tem uznaje się nierówność i niewolnictwo mas, jako konieczny warunek cywilizacyi: „Wyższa cywilizacya może powstać tylko tam, gdzie istnieją dwie kasty społeczne: pracujących i niezajętych, zdolnych do prawdziwego wypoczynku, lub silniejszemi słowy: kasta pracy przymusowej i pracy wolnej" („Menschl.").

---

[1]) Tu, jak i w całej teoryi „nadludzi," owych arystokratów ducha, Nietzsche powtarza jedynie gładko paciorz za Renanem (por. jego „Dialogues," s. 128—131), wyciągając tylko niekiedy na jaw to, co politykujący pisarz francuski zręcznie maskuje, ale tak, aby każdy „komu należy" mógł zrozumieć. Tak mówiąc o ofiarach dla „nadludzi," Renan zręcznie podstawia zwierzęta, zamiast „kasty pracy przymusowej:" „Zwierzęta, które służą za pożywienie dla genialnych lub cnotliwych ludzi (*homme de bien*), powinne-by być zadowolone, gdyby wiedziały, na co służą" (str. 129). Książka ta, pisana tchórzliwie i obłudnie, na każdej stronicy podnosząca obłudę do zasady wszechrzeczy, jest głównem źródłem natchnień Nietzschego. Zresztą myśli te zaczerpnięte może są przez obu od Lapouge'a, Galtona i bezimiennego autora broszury „Aristokratie des Geistes" (por. Krzywickiego „Ludy," str. 427—428).

Z łatwością dostrzegamy u Nietzschego wszystkie zasadnicze rysy dekadentyzmu: taż filiacya idei materyalistycznie-sensualistyczna, połączona z niewiarą w same zasady. „Niema prawdy, wszystko dozwolone," tak formułuje bardzo trafnie Nietzsche swój nihilizm metafizyczny i moralny w „Genealog. der Moral" [1]). Tym właśnie sceptycyzmem różnią się dekadenci od poprzedników swoich „pozytywistów," którzy wierzyli przynajmniej w bezwzględną prawdę wiedzy [2]). To samo dążenie do wysnucia katechizmu postępowania z darwinowsko-ewolucyonistycznych teoryi [3]); taż sama pogarda dla mas, dla tych, których „o wiele-za-wiele," jak mówi Nietzsche, i chęć ich ujarzmienia dla garstki „nadludzi" („te kilka tysięcy, dla których świat istnieje," mówi Renan, „wyższych ludzi," jak nazywa Bourget); takież samo wyznaczenie dla filozofów roli prawodawców [4]), ta sama sympatya dla „wyniosłych, butnych" i nienawiść dla Rousseau, tego szermierza w obronie praw jednostki, dla umowy społecznej i demokracyi, taż sama wreszcie dążność do uwolnienia owych wybranych—o których mówił jeszcze Stendhal — od ucisku „moralności trzody," stanowiącej jakoby przeszkodę do rozwoju wielkich jednostek.

Zostawiając na uboczu pytanie, czy istotnie za cel dziejów powinniśmy uważać wytworzenie jakichś potężnych osobowości, a przy całym estetycznym powabie takich postaci, gdyby ich istnienie możliwe było tylko kosztem uciemiężenia i nieszczęść ogółu, czy wymagania

---

[1]) „Błędność sądu nie jest jeszcze zarzutem przeciwko niemu" („Jenseits," afor. 4).

[2]) „Ujawnia się jedna prawda zamglona i niejasna, lecz już dostrzegalna: że istnieje wiele sposobów równie uzasadnionych smakowania snu życia" (Bourget, l. c. str. 123).

[3]) Por. afor. 259 w „Jenseits von Gut und Böse." Nietzsche robi wprawdzie zarzuty przeciwko darwinizmowi, również powierzchowne, jak wszystkie jego uwagi w zagadnieniach, przekraczających zakres najbliższego spostrzeżenia—we wszystkich takich rzeczach sądy jego rażą pospolitością i tożsamością z najbanalniejszemi przesądami tłumu. Uogólniając na całą przyrodę wrażenia salonowego życia, powiada on: „Co do znakomitej walki o byt, zdaje mi się, że więcej o niej mówią, niż jej dowodzą. Zdarza się ona, lecz jako wyjątek. Ogólny wygląd życia nie jest stanem nędzy i głodu, lecz raczej bogactwa, zbytku, nawet niedorzecznej rozrzutności—gdzie toczy się walka—walczą o władzę" („Götzendämmerung"). Nie zgadza się również na to, aby zwyciężał silniejszy—„słabszy-to zwycięża przez liczbę"—zdaje mu się wciąż, że to tłum uciska tych nieszczęśliwych uprzywilejowanych.—Nie przeszkadza to, ażeby cały sposób myślenia Nietzschego był nawskroś darwinistyczny, jak u Straussa i Renana, tych dyletantów wiedzy. I „nadczłowiek" nie jest dla Nietzschego ideałem, ale raczej produktem rozwoju i doboru sztucznego.

[4]) „Właściwi filozofowie są rozkazujący i prawodawcy: mówią oni „tak być powinno!" („Jenseits").

sprawiedliwości społecznej nie nakazały-by nam wyrzec się przyjemności ich oglądania,—tak, jak niezawodnie względy utylitarne każą mieszkańcom Jawy niszczyć pasożytną roślinę, wprawiającą w zachwyt Nitzschego, ale psującą dęby; — pomijając to zagadnienie, poddajmy tylko próbie twierdzenie, jakoby moralność wogóle, a „moralność miłości bliźniego“ w szczególności przeszkadzała rozwojowi takich potężnych osobistości.

Słuszną jest uwaga, że brak twórczości jest jedną z cech dekadentyzmu [1]). Skąd to pochodzi? Wiadomo, że niema nic tak jałowego, jak dyletantyzm, nic tak skłonnego do tyranii, i znowuż nic tak nieodłącznego od epok upadku, tak naturalnie z nią związanego.

Skoro tylko wytworzą się warunki, które dekadenci, dogmatyzujący fakt w tym wypadku, jak i we wszystkich innych, uważają za swój ideał, t. j. powstanie „kasty niezajętych obok kasty pracy przymusowej,“ ci ludzie, pracy wolnej, to jest pracujący tylko dla rozrywki, muszą się niebawem przemienić w dyletantów; przywykli wszelkie zajęcie traktować jako rozrywkę, porzucają każde, skoro im się przykrzyć zaczyna, przerzucając się do innego, szukając nowości, jak motyl, lecący z kwiatu na kwiat. Nic więc poznać gruntownie, nic zgłębić nie mogą; nawyknienia do pracy w tej wesołej i powierzchownej wędrówce po dziedzinach wiedzy i sztuki, w tym „miłym spacerze przez życie“ nabyć nie mogą. Wszelka zaś twórczość wymaga głębokiej wiedzy i pracy, nawet przy największym geniuszu: pracy w chwili tworzenia, które najczęściej jest wielkim wysiłkiem woli, i pracy przygotowawczej. Jeśli w pierwszem pokoleniu, które zastaje na widowni dziejowej rozkwit cywilizacyi, wychowanem jeszcze w surowej szkole ojców, przywykłych do „pracy przymusowej,“ wytryskają bujnie jednostki twórcze, jest to właśnie wynikiem połączenia owej surowej szkoły tradycyi wychowawczej ze swobodą w zastosowaniu zdolności, którą daje uprzy-

[1]) Ale nie jego przyczyną, jak twierdzi W. Weigand („Friedrich Nietzsche; ein psychologischer Versuch,“ 1893); autor ten przypisuje osłabieniu twórczej siły sam udadek społeczeństw, co jest oczywiście zupełnie nieuzasadnionem. Dlaczego-by społeczeństwo miało ginąć przez wyczerpanie twórczości umysłowej, skoro praca poprzednich pokoleń wydała już tyle płodów, że (jak w Grecyi np.) cała ludzkość w następstwie przez szereg wieków mogła się niemi zadawalniać? Widzimy przeciwnie, że najtrwalszemi okazują się takie cywilizacye, gdzie, jak w Chinach, pomysłowość prawodawców zawczasu mądrze oznaczyła wszystkie szczegóły życia, aż do formy i materyału odzienia, stosując się we wszystkiem do potrzeb klimatu, rasy, temperamentu narodowego i t. d., gdzie więc usunięta została wszelka twórczość. Wreszcie niewytłómaczonem zostaje: dlaczego nagle usycha źródło twórczości? Jak to staram się wykazać w tekście, autor, zdaniem mojem, odwrócił zagadnienie, wziąwszy skutek za przyczynę.

wiejowane stanowisko w życiu. Ale następne rozpieszczone pokolenia, przywykłe tylko do „pracy dla rozrywki“ — są to pokolenia jałowych dyletantów. To też sam Nietzsche, ze zdumieniem kury, która wylęgła kaczęta, wykrzykuje: „Zadziwiającym jest jednak fakt, że wszystko, co było, lub jest na ziemi wolności i odwagi, wyrafinowania i tańca [1]), i mistrzowskiej pewności siebie, czy to w samem myśleniu, czy w panowaniu, czy w mowie, czy w przekonywaniu, w sztukach lub w obyczajach, rozwinęło się jedynie, dzięki „tyranii podobnych dowolnych praw...“ (tak nazywa on wszelką moralność w przeciwstawieniu do zasady *laisser aller*). „Jenseits,“ af. 188.

Z drugiej strony łatwość, z którą dyletant potrąca o rozmaite przedmioty i naucza się mówić o nich ze słyszenia, wytwarza w nim złudzenie, że również łatwo mógł-by coś stworzyć: stąd te manie pisania, malowania, kompozycyi w dyletanckich warstwach. Maniak dyletant, widząc, że mu twórczość nie dopisuje, ani pomyśli o tem, że to właśnie brak owego przymusu popsuł całą sprawę; przeciwnie, zdaje mu się, że ma go jeszcze za wiele. Moralność go krępuje; precz z tą niewygodną odzieżą! Niech zginie świat, byle zakwitł geniusz! Jego jałowość jest wynikiem zblazowania przez zbyt liczne i zbyt powierzchownie odczute wrażenia—jemu się zdaje, że za mało ma wrażeń, że brak silnych wzruszeń, ażeby rozbudzić ten potężny, drzemiący geniusz. Gdyby tak naprzykład spalić Rzym, mówi sobie Neron [2]), i raz spojrzeć na to widowisko, tobym dopiero stworzył poemat wspaniały! I palą się Rzymy, giną tysiące ofiar, a poematu jak niema, tak niema... Kto nie może spalić Rzymu, ten depce po uczuciach swoich bliskich, każe im składać wszelkie ofiary w imię swojej domniemanej genialności... i nic nie stwarza. Bo dyletant nic stworzyć nie może; zostaje zawsze tem, czem był, t. j. zerem.

Czy jednak dla tego zera niema wyjścia? Czy, nie będąc geniuszem twórczym, nie może już stać się jednostką?

To pytanie zbliża nas do głównego punktu, którego niezrozumienie stanowi podstawę wszystkich błędów i nonsensów dekadentyzmu, do pytania, na czem polega wartość osobnika?

Stawiając za cel dziejów wytworzenie kilku potężnych jednostek kosztem mas, dekadentyzm nie zadaje sobie pracy określić, na czem po-

---

[1]) Ten wyraz „taniec,“ tak źle się wiążący z treścią, spotyka się bardzo często i zupełnie nie do rzeczy u Nietzschego: filozof dla niego jest przedewszystkiem „tancerzem,“ ludzkość powinna „tańczyć od stóp do głowy“ i t. d. bez końca. Są to oczywiście jakieś podrygi obłąkanego umysłu. Trudno też wytłómaczyć sobie zachwyty wielbicieli dla stylu Nietzschego.

[2]) Flaubert, jeden ze „współczesnych“ i blizkich duchem dekadentyzmowi, nazywa go „l'homme culminant du monde ancien.“

legać ma wyższość owych jednostek: bo te określenia, które widzieliśmy u Stendhala lub Renana, Bourget'a lub Nietzschego, są czysto podmiotowe; są to określenia, odpowiadające smakowi chwilowemu i osobistemu. „Gdyby jednak człowiek nie był miarą rzeczy?"—powtórzymy za tym ostatnim; a przynajmniej „ci ludzie?" Dlaczego *l'homme supérieur* Bourget'a ma być wyższym? Czy dlatego, że jest jałowym? czy dlatego, że egoistą, że umie lepiej smakować życie? Niekiedy nazywa go autor „bardziej złożonym," jakby utożsamiając, w duchu ewolucyonistów, to pojęcie z pojęciem wyższości. Ale czy mechanizm bardziej złożony, i z przyczyny tej komplikacyi właśnie niezdatny do celu, jest wyższym od prostego i dobrze funkcyonującego? Lub jeśli sam jest sobie celem, dlaczegoż ma być wyższym? Czy nie szukamy raczej wyrazu wyższości w prostocie, gdy np. (jak metafizyka dawna) określamy duszę, jako substancyę prostą, lub gdy mówimy o prostocie melodyi wielkich mistrzów muzyki? Co kogo może obchodzić „artyzm wewnętrzny," który nie objawia się w dziele sztuki? Dlaczego ma być bogatszym nabytkiem ludzkości? Czy są choć jedne zdrowe płuca, które-by powtórzyły za Bourget'em, że wolą porażkę Aten nad zwycięstwo barbarzyńca?

U Nietzschego znowu ocena „wyższej rasy" wprost przeciwna. „Wynioslymi" (*vornehm*) są dla niego barbarzyńcy, gdyż są „bardziej *całymi* ludźmi" („Jenseits," af. 257). Ten znowu widzi wyższość rasy w niepohamowanych instynktach (co zresztą nie przeszkadza mu nazywać wiedzę, sztukę i t. d. jedynemi rzeczami, dla których warto żyć). Mamy tu wogóle bardziej naturalistyczne pojmowanie wyższości (nadczłowiek różni się od człowieka, tak jak ten od małpy), obok tego zaś podniesienie rysów, które jemu osobiście najbardziej imponują, najlepiej dogadzają jego gustom [1]). Widzimy tu przemianę oceny moralnej na estetyczną [2]), właściwie mówiąc, pseudoestetyczną. Taka przemiana wartości w ocenie jest naturalnem następstwem sensualistycznego punktu wyjścia. Skoro za jedyne pobudki do czynu przyjmujemy przyciągającą siłę przyjemności, lub odpychającą—nieprzyjemności, „dobrem" staje się to, co dogadza nam: czy to naszej korzyści (utylitaryzm), czy też naszemu smakowi (moralność pseudo-estetycz

[1]) Można było-by, posługując się tem samem, co Nietzsche, rozumowaniem, wysnuć jego uwielbienie dla siły, butności i dumy z „niewolniczych instynktów." Każdemu bowiem najwięcej imponuje to, czego mu brak. W rzeczywistości o ile jest słusznem, że chrześciaństwo to religia *dla* uciśnionych i niewolników, o tyle filozofię Nitschego można nazwać niewolniczą; cześć bowiem dla kańczuga jest cechą prawdziwego niewolnictwa duchowego.

[2]) Przyznając w tem słuszność Weisengrünowi, który zaznacza, że Nietzsche wprowadza estetyczne wartości zamiast etycznych („Das Problem," 1893, str. 165), nie możemy przystać na to, by był to „nowy zwrot," ani żeby był „uzasadniony."

na) [1]). Moralność znika, rozpływając się w ocenie użyteczności lub wykwintności życia.

Ale czy możliwe jest pojęcie wyższości bez pierwiastku moralnego? Dlaczego moralność mamy uważać za środek i ku czemu?

Nietzsche, który na seryo biorąc pojęcie o „filozofii, jako dyecie osobistej," ani na chwilę nie sprobował poddać swoich luźnych myśli,—wyrazu osobistych popędów, kaprysów i upodobań,—ocenie bardziej przedmiotowej, który nawet nie zadał sobie pracy usuwać z nich sprzeczności logicznych, zapewne nie zapytał siebie ani razu, jak też wydał-by mu się ten świat, który nie zawiódł go, z którego jest zadowolony, gdyby zmienność losu przerzuciła go do owej kasty pracy przymusowej? Czy nie oburzał-by się, że geniusz został zgubiony, że Pegaza uwięzili w jarzmo? A któż to może powiedzieć, ile wyższych, prawdziwych geniuszów ginie przed rozkwitem w tej nieszczęsnej kaście?

Filozofia dekadentyzmu grzeszy poprostu nieznajomością arytmetyki. Wprawdzie „tam, gdzie się serca palą, cyrklem uniesień duch, dobro powszechne skalą, tam jedność większa od dwóch..." ale tylko dlatego, że mierzy się skalą powszechnego dobra, t. j. że za nią stoi milion.

Gdy Hektor, żegnając Andromachę, mówi, że „na nim Troja spoczywa," wie, że użył najsilniejszego dowodu, wobec którego zmilknąć powinna nawet trwoga czułej małżonki. Bo niema takiego szaleńca, który-by nie rozumiał, że Pergam stanowi więcej, niż Andromacha. A w tem właśnie tkwi z drugiej strony i wielkość Hektora, tem się różni dla nas pożegnanie Hektora od pożegnania Filona.

Jednostka jest tem większą, im cięższe brzemię obowiązku niesie, im więcej na niej spoczywa. Wielkość nie osiąga się przez wskakiwanie na karki milionom, jak sądzi Nietzsche, ale przez dźwiganie milionów na barkach swoich. A czyliż znajdziemy w dziejach osobowość wyższą nad tę, która za całą ludzkość wisiała na krzyżu, na krzyżu, „którego olbrzymi cień osłonił całą Europę?" [2]).

---

[1]) *Pseudo-*, bo pojęcia estetyczne są tu *mylnie* zastosowane, po-za granicami swojej rzeczywistej wartości. Nie należy jej mieszać z „piękną moralnością" Szyllera, w której ideał estetyczny zlewa się w jedno z moralnym.

[2]) Chciał-bym uniknąć nieporozumienia, o które bardzo łatwo w podobnych wypadkach. Nie myślę twierdzić, że jednostkę nazywamy wielką *za to*, że dźwiga wielki ciężar na barkach; było-by to odwróceniem pseudo-estetycznej oceny Nietzschego na utylitarną; dogmatyczne przywrócenie tego, co on równie dogmatycznie zaprzecza. Mam przeciwnie na myśli ścisły logiczny związek moralności—ogniwa, łączącego jednostkę z ogółem—a wielkości, jako miary osobowości, krytyczną nierozerwalność tych pojęć. „Potężna indywidualność" jest dźwiękiem, pozbawionym treści, który,

Nietzsche uczy, że człowiek początkowo był wielbłądem i dźwigał ciężary, później staje się lwem, a następnie zostanie dzieckiem [1]). Dzieckiem więc ma być człowiek, pragnąć, jak dziecko, i iść za pociągiem swych żądz? Czy po tylu stuleciach cywilizacyi nie czas, aby już urósł na męża?

Gdy orzeł wzbija się w błękity, zdaje mu się, że powietrze oporem swym przeszkadza jego polotowi; ale im wyżej się wznosi, im rzadsze otaczają go warstwy, tem trudniej popychają skrzydła, tem bardziej czuje, że powietrze służy mu za jedyną podporę w locie, której gdy mu zabraknie, wreszcie stanąć musi i wrócić ku ziemi.

Tak dziecku zdaje się, że go krępuje moralność, że ciąży mu obowiązek; chce się wyrwać z tych powijaków, sądząc, że wtedy dopiero zostanie dorosłym, gdy nikogo słuchać nie będzie; ale człowiek dojrzały wie, że na wielkości i ciężarze obowiązku, który dźwiga, polega wartość i siła jego; gdy maleje jego brzemię—maleje sam, gdy znika—zostaje zerem.

Prawo moralne nie jest różdżką, którą teologia zagraża dojrzałemu dziś, a więc nie potrzebującemu jej, człowiekowi, jak powtarza za Schopenhauerem Nietzsche. Jest ono punktem oparcia w życiu praktycznem, a nie tylko nie jest „tyranią,“ ale czyni nas prawdziwie wolnymi tak dalece, że Kant oparł na niem swój dowód wolności: „powinieneś, więc możesz.“ Kto chce się go pozbyć, łamie główną sprężynę swojej machiny duchowej, i cóż dziwnego, że jak ptak raniony wlecze skrzydła po ziemi?

Prawo moralne jest konsekwentnym wynikiem dążenia do doskonałości, nadającego kierunek i barwę życiu, a jako postęp objawiającego się

---

użyty w 1-ej osobie, może być tylko symptomatem manii wielkości, jeśli ta indywidualność nie objawia się w czynie dziejowym. Potężną indywidualnością nazywamy taką, która wyciska piętno swoje na czasie i otoczeniu, a więc jednostkę twórczą przedewszystkiem, czy to na polu sztuki lub wiedzy, czyli też moralności lub polityki. Wszelki zaś doniosły czyn dziejowy, jako wcielenie jakiejś idei, ma najbliższy związek ze szczęściem ludzkości, lub wytworzeniem jakichś wyższych form życia. W pojęcie wyższości zaś wchodzi ocena moralna. Nie może więc wielkość jednostki istnieć w oderwaniu od ogółu i niezależnie od moralności, tak, jak nie może istnieć słowo, nie wyrażające pojęcia. Jeśli odbierzemy Hektorowi to, że jest „ramieniem Pergamu,“ jeśli wyzujemy go z odwagi, która jest zaletą moralną, cóż zostanie? Siła mięśni i zręczność. Bohater został zdegradowany na atletę cyrkowego; przedmiot podziwu zeszedł na przedmiot pogardy.

Niejasne poczucie tego posiadał i sam Nietzsche, w którego głowie tuż obok jakiegoś „tak“ mieści się zawsze „nie,“ gdy mówi w „Zaratustrze“: „czyliż oglądam się na swoje szczęście? oglądam się na dzieło swoje!“ (str. 472, wyd. II).

[1]) „Also sprach Zarath.“ Von den drei Verwandl. II wyd., str. 29 i nast.

w dziejach ludzkości i jest może tylko podmiotowym objawem, duchową formą tej samej zdolności rozwojowej, którą biologowie dzisiejsi uważają za charakterystyczną cechę wszelkiego życia, wszelkiej organicznej materyi.

Chęć zrobienia z życia nieustannej zabawy cechuje pewną dziecinność poglądów. Kółka arystokratyczne w końcu zeszłego stulecia dążyły do tego ideału, robiąc z życia nieustający salon, przedmiot zachwytów i westchnień dekadentów dzisiejszych. Ale działo się to kosztem ciemnoty i wyzysku całego narodu, a było najpewniejszym objawem upadku „starego porządku.“ Od poważnego zapatrywania się na życie nieodłączną jest myśl o obowiązku, który jest niejako odwrotną stroną przyjemności, jej konsekwencyą logiczną, a zarazem tem, co robi przyjemność przyjemnością, tak, jak cień uwidocznia światło, a złe—dobroć. Młodzieniec, w którym pragnienia nieznanych rozkoszy budzą się z niezwykłą siłą, łatwo się łudzi marzeniem, że napełni niemi całe swoje życie; lecz w dojrzałym wieku złudzenie takie jest niedorzeczne i naganne. Jak majowe kwiaty wydają w lecie owoce, tak wogóle cała wiosna życia prowadzi do pełnej pracy, poświęceń i wyrzeczeń działalności dojrzałego człowieka, a wyłamanie się z pod jej obowiązków nie może ujść bezkarnie.

Była chwila w dziejach oświaty, kiedy, zerwawszy nieprawnie narzucone przez ascetyzm średniowieczny więzy, a powstając przeciw chłodowi wyłącznie rozumowanego usposobienia wieku, uczuciowość wystąpiła z energicznym protestem w imię praw serca przeciw wszelkiemu konwencyonalizmowi. Prąd ten, poczęty przez Rousseau i Bernardin'a de St.-Pierre, rozlał się szeroko po ojczyźnie Nietzschego i pod nazwą epoki burz i zapędów ogarnął wszystkie umysły, znajdując wyraz w dziełach jej największych wieszczów: w „Werterze“ i „Powinowactwie dusz“ Göthego, w „Zbójcach“ i „Wolnomyślności uczucia“ [1]) Szyllera. Ale prąd ten łączył się z postępową myślą epoki i był chwilą przejściową, dyssonansem, którego rozwiązanie znajdujemy u Szyllera w smutnej „Rezygnacyi,“ oraz w „Ideałach;“ u Göthego w wierszu z nagłówkiem „Ilmenau am 3 September 1783.“ Czytamy tu te wiersze tak niezgodne z naszem potocznem wyobrażeniem o osobistości poety:

Der kann sich manchen Wunsch gewähren,
Der kalt sich selbst und seinem Willen lebt;

---

[1]) „Freigeisterei der Leidenschaft“ jest początkowym tytułem wiersza w późniejszych zbiorach nazwanego „Walką“ (der Kampf).

Allein wer andre wohl zu leiten strebt,
Muss fähig sein, viel zu entbehren [1]).

Stan przejściowy, który przeżywali ludzie oświaty, który przeżywa każdy młodzieniec, wydaje się Nietzschemu Ameryką przezeń odkrytą; a przemieniając Schopenhauerowskie *Wille zum Leben* (pragnienie życia) na *Wille zur Macht* (pragnienie władzy), stara się go sprządz z dążnościami wstecznemi [2]).

Nietzsche chce dać „moralność jednostki," moralność wyjątkowych ludzi, mówią jego wielbiciele (Gast). „Ty powinieneś słuchać, ja jestem wolny"—takie wygłasza hasło.

Cóż to znaczy ta moralność jednostki? To znaczy moralność dla każdego inna. Dla jednostki uprzywilejowanej moralnem będzie, gdy pożera, dla nieuprzywilejowanej—gdy da się pożreć. Jest to stara moralność negra, który mówił: „dobrze jest, gdy ja biorę cudzą żonę, źle—gdy ktoś bierze moją" [3]). Jest to absurd logiczny, możliwy tylko w głowie, pozbawionej wszelkiej zdolności uogólniającej. Kant doskonale określił logiczne podstawy moralności, podając za jej zasadę: „postępuj tak, aby prawidło postępowania twego mogło stać się podstawą prawodawstwa powszechnego," co zresztą jeszcze dawniej wyrażano prostą formułą: „nie czyń bliźniemu, co tobie nie miło." Moralność może być albo dla wszystkich jednakowa, albo żadna; jest ona regułą nie wyjątkiem. Ta powszechność, t. j. jednakowa dla wszystkich wartość wrażeń podmiotowych, na którą Kant wskazuje, jako na przewodniczkę wśród niepewności, a którą, jako „zgodę wszystkich," przyjął Sokrates za probierz prawdy, szukając w niej ucieczki przy powszechnem zachwianiu przez sofistów wszelkiej pewności, zastosowana w zakresie czynu, da wyżej przytoczone prawidło Kanta. Uczynek jest

---

[1]) Ten może zadość uczynić wielu życzeniom swoim, kto żyje oziębły dla siebie samego i swoich chęci; lecz kto dąży do tego, aby przewodniczyć innym, powinien zdobyć się na wyrzeczenie.

[2]) I w tem podniesieniu „pragnienia władzy" do zasady wszechbytu ukazuje się ciasność widnokręgów autora. Czyż nie jest to zamiłowanie do rozkazywania, które każe filistrowi-fajkarzowi mieć chociażby wytresowanego psa, jeśli nie może bezwzględnie panować nad wolą służącej lub chłopaka — czy nie jest czysto mieszczańską potrzebą? potrzebą dorobkiewicza, który, nie czując się moralnie wyższym nad otoczenie, chce przynajmniej używać pozorów wyższości, t. j. widzieć posłuszeństwo innych swojej woli? Z dogmatyzacyi podobnych spostrzeżeń, zrobionych w ciasnem kole filistrów-mieszczan, robi Nietzsche zasady wszechświata!

[3]) „Większość powinna używać życia przez upoważnienie (jouir par procuration). Masa pracuje, kilku spełnia za nią wyższe cele życia—taka jest ludzkość." (Renan: „Dialogues," 130).

wtedy dobry, gdy jego zasada może być zasadą postępowania dla wszystkich.

Nie prowadzi to bynajmniej do niwelacyi i zatarcia wszelkiej potężniejszej osobowości. Prawo moralne pozostawia szerokie pole dla najrozmaitszych stopniowań zalet moralnych, bo obok reguły powszechnej, zakreślającej poziom, niżej którego nikomu upaść nie wolno, istnieje niedościgły ideał moralnej doskonałości, a każdy, według własnego poczucia i mocy duchowej, usiłuje zbliżyć się do niego. Ideał moralnej doskonałości jest jedną ze składowych części ideału wogóle, przewodniczącego nam w życiu; a na zgodzie z nim opiera się pojęcie wyższości; on-to nadaje charakterystyczne piętno ideałom naszej epoki w przeciwstawieniu do fizycznie-estetycznych ideałów starożytności. Jako składowa część ideału, moralność nie może być przeszkodą do jego osiągnięcia, a obowiązek jest logiczną konsekwencyą ideału etycznego: samo bowiem pojęcie takiego ideału zawiera obowiązek możliwego do niego zbliżenia się, bo nie jest on ideałem kontemplacyi, lecz czynu; w tem dążeniu jednak nie wszyscy dochodzą do jednakowego stopnia.

Trudno więc zrozumieć, po co tyle wrzawy, tyle gniewów, tyle piany i tyle przygotowań, ażeby powiedzieć dawno znaną rzecz, że nie wszyscy mogą się wznieść do jednakowej doskonałości; jak również niepojętemi dla każdego bezstronnego czytelnika zostaną ekscentryczne zachwyty ślepych wielbicieli Nietzschego wobec „nowości“ jego doktryny. Wszak te wyjątki, o które się tak dobija, zawarte są w wyżej wspomnianem pojęciu niedościgłego ideału moralnego; prawo moralne zabrania tylko spadać niżej jego wymagań, ale nie stawia żadnych przeszkód wzniesieniu się po-nad nie, a im kto dalej odbiega od przeciętnego poziomu, tem rzadszy stanowi wyjątek, ale wyjątek w kierunku doskonałości, nie zaś jej przeciwnym.

Roszczenia więc dekadentyzmu do wyzwolenia jednostki z pod ucisku moralności są bezzasadne; moralność jest tem, co nadaje jednostce wartość, jest tą podstawą, na której spoczywa wszelka wielkość, jest głównym czynnikiem, wchodzącym w skład ideału doskonałości ludzkiej. Jak czynnik ten doprowadzić do harmonii z innemi—ze swobodą i samorzutnością woli—zadanie to rozwiązać powinna prawdziwie ludzka filozofia oświaty; filozofia praktyczna Kanta i poezye filozoficzne Szyllera wytknęły drogę, doprowadzającą do harmonii wolność jednostki z wymaganiami konieczności przyrodniczej i moralnej. Owa szlachetna postać człowieka światłego wiedzą, wzniosłego w sztuce, oczyszczonego przez prawo moralne, człowieka, który się nauczy szlachetnie pragnąć (*edel zu begehren*), ażeby zbytecznem było wzniosłe chcenie (*erhaben zu*

wollen) [1]), ta postać nie potrzebuje być *nad*-człowiekiem, ażeby pociągać nas czarem wewnętrznego piękna. Ideał to otwarty dla wszystkich, nie dla jakiejś kasty arystokratycznej.

Czy alternatywa pomiędzy barbarzyńcą a dekadentem, którą wystawia Bourget, jest tak nieunikniona? Czy „nadczłowiek“—jeśli sprobujemy nadać temu zoologicznemu wyrazowi szlachetne znaczenie człowieka idealnej siły osobowości—czy nadczłowiek musi być koniecznie barbarzyńcem, jak twierdzi Nietzsche? Czyż nie możemy sobie wyobrazić takiego rozwoju form państwowych i społecznych, które-by nie wydawały tylko „kruchej“ cywilizacyi, upadającej pod pierwszym naciskiem barbarzyństwa?—Znalezienie takich form,—form, w których każda jednostka znalazła-by jak najszersze poparcie w dążeniu ku owemu ludzkiemu (nie nadludzkiemu!) ideałowi, największą swobodę dla rozwoju osobowego, najszersze pole do zastosowania swoich zdolności, a więc zostania „potężną osobowością“ — stanowi właśnie najwyższe zadanie *etyczne*, bo ich znalezienie prowadziło-by do usunięcia wszelkiej krzywdy społecznej, wszelkiego spychania jednostki na stanowisko niższe, niż jej naturalne zasoby wskazują.

Gdy mówimy o celach cywilizacyi, nie powinniśmy zapominać, że ostatecznym jej celem jest zawsze człowiek, i że cywilizacya, której koniecznym warunkiem zrzeczenie się jej przez ogół, nie jest ani sprawiedliwą, ani trwałą.

Jednostka jest ostatecznym celem dziejów, ale nie wyjątkowa, tylko przeciętna, powszechna, każda; i nie przez oderwanie się od całości, ale przez bliższe z nią zespolenie osiąga ona najwyższą wartość i najwyższe szczęście, wcielając ideał harmonijnego rozwoju—*kalòs kaj agatòs* Greków, a słusznem jest żądaniem od warunków społecznych—ażeby dały jej możność tego rozwoju, nie wyjątkom, lecz wszystkim; ażeby na miejsce walki i wzajemnego pożerania się, które, biorąc fakt za prawo, zaleca dekadentyzm, wprowadziły braterstwo wzajemnej pomocy i szczęście wzajemnej miłości, zgodnie z tym wielkim ideałem, ku któremu obowiązek dążenia wkłada na nas religia miłości, aby mogły usprawiedliwić określenie Arystotelesa—państwa, jako ośrodka szczęśliwego życia.

---

[1]) Por. te wiersze z „Artystów:“

Przymusu praw nie potrzebuje
Serce, gdy piękno wskaże bieg:
Choć inną drogą, wciąż żegluje
Na ten sam cnoty jasny brzeg.

VI.

Jeszcze słów kilka odpowiedzi na pytania: o ile oryginalnym jest Nietzsche? W jakim stopniu zasługuje na epitet „genialności," którym go tak wspaniałomyślnie darzą jego wielbiciele?

Co do pierwszego—powinniśmy stanowczo zaprzeczyć oryginalności niemieckiemu przedstawicielowi dekadentyzmu. Nie jest on w niczem twórcą; nie wniósł nic istotnego do filozofii dekadentyzmu, oprócz dziwacznej terminologii i nieścisłej formy; nie sprobował nawet nadać jej systematyczności. W liczbie ludzi, którzy wpłynęli na Nietzschego (oprócz Schopenhauera), wylicza Weigand [1]) Darwina, Comte'a, Stendhala, Dostojewskiego, Bourget'a, Renana [2]). Kreśląc ogólne rysy dekadentyzmu, potrąciliśmy o niektórych z tych pisarzy, a przedstawiając zarys doktryny Nietzschego, odkrywaliśmy w niej tylko znajome cechy. Nietzsche nie jest nawet kontynuatorem, tem, co Niemcy nazywają „Weiterdenker." Wszystko, zaczynając od przeznaczenia filozofa, jako prawodawcy, a kończąc na utopii społecznej, zapożyczył od swoich francuskich współwyznawców, lub znalazł gotowem u niemieckich poprzedników. Całą teoryę „nadczłowieka," którą uważają za najbardziej oryginalną część doktryny Nietzschego, znajdujemy w „Dyalogach" Renana (wydanych w 1876; roku, od którego zaczyna się główna literacka działalność Nietzschego), wyłożoną prawie w tych samych wyrazach. *Renan*: „Można sobie wyobrazić (zapewne po-za granicami naszej planety—dodaje wiecznie politykujący uczeń Jezuitów) możność istot, w porównaniu do których człowiek znaczył-by również mało, jak zwierzę w stosunku do człowieka" (str. 118). *Nietzsche:* „Czem jest małpa dla człowieka? Śmiesznym lub bolesnym wstydem. Tem samem powinien być człowiek dla nadczłowieka" („Zarath." str. 9). *Renan:* „Jak ludzkość wyszła ze zwierzęcości, tak boskość wyjdzie z ludzkości" (str. 118). *Nietzsche*: „Człowiek jest liną, naciągniętą pomiędzy zwierzęciem i nadczłowiekiem" (str. 12). Również i myśli o sztucznem wytworzeniu tej wyższej rasy znajdują się u Renana (str. 116, 118). Toż samo dotyczy wyjątkowej moralności: „Obowiązkiem Göthego było zostać egoistą dla jego dzieła. Niemoralność transcendentalna (transcendante) artysty jest w swoim rodzaju moralnością wyższą" („Dialogues," 133). Sam Nietzsche uznaje siebie za dekadenta (w przedmowie do

[1]) L. c. str. 45.

[2]) Wpływ, zwłaszcza Bourget'a, widoczny jest dla każdego, kto się wczytuje w jego pisma, nie mniej, jak Renana, o którym zresztą z nienawiścią się odzywa, jak o wszystkich prawie, od kogo korzystał. Cechą charakterystyczną dla pisarzy tego typu jest zaprzeczenie swoich ojców duchowych.

„Fall Wagner"), ale niby świadomego tego dekadentyzmu, wzbraniającego mu się; dlatego, gdy Bourget przeciwstawił barbarzyńcowi wyrafinowanego człowieka upadającej cywilizacyi, Nietzsche chciał mieć barbarzyńca za ideał. Jednak w gruncie rzeczy jest on całkowicie wytworem swojej epoki, nieświadomym, instynktowym i niekrytycznym dekadentem; jeśli w jednych aforyzmach jego spotykamy trafne uwagi krytyczne, dotyczące błędów i naiwności filozofów, to w innych sam popełnia te błędy w sposób najbardziej krzyczący; wszystkie jego sądy o zagadnieniach, wznoszących się cokolwiek nad poziom drobnych kwestyi faktu, rażą płytkością, pospolitością i szczytową filisteryą [1]). Wogóle zaś sposób myślenia Nietzschego jest wyższym stopniem tej ślepoty na kategoryę „powinno być," tego płaszczenia się przed faktem—i to faktem najbardziej małostkowo pojętym—którego jednym

[1]) Niech mi wolno będzie przytoczyć tu, jako przykład, parę sądów o kobietach. Gdyby zapalanie się do rzeczy nieznanych, o których słyszymy tylko dalekie trąbienie i zachwyty „ze słyszenia," nie było w równym stopniu cnotą pięknej, jak i brzydkiej połowy naszego narodu, sądzę, że przeczytanie aforyzmów 231—239 w „Jenseits" zniżyło-by znacznie temperaturę uwielbień dla Nietzschego ze strony tej pierwszej przynajmniej. Wyciągam stamtąd kilka miejsc.

Mówiąc o dążności kobiet do wiedzy: ... „Jeśli kobieta nie szuka w tem nowego dla siebie stroju—sądzę przecie, że strojenie się należy do „wiecznie-niewieściego" (*das Ewig-Weibliche*)—chce więc obudzić ku sobie strach: może tą drogą dąży do władzy. Ale nie szuka prawdy: co kobietę obchodzi prawda! Nic niema tak zasadniczo obcego, wstrętnego, nieprzyjaznego jej, jak prawda—jej wielką sztuką jest kłamstwo, jej największą sprawą—pozór i piękność" (af. 232). Godny syn swojej ojczyzny chce on zamknąć kobietę do kuchni i tylko oburza się, że dotąd z tej kuchni nie zrobiono całej filozofii kobiecego życia: „Gdyby kobieta była istotą myślącą, była-by jako kucharka (!!) od tysiącoleci odkryła największe fizyologiczne fakta (?!) i wzięła-by medycynę w ręce swoje! Dzięki złym kucharkom — dzięki zupełnemu brakowi rozumu w kuchni, rozwój ludzkości został przez długi czas wstrzymany, ulegał jak najgorszym wpływom: i dziś nie wiele jest lepiej. To przemowa do uczących się panien!" („Höhere Töchter"—wyraz, wzięty od „höhere Töchterschule," co znaczy pensya żeńska—af. 234). Wreszcie, porywając zasadnicze zagadnienie „mężczyzny i kobiety," tak rokuje: „Człowiek, posiadający głębię w swoim duchu i w swoich pragnieniach, ową głębię życzliwości, która się umie zdobyć na srogość i surowość, nie może inaczej, jak *na sposób wschodni* myśleć o kobiecie: musi mieć kobietę w posiadaniu, jako własność zamykalną (*als verschliessbares Eigenthum*), jako coś, przeznaczonego na usługi i w tej czynności znajdującego ostateczny swój cel" (af. 238).

Najbardziej zaś przejmuje go zgrozą stopniowe „pozbawienie kobiety *czarów*," uczynienie jej *nudną* (*Entzauberung und Verlangweiligung des Weibes*). To też piorunuje na winowajców tego zepsucia: „dość jest — powiada — obłąkanych przyjaciół kobiet i kazicieli niewiast (*Weibs-Verderber*) pomiędzy uczonymi osłami męskiego rodzaju, którzy doradzają niewiastom takie pozbycie się kobiecości... którzy chcieli-by doprowadzić kobietę do „wykształcenia ogólnego," a nawet do czytania gazet i rozprawiania o polityce" (af. 239).

z objawów jest dekadentyzm wogóle—bez najmniejszej próby wydzielenia krytycznego, co w tym fakcie jest istotnem, co przypadkowem.

Jak wytłómaczyć sobie w takim razie powodzenie Nietzschego? Powodzenie to wprawdzie dalekie jest od tego przesadnego obrazu, jaki dają nasi ślepowierzący zagranicznym wielbicielom sprawozdawcy. Tylko niektóre z dzieł jego doczekały się powtórnego wydania.

Niezawodnie przyczyną tu nie jest sama skandaliczność próby „ateistycznej moralności“ [1]), chociaż, jak w powodzeniu mistrza jego Schopenhauera, i ten czynnik nie małe musiał mieć znaczenie. Dwie są jednak główne przyczyny powodzenia Nietzschego, a stosownie do tego znajduje dwa rodzaje odmiennego typu wielbicieli.

Znużona wyłącznością racyonalizmu i intelektualizmu [2]) Europa wita chętnie powrót do innych źródeł poznania. Jedni wracają do Objawienia, drudzy szukają ich w głębi własnego ducha. Rozum—to machina arytmetyczna, która wtedy tylko daje jakiś wynik, jeśli założymy jakieś liczby. Ci, którzy, jak Taine, chcieli wyciągnąć wszystko aż do pierwotnych założeń z wiedzy, przekonali się, że sama ona nic dać nie może, oprócz pozbawionych treści formuł, odstraszających swoją oschłością, abstrakcyjnością, martwotą; gotowi więc są od niej zupełnie się odwrócić i, jak Pascal, w uczuciu i natchnieniu szukać nawet zasadniczych pewników matematyki, zapoznając przytem prawdziwe stanowisko oświaty, która, nie zaprzeczając braku pierwotnej twórczości rozumu, przyznaje mu jednak zdolność oceny tego, co pochodzi z owych niejasnych, a czasem mniej pewnych źródeł; która przez Locke'a daje probierz rozumowy dla oceny prawdziwości objawienia, a przez Kanta rozumowe podstawy moralności. Gdyby zamiast iść na oślep za popędem ciemnych instynktów, kotłujących w niezdrowym mózgu, Nietzsche sprobował był rzucić na nie światło filozofii—tego zbiorowego rozumu ludzkości,—był-by z pewnością przyszedł do innych wniosków; nie był-by wziął wygrzebanych z jakichś głębin ducha szczątków człowieka pierwotnego, aby z nich ulepić swego nadczłowieka. Postać tego oczyszczonego przez oświatę wszechczłowieka, „z którego czoła znak człowieczeństwa ściera ostatni ślad zwierzęcości,

---

[1]) Nietzsche z pogardą traktuje Schopenhauera za to, że, będąc ateuszem, zachował moralność: „Schopenhauer, chociaż pessymista, jednak grał na flecie... Co dnia po obiedzie: niech zajrzą do jego biografów! A zapytam przy tej sposobności: pessymista, zaprzeczający świata i Boga, który wobec moralności krzyczy: stój! który na nią przystaje i gra na flecie? który uznaje zasadę: „nie szkodź nikomu“ *(die laede-neminem-Moral)*: to ma być pessymista?“ („Jenseits,“ af. 186).

[2]) Pojęcia te nie są jednoznaczne: *racyonalizm* jest wiarą w rozum, jako jedyne źródło poznania; *intelektualizm*—skłonnością do wyłącznego uwzględnienia potrzeb i interesów poznania z zaniedbaniem innych stron życia, zwłaszcza woli (czynu).

a myśl opromienia go swoim blaskiem“ [1]), tego, którego, podniosłszy do ideału, zrobił Comte przedmiotem kultu, zaćmiła-by dziką mrzonkę o sztucznej hodowli nowej rasy ludzkiego zwierzęcia.

Ale właśnie tych, którym brak wykształcenia filozoficznego nie pozwala znaleźć prawdziwego punktu oparcia dla pojednania sprzeczności, napełniających ich umysł, zarówno jak i umysł Nietzschego, a którzy znużeni są oschłością i czczością pozytywizmu, pociąga owa „mistyczna,“ jak sam Nietzsche nazywa — strona jego doktryny. Jestto ta sama publiczność, która wczoraj złożona z pozytywistów, dziś rzuca się na spirytyzm, rozmowy z duchami i wiarę we wszelkie niestworzone rzeczy.

Nierównie jednak liczniejszą część zwolenników doktryny dekadentyzmu spotykamy w tych kołach, którym dogadza nauka o arystokracyi ducha; tę-to naukę powinniśmy uważać za właściwe ognisko całego kierunku.

„Wszystko dla najlepszego!“ Takie jest hasło indywidualizmu, a tymi najlepszymi są oczywiście ludzie, stojący na wyżynach społecznych, warstwy uprzywilejowane. Dla nich to przyroda roztacza bogactwa swoje; dla nich w pocie czoła wyciska winiarz sok winogron, a żeglarz sprowadza z dalekich krajów zbytkowne przysmaki; dla nich sztuka wydaje arcydzieła a wiedza wytworami swemi podsyca ich kontemplacyę leniwą; oni powinni zostać prawodawcami ogółu, właścicielami planety. Im wszystko wolno: moralność nie powinna ich krępować, religia dla nich nie potrzebna; co innego ciemne masy: dla tych, wślad za Voltaire'm, gotowi wymyślić Boga, gdyby nie istniał; one stanowią tę drugą osobę, do której mówi Nietzsche: „*ty* powinieneś słuchać;“ potrzeba je trzymać w strachu i pokorze, a gdy, widząc zły przykład starszych, przestaną bać się Boga i piekła, nauka da możność zastraszać je realniejszemi piekielnemi machinami.

Ale kim-że jest owa uprzywilejowana arystokracya?

Dopóki wierzono, że „lepsi ludzie“ ulepieni są z innej gliny, byt arystokracyi był uzasadniony i uprawniony; lecz gdy literatura oświaty przekonała ludzkość, że nikt nie rodzi się „z ostrogami na piętach, ani z siodłem na grzbiecie,“ gdy wraz z wielką Rewolucyą i Napoleonem powstała nowa arystokracya dorobkiewiczów i parweniuszów—arystokracya przypadku i pieniędzy, pojawiły się teorye ekonomiczne, uzasadniające to wyniesienie się osobistą zasługą. Taką jest teorya indywidualizmu: kapitał jest owocem osobistej oszczędności i dlatego sprawiedliwą jest przewaga, jaką daje swemu właścicielowi. Wogóle w życiu społecznem zwycięża i ma pierwszeństwo zdolniejszy; ażeby zaś nie

[1]) Por. „Artystów“ Szyllera.

było żadnych skrupułów, co do tych „mniej zdolnych,“ którzy zostają zwyciężeni, dogmatyka egoizmu wymyśla doktrynę, jakoby każdy, uganiając się za własnym dobrobytem, w jak najbezwzględniejszej walce z innymi najlepiej służy ogólnej pomyślności; każe ona wyrzucić wszelką litość i współczucie, jako szkodliwy balast, jako zboczenia, krzyżujące mądrze plany harmonii interesów. A kiedy niedorzeczność tych teoryi stała się jawną dla najciemniejszych nawet, ci, dla których one były tak dogodne, szukają nowego uzasadnienia przywileju i znajdują je w jakiejś wyższości duchowej—nie talentu lub geniuszu—lecz „wyrafinowanych nerwów,“ które oczywiście mogą wyrobić się tylko wśród zamożnego otoczenia i pieszczotliwego wychowania [1]). Doktryna ta znajduje energiczne poparcie w darwiniźmie, który nie jest niczem innem, tylko przeniesieniem na grunt biologiczny teoryi współzawodnictwa, rozwiniętej przez ekonomię mieszczańską w Anglii, a która w dziele Malthusa zrzuciła wszelkie osłony wstydliwości, ucząc, że tylko głód i nędza może wstrzymać masy od nadmiernego rozmnożenia się, grożącego przeludnieniem naszej planecie. Czytanie tego dzieła zrodziło w umyśle, tak nawskroś przesiąkniętym mieszczańskiemi poglądami, jak Darwin, potworną myśl uczynienia z „walki o byt“ dźwigni postępu [2]). Spencer zaś, połączywszy te pierwiastki z pozytywizmem, ogołoconym ze wszystkiego, co było szlachetnego w pierwotnej myśli Comte'a, wytworzył z niego tę wodnistą naukę, która, przemycając się do Francyi, Włoch, Niemiec i do nas pod nazwą pozytywizmu, służyła za pożywienie duchowe dla pokolenia dekadentów.

Dziedziczność jest zasadą, uprawniającą tę nową arystokracyę w następnych pokoleniach [3]), a walka o byt—podstawą pierwotnego

---

[1]) Godnem jest uwagi, że jak w dogmatyzacyi determinizmu materyalizm wkracza na tor wytknięty przez Hegla, przedzierzgając jego formułę „wszystko istniejące jest rozumne“ na swoję „fakt jest prawodawcą w życiu,“ tak i doktryna „arystokracyi ducha“ jest tylko materyalistyczną metamorfozą nauki romantyzmu niemieckiego, która powstała ze spaczenia idei Szyllera o szlachetności w świecie moralnym. Według tej nauki, której wcieleniem jest „Lucynda“ Schlegla, geniusz nie ulega prawom moralnym, obowiązującym zwykłych śmiertelników, jest on sam dla siebie prawodawcą (*exemplarisch*). W tej lub innej szacie filozofia zawsze odźwierciadla dążności kół, wśród których powstała.

[2]) Zdaje mi się, że dotąd nikt nie położył należytego nacisku na słabość tej głównej podstawy teoryi Darwina. Nie mogę tu uzasadnić myśli (co mam nadzieję uczynić w innem miejscu), że walka o byt nie może być przyczyną „doskonalenia“ się, ale tylko upadku i zwyrodnienia gatunków, czego zresztą świadkami jesteśmy już w epoce historycznej, a czego najlepszym dowodem w społeczeństwie ludzkiem jest dekadentyzm.

[3]) Por. „Jenseits,“ af. 264 (str. 240, II wyd.). „Z duszy człowieka nie da się usunąć śladów tego, co najchętniej i najczęściej robili jego przodkowie“ i t. d.

zdobycia tego tytułu. Nie powinno więc nas dziwić, gdy Bourget szuka w dziełach Darwina i Spencera podstaw dla nowej wiary, że Strauss opiera swoję na teoryi walki o byt, a Nietzsche poprawia darwinizm, aby lepiej go zastosować do idei „nadczłowieka.“

Dekadentyzm jest więc tylko wynikiem potrzeby uzasadnienia przywilejów, które gwałtem pragniemy utrzymać, jest dogmatyką egoizmu, przeniesioną z ekonomii społecznej na szersze pole filozofii życia. Dla nadania doktrynie tej pozoru naukowości, przebrano ją początkowo w szaty przyrodniczej teoryi i w tym maskaradowym stroju wprowadzić usiłują drzwiami wyrzuconą poprzednio przez okno z ekonomii społecznej i prawa państwowego teoryę *laisser aller*.

Nie ukrywają zresztą dekadenci pokrewieństwa swego z tą doktryną, ani swoich sympatyi społecznych. Nietzsche używa w stosunku do moralności wyrazu *laisser aller*, który był hasłem dogmatyki egoizmu w ekonomii społecznej; a Bourget, z właściwym narodowi swemu zmysłem praktycznym, wyraża bez ogródek swoje oburzenie w następujących wierszach: „Lecz czego się spodziewać po mieszczaństwie, wśród którego prawidłem jest ukończenie nauki w dwadzieścia lat, i które nie rozumie, że przywileje bogactwa i wypoczynku stają się zasadami niszczącemi dla posiadającej je klasy, jeśli się nie przemienią w narzędzia wyższości intelektualnej i politycznej“ [1]). Ten przynajmniej jasno sformułował swoją zasadę społeczną. Najbardziej jednak otwartym w swojem poczuciu solidarności z bogatemi klasami, w swojej dla nich usłużności, jest Renan, który zapędza się aż do następnej tyrady: „Nie umiemy dość ocenić, jaką wdzięczność winniśmy tym, którzy podejmują się za nas (t. j. mędrców) ciężaru bogactwa. Toalety, spacery, powozy, opera, wyścigi pochłaniają czynność, która bez tego była-by szkodliwą, i uwalniają dobre płaty mózgu ludzkości od dokuczliwości kadrylu. Tak, całe to szumne życie światowe potrzebne jest, ażeby jakiś Cuvier lub Bopp zostawali spokojni w swoich pracowniach, posiadali dobre biblioteki i nie byli ani kuszeni, ani zmuszeni tracić swój czas na te próżności... Dlatego też uczony chętnie uchyla czoła (nie bez pewnej ironii) wobec wojskowych i ludzi salonu. Spostrzegacz żyje spokojnie za ich karkiem, kiedy ksiądz krępuje go swoim dogmatyzmem, lud zaś swoim powierzchownym sądem, owocem wykształcenia elementarnego i swojemi ideami, zapożyczonemi od nauczyciela wiejskiego“ („Dialogues,“ str. 76—77).

Adeptami dekadentyzmu są oczywiście ci, którym dogadza ta nauka, ci, którzy zawsze znajdowali obrońców wśród „myślicieli,“ ci,

[1]) L. c. str. 133.

dla których Mandeville w XVII w. pisał swoją „Bajkę o pszczołach“ [1]), a w XIX Nietzsche swego „Zaratustrę,“ a których autor „Niedokończonego poematu“ przedstawia, jako depcących wory pieniężne, gdzie zamknęli swoje sumienie. Cały dekadentyzm jest właśnie podobnym udeptywaniem sumienia, które jednak nie chce zamilknąć.

I właśnie ta okoliczność, że nie chce zamilknąć, jest przyczyną dziwnego rozdźwięku pomiędzy wygłaszanym przez dekadentów optymizmem, a zgrzytającą nutą pessymizmu, zabarwiającą wszystkie ich rozumowania. Bourget uważa pessymizm za nastrój powszechny naszej epoki, i trudno się z tem nie zgodzić, jeśli przypomnimy wyżej przytoczone ustępy, czy to ze Stendhala lub Flauberta, czy to z Renana lub Nietzschego. A jednak wszyscy prawie oświadczają, że życie ich nie zawiodło. Renan nazywa je miłym spacerem, toż samo powtarza za nim Nietzsche („doświadczenie poznania“), przeciwstawiając swoją doktrynę pessymistycznemu buddyzmowi i chrześciaństwu; jeszcze wyraźniej mówi Strauss: „Tak żyjemy, tak kroczymy dalej uszczęśliwieni!“

Jakże pogodzić ten ponury pogląd na świat, pełen złudzeń i zawodów, z owem zadowoleniem z życia? Zagadkę rozwiąże nam odpowiedź na pytanie, kto są owi „my,“ szukający nowej wiary, w których imieniu przemawia Strauss, którym tak przykrzy się ta maska „religii miłości,“ której w rzeczywistości już nie wyznają:—są to, według jego własnego oświadczenia, nietylko uczeni i artyści, lecz urzędnicy i wojskowi, przemysłowcy i właściciele dóbr.“ — Wiedzą, że zajmują najlepsze miejsce w tym najgorszym ze światów. To też im wcale źle nie jest, bo mają pewność, że nie będą należeli do oszukanych, do wyzyskanych, do „kasty pracy przymusowej;“ dlatego „uszczęśliwieni“ odbywają ten „miły spacer,“ gotowi uznać, że są „tysiące sposobów równoprawnych prześnicia snu życia.“ Dlatego tak wszyscy zgadzają się, że nudy—to najstraszniejsza klęska, zagrażająca „współczesnej cywilizacyi;“ i gotowi, jak Neron, spalić Rzym, byle się nie nudzić.

Jakżeż znowu z drugiej strony nie będzie tryumfował dyletantyzm, który jest chorobą endemiczną warstw uprzywilejowanych, dyletantyzm — ten chwast nieunikniony społeczeństwa, gdzie czynniki dziejowe, jakiemi są wiedza i sztuka, filozofia, religia i moralność, albo zamieniają się na rozrywkę wśród nudów nieczynności, albo, jako przeszkoda do takiego bawienia się, odrzucone są precz, — jakże ten dyle-

[1]) Całą tę bajkę znajdą czytelnicy w „Historyi literatury agielskiej XVIII w.“ przez Hettnera (przekład P. Chmielowskiego). Jest to prawdziwy pierwowzór teoryi „niemoralności,“ uzasadnionej na podstawie powszechnego dobra. Nietzsche odrzucił ostatecznie tę maskę.

tantyzm powinien czuć się uszczęśliwionym, gdy znajduje filozofów, którzy go podnoszą, jako cechę wyższości? Wita więc ich oklaskami tak, jak w XVIII wieku mieszczaństwo witało dramat realistyczny, uszczęśliwione, że widzi siebie na scenie zamiast królów i bohaterów klasycznej tragedyi. Płytkim umysłom dogadza usunięcie ideału; przez to jakby się mówi do nich: nie masz nic lepszego nad rzeczywistość, t. j. nad ciebie. Jesteś koroną stworzenia!

Taki jest sens dogmatyki faktu i kwaskowatego optymizmu dekadentów.

Nietzsche chciał zrobić prawidło z tych pierwiastków, które analityczny umysł Bourget'a wykrył w współczesności. Powieściopisarz francuski jest tylko analitykiem; ale te same pierwiastki, gdy zapadły w twórczy duch prawdziwego poety, jakim jest Sienkiewicz, ubrały się w krew i ciało i wydały żywą postać Płoszowskiego, owego arystokraty ducha i sceptyka, geniusza bez teki, człowieka bez dogmatu, cierpiącego na chroniczną jałowość (improductivité), uczuwającego we wszystkich nerwach drżenie „kruchości“ cywilizacyi, do której należy, zamykającego się od życia w swoich „causeries romaines;“ darwinisty i analityka, jak wszyscy dekadenci, ceniącego przedewszystkiem rasę i wyrafinowane nerwy, słowem, typu dekadenta.

Mam nadzieję niebawem powrócić do tego typu, aby wyświetlić genealogię jego—indywidualną psychologię dekadentyzmu, tak, jak tu usiłowałem przedstawić jego psychologię społecznie-dziejową.

W. M. Kozłowski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Rozglądając się pod koniec roku zeszłego w sprawach teatru warszawskiego, dostrzegłem na scenie sporo poezyi i literatury; obecnie wypadnie mi krótkim rzutem oka ogarnąć okres, w którym w widowni było i jest dużo publiczności. Dlaczego te objawy rzadko razem chodzą i czy można sobie wyobrazić taki szczególnie pomyślny zbieg okoliczności, żeby suma poezyi na scenie pociągała do sali teatralnej odpowiedną ilość widzów—nad tem niejeden już medytował teatr i nie jeden uznał taką solidarność tych objawów za kwadraturę koła. Że zaś finanse tutejszych teatrów nie sprzyjają dziś rozwiązywaniu tej kwadratury koła, więc frekwencya publiczności stała się miarodajnym, rozstrzygającym czynnikiem w nastroju i kierunku repertuarowym.

Publiczność chodzi do teatrów bardzo chętnie i tłumnie, a ta jej ochota, datująca jeszcze od zimowego sezonu, nie zesłabła nawet w najmniej sprzyjających warunkach, bo w wiosenną porę. Dla wytrawnego obserwatora stosunku teatru do publiczności, fakt ten, nietylko u nas, ale i gdzieindziej nie przedstawia nic nadzwyczajnego. Taki lub inny repertuar, ten lub ów sposób prowadzenia teatru wpływa tu bardzo pośrednio. Bywają wypadki, że sezon, pod względem repertuaru doskonały, żadnego nie budzi zajęcia; innym razem znowu publiczność skłonna jest na małem poprzestać i wszystkiem się interesuje. Co tu działa? Na prawdę nie wiadomo; jakiś prąd niepochwytny, od niczego zdaje się niezależny, pcha ludzi do teatru, lub zobojętnia ich dla

widowisk scenicznych, i nic w tem może mniejszej nie odgrywa roli od wysokości poziomu literatury i sztuki dramatycznej.

Ci, którym koniecznie potrzeba specyalnego powodu do wyjaśnienia takiego faktu i którzy jednoczesność objawów biorą za przyczynowy ich związek, chcą rozstrzygnięty w tym czasie konkurs dramatyczny „Kuryera Warszawskiego" i dopuszczenie do sądu publiczności uważać za jedyny bodziec nawrócenia się jej do teatru.

Istotnie, półroczne przeszło dzieje dwóch naszych teatrów snuły się prawie wyłącznie pod hasłem konkursu. Repertuar dramatyczny oparł się przeważnie na dwóch nagrodzonych na wspomnianym już konkursie sztukach; opera znowu konkursowi Sonzogna zawdzięcza łatwe nad wyraz opędzenie całego sezonu; słowem, zdawało-by się, że dla zdyskredytowanych przez tanią humorystykę turniejów autorskich świetne wróciły czasy. Rzeczywistość w innem nieco świetle przedstawia tę rzekomą rehabilitacyę. Z konkursami dzieje się potrochu to samo, co z uczęszczaniem publiczności do teatru; popularność ich występuje w odwrotnym stosunku do poetycznego balastu, którego im mniej w wyróżnionym utworze, tem pewniej liczyć można na aprobatę widzów. Miał zresztą ten konkurs swoją, odpowiedną do chwili bieżącej, psychologię: zapewnił mu rozgłos przeważnie „Flirt." Publiczność jest wogóle bardzo grymaśną, bardzo nerwową damą i lubi flirtować— kto więc umie do jej gustu trafić, ten może być pewnym powodzenia. Posiada tę sztukę w wysokim stopniu Michał Bałucki, ale mało kto domyślił-by się, że ją posiada tak wszechstronnie. Przywykliśmy do zamaszystego, trochę rubasznego humoru autora „Radców pana Radcy"; zżyliśmy się z „łykami" krakowskimi, wśród których Bałucki z taką swobodą zbiera swoje pocieszne spostrzeżenia i wynajduje swoje zabawne typy; nie razi nas nawet pewna niekiedy karykaturalność figur i roznegliżowanie wesołości,—taki w tem wszystkiem jest swojski jakiś animusz. Otóż we „Flircie" sprobował Bałucki nastroić się dla kontrastu na melodramatyczną nutę i udało mu się nadspodziewanie. Udało się naturalnie z publicznością, bo co do krytyki, zdziwiła się niemało, kiedy nazwisko autora „Flirtu" przestało być tajemnicą, a zdumienie miało dwa powody: najprzód, że Bałucki napisał trzeci akt „Flirtu", a potem, że go tak niezręcznie napisał. Wodewilowe zawikłania, krotochwilne sytuacye, wysnute z modnej formy umizgów, która tak nam jest obcą, żeśmy nawet odpowiedniej nazwy znaleźć dla niej nie mogli, — to żywioł pisarza tej miary i tego nastroju, co Bałucki; wśród takich motywów talent jego porusza się jak ryba w wodzie; ale czyż można było przypuścić, że pisarz wytrawny i wielką wagę do naturalności w sytuacyach scenicznych przywiązujący, zostawiwszy odrazu swoją siłę komiczną za kulisami, każe bohaterowi, pod pozorem przed-

stawienia dramatycznych następstw flirtu, przywdziać maskę bajronicznego amanta, wtargnąć do sypialnego pokoju mężatki i tam pod grozą pistoletu kazać jej pić truciznę? Wbrew intencyi autora, jest w tej scenie coś tak nieprzeparcie śmiesznego, że już potem ani modlitwy skruszonej heroiny, ani interwencyi dziecka w koszulce, na którą autor wiele liczyć musiał i która w romantycznie rozczochranym kochanku wywołać miała zwrot psychologiczny — zgoła na seryo brać nie można, tem bardziej, że w ostatnim akcie „Flirt" wraca jakby nigdy nic do farsy, to jest na tory, z których ani na chwilę nie powinien był zbaczać. Okoliczność, że widzowie ten akt z trzema innemi nie zakrztusiwszy się przełknęli, dowodzi, jak silne w masach znajdują zawsze echa dwa tony: farsy i melodramatu; to, co dźwięczy między niemi, cała bogata, na delikatnych odcieniach oparta poezya śmiechu i łzy, będzie zawsze tylko do wybranych przemawiać; z tamtych zaś dwóch końców smakują przeciętnej publiczności nawet arcydzieła — dość powiedzieć, że Shakespeare trafia do niej krotochwilną sceną albo melodramatycznym efektem. Cóż dziwnego, że „Flirt" doczekał się już na warszawskiej scenie „jubileuszowego" przedstawienia?

Niespodzianką w innym rodzaju była dla wszystkich druga sztuka konkursowa, „Nauczycielka." Przypisywano ją różnym autorom, nawet autorkom, nie dając wiary pogłoskom, które wtedy, jak przy każdym konkursie, rzucały na pastwę ciekawości publicznej nazwisko uparcie powtarzane. I to właśnie nazwisko było prawdziwem, a jeżeli wzdragano się postawić je obok zaszczyconego pierwszą nagrodą dzieła, to działały tu znów dwie przyczyny: przeceniano wartość utworu i nie doceniono zdolności jego autora. Repertuar Władysława Koziebrodzkiego znany był u nas z drobiazgów, z mniej więcej zgrabnych jednoaktówek, w których widniała zręczność, dobre literackie obrobienie i niezaprzeczona znajomość teatru, zwłaszcza jego konwencyonalizmów; zdawało się więc, że do stworzenia „sztuki" w nowożytnem tej definicyi znaczeniu, i to sztuki z tezą à la Dumas, zabraknie tchu autorowi takich wdzięcznych obrazków, jak „Stryj przyjechał." Tymczasem Koziebrodzki, napisawszy „Nauczycielkę", nie wyszedł bynajmniej po-za granice tego, co mógł zrobić i, jako autor nagrodzonej komedyi, pozostał pisarzem porządnym, pracowitym, poprawnym, rozporządzającym pewnym zasobem kombinacyi scenicznych, popartych bardzo starannym językiem, a przedewszystkiem oddanych na usługę nader wdzięcznego tematu. Że temat nie jest nowy, że w głównych swoich motywach przypomina bardzo „Dyonizę" Dumasa, tego na seryo, jako zarzut, nie można stawiać autorowi „Nauczycielki"; zdarzają się bowiem takie chwile, kiedy pewne kwestye, zadania, zawieszone w umysłowej atmosferze społeczeństw, pod różne pióra niekiedy jednocześnie

się nasuwają. Do takich tematów należy od lat kilkunastu podział odpowiedzialności, praw i obowiązków między mężczyzną i kobietą, którzy, wspólnie uległszy uczuciu nieuświęconemu sankcyą społeczną, czy też skojarzywszy, w fatalnej dla jednej strony omyłce, uniesienia serca i szał zmysłów, dali życie trzeciej istocie, skazanej na dźwiganie następstw winy swoich przypadkowych rodziców. Przypuszczanie ze sceny szturmu do prawa, wzbraniającego poszukiwania ojcostwa, napotykało dotąd większe trudności niż kampania na korzyść rozwodów i długo jeszcze zapewne napotykać je będzie; ale praca nad wyrabianiem w opinii moralnego podobnych stosunków kryteryum, nad ustaleniem etyki tego rodzaju sytuacyi, w których samolubstwo mężczyzny wychodzi zwykle obronną ręką, a krzywda kobiety uważana jest za karę, przez nią jedynie zasłużoną, — taka agitacya drogą teatru jest w tej chwili wszędzie wielce popularną. Romansujące mężatki sprzykrzyły się już o tyle, że wyczerpano wszelkie możliwe kombinacye między mężem, żoną i kochankiem, z wyjątkiem może jednej, która u schyłku wieku ma jeszcze dla *modernistów* podniecający pieprzyk, — to jest błogiej zgody między trzema tej trójcy osobami. Natomiast panna zdradzona, kawaler opuszczający ją cynicznie i owoc tych stosunków — dziecko, zaczynają zagarniać scenę z równą niemal wyłącznością, jak dawniej dramata wiarołomstwa; tylko na bohaterach znać, że już wyrośli z romantyzmu. Panna nie jest nieświadomem niewiniątkiem; młodzieniec nie rozprawia o „świętych prawach namiętności"; oboje wiedzą, co robią, oboje czują się jednostkami samoistnemi, zwłaszcza wtedy, kiedy już zapóźno, kiedy ona ma się dopomnieć o jakieś prawa, on odepchnąć od siebie jakieś obowiązki. Deklamuje się zawsze potrosze, jak za dawnych dobrych czasów; tylko w tej deklamacyi formuły społeczne zawzięciej ścierają się niż uczucia, a w szermierce odzywa się jakaś adwokacka swada. Gdzie spojrzeć, tych dwoje lub tych troje zastąpiło już kabalistyczny trójkąt małżeński, więżący tak długo literaturę dramatyczną; w naszych zaś teatrach repertuar tak się jakoś dziwnie ułożył, że wyglądał znów niby międzynarodowy konkurs na jeden temat, do którego stanął... nawet Włoch.

W czterech sztukach, mniej więcej spokrewnionych z sobą pomysłem, jedno tylko zabłąkało się dziecko; trzy bohaterki są bezdzietne, a wśród nich, naturalnie, należy się pierwszeństwo, jako premiowanej, heroinie Władysława Koziebrodzkiego. Ma ona pod pewnym względem cechę „swojską"; odbijają się w jej charakterystyce wszystkie te nasze jałowe rozprawy o „pracy kobiet", które z gazet przez nowellę dostają się na scenę. „Dyoniza" Dumasa zajmuje się także kształceniem młodych panien, ale pozycya jej socyalna jest w akcyi podrzędnym tylko szczegółem, na wyłomie stoi przedewszystkiem zraniona

w najdroższych uczuciach kobieta. Koziebrodzki zajmuje się troskliwie „nauczycielką", jak gdyby tą pieczołowitością chciał dać odczepnego „społecznikom"; po-za tem jego bohaterka podobne mniej więcej przechodzi koleje. Uwiedziona i porzucona przez arystokratycznego niepoprawnia, przeboławszy swoje nieszczęście, jęła się pracy pod przybranem nazwiskiem, które jej po pewnym czasie ułatwia objęcie obowiązków pedagogicznych przy wnuczce wiekowej damy z wielkiego świata. Podczas krótkiej nieobecności nauczycielki, te panie poznały gdzieś na wodach jej uwodziciela i, nic nie wiedząc o sprawkach panicza, upoważniły go do bywania w ich domu w charakterze konkurenta. Spotkanie się dwojga bohaterów dawnego romansu, wiadomość o projektowanem małżeństwie z wnuczką, sprowadzają katastrofę. Nauczycielka nie dopuści za żadną cenę, żeby taki nikczemnik został mężem niewinnego dziewczęcia, które jest dla karyerowicza tylko dodatkiem do posagu; siebie, cześć swoją, szacunek rozkochanego w niej szlachetnego młodzieńca poświęci—a obowiązek swój spełni. I spełnia w scenie wyznania, poprowadzonej z niepospolitą powściągliwością, w której odzywają się szczere akcenta prawdy. Nagrodził zresztą autor ten heroizm bardzo szczęśliwym wynikiem pojedynku między uwodzicielem i pretendentem *quand-même* do ręki nauczycielki, a choć się to stało przy użyciu bardzo staroświeckich sposobów, jak np. przypadkowe podsłuchywania rozmów tak kierowanych, aby interesowany tyle właśnie usłyszał, ile jest nieodzownie do wyjścia z trudnej sytuacyi potrzebne — to jednak przyznać się godzi, że to wyjście wydaje się widzowi jeszcze naturalniejszem, aniżeli zakończenie „Dyonizy." Rzecz dziwna: przy całej naturalności nietylko ostatniej sceny, ale zasadniczych sytuacyi sztuki, przy całej umiejętności przedstawienia rzeczy tak, że ludzie, wypadki, wszystko wygląda, jak w życiu podpatrzone, jest w „Nauczycielce" jedna tylko naprawdę żywa figura—matka heroiny. Postać to epizodyczna, ubocznie z akcyą sztuki zespolona; jednak ją-to właśnie publiczność plastyczniej widzi, ona, z całą swoją pospolitością instynktów, z całem przytępieniem zmysłu moralnego, pozostaje najwypuklej w pamięci widza. Czem się to dzieje? Przyczyna, jak mi się zdaje, bardzo prosta: kreśląc tę figurę, Koziebrodzki nie robił literatury. Więc realizm, albo nawet naturalizm rysunku dał tyle życia prostej sylwetce? Wypada się tu porozumieć co do znaczenia pewnych, często w obiegu będących, określeń.

Jesteśmy, jak twierdzi cały legion reformatorów literatury dramatycznej, w zaraniu teatru psychologicznego. Stara poetyka, domagająca się dla sceny *czynu* więcej niż słowa, rzucona już została między nieprzydatne na nic rupiecie; psychologia dzisiejszego teatru ma na widza oddziaływać naprzód *nastrojem* scenerYi, co, z wielkiem ułatwie-

niem dla autorów, biorą na siebie reżyser, dekorator i illuminator, a dalej tem, co bohaterowie mówią. Zasadą jest zreformowanego teatru, żeby akcya była na scenie zredukowana do *minimum;* natomiast omawianie na niej czynów spełnionych za kulisami lub w międzyaktach, ma być najważniejszym środkiem wydobycia plastyki figur i rozwijania w nich charakterów. Przy tej przewadze dyalogu, bal nawet monologu (z takim ferworem wyszydzanego w romantyźmie), musiała naturalnie na pierwszy plan wystąpić kwestya języka teatralnego i tu zaczyna się w pojęciach zamieszanie. „Na scenie powinno się mówić jak w życiu" głoszą jedni, i przeniósłszy na deski język dnia powszedniego z ulicy, z kawiarni, ze sklepu, z jadalni, z sypialni, dziwią się, że to wszystko przy gazie, zastępującym słońce, wśród tekturowych domów i płóciennych pokoi, brzmi fałszywie, a tak jest dalekiem od prawdy, jak owo żywe drzewo, dla realistycznego wrażenia postawione na scenie, gdzie nierównie prawdziwszy efekt wywierały malowane drzewa. „Język w teatrze musi być psychologiczno-literacki" wołają inni — i muż gromadzić balast najrozmaitszych „intencyi", któremi brzemienna ma być mowa bohatera. Na nieszczęście, ojcem tych intencyi jest tak widocznie autor, że między jego dziećmi a duszą ludzi, wprowadzonych przezeń na scenę, żadne zdaje się nie istnieć pokrewieństwo. „Intencye", nie przeszedłszy w krew tych ludzi, ślizgają się, rozpuszczone w płynnych frazesach, po zewnętrznej charakterystyce bohaterów; *des mots d'auteur* często trafne, niekiedy bystre, czasem dowcipne, odrazu zdradzają się ze swojem pochodzeniem. Trzeba być Dumasem, żeby indywidualny styl pisarza narzucić publiczności zamiast prawdy; jeżeli się nie jest Dumasem, jeżeli się nie ma tego stylu, zdobywającego widza wstępnym bojem, — wtedy „robi się literaturę" i tę robotę, przy wielkich nawet usiłowaniach zbliżenia się do prawdy, tak dalece znać, że publiczność, wychodząc z teatru, mówi do siebie: „tak, zapewne; ci ludzie, te wypadki, te sytuacye, wszystko to mogło być—ale w rzeczywistości to musi inaczej wyglądać." Pisarzów, którzy-by, jak Becque we Francyi, lub Sudermann w Niemczech, odczuwali oddzielnym zmysłem artyzm języka teatralnego; którzy-by mieli w uszach akustykę sceniczną każdego słowa, każdej pauzy, każdego domyślnika; którzy-by potrafili, przepływając między banalnością tak zwanej „naturalnej mowy" a sztucznie literacką frazeologią, zawrzeć w najobojętniejszym wyrazie streszczenie sytuacyi, rys charakteru, komentarz przeszłości, objaśnienie chwili obecnej, zapowiedź przyszłości, — takich artystów słowa jest dziś niewielu, w każdym razie mniej, niż apostołów reformy teatralnej.

Włochy mają jednego — poznaliśmy go w autorze „Tych panien." Marco Praga nie robi literatury; syn krainy, w której słońce jest

rzeźbiarzem realnych kształtów i form plastycznych, włoski komedyopisarz nazywa rzeczy po imieniu, a przytem posiada rzadki dar zatrzymania siły charakterystyki w przyzwoitem oddaleniu od brutalności. Bystrość obserwacyi skierował Praga specyalnie na kobietę. Jego „Moglie ideale", zestawiona z „Temi pannami", wyczerpuje prawie niewieścią naturę, taką naturalnie, jaką sobie wyobraża włoski komedyopisarz i jaką ogarnął uśmiechem *des lachenden Demokritos*. „Żona idealna", urządzająca stosunek we troje tak, żeby wilk (to jest mąż) był syty i owca (to jest ona) była cała; „Panny", będące „dziewicami" (*vergini*) tylko fizycznie i, przy zupełnym zaniku zmysłu etycznego, przez proste wyrachowanie, o taką jedynie dbające czystość — to są figury, które dla Marco Pragi streszczają świat kobiecy. Nieszczególnie, nawet odstręczająco, wygląda on chwilami; ale Praga jest artystą, nad brzydotą nie zatrzymuje się dłużej niż potrzeba, w pessymistycznych pogłębieniach wyłącznie rozkoszy nie szuka, a przedewszystkiem strzeże go od jednostronności mniej niż średnia sympatya dla mężczyzny. Być może, iż w oczach Marco Pragi mężczyzna sam w sobie, *an sich*, jest panem stworzenia; ale w zestawieniu z kobietą, zwłaszcza w pewnych sytuacyach, niewiadomo na kim silniej cięży brzemię ironii autora. To pewna, że w kobiecie widzi Praga więcej odwagi, kiedy chodzi o poświęcenie wszystkiego na ołtarzu uczucia lub namiętności, którą jej się miłością nazwać podobało; mężczyzna ogląda się około siebie rozważniej, liczy się z mnóstwem rzeczy i nie lubi mostów za sobą palić. Ma to niby pozór jakiegoś instynktu moralnego, to też chętnie mężczyzna tego pozoru się chwyta; ale jedno szydercze spojrzenie Pragi wystarcza, żeby ta maska wykrzywiła się wyrazem tchórzostwa. Taką fizyognomię ma w „Moglie ideale" kochanek, przesycony już romansem z mężatką i wobec kobiety, która uczciwość, honor, obowiązek opiera na erotycznym kodeksie, odwołujący się niezgrabnie do zasad i względów, podeptanych przez siebie bez skrupułu, kiedy szło o zdobycie w niej metresy; nie lepiej przedstawia się bohater w „Tych pannach", co tem bardziej jest zastanawiającem, że mu autor nie poskąpił dodatnich rysów. Wprowadzony do domu „tych panien" przez pogodnego sceptyka, różniącego się od zwykłych *rezonerów* i adwokatów autorskiego „światopoglądu", tem, że nie jest nudnym, — młodzieniec zoryentował się odrazu i dość mu było spojrzeć na mamę dwóch dziewiczych córeczek, żeby wiedzieć, gdzie się znajduje i ustrzedz się od wszelkich złudzeń. Nic to jednak świadczy o bystrości bohatera,—cały bowiem wygląd domu, zwłaszcza w oświetleniu usłużnego sceptyka, usuwa wszelkie wątpliwości; ale jest w tym domu trzecia „panna", tak odmienna od sióstr swoich, taka zdaje się obca w tej atmosferze nieświadomego siebie zepsucia, że młody człowiek

odgadł w niej duszę, a odgadłszy, oddał jej swoją, mimo przestrogi przyjaciela. Na nieszczęście, ta „panna" sercem, umysłem, wyobraźnią, wszystkiemi idealnemi aspiracyami, nie jest panną ciałem, jak jej siostry. Przyjaciel ojca, rozpustnik bez sumienia, nadużył naiwności podlotka, zanim szesnastoletnia dziewczyna zrozumiała, czem opłaciła swoje przekształcenie na kobietę. Kiedy teraz po rękę jej sięgną człowiek, którego ze wszystkich sił pokochała, powinna była wyznać mu wszystko; nie miała jednak siły własną ręką zdruzgotać jedynego szczęścia, jakiego w życiu zakosztować mogła. Traf, niby błyskawica towarzysząca gromowi, oświecił narzeczonego, w dniu, kiedy miał stanąć u ołtarza. Włoski komedyopisarz nie kazał mu się żenić na wzór bohatera „Dyonizy" — żadne „kategoryczne nakazy" na podobne wypadki nie istnieją; — ale mu pozwolił postąpić inaczej, co świadczy, jak marne ma autor wogóle pojęcie o mężczyznach. Ten młodzieniec, lepszy bądź co bądź od wielu innych, skoro umiał odrazu odróżnić wartość moralną kobiety, zakochany szczerze i nawet w chwili, kiedy się o wszystkiem dowiedział, zdający sobie sprawę, że to, co jego narzeczoną niegdyś spotkało, jest więcej nieszczęściem niż winą — ten człowiek zdobywa się na smutną odwagę zaproponowania kobiecie, z którą się już żenić nie chce, żeby została jego kochanką! Jakże licho, mizernie w tej scenie wygląda, jak po odmowie kobiety, czującej się wtedy wyższą o całe olbrzymie samolubstwo mężczyzny, świetnie go maluje gest nakrycia w pokoju głowy, kończący króciutką niemą scenę walki! Nie wesołe to wszystko, jako filozofia życiowa; ale ile w tem talentu komedyopisarza z krwi i kości, ile miarkowanej artyzmem szczerości! Wolę stokroć szczerość tego ruchu kapelusza, aniżeli fałszywy idealizm samobójstwa, którem kończy się sztuka p. Kazimierza Zalewskiego.

Mówię o niej z kolei, a bezpośrednio po „Tych pannach"—bo, niezależnie od pewnych dalekich pokrewieństw między heroinami *qui ont eu des malheurs*, występują w „Prawach serca" motywa, zapewne wbrew intencyi autora, doprowadzające widza do tych samych konkluzyi życiowych, jakie mu włoski komedyopisarz w „Moglie ideale" przedstawił. Do praw serca odwoływała się „Idealna żona" Pragi, czepiając się rozpaczliwie znużonego kochanka. Że „prawami" nazywa swoje histeryczne pretensye kobieta, że z tą logiką, której namiętność dostarcza argumentów, usiłuje zbudować cały systemat „powinności" mężczyzny, wyfilozofować całą etykę wiarołomstwa, to wszystko jest w porządku, to wypływa z całokształtu poglądu autora na kobietę i wogóle na stosunek do niej mężczyzny; ale żeby w roku pańskim 1893 mężczyzna mógł być reprezentantem takich pojęć; żeby, stanąwszy na stanowisku skrajnego romantyzmu z przed pięćdziesięciu lat, pod nazwę „praw serca" podszył najprostsze chętki krwi, wzbu-

rzonej na widok swojej ofiary, którą był uwiódł, następnie, żeniąc się dla pieniędzy, bez ceremonii i żalu pożegnał, a w kilka lat później, ujrzawszy znowu już jako mąż innej, chciał mieć powtórnie za kochankę; żeby ten pan literackiemi frazesami starał się w każdym akcie wmówić w publiczność, że jest w dobrej wierze, że jego nerwy wzniosłem drgają wzruszeniem, a jego żądza jest najczystszą miłością; żeby, nie mogąc przekonać heroiny, która nim pogardza, ani publiczności, która go na seryo nie bierze, wychylił truciznę i do reszty się ośmieszył, — to znowu jedna z siurpryz (minione półrocze teatralne obfituje w nie widocznie), najmniej u p. Kazimierza Zalewskiego spodziewanych.

Repertuar autora „Przed ślubem", zapatrywania przeprowadzane przez p. Zalewskiego w krytyce, uczyniły go w literaturze dramatycznej obrońcą „rodziny", nurtowanej przez nowsze, z za granicy płynące prądy filozofii społecznej; tem dziwniejsze wobec tego stanowiska sprawiają wrażenie „Prawa serca", na których głos dotychczasowe ideały p. Zalewskiego z naczelnych zdają się ustępować planów. Już sztuka „Oj mężczyźni" zaświadczyła, że nastrój... *folichon* u innych tylko razi autora; ale *das heilige Lachen* nie jest jeszcze odstępstwem od zasad. Dopiero uwielbienie p. Zalewskiego dla Ibsena, który, bądź co bądź, wytwarza dramatyczne sytuacye z antagonizmu między stosunkami rodzinnemi a jednostką, krępowaną jakoby tym ustrojem w oderwanem swego *ja* rozwoju, — dało wiele do myślenia; „Prawa serca" silniejsze jeszcze pod tym względem obudziły wątpliwości.

W gruncie rzeczy, jaki jest stosunek obojga bohaterów sztuki p. Zalewskiego do zasad etycznych, których tak surowo przestrzega, oceniając obcą literaturę? Panna pozwoliła się uwieść młodzieńcowi — to się zdarza; ale, uległszy, żyje z nim lat parę, nie pytając się o przyszłość,—co już rzadziej się przytrafia; spostrzega zaś dopiero, czem była dla kochanka, kiedy ten ma z bogatą kuzynką stanąć u ołtarza. Gdzie tu szukać źródła tej osobliwszej niefrasobliwości? Czy teorya „praw serca" zastępuje heroinie zmysł moralny? czy mamy do czynienia tylko z istotą etycznie nierozwiniętą, czy też z wyznawczynią „wolnej miłości?" Jaką ta kobieta była w domu rodziców, a jaką była-by w swoim żoną, matką? Na to wszystko dyskretnie rzucono cień, który też z fizyognomii bohaterki nie ustąpi, bo punkt ciężkości tego charakteru przeniesiony będzie dalej na jego stronę umysłową. Dowiemy się później, że heroina skończyła studya w Paryżu, że jest znaną lekarką, że pracuje samodzielnie, — słowem, poznamy istotę jej intellektualną, — moralna pozostanie do końca zagadkową; bo przecież odtrącenie zmysłowych napaści znienawidzonego człowieka klucza jeszcze do tej duszy nie daje.

A bohater? Względem niego znów podobna niejasna ostrożność. Ten jegomość jest mężem i ojcem; żona jego i dziecko wchodzą nawet na scenę. Mniejsza o to, że są tylko komparsami; mniejsza o to, że dramat małżeński trwożliwie tu jest omijany; pragnęlibyśmy wiedzieć, jaką w tem rolę odgrywa ten, który gwałtownie chce być bohaterem jakiegoś dramatu; jak się w jego pojęciu nazywają prawa, na których podstawie założył rodzinę? Z deklamacyi jego wnosimy, że spóźniony o pół wieku romantyk robi jakieś różnice między „uczuciami" dla dwóch przeznaczonemi kobiet; ale romantyzm jego nie posuwa się aż do buntu przeciwko małżeństwu. Nie, — wogóle sentymentalnemu filistrowi jest na świecie wcale nieźle; interesa idą dobrze, w domu panuje widocznie spokój, żona wydaje się nawet szczęśliwą; byłby to więc hołd, złożony rodzinnym ideałom, gdyby po-za tem wszystkiem nie majaczył cały świat innych pragnień i aspiracyi, którym wyraźnie — bo aż w tytule — przyznane są prawa, od owych ideałów niezależne i nic z niemi wspólnego nie mające. Z której tedy strony, z prawej czy z lewej, ma szukać punktu oparcia bujny, żądny wrażeń temperament? I tu trochę, i tam trochę—zdaje się odpowiadać przyklad bohatera. Rodzina swoją drogą — tej tykać się nie godzi; ale „prawa serca" swoją drogą — przeciwko tym walczyć niepodobna; że zaś heroina nie jest tego zdania, więc bohater życie sobie z rozpaczy odbiera. Pomijam sztuczny patos tej sytuacyi, której istotną bohaterką jest... fizyologia; pomijam chybiony efekt tego samobójstwa, wywołujący tylko uśmiech na usta rozsądnego widza; natomiast nie mogę zamilczeć, że publiczność, odporna na retorykę, wynosi z tej sztuki wrażenie czegoś nieszczerego. Komedya p. Zalewskiego wygląda na osobliwszy kompromis, nietylko formuł literackich (*skrybizm* faktury i romantyzm nastroju kojarzy się tam dziwnie z pewnemi ibsenowskiemi motywami), ale i społecznych postulatów, postawionych na gruncie uczucia. Na tym kompromisie najgorzej wyszło serce, w imię którego niby przemawiano; nie widać go ani w rodzinie, przedstawionej jakby z intencyą blado i bezbarwnie, ani tam, gdzie, według autora, prawa dyktować miało. Jest natomiast wszędzie frazes, osłaniający lękliwość, z jaką się około tych i tamtych „praw" chodzi. Otóż jeżeli przed pewnemi tematami staje się z odkrytą głową, jak to dotychczas robił autor „Złego ziarna"; jeżeli nakrywa się ją przed innemi, jak sobie tego odważnie pozwala włoski komedyopisarz; to ciągłe tu i owdzie zdejmowanie i wkładanie kapelusza sprawia to, że w końcu nikt nie wie, przed czem się pisarz kłania — nieporozumienie najgorsze dla publicysty scenicznego, który jakichkolwiek praw bronić zamierza.

Takiego nieporozumienia nie było z Maryanem Gawalewiczem; ten wiedział, czego chce, a jeżeli co zaszkodziło mu u publiczności, to,

że chciał zawiele. Nikt zapewne sprzeczać się z nim o to nie będzie, że stare długi, materyalne czy moralne, skrupulatnie płacić należy; M. Gawalewicz jest zdania, że nie wolno jest cofnąć się nawet przed lichwiarskiemi procentami, choćby uregulowanie rachunków wymagało znacznego nakładu bohaterstwa—i tu widz nie mógł się już pogodzić z komedyopisarzem. Sztuka M. Gawalewicza pod ogólnym tytułem „Stare długi", łączy się z tą literaturą praw i zobowiązań moralnych, którą rozpatrywaliśmy dotychczas; są to właściwie wszystko *stare długi*, występujące w różnych formach, stosownie do tego, kto się uważa za dłużnika, kto za wierzyciela. I tu żonaty człowiek jest dłużnikiem, wierzycielką opuszczona, choć nie uwiedziona, bo za taką sama się nawet nie podaje. Jest to bohaterka z rodziny Musotty, o tyle mniej interesująca, że nie potrafiła umrzeć w porę, przez co ubył publiczności śliczny akt pożegnania, a przybyła scena odrazu kwestyę „starych długów" na fałszywym stawiająca gruncie. Dziewczyna, z którą za kawalerskich czasów żył w blizkim stosunku młody adwokat, obecnie, jak się zdaje, dość źle ożeniony, jest matką jego dziecka. Dopóki mogła, nie narzucając się ojcu, pracować na własne i syna utrzymanie, schodziła z oczu dawnemu kochankowi; ale teraz zmuszoną jest przypomnieć mu, że istnieje. Trafia jej się sposobność towarzyszenia za dobre wynagrodzenie aż do Algieru osobie chorej na piersi. Przyrzeczona suma — to przyszłość jej i dziecka; ale, rzecz prosta, że jechać może tylko sama, a dziecko potrzebuje opieki. Dobroduszny widz znajduje na to odrazu radę; nie wątpi on, że uczciwy ojciec tę opiekę dziecku swemu zapewni, umieściwszy je w dobrych rękach na rok (bo tyle ma trwać nieobecność matki) i otaczając osobistą troskliwością. Tylko że dla matki to zamało; upomina się ona o dług z procentem składanym i żąda bez ceremonii, żeby człowiek, mający już inne obowiązki, wziął dziecko do domu, który jest także domem jego żony, co naturalnie stać się tylko może w tym wypadku, jeżeli żona z ust męża dowie się o wszystkiem, a ta właśnie spowiedź wydaje się matce nietylko zupełnie naturalną, ale i konieczną. Że tak sytuacyę ocenia kobieta, najwięcej w niej zainteresowana, niema w tem nic nadzwyczajnego — uczucia mają w tych razach odrębną w sercach niewieścich logikę; ale że M. Gawalewicz nie doprowadził swej heroiny do porządku, temu słusznie dziwili się wszyscy, autor zaś nietylko że tego nie zrobił, ale ze sposobu, w jaki traktował kapitalną scenę wyznania, z postawy, jaką kazał przyjąć żonie, wręcz odmawiającej mężowi, widać, że się gniewa na tę żonę i że w jego gniewie kryje się właściwa teza, tej mniej więcej treści: „gdyby skruszony i żałujący za grzechy adwokat inną miał towarzyszkę życia, była-by jego dziecko przyjęła." Zapewne, że tak być mogło; ale czy potrzeba było dać tej towarzyszce aż fizyognomię

jędzy i kazać jej przypominać ustawicznie mężowi, że z jej pieniędzy płaci swoje długi, ażeby umotywować odmowę, na którą zdobyć się mogła każda, najlepsza, choć odrobinę zazdrosna kobieta, zwłaszcza jeżeli matka żyje i byla-by zawsze, mimo oddalenia, w osobie dziecka obecną? Jakkolwiek teza, jeżeli ma być jasno postawioną, może mieć jedno tylko rozstrzygnięcie, autor chciał rozwiązaniu nadać rozmaitość życiowych objawów i zaproponował dwa zakończenia, które były kolejno produkowane. Raz matka, usłyszawszy rozmowę męża z żoną, cofa swoje żądanie i nie chce takiej dla swego dziecka opieki; to znów mąż, przekonawszy się o oschłości serca żony, która grozi opuszczeniem domu, sam się usuwa i idzie „do obowiązków dawniejszych." Rozprawiano nad tem, które rozwiązanie prawdziwsze, kiedy zdaniem mojem nie o zakończenie, ale o początek najwięcej tu chodzi. Punkt wyjścia jest wadliwy, a staro-rzymska maksyma *quod initio vicioswn est...* ma i tu swoje zastosowanie.

Na tej formie stosunku mężczyzny z kobietą, w której może być jeszcze mowa o jakichbądź „starych długach", nie skończyło się jednak w repertuarze minionego sezonu; przebiegłszy z góry na dół drabinę różnych kobiecych rewindykacyi, poznaliśmy jeszcze jedną bohaterkę, stojącą na szczeblu, gdzie ustać muszą wszelkie pretensye, gdzie nikt nikomu nic nie jest winien, gdzie z pod wszelkich bilansów etycznych wymyka się czynnik nieobliczalny: nałóg. — Tą heroiną była „Safo" Daudet'a. Sztuka nie miała powodzenia nietylko dlatego, że są w niej wszelkie wady przeróbki z powieści, ale że przyszła nie w porę — zapóźno. Utwory teatralne potrzebują do życia sprzyjającej w publiczności atmosfery literackiej; otóż był czas, kiedy zawieszona w tej atmosferze epidemia „choroby woli" podniecała w tym kierunku niezdrową ciekawość widza. W chwili kiedy na scenie ukazała się „Safo", zaraza właśnie „dogasała", że użyję stylu buletynów sanitarnych; przeciwnie, nastała w literaturze doba odwetu „zdrowej woli", nic więc dziwnego, że ludzie, jak się to niekiedy zdarza, przestali wierzyć, żeby epidemia kiedykolwiek grasowała. W dodatku przykład tej choroby, przedstawiony w sztuce Daudet'a, nie ma w sobie nic zajmującego. Namiętność w stanie zapalnym ze swemi wybuchami, z hallucynacyami swej gorączki, może być materyałem do dramatu; ale od chwili, kiedy, przeszedłszy w okres chroniczny, staje się nałogiem, żyjącym nie walką lecz kompromisami z trybem życia codziennego, przestaje być dramatyczną i należy raczej do dziedziny komedyi. Na proces takiego znałogowania przyzwoitego mężczyzny do nic nie wartej kobiety patrzymy przez kilka aktów z tem samem usposobieniem, z jakiem patrzy się na pijaka, tłómaczącego sobie, że się bez wódki obejść nie może. Ci państwo porzucają się, to znów padają sobie w objęcia,

wdając się w coraz łatwiejsze tranzakcye z najprostszym zmysłem moralnym; w końcu ona go porzuca. Kim i czem ja mam się tu zająć? Sytuacyą? — jest śmieszną raczej niż wzruszającą, a przestała-by być komiczną w takim tylko razie, gdy uwikłani w nią ludzie nazywali się np. Manon Lescault i Desgrieux, t. j. należeli do niewymierającego nigdy pokolenia kochanków rasowych. Bohaterowie „Safony" są kabotynami miłości i dlatego nie istnieje dla mnie jedyna niby racya bytu sztuki: współczucie dla mężczyzny, „który się marnuje." Było w nim tak niewiele do zmarnowania, że można się oń nie troszczyć. Przeczytawszy list z odprawą „Safony", uroni kilka łez, a potem będzie tak samo nic nie znaczącym jegomością, jak nim był przed „zmarnowaniem."

Jeżeli „Safonę" zapóźno u nas przedstawiono, to pani Mellerowa jeszcze bardziej spóźniła się z napisaniem „Hrabiny Tei." Jest to *eine Räubergeschichte* z intencyami romantycznemi. Intencye o tyle mogą w tem literackiem przewinieniu służyć za okoliczności łagodzące, że autorka podobno zamierzała za pomocą neo-romantyzmu wskrzesić do życia na scenie poezyę, zwarzoną powiewami realistycznemi. Na nieszczęście, neo-romantyzm okazał się starym romantyzmem z melodramatycznym nastrojem. Hrabina, niezadowolona z hrabiego, kocha się w jego kuzynie i odgrywa nawet wobec pełnego chwalebnych skrupułów młodzieńca rolę Putyfarowej. Gdy jednak Józef uciekł, nie zostawiwszy nawet płaszcza, namiętna niewiasta budzi dla siebie miłość w sercu marynarza z nadmorskiej wioski (rzecz dzieje się we Włoszech), w nadziei, że rozkochany rybak uwolni ją od męża i popchnie w objęcia owego kuzyna. Wartość pomysłu uwalnia mię od rozwodzenia się nad wykonaniem tej inwencyi, która, gdyby nawet była umiejętniej przeprowadzona, jest staroświeckim dramatem małżeńskim, a ten przy dzisiejszym nastroju umysłów traktować można tylko komicznie, albo... symbolicznie. Próbki obu tych formuł mieliśmy w komedyi Piotra Wolffa „Te które się szanuje" i w sztuce Ibsena „Hedda Gabler."

Tytuł francuskiego utworu odrazu publiczność uprzedza, że w oświetleniu ironii ujrzą kontrast między temi, które się szanuje, a temi, których się nie szanuje; sceptycyzm zaś autora tak widza względem porównywanych wartości moralnych postaci usposabia, że nie będzie wiedział, co ze swoim szacunkiem robić i po której stronie go umieścić. Mężatka prawie pierwsza rzuca się na szyję przyjacielowi męża, który dla niej rozłącza się z rozkochaną w sobie dziewczyną, a nową zdobycz przyjmuje w swojej kawalerskiej siedzibie. Te panie spotykają się tam przypadkiem, z czego korzystając odprawiona kochanka, uważa za stosowne w barwnym języku „Safony" wypowiedzieć rywalce „ze świata", co myśli o tych „które się szanuje", a kochanek

obu przyskakujących sobie do oczu jejmości, tak ma tego dosyć, że kiedy mąż, jak zwykle o niczem nie wiedzący, ale przyprowadzony do ostateczności lekceważeniem, prawie pogardą małżonki, zwierza się przyjacielowi z zamiaru przeprowadzenia rozwodu, nieszczęśliwy Don Juan z komiczną trwogą woła: „bój się Boga, nie rób tego!" Dowcip, podszyty bystrą obserwacyą, pryska tu z każdego wyrazu. Scena przymusowej tkliwości młodzieńca już przesyconego, sytuacya męża odgrywającego nieświadomie rolę sędziego polubownego między żoną i kochankiem, kreślone są z werwą, pełną szerokiego, komicznego polotu.

Co innego „Hedda Gabler"; tu wszystko uroczyste, tajemnicze— każde słowo, każdy gest bohaterów należy do rytuału, w którym solennie celebruje skandynawski mistagog. Na nieszczęście, nie każda publiczność stoi na wysokości tych obrządkowych przedstawień, a tutejsza uznaną została przez warszawskich Ibsenistów za tępą. Widz o małolotnej wyobraźni, obdarzony natomiast zdrowym rozsądkiem, nie chciał ani interesować się zachciankami ciężarnej bohaterki, ani dopatrywać w niej czegoś więcej prócz tego, co mu się plastycznie w teatrze przedstawiło, t. j. kobiety, która, nudząc się sama, nudzi innych, jeżeli ich nie bawi wbrew własnej i autora woli. A i to się zdarza, tam zwłaszcza, gdzie wkracza na scenę nieszczęsny symbol. Wtedy publiczność, rozumiejąca, mimo swą wyobraźnię *terre à terre*, że symbol, jeżeli ma działać, musi być albo poetycznym, albo filozoficznym, i występować w pewnem perspektywicznem oddaleniu czasu albo przestrzeni; publiczność, która czytała „Nieboską komedyę" i wie, jakiego trzeba na to geniuszu, żeby natchnąć życiem symbol społeczny, wytworzony ze stosunków uczuć i ideałów, współczesnych widzowi, ta publiczność szuka tego wszystkiego i widzi natomiast świat trochę pospolitych ale niezłych filistrów, w którym trafiają się nawet takie śliczne figury, jak stara panna, żyjąca tylko dla innych, w tym zaś świecie poznaje żonę, zawiedzioną na wartości umysłowej męża, ocenionej przez nią niewiadomo jakim sprawdzianem, bo ta pani niczem żadnej wyższości nad swoim małżonkiem nie okazuje. Z tego rozczarowania mogą wyniknąć małżeńskie kollizye. *Eine alte Geschichte!* — zapewne; to też nowym ma być sposób, w jaki autor dowodzi, że *bleibt sie doch immer neu*. Tym zaś sposobem jest nie sam dramat, lecz groźba dramatu. „Co to będzie, co to będzie!" — straszy Ibsen swoją publiczność i takim zawieszonym nad nią postrachem zastępuje ścieranie się uczuć, czyny, sytuacye. Na tej groźbie kończą się zwykle nieporozumienia matrymonialne u poety norweskiego, któremu za zasługę poczytywane jest to, co wynika prawdopodobnie z temperamentu kobiet skandynawskich. Ibsen nie doprowadza nigdy dramatów małżeńskich do faktów nieodwołalnych; żony u niego albo odchodzą od mężów, od dzieci, przekonawszy się, jak Nora,

że małżeństwo było oparte na kłamstwie, i szukają w życiu rozstrzygnięcia pytania: „kto ma słuszność: one czy społeczeństwo?" albo też, nie mając w sobie żadnych społecznych instynktów, ani zrozumienia szerszych zadań życiowych, istnieją po to tylko, żeby symbolizować złowrogą siłę, która wszystko koło siebie pustoszy. Hedda Gabler ma być właśnie takiem nowem wcieleniem kobiety, zrodzonem prawdopodobnie pod wpływem gynekofobii Strindberga, który Ibsenowi spać nie daje. Zamierzony tragizm tej postaci objawia się dość powszednio w kaprysach oschłej *fin de siècle* egoistki, a za ofiarę obiera sobie nie męża, lecz symbol w garniturze, naturalnie źle skrajanym, bo jest to jedna z odmian „obcego człowieka", wędrującego przez cały repertuar ibsenowski, jako uosobienie wolnej, niczem nieskrępowanej, do żadnego społeczeństwa niedopasowanej indywidualności, która swobodnie, posłuszna jedynie grze naturalnych instynktów, życie przeżywa. Ten duch niezależny jest współzawodnikiem męża Heddy na naukowe stanowisko; napisał był właśnie z pomocą pewnego gatunku Nory, uprawiającej po ucieczce z pod rodzinnego dachu flirt literacki, książkę, która mu w tej rywalizacyi zapewnić może zwycięstwo. Do tego tryumfu nie dopuści Hedda, a dopomoże jej traf, dzięki któremu, rękopis dzieła, zgubiony przez autora, wpadł w jej ręce. Zrospaczony utratą duchowego dziecka, twórca dostaje od Heddy na pociechę pistolet „generała Gablera" z estetyczną przestrogą, „żeby wszystko odbyło się pięknie", a manuskrypt idzie do pieca, przy powtarzaniu przez bohaterkę z pogrzebaczem w ręku słów: „jego dziecko, ich dziecko", działających tak komicznie, że widz śmieje się z tego „dziecinnego" symbolu, bez żadnego poszanowania dla dramatycznego nabożeństwa, ani dla kapłana, który je odprawia. W konkluzyi Heddę Gabler zabija nie wystrzał z drugiego pistoletu generała Gablera, wymierzony przez heroinę samobójczą ręką, ale ten śmiech publiczności zamało naiwnej, a na szczęście nie dość przesubtelizowanej, ażeby pozwoliła wmówić w siebie dramatyczną scenę, zbudowaną na... metaforze literackiej. Cały symbolizm tej sztuki tkwi po-za nią w mózgu autora, gdzie się też zostały wszystkie domyślniki i intencye, przeznaczone do nadania rzeczom najpowszedniejszym nadzwyczajnej fizyognomii, a wypadkom najpospolitszym znaczenia kataklizmów psychologicznych, których groza, zawieszona nad widzem, powinna mu dech w piersiach tamować; że zaś jedyną łącznością między głową autora a tem, co na scenę wprowadza, są pewne literackie *leitmotivy*, będące dotychczas przedmiotem sporów nawet między wyznawcami Ibsenowskiego kultu, więc publiczności nie imponuje symbol, pod którym nie wiadomo co jest i czy jest wogóle cokolwiek, ani jej też przeraża owa groźba czegoś potężnego, co się ma stać a nie staje się. Jest obojętną, o ile się nie śmieje.

Rzecz dziwna, nie zobaczył nikt uśmiechu na ustach tej „tępej" publiczności, kiedy patrzyła na „Rodzinne gniazdo" Sudermanna; a jednak, jeżeli gdzie, to w tej sztuce występują do walki idee, siły moralne, całe światy etycznych stosunków — tylko to wszystko pulsuje życiem ludzi z krwi i kości, którym autor, przed wypuszczeniem ze swego gabinetu na scenę, nie przypinał symbolicznych etykiet. Myśl filozoficzna wydziela się sama przez się, tak, jak unosi się na pewnych wyżynach nad samem życiem, upraszczając dla patrzącego z wysoka powikłania spraw ludzkich, rozmaitość działających w nich czynników. „Rodzinne gniazdo", przedstawione niedawno i jakby zamykające okres teatralny, objęty niniejszym szkicem, ma z tego powodu inne jeszcze znaczenie: wypadkowo streszcza i jakby podsumowywa te wszystkie prądy, aspiracye, pragnienia, protesty, które oględniej lub śmielej odzywały się w rozbieranych dotychczas, czy też tylko charakteryzowanych, utworach. Istotnie, jeżeli wyłączymy z rozpatrywanego materyału literackiego rzeczy, kwalifikujące się do wyłączenia przy ocenie repertuaru „ideowego"; jeżeli dla ścisłości tylko wspomnimy: o powodzeniu „Fredzia" p. Grajbnera, wywołanem więcej wirtuozowstwem autora na antysemickiej nucie, aniżeli niewątpliwą zdolnością w kreśleniu minionych dodatnich typów; o „Wejściu w świat" p. Zygmunta Przybylskiego, który zawsze w ten sam świat wchodzi i nas tam za sobą wprowadza; wreszcie o takich ramotach, jak „Już go mam" p. Ruszkowskiego, albo „Ostatni grosz" p. Wołowskiego, które uważać wypada przedewszystkiem za omyłkę reżysera — uderzy nas w ocenionych obszerniej sztukach wspólna cecha: potrzeba obrachunku jednostki ze społeczeństwem. Indywidualnością, obliczającą się bądź z otoczeniem, bądź z pewnym układem stosunków, bądź z poglądami przez tradycyę uświęconemi, albo wreszcie z najbliższemi sobie istotami, jest kobieta, czasem żona, najczęściej kochanka, nawet córka. Występuje w tem dużo krzywd urojonych, chimerycznych niesprawiedliwości, przesadzonych oskarżeń i niewykonalnych zapragnień; ale odzywa się też sporo zasadnych rekryminacyi, prawdziwych cierpień, słusznych wołań o zadośćuczynienie, gromadzących znaki zapytania około pojęć o miłości, małżeństwie, rodzinie; — a musi w życiu odpowiadać coś temu rozgoryczonemu nastrojowi literatury, skoro z taką powagą przyjęła publiczność, nietylko u nas, ale i wszędzie, owo „Rodzinne gniazdo", sztukę, w której wszystkie te rozdźwięki wyrażone są bez ogródki, odważnie, w skrystalizowanych typowych formach.

Sudermann spojrzał odrazu w oczy najdrażliwszemu z antagonizmów społecznych, postawiwszy po jednej stronie rodzinę, po drugiej złączoną z nią najściślejszemi węzłami krwi jednostkę i wysnuwając dramat ze starcia się dwóch światów: tradycyi domowych z odmienną

od nich filozofią życiową, zdobytą przez rozwinięte samoistnie po-za domem indywiduum. Dramat tych sprzeciwieństw wydaje się snać autorowi tak ważnym, że drugi już raz doń powraca. W „Honorze" syn odźwiernego, wróciwszy z Ameryki z całym zasobem nowych poglądów na sprawy i stosunki życiowe, zmagać się musi z zagnieżdżonem chronicznie wśród najbliższych zepsuciem; bohaterką „Gniazda rodzinnego" jest córka, a stosunek walczących z sobą zmienia się; tu bowiem etyka rodziny przedstawia zastarzałe wprawdzie lecz w gruncie dodatnie pierwiastki, heroina zaś w mimowolnem od swoich oddaleniu wytworzyła sobie własną moralność, dla której pod dachem rodzinnym nie może być miejsca. Sztuka dlatego tak silne, wielkie wywiera wrażenie, że Sudermann z jednakową powagą a bezstronnością przyjrzał się bojującym i ocenił ich wartość moralną. Śmieszności rodziny Schwartzów, w której Magdalena jest zbłąkaną owieczką, przedstawione realistycznie, ale przedmiotowo, spokojnie, nie rzucają najlżejszego cienia na nieposzlakowaną zacność jej członków; z drugiej strony pewien aparat *kabotyneryi*, nadający trochę teatralną barwę objawom niezależności krnąbrnej córki, nie zasłonił wnętrza jej natury, w której, wśród zapędów rozbujałej, nieokiełznanej indywidualności, grają najszlachetniejsze instynkta. Stoją tedy naprzeciw siebie dwie siły, autor zaś, zmierzywszy obie, seryo ostrzega, że z jedną i z drugą jednakowo liczyć się wypadnie. Trzeba nieodzownie rachować się jeszcze i z tego powodu, że tu nie idzie o proste otrząśnięcie się córki z tego, co władza rodzicielska Schwartzów ma w sobie despotycznego; emancypacya osobnika moralnego sięga dalej i głębiej, bo dąży do uzasadnienia niezależnej, indywidualnej etyki, nie mającej nic wspólnego z moralnością, którą zasada rodziny niezmiennie i nietykalnie z pokolenia na pokolenie przekazuje. Gdyby nawet na tym punkcie Sudermann, jako filozof społeczny, odstąpił od bezstronności, wykazanej widocznie w charakterystyce walki Magdaleny z innemi uroszczeniami ojcowskiego despotyzmu; gdyby się w autorze odgadywało chwilami stronnika Fryderyka Nietzschego,—to wtedy nawet Sudermann zostaje objektywnym jako psycholog i artysta. „Mniejsza o to,—zdaje się mówić, — co ja myślę o tej walce, komu-bym osobiście życzył zwycięstwa; wam niech widok samej walki wystarczy, — bo w niej odbija się jeden z najbardziej interesujących w naszych czasach dramatów." I mówiąc tak, nie umizga się ani do jednej, ani do drugiej idei, jakkolwiek bohaterka jego głosi „prawa serca", z któremi kto wie, czy autor sam nie sympatyzuje; lecz po-za sympatyami teoretycznemi jest powaga pisarza myślącego, dla którego być sprawiedliwym i bezstronnym nie znaczy to samo, co kokietować na dwie strony.

Zaznaczywszy ideę przewodnią dzieła, nie wiele ma się do powiedzenia o faktach, które ją widzowi na scenie uplastyczniają. Fabuła sztuki prosta, jak samo życie, obywa się bez nadzwyczajnych sytuacyi, ale te, które się z niej snują, mają w sobie coś tak nieubłaganie dramatycznego, że się w nich dopiero widzi, ile tragizmu wydobyć może wielki talent z dnia powszedniego ludzi równie powszednich.

Córka pułkownika Schwartze opuściła dom rodzicielski, nie chcąc wyjść za narzuconego sobie konkurenta. Starający się o jej rękę pastor wart był tej ręki — ale Magdalena nie kochała go; odrzucenie więc męża a z nim prawidłowej pozycyi w społeczeństwie jest pierwszym krokiem bohaterki na drodze buntu przeciwko tradycyi; drugim będzie zwrócenie się ku sztuce i urzeczywistnienie przez nią nietylko niezależności materyalnej, ale i piastowanych oddawna w duszy ideałów; wreszcie rozporządzenie własną osobą na korzyść nędznego samoluba, który się odwdzięczył porzuceniem kochanki i dziecka — dokończyło tego usamowolnienia córki, artystki i kobiety.

W pojęciu Magdaleny istota, zostawiona sama sobie, skazana na zdobycie własnemi siłami podstaw egzystencyi, miała wszelkie prawo tak użyć swej swobody, jak ona jej użyła; w tej chwili nic od nikogo nie potrzebuje, ma talent, jest sławną—wolno jej być panią swego losu. Rzecz naturalna, że w domu Schwartzów nikt się na to w ten sposób zapatrywać nie może; tam wszystko snuje się po dawnemu, tam Magda jest zawsze nieposłusznem dzieckiem, które zuchwale wyłamało się z pod władzy rodzicielskiej; tam sztuka jest zabawką zepsutych próżniaków, a teatr szkołą sromoty, i pod tym względem tak dalece nic się przez lata nie zmieniło, że kiedy Magdalena, jako rozgłośna już śpiewaczka, zawadziwszy w swoich podróżach o „rodzinne gniazdo", przestąpiła próg ojcowskiego domu, już uczuła na sobie ciężar tej samej dłoni, która za nią niegdyś drzwi tego domu zatrzasnęła. Pułkownik Schwartze jest wcieleniem absolutyzmu familijnego; ma znów w ręku córkę, musi ją zatrzymać — wymaga tego skombinowane z instynktami rodzinnemi poczucie honoru wojskowego. I może-by ta córka została, bo w niej jednak zadrgało wszystko co ma w naturze dobrego; ale żądają od niej rachunków z przeszłości, której widmo w postaci nikczemnego uwodziciela ujrzała właśnie pod dachem rodziców, jako poważnego i zaawansowanego na drodze do karyery jegomości. Wydobyta na jaw ze spotkania dwojga dawnych kochanków prawda jest gromem dla Schwartza; żołnierz jednak widzi jeszcze wyjście z tej hańbiącej sytuacyi w połączeniu się winnych, a jegomość nie jest od tego, żeby, odegrawszy wdzięczną rolę wybawcy, zostać mężem znakomitej artystki, która świetnie w domu jego „reprezentować" będzie. I na to jeszcze przystała-by zgnębiona boleścią ojca

Magdalena, gdyby „opatrznościowy człowiek" nie zażądał za cenę nazwiska usunięcia z oczu dziecka — *swego* dziecka, które kompromitowało-by radcę konsystorza. Za całą odpowiedź matka drzwi karyerowiczowi pokazuje, gdy zaś mimo to pułkownik nie odstępuje od postawionego córce żądania, Magdalena, doprowadzona do ostateczności, ratuje się wykrzyknikiem: że nie godzi się narzucać jej osoby temu człowiekowi, bo nie on jeden był jej kochankiem. Pod tym ciosem, zadanym ręką córki, ojciec pada nieżywy. Czy z nim pada idea rodziny? czy nad martwym jej przedstawicielem zwycięża nowa jakaś forma rewolucyjnego indywidualizmu? Nie, bo gdyby to nawet tryumfem ktoś chciał nazwać, to jednostka odnosi Pyrrusowe zwycięztwo na ruinach najdroższych swego serca uczuć—tragiczna wina ma krwawe zadośćuczynienie.

Co z tej literatury wyniknie, jak daleko się posunie, dokąd sięgnie po praktyczne postulata,—przewidzieć trudno, choć-by się miało do czynienia tylko z talentami dobrej wiary, jak autor „Gniazda rodzinnego"; to pewna, że wpływ jej zaczyna zasępiać wszędzie fizyognomię teatru, który w komedyi nawet odwyka od śmiechu spokojnego, pogodnego, a kiedy zdobywa się na wesołość, to bawi się nerwowo, konwulsyjnym humorem farsy. „Nowe prądy" marszczą czoła takim komedyopisarzom, którzy nie znali nigdy, co to jest brwi ściągnąć — dowodem ostatnie dzieło nieżyjącego już, niestety, Józefa Blizińskiego. W generacyi, która wystąpiła po Fredrze starszym i Bogusławskim, nie było może pisarza równie jak Bliziński opornego wobec wkraczających na scenę prądów społecznych, lub nawet psychologicznych. Autor „Marcowego kawalera" nie chciał wiedzieć ani o arystokracyi, ani o demokracyi, wzruszał ramionami na konserwatyzm lub postęp w sztuce; optymizm i pessymizm miały dla niego jedynie znaczenie artystycznych kontrastów światła i cieni, a źródło twórczości znał tylko jedno — to, które z życia bezpośrednio wypływa. Oczywiście, że patrząc w to życie, widział unoszące się nad niem idee, słyszał odzywające się wśród zgiełku uczuć i namiętności, dążeń i zapragnień, hasła pewne; czuł przebiegające powiewy, niby oddech niezmordowanej w ciężkich swoich mozołach cywilizacyi; wiedział, że to są również pulsa życia: ale mu nigdy nie przyszło na myśl z tych niepochwytnych rzeczy budować specyalnie na scenę bohaterów. Był przekonany, że fizyognomia moralna ludzi oddychających tem powietrzem i stosunków przesiąkłych tą atmosferą, jeżeli ją tylko odtworzy malarz artysta, musi odbić na sobie wszystko, co się na życie w danej chwili składa, bez pomocy w głowie wykombinowanych i martwych symbolów. I dowiódł Bliziński tego w całym swoim repertuarze. Gdyby mu kto był powiedział po przedstawieniu „Marcowego kawalera", że sztuka napi-

sana jest z myślą podniesienia kwestyi szlachecko-chłopskiej, uśmiałby się był autor jej serdecznie; a jednak kwestya ta stanęła przed publicznością jak żywa w arcydziele Blizińskiego i to odrazu na najwłaściwszym—na moralnym—gruncie. Tak było z każdym utworem, aż do ostatniego; „Chwast" świadczy, że pod koniec życia, pełnego ciężkich przejść, stał się może Bliziński wrażliwszym na ciemne strony egzystencyi ludzkiej, a ta wrażliwość przybrała w rysunku głównej figury „Chwastu" formy prawie chorobliwe. Nieczuły do ostatka na pokusy społecznych tendencyi, zesłabł Bliziński wobec podszeptu „zagadnień psychologicznych." I on może chciał mieć bohatera z „chorą wolą", i on także zapragnął sprobować „dramatu niepoczytalności."

Próba nie udała się — można to dziś powiedzieć bez żadnej ujmy dla wielkiego talentu pisarza, którego nazwisko stać będzie i tak bezpośrednio po nazwisku Fredry; można powiedzieć zwłaszcza dlatego, że niepowodzenie nie ogarnia całości dzieła, lecz dotyka tylko tych jego stron, na które Bliziński nie miał barw w swojej palecie.

W indywidualności twórczej autora „Pana Damazego" nie było nerwu dramatycznego; antagonizmy życiowe, występujące u niego tylko w formach komicznych, bez potrącania nawet o satyrę, do zbyt pogodnej układały się harmonii, zbyt łatwo rozwiązywały się w jasnym, łagodnym śmiechu, żeby ze starcia się tak spokojnie obserwowanych sprzeciwieństw mógł, ni stąd ni zowąd, na zawołanie, wyrosnąć dramat. To też pod tym względem wszystko w ostatniej sztuce Blizińskiego kończy się na intencyach, zgromadzonych dość nawet obiecująco w pierwszym akcie, ale w dalszym ciągu co do jednej po drodze uronionych. Powtóre: Bliziński przywykł był do tworzenia postaci zrównoważonych i zdrowych; bo nawet wtedy, gdy przywary zdawały się naruszać moralną równowagę jego figur, rzucał na szalę garść śmieszności, które przeważały natychmiast wszelki zepsuty pierwiastek. Z taką miarą w ręku, jak tu było przystąpić do kreślenia bohatera, którego zasadniczą charakterystyką jest brak wszelkiej miary i równowagi? Wreszcie ten bohater miał być chory z miłości—zadanie, kto wie, czy nie najtrudniejsze dla Blizińskiego, pojmującego miłość tylko na wesoło i upatrującego zdrowie tam właśnie, gdzie trzeba było chorobę malować. To też Leon Marzewski nie może interesować nawet tych, co lubują się w studyach nad patologią sercową; forma bowiem jego psychozy należy do najmniej budzących sympatyi; bohater jest mazgajem.

Był to „chwast" w rodzinie, od chwili, kiedy wbrew jej woli ożenił się z kobietą najgorszych instynktów. Swoi odsunęli się zupełnie od Leona, a ojciec zamknął mu nawet widoki do spadku, sprzedawszy (symulacyjnie) majątek. Ta sprzedaż okazała się zresztą najlepszym

sposobem rozłączenia Marzewskiego z żoną, bo pani Amelia, jedynie dla spodziewanej fortuny zaślubiwszy Leona, porzuca go z chwilą, kiedy mu ze schedy macierzyńskiej nic już nie zostało. Porzucenie odbywa się z całą brutalnością, na jaką zdobyć się może awanturnica bez sumienia; wystarcza do tego list z wyrzutami o „złamanie jej życia" i z zapowiedzią rozwodu, a następnie połączenie się z „senatorem", który, nawiasem mówiąc, dawał już przedtem pani Marzewskiej wymowne dowody przyjaźni. Jest jednak przypisek w liście tej mniej więcej treści, że gdyby Leon wydobył należny majątek, może odzyskać i żonę.

Przypisek, który powinien był oczy otworzyć szaleńcowi, wydaje mu się deską ocalenia; w odzyskaniu majątku widzi on swój ratunek i po to wybawienie zwraca się do rodziny; ale tu trafia na bardzo naturalne a równie stanowcze żądanie: aby zerwał z kobietą, która hańbą jego nazwisko okrywa. Wtedy najpraktyczniejsza ze wszystkich, Amelia, odgadując w tej sytuacyi doskonały dla siebie interes, stawia odrazu sprawę na gruncie finansowym i za sute *quantum* zgadza się na unieważnienie małżeństwa, nie odmówiwszy sobie przy tem satysfakcyi wypowiedzenia nieuleczalnemu kochankowi, że z rozkoszą rozłącza się w takich warunkach na zawsze z człowiekiem, którego nigdy nie kochała, a zawsze uważała za kulę u nogi. Cynizm i okrucieństwo tej odprawy walą z nóg biedaka; zawisła nad nim groźba tyfusu albo może obłędu — groźba doprawdy nie bardzo wzruszająca publiczność, bo i losy „chwastu" naprawdę nie wiele ją obchodzą. Ten bohater, który płakał dlatego, że go pozbawiono majątku; potem łzy ronił z powodu ucieczki małżonki; później szlochał nad opornością rodziny, a w końcu blizki jest obłąkania, kiedy się żona miłości jego za pieniądze wyrzekła, zostawia publiczność zupełnie obojętną. Mało co więcej dba widz o heroinę. Bliziński skreślił ją żywiej, wydatniej; ale do osiągnięcia zupełnej w tej postaci plastyki brak mu gryzącej ironii, która-by rysy silnie charakterystyczne goryczą i kwasem głęboko wytrawiła. Gdy więc dwie główne figury, na których miał się oprzeć dramat, nie wywierają dramatycznego wrażenia, publiczność tem skwapliwiej szuka kompensaty tam, gdzie Bliziński czuł się panem — w sferze komedyi. Kompensata jest wspaniałą, choćby tylko w charakterach małżeństwa Drobisz. Co to za typ ten Drobisz, kobieciarz z temperamentu, materyał na „żonkosia" z poczciwych etycznych aspiracyi! Lada spodniczka niepokoi tego artystę podszytego filistrem, ale miłość dla żony neutralizuje zawsze w samą porę te płoche zachcianki. Najzabawniej ta walka podtatusialego bałamuta z przywiązanym mężem objawia się w stosunku Drobisza do pani Amelii. Wszystkie stare nałogi popychają go ku ponętnej ladacznicy; wszystkie instynkta człowieka rodzinnego trzymają go na wodzy, dal-by zdaje się dużo za

uśmiech mądrej kokietki, — tylko nie zapomni ani na chwilę, że nie godzi się ranić serca pani Drobiszowej i że trzeba bronić interesów Leona. Ocenia też to żona pociesznego nauczyciela muzyki, choć tego czasem nie widać, choćby się zdawało, wobec ustawicznych między małżeństwem swarów i scen, że niema harmonii w stadle, nastroszonem pozornie samemi pretensyami. Ci ludzie, mimo wszystko, kochają się, a uczucie długotrwałe, wyprobowane, przedziera się przez te chmury, szybko przebiegające po małżeńskim widnokręgu, i wszystko naokoło rozświeca słonecznym uśmiechem, przypominającym najpiękniejsze czasy twórczości Blizińskiego. Uśmiech ten, jak gdyby w przeczuciu, że będzie ostatnim, opromienił taką jasnością postacie państwa Drobiszów, że one same wystarczą do przywrócenia „Chwastowi" stylu komedyi, którego czystość niepotrzebnie przyćmiły sztucznie dramatyczne akcenta.

Gdy tak żywioł społeczny rozpanoszył się w dramacie i komedyi, poezya, onieśmielona jego rosnącą z każdym dniem potęgą i z rzadka już tylko znajdująca przytułek w literaturze teatralnej, szuka schronienia—w muzyce. Są pessymiści, dowodzący, że *ceci tuera cela* i wróżący tej ujarzmicielce nerwowej publiczności XIX stulecia absolutną nad innemi sztukami hegemonię; nie posuwając się tak daleko, trzeba przyznać, że odrodzona pod tchnieniem młodej twórczości opera rwie się do nowego życia. Wspominałem już na tem miejscu, jaką rolę w tym odżywczym ruchu odgrywa rozgłośny twórca „Rycerskości wieśniaczej", Mascagni, i wyraziłem wtedy wątpliwość, czy temperament młodego kompozytora zdoła nastroić się do sielanki, którą mu librecista, widocznie w powieściach Erckmann-Chatriana rozmiłowany, mniej może szczęśliwie podsunął. „Przyjaciel Fryc" nie rozstrzygnął wątpliwości, dzięki zręcznemu fortelowi muzyka, który ją dowcipnie ominął. Znamy wszyscy treść „Przyjaciela Fryca"; przy ślicznych opisach natury, nudziła nas potrochu ta rozwlekła sielanka, gdzie bohaterowie więcej jedzą i piją, niż się kochają. Charaktery są tam wyśmienite, zwłaszcza bohater tytułowy, ze swojem filisterskiem zadowoleniem z życia, świetnie jest narysowany. Ale materyału w tem wszystkiem dla kompozytora tak mało, uczuć, które-by przyoblec można było w formy liryki muzycznej, tak skąpo, że trudno było wyobrazić sobie namiętnego Włocha wobec tych spokojnych Alzatczyków. Poradził sobie jednak z nimi Mascagni, wezwawszy do pomocy cygańskie chłopię, odgrywające w operze rolę czynnika psychologicznego. Cyganiątko jest jednym z tych skrzypków, których grać nauczył śpiew ptaków, szum borów, szemranie strumyka, majestat burzy i urabiana z tego wszystkiego w sercu człowieka poezya. Tęskna pieśń tego nieświadomego artysty pierwszą łzę wycisnęła z oczu Suzeli, zapro-

szonej do stołu przez Fryca, i odtąd panować będzie nad kochającą się bezwiednie parą. Szczęśliwy pomysł dał Mascagniemu możność nastrojenia uczuć na ton namiętniejszy, i jeżeli kiedy, to w tym razie miłość była „cygańskiem dziecięciem", które po swojemu sercom grać każe. Ten wybieg dający upust południowej namiętności, tak dalece był w intencyi kompozytora, że tego samego cygańskiego motywu użył Mascagni do intermezza między drugim a trzecim aktem, przypadającego właśnie w chwili przełomu psychologicznego, kiedy kochankowie przekonali się nareszcie, że żyć bez siebie nie mogą. Wobec tej obecnej co chwila suggestyi, nie zdziwi ani duet przy rwaniu wisien, rozmarzony a prawie zmysłowy, ani opowiadanie z Pisma świętego o Rebece, prowadzone na tle apokaliptycznego akompaniamentu; płynie w tem krew, której wolno być cygańską, skoro jej nie wypada być włoską. Że taki nastrój jest nieco sztucznym, że niema w nim samoistnego natchnienia *Rusticany*, to nie ulega wątpliwości; nie idzie jednak za tem, żeby *Cavalleria* miała, jak chcą niektórzy, całkowicie wyczerpać talent Mascagniego. Do podobnych ostateczności doprowadzają zwykle niewczesne porównania, a ludzie tak lubią karać innych za własne uniesienia, że autor „Przyjaciela Fryca" doświadczył tego na sobie w sposób bardzo dotkliwy, — bo już mu nawet najprostszy plagiat zarzucano. Co jest warte to oskarżenie, przekonaliśmy się, usłyszawszy „Willidy" Pucciniego, rzekomy pierwowzór *Rusticany*. „Willidy" poprzedziły o jakieś lat ośm pierwszą operę Mascagniego i trudno zaprzeczyć, że są między temi dziełami pewne analogie; tkwią one jednak więcej w ogólnym nastroju, niż w samych motywach, a ten nastrój, a ten styl, kojarzący w sobie wagnerowskie zdobycze z włoską melodyjną inwencyą, zwłaszcza owa siła ekspresyi dramatycznej, odświeżona w zetknięciu z motywami z życia ludowego, wszystko to już wisiało w powietrzu. Mierna zdolność Pucciniego spożytkowała to, jak umiała; talent Mascagniego trafił odrazu na właściwą dla siebie atmosferę. I stało się, co się zwykle dzieje w takich razach: tak zwany „plagiator" wypłynął, bo umiał być indywidualnym, a ten, od kogo niby wzięto, utonie w morzu zapomnienia, bo nie dał się poznać jako „ktoś."

Jeżeli już kto zechce koniecznie szukać groźby dla Mascagniego, to niech wymieni nazwisko Leoncavalla i tytuł jego opery „Pajace." Nie wiem, czy istnieje rzeczywiście osobiste między dwoma kompozytorami współzawodnictwo; ale to nie ulega wątpliwości, że w opinii publiczności, zwłaszcza zaś w sądach krytyki, rywalizacya akcentuje się dość wyraźnie. Powodów do niej, jakby się zdawało, być nie powinno: mimo pewnej różnicy wieku, Mascagni i Leoncavallo należą do jednego pokolenia muzyków, którzy mają tę ważną zaletę, że nie zapomnieli tego, co warto pamiętać, a dużo się nauczyli. Nie zapomnieli,

jako synowie klasycznej ziemi melodyi, że bez tej najpiękniejszej formy natchnienia muzyka istnieć nie może, i snują też nieprzerwaną nić inwencyi melodyjnej; nauczyli się zaś od Wagnera do tematów swoich takie jedynie potrącać struny serca ludzkiego, które drgać mogą pod działaniem danego uczucia, tylko każdy z nich inaczej w te struny uderza. Różni ich jednak nie siła — tej hołduje jeden i drugi, nieodrodne dzieci swego wieku, w sztuce nawet sile dającego przewagę; — ale Mascagni pozwala się porywać brutalnym uniesieniom kipiącej krwi i rozszalałych nerwów i wyraża je najchętniej materyalnemi efektami orkiestry, kiedy tymczasem Leoncavallo wydobywa ekspresyę z samego frazesu muzycznego i tą drogą wznosi się do poetycznych wyżyn.

Twórca partycyi „Pajaców" jest podobnie jak Wagner autorem swego libretta, a na poetę pasuje go jeszcze i sposób, w jaki wplótł do dramatu z życia realnego pierwiastek ludowy, symbolicznie przedstawiony w figurach ze starej włoskiej komedyi: w tradycyjnej trójcy męża, żony i kochanka, którzy przybierają na siebie postać Pierrota, Kolombiny i Arlekina. Odwieczny motyw wiarołomstwa jest osią tego dramatu, odgrywającego się wśród wędrownych pajaców. Tonio, bufon koczowniczej trupy, odtrącony przez piękną Neddę, żonę Cania, sprowadza chyłkiem męża w chwili, kiedy niewierna grucha z pięknym Silviem. Canio zemści się jak tragiczny pajac; jest przecie improwizatorem sztuk odgrywanych przez kompanię, więc da publiczności na deskach teatralnych sytuacyę, w której każdy z własnego serca snuć będzie scenę do tej żywej *commedia del arte*. I kazał Arlekinowi umizgać się do Kolombiny, i spłoszył sam w roli męża kochanków, kiedy zaś oszukany domaga się od zdrajczyni nazwiska gacha, który zdołał umknąć, czuć w głosie Pierrota wściekłość Cania, a w wyzywającym śmiechu Kolombiny — cynizm Neddy, odgadującej dopiero wtedy, że w tej komedyi o życie chodzi, kiedy mąż-pajac nóż ze stołu porywa. Paralelizm akcyi na scenie i w widowni, skąd Silvio, przeczuwający prawdę, rwie się na pomoc Neddy, jest przerażający: kończą go dwa pchnięcia sztyletu i słowa pajaca nad trupami żony i jej kochanka wyrzeczone: *la comedia è finita!* Po tej strasznej ironii zakończenia odzywa się w orkiestrze frazes Cania *„ridi Pagliaccio"*, wyplakany przedtem przez nieszczęśliwego pajaca w rozdzierającym monologu, w którym mąż, dowiedziawszy się o zdradzie żony, odsłania ranę swego serca—i ten jeden frazes był już wspaniałem urzeczywistnieniem zapowiedzi prologu: „Głosy wspomnień ozwały się raz w duszy autora, który je spisywał prawdziwemi łzami, a łkania takt mu poddawały. To też nie na pstre strzępy „Pajaców" patrzcie panie i panowie, ale w ich serca; boć ludźmi są oni z ciała i ze krwi." Wielką wartość dziełu Leoncavalla to właśnie nadaje, że ta pstrokacizna zewnętrznej

szaty bohaterów równie jest godną uwagi, jak ich dusze, i że pod jaskrawą zewnętrzną sukienką tak wyraźnie widać krwi krążenie, czuć uderzenia serca. Temperament ludu żywy, bujny, drgający weselem odzywa się w chóralnych numerach z całą jasnością słonecznej krainy, z całym nadmiarem południowego ciepła, które orkiestra rozlewa falami dźwięków, napojonemi światłem i barwami. Drugi zwłaszcza chór w pierwszej odsłonie oryginalnie jest pomyślany: dzwonki na *f* i *c*, wzmocnione głosami basowemi, odzywają się na tle smyczkowem; tymczasem obój towarzyszy z kolei to sopranom to tenorom, wsparty od czasu do czasu uderzeniami dzwonu. Psychologia bohaterów w niczem nie ustępuje charakterystyce mas; we wszystkich działają wprawdzie żywiołowo namiętności gwałtowne, pierwotne; ale muzyk potrafił z nich wydobyć poetyczne akcenta. Miłość występuje w dwojakiej formie: brutalnie zmysłowa w duecie Tonia z Neddą, która natrętowi pogardą odpłaca, i ogniście liryczna w dwuśpiewie między Silviem i Neddą. Nie uląkł się więc Leoncavallo dwóch bezpośrednio po sobie następujących duetów miłosnych, starczyło mu bowiem inwencyi melodyjnej i kolorystycznej na odróżnienie żądzy i uczucia, występujących kolejno z całą rozmaitością nastroju. Po ślicznem *intermezzo* rozpoczyna się przedstawienie komedyi. Tło stanowią tu: archaicznie wystylizowany menuet Neddy-Kolombiny, serenada Arlekina-Silvia i duet tych obojga zaimprowizowanych bohaterów w formie gawota, pośród których snuje się w głębi orkiestry motyw zazdrości Tonia, prowadzący do ostatecznej, tragicznej katastrofy, w której fikcya tak artystycznie splata się z życiem, że tej zdwojonej ich sile publiczność oprzeć się nie jest zdolna, a poeta-kompozytor panuje nad nią wszechwładnie. Leoncavallo liczy obecnie czterdzieści lat, wiekiem zatem prześcignął Mascagniego; czy i talentem także? jest to pytanie, na które może odpowie symfoniczny poemat, skomponowany podobno przez twórcę „Pajaców" i zwiastujący jakoby talent nierównie uniwersalniejszy.

Kiedy przynęta trzech konkursowych oper zdawała się już słabnąć, nowa siła atrakcyjna, występy braci Reszków, zelektryzowała publiczność operową, odsłaniając dla niej nieznane dotąd piękności dawnego, w wielkim stylu repertuaru. Echa artystycznych podbojów, dochodzące do Warszawy z za granicy, wytworzyły około nazwiska znakomitych artystów jakąś legendową aureolę, co prawdopodobnie wpłynęło na kilkoletnie opóźnienie przyjazdu Reszków, którzy lękali się może niebezpiecznego z takim mitem zetknięcia. Obawy okazały się płonnemi — wielkie talenta zrobiły swoje, publiczność przekonała się, że legendy z prawdy się niekiedy snują. W nastroju słuchaczów na przedstawieniach „Romea i Julii", „Lohengrina" i „Fausta" przeważało z początku zdumienie, które dopiero później spotęgowało się

do temperatury entuzyazmu. Nie znaczy to bynajmniej, aby ten początkowy podziw miał w sobie coś chłodnego; było to raczej wrażenie słuchacza, który sobie dobrze sprawy zdać nie może z tego, co słyszy. Istotnie, przez długie obcowanie z miernością, lub w najlepszym razie z przyzwoitą poprawnością, skala wymagań i kryteryum słuchaczów układają się do takiego poziomu, że pewne artystyczne wyżyny stają się czemś, czego się mało kto domyśla — a na takich właśnie wyżynach stoją Jan i Edward Reszkowie.

Oddziaływanie na publiczność Jana jest dla niej tem mniej zrozumiałem, że fizyczny efekt głosu najmniejszą tu odgrywa rolę. Tenor Jana Reszkego, przy rozległej skali i dziwnie zniewalającem brzmieniu, nie oblewa materyalnemi falami dźwięków, ani też nerwowych nie budzi dreszczów, ale opanowywa tem, co wyraża, co z duszy śpiewaka przez tony do duszy słuchacza przepływa. Głos jest tu tylko jakby dobrym przewodnikiem duchowych pierwiastków, z których się wytwarza subtelna poezya uczuć, wychodząca na jaw w mistrzowskiej dykcyi, ożywionej i urozmaiconej odcieniami najdelikatniejszego artyzmu. Co w tem jest zadziwiającego — to ta doskonałość, mająca wszystkie cechy prostoty. Słucha się tego z rozkoszą, nie dobrze się oryentując, czy artysta mówi, czy śpiewa: czuje się tylko, że jest to coś, w czem słowo i dźwięk, zszedłszy się na tajemniczej granicy, gdzie kończy się władza jednego i drugiego, wspólnie się od siebie zapożyczają. Do tych dwóch czynników interpretacyi przybywa jeszcze trzeci — gest, doprowadzony do tak estetycznej powściągliwości, że przestaje być prawie ruchem, lecz jest jakby snycerskim motywem, momentem rzeźbiarskiej pozy. Wystawmy sobie teraz tę kombinacyę muzyki, ekspresyi i plastyki, służącą za materyał artyście, wytwornym obdarzonemu smakiem, — a nie zdziwi nas wrażenie, jakie wywarły na publiczności postacie Romea i Lohengrina. Kochankami byli obaj bohaterowie w śpiewie i grze Jana Reszkego, ale jakże różnie miłość ich na słuchaczów działała! Jeden i drugi mieli swoje balkonowe sceny, w jednym i w drugim namiętność odzywała się patetycznemi akcentami; jednego i drugiego utrzymywał artysta w poetycznych konturach, barwach; a jednak do Julii przemawiał młody chłopiec, w którym krąży krew południowa i który po-za swojem uczuciem nic innego koło siebie nie widzi; w uniesieniach Lohengrina odzywały się echa mistycznej miłości, wyidealizowanej w tajemnicach Mansalvatu. Kiedy Romeo padał konający na stopniach katafalku Julii, kończył się dla niego w tem pożegnaniu świat cały; gdy rycerz świętego Graala rozstawał się na zawsze z Elzą, tłomacząc jej, skąd przyszedł i dokąd wraca, krwawiło się w nim serce człowieka, który ziemskie swoje więzy ukochał, ale widać było, że duch jego należy do innego świata,

do świata miłości, ogarniającej ludzkość całą. W tych dwóch scenach bohaterowie Szekspira i Wagnera stanęli indywidualni, żyjący każdy innem życiem, — obaj w świetle najczystszej sztuki.

Edward Reszke olśnił wszystkich interpretacyą Mefista. Obdarzony świetnym głosem z najpiękniejszym basowym kolorytem, artysta przedstawił się jako szatan *grand seigneur*, którego demoniczność wyraża się przedewszystkiem w werwie pełnej piekielnego dowcipu. Dykcya przystosowana do takiej interpretacyi ma niezrównane wykończenie; frazes uwydatnia wszelkie bogactwa wokalne, w których czuć kolejno miękkość aksamitu i dźwięk metalu; nuta płynie, rzucając po drodze blaski, jest zarówno głęboka i przezroczysta, odbija w sobie wszystko. Śpiewaka tak pod każdym względem wykwintnego wspiera artysta o kształtach posągowych, ożywionych gestykulacyą, którą Edward Reszke w szlachetnych zamyka liniach; gra jest organiczną częścią interpretacyi i zlewa się z nią w całość zdumiewającą harmonijnem zaokrągleniem.

Krótki pobyt braci Reszków zostawił w Warszawie niezatarte wspomnienia, nietylko bowiem ożywił operę, ale otworzył publiczności oczy na to, czem może być wogóle teatr, kiedy w nim prawdziwa sztuka gości. Taki dopływ wielkiego artyzmu, odświeżając organizm teatralny, nie zostaje nigdy bez śladu, a byłby też pożądanym w dramacie i komedyi, gdzie siły aktorskie łatwo układają się do rutynicznego poziomu. Po-nad ten poziom dźwigają się w naszym teatrze wybitniejsze siły, dźwignęło-by się może i wielu artystów, gdyby się od czasu do czasu spotykali z takiemi zewnętrznemi bodźcami, jak odwiedziny zagranicznych znakomitości. Pożytecznem jest niekiedy obejrzeć się naokoło siebie, zobaczyć, że gdzieindziej bywa też dobrze a może być nawet lepiej. Współzawodnictwo, wolne w takich razach od chlebowych pobudek, szlachetniejsze stawia sobie zadania, współzawodniczących zaś zbliża do wielkich ideałów artystycznych.

W. Bogusławski.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Die Verhandlungen Ferdinand I mit Isabella von Siebenburgen 1551—1555" przez Prof. Alfonsa Hubera; 78-my tom „Archiwum dla dziejów austryackich." Wiedeń, 1891.

Prof. Alfons Huber, autor bardzo gruntownych „Dziejów Austryi", których dotąd wyszły 3 tomy, obejmujące dzieje aż do r. 1526, pod powyższym tytułem w wydawanem przez wiedeńską akademię umiejętności „Archiwum" umieścił opartą na dokumentach tajnego archiwum wiedeńskiego rozprawę, stanowiącą ciekawy przyczynek do dziejów Izabelli, siostry Zygmunta Augusta.

Po długich rokowaniach pomiędzy królową Izabellą, wdową Jana Zapolji, a pełnomocnikami Ferdynanda I, margrabią Castaldo, generalnym kapitanem króla, Tomaszem Nadasdym i Andrzejem Batorym, magistrem „tavernicorum regalium", dnia 19 lipca r. 1551 stanęła w Weissenburgu umowa. Izabella i syn jej, Jan Zygmunt (ur. r. 1540), odstępowali Ferdynandowi I wszystkich swych posiadłości w Węgrzech i Siedmiogrodzie, jako też korony węgierskiej; natomiast Jan Zygmunt otrzymywał księstwo Opolskie i zabezpieczenie 25,000 fl. węgierskich (złoty a raczej dukat węgierski według dzisiejszego kursu miał wartość około 10 fl.); gdyby Jan Zygmunt zeszedł bez męskiego potomstwa, księstwo Opolskie wraca do króla; naodwrót, po wygaśnięciu domu cesarza (Karola V) i Ferdynanda, Węgry miały przypaść

potomkom Jana Zygmunta. Ponieważ wtenczas księstwo Opolskie (jak Raciborskie) było zastawione margrabiemu Jerzemu Fryderykowi, przeto Izabella z synem aż do Bożego Narodzenia mieli osiąść w Koszycach i jako wynagrodzenie za dziesięciny siedmiogrodzkie tegoż roku otrzymać 3,000 fl. Za działa, pozostawione w warowniach węgierskich i siedmiogrodzkich, król miał dostawić takąż ilość do Opola, albo zapłacić ich wartość. Janowi Zygmuntowi przyrzekał rękę swej najmłodszej córki, Joanny (ur. 1547). Nareszcie królowa-wdowa Izabella, w zamian za zapisane jej przez zmarłego króla Jana na dobrach węgierskich 140,000 dukatów, miała otrzymać księstwa Muensterberg i Frankenstein, tudzież 100,000 dukatów gotówką, połowę do Bożego Narodzenia, drugą w ciągu lat trzech.

Stosownie do tej umowy, Izabella z synem na początku września osiadła w Koszycach. Wysłany na Szląsk jej ochmistrz dworu, Lobocki, powróciwszy 11 listopada do Koszyc, zdał sprawę bardzo niekorzystną o stanie, w jakim zastał księstwa Opolskie, Muensterberg i Frankenstein. Wskutek tej relacyi rozpoczęły się nowe pomiędzy Ferdynandem I a Izabellą układy, których mniej ważne szczegóły pomijamy. Dość, że 27 stycznia r. 1552 królowa oddala Koszyce komisarzom króla i wyjechała przez Polskę na Szląsk. Dnia 7 albo 8 lutego przybyła do Krakowa, stamtąd udała się do zamku Krzepickiego, gdzie się spotkała z przybyłym po sejmie z Piotrkowa Zygmuntem Augustem, wreszcie 12 marca stanęła w Opolu.

Księstwo to zastała w stanie zupełnego zaniedbania. Spodziewała się spokoju i wytchnienia, ale dzień nie mija bez łez, gdy sobie przypomina smutny los swój; dawny zarządca, Posadowsky, wszystko zaniedbał; Opole jest pustynią, zamek niemal pusty; trzeba było pozostawić kosztowności na wozach, ponieważ niema miejsca, gdzieby je złożyć, w takich warunkach widzi się zmuszoną powrócić do matki i brata (listy Izabelli do Ferdynanda 20 marca, do gen. Castalda 24 marca, Jana Zygmunta do Castalda 20 marca). Jakoż już w połowie kwietnia królowa z synem opuściła Opole; na początku maja pisze już z Tarczyna pod Warszawą. Pokazało się też, że dochody Opola nie wynoszą bynajmniej 25,000 złotych węgierskich, jak obliczano w Wiedniu, lecz tylko 7,294 flor. (floren po 36 groszy).

Jeszcze z Opola energiczna królowa wysłała do Ferdynanda swego ochmistrza, Macieja Lobockiego (list uwierzytelniający z 25 kwietnia), który miał królowi przedstawić opłakany stan księstwa Opolskiego. Prócz tego, co do sumy 50,000 dukatów, które miała zostawić królowi jako pożyczkę, królowa robi uwagę, że „nie przystoi jej brać procentu, ponieważ ona i jej antenaci nigdy nie żyli z procentów." Proponuje zatem, aby jej król za całą ową sumę 100,000 dukatów od-

stąpił lub dał zastawem jaki kraj. Ponieważ Ferdynand wtedy bawił w Passau, układy rozpoczęły się dopiero za jego powrotem do Wiednia 13 sierpnia. Król wprawdzie przeczył, aby dochody z Opola wynosiły tylko około 7,000 fl., oświadczył jednak gotowość oddania królowej także księstwa Raciborskiego, a w każdym razie zabezpieczenia rocznego dochodu 25,000 dukatów, dalej uwolnił Jana Zygmunta od złożenia (za księstwo Opolskie) hołdu aż do 14-go roku życia, natomiast odrzucił żądanie królowej, aby księstwo zostało uwolnione od wszelkich podatków—w tej mierze król zasłaniał się stanami czeskiemi; nie przystał także na żądane oddanie kraju w zastaw za owe 100,000 dukatów, należących się Izabelli, ale gotów był na dobrach i cłach zabezpieczyć jej 5,000 fl. rocznego dochodu, na co znowu nie przystał pełnomocnik królowej. Skończyło się na obietnicy, że król albo w ciągu roku wypłaci jej ową kwotę gotówką, albo też wyznaczy jej dobra, dające tyle dochodu.

Królowa Izabella nie była wcale zadowoloną. W liście z Warszawy 1 października oświadcza Ferdynandowi, że spodziewała się innej odpowiedzi; król, dodaje, uprowadził ją z jej państwa i nie spełnił nawet najskromniejszych obietnic, tak, że z synem nie miała-by utrzymania, gdyby nie przebywała w zamkach swej matki. — Król, — pisze Izabella 27 września do Castalda — postanowił na dzień św. Michała wysłać do Opola komisarzy, „aby oszacować ptaki w powietrzu i ryby w wodzie, byle wykazać, że dochody wynoszą więcej, niż 7,000 fl.“

Niezadowolenie królowej tem bardziej niepokoiło dwór wiedeński, że 30 lipca r. 1552 potężne wojsko tureckie zdobyło Temeszwar i zabierało się do zajęcia Siedmiogrodu, gdzie oddziały austryackie, z powodu zalegającego żołdu, wzbraniały się wystąpić do walki. Tymczasem przeciwnicy Ferdynanda zamyślali o sprowadzeniu na tron Jana Zygmunta. Już 12 kwietnia r. 1552 naczelny wódz wojsk austryackich w Siedmiogrodzie, Castaldo, napominał Ferdynanda, aby ile możności zaspokoił królowę, ponieważ z różnych stron czynią jej propozycye, a chociaż dotąd stawiała im wytrwalszy opór, „niżby to uczyniła którakolwiek inna niewiasta“, jednak, przywiedziona do rozpaczy, mogłaby zmienić swe zdanie. Tenże Castaldo 19 sierpnia donosi Ferdynandowi, że uwięził dworzanina, Piotra Petrowicza, krewnego i b. spółopiekuna Jana Zygmunta, który zeznał, że przez niego Turcy obiecali Izabelli oddać Temeszwar i Lipę, byle przywiodła syna do Siedmiogrodu. Nie dość na tem, także Henryk II francuski, przygotowujący się do wojny z cesarzem Karolem V, przez umyślne poselstwo nakłaniał Izabellę do powrotu. Pomny przyjaźni swego ojca, Franciszka I, dla króla Jana (pisał), ubolewa mocno nad wielkiemi wojennemi przy-

gotowaniami Turków, którzy zamierzają opanować Węgry, i jest gotów zapośredniczyć w Konstantynopolu, byle tylko miał pewność, że królowa i syn jej pragną posiadać Węgry.

Wtedy królowa nie myślała jeszcze o powrocie do Siedmiogrodu, w liście bowiem z 1 października 1552 r. oznajmiła Ferdynandowi treść listu króla francuskiego, dodając, że nie odstąpi od umowy, byle ją król ściśle wykonał. Ferdynand 22 października odpowiedział, że uczyni zadość wszystkim jej życzeniom i przyśle umyślnych pełnomocników. Tymczasem pomiędzy wysłanymi do Opola komisarzami Ferdynanda—Fryderykiem von Redern i Drem Kindlerem, a pełnomocnikiem królowej stanęła ugoda: oprócz Opola przyznano Janowi Zygmuntowi księstwo Raciborskie, tylko, że komisarze królowej dochody dwóch księstw obliczali na 16,000 fl., Ferdynand na 20,000 fl., a resztę 5,000 fl. nakazał kamerze szląskiej wypłacać królowej corocznie 24 kwietnia. W liście z 30 stycznia r. 1553, datowanym z Krzepic, królowa zatwierdza tę umowę.

W Siedmiogrodzie położenie dla Ferdynanda stawało się coraz groźniejszem. Turcy zalecali wybór domowego księcia, a szlachta węgierska coraz wyraźniej odwracała się od Ferdynanda. Na wiosnę r. 1553 Castaldo z wojskiem królewskiem opuścił Siedmiogród. W miejsce sędziwego wojewody, Andrzeja Batorego, Ferdynand 26 maja mianował dwóch nowych, Franc. Kendego i Stefana Dobo, którzy jednak nie zdołali wcale sprowadzić zwrotu w opinii kraju. Wobec tak groźnych oznak Ferdynand staje się coraz grzeczniejszym dla Izabelli. Wysyła do niej Fryderyka von Redern, jako nadzwyczajnego posła. Redern 3 marca r. 1553 stanął w Krzepicach, oświadczył królowej gotowość Ferdynanda oddania swej starszej córki, Heleny (ur. 1543), Janowi Zygmuntowi za żonę, aby związki małżeńskie przyśpieszyć, i wręczył królowej portret wymienionej arcyksiężniczki. Z drugiej strony krzątali się około królowej wysłańcy tureccy. Dnia 20 maja r. 1553 Władysław Popiel Lobkowicz, na podstawie otrzymanych z Krakowa wiadomości, donosi Ferdynandowi, że 4 maja król Zygmunt August przyjmował *czausa*, który mu wręczył list sułtana, przyrzekający oddać Janowi Zygmuntowi całe Węgry; z Krakowa wysłannik sułtański udał się do Krzepic.

W tak trudnych okolicznościach Ferdynand wpadł na koncept oryginalny. Zaproponował bowiem Izabelli przez Rederna, aby napisała deklaracyę, że jest całkiem zaspokojona i że niebawem odbędzie się ślub pomiędzy jej synem a jedną z córek króla. Deklaracya taka byłaby oczywiście wielce ułatwiła układy króla z W. Portą. Izabella ociąga się z podpisaniem żądanej deklaracyi; Ferdynand więc w czerwcu ponownie wymienionego Rederna i kapitana świdnickiego, Macieja

von Logau, wysyła do Izabelli, tudzież do Zygmunta Augusta, z prośbą, aby przeszkodził uprowadzeniu Jana Zygmunta i wydalił od dworu królowej ludzi podejrzanych, zwłaszcza Węgrów. Wysłańcy króla 2 lipca w Krzepicach dostąpili posłuchania u Izabelli, która wyraziła gotowość podpisania deklaracyi, byle zgodził się na to król Zygmunt August; w relacyi swej z 3 lipca posłowie wyrażają zdanie, że królowa mówiła szczerze; „co jednak dotyczy młodego królewicza, powszechnie mówią, że istnieje zamysł uprowadzenia go do Węgier; młody panicz ma być do tego skłonny i często w sposób podejrzany odzywał się wobec służby." Dnia 9 lipca posłowie byli na posłuchaniu u króla Zygmunta Augusta, w którego imieniu oświadczył im „arcybiskup gnieźnieński, wicekanclerz koronny" (?—prymasem był Dzierzgowski, podkanclerzem Przerębski), że król gorliwie odradzał siostrze przyzwolenia na uprowadzenie syna, a zalecał jej podpisanie deklaracyi dla sułtana i stanów siedmiogrodzkich. Jednakże większa część Polaków staje po stronie Jana Zygmunta. „Mówią oni otwarcie, że król Ferdynand i tak nie zdoła utrzymać się w Węgrzech, i że zatem lepiej, aby tam panował inny władca chrześciański, niż sułtan." Z Krakowa posłowie wrócili do Krzepic, gdzie już nie zastali Izabelli; dogonili królowę w Olsztynie i otrzymali od niej żądane listy do stanów siedmiogrodzkich i sułtana.

Równocześnie główny stronnik królowej w Węgrzech, Petrowicz, z oddziałem kawaleryi polskiej zjawia się w Debreczynie z zamiarem wtargnięcia do Siedmiogrodu. Ferdynand w listopadzie r. 1553 wysyła biskupa Gregoriancza i Logę do króla Zygmunta Augusta, Izabelli i królowej Bony, uważanej za główną nieprzyjaciółkę Habsburgów, aby się poskarżyć na praktyki stronników Izabelli w Węgrzech, na dwuznaczne zachowanie się posła królowej w Wiedniu, kanonika Marcina Kromera, domagać się nowego, wyraźniejszego listu do sułtana i odwołania Petrowicza (który wtedy zamknął się w Munkaczu) i przyrzec wypłatę 100,000 dukatów do 6 stycznia 1555 r.

Posłowie 2 stycznia 1554 r. otrzymali posłuchanie u Zygmunta Augusta w Knyszynie. Król bronił siostry od czynionych jej zarzutów i podnosił, że Ferdynand nie wykonał dotąd ściśle ugody weissenburskiej. Królowa Bona, u której posłowie rakuscy stawili się w Warszawie, wyrażała się o wiele dosadniej. Izabella, którą odwiedzili w Piotrkowie, oświadczyła, że dopiero po wypłaceniu należących się jej 100,000 dukatów, oddaniu dział i t. d., zastosuje się do życzeń Ferdynanda. Ponowne układy posłów z królem Zygmuntem Augustem, królową Boną i Izabellą w Kocku (na początku marca 1554 r.) wydały tylko ten rezultat, że Izabella przyrzekła czekać aż do Zielonych Świątek i wysłać poselstwo do Wiednia. Korzystając z pomyślnych swych

widoków, królowa ponowiła żądanie zupełnej niezależności Opola i Raciborza od korony czeskiej. I teraz jednak układy toczyły się ciągle w błędnem kole. Ferdynand wzbraniał się wypłacić Izabelli należne sumy, dopóki nie zrzeknie się stanowczo wobec stanów siedmiogrodzkich i sułtana wszelkich pretensyi do Węgier; Izabella, przeciwnie, z niewypełnienia umowy przez Ferdynanda wyprowadziła konieczność zabezpieczenia sobie wolnej ręki wobec sułtana i swych stronników w Węgrzech.

Wreszcie w styczniu r. 1555 przez posła swego, Erazma Haidenreicha, Ferdynand królowej za należne sumy (wynosiły one teraz 122,000 dukatów, i to 100,000 jako pierwotny dług, 12,000 procentu za 2 lata, 10,000 jako dopełnienie przez 2 lata dochodów z Opola i Raciborza na przyrzeczoną kwotę 25,000 dukatów) przyrzeka zastawić państwa czeskie: Chlumec, Rohesez i Skal, lub, gdyby wolała gotówkę, wypłacić ją w ciągu roku, tymczasem zaś oddać jej dochody wymienionych państw; równocześnie obiecywał za życia nie domagać się żadnych podatków z Opola i Raciborza i postarać się o to, aby ks. Jan Zygmunt, jego przyszły zięć, otrzymał pierwsze miejsce pomiędzy książętami szląskimi.

Zanim Haidenreich z temi propozycyami dotarł do króla Zygmunta Augusta w Wilnie, Izabella, gdy 6 stycznia 1555 r. nie nadeszły zaległe sumy, z Piotrkowa wyjechała do zamku wiśnickiego blizko granicy węgierskiej. W Siedmiogrodzie odtąd coraz dobitniej zaznacza się oppozycya przeciwko Ferdynandowi. Sejm, zwołany do Tordy, 12 marca r. 1556, uznaje Jana Zygmunta jako księcia, Petrowicza jako jego namiestnika, i wysyła poselstwo po księcia. Dnia 22 października Izabella z synem odbyli wjazd do Klausenburga.

Dziejopisarz austryacki oczywiście staje po stronie Ferdynanda, jednakże z faktów, które przytacza, wynika, że Izabella nie naruszyła pierwsza ugody weissenburskiej, lecz dopiero wtedy od niej odstąpiła, gdy, pomimo ciągłych napomnień i przedstawień, nie wykonał jej Ferdynand. W każdym zaś razie Izabella w tych kilkoletnich negocyacyach złożyła dowody wielkiej energii i zręczności dyplomatycznej. Zresztą ani sułtan, który obiecywał Izabelli zwrot Budy i wszystkich miast i zamków, zajętych po śmierci Jana Zapolji, ani król francuski, który przyrzekał Janowi Zygmuntowi rękę jednej ze swych córek, prowincyę francuską z dochodem 50,000 koron i t. d. — nie dotrzymali obietnicy.

E. L.

Witold Kirkor. „Jędrek-malarz.“ „Walek-muzykant.“

W dwóch tych nowo wydanych książeczkach p. Kirkor składa wymowny dowód, że potrafi pisać zrozumiale i przystępnie dla umysłów prostych. Opowiadania jego toczą się żwawo, obfitują w wypadki, dotychczas w literaturze ludowej nieporuszane, a więc nowe nawet dla oczytanego trochę czytelnika, i snują się wokoło losów chłopskich, losów w obu książeczkach trochę niezwykłych,—bo obadwaj bohaterowie zostają artystami — ale od początku do końca zajmujących. Jeden z tych artystów to „Jędrek-malarz.“ Widzimy go zaraz na początku— komponującego obraz, pomyślany na szerszą skalę, a wykonany węglem na świeżo pobielonej ścianie. Obraz ten świadczy o bujnej fantazyi chłopaka. „Na ścianie narysowana była sąsiadka Koprowa, jak żywa: te same wyłupiaste oczy, ten sam nos śpiczasty, podobny do ptasiego dzioba; wszystkie szyszki (a pełno ich miała na kościstej twarzy) stały akurat każda na swojem miejscu. Koprowa siedziała na ogromnej miotle nad kominem chałupy, jakby z niego wyleciała świeżutko. Ponad nią księżyc śmiał się pyzatą swoją twarzą.“ Na tym księżycu zaś siedział, niby na koniu, dyabeł z zakrzywionym nosem i skrzydłami, niby u nietoperza rozpostartemi, a koziemi racicami walił w księżyc, jak w bęben.

Malunek ten zobaczył ojciec, który się z Koprowej uśmiał okrutnie, ale dyabła siarczyście się przeląkł—i naprzód sprawił za to chłopakowi tęgie smarowanie, a potem poszedł do księdza proboszcza o poradę. Ksiądz kazał chłopaka do szkół posyłać. Rodzice usłuchali i dobrze na tem wyszli. Jędrek został malarzem i na wywdzięczenie się księdzu wymalował do kościoła piękny obraz, przedstawiający Chrystusa kuszonego przez dyabła. Sława malarza poczęła się rozchodzić po świecie, aż go raz zaproszono i do dworu, gdzie była panna Aniela Zawadzka, taka dobra, że ją ludzie nazywali „Aniołem-panienką.“ Oczywiście artysta pokochał panienkę, a panienka nawzajem pokochała artystę. Ale „Anioł-panienka“ miała brata „fircyka“ i nicponia wielkiego, który, raz zobaczywszy malarza u nóg siostry klęczącego, zawołał:

— Jak ty śmiałeś... ty... chamie...

I podniósł nań laskę. Andrzej go rozbroił, bo był silny, ale nazajutrz odbył się pojedynek. Andrzej został ciężko ranny. Wyleczył się jednak i wyjechał, uwożąc nadzieję i przyrzeczenie ukochanej. Aż oto po paru latach pracy, wraca malarzem, co za granicą wielki medal dostał, i bogaczem, który kupuje Zawadówkę, zagrożoną, że będzie wkró-

tce sprzedana przez licytacyę. W końcu oczywiście żeni się z panną Anielą.

Walek-muzykant jest znowu sierotą, którego trzyma na łasce Bartłomiej. Gospodarz ten jest dobrym i rozumnym człowiekiem, ale żona jego bardzo dokucza sierocie, zwłaszcza o to, że pomiędzy nim a jej Anusią coś tam jakby miłość się klei. Bartłomiejowa rada-by dziewczynę wydać za Ignacego Dziurę, lokaja dworskiego, który przezwał się Alfonsem Dziurzyckim i ma coś do dwóch tysięcy majątku. Ale dziewczyna ani chce o tem słyszeć.

Otóż siedzi sobie raz Walek i gra smutno, aż tu przejeżdża pan Namysłowski, który kapelę z chłopów zbiera. Podobała mu się gra Walka i zabiera go z sobą do Warszawy.

Walek nie robi karyery tak świetnej, jak Jędrek, ale zostaje przecież pierwszym w orkiestrze skrzypkiem i ciuła sobie grosze, aż i uciułał okrągłe 1233 ruble i 30 kopiejek. Opiera się też pokusom, jakie nań spadają w postaci bawarki, panny Józefy, wreszcie wezwany listem na wieś,—bo Anusia z tęsknoty się rozchorowała—wraca i żeni się z ukochaną.

W opowiadaniach ludowych tego rodzaju nie idzie oczywiście o rysunek figur. Dość gdy losy ich są prawdopodobne. Jeżeli jednak bohater zostaje tu poświęconym dla szczegółów, to od tych szczegółów wymaga się tem więcej. Pan Kirkor wymaganiom tym czyni zupełnie zadosyć. Wszystkie figury porzędne, które wprowadził, a głównie te, co z chłopskiego pochodzą świata, bardzo dobrze są zaobserwowane i z wielką plastyką rzucone na papier. Ten Ignac Dziura naprzykład jest tak szczerze zabawnym, że bawi nawet czytelnika z wyrobionym smakiem. Bartłomiej, jego żona, rodzice Jędrka, wszyscy oni są prawdziwi i każdy włościanin pozna w nich takich ludzi, jak ci, śród których mieszka. Obok humoru i charakterystycznych rysów, autor tu i owdzie sieje sentyment, a trafia bardzo szczęśliwie w miarę i nigdzie nie przesadza. Taka Anusia jest zupełnie prawdopodobną postacią; w scenie szczególniej z Ignacem, gdy mu „przycina, jak nożycami“, wychodzi doskonale i czytelnik widzi, że to nie sentymentalnie papierowa wieśniaczka, ale dziewczyna ze krwią w żyłach i duszą chłopską w ciele, która jeno tę duszę ma nieco delikatniejszą, niż inne dziewuchy, i zdolną do prawdziwego kochania.

P. Kirkor pamięta zresztą, że nietylko powinien bawić i zajmować, ale także trochę i uczyć. Czyni też to, tu i owdzie, a czyni z wielką zręcznością. W jednem miejscu naprzykład uczy, że można i należy gasić ogień powstały od pioruna; w innem zbija rozpowszechnioną jeszcze gdzie niegdzie teoryę o puszczaniu krwi. W obu razach p. Kir-

kor przedstawia to w zajmującej scenie i nauka sama z siebie występuje, jako prawda żywa i naturalna.

Nadzwyczaj szczęśliwie wpadł też pan Kirkor na właściwy sposób opisywania. Styl jego jest prosty, miejscami od ludowego zapożyczony, miejscami go uszlachetniający. Prostota ta w niczem nie przeszkadza autorowi do wywoływania efektów komizmu lub malowniczości. Pozwalam sobie przytoczyć próbkę: „A najwięcej szkodzą te swaty i swatki różne. Chce im się coś zarobić, choćby mieli zgubić człowieka. W każdej wsi są takie kumoszki: gdy zaczną ze sobą szeptać, zaraz niby do wtóru odzywa się we wsi pisk skrzypek, chrapanie basa i walenie bębna: bom, bom, bom...

„A potem to chłop wali całe życie w babę, jak w bęben...“

Pożar tak opisuje autor: „Walek chlupnął wodą na ogień, że tylko syk się rozszedł; potem zaczęło coś trzeszczeć i tylko kłęby dymu zaczęły się uganiać po strzesze. Za to w innem miejscu wyrwał się płomień i trysnął do góry; maleńkie płomyki zaczęły lizać strzechę jak psie języki. Walek znowu chlupnął wodą i języki powłaziły w strzechę.“

P. Kirkor posiada nietylko tę specyalną umiejętność pisania zrozumiale dla umysłów niewykształconych. Jak Walek-muzykant i Jędrzej-malarz, tak i twórca ich staje przed nami—jako artysta w chłopskiej sukmanie. P. Kirkor ma talent. Każda jego postać (z wyjątkiem głównych, o czem mówiliśmy) odznacza się wyraziście fizyognomią własną i mówi z własnej duszy, a nie słowami podpowiedzianemi przez tuż stojącego przy niej, niby sufler przy aktorze, pisarza.

Talent ten szczególniej widać tam, gdzie autor opisuje naturę. Jest to zazwyczaj parę rysów, ale te wystarczają, aby zobaczyć naprzykład kościołek wiejski po skończonem nabożeństwie, albo polankę o wschodzie słońca, na której odbywa się pojedynek chłopa-malarza z paniczem. Zwrócę jeszcze uwagę na zabawną i artystycznie naiwną scenę, gdy Walenty, zły, że mu Jędrzej smutny czegoś chodzi, z wróblami się rozprawia, spędzając je z płotu. Scena weselna w Walku należy też do bardzo udatnych, tyle w niej ruchu, życia, wesela i szczęścia.

O ile mnie nie mylą moje wiadomości bibliograficzne, p. Kirkor pierwszy raz występuje z książką drukowaną. Debiut bardzo szczęśliwy.

W. Kosiakiewicz.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Od ostatniej kroniki wiele rzeczy stało się w polityce. Reforma wojskowa w Niemczech została uchwalona. Bil irlandzki przyjęła izba gmin w drugiem czytaniu. Francya weszła w okres agitacyi przedwyborczej. Między Rossyą i Niemcami wybuchła wojna celna. W dodatku w tymże okresie czasu zdarzył się ciekawy epizod syamsko-francusko-angielski i podróż kedywa z Kairu do Konstantynopola, wraz z powrotem. Nie można powiedzieć inaczej, jak że miesiąc był— *bien rempli.*

Najmocniej uwagę powszechną pochłaniał zatarg syamski. Francya pozornie miała do czynienia tylko z Syamem; w rzeczywistości za Syamem stała Anglia. O wszystkich szczegółach, dotyczących stosunków francusko-syamskich, rozprawiano w izbie gmin żywiej i obszerniej, niż w parlamencie francuskim. Syam probował się opierać ultimatum francuskiemu; w końcu przyjął je. Jednocześnie Anglia zawarła z rządem francuskim układ o utworzenie pasa neutralnego, który będzie oddzielał posiadłości francuskie w Indo-Chinach od cesarstwa indyjskiego.

Ten-to „pas neutralny“ jest, z międzynarodowego punktu widzenia, najciekawszym w danej sprawie. Anglicy wyraźnie przyjęli zasadę, że ich cesarstwo indyjskie nie powinno graniczyć bezpośrednio z posiadłościami żadnego z państw europejskich. Pas neutralny nad górnym Mekongiem powołany jest do odgrywania takiej samej roli, jak

na północy Afganistan. Że lord Rosebery zasadę powyższą, której już groziło poważne niebespieczeństwo nad Mekongiem, ocalił przez układ z Francyą, to mu ziomkowie mają za zasługę. Francuzi stawiają pytanie, czy te pasy przegradzające posiadają w istocie charakter tarczy, niepodobnych do przebicia, za jakie je mają Anglicy, i odpowiadają na nie przecząco. Niepodobne do przebicia z pewnością tarcze owe nie są; ale trudno zaprzeczyć, że w tamtych mianowicie okolicach przynoszą pewne pożytki. Przedewszystkiem ochraniają ludność cesarstwa indyjskiego od bezpośredniego zetknięcia się z obcemi politycznemi wpływami. Ten jeden wzgląd wystarcza, aby je Anglicy wysoko cenili.

Co się tycze podróży kedywa do Stambułu, zdawało się, że wynikną z niej ambarasy dla Anglii, stało się przeciwnie: kedyw wrócił do Kairu upokorzony. Sułtan nie tylko nie dał mu się pociągnąć do wystąpienia przeciw okupacyi angielskiej, ale oznajmić miał, że nie należy do kedywa zajmowanie się wielką polityką. Sprawę okupacyi sama Porta załatwi w porozumieniu z rządem angielskim.—Na pozór wygląda to, jako raptowny zwrot w usposobieniach sułtana, który niedawno jak gdyby popierał aspiracye emancypacyjne „młodego Egiptu.“ Anglicy tak rzecz tłómaczą: sułtan uczuł obawę, żeby kedyw, uwolniwszy się od Anglików, nie zaczął myśleć o uwolnieniu się i od zależności tureckiej. Walka z okupacyą angielską mogła-by być dla Egiptu szkołą walki o niepodległość całkowitą. Takiej szkoły lepiej niech nie przechodzi.

Anglicy korzystają z chwil i wyciągają do upokorzonego w Stambule kedywa rękę z propozycyą zgody. Jest też bardzo prawdopodobne, że, nie znalazłszy poparcia nad Bosforem, kedyw okaże się pojednawczym.

Ku samemu końcowi lipca weszła na porządek dzienny dyskusyi publicznej sprawa, która od razu zapanowała nad wszystkiemi innemi; mamy tu na myśli kwestyę stosunków handlowo-celnych pomiędzy Rossyą a Niemcami.

Rossya przez długi czas miała jedną, wobec wszystkich państw, taryfę celną. Opłaty celne, w taryfie tej ustanowione, miały przeważnie charakter ceł opiekuńczych, których celem było wytworzenie i rozwinięcie przemysłu krajowego. Świetny stan przemysłu w okręgach fabrycznych łódzkim i moskiewskim, nie mówiąc o fabrykach i zakładach przemysłowych, po całem państwie rozrzuconych, świadczy o tem, iż cel został osiągnięty. Ostatnia gruntowna reforma taryfy celnej, po części połączona ze znacznem podwyższeniem poszczególnych opłat,

unormowanych na podstawie ankiety we wszystkich gałęziach wytwórczości krajowej, datuje się od połowy r. 1891.

Wiadomo, że w państwach zachodnich Europy, po epoce, w której przemagały zasady wolnego handlu, propagowane głównie w Anglii, także od r. 1878 zapanował system protekcyjny, zapoczątkowany przez Bismarcka. Po ustąpieniu atoli żelaznego kanclerza w r. 1890, „nowy kurs“ w Niemczech zaczął się skłaniać ku innym zasadom w polityce handlowo-celnej, a rezultatem ostatecznym, rezultatem nowego prądu, było zawarcie przez Niemcy w r. 1892 traktatów handlowych z Austro-Węgrami, z Włochami, z Belgią, Szwajcaryą i innemi państwami.

Polityce, której wynikiem były traktaty handlowe, poświęciła „Biblioteka“ w zeszłym roku obszerniejszą pracę, więc jej tu rozbierać nie będziemy. Zaznaczymy tylko, iż na mocy traktatu, zawartego pomiędzy Niemcami a Austro-Węgrami, cło od zboża na granicy niemieckiej znacznie zostało zniżone, tak, iż np. cło od żyta i pszenicy, zamiast 5 marek od 100 kilogramów (6.1 puda), wynosi $3^1/_2$ marki; odpowiedna redukcya nastąpiła także co do innych zbóż. Te same prawa, które pozyskały Austro-Węgry, przyznały Niemcy także innym państwom, używającym wobec nich prawa państw w stosunkach handlowo-celnych najbardziej uprzywilejowanych. Austro-Węgry ze swojej strony poczyniły Niemcom ustępstwa w kwestyi ceł od tych wyrobów przemysłu, które w znaczniejszej ilości z Niemiec do Austro-Węgier wychodziły.

Ponieważ Niemcy zawarły także układ handlowy ze Stanami Zjednoczonemi Ameryki północnej, więc wytworzyła się ta pozycya, iż Rossya pozostała jako jedyne państwo, do którego stosowano dawne taryfy, tak, iż zboże, dowiezione z Rossyi do Niemiec, opłacało dawniejsze cło, gdy import zboża ze wszystkich innych krajów korzystał z ceł zniżonych.

Rozumie się, iż taki stan rzeczy nie mógł zadowolnić decydujących kół russkich. Faktem zresztą jest, że już w r. 1891, po zreformowaniu swojej taryfy celnej, Rossya oświadczyła gotowość zawierania traktatów handlowych z innemi państwami, a więc także z Niemcami, na zasadzie ustępstw wzajemnych. Zdaje się, że w r. 1891/2, kiedy zabroniony był w Rossyi wywóz zboża, stanowiącego główny przedmiot eksportu, z obu stron nie nalegano na przyśpieszenie rokowań. Ale ku końcowi r. z. ożywiły się one i rozpoczęła się wymiana zdań.

Z jakiej przyczyny rokowania nie doprowadziły do traktatu handlowego pomiędzy Rossyą a Niemcami, o tem przesądzać nie można, szczegóły bowiem są tajemnicą kół dyplomatycznych. Natomiast przyszedł do skutku układ pomiędzy Rossyą a Francyą, na mocy którego Rossya zniżyła cło od całego szeregu przedmiotów, o ile one nadcho-

dzą z Francyi, o 15—25%, Francya zaś wzamian zniżyła cło od nafty, dowożonej z Rossyi, o połowę, tak, iż można się spodziewać bardzo mocnego wzrostu eksportu nafty z Rossyi do Francyi; zniżeniu ceł zbożowych oparły się koła agrarne we Francyi.

Niższe wobec importu francuskiego cła przyznane zostały z porządku rzeczy przez Rossyę także wszystkim państwom, używającym wobec Rossyi praw państw, we wzajemnych stosunkach handlowo-celnych najbardziej uprzywilejowanych. Do kategoryi ich należą prawie wszystkie większe państwa, z wyjątkiem Austro-Węgier, Niemiec i Portugalii. Stosunki handlowe z Portugalią są względnie niewielkie, natomiast Niemcy i Austro-Węgry, importujące do Rossyi przeważnie wyroby przemysłu żelaznego, maszyny i t. p., skutkiem traktatu Rossyi z Francyą, stosującego się także do Anglii, pozyskały bardzo niebezpiecznego konkurenta w przemyśle angielskim.

Nie skończyło się jednakże na tem. Rossya ogłosiła w początku lipca, iż na przyszłość przyjmuje zasadę podwójnej taryfy celnej. Taryfą minimalną, czyli normalną, jest obecna, natomiast taryfa maksymalna zawiera podwyższenie o 20—30% opłat taryfy normalnej. Ku końcowi lipca nastąpiło ogłoszenie, iż ze względu na to, że Niemcy pobierają od zboża, dowożonego z Rossyi, cło wyższe, niżeli od zboża z innych krajów, do wyrobów przemysłu niemieckiego, importowanych do Rossyi, ma być zastosowaną taryfa maksymalna.

Niemcy odpowiedziały na to podwyższeniem ceł na zboże, dowożone z Rossyi, o dalszych 50%, tak, iż główne zboża, pszenica i żyto, z Rossyi na granicy niemieckiej dziś opłacają $7^1/_2$ marki za 100 kilogr., a więc około 114% więcej od zboża z innych krajów.

Rossya nie pozostawiła tego bez odpowiedzi. Zadecydowano podniesienie opłat russkiej taryfy maksymalnej jeszcze o 50% dla dowozu z Niemiec, co oczywiście równa się zupełnemu zakazowi tego dowozu, tak, jak podniesienie niemieckich ceł zbożowych równa się zakazowi dowozu zboża z Rossyi do Niemiec.

Jest to więc wojna celna *in optima forma*. Wobec Austro-Węgier nie podwyższono taryfy normalnej z 1 lipca 1891 roku, podobno nawet mają jej być przyznane ulgi francuskie, z przewidywaniem zawarcia traktatu handlowego.

Widmo, które trapiło całą Europę w roku ubiegłym, nie przestaje i obecnie szerzyć popłochu aż z dwóch krańców: zachodu i wschodu. Po drzemce zimowej cholera się zbudziła tu i owdzie, zabiera dość liczne ofiary we Francyi, a w Arabii niesłychane spustoszenie sieje; według sprawozdań świadków naocznych, ludzie tam padają, jak muchy, i ża-

dna dotąd siła nie może poskromić strasznej zarazy. W państwie russkiem epidemia również wzrasta w wielu miejscach, najbardziej tam, gdzie przezimowała, więc w gubernii Podolskiej i w niektórych środkowych. Jednocześnie czujność straży zdrowia publicznego się wzmogła; środki, zalecane w roku ubiegłym, znowu przypomniano ludności; czyszczenie miast, miasteczek i wsi—na porządku dziennym; ale czy podobna za jedno lato usunąć ten ogrom śmieci i brudów, nagromadzonych przez zimę? Czy podobna niechlujną ludność, która się zżyła z brudem, nakłonić odrazu do czystości? Jeżeli warstwy tak zwanej inteligencyi nie zawsze mają pociąg do mydła, to cóż mówić o ciemnych, ubogich?

Od lat kilku w sezonie młodych kartofli i ogórków sprawa kąpieli ludowych budzi się na szpaltach dziennikarskich, a nawet ukazują się plany rysuneczków, jako modeli tych przybytków czystości. Dotąd wszakże od słowa drukowanego do czynu było bardzo daleko; wyszczególniano zalety tanich kąpieli dla mas ubogich, obliczano koszt ich urządzeń, wskazywano miejsca najwłaściwsze; ale nikt się nie znalazł, ktoby wskazał źródło nie wody czystej, lecz—monety, potrzebnej na budynki, mydło i ręczniki. Obecnie i tę kwestyę rozwiązano. Znalazła się cudowna laska w postaci uczuć humanitarnych, pod których uderzeniem otworzyła się nie skała, lecz częstokroć podobna do niej kaleta, a z niej trysnął obfity zasiłek dla utworzenia kąpieli ludowych w Warszawie. Owym cudotwórcą jest p. Rotwand wraz ze swą małżonką. Ofiarowali oni 10,000 rs. na łazienki trzykopiejkowe. Dzięki więc tak hojnej ofierze, setki ubogich ludzi zyskują sposobność utrzymywania swego ciała w czystości. Po wybudowaniu atoli owych łazienek, pozostanie jeszcze jedna ważna sprawa do załatwienia: rozbudzenie śród tych warstw zamiłowania do czystości. Nie będzie to rzecz tak łatwa, jak się wydaje na pozór. Zważmy, w jakich warunkach pozostaje pracownik fizyczny, któremu hygiena nakazuje kąpiel, przynajmniej raz na tydzień. Wraca z brudnego miejsca pracy do również brudnej izby. Tak się on przyzwyczaił do tego podkładu swego bytu codziennego, do swych rąk, na których skóry nie znać pod grubą warstwą kurzu zmieszanego z potem i tłuszczem, do swych dzieci, tarzających się na czarnej podłodze, do swej żony, której dłoń niemyta służy zarazem do wygrzebywania śmieci i zacierania klusek, — że jedno obwieszczenie, iż powstała dla niego i jego rodziny kąpiel trzykopiejkowa, nie będzie wystarczającem.

Niemcy mają już w swym charakterze głęboko zakorzenioną cechę schludności. Dlatego-to u nich domki najuboższe są ładne i widne, stoły, krzesła i ławki czyste, każdy sprzęt najmniejszy połyskujący świeżością, bielizna i ubranie nawet codzienne starannie czysto utrzy-

mane. Każdy z nich posiada zmysł estetyczny, może z odcieniem filisterskim, może nie przypadającym do gustu naszym wysoko, ale w teoryi tylko, rozwiniętym wymaganiom piękna; w każdym jednak razie cecha ta jest drogocenną i jej-to kraj wysoko kulturalny zawdzięcza owe na każdym kroku kąpiele, wzorowo urządzone, i wieczne ich przepełnienie. U nas nawet pięciokopiejkowe omnibusy na Wiśle, przy pięknej pogodzie w sobotę, rzadko kiedy są przepełnione. Jedni boją się zimnej wody, inni—brudnych ręczników; ci ostatni mają racyę, gdyż szmaty do ucierania się częstokroć bardzo podejrzanie wyglądają, wogóle zaś łazienki obliczone są na spekulacyę, czego najlepszym jest dowodem obwieszczone niedawno w pismach codziennych rozporządzenie policyjne, nakazujące jednemu z przedsiębiorców zamknięcie łazienek za niezachowanie najważniejszych warunków hygienicznych, pomimo uprzedniego nacisku władzy. Wobec takiego stanu rzeczy, dziwić się nie można, że ostrożniejsi mieszkańcy miasta wolą po lat parę się nie kąpać wcale, niżeli po jednorazowem obmyciu się być przez długi czas w obawie jakiej choroby skórnej, albo wogóle zakaźnej. Znam takich, którzy za nic w świecie nie pójdą do wanny, gdyż twierdzą, że nie są one zbyt czysto utrzymywane. Ostrożniejsi biorą do kąpieli własne mydło i ręczniki. Ponieważ jednak muszą, pomimo to, płacić za owe przedmioty nieużywane, a wliczone w ogólną cenę kąpieli, zrażają się więc do nich.

Otóż, zdaniem naszem, nie dość jest urządzić tanie kąpiele dla ubogich warstw ludności, trzeba we wszelki sposób rozbudzać zamiłowanie do nich. Wogóle zaś przedsiębiorcy wszelkiego rodzaju kąpieli powinni zdobyć zaufanie do nich ogółu ostrożniejszego. Trudno atoli wymagać od nich *dobrowolnego* zachowania tego warunku. Tylko częste i skrzętne rewizye sanitarne i nacisk uprawomocnionych do działania komisyi zdrowotnych może tę cechę z czasem w przedsiębiorcach wyrobić. Trudno nawet posądzać, ażeby to niedbalstwo zawsze wynikało z ich złej woli. Trzeba część jego złożyć na karb ogólnych cech rasowych. Są narody, których zasadniczem znamieniem jest czystość, albo niechlujstwo. Pierwszą, jak wiadomo, odznaczają się Niemcy i w mniejszym stopniu inne narody zachodnio-europejskie, jak również mieszkańcy Skandynawii. Natomiast mieszkańcy południa i wschodu (Włosi, Grecy, Turcy) szeroko słyną ze swych brudów. To samo zarzucamy śród nas mieszkającym Żydom, ale, bądźmy bezstronni i przyznajmy, że nie możemy się poszczycić zbyt wielką pod tym względem wyższością. Owa tak zwana przez nas „żydowszczyzna,“ t. j. czystość powierzchowna, tkwi w nas samych, na każdym kroku. Fakta dowiodły, że wykwintnie wyglądające z pozoru cukiernie i restauracye, nie

zawsze są czyste i zdrowe, a nawet bezpieczne, w kuchniach; ubrani w świeże garnitury, nosimy brud na skórze. To samo widzimy w domach i ulicach: front pięknie i czysto się przedstawia, oficyny cuchną, schody brudne, śmietniki po kilka tygodni stoją przepełnione. Środek miast jako tako wygląda schludnie, ich zaś podrzędniejsze dzielnice— zupełnie zaniedbane. Nie trzeba zbyt wielkiej uwagi, ażeby spostrzedz faworyzowanie ulic i dzielnic lepszych, odnawianie i ulepszanie bruków tudzież chodników, zwiększanie liczby latarń, podczas gdy dalsze ulice nie są nawet brukowane, a na ich środkach nietylko leżą kupy śmieci, lecz nawet gniją nieżywe zwierzęta domowe. Takie są nasze miasta i miasteczka. Nie poprzestawajmy więc na daniu sposobności wymycia ciała ich mieszkańców, ale jednocześnie postarajmy się o zabrukowanie ulic, wyczyszczenie podwórz, wyszorowanie schodów, odnowienie zabrudzonych i obdartych po lat kilkanaście mieszkań.

O ten ostatni warunek próżno modlą się i walczą mieszkańcy miejscy i chyba się nie omylimy, twierdząc, że główną przyczyną „gorączki świętojańskiej“ jest właśnie nieugiętość w tym względzie właścicieli domów. Lokator, nie mogąc wytargować najmniejszych ustępstw, szuka takiego gospodarza, który-by zechciał być wrażliwszym na jego nieodzowne potrzeby. Jakiś reporter oblicza, nie wiem, czy zapomocą faktów, czy wyobraźni, że podczas ostatniej przeprowadzki w Warszawie 33,600 osób zmieniło mieszkania i wydało na przeniesienie rzeczy 200,000 rs. Ile zaś ponieśli oni straty przez połamanie i potłuczenie cennych sprzętów, tego najśmielszy reporter obliczyć nie zdoła. Gdyby przynajmniej istniały stowarzyszenia, zajmujące się przeprowadzką i solidarnie odpowiedzialne za tego rodzaju straty. Lokator cierpi, traci i wędruje bezustannie z kąta w kąt miasta, a i właściciel domu nie ma stąd zysku, przeciwnie—dużo kłopotu, straty z uszkodzeń sufitów, okien, ścian, schodów i w końcu z konieczności zniżenia opłaty, gdy przez długi czas nikt nie chce wziąć mieszkania zrujnowanego. Pomimo to, pomimo, że kamienice nowe co rok wyrastają niemal na wszystkich ulicach, cena mieszkań ciągle idzie w górę; nie tylko w Warszawie, ale nawet w innych miastach mniejszych lokale są u nas dziś stosunkowo droższe, niżeli w stolicach europejskich. W Paryżu jednak ciągle się daje słyszeć narzekanie na drożyznę; na zaradzenie zaś temu niejaki Charnay proponuje budowanie domów i sprzedawanie lokali na wypłatę w ciągu lat kilkudziesięciu. Myśl ta wielce się podobała Prusowi, więc proponuje zastosowanie tej nowości w Warszawie i takie czyni obliczenia: Metr kwadratowy mieszkania w domu trzypiętrowym kosztuje średnio około 70 rubli, koszt zaś utrzymania i zwrot kapitału

z procentem (w ciągu 100 lat) wynosi 2%, czyli rs. 1 kop. 40 za metr. Tym sposobem pokój duży, mający 40 metrów kwadratowych (o dwóch oknach) kosztował-by rocznie około 56 rubli, dzisiaj zaś kosztuje około 150 rs. rocznie. Do rachunku nie wchodzi tu grunt i podatki; ale obie te pozycye nie mogły-by podwyższyć ceny mieszkań o 270%. „Za co my tę podwyżkę płacimy?—zapytuje Prus;—za wynajęcie. Frak wynajęty jest trzy razy droższy od własnego.“ Jest w tem racya, i chociaż obliczenia Prusa mogą być nie ścisłe, nabywanie mieszkań na raty było-by istotnie tańsze, niżeli ich wynajmowanie. Ale przedewszystkiem poszukajmy już nie ze świecą, lecz z latarnią elektryczną takich kapitalistów i takich lokatorów, którzy-by się związywali wspólnemi interesami na lat *sto*. Po-za tem szkoda, że kronikarz „Kuryera Codziennego,“ wielce lubujący się w cyfrach, nie obliczył, ile też znalazło-by się w mieście lokatorów, którzy-by chętnie nabywali mieszkania na raty. Była-by to bardzo szczupła garstka; zważmy bowiem: ludność Warszawy i innych miast składa się z kapitalistów, mających własne mieszkania, albo nie czujących wcale potrzeby ich nabywania, tudzież z ludności urzędniczej, robotniczej, biuralistów i uprawiających t. zw. wolne profesye. Otóż, każdy urzędnik, jak żołnierz, łudzący się zawsze nadzieją zdobycia rangi generała, marzy o awansach i w większości wypadków nie jest to czcze marzenie. Położenie zatem urzędnika co lat kilka się zmienia, potrzeby rosną, do czego się często przyczynia powiększenie rodziny; stąd konieczność peryodycznej zmiany lokalów mniejszych na większe. Czy więc pracownik, pobierający dziś 250 rs. pensyi, a za lat kilka 500, 600, 800 lub 1,000, może się zdecydować na kupowanie mieszkania ratami? Również nie może o tem myśleć robotnik; ten bowiem, który się stale trzyma jednego miasta, dziś pracuje w fabryce np. na Solcu, jutro może się przenieść na Pragę. Człowiek zaś, oddający się wolnej profesyi, prowadzi życie cygańskie. Projektowi zatem Charnay'a i krzewicielowi jego pomysłu u nas, Prusowi, może tylko przyklasnąć garstka ślimaków miejskich, filistrów, których wszystkie potrzeby, porywy i marzenia dadzą się zamknąć w czterech ścianach. Nie! Życie kipi i toczy się coraz szerszą falą, potrzeby i wymagania ludzkie rosną z dniem każdym. Ten, kto się da porwać w wir powszechnego rozwoju, nie może się zasklepiać w mieszkaniu, nabytem dla siebie i swoich potomków. Nawet ten, kto się opiera wszelkiemi siłami owemu prądowi ogólnego rozwoju i ruchu, musi się rozstać z marzeniem pozostawienia pożądanej dla swych dzieci spuścizny w postaci lokalu. Wkłady jego w mieszkanie będą miały takie znaczenie, jak ciułane przez żebraka grosze, w płótno lub siennik zaszyte, po to, ażeby ktoś obcy potem ze skarbu skorzystał. Dzieci śli-

maka miejskiego rozproszą się po świecie, będą pracowały w różnych dziedzinach i może na różnych krańcach świata nad ogólnym rozwojem moralno-materyalnym. Szkoda, że pomysł, podany przez Prusa, nie zrodził się przed paru wiekami...

Niefortunna myśl nabywania mieszkań na wypłatę może powstała pod wpływem tej coraz bardziej rozrastającej się formy zaspokajania potrzeb spożywców. Ciągły wzrost ceny środków utrzymania i jednocześnie zbyt niewielkie w stosunku do tych potrzeb podwyższenie wynagrodzenia pracy czyni to, że po zaspokojeniu głodu i pragnienia, a w miastach i komornego, nie pozostaje nic na inne niezbędne rzeczy. Stąd powstało charakterystyczne zjawisko: prawie niema dziś przedmiotu, którego-by nie nabywano na raty: nietylko ubranie, meble, łóżka, maszyny do szycia, lustra, wyżymaczki, samowary, ale nawet trzewiki są sprzedawane na wypłaty tygodniowe, lub miesięczne. Przedsiębiorcy, rzemieślnicy i kupcy zgodzili się z tym losem; wiedzą oni, że bez takiego ułatwienia klientela ich była-by bardzo nieliczna; wolą więc otwierać kredyt i pobierać za swe ryzyko 30, 50, a nawet i 100% w postaci wyższej ceny za towar, nabywany na wypłatę, w stosunku do płaconego gotówką, niżeli ponosić straty skutkiem braku nabywców. Ci ostatni częstokroć narzekają na zdzierwstwo kupców. Bezstronność jednak każe poniekąd to zdzierstwo przy obecnych warunkach i formie handlu usprawiedliwić. Kupiec, czy przedsiębiorca, wydaje z góry znaczne sumy na materyał surowy i jego przetwarzanie, odbiera zaś całkowity zwrot kosztów z zyskiem po sprzedaniu towaru dopiero po kilku miesiącach, po roku i więcej nawet, względnie do sumienności klienta. Częstokroć zaś musi poprzestawać na odbiorze pierwszej raty i tym sposobem traci tysiące i do bankructwa dochodzi. Tak zawsze będzie, dopóki handel nie przestanie płynąć wązkiem łożyskiem, dopóki będą istniały tysiące drobnych warsztatów i tysiące małych magazynów, których interesa nie pozwalają na zniżenie ceny towarów odpowiednio do położenia materyalnego spożywców. Na zachodzie Europy marzeniem wielkich wytwórców, poniekąd już w czyn wcielonem, jest skupienie w jedną grupę danego przedsiębiorstwa—wytwarzania surowych przedmiotów, przetwarzania i prowadzenia handlu sklepowego. Tym sposobem, sprzedając nawet o połowę mniej, niż dziś, można jeszcze zyski osiągnąć. Taka forma przemysłu i handlu, skupionego w rękach stowarzyszeń, ujawnia się dziś w wielkich miastach angielskich, francuskich i niemieckich, w postaci olbrzymich magazynów, zatrudniających setki i tysiące ludzi, i jakkolwiek hołdownicy nienaruszalności form bytu materyalnego narzekają, utrzymując, że taki stan rzeczy przy-

czynia się do zabicia handlu drobnego i zarazem odbiera sposób bytu wielu jednostkom, jednakże ogół spożywców bardziej jest z tej nowej formy zadowolony, a ludzie, cokolwiek głębiej wnikający w istotę rzeczy, łatwo spostrzegą, że w ten sposób rozwijający się przemysł i handel dają utrzymanie znacznie większej liczbie pracowników, niż obecne drobne, niepewne przedsiębiorstwa i bezustannie bankrutujące sklepikarstwo.

Wiadomości bibliograficzne.

— „Biblia litewska Chylińskiego.“

Bibliografom znany jest jeden jedyny egzemplarz biblii, przełożonej na język litewski przez Samuela Bogusława Chylińskiego. Egzemplarz ten był własnością biblioteki Akademii duchowej w Wilnie, a obecnie znajduje się w bibliotece Akademii duchowej rzymsko-katolickiej w St.-Petersburgu. Wspomina o nim Jocher w swym „Obrazie bibliograficznym“ t. II, str. 109 i nast. Egzemplarz ten ma 416 stronic i doprowadza przekład aż do psalmów. Biblia ta drukowaną była około roku 1660 w Londynie staraniem samego tłómacza, popartego w tym względzie przez zamożnych protestantów litewskich. Zdaje się jednak, że druk tej biblii nie został ukończonym, że nawet nie wydrukowano karty tutułowej. Brak funduszów i wreszcie śmierć Chylińskiego, która nastąpiła w Anglii 1668 roku, stały temu na przeszkodzie. Otóż wielce ciekawą jest rzeczą, że obecnie znaleziono drugi egzemplarz tej biblii litewskiej Chylińskiego w Londynie, i że ten egzemplarz nabyty został przez bibliotekę Muzeum Brytańskiego. Do odnalezienia tego egzemplarza i nabycia go przez Muzeum przyczynił się głównie p. Jan B. Naake, bibliotekarz oddziału słowiańskiego tego Muzeum, nasz rodak, znany każdemu, przybywającemu z ziem słowiańskich, jak najlepiej ze swej uprzejmości w ułatwianiu dróg do korzystania z tego

bogatego księgozbioru. Dzięki też jego uprzejmości, niżej podpisany miał sposobność dokładnie oglądać tę rzadkość bibliograficzną. Egzemplarz Muzeum Brytańskiego jest fragmentem mniej zupełnym, aniżeli egzemplarz petersburski,—obejmuje bowiem tylko stronic 176, nie ma również karty tytułowej i doprowadza przekład tylko do księgi Jozuego, rozdz. XV, w. 63. Że fragment ten jest biblią Chylińskiego, o tem wątpliwości być nie może. Odpowiada on w zupełności opisowi, podanemu przez Jochera; drukowany jest w ósemce, małemi, lecz wielce wyraźnemi łacińskiemi czcionkami; tekst otoczony jest cienkiemi czerwonemi liniami, oddzielającemi go zarówno od marginesów, zaznaczających tak zwane miejsca równoległe z biblii, jak od objaśnień tłómacza, zamieszczonych na dole pod tekstem. Nadto początkowe wiersze, przytoczone przez Jochera dla odróżnienia biblii Chylińskiego od biblii litewskiej, wydanej w Królewcu, zgadzają się w zupełności z egzemplarzem Muzeum Brytańskiego. Wiadomość o tym egzemplarzu podał p. Naake w londyńskiem „Ateneum“ z dnia 1 lipca r. b. Ponieważ jednak pismo to nie jest u nas zbyt rozpowszechnionem, przeto powyższa notatka zaciekawi może naszych bibliografów [1]).

Londyn, w sierpniu 1893 r.

H. Struwe.

---

[1]) Według A. A. Kryńskiego („Wielka Encyklopedya Illustrowana,“ artykuł „Biblia—przekłady litewskie“), Chyliński rzeczywiście przez długi czas uchodził za tłómacza tej biblii, ale nim wcale nie był. Tekst do druku jej opracowany został z polecenia zboru kiejdańskiego, między innymi przez Jerzego Skrodzkiego, kaznodzieję polskiego i litewskiego w Królewcu, i Jana Borzymowskiego, seniora żmudzkiego, na podstawie przekładu Jana Bretkuna, czy Bretkunasa, pastora i kaznodziei litewskiego w Królewcu, gdzie się też dotychczas rękopis tego tłómaczenia (8 tomów) przechowuje w bibliotece uniwersyteckiej. Chyliński tylko był wysłany przez synod kiejdański za granicę do zbierania składek na wydanie tej biblii, a następnie do pilnowania korekty jej w Londynie; źle się jednak z polecenia tego wywiązał, tak, iż synod, zebrany w Wilnie (w czerwcu 1663), starania około dokończenia druku tej księgi powierzył Krzysztofowi Kraińskiemu i Mikołajowi Monwidowi: pierwszego upoważniono do zbierania funduszów na druk, drugiemu powierzono kierownictwo druku.

(*Przyp. Red.*).

Książki, nadesłane do Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej."

— *H. Gliński.* „Pogadanki o teatrze". Petersburg. 1893.

— *K. Morawski.* „Cesarz Tyberyusz". Petersburg. 1893.

— *I. P.* „Kallay o Andrassym". Petersburg. 1893.

— *R. Kiplyng.* „Nowele". Petersburg. 1893.

— *Tadeusz Chrzanowski.* „Badania z historyozofii". Część IV. Warszawa 1892.

— *Witold Rubczyński.* „Nowsze badania nad wiekiem złotym sztuki włoskiej i ich wartość dla estetyki". Kraków. 1893.

— *Ksiądz Klaudyusz Marya Maych.* „Anioł Eucharystyi, czyli Żywot Maryi Eustelli" przekład M. K. Kraków. 1893.

— *Dr Leopold Caro.* „Der Wucher, eine socialpolitische Studie". Leipzig. 1893.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weyssenhoff.

KOBIETY NA DWORZE CZEHRYŃSKIM,

w drugiej połowie XVII wieku. [1]

III.

Kobiety branki w społeczeństwie kozackiem, ich losy, rodzinne sprawy hetmana. Smutny koniec Heleny stepowej.

Stanowisko kobiety w nowopowstałej hetmańszczyźnie było bardzo podrzędne, obowiązki trzymały ją zdala od spraw publicznych, pod strzechą rodzinną, choć niekiedy pod groźbą niebezpieczeństwa zniewolone szukać opieki w obozie, dzieliły niewygody i troski, związane z życiem tego rodzaju. Tak naprzykład pod Beresteczkiem, w zdobytych przez wojska Rzeczypospolitej okopach znaleziono sporo niewiast i dziatwy przy nich niemało [2]). Niezależnie od takich przygodnych towarzyszek, w każdym niemal zagonie znajdowały się białogłowy kucharki; funkcye zużytkowywania prowiantu łączyły się tutaj w jednej osobie z funkcyami współczesnych „wiwandyerek," z tą tylko różnicą,

[1]) Patrz zeszyt lipcowy.

[2]) „Urywki z dziennika Oświecima," s. 113. „Starożytności historyczne polskie" Grabowskiego, I, 328.

że rozdawnictwo pokarmu i napoju nie przynosiło żadnego zysku. Obok nich w większych oddziałach tułało się po kilka, niekiedy po kilkanaście wróżbiarek, zwanych przez gmin raz „wiedźmami," to znowu „czarownicami;" często przypłacały one życiem zbyt hazardowne obietnice powodzenia,—naturalnie, że doraźne wykonywanie wyroku następowało zwykle po doznanym zawodzie [1]).

Z czasem obecność kobiet w obozie stała się powszednią; nie bardzo to dodatnio oddziaływało na wytrwałość zbyt sobie dogadzających zaporożców. Tak wnosić przynajmniej wypada z ukazu cara Aleksieja Michajłowicza do Iwana Popowicza, pułkownika nieżyńskiego, w którym, między innemi, poleca mu w 1655 r., by wypędził z pułku „żonki i dziewczęta," wyruszając bowiem na wojnę, oddawać się nierządowi grzechem jest i Bóg takiej wyprawie błogosławić nie będzie [2]). Ale owe dzielące niewczasy obozowe amazonki, choć nie należały do wyjątków, nie obejmowały wszakże wszystkiej pięknej połowy ziem ukraińnych; nie jedna kobieta pilnowała domu, jeżeli kozak, albo skozaczony chłop go posiadał. W liczbie atoli dozgonnych towarzyszek, nie zawsze połączonych sakramentem, znajdowały się nietylko miejscowe niewiasty, przeciwnie, w początkach zwłaszcza, spotykało się tu Polki, do uprzywilejowanego należące stanu, Żydówki, Wołoszki, Ormianki, a niekiedy nawet Tatarki, jakby przypadkiem zabłąkane. Kobiety w początkach, mówimy o brankach, stanowiły pewien kapitał dla zwycięzców, wyobrażały daninę, obliczoną na pieniądze, w handlu zamiennym figurowały, jako jednostka monetarna; widzieliśmy dość oryginalną umowę, zawartą na kresach w drugiej połowie XVII wieku, w której przedsiębiorca, Chaim—więc „przewierny,"—obowiązuje się dostarczyć kupcowi do Carogrodu pewną liczbę niewiast młodych, choćby podłego stanu, godziwych do uciechy i posługi, za trzysta lewkowych. Podczas pierwszych pogromów, ba, i późniejszych nawet, jeżeli kozacy walczyli na wspólkę z perekopskimi sojusznikami, kobiety i dzieci, po dokonanem zwycięstwie, ostatnim przeważnie się dostawały, a gdy branek było za mało, gdy wartość ich nie dorównywała korzyściom, jakie z wiktoryi osiągali kozacy, wówczas do branek dodawano Tatarom i pewną liczbę Rusinek; obyczaj ów tak się utrwalił, że w końcu lud ukraińny podejrzewał, że się to dzieje za wiedzą Chmielnickiego, uwiecznił nawet w pieśni jassyr tego rodzaju, złorzecząc sprawcy nieszczęścia: „Bodaj ciebie — śpiewano po wszystkiej Ukrai-

[1]) Kostomarów: „Bohd. Chmiel." II, 42. „Urywki z dziennika Oświecima," str. 115.

[2]) „Akta, dotyczące historyi poł.-zach. R." XIV, 902.

nie, — Chmielniczenko, pierwsza kula nie minęła za to, żeś pozwolił brać ordzie nasze dziewki i młodyce“ [1]). Naturalnie, że część branek zostawała w Krymie, a zbywające, właściwie pokaźniejsze okazy, szły na rynek do Carogrodu, i towar ten z czasem dotyla stał się modnym i poszukiwanym w haremach dygnitarzy stambulskich, że zdepopularyzował przeciwne wręcz typy, dotąd tam panujące wszechpotężnie: jasne blondynki, o cerze bladej, błękitnych oczach, skłonne do nabierania ciała, zastąpiły miejsce suchych, o stalowych mięśniach, ognistem oku, kruczym włosie i bronzowej cerze Czerkiesek.—Praktykowało się owo, jakeśmy już zaznaczyli, odstępowanie kobiet, kiedy kozacy walczyli pospołu z Tatarami; że jednak nie zawsze to się zdarzało, więc nieraz białogłowy, zapędzone w łyka zaporoskie, stawały się niepodzielną własnością zwycięzców, reprezentowały materyał, służący ku nie zawsze godziwej uciesze, a jeżeli przywiązanie w zwycięzcy z czasem urosło, wtedy niewolnica, przedzierzgnięta w żonę, u domowego zasiadała ogniska. Niekiedy jednak kozacy okazywali gwałtowny popęd do sakramentu, i na to dowodów u pamiętnikarzy doszukać się można. Wiemy naprzykład, że przy zdobyciu Tulczyna hordy Krywonosowe „mnóstwo kobiet pięknych i dziewcząt hożych, jak polskich, tak i żydowskich, zabrały“ [2]). Jeden zaś z podrzędnych dowódców, znajdujących się w oddziale, mianowicie pułkownik Anton, do tego stopnia upodobał sobie ks. Zofię Czetwertyńską, z domu Czuryłównę, że, po zamordowaniu jej męża, tuż u zwłok jego, drgających jeszcze nieledwie, połączył się sakramentem z tak tragicznie owdowiałą jego małżonką. Nieznany pamiętnikarz współczesny utrzymuje nawet, że, salwując życie, sama mu się za żonę ofiarowała — „zmuszona rada nie rada akkomodować się grubianinowi“ [3]). Toż i po opanowaniu Niemirowa wiele pięknych Żydówek kozacy pojęli za żony. Autor Izraelita opowiada kilka legend, świadczących o przywiązaniu dziewic izraelskich do starego zakonu: jedna z nich narzucającemu się oblubieńcowi wytłómaczyła, że kule jej się nie imają i na dowód żądała, by próbę wykonał; kozak usłuchał i strzałem z samopału na miejscu położył kochankę. Inna znowu miała prosić narzeczonego, by się z nią udał dla wzięcia ślubu do cerkwi, położonej za rzeką; chętnie pozwolił na to improwizowany nowożeniec, aliści, kiedy byli na środku mostu, dziewczyna rzuciła się z niego i w nurtach rzeki utonęła. Podobnych wypadków, jak

---

[1]) Kostomarow, l. c. III, 406. Budziński: „O Bohdanie Chmielnickim,“ 1882. Charków, str. 239.

[2]) Mandelkern: „Bohdan Chmielnicki, opowiadanie Żyda ówczesnego.“ Lipsk, tom I, str. 45.

[3]) „Pamiętniki o wojnach kozackich.“ Wrocław, 1840, s. 11.

utrzymuje pamiętnikarz, powtarzało się tak wiele, że wszystkich spisać tu niepodobna [1]). Stąd wniosek, że aspirantów nie brakło do małżeństwa tego rodzaju. Gmin jakby zapatrywał się na starszyznę i starał się ją naśladować; wiedziano dobrze w całej Ukrainie, że Chmielnicki połączył się z kobietą za życia pierwszego jej męża, że Jan Wyhowski, późniejszy hetman zaporoski, podczas jednej z wypraw na Litwę wykradł córkę kasztelana nowogrodzkiego — Helenę Statkiewiczównę, i związał się z nią ślubem. Wcześniej—bo podczas pierwszego pogromu w 1648 roku, pokrewny jego, Krzysztof Wyhowski, „nie pomnąc na stan szlachecki, ani też obawiając się win prawnych na wszelkich występników,“ porwał pannę Marynę Łaskównę, córkę wojskiego bracławskiego, sierotę, natenczas bawiącą przy pani Bogumile Trypolskiej w Owruczu, a choć panienka o małżeństwie nie myślała, napastnik jednak kozackiem prawem powodować się musiał, bo „oporną“ poprowadził do ołtarza [2]). To znowu zdarzyło się, że setnik, nazwiska nawet jego nie znamy, na czele oddziału napadł na monaster w Klińcach, pod Korcem położony, w którym przełożoną była powszechnie szanowana, bogobojna „ihumenia“ Jarmolińska, pochwycił jedną z zakonnic — pannę Pacównę — i wziął ją sobie za małżonkę [3]). Gwałty podobne za rzecz powszednią uważano, a gwałtownik wcale się nie krępował względami religijnemi. Wprawdzie węzły te nie zadzierzgały się tak mocno, by ich strony nie mogły zerwać przy lada nadarzonej sposobności: tak, piękna owa Zofia Czuryłówna, *primo voto* ks. Czetwertyńska, *secundo voto* Antonowa, musiała przedostać się do kraju, nie objętego rebellią, bo w lat kilka potem figuruje znowu, jako małżonka p. Mikołaja Kossakowskiego, podsędka bracławskiego [4]); skromna „siostrzyczka-czernica“ wróciła także do celi zakonnej, a setnik śmiałek przypłacił gwałt życiem [5]). Wracały i inne z jassyru tatarskiego, z kozackich „ziemlanek,“ czy siłą okoliczności z jarzma małżeńskiego wyzwolone, czy drogą okupu zdobywały swobodę, czy jako wdowy pod rodzinną dobijały się strzechę, często nawet z licznem potomstwem; ślad tych zrodzonych na obcej ziemi przybyszów upamiętniano w ubogich rodzinach szlacheckich, do nazwiska dodając jakby przydomek, w którym się ich pochodzenie uwydatniało; stąd powstali Krymczakowie-Wołkowińscy, Tatar-Tołkacze, Kozakowie-Kubalińscy, Kozaczen-

---

[1]) Natan Hanower—u Mandelkerna, l. c. T. I, s. 37—40.
[2]) „Archiwum poł.-zach. R.“ cz. IV, t. I, s. 108.
[3]) „Opis księgi aktowej kijowskiego central. archiwum“ Nr 9.
[4]) Kossakowski: „Monografie,“ I, 148.
[5]) Jerlicz: „Letopisiec,“ I, 187.

kowie-Kaleńscy i wielu a wielu innych, należących do bujnie rozrodzonych domów na obszarach Barskiego i Owruckiego starostwa. Bezstronność atoli nakazuje dodać, że i w owej epoce, w ciasne klamry moralności i bojaźni bożej zamkniętej, zdarzały się—i to dość często—wyjątki: jeżeli bowiem z jednej strony kobiety ukrainne, pod wpływem obawy, opuszczały miejscowości zagrożone pogromem, by uniknąć niewoli i pohańbienia, to z drugiej były pomiędzy niemi żądne wrażeń, i nietylko z własnej, nieprzymuszonej woli nie schodziły z niebezpiecznej placówki, ale przeciwnie, same rzucały się w wir niebezpieczeństwa i w brutalne objęcia zwycięzców. W dyaryuszu Kisiela z Perejasławia znajdujemy wzmiankę, że cały niemal „fraucymer“ wojewodziny, niechybnie ze szlachcianek złożony, opuścił ją, powracającą wraz z mężem z tej niebezpiecznej wędrówki; skryptor z oburzeniem zaznaczył w nim, że „nawet panny uciekały do kozaków“ [1]). Snadź owo życie swobodne, bez jutra, posiadało i dla nich niemało uroku.

A jednak dodatniego wpływu kobiet na owo na-pół dzikie społeczeństwo doszukać się nie możemy, może dlatego, że nie górowały one przymiotami rozumu i serca nad mężami, przeciwnie, o ile sądzić można, same ulegały otoczeniu, same starały się przejąć ich obyczajem, mimowoli chłopiały. To też nigdzie ich podczas publicznych wystąpień nie spotykamy,—stoją na stronie, zwykle w tłumie, z gminu złożonym, przypatrują się ciekawie recepcyom, i chyba w zbytniem używaniu trunków szukają pociechy. Pani Kisielowej, bawiącej z mężem dni kilkanaście w Perejasławiu, żadna z kobiet nie odważyła się odwiedzić, choć Chmielnicki wyróżniał ją, jako Rusinkę: „nadarł się do pani wojewodziny, do osobnej izby, gdzie *publice* perswadował jej, aby się Lachów wyrzekli, a z kozakami zostali“ [2]).

Tak samo i rodzina hetmana odosobnione pędziła życie w Subotowie, podniesionym do znaczenia prywatnej rezydencyi nowego pana Ukrainy. I istotnie rezydencya owa wyglądała okazale; stanął bowiem obszerny dwór murowany, nad którego budową sam właściciel czuwał; we dworze kilka „świetlic,“ osobna połowa dla kobiet, osobna dla gospodarza; przybudowek, z kilku izb złożony, dla starszego syna Tymoszka,—ten bowiem, choć młodzieniaszek, ale jako dynasta, posiadał i dwór swój, choć nieliczny, i swoje stronnictwo, zaczynał już wówczas politykę na własną prowadzić rękę. Dokoła rozściełał się sad wspaniały, za nim z jednej strony zabudowania gospodarskie, z drugiej cer-

[1]) „Pam. wyd. przez kom. kijow.“ I, 3, 353. Michałowski, str. 383.
[2]) „Pam.“ l. c. I, 3, 328. Michałowski, s. 374.

kiew Ilińska, wzniesiona kosztem i staraniem Chmielnickiego i ukończona już w 1651 r.,—stanowiła ona prawdziwą ozdobę osady; materyału do niej użyto z meczetu tatarskiego, stojącego nieopodal od Czehryna w dzikich polach, architektura cerkwi miała być gotycka [1]). Po-za nią rozściełał się rynek, z którego głębi wyglądała inna cerkiew, św. Michała, okolona drzew wieńcem. Ruch w Subotowie panował ciągły, stosunek z Czehrynem nieustanny, zwiększał się on, kiedy hetman zaporoski zjeżdżał tu na chwilowy wypoczynek; najdłużej zwykle w jesieni przebywał i wówczas zwiedzał liczne pasieki — „hulał po pasikam,"—a w gospodarstwie tego rodzaju szczególnie był rozmiłowany [2]). W subotowskim też dworze dostrzegało się pewnego ładu i porządku, nawet zamiłowania do zbytku; kosztowności nagromadzone, w estetyczniejszy sposób ugrupowane, znamionowały rękę kobiecą. do wykształceńszej należącą klasy. I istotnie, piękna owa Helena stepowa teraz jako samowładna pani rozporządzała się tutaj; ster zarządu w domu do niej należał, ona też była opiekunką dwóch panienek, dorosłych córek hetmańskich, i młodszego syna, dziewięcioletniego Jurasia, bo starszy, Tymoszko, już się wówczas z pod jej sterownictwa wyłamał i z jawną zdradzał się ku macosze niechęcią. Za jej staraniem obie dziewczyny powychodziły za mąż, a tak niepostrzeżenie akt ów uroczysty się odbył, że daty jego nie zapisali nawet kronikarze maloruscy, pewnem jest tylko, że się to stało przed wyprawą berestecką. Starsza, Katarzyna, stanęła do życia wspólnego z Danielem Wyhowskim, rodzonym bratem Jana, pisarza wojska zaporoskiego [3]). Ten ostatni już wówczas wkupił się we względy swojego rozkazodawcy, posiadał wpływ na niego niezaprzeczony; on jeden tylko umiał poskromić szalone zapędy, jeden tylko miał odwagę zbliżyć się do hetmana, kiedy ten w paroksyźmie furyi, wywołanej trunkiem, tracił zupełną świadomość otoczenia i popuszczał wodzy swoim drapieżnym instynktom. To też korzystając z łask, spływających na pisarza, inni Wyhowscy garnęli się do Czehryna. Ojciec przyszłego następcy Chmielnickiego na hetmaństwie, poważny już starzec, Ostafi, mieszkał na dewocyi w Kijowie, prowadził tam dom otwarty, szanowany powszechnie, posiadał mir u duchowieństwa miejscowego [4]), szczycił się też względami i Bohdana, a że kierował sprawami bliż-

---

[1]) Padalica: „Opowiadania," I, 77.

[2]) „Akta, dotyczące historyi poł.-zach. R." III, 496.

[3]) „Akta, dotyczące historyi poł.-zach. R." XIV, s. 49 i 54. „Kijewskaja Starina," 1890, t. XXXVIII, s. 35—46.

[4]) „Pam. wyd. przez kom. kijow." II, s. 341. Kostomarow: „Monografie," II, 142.

szych i dalszych pokrewnych, wywodzących się ze wspólnego z nim Wyhowa, więc tem snadniej i najdroższych sobie miał na widoku; skorzystał z pierwszej sposobności i polecił względom hetmana swojego syna, Daniela, i zięcia, Teterę, który się w tym czasie z jego córką ożenił. Że obadwa wdzięcznie przyjęci byli, o tem wiemy z dziejów; ostatni wrychle został pułkownikiem perejasławskim, pierwszy zaś potrafił podbić serce Katarzyny, szczególnej ojca faworyty, więc tem samem i ojciec go zaliczył do najbliższych i najpoufalszych powierników; naturalnie, że nietylko otrzymał wydatniejszą posadę w wojsku, ale, do misyi dyplomatycznych używany, posłował z kolei do Moskwy w 1654 roku [1]). Drugim zięciem, młodszej, Heleny, mężem, został Iwan Neczaj, brat Daniła, pułkownika bracławskiego, jednego z odważniejszych partyzantów, czuwającego na rubieży zdobyczy kozackich od strony Rzeczypospolitej. Choć Neczaj ten zanadto wyidealizowany przez naszych poetów z epoki fałszywego polsko-ukraińskiego romantyzmu [2]), nie można jednak zaprzeczyć, że był człowiekiem przekonań, reprezentował „hołotę," to jest gmin, i zawsze gorąco a szczerze w jego występował obronie. Już wówczas zaczęły się słabo pośród kozaczyzny zarysowywać dwa przeciwne prądy, nie ujęte jeszcze w formę stronnictw z jasno wymotywowanemi hasłami: niby arystokratyczne, na szlacheckich tradycyach wykształcone, i demokratyczne, w schłopieniu upatrujące szczęście Ukrainy. Daniło Neczaj do ostatniego należał; hetman musiał się liczyć z tą ciemną, ale imponującą siłą; to też kiedy pułkownik bracławski zażądał ręki młodszej jego córki dla swojego brata, Iwana, prostego kozaka, watażka zgodził się bez wahania,—może mu wypadało pokazać czerni, że ceni jej obyczaj, że się wyróżniać nie myśli i nie pragnie, bo choć jedną dziewczynę oddał w zamężcie szlachcicowi, ale oto teraz prostego kozaka przyjmuje za zięcia; jako też już w połowie 1650 r. odbyły się gody nowożeńców [3]). A jednak, pomimo to wszystko, przekonania hetmana, mocno przemawiające na korzyść aspiracyi przywilejowanych, uwydatniły się w stosunku jego do tych dwóch stadeł: bo kiedy Neczaj pozostał jakby na drugim planie, Wyhowski zdobyć sobie względy teścia potrafił niepodzielnie; kiedy tamten na skromnym poprzestał posagu, ten otrzymał dobra śmilańskie, niegdyś wchodzące w skład ogromnej fortuny Koniecpolskiego, a którą hetman na wyłącz-

---

[1]) „Akta, dotycz. historyi poł.-zach. R." XIV, s. 49—54.

[2]) Poezye Maurycego Gosławskiego.

[3]) Nowicki: „Adam Kisiel." s. 62.

ny zagarnął użytek [1]); kiedy Neczaj, kędyś, jako skromny pułkownik czerkaski, na placówkach oddalonych od Czehryna lata trawi, Daniło Wyhowski prawie stale przebywa przy dworze, towarzyszy teściowi w wyprawach, jest przy nim w obozie podczas wtórego oblężenia Lwowa, jako „znaczny szlachetny człowiek“ [2]), dowodzi dwudziestotysięcznym oddziałem pod Lublinem [3]). W ostatnich godzinach choroby, najmilszą ojcu dozorczynią jest Katarzyna, a po-za nią zawsze zarysowuje się postać jej męża. Dzieci nie mają, gospodarstwa doglądają służkowie, a rodzica pocieszać należy w nieszczęściu; więc rodzic, wywdzięczając się za tę troskliwość, z córki część miłości na jej dozgonnego towarzysza przelewa, do tajemnic go przypuszcza; że zaś Daniło akomodować się umie i pisarzowi wojska zaporoskiego, więc zgoda i jedność wielka między nimi panuje. Neczaj ani zdolności brata, pułkownika bracławskiego, nie posiadał, ani też przekonań jego nie dzielił; dowiódł tego po zgonie teścia, jak się o tem czytelnik łatwo z dalszego opowiadania przekona.

Zabiegliśmy naprzód, ku schyłkowi życia watażki; cofnąć się nam wypada znowu do chwili daleko wcześniejszej i słów kilka poświęcić pięknej Helenie stepowej. Jakie wobec nowożeńców zajęła stanowisko, nie potrafimy powiedzieć—najprawdopodobniej obojętnie względem siebie strony się zachowywały; została w wiejskiej rezydencyi z pasierbami: młodszy zawsze jej potrzebował opieki, starszy zawsze wrogo był usposobiony; kobieta lekceważyła sobie tę niechęć podrostka, tem bardziej, że hetman gorąco ją miłował; zbliżyła się wówczas do Wyhowskiego; w chwilach groźniejszych, na jego wezwanie, udawała się do Czehryna; raz nawet, na wspólną z pisarzem wojska zaporoskiego odpowiedzialność, wstrzymała egzekucyę wyroku, wydanego przez pijanego małżonka, a dotyczącego Jerzego Kisiela, chorążego nowogrodzkiego. Z laty, dogadzając może upodobaniom dozgonnego towarzysza, zaczęła nadużywać trunków, w końcu rozpiła się na dobre [4]). Życie atoli samotne nie posiadało wiele uroku; hetman większą część roku przepędzał za domem, więc uprzyjemnić je sobie postanowiła. Pośród dworzan znajdował się młody zegarmistrz, sprowadzony przez Chmielnickiego ze Lwowa, podniesiony do godności prywatnego skarbnika,—na nim spoczęło oko pani: „podobno swobodniej

---

[1]) „Volum. leg.“ IV, 303.
[2]) Wieliczko: „Letopisiec,“ I, 15. Kostomarow, l. c. III, 206.
[3]) Wieliczko, I, 220. Kostomarow, l. c. III, 227.
[4]) „Historya haniebnej niewoli,“ s. 100.

z nim postępowała,"—mówi pamiętnikarz współczesny [1]). Z początku nie zwracało to uwagi otaczających, z czasem jednak szczególne względy hetmanowej dla ubogiego chłopca obudziły czujność zawziętego jej wroga, starszego pasierba. Śledził i wyśledził — ale milczał. Nowa przygoda zgubiła ją ostatecznie. Działo się to w 1651 r.: hetman w połowie lutego opuścił swoją stolicę, udając się na czele wojska ku Barowi [2]); wyprawa nie wiązała się od początku, korzyści niewielkie z niej płynęły, kraj zrujnowany, rabunek nie wystarczał na prowiantowanie zaciągów, wypadało podnieść kapitały z kasy prywatnej. Posłał więc do Tymoszka, żądając gotówki; nie doszukano się wówczas jednej baryłki ze złotem, rozpoczęły się indagacye skarbnika, prowadzone przez syna hetmańskiego, nie obeszło się „bez konfessat;" delikwent wyśpiewał wszystko: nietylko przyznał się do kradzieży, ale hetmanową wskazał, jako wspólniczkę, dodał nadto, że mieli zamiar oboje wykonać wspólną ucieczkę w głąb Rzeczypospolitej, wraz z przywłaszczonym skarbem. Zapewne, że akta owego śledztwa musiały być przesyłane hetmanowi, bardzo być może, że sam nawet wyrok ferował, uskutecznienie jego zlecając synowi; dość, że w końcu kwietnia, albo na początku maja 1651-go roku, wykonano go z całą ścisłością okrutną, z dzikiem naigrawaniem się nad bezbronną, choćby najwystępniejszą kobietą. Oświecim dosadnie odmalował jego ohydę: zginęli oboje na szubienicy, naprędce skleconej z bramy subotowskiego dworu [3]). Jerlicz o „obwieszeniu samosiedm" wspomina [4]). Więc chyba było więcej wspólników zamachu na skarbiec hetmański. Nieznany korespondent z obozu pod Białopolem zaznacza, że hetmanowa była ścięta przez Tymoszkę [5]); mniejsza jednak o formę kary — dość, że wszyscy współcześni o końcu jej tragicznym podają relacye. Tak zamknęła awanturniczy żywot owa „zguby niewinnych ludzi litująca się Ester," nie mogąc litości wyżebrać u tego, który jej tak dużo zawdzięczał. Żegnał ją łzami, obnażoną, zawisłą na stryczku, tylko niedołężny Juraś, wskutek rozkazu brata obecny przy egzekucyi. Chmielnicki, kiedy mu doniesiono (10 maja), a był podówczas w marszu, o wykonaniu wyroku, wpaść miał w wielki smutek i rozgoryczenie [6]). Wieść o żałośnej przy-

[1]) „Pamiętniki Radziwiłła," II, 437.

[2]) Kostomarow, l. c. II, 305.

[3]) „Urywki z dziennika," l. c. s. 58: skazanych powiązano razem *sicut erant in actione adulterii.*

[4]) „Latopisiec," I, 120.

[5]) Grabowski: „Starożytności polskie," I, 353.

[6]) „Akta, dot. hist. poł.-zach. R." III, 452.

godzie hetmanowej przedostała się i do obozu w Beresteczku; opowiadał ją Najjaśniejszy Pan obecnym na wieczerzy kompanom, co dało powód do uwag pocieszuych [1]). Jeden chyba Czapliński, jeśli żył jeszcze i kędyś w ukryciu się znajdował, mógł odetchnąć swobodniej; zgon żony niejako wyrównywał rachunek między ekspodstarościm i ekspisarzem czehryńskiego pułku.

IV.

Anna Filipicha, trzecia żona Chmielnickiego. Rozanda Lupułówna, dozgonna Tymoszkowa towarzyszka, tragiczne jej losy. Stanowisko kobiet ukrainnych w okresie poprzedzającym zgon hetmana zaporoskiego

Rok 1651 należał do najniepomyślniejszych w życiu watażki, jako wielkorządcy ukrainnego: naprzód z żoną, bądź-co-bądź gorąco kochaną, zamknął rachunek okrutnie; rozpoczął wyprawę, która się beresteckim pogromem zakończyła. W zamęcie owych walk stracił najbliższych przyjaciół: Tuhaj-Bej poległ w jednej z utarczek, a szabla jego dostała się Markowi Sobieskiemu, bratu późniejszego Jana III-go [2]). Podczas szturmu do obozu kozackiego zginął patryarcha „hierozolimski," Eudoksyusz, ów „expulsus," noszący niewłaściwy tytuł aleksandryjskiego,—prawie nieustannie od lat kilku przebywał on na dworze czehryńskim. Król Jan Kazimierz sprawił mu przyzwoity pogrzeb, podług obrządku wschodniego: „w blizkiej cerkwi ze wszystkim aparatem" złożono nieboszczyka do trumny, to jest w odpowiednych szatach, z pastorałem i w infule, które w zdobytych znaleziono szańcach [3]). Nie dość tego: daleko bardziej upokarzającą była ucieczka z pola walki, honorowy niby areszt, ale zawsze areszt, u hana krymskiego, zdjęty dopiero po złożeniu sowitego okupu, wynoszącego około 800,000 talarów, czy złotych [4]). I tu wszakże jeszcze nie koniec troski: kozactwo zaczęło się burzyć, *czernecza rada* myślała na seryo o usunięciu Chmielnickiego z hetmaństwa, należało zażegnać burzę, wewnątrz kraju i na zewnątrz jego szukać ratunku. I mimo to wszystko, nie ba-

---

[1]) Oświecim: „Urywki," s. 59.

[2]) Radziwiłł: „Pamiętniki," II, 444.

[3]) „Pamiętniki do panowania Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza," II, 190.

[4]) „Pamiętniki do panowania Zygmunta III-go i t. d.," II, 198. Kostomarow: „Bohdan Chmielnicki," II, 391.

cząc na zawody, na grożące zewsząd niebezpieczeństwo, watażka w jesieni 1651 r. po raz trzeci staje na kobiercu ślubnym, wiąże się sakramentem z kobietą już nie pierwszej młodości, wdową bezdzietną, Anną Zołotarenkówną *de domo*, zwykle przez naszych pisarzy zwaną Filipichą, zapewne od imienia pierwszego małżonka [1]). Kobieta stateczna, skromna, może więcej rozwinięta umysłowo od swoich poprzedniczek, pewien ład i porządek zaprowadza na dworze hetmańskim: ruchu na nim mniej, hulanki i pijatyki nie tak częste, a jeżeli ich pożąda małżonek, to kędyś u podkomendnych dogadza sobie, albo kryjomo „w świetlicy," bez świadków, zaprószy głowę trunkiem; „czarownice" w nocnych saturnaliach nie biorą udziału; wezwane na naradę, krótko wypowiadają swoje o przyszłości zdania, — jako wynik pewnych zabobonnych czynności, w ustroniu praktykowanych, pod dozorem któregoś z urzędników dworskich, ale nie w obecności całego dworu, jak to bywało w początkach. Zgrzybiały hetman, noszący już zarodki choroby, jako skutek niewstrzemięźliwego życia, „gospodynią" swoją szanuje, a co więcej, poddaje się jej perswazyom i uwagom. Anna z czasem staje na czele stronnictwa, przychylnego Moskwie; dwaj bracia jej, Iwan i Bazyli Zołotarenkowie, w okresie ożenku hetmana skromni setnicy, urastają wrychle na pułkowników,—pierwszy korsuńskim, drugi nieżyńskim dowodzi regimentem. Tamten, zdolniejszy, prowadzi politykę na własną rękę, niechybnie też pierwszemi krokami siostry na tem polu kieruje, zużytkowując jej wpływ na watażkę; on-to przechyla szalę decydującą o losie jeńców po zwycięstwie pod Batohem [2]); często pełni funkcye nakaźnego hetmana, w 1653 i 1654 r. przeważnie; wówczas na czele hufca, z 26,000 ludzi złożonego, walczy na Białorusi [3]), sukursuje Aleksego Michajłowicza, zdobywa Homel, Czeczersk, Nowy Bychów; za to otrzymuje nagrody, wyróżniające go z pośród tłumu: tak „jego carskie wieliczestwo" nadaje mu dziedzictwem Baturyn [4]), oprócz tego kubek srebrny, wyzłacany, z pokrywą inkrustowaną, wartości 180 rubli, dwa „soroki" soboli, po 40 rubli „sorok;" odpowiednio też i podkomendni nakaźnego hetmana zostali udobrodziejstwowani [5]). Działo się to wprawdzie znacznie później, ale i w chwili ożenku Chmielnickiego, bracia jego żony, ludzie zamożni, posiadali zachowanie u swoich, szczególnie pośród gminu, może też niemało się przyczynili do

[1]) Kostomarow: „Bohdan Chmielnicki," II, 398. „Wojna z Kozaki i Tatary," str. 278.

[2]) „Historya panowania Jana Kazimierza," Poznań, 1840. I. 148.

[3]) „Akta, dotyczące historyi poł.-zach. Rusi." XIV, str. 712.

[4]) L. c. XIV, str. 172—174.

[5]) L. c. XIV, str. 179.

uspokojenia niechęci względem pokonanego watażki. Złagodniał też na chwilę, może pod wpływem niepowodzenia, a może pod wpływem spokoju domowego. Trzecia ta żona, Filipicha, hetmanową tytułowana przez otoczenie, posiadała swój orszak kobiecy, z dam mniej rezolutnych i niezbyt wiele alkoholu zażywających złożony, posiadała swoich urzędników (pisarza, paziów, hajduków), zakres też jej działalności przekraczał niekiedy powszednie obowiązki gospodyni domu. Ciekawym i jedynym dowodem tego, cośmy powiedzieli, jest przywilej, nadany Hustyńskiemu monasterowi, dotyczący darowizny w ziemi; nosi datę 22 lipca 1655 r.; w tytule jego treść zawarta, więc go tu przytaczamy: „Uniwersał hetmanowej Anny Bohdanowej Chmielnickiej, nakazujący obywatelom przyłuckim, żeby się w grunta, monasterowi od ks. Wiśniowieckiego nadane, a przez jej małżonka, hetmana Chmielnickiego, potwierdzone, nie worywali, pod winą tysiąca talarów do skarbu wojskowego i pod surowem karaniem“ [1]). Dotąd odnaleziono pojedyńczy akt tego rodzaju, ale kiedy go wydać mocna była raz, niechybnie toż samo z upoważnienia małżonka niejednokrotnie czynić musiała. Z tego więc już wnosić należy, że przewagę wielką nad nim posiadała. I z najbliższą rodziną watażki żyje w przykładnej zgodzie, przynajmniej żadnych odtąd poswarek nie dostrzegamy: Tymoszko uspokoił się po nasyceniu zemsty i okrutnem ukaraniu Czaplińskiej; Jurko do Kijowa oddany dla początkowej nauki; starsza córka, Wyhowska, musiała się akomodować macosze, bo ją ciągle w jej spotykamy towarzystwie; młodsza, Neczajowa, trzyma się zdala, ale kiedy choć zrzadka przybędzie do Czehryna, czy Subotowa, zawsze ją czeka gościnne przyjęcie, a jej małżonek często walczy pod rozkazami Zołotarenki. Co więcej, nawet z pisarzem wojska zaporoskiego stosunek wcale przyjazny zachowuje; prawda, że wiele tu znaczyło dyplomatyczne zachowanie się ostatniego i obyczaj, przyjęty przez Chmielnickiego, który w swojem otoczeniu znosił najrozmaitsze prądy, bo, nie mając wytkniętej drogi, kierował się polityką chwili...

Groźny „sprawca,“ po doprowadzeniu do skutku własnych projektów matrymonialnych, po uspokojeniu Ukrainy, zakrzątał się około ożenku Tymoszka. Ledwie 17-letni był to podówczas wyrostek; ale hetmanowi szło „o konjunktury,“ dynastyczne projekta snuły mu się po głowie, odkładać je niebezpiecznie, bo zerwać się może z wielkim mozołem nawiązana ugoda. Gdybyż tylko z mozołem, nie było-by to tak strasznem; ale przyszło zdobywać narzeczoną dla syna całe dwa lata, zapłacić za nią sowicie krwią swoich i nie swoich, na przekleństwach,

[1]) „Kijewskaja Starina,“ I, 213, r. 1882.

złorzeczeniach i łzach sierocych budować przyszłą pierworodnego szczęśliwość, to też może dlatego rozchwiała się ona tak prędko. Czytelnik domyśli się łatwo, że mamy tu na względzie zabiegi Chmielnickiego o rękę córki hospodara wołoskiego, Bazylego Lupuła. Zanadto znane są one w dziejach, byśmy je tu powtarzali; pełne grozy, znalazły licznych narratorów, występujących czy to w formie opowiadań ściśle historycznych, czyli też w formie dramatów, powieści i t. d. [1]). Dotkniemy ich o tyle, o ile potrzebne nam będą dla uwydatnienia kwestyi, stanowiącej treść niniejszego szkicu. Więc przypomnieć naprzód należy, że Bazyli Lupuł był Albańczykiem, że się trudnił handlem w Carogrodzie, potem za hospodaratu Mojżesza Mohiły osiedlił się na Wołoszczyźnie i przyszedł do urzędu wielkiego „dwornika“ (kanclerza). Żona jego, Wenecyanka, córka dragomana Grillo, osierociła go wcześnie, zostawiając wdowcowi dwoje dziewcząt: starszą, Helenę, i młodszą, Rozandę, przez niektórych pamiętnikarzy russkich Ireną zwaną. Lupuł na operacyach handlowych dorobił się olbrzymiej fortuny, zachciało mu się z kolei zaszczytów, korony, choćby drogą upokorzeń i ofiarą grosza zdobytej; nastręczała się jedna tylko w stolicy padyszacha podówczas, mianowicie wołoska, kupić ją można było. „Hospodarstwo wołoskie— mawiano w Rzeczypospolitej,—jak przepiórcze pole; kto więcej da Turczynowi, ten będzie hospodarem“ [2]). Należało tylko czekać cierpliwie w roli kandydata—„hospodarczyka,“ bo tak nazywano aspirantów do wyżej zaznaczonej godności. Ryzykowne to wprawdzie było przedsiębiorstwo, bo często je nakładało się głową, ale, przy sprzyjających okolicznościach, olbrzymie przynosiło zyski, byle tylko umieć sobie poradzić. Lupuł więc czekał, bił czołem przed urzędnikami dywanu, nie obeszło się bez datków, składanych komu należy. Czekał i doczekał się w końcu, przelicytował swoich współzawodników, w 1634 r. zatwierdzony został na tronie wołoskim. Jednocześnie prawie „stanęło rozporządzenie sułtańskie, aby każdy z książąt wołoskich starał się odtąd co rok o pisemne potwierdzenie swej władzy, co trzy lata zaś miał on udawać się osobiście do Carogrodu i szukać tam przedłużenia łaski cesarskiej“ [3]). Było to z jednej strony uciążliwe, ale i dogodne zarazem, bo przypominać się mógł dygnitarzom urzędownie; sypać wprawdzie musiał złoto pomiędzy żądnych grosza dworzan padyszacha, ale też jednocześnie zapewniał sobie panowanie, którego chciwie pragnęli liczni

[1]) Szajnocha: „Szkice historyczne,“ IV, str. 1—77. Kubala: „Krwawe swaty“ („Szkice histor.“ II, 131). Drakula Z.: „Domna Rozanda“ dramat, 1884 r. Węgrzynowski: „Gody Tymoszka Chmielnickiego,“ Kijów, 1887 i t. d.

[2]) „Pamiętniki do panowania Zygmunta III i t. d.“, II, 134.

[3]) Szajnocha: „Szkice historyczne,“ IV, s. 11.

kandydaci, oczekujący na opróżnienie tronu. Raz zjednawszy sobie względy, mógł taki hospodar bezkarnie odzierać ze skóry swoich poddanych, co też niechybnie z całą ścisłością wykonywał i Lupuł. Płacił on „mukojeru“ (czynszu) do skarbu tureckiego 75,000, a miał dochodu 400,000 talarów lewkowych, choć w istocie daleko większą ściągał daninę [1]); łatwo mu to przychodziło, bogaty był, hojny, nawet rozrzutny,— ktoby go przy takich warunkach o chciwość posądzał.

Już jako panujący, po raz wtóry ożenił się z Czerkieską w 1639 r., jak gdyby pragnął w ten sposób wykazać pewne sympatye do mahometańskiego świata [2]). Rozwinął też niesłychany przepych na dworze, otoczył się dorobkiewiczami, nieprzebierającymi w środkach, ale też nic mu innego nie pozostawało; pośród nich tylko mógł wybierać doradców, arystokracya prawdziwa od niego stroniła, jak stroniła od jego poprzedników, nie uznając ich za prawowitych władców. Nawet urokiem bogactw przynęcić ich nie potrafił. A o skarbach hospodarskich dużo istotnie podowczas mówiono po wszystkim słowiańskim świecie: chodziły o nich „bajeczne wieści, które od czasu do czasu czynami swemi potwierdzał“ nowy władca wołoski [3]). Dziwną jest rzeczą, a jednak cyfra 6,000,000, mająca oznaczać wysokość majątku Lupułowego, wyłania się nieustannie u pamiętnikarzy współczesnych; i tak, utrzymują oni, że, udając się po raz pierwszy na Wołoszczyznę, złożył u stóp sułtana i u tronu patryarszego tę sumę [4]); to znowu, że rodzina jego w lat kilka potem, szukając schronienia w Kamieńcu, przywiozła z sobą wyżej wymienioną kwotę, i to w postaci nie zwyczajnych, ale czerwonych złotych [5]); wreszcie—w przedjutrzu poddania Suczawy, powtarzano, że oblężona hospodarowa w swoim skarbcu posiadała zawsze tychże sześć milionów w złocie i srebrze [6]), ale teraz już jako odłam skarbu, bo reszta miała być ukryta w niedostępnych puszczach bukowińskich, złożona w monasterach Azyi Mniejszej, na bankach w Amsterdamie, Harlemie, Londynie i innych. Do spopularyzowania legendy o niezwykłej hospodarskiej zamożności przyczyniła się nie mało jego ofiarność dla kościoła; wiedziano, że opłacił wszystkie długi, ciążące na świątyniach carogrodzkich; chciał tem kupić pobłażliwość, jeżeli nie przebaczenie, za owe połączenie się z mahometanką, która w końcu niechybnie przyjęła wschodni obrządek, bo brała czynny udział w spro-

---

[1]) Kubala: „Szkic hist.“ II, 177.
[2]) Engel: „Gesch. der Moldau,“ s. 267.
[3]) Kubala: „Krwawe swaty“ („Szkic histor.“) II, 134.
[4]) „Życie,“ r. 1887, s. 716.
[5]) „Pamiętniki do panowania Zygmunta III i t. d.“ II, 217.
[6]) Engel: „Gesch. d. Moldau,“ 4 Band. 2 alts. s. 270.

wadzeniu do Jass relikwii św. Paraksewy; hospodar za to pozwolenie wypłacił sułtanowi 300 kies złota (150,000 dukatów); dla szczątków błogosławionej zbudowała w stolicy wspaniałą świątynię, a koszta uroczystości, z tym aktem związanych, znowu oceniano na miliony.

Lupuł, po przybyciu do nowej rezydencyi, rozejrzał się dokoła— z sąsiadami przecie należało się poznać: najbliższym była Rzeczpospolita, a choć wpływ jej na sprawy wołoskie osłabł, nie upadł wszakże jeszcze zupełnie; nie zapominajmy, że działo się to na początku panowania Władysława IV, który się nosił z imponującemi planami pokonania Wschodu. Stosunki z Rzecząpospolitą nawiązały się pomyślnie, ułatwili je kresowi dynaści, bawiący się oddawna w politykę i krewieństwo z Wołoszą; tradycya związków z Mohiłami była świeża, bo nawet niektóre z reprezentantek tego domu książęcego żyły jeszcze podówczas, cztery zamożniejsze rody polskie obdarowując potomstwem. Zdaje się, że Lupuł przyznawał się do jakiegoś powinowactwa (wcale nieuzasadnionego) ze wzmiankowaną rodziną, przynajmniej nie protestował, kiedy mu je narzucano [1]), a w ten sposób zdobywał popularność u sąsiadów, Mohiłanki bowiem pięknej w całym kraju używały opinii. Stosunki te z sąsiadem były niezbędne dla usadowionego na chwiejnym tronie wołoskim książęcia: toż w wypadku niebezpieczeństwa przynajmniej życie uratować można było, chroniąc się pod skrzydła gościnnej Rzeczypospolitej. Pierwsze lata panowania Lupułowego upłynęły spokojnie, nawet szczęśliwie; do rodziny przybył synaczek, urodzony z Czerkieski, przybył i zięć nie ladajaki: oto ks. Radziwiłł, pan na Birżach i Dubińsku, poślubił starszą hospodarównę, Maryę Helenę. Zabiegi kawalera trwały dość długo, przeszkody stawiała Porta, jak się o tem łatwo przekonać ze współczesnej wzmianki, przekazanej nam przez stryja nowożeńca. Oto, co pisze on pod d. 31 grudnia 1644 roku: „Poseł hospodara wołoskiego, publicznie do króla przypuszczony, po oddanej weneracyi królowi, imieniem pryncypała swego zapraszał na wesele córki jego, którą wydał (wydawał) za podkomorzego W. Ks. Litewskiego, Janusza Radziwiłła, synowca mego. Wdzięczny dał respons kanclerz koronny, deklarując imieniem królewskiem na to wesele przysłać posła, starostę śniatyńskiego. Długo pracowano około tego małżeństwa, aż od Porty Ottomańskiej konsens jest uproszony. Wielu podkomorzemu odradzało tę konjunkcyę, lecz podkomorzy, stateczny w swojem przedsięwzięciu, przez Rakoczego to sprawił, że do skutku przyprowadził“ [2]). Jakoż na początku stycznia 1645 roku odbyły się

[1]) Szajnocha: „Szkice hist.“ IV, 9.
[2]) „Pamiętniki Radziwiłła,“ II, 154.

w Jassach gody wspaniałe, prędzej, niżby należało z racyi żałoby w rodzinie: toż przecie dziadek panny młodej, dragoman Grillo, zeszedł z tego świata ledwie przed kilku miesiącami (w marcu 1644) i zeszedł tragicznie, bo powieszony z rozkazu padyszacha w Carogrodzie [1]). W liczbie gości, przybyłych z daleka, znajdowało się nie mało aspirantów do ręki Rozandy, młodszej córki hospodara; urok złota, a podobno i urok wdzięków dziewczyny czarował, przyciągał niewypowiedzianie; młodziutka jeszcze bardzo, bo piętnastego dopiero dobiegała roku, a jednak już w pełni rozkwitu, typ wschodni w całem znaczeniu tego wyrazu. W liczbie pretendentów prym trzymał poseł królewski, ów wyżej wspomniany starosta śniatyński, Piotr Potocki, syn hetmana polnego koronnego; nie ustępował mu i młodociany ks. Dymitr Wiśniowiecki, i Zygmunt, brat Rakoczego, księcia siedmiogrodzkiego [2]), bo innych *minorum gentium* już regestrować nie będziemy.—Po skończonych uroczystościach rodzina odprowadziła nowożeńców do Kamieńca, gdzie się bez świetnych nie obyło balów. Tu już Potoccy rozwinęli przepych niezwykły, świadczący o wielkiej domu zamożności: Mikołaj, podówczas starosta generalny podolski, jako gospodarz, witał miłych podróżnych w pałacu, naprzeciw dominikańskiego kościoła sytuowanym, wszystkie apartamenta oddane były na rozkazy gości, w których liczbie znajdowała się i Rozanda z macochą, i Stefan, jej maleńki braciszek; honory zaś gospodyni przypadły w udziale Stanisławowej Potockiej, żonie Rewery, wówczas wojewody podolskiego; pierwszeństwa jej ustąpiła starościna, z racyi tej, że p. Rewerowa była starszą od niej, a powtóre, jako Mohilanka z domu, znała lepiej zwyczaje i gusta swoich jednoplemiennych. Po kilku dniach ucztowania nastąpiło rozstanie; rycerstwo, z Piotrem Potockim na czele, odprowadziło księżnę wołoską wraz z dziatwą do brzegu Dniestru, stanowiącego dwóch państw granicę; dowódca orszaku, żegnając panie, zapowiedział, że się wrychle stawić nie omieszka z submisyą. Losy jednak zrządziły inaczej.

A przecie zdawało się szczęśliwie zapowiadać dalsze panowanie Lupuła, który już lat przeszło dziesięć na tronie utrzymać się potrafił, kiedy naraz rozruchy kozackie, niespodziewanem uwieńczone powodzeniem, i jego zachwiały stanowiskiem. Przyjaciel Rzeczypospolitej, wyświadczyć miał jej pewne usługi w owym okresie strasznego pogromu, podnosząc na korzyść zwyciężonych pewne hasła w Carogrodzie, których zadaniem było stawianie tamy zwycięstwom Kozaków i Tatarów,

[1]) Kubala: Przypiski l. c., II, 153. Hammer: „Geschichte d. Osman. Reich.“ III, 348.

[2]) Kostomarow: „Bohdan Chmielnicki,“ III, 63.

za co też w 1650 r. przypuszczony został do indygenatu [1]). Ale poświęcenie poświęceniem, a zachowanie przyjaznych stosunków z sąsiednimi potentatami niezbędne, więc należało pchnąć posłów do nowokreowanego hetmana. Lupuł znał Chmielnickiego dawniej, kiedy ten w Carogrodzie, jako jeniec, przebywał; nieraz jednocześnie wysiadywali w przedpokojach dygnitarzy dywanowych: oczekiwanie skracano rozmową, stąd pewnego rodzaju zażyłość, do niczego wprawdzie nie obowiązująca. To też, kiedy ten skromny podówczas Kozak wyrósł nagle na szczęśliwego zdobywcę, wypadło mu powinszować; nie odkładał tego hospodar na długie termina, bo już na początku stycznia 1649 r. spotykamy wysłańca wołoskiego w Czehrynie, stąd początek stosunków dyplomatycznych. Hetman stał podówczas na wysokości powodzenia, snuły mu się zaborcze projekta, roił o związkach z panującymi, nakreślił nawet plan postępowania, wytknął drogę, po której dążyć mu wypadało. Robimy zastrzeżenie, że się to działo w pierwszych chwilach; potem ze zmianą okoliczności wszystko rozchwiało się i rozprysło. Porównywając watażkę z jego pierwszym pomocnikiem, pisarzem wojska zaporoskiego, śmiało można z Bartoszewiczem powiedzieć, że kiedy ostatni wiedział, do czego dąży, tamten świadomość tę z biegiem czasu zatracił [2]). Ale w początkach panowania myślał na seryo o zdobyciu, tak, albo inaczej, całej Wołoszczyzny; leżała prawie o miedzę, bezpańską mogła być w każdej chwili, konszachty z dywanem prowadził zawsze, łatwo więc wyrobić firman na tron książęcy, a potem zalać kraj kozactwem i wywalczyć w końcu niezależność zupełną. Przypuszczamy, że to był plan pierwiastkowy, pod wpływem powodzenia niezwykłego wylęgły; zmodyfikował go z czasem watażka, przekonał się może, że nie tak łatwo przyjść do władzy, więc się jął innej polityki: u hospodara jest córka do wzięcia, a on ma syna, połączyć ich węzłem małżeńskim nie trudno, a potem już, na zasadzie połączenia, tkać projekta, mające w dalekiej przyszłości doprowadzić do celu. Zwierzył się przed jednym z wysłanników hospodarskich z zamiaru utrwalenia przyjaźni powinowactwem—przejęło to Lupuła strachem i oburzeniem; dlaczego — nie potrafimy sobie wytłómaczyć dokładnie: bo jeżeli szło o charakter przyszłego krewniaka, o brutalne przyzwyczajenia, nałogowe opilstwo, szorstki, ba! nawet dziki obyczaj, panujący na dworze czehryńskim— wówczas zgoda; ale jeżeli w tej sprawie odgrywało rolę pochodzenie—

[1]) Dogiel: „Codex. diplom.“ II, 621. W „Volum. leg.“ (t. IV, s. 155) znajduje się aprobata *pewnego* przywileju na indygenat;“ tajemniczość owa miała swoją racyę: nie chciano Lupuła wobec Porty kompromitować.

[2]) „Encyklopedya pow. Orgelbranda,“ t. XXVIII, 18.

to w każdym wypadku oba rody nie miały sobie nic do wyrzucenia. Niektórzy z pamiętnikarzy wzmiankują o gorącej miłości Tymoszka dla hospodarówny [1]), — wątpimy bardzo, nie należał on bowiem do rzędu kawalerów romansowych; namiętnością zmysłową mógł się powodować, tego rodzaju popęd zwierzęcy dostępny był zepsutemu moralnie wyrostkowi; ale, żeby w sobie chucie podobne obudzić, trzeba przynajmniej widzieć osobę, ich przedmiotem będącą, a z pewnością twierdzić można, że przeznaczonej przez ojca oblubienicy nie oglądał wcale do chwili zawiązanych rokowań i chyba słyszał tylko od wysłanników wołoskich o piękności młodej księżniczki. Bądź-co-bądź, oburzyła hetmana zaporoskiego odmowna odpowiedź, więc wysłał „krwawe swaty," naturalnie zaprosiwszy do towarzystwa ordyńców [2]): płakała po tych odwiedzinach długo ziemia wołoska—Suczawa, Jassy, złupione do szczętu, sioła wypalone, lud pobrany w jassyr... Lupuł opłacił się Tatarom,—kosztowało go kupienie pokoju 150,000 talarów,—a kiedy rabusie perekopscy po osiągnieniu haraczu odeszli, wówczas Kozacy, w liczbie 16,000, na własną rękę zaczęli plądrować; i z nimi należało wejść w akord, okupu 10,000 talarów ściągnęli, dość skromnie, ale obok niego wymogli na księciu pozwolenie na ślub córki, a dla pewności dotrzymania umowy musiał hospodar dać zakładników, mianowicie czterech słusznych obywateli wołoskich, pośród których i jego znajdował się synowiec. Nawet termin ślubowin oznaczony został na koniec 1650 roku [3]). Na ten raz wszakże projekta się rozchwiały; Chmielnicki nie mógł zdobyć w Konstantynopolu odpowiedniego fermanu, przeciwnie, dywan bezwarunkowo nie zgodził się na małżeństwo, ażeby zaś przypadkiem nie związało się wbrew jego woli, rozkazał Lupułowi, by młodszą córkę, jako zakładnicę, przywiózł nad Bosfor. Stawił się więc ojciec z dziewczyną na początku 1651 r.; była to już powtórna jej niewola [4]), a trwała prawie przez rok cały; mówiono wówczas, że wielki wezyr Achmed, zwany Meluk, dla niezwykłej piękności zanadto interesował się ukoronowaną branką, że nawet branka ta nie była obojętną na jego grzeczności. Rewolucya pałacowa uwolniła ją z więzów; po powrocie do Jass zastała dawny rzeczy porządek: Chmielnicki nie cofał się przed raz powziętym zamiarem, a do pocztu dawniejszych wielbicieli panny przybył nowy w osobie starego Kalinowskiego, hetmana polnego, w sąsiedztwie

---

[1]) „Histor. ab exs. Wlad. IV." 107.

[2]) Nazwę powyższą zaczerpnęli dziejopisarze z listu Chmielnickiego, pisanego do Lupuła: „jeżeli nie wydasz swojej córki za mojego syna — było w nim powiedziano, — wówczas ci przyślę 100,000 swatów."

[3]) Kostomarow: „Bohdan Chmielnicki." III, 256.

[4]) Szajnocha: „Szkice histor." IV, 36—43.

na niedalekich stróżującego kresach [1]). Rozpoczęte te dziwne dziewosłęby skończyły się w 1652 roku batohskim pogromem: „jak Polska Polską—pisał współczesny—nie uderzył w nią piorun straszniejszy“ [2]). Po krwawym tryumfie, zwycięzca, w towarzystwie nieodstępnych przyjaciół krymskich, stanął u granic Wołoszczyzny. Nie było rady, uledz należało; już teraz sam Lupuł prosił o przyśpieszenie ślubowin, tak mu groźną była ta napastliwość kozacka. „Bogini wojny — pisał do przyszłego zięcia, — złą swachą godom weselnym i smutne pląsy przy poszczęku hufców zbrojnych. Odpraw Tatarów, skłoń ojca do pozostania z Kozakami w swoich granicach, przybądź sam w przystojnem towarzystwie, a córka moja czeka cię gotowa u stopni ołtarza“ [3]). W dziesięć tygodni po rzezi batohskiej przypadły owe ślubowiny pamiętne; po drodze, usłanej tysiącami trupów, wypadło nowożeńcowi kroczyć na kobierzec ślubny.

Relacyę o tej uroczystości mamy dość szczegółową, spisał ją niechybnie naoczny świadek, upoważniony do tego przez interesowaną stronę; rękopis zużytkował Szajnocha [4]), a za nim powtórzyli rzecz późniejsi dziejopisowie i opowiadacze russcy [5]). U współczesnych ledwie kilka wzmianek znajdujemy o tej konjunkturze dwóch domów, świeżo na kresach wyrosłych. Na próbę podajmy relacyę odnośną z kroniki miejscowej: „Tegoż roku (1652) Chmielnicki posłał do Wołoch syna swojego dla zawarcia małżeństwa z córką Bazylego Lupuła, wojewody, który z obawy hetmana musiał na ten związek przystać. W jesieni też odbyło się owo wesele (oddał dziewczynę do Czehryna), które odprawowało się wielkim kosztem, tak hospodara wołoskiego, jako też i osób w tym celu wysłanych, wojsko bowiem szło z panem młodym, w znacznej liczbie, a z nim kupy ludzi swawolnych“ [6]). Mimowoli więc podnosząc szczegóły, dotyczące kobiet kozackich, musimy przeważnie ze wzmiankowanego na wstępie źródła korzystać, tem bardziej, że znajdujemy w niem dosadne, niepozbawione prawdy, uwagi. Ceremoniał spotkania nie obchodzi nas wcale, zaznaczyć tylko należy, że hospodar rozwinął wielki przepych: „kawalkaty z bogatem wsiędzeniem; jechał, jak monarcha, którego wspaniałości opisać dostatecznie“ niepodobna. Orszak Tymoszki skromniej daleko wyglądał, składało

[1]) Jemiołowski: „Pamiętnik,“ s. 33.
[2]) Wieliczko: „Letopiś,“ I, 110—113. Kochowski: „Climacter,“ I, 236.
[3]) Kochowski: „Climacter.“ I, 348.
[4]) „Szkice historyczne,“ IV, 53—60.
[5]) Kostomarow: „Bohdan Chmielnicki,“ III, 39—44. Węgrzynowski: „Gody Tymoszki Chmielnickiego.“ Kijów, 1887 r.
[6]) „Letopiś Samowidca.“ Kijów, 1878. Str. 32.

się nań dziewięć koni—„ladajakie i chude," siedzenia tylko na dwóch kosztowne—„jedno perłami suto, a drugie złotem haftowane." Za orszakiem ciągnęło 3,000 kozactwa zbrojnego, rydwanów dwa, skarbnik jeden, wózków prostych czterysta, na których soboli nabrano „dla zysku." Pułkownicy na pięknych rumakach, wszyscy w szatach polskich od srebra i od rzędów; muzyka wojskowa huczna, ale obok niej i pokojowa kapela, na którą składali się: „organista, skrzypków trzech, wiolista i puzonista," ci „wygrywali polskie tańce." Za orszakiem ciągnęło kilkadziesiąt wozów, wiozących damy i swatki kozackie, spokrewnione z Chmielnickimi, a za niemi „telegi" i „maże" z pakunkami strojów kobiecych, z darami i mnóstwem najrozmaitszych towarów. Świadek tej uroczystości nie wylicza osób, biorących w niej udział ze strony pana młodego, więc dopełnić go tu należy, o ile materyał, jakim rozporządzamy, na to pozwala. Sam hetman nie był obecnym na weselu, tego wymagał Lupul, wiemy nawet, że podówczas leżał z wojskiem w głębokiej Ukrainie u Hanczarychy [1]); ani macocha, Filipicha, ani siostry, ani zięciowie nie przybyli na gody; Jan Wyhowski był jeszcze podówczas kawalerem, a żona Pawła Tetery, siostra rodzona pisarza wojska zaporoskiego, trzymała się zdala od świata czehryńskiego; czy poczucie wyższości, z racyi pochodzenia uprzywilejowanego, czy jakieś długie niedomaganie, dość, że nie opuszczała prawie domu ojcowskiego w Kijowie; dzieci Teterowie nie mieli, sama też pani wrychle zakończyła życie. Widzimy więc, że pośród swaszek, przybyłych z Tymoszkiem, wybitniejszych „dam" kozackich brakło zupełnie; obecne należały do mieszczek, a i wieśniaczka niejedna tu się znalazła, znęcona ciekawością, a może i nadzieją otrzymania kosztownego upominku—toż Lupuł taki bogaty! Ze starszyzny kozackiej tylko Jan Wyhowski i Paweł Tetera wzmiankowani w relacyi, reszta pułkowników należała do podrzędniejszych osobników; prosta grzeczność nakazywała wykluczyć z orszaku ślubnego Tomasza Nosacza, Martyna Puszkara, Doroszenkę, Zołotarenkę, Neczaja i Bohuna, bo ci nadto dali się we znaki ziemi wołoskiej podczas pamiętnych zbrojnych napadów, które miały na celu zmuszenie Lupula do oddania córki synowi hetmańskiemu. Wyhowski i Tetera byli uważani w Czehryniu—i nie bez zasady—za ludzi uczonych, wymownych; nie był im obcy lustr zachodni, pięknie mówili po polsku, a mowa ta, od czasu krewieństwa z Radziwiłłem, przyjęła się na dworze wołoskim, i łacina nie była im obcą; to też pisarz wojska zaporoskiego wyręczał ciągle nowożeńca, ilekroć przema-

[1]) Góra pod Kaniowem, niedaleko Dniepru. „Słownik geograficzny," tom III, str. 25.

wiać należało, w imieniu jego witał i odpowiadał na powitania. Tymoszko zaś, nieśmiały, nawet trwożny, podejrzliwy, obawiający się nieustannie zdrady, wychowany nie po salonowemu, jak „wilk patrzał z podełba... chłop młody, ospowaty, wzrostu małego, ale wielki gamoń,"—pisze o nim w relacyi współczesny nieznany nam świadek. Po przybyciu gości nastąpiło ich rozkwaterowanie: hufce kozackie stanęły obozem „pod Winogrodem" w okolicy miasta, pan młody z pryncypalniejszą starszyzną—w pałacu książęcym, a swaszki kozackie w gospodach wygodnych zamieszkały. Uroczystości trwały cały tydzień (od 30 sierpnia do 6 września). Jednak, wnosząc z relacyi, raz tylko panie, przybyłe z Czehryna, prezentowały się na pokojach książęcych, mianowicie na uczcie poślubnej; podejmowała je sama jejmość hospodarowa w osobnych izbach, stąd przypuszczenie, że do gminu należeć musiały. Posłano po nie karety, ciągnie dalej sprawozdawca, do gospód, ale ich tam nie zastano, bo w „karwaserze na gorzałce były. Przywieziono je do zamku, jako jakie straszydła, były szpetne bardzo, w giermakach żydowskich, sobolami jednak podszytych, z kołnierzami wielkiemi; chciały podobno strojowi wołoskiemu się akomodować. O tych by siła pisać trzeba, ale wstyd nie dopuszcza." Po skończonym obiedzie, snać sobie swaszki podpiły, bo przyszło do waśni z bojarkami, te bowiem wyśmiewały ich gburowatość i zachowanie się wysoce nieprzyzwoite; kłótnia przyjęła rozmiary gorszące, zwłaszcza, kiedy jedna z przybyłych, oburzona, nie krępując się obecnością samej hospodarowej, rozpuściła buzię i jęła wygrażać pięściami; była to Halka Korpycha, niemłoda już kobieta, wdowa po sętniku, niepokonana w językowej szermierce: „Czy na błazeństwo my tu do was przyjechały — wołała, — *koli wy* przyjemniejsze od nas, to czemu *doczku waszu za kozaczka dajete.*" Politycznie też wyproszono swarliwą babę; — „idąc po schodach, obaliła się," — bo miała głowę zbyt zaprószoną, musiano ją znieść do karocy; inne jej koleżanki także się wyniosły niezadowolone, odstawiono je do gospód, a tu nowe śmiechy, kiedy woźnicom jęły płacić napiwek orzechami.

Wyznać potrzeba, że ukraińskie „damy" nie w dodatni sposób zaprezentowały się na wołoskim dworze; co do zewnętrznych form — tak, toć przecie spotkały się tu dwa społeczeństwa, u dwóch przeciwnych stojące biegunów: w Jassach panował przepych niezwykły; włoska subtelna elegancya, ze zbytkiem i okazałością wschodnią połączona, podały sobie ręce i wyszły na spotkanie dzikich osobników, w zdziczeniu i zezwierzęceniu szukających chluby nieledwie; więc i ta chęć sprostania paniom wołoskim w ubiorze dowodziła pewnych dobrych chęci zastosowania się do okoliczności, pewnego ustępstwa, a że przesada zrodziła karykaturę — to już nie ich wina, ale tego zbyt nizkiego po-

ziomu estetycznego. Bo znowu pod względem moralnym, jeżeli autorowi relacyi wstyd pisać nie dopuszczał o zdrożności swaszek, to i bojarki wcale do anielsko czystych nie należały; wiadomo bowiem powszechnie, że wyrafinowana rozpusta pośród nich panowała, życie próżniacze, lekceważenie obowiązków rodzinnych, słowem cechy haremowego wychowania, bez hamulca panującego w haremach, a którego uosobieniem był worek i dno modrych fal morskich, jako miejsce wiecznego spoczynku, przeznaczonego dla odalissy, przekonanej, czy nawet posądzonej tylko o przeniewierstwo.

Pomimo tych drobnych usterków, hetman się cieszył z odbytego wesela, postawił nareszcie na swojem, pierwszy krok pomyślny znaczył wiele. Przeznaczył dla nowożeńców Subotów na rezydencyę, dom rozszerzył, opasał go podwójnym wałem, przyozdobił wewnątrz, wszystkie łupy zdobyte przez Tymoszka na Multanach poszły na ozdobę cerkwi św. Michała, wznoszącej się tuż obok w rynku, a zostającej pod szczególnym hetmańskiego syna protektoratem. Utrzymywano nawet, że z drugą żoną tak okrutnie postąpił dlatego, by z otoczenia usunąć zanadto jawną rozpustę, która-by mogła obudzić zgorszenie w synowicy... no—to już chyba przypuszczenie podobne mogło się wylęgnąć w głowie osobnika, nieznającego dziejów żywota watażki zaporoskiego. Czekał on niecierpliwie na przybycie młodej pary, „z wielką radością powitał, wdzięcznością przejęty, że zdobyć potrafił sojuszników i przyjaciół, z jednej strony hana z ordami, z drugiej *swata* hospodara z Wołochami" [1]). Do okazałego przyjęcia gotował się długo: „W małej części wojsko w przenosiny do Czehryna powróci, na których pan ma być. A wojska wszystkie, tak tatarskie, jako i kozackie, na Janczarychę ściągnąć się mają i tam na powrót hana i Chmielnickiego czekać będą" [2]). Takie awizy z Ukrainy słał porucznik Wilczkowski do p. wojewody sandomirskiego. Zdaje się, że perekopski władca zawiódł oczekiwanie hetmana, ostatni bowiem tylko w otoczeniu rodziny i starszyzny wyjechał na spotkanie nowożeńców, podejmował ich u siebie w Czehrynie i dopiero w końcu września odprowadził do Subotowa. Strzelania i pijatyki było nad wszelkie spodziewanie dużo, trzeźwego człowieka brakło na lekarstwo w orszaku watażki. Oblubienica w tem wszystkiem podrzędną odgrywała rolę; towarzystwo, w tak niezwykle dziki sposób swoją radość i uniesienie objawiające, niewysłowionym przejmowało ją strachem; ludzi pijanych, brutalne swary, kończące się bójkami, dokoła siebie tylko widziała; oznaki poszanowania w dziwnie trywialny manifestowały się sposób: spokoju

[1]) Wieliczko. „Letopiś" I, 118.
[2]) Michałowski. „Księga pamiętnicza", 661.

ani chwili; gmin, cisnący się do świetlic młodej pani, oglądał ją, jak się ogląda dziwadło niezwykłe, przywiezione zdaleka; śpiewy na cześć jej nucone gromkie i wrzaskliwe, przerywane przypiwkiem z wymaganiem odwzajemnienia, połączone z tańcem nieprzyzwoitym, powtarzającym się całe dnie i noce,—wszystko to wyczerpywało jej siły, doprowadzało do odurzenia, pogrążało w stan bezwładnej apatyi. A tu jeszcze mąż, ponury i obojętny, milczeniem ją swojem przerażał; już od chwili opuszczenia granic ziemi wołoskiej podczas podróży do Czehryna okazywać jej zaczął pewne nieukontentowanie, choć cały tabor wrzał wesołością, a piękny wrzesień jakby się dostrajał do tego ożywienia panującego pośród swaszek kozackich i eskortujących mołojców. Tymoszko wyraźnie okazywał żonie, że związał się z nią sakramentem dla rachunku, a tu rachunek zawiódł na samym już wstępie: liczył na to, że Lupuł osypie go złotem, chciwy był z natury, a hospodar, wbrew oczekiwaniom, więcej niż skromnie wystąpił przy pożegnaniu: 2,000 talarów, 2,000 czerwonych złotych, obok, prawda, świetnej wyprawy, nie znaczyło nic prawie; nawet upominki osobom należącym do orszaku hetmanowicza pozostawiały wiele do życzenia: Wyhowski naprzykład, najpryncypalniejszy dygnitarz, niby kanclerz zaporoski, dostał 10 łokci aksamitu, 20 łokci atłasu, blam rysi i 300 lewkowych talarów. Inni podkomendni daleko jeszcze skromniej obdarzeni. Więc gdzież te skarby hospodarskie, o których cały świat głosi, kiedy córkę tak ubogo uposażył. A był jeszcze i inny powód nieukontentowania, jak o tem gazety francuskie wzmiankowały w korespondencyi z Warszawy pod d. 15 listopada 1652 r., więc w dziesięć tygodni po ślubie: „syn generała Chmielnickiego, Tymoszko, powiedziano w niej, już podwakroć bił swoją nowo poślubioną żonę, córkę księcia wołoskiego, wyrzucając jej postępek z wielkim wezyrem, gdy w zakładzie była w seraju i za łaską tegoż wezyra chciała wydostać się na wolność. Ale ojciec Chmielnicki, któremu bardzo na przyjaźni zależy, wszelkiemi sposobami o to się stara, aby skłonić syna do lepszego obchodzenia się z żoną" [1]).

Przy takich warunkach, o wpływie hospodarówny na dworze Czehryńskim, nawet przy protekcyi teścia, mowy być nie może; wreszcie brakło i czasu, żeby ten wpływ rozwinąć, bo mąż zaczął zbyt pośpiesznie i nieoględnie wprowadzać w życie projekta zaborcze, snute wytrwale od początku przez starego hetmana. Wprosił się niby z powodu dżumy, istotnie grasującej w końcu 1652 r. na Ukrainie, do Jass, udał się tam z Rozandą, rozpoczął wojnę z Multanami, a w siedm miesięcy po ślubowinach (6 kwietnia 1653 r.) stolica Lupułowa znajdo-

[1]) Szajnocha. „Szkice historyczne" IV, 59.

wała się już w ręku nieprzyjaciela, hospodar zaś i jego rodzina w ucieczce szukali ocalenia. Wówczas-to Tymoszkowa żona z macochą i bratem znaleźli gościnne schronienie za niezdobytemi murami Kamieńca Podolskiego. Tutaj rys drobny, dodatni, zaregestrować nam wypada: nad Smotryczem wtedy starostował Piotr Potocki, wojewodzic, ów wysłannik Władysława IV na ślub Rozandowej siostry, a jeden z pierwszych aspirantów do ręki samej Rozandy. Jakże się teraz, w niespełna lat ośm zmieniły okoliczności! niegdyś piękna i bogata księżniczka udała się pod opiekę dawnego wielbiciela, ona, żona osobistego jego nieprzyjaciela, miała z sobą część skarbów Lupułowych; nie dziwiono-by się wcale, gdyby starosta ze szczęśliwego trafu skorzystał,—takie to było w owych czasach powszednie. P. Piotr jednak, nie dość, że otoczył ją wygodami, własnego pałacu ustąpił, przez dwa miesiące gościnnie podejmował, ale, wezwany przez męża, zaopatrzył w eskortę stosowną, która ją do granic wołoskich doprowadziła. Mieszkańcy Kamieńca byli bardzo niezadowoleni z tej wspaniałomyślności generalnego podolskiego starosty: szło im nie o osoby, w politykę się nie wdawali, ale o złoto Lupułowe; toż im, według ich mniemania, słusznie się część jego należała za przydługi kwaterunek... a nie mogąc zrozumieć szlachetnych pobudek Potockiego, przypuszczali, że haracz sobie za wyzwolenie kobiet, i to suty, kazał zapłacić. Gdyby p. starosta wystąpił w roli wezyra, niezadowoleni obywatele miejscy przekazali-by to niechybnie potomności.

Ale wróćmy do przerwanego opowiadania.

W lipcu 1653 r., po nowej porażce, Lupuł oparł się na Ukrainie u hetmana kozackiego, a zięć jego wraz z kobietami zamknął się w oblężonej Suczawie. Dramat zbliżał się do rozwiązania; istotnie, chwila była nad wszelki wyraz tragiczna! Pyszałkowaty ośmnastoletni młokos, odurzony powodzeniem batohskiem, gdzie odegrał tylko rolę okrutnego kata, stanął na czele przedsięwzięcia, mającego zaborcze plany ojca doprowadzić do skutku; nie obliczył się z siłami, brakło mu zdolności militarnych, równie jak i teściowi; ten w handlu może był bardzo doświadczony, ale o rycerskiem rzemiośle nie miał wyobrażenia, upaść więc musieli w nierównej walce z książątkami, na których targnęli się dziedzictwo. Na ich nieszczęście hospodarowie: multański, wołoski, na miejscu wygnanego Lupuła obrany, Rakoczy, połączyli się z sobą, by wyparować nieproszonego gościa, a tem śmielej przystąpili do rzeczy, że im pomoc czynną obiecał Jan Kazimierz. W dziwnie się tedy trudnej pozycyi ujrzał Tymoszko; a cóż ojciec jego na to? spytacie. Kiedy hospodar przybiegł do Czehryna, by wymodlić zbrojną pomoc, nie zastał go, watażka najspokojniej „hulał po pasiekach" w Subotowie; udał się więc tam, ale cały tydzień czekać musiał na wy-

trzeźwienie „swata" [1]). A po tygodniu, kiedy mu się to udało, hetman cierpliwie wysłuchał propozycyi żałośnie wypowiedzianej i z całym spokojem, podając Lupułowi kufel, napełniony gorzałką, zakonkludował: „oto, bracie, najpewniejsza w smutku pociecha" [2]). Więc na czynną pomoc Kozaków nie było co liczyć; rzucił się zbiedzony hospodar do Krymu, przypuszczał bowiem, i nie bez zasady, że hana potrafi zachęcić obietnicą pieniędzy. A tymczasem oblegający otaczali Suczawę coraz bardziej zwartym pierścieniem, ogień trwał nieustanny, kula z kolubryny puszczona raniła śmiertelnie Tymoszkę. Wówczas na czele obrony stanęła odważna czerkieska, żona hospodara: naprzód ukrywała wiadomość o zgonie zięcia, a kiedy się o nim dowiedziano, zapowiedziała Kozakom, że jeżeli się utrzymają w warowni do przybycia odsieczy, wówczas odda im wszystkie skarby, jakie ma w swojem rozporządzeniu. Niestrudzona, dzień i noc zwiedzała najniebezpieczniejsze placówki, zachęcając do wytrwałości znużonego i zniechęconego żołnierza. Rozanda w tem wszystkiem bierną odgrywała rolę — zupełnie pod tym względem ma wiele podobieństwa do Halszki z Ostroga: jak ta rozkazom matki, tak tamta poddaje się bezwarunkowo woli macochy, nie protestuje nawet, kiedy macocha ofiaruje jej rękę dowódcy kozackiej drużyny w oblężonem mieście, Fedorowiczowi, z warunkiem, by rzecz obrony prowadził. Nic to atoli nie pomogło, 9 października 1653 r. podpisano warunki poddania twierdzy: Lupułowa z synem poszła w niewolę do ziemi Siedmiogrodzkiej; skarby jej podzielili między siebie zdobywcy (Jan Kazimierz zrzekł się wspólnictwa w tej sprawie); Kozacy zastrzegli sobie prawo powrotu na Ukrainę, „nie zabrali z sobą (nic), tylko ciało zabitego Tymoszki." Naturalnie, że wdowa towarzyszyła zwłokom. Smutny orszak natychmiast wyruszył z Suczawy; jakże inaczej wyglądał od tego, który przed rokiem przeszło z godów podążał: nawet niebo październikowe, ołowiane, dzieliło żałobę wędrowców; Kozacy na zbiedzonych koniach, znękani długiem oblężeniem, mając na czele pułkownika Fedorowicza, za nimi na wozie skrzynia z popiołami, okryta purpurowym „znakiem", a za tem dopiero w kolasie Rozanda, w towarzystwie starej posługaczki, jedynej towarzyszki pozostałej z licznego niegdyś kobiecego orszaku; bo kilka teleg, w których jechały czarownice i żony kozackie, dzielące niewczas bojowy małżonków, nie wchodziły w rachunek. Została ona teraz zupełną sierotą; siostra jej, księżna Radziwiłłowa, umarła wcześniej, o losie macochy i brata wzmiankowaliśmy wyżej; ojciec, odesłany przez zawiedzionych Tatarów do Carogrodu, dostał się

[1]) „Akty otnosiaszcz. k istorii. J. Z. R." III, 503.
[2]) Kostomarow. „Bohdan Chmielnicki" III, s. 70. Szajnocha. „Szkice hist." IV, 63.

jako więzień do Czarnej wieży (Jedykale), na rodzinę męża nie wiele rachować mogła, a tu lada chwila czekało ją macierzyństwo. Zwłoki Tymoszki 22 października odstawiono do Czehryna, tutaj czasowo złożone zostały z powodu nieobecności hetmana i choroby Rozandy; jakoż w tym czasie urodzić miała bliźnięta, dwóch chłopców [1]), którzy niechybnie w niemowlęctwie pomarli, bo w dziejach o nich nie słychać. Pogrzeb solenny odbył się dopiero 27 grudnia w Subotowie, w cerkwi św. Michała; udział w nim brał ojciec, macocha, siostry, starszyzna, wszystko z Czehryna zwłokom towarzyszyło; wdowa wyszła na spotkanie orszaku ze swej rezydencyi, snać jeszcze niedomagała. Chmielnicki jej nie rugował z dawnej siedziby, oddał całą w wyłączne posiadanie synowej, przynajmniej tak wnosić można z opowieści patryarchy antyochijskiego, podróżnika, który, goszcząc w Czehryniu, z kolei i do Subotowa był zajrzał; widywał ją na nabożeństwie, za duszę Tymoszka odprawowanem, odwiedzała go ona z kolei kilka razy, dużo płakała; przygnębiona, milcząca, pędziła życie samotne, odosobnione [2]); do rodziny hetmańskiej przylgnąć nie mogła, miała tę wszakże pociechę, że, traktowano ją choć obojętnie, ale z pewnem uszanowaniem.

Nie można zaprzeczyć, że obecność Rozandy pośród tego świeżo powstałego świata kozackiego bodaj pośrednio wpłynęła na wprowadzenie zmian w ceremoniale dworskim. Wprawdzie nie mało się do tego przyczyniły i polityczne względy: zbliżenie z Moskwą, spływające stamtąd odznaczenia w postaci podarunków, szlachectwa i nadań w ziemi; wytworzyły one klasę uprzywilejowaną, a ta zaczęła wprowadzać u siebie obyczaj, tej warstwie społecznej w państwach ościennych właściwy, zaczęła się przyzwyczajać do pewnych form towarzyskich, do pewnej ogłady, której poniewieranie do niedawna poczytywała sobie za rodzaj zasługi. Odtąd nowi indygeni zdobywają przewagę nad gminem, a ten, choć nie ujęty jeszcze w karby, za wsze atoli spychany na plan ostatni, traci swobodę ruchów; burzy się on i podnosi głowę niekiedy, w końcu wszakże ulega starszyźnie i dostaje się znowu w pęta pańszczyźniane, po krwawych, powtarzających się niejednokrotnie protestach. I na dworze hetmańskim, za staraniem i wpływem Filipichy, przyzwoiciej i skromniej zaczęli się zachowywać jego goście, o orgiach dawniejszych nie było już mowy, a kozackie żony, jeżeli zaglądają tu kiedy, to się sprawują inaczej, poswarki i bijatyki nie są tolerowane, a przynajmniej nie tak się już często powtarzają, jak przedtem. O przewadze trzeciej żony nad

[1]) Kostomarow. „Bohdan Chmielnicki“ III, 100.
[2]) Rulikowski. „Słownik geograficzny“ XI, 524. „Travels of Makary.“

Chmielnickim, tak powszechnie wiedziano, że, w chwili grozy, nawet królowa Marya Ludwika, użyła jej pośrednictwa do męża, obsyłając ją wdzięcznym listem, do którego dołączony był kosztowny upominek. Pan Kostomarow obrazowo maluje scenę dotyczącą tego wydarzenia, a miało ono miejsce pod murami Lwowa, w obozie kozackim. Otóż delegat polski, Lubowidzki, podczas układów i rozmaitych propozycyi, wyjął z zanadrza pakunek i, doręczając go Chmielnickiemu, w ten doń miał przemówić sposób: „Panie hetmanie, najjaśniejsza pani, przypuszczając, że zastanę waszą wielmożność w domu (to jest w Czehrynie), napisała list do małżonki waszej wielmożności; nie wiem, czy pani hetmanowa tu się znajduje, myślę wszakże, że najstosowniej postąpię, doręczając list królowej pani mojej do rąk waszych." Hetman, po przeczytaniu pisania, łzami się oblał i, wznosząc oczy do nieba, zawołał: „Boże wszechmocny, cóż znaczę wobec ciebie — ja robak nikczemny, i wszakże taką oto łaskę sprawiło miłosierdzie twoje, że najjaśniejsza królowa polska udaje się do mojej Anny z prośbą o wstawienie się do mnie" [1]). Przytoczony szczegół maluje dosadnie wpływ kobiety na dworze czehryńskim; nie osłabł on nawet po zgonie jej brata, który wcześniej poległ przy oblężeniu starego Bychowa [2]). Przeciwnie, wzmógł się jeszcze bardziej. I tak dawniejsze przyjęcia wysłanników państw ościennych, takie hałaśliwe i liczne, przyjęły teraz cechy obyczajniejsze; w dyplomatycznych obiadach bierze udział nie pierwszy lepszy, ale mający do tego pewne prawa,—spotykamy na nich kobiety do rodziny należące; tak podczas odwiedzin urzędowych Buturlina, przysłanego z Moskwy w 1657 r., do stołu z nim zasiadały hetmanowa i Katarzyna Wyhowska, z mężczyzn, oprócz gospodarza, niekiedy syn jego, Juraś, z dygnitarzy zaś tylko generalny asauła, Kowalewski, i pisarz wojska zaporoskiego, nieodstępny Jan Wyhowski [3]); ostatni przed rokiem ożenił się z Statkiewiczówną, ale córka senatorska, może zażenowana z tego powodu, że się dała wykraść Kozakowi. nie pokazywała się w towarzystwie czehryńskiem. Wracając do publicznych wystąpień, pewna powściągliwość spostrzegać się daje w przemówieniach gospodarza, do gości przepija nie gorzałką, ale starem winem węgierskiem w srebrne kubki nalanem; słowem, do młodocianych nawyknień wraca on w przededniu zgonu, a ten, jak wiemy, zaszedł w sierpniu 1657 r. Dynastyczne projekta nieboszczyka, na nietrwałych podstawach budowane, rozwiały się z jego zgonem, rozproszył się i dwór wszystek; najpierwsza wdowa usunęła się z widowni, bo już o niej

[1]) „Bohd. Chmiel." III. 219. „Histor. bell. Cosac. pol." 239—249.
[2]) „Letopiś Samowidca" 25. Jerlicz. „Latopisiec" II, 179.
[3]) Kostomarow. „Bohd Chmielnicki" III, 258, 262.

nigdy nie słychać, córkom tylko przypadło odegrać pewną rolę w niedalekiej przyszłości. A synowa? Zostawiliśmy ją w Subotowie, wątpimy, czy się tam zgonu teścia doczekała, z wszelką jednak pewnością twierdzić można, że Ukrainy nie opuściła, że na utrzymanie wdowy i jej dwojga niemowląt Chmielnicki wyznaczył dochód z klucza Zieńkowskiego (dzisiejszy Zieńków, miasto powiatowe gub. Połtawskiej) z przyległościami, które to nadanie car Aleksy Michajłowicz potwierdził osobnym ukazem. Niechętnie patrzyli na to sąsiedzi, całą winę niepowodzeń na jej barki spychający; zawsze jednak zachowywali się z pewną restrykcyą, synowej hetmańskiej należną, a i tradycya o skarbach ważyła tu niemało: bogactwa posiadają pewien urok dla ogółu, Rozandę zaś pomawiano, że część dostatków ojcowskich uratować zdołała, że spora spuścizna przypadła jej i po poległym małżonku; a kobieta spokojna nikomu krzywdy nie czyniła; że teść ją widocznie szanował, więc dano jej pokój, zapomniano o sierocie, czego widocznie pragnęła. Tutaj przybywają nam nowe źródła, trochę może podejrzanej wartości, malujące wszakże dzieje ostatnich lat pobytu wdowy na Ukrainie; mówimy o pamiętnikach Michała Iwanowicza Antonowskiego; autor ich, zmarły w pierwszej ćwierci niniejszego stulecia, utrzymuje, że jest w prostej linii praprawnukiem Ireny Rozandy, córki Łupuła, hospodara wołoskiego [1]). Wywodzi on swoje pochodzenie od Andrault'a de Buy; ten istotnie przybył z Francyi z Janem Kazimierzem, jako jego marszałek nadworny; potem, jako dowódca wojsk cudzoziemskiego autoramentu, zostających na żołdzie Rzeczypospolitej, otrzymał indygenat w 1658 r. z dodaną mu nazwą Antonowicza [2]). Otóż ów świeżo kreowany szlachcic polski, zniechęcony rozterką panującą w Rzeczypospolitej, przerzucił się do obozu kozackiego, gdzie miał sobie poruczone dowództwo nad piechotą i artyleryą. Tu najprzód wyrzekł się łacińskiego obrządku i, pragnąc się „przypodobać Małorosyanom", znowu zmienia nazwisko, z Antonowicza zostaje Antonowskim;—„tym krokiem chciał usunąć wszelkie podejrzenie dawnego do Polski przywiązania." Juraś Chmielnicki, zostawszy hetmanem, chcąc godnie uczcić wierność rycerską Andrault'ów potomka, oddał Iwanowi Antonowskiemu wdowę po starszym bracie, Tymoszku, w zamężcie. I znowu jak jakim sprzętem rozporządzono się kobietą; widocznie wychowanie na wschodzie, pobyt dwukrotny w seraju, pozbawiły ją woli, a może nauczyły bezwarunkowego posłuszeństwa. Małżeństwo skojarzyło się około 1660 roku, w rok potem Rozanda została matką, syn jej nowonarodzony—Piotr, był pradziadkiem autora pamiętników. Wido-

[1]) „Archiwum ruskie." Moskwa 1885 r. zeszyt II, str. 145—178.
[2]) Niesiecki II, 30.

cznie, albo niewiele szczęścia zaznała w pożyciu, albo owdowiała dość prędko, albo, zatrwożona nieustanną zawieruchą panującą w Ukrainie, wyniosła się na jej kresy zachodnie; spotykamy ją bowiem pędzącą samotny żywot w Raszkowie Podolskim, czy może obok niego położonym, oddzielonym tylko Dniestrem, Wady-Raszkowie bessarabskim [1]), choć prędzej w pierwszym, bo ten należał do Koniecpolskiego, a czytaliśmy właśnie umowę ostatniego, zawartą z Rozandą „Cimoszkową żoną Chmielnickiego" (więc o Antonowskim nie było mowy) na kilkoletnią zastawną dzierżawę tej włości. Nakko, kompilator dziejów Bessarabii, utrzymuje, że brat wdowy, Stefan Lupuł, po zdobyciu tronu wołoskiego w 1659 r., upraszał siostrę, by przy nim osiadła, wysłał nawet eskortę, która miała jej w podróży do Jass towarzyszyć; ale eskortę rozproszyli Kozacy, grasujący w okolicy [2]), została więc na miejscu w zameczku Raszkowskim, naprędce ufortyfikowanym, z celem odpierania napadów rabowniczych. Nie ochroniło to jednak kobiety osamotnionej od katastrofy: w 1666 r. zamordowali ją Kozacy, niegdyś jej męża podkomendni, z Drozdenkiem na czele, oburzeni, że się nie chciała z nimi swoim podzielić dobytkiem. Zabrali wszystko, a znaleźli niemało, Lupułowa bowiem córka była niezwykle oszczędną, prowadziła wypasowe gospodarstwo na wielką skalę, które jej spore zyski zapewniało. W jaki sposób zrabowanych kosztowności dostała się imci panu Jerzemu Wołodyowskiemu, a druga, lwia połowa, Doroszence, późniejszemu hetmanowi zaporoskiemu, o tem opowiedzieliśmy na innem miejscu, więc tu powtarzać rzeczy znanych nie będziemy [3]). Dodamy na końcu, że jedynym śladem pobytu nieszczęśliwej Rozandy na Czehryńskim dworze jest kosztowny, do niej należący, naszyjnik, przechowywany do dzisiaj w cerkwi w Białocerkwi, a i ten nie sama ofiarowała, — złożył go w ofierze Semen Palej, fundator wzmiankowanego przybytku, niechybnie zaś dostał mu się z rabunku, dokonanego przez Drozdenkę w Raszkowie [4]), w którym sam czynny udział przyjmował.

(Dokończenie nastąpi).

Dr Antoni J.

[1]) „Slownik geograficzny" IX, 533.
[2]) „Istoria Bessarabii." Odessa II, str. 309.
[3]) „Sylwetki historyczne." Serya VIII, str. 311—314.
[4]) Węgrzynowski. „Swad'ba Tymoszka Chmielnickoho." Kijów, str. 50. Autor dołączył do opowiadania kolorowany rysunek wzmiankowanego naszyjnika.

RODZINA POŁANIECKICH. [1]

VIII.

Odpowiedź Maszki, którą Połaniecki odebrał w dwa dni później, brzmiała: „W dniu wczorajszym nabyłem Krzemień.“ — Jakkolwiek z listu Maryni można było przewidzieć, że rzeczy wezmą taki, a nie inny obrót, i młody człowiek powinien był być na to przygotowany, wiadomość sprawiła na nim wrażenie uderzenia piorunu. Zdawało mu się, że stało się zarówno niespodziewane, jak niepowetowane nieszczęście, za które cała odpowiedzialność spada na niego. Pani Emilia, znając lepiej, niż ktokolwiek, przywiązanie Maryni do Krzemienia, miała również przeczucie, którego nie potrafiła ukryć, że przez tę sprzedaż sprawa zbliżenia do siebie dwojga młodych ludzi utrudnia się w wysokim stopniu.

— Maszko jeśli nie ożeni się z Marynią—mówił Połaniecki,—to złupi starego Pławickiego w ten sposób, że swoją opinię ocali, a tamtego zostawi bez grosza. Gdybym był sprzedał tę sumę pierwszemu lichwiarzowi, stary-by się wykręcał, coś spłacał, więcej obiecywał— i ruina Krzemienia przewlokła-by się o całe lata, w ciągu których mogło-by się zdarzyć coś pomyślnego, a przynajmniej był-by czas sprze-

[1] Patrz zeszyt sierpniowy „Biblioteki.“

dać Krzemień w dobrych warunkach. Teraz, jeśli zostaną bez grosza, to będzie moja wina.

Ale pani Emilia patrzyła na sprawę także i z innej strony.

— Nie tylko w tem złe—mówiła,—że Krzemień został sprzedany. Gdyby to kto inny przyczynił się do tego, nie pan, i to zaraz po bytności u Maryni, cała rzecz nie miała-by tego znaczenia; ale to właśnie jest najgorsze, że Marynia tak bardzo nie spodziewała się tego po panu.

Połaniecki odczuwał to również dobrze, że zaś przywykł zdawać sobie jasno sprawę z każdego położenia, rozumiał więc także, że Marynia jest dla niego tak dobrze, jak stracona. Wobec tego pozostawało jedno: przyznać, iż tak jest, zapomnieć o niej i starać się o inną żonę. Ale cała dusza Połanieckiego buntowała się przeciw temu. Naprzód jego uczucie dla panny Maryni, jakkolwiek nagłe, nie umocnione ani czasem, ani bliższą znajomością, jakkolwiek oparte przeważnie na uroku niemal wyłącznie fizycznym, jaki jej postać na nim wywarła, wzrosło w ostatnich tygodniach znacznie. Sprawił to i jej list, i budzące się w Połanieckim przekonanie, że jej wyrządził krzywdę. Brała go teraz nad nią litość i nie mógł o niej myśleć bez wzruszenia; skutkiem tego samo uczucie powiększyło się o te dwa pierwiastki, grające nader ważną rolę w każdem męskiem sercu. Następnie ów energiczny, muskularny człowiek nie umiał nigdy poddawać się biernie zbiegowi zdarzeń. Natura jego wprost nie mogła tego znieść. Widok trudności podniecał go właśnie do czynu. Nakoniec sprzeciwiała się zaniechaniu Maryni i jego miłość własna. Myśl, że musi kiedyś sam przed sobą przyznać, że był tylko sprężyną w ręku takiego Maszki i jednym ze środków do jego celów, że mu się dał zużytkować, a przynajmniej użytkować, napełniała go wściekłością. Choćby Maszko nie otrzymał ręki Maryni, choćby skończyło się na Krzemieniu, i to już było dla Połanieckiego więcej, niż mógł wytrzymać. Teraz brała go niepowstrzymana ochota wystąpić przeciw Maszce, narzucać mu kamieni pod nogi, pokrzyżować przynajmniej dalsze jego plany i pokazać mu, że jego adwokacki spryt, w zetknięciu się z prawdziwą męską energią, nie wystarcza.

Te wszystkie i szlachetniejsze, i mniej szlachetne powody popychały Połanieckiego z nieprzepartą siłą do przedsięwzięcia czegoskolwiek, do jakiegoś działania. Tymczasem położenie było tego rodzaju, iż nie pozostawało niemal nic do roboty. W tem przeciwieństwie tkwił właśnie dramat. Siedzieć w Reichenhallu, pozwolić Maszce przeprowadzać swoje plany, rozciągać swoje sieci, starać się o rękę panny Pławickiej—nic! za nic! A więc co? I na to ostatnie pytanie nie było odpowiedzi. Po raz pierwszy w życiu Połaniecki miał takie uczucie, jakby go uwiązano na łańcuchu, i im mniej był przyzwyczajony do ta-

kiego położenia, tem znosił je trudniej. Poznał też po raz pierwszy w życiu, czem jest bezsenność i rozdrażnione nerwy. Ponieważ Litka w ostatnich dniach znów uczuła się gorzej, więc nad całem towarzystwem zawisła ciężka, jak ołów, atmosfera niepokoju, w której życie stawało się nieznośne.

Po upływie tygodnia przyszedł znowu list Maryni... Tym razem nie było w nim wzmianki ani o Połanieckim, ani o Maszce. Marynia donosiła tylko o sprzedaży Krzemienia bez żadnej skargi, bez żadnego objaśnienia, jak się sprawa odbyła. Ale z tego właśnie można było wnosić, jak głęboko dotknęła ją ta sprzedaż.

Połaniecki wolał-by był, żeby go o nią oskarżała. Rozumiał przytem dobrze, że milczenie o nim w liście dowodzi, jak dalece został wykreślony z serca tej panny, podczas gdy milczenie o Maszce może dowodzić czegoś całkiem przeciwnego. Ostatecznie, jeśli jej tak chodziło o ten Krzemień, to mogła do niego wrócić, oddając dzisiejszemu właścicielowi jego swą rękę; może więc porała się właśnie z tą myślą. Stary Pławicki miał wprawdzie swoje szlacheckie uprzedzenia i Połaniecki liczył na nie, ale, uważając go przedewszystkiem za egoistę, przypuszczał, że w danym wypadku poświęci dla własnej wygody i córkę, i uprzedzenia.

Koniec końcem, siedzenie w Reichenhallu z założonemi rękoma i czekanie na wiadomość, czy panu Maszce podoba się zaofiarować swą rękę pannie Pławickiej, stało się dla Połanieckiego wprost niemożebne. Litka powtarzała także od czasu do czasu prośbę do matki, by wracać do Warszawy, więc i Połaniecki postanowił wracać, tem bardziej, że zbliżał się termin, w którym obaj z Bigielem mieli rozpocząć nowy interes.

Postanowienie to przyniosło mu na razie wielką ulgę. Wróci, zajrzy położeniu zblizka w oczy i może coś przedsięweźmie. Zawsze było to coś więcej, niż siedzieć w Reichenhallu. I pani Emilia, i Litka przyjęły wiadomość o jego wyjeździe bez zdziwienia. Wiedziały, że przyjechał tylko na kilka tygodni i spodziewały się rychło zobaczyć go w Warszawie. Pani Emilia miała także w połowie sierpnia wyjechać. Przez resztę miesiąca postanowiła zostać razem z Waskowskim w Salzburgu, potem zaś wracać do Warszawy. Tymczasem przyrzekła Połanieckiemu, że doniesie mu kilkakrotnie o zdrowiu Litki, a oprócz tego będzie pisała do Maryni, by dowiedzieć się, jakie są naprawdę jej myśli względem Maszki.

W dzień wyjazdu obie panie, wraz z Waskowskim, odprowadziły go na kolej. Gdy już był w wagonie, uczyniło mu się nieco żal odjeżdżać. Bądź-co-bądź, nie wiedział, jak się wszystko obróci w Warszawie, tu zaś otaczały go najżyczliwsze istoty, jakie miał w świecie. Wy-

chylony przez okno, patrzył na smutne oczęta Litki, podniesione ku niemu, i na przyjazną twarz pani Emilii, z takiem uczuciem, jakby to była jego rodzina. I znowu uderzyła go nadzwyczajna piękność młodej wdowy, jej aż nadto delikatne rysy, anielski wyraz twarzy i jej postać zupełnie panieńska, przybrana w czarną suknię.

— Niech pan będzie zdrów—mówiła pani Emilia—i niech pan do nas napisze z Warszawy; mniej więcej za trzy tygodnie się zobaczymy.

— Za trzy tygodnie—powtórzył Połaniecki.—Napiszę z pewnością. Do widzenia, Lituś!

— Do widzenia! Niech się pan kłania Ewce i Joasi.

— Dobrze.

I wyciągnął jeszcze rękę przez okno:

— Do widzenia! Niech panie pamiętają o przyjacielu.

— Nie zapomnimy, nie zapomnimy! Chce pan, żebyśmy odmawiały nowennę na pańską intencyę?—pytała z uśmiechem pani Emilia.

— Dziękuję i za to. Dobrze! Do widzenia, profesorze!

Pociąg ruszył w tej chwili. Panie poczęły machać jeszcze parasolkami, póki coraz śpieszniejszy oddech lokomotywy nie przesłonił kłębami dymu i pary okna, przez które wyglądał Połaniecki.

— Mamo—spytała Litka,—czy naprawdę trzeba mówić nowennę za pana Stacha?

— Trzeba, Lituś. On taki dla nas dobry. Trzeba prosić Boga, żeby był szczęśliwy.

— A czy on jest nieszczęśliwy?

— Nie... To jest... widzisz, każdy ma swoje zmartwienie i on ma swoje.

— Ja wiem, ja słyszałam w Thumsee—odrzekła dziewczynka.

I po chwili dodała ciszej:

— Będę mówiła nowennę...

A profesor Waskowski, który przy całej swej poczciwości nie umiał nigdy utrzymać języka, rzekł po chwili do pani Emilii, gdy Litka poszła naprzód:

— To złote serce i on kocha obie panie, jak brat. Teraz, gdy nam specyalista powiedział, że niema najmniejszej obawy, mogę wszystko powiedzieć. To Połaniecki umyślnie go sprowadził, bo się zaniepokoił o małą w Thumsee.

— On?—spytała pani Emilia.—No, widzi pan, co to za człowiek!

I łzy wdzięczności zakręciły się jej w oczach. Po chwili zaś dodała:

— Ale ja mu się odpłacę za to, bo mu dam Marynię.

Połaniecki odjeżdżał również z sercem przepełnionem życzliwością i wdzięcznością dla pani Emilii, albowiem człowiek, któremu się

coś nie powiedzie i który wskutek tego popada w zmartwienie, żywiej odczuwa przyjaźń ludzką. Siedząc więc teraz w kącie wagonu i mając świeżo w myśli obraz pani Emilii, mówił sobie:

— Ot, gdybym się był w niej zakochał! Co za spokój, co za pewność szczęścia. I cel w życiu był-by znaleziony; wiedział-bym, dla kogo pracuję, wiedział-bym, że czemś jestem, że moje istnienie ma jakiś sens. Ona mówi wprawdzie, że nie wyjdzie za mąż, ale za mnie— kto wie! Tamta może być sobie doskonałością, ale może mieć także bardzo oschłe serce.

Tu uczuł nagle, że jednak o tej może myśleć spokojnie, podczas gdy na każde wspomnienie tamtej chwyta go jakiś niepokój, zarazem przykry i przyjemny. Czuł, że go coś ciągnie tylko do tamtej. Świeżo oto ściskał rękę pani Emilii i uścisk ów nie zostawił mu żadnego wrażenia, podczas gdy dziś jeszcze pamiętał ciepło dłoni panny Maryni i doznawał pewnego rodzaju dreszczu na samo o tem wspomnienie.

I aż do Salzburga myślał już tylko o „tamtej.“ Tym razem myśli jego poczęły nawet przybierać kształt, jeśli nie postanowień, to pytań, jak ma względem niej postąpić i co w tym zbiegu rzeczy jest jego obowiązkiem?

— Nie da się zaprzeczyć, że ja jestem przyczyną sprzedaży Krzemienia — mówił sobie. — Krzemień nie tylko miał dla niej tę wartość pieniężną, jaką dało-by się może z niego wyciągnąć, gdyby nie przyśpieszona sprzedaż, ale i tę wartość, którą przywiązywało do niego jej serce. Otóż pozbawiłem ją jednej i drugiej; krótko mówiąc: skrzywdziłem ją! Postąpiłem prawnie, ale to dla sumienia, złożonego z czegoś więcej, niż z paragrafów, nie wystarcza. Zawiniłem i przyznaję się do tego, a skoro tak, to muszę to naprawić w jakikolwiek sposób.

Ale jak?

— Na odkupienie Krzemienia od Maszki nie jestem dość bogaty. Mógł-bym to może uczynić, rozwiązując spółkę z Bigielem i wycofywując wszystkie moje pieniądze, to zaś jest materyalną niemożebnością. Bigiel mógł-by przez to upaść, więc tego nie zrobię. Pozostaje mi zatem jedno, mianowicie: utrzymać z Pławickimi stosunki jakimkolwiek sposobem, a następnie oświadczyć się w krótkim czasie o rękę panny Pławickiej. Jeśli dostanę kosza, to przynajmniej uczynię, co do mnie należy.

Ale tu ów drugi wewnętrzny człowiek, o którym Połaniecki wspominał, zabrał głos i począł mówić:

— Nie zasłaniaj się kwestyą sumienia. Gdyby panna Pławicka była starsza o dziesięć lat i brzydka, to mógł-byś tak samo przyczynić się do sprzedaży Krzemienia, pozbawić ją wszystkiego, czegoś pozbawił, i do głowy-by ci nie przyszło oświadczać się o jej rękę. Powiedz-

że sobie odrazu, że panna Pławicka ciągnie cię, jak obcęgami, za pomocą swojej twarzy, oczu, ust, ramion, całej postaci, i nie oszukuj się.

Lecz Połaniecki trzymał wogóle krótko tego drugiego wewnętrznego człowieka i traktował go czasami bardzo niegrzecznie, zgodnie więc z tą metodą, powiedział mu:

— Naprzód, nie wiesz, głupcze, czy i w takim razie nie starałbym się krzywdy nagrodzić. Że zaś w tym wypadku chcę ją wynagrodzić, oświadczając się o pannę, to właśnie jest naturalne. Ludzie oświadczają się zawsze kobietom, które im się podobają, nie zaś takim, do których czują odrazę. Jeśli więc nie masz nic lepszego do powiedzenia, to milcz.

Wewnętrzny człowiek probował jeszcze kilku nieśmiałych uwag, jak np., że pan Pławicki może kazać zrzucić pana Połanieckiego ze schodów, że mogą go w najlepszym razie przez próg nie puścić, ale pan Połaniecki jakoś się tego nie uląkł. Ludzie, myślał, nie chwytają się dziś takich środków, jeśli zaś Pławiccy mnie nie przyjmą, to tem gorzej dla nich.

Przypuszczał jednak, że jeśli mają choć trochę taktu, to go przyjmą. Zresztą wiedział, że pannę Marynię będzie widywał u pani Emilii.

Rozmyślając w ten sposób, przyjechał do Salzburga. Była godzina czasu do nadejścia pociągu z Monachium, którym miał jechać do Wiednia, więc postanowił przejść się po mieście. Tymczasem w sali restauracyjnej ujrzał nagle jasny kraciasty pidżak Bukackiego, jego monokl i jego małą głowę, nakrytą jeszcze mniejszym miękkim kapeluszem.

— Bukacki, czy jego duch?—zawołał.

— Uspokój się, Połaniecki,—odpowiedział z flegmą Bukacki, witając go tak, jakby się rozstali przed godziną.—Jak się masz?

— Co ty tu robisz?

— Jem kotlet na margarynie.

— Do Reichenhallu?

— Tak. A ty do domu?

— Tak.

— Nie oświadczyłeś się pani Emilii?

— Nie.

— Więc ci przebaczam. Możesz jechać.

— Schowaj koncepta na lepszą porę. Litka jest bardzo zagrożona.

Bukacki spoważniał i, podniósłszy brwi, począł mówić:

— Aj! aj! Czy to zupełnie pewne?

Połaniecki opowiedział mu pokrótce, jakie jest zdanie lekarzy.

Bukacki milczał przez chwilę, następnie rzekł:

— I nie ma tu człowiek być pessymistą! Biedne dziecko i biedna matka. W razie nieszczęścia, zupełnie sobie nie wyobrażam, jak ona je zniesie.

— Ona jest ogromnie religijna, ale strach o tem myśleć.

— Wyjdźmy trochę na miasto — rzekł Bukacki, — tu można się udusić...

I wyszli. Po drodze Bukacki począł powtarzać:

— I nie ma tu człowiek być pessymistą. Cóż jest taka Litka? Poprostu gołąb! Każdy-by jej pożałował, tylko śmierć nie pożałuje.

Połaniecki milczał.

— Sam nie wiem teraz—mówił Bukacki,—czy jechać do Reichenhallu. W Warszawie, jak jest pani Emilia, to i ja mogę wytrzymać. Raz na miesiąc oświadczam się jej, raz na miesiąc dostaję odkosza i tak sobie żyję od pierwszego do pierwszego. Teraz, pierwszy minął, więc zatęskniłem do mojej pensyi... Czy matka zdaje sobie sprawę ze stanu małej?

— Nie. Dziecko jest zagrożone, ale może być, że pozostaje mu jeszcze z parę lat.

— Ha! może nikomu z nas nie pozostaje więcej. Powiedz mi, czy ty często rozmyślasz nad śmiercią?

— Nie. Co mi to pomoże? Wiem, że tę sprawę muszę przegrać, więc sobie głowy nad nią nie łamię, zwłaszcza przed czasem.

— W tem rzecz, że musimy przegrać, a jednak procesujemy się aż do końca. Oto cały sens życia, które inaczej było-by tylko nudną farsą, a tak, jest zarazem głupim dramatem. Co do mnie, mam teraz trzy rzeczy do wyboru: albo się powiesić, albo jechać do Reichenhallu, albo do Monachium obejrzeć raz jeszcze Boecklíny. Gdybym był logiczny, wybrał-bym to pierwsze, ponieważ zaś nie jestem logiczny, więc wybiorę Reichenhall. Pani Emilia warta jest Boecklinów, i jako rysunek, i jako kolor.

— Co słychać w Warszawie?—spytał nagle Połaniecki, który to pytanie miał na ustach od początku rozmowy.—Widziałeś Maszkę?

— Widziałem. Kupił Krzemień i jest wielkim posiadaczem, a ponieważ ma rozum, więc stara się wszelkiemi siłami, by się nie wydać zbyt wielkim. Jest łaskawy, wyrozumiały, pobłażliwy, przystępny, to jest zmienił się na korzyść, nie moją wprawdzie, bo cóż mnie to może obchodzić! ale zapewne na swoją własną.

— Nie żeni się z panną Pławicką?

— Słyszałem, że ma ochotę. Twój wspólnik, Bigiel, coś o tem wspominał, również jak i o tem, że Krzemień został kupiony w warunkach zbyt dla Maszki korzystnych. Na miejscu dowiesz się o tem lepiej.

— Gdzie są obecnie Pławiccy?

— W Warszawie. Mieszkają w hotelu Rzymskim. Mała wcale nie brzydka. Byłem u nich, jako kuzynek, i rozmawiałem o tobie.

— Mogłeś wybrać milszy dla nich przedmiot rozmowy.

— Pławicki, który jest rad z tego, co się stało, powiedział, że im oddałeś przysługę—zapewne, nie chcący—ale oddałeś... Pytałem panny, jakim sposobem poznała cię dopiero w Krzemieniu. Odpowiedziała mi, że w czasie jej bytności w Warszawie musiałeś być zapewne za granicą.

— Rzeczywiście wyjeżdżałem wtedy w interesach domu do Berlina i bawiłem tam długo.

— Owóż urazy w nich dla ciebie nie spostrzegłem. Tyle się jednak nasłuchałem o miłości panny do zajęć sielskich, że przypuszczam, iż musi być trochę zła, żeś ją ich pozbawił. W każdym razie nie okazuje tego.

— Być może, że okaże dopiero mnie, a sposobności jej nie zbraknie, gdyż zaraz po powrocie będę u nich.

— W takim razie oddaj mi jedną małą przysługę. Ożeń się z panną, bo z dwojga złego wolę zostać twoim kuzynem, niż tego Maszki.

— Dobrze—odpowiedział krótko Połaniecki.

IX.

Po powrocie do Warszawy, Połaniecki przedewszystkiem udał się do Bigiela, który dokładnie rozpowiedział mu, w jakich warunkach Krzemień został sprzedany. Warunki te były nader dla Maszki korzystne. Zobowiązał się on wypłacić po upływie roku trzydzieści pięć tysięcy rubli, które miały wpłynąć z parcelacyi Magierówki, a prócz tego płacić po trzy tysiące rubli rocznie aż do śmierci pana Pławickiego. Połanieckiemu nie wydało się to zrazu układem zbyt dla Pławickich niepomyślnym, lecz Bigiel był innego zdania.

— Ja zbyt śpiesznie ludzi nie sądzę — mówił, — ale ostatecznie Pławicki jest starym egoistą, który dla własnej wygody poświęcił przyszłość dziecka, a prócz tego człowiekiem lekkomyślnym. W tym wypadku, renta jest niby oparta na Krzemieniu, ale Krzemień, jako majątek zrujnowany, w który trzeba wkładać, ma wartość fikcyjną. Jeśli Maszko doprowadzi go do porządku, to dobrze, jeśli nie, to w najlepszym razie będzie zalegał z wypłatą, a przez całe lata Pławicki może grosza nie widzieć. Co wtedy zrobi? Odbierze napowrót Krzemień.

Ależ Maszko pozaciąga do tego czasu nowe długi, choćby dlatego, żeby spłacić stare, i—w razie jego bankructwa—Bóg wie ilu wierzycieli wyciągnie po Krzemień ręce. Ostatecznie wszystko polega na uczciwości Maszki, który może być sobie porządnym człowiekiem, ale prowadzi interesa ostro, którego zatem jeden fałszywy krok może zrujnować. Kto wie, czy samo kupno Krzemienia nie jest takim krokiem, bo, chcąc uporządkować majątek, musi wyciągnąć swój kredyt do ostateczności. Widziałem takich, którym się długo udawało, póki nie rzucili się na kupno wielkich majątków ziemskich.

— Pławickim zostanie zawsze gotowizna za Magierówkę—rzekł Połaniecki, jakby chcąc uspokoić własne obawy o ich przyszłość.

— Jeśli stary Pławicki jej nie przeje, nie przegra, nie zmarnotrawi.

— Ja muszę coś obmyślić. Przyczyniłem się do sprzedaży, więc muszę radzić.

— Ty? — spytał ze zdziwieniem Bigiel. — Myślałem, że wasze stosunki są zerwane.

— Sprobuję je zawiązać na nowo. Jutro będę u nich.

— Nie wiem, czy cię radzi zobaczą.

— I ja nie wiem.

— Chcesz, żebym poszedł z tobą? Bo chodzi o złamanie lodów. Samego mogą cię nie przyjąć... Szkoda, że mojej żony niema... Po całych wieczorach przesiaduję teraz sam i grywam na wiolonczelli, ale w dzień mam dużo czasu i mogę iść, gdzie chcesz.

Połaniecki jednak odmówił i nazajutrz, przybrawszy się z wielką starannością, poszedł sam. Wiedział, że jest przystojnym człowiekiem, a choć zwykle nie wiele o tem myślał, teraz postanowił nie zaniedbać niczego, coby mogło przemówić na jego korzyść. Idąc, miał także pełno w głowie pomysłów: co powie, co zrobi w takim a takim razie, i z góry starał się przewidzieć, jak go przyjmą.

— Będę jak najprostszym i najotwartszym—mówił sobie.— Ostatecznie, to jest najlepszy sposób.

I sam nie wiedział, kiedy znalazł się przed Rzymskim hotelem. Wówczas serce poczęło mu bić nieco żywiej.

— Byłoby nieźle jednak, pomyślał, żebym ich nie zastał. Zostawiłbym kartę i później zobaczyłbym, czy Pławicki odda mi wizytę.

Lecz natychmiast powiedział sobie: „nie tchórz" — i wszedł. Dowiedziawszy się od portyera, że pan Pławicki jest w domu, posłał swoją kartę i po chwili poproszono go na górę.

Pan Pławicki siedział przy stole i pisał listy, pociągając od czasu do czasu dym z cybucha, zakończonego wielkim bursztynem. Na widok

Połanieckiego, podniósł głowę i, spojrzawszy na niego przez złote binokle, rzekł:

— Proszę, proszę!

— Dowiedziałem się od Bigiela, że państwo jesteście w Warszawie, — rzekł Połaniecki — i przychodzę złożyć moje uszanowanie.

— Bardzo to pięknie z twojej strony, — odrzekł Pławicki — i co prawda, tom się tego nie spodziewał. Rozstaliśmy się w bardzo przykry sposób i to z twojej winy. Ale ponieważ poczułeś się do obowiązku odwiedzenia mnie, więc ja, jako starszy, otwieram ci znowu ramiona.

Jednakże otworzenie ramion ograniczyło się tym razem do wyciągnięcia przez stół ręki, którą Połaniecki uścisnął, mówiąc sobie w duchu:

— Niech mnie licho porwie, jeśli ja tu do ciebie przyszedłem i jeśli względem ciebie poczuwam się do jakiegokolwiek obowiązku.

Po chwili spytał:

— Państwo przenosicie się do Warszawy?

— Tak jest. Ja stary wieśniak, przywykły do wstawania ze słońcem i do moich zajęć rolniczych... mnie ciężko będzie w waszej Warszawie. Ale nie godziło mi się więzić dziecka, więc zrobiłem tę jedną więcej ofiarę.

Połaniecki, który spędził dwie noce w Krzemieniu, przypomniał sobie, że pan Pławicki wstawał około jedenastej i że właściwie trudnił się interesami Krzemienia, nie jego rolą; pominął to jednak milczeniem, albowiem głowę zajętą miał w tej chwili czem innem. Oto od numeru, który zajmował pan Pławicki, otwarte drzwi prowadziły do innego, w którym musiała mieszkać panna Marynia. Połanieckiemu, który zezował w kierunku tych drzwi od chwili wejścia, przyszło do głowy, że ona może nie chce do niego wyjść, więc spytał:

— A panny Maryi nie będę miał przyjemności zobaczyć?

— Marynia wyszła obejrzeć mieszkanie, które znalazłem dziś rano. Przyjdzie zaraz, bo to o parę kroków. Wyobraź sobie, cacko nie mieszkanko! ja będę miał gabinet i sypialnię, Marynia także bardzo ładny pokoik... jadalny jest wprawdzie trochę ciemny, ale salonik, jak bomboniérka...

Tu pan Pławicki przeszedł do opowiadania o mieszkaniu z obfitością słów dziecka, które coś bawi, lub starego wygodnisia, któremu uśmiecha się zmiana na lepsze. W końcu rzekł:

— Ledwom się obejrzał, jużem znalazł. Warszawka to moja stara przyjaciółka i znam ją dobrze.

Lecz w tej chwili ktoś wszedł do przyległego pokoju.

— To pewno Marynia, — rzekł Pławicki.

I począł wołać:

— Maryniu, czy to ty?

— Ja, — ozwał się młody głos.

— Chodź-że tu; mamy gościa.

Panna Marynia ukazała się we drzwiach. Na widok Połanieckiego zdziwienie błysnęło na jej twarzy.

Połaniecki, wstawszy, skłonił się, a gdy zbliżyła się do stołu, wyciągnął ku niej na powitanie rękę. Ona podała mu swoją zarówno chłodno, jak grzecznie. Poczem zwróciła się do ojca, jak gdyby nikogo więcej nie było w pokoju.

— Widziałam mieszkanie—rzekła. — Ładne i wygodne; nie wiem tylko, czy ulica nie zbyt hałaśliwa.

— Wszystkie ulice są hałaśliwe, — zauważył pan Pławicki. — To nie wieś.

— Przepraszam, pójdę zdjąć kapelusz,—odrzekła panna Marynia.

I wróciwszy do swego pokoju, nie ukazywała się przez czas dość długi.

— Nie pokaże się więcej — pomyślał Połaniecki.

Lecz ona widocznie poprawiała tylko włosy przed lustrem po zdjęciu kapelusza, poczem weszła znowu i spytała:

— Nie przeszkadzam?

— Nie — rzekł Pławicki — nie mamy już ze sobą żadnych interesów, z czego, mówiąc nawiasem, rad jestem mocno. Pan Połaniecki przyszedł tylko z grzeczności.

Połaniecki poczerwieniał nieco i, chcąc zmienić przedmiot rozmowy, rzekł:

— Wracam z Reichenhallu, przywożę pani ukłony od pani Chwastowskiej i od Litki, i to jest także jeden z powodów, dla których ośmieliłem się przyjść.

Na chwilę, ów chłodny spokój, który był na twarzy panny Maryni, znikł.

— Pisała mi Emilka o ataku sercowym Litki — rzekła. — Jakże ona się teraz ma?

— Drugiego nie było.

— Spodziewam się też znowu listu i może już przyszedł, ale go nie odebrałam, ponieważ Emilka prawdopodobnie adresowała do Krzemienia.

— To ci go odeślą, — rzekł Pławicki. — Dałem polecenie, by wszystko, co przyjdzie, tu odsyłano.

— Państwo już nie powrócicie na wieś? — spytał Połaniecki.

— Nie; nie powrócimy — odrzekła panna Marynia, której oczy przybrały napowrót wyraz chłodnego spokoju.

Nastała chwila milczenia. — Połaniecki patrzył na młodą dziewczynę i zdawał się walczyć sam ze sobą. Jej twarz ciągnęła go z nieznaną mu dotąd siłą. Czuł coraz wyraźniej, że w takiej właśnie znalazłby największe upodobanie, że taką mógłby pokochać, że to jest jego typ kobiety wybranej — i tem bardziej jej chłód stawał mu się nieznośny. Dał-by teraz Bóg wie co, by w tych rysach odnaleźć znów ten wyraz, który widział w Krzemieniu, to zajęcie się jego słowami i zasłuchanie, tę zaciekawioną przezroczystość oczu pełnych uśmiechów; dałby Bóg wie co, żeby to wszystko wróciło, a nie wiedział jaką drogą iść do tego, powolną czy prędką, więc dlatego się wahał. Wybrał nakoniec tę, która była zgodniejszą z jego naturą.

— Wiedziałem,— rzekł nagle— jak pani kochała Krzemień, i mimo tego, być może, że przyczyniłem się do jego sprzedaży. Jeśli tak jest, to powiadam pani otwarcie, że tego najmocniej żałuję i nigdy żałować nie przestanę. Na swoją obronę nie mogę nawet powiedzieć, żem to uczynił w uniesieniu i bez namysłu. Owszem, namyślałem się, tylko namysł był zły i bezrozumny. Tem większa moja wina i tem bardziej proszę panią o przebaczenie.

To rzekłszy, wstał. Policzki mu zapłonęły, z oczu biła prawda i otwartość, ale słowa jego pozostały bez wrażenia. Połaniecki szedł błędną drogą. Zamało on znał kobiety wogóle, żeby mógł sobie zdać sprawę, jak dalece sądy ich, zwłaszcza o mężczyznach, bywają zależne od ich uczuć, zarówno chwilowych, jak stałych. Wszystko na mocy tych uczuć może być przyjęte za dobrą, lub za złą monetę; wszystko tłómaczone na złe lub dobre, uznane za słuszne lub za fałszywe; głupota może być poczytaną za rozum, rozum za głupotę, egoizm za poświęcenie, poświęcenie za samolubstwo, grubijaństwo za otwartość, otwartość za brak delikatności. Mężczyzna, który w danej chwili budzi niechęć, nie może mieć dla kobiety słuszności, nie może być szczerym, nie może być sprawiedliwym, nie może być dobrze wychowanym. Owóż panna Marynia, czując do Połanieckiego od chwili przyjazdu Maszki do Krzemienia, głęboką urazę i niechęć, wzięła mu teraz wprost za złe jego otwartość. Pierwszą jej myślą było: „cóż to za człowiek, który uznaje za bezrozumne i złe to, co kilka dni temu zrobił z rozmysłem?...“ Następnie Krzemień, jego sprzedaż, przyjazd Maszki i znaczenie tego przyjazdu, które odgadła, to była w niej jakby rana, która jątrzyła się coraz bardziej. I teraz zdawało jej się, że Połaniecki rozkrwawia tę ranę z całą bezwzględnością człowieka o szorstkiej naturze i grubych nerwach.

On wstał i, z oczyma w jej twarzy, czekał, czy się ku niemu nie wyciągnie przyjazna i przebaczająca ręka, z jasnem poczuciem, że jedno takie wyciągnięcie dłoni może stanowić o jego losie; lecz jej oczy po-

ciemniały na chwilę, jakby z bólu i gniewu, twarz zaś stała się jeszcze zimniejszą:

— Niech pan się tem nie kłopoce, — odrzekła z lodowatą grzecznością. — Papa jest owszem bardzo rad z układu i z całego stosunku z panem Maszką.

To rzekłszy, wstała także, jakby rozumiejąc, że Połaniecki chce się pożegnać. On zatrzymał się jeszcze chwilę, zrażony, zawiedziony, pełen uczucia upokorzenia, jakiego doznaje zawsze człowiek, którego odepchnięto, wreszcie pełen urazy i tłumionego gniewu.

— Jeśli tak — odrzekł — to i ja niczego więcej nie pragnąłem.

— Ale tak! ale tak! zrobiłem dobry interes — zakończył pan Pławicki.

Połaniecki wyszedł — i schodząc po kilka schodów odrazu, z zaciśniętym na głowę kapeluszem, powtarzał sobie w duchu:

— Noga moja u was więcej nie postanie.

Czuł jednak, że gdy wróci do domu, to go zadławi gniew, ruszył więc przed siebie, nie myśląc o tem, gdzie go nogi poniosą. Zdawało mu się w tej chwili, że nie kocha Maryni, że jej nawet nienawidzi, ale jednak myślał o niej, i gdyby myślał spokojniej, zdałby sobie sprawę, że samo zobaczenie jej wstrząsnęło nim głęboko. Widział ją oto znowu, patrzył na nią, porównał z rzeczywistością ten jej obraz, który nosił w pamięci — i obraz, stawszy się przez to jeszcze wyraźniejszy, bardziej realnie ponętny, tem silniej działał na niego. I, mimo gniewu, w głębi jego duszy podnosiło głowę ogromne upodobanie i zachwyt. Istniały teraz dla niego jakby dwie Marynie: jedna potulna, przyjazna, zasłuchana i gotowa kochać, Marynia z Krzemienia; druga, ta lodowata panna z Warszawy, która go odtrąciła. Kobieta często zdwaja się tak w sercu męskiem, które wówczas najczęściej gotowe jest przebaczyć tej nieprzyjaznej dla tamtej kochanej. Połaniecki nie przypuszczał nawet, żeby Marynia potrafiła być taką, jaką dziś okazała się dla niego, z tego powodu w jego gniewie było jakby pewne zdziwienie. Znając swoją istotnie niezaprzeczoną wartość i będąc dostatecznie zarozumiałym, nosił w sobie przeświadczenie, do którego nie chciał-by się przyznać sam przed sobą, że dość mu wyciągnąć rękę, by za nią pochwycono. Tymczasem pokazało się inaczej. Ta potulna panna Marynia wystąpiła nagle nietylko w roli sędziego, który wydaje wyrok i potrafi potępić, ale zarazem i w roli jakby królowej, u której można być w łasce lub w niełasce. Połaniecki nie mógł się z tą myślą oswoić i szamotał się z nią, ale taka jest natura ludzka, że gdy poznał, iż dla tej panny nie jest tak pożądanym, jak sądził, że ona nietylko nie ceni go zbyt wysoko, ale niżej od siebie samej, wbrew niechęci, urazie, gniewowi, cena jej wzrosła w jego oczach. Jego miłość własna, została

zraniona, a z drugiej strony jego wola, istotnie silna, gotowa była porwać się do walki z trudnościami i podruzgotać je. Wszystkie te myśli, krążyły teraz bezładnie w jego głowie, a raczej były to bardziej poczucia, niż myśli, poszarpane i same szarpiące. Powtarzał sobie stokroć, że wszystkiego poniecha, że musi i chce poniechać, a jednocześnie był dość słabym i małym, by w tej samej chwili, gdzieś w najtajniejszym kącie duszy, liczyć na przyjazd pani Emilii i na tę pomoc, jaką ów przyjazd mógł mu przynieść.

Pogrążony w tej duchowej rozterce, nie opamiętał się, aż w połowie Zjazdu. Wówczas zadał sobie pytanie: „po licha ja szedłem na Pragę?“ — i zatrzymał się. Dzień był pogodny i schylał się ku wieczorowi. Wisła płynęła poniżej w blasku, a za nią i za bliższemi kępami zieloności widać było rozległy kraj, zakryty na widnokręgu mgłą różową i sinawą. Hen, za temi mgłami, był Krzemień, który Marynia kochała i który straciła. Połaniecki, utopiwszy oczy w mgły, powiedział sobie:

— Ciekawym, coby zrobiła, żebym jej go oddał?

Lecz nie umiał sobie tego dokładnie wyobrazić, natomiast wyobrazil sobie, że utrata tego kawałka ziemi była dla niej istotnie wielką przykrością — i zrobiło mu się jej żal. W tym żalu poczęła się rozpływać jego uraza i przesłaniać się jakby mgłą. Sumienie jęło mu szeptać, że miał to, na co zasłużył.

Wracając, mówił sobie:

— Jednakże ja o tem wszystkiem ciągle myślę.

I rzeczywiście tak było. Nigdy w najważniejszych sprawach pieniężnych nie doznawał ani pół takiego niepokoju, nigdy też nie pogrążał się w nie tak dalece. I znów przyszło mu na myśl to, co mówił Waskowski, że natura jego, jako Połanieckiego, nie zdolną jest włożyć całej duszy w robienie pieniędzy. Nigdy nie doświadczył równie jasnego poczucia, że mogą być sprawy od tego ważniejsze i poprostu bardziej pozytywne. Po raz drugi ogarnęło go pewne zdziwienie.

Była już blizko dziewiąta, gdy zaszedł do Bigiela. Bigiel, sam w obszernem, pustem mieszkaniu, siedział we drzwiach otwartych na ogrodową werendę i wygrywał na wiolonczelli, tak, że aż wszystko w domu drgało. Ujrzawszy Połanieckiego, przerwał jakieś tremolo i spytał:

— Byłeś dziś u Pławickich?

— Byłem.

— Jakże panna?

— Jak karafka „frapowanej“ wody. Na taki gorący dzień to przyjemność. Zresztą, grzeczni ludzie.

— Przewidywałem to.

— Graj dalej.

Bigiel począł grać „Traumerei“, i grając, przymykał oczy, lub podnosił je na księżyc. W ciszy muzyka zdawała się napełniać słodyczą dom, ogród i samą noc.

Gdy skończył, milczał przez chwilę, poczem rzekł:

— Wiesz co? Jak pani Emilia wróci, żona moja zaprosi ją do siebie na wieś, a z nią i pannę Pławicką. Może tam te lody między wami stopnieją.

— Zagraj jeszcze raz „Traumerei.“

Dźwięki ozwały się po raz drugi, spokojne i rozmarzone. I Połaniecki był zbyt młodym, by nie miał być również choć trochę marzycielem. Więc wyobraził sobie, że Marynia słucha z nim razem „Traumerei“ z rękami w jego rękach, z głową na jego piersiach, kochająca bardzo i nad wszystko w świecie kochana.

X.

Pan Pławicki był jednak człowiekiem co się nazywa dobrze wychowanym, albowiem trzeciego dnia oddał wizytę Połanieckiemu. Oddał ją nie drugiego, taka bowiem skwapliwość oznaczała-by chęć utrzymania blizkich stosunków; i nie czwartego, albo piątego, było-by to bowiem dowodem braku znajomości zwyczajów światowych; tylko w terminie najwłaściwszym i jedynie wskazanym przez przykazania „savoir vivre.“ Pan Pławicki szczycił się całe życie znajomością tych przykazań oraz właściwych im odcieni i zachowywanie ich uważał za najwyższą mądrość ludzką. Jako człowiek wyrozumiały, pozwalał wprawdzie istnieć i innym gałęziom wiedzy, pod warunkiem wszelako, żeby się nie przeceniały, a zwłaszcza, by nie miały pretensyi narzucania się ludziom prawdziwie dobrze wychowanym.

Połaniecki, dla którego wszystko było pożądanem, co nawiązywało jakąkolwiek nić dalszych stosunków z panną Marynią, z trudnością potrafił ukryć radość, jaką mu sprawiło przybycie pana Pławickiego. Radość ta odbiła się też w uprzejmem i pełnem dobrego humoru przyjęciu. Musiał on zresztą podziwiać pana Pławickiego i wpływ, jaki na niego uczyniło miasto. Czupryna jego lśniła się jak skrzydła kruce, małe wąsiki sterczały do góry, walcząc o lepsze pod względem barwy z czupryną, biała kamizelka okrywała wysmukłą pierś, pąsowy zaś gwoździk, przy czarnej żakiecie, dodawał jakiegoś świątecznego blasku całej postaci.

— Pod słowem, nie poznałem wujaszka w pierwszej chwili! — zawołał Połaniecki. — Myślałem, że jaki młodzik wchodzi.

— Bonjour, bonjour! — odpowiedział pan Pławicki. — Chmurny dzień, trochę tu ciemno, i chyba dlatego wziąłeś mnie za młodzika.

— Chmurno, czy jasno — co to za figura! — odpowiedział Połaniecki.

I chwyciwszy bez ceremonii w boki pana Pławickiego, począł nim obracać i mówić:

— Talja zupełnie jak u panny. Chciałbym mieć taką!

Pan Pławicki, mocno zgorszony tak bezceremonialnem powitaniem, ale zarazem jeszcze mocniej uradowany tym podziwem, jaki wzbudzała jego postać, mówił, broniąc się:

— Voyons! waryat jesteś. Mógłbym się pogniewać! waryat jesteś.

— Ale wujaszek nazawraca głów, ile sam zechce.

— Co powiadasz? — spytał pan Pławicki, sadowiąc się w fotelu.

— Powiadam, że wujaszek przyjechał tu na podboje...

— Nie myślę o tem wcale. Waryat jesteś!

— A pani Jamiszowa? albo to nie widziałem na własne oczy...

— Co?

Tu pan Pławicki przymknął jedno oko i wysunął koniec języka, ale trwało to chwilkę tylko, poczem podniósł brwi i rzekł:

— Widzisz, Jamiszowa?... Dobre to na Krzemień... Między nami, nie znoszę afektacyi, bo to zawsze trąci prowincyą. Niech Jamiszowej Pan Bóg nie pamięta, ile mnie ona namęczyła swoją afektacyą. Kobieta powinna mieć odwagę zestarzeć się — wtedy stosunek kończy się przyjaźnią, inaczej zaś staje się niewolą.

— I wujaszek czuł się motylem w pętach?

— Tylko nie mów tak, — odrzekł z godnością pan Pławicki — i nie wyobrażaj sobie, żeby coś między nami było. Gdyby też i było, nie usłyszałbyś ode mnie o tem ani słowa. Wierz mi, jest wielka różnica między wami, a nami z poprzedniego pokolenia. My, nie byliśmy może świętymi, ale umieliśmy milczeć, a to jest wielka cnota, bez której to, co się nazywa prawdziwem szlachectwem, nie istnieje.

— Z tego wnoszę, że mi się wuj nie przyzna, gdzie ode mnie pójdzie, z tym czerwonym gwoździkiem przy wyłogu.

— Owszem, owszem... Maszko dziś prosił na śniadanie mnie i kilka innych osób. Z początku odmówiłem, nie chcąc zostawiać Maryni samej... Ale nasiedziałem się dla niej tyle lat na wsi, że istotnie należy mi się trochę rozrywki. A ty nie jesteś proszony?

— Nie.

— To mnie dziwi. Jesteś, jak sam powiadasz, „aferzystą“, ale nosisz porządne nazwisko. Maszko zresztą sam jest adwokatem...

Wogóle jednak powiem ci, iż nie myślałem, żeby on potrafił się tak postawić.

— Maszko potrafi postawić się nawet na głowie...

— Bywa wszędzie, wszyscy go przyjmują... A ja miałem niegdyś do niego uprzedzenie.

— A teraz wuj nie ma uprzedzenia?

— Muszę przyznać, że ze mną postępował w całej tej sprawie z Krzemieniem, jak gentleman.

— Panna Marya jest tego samego zdania?

— Zapewne... chociaż myślę, że jej ten Krzemień leży na sercu... Dla niej to zrobiłem, żem się go pozbył, ale młodość nie wszystko potrafi zrozumieć. Zresztą wiedziałem o tem i gotów jestem znieść każdą przykrość ze spokojem. Co do Maszki... zapewne!... Ona nie może mu nic zarzucić. Kupił Krzemień, to prawda, ale...

— Ale gotów go oddać?...

— Ty należysz do rodziny, więc, między nami mówiąc, myślę, że tak jest... Jego Marynia zajęła bardzo, jeszcze za naszego poprzedniego pobytu, ale to jakoś nie szło. Dziewczyna była za młoda — nie dość jej się podobał, ja sam, trochę się krzywiłem, bo mnie uprzedzono co do jego rodziny. Bukacki ostrzył sobie na nim zęby—ot i skończyło się na niczem...

— Nie skończyło się, skoro się rozpoczyna na nowo.

— Bom się przekonał, że on pochodzi z bardzo dobrej rodziny, niegdyś włoskiej... Oni się kiedyś nazywali Masco—i przyszli tu z Boną, a potem osiedli na Białorusi. On, jeśliś zauważył, ma nawet trochę twarz włoską.

— Nie, on ma portugalską.

— To już wszystko jedno... Ostatecznie, pomyśl: sprzedać Krzemień, a jednak go mieć—to nie lada głowa wymyśli... Co do Maszki— tak! sądzę, że taki jest jego zamiar, ale Marynia to dziwna dziewczyna. Przykro to mówić, ale człowiek prędzej potrafi zrozumieć obcego, niż własne dziecko. Jeśli ona sobie jednak powie: „Paris vaut la messe“, jak to powiedział Talleyrand...

— A? Ja myślałem, że to powiedział Henryk IV?

— Bo ty jesteś „aferzysta“, człowiek nowych czasów. Wam młodym historya i stare dzieje nie w smak, wolicie robić pieniądze... Wszystko tedy zależy od Maryni, a ja nie będę przynaglał; nie będę, bo ostatecznie, przy naszych stosunkach, może się jej jeszcze lepsza partya trafić. Trzeba będzie trochę wejść między ludzi i odszukać dawnych znajomych. Trud to tylko i umęczenie, ale co trzeba, to trzeba. Myślisz, że ja z przyjemności idę na to śniadanie. Nie! ale muszę tro-

chę i młodzieży przyjmować. Spodziewam się też, że nie będziesz o nas zapominał...

— Nie, nie będę...

— Wiesz, co mi o tobie powiedzieli? że ty dyablo robisz pieniądze. No! no! nie wiem w kogo się wdałeś,—nie w ojca! W każdym razie, nie ja ci to będę ganił, nie, nie!... Dusiłeś mnie bez miłosierdzia, obszedłeś się ze mną, jak wilk z jagnięciem, ale jest w tobie coś, co mi się podoba, mam do ciebie jakąś słabość.

— I wzajemnie! — rzekł Połaniecki.

Rzeczywiście, pan Pławicki nie kłamał. Miał on instynktowną cześć dla majątku i ten młody człowiek, który go robił, wzbudzał w nim pewien podziw, graniczący z sympatyą. To nie był pierwszy lepszy biedny krewniak, który-by potrzebował pomocy, i dlatego pan Pławicki, choć na razie nie miał względem niego żadnych wyrachowań, postanowił zachować z nim stosunki.

Pod koniec wizyty, począł się jeszcze oglądać po mieszkaniu.

— Pięknie mieszkasz! — rzekł.

Była to także prawda. Połaniecki miał tak przygotowane mieszkanie, jakby się miał żenić. Samo urządzanie go w ten sposób, sprawiało mu przyjemność, albowiem dawało jakiś pozór rzeczywistości jego pragnieniom.

Pławicki też, rozejrzawszy się po salonie, za którym widać było drugi, mniejszy, urządzony nader wykwintnie, spytał:

— Czemu ty się nie żenisz?

— Zrobię to, jak będę mógł najprędzej.

Pan Pławicki uśmiechnął się domyślnie i, klepiąc po kolanie Połanieckiego, począł powtarzać:

— I wiem z kim, i wiem z kim!...

— To mi głowa! — zawołał Połaniecki — ukrywaj-że tu co przed takim dyplomatą.

— Aha! co... Z wdówką? z wdówką, — co?

— Kochany wujaszek!...

— Co? Niech ci Bóg błogosławi, jak ja błogosławię. A teraz ruszam, bo czas na śniadanie, a wieczorem koncert w Dolinie.

— W kompanii z Maszką?

— Nie; z Marynią — ale i Maszko będzie.

— Wybieram się i ja z Bigielem.

— A to się zobaczymy. Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem zawsze może.

— Jak powiedział Talleyrand?

— Więc do widzenia.

Połaniecki lubił czasem muzykę, ale nie wybierał się wcale na koncert, gdy mu jednak Pławicki o tem wspomniał, chwyciła go chęć zobaczenia Maryni. Po odejściu Pławickiego, namyślał się jeszcze czas jakiś, czy iść, czy nie iść, ale można-by rzec, dla formy, albowiem z góry wiedział, że nie wytrzyma i pójdzie. Bigiel, który przyszedł do niego na konferencyę handlową po południu, z łatwością dał się namówić i koło czwartej znaleźli się w Dolinie. Dzień, jakkolwiek wrześniowy, był tak ciepły i pogodny, że ludzie zgromadzili się licznie i całe zgromadzenie miało pozór letni. Wszędy mnóstwo jasnych sukien, jasnych parasolek i młodych kobiet, które wyroiły się, jak kolorowe motyle, przygrzane słońcem. Między tym rojem, przeznaczonym do kochania, albo już kochanym i kochającym, zgromadzonym tu zarówno dla muzyki, jak w poszukiwaniu miłości, miała się znajdować i Marynia. Połanieckiemu przypomniały się czasy studenckie, gdy kochał się w nieznajomych i wyszukiwał ich w tłumie, myląc się co chwila z powodu podobieństwa kapeluszy, włosów, ogólnej postawy. I teraz zdarzyło mu się wziąć zdaleka za Marynię kilka osób, mniej lub więcej do niej podobnych; i teraz, jak dawniej, za każdym razem, w którym sobie mówił: to ona! doznawał tych jakichś drgań koło serca, tego niepokoju, jakiego doświadczał dawniej. Dziś jednak brała go złość, bo wydawało mu się to śmiesznem, a przytem czuł, że takie poszukiwania spotkań i widzeń, pochłaniając człowieka i skupiając jego myśl na jednej istocie, zwiększają zajęcie, jakie ona budzi, i tem bardziej do niej przykuwają.

Tymczasem orkiestra poczęła grać, zanim mógł odnaleźć tę, której w tłumie upatrywał. Trzeba było siąść i słuchać, co czynił z przymusem, niecierpliwiąc się w duszy na Bigiela, który słuchał bez ruchu, z przymkniętemi oczyma. Po skończeniu numeru, dojrzał wreszcie błyszczący cylinder i czarne wąsiki pana Pławickiego, a za niemi profil Maryni. Trzeci siedział Maszko, spokojny, pełen dystynkcyi, z miną angielskiego lorda. Chwilami przemawiał do Maryni, a ona zwracała się ku niemu, potakując lekko głową.

— Pławiccy tu są — rzekł Połaniecki — trzeba się pójść przywitać.

— Gdzie ich widzisz?

— Ot, tam, z Maszką.

— A prawda. Pójdźmy.

I poszli. Panna Marynia, która lubiła panią Bigielową, powitała Bigiela bardzo serdecznie, Połanieckiemu zaś skinęła głową nie tak zimno, by to mogło zwrócić czyjąkolwiek uwagę; lecz poczęła rozmawiać z Bigielem, wypytując o zdrowie żony i dzieci. On, w odpowiedzi

jął zapraszać i ją, i ojca, bardzo gorąco, żeby odwiedzili ich w przyszłą niedzielę na letniem mieszkaniu.

— Moja żona będzie szczęśliwa, bardzo szczęśliwa! — powtarzał. — Może też i pani Emilia przedtem przyjedzie.

Marynia probowała odmówić, ale pan Pławicki, który chciał się bawić, a z poprzedniego pobytu w Warszawie wiedział, że Bigielowie żyją dostatnio — przyjął. Stanęło na tem, że przyjadą na obiad, a powrócą wieczorem. Była to wycieczka łatwa, bo willa Bigielów leżała o jedną stacyę kolei.

— Tymczasem siadajcie koło nas — rzekł pan Pławicki — właśnie obok nas jest kilka krzeseł próżnych.

Przedtem jednak Połaniecki zwrócił się do Maryni:

— Pani nie miała wiadomości od pani Chwastowskiej?

— Chciałam właśnie spytać, czy pan nie miał? — odrzekła.

— Nie, ale jutro spytam depeszą o Litkę.

I rozmowa urwała się. Bigiel usiadł koło pana Pławickiego, Połaniecki zaś na skraju. Marynia zwróciła się znów do Maszki, tak, że Połaniecki mógł widzieć tylko jej profil i to niezupełny. Zdawało mu się, że nieco zmizerniała, a przynajmniej cera jej stała się po kilku tygodniach pobytu w mieście bledszą i delikatniejszą, przez co długie jej rzęsy wydawały się cieńsze i bardziej wyraźne. Cała jej postać była jakby bardziej wykwintną, do czego przyczyniał się staranny ubiór i równie staranne uczesanie, którego sposób był inny, niż dawniejszy. Dawniej nosiła włosy związane niżej, teraz były one upięte modniej, to jest wysoko pod kapeluszem. Połaniecki ogarniał oczyma jej wysmukłą postać, podziwiając całą duszą jej wdzięk, widny we wszystkiem, nawet w trzymaniu ręki na kolanach. Wydała mu się bardzo piękna. Odczuł znów z wielką siłą, że jeśli każdy mężczyzna nosi w sobie swój typ kobiecego uroku, który jest miarą wrażenia, jakie dana kobieta na nim sprawia — to ona jest tak blizką jego typu, że prawie z nim tożsamą. I patrząc na nią, mówił sobie w duszy:

— Ach, taką mieć żonę! taką mieć żonę.

Lecz ona zwracała się do Maszki. Może nawet zwracała się zanadto, i gdyby Połaniecki zachował całą zimną krew, mógłby pomyśleć że czyni to umyślnie, dlatego, by jemu czynić na złość. I prawdopodobnie tak było. Rozmowa musiała być jednak ożywiona, gdyż przez jej twarz przelatywały od czasu do czasu lekkie kolory.

— Ależ ona go poprostu kokietuje!... — myślał, ściskając zęby, Połaniecki.

I chciał koniecznie usłyszeć, co mówią. Było to jednak trudno. Publiczność w czasie długiej pauzy zachowywała się dość gwarnie. Maryni Połaniecki, przedzielony dwiema osobami, nie mógł wcale sły-

szeć, natomiast po skończonym nowym numerze usłyszał urwane słowa i zdania Maszki, który miał zwyczaj mówić z przyciskiem, chcąc przez to nadać większą wagę każdemu słowu...

— Ja go lubię — mówił Maszko. — Każdy ma swoje słabości — jego słabością są pieniądze... Wdzięczny mu jestem, bo on mnie namówił... do Krzemienia... Myślę przytem, że jest pani szczerze życzliwy, bo nie szczędził... — ...I wyznaję, że pobudził moją ciekawość.....

Marynia odpowiedziała coś na to z wielkiem ożywieniem, poczem Połaniecki znów dosłyszał koniec odpowiedzi Maszki:

— Charakter jeszcze nie wyrobiony i inteligencya może mniejsza niż energia, ale natura raczej dobra...

Połaniecki doskonale rozumiał, że to o nim mówią — i również dobrze zdał sobie sprawę z taktyki Maszki. Sądzić niby wyrozumiale i bezstronnie, raczej chwalić, lub przynajmniej przyznawać różne przymioty, a jednocześnie obdzierać z wszelkiego uroku, był to znany sposób młodego adwokata. Przez to wznosił się sam jakby na stanowisko sędziego, wyjątkowe i wyższe. Połaniecki wiedział też, że Maszko mówił to nie tyle w chęci poniżenia jego, ile wywyższenia siebie, i że, prawdopodobnie, mówił-by tak samo o każdym innym młodym człowieku, w którym podejrzewał-by możliwego współzawodnika.

Była to ostatecznie taktyka, którą może sam Połaniecki byłby się w danym razie posługiwał, co nie przeszkadzało, że w tej chwili poczytał ją Maszce za szczyt przewrotności i postanowił mu za nią zapłacić, byle zdarzyła się sposobność.

Pod koniec koncertu mógł jeszcze zauważyć, jak dalece Maszko wchodzi w rolę starającego się. Gdy panna Marynia, chcąc zawiązać woalkę, zdjęła rękawiczki, a te stoczyły się z jej kolan, Maszko podniósł je i zatrzymał wraz z parasolką, przyczem zdjął z poręczy krzesła jej pelerynkę i przewiesił sobie przez ramię, by ją jej podać w chwili wyjścia z ogrodu — słowem, całkowicie był nią zajęty, jakkolwiek i w tem zachowywał zimną krew i takt człowieka prawdziwie światowego.

Zdawał się przytem pewny siebie i szczęśliwy. Jakoż Marynia, prócz krótkiej rozmowy, poświęconej Bigielowi, przez resztę czasu, o ile nie słuchała muzyki, rozmawiała tylko z Maszką. Gdy ruszyli ku wyjściu, szła przed ojcem z nim razem, i znów Połaniecki widział uśmiechnięty jej profil, zwracający się ku Maszce. Rozmawiając, patrzyli sobie w oczy. Twarz jej była ożywiona, a jej uwaga skupiona wyłącznie na tem, co on mówił. Rzeczywiście kokietowała Maszkę. On sam widział to, nie przypuszczając zresztą, mimo swego sprytu, ani na chwilę, że mogła tak czynić tylko dla drażnienia Połanieckiego.

Przed wejściem czekał powóz, do którego Maszko podsadził ją i starego Pławickiego, sam zaś począł się żegnać. Lecz Marynia, przechyliwszy się ku niemu, rzekła:

— Jakże? Papa przecie prosił pana? prawda, papo?

— Takeśmy się umówili — rzekł pan Pławicki.

Maszko siadł — i odjechali, zamieniwszy ukłony z Bigielem i Połanieckim. Dwaj przyjaciele szli dość długi czas w milczeniu, wreszcie Połaniecki rzekł, udając spokój w głosie:

— Ciekawym, czy oni już są narzeczeni?

— Nie przypuszczam — rzekł Bigiel — ale do tego idzie.

— To i ja widzę.

— Myślałem, że Maszko będzie szukał majątku. Ale on jest rozkochany. To się może trafić nawet takiemu, który myśli tylko o karyerze... Maszko jest rozkochany. Przytem, wziąwszy ją, uwolni się od wypłat za Krzemień. Nie! to nawet i interes nie jest tak zły, jak się zdaje... a panna jest bardzo ładna, co prawda, to prawda!...

I znów umilkli. Połanieckiemu jednak było tak ciężko, że nie mógł wytrzymać.

— Powiem ci otwarcie — ozwał się — to jest dla mnie poprostu męka ta myśl, że ona za niego wyjdzie... I ta bezradność! Wolę wszystko, niż taką bezradność. Jaką ja śmieszną i głupią rolę odegrałem w całej tej sprawie!

— Zapędziłeś się, a to się każdemu może trafić. To jest raczej wina tego dziwnego zbiegu okoliczności, że byłeś wierzycielem jej ojca. Ty masz zupełnie inne pojęcia o takich sprawach, niż on... jesteście ludzie z dwóch różnych planet — więc nieporozumienie było gotowe. Tyś może postawił rzecz za ostro, ale jak się zastanowię nad wszystkiem, to nie mogłeś być zbyt miękkim, nawet ze względu na pannę Pławicką. Czyniąc zbyt wielkie ustępstwa, czyniłbyś je dla niej — nie prawda? Więc cóżby z tego wypadło? Oto, że ona pomaga ojcu w wyzyskiwaniu ciebie. Nie, tę sprawę należało skończyć.

Tu roztropny Bigiel przystanął na chwilę, zastanowił się i rzekł:

— A co do twojej roli, to jest jedno wyjście: usunąć się zupełnie, zostawić rzeczy ich biegowi i powiedzieć sobie, że wszystko idzie po twojej myśli.

— Co mi pomoże,— zawołał gwałtownie Połaniecki — że sobie to powiem, kiedy nie idzie! nie idzie! Idzie przeciw myśli... A że mi jest głupio, niema i na to rady. Jakże? Naprzód sam to wszystko zrobiłem, a teraz chciałbym odrobić. Ja całe życie wiedziałem, czegom chciał, a w tym razie działałem, jakbym nie wiedział.

— To są przejścia, o których się zapomina.

— Dobrze, mój kochany, ale tymczasem upada interes do życia. Myślisz, że mnie to obchodzi dzisiaj, tak jak dawniej, czy będę zdrów, czy chory, bogaty lub goły? Czczo mi się robi na samą myśl o przyszłości. Ty jesteś ustalony i związany z życiem, ale co ja? — Ot, był widok, i już go niema. Przecie to ogromnie zniechęca!

— Ostatecznie, nie jedna panna Pławicka na świecie.

— Co tu gadać! Teraz ona jedna, bo żeby była jaka druga, tobym o tej drugiej myślał. Co tu gadać! W tem rzecz i w tem złość, że ona jedna. Za rok, może mi dachówka na głowę zlecieć, albo może znajdę inną; ale tego, co będzie jutro — nie wiem, a że mnie dziś licho bierze, to wiem. To się wiąże we mnie i z innemi rzeczami, o których dziś nie chcę mówić. W życiu zewnętrznem trzeba mieć spokojny chleb — prawda? Otóż w życiu wewnętrznem tak samo. I to pilna sprawa, ale widzisz, ja ją odkładam do ożenienia się, bo to rozumiem, że nowe warunki wyrabiają nowy sposób myślenia, i zresztą chcę skończyć z jednem, nim zacznę drugie. A tu się wszystko tak gmatwa! — i nietylko gmatwa, ale znika! Ledwo się coś zjawi, już niknie. Tak jest i teraz. Żyje się w niepewności. Ot wolał-bym, żeby już byli narzeczonymi, bo w takim razie wszystko-by się skończyło samo przez się.

— Ja ci tylko powiem jedno, — rzekł Bigiel — jakem był dzieckiem i zdarzyło mi się czasem wbić sobie drzazgę, to mnie daleko mniej bolało, gdym ją sobie sam wyciągnął, niż gdy mi to zrobił ktoś drugi.

— W tem masz słuszność! — rzekł Połaniecki.

Lecz po chwili dodał:

— Tylko, widzisz, drzazgę można wyciągnąć, jeśli nie zagłęboko wlazła i jeśli się da uchwycić. Zresztą, co są porównania! Z wyciągniętą drzazgą nic nie tracisz, a mnie się widok na przyszłość psuje.

— To prawda, ale jeśli niema innej rady.

— Kto nie jest niedołęgą, na to właśnie ciężko mu się zgodzić.

Rozmowa ustała. Dopiero z chwilą, gdy się zaczęli żegnać, Połaniecki rzekł:

— Wiesz co? Wolę nie być u was w niedzielę.

— Może i dobrze zrobisz — odpowiedział Bigiel.

XI.

W domu czekała Połanieckiego niespodzianka, zastał bowiem depeszę od pani Chwastowskiej, zawierającą następne słowa: „Wracam jutro wieczór, Litka dobrze!“ Powrót ten był niespodziany, a przynajmniej nadzwyczaj przyśpieszony, że zaś depesza zawierała zapewnie-

nie co do zdrowia Litki, Połaniecki więc zrozumiał, że pani Emilia wraca tylko dlatego, by się zająć jego sprawą. I na tę myśl serce wezbrało mu wdzięcznością. „Ot to jest poczciwa natura!—mówił sobie—to przyjaciółka!...“ I obok wdzięczności wezbrała mu w sercu taka nadzieja, tak, jakby pani Emilia posiadała czarodziejski pierścień, lub magiczną laskę, za pomocą których mogła-by zmienić w jednej chwili serce panny Maryni. Połaniecki nie widział jasno, jak się to zrobi, ale wiedział, że przynajmniej ktoś, bardzo życzliwy, będzie za nim przemawiał, będzie go usprawiedliwiał, będzie podnosił jego serce i charakter, a zmniejszał uprzedzenia przeciw niemu, nagromadzone biegiem zdarzeń. Liczył, że pani Emilia będzie w tem bardzo wytrwała, i że będzie to dla niej kwestyą obowiązku. Człowiek, któremu coś dokucza, rad szuka tych, na których-by mógł złożyć za to odpowiedzialność. Tak i Połanieckiemu, zwłaszcza w chwilach wezbrania goryczy, wydawało się, że pani Emilia jest także odpowiedzialną za jego stosunek do panny Maryni, gdyby bowiem nie była pokazała owego listu, z którego widać było gotowość panny Maryni do pokochania go — to on byłby jeszcze zdołał odczepić od niej i myśl, i serce. Może poniekąd i było tak, gdyż w historyi jego uczucia list ten odegrał rzeczywiście walną rolę. On mu pokazał, jak szczęście było blizkie i prawie już realne, jak dalece ona w myśli oddawała mu już serce i duszę. Najtrudniej jest porzucić szczęście, które nietylko jest upragnione, ale i zaczęte—i gdyby nie ów list, może istotnie Połaniecki mniej-by żałował przeszłości, łatwiej zapomniał i łatwiej się zgodził z położeniem. Teraz nie pamiętał, że to on sam wymógł na pani Chwastowskiej pokazanie owego listu, uważał tylko, mimo całej przyjaźni i wdzięczności dla niej, że ona i powinna go wspomagać ze wszystkich sił. Zresztą rozumiał, że tak się będzie działo samo przez się; spodziewał się często widywać pannę Marynię, i to w warunkach dla siebie najkorzystniejszych, albowiem w domu, w którym go kochano, ceniono i w którym podobne uczucia musiały się udzielać każdemu z gości. Wszystko to wzmogło nadzieję Połanieckiego z nową siłą, ale wzmagając nadzieję, dodało nowe ogniwa do tych, które łączyły jego myśli z Marynią. Poprzednio był sobie obiecał, że nie będzie u Bigielów, teraz zmienił postanowienie, przypuszczając, że jeśli tylko zdrowie pozwoli, pani Emilia także weźmie udział w tej wycieczce. A swoją drogą, po-za temi wszystkiemi powodami, związanemi z panną Marynią, rad był z całej duszy, że zobaczy te kochane twarze, tak pani Emilii, jak i Litki, która dotychczas była największem jego przywiązaniem w życiu.

Tegoż jeszcze wieczora napisał parę słów do pana Pławickiego o przyjeździe, przypuszczając, że mu panna Marynia będzie wdzięczna

za tę pośrednią wiadomość; dał znać do mieszkania pani Emilii, by nazajutrz czekano z herbatą, i zamówił wygodny powóz, by odwieźć nim te panie do domu. Nazajutrz o piątej był już na kolei.

W oczekiwaniu na pociąg, począł biegać szybkim krokiem wzdłuż peronu, by się nieco rozgrzać, albowiem ranek był chłodny. Dal, budynki kolejowe i wagony, stojące na bliższych liniach, tonęły w mgle, która, bardzo gęsta przy ziemi, w górze czyniła się różowa i świecąca, zwiastując, że dzień będzie pogodny. Na peronie, prócz urzędników i służby, nie było jeszcze, z powodu wczesnej godziny, nikogo; zwolna jednak ludzie poczynali napływać. Nagle przed Połanieckim wysunęły się z mgły dwie postacie, z których w jednej poznał z biciem serca Marynię, która z panną służącą pośpieszyła powitać panią Emilię. Nie spodziewając się takiego spotkania, w pierwszej chwili zmieszał się mocno. Ona również zatrzymała się, jakby zdziwiona, lub zakłopotana. Po chwili jednak zbliżył się i wyciągnął ku niej rękę.

— Dzień dobry pani!—rzekł—i prawdziwie będzie dla nas obojga dobry, jeśli nasze podróżniczki przyjadą.

— Więc to jeszcze niepewne? — spytała Marynia.

— Jakto? chyba-by zaszło coś niespodziewanego. Miałem wczoraj depeszę i posłałem wiadomość panu Pławickiemu, w tej myśli, że pani ucieszy się z nowiny.

— Dziękuję. Taka miła niespodzianka!...

— Najlepszy dowód, że pani tak rano wstała.

— Jeszczem się nie odzwyczaiła.

— I oboje przyszliśmy zawcześnie. Pociąg nadejdzie dopiero za pół godziny. Tymczasem radzę pani nie stać, ale chodzić, bo ranek chłodny, choć dzień zapowiada się śliczny.

— Mgła opada — rzekła panna Marynia, podnosząc ku górze swoje niebieskie oczy, które Połanieckiemu wydały się w porannem świetle fioletowe.

— Zechce pani przejść się po peronie?

— Dziękuję panu. Wolę zaczekać w sali.

I skinąwszy głową, odeszła. Połaniecki począł znów latać śpiesznemi krokami po peronie. Było mu nieco przykro, że nie chciała z nim zostać, ale tłómaczył sobie, że to może nie wypadało, a jeszcze większą pociechą napełniała go myśl, jak dalece przyjazd pani Emilii będzie sam przez się ich zbliżał i ile sprowadzi spotkań. Dziwna jakaś otucha i dobry humor wzrastały w nim z każdą chwilą. Myślał o fioletowych oczach Maryni, o jej twarzy, zaróżowionej porannym chłodem, i przelatując koło okien sali, w której ona siedziała, mówił sobie prawie wesoło:

— Aha! siedź tam, chowaj się! znajdę ja cię!

I czuł z większą siłą niż kiedykolwiek, jak bardzo mogła-by mu być drogą, gdyby chciała być choć trochę dobrą.

Tymczasem zadzwoniono i po kilku minutach, we mgle, która jeszcze przy ziemi trzymała się gęsto, choć niebo nad nią było już błękitne, ukazały się mętne zarysy pociągu, który, w miarę zbliżania się, czynił się coraz wyraźniejszy. Lokomotywa, oddychając przerywanemi kłębami dymu, wtoczyła się coraz wolniejszym ruchem na stacyę i, stanąwszy, poczęła z szumem i sykiem wyrzucać niepotrzebną już resztę pary pod przednie koła.

Połaniecki skoczył do sleepingu — pierwsza bowiem twarz, jaka mignęła mu w szybie, była twarz Litki, która na jego widok rozjaśniła się, jakby na nią padł nagle promień słońca. Rączki dziewczynki poczęły też poruszać się radośnie, kiwając na Połanieckiego, który w jednej chwili był w wagonie.

— Moje kociątko najmilsze! — zawołał, chwytając dłonie Litki — a wyspane? a zdrowe?

— A zdrowam! i wróciliśmy! I będziemy razem — i dzień dobry, panie Stachu!

Tuż za małą stała pani Emilia, której „pan Stach“ ucałował rękę bardzo serdecznie, i począł mówić tak prędko, jak się zwykle mówi w chwilach powitania:

— Dzień dobry drogiej pani. Mam powóz. Mogą panie zaraz jechać; mój służący odbierze rzeczy, proszę tylko o kwit. W domu czekają z herbatą. Proszę o kwit. Panna Pławicka jest tu także.

Panna Pławicka czekała istotnie przed wagonem i obie z panią Emilią poczęły ściskać sobie ręce z twarzami pełnemi uśmiechów. Litka patrzyła przez chwilę na pannę Marynię, jakby wahając się, potem jednak i ona rzuciła się jej na szyję ze zwykłą dawniejszą serdecznością.

— Maryniu, pojedziesz z nami na herbatę — mówiła pani Emilia. — Nas czekają, a ty musisz być naczczo. Dobrze? prawda?

— Jesteście pewno zmęczone, jechałyście całą noc.

— I spałyśmy od granicy, jak zabite, a zbudziwszy się, miałyśmy czas ubrać się i umyć. W każdym razie musimy wypić herbatę, więc nam nic nie przeszkodzisz.

— Zatem dobrze. Z największą radością.

Lecz Litka poczęła ciągnąć za suknię matki.

— Mamusiu, a pan Stach?

— Ale naturalnie, że i pan Stach także. On myślał o wszystkiem, dzięki jemu znajdziemy wszystko przygotowane, więc musi z nami jechać.

— Musi! musi! — zawołała Litka, zwracając się ku niemu.

A on począł się przekamarzać:

— Otóż nie musi, ale chce.

I po chwili wszyscy czworo siedzieli w powozie. Połaniecki był w wybornym humorze, mając naprzeciw Marynię, a przy sobie małą Litkę. Zdawało mu się, że jasność poranku wchodzi w niego i że zaczynają się dla niego lepsze dni. Czuł, że odtąd będzie należał do małego kółka istot, związanych z sobą życiem towarzyskiem i przyjaźnią, w tem zaś kółku będzie i Marynia. Oto już teraz siedziała naprzeciw niego, blizka jego oczu, i blizka przyjaźnią, jaką oboje czuli dla pani Emilii i Litki.

Tymczasem wszyscy czworo rozmawiali wesoło.

— Co się stało, Emilko — pytała Marynia, — żeś przyjechała wcześniej?

— Litka tak codzień prosiła, żeby wracać!

— Nie lubisz zagranicy?—pytał Połaniecki.

— Nie.

— Tęskniłaś za Warszawą?

— Tak.

— A za mną? co? mów zaraz, bo będzie źle!

Litka spojrzała na matkę, na Marynię, na Połanieckiego i wreszcie odrzekła:

— I za panem Stachem także.

— Masz za to!—rzekł Połaniecki.

I, porwawszy jej rączkę, usiłował ją pocałować, a ona broniła się, jak mogła.

Wreszcie pochowała rączki, on zaś, zwróciwszy się do Maryni i okazując swoje zdrowe, białe zęby, rzekł:

— Bo widzi pani, my ciągle wojujemy, ale się lubimy.

— Tak zwykle bywa—odrzekła panna Marynia.

A on popatrzył jej w oczy szczerze i prosto.

— Ej, żeby to tak zwykle bywało!

Panna Marynia zarumieniła się zlekka i spoważniała, lecz nie odrzekła nic i poczęła rozmawiać z panią Emilią.

Połaniecki zaś zwrócił się do Litki:

— A gdzie profesor Waskowski? Pojechał do Włoch?

— Nie. Został w Częstochowie i po jutrze wraca.

— Zdrów?

— Zdrów.

Tu dziewczynka popatrzyła na swego przyjaciela i rzekła:

— Ale pan Stach schudł, Mamo, prawda?

— Istotnie pan zmizerniał—rzekła pani Emilia.

Połaniecki był nieco zmieniony, bo źle sypiał, a przyczyna jego bezsenności siedziała przed nim w powozie. Lecz począł się tłómaczyć kłopotami i pracą w biurze. Tymczasem zajechali przed mieszkanie pani Emilii.

Przez chwilę, gdy pani Emilia poszła witać się ze służącemi, a Litka wybiegła za nią, Połaniecki i panna Marynia zostali sami w salce jadalnej.

— Pani tu chyba nie ma bliższej znajomości, niż pani Emilia?— spytał Połaniecki.

— Ani bliższej, ani tak kochanej.

— W życiu potrzeba jest dobroci, a ona jest bardzo dobra i życzliwa. Ja, naprzykład, który nie mam rodziny, uważam ten dom za rodzinny. Inaczej mi wygląda Warszawa, gdy te panie tu są...

Poczem, mniej już pewnym głosem, dodał:

— Tym razem cieszę się także z ich przyjazdu dla pani i dlatego, że wreszcie będzie między nami coś wspólnego i zgodnego.

Tu począł patrzyć na nią z prośbą w oczach, jakby jej chciał powiedzieć: „Ja tak nie mogę żyć! podaj mi rękę na zgodę, bądź dobrą i dla mnie, skoro nam się zdarzył dzień tak miły.“

Lecz ona, właśnie dlatego, że nie mogła być dla niego zupełnie obojętną, szła coraz bardziej w kierunku niechęci. Im okazywał większą dobroć serca, im bardziej był sympatyczny, tem jego postępowanie z nią wydawało jej się bardziej niesłychanem i tem bardziej uraza zwiększała się w jej sercu.

Mając naturę delikatną, a przytem raczej lękliwą, i odczuwając rzeczywiście, że odpowiedź zbyt niechętna popsuła-by harmonię dnia, wolała milczeć; lecz on nie potrzebował odprawy w słowach, albowiem w oczach jej wyczytał, co następuje:

— Im mniej będziesz się starał naprawiać nasze stosunki, tem one będą lepsze, a będą najlepsze wówczas, gdy będą jak najdalsze.

I radość jego zgasła w jednej chwili, zastąpił ją tylko gniew i żal, jeszcze od gniewu silniejszy, bo płynący jednocześnie z tego niezwalczonego niczem uroku, któremu Połaniecki poddawał się coraz silniej, i z przeświadczenia, że istotnie rozdział między nim a Marynią staje się codzień głębszy.

I ot, patrząc teraz na jej słodką i dobrą twarz, czuł, że staje mu się ona równie drogą, jak niepowrotnie straconą.

Przybycie Litki położyło koniec tej chwili, ciężkiej dla niego nad wyraz. Dziewczynka wbiegła z wielką radością, z czupryną w nieładzie, ze śmiechem na ustach, lecz, spostrzegłszy ich, stanęła nagle i poczęła spoglądać to na jedno, to na drugie, swemi ciemnemi oczyma— i wreszcie siadła cicho przy stoliku z herbatą. Wesołość jej znikła

także, chociaż Połaniecki, zamknąwszy ból w sercu, starał się być w czasie śniadania rozmowny i wesoły.

Prawie jednak nie zwracał się już do Maryni. Zajmował się wyłącznie panią Emilią i Litką — i dziwna rzecz: Marynia odczuła to jednak, jak przykrość. Do szeregu uraz przybyła jedna więcej.

Nazajutrz pani Emilia z Litką były wieczorem na herbacie u Pławickich. Pan Pławicki zaprosił i Połanieckiego, który nie przyszedł. I taka jest natura ludzka, że to znów dotknęło Marynię. Niechęć, tak jak miłość, potrzebuje mieć blizko osobę, przeciw której się zwraca. Marynia mimowoli spoglądała cały wieczór ku drzwiom, gdy zaś nadeszła godzina, w której stało się już pewnem, że Połaniecki nie przyjdzie, poczęła kokietować Maszkę, tak, że przejęła zdziwieniem panią Emilię.

XII.

Maszko był człowiekiem bardzo sprytnym, ale zarazem pełnym miłości własnej; nie miał zresztą żadnego powodu nie brać wprost za dobrą monetę uprzejmości, jaką okazywała mu Marynia. Niejednakowy jej stopień przypisywał trochę kokieteryi, trochę zmiennemu usposobieniu panny, i jakkolwiek to ostatnie przejmowało go pewnym niepokojem, nie było jednak dość silne, by powstrzymać go od stanowczego kroku.

Bigiel odgadywał istotny stan rzeczy, twierdząc, że Maszko był zakochany. Tak istotnie było. Przedtem już panna Pławicka podobała mu się w wysokim stopniu; następnie, uczyniwszy rachunek wszystkich *za* i wszystkich *przeciw*, doszedł do przekonania, że kategorya *za* przeważa. Młody adwokat cenił wprawdzie majątek, ale, obdarzony przytem wielką trzeźwością umysłu i znając doskonale stosunki, w których się obracał, doszedł do przekonania, że panny bardzo majętnej nie znajdzie i nie dostanie. Zupełnie majętne panny znajdowały się albo między arystokracyą rodową i to były dla niego progi zbyt wysokie, albo wśród świata finansów, który ze swej strony szukał znowu związków z rodzinami, noszącemi mniej więcej znane nazwiska. Maszko wiedział doskonale, że jego malowani biskupi i pancernicy, z których podrwiwał Bukacki, nie potrafią mu otworzyć ogniotrwałych kas bankierskich. Rozumiał, że gdyby nawet byli mniej fantastyczni, sam jego zawód adwokacki stanowił-by pewną „deminutionem capitis“ w oczach grubych ryb finansowych. Z drugiej strony czuł naprawdę pewien rasowy wstręt do tego rodzaju związków, podczas gdy dobrze wylegity-

mowane dziewczyny miały dla niego ten niepospolity urok, jaki miewają zwykle dla parweniuszów.

Panna Pławicka nie miała posagu — a przynajmniej bardzo nieznaczny — prawda. Biorąc ją jednakże, uwalniał się tem samem Maszko od wszelkich zobowiązań, jakie zaciągnął względem Pławickich, kupując Krzemień. Powtóre, połączywszy się z dobrą szlachecką rodziną, postarał-by się zagarnąć całą klientelę szlachecką—i to mogłaby już być korzyść bardzo realna; a nakoniec, przez rodzinne stosunki Maryni, mógł-by z czasem objąć interesa kilku, lub kilkunastu rodzin prawdziwie zamożnych—co było oddawna celem jego zabiegów,

Pławiccy, jak wszystkie nieco więcej niż średnie rodziny wiejskie, mieli wprawdzie takich krewnych, do których nie bardzo się przyznawali, ale mieli też i takich, którzy do nich nie bardzo się przyznawali, co zresztą działo się nie tyle z powodów dumy, ale samo przez się, na podstawie pewnego doboru towarzyskiego, z mocy którego każdy poszukuje w życiu ludzi, znajdujących się w mniej więcej w takich samych warunkach życia. Większe jednak uroczystości rodzinne związują chwilowo takie rozluźnione stosunki, i Maszce nie tylko przyjemnie było myśleć o tem, że na ślubie miał-by zupełnie donośnie brzmiące nazwiska, ale widział w tem w przyszłości różne możliwe korzyści. Było-by bowiem tylko rzeczą zręczności, poddać tego rodzaju ludziom myśl, że będzie z ich strony ładnie, a dla nich samych dobrze i bezpiecznie, gdy swoje interesa powierzą człowiekowi, znanemu z energii, a zarazem więcej niż jednemu ze swoich, bo powinowatemu. Był-by to niejako posag, jaki mogli-by dać niebogatej kuzynce. Maszko, obliczając się z siłami, ufał, że potrafi im się narzucić, a z czasem i opanować ich. Wiedział, że ten i ów przyjdzie z początku o radę, taką, jakiej można zaczerpnąć w pogawędce ze znajomym, lub z dalekim krewnym, który wypadkowo zna się na rzeczy; później, o ile rady okażą się dobre, będzie przychodził częściej, a w końcu odda mu wszystko w ręce. W ten sposób pomagając innym, mógł sam wypłynąć na szerokie wody, oczyścić z czasem Krzemień, dojść do znacznego majątku, porzucić wreszcie adwokaturę, której nie lubił i którą uważał tylko za środek dojścia do celu, i ustalić się wreszcie w wysokich sferach towarzyskich, jako człowiek niezależny, a zarazem przedstawiciel większej i opartej na silnej podstawie własności ziemskiej.

To wszystko przewidział, wyrachował i obliczył, zanim postanowił starać się o rękę panny Pławickiej.

Nie przewidział jednak jednej rzeczy, oto, że się zakocha w takim stopniu, jak się zakochał.

Poniekąd gniewało go to, sądził bowiem, iż uczucie zbyt silne jest czemś przeciwnem tej równowadze, jaką człowiek z wysokiego to-

warzystwa powinien umieć zawsze zachować. Ta równowaga była jednem z jego złudzeń. Gdyby do tego świata nie potrzebował się wdzierać, ale gdyby się był w nim urodził, był-by sobie pozwolił kochać się, na ile serca wystarczy. Mimo całego swego sprytu, nie zrozumiał, że jednym z największych przywilejów tego świata, który uważa się za uprzywilejowany, jest swoboda. Z tego powodu nie był zupełnie kontent, gdy serce nadto mu topniało w obecności panny Maryni. Ale z drugiej strony, sam cel, do którego dążył, coraz bardziej utożsamiał się w nim z osobistem szczęściem, graniczącem niemal z upojeniem.

Były to dla niego rzeczy nowe, tak nowe, że jasność tych nieznanych widnokręgów oślepiała go. Maszko doszedł do trzydziestu kilku lat życia, nie znając, co jest zachwyt. Teraz zrozumiał, ile uroków i szczęścia mieści się w tem słowie, zachwycał się bowiem panną Marynią z całej duszy. Gdy zdarzało się, że pan Pławicki przyjmował go w swoim pokoju, a ona była w sąsiednim, Maszko tak dalece był myślami przy niej, iż z trudnością pojmował, co pan Pławicki mówi. Gdy wchodziła, powstawały mu w sercu zupełnie nieznane przedtem uczucia, tkliwe i miękkie, które czyniły go lepszym, niż był zwykle. Niebieskie jego oczy zmieniały wówczas swój zwykły stalowy i zimny blask na wyraz słodyczy i upojenia, wypieki na twarzy, któremi przypominał profesora Waskowskiego, stawały się jeszcze silniejsze, cała postać traciła pozory sztywności, i rozczesywał palcami swe jasne baki, nie jak angielski lord, ale jak zwykły zakochany śmiertelnik. Podniósł się w końcu do tego stopnia, że chciał nie tylko swego dobra, ale i jej dobra, nie pojmując go oczywiście inaczej, jak przez siebie i w sobie.

Był tak zakochany, że, odtrącony, mógł się stać niebezpiecznym, zwłaszcza ze względu na brak wyrobienia moralnego, przy wielkiej rzeczywiście energii i bezwzględności. Do tej pory nie kochał tak nigdy i pierwsza Marynia rozbudziła w nim wszystko to, co było zdolne do kochania. Nie była ona świetną pięknością, ale posiadała w najwyższym stopniu wdzięk kobiecy, i ta jej kobiecość była powodem, że pociągała ku sobie szczególniej natury energiczne. W jej delikatnych kształtach było coś z pnącej się rośliny; twarz miała spokojną, oczy przezroczyste i trochę zmysłowe usta—wszystko to razem na pierwszy rzut oka nie czyniło wielkiego wrażenia, ale po chwili każdy najobojętniejszy nawet człowiek spostrzegał, że jest w niej coś szczególnego, co nakazuje pamiętać, że ma się przed sobą kobietę, która mogła-by być kochana.

Zresztą o ile Maszko czuł się i był rzeczywiście lepszym w tym okresie swego życia, niż zwykle, o tyle poziom duchowy Maryni obniżył się od czasu zamieszkania Pławickich w Warszawie. Sprzedaż Krzemienia odjęła jej pracę i moralną podstawę życia. Zbrakło jej podnio-

ślejszego celu. Przytem przebieg zdarzeń nagromadził w niej dużo goryczy i niechęci, które zawsze zmieniają się w skazy na sercu. Panna Marynia sama odczuwała to wyraźnie i w kilka dni po owym wieczorze, na który Połaniecki nie przyszedł, pierwsza zaczęła o tem mówić z panią Emilią, gdy szarą godziną zostały sam na sam w saloniku, przytykającym do pokoju Litki.

— Ja to widzę—mówiła,—że my nie jesteśmy z sobą tak szczerze, jak dawniej. Chciałam z tobą mówić otwarcie i nie mogłam się zebrać, bo mi się zdawało, że nie jestem już warta twojej przyjaźni.

A pani Emilia zbliżyła swoją słodką twarz do głowy panny Maryni i poczęła całować jej skroń.

— Oj, ty Maryniu, Maryniu! Co też ty mówisz, ty, taka zawsze rozsądna i spokojna?

— Bo ja w Krzemieniu byłam więcej warta, niż teraz. Ty nie uwierzysz, jaka ja byłam do tego kąta przywiązana. Miałam wszystkie dni zajęte i w sobie jakąś dziwną nadzieję, że z czasem przyjdzie coś bardzo szczęśliwego. Dziś to wszystko przeszło i sama siebie nie mogę odnaleźć w tej Warszawie, a co gorzej, i mojej dawnej uczciwości. Widziałam, jakeś się dziwiła, żem kokietowała pana Maszkę. Nie mów mi, żeś tego nie spostrzegła. A myślisz, że ja sama wiem, dlaczego to robiłam? Chyba dlatego, że jestem gorsza, chyba z jakiejś złości na siebie, na niego i na cały świat. Nie kocham go, nie pójdę za niego; więc postępuję nieuczciwie, i ze wstydem się do tego przyznaję, ale przychodzą chwile, w których chciała-bym komuś wyrządzić umyślną krzywdę. Tyś powinna zerwać ze mną dawną przyjaźń, bo ja naprawdę jestem inną, niż byłam.

Tu po twarzy panny Maryni poczęły się toczyć łzy, skutkiem czego pani Emilia tem bardziej jęła ją pieścić i uspokajać; wreszcie rzekła:

— Pan Maszko stara się o ciebie najwidoczniej i przyznaję, iż myślałam, że masz zamiar go przyjąć. Powiem ci teraz szczerze, że mnie to zmartwiło, bo to nie jest człowiek dla ciebie; ale, wiedząc, jak kochałaś Krzemień, przypuszczałam, że chcesz do niego w taki sposób wrócić...

— Z początku, prawda! miałam takie myśli... Chciałam w siebie wmówić, że mi się pan Maszko podoba; nie chciałam go odpychać... Chodziło mi także o co innego, ale chodziło i o Krzemień. Jednak nie mogłam się przekonać. Za taką cenę nie chcę nawet Krzemienia, ale w tem właśnie leży zło. Bo w takim razie, czemu ja wprowadzam w błąd pana Maszkę, czemu go łudzę? Przez prostą nieuczciwość...

— Nie dobrze, że go łudzisz, ale zdaje mi się, że rozumiem, skąd to wypływa. Z niechęci i urazy dla kogoś innego—czy nie tak? Po-

ciesz się jednak tem, że zło nie jest jeszcze niepowetowane, bo przecie postępowanie swoje z panem Maszką możesz zmienić zaraz od jutra... I trzeba, Maryniu, zmienić, póki czas, póki nic nie było przyrzeczone.

— Ja wiem, Emilko, ja to rozumiem; tylko widzisz, kiedy jestem przy tobie i czuję, jak dawniej, jak prawa i uczciwa dziewczyna, to rozumiem, że nie tylko słowo, ale i postępowanie obowiązuje. I on może mi to powiedzieć...

— To mu odpowiesz, że chciałaś się do niego przekonać i nie mogłaś. W każdym razie jest to jedyna droga...

Nastała chwila milczenia, ale i Marynia, i pani Emilia czuły, że nie rozpoczęły jeszcze rozmawiać o tem, o co, jeśli nie obu, to przynajmniej pani Emilii najmocniej chodziło. Jakoż, wziąwszy ręce Maryni, rzekła:

— Teraz przyznaj się, Maryniu, że kokietowałaś Maszkę także i z urazy dla pana Stanisława?

Ta zaś odrzekła głucho:

— Tak jest.

— A czy to nie znaczy, że owo wrażenie pierwszego jego przyjazdu do Krzemienia i pierwszych waszych rozmów jeszcze się nie zatarło?

— Lepiej-by było, żeby się zatarło.

Pani Emilia poczęła gładzić jej ciemne włosy.

— Ty nie uwierzysz, jaki to dobry, dzielny i szlachetny człowiek. Dla nas ma on trochę przyjaźni; zawsze lubił Litkę, za co mu jestem z całej duszy wdzięczna. Ale ty wiesz, jakie to bywa niegorące i nawet nie ciepłe, ale letnie uczucie ta przyjaźń. On jednak i pod tym względem stanowi wyjątek. Czy uwierzysz, że kiedy Litka zachorowała w Reichenhallu, on sprowadził z Monachium sławnego lekarza, a nam, nie chcąc mnie przestraszać, powiedział, że doktor przyjechał do innego chorego, że więc trzeba tylko korzystać z okazyi. Pomyśl, co to za troskliwość i dobroć. To jest człowiek bardzo pewny, na którym można się oprzeć, i energiczny, i prawy. Bywają ludzie inteligentni, ale bez energii; inni mają energię, ale bez delikatności serca. On łączy jedno i drugie. Zapomniałam ci powiedzieć, że gdy majątek Litki był zachwiany i gdy brat mojego męża wziął się do ratowania go, największą pomoc znalazł w panu Połanieckim. Gdyby Litka była dorosłą, nikomu w świecie nie oddała-bym jej z taką ufnością, jak jemu. I nie potrafię ci nawet wyliczyć, ile myśmy doznały od niego dobrego.

— Jeśli tyle, ile ja złego, to bardzo dużo.

— Maryniu, on tego nie chciał. Żebyś wiedziała, jak on cierpi nad swoją nierozwagą i jak szczerze przyznaje się do winy względem ciebie.

— Sam mi to powiedział—odrzekła Marynia.—Ja, moja Emilko, dużo myślałam nad tem; prawdę powiedziawszy, nie myślałam o niczem innem i nie znajduję, żeby on względem mnie zawinił. W Krzemieniu był dobry dla mnie, tak dobry, że mi się zdawało... Tobie jednej to powiem, bom ci to już zresztą pisała, że wieczorem tej niedzieli, którą on spędził u nas, poszłam spać z głową i sercem tak nim przepełnionem, że aż mi wstyd dziś o tem mówić... I czułam, że jeden dzień dłużej, jedno przyjazne słowo więcej z jego strony, a pokocham go na całe życie... Zdawało mi się, że i on... Na drugi dzień wyjechał zagniewany... Była wina ojca, była i moja, więc potrafiłam to zrozumieć i pamiętasz, jaki list napisałam do ciebie do Reichenhallu? Widzisz, zupełnie taką samą ufność, jaką ty w nim masz, miałam i ja... Pojechał. Sama nie wiem, dlaczego myślałam, że wróci, lub napisze. Nie wrócił i nie napisał. Coś mi mówiło, że on mi Krzemienia nie odbierze—odebrał... I potem... Ja wiem, że pan Maszko mówił z nim otwarcie, a on go zachęcał, i zaręczył mu, że sam o niczem nie myśli... Oj, moja Emilko!... Jeśli chcesz. to on nie zawinił, ale ile złego mi wyrządził! Przez niego straciłam nie tylko kochany kąt, w którym pracowałam, ale i coś więcej: bo wiarę w życie, w ludzi... w to, żeby rzeczy lepsze i szlachetniejsze były w świecie górą nad złemi i płaskiemi... I sama stałam się gorsza. Ja ci szczerze mówię, że nie mogę się odnaleźć. Miał prawo tak postąpić, jak postąpił?—dobrze. Sama to mówię i winy nie uznaję. Tylko, widzisz, połamał we mnie jakąś sprężynę życiową. I na to niema rady, to się nie da naprawić. Bo jak? Co mi z tego, że w nim zaszła potem zmiana, że żałuje tego, co uczynił, i że gotów był-by się nawet ze mną ożenić? Co mi z tego, skoro ja, która go już prawie kochałam, teraz nie tylko nie kocham, ale muszę bronić się od wstrętu. To gorzej, niż gdyby mi był obojętny... Ja wiem, o co tobie idzie, ale przecie życie można budować tylko na miłości, nie na niechęci. Jak ja mu mogę podać rękę z tą urazą w duszy i z tym żalem, że przez niego — winien, czy nie winien — tyle się popsuło. Myślisz, że ja nie widzę jego zalet, ale cóż na to poradzę, kiedy im więcej ich widzę, tem bardziej właśnie mnie od niego odtrąca, i gdybym musiała wybierać, wybrała-bym pana Maszkę, choć on mniej wart. Na wszystko, co mi możesz powiedzieć o nim dobrego, zgadzam się, ale na wszystko odpowiadam ci: nie kocham go, i nigdy nie pokocham...

Teraz oczy pani Emilii zaszły łzami.

— Biedny pan Stach!—rzekła, jakby sama do siebie.

A po chwili milczenia spytała:

— I nic ci go nie żal?

— Żal mi go, gdy myślę o takim, jakim był w Krzemieniu, żal mi go także, gdy go nie widzę, ale z chwilą, gdy go zobaczę, mam dla niego tylko... niechęć.

— Bo nie wiesz, jaki on już był w Reichenhallu nieszczęśliwy, a teraz jeszcze jest nieszczęśliwszy. On nie ma nikogo na świecie...

— Ma twoją przyjaźń i ma to, że kocha Litkę...

— Moja Maryniu, to jest co innego! Ja z całej duszy mu jestem wdzięczna za to przywiązanie do Litki, ale to zupełnie co innego, i sama to rozumiesz, że on cię kocha inaczej i sto razy mocniej, niż Litkę...

W pokoju było już zupełnie ciemno, ale po chwili służący wniósł lampę i, postawiwszy ją na stole, wyszedł. Przy jej blasku pani Emilia spostrzegła nagle jakiś białawy kształt, skulony na kozetce przy drzwiach, prowadzących do dziecinnego pokoju.

— Kto tam jest? czy to Litka?

— Ja, mamusiu.

W głosie małej było coś niezwykłego. Pani Emilia wstała i podeszła śpiesznie ku niej.

— Kiedy tu weszłaś? co tobie jest?

— Tak mi jakoś smutno i niedobrze.

Pani Emilia siadła na kozetce i, przygarnąwszy do siebie dziewczynkę, spostrzegła w jej oczach łzy.

— Lituś, ty płaczesz? co tobie jest?

— Tak smutno, tak smutno!

I, przytuliwszy głowę do ramienia matki, poczęła płakać. Było jej istotnie smutno, dowiedziała się bowiem, że „pan Stach“ jeszcze jest nieszczęśliwszy, niż w Reichenhallu, i że Marynię sto razy więcej kocha, niż ją.

Tegoż wieczora, idąc spać, wspięła się, już tylko w koszulce, do ucha matki i poczęła szeptać:

— Bo, mamusiu, ja mam jeden bardzo wielki grzech na sumieniu...

— Moje biedactwo, cóż ci tam dokucza?

A ona szepnęła jeszcze ciszej:

— Bo ja nie kocham panny Maryni...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Henryk Sienkiewicz.

Socyalizm państwowy w Niemczech.

I.

Znakomity uczony i mąż stanu francuski, Leon Say, w dziele swem „Le Socialisme d'État“ (Paryż, 1884) wyraża się w sposób następujący:

> „Le Socialisme d'État est une philosophie allemande, qui n'est faite ni pour les Anglo-Saxons, ni pour les Italiens. Il ne peut s'épanouir complètement qu'au nord des Alpes et à l'orient du Rhin. Légitime en Allemagne, il est bâtard partout ailleurs.“

Mimo poważnej firmy zacytowanego autora, na zdanie powyższe tylko z licznemi nader zastrzeżeniami zgodzić się można; w dwóch zwłaszcza punktach pogląd Leona Saya wymaga sprostowania. Po pierwsze, charakter kierunku zwanego socyalizmem państwowym nie jest zgoła wyłącznie lokalno-niemieckim — jak to zdaje się twierdzić Leon Say — a w każdym razie nie koniecznie takim być musi, bo na punkcie praktycznej stosowalności bynajmniej granicami Niemiec krępować się nie jest zmuszonym. Rzecz ma się prędzej wprost przeciwnie. Ze wszystkich recept, wynajdowanych i zapisywanych na załatwienie kwestyi socyalnej, żaden system nie liczy się tak ściśle z międzynarodowym charakterem tej zawiłej sprawy; ostatnia konferencya berlińska, jakkolwiek większych rezultatów nie miała, stanowi jednak dowód, że właśnie system socyalizmu państwowego sprzyja międzynarodowemu traktowaniu kwestyi socyalnej, w którym-to kierunku, zdaje

się, można będzie osiągnąć jeszcze względnie najpomyślniejsze rezultaty.

Po drugie, brak wszelkich podstaw, aby nadawać systemowi, o którym mowa, miano „filozofii niemieckiej,“ mające znaczyć niejako, że kierunek ten zawiera dużo teoretycznej abstrakcyi; i tu rzecz ma się raczej przeciwnie. Socyalizm państwowy tem właśnie się chlubi, że nie opuszcza nigdy stosunków realnych i lubi też stąd powoływać się na to, że zasadnicza myśl jego, już w przeszłem stuleciu na takim gruncie szczepiona, wydawała w Prusach np. za czasów Fryderyka Wielkiego dotykalne owoce. Do tej kwestyi rodowodu powrócimy jeszcze, gdy będzie mowa o tradycyjnej polityce socyalnej domu Hohenzollernów, teraz zaś należy przedewszystkiem ustalić terminologię pojęć, o których mówić nam wypadnie.

Od dwóch prawie dziesięcioleci Niemcy są bezwątpienia tym krajem, w którym teorya i praktyka kwestyi socyalnej najgorliwiej są studyowane. Nauka, głoszona z katedr uniwersyteckich, przyczynia się do tego w niemniejszym stopniu, aniżeli wykształcona biurokracya, oddająca się z urzędu badaniu tych stosunków. Od lat piętnastu kwestya socyalna stoi w Niemczech na pierwszym planie i kładzie swój charakterystyczny stempel na wszystkich dziedzinach życia społecznego i politycznego. Wszystko, co widzimy w Niemczech, odbywa się pod jej znakiem i trafnie powiedział Bismarck, że teraz „każde nowe prawo musi być zaprawione kroplą oleju socyalnego,“ o ile ma się dać pogodzić z faktycznemi stosunkami. Niemniej, a może i dlatego właśnie, w Niemczech zaznacza się w określaniu tych rozmaitych blizkich sobie, a jednak odrębnych pojęć, pewna chaotyczność, utrudniająca niezmiernie dokładne uchwycenie kwestyi; pojęcie słowa „social,“ posiadające prawdopodobnie ojca swego w autorze „Emila,“ o ile często używane, o tyle nielicznym może jednostkom jasno i wyraźnie się przedstawia,—zwłaszcza, gdy od czasów arystokratycznej przyjaciółki Lassalle'a zaczęło interesować najszersze sfery, stając się—podług dowcipnego wyrażenia kanclerza—zupełnie „salonfähig.“

To też, ponieważ na każdym kroku spotykamy się z zupełnie błędnem identyfikowaniem tych odcieni socyalizmu, należy nam przedewszystkiem odnaleźć i nakreślić owe linie demarkacyjne. Jak wiadomo, w zapatrywaniach na kwestyę socyalną i możność jej rozwiązania różnice objawiają się na punkcie poglądu na rolę państwa w obecnej organizacyi pracy ludzkiej i przyjętem jest teraz rozróżniać pod tym względem trzy zasadniczo odrębne, a zupełnie samoistne kierunki, a mianowicie:

1) System t. zw. indywidualny,
2) socyalizm
3) i socyalizm państwowy.

Powiedzmy z góry, że system pierwszy należy do pojęć częściowo już przedawnionych, a bodaj czy nie potępionych; drugi zawiera znowuż tyle utopijnych pierwiastków, lub też żąda tak gwałtownych przewrotów, że chyba nigdy trwalszego zastosowania nie znajdzie; trzeci zaś od lat kilkunastu jest hasłem epoki obecnej i kto wie, czy nie posiada jeszcze większej przyszłości przed sobą.

Zasadnicze różnice, dzielące powyższe trzy kierunki, są każdemu mniej więcej znane.

Indywidualizm pragnie ograniczyć w sprawach ekonomiczno-społecznych rolę państwa do minimum, przyznając mu pod tym względem kwalifikacyę tylko do nielicznych czynności, jak np. do utrzymywania nadzoru nad bezpieczeństwem publicznem za pomocą odpowiednych organów, oraz co najwyżej jeszcze do eksploatacyi poczt i telegrafów. Po-za tem system ten potępia z zasady i a priori każdą interwencyę państwa w stosunkach prywatnych, ponieważ temu ostatniemu wyznacza rolę zupełnie bierną; radykalnym staje się indywidualizm zwłaszcza w traktowaniu kwestyi robotniczej, w której dziedzinie pragnie z góry wykluczyć wszelkie mieszanie się państwa, t. j. jego organów, do spraw między pracodawcą a robotnikiem; stąd też przyznaje żywej pracy robotnika tylko jej wartość giełdową, zależną jedynie od chwilowej podaży i popytu, przedewszystkiem zaś pragnie w jak najszerszym zakresie zwolnić społeczeństwo z wszelkiej odpowiedzialności za dolę maluczkich i słabych, wskazując tym ostatnim drogę samopomocy, jako jedyny środek zbawienia.

Oto główne rysy tego systemu indywidualnego, który, o ile teraz schodzi już z pola, o tyle w czasach największego właśnie rozwoju przemysłu europejskiego, a więc w latach 1850—1870, panował wszechwładnie na całym zachodzie, a zwłaszcza w Niemczech, gdzie dopiero z Lassalle'm następuje zwiastun zwrotu. Sztandar jego podtrzymuje obecnie w Niemczech jeszcze tylko stronnictwo wolnomyślne; papieżem zaś tego kierunku jest Bamberger, znakomity mówca i nieprzejednany wróg polityki socyalnej księcia Bismarcka.

Znacznie trudniej będzie narysować w krótkich słowach istotę socyalizmu, zwłaszcza, że system ten od stu lat wydał sporo rozmaitych programów. Programy te zgadzają się z sobą tylko w pewnych zasadniczych, bardzo nielicznych punktach, a właściwie tylko w tem, że wszystkie potępiają obecny porządek społeczny, po-za tem, zwłaszcza co do żądań praktycznych, wykazują dość znaczne odrębności, będące w związku z temperamentem, przeszłością etc. danego przedstawiciela tego kierunku. Nie sposób streszczać wszystkich tych programów, liczących się na tuziny, z tego powodu zajmiemy się tylko teoretyczną stroną socyalizmu, o ile została naukowo sformułowaną.

Jakoż wszystkie systemy socyalistycznej obserwancyi w tem różnią się biegunowo od systemu, zwanego indywidualnym, że państwu przeznaczają jak największą rolę; w przeciwstawieniu do jednostki ma państwo, jako takie, to znaczy, jako czasem uświęcony wyraz solidarności ludzi i interesów wszystkich klas—regulować wszystkie stosunki społeczne, aby zapobiegać uciemiężaniu jednej warstwy przez drugą. Jednostka, dla której interesów indywidualizm ciągle poświęca ogół, zdaniem socyalizmu, powinna przeciwnie z zasady podporządkowywać się społeczeństwu i—że tak powiemy—dopiero odżyć, jako cząstka tego ostatniego. Z tego powodu—jak każdemu wiadomo—socyalizm potępia zasadę własności prywatnej, rzekomo nawskroś niemoralnej, a specyalnie w dziedzinie kwestyi robotniczej wszczyna walkę z kapitałem, jako czynnikiem nieprodukcyjnym, wyzyskującym ciągle żywą pracę robotnika.

Idąc logicznie w tym kierunku, socyalizm zamiast obecnej organizacyi pracy, stojącej jeszcze najzupełniej na gruncie systemu indywidualnego—pragnie nadać całej produkcyi organizacyę korporacyjną, lub zbiorową, przy której usuniętym-by był już wyzysk pracownika przez pracodawcę, a „żelazne prawo“ Lassalle'a przestało-by nareszcie ciążyć nad klasą robotniczą. Takim sposobem socyalizm dochodzi do tego, że chce z gruntu przewrócić cały obecny ustrój życia społecznego; ponieważ zaś przewrót tego rodzaju i kalibru przy obecnych stosunkach Europy jest niemożliwym, tedy program socyalizmu, oprócz swych punktów społecznych, wspomina jeszcze o konieczności zastąpienia formy monarchicznej formą socyalistyczno-republikańską, wskutek czego, stając się i antydynastycznym, nie może naturalnie liczyć na żadne sympatye u rządów.

Pośrednie, ale nie pośredniczące stanowisko, zajął tu kierunek socyalizmu państwowego, zapożyczający się u jednego i u drugiego sąsiada; od indywidualizmu przejmuje to wszystko, co jest istotnie niezbędnem dla normalnego rozwoju jednostki i, co za tem idzie, dla podnoszenia się kultury ogólnej—od socyalizmu natomiast zasadę, że państwo ma szerokie obowiązki, przedewszystkiem czuwania nad wewnętrzną równowagą społeczeństwa. Takim sposobem socyalizm państwowy, chociaż zdaje się lawirować ciągle między Scyllą a Charybdą, staje się jednak samoistnym.

Zaraz w pierwszym i zasadniczym punkcie swego katechizmu socyalizm państwowy oddziela się głęboką przepaścią od socyalizmu zwyczajnego. O ile ostatni jest nawskroś antypaństwowym, o tyle pierwszy pozostaje ciągle i zupełnie na istniejącym gruncie stosunków realnych, z któremi się liczy i których ostatecznie radykalnie zmieniać nie pragnie. Dla niego pożądanem jest wprost istnienie państwa silnie

zcentralizowanego, boć właśnie takie państwo najłatwiej może osiągać wielkie cele społeczne; socyalizmowi państwowemu, który przyswoił sobie dewizę Fryderyka Wielkiego: „l'état existe pour tenir la balance entre les classes," zupełnie nic nie przeszkadza być ściśle monarchicznym; silna monarchia jest mu raczej na rękę, stąd też najwybitniejsi rzecznicy tego kierunku, jak profesorowie Schmoller i Wagner, wyrażają się bez ogródki, że silna monarchia jest dla każdego kraju błogosławieństwem, o ile pamięta o powyższej dewizie Fryderyka.

W tym samym stopniu prawie socyalizm państwowy różni się od systemu indywidualnego; dobrobyt ogółu ważniejszym jest dla niego stanowczo, aniżeli dobrobyt jednostki; wogóle ideałem jego i celem nie *pogłębianie*, lecz *rozszerzanie* dobrobytu (*extensiv*, *nicht intensiv*). W imię świętych zasad, głoszonych przez Chrystusa, którego chętnie i często cytuje, żąda niemiecki socyalizm państwowy, aby i w rzeczach czysto ekonomicznych i etyce dano odgrywać pewną rolę; zdaniem jego, co etycznie jest złem, to i ekonomicznie dobrem być nie może; wbrew smutnie trafnemu przysłowiu: „człowiek człowiekowi wilkiem," ma i w kwestyach ekonomicznych wytworzyć się stosunek człowieka do człowieka, zaś tej rzeszy maluczkich i słabych w ciężkiej walce o byt należy się pomoc, którą atoli może dać oczywiście tylko państwo, stojące po-nad klasami. Z tego też powodu socyalizm państwowy specyalnie w kwestyi robotniczej bardzo ostre zajmuje stanowisko, przyznając państwu i jego organom w najszerszym zakresie prawo, a nawet *obowiązek* interwencyi.

Rzecz prosta, że pięknemi temi hasłami, które w naszych czasach roznamiętnionych dziką i brutalną walką o byt, wprost dziwne sprawiają wrażenie, określoną została dopiero jedna, rzec można, „frontowo-reklamowa" strona systemu, o którym mowa; socyalizm państwowy posiada jeszcze uboczne cele, dzięki którym jedynie musiał pozyskać sobie sympatye takiego Bismarcka; do kwestyi tej, zawierającej, kto wie, czy nie kwintesencyę całej sprawy, powrócimy atoli później dopiero przy opisywaniu roli, odegranej tu przez Bismarcka i Hohenzollernów.

Niemniej i w każdym razie kwestyi nie ulega, że reforma, do której dąży socyalizm państwowy, ma podkład silnie humanitarny i filantropijny. Jak widzieliśmy, streszcza się ona etycznie w najszerszem przeprowadzeniu zasady, że dla dalszego istnienia świata i kultury potrzebną jest opieka państwa nad słabymi; ponieważ zaś dla dopięcia tego celu nieodzownem jest znowuż rozszerzać kompetencye i funkcye państwa, tedy system, stanowiący temat pracy niniejszej, przyswaja sobie praktycznie drugi bardzo ważny postulat i żąda, by państwo, jako czynnik społeczny, odgrywało nadal rolę mniej bierną nawet w sprawach czysto ekonomicznych i stawało w tej dziedzinie wprost do współ-

zawodnictwa z pracującą jednostką. Reforma tego rodzaju—zdaniem jej rzeczników—nie była-by ani przewrotem, ani krokiem w tył, ani staniem w miejscu.

Etyczno-teoretyczna strona systemu u wszystkich jego obrońców przedstawia się mniej więcej jednakowo; praktyczna natomiast, to jest znajdująca wyraz w takich a takich żądaniach, u różnych bywa różną. W kwestyi, gdzie i kiedy ma się zaczynać, gdzie i kiedy ma się kończyć interwencya lub inicyatywa państwa, niema dotąd zgody, a to poprostu dlatego, że niema tu ani instancyi najwyższej, ani wogóle dłuższej przeszłości i praktyki, bez czego żaden system nie nabiera jednolitości. Granice zakreśla i tu, w teoryi jedynie temperament danego publicysty, lub męża stanu, w praktyce zaś charakter lokalny dziedziny, o którą przy danej reformie idzie. Z tego też powodu urzędowy program socyalizmu państwowego—o ile wogóle istnieje—wolnym jest najzupełniej od wszelkiego doktryneryzmu; socyalizm państwowy nie jest jeszcze szkołą, lecz dopiero kierunkiem, a właściwie mówiąc—jak powiedział ks. Bismarck—tylko punktem widzenia.

Szczupłe ramy, z natury rzeczy pracy niniejszej zakreślone, nie pozwalają zająć się różnicami, dzielącemi programy rozmaitych matadorów tego kierunku; rzecz prosta, że jak przy każdej reformie społecznej, tak i tu praktyka musiała pozostać znacznie w tyle za teoryą, nie krępującą się żadnemi realnemi stosunkami. Z tego powodu wypadnie poświęcić obszerną wzmiankę tylko dwom przedstawicielom tego kierunku, uwydatniającym poniekąd obie jego strony, z których jeden wciela w siebie całkowitą jego teoryę, drugi zaś całkowitą praktykę. Pierwszym jest profesor wszechnicy berlińskiej, Adolf Wagner, który dał nowoczesnemu socyalizmowi państwowemu naukową szatę i powszechnie uważanym jest za głównego obrońcę tego kierunku,—drugim oczywiście książę Bismarck, który pierwszy uczynił w ostatnich kilku latach swego urzędowania znaczny krok w tym kierunku, inaugurując tak zwaną nową „erę socyalną,“ czyli właśnie panowanie „socyalizmu państwowego.“

II.

Program Wagnera [1]).

Program Wagnera z tego powodu głównie jest charakterystycznym, że ten spiritus rector reformy socyalnej, który za ostatnich lat

[1]) Confer. tegoż autora: „Rede über die Sociale Frage.“ Berlin, 1872. W mowie tej, wygłoszonej w październiku 1871 r., Wagner streścił cały swój program reformatorski i od tego czasu ści agnął na siebie uwagę ogółu, a zwłaszcza kanclerza.

Wilhelma I odgrywał, jako deputowany i agitator, bardzo wielką rolę, inspirując niejako kanclerza, bynajmniej nie chce się krępować ciasną względnie dziedziną prawodawstwa fabrycznego. Socyalizm państwowy jego autoramentu pragnie przeciwnie ogarnąć jak najszersze obszary życia ekonomicznego, na którego polu chciał-by przeciwstawić dla takich a takich pobudek, nie koniecznie fiskalnej natury, ekonomicznej pracy jednostki ekonomiczną pracę państwa, znajdującą wyraz w przeróżnych monopolach. Zdaniem Wagnera, Europa wstąpiła w „nową erę socyalną,“ którą cechują nowe idee ekonomiczne, nowe punkta widzenia polityczne; jedynem kryteryum do oceny jakiejkolwiek instytucyi społecznej ma być jej wpływ na dobro ogółu, stąd musi nastąpić pod tym względem „rewizya“ tych instytucyi, a wszystkie, które pod tym względem krytyki nie wytrzymują, należy usunąć, lub odpowiednio zreformować.

Oto przewodnia myśl reformy Wagnera, dająca się nakształt owej sławnej nitki czerwonej w powrozach marynarki państwa angielskiego, odszukać w każdym projekcie tego polityka. Jasnem jest, że po tak radykalnem postawieniu kwestyi zasadniczej, wszystko inne wysnuwa się logicznie samo z siebie. Jakoż, postępując konsekwentnie w raz obranym kierunku, Wagner wyznacza przedewszystkiem państwu, jako czynnikowi, reprezentującemu z natury rzeczy ogół każdego społeczeństwa, bardzo szerokie pole działania, zwłaszcza w dziedzinie ekonomicznej, i nie waha się wprost oświadczyć, że duch czasu żąda, by gospodarka jednostek ustąpiła miejsca gospodarce państwowej. Niedaleko już tedy od Wagnera do Lassalle'a. *Bête noire* Wagnera jest oczywiście kamień węgielny systemu manczesterskiego, zasada nieinterwencyi państwowej, zdaniem jego, prowadząca właśnie do coraz większych różnic społecznych i niezdrowych stosunków kastowych, siejąca z tego powodu nienawiść klasową. Uznając najzupełniej pedagogiczne znaczenie samopomocy — uniwersalnego lekarstwa szkoły przeciwnej — twierdzi Wagner jednak, że w bardzo wielu wypadkach życia codziennego nie można żądać od biednego i słabego, aby sobie sam pomógł, i tu, zdaniem jego, zaczyna się dla państwa obowiązek przychodzenia tej kategoryi obywateli z pomocą.

Następnie przystępuje Wagner do nicowania drugiej zasady, na której opartym jest gmach jego przeciwników. Dla owej osławionej „wolnej konkurencyi“ szkoły liberalnej Wagner mało posiada sympatyi; nie idzie on tak daleko, by wprost żądać powrotu do średniowiecznych stosunków cechowych, nie mniej atoli i tu kładzie on rękę na ranę i pyta się, czy ograniczenie swobody osobistej na pewnych polach nie było-by w pewnych wypadkach pożądanem. Ważny to punkt, a przytem bardzo charakterystyczny, i dlatego nie od rzeczy będzie zilustro-

wać go przykładami z życia praktycznego. Jak wiadomo, jedną z bardziej palących kwestyi chwili bieżącej w każdem państwie przemysłowo rozwiniętem jest stopniowe wyludnianie się wsi na rzecz miast szybko się rozwijających, wskutek czego po wsiach panuje często dotkliwy brak siły roboczej, gdy w przepełnionych miastach szerzy się nędza. Aby temu zaradzić, Wagner proponuje ni mniej, ni więcej, tylko ograniczenie t. zw. „swobody cyrkulowania i osiedlania się“ (Freizügigkeit), przez co po raz drugi staje w biegunowej sprzeczności ze szkołą liberalną, dla której swoboda jednostki w wybieraniu miejsca pobytu jest, jak wiadomo, czemś w rodzaju *noli me tangere*.

W tym samym duchu traktuje Wagner kwestyę swobody zawierania małżeństw, przyswajając sobie poniekąd pogląd Malthusa; stąd w swobodzie żenienia się widzi jedną z przyczyn pauperyzmu i pyta się, czy państwo nie powinno stawiać przeszkód osobnikom, pragnącym zawierać związki małżeńskie, a nie posiadającym ku temu materyalnie żadnych kwalifikacyi. W dziedzinie rzemieślnictwa nakoniec Wagner przyznaje się otwarcie do sympatyi dla dawniejszych instytucyi cechowych, nie dopuszczających do rozpanaszania się fuszerki i wyraża wprost życzenie, by państwo egzaminowało fachowo uzdolnienie rzemieślników. (Jakkolwiek w odrębnej formie, ten ostatni punkt został w Niemczech prawie urzeczywistnionym; nowe prawodawstwo przemysłowe powróciło w tym kraju do niejednej zasady, właściwej dawnym cechom).

Ulubiony argument Wagnera to rzekomo „na wskroś etyczny duch epoki naszej,“ domagający się załagodzenia kontrastów społecznych. Wagner żąda, aby dola klas pracujących polepszoną została specyalnie pod tym względem i to odrazu w najszerszym zakresie, chociaż takie np. podwyższenie zarobku robotniczego musi oczywiście w tym samym stosunku zmniejszyć zysk przedsiębiorcy. Tutaj, jak widzimy, Wagner oddala się zasadniczo od socyalistów, pragnących zniwelować wszystkie różnice społeczne, gdy on je chce tylko w miarę możności załagodzić. „Wiem dobrze—powiada on—i nie taję się z tem, że ostatecznie reforma moja zuboży bogatych, by zasilić biednych; nie mniej bogaty nie będzie miał żadnego słusznego powodu użalać się, bo tego, co mu zabiera moja reforma, będzie mu nadal zawsze jeszcze daleko mniej brak, aniżeli było dotąd brak biednemu; nawet po przeprowadzeniu takiej reformy pozycya klas pracujących będzie gorszą od warunków, w których żyją klasy zamożniejsze.“

Oprócz ogólnego podwyższenia zarobków robotniczych, żąda Wagner oczywiście i rozmaitych innych jeszcze punktów, zmierzających do osłodzenia losu jednostki pracującej, a które po większej części już

stały się w Niemczech obowiązującemi, tak np.: poleca zmniejszenie, lub, o ile można, unormowanie dnia roboczego, jako jedyny środek, gwarantujący moralne i fizyczne zdrowie klasy robotniczej; następnie, dla względów religijnych, obowiązkowe obchodzenie niedzieli, jako też przymusowe ubezpieczanie robotnika przez pracodawcę od skutków choroby lub wypadku. Nakoniec w ostatniej części swego programu reformy przemysłowej Wagner powraca formalnie do pomysłów Lassalle'a, wyrażając zdanie, że w pewnych warunkach kredyt, udzielany przez państwo korporacyom robotniczym, mógł-by te ostatnie postawić na nogi i wyzwolić zupełnie z zależności od kapitału. Ciekawem jest, że Wagner występuje nawet z propozycyą, by niektóre kopalnie, należące do skarbu pruskiego, zostały tytułem próby na pewien czas urządzone w duchu Lassalle'a, wrazie zaś pomyślnego wyniku, aby ten sam los obowiązkowo spotkał wszystkie fabryki prywatne.

W kwestyach podatkowych i celnych Wagner musi być oczywiście z natury rzeczy obrońcą systemu podatków pośrednich, ale i tu żąda, by tylko te artykuły ulegały podatkowi, bez których robotnikowi łatwo się obejść; w myśl tego żąda, by podatek, resp. cło od zboża, piwa, soli, kawy, mieszkania były jak najniższe, natomiast przedmioty zbytku były opodatkowane jak najwyżej. Bezpośrednie podatki chce całkowicie zwalić na barki klasy zamożniejszej, by zwolnić od nich zupełnie robotnika. Opodatkowanie ma przedewszystkiem trafiać dochód procentowy i rentowy, oraz jak najwięcej spekulacyjno-giełdowy, a w każdym razie ma być silnie progresyjne. Nie kwestyonując w zasadzie prawa spadkowego, przyznaje Wagner jednak państwu bezwarunkowe prawo do udziału w każdym bez wyjątku spadku, a to z powodu, że jedynie dzięki kosztownemu aparatowi sądowo-policyjnemu, oraz konsularnemu, utrzymywanemu przez państwo, spadkobiercy mogą w każdym pojedyńczym wypadku spokojnie dochodzić swych praw i posługiwać się pomocą organów państwowych. Podatek spadkowy, jako przypuszczalnie bardzo wydajny, ma rosnąć ze stopniem pokrewieństwa i sumą spadku, a dalsze stopnie pokrewieństwa mają nawet być zupełnie pozbawione prawa do spadkobrania.

Najbardziej interesującym staje się program Wagnera w swych poglądach na kwestyę posiadania ziemi. Zdaniem jego ziemia, to coś zupełnie odrębnego, co nie posiada nic wspólnego z innemi wartościami, a to dla tej prostej przyczyny, że jest jej tylko pewna ilość, której żadna praca powiększyć nie jest w możności. Otóż, ponieważ ziemia jest jakby artykułem monopolowym, z drugiej zaś strony podstawą całego życia fizycznego, tedy we wszystkich urządzeniach i prawach, dotyczących ziemi, interes jednostki musi bezwzględnie zostać podporządkowany dobru ogółu.

Z tego powodu, zdaniem Wagnera, państwo (ewentualnie gmina), nie naruszając zasady własności prywatnej, ma jednak obowiązek wykupywania w najszerszym zakresie i systematycznie ziemi z rąk prywatnych, a mianowicie:

Dla fiskalnych, a także i klimatycznych przyczyn, dążyć do objęcia w posiadanie wszystkich lasów. Wagner wskazuje tu głównie na dwa fakta: lasy mają wielki wpływ na klimat danej okolicy i nieracyonalne trzebienie ich ze strony nierozumnej jednostki miało pod tym względem nieraz już najfatalniejsze skutki; następnie dowiedzionym jest faktem, że gospodarka leśna, na wielką skalę i podług jednego systemu przez i na rachunek państwa prowadzona, wydaje nieskończenie lepsze owoce, aniżeli w rękach prywatnych; w Niemczech wszak i tak już połowa lasów jest własnością państwa, w niektórych krajach zaś związku niemieckiego dochody z lasów stanowią ważną pozycyę budżetu; po anneksyi Hanoweru Prusy wykupiły natychmiast lasy i osiągnęły stąd odrazu bardzo dobre rezultaty; rzecz prosta zaś, że zwiększenie dochodów państwowych daje możność zmniejszania podatków.

Mniej stanowczym i mniej jasnym jest Wagner w swych poglądach na ziemię orną; przyznaje wprost, że mała posiadłość w rękach prywatnych z punktu widzenia socyalnego jest całkiem pożyteczną, potępia natomiast własność większą, wyżywiającą rzekomo za mało ludzi w stosunku do zajętego obszaru i z tego tytułu nieprodukcyjną. Solą w oku natomiast jest mu każda prywatna własność w miastach, umożliwiająca najrozmaitsze spekulacye domami, wskutek czego komorne w budżecie niższych klas tak wielką odgrywa rolę. Już choćby dlatego, że wartość gruntu budowlanego w miastach notorycznie i stale się podnosi, żąda Wagner, aby państwo i gminy, jako oba jedyne wyrazy solidarności ludzkiej, podjęły tu wspólną akcyę: państwo, wykupując grunt, gmina, wykupując budynki, i zapewnia, że taka reforma musiała-by siłą rzeczy być i zyskowną, i filantropijną.

Wszystkie arterye komunikacyjne, jako to: szosy, koleje żelazne, kanały, muszą bezwarunkowo być własnością ogółu, bądź-to państwa, bądź-to gminy. Koleje i kanały mają być przedewszystkiem instytucyami użyteczności publicznej, pod żadnym zaś pozorem nie mają służyć do osiągania grubych dochodów. Ideał Wagnera, upaństwowienie kolei, usuwa wszelką spekulacyę, która w każdej formie jest temu politykowi specyalnie nienawistną, i zapobiega wyzyskiwaniu publiczności, jeżeli zaś pozostaje nawet zysk, to jest to tylko nowy zasiłek dla skarbu, nie mówiąc już o tem, że i inne względy, jak ujednostajnienie administracyi, możność oszczędniejszej eksploatacyi, nakoniec i wymagania strategiczne za tem przemawiają.

Nakoniec żąda upaństwowienia tych kopalni, w których produkt, wydobywany z łona ziemi, nadaje się *odrazu* bez wszelkiej przeróbki do użytku, a więc stanowi również rodzaj monopolu; idzie tu o kopalnie węgla i soli, których naturalnego zapasu żadna siła ludzka przysporzyć nie zdoła. Główny nacisk kładzie tu Wagner na węgiel, jako na „chleb przemysłu,“ i wskazuje na analogiczną agitacyę w Anglii, gdzie, jak wiadomo, podnoszą się coraz liczniejsze głosy z żądaniem, by rząd zabronił dalszego wywozu węgla z Anglii, coraz bliższej dnia, w którym, ogołocona z własnego zapasu, będzie musiała sama zakupywać obcy węgiel z niemałą oczywiście stratą dla swego przemysłu.

Ostatnią część programu stanowią monopole państwowe; Wagner żąda zwłaszcza zmonopolizowania fabrykacyi tytuniu i spirytusu, powodując się przytem nie tylko czysto fiskalnemi względami, lecz i przeświadczeniem, że leży to w interesie konsumenta, by państwo przejęło na siebie wyrób tych artykułów, już choćby dlatego, że wyłączone będą wtedy wszelkie fałszowania, wobec których publiczność obecnie jest bezsilną. Podatnym materyałem do upaństwowienia i zmonopolizowania jest dla Wagnera również i obszerna dziedzina ubezpieczeń ogniowych, na życie i od wypadków, a to z powodu, że państwo bądź-co-bądź przedstawia poważniejsze rękojmie, aniżeli najbogatsze nawet towarzystwo akcyjne; oprócz tego, ponieważ państwo nie ciągnęło-by zysków dywidendowych, ubezpieczenie się stało-by się wogóle tańszem, a zatem i przystępniejszem dla ogółu i o tyle też pod względem socyalnym donioślejszem.

Tak przedstawia się w swych głównych zarysach teoretyczny program socyalizmu państwowego. Śmiałe idee, w nim wyrażone, oraz bezwzględny, charakterowi Wagnera właściwy, sposób obchodzenia się z teoryami szkoły przeciwnej, zjednały temu politykowi szeregi nieprzyjaciół i są powodem, że Wagner, na równi ze swym imiennikiem w muzyce, którego wogóle przypomina, z początku był bardzo niepopularnym i niesłychanie napastowanym; w pierwszem dziesięcioleciu po wojnie francuskiej, gdy uparcie z katedry uniwersyteckiej i trybuny parlamentarnej wygłaszał swe teorye, nie zgodne z duchem owej epoki, sylwetka jego nie schodziła z pism humorystycznych, które w drwiący sposób illustrowały jego projekta. Wobec faktu atoli, że znaczna część jego programu została urzeczywistnioną i nadała piętno polityce socyalnej państwa niemieckiego, którego wielki kanclerz przyswoił sobie poglądy Wagnera w wielu punktach, postać tego ostatniego nabiera wypukłości i znaczenia; nie przesądzając zgoła pożyteczności praktycznej jego reformy, uznać wolno i należy wytrwałość, z jaką płynął przeciwko prądowi, gdy jeszcze nie miał potężnego poparcia u kanclerza.

III.

Socyalizm państwowy i ks. Bismarck.

Z powyższego wynika, że znaczenie socyalizmu państwowego, jako kierunku, tem głównie się tłómaczy, iż system ten odrazu znalazł potężnego protektora w takim mężu stanu, jak książę Bismarck. Jakoż faktem jest, że kanclerz na własną poniekąd odpowiedzialność, nie zważając na zacięty opór części narodu i na trwożliwą nieufność drugiej połowy, popchnął politykę socyalną cesarstwa niemieckiego na nowe zupełnie tory. Bez Bismarcka system Wagnera pozostał-by programem akademickim, adoptowany zaś przez męża stanu tego kalibru uniknął szczęśliwie tych wszystkich niebezpieczeństw, o które rozbijały się po kolei reformy socyalne innych projektodawców, i stał się po kilkunastu latach zaledwie z przedmiotu teoretycznych sporów—urzędowem hasłem najpotężniejszego z państw zachodniej Europy. Czynniki, które się na ten ciekawy fakt złożyły, były zarówno politycznej, jak i psychologicznej natury; aby zaś dobrze uchwycić te obie strony kwestyi, należy się przenieść myślą w epokę, która nastąpiła w Niemczech po wojnie 1870 roku.

Upojony doznanemi tryumfami, przedewszystkiem zaś zaabsorbowany najzupełniej kwestyami wielkiej polityki europejskiej, kanclerz nie zwracał w początkach tej posedańskiej epoki zbytnio uwagi na agitacyę socyalistyczną, co prawda, w owych czasach jeszcze nie bardzo potężną; bo, gdy przy tegorocznych wyborach liczba głosów socyalistycznych wyniosła już prawie dwa miliony, to po wojnie nie przekraczała jeszcze o wiele skromniejszej cyfry sta tysięcy. To też przez dziesięć lat prawie, polityka wewnętrzna księcia Bismarcka przedstawia nader ciekawy widok, bo rząd formalnie ignoruje niebezpieczeństwo, grożące państwu ze strony socyalizmu; dopiero znane zbrodnicze zamachy w roku 1877 na życie sędziwego Wilhelma I. sprowadzają zmianę pod tym względem i stają się powodem, że kanclerz siłą prawie przeprowadza szereg praw, specyalnie przeciwko agitacyi socyalistycznej wymierzonych. Drakońska surowość tych praw atoli przez krótki tylko czas tamuje rozwielmożnianie się socyalizmu, który przeciwnie właśnie od tego czasu i pod panowaniem tych praw wyjątkowych nadaje sobie znakomitą organizacyę bojową, by rozpocząć agitacyę już na największą skalę. Jakoż w krótkim czasie, mniej więcej od roku 1880, socyalizm, nakształt lawiny alpejskiej, staje się dla Niemiec strasznem niebezpieczeństwem i rozlewa się po całym kraju, podkopu-

jąc podwaliny ustroju państwowego. Wszystkie większe miasta, z Berlinem na czele, zalane są jego propagandą, lub wprost już wybierają do parlamentu posłów socyalistycznych, których grono ciągle się powiększa; bezrobocia umiejętnie zorganizowane i rozruchy w centrach przemysłowych stają się zjawiskiem prawie codziennem, uczucie niepewności ogarnia klasy zamożniejsze, a nawet do armii, tej spiżowej podstawy państwa, wkrada się tajemnemi kanałami agitacya socyalistyczna.

To też w krótkim czasie, bo od roku 1877-go książę Bismarck osobiście obejmuje spuściznę po Delbrücku, by i w dziedzinie polityki wewnętrznej kierować losami Niemiec; od tej też chwili zaczyna gorliwie studyować naturę kwestyi socyalnej, by dotrzeć do źródła złego i, o ile można, ująć rewolucyę w swe ręce. Myśl, która porusza miliony, jest groźną, nawet gdy jest utopią; cóż dopiero, gdy rzeczywiste powody dostarczają jej codzień nowego pokarmu i zyskują nowych popleczników. Zdawał sobie z tego wszystkiego jasno sprawę sternik nawy państwa niemieckiego i dlatego metoda jego w polityce socyalnej staje się rychło dwojaką: nie przestając zgoła krępować socyalistów drogą praw wyjątkowych, utrudniających im znacznie agitacyę, rząd niemiecki przenosi, że tak powiemy, pole walki do obozu nieprzyjacielskiego i, aby wytrącić agitatorom i prowodyrom socyalizmu najlepszą ich broń z ręki, zwraca się wprost do szerokich mas robotniczych i wyraża w imieniu dynastyi gotowość do wielkostylowych reform społecznych i do znacznych ustępstw, o ile te masy robotnicze odwrócą się od swych wodzów. Aby zaś nie narażać się na zarzut gołosłowności, rząd niemiecki istotnie zaraz po owem sławnem orędziu tronowem wystąpił z szeregiem ważnych reform społecznych, dążących do poprawy doli klas pracujących.

Taką była geneza faktu, iż rząd niemiecki tak nagle rzucił się na pole socyalne i w tak prędkiem tempie przeprowadził szereg praw socyalnych znaczenia, nie dającego się na razie zupełnie obliczyć. Po-za tem wybór systemu socyalizmu państwowego z pośród tylu innych, do analogicznego celu dążących, sam w sobie dziwnym nie jest; mieliśmy już sposobność zaznaczyć, że system ten lepiej, niż każdy inny, zgadza się z warunkami realnemi, w których żyjemy, chociaż w zasadzie czyni wcale poważne ustępstwa dla socyalizmu. Następnie, na co może jeszcze większy nacisk położyć należy, socyalizm państwowy — jak już również o tem była mowa — jest nawskroś monarchicznym; podstaw dynastycznych nietylko że nie osłabia, lecz przeciwnie, sprzyja zwiększaniu się uroku dynastyi, której przedstawicielowi nadaje poniekąd pa-

tryarchalno-opatrznościową rolę i przeznacza szczytne bardzo posłannictwo.

Stając się w krótkim względnie czasie zagorzałym rzecznikiem zasad socyalizmu państwowego, kanclerz miał oczywiście na widoku nie tylko mir, spadający stąd na dynastyę, lecz i pewne postronne względy, dla niego może jeszcze ważniejsze. Od roku mniej więcej 1878 polityka wewnętrzna księcia Bismarcka streszcza się w nieustannej wojnie na dwa fronty: z jednej strony zwalcza i ściga socyalistów, z drugiej walczy z oppozycyą wolnomyślną, dla której czuje dziwnie namiętną nienawiść. Jak wiadomo, dzięki zawziętości iście starotestamentowej, cechującej nie zawsze wzniosły charakter tego męża stanu, stosunek jego do oppozycyi stał się w krótkim czasie prawie że nieprzyzwoitym; nienawiść swoją, zwłaszcza dla osoby Richtera—równie bezwzględnego i równie szorstkiego—kanclerz posuwał tak daleko, że niejedna z jego mów była już proprostu gradem obelg, miotanych na oppozycyę, odsądzaną przez niego od czci i wiary i ogłaszaną za wrogów państwa. Tem jedynie tłómaczy się zdumiewający skąd inąd fakt, że np. jeszcze w roku 1880, a zatem w czasach, gdy charakter agitacyi socyalistycznej był już zupełnie jasnym, kanclerz powiedział w parlamencie — szczerze, czy nie szczerze — że woli, by do izby weszło dziesięciu socyalistów raczej, aniżeli jeden wolnomyślny. Jeżeli uwzględnimy, że oppozycya w Niemczech jest bądź-co-bądź ściśle monarchiczną, a przedewszystkiem sama zwalcza najgorliwiej socyalizm, to powyższe powiedzenie kanclerza da nam pojęcie, jak nienawistną mu była ta oppozycya.

Nie zapominajmy zaś, że ostatecznie zasada interwencyi państwowej w praktyce prowadzi wprost do wzmocnienia rządu, identyfikującego się w takich razach z państwem; nadając zaś organom rządu szersze znacznie kompetencye, zwłaszcza prawo, a nawet obowiązek mieszania się do stosunków prywatnych, tem samem wywołuje silną centralizacyę i biurokratyzuje wszystkie stosunki, co dla ambitnego i żądnego władzy męża stanu, w rodzaju Bismarcka, tylko arcysympatycznem być oczywiście musiało. Jakoż tak się też i stało: kanclerz odrazu uchwycił kwestyę z tej, a nie innej strony, i jego-to dzieło przedewszystkiem, że od czasów tej socyalnej reformy zasada interwencyi państwowej stała się w całych Niemczech podstawą życia społecznego.

Od lat mniej więcej piętnastu, socyalizm państwowy stał się w Niemczech—jeżeli się tak można wyrazić—rzeczą mody, i grasując na wszystkich polach, przyczynia się już potrosze do gmatwania pojęć.

Ponieważ kardynalna zasada jego opiewa, że państwo ma prawo i obowiązek mieszać się do stosunków prywatnych, o ile wymaga tego równowaga wewnętrzna społeczeństwa, świat naukowy niemiecki staje się rażąco bezkrytycznym, dopatrując się w każdej pierwszej lepszej inicyatywie rządu objawów socyalizmu państwowego, i to nawet tam, gdzie niema najmniejszego ku temu powodu. Tak np. powszechnie jest teraz przyjętem w Niemczech mówić o cłach opiekuńczych, zaprowadzonych przez kanclerza, lub o jego usiłowaniach kolonizacyi Afryki na rzecz Niemiec, jako o naturalnych ogniwach „epoki socyalizmu państwowego.“ Związek atoli, zachodzący między kwestyami np. celnemi lub kolonialnemi a socyalizmem państwowym — tak, jak go pojmuje Bismarck—jest tak luźnym, że należy nam odrazu wyznaczyć te dziedziny, których istotnie nie sposób traktować z innego punktu widzenia.

W polityce, jak i wszędzie, praktyka pozostaje w tyle za teoryą, to też, jak dotąd, socyalizm państwowy, wyrażony urzędowo w reformach rządu niemieckiego, zdążył przyswoić sobie praktycznie dwa dopiero punkta z powyżej wyłuszczonego programu Wagnera, wszystkie inne pozostawiając przyszłości, a mianowicie dziedzinami owemi są:

1) prawodawstwo fabryczne,

2) monopole państwowe.

Powiedzmy z góry, że, o ile co do punktu drugiego, reforma socyalna Bismarcka po-za obrębem upaństwowienia dróg żelaznych wzbogaciła historyę tylko projektami monopolowemi, bezzwłocznie przez parlament odrzuconemi, o tyle co do punktu pierwszego wzniosła już potężny gmach w postaci zupełnie nowych praw przemysłowych, streszczających w sobie kwintesencyę całej sprawy.

IV.

Asekuracya przymusowa.

a) *regres robotnika przed reformą.*

Broniąc przed parlamentem swej reformy, książę Bismarck kładł stale największy nacisk na to, że właściwie idee, wyrażone tak dobitnie w systemie socyalizmu państwowego, nie mogą zgoła uchodzić za coś bezwzględnie nowego, nie dającego się pogodzić z dotychczasowemi tradycyami polityki i dynastyi pruskiej. Rzecz prosta, że zapalony

wielbiciel idei monarchicznej, jak Bismarck, nie szczędził przy każdej takiej sposobności gorących pochwał dynastyi pruskiej, poczuwającej się jakoby już od czasów Fryderyka Wielkiego, a nawet i Wielkiego Elektora, do obowiązku opiekowania się dolą maluczkich i pokrzywdzonych. Niezupełna to nawet legenda, ponieważ istotnie i w dawniejszych epokach historyi pruskiej, przedewszystkiem zaś w reformach Steina i Hardenberga, powyższa zasada o obowiązku państwa czuwania nad zachowaniem równowagi wewnętrznej w społeczeństwie jest wcale dobitnie wyrażoną.

Ważniejszym atoli jest stwierdzony przez kanclerza w obronie swej polityki fakt, że pruskie prawo krajowe, wprowadzone w Prusach w roku 1794 i obowiązujące tam do dziś dnia, zawiera pewne paragrafy, które nie tylko że nakładają na państwo tego rodzaju obowiązki, lecz potrosze zbliżają się do socyalizmu, mianowicie do najgłówniejszego postulatu szkoły Lassalle'a, owego osławionego „prawa do pracy.“ Rzecz to o tyle ciekawa i ważna, że na te to właśnie paragrafy prawa pruskiego powoływał się książę Bismarck, gdy, ku zgorszeniu stronnictw liberalnych i ogłupieniu niemal całego parlamentu, w wielkiej swej mowie o kwestyi socyalnej z dnia 9 maja 1884 roku stanął, mimo swego urzędowego charakteru, po stronie socyalizmu, uznając ową zasadę „prawa do pracy,“ jako słuszną i legalną [1]).

To też właściwej cechy, nadającej reformie socyalnej Bismarcka zupełnie odrębny charakter i różniącej ją zasadniczo, gdzieindziej szu-

---

[1]) Oto dosłowne brzmienie tych paragrafów, zawartych w prawie Pruskiem, część II, art. 19:

a) Obowiązkiem państwa jest pamiętać o wyżywieniu i utrzymaniu tych obywateli, którzy sami nie mogą sobie znaleźć utrzymania.

b) Tym obywatelom, którym brak tylko środków i sposobności do zarabiania na siebie i na swą rodzinę, winna być ku temu wskazaną praca, odpowiadająca ich uzdolnieniu i siłom.

c) Ci obywatele, którzy z lenistwa lub innych złych skłonności nie wyzyskują sposobności, danej im do zarabiania na siebie, będą drogą przymusu lub kary zmuszeni do pożytecznej pracy pod odpowiednym nadzorem.

d) Państwo ma prawo i obowiązek zastosowywania właściwych środków w celu zapobiegania zbytniemu zbytkowi, jako też biedzie obywateli.

e) W każdej miejscowości władza policyjna ma obowiązek opiekować się losem tych wszystkich biednych i środków pozbawionych osób, którym inną drogą nie można już przyjść z pomocą.

Dla ścisłości swoją drogą zaznaczyć należy, że kanclerz ograniczył się wtedy do zacytowania powyższych paragrafów prawa krajowego pruskiego, nie czyniąc atoli w tym kierunku praktycznie żadnego dalszego kroku.

kać należy. Hasło, że klasom socyalnie pokrzywdzonym należy się opieka i pomoc — jak widzieliśmy — dla Prus nie było nowem, a i tak musi być zresztą wszędzie z natury rzeczy podstawą każdej rozsądnej polityki rządowej; natomiast właściwą i najważniejszą cechą tej reformy jest to, że na tem polu nie zostawia nic dobrej woli pracodawcy, lub też przezorności jednostki, lecz w zamian tego wszystkiego wprowadza wszędzie wprost nieznany dotąd czynnik *przymusu* państwowego. Ponieważ nowy ten czynnik najwyraźniejszą odgrywa rolę w asekuracyi robotników, która jest wogóle klasyczną dziedziną i najdotykalniejszym owocem reformy społecznej ks. Bismarcka, tedy wypada tej kwestyi obszerniejszą wzmiankę poświęcić.

Rzecz prosta, że w kraju, stojącym na tak wysokim stopniu kultury, jak Niemcy lub Prusy, prawodawca nie może nigdy bezkarnie ignorować potrzeb życia realnego; to też w miarę rozwijania się przemysłu fabrycznego w Niemczech, prawodawca ciągle obostrza przepisy i wciąż zwiększa odpowiedzialność pracodawcy za nieszczęścia, wydarzające się robotnikowi przy pracy. Podczas ostatnich lat 30 przed reformą, a zatem mniej więcej od 1850 do 1880, Prusy, a za ich przykładem prawie zawsze i inne państwa niemieckie, wprowadziły u siebie cały szereg praw o tendencyi bardzo jasnej, dążących wyraźnie do zapewnienia robotnikowi regresu do pracodawcy na wypadek jakiego nieszczęścia. Tylko że sposób brania się do rzeczy był tam zgoła inny, aniżeli u socyalizmu państwowego. Przed prawodawstwem kanclerza bowiem odpowiedzialność przedsiębiorcy względem poszkodowanego robotnika zasklepiała się zawsze w ciasnych granicach prawa prywatnego, to znaczy: robotnik miał prawo i możność dochodzić swych pretensyi drogą procesu, ale sprawę jego sądziły zwyczajne sądy, nie zawsze kompetentne; w braku zaś dowodów winy przedsiębiorcy, akcya robotnika pozostawianą była bez skutku.

Nie trudno wyobrazić sobie, jak tego rodzaju porządek rzeczy zakłócał spokój społeczny. Jakoż w dziesięcioleciu przed i po wojnie francuskiej na porządku dziennym są takie procesa między fabrykantami a robotnikami; procesa te, siłą rzeczy bardzo często rozstrzygane niepomyślnie dla robotnika, zaostrzały niezmiernie charakter kwestyi socyalnej i powiększały nienawiść klasową. W bardzo licznych wypadkach znowuż sądy przyznawały w zasadzie poszkodowanemu robotnikowi prawo regresu, ale do osoby nie dość zamożnej, by wyrok taki dawał robotnikowi, oprócz satysfakcyi moralnej, i odszkodowanie materyalne; rzecz prosta zaś, że podobny rezultat procesu skutkom nieszczęścia nie zaradzał. Takim sposobem ostatecznie, mimo

faktycznego istnienia surowych dla przedsiębiorcy praw, robotnik był jednak na łasce losu; prawa te bowiem co najwyżej dawały mu opiekę w takich razach, gdzie wina przedsiębiorcy była oczywistą, lub przez prokuratora dowiedzioną, ale zostawiały go zupełnie bez pomocy w tych znacznie częstszych wypadkach, gdzie spadające na niego kalectwo było następstwem nieszczęścia nie spowodowanego niczyją winą.

Oto punkt, gdzie socyalizm państwowy, w reformie ks. Bismarcka wyrażony, zdobywa się na własne i samodzielne pomysły. Dla systemu tego ubezpieczenie robotników od skutków choroby, wypadku i starości, nie jest kwestyą prawa *prywatnego*, lecz prawa *publicznego;* mając to ciągle na oku, socyalizm państwowy nadaje asekuracyi robotnika nową zupełnie organizacyę państwową w szerokim zakresie i stwarza ad hoc specyalne instytucye i instancye, o których później będzie obszernie mowa. Ideą przewodnią całej reformy jest, że odszkodowanie, z którego korzysta robotnik 1) chory, 2) pokaleczony, 3) zgrzybiały, nie ma być ani jałmużną, poniżającą tego, który ją odbiera, ani ofiarą, wymuszoną dopiero drogą procesu od przedsiębiorcy. Odszkodowanie tego rodzaju ma przeciwnie stać się zasadą stosunków społecznych i być uważanem za tylko naturalny wyraz chrześciańskiego charakteru Rzeszy Niemieckiej. Z tego też punktu widzenia na rzecz się zapatrując, nadawał ks. Bismarck swej reformie chętnie szczytne miano „praktycznego chrześciaństwa."

Trzema wrogami jednostki, wynajmującej się do pracy — rozumuje kanclerz — są: 1) choroba, 2) nieszczęśliwy wypadek, 3) zgrzybiałość, ewentualnie wcześniejsza niezdolność do pracy; w myśl tego reforma socyalna znajduje wyraz w trzech fundamentalnych prawach asekuracyi przymusowej.

Pierwsze prawo (Krankenversicherunggesetz), uchwalone 15 czerwca 1883 r.

Drugie prawo (Unfallversicherunggesetz), uchwalone 6 lipca 1884 r.

Trzecie prawo (Alters und Invaliditäts Versicherung), uchwalone 22 czerwca 1889 r.

Wspólną zaś podstawą zarazem i cechą wszystkich tych ustaw jest: 1) *wzajemność*, 2) *samorząd*.

IV*b*. Asekuracya od choroby.

Najłatwiejsze względnie zadanie miała reforma socyalna na polu asekuracyi robotnika od chorób, a to z powodu, że istniały specyalnie

w tym celu już dawniej w Niemczech przeróżne kasy dla chorób; organizacya tych kas, o ogólnej liczbie przeszło 6,000, była niejednolitą, wskutek czego i działanie ich nie było systematycznie uregulowanem; nie mniej jednak z samego faktu, że kilka tysięcy takich kas istniało, wnioskować można, że przynosiły nie mało dobrego. To też na tem polu reforma socyalna nie występuje jeszcze zupełnie twórczo, lecz ogranicza się do roli organizatora, ujmującego wszystko w swe ręce; w gmachu zaś, który wzniosła, istniejącym już dawniej kasom dla chorych przypadła rola fundamentu, na którym spoczywa całe prawo asekuracyi od chorób.

Kardynalna zasada tej ustawy opiewa, że każdy bez wyjątku robotnik, wyrobnik lub rzemieślnik, pracujący w handlu lub przemyśle z płacą roczną niżej 2,000 marek, *musi* być w *jakiejkolwiek* kasie zabezpieczony od skutków choroby. Prawo to obowiązuje zatem przymusowo wszystkie jednostki, do powyższej kategoryi należące; niema wypadku ani sytuacyi, w których-by się stawało nieważnem; ubezpieczony nie może praw swych przelewać na kogo innego, ani też się ich wyrzekać w celu pozbycia się wydatku. Koszt ponosi w jednej trzeciej części pracodawca, w dwóch trzecich zaś sam ubezpieczony. Obowiązek pamiętania o ubezpieczeniu pracującego spada wyłącznie na pracodawcę, który wnosi też z góry całkowitą premię do właściwej kasy, co tydzień zaś strąca z pensyi robotnika wypadający na tego ostatniego udział. Jeżeli pracodawca zaniedbuje tych formalności, to podlega karze policyjnej, przytem w razie choroby robotnika ponosi całkowity koszt odszkodowania.

Dla jasności z góry zaznaczyć należy, że asekuracya od chorób znajduje organiczne uzupełnienie w asekuracyi od wypadków; czas trwania choroby decyduje, kiedy pierwsza asekuracya ustaje, druga zaś się rozpoczyna. Jeżeli mianowicie przemijająca niezdolność do pracy, spowodowana bądź przez chorobę, bądź przez wypadek trwa krócej, niż 13 tygodni, to przez cały ten czas opiekuje się robotnikiem asekuracya od chorób; jeżeli z początkiem czternastego tygodnia niezdolność do pracy trwa jeszcze, w takim razie rozróżnia się dwie alternatywy: jeżeli choroba przeciąga się i pozbawia chorego zdolności do jakiejkolwiek pracy na całe życie, lub co najmniej na jeden cały rok, to chory w oczach prawa jest inwalidem i, z pewnemi drobnemi zastrzeżeniami, może korzystać aż do śmierci, lub też do odzyskania sił, z renty dla inwalidów, którą daje trzecie prawo asekuracyjne; z początkiem zaś czternastego tygodnia aż do upływu tego jednorocznego terminu wspiera robotnika w dalszym ciągu, albo dobrowolnie kasa dla chorych, do której należy, albo obowiązkowo gmina—w myśl powyżej zacytowanych paragrafów prawa. W razie zaś, jeżeli ta niezdolność do pracy jest

wynikiem nieszczęśliwego wypadku, robotnik zaraz z rozpoczęciem się czternastego tygodnia dostaje się pod opiekę drugiego prawa, specyalnie asekuracyę od wypadków za treść mającego, o którem potem będzie mowa.

Podczas trzynastu tygodni najcięższa nawet choroba zwykle uleczoną bywa, o tyle też w bardzo znacznej większości wypadków choroby ta ustawa księcia Bismarcka jest w możności złemu zaradzić. O doniosłości tych dwóch praw, ciągle się uzupełniających, nabierzemy pojęcia, jeżeli uprzytomnimy sobie, że obecnie prawie 8 milionów ludzi pracujących jest drogą tej ustawy obowiązkowo ubezpieczonych; niema zupełnie takiej sytuacyi, by robotnik fabryczny lub warsztatowy, w razie choroby lub wypadku, znalazł się bez pomocy, a przytem należy jeszcze nadmienić, że wskutek wciągnięcia do asekuracyi od wypadków także i wyrobników rolnych i leśnych, cyfra ogólna ludzi, ubezpieczonych od wypadku, dosięga bajecznego poziomu 18 milionów.

Aby dojść do tej pewności, reforma socyalna zdobyła się na szczęśliwy nader pomysł, streszczający się w tem, że każda osoba pracująca, o ile nie jest ubezpieczoną w jakiejkolwiek innej kasie, dającej jej w razie choroby minimum odszkodowania określone prawem,—musi być obowiązkowo ubezpieczoną u gminy miejsca zajęcia. Takim sposobem asekuracya u gminy, zasłaniając w razie choroby jednostki, gdzieindziej nie ubezpieczone, urzeczywistnia ideał prawodawcy. Ponieważ jednak pociągało-by to za sobą znaczne obciążenie gmin, tedy prawo dozwala asekuracyi gminnej płacić ubezpieczonemu tylko prawne minimum odszkodowania, gdy inne kasy pod tym względem zapewniają swym członkom większe korzyści. Tem się też tłómaczy, że z wejściem tego prawa w życie, na gminy niemieckie nie spadł jednak wielki ciężar, ponieważ robotnik niemiecki woli się oczywiście ubezpieczać w tych kasach, gdzie ma pewność znaczniejszego odszkodowania.

Dla większej jasności należy poświęcić parę słów i tym innym kasom, do których należenie zwalnia od obowiązku ubezpieczania się u gminy, o ile ustawa tych kas zapewnia choremu członkowi przynajmniej prawem określone minimum. Kasy te, o ogólnej liczbie przeszło 22,000, rozdzielają się na następujące kategorye:

Fabryczne—urządzane przez fabrykanta dla swych robotników.

Budowlane—urządzane przez przedsiębiorców chwilowo dla robotników, zajętych przy większych budowlach.

Cechowe—urządzane kosztem cechów rzemieślniczych dla czeladników i terminatorów, zajętych u członków tegoż cechu.

Braterskie, Gwareckie } istniejące od dawna w kopalniach.

Wolne kasy wsparć—funkcyonujące w Niemczech na zasadzie ad hoc wydanego prawa z roku 1876, dla osób, łączących się w pewne grono dla gwarantowania sobie wzajemnie wsparcia na wypadek choroby.

Miejscowe—urządzone przez każdą gminę dla każdej gałęzi przemysłu oddzielnie.

Charakterystyczny nader szczegół stanowi następnie druga jeszcze zasada tegoż prawa. Oto wszystkie kasy w całych Niemczech, o ile są uznane i zatwierdzone przez państwo, są między sobą solidarnę co do swych zobowiązań; wskutek tego robotnik, przesiedlający się np. z Berlina do Kolonii, nie przestaje ani na chwilę być ubezpieczonym; oprócz zameldowania jego przybycia we właściwej kasie nowego miejsca zamieszkania — o czem pamiętać jest obowiązkiem pracodawcy — żadne wpisowe i t. p. formalności nie są tu potrzebne; każda jednostka ipso facto, że pracuje, jest gdzieś ubezpieczoną.

Powyżej podane szczegóły dają już niejakie pojęcie o śmiałym polocie intencyi kanclerskich. Teraz wypada pomówić o tem, co jego reforma daje w praktyce. Otóż, jako prawne minimum odszkodowania, asekuracya od chorób daje chorej jednostce: bezpłatną opiekę lekarską, bezpłatne lekarstwa wraz z bandażami, okularami etc., oraz, poczynając od trzeciego dnia choroby, wynagrodzenie pieniężne w wysokości połowy przeciętnego zarobku dziennego robotnika w danej miejscowości. Wszystko to trwa przez 13 tygodni, poczem pacyent przechodzi bądź pod opiekę gminy, bądź, o ile jest ku temu tytuł, pod opiekę prawa asekuracyi inwalidów. Powyższe dane określają atoli tylko odszkodowanie minimalne; wszystkie wyżej wyliczone kategorye kas specyalnych dają znacznie więcej, mianowicie obliczają wysokość odszkodowania pieniężnego nie podług przeciętnego zarobku dziennego w danej miejscowości, lecz podług wynagrodzenia, jakie istotnie pobierał chory, gdy był przy pracy. Oprócz tego przyznają wszystkie te kasy w tym samym stosunku wynagrodzenie położnicom przez trzy tygodnie od połogu, nie wglądając w kwestyę prawości dziecka, oraz wypłacają w razie śmierci na koszta pogrzebu dwudziestokrotny zarobek dzienny. Znane są nawet kasy tego rodzaju, wypłacające członkom trzy czwarte dziennego zarobku, a położnicom w razie potrzeby i przez sześć tygodni.

Prawo to, początkowo tylko na robotników fabrycznych i warsztatowych obliczone, zostało następnie rozszerzonem i dotyczy teraz i robotników, pracujących w przedsiębiorstwach transportowych, oraz wszelkiego rodzaju niższych pracowników w biurach instytucyi rządowych i prywatnych. Modyfikacye tu zarządzone, jako całokształtu sprawy nie zmieniające, pominąć wolno.

Chociaż tu i owdzie w praktyce wykazały się braki i usterki, nawet zajadli nieprzyjaciele socyalizmu państwowego nie przeczą już, że organizacya, nadana przez niego asekuracyi od chorób, spełnia swój obowiązek. Najchlubniejsze świadectwo temu prawu wystawia statystyka,—najwiarogodniejszy kontroler i sędzia w rzeczach społecznych—wykazująca, że od wejścia w życie tej obowiązkowej asekuracyi, gminy niemieckie ponoszą znacznie mniej wydatków na wspieranie biednych. Mylnem było-by przypuszczenie, że fakt ten tem się tłómaczy, iż dobroczynność została poprostu wyręczoną przez asekuracyę: rzecz ma się zgoła odmiennie, bo właśnie reforma socyalna niemiecka nie chce mieć nic wspólnego z jałmużną. W tem natomiast leży główne znaczenie tego rodzaju asekuracyi, że działa wyraźnie profilakcyjnie przeciwko nędzy, bo zaczyna pomagać choremu zaraz w początkach choroby, nie zmuszając go do wyprzedawania się z ruchomości, ani do pożyczania od lichwiarza. Nie dopuszczając do łoża choroby bladego widma głodu i ponurej rozpaczy o jutro, asekuracya ta jest najlepszym sprzymierzeńcem lekarza, któremu ułatwia zadanie i o tyle też jest prawdziwym postępem nietylko moralnym, ale i praktycznym.

IVc. Asekuracya od wypadków.

W bliźniaczym prawie stosunku do prawa o asekuracyi od chorób stoi druga kardynalna ustawa o ubezpieczeniu od nieszczęśliwych wypadków. Oba prawa opierają się na zasadzie, że każda jednostka pracująca i zależna musi być asekurowaną i, jak widzieliśmy powyżej, asekuracya od wypadków w licznych razach przeznaczoną jest do uzupełniania poniekąd asekuracyi od chorób. Stąd obie ustawy zostały jednocześnie przez rząd niemiecki w r. 1882 parlamentowi przedstawione. Wtedy atoli tylko ubezpieczenie od chorób zostało przyjętem i weszło w kilka miesięcy potem w życie, druga zaś ustawa przechodziła rozmaite jeszcze koleje, zanim się również stała obowiązującą. Jabłkiem niezgody między rządem a parlamentem była tu kwestya, kto ma ponosić olbrzymie koszta tej asekuracyi milionów ludzi, oraz jaka instytucya ma się podjąć takiego zadania. Przy układaniu prawa asekuracyi od chorób, rząd, jak to już zaznaczonem zostało, nie brał jeszcze pod tym względem zbyt wielkiego impetu reformacyjnego i dlatego koszt tej asekuracyi ponosi przeważnie, bo aż w dwóch trzecich, sam robotnik, ustawa zaś opiera się całkowicie na kasach dla chorych, które reforma kanclerza zastała już w pełnym rozwoju; temu też przy-

pisać należy, że z trzech tych ustaw asekuracyjnych pierwsza tak łatwo i tak prędko uzyskała większość w parlamencie, mającym wówczas mało zaufania do wysokolotnych zamysłów ks. Bismarcka.

W innej natomiast szacie wystąpiła odrazu część druga reformy, dotycząca ubezpieczenia od wypadków: tam rząd niemiecki otwarcie już podniósł sztandar socyalizmu państwowego, projektując, aby instytucyą ubezpieczającą było wprost państwo i aby skarb państwa ponosił połowę wszystkich kosztów asekuracyjnych. Śmiały ten projekt, właśnie dlatego, że był tak śmiałym, nie podobał się większości parlamentu, która nie chciała się zgodzić na tak jawny tryumf dwóch głównych postulatów socyalizmu i wolała raczej całą ustawę odrzucić. Ponieważ nie tylko w parlamencie, ale i w całym kraju, inicyatywa ta księcia Bismarcka spotkała się z nieufnością i niechęcią, tedy dał pod tym względem kanclerz rychło za wygraną i polecił wypracować drugą ustawę, znacznie złagodzoną i umożliwiającą wskutek tego kompromis. Oprócz Wagnera, miał tu wielki wpływ i udział eks-minister austryacki, profesor Schaeffle, jeden z najwybitniejszych rzeczników socyalizmu państwowego; w tym drugim projekcie subwencya państwowa miała wynosić już tylko 25% ogółu kosztów asekuracyjnych, przedewszystkiem zaś podejmować się asekuracyi miało już nie państwo, tylko korporacyjne organizacye przemysłowe, t. zw. „stowarzyszenia zawodowe“ (Berufsgenossenschaften), składające się z zakładów przemysłowych jednej gałęzi. Kwestya subwencyi państwowej atoli po raz drugi rozbiła cały projekt, który z tego powodu został ponownie przez parlament odrzuconym. Ponieważ jednak równocześnie rząd niemiecki doznał na polu prawodawstwa społecznego wielkiego tryumfu, przez przyjęcie wielką większością sejmu rzeszy ustawy asekuracyi od chorób, tedy i tym razem jeszcze kanclerz nie stracił otuchy i, nie chcąc zaostrzać zatargu, polecił wnieść po raz trzeci projekt asekuracyi od wypadków, porzucić atoli zupełnie myśl o najmniejszej choćby subwencyi ze strony państwa. Ustawa, w ten sposób zmodyfikowana, przeszła łatwo i 6-go lipca 1884 roku stała się prawem obowiązującem.

Mimo tych ustępstw dla oppozycyi, udało się kanclerzowi przeprowadzić bez szwanku zasadniczą myśl swego planu, mianowicie zupełne uwolnienie robotnika od wszystkich kosztów asekuracyi od wypadków; jakoż faktem jest, że przy obecnie obowiązującej formie tej ustawy całkowite koszta ponoszą wyłącznie owe „stowarzyszenia zawodowe,“ składające się tylko z pracodawców, ani zaś robotnik, ani nominalnie państwo w niczem się nie przyczyniają. Z góry wypada tu zaznaczyć, że słowo „nominalnie“ w zastosowaniu do państwa zostało tu użytem z namysłem; w trakcie zaś wyłuszczania mechanizmu asekuracyi od wypadków nadarzy się sposobność do wykazania, czy państwo istotnie

nie daje nic. Na razie przypatrzmy się ważniejszej względnie kwestyi, czy na prawdę udział robotnika w tej asekuracyi równa się zeru, i w tym celu zastanówmy się nad różnicą między asekuracyą od chorób i asekuracyą od wypadków.

Jasnem jest, że pierwsza wymaga daleko mniejszych środków, aniżeli druga; w razie choroby asekuracya znajduje wyraz w odszkodowaniu, ustającem wraz z chorobą, natomiast w razie wypadku—nietylko w odszkodowaniu, często dość znacznem, ale i w najliczniejszych razach—w rencie, którą należy wypłacać przez długi jeszcze szereg lat ubezpieczonemu, lub jego rodzinie. Asekuracya od chorób obciąża tylko chwilę bieżącą, asekuracya zaś od wypadków nakłada na przyszłość długotrwałe zobowiązania, których ciężar na razie nie daje się wcale obliczyć; katastrofy w rodzaju tych, jakie zdarzają się od czasu do czasu w kopalniach np., gubiąc setki ludzi, wywoływały-by następnie konieczność płacenia setek tysięcy w formie długobieżącej renty.

Z tego wszystkiego zdawał sobie dobrze sprawę tak trzeźwy i tak dobrze znający potrzeby życia realnego mąż stanu, jak książę Bismarck; o ile nie robił on sobie zgoła skrupułu z zepchnięciem całkowitych kosztów asekuracyi na barki wyłącznie pracodawców, bo mówił sobie, że takim sposobem ciężar, rozdzielając się równomiernie na wszystkich producentów danej gałęzi w Niemczech, może zostać po prostu wkalkulowanym do kosztu wyrobu — o tyle frasowała go myśl, że ciężar ten może utrudniać przemysłowi niemieckiemu współzawodnictwo z zagranicą. Stąd uciekł się kanclerz do środka zaradczego, który, jak to zwykle bywa, dla tego swego połowicznego charakteru nie podobał się nikomu i po obu stronach ściągnął na siebie zarzuty.

Środkiem tym było powyżej już wymienione postanowienie, że mianowicie niezdolność do pracy, nawet gdy wynika z nieszczęśliwego wypadku, podlega jednak przez pierwsze 13 tygodni asekuracyi od chorób. Jasnem jest, że nawet poważniejsze pokaleczenie może zostać w przeciągu 13 tygodni z gruntu uleczonem i usuniętem. Temu też przypisać należy fakt, stwierdzony drogą urzędowej statystyki, że na ogólną liczbę 138,057 nieszczęśliwych wypadków, zameldowanych w Niemczech w roku 1888, w 116,821, czyli w 85% ogólnej cyfry, odszkodowanie było płaconem przez asekuracyę od chorób, a tylko w 21,236 razach, naturalnie cięższej natury, przez właściwą asekuracyę od wypadków. Ponieważ zaś, jak widzieliśmy, kasy dla chorych zasilane są w dwóch trzecich przez robotników, a tak zwane wolne kasy nie otrzymują nawet nic od pracodawców, tedy powstał krzyk w obozie socyalistycznym, że dobrodziejstwa ustawy asekuracyjnej są czysto fikcyjne, ponieważ w praktyce prawie zawsze takim sposobem koszt asekuracyi od wypadków ponosi kieszeń robotnika.

Argument ten do dziś dnia odgrywa główną rolę w kampanii matadorów socyalizmu przeciwko prawom ubezpieczeniowym Bismarcka, a jednak nie trudno dowieść, że nie posiada znaczenia. Gdyby bowiem panowie Bebel, Hasenclever i inni z tego obozu chcieli być szczerymi, to nie zapominali-by naumyślnie, że miarą stopnia obciążenia w takich razach jest z natury rzeczy nie *ilość* pojedyńczych wypadków, lecz tylko *ciężar* wynikających stąd odszkodowań. To też wynika jasno z urzędowych wykazów, że chociaż kasom dla chorych w roku 1888 przypadło pokrywać skutki 85% nieszczęśliwych wypadków, to jednak ogólna suma tych odszkodowań wynosi zaledwie czwartą część ciężaru, który spadł na same stowarzyszenia zawodowe, lubo te ostatnie odpowiadały tylko w 15% wypadków. Ze względu na ilustracyjne znaczenie cyfr, nie od rzeczy może będzie podać właśnie w tem miejscu parę bardziej interesujących danych za rok 1888.

Otóż, jeżeli pominiemy robotników rolnych i leśnych, aby zająć się tylko bliżej nas tu obchodzącemi stosunkami fabrycznemi, to znajdziemy, że asekuracya od wypadków zamykała się w ramie 64 przemysłowych stowarzyszeń zawodowych, obejmujących 350,697 zakładów przemysłowych i 4,313,020 robotników. Wypadków było wogóle 138,057, z których, jak widzieliśmy, 21,236 nie dało się w przeciągu 13 tygodni wyleczyć; w liczbie tej mieści się zaś 2,943 wypadków śmierci natychmiastowej i 1886 absolutnego kalectwa, powodującego niezdolność do pracy. Ciężar, który z tytułu tych 21,236 wypadków spadł na pracodawców, określił się cyfrą 8,662,788 marek rocznej renty.

Na innem miejscu podajemy szereg cyfr jeszcze lepiej kwestyę tę oświetlających i dosięgających już roku ubiegłego; atoli już i powyższe cyfry są chyba dostatecznym dowodem, że zarzut socyalistów, jakoby to robotnik ponosił koszt asekuracyi od wypadków, jest bezpodstawnym, zwłaszcza, że ciągle należy tu pamiętać o wielkiej różnicy między odszkodowaniem jednorazowem a rentowem.

Zasadnicza różnica, zachodząca między asekuracyą, tak jak ją pojmuje socyalizm państwowy, a dochodzeniem swych praw drogą prawa prywatnego, znajduje wyraz w tem przedewszystkiem, że asekuracya Bismarcka nie odmawia ani nie zmniejsza odszkodowania i w tych razach, gdzie przyczyną wypadku jest oczywista niedbałość robotnika; tylko wtedy dobroczynne działanie prawa ustaje, jeżeli jest jasno dowiedzionem, że robotnik sam i naumyślnie wypadek spowodował. Stowarzyszenia zawodowe formują się na całe Niemcy, bądź podług danej gałęzi przemysłu, bądź—o ile liczba zakładów jednego rodzaju była-by na to za wielką—prowincyami; w każdym razie idzie głównie o to, aby

do jednego stowarzyszenia zawodowego należały tylko jednakowe lub przynajmniej możliwie sobie spokrewnione zakłady przemysłowe, narażające zatem robotnika na mniej więcej ten sam stopień niebezpieczeństwa.

Po upływie roku każde stowarzyszenie na zasadzie raportów swych członków oblicza, jaki ciężar spadł na nie w ciągu roku i rozdziela ten koszt na każdego członka, przyczem za podstawę do tej repartycyi służy: 1) ogólna suma płac robotniczych, jaką wypłaca dany fabrykant, 2) stopień, jaki zajmuje jego przemysł w raz na zawsze przez państwo ustanowionej t. zw. taryfie niebezpieczeństw, t. zn. że im więcej niebezpieczeństw przedstawia dla robotnika z natury rzeczy dany przemysł, tem więcej musi dany pracodawca płacić; te zaś opłaty asekuracyjne mają ten sam charakter co podatki i uchylenie się od tej zapłaty pociąga za sobą identyczne skutki, co odmowa płacenia podatków.

Asekuracya od wypadków dotyczyła pierwotnie bez wyjątków wszystkich robotników, zajętych w zakładach i warsztatach przemysłowych, a zarabiających rocznie mniej niż 2,000 marek, następnie zaś rozszerzona, dotycze obecnie i wyrobników leśnych i rolnych, chłopów posiadających mniej niż 10 hektarów gruntu, nakoniec drobnych przedsiębiorców, zarabiających do 2,000 m. rocznie, wskutek czego obejmuje razem około 18 milionów ludzi. Asekuracya ta, jak widzieliśmy, zaczyna działać z początkiem 14-go tygodnia, licząc od daty nieszczęścia, i zapewnia poszkodowanemu robotnikowi następujące odszkodowanie:

jeżeli niezdolność do pracy jest zupełną — renta pobierana aż do śmierci wynosi $^2/_3$ zarobku ostatniego roku;

jeżeli niezdolność do pracy zupełną nie jest, w takim razie renta wynosi pewną część dotychczasowego zarobku, oczywiście tem wyższą, im cięższem jest kalectwo.

Oprócz tego wszystkie koszta lekarskie ponoszone są, również od czternastego tygodnia, przez te stowarzyszenia.

Jeżeli wypadek powoduje śmierć, w takim razie spadkobiercy otrzymują natychmiast na koszta pogrzebu dwudziestokrotny zarobek dzienny zmarłego, w każdym razie nie mniej jak 30 marek. Oprócz tego spadkobiercy otrzymują jeszcze rentę płatną miesięcznie, mianowicie wdowa zmarłego otrzymuje aż do śmierci lub do dnia ponownego zamążpójścia piątą część, czyli 20% zarobku męża, dla każdego zaś żyjącego dziecka, aż do wieku lat 15 — jeszcze 15% tegoż zarobku, przyczem atoli ustawa zastrzega wyraźnie, że razem wszystkie te renty nie mogą wynosić więcej jak 60% całego zarobku zmarłego.

W razie ponownego zamążpójścia, wdowa otrzymuje jednorazowo sumę, wynoszącą trzy razy tyle, co przypadająca jej renta roczna. O ile zmarły utrzymywał rodziców, dziadków, a nawet i dalszych krewnych, to mają oni wszyscy prawo do renty, póki powyżej wskazana norma 60% nie została jeszcze wyczerpaną.

Ważnem jest, że chociaż ustawa asekuracyjna ma zastąpić prawo prywatne, niemniej poszkodowany ma możność poszukiwania swych praw jeszcze drogą prawa prywatnego na pracodawcy, o ile zapadł wyrok sądowy, że jedynym winowajcą jest niedbałość tego ostatniego. Tego rodzaju niedbali fabrykanci mają wtedy podwójną odpowiedzialność, po pierwsze: względem pokaleczonego robotnika, któremu muszą wypłacić to, co mu prawo prywatne zasądza *po-nad* odszkodowanie wynikające z ustawy asekuracyjnej, po drugie: względem stowarzyszenia zawodowego, do którego należą; to ostatnie bowiem w takich razach ze swej strony żąda odszkodowania od takiego pracodawcy.

Pierwszem i logicznem następstwem tego jest, że zadaniem stowarzyszeń zawodowych staje się nietylko właściwa asekuracya, lecz również i systematyczna czynność w kierunku zapobiegania wypadkom. Stąd stowarzyszeniom zawodowym dana jest pewna władza dyscyplinarna, na mocy której zarząd stowarzyszenia ma prawo zobowiązać swych członków do zaprowadzenia takich a takich-to środków ostrożności przy fabrykacyi i nakładać kary pieniężne na członków do tego się nie stosujących [1]). Szczęśliwa to nader myśl, ponieważ przemysłowiec, znający z praktyki naturę swej fabrykacyi, daleko jest kompetentniejszym do obmyślania tego rodzaju środków zaradczych, aniżeli np. inspektor fabryczny, bądź co bądź, biurokratycznie się na rzecz zapatrujący i zmuszony obznajamiać się z wszystkiemi fabrykacyami bez specyalizowania się.

Obszerniejsza wzmianka należy się jeszcze owym stowarzyszeniom zawodowym, na których niby na filarach wsparła się cała organizacya ubezpieczenia od wypadków. Każde stowarzyszenie ma charakter osoby prawnej, stąd wierzycielom służy regres tylko do majątku danego stowarzyszenia, nie zaś do majątku poszczególnych członków. Organami każdego stowarzyszenia są jego zarząd i zgromadzenie ogólne. Każda taka korporacya rządzi się statutami normalnemi, wypracowanemi w centralnym urzędzie asekuracyjnym w Berlinie. Wszystkie urzędy są bez pensyi i czysto honorowe; odmawiać przyjęcia tych urzędów wolno tylko dla ważnych powodów, w przeciwnym razie

[1]) „Die deutsche Socialgesetzgebung“ przez Konrada Bornhaka. Freiburg 1890.

składka takiego obojętnego członka może zostać tytułem kary powiększoną. Tam, gdzie dla organizacyjnych trudności nie mogło być mowy o utworzeniu stowarzyszeń zawodowych, a więc przy milionach ludzi zajętych w polu i w lesie, prawodawca postąpił odrębnie; tu mianowicie na miejsce tych stowarzyszeń obranym został naturalny podział administracyjny kraju podług prowincyi i okręgów. Zarząd takich okręgów asekuracyjnych leży zupełnie w rękach urzędników administracyi państwowej, rozłożenie kosztów odbywa się podług analogicznych zasad co przy asekuracyi czysto fabrycznej, ściąganie zaś tych opłat wprost przez ściąganie powiększonego podatku od pracodawców.

Ponieważ robotnicy nie ponoszą kosztów asekuracyi ich od wypadków, tedy nie mają ani udziału, ani głosu w stosunkach wewnętrznego zarządu stowarzyszeń zawodowych; natomiast w każdem stowarzyszeniu posiadają swych przedstawicieli, przeznaczonych do wydawania opinii o przepisach ostrożności projektowanych przez dane stowarzyszenie oraz do wchodzenia w skład sądów polubownych. Te ostatnie sądy posiadają wielkie znaczenie i, złożone każdy z dwóch robotników, dwóch pracodawców i jednego urzędnika państwowego, jako przewodniczącego, mają w pierwszej instancyi rozstrzygać nieporozumienia, mogące wyniknąć między pokaleczonym robotnikiem a odnośnem stowarzyszeniem zawodowem. Nie bez znaczenia jest tu drobny na pozór szczegół, że, jeżeli przy wyroku takiego sądu polubownego zachodzi taki stosunek, że oba głosy pracodawców łączą się przeciwko dwom głosom przedstawicieli stanu robotniczego, a przedstawiciel rządu dopiero musi swym głosem przechylić szalę na jedną lub drugą stronę, w takim razie wyrok nie ma mocy obowiązującej; jak widzimy, wszędzie prześwieca tu zabiegliwość prawodawcy, który pragnie przedewszystkiem, by każda sprawa była rozstrzyganą nie podług klasowych, lecz wyłącznie podług bezstronnych punktów widzenia, i aby w żadnym wypadku reformie socyalnej nie mógł być zrobiony zarzut, że się solidaryzuje z robotnikiem kosztem pracodawcy, lub znowuż z pracodawcą kosztem robotnika.

Nakoniec najwyższą instancyą sądową i administracyjną w dziedzinie asekuracyi państwowej jest centralny urząd asekuracyjny w Berlinie; chociaż tekst prawa, proponowany przez kanclerza i przyjęty wtedy przez parlament, czynił znaczne ustępstwa dla partykularyzmu niemieckiego, opiewając, że każde państwo związkowe ma prawo urządzić u siebie i dla swych spraw takąż samą instancyę centralną, niemniej, jak dotąd, żadne państwo związkowe z tego prawa użytku nie zrobiło; wskutek tego berlińskiemu urzędowi przypadło nie lada zadanie kierowania asekuracyą 18 milionów ludzi, co odpowiada przeszło trzeciej części narodu. Berliński urząd stoi bezpośrednio pod

kanclerzem i składa się oprócz prezesa z trzech członków stałych, mianowanych dożywotnio przez cesarza, i ośmiu członków niestałych; z liczby tych ostatnich czterech dostarcza rada związkowa, dwóch wybierają zarządy stowarzyszeń zawodowych, dwóch zaś robotnicy, czyli właściwiej mówiąc — ubezpieczeni. Berlińska instytucya jest wszędzie ostatnią instancyą; do jej kompetencyi należy wypracowanie statutów normalnych i taryfy niebezpieczeństw dla wszystkich stowarzyszeń, zlewanie i odgraniczanie tychże stowarzyszeń, kontrolowanie ich stanu majątkowego, jednem słowem: w urzędzie berlińskim ogniskuje się wszystko, co ma jakąkolwiek styczność z asekuracyą robotnika w sensie intencyi kanclerza.

Powyższe szczegóły dają może jakie takie pojęcie o istocie asekuracyi od wypadków w Niemczech, o ile jest wogóle możliwem streścić na kilku stronach tak zawikłaną i ogromną organizacyę. Dla miłości prawdy zaznaczyć należy, że ta druga ustawa asekuracyjna wykazała w praktyce znacznie większe usterki, aniżeli pierwsza, i posiada z tego tytułu ciągle jeszcze upartych wrogów, domagających się zniesienia jej lub zreorganizowania. Głównym argumentem jej przeciwników jest fakt, że organizacya stowarzyszeń zawodowych jest bardzo, ale to bardzo kosztowną. W samej rzeczy, zdumiewający to fakt, że chociaż połowa urzędów obsadzona jest ludźmi pełniącymi te obowiązki honorowo i chociaż olbrzymia korespondencya tego całego aparatu korzysta ze znacznych ulg co do kosztu marek pocztowych, niemniej koszta administracyjne stowarzyszeń zawodowych wyniosły w r. 1892 przeszło siedm milionów marek, co odpowiada prawie $^1/_4$ części sumy wogóle wypłaconych odszkodowań. Anomalia ta, mająca źródło w biurokratyczno-instancyjnem urządzeniu wewnętrznem całej tej organizacyi, jest wodą na młyn wszystkim przeciwnikom reformy socyalnej, twierdzącym, o tyle nie bez racyi — że te siedm milionów, które muszą zebrać między sobą pracodawcy, są na czysto wyrzucone, ponieważ ten sam cel dał-by się taniej osiągnąć, gdyby asekuracya oparła się na istniejących już i tak towarzystwach prywatnych.

Zahaczyliśmy tu niechcący o stary i zasadniczy spór, czy ulubiona metoda socyalizmu państwowego, polegająca na monopolizowaniu na rzecz państwa pewnych gałęzi handlu lub przemysłu, zwłaszcza dziedziny ubezpieczeń, — wydaje dobre czy też złe owoce; do sprawy tej atoli powrócimy i tak jeszcze przy okazyi praw monopolowych wniesionych przez ks. Bismarcka. Natomiast nie od rzeczy będzie zastanowić się nad poruszoną już przedtem kwestyą, czy państwo niemieckie nie daje istotnie żadnej subwencyi przy asekuracyi od wypadków.

Biorąc rzecz literalnie, nie ulega kwestyi, że skarb państwowy bezpośrednio nie daje tu nic; „bezpośrednio" atoli znaczy tu tylko tyle co „pozornie." Przedewszystkiem daje państwo niesłychanie wiele, użyczając całej tej organizacyi ubezpieczeniowej swego ramienia i oddając jej do dyspozycyi cały swój aparat urzędniczy. Ale pomijając już nawet tego rodzaju niepochwytne czynniki, odnajdziemy z łatwością punkta, gdzie pomoc państwa jest prawie że dotykalną. Mówiliśmy już o tem, że poczta przyznaje znaczne ulgi korespondencyi stowarzyszeń zawodowych co do opłaty porta; jeżeli uwzględnimy, że przy tak biurokratycznem urządzeniu całego aparatu, korespondencya między rozmaitemi instancyami przybiera bez przesady niesłychane rozmiary, to jasnem się stanie, że już to jedno ustępstwo jest dość poważnem.

Następnie należy pamiętać o roli, jaka przypadła wogóle poczcie niemieckiej przy całej tej sprawie. Poczta w Niemczech jest, jak powszechnie wiadomo, znakomicie urządzoną i chlubi się tem, że najmniejsza nawet wieś lub osada posiada własną stacyę, bądź wprost u siebie, bądź bardzo blizko. Dzięki temu rozgałęzieniu, poczta niemiecka stała się nietylko głównym i jedynym organem wykonawczym asekuracyi od wypadków, ale zarazem i jej bankierem. Porządek manipulacyi jest tu bowiem następujący: gdy tylko jakiekolwiek stowarzyszenie zawodowe otrzyma wiadomość od członka o wypadku i następnie po zbadaniu rzeczostanu wykaże się konieczność płacenia odszkodowania lub renty — wypłata tych pieniędzy uskutecznia się w miejscu zamieszkania poszkodowanego przez miejscowy urząd pocztowy; dopiero zaś na końcu każdego miesiąca centralny urząd pocztowy w Berlinie odbiera swoją należność od poszczególnych stowarzyszeń zawodowych, nie doliczając ani feniga tytułem procentu lub za zwiększoną pracę urzędników pocztowych.

Zasadniczo najważniejszym atoli jest punkt trzeci, którego doniosłość na razie nie daje się jeszcze matematycznie określić. Otóż kardynalna zasada asekuracyi od wypadków opiewa, że każde stowarzyszenie zawodowe, przez centralny urząd berliński zatwierdzone, jest *eo ipso* przez skarb państwa niemieckiego gwarantowane, i że gdy jedno z tych stowarzyszeń staje się niewypłacalnem, wszystkie jego zobowiązania i prawa spadają na państwo. Punkt ten, który był głównym powodem zaciętego oporu stronnictwa wolnomyślnego, w razie zbiegu fatalnych okoliczności, co w teoryi jest zawsze możliwem a czasami wydarza się i w praktyce, mógł-by istotnie doprowadzić do tego, że państwo *nolens volens* musiało-by przejąć na siebie długi i zobowiązania rentowe niewypłacalnego stowarzyszenia, co było-by już zupełną kapitulacyą przed żądaniami socyalizmu.

Co prawda, odkąd stowarzyszeniom zawodowym przyznanym został charakter osób prawnych, czyli, co to samo znaczy — odkąd wierzyciele tych stowarzyszeń nie mogą dochodzić swych praw i na majątku osobistym każdego z członków tegoż stowarzyszenia, gwarancya państwowa dla tych ostatnich była po prostu logiczną koniecznością, inaczej ideał ks. Bismarcka, zapewnienia renty *każdemu* poszkodowanemu w *każdych warunkach* stał-by się niemożliwym do urzeczywistnienia. Rzecz prosta, iż rządowi niemieckiemu takie bankructwo jednego z zatwierdzonych stowarzyszeń zawodowych było-by bardzo nie na rękę; to też ustawa stara się temu zapobiedz, przepisując, by każde stowarzyszenie odkładało rok rocznie rezerwy na nieprzewidziane wypadki. Tą drogą ma powstać kapitał zasobowy, dający stowarzyszeniom możność wywiązywania się ze swych zobowiązań nawet wtedy, jeżeli po nieprzewidzianej katastrofie, gubiącej setki ludzi, spadną na nie nagle wielkie i długobieżące zobowiązania. W tym samym celu centralny urząd asekuracyjny w Berlinie pedantycznie pilnuje, by stowarzyszenia zawodowe nie były co do wielkości i ilości zawartych w nich fabryk za drobne i za słabe, bo takie stowarzyszenia w razie katastrofy stały-by się najprędzej niewypłacalnemi; jakoż kilkakrotnie już urząd berliński widział się zmuszonym zlewać w jedną korporacyę fabryki nie jednakowej gałęzi przemysłu, lecz tylko sobie pokrewne, a to tylko dlatego, by wzmocnić ich zasobność w sensie asekuracyjnym.

Rzecz prosta, że żadne stowarzyszenie tak prędko nie zbankrutuje, ponieważ żadna norma prawna nie określa, do jakiej maksymalnej wysokości może dojść obciążanie fabrykantów należących do jednego stowarzyszenia. Stąd, ponieważ ściąganie opłat asekuracyjnych przypadających za każdy ubiegły rok na każdego członka odbywa się z tym samym rygorem, co ściąganie podatków, nie trudno wyobrazić sobie, że państwo nie tak łatwo zgodzi się, aby jego gwarancya nabrała praktycznego znaczenia kosztem skarbu, co całej tej organizacyi ubezpieczeniowej wystawiło-by naturalnie nie najlepsze świadectwo. Swoją drogą, wszystko ma swoje granice, tem bardziej prawo obciążania przemysłu niemieckiego, który i tak, dzięki dwom innym asekuracyom kanclerza, dźwiga znaczne ciężary, utrudniające mu konkurencyę z zagranicą. To też najpoważniejsi komentatorowie ustawy kanclerskiej zgadzają się na to, że konieczność ratunkowej akcyi skarbu, aczkolwiek nieprawdopodobna, wykluczoną jednak nie jest, wisząc raczej w powietrzu nakształt miecza Damoklesa; teoretycznie najzupełniej możliwą jest ewentualność, że w razie wielkich nieszczęść, wytwarzających wprost wyjątkową sytuacyę, państwo musiało-by jednak przyjść z pomocą temu lub owemu stowarzyszeniu.

Tak oto przedstawia się w głównych zarysach obecnie w Niemczech obowiązująca asekuracya robotnika od wypadków. Jak każde dzieło ludzkie, i ta ustawa nie jest wolną od usterek i nie jest idealną. Niemniej atoli nie upoważnia to jeszcze nikogo do zapoznawania głęboko etycznej idei, stanowiącej treść i duszę całej tej asekuracyi. Wyłączenie z całej tej obszernej dziedziny prawa prywatnego, uznającego tylko stopień *winy* a nie stopień *nędzy*, nie widzącego *nieszczęśliwych* tam, gdzie nie znalazło oprócz tego i *winnych*, — jest stanowczo wielkim tryumfem idei chrześciańskiej.

(Dokończenie nastąpi).

Karol Rose.

Z cyklu: „ITALIA."

VII.

W Loggiach.

I.

O moje oczy, zachwycone oczy,
W Rafaelicznej zatońcie przezroczy,
I pijcie w ciszy, z tej boskiej amfory,
Czar wizyj sennych i marzeń kolory,
O moje oczy!

O myśli moja, o myśli skrzydlata,
Co przelatujesz od świata do świata,
Pióra na mlecznych gościńcach roniąca,
Złóż loty swoje, trafiłaś do słońca,
O myśli moja!

O moja duszo, o piękna atomie,
Tu w nieśmiertelnym stanęłaś swym domie,
Tu zwiej się w tęcze, i w zorze, i w blaski,
Błogosławiona i pełna dziś łaski,
O duszo moja!

II.

Po krużgankach San Damaso
Echa pieśni rankiem płyną,
U sklepienia zawieszony,
Jak ptak, śpiewa Jan z Udino.

Jan z Udino ma w swej piersi
Złotych piosnek złote roje,
I wiośnianą ma paletę,
I gorących oczu dwoje.

Co pomyśli, to wyśpiewa,
Co wyśpiewa, to mu ręce
W żywe barwy przeczarują,
W malowany wtór piosence.

Jan z Udino, uczeń miły
Czarodzieja Rafaela,
Fantastyczny karton mistrza
W fantastyczny grotesk wciela.

Rajskie ptastwo, deszcze kwiecia,
Z zórz uwiany strop niebieski,
Jakieś dziwy z pozaświecia,
Rusałczane arabeski.

Przez arkady słońce wpadło,
Stapia linje, barwy miesza,

W czarodziejskiej perspektywie,
Opalowe mgły rozwiesza.

Przetwarły się raju wrota,
W jutrzenkowych róż purpurach,
A Serafy siedmioskrzydłe,
Na tęczowych wioną piórach.

Blaski sieją się świetliście,
Mży w powietrzu opar złoty...
Las to trzęsie z ognia liście,
W mórz to głębiach drżą klejnoty.

W kryształowe gdzieś przezrocza
Biegnie echo, w koniec z końca,
Krągłą falą dźwięk o barwę,
O dźwięk barwa się roztrąca.

Coraz światło się natęża,
Coraz czystsze tony płyną,
Po kartonie mistrza wodzi
Lekką ręką Jan z Udino.

Coraz wyżej płonie słońce,
Na złocistej płynie łodzi,
Po krużgankach San Damaso
Papa Giulio w bieli chodzi.

Chodzi w bieli i w purpurze,
Orle czoło, śniade lice,
Rubinowy krzyż na piersiach
Ciska wielkie błyskawice.

Przenikliwe, mądre oko,
Na powietrznej wisi fali,

A w sygnecie mu rybackim
Złotą skrą się słońce pali.

W bieli chodzi papa Giulio,
Nie zdejmując z fresków oczu,
W fioletach i w purpurze
Dwór go czeka na uboczu.

W fioletach i w purpurze,
Dwór go czeka, chwile płyną,
Nie odejdzie papa Giulio,
Póki śpiewa Jan z Udino.

On sam, zda się, strofą pieśni,
On sam w łuki i otoki
Miękką linją, zda się, spływa,
Powolnemi idąc kroki.

On sam wsiąka w barwy, w blaski,
Pompejańskie tła rozbiela,
I jest jedną z cudnych wizyj
Czarodzieja Rafaela.

VIII.

F a u n.[1])

I.

Kapitoliński tańczy Faun,
Zaklęty w marmur boski,
Rozkoszą życia dyszy mu pierś,
Pierś naga i bez troski.

---

[1]) Tańczący Faun Praksytelesa. Kapitol—Rzym.

Miękką się linją grzbiet mu gnie,
Subtelne grają kości,
Uderza stopa w bachiczny rytm,
W bachiczny rytm młodości.

Dwa dźwięczne krążki w ręku wzniósł,
W takt je do skoku trąca,
Widać, jak w żyły nabiega mu krew,
Krew bujna i gorąca...

Jak świeży gaj! Jak piękny świat!
Jak kipią życia miody!
W pląs nieśmiertelny puszcza się Faun,
Faun grecki, wiecznie młody.

Hellady śmierć, co białą skroń
Złożyła w mirt i róże,
I łoskot Romy, walącej się w gruz,
Przetańczył w tym marmurze.

I padł na niego ruin pył,
Proch przysuł go wiekowy,
A w nieśmiertelnym pląsie swym Faun
Nie zwrócił nawet głowy.

Zaczem wyjawił kształty swe
Z nieposkromioną siłą
Wiecznego piękna, które trwa,
Jakby się dziś zrodziło.

I nad rozpaczą naszych dni,
Nad starym światem ducha,
Kapitoliński tańczy Faun
I świeżem życiem bucha.

II. [1])

Rozpasał biodra i na pustej łagwi
Legł wina syty,
Zmrużonem okiem, jak płomieniem żagwi,
Mierząc w błękity.

Pijany? Gdzie tam! On tylko z dna czary
Dobył odwagi
Twarzą w twarz spojrzeć na Olimp ten stary,
Tak pusty, nagi...

Leży i patrzy. Na twarzy mu siada
Śmiech mądry, cichy,
Co Olimp cały w atomy rozkłada,
W proch zmienia lichy.

Bluźni? Niech Zeus ustrzeże wysoki!
On tylko ręki
Przepysznym ruchem wystawił w obłoki
Palec maleńki.

Tak w Arystyda atrium legł wspaniały,
Nagością hardy,
I patrzył w błękit, a lica mu grały,
Uśmiechem wzgardy.

. . . . . .

Strzeż się! Grzmi Zeus... Już boki wulkanu
Piorunem porze,
Już odegrzmiały, u nóg leżąc Panu,
Ziemia i morze.

---

[1]) „Faun pijany“ z Herkulanum. Neapol—muzeum.

Już z żył praświata krwi ogień wytryska,
War bucha siny,
Chybło się morze i leci z łożyska
Na port Resiny [1]).

Już śmierć poszczuła, co było żyjące,
Płomienną ręką,
I psy podziemne zawyły na słońce,
Czarną paszczęką.

Już pędzą z hukiem Hadesu trzy rzeki,
Na dom Arysta,
Już gród Herkula zalewa na wieki
Powódź ognista!

. . . . . .

Lat dwa tysiące przegrzmiało po świecie,
Tej pomsty echem,
A Faun, leżący na nagim swym grzbiecie,
Patrzył z uśmiechem.

I w bronz zaczerniał, i twardszy od spiży,
W tym śmierci boju,
W wiecznej się piękna zataił paiży,
Przetrwał w spokoju.

I jak przed wieki, drzemiące wśród chwały
Drażni niebiany,
Wytknąwszy w błękit ten palec swój mały,
Faun pijany.

---

[1]) Starożytny port Herkulanum, teraz Resina.

III. [1])

Postać śpiącego Fauna... Ta mi się została
W oku. Postać najcichsza, najśmiertelniej biała
I najśmiertelniej smutna, jaką kiedy dłuto
Zrobiło wizję smutku w marmury zakutą.

Tyle wód, lądów tyle dzieli mnie od niego,
A przecież oczy moje co dnia, w ciemność, biegą
Szukać tego oblicza nieśmiertelnej bieli...
Tyle wód, lądów tyle mnie od niego dzieli!

I zdaje mi się jeszcze, że tam przed nim stoję,
Że widzę go: tych ramion odrzuconych dwoje,
I tę głowę bolesną, zwróconą w błękity,
Głowę oskarżającą, choć wzrok ma nakryty.

Nad starą rzymską willą noc cicha się czyni,
Zagasł świat dla tych oczu spalonych pustyni,
Zagasł żar, co te żyły naprężał i tętna,
Nad starą rzymską willą noc czyni się smętna.

Faun zasnął. Z nim zasnęły palące ościenie
Żądzy; śmiech i szał zasnął; a duch nieskończenie
Pokrzywdzon w ciele tego półboga, półzwierza,
Nagle odklęty, w lazur skrzydłami uderza.

Jaki ból zbruździł czoło! Jaka rąk omdlałość!
Księżyc nasączył złota w marmurów tych białość,
Podniosła się oddechem pierś cicha i senna.
Jaki ból! Jaka nad nim gwiaździstość bezdenna!

---

[1]) „Faun śpiący“ z willi Barberinich.

Ja wiem, jak się ta krzywda nazywa i skarga:
To beznadziejność wzlotów, co świat cały targa,
To rozłamanie bytu, i myśli, i woli...
Ja wiem, jak się ta krzywda nazywa, jak boli.

Faun zasnął. Już rozkoszą zmęczył się i strudził.
Wtem w zwierzu nasyconym anioł się obudził,
I wstrząsnął białe pióra, i załamał ręce...
Anioł w szale poczęty, a zrodzony w męce.

I na wieki tak będzie, zostanie na wieki:
Pęd ducha porwanego w świat jasny, daleki,
I ciężar ziemi, skrzydła co łamie w tym pędzie...
Na wieki tak zostanie, i na wieki będzie.

Marya Konopnicka.

PRZYSZŁA WOJNA

JEJ EKONOMICZNE PRZYCZYNY I SKUTKI. [1]

ROZDZIAŁ XV.

Rola i znaczenie kawaleryi.

Wobec ogromnej doniosłości zadań konnicy, które dzisiaj będzie już bezporównania trudniej wykonać niż dawniej, a to wskutek bezdymnego prochu, wskutek morderczości nowej broni ręcznej i ulepszonych pocisków działowych, należało-by oczekiwać, że kawalerya wzrastać musi co najmniej w tym samym stosunku, jak inne rodzaje broni. Tymczasem rzecz się ma zupełnie inaczej: kiedy liczebność piechoty wzrastała stale i szybko, zastępy kawaleryi dawały wciąż też same liczby.

Ani jedno z rozpatrywanych przez nas państw nie stanowi pod tym względem wyjątku.

---

[1]) Patrz zeszyt sierpniowy.

Ilość kawalerzystów na 1,000 piechoty.

	w r. 1874	w r. 1891
w Rossyi	93	165
we Francyi	71	106
w Niemczech	66	102
„ Anglii	74	75
„ Austryi.	50	73
we Włoszech.	31	50

Porównawszy rok 1874 z 1891, znajdujemy w jednych państwach zmniejszenie się bardzo znaczne, w innych niewielkie; dawniejszy jednak stosunek nigdzie się nie utrzymał.

Ten niespodziewany wynik obliczeń przestanie nas dziwić, skoro się tej kwestyi przyjrzymy bliżej.

„Głównym przymiotem kawaleryi—mówi autor francuski [1])—winna być szybkość ruchów i siła uderzenia. Przymioty te zależą nie od jeźdca, lecz od konia. Koń też jest zasadniczem narzędziem taktyki dla kawaleryi, tak, jak dla piechoty jest karabin, a dla artyleryi działo. Narzędzia dwu ostatnich rodzajów broni udoskonaliły się nadzwyczajnie i doskonalą się ciągle, koń zaś pozostał takiem samem zwierzęciem czworonożnem, jakiem był za czasów Aleksandra Macedońskiego, Bayarda i Napoleona; może być wytresowany mniej lub więcej, ale wszystkie wady żyjącego organizmu pozostają i pozostać muszą".

Lecz chociaż liczebność jazdy w stosunku do innych broni nie wzrosła, a główny jej czynnik, koń, ulepszeniu ulegać nie może, niemniej przeto skutki działań kawaleryi w czasie obecnym mogą być bez porównania straszliwsze, aniżeli w wojnach przeszłych, szczególniej jeżeli sprawdzą się przewidywania i zapowiedzi, iż kawalerya państw współczesnych przedewszystkiem robić winna na ziemię nieprzyjacielską najazdy, podobne do dawnych *zagonów* tatarskich.

Myśl powrócenia do taktyki czasów ubiegłych, barbarzyńskich, weszła—można powiedzieć—w krew społeczeństw dzisiejszych. Nie

[1]) *Général Jung*: „Stratégie, tactique et politique". Str. 7.

będzie też pozbawionem interesu przyjrzenie się tej ewolucyi, tak sprzecznej z ideami nowoczesnego postępu.

I.

Wprawianie się kawaleryi do najazdów.

Przedewszystkiem każda z armii starać się będzie utrudniać i przeszkadzać przeciwnikowi przeprowadzać mobilizacyą, a to stanowi czynnik niezmiernie ważny dla dalszego rozwoju wypadków.

W czasach dawniejszych o tem nikt nie myślał, gdyż skład wojsk był inny; obecnie jednak, kiedy ogromna większość ludzi powoływaną jest pod sztandary dopiero wskutek wybuchu wojny i po jej wybuchu, jest rzeczą niezmiernie ważną przeszkodzić przeciwnikowi dokonać mobilizacyę wedle planu. Wojnę prusko-austryacką r. 1866 poprzedzał okres przesilenia, który trwał kilka tygodni. Przez ten czas mobilizacya dokonywała się stopniowo i w miarę gotowości korpusy były wysyłane ku granicy. Ale w czasie wojny 1870 r. armie stron obu mobilizowały się odrazu: francuska w skutek dekretu 15 lipca, niemiecka na rozkaz, wydany w d. 16 t. m.

Ruch wojsk francuskich ku granicy rozpoczął się już 16 lipca, a mianowicie korpus 2-gi wyruszył z obozu pod Châlons ku Saint-Avolde, na zachód od Saarbrücken. Francuzi o wiele wprzód niż Niemcy zgromadzili znaczne siły na granicy. Ale wojska francuskie przybywały tam w składzie stopy pokojowej, a rozwinięcie i napełnienie kadrów dokonywało się już na granicy. Kawalerya więc francuska mogła była probować przeszkodzić dokonaniu mobilizacyi niemieckiej w okręgach nadgranicznych, ale kawalerya ta nie była wcale przygotowaną do robienia podobnych najazdów, a sztab pruski doskonale o tem wiedział.

Rzecz oczywistą, że im poruszenia kawaleryi będą szybsze, tem skutek wypadnie pewniejszy. To też we wszystkich armiach odbywa się wciąż trenowanie jeźdźców i koni. Już zresztą w wojnie roku 1870—71 osiągano pod tym względem rezultaty bardzo wielkie. Np. szwadron 20 niemieckiego pułku dragonów, wyprawiony w d. 2 stycznia celem przywrócenia komunikacyi pomiędzy dwoma korpusami, zrobił w ciągu 36 godzin 186 wiorst, z których 93 przebył bez pokarmu przez okolicę górzystą w ciągu 12½ godzin [1]); miał przytem krótką wymianę strzałów z nieprzyjacielem.

---

[1]) *Wojennyj Sbornik* „Rozbiór dzieła Cardinal von Widdern“, przez Generała Suchotina.

Podczas wielkich zeszłorocznych manewrów we Francyi kawalerya robiła dziennie po 64 kilometry, bardzo mało przytem tracąc na rzeźwości i sprawności przy spełnianiu najtrudniejszych części swego zadania.

A. von Drygalski, znany pisarz wojskowy niemiecki, powiada [1]), że w Rossyi nadzwyczajnie pilna uwaga zwrócona jest na rozwijanie przez dłuższe lub krótsze ćwiczenia zdolności do robienia najazdów.

Toż samo stwierdzają źródła francuskie. „Revue militaire", przytacza fakt, że oddział, złożony z 6000 blizko koni, podczas wielkich manewrów, dokonanych w Królestwie Polskiem, w ciągu 44 godzin przebiegł 160—200 wiorst.

Lecz bardziej jeszcze pouczającemi aniżeli ćwiczenia, robione podczas pokoju, mogą być przykłady z działalności kawaleryi russkiej podczas wojny tureckiej 1887/8 roku.

Rzecz zupełnie naturalna, że wojskowi russcy niemało liczą na swoją kawaleryę. Jest ona przytem stosunkowo liczniejsza od konnicy mocarstw innych. Na 1,000 żołnierzy pieszych przypada w Rossyi o 27 kawalerzystów więcej niż w Niemczech, o 19 więcej niż w Austryi, o 22 więcej niż we Francyi, o 43 więcej niż we Włoszech i o 62 więcej niż w Anglii.

Szczególniej w kozakach Rossya posiada cenny materyał kawaleryjski.

Wówczas, kiedy Kozacy podczas pokoju dostarczają armii tylko około 59,000 żołnierzy, w ogromnej większości kawalerzystów, z chwilą wybuchu wojny z liczby 250,000 ludzi, obowiązanych do służby wojskowej, do szeregów wejdzie przeszło 172,000.

Ta liczba kawaleryi jest tak poważną, iż, byleby działała odpowiednio, to wszelkim wymaganiom, zarówno pod względem służby frontowej, jak i co do najazdów, prawdopodobnie zadosyć uczynić zdoła.

Przypuściwszy nawet, że całe 1,780 szwadronów kawaleryi, jakie Niemcy i Austrya wystawić mogą, użyte zostaną przeciwko Rossyi, to i wtedy jeszcze ostatnia, pozostawiwszy równą liczbę do odparcia nieprzyjaciela, zbywające 20,000 jazdy będzie mogła wysłać celem najazdu na ziemie przeciwników.

Pomimo to, nie brak w Rossyi głosów, domagających się powiększenia jeszcze liczby kawaleryi.

Stronnictwo generała Suchotina, należącego do tego kierunku, żąda sformowania jeszcze przeszło 170,000 jeźdźców. Rossya ma —

---

[1]) „Die russichen Sommerübungen". Berlin 1884.

rozumują oni — męzkiej ludności przeszło 42 miliony dusz, mogłaby przeto, jeżeli się przyjmie tylko 6% zdolnych do służby wojennej, wystawić armię z 2½ milionów.

Oprócz tego ma ona 20 milionów koni,—jeśli tylko 5% przeznaczymy dla kawaleryi, to wypadnie okrągło milion.

A zatem Rossya mogłaby z łatwością, bardzo oględnie licząc, wystawić armię polową, złożoną z 1½ miliona piechoty i ½ miliona jeźdźców. Powiadają jednak, że 500,000 kawaleryi jest za dużo, że wystarczy nawet 300 do 350,000.

W takim razie Rossya miałaby piechoty tyle co Niemcy i Austrya razem, ale kawalerya Rossyi była-by $2^1/_2$ raza silniejszą, i te masy jazdy przeleciały-by jak wicher przez kraje nieprzyjacielskie. Tak jak Anglia jest morskiem mocarstwem, tak Rossya byłaby krajem hufców konnych, czego słynne przykłady dali już kozacy. Musi więc ona korzyści, wpływające z naturalnych jej stosunków, wyzyskać.

Idee generała Suchotina nie są bynajmniej wyjątkiem. Cytowany wyżej głośny niemiecki pisarz wojskowy, A. v. Drygalski, oceniając doniosłość wskazanego kierunku, powiada:

„Widocznem jest, że taka masa kawaleryi, stojącej po większej części i bezpośrednio na granicy, przeznaczona jest nie tyle do celów odpornych, ile do zaczepnych, zresztą widać to już z nieustannego przypominania przez wszystkich russkich pisarzy wojskowych, że genialni wodzowie zawsze przekładali działanie zaczepne.“

II.

Sądy wojskowych niemieckich o reformie russkiej i o najazdach.

Jeszcze większe wrażenie w wojskowych sferach niemieckich zrobiła reforma kawaleryi russkiej, dokonana wskutek doświadczeń kampanii 1877/8 r., a to dlatego, iż reforma ta silnie spotęgowała zdolność konnicy do robienia najazdów.

Po ostatniej kampanii tureckiej russkie ministeryum wojny nakazało zbadać na podstawie doświadczeń, nabytych podczas wojny, jakie zmiany wprowadzić należy do organizacyi, wykształcenia, uzbrojenia i umundurowania żołnierzy. Ostatecznym rezultatem tych badań było, odnośnie do kawaleryi, przekształcenie huzarów i ułanów armii na pułki dragońskie (dekret cesarski z d. 26 lipca 1882 roku). Znaczyło to, iż cała kawalerya armii uzbrojona została w karabiny z bagnetami, aby w razie potrzeby nietylko szybko przybyć mogła na wskazaną pozycyę, ale zeskoczyć z koni i odegrać rolę piechoty.

Prócz tego, jednocześnie pułki kozackie podzielone zostały pomiędzy wszystkie dywizye jazdy. Nadto zreformowano i straż pograniczną w ten sposób, że obecnie różni się ona bardzo mało od czysto wojskowej jazdy, to też będzie mogła rozpocząć działanie w pierwszej minucie po wypowiedzeniu wojny z jednakowym prawie skutkiem, jak i inne części armii.

Zmiany te każą przypuszczać, iż konnica russka w przyszłości będzie miała wskazane zadanie inne, niż to, jakie odgrywała w przeszłości. Niepodobna przypuszczać, ażeby reforma miała na widoku wzmocnienie spieszonemi dragonami piechoty w bitwach przyszłej wojny. Wnioskować można, że w pewnych warunkach odgrywać ona będzie mogła rolę poważną. Napoleon mówił, iż 3,000 spieszonych dragonów śmiało atakować może 2,000 piechoty [1]).

Tym sposobem oddział kawaleryi russkiej, uzbrojony w karabiny, wtargnąwszy na terytoryum nieprzyjaciela przed zmobilizowaniem jego armii, będzie prawdopodobnie miał wszelką możność niszczyć środki komunikacyjne, to jest mosty, tunele, stacye, jak również magazyny, składy, zapasy, rezerwoary wodne i t. p.

Rzecz naturalna, iż dokonana reforma jazdy russkiej musiała zaniepokoić bardzo sąsiadów, to też wiele w tej materyi wysnuto domysłów, przewidywań, wiele wypowiedziano sądów i obaw. Chcemy zapoznać z niemi czytelników, gdyż są one same przez się ciekawe i wiele ważnych zagadek wojny wyjaśniają, a powtóre nie ulega wątpliwości, iż poglądy autorów wojskowych odzwierciedlają mniej więcej plany, istniejące w sferach miarodajnych.

O ile dziś wiedzieć można, w armii niemieckiej za dogmat przyjęto, że na którymkolwiek froncie wojna wybuchnie, inicyatywa działań, z powodu prędszej po części mobilizacyi, a nadewszystko koncentracyi, do Niemiec należeć będzie, to znaczy, iż wojska niemieckie zaatakują nieprzyjaciela na jego własnem terytoryum. O istnieniu przeświadczenia takiego przekonywają nas wszystkie głosy autorów niemieckich, dotyczące kwestyi przyszłej wojny. Naturalnem zaś następstwem takiego dogmatu być musi, że kwestya najazdu rozpatrywaną jest wyłącznie prawie przy wzięciu za punkt wyjścia kombinacyi, z takiego obrotu rzeczy wynikających.

W roku 1883-cim pojawił się w „Allgemeine Militär Zeitung“ (numer 93-ci) artykuł, który zwrócił na siebie powszechną uwa-

---

[1]) Cytata z Sainte-Chapelle: „Tendance de la cavalerie russe.“

gę [1]). Autor bardzo poważnie zastanawia się nad najazdami kawaleryi russkiej.

„Jazda niemiecka, zajęta regularną konnicą russką, nie będzie mogła uganiać się za 40 — 50,000 kawaleryi nieregularnej. Ta zaś, podzielona na masę drobnych oddziałików, może w kilka dni spustoszyć kraj, poprzerywać środki komunikacyjne, a sama kryć się w lasach.“ Jako środek przeciwko temu, autor wskazuje pobudowanie zawczasu w pasie granicznym grobli, pokopanie rowów, nasypów, pourządzanie zasieków; a dalej radzi on poosadzać linie dróg żelaznych gęstą tarniną, jeszcze przed wojną miejscowej ludności rozdać broń, nawet kobiety i dzieci uzbroić w rewolwery.

„Jeżeli zaś środki te przedsięwzięte nie będą, — autor niemiecki przewiduje—to jeszcze landszturm zgromadzić się nie zdąży, a już tysiąc pożarów zapłonie ze wszech stron, a linie kolei żelaznych zostaną w wielu punktach przerwane. Wraz z brzaskiem dnia, oddziały plondrujące pochowają się w lasach, a z nadejściem nocy następnej rozpoczną dzieło zniszczenia gdzieindziej. Jeżeli ludność miejscowa nie zdoła oprzeć się z jakim takim skutkiem najazdowi, to konnica russka nieregularna będzie miała zupełną swobodę gospodarki na terytoryum pruskiem.“

Dalej autor dowodzi, iż rząd russki udzieli podobnemu działaniu sankcyi, a na dowód przytacza zdanie nieboszczyka generała Skobolewa, wyrażające myśl, że wojna z Niemcami nie powinna być prowadzona inaczej, jak na sposób azyatycki.

Nie potrzebujemy dowodzić, że wystąpienie to wywołało bardzo poważne obawy w Niemczech i że starano się je uspokoić.

Niezadługo potem, bo w roku 1884, pojawiła się broszura, przedstawiająca rzecz z innego punktu widzenia: „Was haben wir von der russischen Kavalerie zu erwarten“ [2]).

Autor oblicza kawaleryę russką na 170,000 koni, niemiecką — 57,949 koni. Jednak z powodu gorszych warunków mobilizacyi i gorszego stanu dróg komunikacyjnych, „siły kawaleryi russkiej—powiada on—na początku wojny nie powinny znacznie przenosić sił jazdy niemieckiej, a z drugiej strony organizacya ostatniej stoi znacznie wyżej, niż pierwszej.“

---

[1]) Nie mając oryginalnego artykułu, powyższą cytatę bierzemy z dzieła Anti-Sarmatikusa: „Z Berlina i Wiednia do Petersburga i Moskwy, oraz z powrotem.“

[2]) Anonimowo. Hanower, 1884. Sainte-Chapelle w dziele: „Les tendances de la cavalerie russe“ powiada, że autorem ma być kapitan pruski, Dewal.

„Najazd kawaleryi russkiej musi się ograniczyć do pasu granicznego, najwyżej na dwa marsze od granicy. Dalej już oddziały spotkają należyty opór. Z myślą tego najścia Niemcy muszą się oswoić, zresztą mogło-by ono mieć poważne znaczenie wtedy tylko, gdyby za kawaleryą zaraz szły odpowiedne siły do osadzenia zajętych punktów, tego jednak, z powodu niedostatecznej szybkości mobilizacyi russkiej, obawiać się niema potrzeby. Zresztą najlepszą obroną będzie wtargnięcie w granice nieprzyjacielskie armii niemieckiej."

W kilka lat później, bo w r. 1888, zjawia się znowu w Niemczech broszura, która powinna była oddziałać na umysły uspakajająco, „Das russische Schreckgespenst." Autor podnosi kwestyę, iż konie jazdy russkiej zbyt są drobne, ale zapytuje:

„Dlaczego przy takiem bogactwie koni w Rossyi nie wybierają do jazdy wierzchowców rasy roślejszej? Odpowiedź brzmi krótko: „Ponieważ Rossyanie nie chcą już mieć kawaleryi, lecz *piechotę na koniach. Bitwa piesza* z boku i z tyłu nieprzyjaciela ma być głównym sposobem walki dzisiejszej kawaleryi russkiej; koń nie ma już być *bronią*, ale *środkiem transportowym;* kawaleryi przypadnie w pierwszej linii walczyć pieszo, ponieważ, według zdania miarodajnych sfer russkich, czasy ataków kawaleryi minęły..."

Lecz, wedle zdania autora, teorya taka jest zupełnie mylną.

„*Właśnie dzisiejszy rozproszony szyk bojowy piechoty* nastręcza kawaleryi wyborną szansę powodzenia."

Autor jak gdyby zdawał się umyślnie zapominać o tym szczególe, że wobec morderczości i donośności broni współczesnej zbliżenie się do piechoty dużemi masami jest poprostu niemożliwością.

Dalej dowodzi on, że na początku wojny Rossya nie będzie miała do dyspozycyi więcej kawaleryi, niż Niemcy, i że „w każdym razie Niemcy wespół z Austryą, choćby równocześnie i na Zachodzie zaangażowane zostały, mogą przeciwstawić Rossyi co najmniej równą liczbę kawaleryi, *jeżeli nie większą.*

„Widzimy przeto, że o zalaniu Niemiec przez russkie hordy kozackie—o czem zawsze plotą brednie—mowy nawet być nie może. Zapewne, że niedaleko od naszej granicy stoją dywizye kawaleryi russkiej, ale one nas nie przestraszą.

„Gdyby się poważyli przekroczyć granicę, to nasza, wybornie na ten cel urządzona, sieć kolejowa, sprowadziła-by tyle wojska, ile było-by potrzeba, ażeby zuchwalców, posuniętych naprzód, przepędzić.

„W tak gęsto zaludnionym kraju, jak Niemcy, i przy tak rozwiniętej sieci kolejowej, podobne napady wielkich mas kawaleryi nie mogą liczyć na powodzenie.

„Czyta się jednak często w dziennikach o zakłóceniu prawdopodobnem mobilizacyi przez wtargnięcie jazdy przez granicę zaraz po wypowiedzeniu wojny. Moltkemu mówił raz o tem ktoś ciekawy i otrzymał lakoniczną odpowiedź: „Wiem o tem.“ Otóż jeśli Moltke wiedział o tem i zarządzone środki uważał za dostateczne, to chyba tak źle nie będzie.“

Odpowiedź na dowodzenia i zarzuty tego rodzaju, jak powyższe, dał podpułkownik generalnego sztabu russkiego, Rausch von Traubenberg, w wydawnictwie petersburskiem „Wojennyj Sbornik“ [1]).

Twierdzi on, iż kawalerya russka może się mierzyć na koniu z każdą inną, a prócz tego jest w możności pieszo dokonać tego, czego inna z braku wyćwiczenia zrobić nie potrafi. Wobec więc olbrzymich zasobów, jakie jej kawalerya posiada, zarówno pod względem ludzi, jak i co do koni, armia russka ze spokojem oczekiwać może wypadków.

Zaznaczyć tu musimy, że dawniejszy krytyk kawaleryi russkiej, A. von Drygalski, w broszurze, tylko co wydanej, nie podziela przytoczonych poglądów autorów niemieckich i radzi na możliwą działalność konnicy russkiej w przyszłej wojnie patrzeć bardzo poważnie, gdyż postępy dokonane są istotnie bardzo doniosłe [2]).

Dosyć pessymistycznie na położenie, w jakiem znajdą się po wojnie nadgraniczne powiaty Prus, patrzy pułkownik Cardinal von Widdern w tylko co wydanej specyalnej swej pracy [3]). Rozpatruje on możność najazdu kawaleryi russkiej, przytem dla oceny jej działalności bierze manewry, które się odbyły w Królestwie Polskiem w 1876 r. i w których udział wzięło 4½ dywizyj kawaleryjskich, utworzonych z 73 szwadronów i mających 54 konno-artyleryjskie działa.

Przedewszystkiem zwraca on uwagę na wskazówki, dane wtedy dowódcom manewrów, co do napadu na punkta mobilizacyjne i kadry, jako dalsze zaś zadania kawaleryi podano wówczas: owładnięcie składami rządowemi wszelkiego rodzaju oraz kasami, a także stacyami pocztowemi i telegrafami, zniszczenie wojennych zapasów żywności, amunicyi i t. d., jak również dział i wszelkich przyrządów artyleryjskich; w razie zaś niemożności posługiwania się drogami żelaznemi do działań zaczepnych—opanowanie taboru, burzenie mostów, rujnowanie szyn, jak również węzłowych stacyi telegraficznych.

---

[1]) Cytujemy według Sainte-Chapelle: „Tendances de la cavalerie russe,“ str. 71.

[2]) A. v. Drygalski: „Zur Orientirung über die russische Armee.“ Berlin, 1892.

[3]) Cardinal von Widdern: „Der Grenzdetachements Krieg“.

Dalej dowódcy kawaleryi mieli przepisane w instrukcyach: wysyłać wielkie, lecz działające niezależnie, oddziały, celem niszczenia wszelkich składów, przeznaczonych do formowania wojsk, oraz celem chwytania transportów wszelkiego rodzaju.

Taki latający oddział wyprawiony został z Piotrkowa w kierunku punktów przeprawy przez Wisłę, odległych 120—160 kilometrów, biorąc w prostym kierunku; stamtąd zaś ruszył ku linii drogi żelaznej warszawsko-petersburskiej na najdalszy dystans 30 — 80 kilometrów. Przenosząc te odległości na terytoryum Prus, autor przypuszcza, iż oddział ten, przeszedłszy granicę, dotarł-by do punktów, leżących na tych samych odległościach na drogach żelaznych pruskich, np. do stacyi drogi toruńsko-berlińskiej Krzyża, do Krossen, w pobliżu Frankfurtu nad Odrą, i do Lignicy na Szląsku.

Oddział russki pierwszego dnia przebiegł 40 kilometrów, na drugą dobę szedł dzień i noc i zrobił 120 kilometrów, odpoczywając zaledwie 2—3 godziny. Razem więc zrobił on 160 kilometrów przez dwie doby po mokrych łąkach i błotnistych lasach. Koniom dawano tylko po 3 garnce owsa, przybyły zaś one, prócz jednego, w dobrym stanie.

Autor wyjaśnia dalej, jak trudno taki oddział latający zatrzymać, (chociaż w tym razie ku temu przedsięwzięte były wszelkie środki), a nawet jak trudno mieć o nim dokładne wieści. Wschodnia część wojsk manewrujących otrzymała od swych podwładnych organów wiadomości o zamiarze nieprzyjaciela przebycia Wisły w punktach, o 40 i 50 wiorst odległych od tych miejsc, w których oddział latający już się przeprawił 36 godzin temu. Jasną jest rzeczą — robi uwagę autor — iż łatwiej wyszykować i wyprawić oddział latający, niż zagrodzić mu drogę; dowodu dostarczają również najazdy kawaleryjskie podczas wojny północno-amerykańskiej.

Autor niemiecki robi dalej uwagę, że pomimo całej wymowy doświadczeń z manewrów kawaleryjskich, pozostawiły one pewną lukę; mianowicie: oddział latający był poprostu cofnięty, kiedy ogólne położenie obu stron zmieniło się, dlatego też niepodobna było przekonać się faktycznie, jak wyglądać będą oddziały, zapędzone tak daleko, gdy im wypadnie zrobić takąż samą drogę, wracając na koniach zmęczonych. Pułkownik von Widdern wskazuje trudności, jakie oddziały latające, które zapędzą się w głąb terytoryum nieprzyjacielskiego, będą musiały napotkać, dostawszy się w sieć wojsk nieprzyjacielskich wszelkich rodzajów broni. Ostatnie nie omieszkają napadać na biwaki oddziału, nie dadzą mu wytchnąć, zmuszą do osłabienia się przez wysyłanie rekonensansów na wsze strony i tak osłabione będą atakowały; przytem naturalnie niektóre rozjazdy mogą zgubić komunikacye i zaginąć.

To też pułkownik von Widdern dochodzi do wniosku, iż wogóle zapędzanie się oddziałów kawaleryi daleko w głąb nieprzyjacielskiego kraju połączone jest z koniecznością utracenia wielu z nich; ale „w Rossyi — mówi autor — wskutek olbrzymich przestworów, na odległości patrzą, w kawaleryi szczególniej, nieco inaczej niż u nas.“ „A ponieważ — dodaje — w Rossyi jest dużo dragonów i kozaków, prawdopodobnie więc zdecydują się tam na poświęcenie pojedyńczych oddziałów łatwiej niż u nas.“

Autor nie mówi wprost, jakich środków użyć należy celem obrony od najazdów kawaleryi, ale ze słów jego widać, iż uważa za potrzebne zwołać tam, gdzie najazd zagrozi, landszturm, a także liczy na współdziałanie władz cywilnych, dalej wszystkich pozostających w służbie rządowej oraz żandarmów celem otrzymania wiadomości. Przypomina on, iż podczas powstania polskiego w 1863 roku dowódcy wojsk, rozstawionych na granicy pruskiej, otrzymywali wiadomości od agentów, przebywających na terytoryum russkiem, prócz tego do wielu punktów na granicy posyłano zręcznych oficerów również celem dostarczania wiadomości. „Szczególniej—mówi on—pożytecznymi okazali się sprytni oficerowie, umiejący po polsku lub po russku, którzy potrafili rozmówić się z kupcami, z podróżnymi i nie wzbudzali podejrzeń. O ile w przyszłości może się okazać potrzeba wysyłania takich oficerów (naturalnie przebranych) po-za granicę russką, zależeć to będzie od biegu wypadków.“

Wreszcie dla przeciwdziałania najazdowi oddziałów kawaleryjskich von Widdern uważa za właściwe formowanie kolumn ruchomych. W przekroczeniu granicy drobnym oddziałom przeszkodzić niepodobna, i im bliżej granicy rozstawione będą wojska pruskie, „tem łatwiej nieprzyjacielskie oddziały latające mogą się przedostać po-za nie, szczególniej w tym czasie, gdy jeszcze pruskie podjazdy nie otrzymają rozporządzenia przejścia przez granicę russką.“

Dlatego też autor radzi rozlokować siły piesze wojsk w takiej odległości od granicy„ ażeby znajdujące się na samej granicy podjazdy pruskie wszelkiego składu — od patroli do szwadronów — zdążyły zakomunikować piechocie o wkroczeniu nieprzyjaciela na terrytoryum niemieckie.

III.

Sądy autorów austryackich o reformie russkiej i najazdach.

Kwestya wojny pomiędzy Rossyą a Austryą nie od wczoraj jest przedmiotem omówień i rozpraw. Chociaż faktyczny stan rzeczy nie usprawiedliwiał bynajmniej żadnych obaw najazdu ze strony Rossyi,

bo uzbrojenia jej były dopiero skutkiem przygotowań wojennych sąsiadów zachodnich, to jednak opinii publicznej wciąż nasuwano na myśl możliwość starcia, rozumowano, iż z tej strony grozi niebezpieczeństwo ruiny, a nawet zagłady.

W roku 1866 zjawia się broszura austryackiego Feldcejgmejstra v. Kuhna „O wojnie w górach," omawiająca sposoby obrony przeciwko Rossyi. Ten sam przedmiot stanowi treść broszur Madziara Kapolnyego „Die strategische Vertheidigung" (1868) i okrytego anonimem oficera austryackiego „Ideen über unser militärisches Verhältniss bei einem Kriege mit Russland."

Autor, rozpatrzywszy wzajemny stosunek krajów pod względem położenia i sił, przychodzi do wniosku, że zaatakowanie Rossyi ze strony Austryi jest niemożliwe. Powiada on tak:

„Należy *z początku trzymać się odpornie.* Góry, leżące przed naszym placem boju (Karpaty), są wałem, którego zdobycie niezmiernie dużo zabierze nieprzyjacielowi czasu i siły; z każdym krokiem, który go od jego podstawy operacyjnej oddali, rosną dla nieprzyjaciela trudności w utrzymaniu i uzupełnieniu armii, a przez zręczne manewry *my* będziemy mogli wybrać chwilę rozstrzygającą i możemy ją należycie przygotować. Gdyby zaś wypadła ona na naszą korzyść, wówczas nadszedł-by moment działania zaczepnego, co powstrzymać nie leżałoby już w mocy nieprzyjaciela."

Do roku 1870 w opinii wszystkich prawie pisarzy wojskowych *kwestya stała tak, że wojna z Rossyą musi być odporną.*

Po r. 1870—71 następuje w stosunkach międzynarodowych pewna zmiana; długo jednak była ona ukryta i na horyzoncie politycznym niewidzialna.

W broszurze „Oesterreich-Ungarn in einem Kriege gegen Russland" (1871) autor rozbiera dzieło generała Fadiejewa „Siła i praktyka wojenna Rossyi," szczególniej zaś zwraca uwagę na wnioski, do jakich przychodzi generał Fadiejew.

Wobec nich autor austryacki uważa za konieczne pomyśleć o uprzedzeniu najazdu ze strony Rossyi.

W roku 1872 podpułkownik sztabu generalnego, a brat ministra spraw zagranicznych, Heymerle, wystąpił z dziełem, w swoim czasie głośnem, „O strategicznym stosunku Austryi i Rossyi," i w niem rozwinął ideę zaatakowania Rossyi i nawet zajęcia Petersburga.

Tutaj widzimy już wyraźnie wypowiedzianą nadzieję, że Austrya będzie w razie potrzeby podtrzymaną przez młode, przy pomocy Rossyi zjednoczone, cesarstwo niemieckie.

Kiedy rezultat wojny wschodniej 1877 roku, a właściwie kongresu berlińskiego, wywołał w Rossyi wielkie niezadowolenie, w Niem-

czech i w Austryi skorzystano z tego, przedstawiając każdy artykuł dziennikarski niby akt politycznej doniosłości.

W takich warunkach reforma kawaleryi russkiej wywołać musiała w Austryi wrażenie ogromne. Najpoważniejszym objawem tego było dzieło pułkownika austryackiego Waltera von Walthofen [1]).

„Rossya zgromadziła—pisze on—w czasie pokoju w pobliżu granic zachodnich znaczną ilość kawaleryi, zorganizowanej i wyćwiczonej w ten sposób, aby mogła działać całkiem niezależnie. Przeznaczeniem pułków tej jazdy jest natychmiast po wybuchu wojny przekroczyć granicę, a mogą one nietylko mierzyć się z kawaleryą przeciwnika, lecz są gotowe do rzucenia się na pierwsze oddziały broni innej.

„Nie ulega wątpliwości — twierdzi Walter v. Walthoffen, — że wtargnięcie kawaleryi russkiej w granicę Galicyi może mieć skutki fatalne: porujnuje ona koleje i telegrafy, zniesie magazyny i składy, znajdujące się w pobliżu granicy, zniszczy zapasy żywności, amunicyi, broni i wogóle przedmiotów wszelkiego rodzaju, wreszcie rozproszy gromadzących się rezerwistów i konie. Zdaje się, iż sztab główny russki zamierza wywołać panikę, rzucając niespodziewanie na pole zapasów zaraz na początku kampanii masę kawaleryi z jej artyleryą konną, aby w ten sposób wpłynąć na dalszy przebieg działań...

„Biorąc rzeczy ściśle, Rossyanie liczą tu jak gdyby na nieczynność gospodarzy kraju, gdyż zadaniem kawaleryi austryackiej będzie stawić czoło najazdowi; liczebna zaś jej niższość wynagrodzona zostanie przez poparcie piechoty, w czasie właściwym udzielone. Zadanie to nie przechodzi sił armii austryackiej, pod warunkiem jednakże, iż przygotuje się ona do tego odpowiednio podczas pokoju.“

Mamy też zdanie w tej materyi innego jeszcze wojskowego pisarza austryackiego, majora generalnego sztabu austryackiego, G. Ratzenhofera [2]):

„Że Rossyanie — mówi on, — przekształcając wszystkie rodzaje konnicy na dragonów, a ostatnich zbliżając do kozaków, uzbrajając całą jazdę w karabiny z bagnetami, dając w ćwiczeniach kawaleryi przewagę walce pieszej i zarazem przywiązując wielką wagę do wprawy w strzelaniu, narazili się na zgaszenie *ducha kawaleryjskiego*, na zniżenie przymiotów, właściwych konnicy, to rzecz możliwa. Jednakże, dopóki doświadczenie wielkiej wojny europejskiej nie stwierdzi słu-

---

[1]) „Die russische Kavallerie in ihrer neusten Entwickelungsphase verglichen mit der oesterreichischen.“

[2]) Major generalnego sztabu austryackiego G. Ratzenhofer: „Die Consequenzen der russischen Cavalerie Reform für uns“ („Organ der Militärwissenschaftlichen Vereine,“ 1885).

szności krytyk, skierowanych przeciwko reformom w jeździe russkiej, dopóki ponure przepowiednie zwolenników szabli i lancy nie będą miały faktów na stwierdzenie swych słów, upadek kawaleryi russkiej pozostanie w sferze przypuszczeń. Tymczasem zaś nie może podlegać zaprzeczeniu, że Austrya na pierwszej linii postawić jest w możności 286 szwadronów, liczących 43,000 koni, Niemcy 460 szwadronów i 69,000 koni, Rossya zaś 552 szwadrony, posiadające 83,000 koni.

„Co więcej, w dalszym przebiegu kampanii, Austrya nie będzie mogła wyprowadzić na drugą linię więcej, jak 77 szwadronów, Niemcy tylko 72, Rossya zaś bez wysiłku postawi 526 szwadronów, liczących 77,000 koni. A więc potencya ta będzie zdolna rzucić na przeciwnika olbrzymią masę 160 tysięcy jeźdźców.

„Ta przewaga, którą kawalerya russka zawdzięcza przedewszystkiem swojej liczebności, trzykrotnie przenoszącej liczebność konnicy austryackiej, a następnie organizacyi i rozlokowaniu w czasie pokoju wzdłuż granicy, wreszcie specyalnemu uzbrojeniu, może mieć dla Austryi fatalne następstwa, a mianowicie:

a) „Może być zatamowany bieg mobilizacyi, a nawet może zostać przerwane strategiczne rozwinięcie armii wskutek zniszczenia dróg komunikacyi i ogarnięcia składów,—to zaś jest w stanie zaraz na wstępie kampanii zmienić całkowicie plan działań.

b) „Podczas przebiegu wojny służba wywiadowcza i przewozowa, która stanowi zadanie kawaleryi austryackiej, może zostać uniemożliwiona.

c) „Uzbrojenie kawaleryi russkiej, oraz ilość posiadanych przez nią dział, nie tylko pozwoli jej przeniknąć ze wszystkich stron na terytoryum operacyjne nieprzyjaciela, lecz nawet usadowić się mocno w pewnych punktach.

d) „Podczas bitew, metoda, przyjęta przez kawaleryę russką, pozwoli jej z łatwością zająć naprzód pewne ważne pozycye i utrzymać je aż do przybycia piechoty, gdyż posiada ona wszystkie warunki do prowadzenia odpornej walki pieszej. Co więcej, znaczne oddziały kawaleryi mogą się zjawiać podczas bitwy najniespodziewaniej z boku, lub z tyłu nieprzyjaciela, i ogniem swoim sprawić wielkie zamieszanie.“

Wobec tego major Ratzenhofer za bardzo ważną uważa kwestyę, w jaki sposób używaną będzie kawalerya russka w wypadkach zetknięcia się z austryacką.

„Pierwsze pytanie, które się tu nasuwa—twierdzi on,—jest następujące: jakie widoki powodzenia mieć będzie jazda russka w razie starcia z kawaleryą austryacką na białą broń i w równej liczbie?“ i rozstrzyga pytanie to na korzyć kawaleryi austryackiej z tego powodu, że główny i nawet jedyny cel, do jakiego zmierzają ćwiczenia

kawalerzystów austryackich i tresura koni, polega na szarży w zwartym szyku.

„Reformatorowie kawaleryi russkiej czują swoją niższość pod tym względem, gdyż przyznają się do zamiaru walczenia salwami ognia karabinowego nawet w otwartem polu. Wobec kawaleryi nieprzyjacielskiej konnica russka zejdzie z koni i pocznie strzelać, jak piechota, zmuszając w ten sposób przeciwnika do odwrotu. Konie przeznaczone są tam tylko do ułatwienia i skrócenia drogi; ale podczas walki korzystać kawalerzyści russcy będą ze wszystkich przewag, jakie posiada żołnierz pieszy.“

Pracę swoją major Ratzenhofer kończy temi słowy:

„Przypuściwszy nawet, iż nowe dążności zmieniły ducha wojennego wśród kawaleryi russkiej, a nawet do pewnego stopnia zniżyły go, to niemniej jednak pozostanie prawdą, iż przeprowadzona reforma może Austryi narobić niemało kłopotów, i że wskutek tego trzeba się z nią liczyć.“

Z cytat powyższych widzimy, iż zdanie autorów wojennych o wartości kawaleryi russkiej i o wpływie dokonanej ostatnio reformy są bardzo podzielone i w znacznej części mylne; co więcej, wynika z tego, iż najmniej zalet wojskowych i zdolności mierzenia się z wyćwiczonym przeciwnikiem przypisują kozakom. Tymczasem pisarze wojskowi w przeszłości konnicę tę cenili bardzo wysoko.

IV.

Kozacy.

Sainte-Chapelle [1]), opierając się na zdaniu autorów, którzy mieli sposobność poznać wartość i taktykę Kozaków na polach bitew, energicznie występuje w ich obronie. Na dowód zaś tego przytacza przykłady z wojny roku 1831 i z kampanii krymskiej.

„Wszyscy oficerowie — czytamy w dziele Sainte-Chapelle'a, — którzy brali udział w kampaniach pierwszego cesarstwa, są zupełnie zgodni, co do uznania usług, jakie Kozacy oddali Rossyi. Przyznają to i *klasyczni* autorowie wojskowi:

„Mówiłem już o Kozakach—powiada de Brack—i przedstawiałem ich, jako typ doskonały, stwierdzam to powtórnie. Niektórzy oficerowie, którzy nie byli na wojnie, lub też odbyli ją zdala od przednich

[1]) „Les nouvelles tendances de la cavalerie russe.“

straży, uważają sobie za obowiązek mówić o tej jeździe z pogardą—nie wierzcie im! Niesprawiedliwość względem przeciwnika jest zawsze polityką złą i błędną; najlepszy sposób zdobycia środków, celem podbicia go, polega nie na znieważaniu go, lecz na poznaniu! Zobaczcie, jakiego zdania o Kozakach są nasi znakomici mistrze wojny, marszałkowie: Soult, Gérard, Clausel, Maison, generałowie: Morand, Lallemand, Pajol, Colbert, Corbineau, Lamarque, Préval; nasi nieustraszeni wodzowie, generałowie Daumesnil, Farine i t. d.; zapytajcie wreszcie wszystkich prawdziwych oficerów, a powiedzą wam, że kawalerya lekka, która, jak Kozacy, otacza armię siatką czujności i obrony nieprzenikalnej, która niepokoi nieprzyjaciela, zadaje mu zawsze prawie ciosy, a sama odbiera je rzadko, zadanie swoje spełnia doskonale i całkowicie."

Co się jeszcze tyczy pytania, jaką rolę odegrają Kozacy w wojnie przyszłej, to Tettau w tylko co wydanem dziele [1]), powoławszy się na wiele artykułów z „Wojennego zbornika," w szczególności zaś na zdanie generała Choroszyna, dochodzi do wniosku, iż o wybitnych przymiotach bojowych Kozaków obecnie nie może już nawet być mowy. Zato mają oni inne ważne zalety: wytrwałość w pochodach i umiejętność kontentowania się małem. Prawda, że i dziś Kozak jest bardzo przyzwyczajony do konia, ale to już nie to, co było niegdyś. Naprzód liczba Kozaków, zrastających się z koniem od dzieciństwa, maleje; powtóre same konie kozackie marnieją, a to wskutek drobienia się działek ziemi i upadku hodowli koni, to też dzisiejsze wierzchowce kozackie wogóle nie odpowiadają już wymaganiom działalności bojowej jazdy regularnej.

Do robót polowych Kozak używa wołów, koń służy mu tylko pod wierzch. W bitwie Kozacy, wskutek wartości ludzi i koni, mogą mieć tylko drugorzędne znaczenie, natomiast bardzo wiele znaczą w tak zwanej „małej wojnie."

„Podczas wojny 1877—78 r.—wciąż zgodnie z twierdzeniem artykułu russkiego, cytowanego przez autora-Niemca—Kozacy nie mogli utrzymać dawnej swej sławy, a to z przyczyny, iż używano ich w drobnych oddziałach, a do boju prowadzono tylko w nieznacznej liczbie. Zresztą, wedle tegoż samego artykułu, oczekiwać można, iż jeżeli środki, przedsiębrane przez lat 20 celem udoskonalenia organizacyi i wyćwiczenia wojsk kozackich, przyniosą owoce, Kozacy w wojnie przyszłej odegrać mogą rolę donioślejszą".

---

[1]) Tettau „Die Kosaken Heere" Berlin 1892.

Tymczasem jednak główne znaczenie Kozaków polega na ich liczbie. Mogą oni wystawić 670 sotni, odtrąciwszy zaś to, czego zapotrzebować może Kaukaz i Kraj Zakaukaski, dla wojny europejskiej zawsze jeszcze pozostanie jakieś 500 sotni. Jakakolwiek zaś była-by ich stosunkowa wartość bojowa, owe 500 sotni to olbrzymi dodatek do 340 szwadronów jazdy regularnej.

V.

Wiadomości o nieprzyjacielu i służba wywiadowcza.

Z przygotowań, czynionych przez wszystkie państwa europejskie, szczególniej zaś z dyzlokacyi wojsk, widocznem jest, iż charakterystyczną cechą przyszłej wojny będzie na granicach długie, a w skutkach straszliwe dla miejscowej ludności, szarpanie się kawaleryi.

Charles Dilke, były minister angielski, który brał udział w zeszłorocznych manewrach francuskich, sądzi, że w razie wojny pomiędzy Francyą a Niemcami „kroki nieprzyjacielskie zaczną się w okolicach Nancy od utarczek pomiędzy dywizyami kawaleryi niemieckiej, a doskonale wyćwiczoną i prowadzoną piechotą francuską, która bronić będzie zajadle każdego budynku, każdego parkanu, każdego strumyka i lasku. A że przytem proch bezdymny nie pozwoli na dokładne ocenienie sił nieprzyjacielskich, więc kawalerya niemiecka nic wskórać nie będzie mogła.“

A gdzie będzie wtedy kawalerya francuska? Prawdopodobnie każą jej robić toż samo, co niemieckiej, t. j. najechać terrytoryum nieprzyjacielskie; że tak, a nie inaczej się stanie, widać i ze słów Dilkego: „Bataliony strzelców francuskich, które do żadnych dywizyi wcielone nie są, będą w tymże czasie popierały działanie swojej kawaleryi.“ Lecz nie może podlegać wątpliwości, że i kawalerya francuska napotka w Niemczech zapewne takież same trudności i taki sam opór, jak konnica niemiecka we Francyi.

Tak więc z chwilą mobilizacyi, w ciągu kilku prawie godzin, we wszystkich państwach, mniej lub więcej liczne zastępy z jednej i drugiej strony będą już siedziały na koniach. W pierwszej więc zaraz chwili starcie jest nieuniknione; oddziały konne, natrafiwszy jeden na drugi, rozpoczną szereg utarczek, które będą coraz większe i donioślejsze, zacznie się od harców wywiadowczych, a skończy na rozprawach mas całych. Jednocześnie pewna część kawaleryi oddzieli się od mas głównych i, wprawiona do najazdów bardzo nawet dalekich, wszędzie rozpuści pojedyńcze junackie oddziały. Oczekiwać więc należy, że w parę dni po wybuchu wojny oddziały partyzanckie przemkną się po-

między wojskami wroga i znaleźć się mogą w głębi kraju nieprzyjacielskiego na paręset wiorst od granicy. Naturalnie, zuchwalstwo takie prawdopodobnie drogo kosztować będzie, zapewne wrócić do swoich oddziałów podobnym partyom będzie trudno, a może i niepodobna bez znacznych strat; zdarzy się nawet, iż całe one pójdą w niewolę, lecz za to wzniecą wielki popłoch między mieszkańcami, wprowadzą zamieszanie i wyrządzić zdołają nieobliczone straty.

To też te części kawaleryi uważać można jeśli nie za zupełnie stracone, to w każdym razie za uniezdolnione do walki na czas dłuższy nawet po powrocie. Wypada nam więc teraz rozpatrzyć działanie tej części kawaleryi, która pozostanie po odłączeniu się od niej oddziałów najazdowych. Zaczniemy naturalnie od najważniejszego z zadań kawaleryi, mianowicie od pełnienia przez nią służby wywiadowczej, czyli odgrywania roli oczu i uszu armii.

Klausewitz powiada, że zbieranie wiadomości o przeciwniku stanowi podstawę wszystkich idei i działań wojennych. Rozumniejszych punktów wyjścia dla powzięcia decyzyi niema, jak wiadomość, co nieprzyjaciel najprawdopodobniej przedsięweźmie. Dla osiągnięcia zaś tego za najodpowiedniejszą dotychczas uważaną jest kawalerya.

Chociaż pośpiech w sprawdzeniu informacyi i dawniej pożądany był zawsze, jednak opóźnienie nie mogło mieć tak fatalnych skutków, jak dziś, kiedy po kilku dniach wojska zmobilizowane poruszać się już zaczynają, a zmiany nawet częściowe po dokonanem rozwinięciu wywołały-by straszne komplikacye i zamieszanie. Dawniej nieprzyjaciel powoli i z trudnością poruszał się po złych, długich i męczących drogach, — obecnie państwa powydawały ogromne sumy na budowę i udoskonalenie dróg komunikacyjnych, to też wielka szybkość niewątpliwie charakteryzować będzie wszelkie poruszenia w początku przyszłej kampanii. Co jeszcze ważniejsza, podczas samej wojny wszelkie utarczki, wskutek donośności nowej broni, rozpoczynać się będą z odległości dalszych, czyli nieprzyjaciel prędzej stanie się niebespiecznym; a następnie gwałtowność rozprawy przy karabinach magazynowych i kulach, przebijających nawskroś osłony i ludzi, oraz pociskach działowych, rażących z niesłychanie dalekich odległości i z siłą niebywałą, będzie całkiem inna, niż niegdyś. Wreszcie brak dymu utrudni oryentowanie się: dowódzca, zaskoczony znienacka, będzie wiedział, że jest atakowany, bo ludzie jego padać będą, ale dym mu nie wskaże, w której stronie jest nieprzyjaciel, jak daleko i jak liczny. Położenie w ten sposób napadniętego oddziału będzie fatalne pod względem niebezpieczeństwa i straszne pod względem psychicznym.

Otóż, kiedy w takich warunkach armie znajdować się będą, więcej niż prawdą będzie to, co Napoleon w maksymach swoich o wojnie

powiedział: „Rien ne donne plus de courage et n'eclaircit plus les idées que de bien connaître la position de son ennemi.“

Otóż najpewniej wszelkie zamysły i przedsięwzięcia nieprzyjaciela wyświetlić może kawalerya. Służba wywiadowcza wymaga znacznego zapasu rozumu i rozumienia rzeczy, ale też współczesny oficer kawaleryjski we wszystkich armiach jest do tego przygotowywany.

Von der Goltz w głośnem swem dziele „Das Volk im Waffen" o służbie wywiadowczej wogóle przytacza kilka myśli, które, aczkolwiek wypowiedziane przed wynalazkiem prochu bezdymnego, zasługują na całkowite przytoczenie:

„W podręcznikach szkolnych wiele się pisze o tem, że dzielni oficerowie z garścią odważnych jeźdźców powinni przedzierać się po-za przednie straże przeciwnika, okrążać jego flanki i prowadzić rozwiady przed frontem lub nawet z tyłu głównego korpusu wojsk nieprzyjacielskich. Działalność tego rodzaju jest czynem bardzo szacownym, ale jednocześnie niezmiernie trudnym, gdyż i przeciwna strona robi z kawaleryi swojej takiż sam użytek. Prócz tego wycieczki podobne wymagają od wykonawców nadzwyczajnego męstwa, nadzwyczajnej roztropności i również nadzwyczajnego szczęścia. To też niepodobna opierać wszystkich rachub swoich na takich wycieczkach, chociaż każda dzielna kawalerya starać się będzie o odznaczenie w tym właśnie kierunku. Przytem ważną jest rzeczą *czuć* przeciwnika w znacznej liczbie punktów; relacya pojedyńcza nigdy prawie dać nie może wyjaśnień dokładnych i zupełnych. Już same odległości nadzwyczajne, o których teraz nieustannie przypominać wypada, nie pozwalają na to, natomiast gdy nadejdzie 20 lub 30 relacyi z różnych miejsc, to już można sobie mniej więcej odtworzyć pozycyę i stan rzeczy, o jakie w tej chwili chodzi.

„Udatnie ułożyć relacyę jest równie trudno, jak dobrze zredagować rozkaz. Głównym warunkiem jest tu jasność, a naturalnie wskazówek określonych, o czem i jak donosić, dać nie sposób."

„Inteligencyi osobistej niczem oczywiście zastąpić niepodobna, a to tem bardziej, że donosić trzeba nietylko, co się widzi; często bardzo jest rzeczą ważną, aby dowodzący wiedział, iż jego kawalerya w pewnych punktach nie dostrzegła nic godnego zaznaczenia.

„Nie trzeba dowodzić — mówi dalej von Goltz — że wieści i opowieści znacznie rozszerzają to, co kawalerya widziała. Ważnem jest także staranne wybadywanie ludności miejscowej. Środki komunikacyjne nieskończenie podniosły teraz ogólne zainteresowanie się wszystkiem i ogólną ciekawość. O wielkich przemarszach wojsk zawsze szerzą się wieści; często stanowi to poprostu zagadkę, jak szybko na woj-

nie, pomimo przeszkód na zwyczajnych drogach komunikacyi, szerzą się pogłoski głuche, mające jednak słuszną podstawę. Mieszkańcy z okolic Metzu mieli już wiadomości o tem, że Mac-Mahon posuwa się na pomoc Bazaine'owi, kiedy jeszcze ruch ten się rozwijał i kiedy nie zaszła żadna z bitew, poprzedzających batalię sedańską. Tu naturalnie występują wyraźnie różnice narodowe: z milczącego Rossyanina lub Anglika trudniej jest coś wydobyć, niż z żywego i gadatliwego Francuza lub Włocha, zawsze jednak coś dowiedzieć się można. Niema przytem wcale potrzeby, aby podjazdy trafiały na wyraźnych zdrajców, gotowych komunikować rzeczy ważne. Każdy badany, poprostu dlatego tylko, aby się pozbyć nudnego śledztwa, powie to, co mu się wyda rzeczą całkowicie niewinną, ale z setki niewinnych szczegółów da się zazwyczaj wydobyć coś ważnego."

Ta czynność wymaga także naturalnie wielkiej dozy rozwagi i inteligencyi.

VI.

Przykłady trudności służby rekonesansowej z wojen przeszłych.

Zilustrujemy na kilku przykładach z praktyki wojen przeszłych, jak trudno było kawaleryi, nawet przed wynalezieniem prochu bezdymnego, odgrywać rolę oczu i uszu armii.

General Kuropatkin, opisując przygody bojowe pod Plewną, powiada, że w wojnie r. 1877/8, pomimo, że armia rossyjska, tam skoncentrowana, posiadała 90 szwadronów i sotnię Kozaków, służba wywiadowcza spełnianą tam była niezadawalniająco, lub wcale spełnianą nie była.

I w armii niemieckiej, tak dumnej ze swego porządku i poprawnych działań, i tak zadowolonej ze swojej kawaleryi, zdarzają się wypadki całkowitego braku służby wywiadowczej. Bardzo wymowny przykład tego znajdujemy w dziele generała Wojdego:

„Po bardzo niepewnej bitwie Mars-la-Tour, gdzie szeregi niemieckie mogły i powinny były być pobite, a uniknęły klęski tylko dzięki nieczynności wodzów francuskich, stała się rzecz nieprawdopodobna, a nawet wprost niemożliwa, będąca jednak całkiem rzeczywistym faktem. Francuzi, których sam król Wilhelm oglądał rano 17 sierpnia, tak gdzieś w ciągu dnia „zniknęli", że niepodobna ich było odszukać, pomimo, że od południa Niemcy posiadali 20,000 przeważnie świeżej i niezmęczonej kawaleryi. Niemcy nie wiedzieli nawet, że dnia poprzedniego brała udział w bitwie cała armia marszałka Bazaine'a. Nie spostrzegli oni wcale, iż ta armia, zmieniwszy front, zajęła bardzo gro-

żną pozycyę obronną. Jest to tem mniej zrozumiałe, że prawe niemieckie i lewe francuskie skrzydło przez cały czas mogły się widzieć, a na innych punktach odległość nie była nadzwyczajnie wielka, gdyż nie przekraczała nigdzie 15—18 wiorst.

„Nie odszukawszy nieprzyjaciela 17 sierpnia, Niemcy 18 rozpoczęli walkę, pozostając w zupełnej niewiadomości. Skutkiem tego był zupełny brak planu i rachuby. To też rozprawa ta (pod Gravelotte) kosztowała Niemców 20,000 ludzi. A przytem, pomimo ogromnej przewagi sił, o mało nie zostali odparci przez przeciwnika, znacznie słabszego. W każdym razie klęska była zupełnie możliwą i całkowicie zależała od francuskiego głównodowodzącego.

„Tym sposobem — konkluduje generał Wojde — owocem nieczynności głównych dowódców niemieckich, którzy w swoim czasie nie wysłali podjazdów kawaleryjskich, były dwie bitwy bardzo dla Niemców niebezpieczne (Mars-la-Tour i Gravelotte), a wygrane jedynie dzięki nieudolności wodzów francuskich, niezależnie od wielkiej sprawności wielu dowódców niemieckich i nadzwyczajnego poświęcenia się ich wojska, które krwią swoją okupiło błędy tych, na których jednak spadła cała sława zwycięstwa."

Posłuchajmy jeszcze, co von der Goltz mówi o przyczynach, które przeszkadzają należycie zrozumieć sytuacyę.

„Najtrudniejszą jest rzeczą *trafnie ocenić* nadchodzące *wiadomości*. Historya wojen zatrzymuje się przeważnie nad temi tylko doniesieniami, które następnie nabrały doniosłości i znaczenia; gdy się czyta je dzisiaj po oczyszczeniu z dodatków, jakie je oblepiały w gorących chwilach działania, to często poprostu niepodobna zrozumieć, w jaki sposób mogło nastąpić nieporozumienie. Dopiero, gdy się uprzytomni sobie ten nieodzowny brak pewności, tę plątaninę, te krzyżujące się sprzeczności, których uniknąć niepodobna, dopiero wtedy da się zrozumieć, iż pochwycić prawdę nie było łatwo. Po większej części powodzenie osiąga się nie tyle wskutek szczęśliwego zdobycia jakichś pojedyńczych szczegółowych wieści, ile wskutek starannego zużytkowania wielkiej ich liczby.

„Oczywistą jest rzeczą, iż analiza i zestawienie zgromadzonego materyału wraz ze wstępnem oszacowaniem jego wartości stanowi pracę niemałą. Po większej części ziarnka pereł leżą pod wielkiemi kupami śmieci i trzeba znacznego nieraz nakładu roboty i inteligencyi, aby je stamtąd wydobyć."

Von der Goltz przytacza następujący przykład: „W ręce armii, oblegającej Metz, wpadł balon z wieloma tysiącami drobniutkich listów, napisanych na jedwabnym papierze. Z początku zdawało się, że tam nic ważnego znaleźć się nie uda. Nie ulegało wątpliwości, że

przed wysłaniem listy te poddano surowej cenzurze. Kiedy jednak kartki zostały uporządkowane, kiedy zestawiono i porównano nazwiska adresatów i osób, wyprawiających listy, to dał się odtworzyć dosyć dokładny obraz urządzenia obozów nieprzyjacielskich wewnątrz fortów. Nawet co do usposobienia i ducha oblężonych można było uczynić niejeden cenny wniosek."

„Krytyka otrzymanych doniesień — poucza dalej autor — ocenić powinna nietylko ich faktyczną prawdziwość, lecz także rozklasyfikować wiadomości i każdej wyznaczyć odpowiedne miejsce."

Praktyka życiowa uczy nas, jak trudno oryentować się nieraz w sytuacyi przy zwykłych warunkach pokojowych, kiedy wieści mają charakter powszedni, gdy wypadki idą zwykłą koleją i umysł nasz działa normalnie; cóż więc dopiero dziać się musi na wojnie, tam, gdzie i przynoszący wieści znajdują się w stanie łatwo oddającym człowieka na pastwę najprzewrotniejszych złudzeń, i odbierający je nie posiada spokoju i równowagi sądu.

Otóż bardzo być może, że nawet kawalerya niemiecka na początku wojny nie będzie na wysokości swojego zadania. Zobaczmy, co powiada kapitan sztabu generalnego, Liebert:

„Niemiecko-francuska wojna rozpoczyna się bardzo znaczącym faktem. Pod Wissenburgiem natrafiają trzy niemieckie korpusy na odosobnioną francuską dywizyę i wypierają ją po zaciętej bitwie z jej stanowiska. Pomimo jednak że bitwa kończy się o 2-ej po południu, pobity nieprzyjaciel znika bez śladu, patrol tylko dragoński stwierdza, że dywizya nie cofnęła się na wielki gościniec hagenauski. Czy odwrót odbył się w stronę Bitsch, czy Wörth, pozostało niewyjaśnione. Po fakcie, gdy się ma już doświadczenie, łatwo mówić: jak się to stać mogło, a gdzież była i co robiła niemiecka kawalerya? Odpowiedź jednak równie łatwa. Było to z początkiem kampanii, nie mieliśmy jeszcze doświadczenia, a pojęcia o operacyach kawaleryi nie zostały jeszcze wówczas należycie rozwinięte" [1]).

Lecz, sądząc na podstawie przeszłości, kawalerya niemiecka zaraz po pierwszych doświadczeniach, nabytych nie na manewrach, ale w starciu się z istotnym nieprzyjacielem, nabędzie wszystkich potrzebnych przymiotów.

Napoleon III rzekł do pruskiego oficera piechoty, który go odprowadzał z Metz do Wilhelmshöhe (opowiada to Prusak w urzędowem sprawozdaniu): „Trzy czynniki dały Prusakom zwycięstwo: karność, artylerya i rekonesanse kawaleryi. Wszystkie te trzy czynniki były przez nas lekceważone."

[1]) Militär Wochenblatt 1883 „Ueber Verfolgung."

Tak więc marszałek Moltke mógł mieć racyę, kiedy powiedział, że Niemcom zwycięstwo dali nauczyciele szkolni.

Otóż w przyszłej wojnie trudności, które przypadnie zwalczać kawaleryi, będą wskutek nowej broni i bezdymnego prochu znacznie jeszcze potężniejsze.

Przy rekonesansach obecnie nie będzie tyle zależało od liczebności kawaleryi, ile od jej wartości intellektualnej. Powyższe twierdzenia tem bardziej pod uwagę wziętemi być muszą, że we wszystkich armiach wybrano i odpowiednio wyćwiczono pewną ilość wyborowych żołnierzy, a w ten sposób zrobiono z nich doskonałych strzelców. Tacy żołnierze znajdują się zwykle na przodzie armii i za zadanie mają przeszkadzać przeciwnikowi robić rekonesanse, a z drugiej strony powinni zasięgać wszelkich wiadomości, potrzebnych własnej ich armii.

Do jakiego zaś stopnia przy dzisiejszej broni i przy prochu bezdymnym pojedyńczy człowiek stać się może niebespiecznym, wyjaśni nam przykład z wojny francusko-pruskiej, którego opis znajdujemy w czasopiśmie „Wojennyj sbornik." „Batalion francuski usadowił się po-za niewielkim murem na skraju parku i prowadził żywą wymianę strzałów z oddziałem Bawarów. Jeden Bawar wlazł na drzewo i z poza gałęzi strzelał do Francuzów niby do celu, wybierając kogo mu się podobało. Dopiero po wyrządzeniu wielu strat nieprzyjacielowi został zdradzony przez dym i strącony z drzewa kilku salwowemi wystrzałami. Co zaś-by to było, gdyby zamiast jednego żołnierza, który się na drzewie znalazł wypadkowo, strzelała tam cała grupa odpowiednio uzdolnionych i wyćwiczonych ludzi i w dodatku prochem bezdymnym, który-by ich obecności nie zdradził."

Wnioski, wyciągnięte z doświadczeń, zdobytych na manewrach w czasach ostatnich, już po zaprowadzeniu prochu bezdymnego, zdają się stwierdzać powyższe wywody i przypuszczenia.

Sprawozdawca „Reichswehra" powiada [2]): „Cała tak zwana czynność meldunkowa, a więc przyjmowanie raportów, wysyłanie rozkazów i t. d. w chwili wstąpienia wojsk w sferę ognia bojowego musi ustać, gdyż jeźdźcy i piesi żołnierze, wskutek śmierci, ran i innych wypadków, spełniać tych czynności nie są w możności. Miejsce ich zastępują telefony, telegrafy, welocypedy i psy. Ale znowu przeprowadzenie drutów i lin ma też masę niedogodności, mianowicie zaczepiają się o nie i plączą się w nich ludzie, konie i wozy, co naturalnie przyprawia o kalectwo, przerywa porozumiewanie się, psuje komunikacyę, wywołuje mitręgę i straty."

---

[1]) „Kritische Beleuchtung der Schlussmanöver 1891 bei Waidhofen an der Thaya."

Okazuje się więc, iż głównem źródłem informacyi muszą nadal pozostać patrole i podjazdy.

VII.

Udział w bitwach walnych.

Przytoczone więc przez nas zdania kompetentnych autorów wojskowych w wątpliwość podają dawniejszą łatwość skutecznego użycia kawaleryi do służby rekonesansowej.

Inni pisarze idą jeszcze dalej i odmawiają kawaleryi wszelkiego doniosłego znaczenia w przyszłych bitwach.

Ażeby czytelnikowi dać znowu możność sądu o istniejących sprzecznościach zdań, przytoczymy przedewszystkiem, jaką rolę winna odgrywać kawalerya podczas bitew według regulaminów [1]):

„Z chwilą, gdy już nastąpiło rozwinięcie piechoty, kawalerya zgromadza się na jednem ze skrzydeł, po-za sferą ognia nieprzyjacielskiej artyleryi. Tam pozostaje ona skupiona w masę, gdyż to ją najlepiej oddaje w rękę głównodowodzącego i pozwala najłatwiej i najprędzej pchnąć we wszelkim kierunku, zależnie od przebiegu akcyi. Podczas wszystkich faz akcyi kawalerya porusza się wraz z piechotą i pilnie upatruje sposobności odpowiedniej do wzięcia udziału w boju. Działać zaś powinna ona z własnej inicyatywy, gdyż za pewnik niemal uważać można, że jeżeli kawalerya zmuszona będzie czekać na rozkazy, to działanie jej przyjdzie zawsze nie w porę. Dlatego też interwencya kawaleryi na polu bitwy powinna następować wskutek szybkiej i energicznej decyzyi jej własnego wodza, zarówno w wypadku natarcia, jak w razie obrony."

Poznawszy przepisy regulaminu, posłuchajmy teraz, co powiadają przeciwnicy używania mas kawaleryi.

„Wyprowadzanie na pole ćwiczeń manewrowych we wszystkich państwach Europy wielkich mas konnicy — mówi kapitan Nigot — tak wygląda, jak gdyby na tej drodze spodziewano się znaleźć potężny czynnik przyszłych zwycięstw. Jest to złudzenie."

„Prawda, że każdego ogarnia żywy entuzyazm i głębokie uwielbienie na widok naglych a szalonych ataków kawaleryi, pędzącej niby burza pułk za pułkiem na polu manewrów, niby wezbrana rzeka, druzgocąca tamy i groble. Naprzód zdaleka dolatuje tylko szmer

[1]) „Règles générales pour l'emploi des trois armes dans le combat. Bureau du chef d'Etat Major Général de l'armée Italienne." Paris 1891.

głuchy, który się zbliża i rośnie; ziemia drży i dudni. Wśród pędzącej masy poczynamy rozróżniać sylwetki jeźdźców: oto zwieszona lanca, pochylone ciało, wyciągnięta szyja, a wszyscy nieruchomi na rozszalałych koniach. To uragan wszechniszczący! Nie, wobec nowej broni to tylko złudne widmo!

„Ażeby się o tem przekonać, dosyć okiem rzucić na tablicę, przedstawiającą przypuszczalny rezultat strzałów salwowych, skierowanych przeciwko konnicy, ustawionej w dwa szeregi:

Na	800	metrów	ze	100	strzałów	trafia	21
„	700	„	„	„	„	„	25
„	600	„	„	„	„	„	29
„	500	„	„	„	„	„	35
„	400	„	„	„	„	„	43
„	300	„	„	„	„	„	53
„	200	„	„	„	„	„	62
„	100	„	„	„	„	„	62.

„Przejmującą jest wymowa tych liczb. Batalion piechoty, z 800 ludzi złożony, wystrzeliwszy z odległości 300 metrów, straci 424 jeźdźców, czyli zniszczy cały niemal pułk kawaleryi. Gdyby ten batalion rozpoczął ogień o 800 metrów i strzelał aż do 100, zdołał-by zabić 2,656 ludzi, czyli byłby w możności 8 razy znieść całkowicie pułk konny" [1]).

Lecz z powyższemi obliczeniami nie wszyscy pisarze wojskowi się godzą. „Kawalerya w galopie posuwa się *trzy* razy prędzej, niż piechota, jest więc przez czas trzy razy mniejszy wystawiona na działanie ognia nieprzyjacielskiego. Ten krótszy czas równoważy trzykrotnie większe niebezpieczeństwo zranienia, na jakie jazda jest narażona, można więc powiedzieć, że konnica podczas szarży nie traci więcej ludzi niż piechota w marszu pod ogniem karabinowym. Rezultat ten wskazuje nam, jaką doniosłość posiada szybkość biegu kawaleryi, gdy jej wypadnie działać na polu bitwy przeciwko piechocie" [2]).

Obrońcy roli kawaleryi *quand-même* mają na to odpowiedź.

„Dym z prochu nie przyczynił się nigdy do powodzenia napaści konnicy, natomiast przejrzystość pola bitwy pozwoli dowódzcy, gdy piechota nieprzyjacielska chwiać się lub mieszać pocznie, co zawsze zdarzyć się musi, dokładnie rozpoznać miejsce, w które wypada rzucić kawaleryę, ażeby przechylić szalę losów bitwy" [3]).

---

[1]) Capitaine *L. I. Nigot*: „Les grands questions du jour."

[2]) *Omega*. „L'art de combattre."

[3]) „Wird das rauchschwache Pulver die Verwendbarkeit der Kawalerie beeintrechtigen?" Berlin 1890.

Drugi autor powiada znowu: „Dotychczas oddziały piechoty dla tego tylko nie szły w rozsypkę przed huraganem pędzącej na nie kawaleryi, że dym zasłaniał straszny widok. Gdy dymu na polu walki zabraknie, wrażenie wobec ataku galopującej konnicy stanie się tak wielkie, że żołnierze piesi strzelać będą do niej źle, o wiele gorzej, niż dawniej, a może poprostu nie dotrzymają pola“ [1]).

„Walka współczesna—pisze także jeden z francuskich autoró—wto przedewszystkiem walka broni palnej. Bitwa, szalejąc przez godzin wiele na jednem miejscu, doprowadza wojska do nieładu. Najlepsze pomysły i porządki taktyki nie zaradzą temu. Po jednej i drugiej godzinie oficerowie będą bądź wybici,bądź poranieni i zmuszeni do wycofania się z udziału w bitwie, szeregi bez dowódców będą pozostawione własnemu przemysłowi i trzymać się będą osobistemi przymiotami żołnierzy. Wysunięte wojska walczą dalej i do ostatniego tchnienia spełniają krwawe zadanie swoje. Gdy się okazuje próżnia, rezerwy ją zapychają. Wreszcie linia boju staje się pstrą mieszaniną różnych pułków i różnych broni; w chwili decydującej mieszanina ta dochodzi do stopnia najwyższego, siły obu wojsk są wyczerpane, nieład ogarnia wszystko, dowódców prawie niema! Wtedy-to należy jak najprędzej rzucić na nieprzyjaciela masy kawaleryi; wpaść ona powinna w chwili, gdy wyczerpany i oszołomiony tłum żołnierzy poczyna ustępować. *Wtedy jest całkiem wszystko jedno, czy te tłumy trzymają w rękach magazynówki, czy skałkówki, czy nawet widły*“ [2]).

Ponieważ ostatnie twierdzenie mogło-by się komuś wydawać zbyt paradoksalnem, więc autor, celem uzasadnienia go, przytacza epizody z walk w Algieryi oraz cytuje słowa generała Dragomirowa, wyrzeczone z powodu bitwy pod Tamanich: „Dzikusy, uzbrojeni w maczugi i w dzidy, odnieśli tryumf nad czworobokami piechoty i to piechoty angielskiej—jak się to wam podoba! I sądzicie może, iż panowie, którzy za pierwszy i nieomylny artykuł sztuki wojskowej mają podnoszenie i opuszczanie celików na lufach karabinowych, zrozumieli sens tej lekcyi. Gdzie tam! W dalszym ciągu uczą oni, że piechota współczesna jest nie do przełamania... chyba przez dzikusów. A nie przyjdzie im do głowy, czego się inni domyślają odrazu, że w takim razie trzeba zostać dzikim“.

Ale właśnie przebieg bitwy jest taki, iż najtrudniej pochwycić chwilę, z której kawalerya mogła-by skorzystać z powodzeniem. Von

---

[1]) *Oberst v. Walthoffen.* „Die Cavallerie in dem Zukunftskriege.“ Rathenow 1891.

[2]) „La cavalerie et l'atillerie en face de l'armement actuel de l'infanterie“. Paris 1892.

der Goltz, którego dzieło „Das Volk im Waffen“ tyle razy cytujemy i które tylko co wyszło w czwartem wydaniu, robi słuszną uwagę: „prawda, że każda bitwa ma takie epizody, ale łatwiej je zauważyć wśród własnych wojsk, niż w szeregach nieprzyjaciela przy dzisiejszych odległościach. Zdarza się także, iż osłabienie wydaje się wyższem niż jest w istocie. W czasie wojny 1870 r. hufce kawaleryi francuskiej nieraz rzucały się mężnie na rozstrzeloną piechotę niemiecką i ginęły od ognia niewielkich nawet oddziałików. Skuteczność ognia karabinowego lub szrapneli na masę jazdy zbyt jest potężna...“

Niepotrzebnie wcale usiłują doprowadzić kawaleryę do tego, aby ona była zdolna dać się wystrzelać, jak to potrafi zrobić piechota; tłómaczy on, że i piechota, znalazłszy się w stanie rozpaczliwym, zmykała-by, gdyby tylko miała konie. „Bohaterski jej opór—mówi on—wprawiający nas w podziw, pochodzi często wprost stąd, że nic innego jej nie pozostaje, jak obrona. Umknąć na koniu od pewnej śmierci to dla uczuć ludzkich rzecz tak naturalna, że ucieczkę jeźdca uważamy za daleko mniej haniebną, niż ucieczkę na własnych nogach“.

Doświadczenie wojen przeszłych zdaje się dostarczać argumentów na rzecz tych autorów, którzy wątpią, aby kawalerya mogła z dobrym skutkiem interweniować na polach wielkich batalii.

Generał Kuropatkin, opisując działania wojsk rossyjskich pod Plewną, mocno krytykuje działalność kawaleryi i wyraźnie powiada: [1]) „wedle naszego zdania, pomoc, okazywana piechocie pod Plewną przez kawaleryę i artyleryę, była mniej więcej dziesięć razy mniejsza, niż to było pożądane i konieczne“.

I dalej tenże generał powiada: „Działalność kawaleryi w dniach poprzedzających szturm, wobec jej wielkiej liczby i doskonałego stanu, powinna była przenieść znacznie większą korzyść, niż w rzeczywistości przyniosła. Wady, które to sprawiły, były następujące: Rozrzucenie kawaleryi i brak rezerwy kawaleryjskiej; wskazywanie jej zadań i celów nieodpowiednych; trudny do darowania brak związku pomiędzy podjazdami i oddziałami; słabe rekognoskowanie miejscowości przez kawaleryę; obawa dowódców brania na swoją odpowiedzialność takich przedsięwzięć, które nie przenosiły sił kawaleryi, ale mogły były sprowadzić zetknięcie się z piechotą turecką i narazić na znaczne straty“.

„Zrzekać się ataków kawaleryi w chwilach stanowczych, szczególniej ataków oddziałów drobniejszych (szwadronów, pułków), ilekolwiek-by one ofiar kosztowały, *nie można*. Gdyby nawet wyginąć miały całe dywizye, ale gdyby przez to mogło być wyrwane zwycięstwo

[1]) Według Sainte-Chapelle'a, „Les tendances actuelles de la cavalerie russe“ Paris 1886 Str. 45.

z rąk nieprzyjaciela i uratowana armia od klęski, to należy poświęcić dywizye".

Przy rozbiorze znakomitej pracy generała Kuropatkina, tylko napisanej może nieco zbyt krytycznie co do działań kawaleryi, uderza nas następująca okoliczność:

Z początku kampanii pod Łowczą kawalerya rzuca się śmiało do ataku na piechotę i z szablą w ręku, jak opisuje tenże generał Kuropatkin, zdobywa szańce.

„Innym razem znowu 11 sierpnia, w chwili krytycznej, kiedy trzeba było bądź co bądź nie pozwolić Turkom zdobyć Szypki, dwie sotnie dońskiego pułku rzuciły się całym pędem na pozycyę, której miały bronić, żołnierze zeskoczyli z siodeł, a konie swoje odesłali do Grabowa, aby stamtąd mogli na nich przyjechać strzelcy piesi. Kozacy, rozrzuceni w jedną linię tyralierów, powstrzymali ruch Turków naprzód, oczyścili drogę i w ten sposób otworzyli przystęp dla jednej z górskich bateryi rossyjskich, która następnie podtrzymała ich działanie. Po półgodzinnej strzelaninie bateryа wyczerpała wszystką amunicyę i musiała zamilknąć; Kozacy z Orłowskim pułkiem piechoty odparli wszystkie ataki Turków, ponawiane z wielką zaciętością. Wreszcie przybycie strzelców pieszych na koniach owych dwu sotni pozwoliło przejść od obrony do działań zaczepnych".

Następnie działania kawaleryi są słabsze i, jak powiada generał Kuropatkin, „kawalerya boi się spotkać z piechotą". Wszakże nie mogło pochodzić to z braku męstwa. Skład armii rossyjskiej pod względem rekrutowania jest jednostajny; jeżeli więc piechota po stracie 40%, a nawet niektóre części po stracie 60%, a niektóre roty po stracie 75%, czyli z czterech żołnierzy trzech, w dniu 30 i 31 sierpnia pod Plewną zdolni byli brać udział w walce, to niema powodów przypuszczać, że w kawaleryi panował duch inny.

Zachodzi więc pytanie, czy właśnie nie było już w 1877 roku, wobec broni magazynowej tureckiej, w kawaleryi rossyjskiej tego poczucia, że atakowanie na koniu do celu doprowadzić nie może. Sam zaś generał Kuropatkin słusznie powiada, że wojska się cofają nie dlatego, iż z powodu liczby swojej trzymać się nie są zdolne, i nie wskutek strat już poniesionych, lecz z powodu strat oczekiwanych.

Otóż, wobec nadzwyczajnych mas ognia piechoty, uzbrojonej w magazynówki, kawalerzysta, siedzący na koniu i nie mogący ani przyklęknąć, ani przypaść do ziemi, ani ukryć się jak piechur, musiał oczywiście mieć mniej pewności siebie, co zaś najważniejsza, bez wiary w powodzenie nawet kawalerya rossyjska nie mogła iść naprzód, jak tego wymaga cytowany pisarz wojskowy.

Wreszcie i kawalerya niemiecka w czasie kampanii 1870 r. nie miała wielkiego bojowego znaczenia. Dowodzą tego liczby. W roku 1870 straty w piechocie niemieckiej wynosiły 17.6% ogólnej liczby żołnierzy tej broni, w kawaleryi tylko 6.3%. Z ogólnej zaś liczby oficerów piechoty zginęło 11.1%, kawaleryi 3.7%. Czyli w piechocie żołnierze narażali się na niebezpieczeństwo blizko 3 razy, a oficerowie przeszło 3 razy więcej, niż w kawaleryi. Pochodzi zaś to jedynie z mniejszego udziału w walce, bo szereg piechoty jest mniejszym celem, niż szereg konnicy.

Potwierdzenie tego faktu znajdzie czytelnik później w innem jeszcze obliczeniu.

Nie mniejsze spory toczą się o to, czy na polu walki należy kawaleryę rzucać wielkiemi masami na nieprzyjaciela, czy też ją rozbijać na oddziały, w tej myśli, iż każdy z nich łatwiej wybierze chwilę stosowną i należyte przykrycia, ażeby z nienacka napaść na nieprzyjaciela.

Otóż jedni powiadają, że obecnie dzielenie jazdy na polu bitwy było-by rzeczą szkodliwą, w razie potrzeby nie dało-by się z niego osiągnąć korzyści. Postawcie wszelakie przekąski, jakie chcecie, jedne przy drugich, nie będziecie z nich mieli dobrego obiadu.

Jeżeli trzeba, jeżeli można wprowadzić oddziały kawaleryi do bitwy, to trzeba ażeby były one znaczne, iżby mogły wywołać jakiś rezultat taktyczny, rezultat korzystny dla całości,—w przeciwnym razie będzie to tylko rozproszeniem bezpożytecznem i formalistycznem.

Obecnie głębokość strefy wzbronionej dla kawaleryi zwiększyła się przeszło dwa razy. Najczęściej okaże się niemożliwem pomieścić ją na osiach strzałów, czyli bliżej jak 2000 do 3000 metrów od linii bojowej, bez skazania jej na straty poważne i na zdemoralizowanie natychmiastowe.

Te warunki stwarzają dla wodzów kawaleryi ciągły obowiązek czuwania nad przebiegiem bitwy.

Za pomocą rekonesansów oficerskich, powinni oni śledzić krok za krokiem wszystkie szczegóły dramatu, ażeby się żywo przybliżyć, gdy przeczują chwilę potrzeby ukazania się również na scenie. I wówczas powinna kawalerya rzucić się w wir bitwy z całym impetem, do którego ją przygotowało długie wyczekiwanie. Dla tego przecież stała na uboczu, ażeby tem rączej i tem silniej działać.

VIII.

Rekwirowanie żywności dla armii.

Kawalerya będzie dziś, zdaje się, niezbędniejszą niż kiedykolwiek dla jednej z najżywotniejszych kwestyi zaopatrywania armii w żywność. Montecuculli już powiedział: „Głód straszniejszy jest od żelaza, a niedostatki w żywieniu żołnierzy więcej naniszczyły armii, niż bitwy".

Na trudność wyżywienia armii nawet w czasach przeszłych się skarżono, i tak już Fryderyk Wielki pisał: „Ile to wysiłków użyć trzeba, ażeby zgromadzić, utrzymywać i wprawić w ruch te liczne zastępy, które dziś są używane do wojny? Te zastępy narodów, idących na podboje, których potrzeby, codzień odnawiające się, muszą być punktualnie zaspakajane... trudniej jest bronić od głodu, niż od nieprzyjaciela. To też wszelkie plany wodza skrępowane są potrzebą liczenia się przedewszystkiem z warunkami istnienia, i najszczytniejsze pomysły będą chimerą jedynie, jeżeli przedtem wódz nie zaopatrzył wojowników swoich w żywność".

Te „całe narody" Fryderyka to drobne gromadki wobec tych mas, jakie dziś z chwilą wybuchu wojny wylegną na pole bitew. Jeżeli więc wtedy zgromadzenie środków żywności stanowiło poważne trudności, jeżeli wodzowie o to przedewszystkiem troszczyć się musieli, to cóż dopiero dzisiaj, kiedy konieczność zadośćuczynienia potrzebom wojska wzrosła nietylko proporcyonalnie do liczby, lecz i co do jakości!

„Przy szybkich ruchach wojska o zaopatrzeniu się w żywność i inne potrzeby drogą prostego kupna myśleć niepodobna. Z chwilą, gdy liweranci spostrzegą, że zapotrzebowanie jest wielkie, ceny ich i wymagania granic nie mają. Co więcej, liweranci nie są w możności zaspokoić ogromu pilnych potrzeb, trzeba więc koniecznie uciekać się do rekwizycyi" [1]).

Otóż tylko za pośrednictwem kawaleryi można rekwirować wszelkie przedmioty, znajdujące się na przestrzeniach przez wojska zajętych: żywność, fury i wozy, konie, odzież, narzędzia, lekarstwa i pieniądze.

Zadanie takie jest tem trudniejszem, że kawalerya sama o to troszczyć się musi.

Podczaj wojny franko-niemieckiej kawalerya niemiecka, wobec bogactwa kraju, trudności w wyżywieniu koni nie napotykała nawet

---

[1]) Général Leval „Etu des de guerre Tactique de ravitaillement".

wówczas, kiedy w wielkich masach—jak pod Paryżem—w celu osaczenia była skoncentrowaną.

Stała ona pod Paryżem aż do końca października, prowiantowała się częścią owocami polnemi, jakie jeszcze były w tym czasie, częścią daleko sięgającem furażowaniem.

Część jazdy, która wyruszyła nad Loarę i na południo-zachód, 136 szwadronów o 18,360 koniach, wyżywiała się podczas całej kampanii sama, znalazłszy w bogatej okolicy Béance zupełnie ku temu wystarczające środki. Również to samo da się powiedzieć i o 32 szwadronach z 4320 końmi, które ruszyły na północ. Pod Paryżem trzeba było wyżywiać 10,530 koni, a nadto 318,000 armii oblężniczej [2]).

Lecz były to okoliczności wyjątkowo, sprzyjające; bogaty kraj, jak Francya, został zaskoczony z nienacka i stanął całkiem otworem.

W krajach biedniejszych, mniej zaludnionych i oporniej walczących, trudności musiały być bez porównania większe.

W każdym razie kawalerya, wyprzedzając w marszu resztę wojska, czuwa nad wykonaniem rozkazów, które przyniosła lub wydała. W pewnych punktach zajmuje się kawalerya tem, aby mieszkańcy przygotowali, wytworzyli i zgromadzili rzeczy, potrzebne na miejscu, i tam oczekuje na przybycie awangardy piechoty. W innych punktach stara się o zdobycie środków przewozowych i zarekwirowane przedmioty każe mieszkańcom transportować do stanowisk piechoty.

Ta część służby należy do najdelikatniejszych obowiązków kawaleryi, do najtrudniejszych, wymagających znacznej dozy inteligencyi i roztropności. A nadto służba ta mocno pochłania siły. Trzeba wszędzie pozostawiać oddzialiki, aby zapewnić wykonanie danych rozporządzeń, wypada eskortować wszelkie transporta i t. p.

Dziś przeto wielu wojskowych uważa za najkardynalniejsze zadanie kawaleryi przygotowanie żywności dla postępujących za nią wojsk. Lecz wątpić nie można, że wobec prochu bezdymnego i organizacyi, danej armiom przez uformowanie specyalnych oddziałów strzeleckich, czynności te będą nadzwyczaj utrudnione. I ludność cywilna również ponosić będzie daleko większe straty i narażoną zostanie na bez porównania większe niebezpieczeństwo, niż w wojnach przeszłych.

Do przedmiotu tego wrócić nam wypadnie w dalszym ciągu wywodów naszych; obecnie ograniczyć nam się należało tylko do wyświetlenia roli kawaleryi w kwestyi zaopatrywania armii w żywność.

---

[2]) Pułkownik Köhler Anti R. V. „Untersuchungen über den Werth der Cavallerie in den Kriegen der Neutzeit".

IX.

Ostateczne wyniki.

Pomimo to, że dziś użycie kawaleryi na polu bitwy jest bardzo trudne, oraz, że ona tam — ściśle rzeczy biorąc — odgrywać nie będzie decydującej roli wcale, twierdzić niepodobna, ażeby jazda w armiach współczesnych nie była niezbędną.

Nawet autorowie, zapatrujący się bardzo sceptycznie na rolę i działalność kawaleryi w przyszłych bitwach, nie mogą zaprzeczyć, iż w pewnych wypadkach będzie ona miała pierwszorzędne zadania do spełnienia, lecz słusznie powiadają, że dziś bardziej niż kiedykolwiek jest prawdą zasada, postawiona przez Napoleona, że „kawalerya powinna mieć kadry liczniejsze i lepiej wyćwiczone, aniżeli inne rodzaje broni.“

Oprócz tego dziś również bardziej niż dawniej daje się czuć potrzeba szybkości w wystąpieniu do działania i po rozpoczętej już akcyi w energii w przeprowadzeniu zadań.

I tak, na początku kampanii, w chwili najgorętszej działalności mobilizacyjnej, kiedy od szybkości i swobody ruchów zależy niemal cały przebieg kampanii, kawalerya stanowić będzie rodzaj siatki ochronnej, bez której koncentrowanie wojsk nie mogło-by się odbyć z należytą dokładnością i pośpiechem.

Dalej, pomimo iż warunki dzisiejsze nie sprzyjają rekonesansom kawaleryjskim, to jednak i w służbie wywiadowczej pewną rolę oddziały konne będą mogły i będą musiały spełnić.

Wreszcie, zaopatrzenie armii w żywność i zapewnienie bezpieczeństwa oraz licznych potrzeb innych w kraju nieprzyjacielskim, jeżeli nie całkowicie, to w każdym razie w bardzo znacznym stopniu należeć będzie do kawaleryi.

Najważniejszy czynnik, jaki działać będzie na polach bitew przyszłej wojny, ten morderczy, szarpiący nerwy, przytłumiający ducha ogień, wyjdzie wprawdzie na korzyść artyleryi i piechoty; nie wyklucza to jednak, aby konnica nie mogła w chwili niebespieczeństwa wpaść niby orkan na przeciwnika, przedewszystkiem zaś na głównego swego przeciwnika—na piechotę.

Dziś tak samo, jak niegdyś, śmiały a dobrze i przy odpowiednych warunkach wykonany atak na oddział piechoty, będącej w marszu, eskortującej tabory, uderzenie z boku lub z tyłu i wogóle napaść nieoczekiwana na nieprzyjaciela, uważane są za właściwy sposób działania jazdy. Jest więc ona obowiązaną do korzystania z chwil, nadarzających się do ataków podobnych. Maurycy Saski mawiał: „ludzie na-

padnięci z nienacka tracą przytomność — na wojnie jest to prawo ogólne i niezmienne.“

Poważną również rolę kawalerya odegrać powinna po bitwie, jeżeli jedna ze stron dozna dotkliwej porażki. Wówczas konnica, która podczas bitwy trzymaną będzie zdala i udziału w walce nie weźmie, obu stronom oddać może wielkie przysługi. Bez niej zwycięscy w każdym razie trudniej-by było wyzyskać swe powodzenie i swoją przewagę; zwyciężony zaś nie miał-by czem w pierwszej chwili zasłonić swej cofającej się lub nawet pierzchającej armii przed naciskiem tryumfującego wroga.

Tym sposobem utarczki kawaleryi, które — jak nas zapewniają wyżej przytoczeni autorowie — zaczynały bitwy, zapewne będą je też kończyły.

Jest to okoliczność tem ważniejsza, iż wielkie bardzo zachodzą dziś obawy, czy wygrana bitwa da w przyszłej wojnie zwycięscy poważną przewagę nad przeciwnikiem. Droga przewidywanego cofania zaopatrzoną będzie prawdopodobnie w odpowiedne oszańcowanie, a przytem i wzniesienie nowych osłon zbyt wiele czasu nie zajmie; armia, pobita w jednem miejscu, bronić się zacznie w najbliższej pozycyi, która pozwoli zgromadzić się i stawić czoło zwycięscy zmordowanemu, tembardziej, że ten, jak to później wykażemy, zwykle ponosił daleko większe straty, aniżeli zwyciężony przezeń i cofający się z placu boju przeciwnik; co najważniejsza, wobec ogromnych przestrzeni, na których będą rozproszone na odległość armat wojska, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dla przykrycia odwrotu podążą świeże, nie wciągnięte jeszcze do boju oddziały.

Wszystko powiedziane odsłania nam całą słuszność słów prof. Leera, wyrzeczonych w „Taktyce stosowanej“: „mieć dużo dobrej kawaleryi, zupełnie zmobilizowanej podczas głębokiego pokoju — oto na czem polega zadanie główne; ta armia, która je pierwsza rozwiąże, w najbliższej zaraz wojnie zbierać będzie owoce swej przenikliwości.“

Lecz iżby kawalerya rzeczywiście mogła oddać usługi, wypada koniecznie, ażeby miała doskonałych dowódców i oficerów.

Ze wszystkiego, cośmy wykazali, najgłówniejszy wynik, że *„w każdym razie dzielność i wartość komendy jest najpierwszym i najniezbędniejszym motorem.“*

Kwestye szczegółowe odnośnie do różnic w uzbrojeniach, osiodłaniu i wartości koni etc., zdają się nam podrzędnego znaczenia.

Jeżeli zważymy wszystkie okoliczności, to mniej więcej materyalne części będą równe we wszystkich armiach. Wszystko zależeć będzie od sposobu ich użycia. Z życia powszedniego wszakże dobrze

wiemy, że mierny robotnik źle wykona robotę najlepszemi nawet narzędziami, tymczasem artysta wykończy arcydzieło za pomocą najelementarniejszego narzędzia.

Potrzeba więc artystów dowódzców, szczególnie do oddziałów kozackich, które pod względem kultury stoją znacznie niżej od jazdy regularnej; nie posiadają one, z powodu niekorzystnego sposobu rekrutowania, nawet podoficerów, którzyby wskutek dłuższego pozostawania w szeregach przedstawiali większą wartość intelektualną, a tem samem w przyszłej wojnie mogli zastępować wyższych rangą kolegów.

ROZDZIAŁ XVI.

P i e c h o t a.

I.

Trudność zastosowania taktyki wczorajszej.

Gdy wyżej była mowa o roli, jaką prawdopodobnie kawalerya i artylerya odegrają na polach bitew przyszłej wojny, z konieczności wypadło nam już wyjaśnić wiele kwestyi, dotyczących piechoty. Obecnie rzecz tę musimy dopełnić i rozwinąć. Pomimo zapowiedzianych nadzwyczajnych wynalazków i ulepszeń w artyleryi, piechota była, jest i zdaje się pozostanie nadal głównym pierwiastkiem i najniezbędniejszym czynnikiem powodzenia na wojnie.

Według obliczeń, dokonanych dla sejmu cesarstwa przez ministeryum wojny w Niemczech, liczebność piechoty w różnych armiach, na zasadzie panujących obecnie wojskowych postanowień, wynosi:

we Włoszech .	346 batalionów	1,267,500	ludzi
w Austryi . .	458 „	2,062,000 [1]	„
w Niemczech .	540 „	3,600,000 [2]	„
we Francyi . .	616 „	4,150,000	„
w Rossyi . .	1,010¼ „	4,556,000	„

Piechota stanowi większość walczących, ona najprędzej ze wszystkich rodzajów broni potrafiła-by sama sobie wystarczyć. Lecz nato-

---

[1]) W tej liczbie 300 tys. zapasowych.

[2]) Z liczby tej wyłącza się 300 tys., pozostających w rezerwie, a korzystających z rozmaitych ulg.

miast pod innym względem zaszła kolosalna zmiana. Dawniej twierdzono, że najłatwiej nauczyć służby i wyćwiczyć piechura; mniemanie to w pewnych minionych epokach mogło być słuszne, dziś jednak rzeczy mają się całkiem inaczej.

Sposoby ataku i obrony po bitwie pozostają w zależności od rodzaju uzbrojenia.

Określić jednakże, jaką będzie taktyka jutra, nikt dziś nie potrafi. Specyaliści jedno tylko na pewno powiedzieć mogą, co zresztą stanowi stary pewnik, że taktyka danej chwili jest przedewszystkiem rezultatem doświadczeń z najbliższych wojen przeszłych [1]).

W czasach dawnych, kiedy postępy w technice odbywały się tak powolnie, że pomiędzy jedną a drugą wojną trudno dało się dostrzedz jakąś różnicę, korzystać z doświadczeń przeszłości było stosunkowo łatwo.

Obecnie rzecz się przedstawia zupełnie inaczej. Wykazane przez nas udoskonalenia broni i prochu w ciągu ostatnich lat 25 są, według jednogłośnego niemal świadectwa znawców, większe, aniżeli suma zmian, dokonanych przez ubiegłe 5 wieków, to jest od czasu wynalezienia prochu.

Pierwsza palna broń ręczna—podpalana knotem—wprowadzona została zaledwie w 150 lat po wynalezieniu prochu; przekształcenie zaś jej na gwintówki wamagało aż *trzech wieków!* W naszych czasach wynalazki idą bez porównania prędzej. Na wojnie roku 1859 Francuzi uzbrojeni jeszcze byli w karabiny typu 1777 r. z dodaniem tylko rurki pistonowej i nacięcia gwintu. Tymczasem od r. 1867 zmienił się trzy razy typ broni ręcznej: po chassepôt'ach przyszły karabiny Grassa, a po tych magazynówki Lebela, które dziś uważane są za przestarzałe. Profesor Gebler, jedna z najbardziej uznanych powag w kwestyach broni ręcznej, daje następującą tablicę stosunkowej wartości karabinów różnych typów, wprowadzonych w armiach państw europejskich (wartość dawnych karabinów pruskich Mausera typu 1871 r. wzięta została za miarę i oznaczona przez 100) [2]):

Gebler (typ 1890 r.)	574
Szwajcarski Schmidta (t. 1889 r.)	542
Belgijski Mausera (t. 1889 r.)	516
Angielski Lie (t. 1888 r.)	512
Niemiecki (t. 1888 r.)	474
Austryacki Mannlichera (t. 1888—90 r.)	469

[1]) „La tactique de l'infanterie Française en 1887."

[2]) „Revue des Cercle Militaire." 1893.

Bułgarskie Mannlichera (t. 1888—90 r.). .	433
Francuskie Lebela (t. 1886 r.)	433
Duńskie (t. 1889 r.)	411
Szwedzkie (t. 1889 r.)	393
Mausera (11 milim. t. 1871 r.)	100

Nadto na zmianę taktyki wpływać będą również czynniki, potęgujące działanie nowej broni. Łatwość koncentrowania ogromnych mas wojsk przy pomocy dróg żelaznych i dostarczania im żywności tymże sposobem, możność natychmiastowego kommunikowania rozkazów na dalekie odległości za pomocą telegrafów, telefonów, sygnałów optycznych, balonów, możność obserwowania ruchów nieprzyjaciela z wielkich odległości z balonów i obserwatoryów, zamieniania nocy na dzień przez użycie potężnych świateł elektrycznych i naftowych, — wszystko to są czynniki, w czasach przeszłych zupełnie prawie nieznane, a w wojnach ostatnich zaledwie w części tylko stosowane.

Nadto przybył jeszcze jeden nowy a potężny czynnik, którego doniosłość dziś obliczyć bardzo trudno.

W czasie kiedy broń ręczną i armaty nabijano prochem czarnym (zwykłym), gęsty dym, długo utrzymujący się podczas pogody w powietrzu, wskazywał każdej ze stron walczących linię bojową przeciwnika. Zniknięcie tej wskazówki odbierze atakującemu możność, jaką dawniej posiadał, powzięcia od samego początku batalii jakiegoś planu wyrozumowanego, a równocześnie zapewni broniącemu się korzyści, wynikające ze stanu względnej niewidzialności.

Broniący się z bezdymności korzystać będzie mógł w rozmaitym stopniu w sposób dwojaki: przez pewien przeciąg czasu nieprzyjaciel nie potrafi odgadnąć jego zamiarów, a powtóre na ciosy jego przeciwnik nie zdoła odpowiadać, lub przynajmniej odpowiadać skutecznie.

Nie można więc nie przyznać, że w nauce wojennej, tak jak i w każdej innej, z powodu gorączkowego ruchu i przekształceń, wiedza wczorajsza przestała być wiedzą dzisiejszą, a jeszcze mniej uważaną być może za przydatną na jutro.

Z tego zaś wynika obowiązek, z jednej strony, nie spuszczać z oka zmian, dokonanych w sferze udoskonaleń materyalnych, a z drugiej strony—myśleć o duchowem przygotowaniu dowództwa armii do należytego zużytkowania wszystkich ulepszeń, oraz skorzystania z konsekwencyi, z nich wynikających.

Zapoznaniu tego obowiązku i tej konieczności przez rządy cesarza Napoleona III Niemcy zawdzięczają w znacznej części zwycięstwa swoje.

Bądź co bądź, obecnie zwycięstwo zależeć będzie więcej niż w czasach dawnych od wytrzymałości, wyćwiczenia, a bardziej jeszcze od dyscypliny, nie zewnętrznej, uganiającej się za zachowaniem form i pozorów, ale takiej, która-by inicyatywy osobistej piechura nie zabijała. Przedewszystkiem zaś zależeć ono będzie od przymiotów młodszego oficera, kierującego ogniem; oficer taki znaczy dziś w wojsku więcej, niż ktokolwiekbądź. Ażeby to twierdzenie uzasadnić, musimy się rozpatrzyć wśród zadań, oraz wśród tych stron działalności piechoty, od których losy wojny zawisną, tak, jak to wyżej zrobiliśmy względem kawaleryi i artyleryi.

II.

Niezbędność stosowania się do nowych wymagań taktyki.

Ażeby wykazać nadzwyczajną doniosłość właściwego wyboru nowych sposobów taktycznych, stosownie do tych lub owych zmian w uzbrojeniu, przytoczymy kilka przykładów z historyi wojen.

Podczas wojny Krymskiej występują, jak wiadomo, po raz pierwszy karabiny gwintowane. Posiadała je armia sprzymierzona, piechota zaś russka uzbrojona była w karabiny gładkie, których skuteczność była bez porównania mniejsza.

Hrabia Kisielew w pamiętnikach swoich powiada: „Kule nasze wywoływały tylko kurz na połowie przestrzeni, dzielącej nas od nieprzyjaciela, wówczas kiedy jego kule raziły nasze rezerwowe kolumny, stojące zdala po-za linią tyralierów.“

Rezultat ten przytem spotęgowany był znacznie niezmienieniem sposobów taktycznych, przyjętych i zastosowanych do broni gładkiej, gdy nieprzyjaciel raził już z karabinów gwintowanych.

W „*Précis historique de la tactique de l'infanterie française*“ [1]) znajdujemy opis ówczesnej taktyki armii russkiej.

„Zasadniczym szykiem russkim był podówczas szyk trójszeregowy. Trzeci szereg plutonu zawierał tylko 12 tyralierów, czyli batalion liczył ich 96. Reszta żołnierzy nie była wprawiona do walki w szyku rozproszonym. Większym jednostkom bojowym przez regulamina został narzucany niezmienialny pod żadnym pozorem szyk, w jakim wojsko miało występować wobec nieprzyjaciela. Zdaje się, iż nie ufano dostatecznie inteligencyi ówczesnych generałów. Kiedy zaś

[1]) Paryż, 1891.

umysł ludzki spętany zostanie zbyt wielką liczbą warunków i nakazów, przestaje on pełnić właściwą swoją funkcyę, przestaje być samym sobą.“

Znalazłszy się wobec nieprzyjaciela, uzbrojonego w lepsze karabiny, które mogły szerzyć w zwartych masach wielkie spustoszenie, wypadało zmienić szyk, w regulaminach przepisany, tymczasem przez cały czas kampanii trzymano się ściśle litery regulaminu.

Rezultat był ten, że, pomimo swego heroizmu, wojska russkie ponosiły ciągłe straty dotkliwe.

Ta niewłaściwość taktyki armii russkiej w owym czasie uwidoczniona jest na rysunku, poniżej zamieszczonym, który wzięliśmy z dzieła Oméga „L'art de combattre.“ Widzimy tu, w jaki sposób wojska russkie atakowały nieprzyjaciela w bitwie nad Czarną rzeczką.

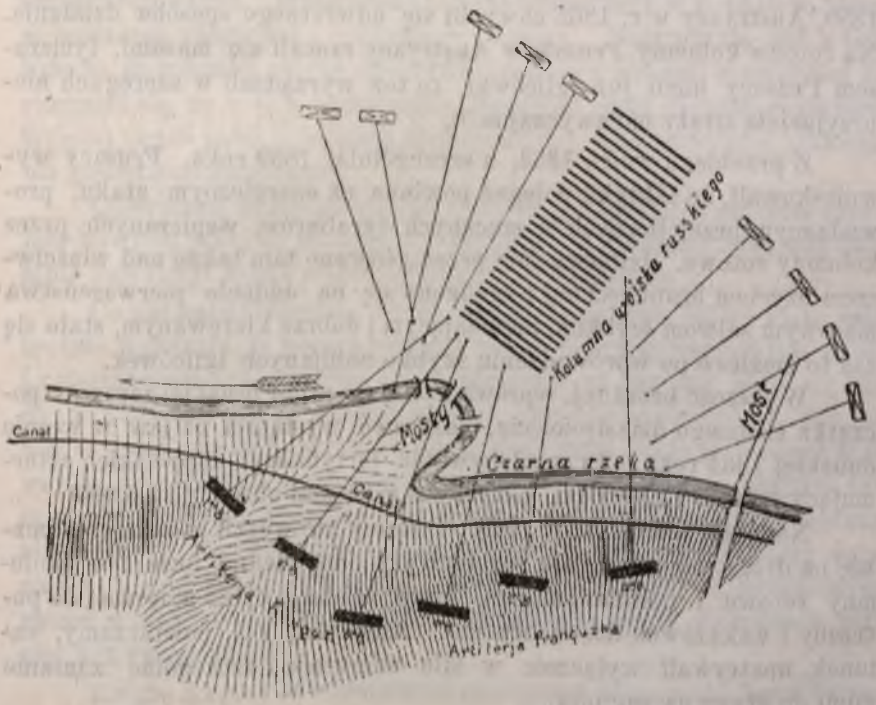

Piechota russka szła w głębokich kolumnach, ażeby uderzyć na prawe skrzydło nieprzyjaciela i odeprzeć go ku morzu. Ale na przeciwległym brzegu rzeki, na wzgórzach, stała artylerya nieprzyjacielska. Ogień działowy (szczególniej włoskich bateryi), a nawet kule z broni ręcznej, wskutek stosunkowej dalekonośności karabinów gwintowanych, sprawiały w kolumnach russkich takie spustoszenie, iż nawet Francuzi, jak zapewnia cytowany autor na zasadzie opowieści świad-

ków naocznych, nie mogli patrzeć na to bez wzruszenia. Tenże autor dodaje, iż dzisiaj wojskowi russcy nie tają zdumienia, jak mogło przyjść do głowy atakować w takim szyku wzgórze, mając rzekę przed sobą.

Podobne nieprzystosowanie taktyki do nowych wynalazków technicznych spotykamy u Austryaków podczas kampanii włoskiej w 1859 r. Posiadali już oni wówczas karabiny gwintowane, a rachując zbytnio na siłę ich ognia, stale zajmowali pozycyę obronną. Prócz tego nie umieli oni jeszcze wtedy używać strzelców. Odwrotnie Francuzi działali wciąż zaczepnie, rozwijali masę strzelców w ten sposób, iż pierwsza linia bojowa rozsypywała się w łańcuch tyralierski, żołnierze kładli się na ziemi i zalewali nieprzyjaciela deszczem kul. Po-za tą pierwszą linią bataliony linii drugiej skupiały się w kolumny atakowe.

Przekonawszy się, iż taktyka odporu doprowadziła do klęski w r. 1859, Austryacy w r. 1865 chwycili się odwrotnego sposobu działania. Na rotowe kolumny Prusaków Austryacy rzucali się masami, tymczasem Prusacy mieli już iglicówki, to też wyrządzali w szeregach nieprzyjaciela straty nadzwyczajne [1]).

Z przebiegu wojen 1854, a szczególniej 1859 roku, Prusacy wywnioskowali, że taktyka polegać powinna na energicznym ataku, prowadzonym przez licznych a zręcznych tyralierów, wspieranych przez kolumny rotowe. Jednocześnie przemyśliwano tam także nad właściwszem użyciem broni ręcznej i zgodzono się na oddanie pierwszeństwa masowym salwom szybkim, nieustającym i dobrze kierowanym, stało się zaś to możliwe po wprowadzeniu szybko nabijanych iglicówek.

Wyższość broni tej, wprowadzonej do armii pruskiej zaraz na początku siódmego dziesięciolecia, jaskrawo wystąpiła na jaw w wojnie duńskiej 1864 roku. Przy zdobywaniu fortyfikacyi düppelskich szturmujący stracili 1,180 ludzi, okryci zaś szańcami obrońcy aż 5,000!

Nadeszła kampania r. 1866. Prusacy nie weszli jeszcze ostatecznie na drogę właściwą, ale posiadali już odpowiedne formacye (kolumny rotowe i półbatalionowe), które należało tylko stosować do potrzeby i wskazówek doświadczenia. Austryacy zaś, powtarzamy, ratunek upatrywali wyłącznie w sile uderzenia i szczególne zaufanie mieli do ataku na bagnety.

Chociaż oficerowie austryaccy byli świadkami działań Prusaków w wojnie duńskiej, w której, jak wiadomo, brały udział i wojska austryackie, ale wskutek starych uprzedzeń z lekceważeniem patrzyli na „uczone“ manewry swoich sprzymierzeńców. Ostatni tymczasem ró-

[1]) Waldor de Heusch: „Tactique d'autrefois.“ „Révue de l'armée belge.“ Marzec, 1893.

wnież oglądali praktyczne skutki austryackiej rutyny taktycznej i, stawszy się następnie ze sprzymierzeńców przeciwnikami, umieli pod obu względami skorzystać z doświadczenia.

To też w bitwach r. 1866 zwarte kolumny piechoty austryackiej rażone były nieustającym ogniem iglicówek i, pomimo całego swego zapału i energii w ataku, nawet gdy zdołali dotrzeć do pozycyi nieprzyjacielskich, nie byli w końcu w możności wytrzymać i ustępowali wobec niesłabnącego gradu kul pruskich.

Napoleon III od roku 1866 szykował się, jak wiadomo, do wojny z Prusami. Pomimo to, armia francuska nie potrafiła skorzystać z lekcyi kampanii 1866 roku. W regulaminie działań na polu bitwy marszałek Niel, jako zasadę, podawał atak na bagnety w silnych kolumnach z niewielką liczbą tyralierów, mianowicie 2 roty z batalionu (sześciorotowego). Wskazówki te drukowane były w r. 1870 w Metzu w broszurce oddzielnej i rozdawane oficerom. Najgorszem zaś z tego było to, iż wskutek rutyny oficerowie francuscy nie byli w możności dorozumieć się, co w tym regulaminie stanowiło rzecz główną: rozsypanie trzeciej części ludzi w łańcuch strzelecki, czy też konieczność atakowania głębokiemi kolumnami.

Odwrotnie, armia niemiecka zdziwiła przeciwnika użyciem sposobów nowych: taktyka jej artyleryi decydowała o losach bitew, gdy działanie kawaleryi zapewniało powodzenie strategiczne [1]).

Co zaś najważniejsza, wojna francusko-pruska 1870—71 r. ostatecznie wykazała, iż potęga piechoty polegała przedewszystkiem na sile i nieustanności ognia, wobec czego uderzenie na bagnety stało się bardzo zawodnem i wtedy właśnie utraciło swe dawne znaczenie. Ale, nawet w armii pruskiej, wskutek olbrzymich strat, jakie poniesiono w tej wojnie, szczególniej przy szturmowaniu ufortyfikowanych pozycyi, taktyka uległa nowym zmianom. Wystąpiła na jaw niemożliwość narażania piechoty, uszykowanej w kolumny lub szeregi, na działanie ognia nawet ze znacznych odległości. Ażeby to zillustrować, przytoczymy epizod z bitwy pod Saint-Privat [2]), w której szeregi niemieckie straciły 13% swych ludzi.

Książę August Wirtemberski miał przed sobą osadę Saint-Privat, zajętą przez oddziały 6-go korpusu francuskiego. Od dwu już godzin szańce francuskie „przygotowywane“ były do ataku ogniem 200 dział i osada płonęła. Sądząc, iż chwila szturmu nadeszła, książę posłał dwa oddziały:

---

[1]) Ibidem.

[2]) Arthur de Launiers: „La tactique de demain.“ „Revue contemporaine,“ 1893 r.

4-tą brygadę gwardyi pruskiej, która atakowała od strony Saint-Ail pod dowództwem generała von Kessel, i całą 1-ą również gwardyjską dywizyę, prowadzoną przez generała von Pape od strony Saint-Marie-au-Chênes. Resztki wojsk francuskich, jakie trzymały się jeszcze na północno-zachodnim skraju Saint-Privat, rozpoczęły ogień, gdy nieprzyjaciel zbliżył się już na 1,200 metrów. Zrobiły zaś to wprost wskutek instynktu samozachowawczego i wbrew rozkazom oficerów, którzy wtedy nie pojęli jeszcze należycie, co to znaczy ogień z nowej broni.

Francuzi byli wtedy w stanie silnego wzburzenia, strzelali z pośpiechem, nie celując prawie, i prawdziwa ulewa kul szła wzdłuż lekkiej pochyłości, po której wspinały się szturmujące kolumny, krzykami „hurra!“ wstrząsając powietrze, pełne pyłu od niezliczonych rykoszetów kul francuskich. Kiedy zaś nareszcie po dziesięciu minutach szalonej strzelaniny ogień francuski dla braku ładunków słabnąć począł, „hurra“ nieprzyjacielskie zamilkło. Francuzi ujrzeli gwardyę pruską, stojącą w milczeniu na pewnej odległości, niezdolną ani ruszyć naprzód, ani cofnąć się: *w ciągu tych dziesięciu minut kule francuskie położyły 6,500 szeregowców i 240 oficerów, t. j.* $^1/_3$ *część ogółu ludzi.*

Był to skutek przedewszystkiem ognia broni ręcznej, gdyż artylerya francuska okazała się wtedy słabszą od niemieckiej, a to dlatego, iż działała błędnie, nie masowo, lecz pojedyńczemi bateryami i półbateryami. Ale chassepôt'y, bijące na odległości 1,500 metrów, działały z ogromnym skutkiem w tych właśnie wypadkach, gdy piechota rozpoczynała ogień z takiej odległości. Nieprzyjaciel musiał wtedy przebywać ostatnie 1,500 metrów pod połączonym ogniem piechoty i artyleryi. Łatwo zrozumieć, iż przy takich warunkach nie mógł być skuteczny dawniejszy sposób szturmowania, t. j. ruch kolumny naprzód z łańcuchem tyralierów na czele, który oczyszczał drogę, a następnie rozsuwał się i puszczał kolumnę, uderzającą na bagnety.

Dalekonośność i stosunkowa szybkostrzelność nawet takich typów broni, jak karabiny Berdana lub chassepôt'y, a tem bardziej magazynówki, zmusiły atakującego uciekać się do nowych sposobów, ażeby przebyć pas straszliwego ognia nieprzyjacielskiego i nie ponieść zbyt wielkich strat, jak również, aby, odpowiadając na strzały nieprzyjaciela, nie pozwolić mu utrzymywać ognia bez żadnej przerwy.

Mając artyleryę lepszą, niż Francuzi, oraz gorsze karabiny, Niemcy poczęli otwierać bój z odległości możliwie dalekich ogniem działowym; we wszystkich też opisach bitew znajdujemy moment, rozpoczynający się od słów: „po skutecznem działaniu artyleryi.“ Niemcy więc początkowo starali się trzymać po-za sferą ognia z broni ręcznej francuskiej, która biła dalej, niż iglicówki. Gdy zaś odległość zmalała wskutek natarcia tej czy owej strony, Niemcy starali się teraz, aby

przestrzeń, dzieląca ich od nieprzyjaciela, jak najprędzej zmniejszyła się jeszcze bardziej, albo więc podpuszczali ku sobie Francuzów, albo sami szli naprzód,—wtedy już działać poczynały iglicówki i wyższość chassepôt'a znikała. Francuzi nieraz podczas tej wojny dali się wziąć na manewr podobny, nie wyzyskując wcale wyższości swego karabina. Dodać należy, iż jednocześnie z przyjęciem przez Niemców nowej taktyki śmiertelność w ich szeregach zmniejszyła się znacznie.

Wskazówki doświadczeń tych z wojen dawniejszych nie zostały dostatecznie uwzględnione przez armię russką podczas wojny 1877 r. Uzbrojenie było przestarzałe i przestarzała taktyka. Wojna zastała piechotę pod obu względami w stanie przejściowym. Nie rachowano już wyłącznie na uderzenie bezpośrednie, ale to się wyraziło tylko przez stopniowe od 1869 r. wprowadzenie karabinu Berdana i przez rozpoczęte przekształcanie 3-batalionowego pułku (po 5 rot w batalionie) na 4-batalionowy. Tym sposobem znikały piąte roty, t. j. te, które przedtem przeznaczone były do tworzenia łańcucha tyralierskiego, i całe pułki poczęto uczyć działania w szyku rozproszonym, oraz wogóle wprawiać do nowych manewrów wojskowych. Ale reformy te przed wojną ukończone zostały jedynie w wojskach gwardyi i w dywizyach kaukaskich.

Co się tyczy uzbrojenia, to w berdanki do owego czasu zaopatrzone były korpusy gwardyi i grenadyerski, niektóre zaledwie dywizye armii, konsystujące w pasie zachodnim, oraz brygady strzelców. Części wojska, uzbrojone w berdanki, stanowiły tylko 34% całej armii nawet na europejskim teatrze wojny, pozostałe części miały karabiny Krünckа. Wojska azyatyckie posługiwały się karabinami systemu Carle'a. Oba zaś typy przerobione zostały z dawnych strzelb, nabijanych z przodu [1]).

Przy tem wszystkiem taktyka armii russkiej pozostawała niezmienioną. Oto, jak ją opisuje Puzyrewski [2]): „z każdej roty posyłano na linię bojową jeden półpluton, reszta zaś pozostawała o 300 kroków w tyle, w charakterze rezerwy. Łańcuch składał się z ogniw, liczących po 4 ludzi. Przy natarciu, strzelcy przerzucali się naprzód o 25—50 kroków i w ten sposób zbliżali się do nieprzyjaciela na 50—100 kroków. Wreszcie na hasło: „do ataku“ z odległości 50 kroków, z okrzykami „hura,“ rzucali się na bagnety. Przy tem, kiedy zwarte kolumny, posuwające się ciągle naprzód, na sygnał „do ataku“ podchodziły do łańcucha, ten odsłaniał im front, łączył się ze skrzydłami

[1]) Stoecker-Pascha: „Bemerkungen über den russisch-türkischen Krieg 1877—1878.“ „Militär Wochenblatt,“ 1892.

[2]) Gen. Puzyrewski: „Armia russka przed wojną 1877 roku.“

i, strzelając, posuwał się dalej naprzód. W razie powodzenia, łańcuch parł ustępującego nieprzyjaciela, rażąc go wzmocnionym ogniem.“

Wogóle taktyka russka polegała na sile uderzenia. Bataliony, pułki, brygady, szły naprzód w kolumnach rotowych, a linie dalsze posuwały się za poprzedniemi.

Co się tyczy piechoty tureckiej, to ćwiczono ją wedle wzorów francuskich. Ale przy tem zwrócono zbyt małą uwagę na strzelbę i na umiejętność korzystania z terenu. Co prawda, żołnierz turecki, wskutek warunków bytu swego, pod obu temi względami był przygotowany, w domu jeszcze nauczył się on strzelać, oraz szybko oryentować się wśród warunków miejscowości, zresztą przy dawnych karabinach względy te wielkiej roli nie odgrywały; ale większość piechoty tureckiej otrzymała karabiny systemu Pibodi-Martini bezpośrednio przed wojną, żołnierze też, mając je pierwszy raz w ręku, nie umieli właściwie używać i wyzyskiwać ich przymiotów. Główną uwagę zwrócili oni na jak najszybsze wypuszczanie kul jednych za drugiemi, a ponieważ przytem na prędce potworzone obozy artyleryjskie odznaczały się bardzo żywą działalnością, ładunków zaś dowożono obficie, więc wielka ilość strzałów sprawiała nadzwyczajne skutki. Stąd też po wojnie wzięły się opowiadania o „gradach kul,“ wypuszczanych przez piechotę turecką. Berdanki russkie, lub karabiny Rumunów systemu Pibodi, niewiele ustępowały tureckim, ale wskutek odmiennego użycia nie dawały tegoż samego skutku. W każdym razie wieści o tureckich „gradach kul“ niewątpliwie przyczyniły się do szybkiego wprowadzenia magazynówek w armiach europejskich [1]).

Niemcy w r. 1870 potrafili, jakeśmy to już mówili, zrównoważyć za pomocą manewrów taktyki wyższość karabina francuskiego. Taktyka zaś russka r. 1877—78, posiłkując się nieodpowiedniemi i przestarzalemi sposobami, powiększała jeszcze przewagę Turków, złe też rezultaty nie kazały czekać na siebie.

Autor cytowanej już „Histoire de la tactique de l'infanterie française,“ powołując się na generała Kuropatkina, podaje opis następujący:

„Pod Plewną sądzono, iż działanie artyleryi przez pięć dni dostatecznie osłabiło piechotę turecką i dostatecznie zburzyło oszańcowania, aby piechota russka mogła pójść do ataku. Tymczasem tak wcale nie było; skutek działania artyleryi russkiej był prawie żaden, a piechota uderzyła z frontu pod straszliwym ogniem na dobrze bronione szańce i okopy. Piechota ta — upewnia dalej tenże autor — rzuciła się w bój

[1]) Stoecker-Pascha. Loco citato.

wspaniale. Wszędzie dotarła ona na bliską odległość do pozycyi tureckich; ale, przebiegłszy bez wahania odległości znaczne, przechodzące nieraz 1,000—1,200 metrów, musiała się zatrzymać, wyczerpana i dziesiątkowana. Nowe pchnięcie posunęło ją jeszcze o kilka kroków naprzód, ale nie była ona już w możności wykonać ostatni nacisk, to też jeszcze po jakimś wysiłku, dzielne te wojska—są słowa generała Kuropatkina, — musiały się cofać na swoje poprzednie pozycye z tym samym pośpiechem, z jakim przebiegały odległość, dzielącą je od Turków, idąc naprzód. Wszędzie straty były olbrzymie i dochodziły do połowy liczby pierwotnej, a z oficerów blizko dwie trzecie opuściło szeregi.

„Na jednym tylko punkcie, mianowicie na lewem skrzydle, Rossyanie mieli chwilowe powodzenie, dzięki nadzwyczajnej energii generała Skobolewa. Dwie reduty i łączące je okopy wpadły w moc Rossyan. Były zaś one bronione przez 3 czy 4 bataliony tureckie bardzo nieliczne, po 500 zaledwie ludzi każdy. Ażeby sobie z niemi poradzić, gen. Skobolew musiał użyć wszystkich swoich rezerw, liczących 12—13 tysięcy ludzi, a następnie, pomimo energicznego, trwającego 30 godzin oporu (11 i 12 września), Rossyanie, nie otrzymawszy posiłków, musieli ustąpić pod naciskiem ataku tureckiego i opuścić zdobytą pozycyę po stracie 6,000 ludzi.

„Przykład ten dowodzi, że nie dosyć jest umieć poświęcić 50% swej armii, ale trzeba ażeby straty odpowiadały otrzymanym rezultatom i ażeby siły, jakie posiadamy, mogły nie tylko zdobyć, ale i utrzymać pozycyę.

„Pyrrhus również zwyciężył Rzymian, ale straty jego były tak wielkie, że wojska nie mogły dalej prowadzić wojny, to też opuścił brzegi Italii.“

Taktyka, przyjęta w r. 1877 w armii russkiej, przyczyniła się—jak zapewnia autor francuski—znacznie, jak to już zaznaczyliśmy, do powiększenia liczby strat. „W większości wypadków—powiada on—wojska russkie prowadzone były do ataku w szyku głębszym, niż kiedykolwiek śmieli ustawić się Grecy lub Rzymianie przeciwko nieprzyjacielowi, uzbrojonemu w łuki i proce. Tak np. przełęcz Szypki, której obrońcy mieli wielką obfitość amunicyi, atakowana była kolumnami rotowemi, ze zdwojonemi rzędami, ledwie że przysłonionemi małą liczbą tyralierów. Chociaż już rozpraszanie szeregów figurowało wówczas w regulaminie armii russkiej, to jednak nie miano jeszcze wtedy pojęcia istotnego o taktyce, do jakiej zmusza broń szybkostrzelna. Do dziś zresztą armia liczy wielu gorących zwolenników metody Suworowa.“

Generał Kuropatkin powiada mniej więcej toż samo:

„Większa część pułków wyprowadzała odrazu na linię bojową 10 rot, zostawiając w rezerwie pięć. Szyk w dwa rzędy kolumn rotowych pozostawiał pomiędzy rotami zbyt małą przestrzeń. Cały pułk, ustawiony w szyku bojowym, trzymał roty na za małych przedziałach i odstępach. Zamiast rozszerzenia czoła i prowadzenia bitwy rotami, które-by też stanowiły jednostki bojowe, jednostką taką zrobiono pułk cały, roty zaś wskutek tego, w dzielnym, lecz bezładnym ataku i w bezładniejszym jeszcze cofaniu się, utraciły niezbędną samodzielność.“

Z opisu błędów, popełnionych przez rozmaite armie, wynika, że punkt ciężkości walki przeniesiony został na linię tyralierów, mających tym sposobem dwie role do spełnienia, dawniej odrębne: przygotowania ataku i wykonania go.

Tyralierzy, będąc zrazu osłoną, teraz zdobyli miejsce pierwsze. „Ponieważ—jak to doskonale powiedział kapitan austryacki Horsecki—atak piechoty stał się ogniem maszerującym,“ a nierozłączny związek marszu i ognia da się dokonać tylko w pierwszej bojowej linii, tyralierzy więc muszą odgrywać rolę główną.

Regulamina różnych państw europejskich dosyć się z sobą zgadzają co do odległości, z jakich należy rozpoczynać ogień. Moranville [1]) przestrzeń ognia skutecznego dzieli na trzy strefy i granice ich oznacza w następujący sposób:

Strefy. (Przestrzeń w metrach).	Skuteczność ognia.	Uwagi.
Od 0 do 500 m.	*Wielka.*	W granicach tych dwu stref strzelać mogą wszyscy.
Od 500 do 800 m.	*Średnia.* Ogień jeszcze bardzo skuteczny.	
Od 800 do 1,600 m.	*Mierna.* Ogień skuteczny tylko przy pewnych pomyślnych warunkach.	Wobec prawdopodobieństwa słabego rezultatu z takiej odległości, strzelać powinni tylko wyborowi strzelcy w ograniczonej liczbie.

[1]) Moranville: „Études de tactique défensive-offensive.“ 1893.

Doświadczenie ostatniej wojny w Chili stwierdza do pewnego stopnia przyjęte w armiach europejskich normy, co do odległości rozpoczynania ognia. Doświadczenie to przemawia przeciwko rozpoczynaniu strzelaniny ze zbyt wielkiego oddalenia. W bitwach pod Concon i Placilla łańcuch strzelców armii kongresu zbliżał się do nieprzyjaciela na 500—300 metrów bez wystrzału. Z takiego dystansu osiągali oni rezultaty ogromne wskutek prostolinijnego toru kuli, oraz dokładności karabinów Mannlichera. Bataliony zaś, które rozpoczynały ogień z odległości dalszych, zużywały ładunki wprzód, nim dochodziły do stref skutecznych strzałów. Zużywano wogóle nadzwyczajnie wiele nabojów; żołnierz przy sobie miał 150—200 ładunków i po 2—3 godzinach walki obie strony nie miały czem strzelać.

Dodać należy, iż doświadczenie wojny chilijskiej żywcem do piechoty państw europejskich zastosować się nie da, gdyż jest ona o wiele dokładniej wyćwiczona, niż hufce Balmacedy, składające się z milicyi, zaledwie umiejącej posługiwać się karabinem [1]).

Wszystko to zdaje się upoważniać do wniosku, iż ma racyę pułkownik angielski, Campbell, gdy mówi, że: „w wojnie przyszłej każdy pułk atakować będzie na swój własny sposób (pattern)“ [2]). To jednak zależeć naturalnie będzie od stopnia usposobienia do działań samodzielnych w różnych armiach.

W każdym razie z jakiejkolwiek strony kwestyę przebiegu walki pieszej rozpatrywać zaczniemy, zawsze wypadnie przyjść do wniosku, że na przyszłość tak samo, jak dawniej, główną rolę odgrywać będzie element psychiczny.

Jeżeli nieprzystosowanie sposobów taktyki do nowych udoskonaleń broni sprowadziło skutki fatalne już wtedy, kiedy broń znacznie ustępowała dzisiejszej, a żołnierze nie zawsze byli całkowicie wprawieni do jej użycia, to dziś tembardziej wypadnie przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności. Nie mała zaś zapewne trudność wyniknie z tego powodu, iż zdania specyalistów w najbardziej zasadniczych punktach, gdy chodzi o nowe warunki prowadzenia walki, znacznie różnią się między sobą.

---

[1]) „Revue de l'armée belge.“ Marzec, 1893, oraz „Milit. Wochenblatt,“ 1892.

[2]) „Journal of the United Service Institution. Infantry. Attack. Formation.“ Marzec, 1893.

III.

Atak i obrona pozycyi obronnych na polu bitwy.

Wielokrotnie wskazywaliśmy już, że gdy skuteczność broni ręcznej stała się tak straszliwą pod każdym względem, iż jej ognia szeregi najdzielniejszych żołnierzy nie wytrzymają, wystąpiła tedy konieczność osłaniania się, czy to przypadkowemi nierównościami terenu, czy to sztucznemi fortyfikacyami.

Dawniej nierówność terenu uważano za *poważną przeszkodę* przy wszelkich działaniach; dzisiaj, przeciwnie, umiejętne korzystanie z nierówności gruntu jest najpotężniejszym sprzymierzeńcem, do tego stopnia, że w wojnach współczesnych ten zyska powodzenie, kto potrafi lepiej skorzystać z warunków miejsca, bądź na całym teatrze operacyjnym, bądź na polu bitwy [1]).

Według zdania kompetentnych autorów, wojna przyszła zasadzać się będzie głównie na walkach o pozycye obronne. Musimy przeto rozpatrzyć i typowy atak, i obronę zwykłej, sztucznemi fortyfikacyami osłonionej, pozycyi, t. j. obronę szańców.

Ażeby dowieść, jak dalece broniący się będzie miał przewagę, chcemy rozpatrzyć chwilę, kiedy na skinienie wodza żołnierz, według zleceń przytoczonych przez nas wyżej regulaminów, ma z bronią w ręku rzucić się na nieprzyjaciela, aby mu zadać cios stanowczy ogniem lub bagnetem.

Naturalnie atak wymaga tem większej siły moralnej, im dotkliwszemi są straty, jakiemi grozi. Mogą zaś one być olbrzymie. W „L'art de combattre“ Oméga przytacza, że, według doświadczeń, zdobytych w obozie pod Chalon, straty linii tyralierów, ustawionych o 2 metry jeden od drugiego, wyniosą przeciętnie:

Z odległości.	Przy broni z r. 1874.	Przy nowej broni z r. 1886.
200 metrów	24%	32%
400 „	12%	16%
600 „	6%	8%
800 „	3%	6%

Przejdźmy więc kolejne fazy ataku, według dzieła generała Ferrona [2]), któreśmy cytowali wyżej, gdy była mowa o znaczeniu zmian w rozciągłości pola bitwy, przypuszczając przytem, że znajdująca się

---

[1]) „Trois conférences sur la tactique.“

[2]) Generał Ferron: „Quelques indications pour le combat.“ Paris, 1891.

po-za szańcami część wojska uzbrojoną jest w broń starą typu 1874 roku.

Na dany sygnał bataliony atakujące maszerują krokiem podwójnym, nie zatrzymując się bez komendy i obierając kierunek wedle oznaczonego dla każdego celu ataku. Łańcuch tyralierów, mając za sobą rezerwy, przebiega, zaczynając od mety, którą przyjęliśmy na 800 metrów, 200 metrów.

Otoż, obliczając wedle powyższych danych i przypuszczając, że załoga atakowanego szańca bronić się będzie tylko ogniem karabinowym bez udziału armat, otrzymamy, iż strata w szeregach atakujących w czasie tego przebiegu wyniesie 3%.

„Po pierwszych 200 metrach — powiada dalej generał Ferron — trzeba dać żołnierzowi kilka chwil wytchnienia, poczem łańcuch znowu się porusza i na dany znak wojsko znów przebiega 200 metrów."

Otoż strata w czasie tego drugiego przebiegu wyniesie już nie 3, ale 6%.

„Postępując tak dalej—pisze Ferron—utrzymuje się siłę moralną wojska, ponieważ żołnierze zachowują związek i czucie pomiędzy sobą; odwagę ich, przez poczucie siły i wspólności usiłowań, można podnieść do paroksyzmu."

Odwaga ta będzie tem potrzebniejsza, że w czasie trzeciego przebiegu straty wyniosą już 12%.

„Po krótkim wypoczynku odzywa się warczenie bębnów, trąbki grają pobudkę do ataku i wojska przebiegają pędem ostatnie 200 metrów." Ale tego nie mówi generał Ferron, że przy tem stracić mogą znowu 24%.

Sumując te straty, otrzymujemy około 45%, a gdyby za szańcem stał przeciwnik, uzbrojony w karabiny małokalibrowe, nawet 60%.

Dowód, że rzeczywiście nowa broń wybić może z szeregów prawie o połowę więcej żołnierzy niż dawna, jużeśmy przytaczali. W wojnie chilijskiej w nową broń uzbrojona była zaledwie $^1/_3$ część żołnierzy, a pomimo to skutecznych pocisków dano z niej przeszło połowę.

Do okopu więc przybiega pozostałych 55, respective 40% żołnierzy, zmęczonych szalonym galopem na przestrzeni 800 metrów, bez tchu i w szyku zdezorganizowanym. Za okopem tymczasem oczekuje ich żołnierz wypoczęty i stosunkowo spokojny, nie dotknięty zbyt dotkliwemi stratami, bo strzały atakujących (pominąwszy już trudności strzelania w biegu), wycelowane do ukazujących się chwilami z po-za okopu pojedyńczych rąk i głów, nie mogły mu tak wielkich szkód wyrządzić, jak atakującemu, który podczas przebiegu ciągle całą osobę, jako cel, dla pocisków, wystawiał.

Jeżeli przypuścimy, że straty w okopach wyniosą nawet $^1/_4$ część załogi, to i w takim razie, chcąc zachować równość sił na chwilę ostatecznego starcia, należało-by posyłać do ataku ilość wojska przynajmniej dwakroć liczniejszą od załogi szańca. Ale ponieważ w takim razie oddziały szturmujące musiały-by postępować w bardziej zwartych szeregach, przeto i straty ich były-by większe.

Nadto w chwili dojścia do okopu, atakujący czasami natrafi na założone miny, torpedy, albo spotka wiele innych niespodzianek w formie sztucznych przeszkód, i będzie musiał szturm aż do ich usunięcia wstrzymać, stojąc pod najstraszliwszym ogniem nieprzyjacielskich, a często nawet własnych, przez strzały zaniepokojonych, szeregów.

Tymczasem czytanie regulaminów doprowadzić może do wniosku, że skoro rozlegnie się okrzyk „hura“ i żołnierze w porywie uniesienia i odwagi dotrą do szańców przeciwnika, nic już im nie przeszkadza zetrzeć się z nim bagnetem. A jednak dzieła, traktujące o sztuce wzmacniania okopów polowych, mówią o innych jeszcze środkach powstrzymywania atakującego nieprzyjaciela pod ogniem karabinów i armat, oraz przyrządów wybuchających.

Do środków tego rodzaju należą między innemi t. z. wilcze jamy, czyli wydrążenia, porobione w ziemi, w formie ściętego stożka (lejkowate), szersze u góry, węższe w dole, na dnie których umieszcza się ostro zakończony kół.

Drugim środkiem powstrzymania przeciwnika są siatki druciane, składające się z silnie wbitych w ziemię pali, połączonych w różnych kierunkach mocnym drutem, mianowicie w ten sposób, że jeden drut znajduje się w takiej wysokości od ziemi, żeby nie można było przez niego przełożyć nogi (mniej więcej na wysokości pasa), drugi zaś przeciągnięty tak nizko przy ziemi, ażeby nie można było przesunąć się pod nim. Drut nie może być silnie naciągnięty, ponieważ łatwo by go było można przeciąć szablą.

W ostatnich czasach poczęto używać drutu żelaznego z kolcami; słupki są z żelaza ostro zakończone. W ten sposób trudno jest uchwycić drut ręką i uchylić, a słupków niepodobna ani złamać, ani przerąbać [1]).

W braku drutu pale łączyć można sznurami, lub żerdziami i t. d., zastosowanemi w ten sam zupełnie sposób, co drut.

Przypuśćmy, że wszystkie te przeszkody zatrzymają przeciwnika tylko na 5 minut. Przez 5 minut każdy z broniących się wypuścić może co najmniej 50, a nawet i więcej kul, jest to więc aż nadto dosyć,

[1]) „Progrès Militaire,“ 1891.

ażeby przy równych siłach strony zaczepnej i broniącej się zniszczyć zupełnie oddziały, postępujące do ataku. Rezultat ten jest tem łatwiejszy, że dzisiejsza kula karabinowa na odległość 200 metrów przeszywa na wylot 4 do 6 żołnierzy, zaś na odległość 3,200 metrów ma jeszcze taką siłę, że może wybić w szeregu żołnierza [1]).

A nie są to, niestety, tylko cyfry teoretyczne. Doświadczenia, czynione z trupami, nie dopuszczają najmniejszej wątpliwości pod tym względem.

Pułkownik Wentzel Porth [2]) w szeregu licznych dowodów przytacza następujący fakt:

„Przed niedawnym czasem zastrzelił się żołnierz mojego pułku. Kula, po przeszyciu na wskroś jego ciała, przeszła przez belkowanie i pułap, przez deski łóżka, siennik i materace śpiącego na pierwszem piętrze kadeta, zraniła go, przeszła potem przez pułap drugiego piętra i wyleciała nareszcie przez dach. Przytaczam to, jako przykład kolosalnej siły przebijającej, jako ostrzeżenie, ażeby w ogniu nie pozostawiać zemkniouych szeregów i głębokiego szyku.“

Lecz nie dość na tem. Zapominać nie należy, iż atakujący będzie pozostawał nie tylko pod działaniem strzałów, rażących z przodu prostopadle, lecz także i pod gradem kul ognia flankowego, oraz poprzecznego. Wszystko to bezwątpienia utrudni pochód armii oblegającej, tem bardziej, że przypuszczać należy, iż artylerya nieprzyjacielska prawdopodobnie bezczynną nie będzie.

Wyobraźmy sobie tylko działo jedno szybkostrzelne, albo zwyczajną armatę, wyrzucającą, jak to opisaliśmy w rozdziale „O działach i pociskach,“ naboje, pomieszczone w drewnianych puszkach, dla niszczenia nieprzyjaciół na bardzo blizkich odległościach, lub wreszcie inne opisane tam przyrządy. A pamiętać też trzeba, że oprócz tego każda z armii zaopatrzoną będzie w pociski wybuchowe ręczne, lub wyrzucane za pomocą proc.

Przypuśćmy dalej, że z powodu braku zimnej krwi w żołnierzach atakowanych, którzy również podlegać będą ostrzeliwaniu, rezultaty okażą się 10, 20, a nawet 30 razy gorsze, aniżeli przy zwykłych próbach, to i w takim razie atakujący przeciwnik może zostać do szczętu niemal wybity.

Ze wszystkiego powyższego wynika, że tyle razy przez nas cytowany autor, Hoenig, może mieć racyę, powiadając, iż w takich razach,

---

[1]) Colonel Ponchalon: „Nouvelle tactique de combat.“ Paris, 1892.

[2]) Wentzel Porth: „Betrachtungen über den Einfluss des rauchswachen Pulvers.“

kiedy przeciwnik usadowi się w pozycyi, silnej wskutek naturalnego położenia, lub sztucznie wzmocnionej, to jest gdy atakowanych zasłaniać będą przykrycia naturalne, lub wzniesione oszańcowania, walka może się rozstrzygnąć dopiero na drugi dzień, a może potrwać i dłużej. Nie jest więc rzeczą nieprawdopodobną, że wracamy znowu do bitw oblężniczych. Belgrad, Mantua, Plewna mogą się powtórzyć w mniej lub więcej podobny sposób. Jest bowiem rzeczą bardzo możebną, że atakujący, nie osiągnąwszy stanowczego zwycięstwa, zamknie nieprzyjaciela tam, gdzie go znajdzie, za pomocą oszańcowań, poczem nastąpią wycieczki i utarczki odsieczowe, aż póki oblężony nie zostanie zmożony głodem [1]). Inni pisarze, idąc jeszcze dalej, twierdzą, że bitwy trwać mogą po 3, 4 i 8 dni nawet [2]), rozciągając się na ogromne, do 30 mil dochodzące, przestrzenie.

Wobec takiego stanu rzeczy zdawało-by się, że duch armii broniącej się nie będzie odgrywał żadnej roli. Tymczasem w rzeczywistości, przy obecnym składzie armii Europy środkowej, mogą zachodzić okoliczności, których wpływ do gruntu zdoła zmienić losy przyszłej wojny.

Dopóki żołnierz jest całkowicie zasłoniony, niebezpieczeństwo porażenia jest małe; lecz skoro tylko wychyli się z po-za okopu, wnet prawdopodobieństwo, iż go dosięgnie ogień szturmujących lub pocisk artyleryjski, staje się bardzo wielkiem; — i dziś większem, niż kiedykolwiek z powodu większej celności pocisków. Autor opisu wojny chilijskiej wyraźnie powiada: wielka liczba ran w głowie u żołnierzy wojsk rządowych, którzy byli skryci za szańcami, mówi nie tyle na korzyść umiejętności strzelania przeciwników — umiejętności bardzo miernej — ile na korzyść nadzwyczajnej celności broni małego kalibru [3]).

Tymczasem do prawidłowego strzelania, a więc do obrony okopów, wychylać się po-za nie trzeba koniecznie. Cała znajomość balistyki, tak niezbędna do skutecznego użycia broni obecnej, nie przyda się na nic, jeżeli żołnierz, skurczony nieustannie po-za szańcem, nie będzie mógł pochylić lufy pod kątem odpowiednym, lecz skieruje ją zbyt wysoko lub zbyt nizko. I właśnie zdarzyć się może, że żołnierz dzisiejszy, nie mający na ogół powołania ani temperamentu do wojaczki, będzie wolał chybić na pewno, niż narazić własne życie. Jest to tak dalece prawdopodobne, że autor tyle razy przez nas cytowanego dzieła, „L'art de combattre," podaje nawet rycinę, przedstawiającą takich,

---

[1]) Hoenig: „Die Tactik der Zukunft."

[2]) „Progrès Militaire," 1891, „Reflexions à propos des grandes manoeuvres," oraz Charle Dilke: „Les armées françaises," Paris, 1892.

[3]) „Militär Wochenblatt." 1892, Heft 5.

ukrywających się za wałem w czasie strzelania, żołnierzy, rycinę, którą poniżej zamieszczamy.

Rzecz widoczna, że strzały, tak skierowane, pójdą na marne i nie sprawią żadnego skutku.

Historya wojen przeszłych dostarcza już przykładów podobnego zachowania się żołnierzy.

Powstaje więc bardzo ważne dla przyszłych starć i bardzo drażliwe zagadnienie, czy z jednej strony we wszystkich armiach europejskich, przy dzisiejszym ich składzie, duch żołnierzy pozwoli na ataki, grożące straszliwemi stratami? Czy żołnierze opuszczą wszyscy bezpieczne schronienie na głos wodza, jak jeden człowiek, wobec pewności, iż po-za osłoną czeka ich niechybna prawie śmierć, że do szańców nieprzyjacielskich dojść zdoła drobna ledwie cząstka?

Podobna wątpliwość, lubo w mniejszym stopniu, nasuwa się i względem obrońców szańca. Czy zechcą oni wysuwać głowy po-za okopy, kiedy w powietrzu unosić się będzie pewna niemal śmierć, świstać w przelocie kul karabinowych, ryczeć i huczeć w pękaniu pocisków działowych?

Wobec tego wśród sfer wojskowych zjawiła się bardzo naturalna myśl powrotu do napadów nocnych, tak często praktykowanych w wiekach średnich.

Jedni chcą, aby korzystać z ciemności jedynie w celu zbliżenia się ku nieprzyjacielowi. Chodzi o to, aby wschód następnego dnia zastał wojska na nowej pozycyi już oszańcowane, w ten sposób przebycie przestrzeni, zalanej w dzień potokiem kul, nie kosztowało-by nic.

Inni taktycy idą dalej i chcą same ataki wykonywać pod osłoną ciemności.

Oba rodzaje projektów mają właściwie wspólny punkt wyjścia. Chodzi mianowicie o to, że — jak się spodziewają, lub obawiają —

z ogniem nowej broni nie poradzi sobie ani męstwo ludzkie, ani sztuka fortyfikacyjna.

Wobec doniosłości, jaką zyskać może korzystanie z ciemności nocnych w celu napaści na wroga, kwestyę tę rozpatrywać będziemy szczegółowo wówczas, gdy nam wypadnie opisywać wspólne, t. j. połączone działanie artyleryi, kawaleryi i piechoty na polu walki. Tutaj znowu jesteśmy zmuszeni powtórzyć, że dopiero przyszła wojna ostatecznie przekona, do jakiego stopnia wszystkie obliczenia, przypuszczenia i przepowiednie są prawdziwe.

IV.

Atak na bagnety.

Z opisu działania broni ręcznej i pocisków artyleryjskich czytelnik mógł już powziąć przekonanie, że jeżeli sto lat temu prawie Napoleon, ten największy znawca i twórca wojny nowoczesnej, mógł powiedzieć: „Broń ognista znaczy wszystko—reszta nic,“ to cóż mówić dopiero dzisiaj, kiedy potęga broni ognistej kilkadziesiąt razy urosła.

Zdawało-by się więc, że o użyciu bagneta na wojnie obecnie już mowy być nie może. Tymczasem w dziełach pisarzy wojskowych napotkać można twierdzenie, iż właśnie straszliwa skuteczność strzałów powoła znowu bagnet do roli czynniejszej. Wyniknie to mianowicie stąd, iż strona działająca zaczepnie, chroniąc się od ognia nieprzyjacielskiego, będzie się starała podkradać niewidomie i stąd walki nocne staną się częstsze, niż kiedykolwiek.

Przedewszystkiem musimy zdać sobie sprawę, czem w rzeczywistości jest to, co się w potocznej mowie nazywa uderzeniem na bagnety?

Jeżeli pod wyrazem tym rozumieć mamy faktycznie bój ręczny przy użyciu bagnetu, to, rzecz naturalna, iż podobna walka może na linii bojowej wyniknąć tylko w kilku punktach i trwać zaledwie krótki przeciąg czasu—szczególnie zaś przy ostatecznem wyparciu i wybiciu przeciwnika z ufortyfikowanej pozycyi.

Jeżeli zaś uderzenie na bagnety uważać, jako jeden z typów ataku, mającego rozstrzygnąć sprawę, jako bystry i ogólny napór naprzód, to zupełnie naturalne, iż tego rodzaju działanie jest niezbędnem przy każdej niemal bitwie.

Bój nie może zamykać się w wymianie jedynie wystrzałów. Z pewnością nastąpi taka chwila, kiedy jedna ze stron, sądząc, że przeciwnik więcej ucierpiał od ognia, aniżeli ona, i że przez to nie wytrzyma energicznego jej nacisku, ruszy naprzód, ażeby złamać linię

nieprzyjaciół i zawładnąć jej pozycyami. Dlatego też wyrażenie: siła obecnego ognia czyni atak niemożliwym, oznacza, iż żadne nadzwyczajne, bohaterskie uderzenie piersią nie może być skuteczne, dopóki nieprzyjaciel nie jest osłabiony przedwstępnym ogniem artyleryi i piechoty; dzisiaj nie można już przekładać walki na bagnety nad działanie kul, gdyż, gdyby bagnet był największym nawet „chwatem," to w każdym razie kula przestała być dziś już „głupią."

Uderzenie na bagnety nie może zastąpić działania ognia, nie należy też odsuwać strzałów na plan drugi, uszczuplać ich i liczyć tylko na energię naporu. Jednakże w chwili decydującej atak jest rzeczą nieodzowną, przytem obliczonym być winien nie na to, ażeby strona napadająca wybiła i wykłóła jak największą liczbę przeciwnika, lecz ażeby nieprzyjaciel nie mógł wytrzymać samego uderzenia.

Strona, zdecydowana na atak, nawet i przy ewentualnem osłabieniu wroga, z samej istoty rzeczy narażoną jest na większe daleko niebezpieczeństwo, aniżeli strona, pozostająca w pozycyi obronnej i prowadząca dalej i bezustannie ogień karabinowy. W obydwóch wypadkach jest ryzyko: chociaż atakujący naraża się na większe straty, jednakże groźniejsze niebezpieczeństwo ciąży nad tymi, którzy zmuszeni będą się cofać.

Przytoczymy tutaj słowa jednego ze znawców sztuki wojennej [1]):

„Oto *instynktowne rozumowanie* żołnierza i oficera: jeżeli ci ludzie czekają na mnie, lub jeżeli zbliżą się do mnie niespodzianie, wtedy zginąłem. Ja zabiję—to, bądź-co-bądź, i mnie napewno zabiją. Jeżeli zaś nastraszę ich — poczną uciekać i wtedy oni dostaną kulą w plecy i uderzenie bagnetu. Sprobujmy.—I probują, a zawsze jedna ze stron walczących, na jakiejkolwiek odległości, o dwa kroki chociażby, zwraca się i unika starcia."

„Uderzenie, to dźwięk tylko. Teorya marszałka Saskiego, teorya Bugeau: „Idźcie na bagnety i strzelajcie, opierając strzelbę o pierś wroga, w ten sposób się zabija, a zabija zwycięsca," nie jest oparta na obserwacyi. Żaden nieprzyjaciel czekać na was nie zechce, jeśli działać będziecie stanowczo, a nigdy, absolutnie nigdy, nie zdarza się stanowczość jednakowa."

Tak więc korzyść ataków zasadza się nie tyle na energicznem użyciu samego bagnetu, ile na sile natarcia, której nie może oprzeć się nieprzyjaciel.

---

[1]) Generał Puzyrewski: „Badanie boju."

To też we wszystkich armiach wiara w bagnet, wobec morderczości ognia karabinowego, została silnie zachwiana. Wyjątek stanowi może jedna armia russka, gdzie wszelkie tradycye trwają dłużej, niż gdzieindziej, a słowa, wyrzeczone niegdyś przez Napoleona: „Żołnierza russkiego nie dosyć przebić bagnetem, trzeba go jeszcze przewrócić," do dziś nie straciły sensu.

We wszystkich armiach prowadzi się propaganda w celu wzbudzenia bezwarunkowego zaufania do broni palnej. Wykazaliśmy już, jak każdy regulamin apodyktycznie twierdzi, że żaden atak przy prawidłowej obronie udać się nie może. Przy nauczaniu żołnierzy, główną uwagę zwracają dziś na naukę strzelania. Bagnet zeszedł zupełnie na plan drugi.

Dochodzi niemal do tego, że żołnierz nie zupełnie dobrze wie, lub zapomina, do czego właściwie bagnet służy.

Coumès cytuje fakt bardzo pod tym względem charakterystyczny i dowodzący, do jakiego stopnia stracił bagnet wśród żołnierzy francuskich swoją dawną powagę.

„Prezydowałem raz—opowiada Coumès—na egzaminie podoficerskim.—„Do czego służy bagnet?"—pytamy zdającego i oczekujemy, że odpowie nam to, co od tylu lat wszyscy wszędzie odpowiadają: „Do przebicia wroga, który mi stanie na drodze." Tymczasem on powiada z najnaturalniejszą miną w świecie: „Do ustawiania broni w kozły!" [1]).

V.

Wywody i wyniki.

Rekapitulujemy, cośmy powiedzieli wyżej: wskutek bezdymności prochu, wskutek nowej dalekonośnej i szybkostrzelnej broni, wskutek znacznych odległości, na jakich walka toczyć się będzie, wskutek wreszcie prawdopodobnego wprowadzenia w życie napadów nocnych, warunki boju staną się innemi, niż dawniej, a więc i taktyka ulegnie całkowitej zmianie.

Niepodobieństwo atakowania w otwartem polu we dnie bez szukania lub wytworzenia sobie osłon, prowadzi do tego, że kierowanie walką niezaprzeczenie jest obecnie trudniejsze w piechocie, niż w innych rodzajach broni [2]). Dalej, ponieważ przy rozpoznawaniu pozycyi przeciwnika, z powodu ogromnej ilości wojsk zaangażowanych, znacznej

---

[1]) Coumès: „La tactique de demain." Paris, 1892.

[2]) Ibidem.

przestrzeni, oraz rozproszenia, wiadomości będą mogły być dostarczane tylko częściowo, przeto tylko naczelnicy częściowych oddziałów będą mogli plany wytwarzać.

Wszystko to uwydatniło się zupełnie jasno w czasie ostatnich manewrów 7 i 10 korpusu armii niemieckiej pod dowództwem Wilhelma II-go. W czasie bitwy w pobliżu Osterwaldu na granicy lasu słychać było częsty huk wystrzałów, pomimo tego, że nawet najmniejszy ślad dymu nie zdradzał obecności strzelców, którzy znajdowali się zaledwie na odległości 400 metrów. Oddziały, które otrzymały zlecenie wyrugować nieprzyjaciela, strzelały na chybił-trafił. Korzyść więc, jaką odnieść można z wiadomości, zasięgniętych od miejscowej ludności, zwłaszcza, gdy ta będzie wrogo usposobioną dla nieprzyjaciela, jest bardzo wielką.

Proch bezdymny zatem przedstawia ogromne korzyści dla strony broniącej swej pozycyi, gdyż atakujący, posuwając się naprzód, musi się odsłaniać, pokazywać, a przez to wystawia się na działanie ognia bardziej mordercze, niż to bywało dawniej w najbardziej nawet krwawych walkach. Prócz tego, wojska pomocnicze, dążące za głównym oddziałem w niedalekiej odległości, przez cały czas pozostawać będą nieosłonione i narażać się na zbyt wielkie straty, tem bardziej, że wypadnie im postępować w szyku zwartym. Poprowadzenie oddziału do ataku wymagać będzie specyalnego uzdolnienia, gdyż inaczej żołnierze będą wybici co do nogi. Należy przytem wiedzieć, że rozlicznego rodzaju okoliczności mogą wpłynąć na zmianę ewentualnego ataku każdej z obydwóch stron, zależnie od tego, z kim ona ma do czynienia.

Pułkownik Ardent de Pick zrobił już, jak nam się zdaje, słuszną uwagę: oficerowie, którzy byli w ogniu, powiadają, że w chwili zbliżania się do nieprzyjaciela, żołnierze, pomimo woli i chęci dowódców, w wojsku francuskiem rozsypują się w łańcuch; w wojsku russkiem przeciwnie, pod ogniem nieprzyjaciela skupiają się w plutony. To też winny istnieć dwa odmienne sposoby prowadzenia w ogień żołnierzy russkich i francuskich.

Oficerowie niższych stopni nie będą mogli być, jak dawniej, biernymi narzędziami woli wodza, lecz rozumnymi i rozumującymi jego współpracownikami, dążącymi świadomie do urzeczywistnienia jego założenia i zamiaru.

Jeżeli przebieg bitwy wejdzie na drogę odmienną, niż początkowo rachowano, nie należy trzymać się rozkazów pierwotnych, teraz już nieodpowiednych, ani tracić czasu drogiego w bezczynności, lecz obowiązkiem jest umieć zastosować się do warunków i potrzeb chwili.

Jednocześnie jednak i wskutek tego oficerowie młodsi muszą być więcej, niż dawniej, *wyćwiczeni*, lepiej znać wojnę i bitwę, oraz wszystkie możliwe ich wymagania.

Tymczasem w bitwie pod ogniem nieprzyjaciela liczyć można tylko na automat, nie zaś na *błędne* „ja,“ tak samo w oficerze, jak i w prostym żołnierzu. Chodzi o to, iż samo wykształcenie, chociażby najgłębsze, w chwili walki, a więc w chwili wzruszenia, niepewności, roztargnienia, wystarczyć nie jest zdolne. Gdy wypadki zmuszają do powzięcia decyzyi, czyn powinien być natychmiastowym skutkiem postanowienia, a tymczasem rozproszonych myśli zgromadzić niepodobna; przy największym zasobie naturalnej krwi zimnej, świst kul i trzask szrapneli wystraszy z pamięci wszelką teoryę i najgruntowniej wpojone zasady. Tylko praktyka, wprawa, automatyczność poruszeń oprzeć się zdoła wstrząśnieniom nerwów. Dawniej, gdy chodziło jedynie o spełnianie rozkazów starszyzny, wystarczyć mógł mniejszy stopień tej automatyczności; dzisiaj, przy działaniu przedewszystkiem samodzielnem, musi ona posiadać wyprobowaną siłę.

Samo się przez się rozumie, że oficerowie i podoficerowie powinni umieć zawładnąć siłą moralną swych żołnierzy i pokierować nimi rozkazem decydującym i pewnym.

Rzecz zupełnie naturalna, że w czasie wojny da się uczuć brak wyćwiczonych i doświadczonych oficerów. Znaczna część, niemal połowa oficerów, po powołaniu rezerw, składać się będzie z ludzi wykształconych wprawdzie, ale dopiero co oderwanych od zajęć pokojowych, a zatem posiadających mało ducha wojennego. Samej więc wojnie wypadnie wyrobić sobie ludzi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Jan Bloch.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Roszkowski: „Ueber das Wesen und die Organisation der internationalen Staaten-Gemeinschaft.“ Erlangen, 1893. („Zeitschrift für internationales Privat- und Strafrecht“).

Dawniej, jak objaśnia autor, najwyższą formę społecznego życia stanowiło państwo. W drugiej połowie XIX-go stulecia życie społeczne ludzkości rozwinęło się i wypełniło do tego stopnia, że dawna forma okazała się niewystarczającą i powstała nowa, zwana międzynarodową wspólnością państwową (internationale Staaten-Gemeinschaft). Częściami integralnemi owej wspólności są państwa, a zadaniem jej zjednoczenie sił i środków w celu wzmocnienia działalności, niezbędnej do spełnienia cywilizacyjnych zadań, przerastających możność pojedyńczych państw.

Im wyraźniejszem i silniejszem jest przeświadczenie narodów o istnieniu wspólnych celów cywilizacyjnych, im większą jest liczba owych wspólnych celów i zadań, tem trwalsze podstawy zyskuje międzynarodowa wspólność państwowa, tem szersze zakreśla sobie granice. Ponieważ zaś „ubi societas ibi jus est,“ przeto nowe związki społeczne powołują nowe prawo do życia, a jak w tym wypadku, nowe prawo międzynarodowe.

Każdy związek społeczny znajduje swój punkt ciężkości w najwyższej, kierującej władzy; tymczasem w związku międzynarodowym

państw niema podobnej najwyższej władzy, a nawet jej być nie może. Związek bowiem, o którym mowa, nie przeistacza się w nowe państwo, dominujące nad wszystkiemi, do związku wchodzącemi, ale jest raczej zjednoczeniem zwierzchniczych (souveräner Staaten) państw, które swej samoistności i samodzielności politycznej nie straciły. Zwierzchnicze państwa krępuje jedynie na rzecz międzynarodowego związku świadomość wspólnych międzynarodowych zadań, a prócz tego i organizm prawnych instytucyi, które powoli związek międzynarodowy powołuje do bytu.

Rozmaitemi czasy powstawały projekta, zamierzające wytworzyć wspólną władzę najwyższą związkową. Nie brakło ich nawet w ostatnich dziesiątkach lat. Lorimer i Bluntschli stworzyli pomysł założenia międzynarodowego rządu, a inni uczeni okazali się umiarkowańszymi, domagając się jedynie międzynarodowych instytucyi sądowych. Najdalej w powyższym kierunku szedł hr. Kamarowski, który uznawał za niezbędne instytucye międzynarodowo-sądowe we wszystkich gałęziach administracyi państwowej, gdy tymczasem Hanson wymaga stałego trybunału sądowego bez podziału na departamenta administracyjne, a Laveleye jedynie stałego sądu rozjemczego, utworzonego z dyplomatów.

Wszystkie projekta jednak, zdążające do powyższych celów, upadły, i zwierzchnictwo państwowe nie dało się pogodzić z wytworami choćby ograniczonej władzy najwyższej. Z tem wszystkiem postęp cywilizacyi i solidarność interesów pojedyńczych państw wzrasta z każdą chwilą, a rozliczne polityczne i moralne wpływy uczynią państwa jeszcze bardziej zawisłemi od siebie i utorują drogę międzynarodowemu zbliżeniu się. Powstanie też związku międzynarodowego zależne jest od wielu uprzednich warunków. Wyższy stopień cywilizacyi w społeczeństwie stwarza jedynie świadomość wspólnych cywilizacyjnych zadań i celów, a tak samo musi być uprzednio utwierdzoną polityczna egzystencya zwierzchniczych państw, które są członkami związku międzynarodowego.

Niezaprzeczenie związek międzynarodowy jest najwyższą formą społeczną, chociaż nie posiada żadnej organizacyi politycznej. Ponieważ zaś cywilizacyjne zadania, dla których urzeczywistnienia został wytworzony, są wspólne wszystkim cywilizowanym ludom, przeto może być mowa tylko o jednym, jedynym związku międzynarodowym. Po-za nim znajdować się mogą wyłącznie państwa, które nie rozwinęły w swem społeczeństwie przeświadczenia o konieczności stałego i na porządku prawnym opartego zjednoczenia z innemi państwami.

Prawo międzynarodowe jest, jak wiadomo, zbiorem przepisów prawnych normujących wzajemne stosunki państw zwierzchniczych,

ich prawa i obowiązki, oraz sposoby, jakiemi urzeczywistniane być powinny. Prawo międzynarodowe wychodzi jednak dopiero wówczas na jaw, gdy inne gałęzie prawa publicznego i prywatnego okazują się niedostatecznemi do uregulowania stosunków społecznych międzynarodowych. Jednem wszakże z najważniejszych zadań tego prawa jest zapewnienie istnienia związkowi międzynarodowemu i zabezpieczenie urzeczywistnienia cywilizacyjnych jego celów i zadań.

Utrzymanie związku międzynarodowego, czyli owej wspólności państwowej, nie odbywa się bynajmniej z ujmą zwierzchnictwa państw pojedyńczych. Jeżeli jednak prawa niektórych państw, należących do związku, pozostają z zasadami prawa międzynarodowego w jawnem przeciwieństwie, wówczas z samej natury rzeczy związek międzynarodowy musi dążyć do usunięcia kollizyi i do zapewnienia uznania zasadom sprawiedliwości i porozumienia się państw pojedyńczych. Na tej podstawie opierały się dążenia związku międzynarodowego w celu zniesienia niewolnictwa, rozboju morskiego i t. p.

Ideą przewodnią prawa międzynarodowego jest określenie ścisłe obowiązków państw, a w stosunkach międzypaństwowych zapewnienie i urzeczywistnienie poczucia sprawiedliwości. Prócz tego uwzględnić winno prawo międzynarodowe potrzeby praktycznego życia narodów, zgodne z duchem słuszności, a poparte przeszłością historyczną lub dawnym stanem kultury. Zasada: „fiat justitia pereat mundus“ nie da się w prawie międzynarodowem z pożytkiem ogólnym wykonać, bo żadne społeczeństwo nie zechce się wyrzec swych uzasadnionych i nabytych praw dla abstrakcyjnej idei. Ostatecznym też i najwyższym celem prawa międzynarodowego jest opieka nad wspólnemi cywilizacyjnemi zadaniami, ogarniającemi wszystkie państwa, w których powstało międzypaństwowe poczucie łączności, powołujące do bytu międzynarodowy związek.

Nie da się zaprzeczyć, że w rozwoju stosunków międzypaństwowych wytworzyły się pewne fenomenalne zjawiska, które stale wskazują na zwiększającą się z każdą chwilą wzajemną zależność państw od siebie, a przytem na pewne powinowactwo i solidarność ich interesów, nie tylko politycznej, ale i społeczno-ekonomicznej natury. Trzeba np. przyznać, że dawne zamiłowanie do wojen ustępuje ogólnemu pragnieniu pokoju, które ogarnia zarówno rządy, jak i narody; również uznano powszechnie pożyteczność kongresów, nie dlatego bynajmniej, aby chciano im nadać znaczenie międzynarodowego rządu, lecz z tego względu, iż w obecności stron interesowanych daleko łatwiejszem stawało się porozumienie i pojednawcze załatwienie doniosłych politycznych sporów.

W rozwoju stosunków międzynarodowych coraz wyraźniej i dobitniej zarysowuje się chęć zapewnienia tryumfu zasadom sprawiedliwości i prawa międzynarodowego. Powszechnie też jest uznanem, że traktaty, zawierane na niekorzyść jednego państwa, nie tylko dla pokoju powszechnego nie przynoszą żadnych rękojmi, lecz nawet są pewnemi zwiastunami wielkich i ciężkich wojen w przyszłości.

Związek międzynarodowy, ogarniający poczuciem powinowactwa i solidarności interesów pojedyńcze państwa, rozszerza nieustannie nie tylko swoje granice, lecz i sferę swego działania. Pierwotnie do powyższego związku należały wyłącznie państwa europejskie wraz ze swemi koloniami. W roku 1856 przyjęto już Turcyę do koncertu państw europejskich, a obecnie związek międzynarodowy liczy, prócz europejskich i amerykańskich, nawet afrykańskie państwa, jak np. Kongo, Liberyę, Marokko i Zanzibar. Nawet niektóre państwa azyatyckie, jak np. Persya, Chiny, Japonia, Korea i Syam, są traktatami ze związkiem międzynarodowym złączone, a im bardziej się cywilizacya europejska rozpowszechni, tem więcej państw, a tem samem tem większa część ludzkości zostanie ogarnięta związkiem międzynarodowym.

Tak samo wspólne zadania cywilizacyjne stają się coraz to liczniejszemi i wkraczają po-za obręb polityczny, we wszystkie gałęzie administracyi państwowej, a nawet w dziedzinę interesów socyalnych. Na szczególną uwagę zasługują traktaty handlowe, które, zwłaszcza dla unormowania stosunków państw europejskich ze wschodnio-azyatyckiemi, stanowią rodzaj „magna charta.“ Również zaznaczyć wypada traktaty o wydawaniu przestępców, które ostatniemi czasy zmieniły znacznie swój pierwotny charakter. Gdy bowiem dawniej głównie polityczne przestępstwa miano na względzie i postępowanie odbywało się na drodze administracyjnej, obecnie uwzględniono wszelkie cięższe przewinienia i postępowanie sądowe stało się miarodawczem.

Wreszcie do niezaprzeczalnych znamion prawa międzynarodowego chwili obecnej należy wyszlachetnienie, czyli przejęcie się duchem humanitarnym prawa wojennego. Jedynie prawo morskie-wojenne okazało się najmniej przystępnem dla ogólnego postępu, ale i w tej dziedzinie, zwłaszcza w przepisach o blokadzie, kontrabandzie wojennej i rewizyi na otwartem morzu, daje się odczuwać wpływ humanitarnych dążeń prawa międzynarodowego. Jednem słowem, nowożytne prawo międzynarodowe przejęte jest nawskroś jednem doniosłem zadaniem, do którego stale i niestrudzenie dąży. Zadaniem tem jest zapewnienie tryumfu idei sprawiedliwości, na przekór momentalnym wymaganiom bieżącej polityki. Gdy powyższa idea przewodnia w czyn zostanie wprowadzoną, ogólne rozbrojenie, zdaniem prof. Roszkowskiego, nastąpi samo przez się i wówczas prawo międzynarodowe, zarówno jak i związ-

zek państw, o którym była mowa, zdołają ludzkości zapewnić szczęście i spokój.

Taką jest obfita i bogata treść stosunkowo niewielkiej rozprawy prof. Roszkowskiego. Autor uniknął przezornie wszelkich fantazyjnych widziadeł, które, zacierając zręcznie wymagania prawa państwowego, pozwalają doktrynerom stwarzać wiekuiste pokoje, uniwersalne monarchie i tym podobne sposoby cudownego uszczęśliwienia ludzkości. Za to spotykamy u prof. Roszkowskiego wyborne zrozumienie cywilizacyjnej doniosłości prawa międzynarodowego dla całej ludzkości i dokładne wykazanie wpływu tegoż prawa na coraz to ściślejsze zbliżenie się pojedyńczych państw, oraz na wyszlachetnienie międzynarodowych stosunków. Wykład logiczny i jasny a język poprawny czynią rozprawę prof. Roszkowskiego cennym nabytkiem dla naszej literatury prawa międzynarodowego, które chyba ze wszystkich gałęzi nauk prawnych najbardziej jest zaniedbanem.

A. Rembowski.

„Album przedhistorycznych zabytków Wielkiego Księstwa Poznańskiego."

Najdawniejsza epoka dziejów rodu ludzkiego, która poprzedziła kronikarzy i historyków, nazwana stąd przedhistoryczną, pobudziwszy do badań bardzo poważne umysły, wytworzyła w drugiej połowie XIX wieku ważną i ciekawą naukę. Rzecz prosta, że z czasów, w których nikt jeszcze dziejów nie spisywał, głównemi świadectwami o człowieku są dzieła jego ręki, będące wynikiem jego myśli, pojęć i potrzeb, a wreszcie jego własne kości. Ponieważ jeden wykopany przedmiot, mogąc być dziełem jednego lub małej garstki ludzi i wyjątkowych okoliczności, nie może rzucić jasnego światła w całą bezdeń mrocznej przeszłości, rozwój zatem antropologii i archeologii zależy przedewszystkiem na zebraniu całej sumy odkryć i wykopalisk, czyli na umiejętnem zgromadzeniu zbiorów w każdej okolicy, prowincyi lub kraju, a następnie na dokładnym opisie i publikowaniu zabytków w podobiznach. Bez takich publikacyi, ułatwiających porównanie przedmiotów starożytnych z całej przestrzeni globu, przez ród ludzki niegdyś zamieszkiwanej, nie może być mowy o postępie nauki badającej ciekawe dzieje pierwotnego bytu ludzkości na tej ziemi.

Jedną z najwięcej zaludnionych okolic środkowej Europy w czasach przedhistorycznych była dolina Warty i Noteci, a muzeum Towa-

rzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu posiada bogaty zbiór zabytków z okolic pomienionych. Przystąpiło więc najprzód Towarzystwo przyjaciół nauk do wydania wspaniałego w wielkiem folio „Albumu przedhistorycznych zabytków Wielkiego Księstwa Poznańskiego." Że jednak nakład tego Albumu, ze względu na bardzo znaczne koszta, do szczupłej tylko liczby egzemplarzy ograniczyć musiano, przedsięwzięto zatem jednocześnie zmniejszone wydanie w formacie 8-ki, w trzech zeszytach. Mamy właśnie przed sobą zeszyt 1-szy z 20 tablicami fototypowemi, przedstawiającemi razem 216 przedmiotów kamiennych i bronzowych. Tytuł zmniejszonego wydania zachowano ten sam, t. j. „Album przedhistorycznych zabytków W. Ks. Pozn. zebranych w muzeum Towarzystwa przyj. nauk w Poznaniu." Poznań, nakładem tegoż Towarzystwa r. 1893. Tekst objaśniający tablice, jasny, treściwy i gruntowny, a obejmujący stronic 32, skreślił uczony badacz przeszłości, dr Bolesław Erzepki, konserwator Towarzystwa przyjaciół nauk.

Z. Gloger.

Klemens Junosza: „Pająki," powieść.

Czytający moloch pożąda ciągle nowych ofiar, a dostawcy tych ofiar, czując, że kombinacye artystyczne życiowych sytuacyi są na wyczerpaniu—o czem można wnosić z nieustannych powtarzań się autorów i nieustannych narzekań publiczności na brak świeżości pomysłów,—wybierają się w Kolumbową podróż po nowe światy wrażeń,—no, i temu i owemu czasem udaje się coś odkryć. Pod tym naciskiem powstała literatura egzotyczna; dzięki temu łaknieniu, Gautier zdobył tysiące czytelników przez swój Wschód, Loti przez Japonię dopłynął do Akademii, a młody oficer angielski, Kipling, zyskał szybką sławę swojemi indyjskiemi obrazkami.

Romans naturalistyczny i powieść psychologiczna mogą zagarnąć dla siebie panowanie nad sztuką w ciągu jakich kilku lat, mogą, z łaski tego regulatora stosunków społecznych, którego modą nazywają, uchodzić za „ostatni" wyraz form twórczości. Ale nie sposób, aby na tych formach twórczość zatrzymać się miała. Nie sposób—nie dlatego, że sceptycy widzą w prawach natury ruch wahadłowy, tworzący beznadziejne i jałowe perpetuum mobile rwącego się do poznania ducha,—ale dlatego, że zarówno romansista-fizyolog, jak powieściopisarz-psycholog natrafią dość szybko na epokę, której żadne ludzkie narzędzie,

tymczasem przynajmniej, naruszyć nie będzie zdolne. A więc artysta-fizyolog trafi na milion zagadek, jakie rzuci przed nim żółta, kilkufuntowa masa mózgu, tego tajemniczego organu, bez którego niema uczuć, ani myśli, pobudek ani celów człowieka, ani życia. Artysta-psycholog spotka się z otchłanią „nieświadomości," otchłanią, w której się dzieje, kupi, łączy, przyciąga i odpycha i przygotowuje wszystko to, co w świadomości człowieka występuje jako rezultat, jako produkt gotowy i złożony i nieodgadnięty.

To też i dziwnie wyglądają pretensye naukowe naturalistów i psychologów-pisarzy, gdy się je postawi obok skromności, z jaką uczeni fizyologowie i psychologowie przyznają się do niewiedzy.

Sztuka w tym kierunku długo iść nie może. Czytający świat, wiednie, czy bezwiednie, pożąda wrażeń, a nie „prawdy;" czyta Zolę nie dlatego, że ten „prawdę" daje, ale że ma talent, dar wlewania artystycznego życia w czarne zygzaczki, rzucane na białym papierze, moc tworzenia złudzeń. To, co Zola nazywa „metodą," dla czytelnika jest jedną z charakterystycznych cech wrażenia, otrzymywanego przy czytaniu „Kartki miłości," lub „Nany"—i, nie przywiązując się do metody tej, czytelnik z tem większą przyjemnością otworzy książkę Lotiego lub Daudet'a, im bardziej odmienną „metodę" w niej znajdzie.

Pogoń za tą zmiennością otworzyła szeroko gościnną bramę na przyjęcie powieści egzotycznej. Tyle nowego obiecywała ona. Inny świat i innych ludzi, inne stosunki społeczne i inną ramę życiową, inny koloryt, inny sposób kochania—wszystko odmienne od tego, co się znajdowało w powieściach zwykłych, a co już spowszedniało, poszarzało i sprzykrzyło się. Prawda, że w głębiach tych nowych stosunków i zwyczajów widać było jeden wspólny mianownik, jedną niezmienną istotę natury ludzkiej; ale formy życia były tak ciekawe, bujne, kolorowe, niezwykłe i, co najważniejsze, nowe, że zapewniły one powodzenie książkom, które przynosiły z sobą te zapachy dalekiego i nieznanego świata.

Dla tych też powodów i nowa powieść Klemensa Junoszy zyskała tak dobre przyjęcie u naszego czytającego ogółu. „Pająki" to powieść o charakterze nawskroś egzotycznym. Junosza nie potrzebował wydalać się za morza po materyał; nie wydalając się z miasta, odkrył on cały świat inny, którego powierzchnię znaliśmy wszyscy, który znaliśmy nawet z jego zwyczajów i poglądów, ale znaliśmy mało, niedokładnie i jednostronnie.

Mało—bośmy badali świat żydowski tylko jako semicką i antysemicką kwestyę. Niedokładnie—dlatego, że mało. I jednostronnie—bośmy przychodzili doń z miarą naszych obyczajów i naszej moralności, i nie poznanie na celu mieliśmy, ale wykonywanie sądu.

Wprawdzie i Junosza bezstronnym nie jest, i on staje wobec świata, który opisuje, na pewnem wyraźnem stanowisku, i on potępienie niesie, już w samym wypisując je tytule. Ale Junosza jest artystą— i dlatego zaznacza swoje stanowisko artystycznemi środkami, a z sądów swoich robi oświetlenie, w którem wychodzą postaci zabarwione, kolorowe, pociągające oko.

Dlatego też nie znajdziecie w „Pająkach“ żadnych oburzań się na lichwiarstwo, które stanowiły-by nuty fałszywe w tej satyrycznej symfonii. Najsilniejszym środkiem autora jest ironia, użyta obficie, a środek to bardzo artystyczny i bardzo subtelny. Kto umie nim władać, ma dużą siłę w ręku. Ironia, to półton, którego pełnym tonem jest szyderstwo—a półtony grają dużą rolę w technice artystycznej, przygotowując najpiękniejsze i najsilniejsze efekta.

Ironia też daje Junoszy równowagę, broniąc go od zaawansowania się zbytniego w którąkolwiek stronę; ona daje autorowi swobodę, dzięki której może, kiedy mu się podoba, zejść w taką głębię duszy ludzkiej, w której znajduje się obok występku i jego usprawiedliwienie w nieświadomości grzechu.

Jedną taką scenę dał nam właśnie Junosza.

Zazwyczaj jego lichwiarze czują dobrze moralną stronę swojego procederu, wiedzą przynajmniej o tem, iż jest to wzgardzony przez chrześcian sposób zarobkowania. Często też odzywają się oni, że „jest to paskudny interes,“ że tylko „łapserdak“ może być lichwiarzem i tym podobnie,—prawda, że tylko wobec „gojów,“ ale w każdym razie jest to liczenie się z inną moralnością, niż ta, którą „pająki“ praktykują.

Ale raz zdarza się, że pewien pan Karol, urzędnik fabryczny, mucha, zaplątana w pajęcze sieci, przemyśliwa nad kasą wzajemnej pomocy, która-by jego i wielu innych od lichwiarskich szponów ochronić mogła.

Dowiaduje się o tem pan Hapergold, ów pająk, który właśnie pana Karola w swoich trzyma sieciach. Posłuchajcie rozmowy, jaką Hapergold ze swoją zacną połowicą w tym przedmiocie prowadzi:

— Wiesz ty co? Nasz kochany pan Karol zaczyna się buntować—mówi pan Hapergold.

— Co?

— Buntuje się.

— Jakim sposobem?

— Chce jakąś kasę zakładać.

— To łajdak! Za nasze dobre serce. Ja tobie zawsze mówiłam, Leoś, że ty masz zanadto dobre serce.

— Ty masz racyę.

— Ty jego potrzebujesz dobrze teraz przydusić.

— Ja jego przyduszę.

— Co chcesz, taki jest świat, taka wdzięczność ludzka. Czy myśmy jego mało ratowali w potrzebie, czy nie robiliśmy mu łaski, dobrodziejstwa? Ty byłeś dla niego, jak ojciec, a on co jest?

— On jest łajdak.

— On jest dziesięć razy łajdak i gałgan. On szelma jest i cygan.

I oni to mówią sami do siebie, w cztery oczy, nie potrzebując przecież oszukiwać nikogo, ani dla nikogo pozować. Czy pan Hapergold wierzy w to, że ma „zanadto dobre serce," czy wierzy, że pan Karol jest „galgan i dziesięć razy łajdak." Nieświadomość tych ludzi zastanawia i rozbraja. Wprawdzie, po namyśle, można sobie wytłómaczyć to wszystko, jako reakcyę dotkniętego serca, które pod wpływem cierpienia, doznanego wskutek niepożądanej wieści, jest jednakowo niesprawiedliwe dla siebie i innych. Tak, czy tak, pozostaje nam jednak w pamięci ta scena, która się Junoszy udała doskonale, a na „pająków" rzuca nie mało światła.

Świat żydowski wogóle wyszedł z pod pióra Junoszy bardzo żywo i plastycznie. Wprawdzie powieść cała jest zbiorem epizodów, dosuniętych jeden do drugiego, a nie zawsze jeden z drugiego wypływających, ale epizody są wyborne. Szczególniej podobała mi się para małżeńska państwa Karawanerów. Czy przypominacie sobie tę parę artystów śpiewaków w „Żonach artystów" Daudet'a, gdzie mąż jest o sławę żony zawistny. Coś podobnego spotykamy i w tem małżeństwie; tu żona podstępnie zabiera klientelę mężowi i sama na własną rękę robi z nią obroty. Sprzeczki i nieporozumienia małżeńskie, wynikłe z tego powodu, dają powieści parę scen przewybornych.

Znakomitą postacią jest także dziadzio Gancpomader, rodzaj patryarchy, człowiek, któremu nie obcą jest filozofia, który w młodości był „artystą" nie lada i jest jedyny do rady.

— Ja tobie mówię, Leoś, nie bądź ty „kowal."

Oto jaką radę często powtarza wnukowi, którego robota jest „chłopska," i niema w niej tej delikatności, co to się nazywa „fein."

— Świat idzie naprzód, moje dzieci—mówił z westchnieniem.— Gdy ja miałem lat siedm, wiedziałem już, co jest rubel i mój ojciec cieszył się, że ja taki mądry; mój syn znał się na rublach w piątym roku życia; mój wnuk, kochany Lajbuś, ledwie trzy lata skończył, bawił się z innemi bachorami w lombard; ten zaś maleńki prawnuczek, ta źrenica mego oka, ledwie umie chodzić, a już trafi do mojej kieszeni, żeby z niej parę groszy wyciągnąć. Dobre i myślące dziecko.

Podobnież wyborną figurą jest Zwanzig, swat żydowski i dowcipniś.

Zresztą w powieści tej pełno ludzi, a każdy ma swoją odrębną i ciekawą fizyognomię, a rozmowy, jakie prowadzą, są przepełnione szczegółami charakterystycznemi. Autor najczęściej pozwala postaciom swoim mówić samym za siebie—i jest to najlepsze, co można było zrobić. Figury te tłómaczą się własnemi słowami przewybornie i wszelkie komentarze były-by tu zbyteczne. Ten sposób charakterystyki jest tryumfem dla autora.

Wogóle cała strona „Pająków“ wyszła z pod pióra Junoszy, jako utwór doskonały.

Nie można powiedzieć tego samego o stronie „much.“

Dwie biedne muszki, pan Karol i jego połowica, są to istoty zbyt bierne, zbyt blade i zbyt banalne. Naprzód, miało-by się ochotę posprzeczać z Junoszą, czy dwieście rubli pożyczki, nawet przy najstraszliwszym ucisku lichwiarskim, może zagrzebać na całe życie człowieka takiego, jak Karol, idealnego pracownika, niepozwalającego sobie na żaden zbytek, pobierającego pensyę wcale przyzwoitą, zwłaszcza, gdy mu ją o 600 rubli podwyższyli, mającego żonę—żon ideał? Wygląda to trochę na tendencyę. Ale powieść ma tyle zalet, że one pokrywają bezbarwność tej pary idealnej i wątpliwości finansowej natury, jakie się przy rachunkach pana Karola nasuwają.

W. Kosiakiewicz.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

We Francyi odbyły się wybory prawodawcze. Wydały one większość umiarkowanie-liberalną, odcienia republikańskiego. Zdawało-by się więc, że dały krajowi to, czego oddawna pragnął, jako rękojmi spokojnego rozwoju i dobrej polityki wewnętrznej. Pomimo to, rezultat wyborów przyjęty został z powściągliwemi bardzo oznakami zadowolenia nawet przez tych, którzy-by się najmocniej powinni nim cieszyć.

Dlaczego?

Dlatego właśnie, że kryje w sobie ziarno zmian poważnych. Stronnictwo radykalne doznało ciężkiej porażki i przez ubytek mandatów, i przez ubytek najwybitniejszych swoich przywódców; ale nie zniknęło zupełnie i trzeba będzie zostawać z niem w stosunkach. W poprzednim parlamencie radykalni należeli do większości; teraz większość republikańska jest możliwą bez nich. Czy przejdą do oppozycyi? Lub też czy stronnictwo umiarkowane dopuści ich do spółki i do udziału w rządach, pomimo, że jest samo większością? To ostatnie rozwiązanie było-by niezawodnie prawdopodobnem, gdyby nie szczególne warunki. Radykaliści—wszakże to długoletni towarzysze broni. Nie zawsze mili towarzysze, to prawda; ale wyprobowanego przywiązania do rzeczypospolitej. Stosunki osobiste, dawne przyzwyczajenia, pamięć długo praktykowanej zasady „koncentracyi“ republikańskiej, wszystko to czyni zrozumiałem, dlaczego może być w Paryżu wątpliwość śród liberalnych, jaką postawę zająć względem radykalistów. Ponieważ zaś

odepchnięcie radykalistów i przejście ich do oppozycyi nie było-by pożądanem, a dopuszczenie ich do udziału w rządach nie było-by w oczach kraju dostatecznie usprawiedliwionem, więc się także tłomaczy zaambarasowanie umiarkowanych republikanów na wiadomość o osiągniętem zwycięstwie. Wielu z nich wolało-by, aby „koncentracya," czyli koalicya liberalistów z radykalistami, wyszła z urn wyborczych tak samo na dalsze czasy niezbędną, jak była przez ostatnie lat kilkanaście.

Swoją drogą ci, którzy nie mają chęci do zrywania z radykalistami, trafnie odczuli, że trzeba szukać jakiegoś mniej więcej zasadnego usprawiedliwienia na to przed opinią publiczną. Kraj wybrał większość umiarkowaną i liberalną oczywiście nie po to, aby nim rządzili radykaliści. Jeśli zaś ci mają być dopuszczeni do rządów, wymaga to szczególnego umotywowania. Zostało ono znalezione z łatwością przez oportunistów.—Jeśli pozwolimy radykalnym przejść do oppozycyi—powiedział jeden z nich,—tedy zbliżą się oni ku socyalistom; tymczasem właśnie zwalczanie socyalizmu powinno być wspólnem zadaniem wszystkich grup republikańskich.—Formułka spodobała się, i kto wie, czy nie posłuży za osnowę całego programu taktyki partyjnej oportunistów w parlamencie. Gdyby oportuniści sami stanowili większość, można-by uważać za pewne, że przez tę furtkę znajdą sobie drogę do przymierza ze skrajną lewicą.

Ale większość umiarkowana składa się nie z samych oportunistów. Wchodzą do niej członkowie „unii liberalnej," wchodzi prawica republikańska. Te żywioły stanowczo się oprą niepotrzebnej zupełnie spółce z radykalistami, przeciwko której energicznie walczyły nawet wówczas, kiedy „koncentracya" była w pełnem zastosowaniu. Przedstawiciele tych dwóch grup będą mogli odpowiedzieć oportunistom, że skoroby naprawdę radykalni zdolni byli do popierania socyalistów, jeśli się ich nie dopuści do udziału w rządzie, złożyli-by sobie świadectwo takiej politycznej lekkomyślności, jeśli nie przewrotności, że właśnie trzeba-by ich zdaleka omijać, a nie łączyć się z nimi. Mówiący tak mieli-by zupełną racyę.

Rozstrzygnięcie będzie zależało od prezydenta rzeczypospolitej.

Wspomnieliśmy, że charakterystyczną stroną tych wyborów był pogrom radykalistów. Dwaj najwybitniejsi ich przywódcy, Clémenceau i Floquet, nie wejdą do nowego parlamentu. Obok tych dwóch znakomitości padło na placu wielu innych. Nie został obrany Cassagnac, wybitny mówca monarchiczny; przepadł również p. Piou, szef nawróconych rojalistów, przepadł hr. Mun, przedstawiciel socyalizmu chrześciańskiego. Natomiast wzrośli liczebnie socyaliści. Nowy parlament będzie miał około dwustu posłów zupełnie świeżych, którzy nie zasiadali jeszcze nigdy w pałacu burbońskim. W liczbie tych nowych pra-

wodawców mieści się jeden fryzyer, jeden atleta, który się niegdyś popisywał na estradzie i znany jest w całej Francyi pod nazwą: *L'homme-Canon*, kilku rzemieślników. Wielka z tego powodu radość na skrajnej lewicy, jako z tryumfu idei demokratycznych; że tryumf ten będzie okupiony wprowadzeniem do parlamentu ignorancyi i prostactwa, o to mniejsza, na takie bagatele nowe pokłady demokratów bynajmniej nie zważają.

Pod Metzem odbyły się wielkie manewra armii niemieckiej, na których był obecny włoski następca tronu. Nie mogły Włochy jaskrawiej wyrazić, że gwarantują Niemcom zdobycz z roku 1871. Mieli stąd naturalnie wielką przykrość Francuzi, którzy do ostatniej chwili łudzili się jeszcze, że włoski następca nie przyjedzie; rzeczywistość złudzenia te rozwiała. Mieli inną jeszcze przykrość. Oto przyjęcie, jakie zgotowali Lotaryńczycy Wilhelmowi II, nacechowane było daleko większą serdecznością, niżby sobie tego po drugiej stronie granicy życzono i niż mniemano, że być może. Korespondenci pism francuskich, którzy towarzyszyli cesarzowi, wyznają, że germanizacya uczyniła dalsze postępy, niż mogli przypuszczać. Jakoż jeden z nich powiada, że dziś już dawna ojczyzna jest tam dla ludności tylko melancholijnem wspomnieniem, a za lat dziesięć, jeśli tak dalej pójdzie, jak dotąd, stać się może, iż to wspomnienie samo będzie już wspomnieniem. Nie można się dziwić, że takie relacye boleśniej dotknęły Francuzów, niż obecność księcia Neapolu przy boku cesarza.

Ale orzeźwiła Francyę wiadomość, że w październiku przybędzie do Tulonu eskadra russka, aby rewizytować rzeczpospolitą za odwiedziny kronsztadzkie. Spodziewają się Francuzi, że będzie to okazała kontrmanifestacya przeciw manewrom alzackim i wszystkiemu, co im towarzyszyło. Potworzyły się komitety celem uświetnienia przyjęcia, w tej liczbie komitet prasy. Pani Adam wydała odezwę do kobiet francuskich o składki na prezenta dla gości. Prezydent Carnot przybędzie do Tulonu, aby powitać eskadrę. Co się tycze politycznego znaczenia odwiedzin tulońskich, to w zasadzie będą one miały rzeczywiście to samo znaczenie dla Francyi i Rossyi, co manifestacya włosko-niemiecka w Lotaryngii dla trójprzymierza.

Bil irlandzki został przez izbę gmin uchwalony większością trzydziestu kilku głosów; przez izbę lordów odrzucony prawie jednomyślnie. Wypadało-by teraz Gladstone'owi rozwiązać parlament i odwołać się o rozstrzygnięcie do wyborców. Gladstone jednak, naprzekór tradycyom, rozwiązać parlamentu nie chce, lecz zamierza ponownie przeprowadzić bil przez ten sam parlament. Czy jest to dobra polityka, przyszłość pokaże. Na razie nie podobna się oprzeć wrażeniu, że rząd zwątpił, aby wyborcy dali mu jeszcze raz większość, gdyby parlament

uległ rozwiązaniu. Gdyby nie ta nieufność, nierozwiązywanie parlamentu było-by stanowczo błędem, bo ponowny obiór większości liberalnej najskuteczniej i najszybciej poparł-by reformę irlandzką. Jeśli jednak rząd nie ufa wyborcom, musi mieć na to swoje racye.

Bądź-co-bądź, i to, co się już stało, jest dziełem niepospolitej doniosłości. Nikt tego już nie wykreśli z historyi, że parlament angielski w roku 1893 uchwalił dla Irlandyi samorząd z osobnym sejmem i z osobnem prawodawstwem. Droga, której kierunek został w ten sposób wytknięty, prędzej lub później musi być przebyta i niezawodnie będzie. Czy wynikną stąd dobre, czy złe skutki dla Anglii, to jest przedmiotem sporu; ale jedno trzeba uważać za rzecz niewątpliwą, mianowicie, że jeśli będą dobre, to bardzo, i jeśli złe, to również bardzo. Anglia może się uspokoić wewnętrznie i urość na siłach; tak to jej wróży Gladstone. Gdyby się sprawdziły przepowiednie nie jego, ale jego przeciwników, Anglia uległa-by rozdarciu wewnętrznemu i osłabła-by, czyli, że w każdym razie skutki tej inicyatywy Gladstone'a będą miały niezmierną doniosłość. To też imię jego zapisuje się na kartach dziejów angielskich niezatartemi zgłoskami. Czy jako imię dobroczyńcy narodu i państwa angielskiego, czas to wyświetli.

Przewidywania lekarzy nie zawiodły. Cholera, nie stłumiona całkowicie w roku ubiegłym, wybuchła obecnie w Europie i Azyi, w tej ostatniej z większą gwałtownością, niż po raz pierwszy. Ta tylko zachodzi różnica, że daleki Wschód nie jest jedynem ogniskiem zarazy, rozsiewającem popłoch i zniszczenie na wszystkie strony świata. Na pozór wygasła przez zimę, obecnie, przy sprzyjających warunkach pory letniej, wyszła z ukrycia i rozwinęła się ponownie najpierw we Francyi, potem tu i owdzie w różnych miejscowościach Europy środkowej, Galicyi, gub. Podolskiej (gdzie przez całą zimę grasowała), w Kijowskiej, głównie zaś w Kijowie, gdzie, według urzędowych notowań, 40, 45, 60 osób zapada dziennie, umiera zaś od kilkunastu do dwudziestu kilku; dalej w Moskwie i kilku wewnętrznych guberniach państwa. Najstraszniejsze zaś wieści dochodzą z Arabii. Ludzie tam się sypią, jak muchy, złapane na truciznę; tysiące już pielgrzymów wymarły. Mnóstwo trupów leży po kilka dni, bo grabarzy nie wystarcza. Na te straszne fakta zwrócił uwagę d-r Ralph w Niemczech i stara się dowieść, że nie Indye, lecz Mekka jest głównem źródłem zarazy z przyczyn następujących: Od czasów Mahometa przez lat przeszło 1200 setki tysięcy wielbłądów zabito tam na ofiarę w świątyniach i dokoła nich. Ziemia, przez wieki pojona co rok krwią zwierzęcą, stała się wybornym gruntem dla hodowli wszelkiego rodzaju mikrobów. Przy tem wszystkiem próżno-by się największy abnegat u nas silił dorównać niechluj-

stwu pielgrzymów wschodnich. Przez cały czas podróży, to jest przez sześć do ośmiu miesięcy, nie zmieniają koszul, po powrocie zaś, pokrajawszy je na drobne kawałeczki, rozdają te strzępki krewnym i znajomym. Komisye sanitarne już zwróciły uwagę na te zwyczaje i obrządki religijne i podobno pod wpływem lekarzy mają powstać prawidłowe rzeźnie w Mekce dla zabijania ofiar, a kwarantanny ograniczają dopływ pielgrzymów muzułmańskich i czuwają nad ich stanem zdrowotnym. Gdzie wszakże praktyki pobożne przez setki lat wrosły w krew i mózg mahometan, gdzie najmniejsze odstępstwo od nałogów i poprostu niechlujstwa rasowego uważa się za herezyę, tam trudno uwierzyć w to, ażeby działalność komisyi sanitarnych mogła naraz cudowny przewrót uczynić dla dobra powszechnego. Bądź-co-bądź, zwrócenie uwagi świata cywilizowanego na główne ogniska zarazy: Arabię i Indye, jest faktem ważnym i miejmy nadzieję, że z czasem międzynarodowe narady lekarzy potrafią oddziałać na rządy, przełamać obojętność i egoizm kupiecki, szczególnie Anglików, których głównie obchodzi to, ażeby bogactwa z Indyi nie wypłynęły gdzieindziej, epidemia zaś może cały świat zalewać. Na to cywilizowani władcy obszarów azyatyckich nie tylko patrzą obojętnie, lecz dopomagają do rozwoju zarazy na miejscu rabunkową gospodarką ekonomiczną.

Ale pocieszajmy się tem, że w miarę rozwoju epidemii czujność władz sanitarno-policyjnych rośnie i nabiera sprężystości, a w chwili, gdy to piszemy, Warszawa i inne większe miasta przygotowały już szereg środków przeciwdziałających. Doświadczenie atoli dowiodło, że dezynfekcya i wszelkie kwarantanny nie są radykalnym środkiem obrony. Miasta, zarządy kolejowe i wiele instytucyi publicznych, tudzież prywatnych, w ciągu lata zeszłego wydały setki tysięcy rubli na karbol i inne środki dezynfekcyjne; czy to jednakże zapobiegło rozszerzeniu się zarazy? Pomimo największej baczności, pomimo skrapiania i oblewania nawet podróżnych wodą karbolową, pomimo wreszcie uciążliwych ceremonii kwarantannowych, laseczniki znalazły sobie drogę i dotarły wszędzie, gdzie tylko dla ich rozwoju znalazł się grunt odpowiedny. Trzeba przyznać, że czyszczenie miast, miasteczek i wsi odbywa się z nadzwyczajną gorliwością, pomimo oporu i wykrętów niechlujnych mieszkańców. Ma to tę dobrą stronę, że chociaż nie zapobieży zawleczeniu cholery, ale wdroży ludność do większej, niż dotąd, czystości, co znowu utrudni dostęp innym chorobom zakaźnym. Do jakich atoli wyników doszła medycyna, jakie środki znalazła ku obronie? Od chwili zjawienia się epidemii wypuszczono na świat tysiące broszurek popularnych, niezliczone mnóstwo artykułów ze wskazówkami, jak się należy zachowywać przed i podczas cholery. Profanowi w głowie się mąci, tak, iż w razie choroby nie wiedział-by, czego najpierw ma się

chwycić. W poglądach przedstawicieli medycyny chaos i sprzeczność ogromna, co dowodzi, że nauka, niestety, idzie jeszcze po omacku.

Ale wytrwali bakteryologowie rąk nie opuszczają i czasu darmo nie tracą w swych pracowniach. Na schyłku epidemii zeszłorocznej dowiedzieliśmy się, że groźne „przecinki“ można spożywać bezkarnie (dowiódł tego słynny dr Max Pettenkoffer), następnie zaś, — że bacillus ten sam przez się (czystej hodowli) nie działa zabójczo, że dopiero w połączeniu z dwoma innemi mikrobami jest straszny. Obecnie zaś dr Beck w pismach niemieckich ogłosił nowe rezultaty badań, które ze wszystkich dotąd wydają się najracyonalniejszemi i kto wie, czy przy odpowiednem działaniu społeczeństwa i władz sanitarnych nie pozbawią cholery dotychczasowej jej siły. Profesorowie: dr Emerich i dr Liro Tsuboi, po długich badaniach przyszli do przekonania, że funkcyą życiową bacillusa cholerycznego jest wywiązywanie kwasu azotowego tudzież kwasu mlecznego z węglowodanów. Inne bakterye mają tę samą własność w znacznie mniejszym stopniu (1 : 4,000) i skutkiem tego nie wywołują zaburzeń w kiszkach. Człowiek może mieć w organiźmie laseczniki choleryczne i pomimo to być zdrowym, jeżeli one nie mają odpowiedniego gruntu dla rozwoju. Warunkami sprzyjającemi dla tych zarazków są właśnie azotany, które, nagromadzone w wielkiej ilości, wywołują objawy cholery. Azotany dostają się do wnętrza organizmu przez wodę i pożywienie, szczególnie zaś przez wodę studzienną. Z tą ostatnią łatwiej poradzić, z pokarmami—niezmiernie trudno. Powyżsi lekarze dowodzą, że najwięcej azotanów zawierają produkta roślinne, najbardziej rzepniaki, rzodkiew, sałata, jarzyny zielone, mniej zaś zboże i kartofle. (Te ostatnie i jęczmień, nie siane na gruncie użyźnionym, prawie nie posiadają związków azotowych). We wszystkich tych gatunkach pożywienia, oprócz azotanów, są także węglowodany, przyczyniające się do wytwarzania kwasu mlecznego, co wszystko pozwala lasecznikowi cholerycznemu tworzyć w kiszkach wolny kwas azotowy. (Woda studzienna, nie posiadająca węglowodanów, nie może sama przez się stworzyć takich warunków). Ponieważ ludność uboga przeważnie, a w wielu razach nawet wyłącznie używa pokarmów roślinnych, więc też w tych warstwach cholera zazwyczaj największe spustoszenie czyni. Wobec tego dr Beck twierdzi, że o wiele skuteczniejszym środkiem walki z epidemią było-by nie tracenie tysięcy na przedmioty dezynfekcyjne, lecz na zaopatrzenie ludności ubogiej w pokarmy mięsne. Przy takim bowiem tylko doborze pożywienia cholera dała-by się przytłumić. Zresztą są także produkta roślinne, prawie nie zawierające azotanów, a więc dające się podczas epidemii bezkarnie spożywać.

Ostatnim tedy środkiem, wynalezionym przez naukę, a mającym ubezwładnić silnego wroga, powinny być: woda i pożywienie, pozba-

wione azotanów. Odkrycie to niezmiernie ułatwia badanie i odpowiedne przysposabianie wody do picia. Nauka zatem zrobiła już bardzo wiele, ale pozostaje jeszcze wytworzenie wedle jej wskazówek odporności organizmu ludzkiego w masach. Tu już nie mikroskop i bakteryologia, ale czynniki ekonomiczne muszą wejść w grę. Czy podobna naraz stworzyć takie warunki, ażeby ludność najuboższa mogła stale się zaopatrywać w pokarmy mięsne? Poruszyć wszystkie sprężyny miłosierdzia publicznego? — Przyniesie to ulgę, ale cząstkową. Zamiast zupy rumfordzkiej, zjawi się pieczeń lub kotlet, chociażby z pośledniego gatunku mięsa. Kuchnia taka kosztowniejsza będzie w każdym razie o wiele zdrowsza, niż wszelkie dzisiejsze jadłodajnie dobroczynne, opychające ubogich stołowników jarzynami. Ale po-za warstwą nędzarzy, szukających pożywienia bezpłatnego, są tysiące ludzi pracujących, których skromne zarobki nie wystarczają na kawałek mięsa, chociażby raz na tydzień. Chcąc im uprzystępnić ten produkt drogą praw ekonomicznych, trzeba było-by usunąć armię przekupniów i spekulantów, stworzyć na wielką skalę przemysł mięsny, słowem, masowemi środkami produkcyi dążyć do jak najtańszych środków wytwarzania. Zanim to nastąpi, zanim wogóle warunki bytu o tyle się zmienią, że najuboższy człowiek będzie mógł bez wysiłku wprowadzić do swej kuchni mięso, jako strawę codzienną,—jeszcze nie jedna epidemia choleryczna poczyni spustoszenia. Nie przeszkadza to wszakże czynić, co można, w tej mierze. Jeżeli sztucznemi środkami medycyny najbardziej wyczerpane chorobą organizmy przyprowadzić można czasem do zdrowia, pokonać najniebezpieczniejsze przesilenia; — dlaczegoż więc nie mamy wypowiedzieć wojny strasznej epidemii za pomocą doraźnych zarządzeń? Dobra wola ogółu może się przyczynić do utworzenia tanich jadłodajni mięsnych, jeżeli nie na stałe, to przynajmniej na miesiące i lata epidemicznie. Niechaj choć $^1/_4$ ludności ubogiej znajdzie w nich zdrowe pożywienie, a z pewnością cholera nie o $^1/_4$, lecz o $^3/_4$ straci swą siłę.

Czy wykrycie składników gruntu, na jakim w organiźmie ludzkim laseczniki choleryczne się rozwijają, jest już ostatnim i nieomylnym wyrazem nauki? Tego ani logicznie myślący profan, ani lekarz przypuścić nie mogą. Za parę miesięcy, lub za rok, może się zjawić inna teorya, oparta na mozolnych badaniach, która uzupełni lub przekształci poprzednią, nie powiemy—obali, gdyż doświadczenie aż nadto dowiodło, że pokarmy roślinne, a zatem liche odżywianie się, sprzyja rozwojowi cholery, mięsny zaś obfity (w miarę) pokarm jest jej wrogiem zaciętym. Rozumie się, liczyć tylko na odpowiedny pokarm nie można. Doświadczenie również dowiodło, że jednym z głównych czynników, skutecznie przeciwdziałających epidemii, jest czystość, dla któ-

rej prawo bytu najtrudniej jest wywalczyć. Kto się chce przekonać, jak ta sprawa u nas idzie opornie i jak wiele pozostaje do zrobienia, niechaj przeczyta sprawozdanie d-ra Tchórznickiego w „Zdrowiu," charakteryzujące niechlujstwo naszych miasteczek i wrogie usposobienie ich mieszkańców względem najskromniejszych wymagań komisyi sanitarnych.

To wrogie usposobienie nie tylko śród ciemnych i ubogich daje się spostrzegać; tkwi ono także śród wielu przemysłowców, właścicieli nieruchomości i wszelkiego rodzaju przedsiębiorców. Przypomnijmy tylko, jak garbarze i właściciele innych fabryk zawzięcie bronią przywileju zanieczyszczania rzek. Czytaliśmy niedawno pewnej grupy tych ludzi wywody, w których twierdzą, że bakteryologia nie jest jeszcze ustaloną gałęzią nauki do tego stopnia, ażeby jej się poddawać w życiu praktycznem, że skoro istnieje samooczyszczanie się rzek, można je śmiało zanieczyszczać. Interesowani są pewni, że te ich argumenta poskutkują, że swą niewiarą przekonają sfery administracyjne i prawodawcze. Na szczęście, owe sfery uważnie słuchają głosu nauki i, o ile tylko nie stoją na przeszkodzie zbyt złożone warunki, starają się iść za wskazówkami uczonych. Pp. fabrykanci zaś zasłyszeli o tem, co powiedział dr Pettenkoffer i inni bakteryologowie o samooczyszczaniu się rzek i pomimo twierdzenia, że „bakteryologia nie ma jeszcze podstaw silnych," usiłują nakręcić ją na swój młyn. Ale o przemilczanym w ich dowodzeniu szczególe zbyt dobrze inni pamiętają: że samooczyszczanie się stosunkowo na niewielkich przestrzeniach odbywa się tylko w bardzo bystrych pierwszorzędnych rzekach. Tymczasem wiele fabryk, wypuszczających szkodliwe ścieki do wody, stoi nad brzegami niewielkich rzek, któremi ludność miasteczek i wsi okolicznych posługuje się w potrzebach codziennych. Pomimo więc oporu i naciąganych dowodzeń, przemysłowcy będą musieli poczynić w swych fabrykach urządzenia, neutralizujące szkodliwość odpływów, lub dostarczyć innych zbiorników wody dla użytku ludności okolicznej, stosownie do warunków miejscowych. W niedalekiej przyszłości nacisk prawny dopomoże do tego rodzaju urządzeń.

Nim to nastąpi, nie od rzeczy było-by przeciwdziałać innej epidemii— epidemii gry, która naiwnym ukazuje... szczęście w postaci premiówek. Szczęście to wszakże bywa dotkliwie zawodne dla jego poszukiwaczy, bo, pomijając długoletnie czekanie na wylosowanie biletu, podnoszenie się jego wartości, jako papieru, lub wygraną, nabywający na wypłatę bywają ofiarami oszustwa, albo bankructwa aferzystów. Przed kilku laty jeden z nich zbankrutował w Warszawie i naraził na straty setki ludzi. Po tym

wypadku obostrzono kontrolę i pozwolono sprzedawać premiówki tylko firmom solidnym, dającym rękojmię bezpieczeństwa w postaci kaucyi. Pomimo to, mamy świeży wypadek ciężkich strat, które ponieśli ludzie ubodzy a łatwowierni. W Petersburgu zbankrutował Rossyjski Bank Handlowy i Komisowy, a wraz z nim warszawska agentura, zajmująca się sprzedażą pożyczek premiowych na rozpłaty. Śród zainteresowanych zapanował popłoch i pognębienie. Wyobraźmy sobie takich biedaków, opętanych nadzieją zdobycia „szczęścia,“ którzy spłacili już po sto i sto kilkadziesiąt rubli, zaoszczędzonych z najpierwszych potrzeb życia. Wprawdzie mogą oni współzawodniczyć w „masie konkursowej,“ ale w najlepszym razie odzyskają część tylko straty, lub, jeżeli pójdą za nawoływaniem „Gazety Losowań,“ ofiarującej swą pomoc bezinteresownie, będą musieli opłacić wspólnego obrońcę, który niewiadomo, czy dużo obroni. Ten świeży fakt powinien być nauką dla zawiedzionych i ostrzeżeniem dla innych łowców szczęścia loteryjnego.

Ci, których nie stać na premiówki, gonią za „ślepą fortuną“ na mniejszą skalę, t. j. starają się stać uczestnikami gry na „loteryi klasycznej“ Królestwa Polskiego. Kto widział te tłumy, wyczekujące od rana do nocy przed sklepami i mieszkaniami kollektorów, gniotące sobie żebra i klatki piersiowe, wyciskające okna i drzwi, ten może ocenić, jak wielka tkwi namiętność do tej gry w warstwach najuboższych. Są tacy, dla których nie tylko „ćwiartki,“ ale nawet „ósemki“ losów nie są przystępne; kupują więc na spółkę szesnaste, a nawet 32-gie części biletów loteryjnych. Inni znowu trzymają po kilka naraz losów i—przegrywają większą część swych dochodów. „Miesiąc żyć będę o chlebie i wodzie, a muszę kupić sobie ćwiartkę!“ — słyszałem kiedyś taki wykrzyknik, przechodząc koło gromady, oczekującej na otwarcie sklepu z losami. Większość atoli kandydatów, nie tylko ubogich, ale i zamożnych, odchodzi z niczem, gdyż kollektorzy mają stałych klientów, którzy częstokroć są spekulantami, odprzedającymi bilety po znacznie wyższych cenach, lub zawziętymi graczami, płacącymi drożej posiadaczom „kollekty.“ Stale co pół roku publiczność za pomocą pism codziennych skarży się na nadużycia kollektorów. Skargi te doszły do zarządu loteryjnego, który przedsięwziął szereg obostrzeń: zaprowadził księgi kollektorskie, obowiązkowe ogłaszanie w dziennikach wykazów losów, tudzież datę ich oddania w kollektę, niektórym zaś, robiącym z tego procederu zbyt ryzykowną spekulacyę, odebrano prawo trzymania losów. Okazało się jednak, iż te wszystkie środki nie dały pożądanych rezultatów; jak dawniej, tak samo i teraz, płyną liczne skargi na nadużycia, na handel, prowadzony biletami loteryjnemi, zarówno w Warszawie, jak i na prowincyi; ceny biletów dochodzą do wysokości

podwójnej w stosunku do wartości nominalnej. Kollektor najczęściej sam gra przez cztery klasy i nic na tem nie traci, chociażby stawki nawet nie wygrał, bo jest sporo gorących graczów, którzy za bilet 5-tej klasy płacą wedle przepisów wartość wszystkich pięciu klas, czyli 15 rs. 36 kop. za ćwiartkę. W wielu razach kollektor jest w gruncie rzeczy firmą, opłacaną przez spekulantów, którzy składają za niego kaucyę i zgarniają nadwartość biletów. Kontrola tu tak jest niemożliwą, jak w operacyach lichwiarskich. Według prawa, wszystko w porządku: nazwiska graczów wpisane w księdze, skargi więc tych, którzy nie dostali losów, łatwo mogą być obalone dowodami, że wszystkie już sprzedano. Tymczasem większość owych graczów należy do fikcyjnych, do usłużnych krewnych, lub dobrych znajomych kollektora, czy kollektorki. „Kuryer Warszawski“ doradza środek radykalny, ale wobec trudności kontroli może jedyny: zniesienie instytucyi kolektorów, a powierzenie urzędowi loteryi wyłącznej sprzedaży losów. Odsetki, idące obecnie na ich korzyść, zdaniem powyższego pisma, wystarczyły-by na urządzenie osobnego biura sprzedaży. Czy to jednak zapobiegło-by handlowi i spekulacyi? Było-by to samo z losami, co się dotychczas dzieje z biletami teatralnemi podczas rzadkich występów znakomitości scenicznych. Spekulanci, za pośrednictwem swych agentów sprytnych i łatwo wszędzie się wciskających, zakupywali-by znaczną liczbę losów i prowadzili-by, jak obecnie, handel, z tą tylko różnicą, że narzekano-by nie na kollektorów, lecz na sprytnych rozpychaczy tłumów. Wyzyskiwanie namiętności ludzkich należy do rzędu zjawisk, na jakich całkowite usunięcie prawie niema środków.

W roku bieżącym, z powodu niepomyślnej wiosny i pierwszej połowy lata, zapasy karmu dla bydła smutnie się zapowiadają. Na przestrzeniach nizkich długotrwałe deszcze wstrzymały kośbę lub się przyczyniły do zgnicia skoszonej trawy, w innych zaś miejscowościach uskarżają się wogóle na słabą wegetacyę na łąkach. Co będzie z przekarmieniem koni i bydła przez zimę? — zapytują trwożnie gospodarze wiejscy. Zaniepokoili-by się oni bardziej, gdyby wiedzieli, że za granicą brak paszy również daje się uczuwać. Przezorne wszakże państwo chwyta się zawczasu środków przeciwdziałających klęsce. Między innemi obwieszczono zakaz wywozu paszy z kraju i jednocześnie ułatwienie kredytu dla sprowadzania tego produktu z innych państw. Na tę okoliczność powinni zwrócić uwagę u nas miejscowi spożywcy i starać się o zatrzymanie siana w kraju. Na nieszczęście, bardzo mało jest u nas rolników, którzy się interesują tem, co się dzieje po-za obrębem własnej posiadłości, mało takich, którzy czują potrzebę śledzenia stanu rynków obcych. Z tej nieświadomości korzystają spekulanci, i wiedząc

o popycie na dany produkt za granicą, skupują go za bezcen od ciemnych w tym względzie naszych wytwórców. Stąd owo charakterystyczne zjawisko: w kilka miesięcy po sprzedaniu nabywanie tego samego produktu po cenach w trójnasób większych. Tak było nieraz z żytem, to samo będzie obecnie z sianem. Gubernie zachodnie, szczególnie Polesie, zaopatrują w paszę inne prowincye, siano prasowane idzie stamtąd dla wojska aż do Królestwa; o tym zaś śpichlerzu wiedzą doskonale Niemcy i mogą wyłowić zawczasu wyprodukowaną na wewnętrzny wywóz trawę, jeżeli się nie rozpowszechni ostrzeżenie, że wewnątrz kraju wiele prowincyi pożąda karmu dla koni i bydła.

Gazety, informujące o stanie ekonomicznym w danej chwili i popotrzebach spożywców w kraju i za granicą, czytane są przez szczupłą garstkę inteligencyi wiejskiej, która, o ile jest interesowaną, zachowuje pewną ostrożność.

Warto, ażeby w przyszłości ten obowiązek wzięły na siebie biura rolniczo-wiejskie, których ustawę normalną zatwierdziło obecnie ministeryum dóbr państwa. Mogą one powstawać przy towarzystwach rolniczych, tudzież mają prawo otwierać je stowarzyszenia ziemian. Oto są ogólne zarysy działalności tych biur: dopomaganie do zbytu i nabywania wszelkiego rodzaju inwentarza gospodarczego, pośredniczenie pomiędzy wytwórcami a nabywcami produktów rolnych, dopomaganie w wynajdowaniu dzierżawców, w kupnie i sprzedaży majątków; po-za tem: udzielanie rad przy nabywaniu maszyn i narzędzi rolniczych, sporządzanie planów drobniejszych melioracyi, robienie analiz i t. d. Naturalnie, do powyższych obowiązków można było-by dołączyć wiele innych, bardzo ważnych.

Często słyszymy tu i owdzie narzekania na brak ułatwienia kredytu włościanom dla zakupu ziemi. Fakta wszakże dowiodły już niejednokrotnie, że ów kredyt (udzielany przez bank), bywał obosieczny: uboższych wtrącał w zupełną ruinę, bogatszym zaś pozwalał jeszcze bardziej się wzbogacać. W praktyce stwierdzono wadliwość ustawy banku włościańskiego, więc postanowiono ją zreformować, ale, jak się okazuje z osnowy omawianych przepisów, najbiedniejsi nie będą mieli pociechy, co zresztą z punktu finansowego całkiem jest naturalne. Oto są zasady projektowanej ustawy: Utrwalenie operacyi banku przez udzielanie pożyczek tylko zamożniejszym gospodarzom; znaczne, chociażby chwilowe, ograniczenie tych operacyi przez wyłączenie z szeregu dłużników—towarzystw wiejskich, tudzież niezamożnych włościan, gdyż ci, jak się okazało, najgorszymi są płatnikami. Po-za tem do ustawy wejdą surowe przepisy co do szacowania gruntów, służą-

cych instytucyi kredytowej za ewikcyę, tudzież rozmiar pożyczek będzie ograniczony do 60%, w wyjątkowych zaś razach do 75% ich szacunku. Dotychczas zaś ocenę opierano częstokroć na normalnym szacunku desiatyny, skutkiem czego pożyczkobiorcy otrzymywali sumy w rozmiarach, wyrównywających wartości gruntu. Powyższy plan ograniczeń znacznie zmniejszy działalność banku w zakresie udzielania pożyczek na kupno ziemi. Z tego względu postanowiono rozszerzyć niższego rodzaju operacye, t. j. takie, które ułatwiają włościanom (może nawet nie tylko zamożniejszym) samodzielne posiadanie gruntów. Udogodnienia takie mogą wyniknąć z nadania bankowi prawa nabywania ziemi na własny rachunek z wolnej ręki, tudzież na licytacyach publicznych; poczem instytucya kredytowa oddawała-by je w dzierżawę, lub sprzedawała za pomocą parcelacyi. Taki system znacznie uprzystępni nabywanie gruntów i zapewne mniej będzie uciążliwy pod względem formalistycznym. Owe atoli reformy przepisów banku włościańskiego dowodzą, że instytucya ta nie przystosowała się jeszcze do potrzeb tych mas, dla których służy. Najbieglejsi prawodawcy nie mogli całkowicie wniknąć w potrzeby, ocenić warunków bytu danych mas i przewidzieć rezultatów pomocy kredytowej w takiej formie, jaka dotąd była.

Jedną ze znamiennych cech ludu jest chęć zdobycia jak największej ilości ziemi, wyobraża on sobie bowiem, że nie kultura, nie dążenie do spotęgowania wydajności, lecz ilość gruntu może jego byt poprawić. W praktyce atoli okazuje się, iż dokupiona gleba prawie nie pomnaża zysków, a nawet... straty przynosi. Brak bowiem odpowiednej wiedzy, pozwalającej prowadzić racyonalną gospodarkę, brak narzędzi, dobrego inwentarza żywego, nawozu, sprawia to, że pola muszą leżeć odłogiem, albo posiewy na nich—marnieć. Przedewszystkiem więc trzeba było-by zwrócić uwagę na te braki, niepozwalające nawet na mniej niż średnią wydajność gruntów włościańskich. Jednym z ważniejszych w powyższym szeregu braków jest słabość siły pociągowej i wogóle bydła włościańskiego, a zatem—dotkliwe straty w inwentarzu żywym. Może poniekąd w przyszłości zaradzą złemu przystępne wykłady weterynaryi dla włościan, o których wprowadzenie i rozpowszechnienie stara się u władzy wyższej jeden z weterynarzy. Jakkolwiek postanowiono zorganizować praktyczne szkoły weterynaryi dla ludu (o czem pisaliśmy w roku zeszłym), może jednak te oba źródła wiedzy dadzą się z sobą pogodzić, tem bardziej, że szkoły mają na celu młodych tylko chłopców, wykłady zaś prawdopodobnie będą miały na względzie pouczenie także starszych w formie pogadanek.

Ministeryum dóbr państwa projektuje, ażeby dla rozpowszechnienia śród włościan udoskonalonych narzędzi rolniczych, dawano wystawcom, zamiast medali, takie właśnie narzędzia. Nagrody w tej postaci najpraktyczniejszej przydały-by się nietylko dla włościan, lecz wogóle dla skromniejszych ziemian, którzy-by radzi prowadzić gospodarkę według najnowszych systemów, ale środki im na to nie pozwalają. Wystawy rolnicze mają przecież na celu popieranie rolnictwa, a ich organizatorowie uznali za jeden z bodźców—nagrody. Jest to istotnie wielka zachęta; ale przyznanie medalu sprawia tylko zadowolenie moralne, podczas gdy dla średniego i małego rolnika nagroda w postaci niezbędnego narzędzia (z pozostawieniem nagrodzonemu wyboru, stosownie do jego potrzeb), obok tego zadowolenia przyniosła-by realną korzyść i jeszcze bardziej niż kawałek bronzu, srebra lub złota, pobudziła-by do usilnej a racyonalnej gospodarki. Wprawdzie nagrody takie zwiększyły-by budżet wydatków na urządzenie wystawy, ale za to pożytek ich bardziej niż dotąd dawał-by się odczuwać.

Mówiąc o wystawie, zaznaczyć musimy, iż Towarzystwo ogrodnicze na jesień zapowiedziało urządzenie wystawy przetworów owocowych, której celem jest rozbudzenie zamiłowania do tej gałęzi zaniedbanego przedsiębiorstwa. P. Edmund Jankowski zawczasu już stara się zwrócić na to powszechną uwagę i przypomnieć, że przemysł owocowy ma ważne znaczenie w żywieniu ludności. Ponieważ produkcya ta, szczególnie przetwórcza, jest u nas zaledwie w zarodku, więc nie można się spodziewać szerokiego koła eksponentów. Dział maszyn i przyrządów do przetwarzania będzie usunięty zupełnie, bo trzeba było-by przedmioty owe sprowadzić chyba... z za granicy. Natomiast wystawa obejmie same przetwory, obok tego specyaliści zajmą się objaśnieniami publicznemi, które niejednemu lub niejednej ze zwiedzających dadzą możność nauczenia się racyonalnej fabrykacyi powideł, suszu, win jagodowych, chleba owocowego, octu, jabłeczników i t. d. Objaśnienia takie, praktykowane oddawna zagranicą, przynoszą ogromny pożytek ogółowi.

Szersze będzie miała znaczenie zapowiedziana na rok przyszły międzynarodowa wystawa owoców w połączeniu z kongresem pomologów w Petersburgu, pod kierunkiem miejscowego Towarzystwa pomologicznego. W zakres jej wejdą następujące działy: owoce i warzywa suszone, hodowla wina, chmiel tudzież rośliny lekarskie, nasiona owocowe i ogrodowe, drzewka i krzewy owocowe, maszyny i narzędzia techniczne, literatura, kollekcye, plany. Nasze ogrodnictwo, jakkolwiek bardzo jeszcze młode, będzie mogło się popisać z przedniemi oka

zami, a nawet literaturą specyalną, którą zbogacił p. Jankowski kilku cennemi dziełami. Niezmordowany ten pracownik, działający na swem polu z prawdziwem zamiłowaniem, obecnie jest inicyatorem założenia przy sekcyi owocarskiej syndykatu pomologicznego, który będzie się starał ściągnąć jak największe koło hodowców. Celem instytucyi będą następujące zasadnicze działania: opieka nad plantacyami owocowemi, rozpowszechnianie najlepszych odmian owoców i najlepszych metod wyrobu napojów owocowych, obrona interesów ekonomicznych (dział bardzo rozciągliwy, oby był łatwy do wykonania!), rozpowszechnianie odkryć naukowych, kupno i sprzedaż „w połączeniu z regulacyą rynków zbytu“ i wreszcie organizowanie konkursów, tudzież zjazdów pomologicznych. Jak widzimy, program bardzo szeroki, na wzór działalności podobnych instytucyi za granicą. Naturalnie w czynie przeprowadzenie tych wszystkich spraw o wiele będzie trudniejsze, niżeli w naszkicowaniu projektu. Syndykat ten właściwie będzie rozszerzonym zakresem działalności Towarzystwa ogrodniczego, którego zarząd między innemi marzy o własnej siedzibie. Istnieje na ten cel zapis Spornego, ale nie jest on wystarczającym, gdyż na urządzenie ogrodu doświadczalnego potrzeba najmniej 100,000 rs. Na taką sumę Towarzystwo nie prędko się zdobędzie, jeżeli go nie poratują jakie nowe zapisy.

Brak funduszów jest właśnie przyczyną niedomagań Towarzystwa, skrępowania jego działalności w zakresie popierania przemysłu i handlu owocarskiego. To też trudno wymagać odrazu widocznych rezultatów. O ile sił i środków wystarcza, robi ono, co może, a do szeregu pożytecznych jego przedsięwzięć zaliczyć należy projekt przeciwdziałania niszczeniu drzew i krzewów, głównie po wsiach. Za wykroczenia tego rodzaju prawo nakłada kary, ale ich wykonanie nie zawsze jest możliwe wobec trudności dochodzenia sądowego. Odległość sądów, wzywanie świadków i zarazem znaczna strata czasu, wszystko to się przyczynia do tego, że większość wykroczeń uchodzi bezkarnie. Otóż zarząd Towarzystwa ogrodniczego w projekcie swoim doradza, ażeby gminy, którym służy prawo za pomocą uchwał wprowadzać różne środki i postanowienia, zechciały również zastosować przepisy następujące: każdy mieszkaniec gminy powinien, złapawszy szkodnika, zawiadomić o tem wójta lub sołtysa, ten zaś bez sądu, tylko na podstawie uchwały, ściągać ma karę, oznaczoną na zebraniu gromadzkiem, za zniszczenie lub uszkodzenie drzewa. Wątpić nie można, iż władze przychylnie przyjmą i dopomogą do wprowadzenia tak pożytecznych przepisów.

Ochrona drzew i krzewów po wsiach i miasteczkach, obok względów hygienicznych, ma jeszcze na celu bezpieczeństwo publiczne. Ogród, a nawet kilka drzew przy budowli, chroni ją od pożaru, jeżeli ten wyniknie w sąsiedztwie. Przed dwoma laty przy rozszerzeniu przepisów, mających na celu przeciwdziałanie klęskom ogniowym, zwrócono właśnie na tę okoliczność uwagę. Tem bardziej zatem projekt Towarzystwa ogrodniczego powinien wejść w wykonanie. Dotychczas żadne prawie środki nie zmniejszyły rozmiarów zniszczenia, szerzonego przez ogień. Co rok w porze letniej dochodzą ze wszystkich stron kraju alarmujące doniesienia o spaleniu się całych wiosek i miasteczek, o braku środków ratunkowych i sprawności ochotniczych straży ogniowych. Zobaczmy, jak się te klęski i straty przedstawiają w ogólnych cyfrach, zebranych drogą urzędową. W okresie ostatniego dziesięciolecia było w Królestwie Polskiem pożarów 41,000, które wyrządziły strat ogółem przeszło na 40 milionów rubli. W tę sumę wliczone są tylko nieruchomości, a ileż strat wynikło ze spalenia się majątku ruchomego! Odsetki od tych milionów wystarczyły-by na urządzenie wzorowych straży i ich utrzymanie w głównych punktach Królestwa.

Sądzimy, iż jednym ze środków, zabezpieczających od klęsk, byłoby nietylko urządzenie i wzmocnienie straży, lecz także powiększenie liczby stróżów, czuwających w nocy nad bezpieczeństwem publicznem, znaczna bowiem część pożarów wynika z rozmyślnego podpalania, szczególnie w Królestwie i prowincyach zachodnich. Do tej kategoryi przyczyn *wykrytych* zaliczono 16% wypadków; kto wie, czy drugie tyle nie zostaje w kategoryi tak zwanych „przyczyn niewiadomych.“ Stwierdzono, iż najczęściej pożarom podlegają domy, należące do żydów, którzy następnie, otrzymawszy sumę asekuracyjną, wznoszą ładne kamienice; w ten sposób rozwinął się Mińsk gubernialny i inne miasta. O ile się nie mylimy, środek przeciwko temu geszeftowi już zastosowały niektóre towarzystwa w postaci znacznego zniżenia wartości budowli podczas ich szacowania dla asekuracyi.

Ostatni zjazd strażacki w Petersburgu między innemi miał na celu przysposobienie ludności miejskiej i wiejskiej do umiejętnego i sprawnego tłumienia pożarów. W Królestwie Polskiem skutki uchwały są już widoczne; w okolicach Warszawy wsie i osady zdobyły się na narzędzia i przyrządy ratunkowe, nadto stosowna władza postanowiła w niedziele i święta wysyłać tam specyalnego instruktora na ćwiczenia, w których mają brać udział wszyscy dorośli mężczyźni od 18 do 40 lat wieku. Koszta sprawiania niezbędnych narzędzi i utrzymania

instruktora ciężą na funduszach gminnych. Pożądane było-by jak najśpieszniejsze rozszerzenie tej nowości w całym kraju. Do szeregów strażackich powinni się zaciągać obowiązkowo, jak do wojska, zdrowi i silni mężczyźni. Wtedy tylko, przy odpowiedniej wprawie i karności, tudzież zapasie narzędzi, zniknie ów nieład, plątanina i tracenie głów podczas pożarów, nawet w takich wypadkach, gdzie na razie parę wiader wody, rozebranie parkanu, części dachu lub ściany, ochroniło-by od klęski całą wieś albo miasteczko.

W obecnym okresie pożarów, jak zwykle, mieszkania letnie i miejsca kuracyjne się ożywiły, miasta zapadły w drzemkę, pisma codzienne w miejsce zubożałego działu spraw i ploteczek miejskich wprowadziły obszerne korespondencye z „kurortów“ krajowych i zagranicznych, a nawet z mieszkań letnich. Całkiem słusznie, gdyż większa część czytelników przeniosła się do tych miejscowości i zarazem w nich uwięziła swą uwagę, tudzież cząstkę duszy na korzyść pokrzepienia ciała. W roku bieżącym wakacye mają nietylko uczniowie, studenci, garstka biuralistów i urzędników różnych instytucyi, służące, pozostawione w miastach, ale, rzecz dotąd niebywała, nawet... farmaceuci. Właściciele aptek, pp. Heinrich, Jarnuszkiewicz, Mutniański, Suszycki, Stępiński i Więckowski, dali swym pracownikom urlop 7 i 10-dniowy. Uwalnianych kolejno zastępują koledzy, a koszta zastępstwa ponoszą sami pracodawcy. Oby ten przykład jak najbardziej się rozszerzył!

Przydały-by się również wakacye dla maszynistów kolejowych, których praca, obok silnego natężenia, bardzo mało przerw posiada. Przeważnie winę wykolejenia albo rozbicia pociągów przypisują tym, którzy je prowadzą, fakta atoli dowiodły, że najczęściej wina maszynisty wynika z przepracowania i senności. Niedawno właśnie zaszedł wypadek rozbicia pociągu towarowego niedaleko Saratowa i naturalnie od razu potępiono maszynistę za to, iż w miejscu, gdzie linia była naprawiana, pędził całą siłą pary. Nie wiemy, co śledztwo wykaże, ale to pewna, że każdy podobny wypadek pobudza sfery właściwe do szukania środków ostrożności. O ile to dotyczy sygnalizacyi udoskonalonej, zabezpieczającej od spotkania się pociągów na drogach jednotorowych, postępy w tym względzie uczyniono znaczne, ale po-za tem najważniejszym środkiem bezpieczeństwa jest przytomna obsługa linii, zwrotnic i maszyny. Pod tym właśnie względem koleje najbardziej szwankują. Do zwykłych faktów należy dyżurowanie zwrotniczych po 24 godziny. Maszyniści i ich pomocnicy nie mają prawie chwilki wytchnienia; z zapuchniętemi od znużenia oczyma i ciężkiemi głowami,

prowadzą pociągi, a w nich wiozą setki pasażerów. System płacenia (oprócz pensyi) wiorstowego, nie jest wcale zwyczajem pożądanym; maszynista, przeładowany i bez tego pracą, na niektórych kolejach chętnie przyjmuje zastępstwa, pomimo zmęczenia, byle zarobić od przestrzeni przejechanej. Naszem zdaniem największą oszczędnością dla kolei jest ciągłe zdążanie do rozwoju środków bezpieczeństwa. Rozbicie jednego pociągu stokroć jest kosztowniejszem, niż powiększenie personelu służby i podwyższenie płac. Otóż nie straciły-by, lecz zyskały koleje na powiększeniu liczby maszynistów, tudzież ich pomocników, w ten sposób, ażeby każdy z nich miał dostateczny wypoczynek. Nadto należało-by znieść wszelkie wiorstowe, a natomiast dać większe pensye i oznaczyć możliwie najkrótszą liczbę lat służby, pozwalającej korzystać z całkowitej emerytury. Również pożądane było-by powiększenie personelu, obsługującego zwrotnice, i wreszcie telegrafistów, którzy także są skłonni do omyłek w sygnałach pod wpływem wyczerpania. Naturalnie na tego rodzaju posterunki trzeba było-by wybierać ludzi sumiennych, nie podlegających żadnym nałogom, czyniącym ich usługi niebezpiecznemi.

Co do telegrafistów, zdaje się, że wkrótce koleje żelazne będą mogły wprowadzić oszczędności, dzięki postępom techniki, która w wieku bieżącym setki tysięcy rąk odepchnęła od pracy uciążliwej, lecz natomiast przyczyniła się do rozszerzenia jej pola. Dnia 30 czerwca odbyła się w Tyflisie próba pierwszych telefonów ulepszonych systemu inżeniera Balukiewicza. Rozmawiano na odległości 72 i 114 wiorst. Mowa z obu stacyi (Gori i Michajłowo), jak utrzymuje specyalny sprawozdawca „Kuryera Warszawskiego“, słyszana była przez wszystkich obecnych w pokoju, pomimo silnego wiatru na całej linii i działania jednoczesnego wspólnym drutem sześciu aparatów telegraficznych Morse'a, których uderzenia przytłumiono, ażeby nie przeszkadzały słyszeć nietylko stojącym u samego aparatu telefonicznego, lecz wszystkim obecnym. Głos z Gori (72 wiorsty) tak był głośny w Tyflisie, że zdawało się, jak gdyby kto z obecnych w pokoju rozmawiał. „Mimowolnie wszyscy obejrzeliśmy się po sobie“ — pisze korespondent. Głosy z Michajłowa (114 w.) robiły takie wrażenie, jak gdyby pochodziły z za ściany cienkiej. O ile więc dowiodły próby, na odległości 114 wiorst można rozmawiać za pośrednictwem telefonów Balukiewicza bez przykładania tuby do ucha, a co również rzeczą jest niezmiernie ważną, posługiwać się można jednym drutem, jednocześnie obsługującym aparaty telegraficzne Morse'a.

Właściwie pierwszy Van Risselberg wpadł na pomysł użycia drutów telegraficznych do telefonowania, na mocy odkrycia Warleya,

stwierdzającego, że prądy telegraficzne i telefoniczne, po przytłumieniu kondensatorami szumu od uderzeń aparatów telegraficznych, — wcale sobie nie przeszkadzają. Następnie wynalazek Van Risselberga przeszedł trzykrotne udoskonalenia, wreszcie najpraktyczniejszą dotąd konstrukcyę obmyślił p. Balukiewicz. Dzięki więc zbiorowej pracy wynalazców, sposób szybkiego porozumiewania się na dalekie odległości staje się coraz łatwiejszym. Prostota budowy aparatów telefonicznych zmniejszy znacznie koszt zaprowadzenia telefonów tam, gdzie przechodzą druty telegraficzne. P. Balukiewicz (inżynier komunikacyi i pomocnik naczelnika ruchu), opracował plan nowego systemu ruchu pociągów bez użycia depesz telegraficznych, lecz przy pomocy porozumiewania się telefonowego. Projektodawca przewiduje możność znacznego zmniejszenia liczby telegrafistów i poczynienia wielkich oszczędności w budżecie poczt i telegrafów. Miejmy nadzieję, że i abonament telefonów dla ogółu będzie znacznie uprzystępniony, a tem samem sieć telefoniczna szeroko się rozgałęzi po całym kraju i w biurach centralnych zatrudni... telegrafistów, pozbawionych zarobku przez doskonalszy sposób porozumiewania się.

W ostatnich czasach obudził się nowy ruch w dziedzinie projektów, znany na Zachodzie w praktyce i odpowiednio oceniony: chęć dostarczenia „godziwego zarobku“ tłumom żebraczym. Według doniesień „Nowoje Wremja“, ministeryum spraw wewnętrznych zaprojektowało utworzenie w Warszawie „domu pracy“, dla zmniejszenia żebractwa ulicznego, jednocześnie zaś w Radomiu odbyły się narady nad utworzeniem tam takiej samej instytucyi. A więc dwa na raz miasta otrzymają przytułek dla rekonwalescentów szpitalnych, którzy nie mogą na razie znaleźć ani schronienia, ani pracy; dla robotników, pozbawionych zarobku skutkiem zamknięcia lub zatrzymania robót w fabrykach i zakładach przemysłowych i wreszcie dla uwolnionych z więzień i aresztów po odcierpieniu kary. Filantropi twierdzą, iż domy takie ochronią społeczeństwo i nędzarzy od przestępstw, wynikających z niemożności wyżywienia się uczciwą pracą. Zwolennicy tego rodzaju lekarstwa działają z dobrą i szczerą wiarą w jego skuteczność. Co do samego środka, inteligentnym czytelnikom dobrze musi być znane jego znaczenie i wpływ moralny na poszukujących przytułku, scharakteryzowane przez rozumnych myślicieli i pisarzów społecznych na zachodzie Europy. Opisy i poglądy ich, oparte na mocy licznych, jaskrawych faktów, mogą rozwiać illuzye najbardziej różowo usposobionych filantropów.

Emigracya, która przed dwoma laty ujawniła się ruchem masowym i tyle wrzawy u nas obudziła, a nawet poruszyła miłosierdzie

publiczne dla dopomożenia do powrotu ginącym w nędzy na obczyźnie, — trwa jeszcze dotychczas, tylko w znacznie mniejszych rozmiarach. Charakterystyczna atoli niezaradność ludu naszego za oceanem, dążenie tam naoślep i wyzysk różnych wydrwigroszów, nie ustępują wcale. Oto, co pisze wychodzące w Hamburgu czasopismo „Detectiv“ (według streszczenia „Słowa“): „Wychodźcy, nie posiadający przeważnie pasportów, szukają pomocy agentów emigracyjnych, którzy ułatwiają im potajemne przejście przez granicę. Nad granicą ukrywają się nieszczęśliwe ofiary w różnych punktach, aż agenci, upatrzywszy stosowną chwilę, przeprowadzają ich i ukrywają w Prusach; stąd znów w porze, kiedy policya nie zwraca na nich uwagi, wysyłają swoje ofiary koleją do Hamburga. W kryjówkach wyzyskują wychodźców straszliwie, każą sobie płacić znaczne sumy za przeprowadzenie przez granicę, za noclegi, żywność i t. d. Nie dość tego: każą im rzeczy swoje zostawiać niby dla większego bezpieczeństwa. Wprawdzie odsyłają zastawy do Hamburga, ale za zaliczeniem kolejowem. Wychodźcy więc, chcąc otrzymać swoje przedmioty, muszą nowy haracz opłacać. Powyższy organ hamburski wymienia nazwiska owych oszustów i wyzyskiwaczów. Są to szynkarze żydzi z Prostkau, tudzież ich współwyznawcy w Ełku (Lyck) i w Grajewie. Dochodzą również wieści, iż do New-Yorku przybywają w znacznej liczbie emigranci z Królestwa, i tam poszukując zarobku, włóczą się po mieście i cierpią nędzę.

W ciągu letnich miesięcy zeszło do grobu kilku zasłużonych pracowników u nas i za granicą. Dnia 5-go lipca w Warszawie zmarł Antoni Bądzkiewicz, gorliwy i długoletni nauczyciel, wytrawny znawca piśmiennictwa i języka ojczystego. Urodził się r. 1830, gimnazyum skończył w Mińsku; następnie r. 1849 rozpoczął studya lekarskie w uniwersytecie kijowskim, ale snadź zawód ten nie zgadzał się z jego naturą, więc się przeniósł na wydział historyczno-filologiczny. Odbywszy dodatkowe studya na kursach pedagogicznych, świetnie zdał egzamin konkursowy, ogłoszony przez kuratora okręgu naukowego wileńskiego w r. 1857. To mu dopomogło do otrzymania posady nauczyciela najpierw w Wilnie, potem w Piotrkowie (od r. 1867) i w Warszawie (od r. 1867) w gimnazyum III, gdzie pełnił przyjęte obowiązki do r. 1889. Później był nauczycielem również języka polskiego w szkole technicznej kolei Terespolskiej i w zakładach prywatnych. Po-za uciążliwą pracą obowiązkową w szkole, nieboszczyk uprawiał pole literackie. Działalność jego autorska datuje się od r. 1857. Zaczął od współpracownictwa w „Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych“, poczem umieszczał swe prace w innych pismach (rozprawy pedagogiczne i estetyczne, krytyki, życiorysy), mianowicie w „Tygodniku Illustro-

wanym", „Bibliotece Warszawskiej", „Ateneum", „Gazecie Polskiej", „Gazecie Warszawskiej" i w „Kronice Rodzinnej." Z licznych jego prac, drukowanych w tych pismach, zasługują na uwagę: o Amosie Komeńskim, Aleksandrze Zdanowiczu, Michale Homolickim, o Ryszardzie Berwińskim i—epopei estońskiej Kalevipoëg. Parę z tych rzeczy ukazało się w osobnych odbitkach. Po-za tem Bądzkiewicz opracował kilka dzieł pedagogicznych, które trwalszą mu pamięć zapewnią, mianowicie: „Teorya poezyi w związku z jej historyą." Warszawa, 1867. Rzecz ta, ze względu na kompilacye, uległa surowej krytyce. Większą wartość mają „Wypisy polskie" w trzech częściach. Nieboszczyk pracował jeszcze nad „Rysem systematów wychowawczych"; ale z pracy tej doczekały się druku tylko urywki. Spora garść ludzi już starzejących się i młodzieży zachowała w pamięci tę postać sympatyczną, skromną, jako swego nauczyciela. Był systemacznym i sumiennym nietylko w uczeniu młodzieży. Ten sam rys towarzyszył mu przy pracach literackich. Szczególnie dużo czasu i trudów poświęcił rzeczy o Ryszardzie Berwińskim, drukowanej w „Ateneum."

W końcu czerwca zakończył życie dr Stefan Kuczyński w Warszawie. Był on wyznawcą homeopatyi. Wygłosił niegdyś odczyty w tym przedmiocie i wydał w jednej książce r. 1868. Nadto opracował i ogłosił drukiem „Terapię popularną." Po-za działalnością specyalną, nieboszczyk brał żywy udział w sprawach natury społecznej; zawiązał wraz z innymi Stowarzyszenie do popierania wyrobów kobiecych. Instytucya ta wszakże, dzięki charakterystycznym u nas niesnaskom, niedługo istniała.

W Bergamasco (Lombardyi) zmarł 28 lipca Antonio Ghislanzoni, poeta włoski i librecista „Aidy." Zrazu poświęcił się był zawodowi aktorskiemu, jako śpiewak baryton, i pozyskał sobie ogromne powodzenie w Medyolanie i Lodi. Po r. 1849 ujął pióro, lecz jako dziennikarz republikański został wtrącony do więzienia i następnie wysłany na Korsykę. Człowiek ten, burzliwej natury, znalazł się następnie na polach bitwy i później znowu na scenę powrócił. Choroba oskrzeli zmusiła go do porzucenia sztuki aktorskiej i poświęcenia się na stałe literaturze. Zasłynął jako dziennikarz, pisywał poezye, powieści, przez długi czas był redaktorem „Gazety muzycznej" w Medyolanie. Największą atoli popularność zyskał jako librecista. Opracował przeszło sześćdziesiąt libret operowych (między innemi: „Aida", „Tosca", „Narzeczeni", „Aldona" „Salvator Rosa"). Z dzieł jego między innemi zyskały uznanie: „Reminiscencye artystyczne" i „Artyści teatralni."

Mario Uchard, znany powieściopisarz i dramaturg francuski, zmarł 1 sierpnia r. b. w Paryżu. Urodzony w stolicy Francyi r. 1824. rozpoczął zawód literacki od dramatów. Jeden z nich p. t. „Fiamina", wystawiony r. 1857 w teatrze Komedyi francuskiej, zwrócił uwagę publiczności na autora. Inne wybitniejsze jego komedye i dramata: „Le Retour du mari." „La posterité d'un Bourgmestre", „La Charmeuse." Z powieści ważniejsze: „Raymond", „Le Mariage de Gertrude", „J'avais une marraine", „La Comtesse Diana", „Une dernière passion." Niektóre powieści tego autora drukowały nasze tygodniki w dodatkach.

Od dwóch miesięcy nasz ogół inteligentny z niepokojem śledził przebieg ciężkiej choroby Andriollego, zasypywał redakcye pism zapytaniami o zdrowie swego ulubieńca, nieocenionego artysty illustratora. Katastrofa była nieunikniona, każdy doskonale o tem wiedział, bo nowotwory w wątrobie śmierć sprowadzić muszą. Tak się też stało. Andriolli, na którego przywykliśmy patrzeć, jak na człowieka żelaznego, po długiej rozpaczliwej walce z cierpieniem, zakończył życie w Nałęczowie 23 sierpnia, w sile wieku męskiego. Kto widział zblizka tę postać sympatyczną, zawsze pełną energii życiowej, umiejącą największe trudności przezwyciężać i najcięższe klęski moralne znosić, kto zna ten ogrom pracy, zamkniętej w kilku przyozdobionych ołówkiem perłach naszej literatury, w licznych rocznikach pism obrazkowych, w kartonach osobnych, w wydawnictwach literatury obcej i wreszcie w różnych świątyniach, zbogaconych obrazami olejnemi zmarłego artysty, — ten może ocenić dotkliwą i niepowetowaną stratę. Michał Elwiro Andriolli urodził się w Wilnie r. 1837. Ojciec jego był rodowitym Włochem, matka—polką. Gimnazyum skończył w mieście rodzinnem, następnie studyował medycynę w akademii moskiewskiej; dusza jednak artystyczna odwracała się od prosektoryum i skalpela, rwała się ku wyżynom ideałów i piękna. Wstąpił więc do szkoły sztuk pięknych w Moskwie i po odbyciu tam studyów, złożył egzamin w akademii sztuk pięknych w Petersburgu r. 1857. Dla zaokrąglenia studyów udał się potem do Rzymu, gdzie pracował w Akademii św. Łukasza, wreszcie ostatecznie wzmocnił podstawy swego talentu w Paryżu. Po powrocie długo nie siedział w kraju. Gorąca natura pchnęła go w wir powikłań życiowych, następnie—w długą wędrówkę po świecie. Bez żadnych zasobów materyalnych, z ołówkiem tylko w ręku, energią w duszy i niepospolitą wyobraźnią w umyśle, przeszedł całą Europę, najdłużej się zatrzymał w Londynie i Paryżu. Około r. 1867 wrócił do kraju, ale znowu na krótko. Po dłuższym pobycie we wschodnich guberniach Rossyi, przybył r. 1871 do Warszawy i tutaj, zasilając swemi

rysunkami „Kłosy" i „Tygodnik Illustrowany", prędko potrafił zjednać uznanie dla swego talentu, nietylko śród znawców, lecz i ogółu inteligentnego. Odtąd twórczość Andriollego wzrasta, a jego pracowitość i bogactwo pomysłów podziw powszechny budzi. Oprócz dwu powyższych pism obrazkowych, artysta nasz zasilał „Wieniec", „Biesiadę Literacką" i „Tygodnik Powszechny." A oto szereg utworów literatury pięknej, przyozdobionych jego ołówkiem: „Marya" Malczewskiego, „Pamiętniki kwestarza" Chodźki, „Pan Tadeusz" Mickiewicza, „Stara baśń" i „Kunigas" Kraszewskiego, „Meir Ezofowicz" i „Dziurdziowie" Orzeszkowej, „Branki w Jassyrze" Deotymy. Przed kilku laty podczas pobytu nad Sekwaną, Andriolli na mocy umowy z wydawcą paryskim, Didotem, przyozdobił swojemi rysunkami wspaniale wydane dzieła Shakespeare'a: „Romeo i Julię" „Kupca weneckiego" tudzież „Joannę d'Arc" i „Chevallerie", wreszcie dla wydawcy londyńskiego, Calpina, wykonał szereg illustracyi do „Historyi wieków średnich" i do romansów Coopera. Oprócz ołówka i pędzla, Andriollemu nie obce było i pióro; uplastyczniał również dobrze opisem, jak rysunkami, wrażenia ze swych wycieczek artystycznych. Czytelnicy jeszcze świeżo mają w pamięci jego listy do Pługa, pisane ubiegłej wiosny z wycieczki do Kroacyi i Dalmacyi i drukowane w „Kuryerze Warszawskim", wreszcie z tej samej podróży wrażenia zamknięte w „Tygodniku Illustrowanym" (z rysunkami) i „Słowie." Prace Andriollego będą nam na wieki drogą pamiątką, a dzielna dusza ich twórcy, pełna poezyi i porywów gorących a szlachetnych, nigdy nie zatrze się w pamięci tych, którzy go bliżej znali.

Dnia 17 sierpnia zakończył życie w Paryżu Jan Marcin Charcot, całemu światu znany psychiatra i badacz hypnotyzmu. Urodzony r. 1825 w Paryżu, r. 1853 otrzymał stopień doktora medycyny. Roku 1862 wszedł do szpitala Salpetrière, w którym, dzięki swej pracy i badaniom, największe tryumfy zdobył. Roku 1873 otrzymał katedrę anatomii patologicznej na wydziale lekarskim. Odznaczył się on jako psychiatra, znawca chorób nerwowych, wreszcie wielkie zasługi położył na innych polach medycyny. Od r. 1883 wykłady jego zasłynęły jako systematyczny kliniczny kurs chorób nerwowych, prace zaś jego w tym zakresie przyswoiły prawie wszystkie języki. Wielkie zasługi położył na polu organizacyi prac naukowych w zakładach paryskich, gabinetów, kamer fotograficznych i t. p. On też wprowadził albo stworzył liczne najdokładniejsze metody badań naukowych. Na polu badań hypnotycznych Charcot stworzył własną szkołę, różniącą się od szkoły doktorów z Nancy.

Wiadomości bibliograficzne.

— Na posiedzeniu wydziału filologicznego Krakowskiej Akademii Umiejętności, odbytem w dniu 4 lipca r. b. pod przewodnictwem prof. d-ra K. Morawskiego, prof. dr Sokołowski podał treść swej pracy p. t. „O kodeksie Biblioteki Ordynacyi Zamoyskich w Warszawie p. n. „Żywoty Arcybiskupów Gnieźnieńskich".

Kodeks miniaturowy biblioteki Zamoyskich w Warszawie p. n. „Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich" jest to małe folio, pisane na pięknym pergaminie i ozdobione 46 miniaturami, z których 32 miniatury przedstawiają portrety arcybiskupów gnieźnieńskich w pełnych figurach i pontyfikalnych strojach, na tle w znacznej części bogatych krajobrazów lub architektonicznych wnętrz. Treść kodeksu się składa: 1) z żywotów arcybiskupów gnieźnieńskich Długosza, aż do Jakóba z Sienny, 2) z dalszego ciągu tych żywotów, aż do Andrzeja Krzyckiego, czyli do r. 1537, 3) z żywotów biskupów krakowskich do Chojeńskiego, czyli do r. 1538, 4) nakoniec z działu, który nosi wyraźną datę 1559 i w którym jest umieszczony piękną humanistyczną łaciną napisany wiersz z nazwiskiem autora Joannes Jovinianus Pontanus, tudzież z wypisami z psalmów i pisma św. Kodeks ten należał do biblioteki Jana Zamoyskiego. Z treści jego korzystali: Przezdziecki, Łętowski, ostatni wydawcy dzieł Długosza; nareszcie o miniaturach jego najobszerniej pisał Sobieszczański. Ten ostatni sądził, że wymieniony w kodeksie Pontanus był jeżeli nie miniaturzystą, to przynajmniej przepi-

sywaczem kodeksu. Otóż Joannes Jovinianus Pontanus był to sławny humanista polski z końca XV w., uczeń Pontorma i nauczyciel Alfonsa Aragońskiego, którego poezye używały wielkiej sławy i doczekały się kilku wydań w Wenecyi na początku XVI w. Oczywistą jest rzeczą, że wiersz z jego nazwiskiem został przez ostatniego pisarza kodeksu przepisany tutaj, razem z innemi wyciągami z pisma św., że żadnego on innego związku z naszym kodeksem nie ma. Właściwie kodeks ma trzy różne epoki powstania: pierwszą, złożoną z żywotów Długosza, która pochodzi z czasów Tomickiego i mogła powstać koło r. 1530; drugą z lat 1537 i 1538; a trzecią i ostatnią z r. 1559. Tylko pierwsza część kodeksu jest ozdobiona miniaturami; ostatnim portretowanym arcybiskupem jest Jakób z Sienny. W drugiej części są jedynie miejsca pozostawione na miniatury, które nigdy wykonane nie były. Jedna karta, przeznaczona na portret Zbigniewa Oleśnickiego, jest otoczona malowanemi i ornamentowanemi bogato ramami, ale innej zupełnie ręki. W trzeciej części żadnych ozdób miniaturowych niema.

Cała pierwsza część pisana była i malowana dla Tomickiego. Dowodzi tego nie tylko wielki herb tego biskupa, zajmujący całą stronicę, ale i miniatura wstępna, którą reprodukował w litografii Sobieszczański. Na miniaturze tej widzimy św. Stanisława, który błogosławi Zygmunta I i Tomickiego, klęczących naprzeciw siebie. Za Zygmuntem klęczy Szydłowiecki, a za Tomickim Grzegorz Wyszkowski, obaj kanclerze, jeden króla, a drugi biskupa. Autor wylicza cały szereg ksiąg miniaturowych, pisanych i ornamentowanych z polecenia i kosztem tak Tomickiego, jak Szydłowieckiego; rozbiera z kolei charakterystyczne cechy miniatur naszego kodeksu i przychodzi do przekonania, że doszła nas znaczna ilość utworów artystycznych tego rodzaju, które mają wspólny charakter i noszą nieomylne znamiona jednej szkoły, jeśli nie ręki, a prawie zawsze pośrednio lub bezpośrednio z Tomickim i Szydłowickim się wiążą. Do nich należą: 1-o Przywilej Opatowski, publikowany przez p. Wojciecha Gersona w sprawozdaniach Komisyi historyi sztuki z r. 1519; 2-o drzeworyt, zdobiący „Vita S. Casimiri" Zacharyasza Ferrasiusa, druku Hallera z r. 1521; 3-o opisany kodeks Zamoyskich w pierwszej swej części z r. 1530; 4-o „Liber Geneseos familiae Schidloviciae" z r. 1531, i 5-o „Liber Evangeliorum „pulchra manu Stanislai Górski scriptus", z biblioteki kapitulnej krakowskiej z r. 1534. Pomniki te stanowią grupę, mającą wspólny charakter i prawdopodobnie zawdzięczają w artystycznej swej stronie powstanie jednemu i temuż samemu artyście, którego nazwisko jest jeszcze nieznane. Nauka historyi sztuki rozpoczyna swe badanie od analizy pojedyńczych zabytków, przychodzi z kolei do łączenia ich w serye i grupy i nakoniec oznacza tych grup czy seryi początek i bliższe pocho-

dzenie, jeśli na to źródła pozwalają. W tym wypadku autor wychodzi po-za to pierwsze stadyum, ale nie dochodzi do ostatniego. Nie poprzestaje na samej analizie pomnika, ale nie jest w stanie jeszcze jego twórcy nazwać; rezultatem tej pracy jest wykazanie szeregu pomników, które mają wspólne piętno i, jako takie, na tle zabytków sztuki u nas w XVI w. stanowią interesujące zjawisko.

Dr K. Górski odczytał jeden rozdział z pracy swej „O Franciszku Karpińskim".

Sekretarz podał treść pracy d-ra Franciszka Krčka p. t. „Modlitewnik Nawojki", polecony przez członków korespondentów akademii, profesorów A. Kalinę i R. Pilata.

Przedmiotem pracy p. Krčka jest zabytek języka polskiego z wieku XV, znany w literaturze naukowej pod nazwą „Książeczka do nabożeństwa Św. Jadwigi", oraz pod nazwą, przyjętą przez autora. Praca obejmować będzie kilka części. Treścią pierwszej części, którą autor złożył, jest strona literacka zabytku; następne obejmą opracowanie pisowni i języka. Autor stara się o ustalenie i odtworzenie tekstu, oraz o wykazanie jego pochodzenia na podstawie pierwszego wydania książeczki z r. 1823. Jak wiadomo, oryginał tego cennego zabytku piśmiennictwa staropolskiego zaginął. Autor, idąc w ślady d-ra L. Mańkowskiego, poszukuje źródeł modlitw, znajdujących się w książeczce; w tym celu zgromadził przedewszystkiem obfity materyał porównawczy, t. j. nie tylko znane mu teksty, ale także dotąd nieznane, jak np. redakcyę niemiecką modlitwy „Summe sacerdos", będącą wzorem ustępu książeczki od str. 103 — 129. Ten tekst niemiecki i kilka innych czeskich i łacińskich autor przytacza w całości w dodatku. Dalej autor porównywa tekst polski modlitw z czeskiemi i dochodzi do wniosku, że dwie trzecie części „Modlitewnika Nawojki" są bezpośredniem tłómaczeniem z czeskiego, jak o tem świadczą ślady w języku. Jeżeli dotąd nie udało się autorowi odkryć źródeł pozostałych modlitw, to nie można z tego wnosić, że są one oryginalne. Że i te modlitwy są tłómaczone, świadczą o tem styl i wyrażenia, zupełnie odpowiadające stylowi i wyrażeniom tych części, które niewątpliwie są przekładami. Także budowa całości popiera to przypuszczenie. Na te okoliczności autor zwraca baczną uwagę, i tam, gdzie źródła odmawiają pomocy, opiera się na analogii znamion charakterystycznych, właściwych podobnym utworom średniowiecznym i tym sposobem wyróżnia cały szereg modlitw, które ujmuje w cztery grupy: 1) modlitwy do N. Maryi Panny (str. 24—75 i 172—182); 2) modlitwy podczas mszy św. (75—102); modlitwy przygodne (modlitwy św. Grzegorza i św. Augustyna) (158—171 i 173—186) i kolejno grupy te rozbiera. Tym sposobem autor stwierdza jednolitość języka i budowy całego zabytku. Następnie zaznacza, że

piśmiennictwo kościelne w Polsce średniowiecznej składa się prawie wyłącznie z przekładów i żadnym zabytkiem oryginalnym pochlubić się nie może; w końcu przypomina, że dwie trzecie części książeczki „Nawojki" okazały się tłómaczeniami, oryginalność zaś trzeciej części jest także wątpliwa. Z tych względów autor przychodzi do wniosku, że „Modlitewnik Nawojki" nie jest bynajmniej kompilacyą, jak zwykle utrzymywano, ale odpisem tekstu, który w całości wypłynął z modlitewnika czeskiego redakcyi niemieckiej. Na ten wniosek naprowadza modlitwa t. zw. św. Ambrożego. Jaki jest czas powstania zabytku, tego na podstawie tekstu i źródeł określić jeszcze nie można. Autor ubocznie jednak zwraca uwagę na zwroty o Krwi i Ciele Pańskiem, które dają pewną podstawę do przypuszczenia, że wzór czeski powstał po r. 1415, czyli już po czasach husyckich.

— Na posiedzeniach komisyi historyi sztuki, odbytych w dniu 15 czerwca i 13 lipca r. b., pod przewodnictwem prof. d-ra Maryana Sokołowskiego:

Prof. Łuszczkiewicz przedstawił 25 rysunków uczniów szkoły sztuk pięknych, dokonanych w czasie wycieczki do Mogiły, oraz zdał sprawę z zabytków kościoła św. Bartłomieja. W założeniu planu tego kościołka drewnianego widzi obyczaj cysterski i wskazuje na zmiany, jakie zaszły w jego budowie, którą odnosi do r. 1466, a która to data i nazwisko cieśli budowniczego, Macieja Mączki, znajduje się na ozdobnym bocznym portalu rżniętym w dębowem drzewie. W kościele klasztornym odrysowano jedną z kaplic bliźnich i piscynę z XIII wieku, kilka portali i nagrobków.

Prof. Łuszczkiewicz przedłożył komunikat p. Matiasa Bersona z Warszawy, objaśniony fotografiami i rysunkami, o starożytnej modrzewiowej synagodze w miasteczku Zabłudowie na Litwie.

Dr Tomkowicz streścił obszerniejszą pracę swoją o t. zw. zamku Krysztopor w Sandomierskiem, obwarowanym pałacu w XVII w., który był rezydencyą Krzysztofa Ossolińskiego, brata kanclerza, i którego ruina dziś jeszcze świadczy, że był to jeden z najokazalszych świeckich gmachów w Polsce. Na świetność tę składała się nietylko wielkość budowy, jej obronność i piękność architektonicznej kompozycyi, ale także niezwykła ozdobność głównej fasady pałacu mieszkalnego, która była w górnych piętrach cała okryta ozdobami ze stiuku i barwnemi malowaniami, przedstawiającemi portrety osób znakomitych, spokrewnionych z właścicielem pałacu, jako też odpowiednie alegorye, oraz napisy objaśniające na tablicach. Autorowi udało się zgromadzić wiele szczegółów, rzucających światło na dzieje zamku, oraz na mało znany żywot jego założyciela, a opis zamku objaśnił licznemi fotogra-

fiami. Pomiary dokonane na ruinach przekonały, że plan zamku, podany w dziele Pufendorfa, jest dość dokładny.

Dr Tomkowicz wyraził wreszcie zdanie, że jak obwarowanie Krzysztopora należy do typu włoskiego, t. j. przedvaubanowskiego, tak architektura pałacu powstała pod wpływem późniejszego włoskiego renesansu, nie brak w niej nawet pewnych analogii do Capraroli, pałacu ufortyfikowanego, który był ostatniem dziełem Vignoli.

Przewodniczący przedłożył pracę p. Aleksandra Jelskiego z Zamościa o pasiarni Radziwiłowskiej w Słucku, opartą na źródłach archiwalnych i dostarczają wielu ważnych i nieznanych szczegółów do dziejów tej fabryki i jej wewnętrznego urządzenia. Okazuje się, że materyały do wyrobu pasów i innych tkanin sprowadzano z Gdańska.

Prof. Łuszczkiewicz zwrócił uwagę komisyi na wiadomość (podaną w dziennikach) o odkryciu grobu biskupa Macieja Gołanczewskiego † 1368 w katedrze włocławskiej, przyczem znalazło się pióro (curvatura) pastorału w stylu romańskim z emalią limużyńską.

Prof. Sokołowski zawiadomił, że muzeum ks. Czartoryskich nabyło pas, który świadczy, że wyrabiano pasy na polski użytek w Konstantynopolu.

Wreszcie odczytano sprawozdanie z posiedzeń lwowskiego grona komisyi, odbytych d. 13 marca i 30 maja r. b. pod przewodnictwem prof. d-ra Tadeusza Wojciechowskiego.

Dr A. Czołowski przedłożył srebrnego pozłacanego kurka, który jest własnością lwowskiego Towarzystwa strzeleckiego. Gmerk „niedźwiedź“ i litery W. B., znajdujące się na kurku, dowodzą według p. Wł. Łozińskiego, że zabytek ten jest roboty lwowskiego złotnika Walentego Brzemińskiego, żyjącego w końcu XVII w. Z kolei przedstawił p. Rebczyński zegar stołowy z XVII w., bardzo pięknej roboty z bronzu i ze stali, Pawła Dobrosztańskiego w Podhorcach. Dr Jan Antoniewicz mówił następnie o bogatym zbiorze rękopisów ormiańskich, ozdobionych przepysznemi miniaturami a znajdujących się w bibliotece narodowej w Paryżu; dwa z nich pochodzą ze Lwowa, wykonane w roku 1638 przez księdza, mówiącego po polsku, jak dowodzą napisy. Dr Papée zwrócił uwagę na liczne rękopisy ormiańskie w bibliotece uniwersyteckiej lwowskiej, ozdobione bogatym rysunkiem ornamentacyjnym.

Następnie zakomunikował p. Bostel wiadomość o nieznanej dotąd fabryce pasów perskich w Stanisławowie. Nawiązując do tego, zwrócił uwagę dr Czołowski na szczegóły do dziejów fabryki jedwabiu w Brodach, zawarte w dziele Joachima Pastoriusa: „Historiae Poloniae pars prior“. Następnie przedstawił ks. prałat Petruszewicz rzeźbę na kości słoniowej, wyobrażającą Chrystusa na krzyżu, którą odnosi do

XI lub XII wieku. W końcu odczytał dr Czołowski list Żółkiewskiego z r. 1620 do rajców lwowskich w sprawie Bogusza, ormianina, malarza, zajętego pracami swej sztuki w Żółkwi na dworze hetmana.

— „Rozprawy Akademii Umiejętności“ – Wydział filologiczny.— Serya druga—tom trzeci. Kraków 1893.

Jest to ośmnasty tom ogólnego zbioru, zawierający następujące prace:

A. Kaliny, „Jana Parum Szulcego, słownik języka połabskiego“. J. Radlińskiego „Słownik narzecza kamczadałów zachodnich, ze zbiorów prof. B. Dybowskiego“; S. Witkowskiego „Stosunek „Szachów“; Kochanowskiego do poematu Vidy „Scacchia ludus“; tegoż „De vocibus hybridis apud antiquos poëtas romanos“; M. Zdziechowskiego „Karol Hynek Maha i bajronizm czeski“; M. Saza „Przyczynek do poezyi polsko-łacińskiej XVI w.; tegoż „O miarach poematów łacińskich Jana Kochanowskiego i o ich wzorach“; S. Windakiewicza „Pierwsze kompanie aktorów w Polsce.

— *Estreichera* „Bibliografii polskiej“ zeszyt pierwszy i drugi tomu 13-go zawiera wskazówki od „Bi“ do „Bonnet“.

— *Stanisław hr. Tarnowski*, prezes akademii umiejętności w Krakowie, wydał tom I przekładów Macaulaya („Szkice i Rozprawy“) zawierający studya nad Fryderykiem Wielkim, Barrerem i Pittem.

Z wydawnictw, tyczących się mowy naszej, mamy do zanotowania Bronisława Brzozowskiego „Gramatykę języka polskiego“ (Warszawa 1893 u Gebethnera i Wolffa) oraz Mirosława Sucheckiego broszurkę „Pisownia uchwalona i wymowa rodzinna“ (Wiedeń 1893).

— *Ludwik Ćwikliński* „Klemens Janicki“, poeta uwieńczony (1516—1543). Kraków 1893.

— „Documente privitoare la Historia Romanitor urmare la colectiunea lui Liudoxiu de Hurmuzaki“. Suplementul II Volumul I 1310—1560, cu portretut lui Ieremia Movila voevod. Documente culesse din Archive si Biblioteci polone, coordonate, adnotate si publicate de Ioan Bogdan cu traducerea franceza a documentelor polone de I. Skupiewski. Bukareszt 1893.

Wydawnictwa akademii rumuńskiej ukazał się nowy tom, obejmujący dokumenta dziejowe z r. 1510 — 1560. Z przedmowy przekonywamy się, że wydawcy nie pominęli zbiorów Ossolińskich we Lwo-

wie, Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, Ks. Radziwiłłów w Nieświeżu, Ks. Czartoryskich w Krakowie, Działyńskich w Kórniku i Ordynacyi Zamoyskich w Warszawie. W tekście samym spotykamy się też z pokaźną ilością dokumentów, pochodzących z bibliotek i muzeów polskich. Wydrukowane zostały w języku łacińskim lub polskim, a do tekstu polskiego dołączano tłómaczenie francuskie, dokonane przez p. Skupiewskiego. Wydanie akademii rumuńskiej odznacza się wzorową starannością, a tom wydany w r. 1893 zawiera na początku portret Jeremiego Mogiły, wojewody mołdawskiego (1595—1606). Nie ulega żadnej wątpliwości, iż tom powyższy zarówno jak i poprzednie publikacye akademii rumuńskiej mają dla historyi polskiej doniosłe znaczenie i dla tego-to zwracamy na nie uwagę naszych badaczy.

ar.

— *Prof. Ulanowski* „Forma processus judiciarii," anno 1553 conscripta, e codice Petropolitano deprompta. Kraków 1893. Str. 68.

Komisya prawnicza akademii umiejętności w Krakowie, pragnąc o ile możności równomiernie uwzględniać wszystkie epoki historyi prawa polskiego, uchwaliła przed kilku laty ogłoszenie zbioru wyroków sejmowych z XVI stulecia, ułożonego przez współczesnych prawników i przechowanego w kilku redakcyach, które nawzajem się uzupełniają. Zbiór ten niebawem ukaże się na widok publiczny i dozwoli nabyć lepszego niż dotychczas pojęcia o postępach, jakie prawo polskie w ciągu XV stulecia zrobiło, i stwierdzi, w jakiej ostatecznie postaci przejawiało się w praktyce sądowej z wieku następnego.

Prócz tego jednak nie należy spuszczać z uwagi późniejszych zbiorów i formularzy, których zapewne dość wiele było w obiegu, i które umożliwiają nam odtworzenie działalności sądów ziemskich w poszczególnych województwach. Jeden taki formularz, spisany w roku 1358 w Poznaniu, dochował się w rękopisie Biblioteki Cesarskiej w Petersburgu. Prof. Ulanowski wydrukował go, albowiem, jakkolwiek nie obejmuje całości prawa polskiego, stanowi przecież ciekawy zabytek, tembardziej, iż obok formuł zawiera wykład niektórych kwestyi prawnych, przez co nabiera częściowo przynajmniej charakteru teoretycznego podręcznika. Tekst formularza petersburskiego był bardzo błędny. Prof. Ulanowski poczynił poprawki, ale nie zmienił w niczem treści formuł. Zbiór ogłoszony przezeń jest datowanym, co niemało doniosłość jego podnosi.

ar.

— *Henryk Lisiecki* „Napoleon III i Włochy". Petersburg. Nakładem B. Rymowicza. 1893.

Autor nagromadził w swem dziełku mnóstwo szczegółów z rozmaitych pism polemicznych, monografii i pamiętników, z zakresu stosunków Francyi z Sardynią, zaczynając od zamachu stanu do wojny francusko-pruskiej. Autor jest tego przekonania, że Napoleon przyczynił się do potęgi Niemiec i własnego upadku przez utworzenie królestwa włoskiego i powiększenia go oderwaną od Austryi Lombardyą. Owa potęga obecnych Niemiec wynikła stąd, iż Austrya, wyczerpana z sił, nie mogła przeszkodzić wzmocnieniu się Prus. Z drugiej strony Włochy, otoczone opieką Francuzów, również ujemnie wpływały na położenie Austryi. Wogóle cała książka jest ugrupowaniem danych kronikarskich z epoki Napoleona i królestwa włoskiego.

— *Edmund Jankowski* „Sad i ogród owocowy".

Wydanie trzecie, znacznie powiększone, z 12 tablicami fotograficznemi i licznemi drzeworytami w tekście. Warszawa, druk J. Sikorskiego 1893. Obszerne to dzieło składa się z czterech części. Pierwsza w ośmiu rozdziałach poświęcona jest wykładowi o gruncie, jego powstawaniu, gatunkach, tudzież o własnościach ogólnych i szczególnych, dalej o pokarmach roślinnych i pochłanianiu ich przez grunt. W końcu znajdujemy wskazówki o poprawie gruntu za pomocą osuszenia, o nawozach i mierzwieniu, pouczające szczegóły o wyborze miejsca na ogród, zaopatrzeniu w wodę, o podziale, ogrodzeniach i t. d. Część druga (cztery rozdziały) obejmuje wskazówki, dotyczące szkółek, o utrzymywaniu i hodowaniu płonek, rozmnażaniu krzaków i krzewów owocowych, tudzież o uszlachetnianiu dziczek. Część trzecia pod ogólnym tytułem „Sad" zawiera dużo szczegółów uzupełniających, których nie było wcale w dwóch poprzednich wydaniach, mianowicie wykłady: o zasadach pomologii, o wielkiej hodowli, o „owocach dla cierpliwych" i zwierzętach użytecznych w sadzie. Wreszcie część czwarta (ostatnia) obejmuje charakterystykę ogrodów owocowych, czyli francuskich lub rajskich. Pod taki ogród używana zwykle bywa przestrzeń gruntu przedniego, zabezpieczonego od surowych wpływów klimatu; celem zaś jego jest hodowla drzew delikatnych, tudzież takich gatunków, które sam ogrodnik może pielęgnować i formować. Przy tych opisach znajdujemy szczegółowy wykład zasady cięcia drzew, oraz o głównych formach szpalerów karłowych (palmety i sznury nieszpalerowe, wrzeciono, obelisk, kolumna i puhar). Wreszcie na treść ostatniej części się składa opis drzew i krzewów owocowych (jabłonie, grusze, wiśnie, śliwy, morele, brzoskwinie, winorośle, agresty, porzeczki, maliny, jerzyny, orzechy włoskie i laskowe). W części trzeciej autor daje następującą historyczną charakterystykę pracy gospodarczej: „Po wstrząśnieniach przed trzydziestu laty, sady poszły na czas jakiś w zapomnienie. Lu-

dzi opanowało pewne odrętwienie i zniechęcenie do pracy powszedniej. Stan taki trwał niedługo. Żywe społeczeństwo przebudziło się wkrótce z chwilowego uspienia i z dobrą otuchą zaczęło kroczyć po nowej praktycznej drodze. Nowe a odmienne od dawnego urządzenie własności ziemskiej, wywołane przez uwłaszczenie, znagliło posiadaczów ziemskich do gruntowniejszego zajęcia się temi gałęziami gospodarstwa, które potrzebują uprawy skupionej, specyalnej umiejętności i więcej nakładu niż rola, ale też i zysk większy przynieść są zdolne".

— *Konrad Nikiewicz* „Kultura winorośli". Warszawa, 1893.

Autor roztrząsa kwestyę, czy się opłaci u nas hodowla winna, i przychodzi do przekonania, że ta gałąź gospodarki, przy umiejętnem jej prowadzeniu, byłaby korzystną. Ta właśnie umiejętność i troskliwość—to zasadnicze podstawy hodowli. P. N. radzi, ażeby w północnych stronach kraju (gub. suwalskiej i płockiej) zaprowadzić system uprawy w zamkniętych budowlach pod szkłem, na sposób praktykowany w Anglii. W południowej zaś części kraju należy prowadzić wino na szpalerach, przy murach, można nawet na stokach wzgórków, ale zawsze z wystawą ku południowi. Autor między innemi dokładnie uczy, jak się należy obchodzić z winem

— „Praktyczne wskazówki uprawy cykoryi". Włocławek, 1893.

Autor w swej broszurce gorąco zachęca do uprawy tej rośliny, tembardziej, że czynione z nią doświadczenia u nas podobno dały świetne rezultaty. Książeczka, nosząca charakter teoretyczny, nie daje szczegółów wymownych z dziedziny praktyki, które istotnie mogłyby przekonać i zachęcić ogół ziemian do uprawy tej rośliny. Po-za tem należało-by tych czytelników, do których się przemawia, pouczyć, gdzie ów produkt mogą zbywać, na jakich warunkach i wreszcie w jakich rozmiarach kraj go spożywa, czy możebny jest wywóz za granicę? Takie tylko wyświetlenie rzeczy może istotny pożytek przynieść. To, że roślina owa może służyć za wyborną paszę dla bydła i owiec, że jest lekarstwem, tudzież służy do jedzenia i picia, jeszcze niedostateczna informacya.

— *M. B.* „Moda i emancypacya kobiet i izraelitów". Warszawa, druk H. Tomaszewskiej, 1893.

Jest tu między innemi mowa o modzie, o zgubnych skutkach gorsetów. Co do emancypacyi kobiet, przytoczone są prace naszych i zagranicznych autorów, którzy w tej kwestyi pisali. O żydach jest zaznaczenie tego faktu, powszechnie znanego, że wielu z nich u nas zerwało z chasydami i stara się kroczyć po ogólnej drodze postępu i oświaty.

— *Stanisław Rewieński.* „Pies, jego gatunki, rasy, wychów, utrzymanie, użytki, układanie, choroby i ich leczenie". Warszawa. 1893.

Autor podaje pobieżny zarys historyi naturalnej psa, następnie osobne przepisy hodowli tego stworzenia i charakterystykę ras. Podział tych ostatnich nie jest oparty na zasadach naukowych, lecz praktycznych. Autor wyszczególnia psy do stróżowania i obrony, domowe, pokojowe i myśliwskie. W oddzielnym rozdziale jest charakterystyka „piesków damskich". W końcu autor opisuje obszernie choroby psów, tudzież podaje środki leczenia i zapobiegania chorobom, krótki rys hygieny i dyetetyki. Opisy ras psów objaśnione są licznemi drzeworytami. Nadto autor podaje spis osób, zajmujących się u nas i za granicą hodowlą psów rasowych.

— „Przegląd chirurgiczny." Ukazał się w Warszawie pierwszy zeszyt nowego pisma lekarskiego, kwartalnika, poświęconego wyłącznie chirurgii. Książka to jest spora, dużego formatu (200 stronic), przyozdobiona licznemi drzeworytami i dwiema tablicami. Pismo zapełnili swojemi pracami następujący doktorowie medycyny: Dunin, Jawdyński, Karczewski, Ciechoński, Jasiński, Korzeniowski, Kamocki i Krajewski. „Nasza peryodyczna literatura lekarska, — czytamy na wstępie — reprezentowana jest jedynie przez pisma treści ogólnej. W samej Warszawie wychodzą dwa pisma tygodniowe, jedno miesięczne i jedno kwartalne, a przeglądając ich roczniki, dojdziemy do przekonania, iż zaczyna się już w nich nagromadzać balast specyalnych artykułów, niezupełnie odpowiedni celowi pedagogicznemu, który redakcye wystawiają, i słusznie, na pierwszy plan." Dr Dunin w naczelnym artykule rozpatruje stosunek medycyny wewnętrznej do chirurgii. Ten ostatni dział nauki lekarskiej w ostatnich czasach olbrzymie postępy uczynił, dzięki zastosowaniu środków przeciwgnilnych, tudzież udoskonalonych narzędzi. Dawniej przy amputacyi jednego palca więcej krwi choremu wypuszczano, niż dziś przy odjęciu całej nogi lub ręki. Nóż chirurgiczny cudów dokazuje. Zagląda on wszędzie do wnętrza organizmu ludzkiego, nietylko do kiszek, żołądka, ale nawet do mózgu, krtani, płuc, rdzenia kręgowego, nerek i wątroby. Serce tylko i niektóre części mózgu są jeszcze dlań niedostępne. Chirurgia jest panią chwili obecnej; postępy, jakie zrobiła, korzyść i pożytek, jakie codzień przynosi, są tak wielkie i olśniewające, że z nią chyba jeden tylko postęp elektrotechniki porównać się może." Chorzy, którzy dawniej znosili nieopisane męczarnie podczas operacyi i nawet z bólu umierali pod nożem, lub byli skazywani na śmierć skutkiem niemożliwości ratunku, dziś poddają się najzawilszym operacyom, podlegają rozplątywaniu całego wnętrza, wycinaniu nowotworów i, pomimo

to, dzięki umiejętnemu usypianiu, nie czują prawie żadnych cierpień. Jest to jedyny dział wiedzy lekarskiej, który z każdym dniem wzrost swej potęgi wykazuje i nie idzie po omacku. Redakcya „Przeglądu chirurgicznego" wpadła na dobry pomysł: chcąc uprzystępnić swe pismo całemu światu lekarskiemu, wszystkie swe prace, a nadto rzeczy zamieszczone w innych pismach specyalnych z zakresu medycyny zewnętrznej, streściła w języku francuskim. Nowe pismo wydawane jest pod redakcyą dra W. St. Krajewskiego, przy udziale trzydziestu współpracowników.

— Ostatni zeszyt „Wisły" zawiera następujące prace: „Wierzenia mazurskie" (dokończenie), przez M. Toeppena, przekład Eugenii Piltzówny; „Szlachcianki i włościanki", przyczynek do charakterystyki antropologicznej ludności gub. lubelskiej, przez dra Władysława Olechnowicza; „Potrawy, ciasta i chleby ludowe w okolicach Kielc, Pińczowa i Jędrzejowa", przez ks. Władysława Siarkowskiego; „Tkactwo w Jagodnym", przez Zygmunta Wasilewskiego; Jeszcze „wojna żydowska", przez Iwana Franko; „Wesele na Mazurach." „Mowy placmistrzowskie z pow. Szczycieńskiego" przez Jana Sembrzyckiego; „Nasze siodło", studyum etnograficzne przez Karola Matyasa; „Żmujdzkie podania o kwiatach", przez J. Kiborta; „Bajka o królewiczu zaklętym w żabę, zapisana w Józwowie, w pow. lubelskim", przez Z. A. K.; „Boginki-Mamuny", przez Rafała Lubicza; podanie ludowe z Kaliskiego, dotyczące skorup z urn i narzędzi krzemiennych, przez dra B. Dzierżanowskiego. Resztę zeszytu wypełniają: Poszukiwania, bibliografia, krytyka i wiadomości bieżące.

— „Słownik nazwisk zoologicznych i botanicznych", Erazma Majewskiego. Tomu II zeszyt 18; obejmuje wyrazy od *Syk (ficus sycomorus)* do *Warzecha (cochlearia)*. Dwa następne zeszyty zakończą tom pierwszy, polsko-łaciński; następnie wychodzić będzie tom drugi, wydrukowany już do wyrazu *Convallaria*.

— „Encyklopedyi Rolniczej", wydawanej staraniem i nakładem Muzeum przemysłu i rolnictwa, wyszedł zeszyt XXVII. Z szeregu zawartych w nim przedmiotów zwraca uwagę dział traktujący o gorzelnictwie, którego część teoretyczną opracowali pp. Jan Górski i dr Aleksander Weinberg; konstrukcyę maszyn opisał p. Floryan Spul, inżynier, kierownik fabryki aparatów gorzelniczych Rephana. Artykuł ten, bardzo obszerny, bo obejmujący 90 stronic, objaśniony jest wielu rycinami, wykonanemi bardzo starannie. Oprócz gorzelnictwa, zeszyt ten obejmuje: gnicie i butwienie, gnojowiska, gołębie, gomfrlit i gorczycę.

— „Zapiski lekarskie na r. 1893", ułożone przez dra Franciszka Murdzieńskiego, obejmują podręcznik terapeutyczny, tudzież zbiór najczęściej używanych recept, wykaz i opis nowych leków zakładów zdrojowo-kąpielowych w kraju i za granicą, tablicę najwyższych dawek, ich wagę, porównania wag, dawek, wskazówki ratowania otrutych i pozornie zmarłych. Do tej książki dołączony jest notatnik z kalendarzem.

— *Tadeusz Chojecki.* „O doniosłości ekonomicznej ubezpieczeń życiowych w stosunku gospodarstw wiejskich." Warszawa. Nakład Towarzystwa ubezpieczeń „Przezorność."

— Wkrótce nakładem księgarni Braumüllera i synów w Wiedniu wydany będzie „Przewodnik po Tatrach", napisany po niemiecku przez profesora uniwersytetu, dra Stanisława Ponikło. Przewodnik ten przeznaczony jest dla turystów zagranicznych.

— *P. Antoni Grabowski* w Norymberdze wydał zbiór utworów poetycznych w języku międzynarodowym, wynalezionym przez p. Ludwika Zamenhofa, warszawianina. Zbiorek nosi tytuł: „La lira de la esperantistos" i zawiera poezye dwudziestu kilku autorów. Oto ich imiona: Belmont, Sergij Bogoslavski, Vasilij Davjatnin, Aleksander Dombrowski, Moses Goldberg, Grabowski (wydawca), Eduard Haller Kanalošśy-Leller, Rudolf Libeks, Ivan Lojko, Vlastimil Lorenc, Vladimir de Majnov, dr Marignoni, A. Neumann, Seleznet, Emil Smietanka, Leonid Sokolov, M. Solovjev, Karol Svanbom, Samuel Szatunowski, Eduard de Wahl, Feliks Zamenhof (twórca języka), dr L. Zamenhof i Otto Zeidlitz. Między innemi w przekładzie Zamenhofa na język międzynarodowy są „Czaty" Mickiewicza.

— Nakładem redakcyi „Ruskiej Myśli", miesięcznika wydawanego w Moskwie, wkrótce się ukaże całkowite wydanie dzieł Sienkiewicza w kilkunastu tomach. Pismo to rozpoczyna druk najnowszej powieści, przez nas obecnie drukowanej, „Rodziny Połanieckich", w przekładzie redaktora, p. Ławrowa.

— „Przewodnik po Warszawie." Zapowiedziane przed dwoma laty przez redakcyę „Wędrowca" wydawnictwo „Przewodnika ilustrowanego w podróżach" dało znak życia. Na początek ukazał się z pod prasy „Przewodnik po Warszawie", stanowiący odrębną całość jednotomową. Podręcznik jest opracowany na wzór Baedäckera i przyozdobiony illustracyami Andriollego. Całe miasto w opisie podzielono na ośm odrębnych dzielnic: śródmieście, dzielnica staromiejska, nowo-

miejska, nalewkowska, zachodnia, łazienkowska, powiśle i Praga z przedmieściami. Prócz tego książka obejmuje opis cmentarzy, tudzież Willanowa i innych okolic miasta.

— *W. Czajewski.* „Przewodnik po Wilanowie." Zawiera także opis Czerniakowa, Morysina, Gucina i Natolina. Książka jest zaopatrzona w rysunki i plany.

— *Kajetan Bzura.* „Zabezpieczenie losu." Warszawa, 1893. Autor w tej broszurce kładzie nacisk na potrzebę rozpowszechniania ubezpieczeń życiowych śród oficyalistów wiejskich.

— *Jerzy Mycielski.* „Książę Panie Kochanku w świetle własnej korespondencyi." Petersburg, 1893. (Odbitka „Kraju"). Autor rzecz tę opracował na podstawie 176 listów od księcia Karola i 44 do niego, tudzież na listach urzędowych.

— *Paul Langhans.* „Deutscher Kolonial-Atlas." Gota, 1893. Atlas kolonii niemieckich, wydany przez zakład kartograficzny Justusa Perthesa, złożony jest z 30-tu kart i kilkuset małych kartek. Pierwsze dziesięć zawierają dane kartograficzne o procentowej osiadłości Niemców na całej kuli ziemskiej, o liniach komunikacyi wodnej, handlu niemieckim i t. d. Karta, oznaczona numerem 7-ym, zawiera topografię kolonii niemieckich w Rossyi, dopełniające zaś małe kartki dają pojęcie o szczegółowem rozmieszczeniu Niemców w Królestwie Polskiem, Łodzi i jej okolicach, w puszczy Białowieskiej, gubernii Wołyńskiej, Chersońskiej, nad Wołgą i wielu innych miejscowościach. Ogólna karta Europy wskazuje stosunek procentowy Niemców do innej ludności. Największy procent liczy Hollandya, następnie Belgia i Luksemburg. W kierunku ku wschodowi procent Niemców zmniejsza się stopniowo. Cechą wydawnictwa, obok dokładności, jest ogromna staranność.

— „Pamiętnika Fizyograficznego" tom XII zawiera: W dziale meteorologii i hydrografii: „Spostrzeżenia meteorologiczne, dokonane w ciągu roku 1891 na stacyach meteorologicznych, urządzonych staraniem sekcyi cukrowniczej warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania russkiego przemysłu i handlu"; „Wykaz spostrzeżeń fenologicznych z r. 1891 nadesłanych do redakcyi *Wszechświata*"; H. Cybulskiego „Ciąg dalszy spostrzeżeń filofenologicznych, poczynionych w Ogrodzie Botanicznym w Warszawie od r. 1886—1891"; J. Słowikowskiego „Charakterystyka Wisły i o zjawiskach towarzyszących zamarzaniu rzek." W dziale geologii z chemią: E. Znatowicza „Roz-

biory ziemi ornej." W dziale botaniki i zoologii: K. Łapczyńskiego: „Dokończenie zasięgów roślin dennokwiatowych w Królestwie Polskiem i w krajach sąsiednich"; tegoż „Z powiatu Trockiego do Szczawnicy"; F. Błońskiego „Przyczynek do flory jawnokwiatowej oraz skrytokwiatowej naczyniowej kilkunastu okolic kraju"; F. Kwiecińskiego „Spis mchów i paprotników znajdowanych w roku 1891 na gruntach majątku Hańsk"; B. Eichlera „Materyały do flory niedorostków okolic Międzyrzeca"; S. Chełchowskiego „Przyczynek do znajomości krajowych grzybów gnojowych"; A. Zalewskiego „O roślinności z okolicy miasta Tykocina; tegoż „Drobny przyczynek do znajomości roślin z okolic Wyszogrodu z przed siedmdziesięciu lat"; M. Twardowskiej „Ciąg dalszy spisu roślin z okolic Szemetowszczyzny i z Weleśnicy"; L. F. Hildta „Przyczynek do fauny chrząszczaków podolskich." W dziale antropologii: A. Zalewskiego „Kilka wiadomości z dziedziny starożytnictwa."

— Nakładem Biblioteki Kórnickiej w Poznaniu wyszedł tom II wydania drugiego „Sporów i spraw pomiędzy Polakami a zakonem Krzyżackim", zawierający: Sprawę wytoczoną roku 1412, oraz Dodatek.

— Na uczczenie stuletniej rocznicy urodzin Jana Kollara, Česky Akademický Spolek i Slovenský Akademicky Spolek „Tatran" wydały w Wiedniu dzieło jubileuszowe p. t. „Jan Kollar (1793—1852) Sbornik Stati o životě, pusobeni a literarni činnosti pěwce „Slawy Dcery." Wydawnictwo ozdobione illustracyami opracowane zostało pod redakcyą Franciszka Pastrnka.

Sprostowanie.

— W zeszycie lipcowym na str. 200 w wierszu pierwszym od góry po: *0.25 gm.*, należy dodać: *i monety Mieczysława I oraz Bolesława, ważące mniej więcej po 1.25 gm.*

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

Z ROKU 1893.

Filozofia.

Str.

Dekadentyzm współczesny i jego filozofowie. Fryderyk Nietzsche i Paweł Bourget, przez W. M. Kozłowskiego 315

Historya.

Kobiety na dworze Czehryńskim w drugiej połowie XVII-go wieku, przez d-ra Antoniego J. . . . . 41 i 413

Studya nad sejmem Rzeczypospolitej Polskiej, przez A. Rembowskiego . 288

Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.

Przyszła wojna, jej ekonomiczne przyczyny i skutki (ciąg dalszy), przez Jana Blocha. . . . . 91, 236 i 518

Socyalizm państwowy w Niemczech, przez Karola Rosego 477

Literatura.

Rodzina Połanieckich, powieść, przez Henryka Sienkiewicza . . 1, 205 i 442

Z cyklu: „Italia,“ poezya, przez Maryę Konopnicką . . . . . 127 i 509

Studya literackie i artystyczne.

Str.

Krytyk-impressyonista, przez J. Kotarbińskiego 130
Przegląd teatralny, przez W. Bogusławskiego 364

Nauki przyrodnicze.

Dzisiejsze środki badań biologicznych, przez d-ra Józefa Nussbauma . . 64

Krytyka.

Gneist: „Die Militärvorlage von 1892 und der preussische Verfassungs-Konflikt von 1862 bis 1866;“ Dr Artur Benis: „Postępek prawa czartowskiego przeciw narodowi ludzkiemu“; Prof. Roszkowski: „Ueber das Wesen und die Organisation der internationalen Staaten-Gemeinschaft,“ przez A. Rembowskiego . . . . 146, 157 i 575
Dr Alfred Pribrams: „Oesterreichische Vermittelungs-Politik im polnisch-russischen Kriege 1654—1660;“ Prof. Alfons Huber: „Die Verhandlungen Ferdinands I mit Isabella von Siebenbürgen 1551—1555,“ przez E. Lipnickiego . . . . . 159 i 391
„Album przedhistorycznych zabytków Wiel. Ks. Poznańskiego,“ przez Z. Glogera 579
Marya Konopnicka: „Na drodze,“ nowelle i obrazki; Witold Kirkor: „Jędrek malarz,“ „Walek muzykant“; Klemens Junosza: „Pająki,“ powieść, przez W. Kosiakiewicza . . . . . 166, 397 i 580

Kronika zagraniczna.

Galicyjska, przez U. Wpływ konwersyi długu indemnizacyjnego na budżet Galicyi w r. 1893. Reforma gmin wiejskich, rozpatrzona przez komisyę gminną na obecnej sesyi sejmowej. Sprawa kolei lokalnych. Projekt ustawy łowieckiej. Wzrost cen ziemi. Prace około wystawy krajowej 1894 r. 78
Paryska. Dramat Parodi'ego „Królowa Joanna“, Henryka Welskingera „Le Maréchal Ney en 1815.“ Wystawy sztuk pięknych: na polach Elizejskich i na polu Marsowem. Ośmnasty tom „Roczników teatralnych i muzycznych“ Edwarda Noëla. „Dziesięć lat życia kobiety, Adelajdy de Kerjean, markizy Falaiseau“; „Książę de Lauzun i dwór Ludwika XV,“ Maugras'a. „Prezydent Hainault i pani Dudeffant.“ Wybór Brunetière'a w Akademii francuskiej na miejsce zmarłego Johna Lemoine'a 265

Kronika miesięczna.

Str.

Lipiec. Mowa tronowa cesarza Wilhelma i rozprawy nad reformą wojskową. Zamieszki studenckie w Paryżu. Prawodawstwo przeciwko lichwie. Lombardy prywatne. Konieczność środków, ułatwiających zdobycie pracy. Brak dogodnej i taniej komunikacyi. Wzmocnienie pośpiechu kolejowego. Żegluga parowa na Wiśle. Rozwój ogrodownictwa; Edmunda Jankowskiego „Sad i ogród owocowy.“ Projekt nowej szkoły ogrodniczej przy Ogrodzie pomologicznym Szkoła gorzelnicza. Aspiracye do zawodu aktorskiego. Prasa prowincyonalna i brak rzetelnych, rozumnych korespondentów z prowincyi. Szpital w Dąbrowie dla górników. Prawo, określające warunki zdrowotne w zakładach przemysłowych. Apatya sekcyi IV warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Pogadanki popularne p. Szostkiewicza z dziedziny przemysłu i handlu. Wstępne egzamina w szkołach 172

Sierpień. Uchwalenie reformy wojskowej w Niemczech i przyjęcie bilu irlandzkiego przez angielską izbę gmin. Epizod syamsko-francusko-angielski. Podróż kedywa do Stambułu. Stosunki handlowe między Rossyą i Niemcami i podwyższenie ceł na zboże. Cholera w Europie. Czystość, jako środek zapobiegawczy przeciw epidemii i kąpiele ludowe, projektowane przez p. Rotwanda. Bezwzględność właścicieli domów w stosunku do lokatorów. Projekt Charnay'a, poparty przez Prusa, sprzedawania lokali na wypłatę. Nabywanie różnych przedmiotów na raty. 400

Wrzesień. Wybory we Francyi. Oportuniści i radykaliści. Polityka większości. Manewra niemieckie. Książę Neapolu w Lotaryngii. Rewizyta za Kronsztadt. Bil irlandzki Gladstone'a. Szerzenie się cholery, walka urządzeń sanitarnych z epidemią i nowe teorye bakteryologiczne. Hygiena pożywienia. Gonitwa za szczęściem; loterya i premiówki na raty. Brak paszy dla bydła. Konieczność zawiadamiania okólnikowo włościan przez sąsiadujących z nimi rolników o położeniu rynków ościennych i międzynarodowych. Projektowana reforma ustawy banku włościańskiego. Potrzeba przystępnych wykładów weterynaryi dla włościan. Projekt ministeryum dóbr państwa, ażeby dla rozpowszechnienia wśród włościan udoskonalonych narzędzi rolniczych dawano wystawcom zamiast medali takie właśnie narzędzia. Działalność kapitalistów obcych w sferze gospodarki miejskiej. Projektowana przez tutejsze Towarzystwo ogrodnicze wystawa przetworów owocowych i międzynarodowa wystawa owoców w Petersburgu. Projekt przeciwdziałania po wsiach niszczeniu drzew i krzewów. Środki ubezpieczenia od pożarów i zjazd strażaków w Petersburgu. Wakacye maszynistów i farmaceutów. Ulepszone telefony Balukiewicza. Projekt domu pracy w Warszawie. Emigracya i niezaradność ludu naszego za oceanem. Zmarli: Antoni Bądzkiewicz, Elwiro Andriolli, Stefan Kuczyński, Antonio Ghislanzoni, Mario Uchard, Jan Marcin Charcot 585

Wiadomości bibliograficzne.

Str.

Lipiec 193
Sierpień 410
Wrzesień 607

Dyskussya.

Uwagi p. Józefa Przyborowskiego z powodu artykułu prof. Antoniego Małeckiego „O grzywnach karnych w dawnej Polsce“ i odpowiedź prof. Małeckiego 198

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weyssenhoff.